J. K. ROWLING

HARRY POTTER
I ZAKON FENIKSA

Harry Potter - część V

Przekład: Andrzej Polkowski

Tytuł oryginału: *HARRY POTTER AND THE ORDER OF THE PHOENIX*

Data wydania oryginalnego: 2003 r.

Data wydania: 2004 r.

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY Demencja Dudleya 4
ROZDZIAŁ DRUGI Chmara sów 19
ROZDZIAŁ TRZECI Straż przednia 36
ROZDZIAŁ CZWARTY Grimmauld Place 12 50
ROZDZIAŁ PIĄTY Zakon Feniksa 66
ROZDZIAŁ SZÓSTY Szlachetny i starożytny ród Blacków [top] 81
ROZDZIAŁ SIÓDMY Ministerstwo Magii 99
ROZDZIAŁ ÓSMY Przesłuchanie 111
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY Zmartwienia pani Weasley 124
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY Luna Lovegood 146
ROZDZIAŁ JEDENASTY Nowa piosenka Tiary Przydziału 163
ROZDZIAŁ DWUNASTY Profesor Umbridge 181
ROZDZIAŁ TRZYNASTY Szlaban u Dolores 205
ROZDZIAŁ CZTERNASTY Percy i Łapa 227
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY Wielki Inkwizytor Hogwartu 248
ROZDZIAŁ SZESNASTY W gospodzie Pod Świńskim Łbem 267
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY Dekret Edukacyjny Numer Dwadzieścia Cztery 282
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY Gwardia Dumbledore'a 300
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY Lew i wąż 318
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY Opowieść Hagrida 336
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY Oczami węża 352
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI Szpital Świętego Munga 371
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI Boże Narodzenie na oddziale zamkniętym 392
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY Oklumencja 411
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY Żuk osaczony 432
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY Widziane i nieprzewidziane 453
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY Centaur i donosiciel 474
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY Najgorsze wspomnienie Snape'a 493
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY Porady zawodowe 514
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY Graup 533
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY Sumy 553
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI Z płomieni 572
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI Walka i lot 588
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY Departament Tajemnic 598
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY Za zasłoną 611
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY Jedyny, którego zawsze się bał 631
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY Utracona przepowiednia 641
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY Początek drugiej wojny 660
KILKA SŁÓW OD TŁUMACZA, CZYLI KRÓTKI PORADNIK DLA DOCIEKLIWYCH 679

Dla Neila, Jessiki i Davida,
którzy zaczarowali mój świat

ROZDZIAŁ PIERWSZY
DEMENCJA DUDLEYA

Najbardziej upalny dzień lata powoli dogasał i między dużymi, klockowatymi domami przy Privet Drive zaległa senna cisza. Zwykle wypucowane samochody zaparkowane na podjazdach pokrywał kurz, a trawniki, niegdyś szmaragdowozielone, całkiem zmarniały i pożółkły, jako że z powodu suszy zakazano je podlewać. Pozbawieni możliwości mycia samochodów i pielęgnowania trawników mieszkańcy Privet Drive skryli się we wnętrzach swych chłodnych domów, otwierając na oścież okna w płonnej nadziei zwabienia choćby najlżejszego powiewu wiatru. Jedyną osobą, która pozostała na zewnątrz, był kilkunastoletni chłopiec, leżący na wznak pośród kwiatów przed domem numer 4.

Był to czarnowłosy chłopiec w okularach, chudy i zaniedbany, sprawiający wrażenie, jakby znacznie urósł w stosunkowo krótkim czasie. Miał na sobie brudne i podarte dżinsy, workowatą i wypłowiałą koszulkę, a podeszwy jego adidasów odklejały się z przodu. Trudno więc się dziwić, iż Harry Potter budził niesmak w mieszkańcach Privet Drive, święcie przekonanych, że za niechlujny wygląd powinno się trafiać do aresztu albo przynajmniej płacić mandaty. Teraz jednak, ukryty za wielkim krzakiem hortensji, nie był widoczny z ulicy. Tylko dwie osoby mogły go tutaj dostrzec: wuj Vernon i ciotka Petunia, i to tylko wtedy, gdyby któreś z nich przypadkiem wychyliło głowę przez okno salonu i spojrzało prosto w dół, co w porze wieczornych wiadomości wydawało się mało prawdopodobne.

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, Harry pomyślał, że dobrze zrobił, ukrywając się za krzakiem hortensji. Na rozgrzanej, twardej ziemi może i nie było zbyt wygodnie, ale tu przynajmniej nikt nie łypał na niego spode łba, zgrzytając zębami tak głośno, że nie słychać było spikera, co zdarzało się za każdym razem, kiedy próbował obejrzeć wieczorny dziennik telewizyjny w salonie, razem z wujem i ciotką.

Nagle, jakby ta myśl wyfrunęła mu z głowy i wpadła przez okno do salonu, usłyszał głos swojego wuja, Vernona Dursleya:

- Dobrze, że ten chłopak przestał się tu wciskać. A właściwie to gdzie on jest?

- Nie wiem - odpowiedziała lekceważąco ciotka Petunia. - W domu go nie ma.

- On i wieczorne wiadomości! - prychnął pogardliwie wuj Vernon. - Bardzo bym chciał wiedzieć, co mu znowu chodzi po głowie. Normalni chłopcy w jego wieku nie interesują się tym, co się dzieje na świecie... Mogę się założyć, że Dudley nie ma o tym pojęcia, wątpię nawet, czy wie, kto jest naszym premierem! A ten... Chyba się nie spodziewa, że w naszym dzienniku powiedzą coś o osobnikach JEGO pokroju...

- Vernon, ciiicho! - syknęła ciotka Petunia. - Okno jest otwarte!

- Och... tak... wybacz mi, moja droga...

Dursleyowie zamilkli. Harry słuchał reklamy zachwalającej śniadaniową mieszankę z owocami i otrębami, obserwując panią Figg, lekko stukniętą staruszkę z pobliskiej uliczki Wisteria Walk, znaną ze swojej miłości do kotów. Szła powoli ulicą, marszcząc czoło i coś do siebie mrucząc. Harry jeszcze raz pogratulował sobie pomysłu ukrycia się za krzakiem hortensji, bo pani Figg od pewnego czasu zapraszała go na herbatkę za każdym razem, gdy go spotkała. Doczłapała do rogu ulicy i zniknęła mu z oczu, zanim przez okno salonu przetoczył się ponownie głos wuja Vernona.

- Dudziaczek na podwieczorku?

- U Polkissów - odpowiedziała z dumą ciotka Petunia. - Ma tylu przyjaciół... wszyscy koledzy go uwielbiają...

Harry z trudem powstrzymał się, by nie parsknąć śmiechem. Dursleyowie nie mieli zielonego pojęcia o tym, co robi ich ukochany synalek Dudley. Wierzyli we wszystkie jego łgarstwa, choć szyte były naprawdę grubymi nićmi. Przez całe wakacje wciskał im kit, twierdząc codziennie, że jest zaproszony na podwieczorek do domu któregoś z członków swojej bandy, a w rzeczywistości każdy wieczór spędzał z nimi w parku, niszcząc, co się dało, paląc papierosy na rogach ulic i obrzucając kamieniami samochody i dzieci. Harry widywał ich często podczas swoich wieczornych spacerów po Little Whinging. Większość wakacji spędzał, wędrując po ulicach i wybierając ostatnie wydania gazet z koszów na śmieci.

Usłyszał sygnał muzyczny obwieszczający wieczorne wiadomości o dziewiętnastej i serce zabiło mu szybciej. Może dzisiaj... po całym miesiącu oczekiwania... może to już się stało...

„Rekordowa liczba turystów koczuje na hiszpańskich lotniskach z powodu trwającego już drugi tydzień strajku bagażowych..."

- Ja bym tym darmozjadom zapewnił dożywotnią sjestę - warknął wuj Vernon.

Na zewnątrz, między kwiatami hortensji, Harry Potter odetchnął z ulgą. Gdyby coś się stało, powiedzieliby o tym na samym początku wiadomości. W końcu śmierć i zniszczenie są chyba ważniejsze od uwięzionych na lotniskach turystów...

Uspokojony, wpatrzył się w błękitne niebo. Tak było tego lata dzień w dzień: napięcie, oczekiwanie, chwilowa ulga... i znowu rosnące napięcie... I powracające z coraz większą natarczywością pytanie: dlaczego jeszcze nic się nie wydarzyło?

Nasłuchiwał dalej, na wypadek, gdyby podali jakąś wiadomość, która mugolom niewiele by powiedziała, a dla niego byłaby sygnałem, że jednak coś się zaczęło - może czyjeś niewyjaśnione zniknięcie, jakiś dziwny wypadek... Ale po doniesieniu o strajku

bagażowych zajęto się suszą w południowo-wschodniej części Anglii („Mam nadzieję, że ten typ z sąsiedztwa tego słucha - ryknął wuj Vernon - i przestanie włączać zraszacze o trzeciej nad ranem!"), potem helikopterem, który miał awaryjne lądowanie na polu w Surrey, potem rozwodem słynnej aktorki z równie słynnym mężem („Jakby nas interesowały te ich obrzydliwe romanse!", prychnęła ciotka Petunia, która od dawna obsesyjnie poszukiwała nowych informacji o tej aferze w każdym kolorowym magazynie, który wpadł w jej kościste ręce).

Zachodzące słońce rozjarzyło niebo i Harry zamknął oczy, kiedy spiker powiedział: „I na koniec coś weselszego! Papużka Bujda z Bransley wynalazła nowy sposób na upały: nauczyła się jeździć na nartach wodnych! Zobaczmy, czy Mary Dorkins dowiedziała się czegoś więcej..."

Harry otworzył oczy. Skoro już mówią o papużkach jeżdżących na nartach wodnych, to nie ma co liczyć na żadną wiadomość godną uwagi. Przetoczył się ostrożnie na brzuch i uniósł na kolanach i łokciach, gotów do wyczołgania się spod okna.

Przesunął się o zaledwie dwa cale, kiedy w bardzo krótkich odstępach czasu wydarzyło się kilka rzeczy.

Najpierw senną ciszę przerwał huk, jakby ktoś wystrzelił z pistoletu, spod zaparkowanego samochodu wyskoczył kot, umykając w popłochu, a z salonu Dursleyów dobiegł wrzask, przekleństwo i odgłos tłukącej się porcelany, na co Harry, jakby tylko czekał na ten sygnał, poderwał się na nogi i błyskawicznie wyciągnął zza pasa cienką drewnianą różdżkę. Zanim jednak wyprostował się w pełni, rąbnął głową w otwarte okno salonu Dursleyów z łoskotem, który sprawił, że ciotka Petunia wrzasnęła jeszcze głośniej.

Harry poczuł się tak, jakby głowa pękła mu na dwoje. Z załzawionymi oczami, ledwo stojąc na nogach, próbował wypatrzyć, co spowodowało ów hałas na ulicy, ale ledwo zdążył się ponownie wyprostować, gdy z okna wychyliły się dwie purpurowe dłonie i zacisnęły na jego szyi.

- Odłóż mi... to... natychmiast! - warknął mu w ucho wuj Vernon. - Już! Zanim... ktokolwiek... zobaczy!

- Puszczaj! - wydyszał Harry.

Przez następne kilka sekund mocowali się w milczeniu. Harry próbował lewą ręką rozerwać uścisk serdelkowatych palców na swojej szyi, w prawej ściskając mocno różdżkę. A potem, kiedy czubek jego głowy przeszył wyjątkowo silny ból, wuj Vernon zawył i sam rozwarł palce, jakby go nagle poraził prąd - jakby przez ciało Harry'ego przebiegła fala jakiejś niewidzialnej energii.

Harry upadł na krzak hortensji, dysząc ciężko, ale natychmiast wstał i rozejrzał się po uliczce. Nadal nie dostrzegał niczego, co mogło spowodować ów dziwny huk; zobaczył tylko kilka twarzy w oknach sąsiednich domów. Szybko wsunął różdżkę za dżinsy, starając się sprawiać wrażenie, jakby nic się nie stało.

- Rozkoszny wieczór! - krzyknął wuj Vernon, machając do pani spod siódemki, która łypała na niego spoza koronkowej firanki. - Słyszała pani, jak komuś strzeliło z rury wydechowej? Aż nas z Petunią poderwało!

I nadal szczerzył zęby w okropny sposób, jakby dostał ataku szału, póki twarze zaciekawionych sąsiadów nie poznikały z okien, a wówczas zmierzył wściekłym spojrzeniem Harry'ego i zamaszystym gestem przywołał go do siebie.

Harry zrobił ku niemu kilka kroków, ale zatrzymał się w takiej odległości od okna, by go nie dosięgły wyciągnięte ręce wuja.

- Do jasnej cholery, co tym razem zamierzałeś zmalować? - zapytał wuj Vernon cichym, rozdygotanym od furii głosem.

- Co chciałem zmalować czym? - odpowiedział chłodno Harry, wciąż zerkając na ulicę w nadziei, że zobaczy osobę, która narobiła takiego hałasu.

- Tym hukiem, jakby ktoś wystrzelił z pistoletu tuż przed naszym...

- To nie ja - oświadczył stanowczo Harry.

Tuż przy obfitej, fioletowej twarzy wuja Vernona pojawiła się chuda, końska twarz ciotki Petunii. Wyglądała na rozwścieczoną.

- Dlaczego czaisz się pod naszym oknem?

- Tak... tak, to dobre pytanie, Petunio! Co robiłeś pod naszym oknem, chłopcze?

- Słuchałem wiadomości - odrzekł Harry zrezygnowanym tonem.

Wuj i ciotka wymienili oburzone spojrzenia.

- Słuchał wiadomości! Znowu?

- No... codziennie są inne - powiedział Harry.

- Nie kpij sobie ze mnie, mądralo! Chcę wiedzieć, co ci naprawdę chodzi po głowie... i... i nie opowiadaj mi więcej tych bzdur o słuchaniu wiadomości! Dobrze wiesz, że osobnicy twojego pokroju...

- Vernonie, ciszej! - wydyszała ciotka Petunia i wuj Vernon ściszył głos tak, że Harry ledwo go słyszał:

- ...że o osobnikach twojego pokroju nie mówią w naszych wiadomościach!

- Może wam tylko tak się wydaje - rzekł Harry.

Przez kilka sekund Dursleyowie wybałuszali na niego oczy, a potem ciotka Petunia wycedziła:

- Jesteś paskudnym małym łgarzem. A co niby robią te wszystkie... - tu sama ściszyła głos, tak że Harry musiał odczytać resztę zdania z jej warg - ...te wszystkie sowy, jeśli nie przynoszą ci wiadomości?

- Aha! No i co ty na to, mądralo? - wyszeptał triumfalnie wuj Vernon. - Myślałeś, że nas tak łatwo okłamiesz? Myślisz, że nie wiemy, że te zawszone ptaki przynoszą ci wszystkie wiadomości?

Harry zawahał się. Tym razem musiał się przemóc, by powiedzieć im prawdę, nawet jeśli wuj i ciotka nie mieli pojęcia, ile go to kosztowało.

- Sowy nie przynoszą mi wiadomości - powiedział bezbarwnym tonem.

- Nie wierzę - oświadczyła natychmiast ciotka Petunia.

- Ani ja - rzekł stanowczo wuj Vernon.

- Wiemy, że coś knujesz - syknęła ciotka Petunia.

- Przyjmij do wiadomości, że nie jesteśmy tacy głupi - powiedział wuj Vernon.

- No, to dopiero jest dla mnie zupełnie nowa wiadomość - rzekł Harry, czując, jak narasta w nim złość, i zanim Dursleyowie zdążyli zareagować, odwrócił się na pięcie, przeszedł przez trawnik, przeskoczył niski murek ogrodowy i zaczął się oddalać.

Nie miał złudzeń: wpadł w tarapaty. Wiedział, że w końcu i tak będzie musiał stanąć przed wujem i ciotką i zapłacić za to niezbyt grzeczne ich potraktowanie, ale teraz o to nie dbał, bo miał na głowie o wiele ważniejsze sprawy.

Ów donośny trzask musiał oznaczać czyjąś aportację albo deportację. Taki właśnie odgłos towarzyszył zniknięciu Zgredka, domowego skrzata. Czy to możliwe, by Zgredek aportował się na Privet Drive? Może w tej chwili właśnie za nim idzie? Odwrócił się i spojrzał w głąb uliczki, ale była zupełnie pusta, a wiedział, że Zgredek nie potrafi stać się niewidzialny.

Szedł dalej przed siebie, nie zastanawiając się dokąd, bo ostatnio tak często przemierzał te uliczki, że stopy same wiodły go do jego ulubionych miejsc. Co kilka kroków zerkał przez ramię za siebie. Był pewny, że kiedy leżał wśród zwiędłych begonii ciotki Petunii, gdzieś blisko niego znalazł się ktoś ze świata czarodziejów. Ale dlaczego do niego nie przemówił, dlaczego nie nawiązał z nim kontaktu, dlaczego się ukrywa?

Poczuł gorycz zawodu i natychmiast ogarnęły go wątpliwości.

A może jednak ów huk nie oznaczał niczego magicznego? Może z takim utęsknieniem wyczekiwał na jakikolwiek sygnał ze świata, do którego naprawdę należał, że usłyszał go w

jakimś najzwyklejszym odgłosie towarzyszącym codziennemu życiu mugoli? Może po prostu w sąsiednim domu ktoś coś stłukł albo przewrócił?

Poczuł mdły, nękający ucisk w żołądku i znowu ogarnęło go poczucie beznadziejności, które dręczyło go przez całe lato.

Jutro budzik obudzi go jak zwykle o piątej rano, przypominając o konieczności zapłacenia sowie za najnowszy egzemplarz „Proroka Codziennego". Ale czy naprawdę warto dalej prenumerować tego szmatławca? Ostatnio rzucał tylko okiem na pierwszą stronę, po czym gazeta lądowała w kącie. Kiedy ci kretyni, co redagują gazetę, zdadzą sobie wreszcie sprawę, że Voldemort powrócił, obwieszczą to wielkimi literami na pierwszej stronie! A przez całe lato Harry'ego interesowała tylko ta jedna wiadomość.

Czasami sowy przynosiły również listy od jego najlepszych przyjaciół, Rona i Hermiony, ale już dawno wyrzekł się nadziei, że znajdzie w nich wiadomość, na którą czekał.

Oczywiście nie możemy ci nic powiedzieć o sam-wiesz-czym... Zakazano nam pisać o jakichś ważnych wydarzeniach, bo listy mogą się dostać w niepowołane ręce... Mamy sporo roboty, ale nie mogę ci zdradzić szczegółów... Wiele się dzieje, ale opowiemy ci wszystko dopiero, jak się zobaczymy...

Jak się zobaczymy... Ale kiedy? Żadnej daty, żadnej wskazówki. Hermiona napisała na kartce urodzinowej: *Myślę, że niedługo się zobaczymy*, ale jak długie ma być to „niedługo"? Z różnych aluzji w listach Harry wywnioskował, że Hermiona i Ron są gdzieś razem, prawdopodobnie w domu rodziców Rona. Aż mu się niedobrze robiło na myśl, że oboje nieźle się bawią w Norze, podczas gdy on musi siedzieć w tym przeklętym domu przy Privet Drive. Tak był na nich zły, że kiedy na urodziny przysłali mu dwa pudełka czekoladek z Miodowego Królestwa, nawet ich nie otworzył, tylko cisnął za łóżko. Przeprosił się z nimi dopiero wieczorem, po okropnej sałatce, którą ciotka Petunia przygotowała na kolację.

I czym oni są tak zajęci? Dlaczego nie ma żadnego zajęcia dla niego, Harry'ego Pottera? Czy nie udowodnił, że stać go na więcej niż ich? Czy już zapomnieli o wszystkim, czego dokonał? Czy to nie on wkroczył na ten cmentarz, czy to nie on był świadkiem śmierci Cedrika, czy to nie jego przywiązano do nagrobka i zamierzano okrutnie uśmiercić?

Przestań o tym myśleć, powiedział sobie Harry po raz setny tego lata. Nie wystarczy ci, że nocą odwiedzasz ten cmentarz w koszmarnych snach, musisz jeszcze o tym rozmyślać, jak się obudzisz?

Doszedł do rogu i skręcił w Magnolia Crescent. W połowie ulicy minął wąską alejkę przy garażu, gdzie kiedyś po raz pierwszy zobaczył swojego ojca chrzestnego. Tylko Syriusz zdawał się rozumieć, co Harry czuje. Jego listy były równie pozbawione konkretnych

informacji o tym, co się dzieje, jak listy Rona i Hermiony, ale przynajmniej zawierały rady i słowa pocieszenia, a nie jakieś mgliste, doprowadzające go do szału aluzje: *Wiem, że ta niepewność musi być dla ciebie bardzo męcząca... Nie pakuj się w żadne kłopoty, a wszystko będzie dobrze... Bądź ostrożny i nie rób niczego pochopnie...*

No cóż - pomyślał Harry, skręcając w Magnolia Road i kierując się w stronę ciemniejącego parku - chyba się stosuję do rad Syriusza. W każdym razie nie przywiązałem swojego kufra do miotły i nie poleciałem do Nory.

Odczuwał pewną dumę, że biorąc pod uwagę gorycz i złość, które nim targały, jakoś to wszystko wytrzymywał, choć jedyne, co mógł w tej sytuacji zrobić, to ukrywać się wieczorami w krzakach hortensji, w nadziei usłyszenia czegoś, co dałoby mu choćby mgliste pojęcie o poczynaniach Lorda Voldemorta. Ale mimo wszystko było coś bardzo irytującego w radach Syriusza. *Bądź ostrożny i nie rób nic pochopnie*. I to mu radzi człowiek, który przesiedział dwanaście lat w Azkabanie, najlepiej strzeżonym więzieniu czarodziejów, potem z niego uciekł, próbował dokonać morderstwa, o które był uprzednio niesłusznie oskarżony, a w końcu, wyjęty spod prawa, wyruszył w świat na ukradzionym hipogryfie!

Harry przeskoczył przez zamkniętą bramę parku i ruszył przez wypalony słońcem trawnik. W parku było tak samo pusto, jak na otaczających go uliczkach. Kiedy doszedł do huśtawek, usiadł na jedynej, której Dudley i jego banda nie zdążyli jeszcze wyłamać, otoczył łańcuch ramieniem i wpatrzył się smętnie w ziemię. Już nie ukryje się za krzakiem hortensji pod oknem salonu Dursleyów. Jutro będzie musiał wymyślić jakiś nowy sposób wysłuchania wieczornych wiadomości. A na razie czeka go tylko jeszcze jedna niespokojna, nie dająca wytchnienia noc, bo nawet kiedy nie dręczyły go koszmary o śmierci Cedrika, błądził we śnie po labiryncie długich korytarzy, które zawsze kończyły się albo ślepą ścianą, albo zamkniętymi drzwiami, a kiedy się budził, miał nadal poczucie, że tkwi w jakiejś pułapce. Blizna na czole dość często dawała o sobie znać krótkim, przeszywającym bólem, ale już przestał się łudzić, że Ron, Hermiona czy Syriusz uznają to za coś godnego uwagi. W przeszłości ten ból był ostrzeżeniem, że Voldemort odzyskuje swą moc, ale teraz, kiedy Czarny Pan już powrócił, powiedzieliby mu zapewne, że to normalne... nie ma się czym przejmować... nic nowego...

Poczucie niesprawiedliwości wezbrało w nim z taką mocą, że chciało mu się krzyczeć ze złości. Przecież gdyby nie on, nikt by nawet nie wiedział, że Voldemort powrócił! I jaką otrzymał za to nagrodę? Cztery bite tygodnie w Little Whinging, w całkowitej izolacji od świata czarodziejów, skazany na czajenie się wśród zwiędłych begonii, żeby wysłuchać głupot o papużkach jeżdżących na nartach wodnych! Jak Dumbledore mógł tak łatwo o nim

zapomnieć? Dlaczego Ron i Hermiona spędzają razem wakacje, ani myśląc zaprosić i jego? Jak długo jeszcze będzie musiał znosić dobre rady Syriusza, by siedział cicho i nie pakował się w żadne kłopoty? Jak długo będzie musiał opierać się pokusie, by napisać do tego głupiego „Proroka Codziennego", że Voldemort powrócił? Takie myśli kłębiły się w biednej głowie Harry'ego, wnętrzności skręcały mu się z bezsilnej złości, a tymczasem wokół niego zapadała parna, aksamitna noc, powietrze wypełnił zapach rozgrzanej, suchej trawy, a jedynym dźwiękiem był dobiegający spoza ogrodzenia parku odgłos przejeżdżających od czasu do czasu samochodów.

Nie miał pojęcia, jak długo tak siedział na huśtawce, zanim jego smętne rozmyślania przerwały jakieś głosy. Podniósł głowę i rozejrzał się. Latarnie z otaczających park ulic rozsiewały mglistą poświatę, na tyle jednak jasną, że mógł dostrzec grupkę osób zmierzających przez park. Jedna z nich wyśpiewywała jakąś sprośną piosenkę, pozostali głośno rechotali. Słychać też było szmer opon kilku drogich rowerów, prowadzonych przez idących.

Harry szybko ich rozpoznał. Ten na przedzie to z całą pewnością jego kuzyn, Dudley Dursley, wracający do domu w towarzystwie członków swojej bandy.

Dudley był masywny jak zawsze, ale całoroczna ostra dieta i odkrycie w sobie nowego talentu bardzo go zmieniły. Wuj Vernon opowiadał z lubością każdemu, kto zechciał go wysłuchać, że jego syn zdobył mistrzostwo juniorów wagi ciężkiej w dorocznych Szkolnych Mistrzostwach Południowo-Wschodniej Anglii. Ten „szlachetny sport", jak mówił o boksie wuj Vernon, sprawił, że Dudley stał się o wiele większym potworem niż w szkole podstawowej, kiedy Harry służył mu za jego pierwszy worek treningowy. Harry już dawno przestał go się bać, ale wcale nie uważał, by należało się cieszyć z tego, że Dudley potrafi teraz zadawać o wiele silniejsze i celniejsze ciosy. Wszystkie dzieciaki z okolicy panicznie bały się Dudleya - o wiele bardziej, niż „tego Pottera", który, jak im ustawicznie powtarzano, jest zatwardziałym chuliganem, spędzającym rok szkolny w Ośrodku Wychowawczym Świętego Brutusa dla Młodocianych Recydywistów.

Harry obserwował ciemne sylwetki członków bandy przecinające trawnik, zastanawiając się, kogo dziś pobili. I nagle złapał się na tym, że powtarza w duchu: Rozejrzyjcie się, ciemniaki... no, dalej... rozejrzyjcie się... siedzę tu zupełnie sam... no, chodźcie tu i spróbujcie...

Gdyby go zauważyli, na pewno zaraz by przylecieli, i co by wtedy zrobił Dudley? Nie chciałby stracić twarzy przed członkami swojej bandy, a z drugiej strony bałby się Harry'ego sprowokować... Ale by była zabawa! Można by sobie trochę pokpić z Dudleya i obserwować,

jak cały się skręca, bo ze strachu nie może mu odpowiedzieć... a jakby któryś z jego bandy podskoczył... ha, ha, ha, jest za pasem różdżka! Niech tylko spróbują... Harry z rozkoszą wyładowałby swą złość na tych osiłkach, którzy niegdyś zamieniali jego życie w piekło.

Ale się nie rozejrzeli, nie zauważyli go, byli już prawie przy żelaznych sztachetach otaczających park. Harry zdusił w sobie impuls, aby za nimi nie zawołać... w końcu pakowanie się w bójkę nie byłoby najmądrzejsze... przecież nie wolno mu używać czarów... mogłoby mu znowu grozić wydalenie ze szkoły...

Głosy bandy Dudleya powoli cichły, znikli mu z oczu, oddalając się Magnolia Road.

Możesz być ze mnie dumny, Syriuszu, pomyślał Harry. *Nie rób nic pochopnie. Nie pakuj się w żadne kłopoty*. Tak jest, Syriuszu, tylko że ty zachowywałeś się zupełnie odwrotnie.

Zeskoczył z huśtawki i przeciągnął się. Ciotka Petunia i wuj Vernon uważali, że kiedy wieczorem pojawia się w domu Dudley (a jemu było wolno wracać o dowolnej porze), musi być w domu i Harry; nie tolerowali ani minuty spóźnienia. Wuj Vernon zagroził Harry'emu, że jeśli jeszcze raz wróci do domu po Dudleyu, zamknie go w pokoju, więc stłumił ziewnięcie i rad nierad, wciąż nachmurzony, ruszył ku bramie parku.

Przy Magnolia Road, podobnie jak przy Privet Drive, pełno było wielkich, klockowatych domów z wypielęgnowanymi trawnikami, zamieszkanych przez wielkich, klocowatych właścicieli wypucowanych, błyszczących samochodów, podobnych do tego, którym chlubił się wuj Vernon. Harry wolał Little Whinging późnym wieczorem, kiedy pozasłaniane okna jarzyły się żółtymi plamami w ciemności i nikt na jego widok nie mruczał pod nosem pogardliwych uwag o „przestępczym" wyglądzie. Szedł szybko, więc w połowie Magnolia Road znowu ujrzał przed sobą bandę Dudleya. Żegnali się na rogu Magnolia Crescent. Harry ukrył się w cieniu wielkiego bzu i czekał.

- ...kwiczał jak zarzynane prosię, no nie? - mówił Malcolm, a inni wtórowali mu śmiechem.

- De, jesteś naprawdę wielki, ten prawy sierpowy to było coś - rzekł Pierś.

- To co, jutro o tej samej porze? - zapytał Dudley.

- Ale w mojej chałupie, starzy wybywają - powiedział Gordon.

- No to cześć!

- Cześć, Dudasie!

- Czołem, Wielki De!

Harry odczekał, aż się rozejdą, a kiedy głosy reszty członków bandy ucichły w oddali, okrążył róg i ruszył Magnolia Crescent za Dudleyem. Idąc szybko, wkrótce znalazł się tak blisko, że usłyszał jego buczenie pod nosem, całkowicie pozbawione melodii.

- Hej, Wielki De!

Dudley odwrócił się.

- A, to ty - mruknął.

- Od kiedy jesteś Wielkim De? - zapytał Harry.

- Zamknij się - warknął Dudley, odwracając się do niego plecami.

- Fajna ksywa. - Harry wyszczerzył zęby i zrównał się z kuzynem. - Ale dla mnie zawsze pozostaniesz Maleńkim Dudziaczkiem.

- Powiedziałem ci, ZAMKNIJ SIĘ! - krzyknął Dudley, a jego podobne do dwóch szynek dłonie zacisnęły się w pięści.

- Twoi kumple nie wiedzą, że mama tak cię nazywa?

- Zamknij ryj.

- Ale jej chyba tego nie powiesz? A może wolisz, żebym do ciebie mówił „Dzieciaczku" albo „Pysiaczku"?

Dudley milczał. Wysiłek, z jakim powstrzymywał się, by Harry'ego nie rąbnąć, wymagał całego zapasu jego samokontroli.

- No to kogo dzisiaj załatwiliście? - zapytał Harry, a kpiący uśmiech spełzł mu z twarzy. - Jeszcze jednego dziesięciolatka? Bo wiem, że dwa dni temu pobiliście małego Marka Evansa.

- Sam się o to prosił - warknął Dudley.

- Tak?

- Stawiał mi się.

- Naprawdę? Powiedział ci, że wyglądasz jak prosię nauczone chodzić na tylnych nogach? Ale, Dudasie, to przecież nie jest kpina, to czysta prawda!

Mięśnie na szczękach Dudleya zaczęły groźnie drgać. Harry rozkoszował się tym widokiem, wiedząc, że zdołał go naprawdę rozjuszyć; poczuł się tak, jakby przepompował całą swą złość w kuzyna.

Skręcili w wąską alejkę, na której Harry zobaczył po raz pierwszy Syriusza. Można nią było przejść na skróty do Wisteria Walk. Było na niej o wiele ciemniej niż na ulicach, bo nie miała latarni. Z jednej strony wznosiła się ściana garażu, z drugiej wysoki płot.

- Uważasz się za supermana, bo masz to coś przy sobie, tak? - warknął Dudley po chwili.

- Jakie coś?

- No... to, co tam chowasz.

Harry znowu wyszczerzył zęby.

- Wiesz co, Dudasie? Ty wcale nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz. Bo gdybyś był, to nie mógłbyś jednocześnie iść i mówić.

Wyciągnął różdżkę. Dudley zerknął na nią niespokojnie.

- Nie wolno ci! Wiesz, że ci nie wolno. Wyrzuciliby cię z tej szkoły dla dziwaków.

- A skąd wiesz, o Wielki De, że nie zmienili regulaminu?

- Bo nie zmienili - odrzekł Dudley niezbyt pewnym tonem.

Harry zaśmiał się cicho.

- Gdybyś tego nie miał, tobyś tak się nie stawiał, co? - zadrwił Dudley.

- A ty bez tych czterech osiłków za plecami nie pobiłbyś dziesięciolatka. A jak tam było z tym tytułem mistrza, którym tak się chwalisz? Ile lat miał twój przeciwnik? Siedem? A może osiem?

- Szesnaście, jeśli chcesz wiedzieć - warknął Dudley - a kiedy z nim skończyłem, docucili go dopiero po dwudziestu minutach. I ważył dwa razy tyle, co ty. I tylko poczekaj, zaraz powiem ojcu, że to wyciągnąłeś...

- Co, polecisz do swojego tatusia? I powiesz mu, że jego cudowny synalek, mistrz szlachetnego sportu, boi się brzydkiej różdżki Harry'ego?

- Ale w nocy to już taki odważny nie jesteś, co?

- TERAZ jest noc, Dudasie. Tak nazywamy tę część doby, w której jest ciemno.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Kiedy leżysz w łóżku!

Dudley zatrzymał się. To samo zrobił Harry, wpatrując się w swego kuzyna. W ciemności niewiele mógł dostrzec, ale wydawało mu się, że na jego twarzy widzi wyraz triumfu.

- A skąd ci przyszło do głowy, że nie jestem odważny w łóżku? - zapytał Harry, całkowicie zbity z tropu. - Niby czego mam tam się bać, poduszek, czy może czegoś innego?

- Zeszłej nocy wszystko słyszałem - wycedził Dudley. - Jak mówiłeś przez sen. Jak jęczałeś.

- O co ci chodzi? - zapytał niepewnie Harry, czując, jak coś mu się przewraca w żołądku.

Zeszłej nocy znowu we śnie odwiedził ten cmentarz.

Dudley ryknął ochrypłym śmiechem, a potem zaczął wykrzykiwać piskliwym głosem:

- Nie zabijaj Cedrika! Nie zabijaj Cedrika! Kim jest ten Cedrik? To twój chłopak?

- Ja... Kłamiesz! - odpowiedział automatycznie Harry, ale w ustach mu zaschło. Wiedział, że Dudley nie kłamał, bo skąd mógł wiedzieć o Cedriku?

- Tatooo! Pomóż mi, tato! On chce mnie zabić! Łaaaa!

- Zamknij się - rzucił szybko Harry. - Mówię ci, zamknij się! Ostrzegam cię!

- Tatuusiuuu, pomóż mi! Mamuusiuuu, pomóż mi! On zabił Cedrika! Tato, pomóż! On zamierza... NIE CELUJ TYM WE MNIE!

Dudley przywarł plecami do ściany garażu. Harry celował różdżką prosto w jego serce, czując, jak w żyłach pulsuje mu czternastoletnia nienawiść do Dudleya. Ile by dał za to, by móc ugodzić go jakimś silnym zaklęciem, tak żeby popełzł do domu na czworakach jak insekt, otumaniony, wymacujący drogę czułkami...

- Żebyś się nie ważył powtórzyć tego jeszcze raz - wycedził Harry. - Zrozumiałeś?

- Nie celuj tym we mnie!

- Zrozumiałeś?

- Nie celuj tym we mnie!

- Zrozumiałeś?!

- NIE CELUJ TYM WE MNIE!

Dudley wydał z siebie dziwny, zduszony wrzask, jakby go oblano lodowatą wodą.

Coś się stało z nocą. Usiane gwiazdami granatowe niebo zrobiło się nagle czarne jak smoła - znikło wszystko: gwiazdy, księżyc, mglista poświata latarni na końcu alejki. Ucichł odległy warkot samochodów i szum drzew. Powiało przenikliwym chłodem. Otoczyła ich całkowita, nieprzenikniona, głucha ciemność, jakby jakaś olbrzymia ręka zarzuciła grubą, lodowatą pelerynę na całą alejkę, odbierając im wzrok.

Przez ułamek sekundy Harry pomyślał, że niechcący użył magii, choć tak usilnie się powstrzymywał. Potem powrócił rozum: przecież nie posiadał takiej mocy magicznej, by pogasić gwiazdy. Obracał głowę to tu, to tam, starając się coś zobaczyć, ale ciemność napierała na oczy jak niesamowicie lekki woal.

Przerażony głos Dudleya wdarł mu się w ucho.

- C-co ty r-robisz?! Przestań!

- Nic nie robię! Zamknij się i nie ruszaj z miejsca!

- N-nic nie w-widzę! Oślepłem!

- Powiedziałem ci, zamknij się!

Harry stał nieruchomo, patrząc to w lewo, to w prawo. Chłód był tak dotkliwy, że cały dygotał, ramiona pokryły się gęsią skórką, a włosy na karku stanęły dęba. Wytrzeszczył oczy, wbijając wzrok w ciemność, ale nadal nic nie widział.

To niemożliwe... przecież nie mogli tu dotrzeć... nie do Little Whinging... Wytężył słuch. Przecież by ich usłyszał, zanim by się pokazali...

- P-powiem o-ojcu! - wyjęczał Dudley. - G-gdzie jesteś? Co r-rooo...

- Zamkniesz się wreszcie, czy nie? - syknął Harry. - Ja nasłuchu...

Ale nagle zamilkł. Usłyszał coś, czego się najbardziej bał.

Nie byli sami. Prócz nich w alejce było coś, co dyszało ochryple i świszcząco. Harry poczuł, jak za gardło chwyta go lodowata łapa strachu, jeszcze zimniejsza od otaczającego ich chłodu.

- S-skończ z tym! P-przestań! Bo cię rąbnę, przysięgam!

- Dudley, zamknij...

ŁUP.

Czyjaś pięść ugodziła Harry'ego w głowę, zwalając go z nóg. Zobaczył snop białych iskierek. Po raz drugi w ciągu godziny poczuł się tak, jakby głowa pękła mu na dwoje. W następnej chwili upadł ciężko na ziemię, wypuszczając różdżkę z ręki.

- Dudley, ty kretynie! - wrzasnął z oczami pełnymi łez, dźwigając się na łokcie i kolana, macając wokół siebie w ciemności.

Usłyszał, jak Dudley wpada na płot, ucieka, potyka się.

- DUDLEY, WRACAJ! IDZIESZ PROSTO NA NIEGO!

Rozległ się przeraźliwy wrzask i kroki Dudleya nagle ucichły. W tej samej chwili Harry poczuł za plecami powiew zimna, który mógł oznaczać tylko jedno: a więc było ich więcej.

- DUDLEY BĄDŹ CICHO! ZA ŻADNĄ CENĘ NIE WYDAWAJ Z SIEBIE GŁOSU!... Różdżka... moja różdżka - mruczał gorączkowo, a jego palce błądziły po ziemi jak pająki. - Gdzie jest... różdżka... no... gdzie... *Lumos!*

Wypowiedział zaklęcie całkiem bezwiednie, czując palącą potrzebę odrobiny światła, i ku swojemu zdumieniu i uldze ujrzał błysk parę cali od prawej dłoni. Koniec różdżki płonął bladym światłem. Harry złapał ją, podniósł się i rozejrzał.

Serce podskoczyło mu do gardła.

Wysoka, zakapturzona postać sunęła prosto na niego, unosząc się nad ziemią i wsysając w siebie ze świstem noc. Spod szaty nie widać było ani twarzy, ani stóp.

Harry cofnął się i uniósł różdżkę.

- *Expecto patronum!*

Strzęp srebrzystej mgiełki wystrzelił z końca różdżki i dementor zwolnił, ale zaklęcie nie podziałało właściwie i Harry rzucił się rozpaczliwie do tyłu, całkowicie otumaniony paroksyzmem strachu. Skoncentrować się...

Z czarnej szaty dementora wysunęła się ku niemu para szarych, oślizgłych, pokrytych strupami rąk. Chrapliwy świst wypełnił mu uszy.

- *Expecto patronum!*

Usłyszał swój głos jakby z oddali. Z różdżki wystrzelił kolejny strzęp srebrnej mgiełki, jeszcze wątlejszy niż poprzedni. To już koniec, już tego nie powtórzy, nie zdoła się skoncentrować...

Wewnątrz jego głowy rozległ się ostry, piskliwy śmiech... Cuchnący, lodowaty oddech dementora wypełnił mu płuca, zaczął się dusić... Pomyśl... o czymś... szczęśliwym...

Ale nie mógł odnaleźć w sobie niczego, co przypominało szczęście. Lodowate palce dementora już zwierały się na jego szyi... piskliwy śmiech narastał... aż w końcu usłyszał we własnej czaszce znany głos:

- Pokłoń się śmierci, Harry... To będzie szybkie, może nawet bezbolesne... nie wiem... nigdy nie umierałem...

A więc już nigdy nie zobaczę Rona i Hermiony, pomyślał.

Walcząc o ostatni oddech, ujrzał w wyobraźni ich twarze.

- *EXPECTO PATRONUM!*

Olbrzymi srebrny jeleń wystrzelił z końca różdżki i ugodził dementora rogami prosto w miejsce, w którym powinno być serce. Dementor cofnął się, pozbawiony ciężaru jak ciemność, okręcił w powietrzu i odleciał, podobny do wielkiego nietoperza.

- ZA MNĄ! - krzyknął Harry do jelenia, unosząc wysoko różdżkę i pędząc alejką. - DUDLEY? DUDLEY!

Przebiegł zaledwie z tuzin kroków, zanim ich dostrzegł. Dudley leżał skulony na ziemi, osłaniając twarz dłońmi. Drugi dementor pochylał się nad nim, zaciskając oślizgłe palce na jego przegubach, rozwierając je powoli, z lubością, zniżając zakapturzoną głowę ku twarzy Dudleya, jakby go chciał pocałować.

- PRZEPĘDŹ GO! - ryknął Harry.

Jeleń, którego wyczarował, przegalopował obok niego z donośnym tętentem. Pozbawiona oczu twarz była już o cal od twarzy Dudleya, gdy dementor został pochwycony między srebrne rogi i wyrzucony w powietrze, gdzie - podobnie jak jego towarzysza - wessała go w siebie ciemność. Jeleń pogalopował do końca alejki i rozpłynął się w srebrną mgłę.

Księżyc, gwiazdy i latarnie uliczne zapłonęły na nowo. Ciepły wietrzyk wionął przez alejkę. W sąsiednich ogrodach zaszeleściły drzewa, a zwykły, ziemski hałas samochodów, przejeżdżających Magnolia Crescent, napełnił powietrze. Harry stał nieruchomo, czując, jak cały dygoce, chłonąc całym sobą ten nagły powrót do normalności. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że koszulka przykleiła mu się do ciała: był zlany potem.

Nie mógł uwierzyć w to, co zaledwie przed chwilą się stało. Dementorzy TUTAJ, w Little Whinging...

Dudley wciąż leżał skulony na ziemi, trzęsąc się i pojękując. Harry pochylił się nad nim, żeby zobaczyć, czy jest w stanie stanąć na własnych nogach, ale wówczas usłyszał za sobą głośny tupot. Instynktownie uniósł ponownie różdżkę i okręcił się napięcie, by stawić czoło nowemu napastnikowi.

Zobaczył panią Figg, ich zwariowaną sąsiadkę. Dyszała ciężko, siwe włosy wymknęły się jej spod siatki, sznurkowa torba na zakupy dyndała z nadgarstka, a kraciaste kapcie bez pięt prawie zsunęły się jej ze stóp. Harry chciał szybko schować różdżkę, ale...

- Nie chowaj jej, głupku! - wrzasnęła pani Figg. - A jak jest ich więcej w okolicy? Och, ja chyba zamorduję tego Mundungusa Fletchera!

ROZDZIAŁ DRUGI
CHMARA SÓW

- Że co? - wyjąkał Harry.

- Wyjechał! - odpowiedziała pani Figg, załamując ręce. - Żeby spotkać się z kimś i pogadać o kociołkach, które zsunęły się komuś z miotły! Powiedziałam mu, że jak się stąd ruszy, to go spalę żywcem, no i masz! Dementorzy! Całe szczęście, że kazałam Maleństwu mieć oko na wszystko! No, ale nie ma czasu na pogaduszki! Szybko, musimy cię stąd zabrać! Och, teraz dopiero zaczną się kłopoty! Ja go zamorduję!

- Ale... - Sam fakt, że ta zwariowana staruszka z sąsiedztwa wie, kim są dementorzy, był dla Harry'ego prawie takim samym szokiem, jak spotkanie z nimi w ciemnej alejce. - To pani... pani jest czarownicą?

- Jestem charłakiem i Mundungus Fletcher dobrze o tym wie, więc jak, u licha, miałabym ci pomóc w walce z dementorami? Zostawił cię samego na pastwę losu, a ostrzegałam go, że...

- Ten Mundungus mnie śledził? No tak... To był on! Deportował się sprzed mojego domu!

- Tak, tak, ale na szczęście usadziłam Maleństwo pod samochodem, a mój dzielny kocurek zaraz przyleciał i ostrzegł mnie, że zostałeś bez ochrony, ale jak doleciałam do twojego domu, już cię tam nie było... a teraz... och, co na to powie Dumbledore! Ej, ty! - krzyknęła do Dudleya, nadal rozciągniętego na ziemi. - Podnieś swój tłusty tyłek, ale już!

- To pani zna Dumbledore'a? - zapytał Harry, wytrzeszczając na nią oczy.

- No pewnie, że znam Dumbledore'a, a kto go nie zna? No, ale do roboty... bo jak tu wrócą, ja ci na pewno nie pomogę. Moim największym osiągnięciem było transmutowanie torebki herbaty.

Pochyliła się, złapała Dudleya za potężne ramię i pociągnęła.

- Wstawaj, ty bezużyteczna niedojdo! Wstawaj!

Ale Dudley nie był w stanie albo nie chciał wstać. Leżał na ziemi i dygotał, twarz miał szarą jak popiół, usta zaciśnięte.

- Ja to zrobię - powiedział Harry, chwytając Dudleya za rękę.

Z wielkim trudem udało mu się podźwignąć go na nogi, ale Dudley wciąż był na granicy omdlenia. Toczył nieprzytomnie małymi oczkami, krople potu pokryły mu twarz, a gdy tylko Harry go puścił, zachwiał się niebezpiecznie.

- Szybko! - krzyknęła histerycznie pani Figg.

Harry zarzucił sobie jedną z potężnych rąk Dudleya na ramiona i zaczął go ciągnąć ku ulicy, uginając się pod jego ciężarem. Pani Figg szła przed nimi chwiejnym krokiem, a na końcu alejki wyjrzała ostrożnie za róg.

- Nie chowaj różdżki - szepnęła, kiedy weszli na Wisteria Walk. - Pal licho Zasady Tajności, i tak dobiorą się nam do skóry, a jak już mamy wisieć, to przynajmniej będziemy wiedzieć za co. To całe gadanie o Uzasadnionych Restrykcjach wobec Niepełnoletnich Czarodziejów... tego się właśnie obawiał Dumbledore... Co tam majaczy na końcu ulicy? Aaa, to tylko pan Prentice... Nie opuszczaj różdżki, chłopcze, przecież mówiłam, że ja ci nie pomogę...

Nie było wcale łatwo panować nad różdżką i jednocześnie ciągnąć bezwładnego Dudleya. Harry szturchnął go w żebra, ale wyglądało na to, że jego kuzyn utracił wszelką ochotę na poruszanie się o własnych siłach. Wisiał na ramieniu Harry'ego, ledwo powłócząc nogami.

- Dlaczego mi pani nie powiedziała, że jest pani charłakiem, pani Figg? - zapytał Harry, dysząc ciężko. - Tyle razy u pani bywałem... Mogła mi pani powiedzieć.

- Dumbledore mi zakazał. Miałam cię pilnować, ale nic ci nie mówić. Byłeś za młody. Wybacz mi, Harry, że musiałeś się u mnie trochę pomęczyć, ale Dursleyowie nigdy by cię do mnie nie puścili, gdyby wiedzieli, że jest ci u mnie dobrze. To nie było łatwe... Och, słowo daję... - Ponownie załamała ręce w tragicznym geście. - Jak Dumbledore się o tym dowie... Jak ten Mundungus mógł cię tak zostawić, przecież miał cię pilnować do północy... Gdzie on się podziewa? I jak mam donieść Dumbledore'owi o tym, co się stało? Nie potrafię się teleportować.

- Mam sowę, mogę pani pożyczyć - jęknął Harry, zastanawiając się, kiedy pęknie mu kręgosłup.

- Harry, ty nic nie rozumiesz! Dumbledore musi działać natychmiast, przecież ministerstwo ma swoje sposoby wykrywania nielegalnego użycia czarów, założę się, że już o tym wiedzą.

- Ale przecież musiałem pozbyć się dementorów, musiałem użyć czarów... Chyba bardziej zaniepokoi ich to, że dementorzy fruwają sobie po Wisteria Walk, prawda?

- Och, mój kochany, bardzo bym chciała, żeby tak było, ale obawiam się, że... MUNDUNGUSIE FLETCHERZE, JA CIĘ ZAMORDUJĘ!

Rozległ się donośny trzask, zaleciało alkoholem i stęchłym tytoniem i tuż przed nimi zmaterializował się przysadzisty, nieogolony mężczyzna w obszarpanym płaszczu. Miał krótkie, krzywe nogi, rzadkie rude włosy i smętne, podpuchnięte oczy, co sprawiało, że

przypominał basseta. W rękach ściskał srebrne zawiniątko, w którym Harry natychmiast rozpoznał pelerynę-niewidkę.

- C-c-co jest grane? - zapytał, gapiąc się to na panią Figg, to na Harry'ego, to na Dudleya. - D-dlaczego się ujawniłaś?

- Ja ci dam ujawnienie! - wrzasnęła pani Figg. - Tu są DEMENTORZY; ty nędzna szumowino!

- D-dementorzy? - powtórzył Mundungus, wyraźnie wstrząśnięty. - Dem-mentorzy tutaj?

- Tak, tutaj, ty nędzna kupo nietoperzego łajna! Tutaj! - krzyknęła piskliwym głosem pani Figg. - Dementorzy napadli na chłopca na twojej zmianie!

- A niech to szlag... - zaklął cicho Mundungus, przenosząc wzrok z pani Figg na Harry'ego i z powrotem na panią Figg. - Niech to szlag, ja...

- A ty sobie spokojnie handlujesz kradzionymi kociołkami! Nie mówiłam ci, żebyś nigdzie nie chodził? Nie mówiłam?

- Ja... no... tego... - Mundungus był wyraźnie bardzo zakłopotany. - To była... tego... wyjątkowa okazja... wiesz, jak jest...

Pani Figg uniosła rękę, z której zwieszała się sznurkowa torba na zakupy, zrobiła zamach i trzasnęła nią Mundungusa w głowę. Sądząc po złowieszczym grzechocie, torba była pełna puszek z pokarmem dla kotów.

- Auuu!... Odwal się... odwal się ode mnie, stara wariatko! Trzeba powiadomić Dumbledore'a!

- No pewnie! - wrzeszczała pani Figg, okładając Mundungusa torbą z kocim żarciem. - I... lepiej... zrób... to... sam... przy... okazji... powiesz... mu... dlaczego... ciebie... tu... nie... było... żeby... pomóc!

- Opanuj się, kobito! - wydyszał Mundungus, osłaniając głowę ramionami. - Już mnie nie ma!

Huknęło i Mundungus Fletcher zniknął.

- Mam nadzieję, że Dumbledore go zamorduje! - rzuciła pani Figg ze złością. - No, Harry, na co czekasz?

Harry wolał nie marnować resztek sił na tłumaczenie pani Figg, że nie ujdzie już ani kroku, dźwigając bezwładnego jak tłumok Dudleya. Podparł go więc barkami i ruszył chwiejnie dalej.

- Odprowadzę cię do drzwi - powiedziała pani Figg, kiedy skręcili w Privet Drive - na wypadek, gdyby było ich tu więcej... Daję słowo, ale pasztet... i ty musiałeś sam dać sobie z

nimi radę... a Dumbledore mówił, żebyśmy za wszelką cenę powstrzymywali cię od użycia czarów... no cóż, nie ma co płakać nad rozlanym wywarem... ale to prawdziwa różdżka w mrowisko.

- A więc... - wydyszał Harry - Dumbledore... nie zostawił mnie... samego?

- Pewnie, że nie! A co, myślałeś, że cię zostawi na pastwę losu po tym, co się stało w czerwcu? Wielkie nieba, chłopcze, a mówią, że jesteś taki inteligentny... No dobrze... wejdź do środka i nie wyłaź więcej - dodała, kiedy dotarli pod numer 4. - Jestem pewna, że wkrótce ktoś nawiąże z tobą kontakt.

- A co pani zamierza zrobić? - zapytał szybko Harry.

- Wrócić do siebie - odpowiedziała pani Figg, rozglądając się po ciemnej uliczce i wzdrygając się lekko. - Muszę poczekać na nowe instrukcje. A ty nie ruszaj się z domu. Dobranoc.

- Niech pani poczeka! Chciałbym się dowiedzieć...

Ale pani Figg już poczłapała uliczką, klapiąc głośno swoimi pozbawionymi pięt kapciami i grzechocąc puszkami z pokarmem dla kotów.

- Proszę pani! - zawołał za nią Harry.

Miał tyle pytań, a oto jedyna osoba, która była w kontakcie z Dumbledore'em, znikła w ciemności. Zacisnął zęby, podciągnął mocniej ramię Dudleya, żeby mu się nie osunął na ziemię, i zaczął go wlec ogrodową ścieżką ku drzwiom numeru 4.

W przedpokoju paliło się światło. Harry wetknął różdżkę za dżinsy, nacisnął dzwonek i patrzył, jak za matową szybą rośnie rozmazana sylwetka ciotki Petunii.

- Moje Dudziątko! Najwyższy czas... bo już zaczynałam... DUDZIACZKU, CO CI SIĘ STAŁO?!

Harry zerknął na Dudleya i w ostatniej chwili zdążył wysunąć się spod jego ciężkiego ramienia. Dudley, którego twarz była teraz bladozielona, zachwiał się... a potem otworzył usta i zwymiotował obficie na wycieraczkę.

- Dudi, co się z tobą dzieje? Vernon? VERNON!!!

Wuj Vernon wypadł z salonu, strzygąc zawzięcie wąsami, co oznaczało, że jest bardzo zaniepokojony, i natychmiast podbiegł, by pomóc ciotce Petunii przeciągnąć chwiejącego się na nogach Dudleya przez próg, uważając przy tym, by nie wdepnąć w wielką kałużę wymiocin.

- Vernonie, on jest chory!

- Co jest, synku? Co się stało? Czy pani Polkiss podała ci na podwieczorek coś zagranicznego?

- Kochanie, dlaczego jesteś taki brudny? Leżałeś na ziemi?

- Trzymaj się, synu... Ale chyba cię nie napadnięto, co?

- Zadzwoń na policję, Vernon! - wrzasnęła ciotka Petunia. - Wezwij policję! Dudziaczku, mój skarbie, powiedz coś do mamusi! Co oni ci zrobili?

W całym tym zamieszaniu nikt nie zwracał uwagi na Harry'ego, co bardzo mu odpowiadało. Udało mu się wśliznąć do środka, zanim wuj Vernon zatrzasnął drzwi, a kiedy Dursleyowie ciągnęli swego synalka do kuchni, przekrzykując się nawzajem, powoli i ostrożnie ruszył w kierunku schodów.

- Kto ci to zrobił, synu? Podaj nam nazwiska. Już my się nimi zajmiemy, bądź spokojny.

- Ciicho! Vernon, on próbuje coś powiedzieć. Kto to był, Dudi? Powiedz mamusi!

Stopa Harry'ego spoczywała już na najniższym stopniu, kiedy Dudley odzyskał głos.

- To on.

Harry zamarł, zacisnął zęby i powieki i czekał na wybuch.

- CHŁOPCZE! CHODŹ TUTAJ!

Czując mieszaninę strachu i złości, Harry powoli cofnął stopę ze schodów i odwrócił się, by pójść za Dursleyami.

Po ciemności, która panowała na zewnątrz, w chorobliwie czystej kuchni było niesamowicie jasno. Ciotka Petunia usadziła Dudleya na krześle. Jego twarz była nadal zielona i wilgotna. Wuj Vernon stał przed zlewem, wlepiając w Harry'ego swoje świńskie oczka.

- Co zrobiłeś mojemu synowi? - zapytał głosem przypominającym warczenie buldoga.

- Nic - odpowiedział Harry, dobrze wiedząc, że wuj i tak mu nie uwierzy.

- Co on ci zrobił, Dudi? - zapytała ciotka Petunia drżącym głosem, zmywając gąbką wymioty z przodu skórzanej kurtki Dudleya. - Powiedz mi, skarbie, czy to... czy to było no-wiesz-co? Czy on użył... TEGO?

Dudley powoli kiwnął głową.

- Nieprawda! - zaprzeczył ostro Harry, kiedy ciotka Petunia jęknęła, a wuj Vernon uniósł dłoń zaciśniętą w pięść. - Nic mu nie zrobiłem, to nie ja, to...

Ale w tym momencie przez okno wleciała sowa uszata. Musnąwszy czubek głowy wuja Vernona, poszybowała w stronę Harry'ego, rzuciła mu do stóp wielką pergaminową kopertę, zrobiła zgrabny zwrot, omiotła końcami skrzydeł lodówkę i wyleciała.

- SOWY! - ryknął wuj Vernon, a gruba żyła na skroni zaczęła mu pulsować gwałtownie, kiedy zatrzasnął okno. - ZNOWU SOWY! NIE POZWOLĘ, BY DO MOJEGO DOMU WLECIAŁA CHOĆBY JESZCZE JEDNA SOWA!

Ale Harry rozrywał już kopertę i wyciągał z niej list, a serce waliło mu mocno gdzieś w okolicy jabłka Adama.

Szanowny Panie Potter!

Otrzymaliśmy doniesienie, że dziś wieczorem, dwadzieścia trzy minuty po dziewiątej, użył Pan Zaklęcia Patronusa na obszarze zamieszkanym przez mugoli i w obecności mugola.

Stanowi to bardzo poważne naruszenie Ustawy o Uzasadnionych Restrykcjach wobec Niepełnoletnich Czarodziejów i dlatego został Pan usunięty ze Szkoły Magii i Czarodziejstwa w Hogwarcie. Przedstawiciele Ministerstwa pojawią się wkrótce w miejscu Pana zamieszkania, aby zniszczyć Pańską różdżkę.

Ponieważ otrzymał już Pan oficjalne ostrzeżenie po uprzednim wykroczeniu przeciw 13. paragrafowi Zasad Tajności Międzynarodowej Konfederacji Czarodziejów, zmuszeni jesteśmy Pana powiadomić o konieczności stawienia się na przesłuchanie w Ministerstwie Magii 12 sierpnia o godz. 9 rano.

Pragnę wyrazić nadzieję, że czuje się Pan dobrze.

Z wyrazami poważania

Mafalda Hopkirk

URZĄD NIEWŁAŚCIWEGO UŻYCIA CZARÓW

Ministerstwo Magii

Harry dwukrotnie przeczytał list. Prawie nie słyszał, co mówią do niego wuj i ciotka. W głowie miał lodowatą pustkę, w której tłukła się jedna paraliżująca myśl: został wyrzucony z Hogwartu. To już koniec. Już nigdy tam nie powróci.

Spojrzał na Dursleyów. Wuj Vernon był purpurowy na twarzy i wrzeszczał, wymachując pięściami, ciotka Petunia tuliła w ramionach Dudleya, któremu znowu zbierało się na wymioty.

Otępiały umysł Harry'ego zaczął ponownie pracować. *Przedstawiciele Ministerstwa pojawią się wkrótce w miejscu Pana zamieszkania, aby zniszczyć Pańską różdżkę.* Tylko jedno mu pozostało. Musi uciekać - i to zaraz. Dokąd, tego nie wiedział, ale jednego był

pewny: w Hogwarcie czy poza Hogwartem - musi mieć swoją różdżkę. Czując się jak we śnie, wyciągnął różdżkę i odwrócił się, by wyjść z kuchni.

- A dokąd to się wybierasz? - ryknął wuj Vernon, a kiedy Harry nie odpowiedział, podbiegł do drzwi wiodących do korytarza, by je zablokować swym ciałem. - Jeszcze z tobą nie skończyłem, bęcwale!

- Zejdź mi z drogi - powiedział cicho Harry.

- Zostaniesz tu i wyjaśnisz mi, w jaki sposób mój syn...

- Jeśli nie zejdziesz mi z drogi, rzucę na ciebie urok - powiedział Harry, unosząc różdżkę.

- Nic mi nie możesz zrobić! - prychnął wuj Vernon. - Wiem, że nie wolno ci tego używać poza tym domem wariatów, który nazywasz szkołą!

- Właśnie mnie z tego domu wariatów wyrzucili - rzekł Harry. - Mogę robić, co mi się podoba. Liczę do trzech. Raz... dwa...

ŁUUP.

Ciotka Petunia wrzasnęła, wuj Vernon zawył i zrobił unik, a Harry po raz trzeci tego wieczoru rozejrzał się, szukając źródła owego hałasu, który i tym razem nie został spowodowany przez niego. I natychmiast znalazł: na parapecie kuchennego okna siedziała oszołomiona sowa płomykówka. Żałosny stan jej upierzenia wskazywał, że przed chwilą zderzyła się z szybą.

Nie zważając na wuja Vernona, który ryknął: „SOWY!", Harry szybko podbiegł do okna i otworzył je. Sowa wyciągnęła nóżkę, do której był przywiązany zwitek pergaminu, otrząsnęła się i odleciała, gdy tylko Harry odwiązał przesyłkę. Trzęsącymi się rękami rozwinął list, napisany pospiesznie czarnym atramentem i upstrzony kleksami.

Harry

Dumbledore właśnie przybył do Ministerstwa i próbuje to wszystko wyjaśnić. NIE OPUSZCZAJ DOMU WUJOSTWA. NIE UŻYWAJ JUŻ ŻADNYCH CZARÓW. NIE ODDAWAJ RÓŻDŻKI.

Artur Weasley

Dumbledore próbuje to wszystko wyjaśnić... Co to znaczy? Czy Dumbledore ma jakiś wpływ na ministerstwo? Przecież to oni rządzą. Czy jest jakaś szansa, by mu pozwolono wrócić do Hogwartu? W sercu Harry'ego zapłonęła iskierka nadziei, prawie natychmiast

zduszona przez falę paniki - ma odmówić oddania różdżki, ale jak tego dokonać, skoro nie wolno mu użyć czarów? Musiałby stoczyć pojedynek z przedstawicielami Ministerstwa Magii, a to by się skończyło już nie tylko wyrzuceniem go z Hogwartu, ale uwięzieniem w Azkabanie.

Co robić?... Próbować ucieczki? To oznacza ryzyko schwytania przez przedstawicieli ministerstwa. Zostać i czekać na nich tutaj? Bardziej go kusiło pierwsze, ale wiedział, że pan Weasley ma na uwadze jego dobro... no i w końcu Dumbledore rozwiązywał już o wiele trudniejsze problemy.

- Dobra - powiedział na głos. - Zmieniłem zdanie. Zostaję.

Opadł na krzesło przy kuchennym stole naprzeciwko Dudleya i ciotki Petunii. Dursleyowie byli najwyraźniej zaskoczeni jego nagłą zmianą decyzji. Ciotka Petunia spojrzała rozpaczliwie na wuja Vernona. Żyła na skroni pulsowała mu okropnie.

- Skąd tu się wzięły te bezczelne sowy? - ryknął.

- Pierwszą wysłano z Ministerstwa Magii z listem, w którym donoszą o wyrzuceniu mnie ze szkoły - odpowiedział spokojnie Harry.

Nadstawiał uszu, by uchwycić jakiekolwiek odgłosy z zewnątrz, świadczące o zbliżaniu się przedstawicieli ministerstwa, a poza tym łatwiej mu było odpowiadać na pytania wuja, niż pozwolić, by znowu zaczął się wściekać.

- Drugą przysłał ojciec mojego przyjaciela Rona. Pracuje w ministerstwie.

- Ministerstwo Magii?! - wrzasnął wuj Vernon. - Osobnicy twojego pokroju w RZĄDZIE? No tak, to by wszystko wyjaśniało... wszystko... Nic dziwnego, że ten kraj schodzi na psy...

Harry milczał. Wuj łypnął na niego groźnie i warknął:

- A dlaczego cię wyrzucono?

- Bo użyłem czarów.

- AHA! - zagrzmiał wuj Vernon, waląc pięścią w lodówkę, która się otworzyła i kilka niskokalorycznych batoników Dudleya wysypało się na podłogę. - A więc się przyznajesz! Co zrobiłeś Dudleyowi?

- Nic - odrzekł Harry, już trochę mniej spokojnym tonem. - To nie ja...

- To on - mruknął niespodziewanie Dudley, a wuj Vernon i ciotka Petunia natychmiast zaczęli uciszać Harry'ego gestami, pochylając się nad swoim synalkiem.

- No mów, synu - powiedział wuj Vernon. - Co on ci zrobił?

- Powiedz nam, kochanie - szepnęła ciotka Petunia.

- Wycelował we mnie różdżkę - wymamrotał Dudley.

- Tak, wycelowałem, ale jej nie użyłem, bo... - zaczął Harry ze złością, ale wuj Vernon i ciotka Petunia ryknęli jednocześnie:

- ZAMKNIJ SIĘ!

- Mów dalej, synu - powtórzył wuj Vernon, strzygąc dziko wąsami.

- Zrobiło się strasznie ciemno - powiedział Dudley chrapliwym głosem, drżąc jak osika. - Wszędzie. A potem usłyszałem... głosy. W m-mojej głowie.

Wuj Vernon i ciotka Petunia wymienili przerażone spojrzenia. Tylko dwie rzeczy mogły być gorsze od ludzi słyszących głosy: magia i sąsiedzi częściej od nich łamiący zakaz używania hydrantów. Pomyśleli, że Dudley traci zmysły.

- A co mówiły te głosy, Dudziaczku? - szepnęła ciotka Petunia z twarzą białą jak papier i oczami pełnymi łez.

Ale Dudley nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Wzdrygnął się i potrząsnął swoją wielką głową, a Harry, pomimo paniki, która nim owładnęła od chwili przybycia pierwszej sowy, poczuł coś w rodzaju zaciekawienia. Dementorzy sprawiali, że człowiek przypominał sobie najgorsze momenty swego życia. Co takiego mógł sobie przypomnieć zepsuty, rozpieszczony do ostatnich granic, uwielbiający znęcać się nad słabszymi Dudley?

- I przewróciłeś się, tak, synu? Jak do tego doszło? - zapytał wuj Vernon nienaturalnie spokojnym tonem, jakby siedział u wezgłowia śmiertelnie chorej osoby.

- P-potknąłem się - odpowiedział Dudley roztrzęsionym głosem. - A potem...

Wskazał na swoją masywną pierś. Harry zrozumiał. Chodziło o kleistą, lodowatą maź, która zdawała się napełniać płuca, gdy dementor wysysał z ofiary wszelką nadzieję i szczęście.

- To było okropne - wychrypiał Dudley. - Zimno. Potworne zimno.

- No dobrze - rzekł wuj Vernon, siląc się na spokój, podczas gdy ciotka Petunia przyłożyła Dudleyowi dłoń do czoła, żeby wyczuć temperaturę. - Co się stało później?

- Czułem się... czułem... czułem... jakby... jakby...

- Jakbyś już nigdy nie miał być szczęśliwy - dokończył za niego Harry.

- Tak - szepnął Dudley, drżąc na całym ciele.

- A więc... - powiedział wuj Vernon, prostując się, a jego głos z każdym słowem nabierał coraz większej mocy i zajadłości - a więc rzuciłeś na mojego syna jakieś zwariowane zaklęcie, które sprawiło, że zaczął słyszeć głosy i wierzyć, że... że jest skazany na potępienie... czy coś w tym rodzaju, tak?

- Ile razy mam powtarzać, że to nie ja! - krzyknął Harry ze złością. - To dementorzy!

- Kto? Co to za nowe wariactwo?

- De-men-to-rzy - powiedział Harry powoli i wyraźnie. - Dokładnie dwóch.

- A kim, do diabła, są ci dementorzy?

- To strażnicy Azkabanu, więzienia czarodziejów - powiedziała ciotka Petunia.

Dopiero po dwóch sekundach głuchej ciszy, jaka zapadła po tych słowach, ciotka Petunia zatkała sobie dłonią usta, jakby przed chwilą wymknęło się z nich obrzydliwe przekleństwo. Wuj Vernon wytrzeszczył na nią oczy. Harry poczuł zamęt w głowie. Pani Figg... no, to już było coś, ale ciotka Petunia?...

- Skąd ciocia o tym wie? - zapytał zdumiony.

Ciotka Petunia była najwidoczniej wstrząśnięta tym, co zrobiła. Rzuciła wujowi Vernonowi przerażone, przepraszające spojrzenie, po czym opuściła rękę, ukazując swe końskie zęby.

- Słyszałam... jak ten okropny chłopak... mówił JEJ o nich... przed laty - wyjąkała.

- Jeśli mówi ciocia o moich rodzicach, to dlaczego nie używa ich imion? - zapytał głośno Harry, ale ciotka Petunia zlekceważyła to pytanie. Widać było, że bardzo się zdenerwowała.

Harry też był oszołomiony. Tylko jeden raz, przed paroma laty, ciotka Petunia wspomniała o swojej siostrze, wywrzaskując, że była pomylona. A jednak okazało się, że przez tyle lat zachowała w pamięci ów strzęp informacji o świecie czarodziejów, choć zwykle wkładała tyle energii w udawanie, że ów świat nie istnieje.

Wuj Vernon otworzył usta, zamknął je, otworzył ponownie, jeszcze raz zamknął, najwyraźniej usiłując sobie przypomnieć, jak się mówi, wreszcie otworzył je po raz trzeci i wychrypiał:

- A więc... więc... oni... eee... oni... eee... jednak... istnieją? Ci... jacyś... demencjatorzy, czy jak im tam?

Ciotka Petunia kiwnęła głową.

Wuj Vernon spojrzał na ciotkę Petunię, potem na Dudleya, potem na Harry'ego, jakby miał nadzieję, że któreś z nich krzyknie wreszcie: „Prima aprilis!" Nikt jednak tego nie zrobił, więc ponownie otworzył usta, lecz wysiłku odnalezienia w sobie kolejnych słów oszczędziło mu przybycie trzeciej sowy. Wpadła przez otwarte okno jak pierzasta kula armatnia i wylądowała na stole kuchennym z takim łoskotem, że Dursleyowie podskoczyli ze strachu. Harry wyjął jej z dzioba drugą oficjalnie wyglądającą kopertę i rozerwał niecierpliwie, podczas gdy ptak wyleciał w ciemną noc.

- Już dość... tych... cholernych... sów - wymamrotał wuj Vernon niezbyt przytomnym tonem, podszedł do okna i zatrzasnął je z hukiem.

Szanowny Panie Potter!

Dwadzieścia dwie minuty po naszym pierwszym liście Ministerstwo Magii unieważniło swą pierwszą decyzję o natychmiastowym zniszczeniu pańskiej różdżki. Może Pan zachować różdżkę do 12 sierpnia, a więc do przesłuchania dyscyplinarnego, na którym podjęta zostanie oficjalna decyzja w tej sprawie.

Po dyskusji z dyrektorem Szkoły Magii i Czarodziejstwa w Hogwarcie Ministerstwo uznało, iż sprawa Pańskiego dalszego pobytu w tej szkole również zostanie ostatecznie rozstrzygnięta dopiero po owym przesłuchaniu. Do tego czasu winien się Pan uważać za zawieszonego w prawach ucznia.

Serdecznie pozdrawiam

i łączę wyrazy poważania

Mafalda Hopkirk

URZĄD NIEWŁAŚCIWEGO UŻYCIA CZARÓW

Ministerstwo Magii

Harry przeczytał list trzy razy. Uciążliwy supeł w jego piersi jakby się nieco rozluźnił. A więc jeszcze nie wszystko stracone! Poczuł lekką ulgę, ale strach nadal go nie opuszczał. Wszystko zależało teraz od tego przesłuchania.

- No i co? - Głos wuja Vernona sprowadził go z powrotem na ziemię. - Co tym razem? Znasz już wyrok? Czy u was istnieje kara śmierci? - dodał z wyraźną nadzieją.

- Muszę się stawić na przesłuchanie.

- I tam ogłoszą wyrok?

- Chyba tak.

- A więc nie tracę nadziei - powiedział wuj Vernon mściwym tonem.

- No, to już chyba wszystko - rzekł Harry, wstając.

Bardzo chciał być sam, żeby spokojnie pomyśleć, może wysłać list do Rona, Hermiony albo Syriusza.

- NIE, TO WCALE NIE JEST WSZYSTKO! - ryknął wuj Vernon. - SIADAJ!

- O co znowu chodzi? - zapytał niecierpliwie Harry.

- O DUDLEYA! - zagrzmiał wuj Vernon. - Chcę wiedzieć dokładnie, co mu się stało!

- A WIĘC DOBRZE! - krzyknął Harry, tak rozzłoszczony, że z końca różdżki, którą nadal ściskał w dłoni, wystrzeliło kilka czerwonych i złotych iskier. Dursleyowie wzdrygnęli się ze strachu.

- Dudley i ja szliśmy alejką, która łączy Magnolia Crescent z Wisteria Walk - mówił szybko, starając się zapanować nad sobą. - Dudley zaczął się ze mnie nabijać, ja wyciągnąłem różdżkę, ale jej nie użyłem. Potem pojawiło się dwóch dementorów...

- Ale kim są ci dementoidzi? - przerwał mu ze złością wuj Vernon. - Co oni ROBIĄ?

- Już wam mówiłem: wysysają z ofiary szczęście... a jak im się uda, całują ją i...

- Całują?! - Oczy wuja Vernona zaczęły wychodzić z orbit. - Całują?

- Tak to się nazywa... kiedy wysysają z ofiary duszę. Przez usta.

Ciotka Petunia jęknęła żałośnie.

- Duszę? Ale jemu nie zabrali... przecież mój syn wciąż ma swą...

Chwyciła Dudleya za ramiona i potrząsnęła nim, jakby chciała sprawdzić, czy dusza wciąż w nim grzechocze.

- No pewnie, że nie zabrali mu duszy! Gdyby zabrali, byłoby to widać! - krzyknął Harry, całkowicie wyprowadzony z równowagi.

- Obroniłeś się, synu, tak? - powiedział głośno wuj Vernon, sprawiając wrażenie, jakby za wszelką cenę chciał sprowadzić rozmowę z powrotem na znane sobie tory. - Przygrzałeś mu z lewej i prawej, tak?

- Dementorowi nie można przygrzać z lewej i prawej - wycedził Harry przez zaciśnięte zęby.

- Tak? No to dlaczego mój syn siedzi tu cały i zdrowy? Dlaczego go nie wyssali?...

- Bo użyłem Zaklęcia Patronusa...

FLUSZSZSZ. Z kuchennego paleniska wystrzeliła z trzepotem skrzydeł czwarta sowa, wzniecając obłok kurzu.

- NA MIŁOŚĆ BOSKĄ! - ryknął wuj Vernon, wyrywając sobie garść wąsów, czego nie robił już od dłuższego czasu. - ŻADNYCH WIĘCEJ SÓW! NIE BĘDĘ TEGO DŁUŻEJ TOLEROWAĆ! PRZYSIĘGAM!

Ale Harry już ściągał z nóżki sowy zwitek pergaminu. Był przekonany, że to list od Dumbledore'a, w którym wreszcie znajdzie odpowiedź na wszystkie dręczące go pytania - skąd w Little Whinging wzięli się dementorzy, kim jest pani Figg, co może mu zrobić ministerstwo i jak dyrektor zamierza to wszystko wyjaśnić - dlatego po raz pierwszy w życiu odczuł zawód na widok pisma Syriusza. Nie zwracając uwagi na wrzaski wuja Vernona i

mrużąc oczy przed drugim obłokiem sadzy, który wzbiła z komina kolejna sowa, przeczytał wiadomość od Syriusza:

Właśnie dowiedziałem się o wszystkim od Artura. Pod żadnym pozorem nie opuszczaj domu.

Harry odczuł jeszcze większy zawód, bo treść listu zupełnie nie odpowiadała temu wszystkiemu, co się wydarzyło; spojrzał nawet na drugą stronę pergaminu, sądząc, że może znajdzie dalszy ciąg, ale nic tam nie było.

Znowu ogarnął go gniew. Czy naprawdę nikt go nie pochwali za przepędzenie dwóch dementorów? Zarówno pan Weasley, jak i Syriusz sprawiali wrażenie, jakby Harry zrobił coś złego, a oni powstrzymują się od zbesztania go do czasu, gdy będzie wiadomo, jakie szkody wyrządził.

- ...chmura sów... to znaczy chmara sów wlatujących do mojego domu i wylatujących sobie, jakby nigdy nic... nie, chłopcze, ja na to nigdy nie pozwolę, o nie...

- Nie jestem w stanie ich powstrzymać - warknął Harry, mnąc list Syriusza w zaciśniętej pięści.

- Chcę się dowiedzieć, co naprawdę wydarzyło się tego wieczoru! - ryknął wuj Vernon. - Mówisz, że to demonterzy napadli Dudleya, więc dlaczego ciebie wyrzucili ze szkoły? Sam przyznałeś, że użyłeś sam-wiesz-czego!

Harry wziął głęboki oddech. Głowa go znowu rozbolała. Jedyne, czego teraz pragnął, to wydostać się z kuchni i uciec od Dursleyów.

- Użyłem Zaklęcia Patronusa,- żeby przepędzić dementorów - powiedział, zmuszając się do spokojnego tonu. - Na nich nie ma innego sposobu.

- Ale co ci dementoidzi robili w Little Whinging? - zapytał z oburzeniem wuj Vernon.

- Nie mam pojęcia - odrzekł Harry zrezygnowanym tonem.

W głowie mu huczało, jakby w jej wnętrzu rozszalała się burza z piorunami. Gniew powoli ustępował, jego miejsce zajmowało poczucie pustki i wyczerpania. Dursleyowie wlepiali w niego oczy.

- To z twojego powodu - oświadczył z naciskiem wuj Vernon. - To ma coś wspólnego z tobą, chłopcze, jestem tego pewien. Bo niby co innego miałoby ich tu sprowadzić? Kogo innego szukali w tej alejce? To ty jesteś jedynym... jedynym... - słowo „czarodziej" najwyraźniej nie mogło mu przejść przez gardło - jedynym sam-wiesz-kim w obrębie wielu mil.

- Nie wiem, dlaczego akurat tam się znaleźli.

Słowa wuja Vernona zmusiły jednak jego wyczerpany mózg do działania. Po co dementorzy przybyli do Little Whinging? Czy to mógł być przypadek, że pojawili się w alejce, którą on właśnie szedł? Może ktoś ich wysłał? Czyżby Ministerstwo Magii utraciło nad nimi kontrolę? Może uciekli z Azkabanu i przyłączyli się do Voldemorta, jak przepowiadał Dumbledore?

- Ci demontażowie pilnują jakiegoś dziwacznego więzienia? - zapytał wuj Vernon, wpychając się między i tak już stłoczone i rozpędzone myśli Harry'ego.

- Tak - odpowiedział Harry.

Och, żeby tylko ta głowa przestała go boleć, żeby go wypuścili z tej kuchni, żeby się znaleźć w swojej ciemnej sypialni i móc pomyśleć...

- Aha! Oni przyszli, żeby ciebie aresztować! - zagrzmiał wuj Vernon triumfalnie, jakby wreszcie doszedł do niezbitego wniosku. - O to tutaj chodzi, tak? Jesteś poszukiwanym przestępcą!

- Nie, nie jestem - rzekł Harry, kręcąc gwałtownie głową, jakby się opędzał od muchy i czując, że za chwilę czaszka mu pęknie od natłoku myśli.

- Więc dlaczego...

- On ich musiał wysłać - powiedział cicho Harry, bardziej do siebie niż do wuja Vernona.

- Jaki on? Kto ich musiał wysłać?

- Lord Voldemort.

Choć miał mętlik w głowie, uzmysłowił sobie, jakie to dziwne, że na Dursleyach, którzy skręcali się, wili i wzdrygali na dźwięk słów „czarodziej", „magia" czy „różdżka", imię najgroźniejszego czarnoksiężnika na świecie nie zrobiło najmniejszego wrażenia.

- Lord... zaraz... - wuj Vernon zmrużył swoje świńskie oczka, a napięcie na twarzy świadczyło, że coś sobie z wysiłkiem przypomina - ... zaraz... ja już chyba słyszałem to nazwisko... To ten, który...

- Zamordował moich rodziców - powiedział Harry martwym głosem.

- Ale przecież jego już nie ma - rzucił wuj Vernon niecierpliwie, nie siląc się nawet na udawanie, że zamordowanie rodziców Harry'ego może być sprawą bolesną. - Tak mówił ten wielki facet. Że zniknął.

- Wrócił - powiedział ponuro Harry.

Wydało mu się bardzo dziwne, że stoi w chirurgicznie czystej kuchni ciotki Petunii, obok ekskluzywnej lodówki i panoramicznego telewizora, i rozmawia spokojnie z wujem

Vernonem o Lordzie Voldemorcie. Jakby pojawienie się dementorów w Little Whinging zrobiło wyrwę w wysokim niewidzialnym murze, dzielącym dotąd niewzruszenie pozamagiczny świat Privet Drive od świata czarodziejów. Do tej pory prowadził jakby dwa różne życia, a teraz wszystko się pomieszało i stanęło na głowie: Dursleyowie pytają o różne sprawy dotyczące świata czarodziejów, pani Figg zna Albusa Dumbledore'a, dementorzy hulają po Little Whinging, a on może już nigdy nie wróci do Hogwartu. Głowa jeszcze bardziej go rozbolała.

- Wrócił? - wyszeptała ciotka Petunia.

Nagle, po raz pierwszy w życiu, Harry zdał sobie w pełni sprawę, że ciotka Petunia jest siostrą jego matki. Nie wiedział, dlaczego ta świadomość tak go w owej chwili ugodziła. Wiedział tylko, że nie jest jedyną osobą w kuchni, która ma jakie takie pojęcie o tym, co może oznaczać powrót Lorda Voldemorta. Ciotka Petunia jeszcze nigdy tak na niego nie patrzyła. Jej wielkie blade oczy (tak niepodobne do oczu jej siostry) nie zwęziły się z odrazy lub gniewu - były szeroko otwarte i przerażone. Upór, z jakim przez całe życie Harry'ego twierdziła, że nie ma żadnej magii i świata innego od tego, w którym żyła z wujem Vernonem, nagle się ulotnił.

- Tak - powiedział Harry, zwracając się teraz bezpośrednio do niej. - Wrócił miesiąc temu. Widziałem go.

Jej dłonie odnalazły potężne, błyszczące ramiona Dudleya i zacisnęły się na nich.

- Zaraz - powiedział wuj Vernon, spoglądając to na swą żonę, to na Harry'ego, najwyraźniej kompletnie wyprowadzony z równowagi nieoczekiwanym porozumieniem, które ich w tym momencie połączyło. - Zaraz. Mówisz, że ten Lord Voldecoś powrócił.

- Tak.

- Ten, który zamordował twoich rodziców.

- Tak.

- I to on wysłał na ciebie tych demonterów.

- Na to wygląda.

- Rozumiem - rzekł wuj Vernon, przenosząc wzrok z pobielałej twarzy swojej żony na Harry'ego i podciągając spodnie. Wydawało się, że z trudem przełyka ślinę, a jego wielka fioletowa twarz nadęła się okropnie. - No cóż, to mi chyba wystarczy - powiedział, wypinając brzuch. - Możesz się wynosić z tego domu, chłopcze!

- Co?

- Słyszałeś? WYNOCHA! - ryknął wuj Vernon tak głośno, że nawet ciotka Petunia i Dudley podskoczyli ze strachu. - WYNOCHA! PRECZ Z TEGO DOMU! Już dawno

powinienem cię stąd wyrzucić! Sowy traktujące ten dom jak hotel, leguminy eksplodujące w mojej kuchni, połowa salonu zniszczona, Dudleyowi wyrasta ogon, Marge ulatuje pod sufit i... i ten latający ford anglia... PRECZ! WYNOCHA! Doigrałeś się! Należysz już do przeszłości! Nie będzie cię tu szukał żaden pomyleniec, nie będziesz już zagrażał życiu mojej żony i syna, nie będziesz ściągał nam na głowy kłopotów i nieszczęść. Jeśli zamierzasz pójść w ślady swoich bezużytecznych rodziców, to ja nie będę ci przeszkadzał, ale nie tu, nie w moim domu. WYNOŚ SIĘ!

Harry stał nieruchomo, jakby przyrósł do podłogi, mnąc w ręku listy od Mafaldy Hopkirk, pana Weasleya i Syriusza. *Pod żadnym pozorem nie opuszczaj domu. NIE OPUSZCZAJ DOMU WUJOSTWA.*

- Słyszałeś?! - zagrzmiał wuj Vernon, wychylając się do przodu, a jego ogromna, fioletowa twarz znalazła się tak blisko, że kropelki śliny obryzgały Harry'emu twarz. - Jazda! Pół godziny temu sam chciałeś stąd odejść! Krzyż na drogę! Wynoś się i żeby twoja noga już nigdy nie stanęła na naszym progu! Nie wiem, dlaczego w ogóle przyjęliśmy cię pod nasz dach, nie wiem... Marge miała rację, powinniśmy cię umieścić w sierocińcu. Byliśmy dla ciebie za dobrzy, sądziliśmy, że jakoś to z ciebie wyplenimy, że zdołamy zrobić z ciebie normalnego człowieka, ale ty... ty od samego początku byłeś przegniły do szpiku kości. Mam już tego dość... SOWY!

Piąta sowa wyleciała z komina tak szybko, że uderzyła w podłogę, zanim wzbiła się w powietrze, skrzecząc przeraźliwie. Harry podniósł rękę, by pochwycić list, tym razem w szkarłatnej kopercie, ale sowa tylko śmignęła mu nad głową i podleciała prosto do ciotki Petunii, która wrzasnęła i cofnęła się gwałtownie, osłaniając rękami twarz. Sowa upuściła kopertę na jej głowę, zrobiła ostry skręt i z powrotem wleciała do komina.

Harry rzucił się, by porwać list, ale ciotka Petunia go uprzedziła.

- Może go ciocia otworzyć - powiedział - ale ja i tak usłyszę, co zawiera. To wyjec.

- Zostaw to, Petunio! - ryknął wuj Vernon. - Nie dotykaj, to może być niebezpieczne!

- Jest zaadresowany do mnie - bąknęła ciotka Petunia. - Vernonie, spójrz, jest zaadresowany do mnie! *Pani Petunia Dursley, Kuchnia, Privet Drive Numer Cztery...*

Przerażona, z trudnością łapała oddech. Z czerwonej koperty zaczęło się dymić.

- Otwórz ją! - krzyknął Harry. - Miejmy to z głowy! To i tak się stanie.

- Nie.

Ręka ciotki Petunii dygotała. Rozejrzała się z rozpaczą po kuchni, jakby się zastanawiała, gdzie się schować albo którędy uciec, ale było już za późno - koperta zaczęła płonąć. Ciotka Petunia wrzasnęła i rzuciła ją na stół.

Z płonącej koperty wydobył się okropny głos, który wypełnił kuchnię, odbijając się echem od ścian:

- Pamiętaj o moim ostatnim, Petunio!

Ciotka Petunia wyglądała, jakby miała zemdleć. Opadła na krzesło obok Dudleya i zakryła twarz dłońmi. Resztki koperty zamieniły się w popiół.

- Co to znaczy? - zapytał wuj Vernon ochrypłym głosem. - Co... ja nie... Petunio...

Ciotka Petunia milczała. Dudley gapił się na nią głupkowato z opadniętą szczęką. Cisza stawała się nie do wytrzymania. Harry obserwował ciotkę, kompletnie oszołomiony, czując, że za chwilę głowa mu pęknie.

- Petunio, kochanie... - przemówił wuj Vernon nieśmiało. - P-Petunio?

Uniosła głowę. Wciąż cała dygotała. Przełknęła ślinę.

- Ten chłopiec... on musi tu zostać, Vernonie - powiedziała cicho.

- Co?!

- On tu zostaje.

Nie patrzyła na Harry'ego. Wstała.

- Ale... Petunio...

- Jeśli go wyrzucimy, sąsiedzi będą gadać - powiedziała. Szybko odzyskiwała swój zwykły, pełen zgryźliwości animusz, choć wciąż była bardzo blada. - Będą zadawać kłopotliwe pytania, będą chcieli wiedzieć, co się z nim stało. Musimy go zatrzymać.

Wuj Vernon przypominał teraz starą oponę, z której uchodzi powietrze.

- Ale... Petunio, kochanie...

Ciotka Petunia nie zwracała na niego uwagi. Zwróciła się do Harry'ego.

- Będziesz siedział w swoim pokoju. Nie wolno ci opuszczać domu. A teraz marsz do łóżka.

Harry nie ruszył się z miejsca.

- Od kogo był ten wyjec?

- Nie zadawaj pytań - warknęła ciotka Petunia.

- Ciocia utrzymuje kontakty z czarodziejami?

- Powiedziałam ci: marsz do łóżka!

- Co to miało znaczyć? O czym ostatnim masz pamiętać?

- Do łóżka!

- Ale jak...

- SŁYSZAŁEŚ, CO CI CIOTKA POWIEDZIAŁA? NA GÓRĘ I DO ŁÓŻKA!

ROZDZIAŁ TRZECI
STRAŻ PRZEDNIA

Dopiero co zaatakowali mnie dementorzy i mogą mnie wyrzucić z Hogwartu. Chcę wiedzieć, co się dzieje i kiedy się stąd wydostanę.

Harry przepisał te dwa zdania na trzech kawałkach pergaminu, gdy tylko doszedł do biurka w swojej ciemnej sypialni. Pierwszy list zaadresował do Syriusza, drugi do Rona, a trzeci do Hermiony. Stojąca na biurku klatka jego sowy była pusta: Hedwiga musiała się wyprawić na nocne łowy. Krążył po sypialni, czekając na jej powrót. Tępy ból pulsował mu w czaszce, a mózg pracował na pełnych obrotach, tak że nawet nie myślał o śnie, choć oczy piekły go ze zmęczenia. Odczuwał też boleśnie w krzyżu dźwiganie Dudleya, a dwa guzy na głowie - tam, gdzie trafiło go okno salonu i pięść kuzyna - też dawały o sobie znać.

Krążył więc tam i z powrotem po sypialni, trawiony złością i bezsilną rozpaczą, zgrzytając zębami, zaciskając pięści i rzucając wściekłe spojrzenia na puste, usiane gwiazdami niebo za każdym razem, gdy przechodził koło okna. Ktoś wysyła na niego dementorów, pani Figg i Mundungus Fletcher śledzą go ukradkiem, Ministerstwo Magii zawiesza go w prawach ucznia Hogwartu i wzywa na przesłuchanie - i co? I nikt nie mówi mu, o co tu chodzi, co się naprawdę dzieje.

A co miał oznaczać ten wyjec? Czyj okropny głos potoczył się tak złowieszczym echem po kuchni?

Dlaczego musi wciąż siedzieć tu jak w więzieniu, pozbawiony jakiejkolwiek informacji? Dlaczego wszyscy traktują go jak niegrzeczne dziecko? *Nie używaj już żadnych czarów, nie opuszczaj domu...*

Przechodząc koło szkolnego kufra, kopnął weń z całej siły, ale nie poczuł ulgi, tylko jeszcze pogorszył swą żałosną sytuację, bo teraz do bólu głowy i krzyża doszedł ostry ból wielkiego palca u nogi.

Mijał właśnie okno, gdy z cichym szumem skrzydeł, jak duch, wleciała przez nie Hedwiga.

- Najwyższy czas! - warknął Harry, kiedy wylądowała na szczycie klatki. - Zostaw to, mam dla ciebie zajęcie!

Wielkie, okrągłe, bursztynowe oczy Hedwigi spojrzały na niego z wyrzutem ponad martwą żabą zwisającą jej z dzioba.

- Chodź tu - powiedział Harry, biorąc trzy zwitki pergaminu i przywiązując je rzemykami do jej łuskowatej nóżki. - Zanieś to szybko Syriuszowi, Ronowi i Hermionie i nie

wracaj bez odpowiedzi. I mają być długie. A jak będzie trzeba, to możesz ich dziobać tak długo, aż napiszą przyzwoite, długie listy. Zrozumiałaś?

Hedwiga zdobyła się tylko na krótkie, zduszone „hu-huu", bo w dziobie wciąż miała żabę.

- No to leć!

Wyfrunęła natychmiast. Harry rzucił się w ubraniu na łóżko i wpatrzył w ciemny sufit. Już i tak czuł się naprawdę podle, a teraz zaczęły go jeszcze dręczyć wyrzuty sumienia, że tak szorstko potraktował Hedwigę; w końcu była jego jedynym przyjacielem w domu przy Privet Drive 4. Musi to jej wynagrodzić, kiedy wróci z listami od Syriusza, Rona i Hermiony.

A oni muszą mu szybko odpisać, nie mogą przecież zlekceważyć ataku dementorów. Tak, na pewno kiedy obudzi się jutro rano, znajdzie trzy opasłe listy pełne wyrazów współczucia i planów jego natychmiastowej ewakuacji do Nory.

Pocieszony tą nadzieją, zamknął oczy, a sen uwolnił go od dalszych smętnych rozmyślań.

* * *

Ale Hedwiga nie wróciła następnego ranka. Cały dzień spędził w swej sypialni, wychodząc tylko do łazienki. Ciotka Petunia trzykrotnie wsuwała mu talerz z jedzeniem przez klapę w drzwiach, którą wuj Vernon zainstalował trzy lata temu. Za każdym razem próbował ją zapytać o wyjca, ale równie dobrze mógł o to pytać klamkę u drzwi. Poza tym Dursleyowie trzymali się z daleka od jego sypialni, a Harry też nie widział powodu, by narzucać im swoje towarzystwo. Kolejna awantura mogłaby się skończyć ponownym nielegalnym użyciem przez niego czarów, bo teraz już byle co mogło go wyprowadzić z równowagi.

I tak było przez całe trzy dni. Harry'ego dręczyły zmienne nastroje: raz rozpierała go energia, tak że nie mógł się do niczego zabrać i krążył po sypialni, wściekły na cały świat, a zwłaszcza na swoich przyjaciół, którzy go porzucili na pastwę losu, to znowu ogarniało go jakieś otępienie, tak porażające, że mógł tylko leżeć godzinami na łóżku, wpatrując się w przestrzeń i zadręczając myślami o przesłuchaniu w ministerstwie.

A jeśli zapadnie niepomyślny dla niego wyrok? Jeśli wyrzucą go ze szkoły i przełamią na pół jego różdżkę? Co wtedy ze sobą zrobi, dokąd się uda? Przecież teraz, kiedy już poznał ten inny świat, świat, do którego naprawdę należał, nie byłby w stanie spędzić reszty życia w domu Dursleyów. A może mógłby zamieszkać w domu Syriusza? W końcu Syriusz proponował mu to rok temu, zanim sam został zmuszony do ukrywania się przed przedstawicielami ministerstwa. Ale czy mógłby tam mieszkać sam, skoro był niepełnoletni? A może sami postanowią, gdzie ma odtąd zamieszkać? Czy złamanie Zasad Tajności

Międzynarodowej Konfederacji Czarodziejów to przestępstwo, za które trafia się do Azkabanu? I za każdym razem, gdy ta straszna myśl nawiedzała Harry'ego, ześlizgiwał się z łóżka i znowu zaczynał krążyć po sypialni.

Czwartej nocy od wylotu Hedwigi leżał, pogrążony w fazie otępienia, wpatrując się bezmyślnie w sufit, gdy do sypialni wkroczył wuj. Harry powoli zwrócił na niego wzrok. Wuj Vernon miał na sobie swój najlepszy garnitur, a na twarzy wyraz głębokiego zadowolenia z siebie.

- Wychodzimy - rzekł krótko.

- Proszę?

- My... to znaczy twoja ciotka, Dudley i ja... wychodzimy.

- Wspaniale - powiedział obojętnie Harry, znowu przenosząc oczy na sufit.

- Masz nie opuszczać swojej sypialni, gdy nas nie będzie.

- Dobra.

- Masz nie dotykać telewizora, wieży stereo ani żadnej rzeczy, która jest naszą własnością.

- Tak jest.

- Masz nie kraść jedzenia z lodówki.

- W porządku.

- Zamykam cię na klucz.

- Proszę bardzo.

Wuj Vernon obrzucił go uważnym spojrzeniem, najwyraźniej zaniepokojony tą uległością, a potem wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Rozległ się szczęk klucza obracanego w zamku i ciężkie kroki wuja, schodzącego po schodach. Kilka minut później trzykrotnie trzasnęły drzwi samochodu, zamruczał silnik i rozległ się charakterystyczny szmer opon toczących się po żwirze.

Wyjazd Dursleyów nie wzbudził w Harrym jakichś szczególnych uczuć. Było mu obojętne, czy byli w domu czy nie. Nie chciało mu się nawet wstać i zapalić światła. W sypialni robiło się coraz ciemniej, a on leżał, wsłuchując się w odgłosy nocy, bo okno wciąż było otwarte w oczekiwaniu na upragniony powrót Hedwigi.

W pustym domu co chwila coś trzeszczało i skrzypiało, bulgotało w rurach. Harry leżał całkowicie otępiały, nie myśląc o niczym, jakby zawieszony w pustce.

A potem usłyszał łoskot, całkiem wyraźnie dochodzący z kuchni.

Błyskawicznie usiadł, nasłuchując w napięciu. To nie mogli być Dursleyowie, na ich powrót było grubo za wcześnie, zresztą usłyszałby najpierw samochód.

Po kilku sekundach ciszy dobiegły go jakieś głosy.

Włamywacze, pomyślał, ześlizgując się z łóżka, ale po chwili uznał, że włamywacze staraliby się nie robić hałasu, a osoby, które były teraz w kuchni, z całą pewnością o to nie dbały.

Chwycił leżącą na nocnym stoliku różdżkę i stanął przed drzwiami sypialni, nasłuchując. I aż podskoczył, gdy nagle rozległ się szczęk zamka i drzwi otworzyły się na oścież.

Harry stał bez ruchu, wpatrując się w ciemny otwór drzwi i wytężając słuch, ale z ciemności nie dotarł do niego żaden nowy dźwięk. Zawahał się przez chwilę, a potem powoli, na palcach, wysunął się z pokoju, zatrzymując u szczytu schodów.

Serce podskoczyło mu do gardła. W mrocznym holu na dole ujrzał ciemne sylwetki na tle mlecznej szyby drzwi wejściowych, rozświetlonej blaskiem latarni. Było ich z ośmiu, może dziewięciu, i mógłby przysiąc, że wszyscy wpatrują się w niego.

- Opuść różdżkę, chłopcze, zanim pozbawisz kogoś oka - rozległ się niski, chrapliwy głos.

Serce Harry'ego łomotało jak oszalałe. Poznał ten głos, ale nie opuścił różdżki.

- Profesor Moody? - zapytał niepewnym głosem.

- Profesor jak profesor - zagrzmiał głos. - Za wiele to was chyba nie nauczyłem, co? Zejdź tutaj, chcemy cię zobaczyć.

Harry zniżył nieco różdżkę, nadal ściskając ją mocno, i nie ruszył się z miejsca. Miał wszelkie powody, by zbyt łatwo nikomu nie wierzyć. Nie tak dawno spędził dziewięć miesięcy w towarzystwie człowieka, który podawał się za Szalonookiego Moody'ego, a który okazał się sprytnym oszustem, w dodatku czyhającym na jego życie. Zanim jednak podjął decyzję, co robić dalej, rozległ się inny, nieco ochrypły głos.

- Wszystko w porządku, Harry. Przyszliśmy, żeby cię stąd zabrać.

Harry'emu serce znowu zabiło mocniej. Ten głos też był mu znajomy, choć nie słyszał go od co najmniej roku.

- P-profesor Lupin? - wyjąkał z niedowierzaniem. - To pan?

- Czy musimy tu stać w takich ciemnościach? - odezwał się trzeci głos, tym razem zupełnie mu nieznany, głos kobiecy. - *Lumos*.

Rozjarzył się koniec różdżki, zalewając hol magicznym światłem. Harry zamrugał. U stóp schodów stała grupa ludzi, wpatrując się w niego uważnie; niektórzy wyciągali szyje, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

Najbliżej stał Remus Lupin. Choć wciąż jeszcze młody, wyglądał na zmęczonego i jakby chorego, miał też więcej siwych włosów niż wtedy, gdy Harry żegnał się z nim po raz ostatni, a jego szata była jeszcze bardziej połatana i wystrzępiona niż dawniej. Uśmiechał się jednak szeroko do Harry'ego, który próbował odwzajemnić uśmiech pomimo szoku, w jakim się nadal znajdował.

- Oooch, wygląda właśnie tak, jak sobie wyobrażałam - oświadczyła czarownica trzymająca zapaloną różdżkę.

Była chyba najmłodsza z tego całego towarzystwa. Miała bladą, trójkątną twarz, czarne, błyszczące oczy i krótkie, najeżone włosy połyskujące fioletem.

- Cześć, Harry! - powitała go poufale.

- Taak, teraz rozumiem, co miałeś na myśli, Remusie - rzekł łysy czarodziej stojący nieco dalej; miał głęboki głos, a w jednym uchu nosił złote kółko. - Jest bardzo podobny do Jamesa.

- Prócz oczu - powiedział dychawicznym głosem srebrnowłosy czarodziej stojący z tyłu. - Oczy ma po Lily.

Szalonooki Moody, z długimi siwymi włosami i bardzo pokiereszowanym nosem, zezował podejrzliwie na Harry'ego. Jedno oko miał małe, czarne i paciorkowate, drugie wielkie, okrągłe i niebieskie, jarzące się jak żarówka - było to oko magiczne, którym widział przez ściany, drzwi i do tyłu, przez własną głowę.

- Jesteś całkowicie pewny, że to on? - burknął. - Bo mielibyśmy mały ambaras, gdybyśmy zabrali stąd jakiegoś śmierciożercę, który podszył się pod Harry'ego Pottera. Powinniśmy zapytać go o coś, o czym mógłby wiedzieć tylko prawdziwy Potter. Chyba że ktoś ma przy sobie veritaserum...

- Harry, jaką postać przybrał patronus? - zapytał Lupin.

- Jelenia - odrzekł nerwowo Harry.

- To on - oświadczył Lupin.

Harry, czując na sobie ich spojrzenia, zszedł po schodach, chowając różdżkę do tylnej kieszeni dżinsów.

- Nie wkładaj tam różdżki, chłopcze! - zagrzmiał Moody. - A jak się zapali? Lepsi czarodzieje od ciebie stracili w ten sposób tyłki, możesz mi wierzyć!

- A dokładnie, to kto stracił tyłek? - zapytała z ciekawością kobieta o fioletowych włosach.

- Nie twoja sprawa, po prostu nie należy wkładać różdżki do tylnej kieszeni - warknął Szalonooki. - To podstawowy środek ostrożności, a dziś wszyscy to mają w nosie. - Pokuśtykał do kuchni. - Widzę to - dodał ze złością, gdy kobieta wzniosła oczy do nieba.

Lupin wyciągnął rękę do Harry'ego.

- Jak się masz? - zapytał, przypatrując mu się uważnie.

- D-dobrze...

Harry nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Przez cztery bite tygodnie nic, żadnego sygnału o planach zabrania go z Privet Drive, a tu nagle prawie tuzin czarodziejów stoi sobie w tym domu jakby nigdy nic, jakby to zaplanowano od dawna. Zerknął po ludziach otaczających Lupina - wciąż bacznie mu się przyglądali. Nagle uświadomił sobie z całą mocą, że od czterech dni się nie czesał.

- Jestem... macie duże szczęście, że Dursleyów akurat nie ma w domu... - wymamrotał.

- Szczęście, a to ci dopiero! - zawołała kobieta o fioletowych włosach. - To ja ich stąd wywabiłam. Wysłałam im pocztą mugolską list z informacją, że znaleźli się na liście zwycięzców w Ogólnokrajowym Konkursie na Najlepiej Utrzymany Podmiejski Trawnik. Teraz pędzą, żeby odebrać nagrodę... a w każdym razie tak im się wydaje.

Harry ujrzał oczami wyobraźni twarz wuja Vernona w chwili, kiedy do niego dotarło, że nigdy nie było żadnego Ogólnokrajowego Konkursu na Najlepiej Utrzymany Podmiejski Trawnik.

- To co, wynosimy się stąd, tak? - zapytał. - Zaraz?

- Za moment - odrzekł Lupin. - Czekamy tylko na sygnał.

- A dokąd? Do Nory? - zapytał Harry z nadzieją.

- Nie, nie do Nory - powiedział Lupin, gestem zapraszając Harry'ego do kuchni. Reszta czarodziejów postępowała za nimi, wciąż gapiąc się na Harry'ego. - To zbyt ryzykowne. Kwaterę Główną założyliśmy w niewykrywalnym miejscu. Trochę to trwało...

Szalonooki Moody rozsiadł się przy kuchennym stole, pociągając z piersiówki i badając swym magicznym okiem wszystkie urządzenia oszczędzające pracę i czas.

- Harry, to jest Alastor Moody - przedstawił go Lupin.

- Wiem - odrzekł Harry z pewnym zakłopotaniem, bo poczuł się trochę dziwnie, gdy mu przedstawiono kogoś, kogo niby dobrze znał od ponad roku, ale naprawdę spotykał po raz pierwszy w życiu.

- A to jest Nimfadora...

- Nie nazywaj mnie Nimfadora, Remusie - przerwała mu młoda czarownica, wzdrygając się lekko. - Jestem Tonks.

- ...Nimfadora Tonks, która woli, by się do niej zwracano po nazwisku - skończył Lupin.

- Ty też byś wolał, gdyby twoja głupia matka nazwała cię Nimfadora - mruknęła Tonks.

- A to Kingsley Shacklebolt - wskazał wysokiego czarnoskórego czarodzieja, który się ukłonił. - To Elfias Doge. - Czarodziej o dychawicznym głosie skinął głową. - Dedalus Diggle.

- My już się znamy - zaskrzeczał podniecony Diggle, upuszczając swój fioletowy kapelusz.

- Emelina Vance. - Stateczna czarownica w szmaragdowozielonym szalu skłoniła z godnością głowę. - Sturgis Podmore. - Czarodziej o kwadratowej szczęce i włosach barwy słomy mrugnął do Harry'ego. - I Hestia Jones. - Czarnowłosa czarownica o różowych policzkach, stojąca obok tostera, pomachała do niego ręką.

Harry witał każdego nieśmiałym skinieniem głowy. Bardzo chciał, żeby przestali się na niego gapić; czuł się tak, jakby go niespodziewanie wprowadzono na scenę. Zastanawiał się też, dlaczego przybyło ich tak wielu.

- Zadziwiająca liczba ochotników zgłosiła się, by ciebie stąd zabrać - powiedział Lupin, jakby czytał w jego myślach. Kąciki ust zadrgały mu lekko.

- Taak, no cóż, im więcej, tym lepiej - mruknął posępnie Moody. - Jesteśmy twoją strażą, Potter.

- Czekamy tylko na sygnał, że wszystko jest w porządku - rzekł Lupin, wyglądając przez okno. - Jeszcze jakiś kwadrans.

- Ależ ci mugole są czyści, prawda? - zauważyła Tonks, rozglądając się po kuchni z wyraźnym zainteresowaniem. - Mój ojciec też pochodzi z mugolskiej rodziny, ale straszny z niego flejtuch. Pewnie są i tacy, i tacy, tak jak wśród czarodziejów, co?

- Ee... no tak - odpowiedział Harry. - Panie profesorze - zwrócił się do Lupina - co właściwie się dzieje, nie miałem od nikogo żadnych wiadomości, czy Vol...

Rozległy się głośne posykiwania, a Dedalusowi Diggle'owi kapelusz ponownie wypadł z rąk.

- Zamilcz! - warknął Moody.

- Co? - oburzył się Harry.

- Tutaj nie będziemy o niczym rozmawiać, to zbyt ryzykowne - rzekł Moody, zwracając na Harry'ego swoje normalne oko, podczas gdy magiczne pozostało utkwione w suficie. - Niech to szlag - dodał ze złością, dotykając owego oka - od czasu, jak używał go ten łobuz, często się zacina.

I wyjął je, czemu towarzyszył obrzydliwy chlupot, jakby ktoś wyciągnął korek ze zlewu pełnego wody.

- Szalonooki, chyba zdajesz sobie sprawę, że to odrażające, co? - zapytała Tonks niewinnym tonem.

- Daj mi szklankę wody, chłopcze, dobrze? - poprosił Moody.

Harry podszedł do zlewu, wziął czystą szklankę i napełnił ją wodą z kranu, wciąż bacznie obserwowany przez grupę czarodziejów. Zaczynało go to już denerwować.

- Na zdrowie - powiedział Moody, kiedy Harry podał mu szklankę. Wrzucił magiczne oko do wody i szturchnął je parę razy palcem. Oko zawirowało, łypiąc po kolei na każdego. - Muszę mieć pełną widoczność w drodze powrotnej. Trzysta sześćdziesiąt stopni, ani stopnia mniej.

- Jak się dostaniemy... tam, dokąd zamierzacie mnie zabrać? - zapytał Harry.

- Na miotłach - odrzekł Lupin. - Jesteś za młody na aportację, Sieć Fiuu jest pod ich obserwacją, a użycie nielegalnego świstoklika nie wchodzi w rachubę.

- Remus mówił, że świetnie latasz - powiedział swym basem Kingsley Shacklebolt.

- To mistrz - rzekł Lupin, zerkając na zegarek. - No, Harry, lepiej idź na górę i spakuj się. Musimy być gotowi, gdy nadejdzie sygnał.

- Pójdę z tobą i pomogę ci - zaproponowała Tonks z wyraźną ochotą.

Ruszyła za nim do holu, a potem w górę po schodach, rozglądając się z ciekawością.

- To dziwny dom - stwierdziła. - Trochę za czysty... Chyba rozumiesz, co mam na myśli? Troszkę nienaturalny. Och, tu jest lepiej! - dodała, gdy Harry zapalił światło w swej sypialni.

W jego pokoju z całą pewnością nie było czysto. Zamknięty w nim przez ostatnie cztery dni i pogrążony w bardzo złym nastroju, Harry nie dbał o porządek. Większość jego książek leżała w nieładzie na podłodze, gdzie odrzucał je po kolei za każdym razem, kiedy próbował coś przeczytać, żeby oderwać się od ponurych myśli. Klatka Hedwigi domagała się porządnego wyczyszczenia i zaczynała już cuchnąć, a z otwartego kufra kipiała obficie na podłogę pogmatwana mieszanina mugolskich ubrań i szat czarodziejów.

Harry zaczął zbierać książki i wrzucać je pospiesznie do kufra. Tonks zatrzymała się przed otwartą szafą, przyglądając się krytycznie swemu odbiciu w lustrze na wewnętrznej stronie drzwi.

- Wiesz co, to chyba jednak nie jest mój kolor - powiedziała z zadumą, pociągając za kępkę sztywnych, sterczących we wszystkie strony włosów. - Wyglądam w nim jakoś mizernie, nie uważasz?

- Ee... - bąknął Harry, zerkając na nią znad tomu *Brytyjskich i irlandzkich drużyn quidditcha*.

- Tak, to nie to - stwierdziła stanowczo.

Zacisnęła powieki, jakby sobie usiłowała coś przypomnieć, i w chwilę później jej fioletowe włosy zrobiły się różowe jak malinowa guma do żucia.

- Jak pani to zrobiła? - zdumiał się Harry, gapiąc się na nią.

- Jestem metamorfomagiem - odrzekła, wpatrując się w lustro i obracając głowę, żeby zobaczyć efekt z każdej strony - Potrafię zmieniać swój wygląd, kiedy tylko zechcę - dodała, napotykając w lustrze zdumioną minę Harry'ego. - Taka się już urodziłam. Podczas kursu aurorów miałam najwyższe oceny z maskowania się, choć wcale się tego nie uczyłam. Ale mi zazdrościli!

- Pani jest aurorem? - zapytał Harry z przejęciem, bo jedyne, co mu przychodziło do głowy, gdy myślał, co będzie robił po ukończeniu Hogwartu, to kariera łapacza czarnoksiężników.

- A tak - odrzekła z wyraźną dumą Tonks. - Kingsley też, ale on jest ode mnie trochę lepszy. Ja zdobyłam uprawnienia dopiero rok temu. O mały włos nie oblałam kradzieży i śledzenia. Trochę ze mnie niezdara... Słyszałeś, jak rozbiłam na dole ten talerz, kiedy tu wylądowaliśmy?

- Można się tego nauczyć? To znaczy... jak zostać metamorfomagiem? - zapytał Harry, prostując się i zapominając o pakowaniu.

Tonks zacmokała.

- Założę się, że chciałbyś czasami ukryć tę bliznę, co?

- Nie, wcale mi nie przeszkadza - wymamrotał Harry i odwrócił się. Nie lubił, kiedy się przyglądano jego bliźnie.

- No cóż, muszę cię zmartwić, to nie takie proste. Metamorfomagów jest niewielu, bo z tym trzeba się urodzić, nie można się tego nauczyć. Większość czarodziejów używa różdżki albo eliksiru, kiedy chce zmienić wygląd. No, ale musimy się pospieszyć z tym pakowaniem, Harry, czekają na nas - dodała, patrząc na bałagan na podłodze.

- Och... tak - bąknął Harry, chwytając kilka książek.

- Nie bądź głupi, tak będzie szybciej... *Pakuj!* - krzyknęła i zamaszyście machnęła różdżką.

Książki, ubrania, teleskop i waga poszybowały do kufra i zniknęły w jego wnętrzu.

- Za ładnie to nie wygląda - mruknęła Tonks, zaglądając do kufra. - Moja mama potrafi to zrobić tak, że wszystko jest porządnie poukładane... nawet skarpetki dobierają się parami i schludnie zwijają... ale mnie się nigdy nie udało tego opanować... trzeba jakoś tak strzepnąć...

Machnęła krótko różdżką. Jedna ze skarpetek Harry'ego podskoczyła, skręciła się dziwnie i opadła z powrotem do kufra.

- A co tam... - Tonks zatrzasnęła wieko kufra. - W każdym razie wszystko jest w środku. Ale to chyba też trzeba trochę oczyścić. - Wycelowała różdżkę w klatkę Hedwigi. - *Chłoszczyść!* - Zniknęło parę piórek i trochę ptasiego łajna. - Trochę lepiej... Jakoś nigdy nie zdołałam opanować tych zaklęć gospodarskich. Masz już wszystko? Kociołek? Miotła? Ojej! To Błyskawica?

Oczy jej się rozszerzyły, kiedy zobaczyła, co Harry trzyma w ręku. Była to jego duma i radość, prezent od Syriusza, miotła światowej klasy.

- A ja wciąż dosiadam Komety Dwa Sześćdziesiąt - westchnęła. - A co tam... Różdżka nadal w dżinsach? Oba pośladki jeszcze całe? W porządku, idziemy. *Locomotor kufer*.

Kufer Harry'ego wzniósł się na kilka cali w powietrze. Trzymając różdżkę jak dyrygent batutę, Tonks sterowała nim przez pokój i po schodach, niosąc klatkę Hedwigi w lewej ręce. Harry zszedł za nią ze swoją miotłą.

Magiczne oko Moody'ego wróciło już na swoje miejsce i teraz obracało się w oczodole tak szybko, że Harry'emu robiło się niedobrze. Kingsley Shacklebolt i Sturgis Podmore oglądali kuchenkę mikrofalową, a Hestia Jones naśmiewała się z obieracza do kartofli, który znalazła w jednej z szuflad. Lupin pieczętował list zaadresowany do Dursleyów.

- Świetnie - rzekł Lupin, gdy Tonks i Harry weszli do kuchni. - Jeszcze z minutę. Lepiej wyjdźmy do ogródka, żeby być w pogotowiu. Harry, zostawiam list do twojego wuja i ciotki, żeby się nie niepokoili...

- Nie będą - zapewnił go Harry.

- ...żeby wiedzieli, że jesteś bezpieczny...

- To ich tylko zasmuci.

- ...i że wrócisz do nich na wakacje w przyszłym roku.

- A muszę?

Lupin tylko się uśmiechnął.

- Chodź no tu, chłopcze - burknął Moody, przywołując go różdżką. - Muszę cię zakameleonować.

- Co pan musi? - zapytał z niepokojem Harry.

- Rzucić na ciebie Zaklęcie Kameleona - rzekł Moody, podnosząc różdżkę. - Lupin mówił, że masz pelerynę-niewidkę, ale podczas lotu może ci spaść, zakameleonowanie jest bezpieczniejsze. Proszę bardzo...

I uderzył go mocno różdżką w głowę, a Harry poczuł się tak, jakby Moody roztrzaskał mu jajko na głowie: wydawało mu się, że z miejsca, w które ugodziła różdżka, spływają mu po całym ciele lodowate strumyczki.

- Całkiem nieźle, Szalonooki - pochwaliła go Tonks, wpatrując się w brzuch Harry'ego.

Harry spojrzał w dół na swoje ciało, a raczej na to, co jeszcze przed chwilą było jego ciałem. Nie znikło, ale przybrało barwę i wygląd kuchni poza nim. Jakby stał się ludzkim kameleonem!

- Idziemy - rzekł Moody, otwierając różdżką tylne drzwi.

Wyszli wszyscy na wzorowo utrzymany trawnik wuja Vernona.

- Ani jednej chmurki - mruknął Moody, przebiegając niebo spojrzeniem magicznego oka. - A przydałoby się kilka... Słuchaj, chłopcze - warknął do Harry'ego - polecimy w zwartym szyku. Tonks będzie lecieć tuż przed tobą, siedź jej na ogonie. Lupin będzie cię osłaniał od dołu. Ja będę z tyłu. Reszta naokoło nas. Pod żadnym pozorem nie wolno łamać szyku, rozumiesz? Gdyby ktoś z nas został zabity...

- A może zostać? - wyrwało się Harry'emu, ale Moody to zignorował.

- ...reszta leci dalej, nie zatrzymuje się, nie łamie szyku. Gdyby nas wszystkich załatwili, a ty byś ocalał, Harry, przejmie cię tylna straż, leć prosto na wschód, a już oni cię znajdą.

- Nie bądź taki beztroski, Szalonooki, bo chłopak sobie pomyśli, że żartujemy - powiedziała Tonks, przymocowując skórzanymi pasami kufer Harry'ego i klatkę Hedwigi do swojej miotły.

- Mówię mu tylko, jaki jest plan - warknął Moody. - Naszym zadaniem jest bezpieczne doprowadzenie go do Kwatery Głównej, a jeśli stracimy przy tym życie...

- Nikomu nic się nie stanie - powiedział Kingsley Shacklebolt swym głębokim, uspokajającym głosem.

- Wsiadamy na miotły, jest pierwszy sygnał! - rzucił ostro Lupin, wskazując na niebo.

Daleko, daleko nad nimi, między gwiazdami wystrzelił snop czerwonych iskier. Harry natychmiast rozpoznał w nich iskry z różdżki. Przerzucił prawą nogę przez Błyskawicę i uchwycił mocno jej rączkę, czując lekkie wibracje, jakby miotła wyrywała się do lotu z taką samą ochotą jak on.

- Drugi sygnał, lecimy! - krzyknął Lupin, gdy nad ich głowami wystrzelił nowy snop iskier, tym razem zielonych.

Harry odepchnął się mocno nogami od ziemi. Chłodny strumień powietrza rozwiał mu włosy, gdy schludne ogródki Privet Drive uciekły w dół, zamieniając się szybko w patchwork ciemnozielonych i czarnych prostokącików, a pęd powietrza wywiał mu z głowy wszystkie ponure myśli o przesłuchaniu w ministerstwie. Serce zabiło mu ze szczęścia tak mocno, jakby i ono chciało wyrwać się z piersi na wolność: znowu leciał, pozostawiając za sobą Privet Drive, tak jak sobie marzył przez całe to lato, wracał do domu... Przez kilka cudownych chwil wszystkie sprawy, którymi tak się zadręczał, rozpłynęły się w nicość, pochłonięte przez to nieskończone, rozgwieżdżone niebo.

- Ostro w lewo! Ostro w lewo, jakiś mugol na nas patrzy! - dobiegł go zza pleców głos Moody'ego.

Tonks skręciła gwałtownie i Harry zrobił to samo, patrząc, jak jego kufer huśta się dziko pod jej miotłą.

- Wyżej!... Wyżej o ćwierć mili!

Wznosili się coraz wyżej i Harry'emu oczy zaczęły łzawić z zimna. Teraz w dole widział tylko drobne cętki światełek - zapewne światła latarni i reflektorów samochodowych. Dwa z nich mogą należeć do auta wuja Vernona... może Dursleyowie właśnie wracają do pustego domu, wściekli na cały świat z powodu tego nieistniejącego konkursu na najlepszy trawnik... Harry roześmiał się głośno na tę myśl, ale jego śmiech zginął w łopocie szat, trzeszczeniu pasów, na których dyndał jego kufer i klatka, i szumu wiatru w uszach. Od miesiąca nie czuł się tak ożywiony i tak szczęśliwy.

- Zwrot na południe! - krzyknął Szalonooki. - Przed nami miasto!

Skręcili w prawo, by ominąć połyskującą w dole pajęczynę świateł.

- Kierunek południowy wschód i nadal w górę, przed nami jakaś niska chmura, w której możemy się ukryć!

- Nie lecimy przez żadne chmury! - zawołała ze złością Tonks. - Przemokniemy do suchej nitki, Szalonooki!

Harry był jej za to wdzięczny. Dłonie, zaciśnięte na rączce Błyskawicy, już mu zdrętwiały i dygota! z zimna. Żałował, że nie włożył płaszcza.

Co jakiś czas zmieniali kurs zgodnie z poleceniami Moody'ego. Harry mrużył oczy przed lodowatym powiewem, czując, że zaczynają go boleć uszy. Tylko raz przeżył takie zimno, lecąc na miotle podczas meczu quidditcha przeciw Krukonom, w trzeciej klasie, gdy przypadło im grać podczas burzy. Czarodzieje zataczali wokół niego koła jak wielkie drapieżne ptaki. Stracił poczucie czasu. Wydawało mu się, że lot trwa już przynajmniej godzinę.

- Zwrot na południowy zachód! - ryknął Moody. - Z dala od autostrady!

Harry był już tak przemarznięty, że z utęsknieniem pomyślał o przytulnych, suchych wnętrzach samochodów sunących w dole autostradą, a potem, z jeszcze większą tęsknotą, o podróży Siecią Fiuu; wirowanie w czyimś kominku może i nie należało do najprzyjemniejszych doznań, ale w płomieniach było przynajmniej ciepło... Kingsley Shacklebolt okrążył go z łopotem szaty, błyskając łysiną i złotym kolczykiem w świetle księżyca... teraz Emelina Vance pojawiła się z prawej strony, trzymając przed sobą różdżkę i kręcąc głową na prawo i lewo... a potem i ona poszybowała w górę, a u jego boku znalazł się Sturgis Podmore...

- Musimy zatoczyć koło, żeby się upewnić, że nikt za nami nie leci! - krzyknął Moody.

- CZYŚ TY ZWARIOWAŁ, SZALONOOKI?! - wrzasnęła Tonks. - Przemarzliśmy do szpiku mioteł! Jeśli będziemy wciąż zbaczać z kursu, dolecimy tam w przyszłym tygodniu! Przecież jesteśmy już tak blisko!

- Podchodzimy do lądowania! - rozległ się głos Lupina. - Harry, leć za Tonks!

Tonks poszybowała w dół, a Harry za nią. Mknęli ku wielkiemu skupisku świateł, ku rozciągającej się aż po horyzont plątaninie rozjarzonych linii, pomiędzy którymi ziały plamy czerni. Spadali coraz niżej i niżej, aż Harry zaczął dostrzegać pojedyncze latarnie i reflektory samochodów, kominy i anteny telewizyjne. Bardzo już chciał poczuć grunt pod nogami, choć był pewny, że trzeba go będzie odmrozić od miotły.

- Jesteśmy na miejscu! - krzyknęła Tonks i kilka sekund później wylądowała na ziemi.

Harry dotknął nogami ziemi tuż za nią i zsiadł z miotły na kępie niestrzyżonej trawy pośrodku niewielkiego placu. Rozejrzał się wokoło. Ponure fronty otaczających placyk domów nie wyglądały zachęcająco; w niektórych okna miały powybijane szyby, z wielu drzwi łuszczyła się farba, a przed schodkami leżały stosy śmieci.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Harry, ale Lupin rzucił tylko: - Za chwilę.

Moody grzebał w płaszczu zgrabiałymi rękami.

- Mam cię - mruknął, wznosząc coś w rodzaju srebrnej zapalniczki.

Rozległo się pstryknięcie i najbliższa latarnia pyknęła i zgasła. Znowu pstryknął wygaszaczem i zgasła następna; i tak pstrykał, aż pogasły wszystkie latarnie na placyku. Teraz światło sączyło się tylko przez kilka pozasłanianych okien i z sierpu księżyca na niebie.

- Pożyczyłem to od Dumbledore'a - zadudnił basem Moody, chowając wygaszacz. - To nam wystarczy na wypadek, gdyby jakiś mugol wyjrzał przez okno. No, idziemy, szybko!

Wziął Harry'ego pod ramię i przeprowadził przez trawnik, potem przez ulicę na chodnik. Lupin i Tonks szli za nimi, niosąc kufer Harry'ego, osłaniani przez resztę straży, która kroczyła po bokach z wyciągniętymi różdżkami.

Z górnego piętra najbliższego domu dochodziło stłumione dudnienie muzyki z odtwarzacza stereo. Stęchły zapach gnijących śmieci bił ze sterty pękających plastikowych worków zwalonych w sieni z wyłamanymi drzwiami.

- Czytaj - mruknął Moody, wyciągając ku zakameleonowanej dłoni Harry'ego kawałek pergaminu i oświetlając go różdżką. - Przeczytaj i zapamiętaj.

Harry spojrzał na pergamin. Wąskie pismo wydało mu się dziwnie znajome. Przeczytał:

Kwatera Główna Zakonu Feniksa znajduje się w Londynie przy Grimmauld Place 12.

ROZDZIAŁ CZWARTY
GRIMMAULD PLACE 12

- Co to takiego, ten Zakon... - zaczął Harry, ale Moody warknął:

- Nie tutaj, chłopcze! Zaczekaj, aż znajdziemy się w środku!

Wyrwał Harry'emu pergamin z ręki i podpalił go końcem różdżki. Pergamin zajął się ogniem, a spopielały rulonik opadł na ziemię. Harry ponownie spojrzał na domy. Stali przed numerem 11, na lewo był numer 10, ale na prawo numer 13.

- Ale gdzie jest...

- Powtórz w myślach to, co zapamiętałeś - powiedział spokojnie Lupin.

Harry pomyślał, a gdy tylko doszedł do miejsca, w którym była mowa o Grimmauld Place 12, pomiędzy numerami 11 i 13 pojawiły się znikąd poobtłukiwane drzwi, a z obu ich stron brudne ściany i ponure okna. Jakby między domami rozdął się nowy dom, rozpychając sąsiednie. Harry wytrzeszczył oczy. W domu numer 11 wciąż dudnił odtwarzacz stereo. Mieszkający w nim mugole najwidoczniej niczego nie poczuli.

- No, ruszaj, szybko! - warknął Moody, szturchając go w plecy.

Harry wszedł po wychodzonych stopniach, wpatrując się w świeżo zmaterializowane drzwi. Czarna farba w wielu miejscach złuszczyla się i poodpadała. Srebrna klamka miała kształt wijącego się węża. Nie było dziurki od klucza ani szpary na listy.

Lupin wyciągnął różdżkę i stuknął nią w drzwi. Harry usłyszał jakieś metaliczne szczęknięcia i odgłos jakby podzwaniania łańcuchami. Drzwi otworzyły się, skrzypiąc przeraźliwie.

- Harry, wchodź szybko - szepnął Lupin. - Tylko nie idź dalej i niczego nie dotykaj.

Harry przekroczył próg i znalazł się w prawie całkiem ciemnym przedpokoju. Poczuł zapach wilgoci, kurzu i słodki odór stęchlizny, jakby w tym domu nikt od dawna nie mieszkał. Obejrzał się przez ramię i zobaczył ciemne sylwetki czarodziejów. Lupin i Tonks dźwigali jego kufer i klatkę Hedwigi. Moody stał na zewnątrz, zapalając z powrotem latarnie; skradzione uprzednio kule światła śmigały do żarówek i zanim Moody wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi, tak że w przedpokoju zrobiło się zupełnie ciemno, placyk zalała pomarańczowa poświata.

- Zaraz...

Harry znowu poczuł uderzenie różdżką w głowę, lecz tym razem ze szczytu czaszki spłynęły po jego ciele strumyki gorąca, zrozumiał więc, że Moody zdjął z niego Zaklęcie Kameleona.

- Nie ruszajcie się przez chwilę, zaraz się postaram, żeby było trochę jaśniej - napłynął z ciemności szept Moody'ego.

Przyciszone głosy reszty czarodziejów budziły w Harrym jakieś złowieszcze uczucia, jakby weszli do domu, w którym ktoś umiera. Rozległ się cichy syk i wzdłuż ścian zapłonęły staroświeckie lampy gazowe, rzucając rozdygotane, choć dziwnie martwe światło na łuszczące się tapety i włóczkowy chodnik biegnący przez długi, ponury korytarz. Okryty pajęczynami żyrandol połyskiwał mętnie pod sufitem, a ze ścian spoglądały poczerniałe portrety. Za listwą przy podłodze coś chrobotało. Zarówno żyrandol, jak i kandelabr na kulawym stoliku miały kształt węży.

Harry usłyszał pospieszne kroki i w drzwiach na końcu korytarza pojawiła się pani Weasley, matka Rona. Tryskała radością, choć Harry'emu wydało się, że jest jakby szczuplejsza i bledsza niż wtedy, gdy ją widział po raz ostatni.

- Och, Harry, jak się cieszę, że cię widzę! - szepnęła, chwytając go w objęcia tak mocno, że żebra mu zatrzeszczały, po czym odsunęła go od siebie na odległość wyciągniętych ramion i przyjrzała mu się uważnie. - Wyglądasz mizernie. Trzeba cię będzie dokarmić, ale, niestety, na kolację będziesz musiał trochę poczekać.

Zwróciła się do stojącej za Harrym grupy czarodziejów i wyszeptała z naciskiem:

- Dopiero co przybył, posiedzenie już się zaczęło.

Rozległy się stłumione okrzyki podniecenia i wszyscy ruszyli ku drzwiom, z których dopiero co wyszła pani Weasley. Harry chciał tam wejść za Lupinem, ale pani Weasley go zatrzymała.

- Nie, Harry, w posiedzeniu mogą wziąć udział wyłącznie członkowie Zakonu. Ron i Hermiona są na górze, możesz tam z nimi poczekać, aż zebranie się skończy i zrobimy kolację. I nie podnoś głosu w przedpokoju, dobrze? - dodała szeptem.

- Dlaczego?

- Bo możesz coś obudzić.

- Co?...

- Później ci wyjaśnię, musimy się spieszyć, powinnam już być na zebraniu... Pokażę ci tylko, gdzie będziesz spał.

Przyciskając palec do ust, poprowadziła go na palcach obok dwóch długich, zjedzonych przez mole zasłon, za którymi, jak przypuszczał Harry, były jeszcze jedne drzwi, a następnie obok wielkiego stojaka na parasole, który wyglądał, jakby go zrobiono z odciętej nogi trolla, po czym zaczęli wchodzić po mrocznych schodach, mijając rząd wyschniętych,

skurczonych głów, osadzonych na wiszących na ścianach plakietkach. Harry przyjrzał im się bliżej i rozpoznał głowy skrzatów domowych. Każda miała taki sam ryjkowaty nos.

Z każdym krokiem Harry'ego ogarniało coraz większe zdziwienie. Co oni robią w tym domu, sprawiającym wrażenie, jakby należał do najbardziej posępnego czarnoksiężnika?

- Pani Weasley, dlaczego...

- Ron i Hermiona wszystko ci wyjaśnią, kochaneczku. Ja naprawdę muszę już lecieć - wyszeptała pani Weasley. - O, tutaj.... - Byli na drugim piętrze. - Te drzwi na prawo to twoja sypialnia. Zawołam was, jak się skończy.

I zbiegła po schodach na dół.

Harry przeszedł przez obdrapaną klatkę schodową, obrócił gałkę w drzwiach (miała kształt głowy węża) i pchnął drzwi.

Zaledwie ogarnął spojrzeniem ponury, wysoki pokój z dwoma pojedynczymi łóżkami, gdy rozległ się przeraźliwy pisk i świergot, a potem jeszcze głośniejszy krzyk, i widok przesłoniła mu całkowicie masa gęstych włosów. Hermiona rzuciła się na niego z takim impetem, że prawie zwaliła go z nóg, podczas gdy sówka Rona, Świstoświnka, polatywała podniecona nad ich głowami.

- HARRY! Ron, on już jest, Harry już tu jest! Nie usłyszeliśmy waszego przybycia! Och, Harry, jak się masz? Nic ci nie jest? Bardzo się na nas wściekałeś? Założę się, że tak, wiem, że nasze listy były beznadziejne... ale nie mogliśmy ci nic powiedzieć, Dumbledore kazał nam przysiąc, że nic ci nie powiemy, och, a tyle mamy ci do opowiedzenia... no i ty nam... o dementorach! Kiedy się o tym dowiedzieliśmy... i o tym przesłuchaniu w ministerstwie... to naprawdę oburzające... Sprawdziłam to wszystko, nie mogą cię wyrzucić, po prostu nie mogą, w Ustawie o Uzasadnionych Restrykcjach wobec Niepełnoletnich Czarodziejów jest klauzula pozwalająca na użycie czarów w sytuacji zagrożenia...

- Hermiono, pozwól mu odetchnąć - powiedział Ron, zamykając drzwi za Harrym.

Ron chyba urósł o parę cali w ciągu ich miesięcznej rozłąki, członki jakby mu się jeszcze bardziej wydłużyły, choć wydatny nos, rude włosy i piegi były te same.

Hermiona, wciąż tryskając radością, wypuściła Harry'ego z objęć, ale zanim zdążyła coś jeszcze powiedzieć, rozległ się znajomy szum skrzydeł i coś białego sfrunęło ze stojącej w ciemnym kącie szafy i wylądowało na jego ramieniu.

- Hedwiga!

Sowa śnieżna kłapnęła dziobem i uszczypnęła go pieszczotliwie w ucho. Harry pogłaskał jej białe piórka.

- Jest w znakomitej kondycji - rzekł Ron. - Chciała nas zadziobać na śmierć, kiedy przyniosła twoje ostatnie listy, zobacz...

Pokazał Harry'emu swój palec wskazujący, na którym widniało już prawie zabliźnione, głębokie rozcięcie.

- Aaa... no tak... Bardzo mi przykro, ale chciałem was zmusić do odpowiedzi, sam rozumiesz...

- No wiesz, stary, przecież chcieliśmy ci odpowiedzieć - powiedział Ron. - Hermiona się zamartwiała, wciąż powtarzała, że możesz zrobić jakieś głupstwo, jeśli będziesz tam zupełnie sam, nie wiedząc, co się dzieje, ale Dumbledore kazał nam...

- ...przysiąc, że mi nic nie powiecie - dokończył za niego Harry. - Tak, wiem, Hermiona już mi to powiedziała.

Ciepło, które poczuł na widok dwojga swoich najlepszych przyjaciół, ustąpiło przed falą chłodu, który wypełnił mu żołądek. Nagle - po całym miesiącu tęsknoty za nimi - poczuł, że wolałby teraz zostać sam.

Zapadła kłopotliwa cisza, w której Harry gładził machinalnie Hedwigę, nie patrząc na nich.

- On uważał, że tak będzie najlepiej - powiedziała cicho Hermiona. - Dumbledore.

- Oczywiście - rzucił krótko Harry.

Zauważył, że dłonie Hermiony też noszą na sobie ślady dzioba Hedwigi. Jakoś wcale mu nie było przykro z tego powodu.

- Chyba uważał, że wśród mugoli będziesz najbezpieczniejszy... - zaczął Ron.

- Taak? - Harry uniósł brwi. - Czy tego lata któreś z was też zostało zaatakowane przez dementorów?

- No... nie... ale właśnie dlatego kazał członkom Zakonu Feniksa mieć cię na oku przez cały czas...

Harry poczuł pustkę w brzuchu, jakby schodząc ze schodów, nie trafił na stopień. A więc wszyscy wiedzieli, że jest śledzony, pilnowany... Wszyscy, prócz niego.

- Ale jakoś im to nie wyszło, co? - rzekł, starając się za wszelką cenę nie wybuchnąć. - Musiałem sam o siebie zadbać, tak?

- Strasznie się wściekł - powiedziała z przejęciem Hermiona. - Dumbledore. Widzieliśmy go, kiedy się dowiedział, że Mundungus zostawił cię samego przed końcem swojej warty. Był naprawdę przerażający.

- No, ale w końcu dobrze się stało, że mnie zostawił - rzekł chłodno Harry. - Gdyby tego nie zrobił, nie musiałbym użyć czarów i pewnie siedziałbym u Dursleyów do końca lata.

- Nie boisz się tego... tego przesłuchania w Ministerstwie Magii? - zapytała cicho Hermiona.

- Nie - skłamał Harry buntowniczym tonem.

Odszedł od nich, rozglądając się wokoło, z Hedwigą usadowioną na jego ramieniu i mrużącą z rozkoszy oczy, ale ten pokój nie mógł mu poprawić nastroju. Był ciemny i wilgotny. Złuszczone ściany zdobił tylko jeden „obraz": niezamalowane płótno w bogato zdobionej ramie. Wydawało mu się, że kiedy koło niego przechodził, usłyszał jakiś stłumiony chichot.

- A więc dlaczego Dumbledore'owi tak zależało, żebym o niczym nie wiedział? - zapytał, wciąż starając się, by jego głos brzmiał zdawkowo. - Raczyliście go o to zapytać?

Zerknął na nich i spostrzegł, że wymieniają znaczące spojrzenia, jakby zachowywał się właśnie tak, jak się obawiali. Nie polepszyło mu to nastroju.

- Powiedzieliśmy mu, że chcemy ci napisać, co się dzieje - rzekł Ron. - Uwierz mi, stary. Ale on naprawdę jest teraz bardzo zajęty, widzieliśmy go tylko dwa razy, odkąd tu jesteśmy, i nie miał dla nas wiele czasu, kazał nam tylko przysiąc, że nie napiszemy ci o niczym ważnym. Powiedział, że ktoś może przechwycić sowę.

- Gdyby tylko chciał, to by mi jakoś wiadomość przekazał. Chyba nie zamierzacie mi wmówić, że Dumbledore nie zna sposobów przekazania wiadomości bez użycia sów.

Hermiona zerknęła na Rona i powiedziała:

- Ja też tak sobie pomyślałam. Ale on nie chciał, żebyś się dowiedział.

- Może uważa, że nie jestem godny zaufania - powiedział Harry, obserwując ich twarze.

- Nie bądź głupi - rzekł Ron, wyraźnie bardzo zmieszany.

- Albo że nie potrafię sam o siebie zadbać.

- Daj spokój, przecież na pewno tak nie myśli! - zawołała z niepokojem Hermiona.

- Więc dlaczego ja musiałem siedzieć u Dursleyów, a wy od dawna bierzecie w tym wszystkim udział? - zapytał Harry, wypowiadając każde kolejne słowo szybciej i głośniej od poprzedniego. - Dlaczego wam wolno wiedzieć o wszystkim, co się dzieje, a mnie nie?

- Wcale o wszystkim nie wiemy! - przerwał mu Ron. - Mama nie pozwoliła nam zbliżać się do nich, kiedy było zebranie, powiedziała, że jesteśmy za młodzi...

Ale Harry stracił już całkowicie panowanie nad sobą.

- WIĘC NIE UCZESTNICZYLIŚCIE W TYCH ZEBRANIACH, TAK?! WIELKA SPRAWA! ALE TU BYLIŚCIE, TAK? BYLIŚCIE TU RAZEM! A JA PRZEZ CAŁY MIESIĄC TKWIŁEM SAM JAK KOŁEK U DURSLEYÓW! A CHYBA DOKONAŁEM

WIĘKSZYCH RZECZY NIŻ WY DWOJE RAZEM WZIĘCI, I DUMBLEDORE DOBRZE O TYM WIE... KTO ZDOBYŁ KAMIEŃ FILOZOFICZNY? KTO ZAŁATWIŁ RIDDLE'A? KTO OCALIŁ WAS OD DEMENTORÓW?

Wylewał z siebie gorycz i rozżalenie, dręczące go przez cały miesiąc, swoją bezsilność wobec braku jakichkolwiek wiadomości, swój żal, że oni są razem, a on skazany jest na niepewność i samotność, swoją wściekłość na to, że kazano go śledzić, a on nic o tym nie wiedział - dawał upust tym wszystkim uczuciom, których sam trochę się wstydził. Przerażona tym wybuchem Hedwiga pofrunęła z powrotem na szafę, Świstoświnka krążyła jeszcze szybciej nad ich głowami, poćwierkując niespokojnie.

- KTO MUSIAŁ W ZESZŁYM ROKU POKONAĆ SMOKI, SFINKSY I TE WSZYSTKIE INNE OKROPNOŚCI? KTO BYŁ ŚWIADKIEM JEGO POWROTU? KTO MUSIAŁ PRZED NIM UCIEKAĆ? JA!

Ron zamarł bez ruchu z półotwartymi ustami, najwyraźniej nie wiedząc, co powiedzieć, a Hermiona wyglądała, jakby się miała za chwilę rozpłakać.

- ALE NIBY PO CO MIAŁBYM WIEDZIEĆ, CO SIĘ DZIEJE! PO CO KTOŚ MIAŁBY ZADAĆ SOBIE TROCHĘ TRUDU, ŻEBY MI O TYM POWIEDZIEĆ!

- Harry, myśmy chcieli ci wszystko powiedzieć, naprawdę... - zaczęła Hermiona.

- JAKOŚ NIE ZA BARDZO CHCIELIŚCIE, BO MOGLIŚCIE PRZYSŁAĆ MI SOWĘ, TYLKO ŻE „DUMBLEDORE KAZAŁ WAM PRZYSIĄC"...

- No kazał...

- PRZEZ CZTERY BITE TYGODNIE SIEDZIAŁEM JAK GŁUPI NA PRIVET DRIVE, KRADNĄC GAZETY Z KOSZY NA ŚMIECI, ŻEBY SIĘ CZEGOŚ DOWIEDZIEĆ...

- Chcieliśmy...

- MAM NADZIEJĘ, ŻE SIĘ TUTAJ ŚWIETNIE BAWILIŚCIE...

- Ależ nie, daję słowo...

- Harry, bardzo nam przykro, naprawdę! - zawołała Hermiona z oczami pełnymi łez. - Masz absolutną rację... Ja bym też się tak wściekała, gdybym się znalazła w takiej sytuacji!

Harry rzucił jej gniewne spojrzenie, dysząc ciężko, a potem ponownie odwrócił się od nich i zaczął krążyć po pokoju. Hedwiga pohukiwała żałośnie na szczycie szafy. Zapadła długa cisza, przerywana tylko smętnym skrzypieniem podłogi pod stopami Harry'ego.

- Może mi chociaż powiecie, gdzie jesteśmy?

- W Kwaterze Głównej Zakonu Feniksa - odpowiedział Ron.

- A może ktoś mi wreszcie łaskawie powie, co to za Zakon Feniksa...

- To tajne stowarzyszenie - odpowiedziała szybko Hermiona. - Kieruje nim Dumbledore, to on je założył.

Członkami są ci, którzy ostatnio walczyli przeciw Sam-Wiesz-Komu.

- Kto do niego należy? - zapytał Harry, zatrzymując się przed nimi z rękami w kieszeniach.

- Członków jest wielu...

- Spotkaliśmy około dwudziestu - wtrącił Ron - ale myślimy, że jest ich więcej.

Harry łypnął na nich groźnie.

- No więc? - rzucił ze złością, patrząc to na Rona, to na Hermionę.

- Co no więc? - zapytał Ron.

- VOLDEMORT, TAK? - krzyknął Harry, a Ron i Hermiona skrzywili się jednocześnie. - Co się dzieje? Jakie ma plany? Gdzie on jest? Co robimy, żeby go powstrzymać?

- Mówiliśmy ci, że Zakon Feniksa nie wpuszcza nas na swoje posiedzenia - odpowiedziała ze złością Hermiona. - Nie znamy szczegółów... Mamy tylko ogólne pojęcie - dodała szybko, widząc minę Harry'ego.

- Fred i George wynaleźli Uszy Dalekiego Zasięgu - powiedział Ron. - Całkiem nieźle to działa.

- Dalekiego zasięgu?...

- Tak, Uszy. Tylko że musieliśmy przestać ich używać, bo mama to odkryła i wpadła w szał. Fred i George musieli je ukryć, żeby nie wylądowały w śmietniku. Ale zanim to odkryła, wyniuchaliśmy to i owo. Wiemy, że niektórzy członkowie Zakonu śledzą znanych śmierciożerców, no rozumiesz... piszą raporty...

- Niektórzy prowadzą rekrutację nowych członków... - dodała Hermiona.

- A jeszcze inni czegoś pilnują - dorzucił Ron. - Wciąż gadają o wartach.

- A może to o mnie im chodziło, co? - zapytał Harry ironicznym tonem.

- Och, tak... to możliwe - rzekł Ron, jakby dopiero teraz zrozumiał.

Harry prychnął ze złością. Znowu zaczął krążyć po pokoju, starając się nie patrzyć na Rona i Hermionę.

- To co wy tu robiliście, skoro nie pozwolono wam brać udziału w posiedzeniach? Słyszałem, że byliście bardzo zajęci.

- No pewnie - odpowiedziała szybko Hermiona. - Odkażaliśmy cały dom... nikt w nim nie mieszkał od wieków i zalęgło się mnóstwo świństwa. Udało się nam oczyścić kuchnię, większość sypialni, a jutro weźmiemy się za salon... AAAACH!

Huknęło dwa razy i pośrodku pokoju zmaterializowali się dwaj bliźniacy, Fred i George. Swistoświnka rozćwierkała się jeszcze głośniej i wylądowała na szafie obok Hedwigi.

- Przestańcie to robić! - jęknęła Hermiona błagalnie do bliźniaków, którzy byli tak samo rudzi jak Ron, ale nieco niżsi i bardziej krępi.

- Cześć, Harry - powitał go George, szczerząc zęby. - Wydawało się nam, że usłyszeliśmy twój słodki głosik.

- Nie duś w sobie złości, Harry, wywal z siebie wszystko - rzekł Fred, również szczerząc zęby. - W promieniu pięćdziesięciu mil jest jeszcze kupa ludzi, którzy cię nie usłyszeli.

- To co, macie już licencje na teleportację? - burknął Harry.

- Zdaliśmy testy z odznaczeniem - odpowiedział Fred, który trzymał coś, co wyglądało na bardzo długie, cieliste sznurowadło.

- Jakbyście weszli po schodach, zajęłoby wam to trzydzieści sekund więcej - mruknął Ron.

- Czas to galeony, braciszku - rzekł Fred. - W każdym razie, Harry, zakłócasz nam odbiór. Uszy Dalekiego Zasięgu... - dodał na widok uniesionych brwi Harry'ego i wyciągnął ku niemu koniec sznurka, który wlókł się po podłodze aż pod drzwi. - Próbujemy podsłuchać, co tam się na dole dzieje.

- Tylko bądźcie ostrożni - powiedział Ron, patrząc na Ucho. - Jak mama je znowu zobaczy...

- Warto zaryzykować, dziś mają bardzo ważne zebranie - rzekł Fred.

Drzwi się otworzyły i pojawiła się bujna grzywa rudych włosów.

- Och, cześć, Harry! - powitała go z radością młodsza siostra Rona, Ginny. - Zdawało mi się, że usłyszałam twój głos. - Zwróciła się do George'a i Freda: - Klapa z waszymi Uszami Dalekiego Zasięgu. Musiała rzucić na drzwi kuchenne Zaklęcie Nieprzenikalności.

- Skąd wiesz? - zapytał ze zgrozą George.

- Tonks mi powiedziała, jak to sprawdzić. Po prostu ciskasz czymś w drzwi, a jak nie może do nich dolecieć, to znaczy, że drzwi są nieprzenikalne. Rzucałam w nie łajnobombami, ale tylko odskakiwały, więc Ucho Dalekiego Zasięgu na pewno nie przeciśnie się przez szparę.

Fred westchnął głęboko.

- To okropne. A już myślałem, że się dowiemy, co chodzi po głowie staremu Snape'owi.

- Snape! - wykrzyknął Harry. - On jest tutaj?

- A jest - odrzekł George, ostrożnie zamykając drzwi, po czym usiadł na jednym z łóżek. Fred i Ginny zrobili to samo. - Składa raport. Ściśle tajny.

- Gnojek - rzucił Fred.

- Jest po naszej stronie - upomniała go Hermiona.

- To nie przeszkadza, że jest gnojkiem - prychnął Ron. - Jak on na nas patrzy!

- Bill też go nie lubi - stwierdziła Ginny, jakby to przesądzało sprawę.

Harry nie był pewny, czy złość już mu minęła, ale ciekawość przemogła i postanowił jednak odezwać się do nich. Też opadł na łóżko.

- To Bill jest tutaj? - zapytał. - Myślałem, że wciąż siedzi w Egipcie?

- Wystąpił o przeniesienie go do pracy biurowej, żeby tu wrócić i działać na rzecz Zakonu - odpowiedział Fred. - Mówi, że tęskni za grobowcami, ale... - uśmiechnął się złośliwie - ma tutaj inne rozrywki.

- To znaczy?

- Pamiętasz Fleur Delacour? - zapytał George. - Dostała robotę u Gringotta, żeby poprawić „swoi ęgilski”...

- A Bill daje jej prywatne lekcje - dokończył Fred.

- Charlie też jest w Zakonie - rzekł George - ale nadal siedzi w Rumunii. Dumbledore chce, żeby wciągnąć do współpracy jak najwięcej czarodziejów z innych krajów, więc Charlie w wolne dni nawiązuje nowe kontakty.

- A Percy tego nie może robić? - zapytał Harry.

Wiedział, że trzeci brat Weasleyów pracuje w Departamencie Międzynarodowej Współpracy Czarodziejów.

Na te słowa wszyscy Weasleyowie wymienili ponure spojrzenia.

- Za nic w świecie nie wspominaj o Percym w obecności naszych rodziców - powiedział Ron napiętym głosem.

- Dlaczego?

- Bo za każdym razem, gdy pada jego imię, tata tłucze lub łamie to, co akurat trzyma, a mama wybucha płaczem - odpowiedział Fred.

- To jest okropne - westchnęła Ginny.

- Chyba straciliśmy brata na zawsze - rzekł George, a na jego twarzy pojawiła się dziwna zaciętość.

- Co się stało? - zapytał Harry.

- Percy pokłócił się z ojcem - odpowiedział Fred. - Okropnie się pożarli, jeszcze nigdy nie widziałam ojca tak rozeźlonego. Zwykle to mama wrzeszczy.

- To było w pierwszym tygodniu po zakończeniu roku szkolnego - rzekł Ron. - Mieliśmy już wyjeżdżać tu, do Zakonu. Percy przyszedł i oznajmił, że dostał awans.

- Nie żartuj!

Harry dobrze wiedział, że Percy ma bardzo wygórowane ambicje, ale początki jego kariery w Ministerstwie Magii nie były zbyt imponujące. Zrobił wielki błąd, bo nie zauważył, że jego szef znalazł się pod władzą Lorda Voldemorta (choć trzeba przyznać, że w ministerstwie też nikt w to nie wierzył; wszyscy myśleli, że pan Crouch po prostu zwariował).

- Tak, my też byliśmy zaskoczeni - rzekł George - bo Percy wpakował się w kłopoty przez tego Croucha, było dochodzenie i w ogóle. Powiedzieli, że Percy powinien zauważyć, że Crouch zwariował i poinformować o tym przełożonych. Ale przecież znasz Percy'ego, zastępował Croucha i bardzo mu to odpowiadało...

- Więc w jaki sposób dostał awans?

- Nas też to zdziwiło - powiedział Ron, który wyłaził ze skóry, żeby podtrzymać normalną rozmowę, skoro Harry przestał już na nich wrzeszczeć. - Wrócił do domu zadowolony z siebie jeszcze bardziej niż zwykle... jeśli w ogóle można to sobie wyobrazić... i oświadczył ojcu, że zaproponowano mu posadę w biurze samego Knota. I to bardzo dobrą posadę, jak na kogoś, kto dopiero przed rokiem ukończył Hogwart: stanowisko młodszego asystenta ministra. Chyba się spodziewał, że ojciec będzie z niego bardzo dumny.

- Ale nie był - rzekł ponuro Fred.

- Dlaczego? - zapytał Harry.

- No... Knot lata po całym ministerstwie, pilnując, żeby nikt nie kontaktował się z Dumbledore'em - powiedział George.

- Bo wiesz, Dumbledore nie jest ostatnio dobrze notowany w ministerstwie - dodał Fred. - Wszyscy uważają, że okropnie miesza, twierdząc, że Sam-Wiesz-Kto powrócił.

- Knot dał wszystkim jasno do zrozumienia, że każdy, kto popiera Dumbledore'a, może już opróżniać biurko - powiedział George.

- Kłopot w tym, że Knot podejrzewa ojca, bo wie, że od dawna przyjaźni się z Dumbledore'em. No i zawsze uważał go za dziwaka, bo jak wiesz, ojciec ma bzika na punkcie mugoli.

- Ale co to ma wspólnego z Percym?

- Zaraz do tego dojdę. Według ojca Knot tylko dlatego wziął Percy'ego do swojego biura, żeby wyciągać z niego wiadomości o naszej rodzinie... i o Dumbledorze. Żeby nas szpiegował.

Harry cicho zagwizdał.

- Założę się, że Percy'emu bardzo to odpowiada.

Ron zaśmiał się sztucznie.

- Całkowicie mu odbiło. Powiedział... no, mówił okropne rzeczy. Powiedział, że od samego początku pracy w ministerstwie nic innego nie robi, tylko stara się naprawić reputację ojca, że tata nie ma ambicji i że właśnie dlatego my zawsze żyjemy w... no wiesz... nie mamy za dużo forsy...

- Co?! - Harry'ego aż zatkało, a Ginny prychnęła jak rozjuszona kotka.

- No tak - powiedział cicho Ron. - Ale to jeszcze nic. Powiedział, że ojciec chyba zwariował, trzymając z Dumbledore'em, że Dumbledore będzie miał duże kłopoty i pociągnie ojca za sobą, i że on, Percy, wie, wobec kogo ma być lojalny. To znaczy wobec ministerstwa. I że jeśli mama i tata chcą być zdrajcami ministerstwa, to on oświadcza wszem i wobec, że nie jest już członkiem naszej rodziny. I tego samego wieczoru spakował się i wyjechał. Teraz mieszka tu, w Londynie.

Harry zaklął pod nosem. Zawsze z całego rodzeństwa Rona najmniej lubił Percy'ego, ale nigdy sobie nie wyobrażał, że stać go na powiedzenie takich rzeczy panu Weasleyowi.

- Mama jak zwykle... - dodał markotnie Ron - no wiesz... jęczy i szlocha... i w ogóle. Pojechała do Londynu, żeby z nim porozmawiać, ale zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Nie wiem, co robi, jak spotyka tatę w pracy... Pewnie udaje, że go nie zna.

- Ale przecież Percy musiał wiedzieć o powrocie Voldemorta - powiedział powoli Harry. - Nie jest głupi, musiał wiedzieć, że twoi starzy nie ryzykowaliby tyle, nie mając dowodów.

- Tak, ale... no wiesz... w czasie tej kłótni padło i twoje nazwisko - rzekł Ron, rzucając na Harry'ego ukradkowe spojrzenie. - Percy powiedział, że jedynym dowodem na powrót Voldemorta jest twoje słowo i... no nie wiem... on chyba uważa, że to nie wystarczy.

- Percy wierzy we wszystko, co piszą w „Proroku Codziennym" - powiedziała zgryźliwie Hermiona, a inni pokiwali głowami.

- O czym wy mówicie? - zdziwił się Harry, patrząc po nich i widząc, że wyraźnie unikają jego spojrzenia.

- To co, ty nie... nie dostawałeś „Proroka"? - zapytała z niepokojem Hermiona.

- Dostawałem, dostawałem!

- A czytałeś każdy numer... ee... dokładnie?

- Nie od deski do deski - przyznał Harry. - Gdyby coś pisali o Voldemorcie, to by to dali na pierwszą stronę, no nie?

Wszyscy wzdrygnęli się na dźwięk tego nazwiska.

- To szkoda, że nie czytałeś go od deski do deski, bo... no... pisali o tobie parę razy na tydzień.

- Ja nic nie zauważyłem...

- Jak oglądałeś tylko pierwszą stronę, to się nie dziwię - powiedziała Hermiona, kręcąc głową. - Nie mówię o dużych artykułach. O takich drobnych wzmiankach, no wiesz, jakbyś był dowcipem tygodnia.

- Co ty...

- To podłe, fakt - powiedziała Hermiona, siląc się, by jej głos brzmiał spokojnie. - Oni po prostu rozbudowują materiał Rity.

- Ale przecież ona już dla nich nie pisze, prawda?

- No tak, Rita dotrzymuje słowa... bo nie ma innego wyboru - dodała Hermiona z satysfakcją. - Ale to ona wszystko zaczęła, a oni się tego uczepili.

- To znaczy czego? - zapytał niecierpliwie Harry.

- No dobra. Przecież wiesz, że napisała, jak mdlejesz i opowiadasz, że boli cię blizna i tak dalej?

- Pewnie, że wiem - odpowiedział Harry, któremu niełatwo byłoby zapomnieć o rewelacjach Rity Skeeter na jego temat.

- No więc oni piszą o tobie tak, jakbyś żył samymi iluzjami, jakbyś pragnął tylko zwrócić na siebie uwagę, jakbyś uważał się za jakiegoś bohatera tragicznego czy kogoś w tym rodzaju - wypaliła Hermiona, uznając widocznie, że jak powie to szybko, to Harry lepiej to zniesie. - Wszędzie, gdzie się da, wciskają złośliwe komentarze na twój temat. Jak piszą o czymś mało wiarygodnym, to zaraz dodają: „opowieść godna Harry'ego Pottera", a jak ktoś ma jakiś śmieszny wypadek czy coś takiego, to piszą: „Miejmy nadzieję, że nie pozostanie mu blizna na czole, bo będziemy go musieli czcić jako bohatera..."

- Wcale nie pragnę, żeby ktokolwiek mnie czcił... - zdenerwował się Harry.

- Przecież wiem - powiedziała szybko Hermiona, sprawiając wrażenie wystraszonej. - Ja o tym wiem, Harry. Ale sam widzisz, co oni robią. Oni chcą z ciebie zrobić kogoś, komu nie można wierzyć. Mogę się założyć, że to sprawka Knota. To on chce, żeby zwykli czarodzieje uważali cię za głupiego nastolatka, który opowiada wszystkim różne śmieszne historyjki o sobie, bo uwielbia sławę i pragnie, żeby wciąż o nim mówiono.

- Ja się nie prosiłem... nie pragnąłem... Voldemort zabił moich rodziców! - wybuchnął Harry. - Stałem się sławny, bo on wymordował mi rodzinę, a nie mógł zabić mnie! Kto by chciał być sławny z takiego powodu? Czy nie przyjdzie im do głowy, że wolałbym nigdy...

- My to wiemy, Harry - przerwała mu Ginny.

- I oczywiście nie napisali ani słowa o tym, że zaatakowali cię dementorzy - powiedziała Hermiona. - Ktoś im zakazał. Dementorzy poza kontrolą władz? To by był materiał na pierwszą stronę! Nie wspomnieli nawet, że złamałeś Zasady Tajności. Myśleliśmy, że o tym napiszą, bo to by przecież pasowało do ich tezy: jeszcze jeden głupi wyskok Harry'ego Pottera, żeby o nim nie zapomniano... Oni chyba czekają, aż cię wywalą ze szkoły, dopiero wtedy dobiorą się do ciebie na całego... to znaczy... JEŚLI cię wywalą - dodała pospiesznie. - Bo my w to nie wierzymy. Jeśli tylko będą trzymać się reguł, które sami ustalili, nie mogą cię skazać.

Znowu powrócił temat przesłuchania w ministerstwie, ale Harry nie chciał już o tym myśleć. Zaczął się zastanawiać nad zmianą tematu, ale długo nie myślał, bo na schodach rozległy się czyjeś kroki.

- Ożeż...

Fred szarpnął mocno za Ucho Dalekiego Zasięgu, znowu coś strzeliło i obaj bliźniacy znikli. W chwilę później w drzwiach pojawiła się pani Weasley.

- Już po zebraniu, możecie zejść i zjeść z nami kolację. Wszyscy chcą cię zobaczyć, Harry. A kto porozrzucał te wszystkie łajnobomby pod drzwiami kuchni?

- Krzywołap - odpowiedziała Ginny bez zmrużenia oka. - Uwielbia się nimi bawić.

- Aha - mruknęła pani Weasley. - A ja myślałam, że to Stworek, on lubi robić takie dziwne rzeczy. Nie zapomnijcie, że w przedpokoju macie być cicho. Ginny, masz brudne ręce, co ty nimi robiłaś? Idź i umyj je przed kolacją.

Ginny zrobiła do nich minę i wyszła za matką z sypialni, pozostawiając Harry'ego z Ronem i Hermioną. Oboje obserwowali go uważnie, jakby się bali, że gdy tylko zostaną sami, to znowu zacznie na nich wrzeszczeć. Wyglądali na tak zaniepokojonych, że Harry poczuł lekki wstyd.

- Posłuchajcie... - zaczął, ale Ron pokręcił głową, a Hermioną powiedziała cicho: - Wiedzieliśmy, że będziesz się wściekać, Harry, wcale nie mamy do ciebie żalu, tylko musisz zrozumieć, że próbowaliśmy przekonać Dumbledore'a...

- Tak, wiem - przerwał jej Harry.

Znowu zaczął szukać w głowie jakiegoś innego tematu, bo na samą myśl o dyrektorze Hogwartu czuł, jak go ze złości przenika fala gorąca.

- Co to za Stworek? - zapytał.

- To skrzat domowy, który tu mieszka - odrzekł Ron. - Czubek. Takiego w życiu nie widziałem.

- On nie jest żadnym czubkiem - żachnęła się Hermiona.

- Tak? A co jest jego życiową ambicją? Żeby mu odcięli głowę, przybili do plakietki i powiesili na ścianie obok jego matki. Czy to jest normalne, Hermiono?

- No... nawet jeśli jest trochę dziwny, to nie jego wina.

Ron westchnął i spojrzał wymownie na Harry'ego.

- Hermiona wciąż hoduje tę WESZ.

- To nie jest żadna WESZ! - zaperzyła się Hermiona. - To stowarzyszenie Walki o Emancypację Skrzatów Zniewolonych. I nie tylko ja o to dbam. Dumbledore powtarza, że powinniśmy być dla Stworka uprzejmi.

- Sratatata - mruknął Ron. - Chodźcie, konam z głodu.

Wyszedł pierwszy i już mieli zacząć schodzić, gdy...

- Zaczekajcie! - szepnął, wyciągając ramię, żeby zatrzymać Harry'ego i Hermionę. - Są nadal w przedpokoju, może uda się coś podsłuchać...

Ostrożnie wychylili głowy za poręcz. Ponury przedpokój pełen był czarodziejów i czarownic, łącznie z całą strażą Harry'ego, szepczących gorączkowo między sobą. W samym środku grupy Harry dostrzegł czarne, tłuste włosy i długi nos najbardziej znienawidzonego przez niego nauczyciela Hogwartu, profesora Snape'a. Wychylił się jeszcze. Bardzo chciał się dowiedzieć, co Snape robi dla Zakonu Feniksa.

Cienki sznurek o cielistej barwie spłynął z góry przed oczy Harry'ego. Podniósł głowę i zobaczył Freda i George'a, którzy stali na klatce schodowej piętro wyżej i ostrożnie opuszczali Ucho Dalekiego Zasięgu. W chwilę później jednak wszyscy na dole zaczęli podchodzić do drzwi wejściowych i jeden po drugim znikać im z oczu.

- Niech to szlag... - dobiegł Harry'ego szept Freda, gdy wciągał z powrotem Ucho Dalekiego Zasięgu.

Drzwi na dole otworzyły się, a potem zamknęły.

- Snape nigdy tu nie jada - powiedział cicho Ron. - I bardzo dobrze. Idziemy.

- I pamiętaj, żeby być cicho w przedpokoju, Harry - szepnęła Hermiona.

Kiedy mijali rząd głów domowych skrzatów, przy drzwiach wejściowych zobaczyli Lupina, panią Weasley i Tonks, którzy zamykali je różdżkami na mnóstwo zasuw i rygli.

- Jemy tu na dole, w kuchni - szepnęła pani Weasley, czekając na nich u stóp schodów. - Harry, kochaneczku, jak przejdziesz na palcach przez przedpokój, to kuchnia jest za tamtymi drzwiami...

ŁUBUDU.

- Tonks! - zawołała pani Weasley ze złością, odwracając głowę.

- Przepraszam! - jęknęła Tonks, rozciągnięta na podłodze. - To przez ten kretyński stojak na parasole, potykam się o niego już drugi raz...

Reszta jej słów utonęła w straszliwym, rozdzierającym uszy, mrożącym krew w żyłach wrzasku.

Zjedzone przez mole aksamitne zasłony rozsunęły się gwałtownie, ale nie było za nimi żadnych drzwi. Przez chwilę Harry pomyślał, że patrzy przez okno, za którym stoi jakaś staruszka w czarnym czepku i wrzeszczy, jakby ją torturowano - a potem zdał sobie sprawę, że jest to po prostu naturalnej wielkości portret, tyle że najbardziej realistyczny i najbardziej odrażający, jaki widział w życiu.

Ślina pryskała jej z ust, wybałuszyła oczy, tocząc nimi w okropny sposób, pożółkła skóra twarzy napięła się z wysiłku, a ona wrzeszczała i wrzeszczała, aż wiszące wzdłuż ścian portrety obudziły się i też zaczęły wrzeszczeć, tak że Harry zacisnął powieki i zasłonił sobie uszy dłońmi.

Lupin i pani Weasley rzucili się, by zaciągnąć z powrotem zasłony, ale nie dawały się zaciągnąć, a staruszka rozwrzeszczała się jeszcze głośniej, wymachując rękami, jakby chciała rozorać im twarze długimi paznokciami.

- Szumowiny! Męty! Nędzne, plugawe kreatury! Wynocha stąd, bękarty, mutanty, potwory! Jak śmiecie plugawić dom moich ojców...

Tonks przepraszała raz po raz, wlokąc olbrzymią, ciężką nogę trolla na swoje miejsce. Pani Weasley zrezygnowała z prób zaciągnięcia zasłon i biegała po przedpokoju, uciszając różdżką inne portrety. A potem z drzwi, przed którymi stał Harry, wypadł mężczyzna z długimi czarnymi włosami.

- Zamknij się, stara wiedźmo! Zamknij się, ale już! - ryknął, chwytając za zasłony.

Staruszka pobladła.

- Tyyyy! - zawyła, wytrzeszczając dziko oczy. - Ty zdrajco, ty szkarado, hańbo mego łona!

- Powiedziałem... ZAMKNIJ SIĘ! - krzyknął mężczyzna.

Jeszcze raz szarpnął z całej siły zasłonę, Lupin pociągnął drugą i w końcu udało im się je zaciągnąć. Wrzaski umilkły, a w mrocznym przedpokoju zapadła głucha cisza.

Syriusz, ojciec chrzestny Harry'ego, odgarnął z czoła długie czarne włosy, odwrócił się i spojrzał na niego, dysząc lekko.

- Witaj, Harry - powiedział ponuro. - Widzę, że już poznałeś moją matkę.

ROZDZIAŁ PIĄTY
ZAKON FENIKSA

- Twoją...

- Tak, moją milutką starą mamuśkę - rzekł Syriusz. - Przez cały miesiąc próbowaliśmy ją ściągnąć ze ściany, ale chyba musiała użyć Zaklęcia Trwałego Przylepca. No, schodźcie szybko, zanim znowu się obudzą.

- Ale co tutaj robi portret twojej matki? - zapytał zdumiony Harry, kiedy przeszli przez drzwi w przedpokoju i zaczęli schodzić po wąskich kamiennych schodkach.

- Nikt ci jeszcze nie powiedział? To dom moich rodziców - odrzekł Syriusz. - Ale jestem ostatni z rodu Blacków, więc teraz należy do mnie. Zaoferowałem go Dumbledore'owi na Kwaterę Główną... Chyba jedyna pożyteczna rzecz, jaką mogłem zrobić.

Harry, który spodziewał się cieplejszego powitania, zauważył, że w głosie Syriusza pobrzmiewa gorycz. Zszedł za swoim ojcem chrzestnym po schodkach, a potem przekroczył próg drzwi wiodących do podziemnej kuchni.

Była to piwnica ze ścianami z grubo ciosanych kamiennych bloków, odrobinę mniej ponura niż hol, oświetlona blaskiem ognia płonącego na wielkim palenisku. W powietrzu zalegały kłęby dymu, przez który ledwo było widać żelazne garnki i patelnie zwisające z ciemnego sklepienia. Stłoczono tu mnóstwo krzeseł, zapewne na posiedzenie, a pośrodku stał długi stół, zawalony zwojami pergaminu, pucharami, pustymi butelkami po winie i kupą jakichś szmat. Przy końcu stołu pan Weasley i jego najstarszy syn Bill rozmawiali cicho, pochylając ku sobie głowy.

Pani Weasley chrząknęła głośno. Jej mąż, chudy, łysiejący mężczyzna z rudymi włosami, spojrzał przez okulary w rogowych oprawkach i zerwał się na równe nogi.

- Harry! - Podszedł do niego szybkim krokiem i uścisnął mu mocno rękę. - Jak dobrze cię widzieć!

Ponad jego ramieniem Harry zobaczył jak Bill, z długimi włosami ściągniętymi z tyłu w kucyk, pospiesznie zbiera pozostawione na stole pergaminy.

- Jak tam podróż, Harry?! - zawołał Bill, próbując zebrać tuzin zwojów naraz. - Mam nadzieję, że Szalonooki nie kazał wam lecieć przez Grenlandię?

- Próbował - powiedziała Tonks, podchodząc do stołu, by pomóc Billowi, i natychmiast przewracając świecę na ostatni pergamin. - Ojej... przepraszam...

- Zdarza się, moja kochana - powiedziała pani Weasley i szybko machnęła różdżką, żeby usunąć wosk.

W krótkim rozbłysku światła z różdżki Harry zdążył dostrzec na pergaminie coś, co przypominało plan jakiegoś budynku.

Pani Weasley zauważyła jego spojrzenie. Porwała pergamin ze stołu i wcisnęła w naręcz zwojów, ściskaną przez Billa.

- To wszystko powinno zniknąć ze stołu pod koniec posiedzenia - warknęła i podeszła do staroświeckiego kredensu, żeby wyjąć z niego talerze.

Bill wyciągnął różdżkę, mruknął: „Evanesco!" i wszystkie zwoje znikły.

- Siadaj, Harry - powiedział Syriusz. - Poznałeś już Mundungusa, prawda?

To, co Harry uznał za kupę szmat, zachrapało donośnie i długo, po czym ocknęło się.

- Ktoś coś mówił? - zapytał Mundungus sennym głosem. - Zgadzam się z Syriuszem...

Uniósł brudną rękę, jakby głosował, a jego załzawione, nabiegłe krwią oczy wpatrywały się tępo w przestrzeń. Ginny zachichotała.

- Dung, zebranie już się skończyło - powiedział Syriusz, kiedy wszyscy usiedli przy stole. - Przybył Harry.

- Taa? - wymamrotał Mundungus, łypiąc smętnie na Harry'ego spoza rozczochranych, brudnych włosów. - Ożeż ty karol... rzeczywiście, on tu jest... W porząsiu, 'Arry?

- Tak jest - odrzekł Harry.

Mundungus pogrzebał nerwowo w kieszeniach, wciąż wpatrując się w Harry'ego, i wyciągnął brudną czarną fajkę. Wetknął ją do ust, przypalił końcem różdżki i pociągnął głęboko. Po chwili zniknął w kłębach zielonkawego dymu.

- Winnym ci jest przeprosiny - rozległ się ochrypły głos z cuchnącej chmury dymu.

- Proszę cię po raz ostatni, Mundungusie - powiedziała pani Weasley podniesionym głosem - żebyś mi w kuchni nie kopcił tego świństwa, a już zwłaszcza wtedy, gdy zabieramy się do jedzenia!

- Ach... - mruknął Mundungus. - Dobra. Nie gniewaj się, Molly.

Obłok dymu zniknął, kiedy Mundungus schował fajkę do kieszeni, ale w powietrzu nadal unosił się smród palonych skarpetek.

- I jeśli chcecie coś zjeść przed północą, to ktoś musi mi pomóc - zwróciła się do wszystkich pani Weasley. - Nie, nie ty, Harry, ty siedź, masz za sobą długą podróż...

- Co mam robić, Molly? - spytała z zapałem Tonks.

- Eee... nie, dam sobie radę, Tonks, ty też musisz odpocząć, dość dzisiaj przeżyłaś...

- Nie, nie, muszę ci pomóc! - zawołała Tonks, przewracając krzesło i biegnąc do kredensu, z którego Ginny wyciągała już sztućce.

Wkrótce ciężkie noże same kroiły mięso i jarzyny pod czujnym okiem pana Weasleya, podczas gdy pani Weasley mieszała w kotle nad paleniskiem, a reszta rozkładała talerze, puchary i sztućce, i wyjmowała jedzenie ze spiżarni. Harry został przy stole z Syriuszem i Mundungusem, który wciąż wpatrywał się w niego smętnym spojrzeniem, mrugając spuchniętymi powiekami.

- Widziałeś się później ze starą Figg? - zapytał.

- Nie - odrzekł Harry. - Z nikim się nie widziałem.

- Słuchaj, 'Arry, ja bym cię nie zostawił - zaczął się tłumaczyć Mundungus, wychylając się ku niemu - ale trafiła mi się okazja i...

Harry poczuł, że coś ociera się o jego kolana i wzdrygnął się, ale był to tylko Krzywołap, jasnorudy kot Hermiony, który okrążył jego nogi, mrucząc głośno, a potem wskoczył Syriuszowi na kolana i zwinął się w kłębek. Syriusz podrapał go machinalnie za uszami, zwracając ku Harry'emu wciąż ponurą twarz.

- Wakacje miałeś udane?

- Nie, były okropne.

Przez twarz Syriusza przemknął po raz pierwszy cień uśmiechu.

- Osobiście nie bardzo rozumiem, na co się tak uskarżasz.

- Co?! - zapytał Harry z niedowierzaniem.

- Ja tam bym się cieszył z ataku dementora. Taka śmiertelna walka o duszę to przecież znakomity sposób na monotonię. Patrzysz na to wyłącznie ze złej strony, a przecież w końcu mogłeś sobie wyjść z domu, pochodzić, rozprostować nogi, powalczyć... A ja nie mogłem ruszyć się z domu przez cały miesiąc.

- Dlaczego? - zapytał Harry, marszcząc czoło.

- Bo Ministerstwo Magii wciąż mnie ściga, a Voldemort już wie, że jestem animagiem, Glizdogon na pewno mu powiedział, więc nie mogłem zamieniać się w psa. Niewiele mogę zrobić dla Zakonu Feniksa... W każdym razie tak uważa Dumbledore.

Po sposobie, w jaki Syriusz wypowiedział nazwisko Dumbledore, Harry poznał, że i on jest trochę zły na dyrektora Hogwartu. Poczuł nagły przypływ sympatii do swego ojca chrzestnego.

- Ale przynajmniej wiedziałeś, co się dzieje.

- No tak - przyznał Syriusz, ale w jego głosie zabrzmiał sarkazm. - Przecież wysłuchiwałem raportów Snape'a... Tak, i złośliwych aluzji, że on wciąż ryzykuje życie, a ja siedzę sobie tutaj i popijam herbatkę... Jego pytań, jak mi tam idzie sprzątanie...

- Jakie sprzątanie?

- Z tego domu trzeba zrobić w miarę ludzką siedzibę - rzekł Syriusz, zamaszystym gestem wskazując na odrażającą kuchnię. - Od dziesięciu lat, czyli od śmierci mojej kochanej mamuśki, nikt tu nie mieszkał, jeśli nie liczyć jej starego skrzata domowego, a on się zbiesił, od dawna przestał sprzątać...

- Syriuszu - zagadnął go nagle Mundungus, który sprawiał wrażenie, jakby go ta rozmowa w ogóle nie obchodziła, za to poddawał szczegółowym oględzinom pusty puchar. - To czyste srebro?

- Tak - odrzekł Syriusz, rzuciwszy z daleka spojrzenie na puchar. - Autentyczny, piętnastowieczny, ręcznie kuty przez gobliny puchar z czystego srebra, z herbem rodu Blacków.

- Herb dałoby radę usunąć - mruknął Mundungus, polerując puchar brudnym rękawem.

- Fred... George... NIE! SAMI TO PRZYNIEŚCIE! - krzyknęła pani Weasley.

Harry, Syriusz i Mundungus odwrócili głowy, a w sekundę później dali nurka pod stół, widząc, że szybuje ku nim wielki kociołek z gulaszem, a zaraz za nim żelazny, pękaty dzban z kremowym piwem i ciężka drewniana deska do krajania chleba z nożem na wierzchu. Kociołek przeleciał całą długość stołu, zatrzymując się tuż przed krawędzią i pozostawiając czarną smugę na drewnianym blacie, dzban z piwem rąbnął z hukiem w stół, a jego zawartość rozprysnęła się po całej kuchni, szeroki nóż do chleba ześliznął się z deski ostrzem w dół i wbił w miejsce, na którym dopiero co spoczywała prawa dłoń Syriusza.

- NA MIŁOŚĆ BOSKĄ! - wrzasnęła pani Weasley. - PRZECIEŻ NIE MUSIELIŚCIE... MAM JUŻ TEGO DOSYĆ... POZWOLONO WAM UŻYWAĆ CZARÓW, ALE TO NIE ZNACZY, ŻE MUSICIE WYMACHIWAĆ RÓŻDŻKAMI NA WSZYSTKO, CO JEST W TYM DOMU!

- My tylko chcieliśmy to wszystko przyspieszyć! - zawołał Fred, podbiegając i wyciągając nóż ze stołu. - Wybacz, stary - zwrócił się do Syriusza - naprawdę nie chciałem...

Harry i Syriusz zaśmiewali się głośno. Mundungus, który przewrócił się razem z krzesłem, wstał, klnąc pod nosem. Krzywołap wydał z siebie obronne prychnięcie i śmignął pod kredens, skąd widać było tylko jego żółte oczy.

- Chłopcy - powiedział pan Weasley, przenosząc kociołek z zupą na środek stołu - wasza matka ma świętą rację. Macie już tyle lat, że powinniście wykazać się poczuciem odpowiedzialności...

- Żaden z waszych braci nie sprawiał takich kłopotów! - wściekała się pani Weasley, stawiając na stole nowy dzban kremowego piwa z takim hukiem, że znowu chlusnęło na

wszystkich. - Bill nie musiał się aportować z sypialni do kuchni! Charlie nie rzucał zaklęć na wszystko, co mu się nawinęło pod rękę! Percy...

Urwała i spojrzała z lękiem na męża, któremu twarz nagle skamieniała.

- Jedzmy już - powiedział szybko Bill.

- Molly, to wygląda smakowicie - rzekł Lupin, nakładając na talerz gulasz i podając jej przez stół.

Przez kilka minut nikt nic nie mówił, słychać było tylko podzwanianie talerzy, szczęk sztućców i zgrzyt przysuwanych krzeseł. Potem pan Weasley zwrócił się do Syriusza, mówiąc:

- Aha, miałem ci powiedzieć, że w tym biurku w salonie chyba coś siedzi, bo całe się trzęsie i coś w nim chroboce. Może to tylko bogin, ale uważam, że powinniśmy poprosić Alastora, żeby rzucił na to okiem.

- Jak sobie życzysz - mruknął Syriusz obojętnym tonem.

- A w zasłonach roi się od bahanek - wtrąciła pani Weasley. - Może byśmy je jutro wyłapali...

- Z przyjemnością - odrzekł Syriusz, a Harry'emu wydawało się, że dosłyszał sarkazm w jego głosie.

Naprzeciw Harry'ego Tonks zabawiała Hermionę i Ginny, co chwila zmieniając kształt swojego nosa. Zaciskała powieki, nadymała się z wysiłku podobnie jak wcześniej w sypialni Harry'ego, a jej nos to wydłużał się jak dziób pelikana, to kurczył się do rozmiarów młodej pieczarki, to znowu z każdej dziurki wyrastały długie kłaki włosów. Najwyraźniej należało to do codziennego repertuaru rozrywek przy stole, bo po chwili Hermiona i Ginny zaczęły ją prosić o swoje ulubione nosy.

- Zrób ten podobny do świńskiego ryjka, Tonks...

Tonks spełniła prośbę, i Harry, patrząc na nią, odniósł przelotne wrażenie, że przez stół szczerzy do niego zęby żeński odpowiednik Dudleya.

Pan Weasley, Bill i Lupin rozprawiali o goblinach.

- Unikają zajęcia jasnego stanowiska - mówił Bill. - Wciąż nie mogę dociec, czy uwierzyli w jego powrót, czy nie. Ale możliwe, że nie chcą się opowiedzieć po żadnej stronie, tylko trzymać się od tego wszystkiego z daleka.

- Jestem pewny, że za Sami-Wiecie-Kim nigdy się nie opowiedzą - rzekł pan Weasley, kręcąc głową. - Za dużo sami od niego wycierpieli. Pamiętacie tę rodzinę goblinów, którą wymordował poprzednim razem, tę z okolic Nottingham?

- A ja myślę, że wszystko zależy od tego, co im zaoferuje - powiedział Lupin. - I nie mówię o złocie. Jak im zaproponuje wolność, której im odmawialiśmy przez kilka stuleci, to mogą się skusić. Bill, ten Ragnarok wciąż nie daje się przekonać?

- Na razie jest do nas bardzo źle nastawiony. Wciąż mi wypomina brudne interesy Bagmana, twierdzi, że ministerstwo go kryło. A gobliny dotąd nie odzyskały tego złota, które...

Resztę jego słów zagłuszył głośny wybuch śmiechu przy środkowej części stołu. Fred, George, Ron i Mundungus kiwali się i trzęśli na krzesłach.

- ...a wtedy... - wystękał Mundungus, ocierając rękawem łzy cieknące mu po policzkach - ...a wtedy... żebym tak skonał... on zasuwa taką gadkę: „Dung, skądżeś wytrzasnął tyle ropuch? Bo jakiś skurczybyk podprowadził mi wszystkie moje!" A ja mu na to wstawiam taki tekst: „Rąbnęli ci wszystkie ropuchy? To ja ci mogę kilka opchnąć za rozsądną cenę". I mówię wam, chłopaki, możecie mi wierzyć albo nie, ale ten garbaty gargulec odkupił ode mnie wszystkie swoje ropuchy, płacąc dwa razy tyle, co za pierwszym razem...

- Nie sądzę, żebyśmy chcieli słuchać więcej o twoich interesach, Mundungusie, wielkie dzięki, ale nie - powiedziała ostro pani Weasley, kiedy Ron opadł na stół, wyjąc ze śmiechu.

- Bardzo cię przepraszam, Molly - rzekł natychmiast Mundungus, ocierając oczy i mrugając do Harry'ego. - Ale, rozumiesz, to przecież Will podprowadził je Warty'emu Harrisowi, więc ja nie zrobiłem niczego złego...

- Nie wiem, gdzie się uczyłeś rozróżniania dobra od zła, Mundungusie, ale wygląda na to, że opuściłeś kilka najważniejszych lekcji - oświadczyła chłodno pani Weasley.

Fred i George ukryli nosy w pucharach z kremowym piwem. George miał czkawkę. Z jakiegoś powodu pani Weasley rzuciła gniewne spojrzenie na Syriusza, zanim wstała i poszła po wielki placek z rabarbarem posypany obficie kruszonką. Harry też na niego spojrzał.

- Molly nie bardzo lubi Mundungusa - powiedział cicho Syriusz.

- Jakim cudem znalazł się w Zakonie?

- Jest pożyteczny. Zna wszystkich kanciarzy... czemu trudno się dziwić, bo sam jest jednym z nich. Ale jest też bardzo lojalny wobec Dumbledore'a, który kiedyś wyciągnął go z poważnych tarapatów. Opłaca się mieć kogoś takiego jak Dung, on się szybko dowiaduje o sprawach, do których my nie mamy dostępu. Ale Molly uważa, że zapraszanie go na kolację to już przesada. Nie może mu wybaczyć, że zszedł z warty, kiedy miał cię śledzić.

Po trzech kawałkach rabarbarowego ciasta z kremem Harry poczuł, że jego dżinsy zrobiły się nagle za ciasne (a warto pamiętać, że były to dżinsy po Dudleyu). Odłożył więc łyżkę i rozejrzał się. Pan Weasley odchylił się wygodnie w krześle i wyciągnął nogi, syty i rozluźniony, Tonks ziewała (nos miała już normalny), a Ginny wyciągnęła Krzywołapa spod kredensu i siedziała po turecku na podłodze, rzucając mu korki od kremowego piwa, za którymi ganiał po całej kuchni.

- Chyba już czas iść spać - powiedziała pani Weasley, tłumiąc ziewnięcie.

- Jeszcze nie, Molly - rzekł Syriusz, odsuwając swój pusty talerz i zwracając się do Harry'ego. - Wiesz, trochę mnie zaskoczyłeś. Myślałem, że jak tylko tu się znajdziesz, zaczniesz pytać o Voldemorta.

Atmosfera w kuchni zmieniła się z szybkością, która Harry'emu skojarzyła się z przybyciem dementorów. Jeszcze chwilę temu wszyscy byli rozluźnieni i senni - teraz dało się wyczuć nagłe ożywienie, a nawet napięcie, jakby na samą wzmiankę o Voldemorcie wszystkich przeszył zimny dreszcz. Lupin, który właśnie miał wysączyć łyk wina, odstawił ostrożnie puchar.

- Pytałem! - odrzekł ze złością Harry. - Pytałem Rona i Hermionę, ale mi powiedzieli, że my nie możemy należeć do Zakonu, więc...

- I mieli całkowitą rację - powiedziała pani Weasley. - Jesteście za młodzi.

Siedziała wyprostowana, zaciskając dłonie na poręczach krzesła. Już nie wyglądała na senną.

- A od kiedy to trzeba należeć do Zakonu Feniksa, żeby zadawać pytania? - odezwał się Syriusz. - Harry był przez miesiąc uwięziony w domu mugoli. Ma prawo wiedzieć, co się wydarzyło...

- No nie! - przerwał mu głośno George.

- A niby dlaczego tylko on ma prawo? - zapytał ze złością Fred.

- Przez cały miesiąc próbowaliśmy coś z was wycisnąć i guzik się dowiedzieliśmy! - zaperzył się George.

- „Jesteście za młodzi, nie należycie do Zakonu" - zapiał Fred głosem bardzo przypominającym głos jego matki. - A Harry nie jest nawet pełnoletni!

- To nie moja wina, że nie powiedziano wam, czym zajmuje się Zakon - rzekł spokojnie Syriusz. - To decyzja waszych rodziców. Natomiast Harry...

- Nie możesz sam decydować o tym, co jest dobre dla Harry'ego! - krzyknęła pani Weasley, a jej zwykle łagodna twarz zrobiła się groźna. - Mam nadzieję, że nie zapomniałeś o tym, co powiedział Dumbledore?

- A co konkretnie masz na myśli? - zapytał Syriusz uprzejmym tonem, w którym jednak czaiła się gotowość do walki.

- A to, żeby nie mówić Harry'emu więcej, niż musi wiedzieć - odpowiedziała pani Weasley, kładąc nacisk na ostatnich trzech słowach.

Głowy Rona, Hermiony, Freda i George'a obracały się to w stronę Syriusza, to w stronę pani Weasley, jakby obserwowali mecz tenisa. Ginny klęczała pośród porozrzucanych korków od piwa kremowego, słuchając tej wymiany zdań z lekko otwartymi ustami. Lupin utkwił wzrok w Syriuszu.

- Wcale nie zamierzam powiedzieć mu więcej, niż musi wiedzieć, Molly - rzekł Syriusz. - Pamiętaj jednak, że to on był świadkiem powrotu Voldemorta. - I znowu na dźwięk tego nazwiska wszyscy się wzdrygnęli. - Ma większe prawo...

- On nie jest członkiem Zakonu Feniksa! - zaperzyła się pani Weasley. - On ma zaledwie piętnaście lat i...

- ...i już zdążył dokonać więcej niż wielu członków Zakonu...

- Nikt nie przeczy, że wiele dokonał! - zawołała pani Weasley, a dłonie zaczęły jej drżeć. - Ale jest jeszcze...

- Nie jest dzieckiem! - przerwał jej niecierpliwie Syriusz.

- Ale jeszcze nie jest dorosły! - krzyknęła pani Weasley, a policzki jej pociemniały. - Syriuszu, to nie jest James!

- Dzięki ci, Molly, ale tak się składa, że doskonale wiem, kim on jest - rzekł chłodno Syriusz.

- Wcale nie jestem pewna! Czasami mówisz o nim w taki sposób, jakbyś myślał, że wrócił twój najlepszy przyjaciel!

- A co w tym złego? - zapytał Harry.

- Złego? Rzecz w tym, Harry, że ty nie jesteś swoim ojcem, choćbyś nie wiem jak był do niego podobny! - odpowiedziała pani Weasley, wciąż świdrując spojrzeniem Syriusza. - Chodzisz wciąż do szkoły, i dorośli, którzy są za ciebie odpowiedzialni, powinni o tym pamiętać!

- A więc uważasz, że jestem nieodpowiedzialnym ojcem chrzestnym, tak? - zapytał Syriusz, podnosząc głos.

- Uważam, że zawsze robisz wszystko trochę za szybko, Syriuszu, i właśnie dlatego Dumbledore wciąż ci przypomina, żebyś siedział w domu i...

- Może byś nie mieszała do tego poleceń, jakie otrzymałem od Dumbledore'a, dobrze?

- Arturze! - Pani Weasley spojrzała ostro na męża. - Arturze, może byś mnie poparł, co?

Pan Weasley nie od razu odpowiedział. Zdjął okulary i zaczął powoli czyścić szkła, pocierając je o szatę i nie patrząc na żonę. Dopiero kiedy osadził je pieczołowicie na nosie, rzekł:

- Molly, Dumbledore wie, że sytuacja się zmieniła. Wypada, by Harry dowiedział się czegoś więcej, skoro już jest w naszej Kwaterze Głównej...

- Tak, ale to chyba nie znaczy, że trzeba go zachęcać, by pytał, o co mu się podoba!

- Osobiście uważam - odezwał się cicho Lupin, przestając się wpatrywać w Syriusza, gdy pani Weasley zwróciła się szybko ku niemu, w nadziei, że w końcu znalazła sojusznika - że Harry powinien poznać fakty... nie wszystkie fakty, Molly, ale ogólny obraz sytuacji... i lepiej, żeby się dowiedział tego od nas niż... usłyszał spaczoną wersję wydarzeń... od innych...

Mówił spokojnie, z łagodną miną, ale Harry mógłby przysiąc, że Lupin wiedział coś o niewykrytych jeszcze przez panią Weasley egzemplarzach Uszów Dalekiego Zasięgu.

- No cóż... - powiedziała pani Weasley, oddychając głęboko i rozglądając się po wszystkich w poszukiwaniu poparcia - cóż... widzę, że jestem w mniejszości. Powiem więc tylko jedno: Dumbledore musiał mieć uzasadnione powody, kiedy mówił, że Harry nie powinien zbyt wiele wiedzieć, a w końcu komu jak komu, ale jemu na pewno leży na sercu dobro Harry'ego...

- On nie jest twoim synem, Molly - powiedział cicho Syriusz.

- Ale jakby nim był! - krzyknęła pani Weasley. - Kogo ma poza mną?

- Mnie!

- Tak, ciebie - powiedziała drwiącym tonem pani Weasley. - Tylko że jak siedziałeś w Azkabanie, to nie bardzo mogłeś się nim zajmować, prawda?

Syriusz zaczął podnosić się z krzesła.

- Molly, nie jesteś jedyną osobą przy tym stole, która martwi się o Harry'ego - rzekł ostro Lupin. - Syriuszu, usiądź.

Wargi pani Weasley drżały. Syriusz usiadł powoli, biały na twarzy.

- Sądzę, że sam Harry powinien się wypowiedzieć w tej sprawie - ciągnął Lupin. - Ma już tyle lat, że może podejmować samodzielne decyzje.

- Chcę wiedzieć, co się dzieje - wypalił natychmiast Harry.

Nie patrzył na panią Weasley. Wzruszyło go to, co o nim powiedziała, ale miał już trochę dosyć jej przesadnego matkowania... Syriusz miał rację, przecież nie jest już dzieckiem.

- Świetnie - powiedziała pani Weasley nieco rozdygotanym głosem. - Ginny... Ron... Hermiono... Fred... George... proszę wyjść z kuchni.

Wszyscy zaczęli gwałtownie protestować.

- Jesteśmy już dorośli! - ryknęli jednocześnie Fred i George.

- Skoro Harry'emu wolno, to dlaczego mnie nie?! - krzyknął Ron.

- Mamo, ja chcę zostać! - zapiszczała Ginny.

- NIE! - wrzasnęła pani Weasley, wstając i piorunując ich spojrzeniem. - Absolutnie zabraniam...

- Molly, nie możesz zabronić zostać Fredowi i George'owi - powiedział ostrożnie pan Weasley. - Oni już są dorośli...

- Chodzą jeszcze do szkoły...

- Ale prawnie są już ludźmi dorosłymi - odrzekł pan Weasley tym samym zmęczonym tonem.

Pani Weasley zrobiła się purpurowa na twarzy.

- Ja... och... no dobrze, Fred i George mogą zostać, ale Ron...

- Harry i tak powtórzy mnie i Hermionie wszystko, czego się dowie! - krzyknął Ron. - Prawda, Harry? - dodał niepewnie, patrząc mu w oczy.

Przez moment Harry miał wielką ochotę odpowiedzieć, że nie powtórzy im ani słowa, żeby poczuli, jak to przyjemnie być odciętym od wszelkich wiadomości. Ale owa niezbyt szlachetna ochota minęła mu, gdy napotkał spojrzenie Rona.

- No jasne - powiedział.

Ron i Hermiona odetchnęli z ulgą.

- Wspaniale! - krzyknęła pani Weasley. - Świetnie! Ginny... DO ŁÓŻKA!

Ginny łatwo się nie poddała. Słyszeli jak się wścieka na matkę, idąc za nią po schodach, a kiedy doszły do przedpokoju, natychmiast rozległ się stamtąd przeraźliwy wrzask pani Black. Lupin pobiegł na górę, by uspokoić portret. Dopiero gdy wrócił, zamknął za sobą drzwi kuchni i usiadł przy stole, Syriusz przemówił.

- No dobrze, Harry... co chcesz wiedzieć?

Harry wziął głęboki oddech i zadał pytanie, które dręczyło go od miesiąca:

- Gdzie jest Voldemort? Co robi? Próbowałem dowiedzieć się czegoś z mugolskich wiadomości - dodał, nie zwracając uwagi na znaną mu już reakcję na to nazwisko - ale nie znalazłem niczego, co by mogło świadczyć o jego działalności... żadnych wzmianek o dziwnych śmierciach czy innych wypadkach...

- Bo do żadnych podejrzanych śmierci jeszcze nie doszło - rzekł Syriusz - a przynajmniej my nic o tym nie wiemy... A wiemy już sporo.

- W każdym razie więcej, niż on się spodziewa - dodał Lupin.

- Przestał już zabijać? To do niego niepodobne - zdziwił się Harry.

Wiedział, że Voldemort tylko w tym roku uśmiercił już parę osób.

- Na razie nie chce zwracać na siebie uwagi - powiedział Syriusz. - To by było dla niego zbyt niebezpieczne. Jego powrót nie odbył się całkiem tak, jak to sobie zaplanował. Trochę mu nie wyszło.

- Albo raczej to ty pomieszałeś mu szyki, Harry - wtrącił Lupin, uśmiechając się z satysfakcją.

- Ja? - zdziwił się ponownie Harry.

- Ano ty, bo przecież miałeś umrzeć! - powiedział Syriusz. - O jego powrocie mieli wiedzieć tylko śmierciożercy. A ty znowu przeżyłeś i mogłeś zaświadczyć o tym, co się stało.

- A jak ty mu uciekłeś, to już wiedział, że o jego powrocie dowie się Dumbledore. To mu właśnie pomieszało szyki.

- W jaki sposób? - zapytał Harry.

- Chyba żartujesz! - żachnął się Bill. - Dumbledore jest jedyną osobą, której Sam-Wiesz-Kto zawsze się bał i dotąd boi!

- A dzięki tobie Dumbledore mógł zwołać członków Zakonu Feniksa już godzinę po powrocie Voldemorta - dodał Syriusz.

- Więc co ten Zakon właściwie robi? - zapytał Harry, patrząc po wszystkich.

- Robimy wszystko, by Voldemort nie zrealizował swoich planów - odpowiedział Syriusz.

- A skąd wiecie, jakie są jego plany?

- To Dumbledore na to wpadł - powiedział Lupin - a jak Dumbledore na coś wpadnie, to zwykle się okazuje, że ma rację.

- Więc co, według Dumbledore'a, planuje Voldemort?

- Przede wszystkim chce odbudować szeregi swoich zwolenników - odrzekł Syriusz. - Za dawnych dni dysponował całkiem pokaźną armią. Pod jego rozkazami było sporo czarownic i czarodziejów, których zmusił pogróżkami albo omamił czarami, jego wierni śmierciożercy, a poza tym najróżniejsze fantastyczne stworzenia spod ciemnej gwiazdy. Sam słyszałeś, jak mówił o olbrzymach, a nie tylko ich chce mieć w swoich szeregach. Na pewno nie będzie próbował opanować Ministerstwa Magii z garstką śmierciożerców.

- Więc wy staracie się przeszkodzić mu w zdobywaniu nowych sprzymierzeńców, tak?

- Robimy, co możemy - rzekł Lupin.

- Jak?

- Cóż, przede wszystkim próbujemy przekonać jak największą liczbę osób, że Sam-Wiesz-Kto powrócił. Chcemy obudzić ich czujność - powiedział Bill. - A okazało się, że to wcale nie jest takie proste.

- Dlaczego?

- Z powodu nastawienia ministerstwa - odpowiedziała Tonks. - Pamiętasz, Harry, jak się zachował Korneliusz Knot po powrocie Sam-Wiesz-Kogo? I do tej pory nie zmienił stanowiska. Uważa to za bzdurę wyssaną z palca.

- Ale dlaczego? Dlaczego jest taki głupi? Skoro Dumbledore...

- Utrafiłeś w sedno, Harry - powiedział pan Weasley z krzywym uśmieszkiem. - Dumbledore.

- Bo widzisz, Harry, Knot się go boi - dodała ponuro Tonks.

- Boi się Dumbledore'a?

- Boi się tego, do czego Dumbledore według niego zmierza - rzekł pan Weasley. - Knot jest przekonany, że Dumbledore spiskuje, by pozbawić go stanowiska. Myśli, że Dumbledore sam chce zostać ministrem magii.

- Ale przecież Dumbledore wcale nie chce...

- Oczywiście, że nie - zgodził się pan Weasley. - Nigdy nie chciał być ministrem, chociaż mnóstwo ludzi widziało go na tym stanowisku, gdy Milicenta Bagnold odeszła na emeryturę. W końcu ministrem został Knot, który jednak wciąż pamięta o popularności Dumbledore'a, choć ten nigdy nie wyraził chęci kandydowania.

- W głębi ducha Knot dobrze wie, że Dumbledore jest mądrzejszym i potężniejszym czarodziejem od niego i na początku swojego urzędowania często prosił go o pomoc i radę - rzekł Lupin. - Ale tak bardzo polubił władzę, że teraz już nie chce niczyich rad. Udało mu się przekonać samego siebie, że jest najmądrzejszy, a Dumbledore tylko robi dużo hałasu o byle co.

- Jak mogło mu coś takiego przyjść do głowy? - oburzył się Harry. - I co, pewnie uważa, że Dumbledore to wszystko wymyślił? Że JA to wymyśliłem, tak?

- Rzecz w tym, że uwierzenie w powrót Voldemorta oznaczałoby dla ministerstwa stanięcie twarzą w twarz z problemami, z jakimi nie musiało się borykać od blisko czternastu lat - powiedział z goryczą Syriusz. - Knot po prostu się boi, że nie dałby sobie z tym rady. O wiele wygodniej jest mu wierzyć, że Dumbledore to wszystko wymyślił, żeby go pozbawić władzy.

- Teraz już chyba rozumiesz, na czym polega problem - rzekł Lupin. - W sytuacji, gdy ministerstwo utrzymuje, że nie ma co się obawiać Voldemorta, bardzo trudno jest przekonać ludzi o jego powrocie, zwłaszcza że oni sami też wolą w to nie wierzyć. Co więcej, ministerstwo wywiera silny nacisk na „Proroka Codziennego", żeby przemilczać wszystkie, jak to w ministerstwie nazywają, „szkodliwe pogłoski", wychodzące od Dumbledore'a, więc większość społeczności czarodziejów nie ma pojęcia, co się właściwie dzieje, przez co stają się łatwym celem śmierciożerców, gdy ci użyją Zaklęcia Imperius.

- Ale wy chyba mówicie ludziom, co się dzieje, prawda? - zapytał Harry, spoglądając kolejno na pana Weasleya, Syriusza, Billa, Mundungusa, Lupina i Tonks. - Informujecie ich, że Voldemort naprawdę powrócił?

Wszyscy uśmiechnęli się krzywo.

- Sam pomyśl, Harry - odezwał się Syriusz. - Skoro wszyscy uważają mnie za masowego mordercę, za którego głowę ministerstwo wyznaczyło nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy galeonów, to czy mogę sobie chodzić po ulicach i rozdawać ulotki?

- Mnie też nikt z ochotą nie zaprasza na herbatki i kolacje - powiedział Lupin. - Bo kto by chciał gościć w swym domu wilkołaka?

- Tonks i Artur straciliby pracę, gdyby zaczęli głośno przekonywać ludzi - dodał Syriusz - a przecież musimy mieć szpiegów w ministerstwie, bo niewątpliwie Voldemort już ma tam swoich.

- Mimo wszystko udało się nam już przekonać kilka osób - rzekł pan Weasley. - Tonks, na przykład, była ostatnim razem za młoda, żeby ją przyjąć do Zakonu, a na aurorach bardzo nam zależy... Kingsley Shacklebolt też jest cennym nabytkiem. Kieruje pościgiem za Syriuszem, więc łatwo mu przekonać tych z ministerstwa, że Black jest teraz w Tybecie.

- Ale jeśli nikt z was nie rozpowszechnia informacji o powrocie Voldemorta... - zaczął Harry.

- A kto powiedział, że nikt z nas tego nie robi? - zapytał Syriusz. - A jak myślisz, dlaczego Dumbledore jest w takich opałach?

- To znaczy?

- Próbują go zdyskredytować - odpowiedział Lupin. - Nie czytałeś „Proroka Codziennego" w ubiegłym tygodniu? Napisali, że poniósł klęskę w głosowaniu na przewodniczącego Międzynarodowej Konfederacji Czarodziejów, bo się starzeje i traci kontrolę, ale my dobrze wiemy, jak było: przeciwko niemu głosowali czarodzieje z naszego ministerstwa, po tym, jak wygłosił mowę, w której oznajmił o powrocie Voldemorta.

Pozbawili go godności Wielkiego Maga Wizengamotu, czyli Sądu Najwyższego Czarodziejów, i już mówią, że trzeba mu odebrać Order Merlina Pierwszej Klasy.

- A Dumbledore mówi, że ma to w nosie, że zależy mu tylko na tym, by go nie wyrzucili z talii kart sprzedawanych z czekoladowymi żabami - wtrącił Bill, szczerząc zęby.

- Nie pora na żarty - stwierdził krótko pan Weasley. - Jeśli będzie dalej przeciwstawiał się ministerstwu, może skończyć w Azkabanie, a to już by była prawdziwa klęska. Dopóki Sam-Wiesz-Kto wie, że Dumbledore wciąż działa i zna jego plany, będzie ostrożny, przynajmniej na razie. A jak Dumbledore'a zabraknie... no, to Sam-Wiesz-Kto będzie miał drogę wolną.

- Ale jeśli Voldemort będzie próbował zwerbować więcej śmierciożerców, to przecież szybko się rozejdzie, że on jednak powrócił, prawda? - zapytał Harry z nadzieją.

- Nie wyobrażaj sobie, Harry, że Voldemort chodzi po domach i wali do wejściowych drzwi - rzekł Syriusz. - On ludzi wciąga podstępem, oszukuje, rzuca na nich uroki i szantażuje. Jest mistrzem działania z ukrycia. Zresztą werbowanie zwolenników to nie jedyne jego zajęcie, ma również inne plany, które może po cichu wprowadzić w życie, i na tym się obecnie skupia.

- To znaczy? - zapytał szybko Harry.

Wydawało mu się, że Syriusz i Lupin wymienili bardzo szybkie spojrzenia, zanim Syriusz odpowiedział:

- Bardzo mu zależy na czymś, co może tylko wykraść. - A kiedy Harry nadal miał minę człowieka, który nie wie, o co chodzi, dodał: - Coś w rodzaju broni. Coś, czego nie miał ostatnim razem.

- Wtedy, gdy miał władzę?

- Tak.

- Jaki rodzaj broni? Coś gorszego od Avada Kedavra?

- Już dosyć! - rozległ się od drzwi głos pani Weasley.

Harry nie zauważył jej powrotu. Ramiona skrzyżowała na piersi i wyglądała na rozsierdzoną.

- Macie zaraz iść spać. Wszyscy - dodała, spoglądając na Freda, George'a, Rona i Hermionę.

- Nie będziesz nami rządzić... - zaczął Fred.

- Zaraz zobaczysz - warknęła pani Weasley. Drżała lekko, patrząc na Syriusza. - Udzieliłeś Harry'emu mnóstwo informacji. Jeszcze parę i już mógłbyś go wprowadzić do Zakonu Feniksa.

- Dlaczego nie? - zapytał szybko Harry. - Chętnie! Chcę być członkiem, chcę walczyć...

- Nie.

Tym razem był to głos Lupina.

- Członkiem Zakonu może zostać tylko dorosły czarodziej. Taki, który ukończył szkołę - dodał, widząc, że Fred i George już otwierają usta. - Wiążą się z tym zagrożenia, o których żadne z was nie ma pojęcia... Syriuszu, myślę, że Molly ma rację. Dość już się dowiedział.

Syriusz wzruszył nieznacznie ramionami, ale nie oponował. Pani Weasley skinęła władczo na swoich synów i Hermionę. Wstawali po kolei, a Harry, rad nierad, zrobił to samo.

ROZDZIAŁ SZÓSTY
SZLACHETNY I STAROŻYTNY RÓD BLACKÓW [TOP]

Pani Weasley z nachmurzoną twarzą poprowadziła ich na górę.

- Macie mi wszyscy zaraz znaleźć się w łóżkach. Żadnych pogaduszek! - oświadczyła, gdy doszli na pierwsze piętro. - Jutro mamy bardzo pracowity dzień. Mam nadzieję, że Ginny już zasnęła - dodała, zwracając się do Hermiony - więc staraj się jej nie obudzić.

- Zasnęła, już to widzę - mruknął pod nosem Fred, kiedy Hermiona powiedziała im dobranoc i zaczęli wspinać się na drugie piętro. - Jeśli nie czeka teraz na Hermionę, żeby jej powtórzyła wszystko, czego się dowiedziała, to ja jestem gumochłonem...

- Ron, Harry - warknęła pani Weasley, gdy stanęli na klatce schodowej drugiego piętra. - Do łóżek.

- Branoc - rzucili Harry i Ron bliźniakom.

- Śpijcie dobrze - rzekł Fred, mrugając do nich.

Pani Weasley zatrzasnęła drzwi za Harrym. Sypialnia sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zapuszczonej, wilgotnej i ponurej niż za pierwszym razem. Pusty obraz na ścianie oddychał powoli, jakby jego niewidzialny mieszkaniec pogrążony był w głębokim śnie. Harry włożył piżamę, zdjął okulary i wszedł do zimnego łóżka, a Ron wrzucił na szafę trochę Przysmaku Sów, żeby spacyfikować Hedwigę i Swistoświnkę, które kłapały zawzięcie dziobami i otrzepywały piórka.

- Nie możemy im pozwalać polować co noc - wyjaśnił Ron, ubierając swoją kasztanową piżamę. - Dumbledore nie życzy sobie, by zbyt wiele sów latało nad placykiem, uważa, że to by mogło wzbudzić podejrzenia. No tak... zapomniałem...

Podszedł do drzwi i zaryglował je.

- A to po co?

- Stworek - odrzekł Ron, gasząc światło. - Pierwszej nocy wlazł tu o trzeciej nad ranem. Uwierz mi, to nic przyjemnego obudzić się w środku nocy i zobaczyć go w swojej sypialni. No, ale... - Wszedł do łóżka, przykrył się kocami i spojrzał w ciemności na Harry'ego, który widział tylko zarys jego twarzy na tle światła księżyca, sączącego się przez brudne szyby. - Co ty na to?

Harry nie musiał pytać, co Ron ma na myśli.

- No... chyba nie powiedzieli nam zbyt wiele ponad to, czego byśmy się sami nie domyślili, co? No bo czego się naprawdę dowiedzieliśmy? Że to Zakon stara się powstrzymać ludzi od przyłączania się do Vol...

Ron syknął głośno.

- ...DEMORTA - skończył Harry z naciskiem. - Kiedy ty wreszcie przyzwyczaisz się do tego nazwiska? Używają go Syriusz i Lupin.

Ron pozostawił tę uwagę bez komentarza.

- Tak, masz rację - powiedział. - Wiedzieliśmy już prawie o wszystkim, co nam powiedzieli. Dzięki Uszom Dalekiego Zasięgu. Jedyna nowa wiadomość to...

Trzasnęło.

- AUUU!

- Bądź cicho, Ron, bo mama tu przyleci!

- Aportowaliście się na moich kolanach!

- Nie jęcz, to nie takie proste w ciemności...

Harry ujrzał zamazane sylwetki Freda i George'a zsuwających się z łóżka Rona. Po chwili jęknęły sprężyny i materac Harry'ego obniżył się o parę cali, gdy George usiadł w nogach łóżka.

- No to co, już się skapowałeś? - zapytał George podnieconym głosem.

- Chodzi ci o tę broń, o której wspomniał Syriusz?

- Raczej mu się wypsnęło - rzekł Fred, siadając obok Rona. - O tym nie słyszeliśmy przez nasze stare Uszy.

- Jak myślicie, co to może być? - zapytał Harry.

- To może być wszystko - odrzekł Fred.

- Ale chyba nic gorszego od klątwy Avada Kedavra, prawda? - powiedział Ron. - Bo co może być gorszego od śmierci?

- Może to coś takiego, co zabija mnóstwo ludzi za jednym razem - podsunął George.

- Może zabija w wyjątkowo bolesny sposób - powiedział ze strachem Ron.

- Do tego wystarczy Cruciatus - zauważył Harry. - Nie ma nic gorszego.

Zapadło krótkie milczenie i Harry wyczuł, że i oni zastanawiają się, jakie straszne skutki może powodować ta nowa broń.

- A jak myślicie, kto ją teraz ma? - zapytał George.

- Mam nadzieję, że my - odrzekł Ron nieco nerwowym szeptem.

- Jeśli tak, to pewnie ją ma Dumbledore - powiedział Fred.

- Gdzie? - zapytał szybko Ron. - W Hogwarcie?

- Mogę się założyć! - powiedział George. - Przecież tam właśnie ukrył Kamień Filozoficzny, no nie?

- Ale ta broń na pewno jest o wiele większa od Kamienia! - szepnął Ron.

- Niekoniecznie - rzekł Fred.

- No pewnie, przecież moc nie zależy od rozmiarów - zauważył George. - Wystarczy spojrzeć na Ginny.

- Co masz na myśli? - zapytał Harry.

- Jakby cię potraktowała jednym ze swoich upiorogacków, tobyś wiedział.

- Ciiicho! - szepnął Fred, podnosząc się z łóżka. - Słuchajcie!

Umilkli, nasłuchując. Ktoś wchodził po schodach.

- Mama - szepnął George i natychmiast rozległ się głośny trzask, a Harry poczuł, że koniec jego łóżka został uwolniony od ciężaru. W kilka sekund później usłyszeli skrzypienie podłogi tuż za drzwiami: najwidoczniej pani Weasley nasłuchiwała, czy przypadkiem nie rozmawiają.

Hedwiga i Swistoświnka pohukiwały żałośnie. Podłoga znowu zaskrzypiała i usłyszeli, jak pani Weasley wspina się po schodach na trzecie piętro, gdzie była sypialnia Freda i George'a.

- Nie ma do nas za grosz zaufania - szepnął z wyrzutem Ron.

Harry był pewny, że prędko nie zaśnie. W ciągu tego wieczoru wydarzyło się zbyt wiele rzeczy, które musiał przemyśleć. Chciał jeszcze porozmawiać z Ronem, ale po chwili znowu rozległy się kroki pani Weasley, schodzącej na dół, a kiedy w końcu umilkły, usłyszał wyraźnie czyjeś inne... Tym razem ktoś wchodził na górę... Ktoś?... A może coś?... Mają chyba wiele nóg... i chodzą po schodach, w górę i w dół... jakieś stworzenia... i Hagrid, nauczyciel opieki nad magicznymi stworzeniami, mówi: „Milusie są, co nie, Harry? A w tym roku będziemy się uczyć o różnych broniach..." I Harry zobaczył, że te stworzenia mają armaty zamiast głów... i toczą się ku niemu... Skulił się ze strachu...

Leżał w ciepłej niszy pod kocami, z kolanami podkurczonymi pod brodą, a w pokoju dudnił głos George'a:

- Mama mówi, żebyście wstawali, śniadanie jest w kuchni, potem będziecie jej potrzebni, bo w salonie grasują bahanki, a pod kanapą znalazła gniazdo martwych pufków.

Pół godziny później Harry i Ron, po pospiesznie zjedzonym śniadaniu, weszli do salonu, długiego, wysokiego pokoju na pierwszym piętrze, z oliwkowozielonymi ścianami pokrytymi wyleniałymi gobelinami. Z dywanu wzbijały się obłoczki kurzu, gdy ktoś postawił na nim stopę, a w długich, omszałych, niegdyś zielonych aksamitnych zasłonach coś cicho

brzęczało, jakby się w nich roiło od niewidzialnych pszczół. Pani Weasley dyrygowała już Hermioną, Ginny, Fredem i George'em, którzy wyglądali dość dziwacznie, bo każde miało na twarzy chustkę zakrywającą usta i nos, a w ręku wielką butlę z jakimś czarnym płynem i dyszą na końcu szyjki.

- Zawiążcie sobie opaski i weźcie po butelce spreju - powiedziała pani Weasley do Harry'ego i Rona, gdy tylko ich zobaczyła, wskazując na stolik o długich, wrzecionowatych nogach. - To Bahanocyd. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby się tak rozpleniły... Nie wiem, co ten domowy skrzat robił przez ostatnie dziesięć lat...

Hermiona miała prawie całą twarz zasłoniętą serwetką śniadaniową, ale Harry spostrzegł, że spojrzała z wyrzutem na panią Weasley.

- Stworek jest już naprawdę stary, pewnie nie mógł sobie poradzić...

- Byłabyś zaskoczona, gdybyś się dowiedziała, z czym ten Stworek potrafi sobie poradzić, jak tylko chce, Hermiono - rzekł Syriusz, który właśnie wszedł do salonu, niosąc poplamiony krwią worek, zapewne pełny martwych szczurów. - Karmiłem Hardodzioba - dodał, widząc pytające spojrzenie Harry'ego. - Trzymam go na górze, w sypialni matki. No dobra... teraz ten sekretarzyk...

Rzucił torbę na fotel i pochylił się, aby zbadać bliżej mebel, który - Harry dopiero teraz to spostrzegł - dygotał lekko.

- No cóż, Molly, jestem prawie pewny, że to bogin - rzekł Syriusz, zaglądając do środka przez dziurkę od klucza - ale może powinniśmy jednak poprosić Szalonookiego, żeby rzucił na to okiem... bo znając moją mamusię, może to być coś gorszego.

- Święta racja, Syriuszu - powiedziała pani Weasley.

Rozmawiali ze sobą przesadnie ugrzecznionym tonem, co pozwoliło Harry'emu wywnioskować, że żadne z nich nie zapomniało o kłótni z poprzedniego wieczoru.

Z dołu dobiegł ich długi odgłos dzwonka, po którym natychmiast wybuchła znana już Harry'emu przeraźliwa kakofonia wrzasków i jęków, którą wczoraj wieczorem wyzwoliła Tonks, przewracając stojak na parasole.

- Wciąż im powtarzam, żeby nie dzwonili do drzwi! - krzyknął Syriusz i wybiegł z pokoju.

Usłyszeli, jak zbiega po schodach, podczas gdy cały dom napełnił się wrzaskiem pani Black:

- Zakały! Zawszone szlamy! Śmierdzący zdrajcy! Plugawcy!...

- Harry, proszę cię, zamknij drzwi - powiedziała pani Weasley.

Harry ociągał się jak mógł ze spełnieniem jej prośby, bo chciał podsłuchać, co dzieje się na dole. Najwyraźniej Syriuszowi udało się zaciągnąć zasłony na portrecie matki, bo wrzaski nagle ucichły. Usłyszał jego kroki w przedpokoju, później szczęk łańcucha przy drzwiach wejściowych, a potem rozpoznał głos Kingsleya Shacklebolta: „Hestia właśnie mnie zmieniła, teraz ona ma płaszcz Moody'ego, a ja chyba muszę napisać raport dla Dumbledore'a..."

Czując spojrzenie pani Weasley na swoim karku, Harry z żalem zamknął drzwi i dołączył do brygady walczącej z bahankami.

Pani Weasley pochylała się nad otwartym tomem *Poradnika zwalczania szkodników domowych* Gilderoya Lockharta, leżącym na sofie.

- No dobrze, słuchajcie mnie wszyscy, musicie być ostrożni, bo bahanki gryzą, a ich ukąszenia są jadowite. Mam tu butelkę antidotum, ale wolałabym go nie używać.

Wyprostowała się, stanęła tuż przed zasłonami i przyzwała ich gestem.

- Kiedy wam powiem, zacznijcie natychmiast pryskać. Pewnie wylecą prosto na was, ale tu jest napisane, że jedno dobre strzyknięcie powinno je sparaliżować. Wtedy po prostu wrzucajcie je do tego kubełka.

Wycofała się ostrożnie sprzed ich linii ognia i uniosła swój pojemnik z Bahanocydem.

- Uwaga... Ognia!

Harry skierował dyszę pojemnika na zasłonę i nacisnął guzik. Już po kilku sekundach z fałdy tkaniny wyleciała wyrośnięta bahanka. Pokryta gęstą czarną sierścią, furkotała błyszczącymi skrzydełkami, szczerząc cienkie jak igły ząbki i wyciągając ku niemu cztery zaciśnięte ze złości piąstki. Harry trafił ją prosto w twarz smugą Bahanocydu; bahanka znieruchomiała w powietrzu i spadła z niespodziewanie głośnym łoskotem na wyleniały dywan. Harry podniósł ją i wrzucił do kubełka.

- Fred, co ty wyprawiasz?! - krzyknęła pani Weasley. - Potraktuj ją szybko sprejem i natychmiast wyrzuć!

Harry rozejrzał się. Fred trzymał dwoma palcami szamocącą się dziko bahankę.

- Rozkaz!

Fred trysnął bahance sprejem prosto w twarz, a ta natychmiast znieruchomiała, ale gdy tylko pani Weasley się odwróciła, schował ją szybko do kieszeni, mrugając do Harry'ego.

- Chcemy poeksperymentować... - szepnął George. - Może się uda wykorzystać jad bahanki w naszych Bombonierkach Lesera.

Harry zręcznie załatwił jedną smugą Bahanocydu dwie bahanki pikujące prosto na jego nos, a potem przysunął się do George'a i mruknął kącikiem ust:

- Bombonierki Lesera? Co to jest?

- Pudełka takich różnych ciućków, od których można się rozchorować - wyszeptał George, nie spuszczając wzroku z karku pani Weasley. - No wiesz, nic poważnego, ale wystarczy, żeby cię puścili z klasy. Pracujemy nad tym z Fredem przez całe lato.Taki cukierek ma dwa końce, każdy innego koloru. Jak połkniesz pomarańczową połówkę Wymiotki Pomarańczowej, puszczasz pawia. A jak tylko cię wyślą do skrzydła szpitalnego, połykasz za drzwiami połówkę fioletową...

- ....."a ona przywraca ci pełną sprawność fizyczną, co ci pozwoli w jakiś przyjemny sposób spędzić godzinę, którą normalnie musiałbyś zmarnować na czcze nudy"... Tak przynajmniej piszemy w naszych reklamach - wyszeptał Fred, starając się nie znaleźć w polu widzenia pani Weasley i chowając kilka omdlałych bahanek do kieszeni - ale jeszcze musimy nad nimi popracować. Na razie króliki doświadczalne mają pewne problemy... No wiesz, trzeba powstrzymać rzyganie choć na chwilkę, żeby móc przełknąć tę fioletową połówkę...

- Króliki doświadczalne?

- To my - odrzekł Fred. - Bierzemy na zmianę. George już wypróbował Omdlejki Grylażowe... a obaj łyknęliśmy Krwotoczki Truskawkowe...

- Mama myślała, że się pojedynkowaliśmy... - wtrącił George.

- A więc sklepik działa? - mruknął Harry, udając, że poprawia coś przy dyszy swojej butelki.

- No wiesz, nie mieliśmy dotąd możliwości zdobycia lokalu - powiedział Fred, jeszcze bardziej ściszając głos, bo pani Weasley właśnie ocierała sobie czoło końcem szala, który służył jej za maskę ochronną - więc na razie próbujemy sprzedaży wysyłkowej. W zeszłym tygodniu zamieściliśmy reklamę w „Proroku Codziennym".

- A wszystko dzięki tobie, stary - dodał George. - Ale nie martw się... Mama o niczym nie wie. Już nie czyta „Proroka", bo wypisują same kłamstwa o tobie i Dumbledorze.

Harry uśmiechnął się. Zmusił bliźniaków do przyjęcia tysiąca galeonów - nagrody, którą zdobył w Turnieju Trójmagicznym - żeby im pomóc w rozkręceniu interesu, czyli sklepu z magicznymi gadżetami, ale rad był, że jego udział w realizacji tych planów nie był znany pani Weasley, która na pewno nie uważała prowadzenia takiego sklepu za karierę godną jej synów.

Debahanacja zasłon zajęła im całe przedpołudnie. W końcu pani Weasley ściągnęła szal z twarzy, zagłębiła się w zapadniętym fotelu, ale natychmiast zerwała się z krzykiem, bo usiadła na worku pełnym martwych szczurów. W zasłonach już nic nie brzęczało; wisiały wilgotne od intensywnego sprejowania, a w kubełku pełno było pozbawionych świadomości

bahanek. Obok kubełka stała miska pełna czarnych bahanich jajek, którą właśnie obwąchiwał Krzywołap. Fred i George też rzucali na nią łakome spojrzenia.

- Myślę, że za to zabierzemy się już po drugim śniadaniu.

Pani Weasley wskazała na oszklone serwantki, stojące po obu stronach kominka. Przez zakurzone szyby widać w nich było najróżniejsze dziwne przedmioty: jakieś zardzewiałe sztylety, szczypce, zwiniętą skórkę węża, kolekcję zmatowiałych srebrnych szkatułek pokrytych napisami w nieznanych Harry'emu językach, a wreszcie kryształową karafkę z wielkim opalem osadzonym w korku, wypełnioną czymś, co Harry'emu bardzo przypominało krew.

Znowu zadźwięczał dzwonek przy drzwiach. Wszyscy spojrzeli na panią Weasley.

- Zostańcie tutaj - oświadczyła stanowczo, chwytając worek ze szczurami, gdy z dołu dobiegły ich wrzaski pani Black. - Przyniosę wam trochę kanapek.

Wyszła, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Wszyscy natychmiast rzucili się do okna, żeby zobaczyć, kto stoi na ganku. Dostrzegli tylko płową czuprynę i chwiejący się niebezpiecznie stos kociołków.

- Mundungus! - powiedziała Hermiona. - Ale po co przyniósł tyle kociołków?

- Pewnie szuka bezpiecznego miejsca, żeby je ukryć - odpowiedział Harry. - To chyba te, które zwinął tamtej nocy, kiedy miał mnie pilnować.

- No jasne! - rzekł Fred, gdy drzwi na dole się otworzyły i Mundungus zniknął w nich razem ze swymi kociołkami. - Mama chyba się wkurzy...

On i George stanęli przy drzwiach salonu, nasłuchując. Pani Black ponownie przestała wrzeszczeć.

- Mundungus rozmawia z Syriuszem i Kingsleyem - mruknął Fred, marszcząc czoło, żeby się lepiej skupić. - Nie słyszę wyraźnie... Myślisz, że moglibyśmy zaryzykować użycie Uszów Dalekiego Zasięgu?

- Może warto - odrzekł George. - Mogę się zakraść na górę i przynieść jedną parę...

Ale w tym samym momencie na dole rozpętało się prawdziwe piekło, tak że Uszy Dalekiego Zasięgu nie były już potrzebne. Wszyscy wyraźnie usłyszeli, co krzyczała pani Weasley:

- TO NIE JEST ZŁODZIEJSKA DZIUPLA! NIE JESTEŚMY PASERAMI!

- Lubię słuchać, jak mama wydziera się na kogoś innego - powiedział Fred, uśmiechając się z satysfakcją, i uchylił drzwi, żeby jeszcze lepiej słyszeć. - To taka miła odmiana.

- ...ZUPEŁNIE NIEODPOWIEDZIALNY, JAKBYŚMY NIE MIELI JUŻ DOŚĆ KŁOPOTÓW NA GŁOWIE BEZ TWOICH KRADZIONYCH KOCIOŁKÓW...

- Ci kretyni w ogóle nie wiedzą, co robić - mruknął George. - Trzeba ją szybko zająć czymś innym, bo jak się rozkręci, to będzie wrzeszczała całymi godzinami. A na Mundungusa szykowała się już od czasu, gdy zostawił cię samego, Harry... O, teraz mamuśka Syriusza znowu zaczyna...

Głos pani Weasley utonął w kolejnej serii wrzasków i wyzwisk. George już miał zamknąć drzwi, ale zanim to zrobił, przez szparę wśliznął się do środka domowy skrzat.

Był prawie nagi: miał tylko brudną szmatę na biodrach. Wyglądał bardzo staro. Skóra wisiała na nim tak, jakby była o parę numerów za duża, a chociaż był łysy, tak jak wszystkie skrzaty, z wielkich jak u nietoperza uszu wyrastały mu długie białe włosy. Oczy miał nabiegłe krwią, wodnistoszare, a mięsisty nos przypominał ryjek.

Skrzat nie zwrócił najmniejszej uwagi na Harry'ego i resztę. Zachowywał się tak, jakby ich nie widział. Ruszył powoli przez pokój, przygarbiony, ledwo powłócząc nogami i mamrocąc pod nosem ochrypłym głosem ropuchy:

- ...smród od niego bucha jak ze ścieku, a na dodatek jest zwykłym złodziejaszkiem, ale ona wcale nie jest lepsza, parszywa starucha, zdrajczyni, z tymi jej bachorami uganiającymi się po domu mojej pani, och, moja biedna pani, gdyby wiedziała... gdyby wiedziała, jakie szumowiny wpuścili do jej domu, co by powiedziała staremu Stworkowi, och, co za hańba... szlamy i wilkołaki... zdrajcy i złodzieje, biedny stary Stworek, co on może na to poradzić...

- Czołem, Stworku! - powiedział bardzo głośno Fred, zatrzaskując drzwi.

Skrzat znieruchomiał, przestał mamrotać i wzdrygnął się ostentacyjnie, choć bardzo nieprzekonująco.

- Stworek nie widział młodego pana - powiedział, odwracając się i kłaniając Fredowi. - Plugawy synalek zdrajczyni, ot co - dodał bardzo wyraźnie, wciąż wpatrując się w dywan.

- Słucham? - odezwał się George. - Nie dosłyszałem ostatniego zdania.

- Stworek nic nie powiedział - rzekł skrzat, teraz kłaniając się George'owi, po czym dodał cicho, ale wyraźnie: - A to jego brat bliźniak, obaj są wynaturzonymi potworami, ot co.

Harry nie wiedział, czy się śmiać czy nie. Skrzat wyprostował się, obrzucił ich wszystkim nienawistnym spojrzeniem i zaczął znowu mamrotać, najwidoczniej przekonany, że go nie słyszą:

- ...a tu jest ta szlama, stoi sobie bezczelnie jakby nigdy nic, och, gdyby moja pani wiedziała, och, jakby płakała, a tu... jakiś nowy, Stworek nie zna jego imienia, co on tu robi, Stworek nie wie...

- Stworku, to jest Harry - rzuciła Hermiona obojętnym tonem. - Harry Potter.

Blade oczy Stworka rozszerzyły się, po czym zaczął mamrotać jeszcze szybciej i z jeszcze większą złością:

- Szlama mówi do Stworka, jakby była jego znajomą, gdyby pani Stworka zobaczyła go w takim towarzystwie, och, co by powiedziała...

- Nie nazywaj jej szlama! - krzyknęli jednocześnie Ron i Ginny.

- Nic nie szkodzi - szepnęła Hermiona. - Trochę mu się pomieszało w głowie, nie wie, co...

- Nie oszukuj samej siebie, Hermiono, on doskonale wie, co mówi - powiedział Fred, patrząc na skrzata z odrazą.

Stworek wciąż mamrotał, nie spuszczając wzroku z Harry'ego.

- To prawda? To jest Harry Potter? Stworek widzi bliznę, to chyba prawda... to ten chłopiec, który powstrzymał Czarnego Pana, Stworek się zastanawia, jak on to zrobił...

- My też, Stworku - przerwał mu Fred.

- No dobra, ale czego chcesz? - zapytał George.

Stworek zwrócił na niego swoje wielkie oczy.

- Stworek sprząta - odpowiedział wymijająco.

- I myśli, że w to uwierzymy - powiedział ktoś za plecami Harry'ego.

Wrócił Syriusz, łypiąc groźnie od drzwi na skrzata. Hałas na dole ucichł; być może pani Weasley i Mundungus przenieśli kłótnię do kuchni. Na widok Syriusza Stworek skłonił się przed nim tak nisko, że jego ryjkowaty nos rozpłaszczył się na podłodze.

- Stań prosto - rzucił niecierpliwie Syriusz. - Co ty tu robisz?

- Stworek sprząta - powtórzył skrzat. - Stworek żyje po to, by służyć szlachetnemu domowi Blacków...

- ...w którym jest coraz więcej brudu - wtrącił Syriusz.

- Mój pan to zawsze lubi pożartować - zaskrzeczał Stworek, ponownie się kłaniając i ciągnąc nieco ciszej: - Pan jest plugawą, niewdzięczną świnią, która złamała serce swojej matki...

- Moja matka nie miała serca, Stworku - warknął Syriusz. - Tylko nienawiść utrzymywała ją przy życiu.

Stworek złożył przed nim jeszcze jeden pokłon i powiedział:

- Mój pan wie, co mówi. - A potem wymamrotał ze złością: - Pan nie jest godny zetrzeć błota z butów swojej matki, och, moja biedna pani, co by powiedziała, gdyby zobaczyła, że Stworek mu służy, jakby go znienawidziła, jak gorzki by to był dla niej zawód...

- Zapytałem cię, co tu robisz - wycedził Syriusz. - Za każdym razem, kiedy udajesz, że sprzątasz, ściągasz coś i zanosisz do swojego pokoju, żebyśmy nie mogli tego wyrzucić.

- Stworek nigdy by nie ruszył niczego, co leży we właściwym miejscu w domu pana - powiedział skrzat, a potem wymamrotał bardzo szybko: - Pani by nigdy nie wybaczyła Stworkowi, gdyby wyrzucono gobeliny, są w tej rodzinie od siedmiuset lat, Stworek musi je ocalić, Stworek nie pozwoli zniszczyć ich panu, tym ohydnym zdrajcom i tym bachorom...

- Tak właśnie myślałem - rzekł Syriusz, rzucając pogardliwe spojrzenie na przeciwną ścianę. - Założę się, że na nie też rzuciła Zaklęcie Trwałego Przylepca, ale jak mi się uda je odczarować, to na pewno je wyrzucę. A teraz idź już sobie, Stworku.

Skrzat nie śmiał nie wykonać bezpośredniego polecenia, ale kiedy przechodził obok Syriusza, obrzucił go nienawistnym spojrzeniem, mamrocąc pod nosem:

- ...wraca tu prosto z Azkabanu i rozkazuje Stworkowi, och, moja biedna pani, co by powiedziała, gdyby teraz zobaczyła swój dom, pełno w nim szumowin, jej skarby powyrzucane, wyklęła go, a on tu wraca, mówią, że to morderca...

- Mamrocz tak dalej, a stanę się mordercą! - warknął Syriusz i ze złością zatrzasnął drzwi za skrzatem.

- Syriuszu, jemu się pomieszało w głowie - powiedziała Hermiona błagalnym tonem. - Na pewno nie zdaje sobie sprawy z tego, że go słyszymy.

- Za długo był samotny - rzekł Syriusz - za długo musiał wykonywać zwariowane rozkazy portretu mojej matki, za długo mówił tylko do siebie, ale zawsze był obrzydliwym, małym...

- Gdybyś go uwolnił - zaczęła Hermiona z nadzieją w głosie - to może...

- Nie mogę go uwolnić, bo za dużo wie o Zakonie Feniksa. A zresztą taki wstrząs przypłaciłby życiem. Spróbuj mu powiedzieć, że może opuścić ten dom, a sama zobaczysz, jak zareaguje.

Syriusz podszedł do wielkiego gobelinu, który Stworek próbował ocalić. Gobelin musiał być bardzo stary; wyblakł i wyglądał tak, jakby go w niektórych miejscach nadgryzły bahanki, ale złote nici, którymi był powyszywany, wciąż połyskiwały w półmroku, ukazując rozłożyste drzewo genealogiczne, sięgające (jak uznał Harry) czasów średniowiecza. Wielkie litery u szczytu drzewa głosiły:

Szlachetny i Starożytny Ród Blacków

„Toujours pur”

- Ciebie tu nie ma! - zauważył Harry, przyjrzawszy się napisom u dołu.

- Kiedyś byłem tutaj - rzekł Syriusz, wskazując na okrągłą dziurkę w tkaninie, jakby wypaloną papierosem. - Moja słodka mamuńcia wyrzuciła mnie stąd, kiedy uciekłem z domu... Stworek bardzo lubi wspominać to wydarzenie.

- Uciekłeś z domu?

- Kiedy miałem z szesnaście lat. Miałem już dosyć.

- Dokąd uciekłeś? - zapytał Harry, wpatrując się w niego.

- Do domu twojego ojca. Twoi dziadkowie przyjęli mnie bez oporu, traktowali mnie tak, jakbym był ich drugim synem. Tak, tak... wakacje spędzałem w domu twego ojca, a kiedy skończyłem siedemnaście lat, zamieszkałem już we własnym domu, bo mój wuj Alfard pozostawił mi przyzwoitą sumkę... jego też stąd wymazano, chyba właśnie z tego powodu... w każdym razie odtąd już sam dbałem o siebie, choć w niedziele zawsze byłem mile widziany przy stole w domu państwa Potterów.

- Ale... dlaczego...

- Dlaczego uciekłem? - Syriusz uśmiechnął się gorzko i odgarnął z czoła swoje długie, zmierzwione włosy. - Bo znienawidziłem ich wszystkich: moich rodziców, z tą ich zwariowaną manią na punkcie czystości krwi, święcie przekonanych, że samo bycie Blackiem czyni cię królem... mojego brata kretyna, który był na tyle głupi, żeby im wierzyć... To on.

Dźgnął palcem gobelin u samego dołu drzewa, tam, gdzie widniało nazwisko: REGULUS BLACK. Po dacie urodzenia była data śmierci (sprzed jakichś piętnastu lat).

- Był ode mnie młodszy i o wiele lepszy, jak mi wciąż przypominano.

- Ale umarł - powiedział Harry.

- Tak. Skończony głupiec... przystał do śmierciożerców.

- Nie żartuj!

- Daj spokój, Harry, czy ten dom nie mówi ci, do jakiego rodzaju czarodziejów należała moja rodzina?

- Więc twoi rodzice też byli... byli śmierciożercami?

- No nie, ale wierz mi, popierali Voldemorta, byli za oczyszczeniem rasy czarodziejów, za pozbyciem się mugolaków i za obejmowaniem kierowniczych stanowisk wyłącznie przez czarodziejów czystej krwi. I wcale nie byli w tym osamotnieni, tak myślących jak oni było całkiem sporo... Zanim Voldemort ujawnił wyraźnie, do czego

zmierza, uważali, że ma zdrowe poglądy na wiele spraw... Dopiero później, jak już zobaczyli, do czego jest zdolny, strach ich obleciał. Ale jestem pewny, że z początku moi rodzice uważali Regulusa za małego bohatera.

- Zabił go jakiś auror? - zapytał Harry.

- Och, nie, nie auror. Zabił go Voldemort. Albo raczej ktoś inny na rozkaz Voldemorta, bo nie sądzę, by Regulus był na tyle ważny, żeby Voldemort zamordował go osobiście. Z tego, czego się dowiedziałem po jego śmierci, wynika, że już na samym początku, gdy kazano mu zrobić coś strasznego, przeraził się i próbował wycofać. No, ale nie można tak po prostu złożyć rezygnacji na ręce Voldemorta. To służba na całe życie albo śmierć.

- Drugie śniadanie - zabrzmiał głos pani Weasley.

Stała z podniesioną wysoko różdżką, utrzymując nią w równowadze w powietrzu wielką tacę z kanapkami i ciastem. Była bardzo czerwona na twarzy i wciąż wyglądała na rozsierdzoną. Weasleyowie i Hermiona podbiegli do niej, sięgając po kanapki, ale Harry został przy Syriuszu, który przyglądał się z bliska gobelinowi.

- Nie widziałem tego od wielu lat. Tu jest Fineas Nigellus... mój prapradziadek, widzisz? Najmniej lubiany dyrektor Hogwartu w całej jego historii... a tu Araminta Meliflua... kuzynka mojej matki... próbowała przeforsować w Ministerstwie Magii ustawę legalizującą polowanie na mugoli... i ciotka Elladora... to ona zapoczątkowała rodzinną tradycję obcinania głowy skrzatom domowym, kiedy były już za stare, żeby unieść tacę z herbatą... Oczywiście kiedy w mojej rodzinie pojawił się ktoś choć w miarę przyzwoity, zostawał wydziedziczony. Widzę, że brakuje tu Tonks. Może dlatego Stworek nie chce jej słuchać... a powinien zrobić wszystko, co mu każe którykolwiek członek naszej rodziny...

- Jesteś spokrewniony z Tonks? - zapytał zaskoczon Harry.

- Tak, jej matka, Andromeda, była moją ulubioną kuzynką - odrzekł Syriusz, przyglądając się uważnie gobelinowi. - Nie, Andromedy też tutaj nie ma, popatrz...

Wskazał na kolejną wypaloną czymś dziurkę między dwoma imionami: Bellatriks i Narcyza.

- Siostry Andromedy wciąż tutaj są, bo poślubiły czarodziejów czystej krwi, natomiast Andromeda wyszła za czarodzieja z mugolskiej rodziny, Teda Tonksa, więc...

Syriusz machnął różdżką w stronę gobelinu i parsknął ironicznym śmiechem. Harry jednak się nie roześmiał, zbyt był zajęty wpatrywaniem się w imiona widniejące na prawo od wypalonego śladu po Andromedzie. Podwójna złota linia łączyła Narcyzę Black z Lucjuszem Malfoyem, a pojedyncza biegła od obu tych imion do imienia Draco.

- Jesteś spokrewniony z Malfoyami!

- Wszystkie czarodziejskie rody czystej krwi są ze sobą spokrewnione. Kiedy synom i córkom pozwala się na poślubienie wyłącznie czarodziejów i czarownic czystej krwi, wybór jest dość ograniczony. Mało nas zostało. Molly i ja jesteśmy kuzynami przez małżeństwo, a Artur jest kimś w rodzaju mojego kuzyna drugiego stopnia. Ale tutaj ich nie znajdziesz... Weasleyowie to przecież rodzina podłych zdrajców.

Ale Harry wpatrywał się teraz w imię i nazwisko na lewo od dziury po Andromedzie: Bellatriks Black, połączonej podwójną linią z Rudolfem Lestrange'em.

- Lestrange... - powiedział na głos.

To nazwisko było mu znajome, ale przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, skąd je zna, choć budziło w nim jakieś dziwne, na pewno niezbyt przyjemne uczucie.

- Są w Azkabanie - mruknął Syriusz.

Harry spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Bellatriks i jej mąż Rudolf znaleźli się w Azkabanie razem z młodym Bartym Crouchem - rzekł Syriusz tym samym szorstkim tonem. - Brat Rudolfa, Rabastan, też.

Harry sobie przypomniał: widział Bellatriks Lestrange w myślodsiewni Dumbledore'a, w tym dziwacznym urządzeniu, w którym można było zmagazynować myśli i wspomnienia. Tak, to ta wysoka, ciemnowłosa kobieta z ociężałymi powiekami, która stanęła przed sądem i oświadczyła, że od dawna służy Voldemortowi, że jest dumna z tego, że próbowała go odszukać po jego upadku, że nadal jest pewna nagrody za swą wierność.

- Nigdy nie mówiłeś, że jest twoją...

- To, że jest moją kuzynką, nie ma dla mnie żadnego znaczenia - mruknął ponuro Syriusz. - Dla mnie nie są członkami mojej rodziny. A już ona na pewno do niej nie należy. Nie widziałem jej od czasu, gdy byłem w twoim wieku, nie licząc krótkiego momentu w Azkabanie. Myślisz, że jestem dumny z takich krewnych?

- Wybacz - wtrącił szybko Harry. - Nie chciałem... Byłem po prostu zaskoczony, to wszystko...

- Ależ to nic takiego, nie przepraszaj - bąknął Syriusz. Odwrócił się od gobelinu, obie ręce wsunął głęboko do kieszeni. - Nie czuję się najlepiej w tym domu - dodał, patrząc na salon. - Nigdy nie myślałem, że znowu będę w nim uwięziony.

Harry od razu go zrozumiał. Dobrze wiedział, jakby sam się czuł, gdyby już był dorosły i raz na zawsze uwolniony od mieszkania przy Privet Drive 4, a okoliczności zmusiłyby go do powrotu.

- Oczywiście wiem, że na Kwaterę Główną jest idealny - rzekł Syriusz. - Mój ojciec zabezpieczył go wszelkimi znanymi w świecie czarodziejów sposobami. Jest nienanoszalny, więc mugole nigdy nie przyjdą tu i nie zadzwonią do drzwi... nawet gdyby bardzo chcieli, w co wątpię... a teraz, kiedy jest dodatkowo chroniony przez Dumbledore'a, trudno o bezpieczniejsze miejsce. Dumbledore jest Strażnikiem Tajemnic Zakonu... rozumiesz, nikt nie może odnaleźć Kwatery Głównej, dopóki on sam mu nie powie, gdzie ona jest. Ta notatka, którą Moody kazał ci przeczytać zeszłej nocy, napisana została własnoręcznie przez Dumbledore'a... - Syriusz roześmiał się krótko, co bardzo przypominało szczeknięcie psa. - Gdyby moi rodzice wiedzieli, do jakich celów służy ich dom... zresztą poznałeś już reakcję choćby portretu mojej matki...

Przez chwilę twarz miał zasępioną, potem westchnął głęboko.

- Żebym chociaż mógł wyrwać się stąd od czasu do czasu i zrobić coś pożytecznego! Zapytałem Dumbledore'a, czy mógłbym ci towarzyszyć w drodze na to przesłuchanie... oczywiście jako Wąchacz... żeby cię wesprzeć duchowo. Co ty na to?

Harry poczuł się tak, jakby mu żołądek opadł aż na zakurzony dywan. Nie pomyślał o tym ani razu od poprzedniego wieczoru, podniecony towarzystwem swoich najbliższych przyjaciół, których tak dawno nie widział. Łasy na wszelkie wiadomości o tym, co się naprawdę dzieje, wyrzucił z pamięci dręczącą myśl o czekającym go przesłuchaniu. Teraz znowu obezwładniło go poczucie strasznego zagrożenia. Spojrzał na Hermionę i Weasleyów, objadających się kanapkami, i pomyślał, jakby się czuł, gdyby powrócili do Hogwartu bez niego.

- Nie martw się - usłyszał głos Syriusza. Harry spojrzał na niego i uświadomił sobie, że ojciec chrzestny go obserwuje. - Jestem pewny, że cię uniewinnią. W Międzynarodowym Kodeksie Czarodziejów jest coś o zezwoleniu na użycie czarów w obliczu zagrożenia życia.

- Ale jeśli mnie jednak wyrzucą... będę mógł tu wrócić i zamieszkać z tobą? - zapytał cicho Harry.

Syriusz uśmiechnął się ponuro.

- Zobaczymy.

- O wiele lepiej znosiłbym myśl o tym przesłuchaniu, gdybym wiedział, że nie będę już musiał wracać do Dursleyów.

- Musieli ci naprawdę dopiec, skoro wolisz to miejsce...

- Hej, wy dwaj, pospieszcie się, bo nic dla was nie zostanie! - zawołała pani Weasley.

Syriusz jeszcze raz westchnął głęboko, obrzucił gobelin posępnym spojrzeniem i razem z Harrym podszedł do reszty.

Harry starał się jak mógł, by nie myśleć o przesłuchaniu, kiedy po południu czyścili oszklone szafki. Na szczęście to zajęcie wymagało sporo skupienia, jako że wiele przedmiotów najwidoczniej nie zamierzało opuścić szafek bez oporu. Syriusza ugryzła paskudnie srebrna tabakiera; po kilku sekundach całą dłoń pokryła mu wstrętna brązowa skorupa.

- Nic się nie stało - powiedział, przyglądając się z zaciekawieniem swojej ręce, po czym stuknął w nią lekko różdżką, przywracając do normalnego stanu. - Najwyraźniej w środku jest Brodawkolep.

Wrzucił tabakierkę do worka, w którym gromadzili śmieci z szafek, a Harry spostrzegł, jak w chwilę później George owija sobie rękę szmatą, wyciąga srebrne pudełko z worka i wsuwa do kieszeni, wypchanej już bahankami.

Znaleźli jakieś niezbyt przyjemnie wyglądające narzędzie, coś w rodzaju szczypiec o wielu końcach, które pomknęło po ramieniu Harry'ego jak pająk, próbując go ukąsić. Syriusz chwycił je i roztrzaskał ciężkim tomem *Szlachectwa naturalnego, czyli genealogii prawdziwych czarodziejów*. Było tam też pudełko z pozytywką, które zaczęło wygrywać smętną, złowieszczą melodię, kiedy je nakręcili, i wszyscy nagle poczuli się dziwnie słabi i senni, i nie wiadomo, jakby to się skończyło, gdyby Ginny nie okazała tyle zdrowego rozsądku, żeby w końcu zatrzasnąć wieko. Znaleźli też ciężki medalion, którego nikt nie potrafił otworzyć, kilka starych pieczęci i spoczywający w zakurzonym pudełku Order Merlina Pierwszej Klasy, który nadano dziadkowi Syriusza „za zasługi dla Ministerstwa".

- To znaczy, że dał im sporo złota - powiedział pogardliwie Syriusz, wrzucając order do worka ze śmieciami.

Kilka razy do pokoju zakradał się Stworek, który próbował schować coś pod swoją brudną przepaską na biodra i mamrotał obrzydliwe przekleństwa za każdym razem, gdy go na tym przyłapano. Kiedy Syriusz odebrał mu siłą wielki złoty sygnet z herbem Blacków, Stworek zalał się łzami i opuścił salon, łkając i obrzucając Syriusza takimi wyzwiskami, jakich Harry jeszcze nigdy w życiu nie słyszał.

- Należał do mojego ojca - rzekł Syriusz, wrzucając pierścień do worka. - Stworek nie był do niego aż tak bardzo przywiązany, jak do mojej matki, ale i tak w zeszłym tygodniu przyłapałem go, jak chciał ukryć parę jego starych spodni.

* * *

Pani Weasley nie dawała im odpocząć; pracowali ciężko przez następne kilka dni. Opróżnienie salonu zajęło im trzy dni; w końcu został tylko gobelin z genealogią Blacków, który w żaden sposób nie dał się oderwać od ściany, i biurko, w którym coś chrobotało.

Moody, jak dotąd, nie odwiedził ponownie Kwatery Głównej, więc nie byli pewni, kto lub co tam siedzi.

Potem zabrali się za jadalnię na parterze, gdzie w kredensie znaleźli pająki wielkie jak spodki (Ron wyleciał do kuchni, żeby zrobić herbatę i nie wracał przez półtorej godziny). Porcelanowy serwis z herbem i zawołaniem rodowym Blacków wylądował w worku. Ten sam los spotkał stare fotografie w zmatowiałych srebrnych ramach; uwięzione w nich portrety skarżyły się piskliwie, gdy roztrzaskane szkło opadało z hałasem na dno worka.

Snape mógł ich pracę nazywać „sprzątaniem", ale Harry skłaniał się bardziej ku nazywaniu jej prawdziwą wojną z tym domem, który wcale tak łatwo się nie poddawał, wspomagany i podbechtywany przez Stworka. Skrzat domowy wciąż pojawiał się w miejscach, gdzie się gromadzili, a jego mamrotanie stawało się coraz bardziej obelżywe i napastliwe, gdy go przepędzano od worka na śmieci, z którego próbował coś zwędzić. W końcu Syriusz zagroził, że da mu coś z ubrania, ale Stworek tylko spojrzał na niego swymi wodnistymi oczami i powiedział: „Pan zrobi to, co sobie życzy", żeby zaraz odwrócić się i wymamrotać bardzo wyraźnie: „ale pan nie wypędzi stąd Stworka, bo Stworek wszystko wie, och tak, mój pan spiskuje przeciw Czarnemu Panu, tak, razem z tymi mugolakami, zdrajcami i szumowinami..."

Na co Syriusz, nie zważając na protesty Hermiony, złapał skrzata z tyłu za brudną przepaskę na biodrach i wyrzucił z pokoju.

Dzwonek przy drzwiach odzywał się kilka razy dziennie, co wyzwalało dzikie wrzaski portretu w przedpokoju, a Harry'emu i jego przyjaciołom pozwalało ulec pokusie podsłuchania rozmów z przybyszami. Niewiele się dowiadywali ze strzępów rozmów, które zdołali podsłuchać, zanim pani Weasley przywołała ich z powrotem do pracy. Kilka razy dom odwiedził na krótko Snape, choć na szczęście Harry nigdy nie spotkał się z nim twarzą w twarz, a raz zobaczył z daleka profesor McGonagall, nauczycielkę transmutacji z Hogwartu, wyglądającą bardzo dziwacznie w mugolskiej sukni i płaszczu, ale i ona sprawiała wrażenie zbyt zajętej, by dłużej tu zabawić.

Niektórzy goście zatrzymywali się jednak nieco dłużej, żeby ich wesprzeć w walce z domem. Tonks pomagała im przez całe pamiętne przedpołudnie, kiedy w łazience na piętrze znaleźli bardzo starego i krwiożerczego ghula; a Lupin, który mieszkał w tym domu razem z Syriuszem, ale opuszczał go na długo w jakichś tajemniczych misjach, pomógł im przekonać stary zegar, by zarzucił niemiły zwyczaj strzelania ciężkimi sworzniami w każdego, kto koło niego przechodził. Mundungus zrehabilitował się trochę w oczach pani Weasley, uwalniając Rona z objęć starych szat, które próbowały go udusić, gdy je wyciągnął z szafy.

Choć Harry nadal źle sypiał, bo wciąż we śnie wędrował ciemnymi korytarzami, napotykając zamknięte drzwi, to po raz pierwszy tego lata dobrze się bawił. Dopóki był czymś zajęty, był szczęśliwy. Nie trwało to zwykle zbyt długo, bo gdy kończyli pracę, a on leżał zmęczony na łóżku, obserwując zamazane cienie na suficie, powracały ponure myśli o czekającym go przesłuchaniu w ministerstwie. Igły strachu przeszywały mu wnętrzności, kiedy rozmyślał, co się z nim stanie, jeśli go wyrzucą ze szkoły. Już sama ta myśl była tak straszna, że nigdy jej na głos nie wypowiedział, nawet do Rona i Hermiony, którzy - choć często widział, jak szepcą między sobą i rzucają lękliwe spojrzenia w jego stronę - poszli za jego przykładem i też sami o tym nie wspominali. Czasami nie potrafił okiełznać wyobraźni, która podsuwała mu obraz jakiegoś anonimowego urzędnika ministerstwa, który przełamuje jego różdżkę i nakazuje mu powrócić do domu Dursleyów. Jedno wiedział na pewno: nigdy tego nie zrobi. Jeśli go wyrzucą, nie wróci na Privet Drive. Wróci na Grimmauld Place i zamieszka z Syriuszem.

Poczuł się, jakby mu ciężka cegła opadła na dno żołądka, kiedy pani Weasley zwróciła się do niego w środę podczas kolacji i powiedziała cicho:

- Uprasowałam ci twoje najlepsze ubranie, Harry. Włożysz je jutro rano. I umyj sobie dzisiaj włosy. Dobre pierwsze wrażenie czasem sprawia cuda.

Ron, Hermiona, Fred, George i Ginny - wszyscy zamilkli i spojrzeli w ich stronę. Harry kiwnął głową i zabrał się za kotlet, ale w ustach tak mu zaschło, że nie mógł przeżuć ani kawałka mięsa.

- Jak się tam dostanę? - zapytał panią Weasley, starając się, by zabrzmiało to zdawkowo.

- Artur zabierze cię z sobą - odpowiedziała łagodnie pani Weasley.

Jej mąż uśmiechnął się do niego przez stół.

- Możesz zaczekać w moim biurze, aż nadejdzie czas przesłuchania.

Harry spojrzał na Syriusza, ale zanim zdążył zadać mu pytanie, pani Weasley na nie odpowiedziała.

- Profesor Dumbledore uważa, że to nie jest dobry pomysł, by Syriusz ci towarzyszył, a ja muszę powiedzieć, że...

- ...ma całkowitą rację - dokończył za nią Syriusz przez zaciśnięte zęby.

Pani Weasley ściągnęła usta.

- Kiedy Dumbledore to powiedział? - zapytał Harry, patrząc na Syriusza.

- Wpadł tu w nocy, kiedy byliście już w łóżkach - odpowiedziała pani Weasley.

Syriusz dziobnął ponuro widelcem kartofel. Harry opuścił wzrok na swój talerz. Kiedy pomyślał, że Dumbledore był w tym domu w przeddzień jego przesłuchania i nie chciał się z nim zobaczyć, poczuł się jeszcze gorzej - jeżeli to w ogóle było możliwe.

ROZDZIAŁ SIÓDMY
MINISTERSTWO MAGII

Harry obudził się o pół do szóstej następnego ranka tak gwałtownie, jakby ktoś ryknął mu w ucho. Przez kilka chwil leżał nieruchomo, czując, jak perspektywa przesłuchania wypełnia każdą najmniejszą cząsteczkę jego mózgu, a potem, nie mogąc dłużej tego znieść, wyskoczył z łóżka i założył okulary. Pani Weasley zostawiła mu w nogach łóżka świeżo wyprane dżinsy i koszulkę. Wciągnął je na siebie. Pusty obraz na ścianie zachichotał.

Ron leżał na plecach z szeroko otwartymi ustami, pogrążony w głębokim śnie. Nawet się nie poruszył, kiedy Harry przeszedł przez sypialnię i zamknął za sobą drzwi. Starając się nie myśleć o tym, że kiedy znowu zobaczy przyjaciela, mogą już nie chodzić razem do szkoły, zszedł cicho po schodach, mijając głowy przodków Stworka.

Spodziewał się, że nikogo w kuchni nie zastanie, ale się mylił. Kiedy podszedł do drzwi, usłyszał za nimi szmer głosów, a kiedy je otworzył, ujrzał państwa Weasleyów, Syriusza, Lupina i Tonks, siedzących przy stole, jakby na niego czekali. Wszyscy byli już kompletnie ubrani, prócz pani Weasley, która miała na sobie pikowany szlafrok. Zerwała się, jak tylko go zobaczyła.

- Śniadanie - powiedziała, wyciągając różdżkę i podchodząc do paleniska.

- Dzie-eee-eń dobry, Harry - ziewnęła Tonks. Tego ranka miała pofalowane włosy koloru blond. - Wyspałeś się?

- Taaak - mruknął Harry.

- A ja nie-ee spa-a-ałam całą noc - powiedziała, ziewając ponownie. - Chodź tu i usiądź...

Wysunęła mu krzesło, przewracając jednocześnie drugie.

- Co byś zjadł, Harry? - zapytała pani Weasley. - Owsiankę? Bułeczki? Wędzone śledzie? Jajka na bekonie? Tosty?

- Dzięki... wystarczy mi tost.

Lupin zerknął na niego, po czym zwrócił się do Tonks.

- Co mówiłaś o tym Scrimgeourze?

- Och... tak... no wiesz, musimy być ostrożni, zadawał Kingsleyowi i mnie dziwne pytania...

Harry był im wdzięczny, że nie zmuszają go do rozmowy. Czuł tępy ucisk w żołądku. Pani Weasley postawiła przed nim talerz z grzankami i słoik z dżemem. Próbował coś zjeść, ale wydawało mu się, że żuje dywan. Pani Weasley usiadła przy nim i zajęła się jego koszulką, chowając metkę i wygładzając zmarszczki na ramionach. Czuł się okropnie.

- ...i musiałam powiedzieć Dumbledore'owi, że tej nocy nie będę w stanie nic zrobić, jestem za bardzo zmęczo-o-ona - skończyła Tonks, jeszcze raz ziewając potężnie.

- Ja cię zastąpię - oświadczył pan Weasley. - Czuję się znakomicie, zresztą i tak muszę skończyć raport...

Nie miał na sobie szaty czarodzieja, tylko spodnie w prążki i starą kurtkę lotniczą.

- Jak się czujesz? - zwrócił się do Harry'ego.

Harry wzruszył ramionami.

- Wkrótce będzie po wszystkim - powiedział pan Weasley pocieszającym tonem. - Za parę godzin zostaniesz uniewinniony.

Harry milczał.

- Przesłuchanie odbędzie się na moim piętrze, w gabinecie Amelii Bones. Jest szefem Departamentu Przestrzegania Prawa i to ona będzie ci zadawać pytania.

- Harry, Amelia Bones to równa babka - wtrąciła Tonks. - Jest w porządku, wysłucha twoich wyjaśnień.

Harry kiwnął głową, nadal nie będąc w stanie się odezwać.

- Nie trać panowania nad sobą - rzekł nagle Syriusz. - Bądź uprzejmy i trzymaj się faktów.

Harry znowu kiwnął głową.

- Prawo jest po twojej stronie - powiedział spokojnie Lupin. - Nawet niepełnoletni czarodzieje mogą użyć czarów w sytuacji zagrożenia życia.

Coś lodowatego spłynęło po karku Harry'ego; przez chwilę pomyślał, że ktoś rzucił na niego Zaklęcie Kameleona, ale w chwilę później zdał sobie sprawę, że to pani Weasley atakuje jego włosy mokrym grzebieniem, znęcając się szczególnie nad kogutem sterczącym mu na czubku głowy.

- Czy ich się nie da przygładzić? - zapytała rozpaczliwym tonem.

Harry pokręcił głową.

Pan Wesley zerknął na zegarek i spojrzał na Harry'ego.

- Chyba musimy już iść. Jest trochę wcześnie, ale myślę, że lepiej się poczujesz w drodze, niż czekając tutaj.

- W porządku - zgodził się automatycznie Harry, po czym rzucił niedojedzoną grzankę i wstał.

- Wszystko będzie dobrze, Harry - pocieszyła go Tonks, klepiąc go po ramieniu.

- Powodzenia - rzekł Lupin. - Jestem pewny, że wszystko dobrze się skończy.

- A jak nie - mruknął Syriusz - to sobie porozmawiam z Amelią Bones...

Harry uśmiechnął się blado. Pani Weasley uściskała go.

- Wszyscy trzymamy kciuki.

- Fajnie - rzekł Harry. - No... to do zobaczenia.

Ruszył za panem Weasleyem na górę, do przedpokoju. Matka Syriusza chrząkała przez sen za zasłonami portretu. Pan Weasley odryglował drzwi i ogarnął ich chłód szarego poranka.

- Zwykle to pewnie pan do pracy nie chodzi, prawda? - zapytał Harry, kiedy szli raźnym krokiem wokół placyku.

- Nie, zwykle się teleportuję, ale ty, rzecz jasna, nie możesz, i sądzę, że będzie lepiej, jak przybędziemy tam w sposób, że tak powiem, całkowicie niemagiczny... zrobimy lepsze wrażenie, biorąc pod uwagę powód, dla którego wezwali cię na przesłuchanie...

Pan Weasley trzymał rękę w kieszeni marynarki, a Harry dobrze wiedział, że ściska nią różdżkę. Ulice były prawie puste, dopiero kiedy doszli do małej stacji metra, zobaczyli, że już jest na niej tłoczno. Pan Weasley, jak zwykle, gdy znalazł się pośród mugoli zajętych swymi codziennymi sprawami, z trudem ukrywał podniecenie.

- Bajeczne - szepnął, wskazując automaty do biletów. - Wprost genialne.

- Ale nie działają - zauważył Harry, wskazując na wywieszkę.

- No tak, ale mimo to... - Pan Weasley przypatrywał im się z lubością.

Kupili bilety u zaspanego strażnika (Harry dokonał transakcji, bo pan Weasley nie bardzo się znał na mugolskich pieniądzach) i pięć minut później wsiedli do kolejki, która z głośnym hałasem powiozła ich ku centrum Londynu. Pan Weasley bez przerwy zerkał na schemat metra wiszący nad oknami, żeby sprawdzić, gdzie są.

- Cztery przystanki, Harry... teraz zostały już trzy... jeszcze dwa przystanki, Harry...

Wysiedli na stacji w samym centrum Londynu, zagarnięci przez falę mugoli w garniturach i garsonkach, niosących teczki i nesesery. Wjechali na górę ruchomymi schodami, przeszli przez barierki w punkcie kontroli biletów (pan Weasley był zachwycony, widząc, jak szczelina połyka jego bilet) i wyszli na szeroką, ruchliwą ulicę, przy której wznosiły się imponujące budynki.

- Gdzie my jesteśmy? - zapytał nagle pan Weasley niezbyt pewnym tonem i Harry przez chwilę pomyślał, że mimo tego nieustannego zerkania na plan wysiedli na złej stacji, ale sekundę później pan Weasley powiedział: - Ach, tak... Tędy, Harry - i skręcił w boczną ulicę. - Wybacz mi - rzekł - ale nigdy nie podróżowałem pociągiem, a z mugolskiej perspektywy wszystko wygląda trochę inaczej. Prawdę mówiąc, po raz pierwszy wejdę do ministerstwa wejściem dla interesantów.

Im dalej szli, tym domy stawały się mniejsze i skromniejsze, aż w końcu doszli do ulicy, przy której było tylko kilka niskich, odrapanych biurowców, pub i przepełniony kontener na śmieci. Harry był zaskoczony, bo spodziewał się, że ministerstwo znajduje się w jakimś bardziej reprezentacyjnym miejscu.

- Jesteśmy - powiedział zadowolony pan Weasley, wskakując na starą, czerwoną budkę telefoniczną, w której brakowało kilku szyb i która stała przy ścianie zasmarowanej graffiti. - Wchodź pierwszy, Harry.

I otworzył drzwi budki.

Harry wszedł do środka, zastanawiając się, po co to robi. Pan Weasley wcisnął się obok niego i zamknął drzwi. Było dość ciasno; Harry przywarł do aparatu telefonicznego, który wisiał krzywo, jakby jakiś wandal próbował go oderwać. Pan Weasley sięgnął po słuchawkę.

- Proszę pana, to chyba też nie działa - bąknął Harty.

- Nie, nie, jestem pewny, że działa - rzekł pan Weasley, trzymając słuchawkę nad głową i wpatrując się w tarczę. - Zaraz... sześć - wykręcił numer - dwa... cztery... i jeszcze raz cztery... i jeszcze raz dwa...

Kiedy tarcza po raz ostatni wróciła na miejsce, rozległ się chłodny żeński głos, nie ze słuchawki, tylko gdzieś z wnętrza aparatu, tak głośny i wyraźny, jakby tuż obok nich stała niewidzialna kobieta.

- Witamy w Ministerstwie Magii. Proszę podać imię, nazwisko i sprawę.

- Eee... - bąknął pan Weasley, najwyraźniej nie bardzo wiedząc, czy ma mówić do słuchawki czy nie; w końcu przyłożył mikrofon do ucha. - Artur Weasley, Urząd Niewłaściwego Użycia Produktów Mugoli, towarzyszę Harry'emu Potterowi, który został wezwany na przesłuchanie dyscyplinarne...

- Dziękuję - powiedział chłodny żeński głos. - Interesancie, proszę wziąć plakietkę i przypiąć ją sobie na piersi.

Kliknęło, zazgrzytało i coś wysunęło się ze szczeliny, która zwykle zwraca monety. Była to prostokątna srebrna plakietka z napisem: HARRY POTTER, PRZESŁUCHANIE DYSCYPLINARNE. Kiedy Harry przypiął ją sobie do koszulki, żeński głos znowu przemówił.

- Szanowny interesancie, przypominamy o konieczności poddania się kontroli osobistej i okazania różdżki do rejestracji przy stanowisku ochrony, które mieści się w końcu atrium.

Podłoga budki telefonicznej zadygotała i zaczęli powoli opadać. Harry patrzył z obawą, jak za szybą chodnik przesuwa się w górę, aż do sufitu, i nagle otoczyła ich ciemność. Budka z cichym zgrzytem opadała w głąb ziemi. Po jakiejś minucie, choć Harry'emu wydawało się, że trwało to dłużej, u jego stóp pojawił się pasek złotego światła, który rozszerzał się powoli, aż sięgnął jego twarzy, tak że musiał zmrużyć oczy przed oślepiającym blaskiem.

- Ministerstwo Magii życzy panu miłego dnia - oznajmił kobiecy głos.

Drzwi otworzyły się i pan Weasley wyszedł z budki, a za nim Harry, któremu natychmiast opadła szczęka.

Stali na końcu bardzo długiego, imponującego holu z wypolerowaną, lśniącą posadzką z ciemnego drewna. Na suficie koloru pawiego granatu lśniły złote symbole, nieustannie poruszające się i zmieniające jak jakaś wielka, niebiańska tablica ogłoszeń. W pokrytych błyszczącą drewnianą boazerią ścianach widniało mnóstwo kominków. Co parę sekund z jednego z kominków w ścianie po lewej stronie wynurzała się z cichym poświstem postać czarownicy lub czarodzieja, natomiast po prawej stronie przed kominkami tworzyły się krótkie kolejki czarodziejów czekających na odjazd.

W połowie holu była fontanna. Pośrodku okrągłej sadzawki stały wysokie złote posągi. Najwyższym był posąg nobliwie wyglądającego czarodzieja z różdżką wycelowaną prosto w górę. Wokół niego stały posągi pięknej czarownicy, centaura z napiętym łukiem, goblina i skrzata domowego; ci ostatni wpatrywali się z zachwytem w czarodzieja i czarownicę. Z końców ich różdżek, z grotu strzały centaura, z ostro zakończonego szczytu kapelusza goblina i z uszu skrzata tryskały migotliwe strumienie wody, opadające wdzięcznymi łukami do sadzawki, a ich łagodny szmer mieszał się z cichymi pyknięciami i trzaskami aportacji i deportacji oraz z tupotem stóp setek czarownic i czarodziejów zmierzających ku złotym wrotom w drugim końcu holu. Większość miała ponure, trochę zaspane twarze.

- Za mną - rzekł pan Weasley.

Włączyli się w tłum, lawirując między pracownikami ministerstwa, z których jedni nieśli chwiejne stosy pergaminów, inni wyświechtane teczki, a jeszcze inni zajęci byli lekturą „Proroka Codziennego". Mijając fontannę, Harry dostrzegł srebrne sykle i brązowe knuty połyskujące na dnie sadzawki. Poplamiona tabliczka nad sadzawką głosiła:

Wszystkie datki wrzucone do Fontanny Magicznego Braterstwa zostaną przekazane Klinice Magicznych Chorób i Urazów Szpitala Świętego Munga

Jeśli mnie nie wyrzucą z Hogwartu, wrzucę tu dziesięć galeonów, pomyślał z rozpaczą Harry.

- Tutaj, Harry - powiedział pan Weasley i wyszli ze strumienia urzędników zmierzających ku złotym wrotom, kierując się do biurka po lewej stronie, nad którym wisiała tabliczka z napisem: OCHRONA. Niechlujnie ogolony czarodziej w granatowej szacie na ich widok podniósł głowę i odłożył „Proroka Codziennego".

- Prowadzę interesanta - rzekł pan Weasley, wskazując na Harry'ego.

- Proszę tu podejść - powiedział czarodziej znudzonym głosem.

Harry podszedł bliżej, a czarodziej uniósł długi złoty pręt, cienki i giętki jak antena samochodowa, i przejechał nim po ciele Harry'ego z przodu i z tyłu.

- Różdżka - mruknął czarodziej, odkładając złoty pręt i wyciągając rękę.

Harry podał mu swoją różdżkę. Czarodziej rzucił ją na mosiężną tacę, będącą częścią jakiegoś dziwnego przyrządu przypominającego wagę o jednej szalce. Tacka zaczęła wibrować i po chwili ze szczeliny u podstawy przyrządu wysunął się pasek pergaminu. Czarodziej oderwał go i rzucił na skrawek okiem.

- Jedenaście cali, rdzeń z pióra feniksa, używana od czterech lat. Zgadza się?

- Tak - bąknął Harry.

- To zatrzymam - rzekł czarodziej, wbijając skrawek pergaminu na mosiężny szpikulec. - A to zwracam - dodał, pchnąwszy różdżkę w stronę Harry'ego.

- Dziękuję.

- Zaraz... - powiedział powoli czarodziej.

Zatrzymał wzrok na srebrnej plakietce na piersiach Harry'ego, a potem szybko zerknął na jego czoło.

- Dziękuję, Eryku - powiedział pan Weasley zdecydowanym tonem i chwyciwszy Harry'ego za ramię, skierował go z powrotem ku strumieniowi czarodziejów i czarownic przechodzących przez złote wrota.

Popychany od czasu do czasu przez idących, Harry przeszedł za panem Weasleyem przez wrota do mniejszego holu, w którym było przynajmniej dwadzieścia wind za wykutymi ze złota kratami. Stanęli w grupie zgromadzonej wokół jednej z nich. Tuż obok stał potężny, brodaty czarodziej trzymający wielkie pudło. W pudle coś chrobotało.

- Jak leci, Arturze? - zagadnął czarodziej i ukłonił się panu Weasleyowi.

- Co tam masz, Bob? - zapytał pan Weasley, patrząc na pudło.

- Nie jesteśmy pewni - odrzekł czarodziej z powagą. - Myśleliśmy, że to najzwyklejszy kurczak, dopóki nie zaczął zionąć ogniem. To mi wygląda na poważne złamanie Zakazu Hodowli Eksperymentalnej.

Głośne podzwanianie i zgrzytanie oznajmiło nadejście windy. Złota krata rozsunęła się i Harry wszedł do środka za panem Weasleyem. Przyciśnięty plecami do tylnej ścianki windy, unikał zaciekawionych spojrzeń czarownic i czarodziejów, wpatrując się w swoje stopy i przygładzając szybko grzywkę na czole. Krata zasunęła się i winda ruszyła powoli z jękiem i zgrzytem łańcuchów, podczas gdy chłodny głos kobiecy, znany mu już z budki telefonicznej, obwieścił:

- Siódme piętro, Departament Magicznych Gier i Sportów, z Siedzibą Główną Brytyjskiej i Irlandzkiej Ligi Quidditcha, Zarządem Klubu Gargulkowego i Urzędem Patentów Absurdalnych.

Drzwi windy otworzyły się. Harry zdążył dostrzec zaniedbany korytarz obwieszony byle jak plakatami różnych drużyn quidditcha. Jeden z czarodziejów, dźwigający naręcze mioteł, wydostał się z trudem z windy i zniknął w korytarzu. Drzwi znowu się zamknęły, winda ruszyła, a kobiecy głos oznajmił:

- Szóste piętro, Departament Transportu Magicznego, z Biurem Głównym Sieci Fiuu, Zarządem Nadzoru Miotlarskiego, Urzędem Świstoklików i Komisją Kwalifikacyjną Teleportacji.

Drzwi windy znowu się otworzyły i wysiadły ze cztery osoby, a do środka wleciało kilkanaście papierowych samolocików, które zaczęły krążyć leniwie nad głowami pasażerów. Były ciemnofioletowe, a na brzegach skrzydeł miały pieczątkę Ministerstwa Magii.

- To przesyłki wewnętrzne - mruknął do Harry'ego pan Weasley. - Dawniej używaliśmy sów, ale bałagan był nie do wytrzymania... Zapaskudzone biurka...

Winda ruszyła, a samolociki zaczęły krążyć wokół wiszącej z sufitu lampy.

- Piąte piętro, Departament Międzynarodowej Współpracy Czarodziejów, z Międzynarodową Komisją Handlu Magicznego, Międzynarodowym Urzędem Prawa Czarodziejów i Biurem Brytyjskiego Przedstawicielstwa Międzynarodowej Konfederacji Czarodziejów.

Kiedy drzwi się otworzyły, wyszło znowu kilka osób i wyleciały dwa samolociki, wleciało kilka nowych, a wszystkie krążyły wokół lampy, tak że światło wciąż migało.

- Czwarte piętro, Departament Kontroli nad Magicznymi Stworzeniami, z Wydziałami Zwierząt, Istot i Duchów, Urzędem Łączności z Goblinami i Biurem Doradztwa w Zwalczaniu Szkodników.

- Przepraszam - powiedział czarodziej niosący pudło z zionącym ogniem kurczakiem i wyszedł z windy, a za nim wyleciało małe stadko samolocików. Drzwi jeszcze raz zasunęły się hałaśliwie.

- Trzecie piętro, Departament Magicznych Wypadków i Katastrof, z Czarodziejskim Pogotowiem Ratunkowym, Kwaterą Główną Amnezjatorów i Komitetem Łagodzenia Mugoli.

Wszyscy opuścili windę, prócz pana Weasleya, Harry'ego i czarownicy zaczytanej w długim zwoju pergaminu, którego koniec wlókł się po podłodze. Pozostałe samolociki nadal krążyły wokół lampy, winda ponownie ruszyła i po chwili drzwi się otworzyły, a głos oznajmił:

- Drugie piętro, Departament Przestrzegania Prawa Czarodziejów, z Urzędem Niewłaściwego Użycia Czarów, Kwaterą Główną Aurorów i Służbami Administracyjnymi Wizengamotu.

- To nasze piętro, Harry - powiedział pan Weasley i wyszli z windy za czarownicą na korytarz z wieloma drzwiami po obu stronach. - Moje biuro jest w drugim skrzydle.

- Panie Weasley, czy my nie jesteśmy pod ziemią? - zapytał Harry, kiedy minęli okno, przez które wlewało się światło słońca.

- Jesteśmy - odrzekł pan Weasley. - To zaczarowane okna. Służby Porządkowe decydują, jaka ma być w danym dniu pogoda. Ostatnim razem, jak się wykłócali o podwyżki, mieliśmy dwa miesiące huraganów... O, tutaj, Harry.

Minęli róg korytarza, przeszli przez podwójne, ciężkie dębowe drzwi i znaleźli się w obszernym pomieszczeniu podzielonym na boksy, z których dochodziły śmiechy i rozmowy. Samolociki śmigały między boksami jak miniaturowe rakiety. Koślawa tabliczka na najbliższym boksie głosiła: KWATERA GŁÓWNA AURORÓW.

Harry zajrzał ukradkiem przez drzwi, kiedy przechodzili koło tego boksu. Aurorzy pokryli ściany portretami poszukiwanych czarodziejów, fotografiami swoich rodzin, plakatami ulubionych drużyn quidditcha i artykułami wyciętymi z „Proroka Codziennego". Mężczyzna w szkarłatnej szacie, z końskim ogonem dłuższym od kucyka Billa, dyktował coś swemu piórku, trzymając obute nogi na biurku. Nieco dalej czarownica z opaską na oku rozmawiała ponad ścianą boksu z Kingsleyem Shackleboltem.

- Dzień dobry, panie „Weasley - rzucił niedbale Kingsley, kiedy podeszli bliżej. - Chciałbym z panem zamienić słówko, ma pan ze dwie sekundy?

- Tak, ale naprawdę tylko dwie sekundy. Trochę się spieszę.

Rozmawiali ze sobą tak, jakby się nie znali, a kiedy Harry otworzył usta, aby powiedzieć Kingsleyowi dzień dobry, pan Weasley nadepnął mu na nogę. Poszli za Kingsleyem wąskim przejściem aż do ostatniego boksu.

Harry przeżył lekki szok: ze wszystkich stron mrugała do niego twarz Syriusza. Wycinki z gazet i stare fotografie - wśród nich nawet ta, która utrwaliła Syriusza jako świadka na ślubie Potterów - pokrywały ściany. Jedyną wolną od Syriusza przestrzeń zajmowała mapa świata upstrzona małymi czerwonymi pinezkami, jarzącymi się jak rubiny.

- Proszę - powiedział szorstko Kingsley, wręczając panu Weasleyowi plik pergaminów. - Potrzebne mi są wszelkie informacje na temat latających pojazdów mugolskich, widzianych w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Otrzymaliśmy wiadomość, że Black może nadal używać swojego starego motocykla.

Po czym puścił do Harry'ego oko i szepnął:

- Daj mu do przeczytania ten magazyn, może go zainteresować. - A potem dodał już normalnym tonem: - I proszę się z tym tak nie grzebać, Weasley, to opóźnienie raportu w sprawie dłoni palnej wstrzymało nam śledztwo na miesiąc.

- Gdyby pan przeczytał mój raport, to wiedziałby pan, że chodzi o „broń palną" - odrzekł chłodno pan Weasley. - I obawiam się, że będzie pan musiał poczekać na te informacje o motocyklach, bo teraz jesteśmy bardzo zajęci. - Ściszył głos i dodał: - Postaraj się wyrwać stąd przed siódmą, Molly robi dziś klopsiki.

Skinął na Harry'ego i wyprowadził go z boksu Kingsleya. Przeszli przez drugie dębowe drzwi do kolejnego korytarza, skręcili w lewo w jeszcze jeden korytarz, skręcili w prawo w odrapany i ciemny korytarzyk i w końcu doszli do ślepego końca, gdzie po lewej stronie były otwarte drzwi do komórki na miotły, a po prawej drzwi z zaśniedziałą mosiężną tabliczką, na której był napis: NIEWŁAŚCIWE UŻYCIE PRODUKTÓW MUGOLI.

Obskurne biuro pana Weasleya było chyba mniejsze od komórki na miotły. Dwa biurka ledwo się tam mieściły, a wokół nich trudno było się przecisnąć, bo przy ścianach stały szafy zawalone od góry do dołu papierami. Jedyny wolny kawałek ściany ujawniał znaną obsesję pana Weasleya: obwieszony był plakatami samochodów, w tym jednego z wyjętym silnikiem, dwoma obrazkami skrzynek pocztowych (chyba wyciętymi z mugolskich książek dla dzieci) i diagramu pokazującego, jak przyłączyć kabel do wtyczki elektrycznej.

Na biurku pana Weasleya stało jedna na drugiej kilka przepełnionych szufladek na korespondencję, a na najwyższej królował stary toster, który miał wyraźną czkawkę, i para skórzanych rękawiczek, które kręciły młynka kciukami. Obok szufladek stała fotografia rodziny Weasleyów. Harry zauważył, że Percy z niej wyszedł.

- Nie mamy okna - powiedział pan Weasley przepraszającym tonem, zdejmując swoją kurtkę lotniczą i wieszając ją na oparciu krzesła. - Prosiliśmy, ale najwyraźniej uznali, że nie jest nam potrzebne. Siadaj, Harry, wszystko wskazuje na to, że Perkinsa jeszcze nie ma.

Harry przecisnął się do krzesła za biurkiem Perkinsa, a tymczasem pan Weasley przeglądał szybko plik pergaminów, który dal mu Kingsley Shacklebolt.

- Ach, jest - powiedział, szczerząc zęby, kiedy spomiędzy pergaminów wyciągnął egzemplarz kolorowego magazynu zatytułowanego „Żongler". - Taak... - przerzucił strony - tak, ma rację, jestem pewny, że Syriusz się ubawi... och... a co to znowu?

Papierowy samolocik wleciał przez otwarte drzwi i wylądował na czkającym tosterze. Pan Weasley rozwinął go i przeczytał na głos:

- „Doniesiono o trzeciej zwracającej zawartość toalecie publicznej w Bethnal Green, proszę natychmiast to zbadać". To zaczyna być śmieszne...

- Toaleta zwracająca zawartość?

- Chamskie wygłupy antymugolskie - odrzekł pan Weasley, marszcząc czoło. - W zeszłym tygodniu były już dwie, jedna w Wimbledonie, druga w Elephant and Castle. Mugole ciągną za rączkę, żeby wszystko znikło, a tu... możesz sobie sam wyobrazić... Biedacy wciąż wzywają tych... no... hydrantów... chyba tak ich nazywają... no wiesz, tych, co naprawiają rury...

- Hydraulików?

- ...o, właśnie, ale oczywiście to ich trochę peszy. Mam nadzieję, że złapiemy wreszcie tych kawalarzy.

- Złapią ich aurorzy?

- Och nie, to zbyt trywialne zajęcie dla aurora, tym się zajmie zwykły patrol czarodziejskiej policji... Ach, Harry, to jest Perkins.

Do pokoju wszedł, dysząc, przygarbiony, nieśmiały stary czarodziej z puszystymi białymi włosami.

- Och, Arturze! - wysapał, nie patrząc na Harry'ego. - Dzięki Bogu! Nie wiedziałem, co robić, czy czekać tu na ciebie czy nie, w końcu wysłałem ci sowę, ale widocznie już cię nie zastała... Dziesięć minut temu przyszła pilna wiadomość...

- O tej toalecie, tak, wiem.

- Nie, nie o toalecie, o przesłuchaniu tego chłopca, Pottera... Zmienili godzinę i miejsce... teraz zaczyna się o ósmej, w starej Sali Rozpraw Numer 10...

- Na dole... w starej... ale przecież mi powiedzieli... na brodę Merlina...

Rzucił okiem na zegarek, jęknął i zerwał się na równe nogi.

- Harry, szybko, mamy już pięć minut spóźnienia!

Perkins przycisnął się do jednej z szaf, pan Weasley wybiegł z pokoju, a Harry za nim.

- Dlaczego zmienili termin? - zapytał na wydechu Harry, gdy mijali boksy aurorów, którzy wychylali się, śledząc ich zaciekawionymi spojrzeniami. Czuł się tak, jakby pozostawił całe swoje wnętrzności przy biurku Perkinsa.

- Nie mam pojęcia, całe szczęście, że przybyliśmy tutaj tak wcześnie... bo jakbyś się nie stawił, to byłaby katastrofa!

Zatrzymał się przed windami i dźgnął niecierpliwie guzik.

- NO, SZYBKO!

Winda nadjechała, jęcząc ponuro, i szybko do niej wsiedli. Za każdym razem, gdy się zatrzymywała, pan Weasley klął ze złości i maltretował guzik z cyfrą 9.

- Tych sal rozpraw nie używa się już od lat - burknął ze złością. - Nie wiem, co oni tam robią... chyba że... ale nie...

Do windy weszła pulchna czarownica z dymiącym kuflem i pan Weasley zamilkł.

- Atrium - oznajmił chłodny kobiecy głos i złota krata rozsunęła się, ukazując Harry'emu z daleka złote posągi w fontannie. Pulchna czarownica wysiadła, a do windy wszedł czarodziej o ziemistej cerze i wyjątkowo ponurej twarzy.

- Dzień dobry, Arturze - powiedział pogrzebowym tonem, gdy winda zaczęła się opuszczać. - Nieczęsto można cię spotkać tu, na dole...

- Pilne sprawy, Bode - odrzekł pan Weasley, podrygując nerwowo i rzucając zaniepokojone spojrzenia na Harry'ego.

- No tak - powiedział Bode, przyglądając się Harry'emu bez zmrużenia oka. - Oczywiście.

- Departament Tajemnic - oznajmił chłodny kobiecy głos.

- Szybko, Harry - rzekł pan Weasley, kiedy drzwi windy otworzyły się ze zgrzytem.

Popędzili korytarzem, który był zupełnie inny niż te na górze: nagie ściany, brak okien i drzwi, z wyjątkiem jednych, czarnych, na samym końcu. Harry myślał, że przez nie przejdą, ale pan Weasley chwycił go za ramię i pociągnął w lewo, do wejścia, za którym widać było biegnące w dół schody.

- Szybko, na dół - wydyszał pan Weasley, zbiegając po dwa stopnie naraz. - Winda tu nie dociera... dlaczego przenieśli to tutaj...

Zbiegli na sam dół i popędzili jeszcze jednym korytarzem, bardzo przypominającym ten, który wiódł do lochu Snape'a w Hogwarcie: z chropowatymi kamiennymi ścianami i

pochodniami w uchwytach. Ciężkie drewniane drzwi, które mijali, pozamykane były na żelazne rygle.

- Sala rozpraw... numer dziesięć... chyba już tutaj... tak.

Pan Weasley zatrzymał się przed ponurymi ciemnymi drzwiami z wielkim żelaznym zamkiem i oparł się o ścianę, trzymając za piersi.

- Wejdź - wydyszał, wskazując kciukiem drzwi. - Wejdź tam, Harry.

- To pan... pan ze mną nie wejdzie?

- Nie, nie wolno mi. Powodzenia!

Serce Harry'ego tłukło się gdzieś w okolicach jabłka Adama. Przełknął z wysiłkiem ślinę, nacisnął żelazną klamkę i wszedł na salę rozpraw.

ROZDZIAŁ ÓSMY
PRZESŁUCHANIE

Harry nie mógł powstrzymać zduszonego okrzyku. Poznał loch, do którego wszedł. I nie tylko go kiedyś widział, ale w nim był! To właśnie miejsce odwiedził w myśloodsiewni Dumbledore'a: salę rozpraw, w której był świadkiem skazania Lestrange'ów na karę dożywocia w Azkabanie.

Ściany były z pociemniałych kamiennych bloków, oświetlonych mdłym blaskiem pochodni. Po obu stronach wznosiły się rzędy pustych ław, ale daleko przed sobą, w najwyższej ławie, ujrzał wiele ciemnych postaci. Rozmawiały przyciszonymi głosami, ale gdy ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nim, zapadło złowieszcze milczenie.

Zimny męski głos potoczył się ku niemu z najwyższej ławy.

- Spóźniłeś się.

- Przepraszam - odrzekł ze strachem Harry. - Ja-ja nie wiedziałem, że zmienił się termin.

- To nie jest wina Wizengamotu. Dziś rano wysłano ci sowę. Zajmij swoje miejsce.

Harry spojrzał na środek sali, gdzie stało krzesło, z którego poręczy zwisały łańcuchy. Kiedyś widział, jak te łańcuchy ożywały i oplatały każdego, kto usiadł na krześle. Ruszył ku niemu, a odgłos jego kroków odbijał się głośnym echem od ścian. Usiadł lękliwie na samym brzeżku krzesła, a łańcuchy zadzwoniły groźnie, ale go nie oplotły. Czując, że robi mu się niedobrze, spojrzał na ludzi siedzących w ławie ponad nim.

Było ich z pięćdziesięciu, wszyscy ubrani w fioletowe szaty z ozdobną literą W wyhaftowaną na piersiach po lewej stronie. Wszyscy wpatrywali się w niego; niektórzy z bardzo surowymi minami, inni ze szczerą ciekawością.

W samym środku siedział Korneliusz Knot, minister magii. Był to korpulentny mężczyzna, zwykle pokazujący się w cytrynowozielonym meloniku, ale dziś z niego zrezygnował, podobnie jak z pobłażliwego uśmiechu, z którym kiedyś rozmawiał z Harrym. Po jego lewej stronie siedziała tęga czarownica o szerokiej, kanciastej szczęce, z krótko ostrzyżonymi siwymi włosami; miała monokl w oku i wyglądała bardzo groźnie. Po prawej stronie siedziała inna czarownica, ale odchyliła się do tyłu i jej twarz ukryta była w cieniu.

- No dobrze - rzekł Knot. - Mamy już... wreszcie... oskarżonego, to zaczynajmy. Jesteś gotowy? - dodał głośno, spoglądając w dół, wzdłuż rzędów pustych ław.

- Tak, proszę pana - odpowiedział gorliwy głos, który Harry dobrze znał.

Percy, brat Rona, siedział na samym końcu pierwszego rzędu ław. Harry spojrzał na niego z nadzieją, spodziewając się jakiegoś sygnału porozumienia, ale nic takiego nie dostrzegł. Oczy Percy'ego, uzbrojone w rogowe okulary, utkwione były w leżącym przed nim pergaminie. W ręku trzymał pióro.

- Dwunasty sierpnia, przesłuchanie dyscyplinarne - zagrzmiał głos Knota, a Percy natychmiast zaczął pisać - w sprawie złamania przepisów Dekretu o Uzasadnionych Restrykcjach Wobec Niepełnoletnich Czarodziejów i Zasad Tajności Międzynarodowej Konfederacji Czarodziejów przez Harry'ego Jamesa Pottera, zamieszkałego w Little Whinging w Surrey, przy Privet Drive numer cztery. Oskarżyciele: Korneliusz Oswald Knot, minister magii, Amelia Suzann Bones, kierownik Departamentu Przestrzegania Prawa Czarodziejów, Dolores Jane Umbridge, starszy podsekretarz w biurze ministra. Protokolant: Percy Ignacjus Weasley...

- ...świadek obrony: Albus Persiwal Wulfryk Brian Dumbledore - rozległ się spokojny głos za plecami Harry'ego, który odwrócił tak szybko głowę, że kark przeszył mu ostry ból.

Dumbledore kroczył powoli przez salę, ubrany w długą, granatową szatę. Na jego twarzy gościł niczym nie zmącony spokój. Długa, srebrna broda i srebrne włosy zalśniły w blasku pochodni, gdy stanął obok Harry'ego i spojrzał na Knota przez okulary-połówki, osadzone pośrodku jego długiego, haczykowatego nosa.

Przez ławę sędziów Wizengamotu przebiegły pomruki i szepty. Wszystkie oczy zwrócone były na Dumbledore'a. Jedni wyglądali na oburzonych, inni na lekko przestraszonych; tylko dwie starsze czarownice, siedzące z tyłu, pomachały życzliwie rękami.

Na widok Dumbledore'a w sercu Harry'ego wezbrała potężna fala nadziei, podobna tej, którą poczuł kiedyś, słysząc śpiew feniksa. Chciał uchwycić spojrzenie dyrektora, ale ten na niego nie patrzył, wciąż patrzył w górę, na wyraźnie wzburzonego Knota.

- Ach... Dumbledore - powiedział minister magii i zamilkł na chwilę, jakby się zastanawiał, co powiedzieć dalej. - Tak. A więc... ee... dostałeś wiadomość o... ee... zmianie terminu i... ee... miejsca przesłuchania?

- Nie dotarła do mnie - odrzekł Dumbledore niefrasobliwym tonem. - Ale na skutek szczęśliwej pomyłki przybyłem do ministerstwa trzy godziny wcześniej, więc nic się nie stało.

- Tak... no cóż... chyba brakuje drugiego krzesła... ja... Weasley, może byś...

- Ależ proszę się nie trudzić - powiedział łagodnie Dumbledore.

Wyjął różdżkę, machnął nią krótko i tuż obok Harry'ego pojawił się przysadzisty fotel pokryty perkalem. Usiadł w nim, zetknął końce palców i zmierzył Knota spojrzeniem pełnym

uprzejmego zainteresowania. Wśród członków Wizengamotu nadal panowało nerwowe ożywienie, dopiero gdy Knot ponownie przemówił, wszyscy zamilkli i usiedli.

- Tak - powtórzył Knot, przerzucając leżące przed nim notatki. - No więc... zarzuty. Tak.

Wyciągnął ze stosu arkusz pergaminu, wziął głęboki oddech i zaczął czytać:

- Zarzuty wobec oskarżonego brzmią, jak następuje: drugiego sierpnia bieżącego roku, o godzinie dziewiątej dwadzieścia trzy wieczorem, oskarżony celowo, z rozmysłem i z pełną świadomością łamania prawa, otrzymawszy uprzednio z Ministerstwa Magii pisemne ostrzeżenie przypominające mu o nielegalności takich poczynań, użył Zaklęcia Patronusa na obszarze zamieszkanym przez mugoli i w obecności mugola, co stanowi pogwałcenie paragrafu C dekretu z 1875 roku o Uzasadnionych Restrykcjach wobec Niepełnoletnich Czarodziejów, a także rozdziału trzynastego Międzynarodowego Kodeksu Tajności Czarów. Ty jesteś Harry James Potter, zamieszkały w Little Whinging w Surrey, przy Privet Drive numer cztery? - zapytał, patrząc groźnie znad pergaminu na Harry'ego.

- Tak.

- Czy trzy lata temu otrzymałeś już oficjalne ostrzeżenie z ministerstwa na skutek nielegalnego użycia przez ciebie czarów?

- Tak, ale...

- Czy wyczarowałeś patronusa wieczorem drugiego sierpnia?

- Tak, ale...

- Wiedząc, że nie wolno ci używać magii poza szkołą, dopóki nie ukończysz siedemnastu lat?

- Tak, ale...

- Wiedząc, że znajdujesz się na terenie pełnym mugoli?

- Tak, ale...

- Będąc w pełni świadom, że w tym czasie w pobliżu ciebie znajduje się mugol?

- TAK - odpowiedział ze złością Harry - ale zrobiłem to, ponieważ...

Czarownica z monoklem przerwała mu grzmiącym głosem:

- Wyczarowałeś w pełni zdatnego do użytku patronusa?

- Tak, ponieważ...

- Cielesnego patronusa?

- Ee... co? - zdziwił się Harry.

- Czy twój patronus miał wyraźnie określoną postać? To znaczy... nie był tylko czymś w rodzaju strzępu mgły lub dymu?

- Tak - odrzekł Harry, czując jednocześnie zniecierpliwienie i rozpacz. - To był jeleń, to zawsze jest jeleń.

- Zawsze? - zagrzmiała pani Bones. - To znaczy, że już przedtem wyczarowałeś patronusa?

- Tak. Robiłem to przez cały rok...

- I masz piętnaście lat, tak?

- Tak, i...

- I nauczyłeś się tego w szkole?

- Tak, profesor Lupin nauczył mnie tego w trzeciej klasie, bo...

- Jestem pełna podziwu - powiedziała pani Bones, obrzucając go zaciekawionym spojrzeniem. - Prawdziwy patronus w tym wieku... no, no, to naprawdę wyczyn.

Część członków sądu znowu zaczęła pomrukiwać i szeptać, niektórzy potakiwali, ale inni siedzieli nachmurzeni i kręcili głowami.

- Nie zajmujemy się tutaj budzącymi podziw osiągnięciami uczniów - powiedział Knot rozdrażnionym tonem - ale przypadkiem jawnego złamania prawa. Powiem więcej: im większe wrażenie budzi takie nielegalne użycie czarów, tym gorzej, biorąc pod uwagę fakt, że ten chłopak zrobił to na oczach mugola!

Ci, którzy siedzieli nachmurzeni, zaczęli głośno potakiwać, ale dopiero na widok Percy'ego, który z świętoszkowatą miną pokiwał głową, Harry nie wytrzymał.

- Zrobiłem to z powodu dementorów! - prawie krzyknął, zanim ktokolwiek zdołał mu znowu przerwać.

Spodziewał się kolejnej fali szeptów, ale na sali zaległa głucha cisza.

- Dementorów? - powtórzyła po chwili milczenia pani Bones, podnosząc brwi tak wysoko, że mało brakowało, a monokl wypadłby jej z oczodołu. - Co to znaczy?

- To znaczy, że w alejce było dwóch dementorów, którzy zaatakowali mnie i mojego kuzyna!

- Ach... - mruknął Knot ze zjadliwym uśmiechem i popatrzył po członkach Wizengamotu, jakby usłyszał dobry dowcip. - Tak. Tak, spodziewałem się, że coś takiego usłyszę.

- Dementorzy w Little Whinging? - zdumiała się pani Bones. - Nie rozumiem...

- Nie rozumiesz, Amelio? - zapytał Knot, wciąż uśmiechając się ironicznie. - Pozwól, że ci wyjaśnię. Ten chłopiec dobrze to sobie przemyślał i uznał, że dementorzy to świetna wymówka. Wprost idealna. Mugole nie mogą zobaczyć dementorów, prawda, chłopcze? To bardzo wygodne, bardzo wygodne... Więc mamy tylko twoje słowa i żadnych świadków...

- Ja nie kłamię! - zawołał Harry, przekrzykując cichy gwar. - Było ich dwóch, każdy nadchodził z innego końca alejki, zrobiło się ciemno i zimno, a mój kuzyn wyczuł ich i zaczął uciekać, i...

- Dosyć! Dosyć! - przerwał mu Knot i dodał z pogardliwym uśmieszkiem: - Przykro mi, ale muszę przerwać tę fascynującą opowieść. Jestem pewny, że byłaby barwna i szczegółowa, ale...

Dumbledore odchrząknął głośno. Zapadła cisza.

- Mamy świadka, który może potwierdzić obecność dementorów na tej alejce - oświadczył spokojnie. - Świadka, którym nie jest Dudley Dursley, rzecz jasna.

Pulchna twarz Knota nagle obwisła, jakby uszło z niej powietrze. Przez chwilę patrzył na Dumbledore'a, a potem wziął głęboki oddech, wyprostował się i powiedział:

- Obawiam się, że nie mamy czasu na dalsze wysłuchiwanie tych wyssanych z palca opowiastek. Pragnę szybko doprowadzić tę sprawę do końca i...

- Może się mylę - przerwał mu beztrosko Dumbledore - ale wydaje mi się, że zgodnie z Kartą Praw Wizengamotu oskarżony ma prawo powoływania świadków na swą obronę, czyż nie? Czy nie taka jest linia postępowania Departamentu Przestrzegania Prawa Czarodziejów, pani Bones? - zwrócił się do czarownicy z monoklem.

- Racja - przyznała pani Bones. - Święta racja.

- Och... no dobrze, już dobrze - wycedził Knot. - Gdzie jest ten świadek?

- Przyprowadziłem go ze sobą - odrzekł Dumbledore. - Jest za drzwiami. Mam go...

- Nie... Weasley, ty idź po świadka - Knot warknął na Percy'ego, który zerwał się natychmiast, zbiegł po kamiennych stopniach i przeleciał obok Dumbledore'a i Harry'ego, nie patrząc na nich.

W chwilę później wrócił, prowadząc panią Figg. Wyglądała na przestraszoną i jeszcze bardziej stukniętą niż zwykle. Harry jęknął w duchu na widok jej kapci w kratkę.

Dumbledore wstał i wskazał pani Figg swój fotel, po czym wyczarował dla siebie drugi.

- Imiona i nazwisko? - burknął Knot, gdy pani Figg przysiadła lękliwie na brzegu fotela.

- Arabella Doreen Figg - odpowiedziała roztrzęsionym głosem.

- Kim pani właściwie jest? - zapytał lekceważącym tonem Knot.

- Jestem mieszkanką Little Whinging, mieszkam blisko Harry'ego Pottera.

- Poza Harrym Potterem nie mamy w rejestrach żadnej czarownicy ani żadnego czarodzieja mieszkającego w Little Whinging - oznajmiła natychmiast pani Bones. -

Monitorujemy sytuację bardzo dokładnie, biorąc pod uwagę... pewne wydarzenia z przeszłości.

- Jestem charłakiem - powiedziała pani Figg - więc nie dziw, że nie ma mnie w rejestrze, prawda?

- Charłakiem? - powtórzył Knot, przyglądając się jej podejrzliwie. - Sprawdzimy to. Zostawi pani szczegółowe dane mojemu asystentowi, Weasleyowi. A propos, czy charłak może zobaczyć dementora? - dodał, spoglądając po siedzących po jego obu stronach członkach Wizengamotu.

- No pewnie, że możemy! - oburzyła się pani Figg.

Knot znowu na nią popatrzył z uniesionymi brwiami.

- No dobrze - powiedział chłodno. - Co świadek ma do powiedzenia w tej sprawie?

- Wyszłam kupić pokarm dla kotów w sklepie na rogu przy końcu Wisteria Walk, krótko po dziewiątej wieczorem drugiego sierpnia - wyrecytowała pani Figg, jakby się tego wszystkiego wyuczyła na pamięć - kiedy usłyszałam hałas dochodzący z alejki pomiędzy Magnolia Crescent a Wisteria Walk. Kiedy doszłam do alejki, zobaczyłam dementorów biegnących...

- Biegnących? - przerwała jej pani Bones ostrym tonem. - Dementorzy nie biegają, oni szybują nad ziemią.

- To właśnie miałam na myśli - powiedziała pani Figg, a na jej zwiędłych policzkach pojawiły się różowe plamy. - Szybowali alejką ku dwóm chłopcom.

- Jak wyglądali? - zapytała pani Bones, mrużąc oczy tak, że krawędzie monokla zginęły pod fałdami skóry.

- No... jeden był taki duży i gruby, a drugi raczej chudy...

- Nie, nie - przerwała jej niecierpliwie pani Bones. - Dementorzy... Ich proszę opisać.

- Och... - Teraz różowa plama rozlała się na jej szyję. - Byli wielcy. Wielcy i w pelerynach.

Harry poczuł okropny ucisk w brzuchu. To, co mówiła pani Figg, brzmiało tak, jakby widziała najwyżej obrazek przedstawiający dementora, a obrazek nigdy nie odda tego, czym są te istoty: niesamowitego sposobu, w jaki się poruszają, sunąc w powietrzu parę cali nad ziemią, odoru zgnilizny, jaki wydzielają, okropnego, świszczącego odgłosu, jaki wydają, wsysając powietrze... Przysadzisty czarodziej z wielkimi czarnymi wąsami, siedzący w drugim rzędzie, pochylił się ku swojej sąsiadce, czarownicy o kędzierzawych włosach i szepnął coś do niej. Parsknęła śmiechem i kiwnęła głową.

- Wielcy i w pelerynach - powtórzyła chłodno pani Bones, a Knot prychnął ironicznie. - Rozumiem. Coś jeszcze?

- Tak - odpowiedziała pani Figg. - Czułam ich. Zrobiło się zimno, a to był bardzo ciepły letni wieczór. I czułam... tak jakby całe szczęście uciekło ze świata... i przypomniałam sobie... straszne rzeczy...

Głos jej się załamał i umilkła.

Oczy pani Bones rozszerzyły się lekko. Harry dostrzegł czerwony ślad pod jedną z brwi, tam, gdzie wbił się uprzednio monokl.

- Co ci dementorzy zrobili? - zapytała, a Harry poczuł przypływ nadziei.

- Rzucili się na chłopców - odpowiedziała pani Figg o wiele głośniej i bardziej przekonującym tonem, a rumieniec znikł z jej twarzy. - Jeden z chłopców upadł. Drugi cofał się, próbując powstrzymać dementora. To był Harry. Próbował dwa razy, ale wyczarował tylko strzęp srebrnej mgiełki. Za trzecim razem wyczarował patronusa, który natarł na pierwszego dementora, a potem, zachęcony okrzykiem Harry'ego, odpędził drugiego dementora od jego kuzyna. No więc... więc to właśnie się wydarzyło - zakończyła nieco kulawo pani Figg.

Pani Bones patrzyła na nią w milczeniu, natomiast Knot grzebał w swoich papierach. W końcu podniósł wzrok i zapytał trochę napastliwym tonem:

- Więc to właśnie pani widziała, tak?

- To właśnie się wydarzyło - powtórzyła pani Figg.

- Dobrze - rzekł Knot. - Świadek jest wolny.

Pani Figg przeniosła wystraszone spojrzenie z Knota na Dumbledore'a, po czym wstała i poczłapała do drzwi. Harry usłyszał, jak zatrzasnęły się za nią z łoskotem.

- Nie bardzo przekonujący świadek - stwierdził wyniośle Knot.

- Och, dla mnie to nie takie oczywiste... - zadudnił głos pani Bones. - Opisała skutek ataku dementora bardzo dokładnie. I trudno sobie wyobrazić, dlaczego miałaby opowiadać, że ich widziała, gdyby ich nie widziała...

- Dementorzy wałęsający się po podmiejskim osiedlu mugolskim i dziwnym zbiegiem okoliczności trafiający na czarodzieja... - prychnął Knot. - Prawdopodobieństwo bardzo, bardzo znikome, nawet Bagman by się nie założył...

- Och, nie sądzę, by ktoś z nas uwierzył, że dementorzy znaleźli się tam przypadkowo - rzucił niedbale Dumbledore.

Czarownica siedząca na prawo od Knota, z twarzą w cieniu, poruszyła się lekko, ale reszta siedziała nieruchomo, milcząc.

- Niby co miała znaczyć ta uwaga? - zapytał chłodno Knot.

- A to, że według mnie zostali tam wysłani - odrzekł Dumbledore.

- A ja myślę, że gdyby ktoś wysłał dwóch dementorów, żeby sobie pospacerowali po Little Whinging, to w aktach byłaby na ten temat stosowna notatka!

- Niekoniecznie - odparł spokojnie Dumbledore. - Może nastały takie czasy, że dementorzy słuchają rozkazów kogoś innego, kogoś spoza Ministerstwa Magii. Już ci przedstawiałem moje poglądy na ten temat, Korneliuszu.

- Tak, przedstawiałeś - warknął Knot - ale nie mam powodów, by uważać twoje poglądy za coś innego jak brednie. Dementorzy są tam, gdzie być powinni, czyli w Azkabanie, i robią to, co im każemy.

- Wobec tego musimy zadać sobie pytanie, dlaczego drugiego sierpnia ktoś z ministerstwa wysłał dwóch dementorów na alejkę w Little Whinging - powiedział spokojnie, lecz bardzo wyraźnie Dumbledore.

W głuchej ciszy, jaka zapadła po tych słowach, czarownica siedząca po prawej stronie Knota wychyliła się do przodu tak, że Harry ujrzał wreszcie jej twarz.

Pomyślał, że wygląda jak wielka, blada ropucha. Była przysadzista, miała dużą, obwisłą twarz, szyję krótką jak wuj Vernon i bardzo szerokie usta. Oczy miała wielkie, okrągłe i lekko wyłupiaste. Nawet czarna aksamitna kokardka, przypięta na czubku głowy do jej krótkich, kędzierzawych włosów, przywodziła na myśl wielką muchę, którą miała właśnie schwytać swym długim, lepkim językiem.

- Przewodniczący udziela głosu Dolores Jane Umbridge, starszemu podsekretarzowi w kancelarii ministra - oznajmił Knot.

Ku zdumieniu Harry'ego, który spodziewał się ochrypłego rechotu żaby, czarownica przemówiła drżącym z przejęcia, piskliwym dziewczęcym głosikiem.

- Jestem pewna, że musiałam pana źle zrozumieć, profesorze Dumbledore - powiedziała ze sztucznym uśmiechem, choć jej wielkie okrągłe oczy nadal były zimne jak u gada. - Czyżby pan sugerował, że Ministerstwo Magii wydało polecenie, by napaść na tego chłopca? Nie, to niemożliwe, musiało mi się coś pomylić!

Srebrzysty śmiech, którym zakończyła swą wypowiedź, sprawił, że Harry'emu włosy zjeżyły się na karku. Kilku członków Wizengamotu również parsknęło śmiechem, choć widać było, że żadnego wcale to nie rozśmieszyło.

- Jeśli to prawda, że dementorzy słuchają wyłącznie rozkazów Ministerstwa Magii - powiedział spokojnie Dumbledore - oraz że tydzień temu dwóch dementorów zaatakowało Harry'ego i jego kuzyna, to logiczny wydaje się wniosek, że ktoś z ministerstwa mógł wydać

rozkaz, by go zaatakowano. Oczywiście ci dementorzy, o których mowa, mogli być poza kontrolą ministerstwa...

- Nie ma żadnych dementorów poza kontrolą ministerstwa! - warknął Knot, którego twarz przybrała kolor świeżej cegły.

Dumbledore skłonił lekko głowę.

- A więc nie mam wątpliwości, że ministerstwo przeprowadzi drobiazgowe śledztwo, by uzyskać odpowiedź na pytanie, dlaczego dwóch dementorów znalazło się tak daleko od Azkabanu i dlaczego napadli na kogoś bez upoważnienia.

- Nie do ciebie należy decydowanie o tym, co ministerstwo ma robić lub czego nie robić, Dumbledore! - krzyknął Knot, a jego twarz przybrała teraz odcień karmazynu, z którego wuj Vernon na pewno byłby dumny.

- To przecież oczywiste, że nie do mnie - rzekł łagodnie Dumbledore. - Ja tylko wyraziłem swoje przekonanie, że ta sprawa zostanie w pełni wyjaśniona.

Zerknął na panią Bones, która poprawiła sobie monokl, a potem znowu spojrzał na Knota, marszcząc lekko czoło.

- Pragnę wszystkim przypomnieć, że zachowanie tych dementorów, jeśli rzeczywiście nie są wytworami wyobraźni tego chłopca, nie jest przedmiotem tego przesłuchania! - powiedział Knot. - Jesteśmy tutaj, żeby przesłuchać Harry'ego Pottera w sprawie pogwałcenia przez niego Dekretu o Uzasadnionych Restrykcjach wobec Niepełnoletnich Czarodziejów!

- To też jest oczywiste - zgodził się Dumbledore - ale obecność tych dementorów w alejce jest bardzo istotna. Paragraf siódmy tego dekretu mówi, że w nadzwyczajnych okolicznościach niepełnoletni czarodziej może użyć magii w obecności mugoli, a skoro wśród tych nadzwyczajnych okoliczności wymienia się zagrożenie życia owego czarodzieja lub czarownic, czarodziejów i mugoli obecnych na miejscu zdarzenia...

- Znamy paragraf siódmy, proszę sobie darować! - warknął Knot.

- Nie wątpię - odparł Dumbledore uprzejmym tonem. - Zgadzamy się więc, że Harry Potter użył Zaklęcia Patronusa w okolicznościach, które dokładnie odpowiadają owej nadzwyczajności, o której mowa w tym paragrafie?

- Jeśli byli tam dementorzy, w co wątpię...

- Słyszeliśmy zeznanie naocznego świadka - przerwał mu Dumbledore. - Jeśli są wątpliwości co do jego prawdomówności, trzeba go ponownie wezwać i przesłuchać. Jestem pewny, że pani Figg nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Ja... to... nie! - wybuchnął Knot, przerzucając nerwowo papiery. - To jest... Ja chcę tę sprawę zakończyć dzisiaj, Dumbledore!

- Ale oczywiście zgodzisz się na przesłuchanie świadka nawet kilka razy, gdyby alternatywą miało być poważne pogwałcenie prawa.

- Poważne pogwałcenie! - ryknął Knot. - Z całym szacunkiem, Dumbledore, czy zadałeś sobie trochę trudu, by zliczyć te wszystkie wyssane z palca banialuki, które opowiadał ten chłopiec, próbując zatuszować swoje wybryki polegające na oczywistym używaniu magii poza szkołą? Chyba zapomniałeś o Zaklęciu Swobodnego Zwisu, którego użył trzy lata temu...

- To nie ja, to skrzat domowy! - krzyknął Harry.

- WIDZISZ? - zagrzmiał Knot, wskazując teatralnym gestem na Harry'ego. - Skrzat domowy! W domu mugoli! Pytam się...

- Skrzat domowy, o którym mowa, jest obecnie zatrudniony w Hogwarcie - przerwał mu Dumbledore. - Mogę go tu natychmiast wezwać, gdybyś uznał, że jego zeznanie jest potrzebne.

- Ja... nie... Nie mam czasu, by wysłuchiwać skrzatów domowych! A zresztą to nie jeden przypadek... Na miłość boską, on wydmuchał pod sufit swoją ciotkę! - krzyknął Knot, waląc pięścią w pulpit i przewracając kałamarz.

- A ty wspaniałomyślnie nie naciskałeś, by go postawić w stan oskarżenia, rozumiejąc, jak przypuszczam, że nawet najlepszy czarodziej nie zawsze jest w stanie panować nad swoimi emocjami - rzekł spokojnie Dumbledore, podczas gdy Knot próbował wytrzeć atrament ze swoich notatek.

- A jeszcze nie wspomniałem o tym, co wyprawia, kiedy jest w szkole...

- Ponieważ ministerstwo nie może karać uczniów Hogwartu za ich nieodpowiednie zachowanie w szkole, postępowanie Harry'ego w szkole nie ma związku z tym przesłuchaniem - powiedział Dumbledore, jak zwykle uprzejmie, ale nieco chłodniej.

- Oho! Więc to nie nasz interes, co on wyrabia w szkole, tak? Tak sądzisz?

- Ministerstwo nie może wyrzucić ucznia z Hogwartu, Korneliuszu. Przypomniałem ci o tym wieczorem drugiego sierpnia. Nie ma również prawa skonfiskowania mu różdżki, dopóki wykroczenie nie zostanie udowodnione, o czym ci również przypomniałem wieczorem drugiego sierpnia. Wydaje mi się, że w swoim godnym uznania gorliwym dążeniu, by stać na straży przestrzegania prawa, sam, zapewne nieumyślnie, zapominasz o niektórych przepisach prawnych.

- Prawo można zmienić - warknął Knot.

- Oczywiście - zgodził się Dumbledore, skłaniając głowę. - I wydaje się, że właśnie tego dokonujesz, Korneliuszu. Powiedz mi, na przykład, dlaczego w ciągu zaledwie kilku

tygodni od czasu, gdy usunięto mnie z Wizengamotu, stało się już zwyczajem, że przeprowadza się proces kryminalny w przypadku zwykłego użycia czarów przez niepełnoletnich czarodziejów?

Kilku członków Wizengamotu poruszyło się niespokojnie. Twarz Knota przybrała odcień brązowofioletowy. Ropuchowata czarownica po jego lewej stronie wpatrywała się w Dumbledore'a z twarzą pozbawioną wyrazu.

- Jeśli się nie mylę - ciągnął Dumbledore - nie ma jeszcze takiego prawa, które by głosiło, że ten sąd może ukarać Harry'ego za każde zaklęcie, jakie kiedykolwiek na kogoś czy na coś rzucił. Został mu przedstawiony określony zarzut, a on przedstawił argumenty na swoją obronę. I jemu, i mnie pozostaje tylko czekać na werdykt.

Dumbledore ponownie zetknął palce i zamilkł. Knot obrzucił go wściekłym spojrzeniem. Harry zerknął na Dumbledore'a, oczekując jakiegoś sygnału otuchy, bo wcale nie był pewny, czy dyrektor dobrze postąpił, wzywając Wizengamot do szybkiego podjęcia decyzji. Dumbledore jednak i tym razem nie zwracał na niego uwagi. Patrzył spokojnie na ławy sędziowskie, z których dochodził teraz przytłumiony gwar gorączkowej wymiany zdań.

Harry wbił wzrok w swoje stopy. Wydawało mu się, że serce nagle urosło mu w piersiach i tłucze się głośno o żebra. Spodziewał się, że przesłuchanie potrwa o wiele dłużej. Miał wątpliwości, czy zrobił dobre wrażenie. Właściwie niewiele powiedział. Dręczyło go poczucie, że powinien wyjaśnić im lepiej całe to zdarzenie, opowiedzieć, jak się przewrócił i jak mało brakowało, a on i Dudley zostaliby obdarzeni straszliwym pocałunkiem...

Dwukrotnie spojrzał na Knota i już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale nabrzmiałe serce uciskało mu przewód oddechowy, więc za każdym razem nabierał tylko powietrza w płuca i z powrotem wbijał wzrok w buty.

Wreszcie szepty umilkły. Harry chciał spojrzeć na sędziów, ale stwierdził, że przyglądanie się swoim butom jest o wiele łatwiejsze.

- Niech podniosą rękę ci, którzy uważają, że oskarżonego trzeba oczyścić ze wszystkich zarzutów! - zadudnił głos pani Bones.

Harry poderwał głowę. Zobaczył wiele podniesionych rąk... Więcej niż połowa! Oddychając szybko, zaczął liczyć, ale zanim skończył, pani Bones oznajmiła:

- Teraz ci, którzy uważają, że oskarżonemu udowodniono przewinienie!

Knot natychmiast podniósł rękę, a za nim zrobił to z tuzin innych sędziów, w tym czarownica po jego prawej stronie, czarodziej z sumiastymi wąsami i kędzierzawa czarownica w drugim rzędzie.

Knot, który wyglądał jakby mu coś utkwiło w gardle, rozejrzał się, a potem opuścił rękę. Dwukrotnie głęboko odetchnął, po czym powiedział głosem zniekształconym przez ledwo powstrzymywaną wściekłość:

- No dobrze już... dobrze... Oczyszczony ze wszystkich zarzutów.

- Wspaniale - rzekł dziarskim tonem Dumbledore, po czym zerwał się, wyciągnął różdżkę i jednym machnięciem unicestwił oba fotele. - No, na mnie już czas. Moje uszanowanie państwu.

I, nie spojrzawszy nawet na Harry'ego, pospiesznie opuścił loch.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
ZMARTWIENIA PANI WEASLEY

Szybkie odejście Dumbledore'a całkowicie zaskoczyło Harry'ego. Siedział nadal w podzwaniającym łańcuchami krześle, miotany uczuciami ulgi i wzburzenia. Sędziowie Wizengamotu wstawali z ław, rozmawiając i zbierając swoje pergaminy. Harry też wstał. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, z wyjątkiem owej ropuchowatej czarownicy, która utkwiła w nim spojrzenie. Ignorując to, starał się ściągnąć na siebie spojrzenie Knota lub pani Bones, żeby się dowiedzieć, czy wolno mu odejść, ale Knot najwyraźniej postanowił go nie zauważać, a pani Bones była zajęta swoją teczką, więc zrobił kilka nieśmiałych kroków ku wyjściu, a kiedy nikt nie zawołał, by wrócił na miejsce, przyspieszył kroku.

Ostatnie parę metrów przebiegł, mocnym szarpnięciem otworzył drzwi i prawie wpadł na pana Weasleya, który stał tuż za nimi, blady i wystraszony.

- Dumbledore mi nie powiedział...

- Oczyszczony - wyrzucił z siebie Harry, zamykając za sobą drzwi - ze wszystkich zarzutów!

Pan Weasley rozpromienił się i chwycił go za ramiona.

- Harry, to cudownie! No wiesz, oczywiście w tej sytuacji nie mogli cię uznać za winnego, ale nie będę udawał, że...

Ale nagle urwał, bo drzwi sali rozpraw ponownie się otworzyły i zaczęli przez nie wychodzić członkowie Wizengamotu.

- Na brodę Merlina! - zaklął cicho pan Weasley, odciągając Harry'ego na bok. - Stanąłeś przed całym sądem?

- Chyba tak - odrzekł cicho Harry.

Paru mijających ich sędziów kiwnęło Harry'emu głową, a kilku, w tym pani Bones, pozdrowiło na głos pana Weasleya, ale większość starała się ich nie zauważać. Korneliusz Knot i ropuchowata czarownica byli jednymi z ostatnich, którzy opuścili loch. Knot zachowywał się tak, jakby pan Weasley i Harry byli częścią ściany, ale czarownica znowu obrzuciła Harry'ego spojrzeniem niemal życzliwym. Na samym końcu wyszedł Percy. Podobnie jak Knot, całkowicie zignorował swego ojca i Harry'ego: przeszedł obok nich wyprostowany, z zadartym nosem, ściskając wielki zwój pergaminu i kilkanaście zapasowych piór. Zmarszczki wokół warg pana Weasleya pogłębiły się nieznacznie, ale i on nie dał po sobie poznać, że zauważył swego trzeciego syna.

- Zabiorę cię prosto do domu, żebyś mógł sam wszystkim zanieść dobrą wiadomość - powiedział, kiedy obcasy butów Percy'ego ucichły na schodach prowadzących do poziomu dziewiątego. - Podrzucę cię po drodze do tej toalety w Bethnal Green. Idziemy...

- To co pan zrobi z tą toaletą? - zapytał z uśmiechem Harry.

Wszystko wydawało mu się o wiele śmieszniejsze niż zwykle. Zaczynało do niego docierać: był uniewinniony, wróci do Hogwartu.

- Och, z toaletą sobie poradzimy, wystarczy dość proste przeciwzaklęcie - odrzekł pan Weasley, gdy zaczęli się wspinać po schodach - ale gorzej z wyplenieniem uprzedzeń. Tu nie chodzi o zwykły wandalizm, Harry, tu chodzi o postawy, które do niego doprowadziły. Dręczenie mugoli może się wydawać niektórym czarodziejom zabawne, ale to wyraz czegoś o wiele głębszego i groźniejszego, a ja na przykład...

Pan Weasley urwał w połowie zdania. Dotarli do korytarza na poziomie dziewiątym, a tuż przed nimi wyrósł Korneliusz Knot, który rozmawiał cicho z wysokim mężczyzną o przylizanych jasnych włosach i pociągłej, bladej twarzy.

Mężczyzna ów odwrócił się, słysząc ich kroki. On też urwał w połowie zdania, a jego zimne szare oczy zwęziły się, gdy utkwił wzrok w twarzy Harry'ego.

- Kogo my tu widzimy... Patronus Potter - wycedził Lucjusz Malfoy.

Harry poczuł się tak, jakby wpadł na coś twardego. Ostatnim razem widział te zimne szare oczy przez szczeliny w masce śmierciożercy, a ten głos szydził z niego, gdy go torturował Lord Voldemort. Nie mógł uwierzyć, że Lucjusz Malfoy śmie mu spojrzeć w twarz; nie mógł uwierzyć, że jest tutaj, w Ministerstwie Magii, ani w to, że Korneliusz Knot rozmawia z nim, jakby nigdy nic, choć przecież sam ministrowi powiedział parę tygodni temu, że Malfoy jest śmierciożercą.

- Minister właśnie mi powiedział, że znowu ci się upiekło, Potter - wycedził pan Malfoy. - Zdumiewające, jak ty wciąż potrafisz prześlizgiwać się przez bardzo ciasne szczeliny... Zupełnie jak wąż...

Harry poczuł, że pan Weasley ściska go za ramię, jakby go ostrzegał.

- Taak - powiedział Harry. - Tak, ucieczki to moja specjalność...

Lucjusz Malfoy przeniósł spojrzenie na twarz pana Weasleya.

- I Artur Weasley! Co ty tutaj robisz, Arturze?

- Ja tutaj pracuję - odrzekł krótko pan Weasley.

- Ale chyba nie TUTAJ? - zadrwił pan Malfoy, unosząc brwi i rzucając spojrzenie na drzwi za plecami pana Weasley'a. - Wydawało mi się, że pracujesz gdzieś na drugim piętrze...

Nie zajmujesz się przypadkiem szmuglowaniem produktów mugoli do swego domu i ulepszaniem ich czarami?

- Nie - odparł pan Weasley, którego palce teraz już wpijały się w ramię Harry'ego.

- A co pan tutaj robi? - zapytał Harry Lucjusza Malfoya.

- Nie sądzę, żeby cię mogły obchodzić prywatne sprawy między mną a panem ministrem, Potter - rzekł Malfoy, gładząc się po piersiach, a Harry usłyszał ciche podzwanianie, którego źródłem mogła być tylko kieszeń pełna złotych monet. - I naprawdę, to, że jesteś ulubieńcem Dumbledore'a, nie upoważnia cię do tego, byś spodziewał się, że inni będą wobec ciebie tak samo pobłażliwi... No to co, ministrze, pójdziemy do twojego biura?

- Oczywiście - rzekł Knot, odwracając się plecami do Harry'ego i pana Weasleya. - Tędy, Lucjuszu.

I odeszli razem, rozmawiając przyciszonymi głosami. Pan Weasley puścił ramię Harry'ego dopiero wtedy, gdy znikli w windzie.

- Dlaczego nie czekał przed biurem Knota, skoro ma do niego sprawę? - wybuchnął Harry. - Co on tutaj robił?

- Według mnie próbował się wśliznąć na salę rozpraw - odpowiedział pan Weasley, rozglądając się lękliwie na wszystkie strony, jakby chciał się upewnić, że nikt nie podsłuchuje. - Chciał się dowiedzieć, czy wyrzucono cię ze szkoły czy nie. Zostawię notkę Dumbledore'owi, jak cię podrzucę do domu, powinien wiedzieć, że Malfoy znowu rozmawiał z Knotem.

- Co za sprawy mogą ich łączyć?

- Założę się, że złoto - odpowiedział ze złością pan Weasley. - Malfoy od dawna udziela szczodrych darowizn na różne cele... W ten sposób poznaje ludzi, na których mu zależy... potem może prosić o różne przysługi... na przykład o opóźnienie ustaw, które są dla niego niewygodne... O, tak, Lucjusz Malfoy ma szerokie znajomości...

Przybyła winda. Była pusta, jeśli nie liczyć chmary papierowych samolocików, które zaczęły krążyć wokół głowy pana Weasleya, gdy ten nacisnął guzik i drzwi zasunęły się ze zgrzytem. Opędził się od nich ze złością.

- Panie Weasley - powiedział powoli Harry - skoro Knot spotyka się ze śmierciożercami takimi jak Malfoy, skoro spotyka się z nimi w cztery oczy, to skąd możemy wiedzieć, że nie użyli wobec niego Zaklęcia Imperius?

- Nie myśl, że nie bierzemy tego pod uwagę, Harry - mruknął pan Weasley. - Dumbledore uważa jednak, że na razie Knot działa sam... co, jak mówi, wcale nie jest dla nas takie wygodne... Ale teraz lepiej już o tym nie rozmawiajmy, Harry...

Drzwi rozsunęły się i weszli do prawie pustego atrium. Ochroniarz Eryk siedział schowany za swoim „Prorokiem Codziennym". Kiedy przechodzili tuż obok złotej fontanny, Harry coś sobie przypomniał.

- Niech pan zaczeka... - poprosił i wyciągnął z kieszeni sakiewkę z pieniędzmi.

Odwrócił się do fontanny i spojrzał na przystojną twarz czarodzieja, ale teraz, z bliska, wydała mu się jakaś pozbawiona wyrazu lub wręcz głupkowata. Ckliwy uśmiech na twarzy czarownicy przywodził na myśl kandydatki na miss piękności, a z tego, co wiedział o goblinach i centaurach, nigdy by nie spoglądały na człowieka z takim uwielbieniem, choćby był nie wiadomo kim. Przekonujący był tylko domowy skrzat ze swoją służalczą miną. Uśmiechając się na myśl, co by na widok posągu skrzata powiedziała Hermiona, Harry odwrócił sakiewkę do góry nogami i wsypał do sadzawki nie dziesięć galeonów, ale całą jej zawartość.

* * *

- Wiedziałem! - krzyknął Ron, unosząc zaciśniętą pięść. - Ty zawsze jakoś się wymigasz!

- Musieli cię uniewinnić - powiedziała Hermiona, która wyglądała, jakby miała zemdleć z wrażenia, kiedy Harry wszedł do kuchni, a teraz zasłaniała oczy drżącą ręką. - Nie mieli żadnych podstaw, by cię skazać, żadnych, choćby najmniejszych...

- Widzę, że chociaż wszyscy wiedzieli, że nic mi nie zrobią, to jednak wszystkim jakoś bardzo ulżyło - zauważył Harry z uśmiechem.

Pani Weasley ocierała twarz fartuchem, a Fred, George i Ginny tańczyli coś w rodzaju tańca wojennego, wyśpiewując: *„A on się wy... a on się wy... a on się wymigał znowu!"*

- Dosyć już, uspokójcie się wszyscy! - krzyknął pan Weasley, ale się uśmiechał. - Posłuchaj, Syriuszu, Lucjusz Malfoy był w ministerstwie...

- Co? - zapytał Syriusz ostrym tonem.

- *A on się wy... a on się wy... a on się wy...*

- Uspokójcie się wreszcie! Tak, widzieliśmy, jak rozmawiał z Knotem na dziewiątym poziomie, a potem obaj poszli do gabinetu Knota. Dumbledore powinien o tym wiedzieć.

- To jasne - zgodził się Syriusz. - Powiemy mu, nie martw się.

- No, muszę lecieć, w Bethnal Green czeka na mnie wymiotująca toaleta. Molly, wrócę późno, zastępuję dziś Tonks, ale Kingsley pewnie wpadnie na kolację...

- *A on się wy... a on się wy... a on się wy...*

- Dość już tego! Fred... George... Ginny! - zawołała pani Weasley, kiedy jej mąż opuścił kuchnię. - Harry, kochaneczku, siadaj, zjedz coś, prawie nie jadłeś śniadania...

Ron i Hermiona usiedli naprzeciw niego, sprawiając wrażenie jeszcze szczęśliwszych niż wtedy, gdy po raz pierwszy pojawił się przy Grimmauld Place, a w nim poczucie radosnej ulgi, znacznie osłabione przez spotkanie z Lucjuszem Malfoyem, teraz znowu wezbrało z taką mocą, że zakręciło mu się w głowie. Ponury dom wydał mu się nagle o wiele przytulniejszy i bardziej przyjazny, nawet Stworek był jakby nieco mniej brzydki, gdy wetknął swój ryjkowaty nos do kuchni, żeby zbadać, skąd tyle hałasu.

- Oczywiście odkąd Dumbledore stanął w twojej obronie, nie było siły, żeby cię skazali - powiedział uradowany Ron, nakładając każdemu wielką porcję tłuczonych ziemniaków.

- No tak, on mi to załatwił - przyznał Harry, powstrzymując się, żeby nie powiedzieć: „Tylko tak bardzo chciałem, żeby się do mnie odezwał albo żeby chociaż na mnie spojrzał", bo pomyślał, że zabrzmiałoby to bardzo niewdzięcznie i dziecinnie.

I kiedy tak pomyślał, blizna na czole zapiekła go tak, że złapał się za głowę.

- Co ci jest? - zapytała Hermiona z przerażoną miną.

- Blizna - wymamrotał Harry. - Ale to nic... Często mnie teraz boli.

Pozostali nic nie zauważyli, bo teraz wszyscy, wciąż podnieceni szczęśliwym zakończeniem przesłuchania, zajęli się swoimi talerzami. Fred, George i Ginny nadal wyśpiewywali swój hymn wojenny. Hermiona była trochę zaniepokojona, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, odezwał się Ron:

- Wiecie co? Założę się, że Dumbledore pojawi się tu dziś wieczorem, żeby świętować z nami to zwycięstwo.

- Nie sądzę, żeby mógł - powiedziała pani Weasley, stawiając przed Harrym wielki talerz z kawałkami pieczonych kurczaków. - Jest naprawdę bardzo zajęty.

- *A ON SIĘ WY... A ON SIĘ WY... A ON SIĘ WYMIGAŁ...*

- PRZESTAŃCIE! - ryknęła pani Weasley.

* * *

Przez następne kilka dni Harry'emu trudno było nie zauważyć, że w domu numer dwanaście przy Grimmauld Place była jedna osoba, która nie uczestniczy w powszechnej radości z tego, że Harry wróci jednak do Hogwartu. Syriusz, który na wieść o tym bardzo się ucieszył i, rozpromieniony jak inni, uścisnął Harry'emu dłoń, wkrótce jeszcze bardziej zmarkotniał, jeszcze rzadziej się odzywał, nawet do Harry'ego, i spędzał coraz więcej czasu zamknięty w pokoju swojej matki razem z Hardodziobem.

- Tylko nie myśl czasem, że to twoja wina! - powiedziała Hermiona kilka dni później, kiedy Harry zwierzył się jej i Ronowi ze swego niepokoju o Syriusza. Szorowali właśnie

zapleśniały kredens na trzecim piętrze. - Twoje miejsce jest w Hogwarcie i Syriusz o tym wie. A osobiście uważam, że jest egoistą.

- Nie tak ostro, Hermiono - rzekł Ron, marszcząc czoło, bo akurat próbował się uwolnić od kawałka pleśni, która przywarła mu do palca. - Chyba byś nie chciała siedzieć w tym domu sama jak kołek, co?

- Sam jak kołek? Co ty wygadujesz! To przecież Kwatera Główna Zakonu Feniksa! On po prostu nabrał już nadziei, że Harry będzie z nim mieszkał przez całe życie.

- To chyba nie tak - powiedział Harry, wyżymając ścierkę. - Kiedy go zapytałem, czy mógłbym z nim zamieszkać, nie dał mi jasnej odpowiedzi.

- Bo nie chciał rozpalać w sobie tej nadziei - odpowiedziała Hermiona z powagą. - I prawdopodobnie trochę go dręczyły wyrzuty sumienia, bo w duchu może naprawdę miał nadzieję, że cię wyrzucą, choć nie chce się do tego przyznać nawet przed sobą. Wtedy obaj bylibyście wyrzutkami społeczeństwa.

- Przestań! - krzyknęli jednocześnie Harry i Ron, ale Hermiona tylko wzruszyła ramionami.

- Myślcie sobie, jak chcecie, ale ja uważam, że mama Rona miała rację. Syriusz czasami traktuje cię jak twojego ojca, Harry.

- To co, uważasz, że on jest stuknięty? - zapytał oburzony Harry.

- Nie, po prostu uważam, że bardzo długo był bardzo samotny.

W tym momencie do sypialni weszła pani Weasley.

- Jeszcze nie skończyliście? - zapytała, wsadzając głowę do kredensu.

- A ja myślałem, że może przyszłaś, żeby zarządzić przerwę! - powiedział z goryczą Ron. - Wiesz, ile już zeskrobaliśmy tego świństwa?

- Przecież tak bardzo chciałeś pomóc Zakonowi, Ron! To bardzo ważne zadanie, sprawić, by siedziba Kwatery Głównej nadawała się do życia.

- Czuję się jak domowy skrzat - mruknął Ron.

- No więc teraz, kiedy już rozumiesz, jak ciężkie mają życie, może zaczniesz być trochę bardziej aktywny w stowarzyszeniu W.E.S.Z.! - powiedziała Hermiona z nadzieją w głosie, kiedy pani Weasley znowu wyszła. - Wiesz co, może to dobry pomysł, pokazać ludziom, jakie to okropne, sprzątać przez cały czas... moglibyśmy zorganizować sponsorowane sprzątanie pokoju wspólnego w Gryffindorze, cały dochód na W.E.S.Z. Podniosłaby się i świadomość, i stan naszego konta...

- Mogę cię najwyżej zasponsorować, żebyś wreszcie przestała gadać o tej WSZY - mruknął ze złością Ron, ale tylko Harry to dosłyszał.

* * *

Im bliżej było końca wakacji, tym częściej Harry marzył o Hogwarcie. Nie mógł się już doczekać spotkania z Hagridem, gry w quidditcha, a nawet spacerów między grządkami warzyw do cieplarni, gdzie pani Sprout nauczała ich zielarstwa. Chciał już opuścić ten zatęchły, pełen kurzu dom, gdzie połowa kredensów wciąż była zamknięta na klucz, a z ciemnych kątów dobiegało obraźliwe mamrotanie Stworka. Ale, oczywiście, pilnował się, by nie wypowiadać tych myśli na głos w obecności Syriusza.

Prawdę mówiąc, życie w kwaterze głównej przeciwników Voldemorta nie okazało się wcale tak ciekawe, jak się spodziewał, zanim tu przybył. Chociaż członkowie Zakonu Feniksa często się pojawiali, czasami zostając na posiłkach, czasami wpadając tylko, żeby wymienić szeptem kilka uwag, pani Weasley dbała o to, by Harry i jego przyjaciele niczego nie usłyszeli (ani własnymi uszami, ani Uszami Dalekiego Zasięgu) i wyglądało na to, że nikomu, nawet Syriuszowi, nie przychodziło na myśl, że Harry chce się dowiedzieć czegoś więcej ponad to, co usłyszał w ów wieczór, kiedy tu przybył.

Nadszedł ostatni dzień wakacji. Harry zeskrobywał z szafy odchody Hedwigi, kiedy do jego sypialni wszedł Ron, niosąc parę kopert.

- Przysłali listy podręczników - powiedział, rzucając jedną z kopert Harry'emu, który stał na krześle. - Najwyższy czas, już myślałem, że zapomnieli, zwykle przysyłają o wiele wcześniej...

Harry zgarnął resztki ptasich kupek do worka na śmieci i rzucił go ponad głową Rona do stojącego w rogu kosza, który połknął worek i głośno beknął. Potem otworzył kopertę. Zawierała dwa arkusze pergaminu; jeden przypominał o tym, że rok szkolny zaczyna się pierwszego września, drugi informował, jakie podręczniki będą mu potrzebne w nadchodzącym roku.

- Tylko dwa nowe - powiedział, czytając listę. - *Standardowa księga zaklęć, Stopień 5* Mirandy Goshawk i *Teoria obrony magicznej* Wilberta Slinkharda.

Coś strzeliło i tuż obok Harry'ego aportowali się Fred i George. Był już do tego przyzwyczajony, więc nawet nie spadł z krzesła.

- Właśnie się zastanawialiśmy, kto wstawił podręcznik Slinkharda - zaczął Fred.

- Bo to oznacza, że Dumbledore znalazł nowego nauczyciela obrony przed czarną magią - dodał George.

- W ostatniej chwili - powiedział Fred.

- Dlaczego? - zapytał Harry, zeskakując między nich.

- No bo parę tygodni temu podsłuchaliśmy przez Uszy Dalekiego Zasięgu rozmowę rodziców, z której wynikało, że Dumbledore ma poważne kłopoty ze znalezieniem kogoś, kto by tego nauczał w tym roku.

- Trudno się dziwić, jak się pamięta, co się przydarzyło ostatnim czterem - zauważył George.

- Jeden wylany, jeden martwy, jeden pozbawiony pamięci i jeden zamknięty w kufrze przez dziewięć miesięcy - wyliczył Harry na palcach. - No tak, chyba masz rację.

- Ron, co z tobą? - zapytał Fred.

Ron nie odpowiedział. Harry rozejrzał się. Ron stał nieruchomo z lekko otwartymi ustami, gapiąc się na swój list z Hogwartu.

- Co się stało? - zapytał niecierpliwie Fred, obchodząc Rona, żeby mu zajrzeć przez ramię.

Po chwili i jemu szczęka opadła.

- Prefekt? - powiedział, wpatrując się w list z niedowierzaniem. - Prefekt?

George podskoczył, wyrwał Ronowi kopertę z drugiej ręki i potrząsnął nią. Na dłoń George'a wypadło coś szkarłatno-złotego.

- To niemożliwe - wymamrotał ochrypłym głosem.

- To jakaś pomyłka - powiedział Fred, wyrywając Ronowi list z ręki i patrząc na pergamin pod światło, jakby sprawdzał znaki wodne. - Nikt przy zdrowych zmysłach nie zrobiłby Rona prefektem...

Głowy obu bliźniaków zwróciły się jednocześnie w stronę Harry'ego.

- Myśleliśmy, że to ty jesteś pewniakiem! - powiedział Fred takim tonem, jakby Harry ich oszukał.

- Myśleliśmy, że Dumbledore po prostu MUSI wybrać ciebie! - dodał wzburzony George.

- Przecież zwyciężyłeś w Turnieju Trójmagicznym, no i w ogóle! - zaperzył się Fred.

- Myślę, że to przez wszystkie jego numery - powiedział George do Freda.

- Taak - oświadczył grobowym głosem Fred. - Tak, za bardzo namieszałeś, Harry. No, ale przynajmniej jeden z was został należycie doceniony.

Podszedł do Harry'ego i poklepał go po ramieniu, obrzucając Rona jadowitym spojrzeniem.

- Prefekt... Ronuś prefekt...

- Och, co na to powie nasza biedna mama! - jęknął George, rzucając Ronowi odznakę, jakby się mógł od niej czymś zarazić.

Ron, który dotąd nie wypowiedział ani słowa, złapał odznakę, popatrzył na nią przez chwilę, po czym podsunął ją Harry'emu, jakby go prosił o potwierdzenie, że jest prawdziwa. Harry wziął ją do ręki. Był na niej lew, herb Gryffindoru, a na nim duża litera E Pamiętał tę odznakę. Zobaczył ją na piersiach Percy'ego w pierwszy dzień swego pobytu w Hogwarcie.

Drzwi otworzyły się z hukiem. Wpadła Hermiona, z wypiekami na policzkach i rozwianymi włosami. W ręku trzymała kopertę.

- Czy już dostaliście...

Spostrzegła odznakę w ręku Harry'ego i aż krzyknęła.

- Wiedziałam! Ja też, Harry, ja też!

- Nie - odpowiedział szybko Harry, wciskając z powrotem odznakę w rękę Rona. - To Ron, nie ja.

- To... co?

- Ron jest prefektem, nie ja.

- Ron? - powtórzyła Hermiona i szczęka jej opadła. - Ale... jesteś pewny? To znaczy...

Zobaczyła bezradną minę Rona i oblała się rumieńcem.

- W liście jest moje nazwisko - powiedział.

- Ja... - wyjąkała zupełnie oszołomiona Hermiona. - Ja... no... Och, Ron, gratuluję! To naprawdę...

- Wielka niespodzianka - wpadł jej w słowo George, kiwając głową.

- Nie! - Hermiona jeszcze bardziej się zaczerwieniła. - Nie, nieprawda... Ron tyle dokonał... on jest naprawdę... Drzwi się otworzyły i weszła pani Weasley z naręczem świeżo wypranych ubrań.

- Ginny mi mówiła, że wreszcie przyszły listy podręczników - powiedziała, zerkając na wszystkie koperty, po czym podeszła do łóżka i zaczęła rozdzielać ubrania na dwie kupki. - Jak mi dacie swoje, to po południu zajrzę na Pokątną i kupię wam wszystkie książki, a wy się przez ten czas spakujecie. Ron, muszę ci kupić nowe piżamy, te już są za krótkie o jakieś sześć cali, aż trudno uwierzyć, jak ty szybko rośniesz... Jaki byś chciał kolor?

- Kup mu czerwono-złote, będą pasowały do odznaki - mruknął George, uśmiechając się złośliwie.

- Do czego? - zapytała niezbyt przytomnym głosem pani Weasley, zwijając parę kasztanowych skarpetek i kładąc ją na kupce Rona.

- Do jego ODZNAKI - powiedział dobitnie Fred, najwyraźniej pragnąc to mieć z głowy. - Do jego nowej, błyszczącej ODZNAKI PREFEKTA.

Słowa Freda dopiero po chwili dotarły do świadomości pani Weasley, zajętej piżamami.

- Jego... ale... Ron, przecież nie...

Ron uniósł wysoko odznakę.

- Nie wierzę! Nie wierzę! Och, Ron, to cudownie! Prefekt! Jak każdy w tej rodzinie!

- A ja i Fred to co, jesteśmy tylko sąsiadami? - zdenerwował się George, kiedy matka odepchnęła go na bok i rzuciła się na swego najmłodszego syna, obejmując go gwałtownie.

- Och, jak ojciec się dowie! Ron, jestem z ciebie taka dumna, co za wspaniała wiadomość, może kiedyś zostaniesz prefektem szkoły, tak jak Bill i Percy, to pierwszy krok! Och, cóż za wspaniała niespodzianka, i to w tym okropnym okresie, kiedy mamy tyle zmartwień, jestem naprawdę wzruszona, och Ronusiu...

Za jej plecami Fred i George wydawali takie odgłosy, jakby im się zbierało na wymioty, ale pani Weasley nie zwracała na to uwagi, obcałowując twarz Rona, który zrobił się bardziej purpurowy od swojej odznaki.

- Mamo... przestań... mamo, opanuj się... - mamrotał, próbując wyrwać się z jej uścisku.

W końcu go puściła i wysapała:

- No to co byś chciał? Percy dostał sowę, ale ty już przecież masz...

- C-co masz na myśli, mamo? - zapytał Ron, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Zasłużyłeś na nagrodę! - odpowiedziała pani Weasley pieszczotliwym tonem. - Co powiesz na nową szatę wyjściową?

- Przecież już jedną ma - mruknął Fred z kwaśną miną, jakby potępiał taką szczodrobliwość.

- Albo nowy kociołek, bo ten stary, po Charliem, już przerdzewiał, albo nowego szczura, zawsze lubiłeś Parszywka...

- Mamo - powiedział Ron z nadzieją w głosie - mógłbym dostać nową miotłę?

Twarz pani Weasley nieco się wydłużyła: miotły były drogie.

- Nie jakąś super - szybko dodał Ron. - Tylko... tylko nową... choć raz...

Pani Weasley zawahała się przez chwilę, a potem uśmiechnęła.

- Oczywiście, Ron, oczywiście... No, jak mam ci kupić i miotłę, to lepiej już pójdę. Dzieciaki, do widzenia! Mój Ronuś prefektem! I nie zapomnijcie się spakować... Prefekt... Och, cała się trzęsę!

Jeszcze raz pocałowała Rona w policzek, pociągnęła głośno nosem i wybiegła z pokoju.

Fred i George wymienili spojrzenia.

- Ron, nie masz nic przeciw temu, że nie będziemy cię całować? - zapytał Fred z udawanym niepokojem.

- Jak chcesz, to możemy ci się kłaniać - dodał George.

- Och, zamknijcie się - burknął Ron, patrząc na nich spode łba.

- Bo co? - rzucił Fred, szczerząc złośliwie zęby. - Bo dasz nam szlaban?

- Bardzo bym chciał to zobaczyć - zachichotał George.

- I możesz zobaczyć, jak nie przestaniecie! - krzyknęła Hermiona, na co Fred i George wybuchnęli śmiechem, a Ron mruknął:

- Daj spokój, Hermiono.

- Odtąd będziemy musieli uważać, George - rzekł Fred, udając, że trzęsie się ze strachu. - Jak tych dwoje dobierze się nam do skóry...

- Tak, chyba już koniec z łamaniem prawa - jęknął George, kręcąc głową.

I obaj deportowali się z głośnym trzaskiem.

- Och, jacy oni są okropni! - powiedziała ze złością Hermiona, patrząc w sufit, przez który dochodziły ryki śmiechu obu bliźniaków. - Nie zwracaj na nich uwagi, Ron, oni są po prostu zazdrośni!

- Nie jestem pewny - mruknął Ron, też patrząc na sufit. - Zawsze mówili, że tylko palant może zostać prefektem... Ale za to... - w jego głosie zabrzmiała satysfakcja - nigdy nie mieli nowych mioteł! Och, wolałbym sam ją wybrać! Mamy na pewno nie będzie stać na Nimbusa, ale pojawił się nowy model Zmiatacza, byłoby super... Tak, chyba jej powiem, że chciałbym mieć Zmiatacza, żeby wiedziała, że...

I wyleciał z pokoju.

Harry stwierdził, że z jakiegoś powodu nie ma ochoty patrzyć na Hermionę. Odwrócił się do swojego łóżka, wziął czyste ubrania, które położyła tam pani Weasley, i przeszedł przez pokój do swojego kufra.

- Harry? - zagadnęła go Hermiona.

- Gratuluję - powiedział Harry tak serdecznym tonem, że sam nie poznał własnego głosu. Nadal na nią nie patrzył. - Wspaniale. Prefekt. Super.

- Dzięki. Eee... Harry... czy mógłbyś mi pożyczyć Hedwigę, żebym mogła powiadomić rodziców? Tak się ucieszą... no wiesz, akurat wiedzą, co to znaczy zostać prefektem...

- No jasne, nie ma problemu - odrzekł Harry, wciąż tym przesłodzonym głosem, który wcale nie należał do niego. - Bierz ją!

Pochylił się nad kufrem, ułożył ubrania na dnie i udawał, że czegoś szuka. Hermiona podeszła do szafy i przywołała Hedwigę. Minęło kilka sekund, rozległ się odgłos otwieranych drzwi, ale on nadal trwał pochylony nad kufrem, nasłuchując. Słyszał tylko chichotanie pustego obrazu na ścianie i czkanie kosza na śmieci, przetrawiającego ptasie odchody.

Wyprostował się i rozejrzał po pokoju. Hermiony i Hedwigi już nie było. Wrócił powoli do swojego łóżka i opadł na nie, patrząc pustym wzrokiem na dół szafy.

Zupełnie zapomniał, że w piątej klasie wybiera się nowych prefektów. Zbyt się bał, że go wyrzucą, by choć przez chwilę pomyśleć o tym, że odznaki muszą trafić do określonych osób. Ale gdyby pamiętał... gdyby o tym pomyślał... czego by się spodziewał?

Nie tego - odezwał się w jego głowie cichy, przekonujący głosik.

Zacisnął powieki i ukrył twarz w dłoniach. Siebie nie mógł okłamać: gdyby wiedział, że odznaka prefekta ma mieć nowego właściciela, spodziewałby się, że to on nim zostanie, nie Ron. Czy to czyni z niego takiego pyszałka jak Draco Malfoy? Czy uważa się za kogoś lepszego od innych? Czy naprawdę wierzy, że jest lepszy od Rona?

Nie - zaprzeczył buntowniczo głosik.

Czy to prawda? - zastanawiał się Harry, z niepokojem analizując własne uczucia.

Jestem lepszy w quidditchu - powiedział głosik. Ale tylko w tym, w niczym więcej.

Tak, to prawda, nie był wcale lepszy od Rona w nauce. Ale poza nauką? A w tych przygodach, które on, Ron i Hermiona mieli razem od pierwszego roku nauki w Hogwarcie, często narażając się na coś o wiele gorszego od wyrzucenia ze szkoły?

Przecież Ron i Hermiona byli ze mną prawie przez cały czas - szepnął głosik.

Ale nie przez cały czas - sprzeczał się Harry sam ze sobą. Nie było ich, kiedy walczyłem z Quirrellem. Nie pokonali Riddle'a i bazyliszka. Nie przepędzili dementorów w noc ucieczki Syriusza. Nie byli ze mną na tym cmentarzu owej nocy, gdy powrócił Voldemort...

Znowu ogarnęło go dręczące poczucie niesprawiedliwości, to samo, które tak boleśnie przeżywał, gdy tu przybył. Nikt mi nie powie, że nie dokonałem większych czynów, pomyślał z oburzeniem. Zrobiłem więcej od każdego z nich!

Ale może - odezwał się cichy głosik - *może Dumbledore nie wybiera na prefektów tych, którzy wciąż pakują się w jakieś niebezpieczne sytuacje... Może chodzi mu o co innego... Ron musi mieć coś, czego ja nie mam...*

Harry otworzył oczy i spojrzał przez palce na rzeźbione nogi szafy, przypominając sobie, co powiedział Fred:

„Nikt o zdrowym umyśle nie zrobiłby Rona prefektem..."

Parsknął śmiechem. W chwilę później poczuł do siebie obrzydzenie.

Ron nie prosił Dumbledore'a o odznakę. To nie Rona wina. Czyżby on, Harry, najlepszy przyjaciel Rona, miał się na niego dąsać, bo nie dostał odznaki, miał się razem z bliźniakami naśmiewać z Rona za jego plecami, miał mu zepsuć radość, kiedy - po raz pierwszy - Ron okazał się w czymś lepszy od niego?

Usłyszał kroki na schodach. Wstał, poprawił sobie okulary i przywołał uśmiech na twarz, kiedy Ron wpadł do pokoju.

- Złapałem ją! - krzyknął uradowany. - Powiedziała, że kupi mi Zmiatacza, jak tylko dostanie.

- Ekstra - powiedział Harry i poczuł ulgę, bo jego głos nie zabrzmiał już tak słodko. - Słuchaj, Ron... naprawdę ci gratuluję, stary...

Ron przestał się uśmiechać.

- Nigdy nawet nie pomyślałem, że to mogę być ja! - powiedział, kręcąc głową. - Zawsze byłem pewny, że ty dostaniesz odznakę!

- Ja chyba rzeczywiście trochę za bardzo namieszałem - rzekł Harry, powtarzając słowa Freda.

- No tak... - mruknął Ron. - Tak, pewnie dlatego... No to co, chyba musimy się zabrać za pakowanie kufrów?

Sami się dziwili, jak mogli porozrzucać swoje rzeczy po całym domu w tak krótkim czasie. Zbieranie książek i innego dobytku zajęło im większość popołudnia. Harry zauważył, że Ron nie może się rozstać ze swą odznaką: najpierw położył ją na nocnej szafce, potem włożył do kieszeni dżinsów, a potem znowu wyjął i położył na swojej złożonej szkolnej szacie, jakby chciał sprawdzić, jak się prezentuje czerwień na czarnym tle. Dopiero kiedy do pokoju wpadli bliźniacy i zaproponowali, że przytwierdzą mu ją do czoła za pomocą Zaklęcia Trwałego Przylepca, owinął ją troskliwie w parę pomarańczowych skarpetek i zamknął w kufrze.

Około szóstej po południu pani Weasley wróciła z ulicy Pokątnej, obładowana książkami, niosąc pod pachą długi, owinięty w gruby brązowy papier pakunek, który Ron porwał z jękiem tęsknoty.

- Tylko teraz tym się nie baw, zaraz będzie kolacja, już zaczęli przychodzić... Wszyscy na dół, bardzo proszę... - powiedziała, ale gdy tylko wyszła z pokoju, Ron rozerwał gorączkowo papier i zaczął oglądać z bliska swą nową miotłę, promieniejąc z radości.

W kuchni pani Weasley powiesiła nad suto zastawionym stołem szkarłatny transparent z napisem: GRATULUJEMY! RON I HERMIONA NOWYMI PREFEKTAMI! Harry pomyślał, że w tak dobrym nastroju nie widział jej przez całe wakacje.

- Pomyślałam, że urządzimy sobie małe przyjęcie, a nie zwykłą kolację przy stole - powiedziała, kiedy Harry, Ron, Hermiona, Fred, George i Ginny weszli do kuchni. - Ron, ojciec i Bill już są w drodze, posłałam im sowy. Są okropnie przejęci - dodała rozpromieniona.

Fred potoczył oczami po suficie.

W kuchni byli już Syriusz, Lupin, Tonks i Kingsley Shacklebolt, a Szalonooki Moody przykuśtykał w chwilę później, gdy Harry nalał sobie kufel kremowego piwa.

- Och, Alastorze, jak się cieszę, że jesteś - powitała go pani Weasley, kiedy Moody zrzucił ciężką pelerynę. - Od dawna chcieliśmy cię poprosić... czy mógłbyś rzucić okiem na sekretarzyk w salonie i powiedzieć nam, co w nim siedzi? Nie chcieliśmy otwierać go bez ciebie, bo baliśmy się, że może to być coś naprawdę okropnego...

- Nie ma problemu, Molly...

Elektrycznoniebieskie oko Moody'ego obróciło się i utkwiło wzrok w suficie.

- Salon... - mruknął. - To biurko w rogu? Aha, widzę... Taak, to bogin... Chcesz, żebym go przepędził, Molly?

- Nie, nie, zrobię to sama później. Proszę, napij się. Mamy tu małą uroczystość... - Wskazała na szkarłatny transparent. - Czwarty prefekt w rodzinie! - powiedziała z dumą, mierzwiąc Ronowi włosy.

- Prefekt, tak? - zagrzmiał Moody, zwracając na Rona swoje normalne oko, podczas gdy magiczne obracało się w drugą stronę.

Harry miał wrażenie, że to oko przez chwilę spoglądało na niego, a potem zwróciło się na Syriusza i Lupina.

- No, to moje gratulacje - powiedział Moody, wciąż patrząc na Rona swym normalnym okiem. - Osoby dzierżące władzę zwykle ściągają na siebie kłopoty, ale Dumbledore na pewno uważa, że potrafisz stawić czoło większości zaklęć i uroków, boby cię nie wybrał...

Ron sprawiał wrażenie, jakby go nieco zaskoczył ten punkt widzenia, ale na szczęście nie musiał nic odpowiedzieć, bo właśnie przybył jego ojciec wraz z najstarszym bratem. Pani Weasley była w tak dobrym nastroju, że nawet nie jęknęła na widok Mundungusa, którego ze sobą przyprowadzili. Mundungus miał na sobie długi płaszcz, powybrzuszany dziwnie w różnych miejscach, i odmówił zdjęcia go i powieszenia obok płaszcza Moody'ego.

- No, myślę, że czas na toast - oświadczył pan Weasley, kiedy każdy dostał puchar do ręki. - Za Rona i Hermionę, nowych prefektów Gryffindoru!

Wszyscy wypili, zagrzmiały oklaski, a Ron i Hermiona promieniowali szczęściem.

- Ja tam nigdy nie byłam prefektem - powiedziała Tonks zza pleców Harry'ego, kiedy wszyscy ruszyli do stołu po przekąski. Dziś miała włosy koloru pomidorowoczerwonego, opadające aż do pasa, i wyglądała jak starsza siostra Ginny. - Mój opiekun domu powiedział, że brakuje mi pewnych niezbędnych kwalifikacji.

- Jakich? - zapytała Ginny, nakładając sobie na talerzyk pieczonego ziemniaka.

- Na przykład umiejętności przyzwoitego zachowania.

Ginny parsknęła śmiechem. Hermiona sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, czy się roześmiać czy nie, i w końcu rozwiązała ten problem, wypijając jeszcze jeden duży łyk kremowego piwa i krztusząc się nim.

- A ty, Syriuszu? - zapytała Ginny, waląc Hermionę w plecy.

Syriusz, który stał tuż obok Harry'ego, ryknął śmiechem, jak zwykle przypominającym ujadanie psa.

- Mnie też nikt by nie zrobił prefektem, za dużo mieliśmy z Jamesem szlabanów. Ale Lupin był grzecznym chłopcem, więc dostał odznakę.

- Dumbledore pewnie miał nadzieję, że będę miał dobry wpływ na moich najlepszych przyjaciół - powiedział Lupin. - Muszę niestety wyznać, że go okropnie zawiodłem.

Harry'emu nagle poprawił się nastrój. Jego ojciec też nie był prefektem! Przyjęcie zaczęło mu się o wiele bardziej podobać; odszedł od stołu z kopiastym talerzem, pełen sympatii do całego świata.

Ron piał z zachwytu nad swoją nową miotłą.

- ...przyspieszenie do siedemdziesięciu w ciągu dziesięciu sekund, nieźle, co? Zwłaszcza jak się pamięta, że według poradnika *Jak wybrać miotłę?* Kometa Dwa Dziewięćdziesiąt osiąga tylko sześćdziesiątkę, i to przy sprzyjającym wietrze...

Hermiona przedstawiała namiętnie Lupinowi swój punkt widzenia na prawa skrzatów.

- Chodzi mi o to, że to taki sam absurd, jak segregacja wilkołaków. A źródłem takich absurdów jest to obłędne przekonanie, że czarodzieje są lepsi od wszystkich innych istot...

Pani Weasley jak zwykle sprzeczała się z Billem o jego włosy.

- ...latają ci na wszystkie strony, a jesteś taki przystojny, byłoby ci o wiele lepiej w krótszych włosach, prawda, Harry?

- Och... czy ja wiem... - bąknął Harry, lekko przerażony tym, że pytają go o zdanie, i szybko ruszył w kierunku Freda i George'a, którzy rozmawiali w kącie z Mundungusem.

Na widok Harry'ego Mundungus umilkł w połowie zdania, ale Fred mrugnął i przywołał Harry'ego gestem.

- On jest w porządku, Dung - powiedział - możemy mu zaufać, jest naszym finansowym wsparciem.

- Zobacz, co Dung wytrzasnął - rzekł George, wyciągając do Harry'ego rękę.

Jego dłoń była pełna czegoś, co wyglądało jak pomarszczone czarne strączki. Coś w nich trzeszczało cicho, choć wcale się nie ruszały.

- Nasiona jadowitej tentakuli! Potrzebujemy ich do naszych Bombonierek Lesera, ale należą do substancji niewymienialnych klasy C, więc mieliśmy trudności z ich zdobyciem.

- No to co, Dung, dziesięć galeonów za wszystko? - zapytał Fred.

- A macie pojęcie, jak trudno było je zdobyć? - odpowiedział pytaniem Mundungus, wytrzeszczając podpuchnięte, nabiegłe krwią oczy. - Przykro mi, chłopaki, ale nie zejdę nawet knuta poniżej dwudziestu.

- Dung lubi opowiadać dowcipy - powiedział Fred do Harry'ego.

- No, jego najlepszy do tej pory to sześć sykli za kolce szpiczaka - dodał George.

- Uważajcie - ostrzegł ich cicho Harry.

- Bo co? - prychnął Fred. - Spoko, mama rozpływa się nad Ronusiem prefektem.

- Ale Moody może mieć na was oko.

Mundungus zerknął nerwowo przez ramię.

- Trafna uwaga - mruknął. - No dobra, chłopaki, niech będzie dziesięć, tylko szybko.

- Twoje zdrowie, Harry! - ucieszył się Fred, kiedy Mundungus opróżnił kieszenie na wyciągnięte dłonie bliźniaków i pokuśtykał do stołu. - Lepiej zanieśmy je na górę...

Harry odprowadzał ich wzrokiem z mieszanymi uczuciami. Przyszło mu na myśl, że państwo Weasleyowie zechcą wiedzieć, skąd Fred i George mają środki na swój interes z magicznymi gadżetami, kiedy, co było nieuniknione, w końcu odkryją, że bliźniacy go prowadzą. Gdy dawał im swą nagrodę za zwycięstwo w Turnieju Trójmagicznym, nie zastanawiał się nad konsekwencjami, teraz jednak poczuł niepokój. Co będzie, jeśli doprowadzi to do kolejnej awantury rodzinnej, która może się skończyć tak fatalnie, jak w przypadku Percy'ego? Czy pani Weasley nadal będzie go traktować jak własnego syna, kiedy odkryje, że to on umożliwił Fredowi i George'owi rozpoczęcie kariery, którą uważała za wielce niestosowną dla swoich synów?

Stojąc w tym samym miejscu, w którym bliźniacy go opuścili, i mając za towarzysza tylko mdlące poczucie winy, Harry dosłyszał dźwięk swojego nazwiska. Tubalny głos Kingsleya Shacklebolta był wyraźnie słyszalny nawet w ogólnym gwarze.

- ...dlaczego Dumbledore nie mianował prefektem Pottera?

- Miał swoje powody - odrzekł Lupin.

- Ale chłopak by poczuł, że Dumbledore ma do niego zaufanie. Na jego miejscu tak bym zrobił - mówił Kingsley - zwłaszcza że „Prorok Codzienny" wciąż na niego napada...

Harry nie spojrzał w ich stronę; nie chciał, by wiedzieli, że to usłyszał. Wrócił do stołu, choć nie był specjalnie głodny. Jego dobry nastrój prysł tak szybko, jak się pojawił. Nagle zapragnął znaleźć się już w łóżku.

Szalonooki Moody wąchał resztką swego nosa nóżkę kurczaka; najwyraźniej nie wyczuł żadnej trucizny, bo po chwili odgryzł kawałek mięsa.

- ...rączka jest z hiszpańskiego dębu, pokryta lakierem przeciwko urokom, i ma wbudowany system antywibracyjny... - mówił Ron do Tonks.

Pani Weasley ziewnęła szeroko.

- No, chyba zajmę się tym boginem, zanim pójdę spać... Arturze, przypilnuj, żeby dzieciaki nie siedziały za długo, dobrze? Dobranoc, Harry, mój kochaneczku.

Wyszła z kuchni. Harry odstawił talerz, zastanawiając się, czy mógłby pójść w jej ślady, nie zwracając niczyjej uwagi.

- Jak samopoczucie, Potter? - zadudnił głos Moody'ego.

- Dziękuję, świetne - skłamał Harry.

Moody pociągnął z piersiówki, a jego magiczne oko błysnęło, zezując na Harry'ego.

- Podejdź bliżej, mam tu coś, co może cię zainteresować.

I z wewnętrznej kieszeni szaty wyciągnął bardzo zniszczoną magiczną fotografię.

- Pierwsi członkowie Zakonu Feniksa - mruknął Moody. - Znalazłem to zeszłej nocy, kiedy szukałem zapasowej peleryny-niewidki, bo ten Podmore nie ma zwyczaju oddawać pożyczonych rzeczy... Pomyślałem, że niektórzy chętnie by na to rzucili okiem.

Harry wziął od niego fotografię. Zobaczył grupkę ludzi; niektórzy machali do niego rękami, inni unosili okulary, by mu się przyjrzeć.

- To ja - powiedział Moody, pokazując palcem, choć wcale nie musiał tego robić. Trudno było go nie rozpoznać, choć na zdjęciu włosy miał ciemniejsze, a nos jeszcze nie okaleczony. - A tu, obok mnie, stoi Dumbledore, z drugiej strony Dedalus Diggle... To jest Marlena McKinnon, zamordowano ją dwa tygodnie później, razem z całą rodziną. To Frank i Alicja Longbottomowie...

Harry poczuł jeszcze większy ucisk w żołądku: choć nigdy nie spotkał pani Longbottom, dobrze znał tę okrągłą, miłą twarz, bo Neville, jej syn, był do niej bardzo podobny.

- Biedacy - mruknął Moody. - Już lepsza śmierć niż to, co ich spotkało... A to Emelina Vance, już ją poznałeś, a to, rzecz jasna, Lupin... Benio Fenwick, jego też trafiło, znaleźliśmy tylko szczątki... No, rozsuńcie się - dodał, szturchając zdjęcie końcem palca, na co grupka ludzi rozstąpiła się na boki, żeby zrobić miejsce innym, dotąd za nimi schowanym.

- To jest Edgar Bones... brat Amelii Bones, jego też dorwali z całą rodziną, to był wielki czarodziej... Sturgis Podmore, a niech to diabli, wygląda tak młodo... Caradoc Dearborn, zaginął sześć miesięcy później, nigdy nie odnaleźliśmy ciała... A tu Hagrid, nic się nie zmienił... Elfias Doge, też go spotkałeś, zupełnie zapomniałem, że nosił ten okropny kapelusz... Gideon Prewett, potrzebowali aż pięciu śmierciożerców, żeby ukatrupić jego i jego brata Fabiana, walczyli jak bohaterowie... No, zróbcie im miejsce, zróbcie miejsce...

Ludzie z tylnych rzędów znowu zaczęli przepychać się do przodu.

- To brat Dumbledore'a, Aberforth, widziałem go tylko ten jeden raz, dość dziwny facet... A to Dorcas Meadowes, Voldemort zamordował ją osobiście... Syriusz, jeszcze z krótkimi włosami... i... popatrz, to może cię zainteresować...

Harry'emu serce mocno zabiło. Z fotografii uśmiechali się do niego jego rodzice, siedzący po obu stronach drobnego mężczyzny o wodnistych oczach, w którym Harry natychmiast rozpoznał Glizdogona - tego, który zdradził Voldemortowi miejsce ich pobytu i w ten sposób pomógł w ich zamordowaniu.

- Dobre, co? - zapytał Moody.

Harry spojrzał na pokrytą bliznami, dziobatą twarz. Moody był wyraźnie zadowolony z tego, że sprawił mu taką niespodziankę.

- Taak - powiedział Harry, zmuszając się do krzywego uśmiechu. - Ee... wie pan... właśnie sobie przypomniałem, że nie zapakowałem jeszcze mojego...

Nie musiał jednak wymyślać niczego na poczekaniu, bo akurat Syriusz zagadnął: „Co tam masz, Szalonooki?" i Moody odwrócił się. Harry szybko przeciął kuchnię, otworzył drzwi i zanim ktokolwiek zdążył za nim zawołać, popędził schodami na górę.

Nie wiedział, dlaczego przeżył taki wstrząs; ostatecznie widział już swoich rodziców na zdjęciu i spotkał Glizdogona... ale teraz zupełnie się tego nie spodziewał... Każdy by tak zareagował, pomyślał ze złością.

Ale zobaczyć ich w otoczeniu tych wszystkich roześmianych twarzy... Benio Fenwick, z którego zostały tylko szczątki, i Gideon Prewett, który zginął jak bohater, i Longbottomowie, doprowadzeni torturami do szaleństwa... wszyscy wiecznie machający do widza rękami, jeszcze nie wiedzący, jaki ich spotka los... Dla Moody'ego mogło to być interesujące... ale dla niego, Harry'ego, było przykrym wstrząsem...

Przeszedł na palcach przez hol i wspiął się po schodach na górę, mijając wypchane głowy skrzatów, rad, że wreszcie jest sam, ale gdy zbliżał się już do pierwszego piętra, usłyszał jakiś dźwięk. W salonie ktoś szlochał.

- Halo?

Nie było odpowiedzi, ale szlochanie nadal trwało. Wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie, przeciął klatkę schodową i otworzył drzwi do salonu.

Jakaś postać kuliła się na tle ciemnej ściany. W ręku trzymała różdżkę, a całym jej ciałem wstrząsały łkania. A na zakurzonym starym dywanie w plamie księżycowego blasku rozciągnięte było martwe ciało Rona.

Harry'emu zabrakło powietrza w płucach, poczuł się tak, jakby spadał przez podłogę w lodowatą otchłań... Ron nie żyje... nie, to niemożliwe...

Zaraz... tak, TO NIEMOŻLIWE... przecież Ron jest na dole...

- Pani Weasley? - wychrypiał.

- *R-r-riddikulus!* - jęknęła pani Weasley, celując różdżką w ciało Rona.

TRZASK.

Ciało Rona zamieniło się w ciało Billa, leżące na plecach z rozłożonymi rękami, z szeroko otwartymi pustymi oczami. Pani Weasley zaszlochała jeszcze głośniej.

- *R-riddikulus!*

TRZASK.

Teraz zamiast ciała Billa na dywanie spoczywało ciało pana Weasleya; okulary miał przekrzywione, a po twarzy spływała strużka krwi.

- Nie! - jęknęła pani Weasley. - Nie!... *Riddikulus! Riddikulus! RIDDIKULUS!*

TRZASK. Martwi bliźniacy. TRZASK. Martwy Percy. TRZASK. Martwy Harry...

- Pani Weasley, proszę stąd wyjść! - krzyknął Harry, patrząc na swoje martwe ciało na podłodze. - Niech ktoś inny...

- Co się tu dzieje?

Do pokoju wbiegł Lupin, za nim Syriusz, a za nimi kuśtykał już Moody. Lupin spojrzał na panią Weasley, potem na martwe ciało Harry'ego, i natychmiast zrozumiał. Wyciągnął różdżkę i powiedział bardzo stanowczo i wyraźnie:

- *Riddikulus!*

Ciało Harry'ego znikło. Nad miejscem, w którym dopiero co leżało, zawisła srebrna kula. Lupin jeszcze raz machnął różdżką i kula znikła, pozostawiając po sobie obłoczek dymu.

- Och... och... och! - zaszlochała pani Weasley, ukrywając twarz w dłoniach.

- Molly - rzekł Lupin, podchodząc do niej. - Molly, nie...

Po chwili wypłakiwała się już na jego ramieniu.

- Molly, to był tylko bogin - pocieszał ją łagodnie, gładząc po głowie. - Tylko głupi bogin...

- Wciąż widzę ich martwych! - jęknęła pani Weasley w jego ramię. - Wciąąż! Wciąąż mi się to śniii!

Syriusz wpatrywał się w dywan, na którym przed chwilą spoczywało ciało Harry'ego. Moody patrzył na Harry'ego, który unikał jego spojrzenia. Miał dziwne wrażenie, że magiczne oko Moody'ego śledziło go przez cały czas od wyjścia z kuchni.

- N-n-nie mówcie Arturowi - zawodziła teraz pani Weasley, wycierając gorączkowo oczy pięściami. - N-n-nie chcę, żeby się dowie-e-e-dział... Byłam głu-upiaaa...

Lupin podał jej chusteczkę. Wytarła nos.

- Harry, tak mi głupio, co ty sobie o mnie pomyślisz... - powiedziała drżącym głosem. - Nie potrafię sobie poradzić nawet z boginem...

- Proszę nie opowiadać głupstw - przerwał jej Harry, próbując się uśmiechnąć.

- Ja po prostu t-t-tak się o wszystkich m-m-martwię - jęknęła pani Weasley, a łzy znowu pociekły jej z oczu. - Pół r-r-rodziny w Zakonie, to będzie prawdziwy cud, jak wszyscy p-przeżyjemy... a P-P-Percy się do nas nie od... nie odzywa... A jak stanie się coś s-s-strasznego i już nigdy się nie s-s-spo-tkamy? A jak zabraknie mnie i Artura, to kto się z-z-zajmie Ronem i Ginny?

- Molly, już dosyć - powiedział Lupin stanowczym tonem. - Teraz nie będzie tak jak wtedy. Zakon jest lepiej przygotowany, od początku mamy przewagę, bo wiemy, co zamierza Voldemort...

Na dźwięk tego nazwiska pani Weasley pisnęła cicho ze strachu.

- Och, Molly, chyba już czas, żebyś się przyzwyczaiła do tego nazwiska... zrozum, nie mogę ci obiecać, że nikomu nie stanie się krzywda... nikt ci tego nie może obiecać... ale jesteśmy wszyscy o wiele lepiej przygotowani, wtedy nie byłaś nawet w Zakonie, zrozum, wtedy była nas garstka, dwudziestu śmierciożerców na każdego z nas, załatwiali nas po kolei...

Harry znowu pomyślał o tej fotografii, o swoich rodzicach, uśmiechających się do niego z przeszłości. Wiedział, że Moody wciąż mu się przypatruje.

- Nie martw się o Percy'ego - powiedział nagle Syriusz. - Nawróci się. To tylko kwestia czasu. Jak Voldemort się ujawni, całe ministerstwo zacznie nas błagać o przebaczenie. I wcale nie jestem pewny, czy przyjmę ich przeprosiny - dodał z goryczą.

- A co się tyczy opieki nad Ronem i Ginny po waszej śmierci - rzekł Lupin z lekkim uśmiechem - to jak ci się wydaje, co zrobimy? Pozwolimy im umrzeć z głodu?

Pani Weasley uśmiechnęła się przez łzy.

- Jestem taka głupia - mruknęła, wycierając oczy.

Ale kiedy dziesięć minut później Harry zamknął za sobą drzwi sypialni, pomyślał, że pani Weasley wcale nie jest głupia. Wciąż widział swoich rodziców uśmiechających się do niego ze zniszczonej starej fotografii, całkowicie nieświadomych tego, że ich życie, tak jak życie tych, którzy ich otaczali, dobiega właśnie końca. I wciąż migały mu kolejno przed oczami martwe ciała członków rodziny Weasleyów.

Jego czoło bez żadnego ostrzeżenia przeszył ostry ból, a w żołądku coś mu się przewróciło.

- Dosyć! Przestań już o tym myśleć! - powiedział stanowczo, rozcierając sobie bliznę na czole.

- Rozmawianie z własną głową to pierwszy objaw szaleństwa - oznajmił chytry głos z pustego obrazu na ścianie.

Harry tylko wzruszył ramionami. Poczuł się starszy, dojrzalszy - tak stary i dojrzały nie czuł się jeszcze nigdy w życiu - i nagle zdumiał się, że zaledwie godzinę temu przejmował się jakimś sklepem z magicznymi gadżetami i odznaką prefekta.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
LUNA LOVEGOOD

Nie była to spokojna noc. Dręczyły go koszmary, w których wciąż pojawiali się jego rodzice, nie mówiąc do niego nic, pani Weasley łkała nad martwym ciałem Stworka, obserwowana przez Rona i Hermionę, którzy mieli korony na głowach, i znowu szedł i szedł jakimś korytarzem, kończącym się zamkniętymi drzwiami. Obudził go piekący ból w czole i głos ubranego już Rona:

- ...lepiej się pospiesz, mama może lada chwila wybuchnąć, mówi, że spóźnimy się na pociąg...

W domu panowało okropne zamieszanie. Z tego, co usłyszał, ubierając się w pośpiechu, wynikało, że Fred i George posłali swoje kufry na dół różdżkami, zamiast je znieść, co skończyło się tym, że kufry wpadły na schodzącą po schodach Ginny i stoczyła się na dół, aż do holu. Pani Black i pani Weasley przekrzykiwały się tak, że słychać je było w całym domu.

- ...KRETYNI, MOGLIŚCIE JĄ POWAŻNIE ZRANIĆ...

- ...PARSZYWI MIESZAŃCY, PLUGAWIĄ DOM MOICH PRZODKÓW...

Harry wkładał właśnie adidasy, kiedy do pokoju wpadła podniecona Hermiona, z Hedwigą na ramieniu i wyrywającym się Krzywołapem w objęciach.

- Rodzice właśnie odesłali Hedwigę! - Sowa sfrunęła z jej ramienia i z godnością wylądowała na szczycie swojej klatki. - Jesteś już gotowy?

- Prawie... Ginny nic się nie stało? - zapytał Harry, zakładając okulary.

- Pani Weasley ją połatała. Ale Szalonooki upiera się, że nie możemy opuścić domu, dopóki nie pojawi się Sturgis Podmore, bo w straży będzie luka.

- W straży? Lecimy na King's Cross w otoczeniu straży?

- To TY lecisz na King's Cross w otoczeniu straży - poprawiła go Hermiona.

- Po co? - zapytał ze złością Harry. - Mówili, że Voldemort się ukrywa, a teraz nagle ma wyskoczyć zza kosza na śmieci i porwać mnie ze sobą?

- Nie wiem, powtarzam tylko, co mówi Szalonooki - odpowiedziała z roztargnieniem Hermiona i spojrzała na zegarek. - Ale jak zaraz nie wyruszymy, to na pewno spóźnimy się na pociąg...

- SCHODŹCIE MI WSZYSCY NA DÓŁ, ALE JUŻ! - ryknęła pani Weasley, a Hermiona podskoczyła jak oparzona i wybiegła z pokoju. Harry złapał Hedwigę, wepchnął ją bezceremonialnie do klatki i zbiegł po schodach, wlokąc za sobą kufer.

Portret pani Black wywrzaskiwał plugawe obelgi, ale nikt się tym nie przejmował; nawet gdyby ktoś wreszcie zaciągnął na nim zasłony, panujący w holu harmider i tak by ją obudził.

- Harry, idziesz ze mną i Tonks! - zawołała pani Weasley, przekrzykując powtarzające się wrzaski: „SZLAMY! SZUMOWINY! PLUGAWE KREATURY!" - Zostaw kufer i sowę, Alastor zajmie się bagażem... Och, nie, na miłość boską, Syriuszu, Dumbledore tego zakazał!

Kiedy Harry ruszył ku pani Weasley, potykając się o kufry, przy jego boku pojawił się olbrzymi czarny pies.

- Och, naprawdę... - jęknęła z rozpaczą pani Weasley. - Ja umywam ręce, robisz to na własną odpowiedzialność!

Otworzyła drzwi i wyszła na blade wrześniowe słońce, a za nią Harry i pies. Drzwi zatrzasnęły się za nimi z głuchym łoskotem i wrzaski pani Black umilkły.

- Gdzie jest Tonks? - zapytał Harry, rozglądając się wokoło, gdy zeszli po kamiennych schodkach domu numer dwanaście, który zniknął, gdy tylko dotknęli stopami chodnika.

- Czeka na nas tu blisko - odpowiedziała sucho pani Weasley, ostentacyjnie nie patrząc na podskakującego beztrosko czarnego psa.

Na rogu pozdrowiła ich jakaś staruszka. Na kędzierzawych siwych włosach miała purpurowy filcowy kapelusz w kształcie wielkiego pieroga.

- Cześć, Harry - powiedziała, puszczając do niego oko. - Chyba mamy niewiele czasu, co, Molly? - dodała, zerkając na zegarek.

- Wiem, wiem - jęknęła pani Weasley, przyspieszając kroku - ale Szalonooki chciał poczekać na Sturgisa... Och, gdyby Arturowi udało się znowu załatwić samochody z ministerstwa... ale teraz Knot nie pożyczy mu nawet pustego kałamarza... Nie wiem, jak ci mugole znoszą podróżowanie bez użycia magii...

Czarny pies szczeknął radośnie i zaczął krążyć wokół nich, kłapiąc zębami na gołębie i ścigając swój ogon. Harry nie mógł powstrzymać śmiechu: Syriusz naprawdę za długo tkwił w domu. Pani Weasley ściągnęła usta zupełnie jak ciotka Petunia.

Dojście pieszo do dworca King's Cross zajęło im około dwudziestu minut i po drodze nie wydarzyło się nic szczególnego poza tym, że Syriusz wystraszył parę kotów, żeby rozśmieszyć Harry'ego. Na dworcu odczekali chwilę przy barierce między peronami dziewiątym i dziesiątym, a kiedy wokół nich zrobiło się pusto, po kolei opierali się o barierkę, by znaleźć się na peronie dziewięć i trzy czwarte, gdzie stał Ekspres Hogwart, którego czerwona lokomotywa wydmuchiwała już strugi pary na tłum uczniów i ich rodzin. Harry

odetchnął znajomym zapachem i poczuł, że wzbiera w nim otucha... Wracał, naprawdę wracał...

- Mam nadzieję, że reszta zdąży - powiedziała z niepokojem pani Weasley, spoglądając przez ramię na żeliwny łuk, przez który wchodzili nowi pasażerowie.

- Fajny pies, Harry! - zawołał wysoki chłopiec z dredami.

- Dzięki, Lee - odrzekł Harry z uśmiechem, a Syriusz zaczął namiętnie wymachiwać ogonem.

- Och, nareszcie! - Pani Weasley odetchnęła z ulgą. - Jest Alastor z bagażem, patrzcie...

Moody przeszedł pod żeliwnym łukiem, pchając przed sobą wózek z kuframi. Na głowie miał czapkę tragarza, nasuniętą na czoło tak, że zasłaniała jego magiczne oko.

- Wszystko w porządku - mruknął do pani Weasley i Tonks. - Nikt nas nie śledził...

W chwilę później na peronie pojawił się pan Weasley z Ronem i Hermioną. Rozładowali już prawie cały wózek Moody'ego, gdy zjawili się bliźniacy, Ginny i Lupin.

- Bez kłopotów? - zapytał Moody.

- Bez najmniejszych - odrzekł Lupin.

- Zamierzam złożyć Dumbledore'owi raport w sprawie Sturgisa. Już po raz drugi nie pojawił się przez cały tydzień. Zrobił się tak nieodpowiedzialny jak Mundungus.

- No, uważajcie na siebie - powiedział Lupin, ściskając dłonie młodym Weasleyom i Hermionie. Na ostatku podszedł do Harry'ego i poklepał go po ramieniu. - Ty też, Harry. Bądź ostrożny.

- Tak, Harry, nie szukaj guza i miej oczy otwarte - rzekł Moody, również ściskając mu dłoń. - I pamiętajcie wszyscy: zanim coś napiszecie, najpierw pomyślcie. A jak będziecie mieć wątpliwości, to lepiej w ogóle o tym nie piszcie.

- Fajnie było was poznać - powiedziała Tonks, ściskając Hermionę i Ginny. - Mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy.

Rozległ się gwizdek ostrzegawczy i uczniowie zaczęli pospiesznie wchodzić do przedziałów.

- Szybko, szybko - denerwowała się pani Weasley, tuląc do siebie każdego, kto jej się nawinął pod rękę, w tym Harry'ego dwukrotnie. - Piszcie... Bądźcie grzeczni... Jak czegoś zapomnieliście, to wam przyślemy... No, do pociągu, pospieszcie się...

Wielki czarny pies stanął na tylnych nogach i oparł Harry'emu przednie łapy na piersiach, ale pani Weasley szybko popchnęła Harry'ego w stronę drzwi przedziału, sycząc:

- Na miłość boską, Syriuszu, zachowuj się bardziej jak pies!

- Do zobaczenia! - zawołał Harry przez otwarte okno, gdy pociąg ruszył.

Ron, Hermiona i Ginny machali obok niego rękami. Postacie Tonks, Lupina, Moody'go i państwa Weasleyów szybko zmalały, ale czarny pies pobiegł obok pociągu, wzbudzając śmiech wśród zgromadzonych na peronie ludzi. Wkrótce jednak pociąg minął zakręt i Syriusz zniknął.

- Nie powinien z nami przychodzić aż na dworzec - powiedziała z niepokojem Hermiona.

- Och, nie kracz - rzekł Ron. - Biedaczysko, nie widział światła dziennego od miesięcy.

- No dobra, nie będziemy tu stać i gaworzyć z wami przez cały dzień - oświadczył Fred, zacierając ręce. - Mamy do omówienia pewne sprawy z Lee Jordanem. Zobaczymy się później.

I razem z George'em oddalili się korytarzem w prawą stronę. Pociąg nabierał szybkości; za oknami migały domy, a ich zaczęło już kołysać.

- To co, może znajdziemy sobie jakiś przedział? - zaproponował Harry.

Ron i Hermiona wymienili spojrzenia.

- Ee... - bąknął Ron.

- My... no wiesz... Ron i ja powinniśmy pójść do wagonu dla prefektów - powiedziała nieśmiało Hermiona.

Ron nie patrzył na Harry'ego; nagle bardzo się zainteresował paznokciami swojej lewej ręki.

- Och... No tak. Jasne - skwitował to krótko Harry.

- Chyba nie będziemy tam musieli tkwić przez całą podróż - dodała szybko Hermiona. - W listach było polecenie, żebyśmy wysłuchali instrukcji prefektów naczelnych i od czasu do czasu sprawdzili, co się dzieje w całym pociągu.

- Jasne - powtórzył Harry. - No... to może się później zobaczymy.

- Oczywiście - powiedział Ron, rzucając na niego ukradkowe, nerwowe spojrzenie. - To okropne, że muszę tam iść, wolałbym... no, ale musimy... to znaczy, wcale mnie to nie bawi, nie mam na imię Percy - zakończył buntowniczym tonem.

- Wiem - rzekł Harry i wyszczerzył do niego zęby.

Ale kiedy Hermiona i Ron odeszli w kierunku lokomotywy, wlokąc za sobą kufry, Krzywołapa i klatkę ze Świstoświnką, poczuł się tak, jakby coś utracił. Jeszcze nigdy nie podróżował do Hogwartu bez Rona.

- Chodź - powiedziała Ginny. - Jak się pospieszymy, to może zajmiemy im miejsca.

- Słusznie - mruknął Harry, biorąc w jedną rękę klatkę z Hedwigą, a drugą chwytając za rączkę kufra.

Ruszyli korytarzem, zaglądając przez oszklone drzwi do zapełnionych już przedziałów. Harry nie mógł nie zauważyć, że wiele osób patrzyło na niego z ciekawością, a niektórzy szturchali sąsiadów i wskazywali go palcem. Po pięciu takich scenkach przypomniał sobie, że „Prorok Codzienny" przez całe lato raczył czytelników wzmiankami o nowych łgarstwach wymyślonych przez Harry'ego Pottera dla zdobycia sławy. I nie był wcale pewny, czy ci, którzy wlepiali w niego oczy i szeptali z sąsiadami na jego widok, nie uwierzyli w te doniesienia.

W ostatnim wagonie zobaczyli Neville'a Longbottoma, kolegę Harry'ego z Gryffindoru, również z piątej klasy, który z najwyższym trudem ciągnął kufer jedną ręką, podczas gdy w drugiej ściskał wyrywającą się rozpaczliwie ropuchę Teodorę.

- Cześć, Harry - wysapał. - Cześć, Ginny... Wszędzie pełno... Nie mogę znaleźć miejsca...

- O czym ty mówisz? - zdziwiła się Ginny, która przecisnęła się obok Neville'a, żeby zajrzeć do następnego przedziału. - Tu są wolne miejsca. Tu siedzi tylko Luna Lovegood...

Neville wymamrotał, że nie chce nikomu przeszkadzać.

- Nie bądź głupi - powiedziała Ginny - ona jest w porządku.

Otworzyła drzwi przedziału i wciągnęła do niego swój kufer. Harry i Neville weszli za nią.

- Cześć, Luna - powiedziała Ginny. - Nie masz nic przeciwko temu, że zajmiemy te miejsca?

Siedząca przy oknie dziewczyna obrzuciła ich spojrzeniem. Miała poczochrane, brudne, sięgające pasa włosy, bardzo jasne brwi i wyłupiaste oczy, które sprawiały, że wyglądała na bez przerwy zdziwioną. Harry natychmiast zrozumiał, dlaczego Neville wolał minąć ten przedział. Dziewczyna wyglądała, jakby miała co najmniej lekkiego bzika. Różdżkę zatknęła sobie za lewe ucho, na piersiach miała naszyjnik z kapsli od piwa kremowego i trzymała jakiś magazyn do góry nogami. Przeniosła spojrzenie z Neville'a na Harry'ego i kiwnęła głową.

- Dzięki - powiedziała Ginny, uśmiechając się do niej.

Harry i Neville z trudem wsadzili trzy kufry i klatkę z Hedwigą na półkę i usiedli. Luna obserwowała ich znad magazynu zatytułowanego „Żongler", ani razu nie mrugnąwszy powieką. Gapiła się i gapiła na Harry'ego, który usiadł naprzeciw niej i teraz bardzo tego żałował.

- Jak tam wakacje, Luna? - zagadnęła Ginny.

- Nieźle - odpowiedziała Luna rozmarzonym głosem, nie spuszczając wzroku z Harry'ego. - Tak, było całkiem nieźle. Ty jesteś Harry Potter - dodała nagle.

- Wiem o tym - mruknął Harry.

Neville zachichotał. Tym razem Luna zwróciła swoje blade oczy na niego.

- Ale nie wiem, kim ty jesteś.

- Nikim - burknął Neville.

- Nie opowiadaj głupstw - żachnęła się Ginny. - Neville Longbottom... Luna Lovegood. Luna jest na tym samym roku, co ja, ale w Ravenclawie.

- Kto ma olej w głowie, temu dość po słowie - oznajmiła nieoczekiwanie Luna śpiewnym głosem.

Uniosła magazyn - wciąż do góry nogami - schowała za nim twarz i zamilkła. Harry i Neville popatrzyli po sobie, podnosząc wysoko brwi. Ginny zdusiła chichot.

Pociąg mknął z miarowym stukotem, wiozący ich przez pola i łąki. Pogoda była bardzo dziwna: w jednej chwili przedział zalewało słońce, w następnej robiło się ciemno, a niebo przykrywały złowieszcze szare chmury.

- Zgadnijcie, co dostałem na urodziny - zagadnął Neville.

- Jeszcze jedną przypominajkę? - zapytał Harry, który zapamiętał ów przyrząd, bardzo podobny do marmurowej kulki, który babcia Neville'a przysłała mu do Hogwartu, żeby wspomóc jego nie najlepszą pamięć.

- Nie. Chociaż by mi się przydała, starą już dawno zgubiłem... Nie, zobaczcie...

Pogrzebał wolną ręką w szkolnej torbie (drugą ręką wciąż trzymał mocno Teodorę) i wyciągnął coś, co przypominało mały, szary kaktus w doniczce, tyle że zamiast kolców było pokryte bąblami.

- *Mimbulus mimbletonia* - oznajmił z dumą.

Harry przyjrzał się dziwnej roślinie. Pulsowała lekko, co budziło niemiłe skojarzenie z jakimś chorym organem wewnętrznym.

- Jest bardzo, bardzo rzadka - wyjaśnił Neville. - Nie wiem, czy mają ją nawet w Hogwarcie. Nie mogę się doczekać, żeby pokazać ją profesor Sprout. Zdobył ją dla mnie w Asyrii mój stryjek Algie. Ciekaw jestem, czy uda mi się ją rozmnożyć.

Harry wiedział, że ulubionym przedmiotem Neville'a jest zielarstwo, ale nie miał zielonego pojęcia, po co mu ta karłowata roślinka.

- Czy to... ee... coś robi? - zapytał.

- Mnóstwo rzeczy! - oświadczył wyraźnie zachwycony Neville. - Ma zdumiewający mechanizm obronny... Potrzymaj mi Teodorę...

Rzucił Harry'emu ropuchę na kolana i wyjął z torby pióro. Wyłupiaste oczy Luny Lovegood pojawiły się ponownie nad magazynem, obserwując poczynania Neville'a. Neville, z językiem między zębami, podniósł roślinkę na wysokość swoich oczu, przymierzył się i dźgnął ją końcem pióra.

Z każdego bąbla trysnęła gęsta, kleista, cuchnąca ciecz. Ciemnozielone kropelki obryzgały sufit, okno, drzwi i magazyn Luny. Ginny, która w ostatniej chwili zasłoniła twarz rękami, wyglądała, jakby miała na głowie oślizgły zielony beret, za to Harry'ego, który miał ręce zajęte powstrzymywaniem Teodory od ucieczki, trafiło prosto w twarz. A śmierdziało jak sfermentowany gnój.

Neville, też cały obryzgany tym świństwem, potrząsał głową, żeby pozbyć się go z oczu.

- P-przepraszam - wydyszał. - Nie próbowałem tego wcześniej... Nie wiedziałem, że to tak... Ale nie martw się, odorosok nie jest trujący - dodał, kiedy Harry wypluł cuchnącą ciecz na podłogę.

W tym momencie ktoś rozsunął drzwi przedziału.

- Och... cześć, Harry - rozległ się niepewny głos. - Ale... chyba wpadłam nie w porę, co?

Harry otarł szkła okularów dłonią, w której nie trzymał Teodory. W drzwiach stała bardzo ładna, czarnowłosa dziewczyna i uśmiechała się do niego: Cho Chang, szukająca w drużynie Krukonów.

- Och... cześć - wybąkał Harry.

- Mmm... - mruknęła niepewnie Cho, a policzki jej poróżowiały. - No więc... tylko wpadłam, żeby się przywitać... No to na razie.

Zamknęła drzwi i odeszła. Harry opadł na oparcie ławki i jęknął. Wolałby, żeby Cho zastała go w jakimś równym towarzystwie, ryczącym ze śmiechu z dowcipu, który im właśnie opowiedział, a nie z Neville'em i Luną Lovegood, z ropuchą w garści, w przedziale obficie spryskanym odorosokiem.

- Spokojnie - powiedziała dziarsko Ginny. - Zaraz się tego pozbędziemy.

Wyciągnęła różdżkę, zawołała: „Chłoszczyść!" i cuchnąca ciecz znikła.

- Przepraszam - powtórzył prawie szeptem Neville.

Ron i Hermiona pojawili się dopiero po godzinie, kiedy wózek z przekąskami już odjechał. Harry, Ginny i Neville zdążyli już uraczyć się pasztecikami dyniowymi i zaczęli

wymieniąc się kartami z czekoladowych żab, kiedy drzwi ponownie się rozsunęły i Ron z Hermioną wkroczyli do przedziału, niosąc Krzywołapa i klatkę z bardzo podnieconą, rozćwierkaną Swistoświnką.

- Konam z głodu - powiedział Ron, stawiając klatkę ze Swistoświnką obok klatki Hedwigi, biorąc od Harry'ego czekoladową żabę i siadając obok niego. Rozerwał folię, odgryzł żabie głowę i opadł na oparcie z zamkniętymi oczami, jakby miał bardzo wyczerpujący poranek.

- No więc w piątej klasie każdy dom ma dwóch prefektów - powiedziała Hermiona z bardzo niezadowoloną miną. - A raczej dwoje, chłopak i dziewczyna.

- A zgadnijcie, kto jest prefektem Slytherinu? - zapytał Ron, wciąż z zamkniętymi oczami.

- Malfoy - odpowiedział natychmiast Harry.

- Oczywiście - rzekł z goryczą Ron, wpychając sobie resztę żaby do ust i biorąc następną.

- I ta głupia krowa Pansy Parkinson - dodała Hermiona jadowitym głosem. - Nie wiem, jak można było zrobić ją prefektem, jest głupsza od oszołomionego trolla...

- A w Hufflepuffie?

- Ernie Macmillan i Hanna Abbot - odpowiedział Ron.

- A w Ravenclawie Anthony Goldstein i Padma Patii - oznajmiła Hermiona.

- Z Padmą Patii byłeś na Balu Bożonarodzeniowym - rozległ się bezbarwny głos.

Wszyscy spojrzeli na Lunę Lovegood, która patrzyła na Rona znad „Żonglera", nie mrugając powiekami. Ron przełknął żabę i rzekł nieco zaskoczony:

- Tak, pamiętam.

- Nie była tym zachwycona - poinformowała go Luna. - Uważa, że potraktowałeś ją niełądnie, bo z nią nie tańczyłeś. Ja bym się tym nie przejmowała - dodała po chwili namysłu. - Nie bardzo lubię tańczyć.

I schowała się znowu za „Żonglera". Ron gapił się przez chwilę z otwartymi ustami w okładkę magazynu, a potem spojrzał na Ginny w nadziei, że uzyska jakieś wyjaśnienie, ale Ginny wepchnęła sobie knykcie do ust, żeby powstrzymać chichot. Ron pokręcił głową i zerknął na zegarek.

- Mamy często chodzić po korytarzu i sprawdzać, czy wszystko gra - oznajmił Harry'emu i Neville'owi. - I możemy karać tych, którzy się źle zachowują. Nie mogę się doczekać przyłapania na czymś Crabbe'a i Goyle'a...

- Nie wolno ci nadużywać swojej pozycji! - skarciła go ostro Hermiona.

- No tak, pewnie, bo Malfoy absolutnie nie nadużyje swojej - zakpił Ron.

- Więc chcesz się zniżyć do jego poziomu?

- Nie, chcę dorwać jego kumpli, zanim on dorwie moich.

- Na miłość boską, Ron...

- Każę Goyle'owi przepisywać zdania, to go zabije, on strasznie nie lubi pisania - ucieszył się Ron. Zmarszczył czoło, przechylił głowę i udając, że pisze z wysiłkiem w powietrzu, zaczął dukać grubym głosem Goyle'a: - Nie... wolno... mi... wyglądać... jak... tyłek... pawiana...

Wszyscy parsknęli śmiechem, ale najgłośniej zaśmiała się Luna Lovegood. Ryknęła tak, że obudziła Hedwigę, która zaczęła z oburzeniem wymachiwać skrzydłami, a Krzywołap wskoczył na półkę z bagażami, sycząc wściekle. Zaśmiewała się tak, że kolorowy magazyn wypadł jej z rąk i zsunął się na podłogę.

- Ale nuuumer!

Z jej wyłupiastych oczu pociekły łzy, kiedy starała się z trudem złapać oddech, wciąż wpatrzona w Rona. Ron zmieszał się okropnie i rozejrzał po innych, którzy teraz zaśmiewali się z jego miny. Luna Lovegood wciąż zanosiła się śmiechem, kołysząc się do tyłu i do przodu i obejmując się ramionami.

- Nabijasz się ze mnie? - zapytał Ron, łypiąc na nią groźnie.

- Tyłek... pawiana! - wykrztusiła, ściskając sobie żebra.

Wszyscy gapili się na nią, nieco oszołomieni tym występem, tylko Harry wpatrywał się w leżącego na podłodze „Żonglera". Zauważył coś, co kazało mu sięgnąć po magazyn i przyjrzeć się okładce. A była na niej kiepska karykatura Korneliusza Knota; Harry rozpoznał go tylko po cytrynowo-zielonym meloniku. W jednej ręce trzymał worek ze złotem, drugą ściskał za gardło goblina. Napis nad karykaturą głosił: *JAK DALEKO POSUNIE SIĘ KNOT, ŻEBY PRZEJĄĆ GRINGOTTA?*

Niżej były zajawki artykułów zamieszczonych wewnątrz numeru.

KORUPCJA W LIDZE QUIDDITCHA
Jak Tajfuny przejmują kontrolę
ODKRYCIE TAJEMNICY STAROŻYTNYCH RUNÓW
Syriusz Black: ZŁOCZYŃCA CZY OFIARA?

- Mogę pożyczyć? - zapytał Harry Lunę.

Skinęła głową, wciąż dusząc się ze śmiechu.

Harry otworzył magazyn i przebiegł wzrokiem spis treści; dopiero teraz przypomniał sobie, że właśnie to czasopismo wręczył Kingsley panu Weasleyowi dla Syriusza. Tak, i musiał to być ten numer! Odnalazł właściwą stronę i rzucił się na artykuł z zapartym tchem.

I tutaj była bardzo licha karykatura; gdyby umieszczono ją gdzie indziej, Harry nie rozpoznałby Syriusza, stojącego na stosie kości z wyciągniętą różdżką. Podtytuł głosił:

Czy SYRIUSZ BLACK to naprawdę CZARNY charakter?
Głośny morderca CZY gwiazdor piosenki?

Harry musiał przeczytać te zdania kilka razy, zanim się upewnił, że dobrze je zrozumiał. Od kiedy to Syriusz stał się gwiazdorem piosenki?

Od czternastu lat Syriusz Black jest uznawany za zabójcę dwunastu niewinnych mugoli i jednego czarodzieja. Dwa lata temu, po brawurowej ucieczce Blacka z Azkabanu, Ministerstwo Magii rozpoczęto za nim pościg z użyciem niespotykanych do tej pory sił i środków. Nie budziło w nikim najmniejszych wątpliwości, że Black powinien być schwytany i oddany z powrotem w ręce dementorów.

ALE CZY NAPRAWDĘ NA TO ZASŁUGUJE?

Nie jest to już tak oczywiste. Ujawnione ostatnio świadectwo każe wątpić w to, że Syriusz Black rzeczywiście popełnił zbrodnię, za którą go zesłano do Azkabanu. Doris Purkiss, zamieszkała w Little Norton przy Acanthia Way 18, twierdzi, że Blacka w ogóle nie mogło być na miejscu zbrodni.

„Ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, że Syriusz Black to fałszywe nazwisko", mówi pani Purkiss. „Człowiek, którego ludzie znają pod tym nazwiskiem, to w rzeczywistości Stubby Boardman, czołowy piosenkarz popularnego zespołu Hobogobliny, który piętnaście lat temu wycofał się ze sceny muzycznej, kiedy podczas koncertu w auli parafialnej w Little Norton został trafiony w ucho rzepą. Rozpoznałam go, gdy tylko ujrzałam jego zdjęcie w gazecie. A Stubby nie mógł popełnić owej zbrodni, bo tak się składa, że w tym samym dniu i o tej samej godzinie spożywał ze mną romantyczną kolację przy świecach. Napisałam już o tym do Ministra Magii i mam nadzieję, że wkrótce oficjalnie oczyści Stubby'ego, alias Syriusza, ze wszystkich zarzutów".

Harry skończył czytać, ale nadal wpatrywał się w stronę czasopisma. A może to dowcip, pomyślał, może ten magazyn często drukuje takie bzdury? Przerzucił kilka stron i znalazł artykuł o Knocie.

Minister Korneliusz Knot zaprzeczył, by zamierzał przejąć Bank Gringotta, gdy pięć lat temu został Ministrem Magii. Twierdzi, że zawsze zależało mu tylko na „przyjaznej współpracy" ze strażnikami naszych zasobów złota.

ALE CZY TAK JEST NAPRAWDĘ?

Źródła zbliżone do Ministra ujawniły niedawno, że największą ambicją Knota jest przejęcie kontroli nad złotem przechowywanym przez gobliny i że nie zawaha się użyć siły, jeśli zajdzie taka konieczność.

„I nie zrobi tego po raz pierwszy w swojej karierze", twierdzi nasze źródło z Ministerstwa. „Wiecie, jak Korneliusza Knota nazywają przyjaciele? Korneliusz Goblinożerca! Gdybyście posłuchali, co on mówi, kiedy myśli, że nikt go nie słyszy... Co on robił z tymi goblinami! Kazał je dusić, zrzucać z dachów budynków, truć, robić z nich pasztety..."

Harry przestał czytać. Knot mógł mieć wiele wad, ale trudno było sobie wyobrazić, że każe sobie przyrządzić pasztet z goblina. Przerzucił resztę magazynu, zatrzymując się co kilka stron. Przeczytał więc, że Tajfuny z Tutshill zdobyły mistrzostwo Ligi Quidditcha, posługując się szantażem, nielegalnymi manipulacjami przy miotłach, a nawet torturami; że pewien czarodziej doleciał do Księżyca na Zmiataczu Szóstce i na dowód przywiózł stamtąd worek księżycowych żab; że w końcu odkryto tajemnicę starożytnych run. Ten ostatni artykuł pozwolił mu wreszcie zrozumieć, dlaczego Luna Lovegood czytała „Żonglera", trzymając go do góry nogami - według autora artykułu, jeśli odwróci się runy do góry nogami, można odczytać zaklęcie zamieniające uszy przeciwnika w kumkwaty. W porównaniu z tymi wszystkimi rewelacjami „Żonglera" domniemanie, że Syriusz jest w rzeczywistości byłym solistą Hobogoblinów, wyglądało na całkiem sensowne.

- Jest tam coś ciekawego? - zapytał Ron, kiedy Harry zamknął magazyn.

- Daj spokój - prychnęła z pogardą Hermiona, zanim Harry zdążył odpowiedzieć. - Każdy wie, że „Żongler" to same bzdety.

- Bardzo przepraszam - powiedziała Luna głosem, który nie brzmiał już marzycielsko. - Mój ojciec jest jego redaktorem naczelnym.

- Ja... och... - zaczęła się jąkać Hermiona. - No wiecie... czasem mają interesujące... to znaczy... pismo jest całkiem...

- Proszę mi je oddać - zażądała Luna lodowatym tonem, wychyliła się i wyrwała Harry'emu magazyn, po czym szybko odnalazła stronę pięćdziesiątą siódmą, odwróciła pismo do góry nogami i ukryła się za nim. W tym samym momencie drzwi przedziału otworzyły się po raz trzeci.

Harry spodziewał się tego od dawna, ale to wcale nie sprawiło, że widok Dracona Malfoya z kpiącym uśmieszkiem na twarzy, w asyście jego goryli, Crabbe'a i Goyle'a, stał się bardziej znośny.

- Czego? - warknął, zanim Malfoy zdążył otworzyć usta.

- Zachowuj się, Potter, bo będę cię musiał ukarać - wycedził Malfoy, który miał identyczne gładkie, jasne włosy i spiczasty podbródek jak jego ojciec. - Tak się składa, że to ja, w przeciwieństwie do ciebie, zostałem prefektem, a to oznacza, że to ja, a nie ty, mogę wymierzać kary.

- Aha, tylko że to ty, w przeciwieństwie do mnie, jesteś gnojkiem, więc spadaj i zostaw nas w spokoju.

Ron, Hermiona, Ginny i Neville ryknęli śmiechem. Malfoy wykrzywił pogardliwie wargi.

- Powiedz mi, Potter, jakie to uczucie, być gorszym od Weasleya?

- Zamknij się, Malfoy - rzuciła ostro Hermiona.

- Widzę, że dotknąłem czułego miejsca - zadrwił Malfoy. - W każdym razie, Potter, uważaj na siebie, bo ja zawsze WYWĘSZĘ, czy się nie wychylasz.

- Zjeżdżaj! - krzyknęła Hermiona, wstając.

Malfoy zachichotał, obdarzył Harry'ego jeszcze jednym złośliwym spojrzeniem i odszedł, a za nim ruszyli ciężkim krokiem Crabbe i Goyle. Hermiona zatrzasnęła za nimi drzwi i spojrzała na Harry'ego, który od razu zrozumiał, że i ona zwróciła uwagę na to, co powiedział Malfoy, i tak jak on bardzo się tym przejęła.

- Kopsnij jeszcze jedną żabę, co? - poprosił Ron, który najwidoczniej nic nie zauważył.

Harry nie mógł swobodnie rozmawiać w obecności Neville'a i Luny. Wymienił z Hermioną jeszcze jedno zaniepokojone spojrzenie i zaczął się gapić w okno.

Przedtem uważał, że wyprawa Syriusza na dworzec była świetną zabawą, ale teraz nagle pomyślał, że tak naprawdę była przejawem niefrasobliwości, jeśli nie głupoty. Hermiona miała rację... Syriusz nie powinien go odprowadzać. A jeśli pan Malfoy zauważył

czarnego psa i powiedział o tym Draconowi, albo, co gorzej, wydedukował, że Weasleyowie, Lupin, Tonks i Moody wiedzą, gdzie ukrywa się Syriusz? Czy to możliwe, że Malfoy użył słowa „wywęszę" zupełnie przypadkowo?

Pędzili dalej i dalej na północ, a pogoda wciąż była w kratkę. Najpierw deszcz siekł w szyby, potem pojawiło się blade słońce, ale nie na długo, bo wnet zginęło za chmurami. Kiedy zapadła ciemność i w wagonach zapaliło się światło, Luna zwinęła „Żonglera" w trąbkę, włożyła ją pieczołowicie do torby i zaczęła się przypatrywać po kolei każdemu w przedziale.

Harry siedział z czołem przyciśniętym do szyby, próbując uchwycić spojrzeniem zarys wież Hogwartu, ale noc była bezksiężycowa, a szyba okna brudna od deszczu.

- Lepiej już się przebierzmy - zaproponowała w końcu Hermiona.

Wreszcie pociąg zaczął zwalniać, na korytarzu i w przedziałach zrobiło się zwykłe pod koniec podróży zamieszanie, gdy wszyscy ściągali kufry i klatki ze zwierzątkami. Ron i Hermiona przypomnieli sobie o swoich obowiązkach i wyszli, pozostawiając Harry'emu i Ginny opiekę nad Krzywołapem i Swistoświnką.

- Mogę nieść tę sowę, jeśli chcesz - powiedziała Luna do Harry'ego, sięgając po klatkę ze Swistoświnką, gdy Neville schował troskliwie Teodorę do wewnętrznej kieszeni.

- Och... ee... dzięki - wyjąkał Harry, wręczając jej klatkę i obejmując klatkę z Hedwigą.

Wyszli z przedziału i dołączyli do zgromadzonego na korytarzu tłumu, powoli przesuwającego się w stronę drzwi, czując na twarzach pierwsze ukłucie chłodnego nocnego powietrza. Zapachniało sosnami, którymi była obrośnięta ścieżka wiodąca nad jezioro. Harry wyszedł na peron i rozejrzał się. nasłuchując znajomego zawołania: „Pirszoroczni do mnie... pirszoroczni..."

Ale zamiast tego usłyszał zupełnie inny głos, kobiecy i dziarski, który wołał:

- Uczniowie pierwszej klasy, proszę ustawić się tutaj! Wszyscy uczniowie pierwszej klasy do mnie!

W świetle rozkołysanej latarni Harry zobaczył wysunięty podbródek i krótko ostrzyżone włosy profesor Grubbly-Plank, czarownicy, która w zeszłym roku zastępowała przez jakiś czas Hagrida podczas lekcji opieki nad magicznymi stworzeniami.

- Gdzie jest Hagrid? - zdziwił się na głos.

- Nie wiem - odpowiedziała Ginny, ale lepiej ruszmy się stąd, bo blokujemy drzwi.

- Och... oczywiście...

Ale kiedy ruszyli peronem w kierunku wyjścia, tłum szybko ich rozdzielił. Harry wytężał oczy, wciąż wypatrując w ciemności Hagrida. Przecież on musi tu gdzieś być,

powtarzał sobie w myślach, tak liczyłem na to, że go zobaczę, tak na to czekałem przez całe lato... Ale Hagrida nigdzie nie było.

Może nie mógł przyjść, pocieszał się Harry, tłocząc się razem z innymi w wąskim przejściu na drogę. Pewnie się przeziębił, albo coś mu wypadło...

Poszukał wzrokiem Rona i Hermiony, chcąc się dowiedzieć, co oni myślą na temat niespodziewanego powrotu profesor Grubbly-Plank, ale żadnego z nich nie dostrzegł w pobliżu, więc ruszył za innymi ciemną, rozmokłą drogą prowadzącą ze stacji Hogsmeade.

Stało tu ze sto powozów bez koni, które zawsze dowoziły do zamku wszystkich uczniów poza pierwszoroczniakami. Harry zerknął na nie i odwrócił się, żeby poczekać na Rona i Hermionę, ale po chwili dotarło do niego, co zobaczył.

To już nie były samobieżne powozy. Do każdego zaprzężone były dziwne stworzenia: może i nazwałby je końmi, gdyby go ktoś zapytał, ale prawdę mówiąc, bardziej przypominały gady. Wydawało się, że w ogóle nie mają ciała: czarna skóra oblepiała szkielety tak, że widać było każdą kość. W smoczych łbach lśniły bielą pozbawione źrenic oczy. I miały skrzydła - olbrzymie, czarne, skórzaste skrzydła, które najbardziej pasowałyby do gigantycznych nietoperzy. Stały nieruchomo w ciemności, roztaczając wokół siebie jakąś dziwnie ponurą atmosferę. Harry nie mógł zrozumieć, dlaczego powozy mają być ciągnięte przez te okropne konie, skoro co roku poruszały się same.

- Gdzie Świnka? - usłyszał tuż za sobą głos Rona.

- Niesie ją ta cała Luna - odrzekł Harry, odwracając się szybko, by zapytać Rona o Hagrida. - Jak myślisz, gdzie jest...

- ...Hagrid? Nie wiem - powiedział Ron zaniepokojonym głosem. - Chyba mu się nic nie stało...

Niedaleko od nich Draco Malfoy i grupka jego fanów, w tym Crabbe, Goyle i Pansy Parkinson, odpychali od powozu jakichś wystraszonych drugoklasistów, pragnąc go zająć dla siebie. W chwilę później z tłumu wyłoniła się zdyszana Hermiona.

- Malfoy potraktował okropnie jednego pierwszoroczniaka, przysięgam, że złożę na niego raport, nosi odznakę od trzech minut, a już znęca się nad innymi jeszcze gorzej niż zawsze... Gdzie jest Krzywołap?

- Ginny go ma. O, jest...

Pojawiła się Ginny, ściskając wyrywającego się Krzywołapa.

- Dzięki - powiedziała Hermiona, uwalniając ją od kota. - Chodźcie, znajdźmy sobie jakiś powóz, zanim wszystkie będą pełne...

- Nie mam jeszcze Świstoświnki! - krzyknął Ron, ale Hermiona już kroczyła ku pierwszemu wolnemu powozowi.

- Jak myślisz, co to za stwory? - zapytał Harry Rona, wskazując głową posępne wężowate konie.

- Jakie stwory?

- Te konie czy...

Pojawiła się Luna, trzymając w ramionach klatkę ze Świstoświnką. Sówka jak zwykle robiła straszny harmider.

- No, jesteś - powiedziała Luna. - To bardzo milutka sóweczka, naprawdę...

- Ee.. taak... Jest w porządku - odpowiedział szorstko Ron. - No to wsiadajmy... Co mówiłeś, Harry?

- Pytałem, czy wiesz, co to za stwory - rzekł Harry, podążając z Ronem i Luną do powozu, w którym siedziały już Hermiona i Ginny.

- Jakie stwory?

- No, te konie, które mają ciągnąć powozy! - zniecierpliwił się Harry, bo w końcu najbliższy stał zaledwie parę stóp od nich i wpatrywał się w nich pustymi białymi ślepiami. Ron spojrzał na niego jak na wariata.

- O czym ty mówisz?

- Mówię... Zobacz!

Chwycił Rona za ramię i okręcił tak, że ten stał teraz dokładnie naprzeciw skrzydlatego konia. Ron popatrzył przez chwilę, a potem spojrzał z powrotem na Harry'ego.

- Niby co mam zobaczyć? Gdzie?

- No tu... między dyszlami! Zaprzężony do powozu! Przed twoim nosem!

Ale Ron wciąż gapił się na niego z taką miną, że nagle dziwna myśl wpadła Harry'emu do głowy.

- Ty... ty ich nie widzisz?

- CZEGO nie widzę?

- Nie widzisz tego, co ma ciągnąć powóz?

Teraz Ron wyraźnie się przestraszył.

- Harry, dobrze się czujesz?

- Ja?... Taak...

Harry poczuł się całkowicie oszołomiony. Koń stał tuż przed nimi, połyskując w mdłym świetle, sączącym się przez okna stacji, w mroźnym nocnym powietrzu z nozdrzy

buchała mu para. Ale jeśli Ron nie udawał - w końcu byłby to bardzo głupi i trochę przydługi dowcip - to w ogóle go nie widział.

- To co, może jednak wsiądziemy? - zapytał niepewnym tonem Ron, patrząc z troską na Harry'ego.

- Tak... Tak, wsiadaj...

- Wszystko w porządku - rozległ się śpiewny głos tuż obok niego, gdy Ron zniknął w ciemnym wnętrzu powozu. - Nic ci nie jest, nie zwariowałeś. Ja też je widzę.

- Widzisz? - zapytał z nadzieją Harry, odwracając się do Luny Lovegood.

W jej wielkich, srebrzystych oczach dostrzegł odbicie skrzydlatych koni.

- No jasne. Widziałam je od samego początku, od pierwszego przyjazdu do Hogwartu. One zawsze ciągną nasze powozy. Nie przejmuj się. Jesteś tak samo zdrowy na umyśle jak ja.

I z nieśmiałym uśmiechem wspięła się za Ronem do zalatującego stęchlizną powozu. Harry, nie do końca pocieszony, wsiadł za nią.

ROZDZIAŁ JEDENASTY
NOWA PIOSENKA TIARY PRZYDZIAŁU

Harry nie chciał zdradzać innym, że on i Luna mają takie same halucynacje - bo na to wyglądało - więc nie powiedział już nic, kiedy usiadł i zatrzasnął za sobą drzwiczki powozu. Nie mógł jednak powstrzymać się od patrzenia przez okienko na poruszające się sylwetki koni.

- Widzieliście tę Grubbly-Plank? - zapytała Ginny. - Po co ona wróciła? Przecież Hagrid nie mógł odejść ze szkoły, prawda?

- Ja tam bym się z tego ucieszyła - powiedziała Luna. - On chyba nie jest dobrym nauczycielem, co?

- Jest! - oburzyli się Harry, Ron i Ginny.

Harry rzucił piorunujące spojrzenie Hermionie, która odchrząknęła i szybko powiedziała:

- Eee... tak... jest bardzo dobry.

- My w Ravenclawie uważamy, że jest po prostu śmieszny - oznajmiła z niezmąconym spokojem Luna.

- No to macie bardzo dziwne poczucie humoru - warknął Ron.

Luna wcale nie wyglądała na urażoną grubiaństwem Rona, przeciwnie, popatrzyła na niego takim wzrokiem, jakby oglądała średnio interesujący program telewizyjny.

Kołysząc się, skrzypiąc i zgrzytając, powozy toczyły się drogą w długim rzędzie. W końcu wjechali na tereny szkolne, mijając kamienne kolumny po obu stronach bramy, zwieńczone skrzydlatymi dzikami. Harry wychylił się do przodu, wypatrując światełka w chatce Hagrida na skraju Zakazanego Lasu, ale błonia pogrążone były w całkowitych ciemnościach. Widać już jednak było coraz wyraźniej zamek Hogwart, czarny masyw na tle ciemnego nieba, najeżony szczytami wieżyczek i baszt, w którym tu i ówdzie jarzyło się okno.

Powozy zatrzymały się przed kamiennymi stopniami wiodącymi do dębowych drzwi frontowych i Harry wysiadł pierwszy. Jeszcze raz spojrzał tęsknie w kierunku lasu, ale nie zobaczył żadnego śladu życia w chatce Hagrida. A potem odwrócił się niechętnie - z nikłą nadzieją, że skrzydlate konie znikły - i stwierdził, że stoją spokojnie w zimnym powietrzu nocy, błyskając białymi, pustymi oczami.

Już raz widział coś, czego Ron nie mógł zobaczyć, ale wtedy było to odbicie w lustrze, coś o wiele mniej rzeczywistego od setki solidnie wyglądających stworzeń, na tyle silnych, by

uciągnąć powóz z kilkoma pasażerami w środku. Jeśli wierzyć Lunie, te konie były tu zawsze, tyle że niewidzialne, dlaczego więc Harry nagle je zobaczył, a Ron nie?

- Idziesz czy zostajesz? - usłyszał obok siebie głos Rona.

- Och... tak, idę - odpowiedział szybko Harry i przyłączyli się do tłumu, wspinającego się po kamiennych schodach.

Sala wejściowa jarzyła się od blasku pochodni. Zadudniło echo mnóstwa stóp, gdy wszyscy ruszyli po kamiennej posadzce ku podwójnym drzwiom po prawej stronie, wiodącym do Wielkiej Sali.

Prawie całą jej długość zajmowały cztery stoły, każdy przypisany do jednego z domów uczniowskich. Czarne sklepienie było tym razem bezgwiezdne, tak jak niebo, które można było dostrzec przez wysokie okna. Nad stołami unosiły się w powietrzu zapalone świece, których blask wydobywał z mroku srebrzyste duchy, polatujące to tu, to tam, i twarze uczniów zajętych gorączkową wymianą zdań i opowieściami o wakacjach, witających się głośno z kolegami i koleżankami z innych domów, łowiących spojrzeniem nowe fryzury i szaty. Harry znowu zauważył, że na jego widok ludzie pochylają się ku sobie i rozlegają się podniecone szepty; przechodząc obok nich zacisnął zęby i starał się nie okazać, że to zauważył albo że się tym przejął.

Luna odeszła do stołu Krukonów. Gdy tylko doszli do stołu Gryfonów, Ginny powitały okrzyki koleżanek i kolegów z czwartej klasy, z którymi już została, a Harry, Ron, Hermiona i Neville poszli dalej, by usiąść w połowie stołu między Prawie Bezgłowym Nickiem, duchem-rezydentem Gryffindoru, a Parvati Patii i Lavender Brown. Obie dziewczyny powitały Harry'ego wylewnie; był prawie pewny, że chwilę wcześniej właśnie o nim rozmawiały. Miał jednak ważniejsze sprawy na głowie, by się tym przejmować: patrzył ponad głowami uczniów na stół nauczycielski, ustawiony u szczytu sali, prostopadle do stołów uczniowskich.

- Nie ma go tu.

Ron i Hermiona też przebiegli wzrokiem stół nauczycielski, choć nie było takiej potrzeby: Hagrid był tak wielki, że gdyby tu był, zauważyliby go już dawno.

- Przecież nie mógł odejść ze szkoły - powiedział Ron z lekkim niepokojem.

- No pewnie - stwierdził stanowczo Harry.

- A nie myślicie, że mogło... mogło mu się coś stać? - zapytała z lękiem Hermiona.

- Nie - odrzekł natychmiast Harry.

- No to gdzie on jest?

Zapadło milczenie, a potem Harry powiedział cicho, tak żeby go nie dosłyszeli Neville, Parvati i Lavender:

- Może jeszcze nie wrócił. No wiecie... z tej misji... tej, którą mu zlecił Dumbledore.

- Tak... tak, na pewno - powiedział Ron takim tonem, jakby go Harry przekonał, ale Hermiona zagryzła wargi i nadal przebiegała spojrzeniem stół nauczycielski, jakby miała nadzieję, że znajdzie tam przekonujące wyjaśnienie nieobecności Hagrida.

- A kto to taki? - zapytała nagle ostrym tonem, wskazując na środek stołu profesorów.

Harry spojrzał w tę stronę. Najpierw zobaczył profesora Dumbledore'a, siedzącego w samym środku stołu w pozłacanym krześle z wysokim oparciem; miał na sobie ciemnofioletową szatę ze srebrnymi gwiazdami i taką samą szpiczastą tiarę czarodzieja. Pochylał głowę w stronę siedzącej obok niego kobiety, która szeptała mu coś do ucha. Harry pomyślał, że wygląda jak typowa stara panna: przysadzista, z krótkimi, kręconymi mysimi włosami, przewiązanymi opaską z okropną różową kokardką, pod kolor puszystego rozpinanego swetra, który nosiła na szacie. Po chwili odwróciła się nieco, żeby wysączyć łyk z pucharu, i wtedy zobaczył znaną mu już bladą, ropuchowatą twarz i parę wyłupiastych, podpuchniętych oczu.

- To jest ta Umbridge!

- Kto? - zdziwiła się Hermiona.

- Była na moim przesłuchaniu, pracuje dla Knota!

- Ładny sweterek - zauważył Ron, uśmiechając się złośliwie.

- Pracuje dla Knota? - powtórzyła Hermiona, marszcząc brwi. - To co ona tutaj robi?

- Nie wiem...

Hermiona wciąż wpatrywała się w stół nauczycielski, mrużąc oczy.

- Nie... - mruknęła. - Nie, na pewno nie...

Harry nie zapytał, co Hermiona ma na myśli, bo jego uwagę przykuła profesor Grubbly-Plank, która właśnie pojawiła się za stołem nauczycielskim; przeszła na sam koniec i usiadła na miejscu zajmowanym zwykle przez Hagrida. To oznaczało, że pierwszoroczniacy musieli już przebyć jezioro i dotrzeć do zamku. I rzeczywiście, w chwilę później drzwi z sali wejściowej otworzyły się na oścież i wkroczył długi rząd przerażonych pierwszoroczniaków, prowadzony przez profesor McGonagall, która niosła taboret ze spoczywającą na nim starą tiarą czarodzieja, wyświechtaną, połataną i porządnie naddartą przy rondzie.

Gwar rozmów ucichł. Pierwszoroczniacy stanęli szeregiem przed stołem nauczycielskim, twarzami do reszty uczniów, a profesor McGonagall postawiła ostrożnie stołek przed nimi, po czym odeszła na bok.

Twarze pierwszoroczniaków majaczyły blado w blasku świec. Jakiś mały chłopiec, stojący w środku szeregu, dygotał lekko ze strachu. Harry przypomniał sobie, jak on sam był przerażony, kiedy stał jak ów chłopiec, oczekując na nieznany mu jeszcze sprawdzian, który miał zdecydować, do jakiego domu będzie należał.

Cała szkoła wstrzymała oddech. A potem rozdarcie przy rondzie kapelusza rozwarło się jak usta i Tiara Przydziału zaśpiewała:

Lat temu tysiąc z górą,
Gdy jeszcze nowa byłam,
Założycieli tej szkoły
Przyjaźń szczera łączyła.
Jeden im cel przyświecał
I jedno mieli pragnienie,
By swą wiedzę przekazać
Przyszłym pokoleniom.
„Razem będziemy budować!
Wiedzy pochodnię nieść!
Razem będziemy nauczać
I wspólne życie wieść”.
Gdzie szukać takiej zgody
I tak głębokiej przyjaźni:
Czworo myślących zgodnie
I nie znających waśni.
Gryffindor i Slytherin
Zgadzali się nawet w snach,
I zawsze widziano razem
Ravenclaw i Hufflepuff.
Jak więc taka przyjaźń
Już wkrótce się rozpadła?
Tego młodzież dzisiejsza
Przenigdy by nie odgadła.
Slytherin nagle oświadcza,
Że ani mu się śni,
Nauczać magii takich,

Co nie są czystej krwi.
Ravenclaw na to rzecze,
Że bystrych nauczać chce,
Gryffindor, że ceni dzielność
Bardziej niż czystą krew.
Hufflepuff chce uczyć wszystkich,
Jak głośno oświadczyła.
Sporu nie rozstrzygnięto
Ja tego świadkiem byłam.
Bo każdy z założycieli
W domu swym rządzić chce,
Każdy przy swoim wyborze
Do końca upiera się.
Slytherin przyjmuje takich,
Co mają czystą krew,
Co mają więcej sprytu
Od uczniów domów trzech.
Ravenclaw bystrych ceni,
Gryffindor dzielnych chce,
A Hufflepuff resztę uczy
Wszystkiego, co sama wie.
Tak więc spór zakończono
I przyjaźń się umocniła,
Harmonia do Hogwartu
Na wiek lat powróciła.
Lecz później znów niezgoda
Wśród czworga się zakrada,
Na błędach wykarmiona,
Czai się w sercach zdrada.
Domy, co jak filary
Dzielnie wspierały szkołę,
Zaczęły sobie nawzajem
Narzucać swoją wolę.
I już się wydawało,

Że koniec szkoły bliski,
Że odtąd druh druhowi
Stanie się nienawistny,
Że miecz o miecz uderzy
I wnet poleje się krew,
Gdy wtem Slytherin stary
Odchodzi z zamku precz.
I choć ucichły waśnie,
Choć spory wygaszono,
Odtąd we wspólnym dziele
Już się nie jednoczono.
I dotąd zgodna czwórka
Niezgodną trójką się stała,
I odtąd domy Hogwartu
Dzieli różnica niemała.
A teraz mnie posłuchajcie,
Wybiła wasza godzina,
Teraz Tiara Przydziału
Rozdzielać was zaczyna.
I chociaż nie wiem sama,
Czy błędu nie popełnię,
Ten przykry obowiązek
Dziś wobec was wypełnię.
Tak jak mi rozkazano,
Na domy was podzielę,
Choć nie wiem, czy przypadkiem
Przyjaciół nie rozdzielę.
Choć nie wiem, czy mój wybór
Do zguby nie wiedzie wprost.
Muszę wyboru dokonać,
Bo taki już mój los.
Czytajcie znaki czasu,
Poczujcie grozy tchnienie,
Bo dzisiaj Hogwart cały

Osnuły złowróżbne cienie.
Wróg z zewnątrz na nas czyha,
Śmiertelny gotując nam cios,
Musimy się zjednoczyć,
By złowrogi odwrócić los.
Wyznałam wam całą prawdę,
Niczego nie ukryłam
I Ceremonię Przydziału
Za chwilę rozpoczynam.

Kapelusz ponownie znieruchomiał, wybuchły oklaski, choć po raz pierwszy, odkąd Harry pamiętał, towarzyszyły im także pomruki i szepty. Przy wszystkich stołach uczniowie wymieniali między sobą uwagi. Harry, klaszcząc z innymi, dobrze wiedział, o czym wszyscy rozmawiają.

- Trochę się rozgadała w tym roku, co? - zauważył Ron, unosząc brwi.

- Nawet bardzo - rzekł Harry.

Tiara Przydziału zwykle ograniczała się do opisania cech każdego z domów Hogwartu i własnej roli w przydzielaniu do nich nowych uczniów. Jeszcze nigdy nie dawała szkole żadnych rad.

- Ciekawa jestem, czy już kiedyś przedtem wyśpiewywała ostrzeżenia - zaniepokoiła się Hermiona.

- O tak, zaiste - rzekł Prawie Bezgłowy Nick, przechylając się do niej poprzez Neville'a (który skrzywił się, bo przenikanie ducha przez czyjeś ciało nie było zbyt przyjemne). - Ten kapelusz poczytuje sobie za honor ostrzegać szkołę zawsze, kiedy...

Profesor McGonagall, gotowa już do wyczytywania nazwisk nowych uczniów, obrzuciła poszeptujących spojrzeniem, które parzyło. Prawie Bezgłowy Nick przyłożył przezroczysty palec do warg i wyprostował się, a szepty nagle ucichły. Profesor McGonagall jeszcze raz omiotła groźnym spojrzeniem cztery stoły, opuściła wzrok na długi pas pergaminu i odczytała:

- Abercrombie, Euan.

Z szeregu wyszedł niepewnym krokiem ów przerażony chłopiec, którego Harry wcześniej zauważył, i nałożył kapelusz na głowę; nie opadł mu aż na ramiona tylko dlatego, że oparł się na wielkich, odstających uszach. Tiara milczała przez chwilę, po czym rozdarcie przy rondzie znowu się rozchyliło i wrzasnęło:

- GRYFFINDOR!

Harry klaskał głośno z resztą Gryfonów, gdy Euan Abercrombie podszedł jak pijany do ich stołu i usiadł, sprawiając wrażenie, jakby miał wielką ochotę zapaść się pod podłogę i już nigdy stamtąd nie wyjść.

Powoli przerzedzał się szereg oczekujących na przydział pierwszoroczniaków. W przerwach między kolejnym nazwiskiem a decyzją Tiary Harry słyszał głośne burczenie wydobywające się z brzucha Rona. W końcu „Zeller, Rose" została przydzielona do Hufflepuffu i profesor McGonagall zabrała stołek z kapeluszem i wyszła, a wstał profesor Dumbledore.

Mimo wspomnienia gorzkiego zawodu podczas przesłuchania w Ministerstwie Magii, Harry poczuł pewną ulgę, widząc stojącego przed nimi Dumbledore'a. Nieobecność Hagrida i widok tych smoczych koni sprawiły, że jego powrót do Hogwartu, tak przecież wytęskniony, pełen był niespodzianek, które budziły w nim niemiłe odczucia, jak fałszywe nuty w znajomej piosence. W końcu jednak było tak, jak powinno być: oto ich dyrektor powstał, by wygłosić mowę powitalną przed ucztą zwiastującą początek nowego roku szkolnego.

- Witam - zagrzmiał Dumbledore, rozchylając ramiona i uśmiechając się promiennie - naszych nowych uczniów! Witam naszych starych znajomych! Nadszedł czas na wygłoszenie mowy, ale żadnej mowy nie będzie. Wsuwajcie!

Wybuchły śmiechy i oklaski, gdy Dumbledore usiadł i przerzucił sobie długą brodę przez ramię, żeby mu nie wpadła do talerza - bo oto znikąd pojawiło się jedzenie, a było go tyle, że pięć długich stołów aż się ugięło i jęknęło pod ciężarem pieczeni, pasztetów, zapiekanek, jarzyn, chleba, sosów i dzbanów dyniowego soku.

- Super - westchnął z lubością Ron, złapał za najbliższy półmisek mielonych kotletów i nałożył sobie olbrzymią porcję, obserwowany zazdrośnie przez Prawie Bezgłowego Nicka.

- Co mówiłeś przed Ceremonią Przydziału? - zapytała ducha Hermiona. - Coś o ostrzeżeniach...

- Och, tak - rzeki Nick, wyraźnie ucieszony, że ktoś odwraca jego uwagę od Rona, który teraz zajadał się pieczonymi ziemniakami. - Tak, słyszałem, jak Tiara kilka razy przed czymś ostrzegała, a zdarzało się to, gdy wykryła, że szkole grozi wielkie niebezpieczeństwo. I zawsze, rzecz jasna, jej rada jest ta sama: trzymajcie się razem, bądźcie silni od wewnątrz.

- Sąąąd mouze weedze zeskooue couegrouzy? - zapytał Ron.

Usta miał tak zapchane gorącymi ziemniakami, że wzbudził w Harrym podziw, wydając te dźwięki.

- Słucham? - zapytał uprzejmie Prawie Bezgłowy Nick, natomiast Hermiona wyglądała na oburzoną.

Ron przełknął z wysiłkiem i powtórzył:

- Skąd może wiedzieć, że szkole coś grozi, skoro jest starym kapeluszem?

- Nie mam pojęcia - odrzekł Nick. - No, ale w końcu mieszka w gabinecie Dumbledore'a, więc ośmielam się mniemać, że wysłuchuje tam różnych rzeczy.

- I chce, żeby wszystkie domy żyły w przyjaźni? - mruknął Harry, patrząc na stół Ślizgonów, gdzie królował Draco Malfoy. - Raczej trudna sprawa.

- To zgubna postawa - powiedział ganiącym tonem Nick. - Pokojowa współpraca, oto klucz do sukcesu. My, duchy, choć należymy do różnych domów, podtrzymujemy przyjaźń między sobą. Pomimo zwyczajowej rywalizacji między Gryffindorem i Slytherinem, nigdy by mi nie przyszło do głowy, by szukać zwady z Krwawym Baronem.

- Bo go się boisz - powiedział Ron.

Prawie Bezgłowy Nick spojrzał na niego tak, jakby go dotkliwie obrażono.

- Boję się? Ja? Śmiem twierdzić, że ja, Sir Nicholas de Mimsy-Porpington, jeszcze nigdy nie splamiłem się tchórzostwem! Szlachetna krew, która płynie w moich żyłach...

- Jaka krew? - przerwał mu Ron. - Przecież nie masz już żadnej...

- To przenośnia! - zawołał Prawie Bezgłowy Nick, tak oburzony, że jego głowa zaczęła się niebezpiecznie chwiać na częściowo odciętej szyi. - Mniemam, że wolno mi jeszcze używać takich słów, jakie uznam za stosowne, nawet jeśli zostałem pozbawiony uciechy płynącej z jedzenia i picia! Lecz cóż, młodzieńcze, jestem już nawykły do uczniów, którzy kpią sobie z mojej śmierci, zaręczam!

- Nick, przecież on z ciebie nie kpi! - powiedziała Hermiona, obrzucając Rona piorunującym spojrzeniem.

Niestety, Ron miał znowu pełne usta, i to tak, że wyglądał, jakby mu miały za chwilę pęknąć policzki, więc wystękał tylko: „Naeemooza ounyy saapytaaa", czego chyba Nick nie uznał za odpowiadające jego godności przeprosiny, bo uniósł się w powietrze, poprawił sobie kapelusz z pióropuszem i odleciał nad drugi koniec stołu, osiadając między Colinem i Dennisem Creeveyami.

- Gratuluję, Ron - warknęła Hermiona.

- O co ci chodzi? - zapytał oburzony Ron, przełknąwszy w końcu to, co miał w ustach. - To już nie można o nic zapytać?

- Och, daj spokój - mruknęła ze złością Hermiona i oboje pogrążyli się w milczeniu.

Harry przyzwyczaił się już do ich kłótni, więc nawet nie próbował ich pogodzić; uznał, że lepiej będzie, jak się zajmie systematycznym niszczeniem wielkiego placka nadziewanego siekaną wołowiną i wątróbką, a potem dużej porcji swojej ulubionej tarty nasyconej melasowym syropem.

Kiedy wszyscy się najedli i sala znowu rozbrzmiała gwarem, Dumbledore wstał ponownie. Rozmowy natychmiast ucichły i wszystkie twarze zwróciły się w stronę dyrektora. Harry czuł już błogą senność. Tam, w górze, czeka na niego wygodne łóżko, takie ciepłe i miękkie...

- Teraz, skoro już wszyscy napełniliśmy sobie brzuchy tymi wspaniałymi potrawami - zaczął Dumbledore - pozwólcie, że poświęcę chwilę zwykłym na początku roku uwagom. Pierwszoroczniacy niech wiedzą, że wstęp do lasu na skraju szkolnych błoni jest zakazany... zresztą powinno o tym wiedzieć również kilku starszych uczniów. - (Harry, Ron i Hermiona spojrzeli po sobie z głupimi uśmieszkami na twarzach). - Pan Filch, nasz woźny, prosił mnie, żebym, jak powiedział, po raz czterysta sześćdziesiąty drugi przypomniał wam, że między lekcjami na korytarzach nie wolno używać czarów, podobnie jak nie wolno robić wielu różnych rzeczy, których lista jest wywieszona na drzwiach biura pana Filcha. Mamy też dwie zmiany w gronie nauczycielskim. Miło mi powitać znowu panią profesor Grubbly-Plank, która będzie prowadziła lekcje opieki nad magicznymi stworzeniami. Mam również zaszczyt przedstawić wam panią profesor Umbridge, naszego nowego nauczyciela obrony przed czarną magią.

Rozległy się uprzejme, ale niezbyt entuzjastyczne oklaski, podczas których Harry, Ron i Hermiona wymienili lekko przerażone spojrzenia: Dumbledore nie wspomniał, jak długo będzie ich uczyła Grubbly-Plank.

- Sprawdziany kandydatów do domowych drużyn quidditcha będą się odbywać... - ciągnął Dumbledore, lecz nagle urwał, spoglądając pytająco na profesor Umbridge.

Ponieważ profesor Umbridge nie wydawała się wcale wyższa, kiedy stała, niż wtedy, gdy siedziała, przez chwilę nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego dyrektor przerwał. Dopiero gdy chrząknęła głośno dwa razy, stało się jasne, że wstała i zamierza coś powiedzieć.

Dumbledore szybko ochłonął, po czym usiadł i wpatrzył się z uwagą w profesor Umbridge, jakby to, co miała do powiedzenia, budziło w nim najwyższą ciekawość. Innym członkom ciała pedagogicznego nieco trudniej było ukryć zaskoczenie. Uniesione brwi profesor Sprout znikły pod strzechą włosów, a profesor McGonagall zacisnęła wargi tak, że prawie ich nie było widać. Jeszcze nigdy żaden nowy nauczyciel nie przerwał

Dumbledore'owi. Wielu uczniów uśmiechało się ironicznie: ta kobieta najwyraźniej nie wiedziała, jakie są zwyczaje w Hogwarcie.

- Dziękuję, dyrektorze - powiedziała profesor Umbridge ze sztucznym uśmiechem - za tak uprzejme słowa powitania.

Miała piskliwy, dziecinny głos i Harty znowu odczuł do niej silną niechęć, której nie mógł niczym wytłumaczyć, wiedział tylko, że mierzi go w niej wszystko, od tego jej głupiego głosu po puszysty różowy sweter. Ponownie dwa razy głośno odchrząknęła („yhm, yhm") i ciągnęła:

- Muszę wyznać, że to cudowne znaleźć się znowu w Hogwarcie! - Uśmiechnęła się, ukazując bardzo spiczaste zęby. - I widzieć tyle szczęśliwych buziaczków zwróconych na mnie!

Harry rozejrzał się. Żadna z twarzy w zasięgu jego wzroku nie wyrażała szczęścia, przeciwnie, wszyscy wyglądali raczej na zniesmaczonych tym, że zwróciła się do nich tak, jakby mieli po pięć lat.

- Bardzo bym chciała szybko was wszystkich poznać i jestem pewna, że będziemy dobrymi przyjaciółmi!

Wielu uczniów wymieniło spojrzenia, a niektórzy z trudem ukrywali złośliwe uśmieszki.

- Mogę się z nią zaprzyjaźnić pod warunkiem, że nie będę musiała pożyczać od niej tego ohydnego swetra - szepnęła Parvati do Lavender, po czym obie zachichotały bezgłośnie.

Profesor Umbridge znowu dwukrotnie odchrząknęła („yhm, yhm"), ale kiedy przemówiła, jej głos nie zabrzmiał już tak słodko. Teraz był bardziej rzeczowy i suchy, jakby recytowała z pamięci.

- Ministerstwo Magii zawsze uważało, że edukacja młodych czarownic i czarodziejów ma wyjątkowe znaczenie. Owe rzadkie zdolności, z jakimi się urodziliście, mogą się zmarnować, jeśli nie będą utrwalane i rozwijane w procesie nauczania. Pradawne umiejętności historycznej społeczności czarodziejów muszą być przekazywane z pokolenia na pokolenie, abyśmy nie utracili ich na zawsze. Bezcenne dziedzictwo wiedzy magicznej, nagromadzone przez naszych przodków, musi być pilnie strzeżone i wzbogacane przez tych, których obdarzamy szlachetnym mianem nauczycieli.

Zamilkła na chwilę i skinęła głową innym członkom ciała pedagogicznego; żaden z nich nie uznał za stosowne, by się odkłonić. Czarne brwi profesor McGonagall zbiegły się tak, że wyglądała jak jastrząb, a Harry spostrzegł, że wymieniła znaczące spojrzenie z profesor Sprout, kiedy Umbridge znowu odchrząknęła, by kontynuować swoje przemówienie.

- Każdy dyrektor Hogwartu wniósł coś nowego do tego ciężkiego obowiązku, jakim jest zarządzanie tą historyczną uczelnią, i tak powinno być, ponieważ brak postępu oznaczałby stagnację i rozkład. Nie oznacza to jednak, by postęp był wartością samą w sobie, bo nasze wypróbowane tradycje często nie znoszą żadnych przy nich manipulacji. Tak więc zdrowa równowaga między starym i nowym, między tym, co stałe, a tym, co zmienne, między tradycją a innowacją...

Harry poczuł, że jej słowa powoli przestają do niego docierać, jakby jego mózg od czasu do czasu nie chwytał właściwej fali. Na sali też już nie było tak cicho, jak zwykle, gdy przemawiał Dumbledore, bo uczniowie zaczęli szeptać i chichotać. Przy stole Krukonów Cho Chang gawędziła w najlepsze ze swoimi koleżankami, a siedząca nieco dalej Luna Lovegood wyciągnęła „Żonglera". Przy stole Puchonów Ernie Macmillan był jednym z tych nielicznych, którzy wciąż wpatrywali się w profesor Umbridge, ale miał grube okulary i Harry był pewien, że Ernie tylko udaje, że słucha, by stać się godnym nowiutkiej odznaki prefekta, która błyszczała na jego piersiach.

Profesor Umbridge zdawała się nie dostrzegać tego wszystkiego. Harry miał wrażenie, że nie przerwałaby swojej monotonnej mowy nawet wtedy, gdyby w sali wybuchły zamieszki. Nauczyciele słuchali jednak z uwagą, a Hermiona zdawała się spijać każde słowo z jej warg, choć sądząc po minie, te słowa wcale nie przypadały jej do gustu.

- ...ponieważ jedne zmiany mogą wyjść nam wszystkim na dobre, natomiast inne zostaną po jakimś czasie uznane za błędy. Podobnie pewne stare zwyczaje słusznie przetrwają wieki, podczas gdy inne, już nie odpowiadające duchowi czasu, trzeba będzie porzucić. Wkroczmy więc razem w nową erę otwartości, efektywności i odpowiedzialności, skupiając się na zachowaniu tego, co powinno być zachowane, doskonaląc to, co powinno być udoskonalone, i wypleniając praktyki, które powinny być zakazane.

Usiadła. Dumbledore pierwszy zaklaskał. Inni nauczyciele poszli za jego przykładem, ale Harry zauważył, że wielu klasnęło tylko raz czy dwa. Przy stołach uczniowskich też rozległy się nikłe oklaski, ale do większości uczniów przez chwilę w ogóle nie dotarło, że mowa się skończyła, a kiedy dotarło, nie zdążyli już zareagować właściwie, bo Dumbledore znowu wstał.

- Dziękuję bardzo, profesor Umbridge, to było bardzo pouczające przemówienie - rzekł, kłaniając się jej. - No więc, jak mówiłem, sprawdziany kandydatów do drużyn quidditcha będą się odbywały...

- Tak, bardzo pouczające - powiedziała Hermiona. - W każdym razie wiele wyjaśniło.

- Nie powiesz mi chyba, że ci się podobało? - zapytał cicho Ron, spoglądając na nią ze zdumieniem. - To było najnudniejsze przemówienie, jakie w życiu słyszałem, a przecież dorastałem z Percym.

- Powiedziałam pouczające, nie ciekawe. Wiele wyjaśniło.

- Co? - zdziwił się Harry. - Dla mnie to była mowa-trawa.

- W tej trawie ukryte było coś bardzo ważnego.

- Tak? Niby co? - zapytał Ron.

- A to, że postęp nie jest wartością samą w sobie? A to, że trzeba wyplenić praktyki, które powinny być zakazane?

- A co to znaczy? - zapytał niecierpliwie Ron.

- Zaraz ci powiem, co to znaczy - odpowiedziała ponuro Hermiona. - To znaczy, że ministerstwo miesza się w sprawy Hogwartu.

Wybuchł gwar i rozległ się hałas odsuwanych krzeseł, co oznaczało, że Dumbledore obwieścił koniec uczty powitalnej. Wszyscy wstawali, gotując się do opuszczenia Wielkiej Sali. Hermiona zerwała się z przerażoną miną.

- Ron, mamy zaprowadzić pierwszoroczniaków!

- A, prawda - rzekł Ron, który najwyraźniej o tym zapomniał. - Hej! Hej, wy! Karzełki!

- RON!

- No bo oni są tacy malutcy...

- Być może, ale nie możesz ich nazywać karzełkami... Pierwszoroczni! - zawołała rozkazującym tonem. - Tędy, proszę!

Nowi uczniowie ruszyli nieśmiało przerwą między stołami Gryffindoru i Hufflepuffu, a każdy starał się trzymać z tyłu. Rzeczywiście byli bardzo mali. Harry był pewien, że nie wyglądał tak młodo, kiedy przybył do Hogwartu po raz pierwszy. Uśmiechnął się do nich. Jasnowłosy chłopiec obok Euana Abercrombie, który sprawiał wrażenie, jakby go spetryfikowano, szturchnął Euana i szepnął mu coś do ucha. Euan też zrobił przerażoną minę i rzucił ukradkowe spojrzenie na Harry'ego, który poczuł, że uśmiech spełza mu z twarzy jak odorosok.

- No to do zobaczenia - powiedział do Rona i Hermiony i wyszedł samotnie z Wielkiej Sali, starając się nie zwracać uwagi na szepty, spojrzenia i pokazywanie go sobie palcami. Z utkwionym przed siebie wzrokiem przeszedł wraz z innymi do sali wejściowej, a potem wspiął się szybko po marmurowych schodach, skorzystał z kilku tajnych skrótów i wkrótce uwolnił się od tłumu.

Idąc prawie pustymi korytarzami, był zły na siebie, że tego wszystkiego nie przewidział. Nic dziwnego, że wszyscy gapią się na niego: zaledwie dwa miesiące temu wyłonił się z labiryntu, dźwigając martwe ciało swojego kolegi i utrzymując, że Lord Voldemort odzyskał moc. Był już koniec roku szkolnego i zabrakło czasu, by wytłumaczyć wszystko wszystkim i każdemu z osobna, nawet gdyby był w stanie złożyć przed całą szkołą szczegółowe sprawozdanie ze strasznych wydarzeń na tamtym cmentarzu.

Doszedł do końca korytarza prowadzącego do pokoju wspólnego Gryffindoru, zatrzymał się przed portretem Grubej Damy i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, ze nie zna nowego hasła.

- Ee... - wybąkał, patrząc na Grubą Damę, która wygładziła fałdy swojej różowej, jedwabnej sukni i spoglądała na niego surowym wzrokiem.

- Nie ma hasła, nie ma przejścia - oświadczyła wyniośle.

- Harry, ja znam hasło! - wydyszał ktoś za jego plecami, a kiedy się odwrócił, ujrzał biegnącego ku niemu Neville'a. - Zgadnij, jak brzmi? Bo ja natychmiast je zapamiętałem i chyba nigdy nie zapomnę... - I pomachał maleńkim kaktusem, który pokazywał im w pociągu. - *Mimbulus mimbletonia!*

- Tak jest - mruknęła Gruba Dama, a jej portret odchylił się jak drzwi, odsłaniając okrągłą dziurę w ścianie, przez którą weszli do środka.

Pokój wspólny Gryffindoru wyglądał przytulnie jak zawsze: okrągła komnata, wypełniająca całe piętro wieży, pełna podniszczonych foteli i chybocących się starych stolików. W kominku trzaskał wesoło ogień, przy którym kilku uczniów grzało sobie ręce przed odejściem do swoich sypialni, a po drugiej stronie Fred i George Weasleyowie przypinali coś do tablicy ogłoszeń. Harry pomachał im ręką na dobranoc i ruszył prosto do drzwi wiodących do dormitoriów chłopców; nie miał nastroju do rozmów. Neville poszedł za nim.

W sypialni byli już Dean Thomas i Seamus Finnigan, zajęci oblepianiem plakatami i zdjęciami ścian nad swoimi łóżkami. Kiedy Harry otworzył drzwi, nagle przerwali rozmowę. Zaczął się zastanawiać, czy rozmawiali o nim, a w chwilę później, czy aby nie ogarnia go paranoja.

- Cześć - powiedział, po czym podszedł do swojego kufra i otworzył go.

- Cześć, Harry - odrzekł Dean, który wkładał właśnie piżamę w barwach drużyny West Ham. - Jak wakacje?

- Nie były najgorsze - mruknął Harry, bo odpowiadający rzeczywistości opis jego wakacji zająłby mu prawie całą noc, a na to nie miał teraz ochoty. - A twoje?

- Też nie były złe - zachichotał Dean. - W każdym razie na pewno lepsze niż Seamusa. Właśnie mi opowiadał.

- Seamus, co się stało? - zapytał Neville, kiedy już ustawił pieczołowicie doniczkę z mimbulusem mimbletonią na swojej nocnej szafce.

Seamus nie odpowiedział od razu, zajęty sprawdzaniem, czy jego plakat Pustułek z Kenmare wisi idealnie prosto. Potem rzekł, wciąż odwrócony plecami do Harry'ego:

- Mama nie chciała, żebym wrócił.

- Co?! - zdumiał się Harry i aż przestał wyjmować ubrania z kufra.

- Nie chciała, żebym wrócił do Hogwartu.

Seamus odwrócił się od ściany i wyciągnął z kufra własną piżamę, nadal nie patrząc na Harry'ego.

- Ale... dlaczego? - zapytał Harry. Wiedział, że matka Seamusa jest czarownicą, i wobec tego nie był w stanie zrozumieć, jak mogła się zachować tak po dursleyowsku.

Seamus odpowiedział dopiero po chwili, kiedy zapiął ostatni guzik piżamy.

- No wiesz... chyba z twojego powodu.

- Z mojego powodu?! - powtórzył Harry. Serce biło mu szybko i poczuł się nagle tak, jakby coś się na niego waliło.

- No wiesz... - Seamus wciąż unikał jego wzroku - ona... no... nie chodzi tylko o ciebie... również o Dumbledore'a...

- Więc twoja matka wierzy „Prorokowi Codziennemu"? Uważa, że jestem łgarzem, a Dumbledore starym osłem, tak?

- No... coś w tym rodzaju - mruknął Seamus, dopiero teraz spoglądając na Harry'ego.

Harry zamilkł. Rzucił swoją różdżkę na nocną szafkę, ściągnął szatę i dżinsy, upchnął je byle jak w kufrze i włożył piżamę. Miał już tego dosyć. Miał już dosyć bycia osobą, na którą wszyscy się gapią i o której wszyscy mówią. Gdyby tylko wiedzieli, gdyby mieli choćby jakie takie wyobrażenie, co znaczy być tym kimś, kto musiał to wszystko przeżyć... Ta głupia pani Finnigan na pewno nie ma o tym najmniejszego pojęcia...

Wlazł do łóżka i już miał zaciągnąć zasłony wokół łóżka, gdy Seamus zapytał:

- Słuchaj, Harry... co naprawdę się wydarzyło w tamtą noc... no wiesz... z Cedrikiem Diggorym... i w ogóle?

W głosie Seamusa można było wyczuć strach i ciekawość jednocześnie. Dean, pochylony nad swoim kufrem, z którego wyciągał pantofel, zamarł, nasłuchując.

- Po co mnie o to pytasz? - odrzekł Harry. - Poczytaj sobie „Proroka Codziennego" jak twoja matka, a dowiesz się wszystkiego.

- Odwal się od mojej matki - warknął Seamus.

- Nie odwalę się od nikogo, kto nazywa mnie kłamcą - powiedział Harry.

- Nie mów do mnie w taki sposób!

- Będę do ciebie mówił, jak mi się podoba! - zawołał Harry, tak już rozzłoszczony, że prawie machinalnie złapał za różdżkę leżącą na nocnej szafce. - Jak nie chcesz spać ze mną w jednym dormitorium, to idź do McGonagall i poproś, niech cię przeniesie, bo twoja mama się martwi...

- Nie mieszaj do tego mojej matki, Potter!

- Co się dzieje?

W drzwiach pojawił się Ron. Wytrzeszczył oczy i spojrzał najpierw na Harry'ego, który klęczał na łóżku z różdżką wycelowaną w Seamusa, a potem na Seamusa, który stał w pozycji bokserskiej.

- On naskakuje na moją matkę! - ryknął Seamus.

- Harry? Bzdura! Przecież poznaliśmy twoją matkę... jest bardzo fajna...

- Była fajna, dopóki nie zaczęła wierzyć we wszystko, co pisze o mnie ten śmierdzący szmatławiec! - krzyknął Harry.

- Ach... - Ron wreszcie zaczął rozumieć. - Aha... o to chodzi.

- Wiecie co? - warknął Seamus, obrzucając Harry'ego jadowitym spojrzeniem. - On ma rację, ja już nie chcę spać z nim w jednym dormitorium. To wariat.

- Teraz to już przesadziłeś, Seamus - rzekł Ron, którego uszy zaczęły się robić czerwone, co zawsze poprzedzało groźny wybuch.

- Ja przesadzam?! - krzyknął Seamus, który na odmianę robił się coraz bardziej biały na twarzy. - To co, wierzysz w te wszystkie bzdury, które on opowiada o Sam-Wiesz-Kim? Wierzysz, że on mówi prawdę?

- Tak, wierzę! - zaperzył się Ron.

- To ty też jesteś wariatem.

- Tak? Ale na nieszczęście dla ciebie jestem również prefektem! - ryknął Ron, szturchając się palcem w pierś. - Więc uważaj na to, co mówisz, bo możesz zarobić szlaban!

Seamus zrobił taką minę, jakby zarobienie szlabanu było rozsądną ceną za wypowiedzenie tego, co mu chodziło po głowie, ale po chwili prychnął tylko pogardliwie, odwrócił się, wskoczył do łóżka i zaciągnął zasłony tak gwałtownie, że urwały się i opadły na podłogę, wzbijając obłok kurzu. Ron rzucił mu wściekłe spojrzenie, a potem popatrzył na Deana i Neville'a.

- Czy wasi rodzice też mają jakiś problem z Harrym? - zapytał napastliwym tonem.

- Daj spokój, moi starzy są mugolami - odpowiedział Dean, wzruszając ramionami. - Nie mają zielonego pojęcia o tym, że w Hogwarcie ktoś zginął, bo nie jestem na tyle głupi, żeby im o wszystkim opowiadać.

- Nie znasz mojej matki, ona i tak zawsze wszystko wyniucha! - warknął Seamus. - A zresztą twoi rodzice nie dostają „Proroka Codziennego", nie wiedzą, że nasz dyrektor został wywalony z Wizengamotu i z Międzynarodowej Konfederacji Czarodziejów, bo mózg zaczyna mu się lasować...

- Moja babcia twierdzi, że to bzdury - oświadczył Neville. - Mówi, że to ci z „Proroka" powariowali, nie Dumbledore. Zrezygnowała z prenumeraty. My wierzymy Harry'emu. - Wspiął się na łóżko i podciągnął koce pod samą brodę, wpatrując się w Seamusa jak sowa. - Moja babcia zawsze mówiła, że Sam-Wiesz-Kto kiedyś wróci. I uważa, że jak Dumbledore mówi, że wrócił, to wrócił.

Harry poczuł falę wdzięczności do Neville'a. Nikt nic już nie powiedział. Seamus wyjął różdżkę, naprawił zasłony i zniknął za nimi. Dean wszedł do łóżka, przewrócił się na bok i ucichł. Neville, który najwidoczniej nie miał już nic więcej do powiedzenia, przyglądał się z czułością swojemu kaktusowi.

Harry leżał na wznak, gapiąc się w sufit. Słyszał, jak przy sąsiednim łóżku kokosi się Ron, rozrzucając naokoło swoje ubrania. Cały był roztrzęsiony po tej kłótni z Seamusem, którego zawsze bardzo lubił. Od kogo jeszcze usłyszy, że jest łgarzem albo wariatem?

Czy Dumbledore też tak cierpiał przez całe lato, gdy najpierw wyrzucili go z Wizengamotu, a potem z Międzynarodowej Konfederacji Czarodziejów? A może dlatego nie skontaktował się z Harrym przez całe dwa miesiące, bo był na niego zły? Ostatecznie byli w to wszystko obaj zamieszani: Dumbledore uwierzył Harry'emu, przedstawił jego wersję wydarzeń najpierw całej szkole, a potem całej społeczności czarodziejów. Każdy, kto uznał Harry'ego za kłamcę, musiał za kłamcę uznać i Dumbledore'a... Albo za głupca, który dał się oszukać.

W końcu i tak wszyscy się dowiedzą, że mamy rację, westchnął w duchu Harry, kiedy Ron wlazł już do łóżka i zdmuchnął ostatnią świecę. Ale ile jeszcze takich kłótni go czeka, zanim ten dzień nadejdzie?

ROZDZIAŁ DWUNASTY
PROFESOR UMBRIDGE

Następnego rana Seamus ubrał się w najwyższym pośpiechu i opuścił dormitorium, zanim Harry zdążył włożyć chociaż skarpetki.

- On pewnie myśli, że jak będzie trochę dłużej przebywał ze mną w jednym pokoju, to sam stanie się czubkiem - powiedział Harry głośno, kiedy rąbek szaty Seamusa zniknął z pola widzenia.

- Nie przejmuj się tym, Harry - mruknął Dean, zarzucając na ramię torbę. - On jest po prostu... - Ale widocznie nie był w stanie dokładnie określić, kim jest Seamus, i po nieco kłopotliwej pauzie również wyszedł z dormitorium.

Neville i Ron obdarzyli Harry'ego spojrzeniami, które mówiły: „To jego problem, nie twój", ale jego to zbytnio nie pocieszyło. Ile jeszcze podobnych scen będzie musiał znieść?

- Coś się stało? - zapytała Hermiona pięć minut później, dopędzając Harry'ego i Rona pośrodku pokoju wspólnego, gdy spieszyli już na śniadanie. - Wyglądasz jakoś... Och, na miłość boską!

Wpatrywała się w tablicę, na której widniało wielkie nowe ogłoszenie:

GALONY GALEONÓW!
Brakuje ci kieszonkowego na wszystkie wydatki?
Chcesz zarobić coś ekstra?
*****
Skontaktuj się z Fredem i Georgeem Weasleyami
(pokój wspólny Gryfonów)
Oferujemy proste, praktycznie bezbolesne prace dorywcze!
(CHĘTNI BIORĄ NA SIEBIE CAŁE RYZYKO)

- Nieee, teraz to już naprawdę przesadzili - oświadczyła groźnie Hermiona, zdejmując ogłoszenie, które Fred i George przypięli na kartce z datą pierwszego październikowego weekendu w Hogsmeade. - Ron, musimy z nimi porozmawiać.

- Dlaczego? - zdziwił się Ron.

- Bo jesteśmy prefektami! - krzyknęła Hermiona, gdy przeszli przez dziurę w ścianie. - Ktoś ich musi powstrzymać przed robieniem takich głupot, a tak się składa, że ten obowiązek należy do nas!

Ron nic nie powiedział, ale jego ponura mina świadczyła, że perspektywa powstrzymania Freda i George'a od robienia tego, na co mają ochotę, nie bardzo przypadła mu do gustu.

- No więc o co chodzi, Harry? - zapytała znowu Hermiona, kiedy schodzili po schodach, mijając portrety starych czarownic i czarodziejów, którzy nie zwracali na nich najmniejszej uwagi, pochłonięci rozmową. - Chyba mi nie zaprzeczysz, że jesteś na coś wściekły.

- Seamus uważa, że Harry kłamie o Sam-Wiesz-Kim - wyjaśnił Ron, ponieważ Harry milczał.

Harry spodziewał się, że i Hermiona wybuchnie gniewem, ale ona tylko westchnęła.

- Tak, Lavender też tak uważa.

- Uciężyście sobie miłą pogawędkę na mój temat? Czy jestem, czy może nie jestem szukającym rozgłosu łgarzem, tak? - zapytał napastliwym tonem.

- Nie - odparła spokojnie Hermiona. - Powiedziałam jej, żeby sobie nie wycierała tobą swojej wielkiej tłustej gęby. I byłoby miło, Harry, gdybyś przestał warczeć na mnie i na Rona, bo jesteśmy po twojej stronie. Chyba że tego nie zauważyłeś, a to już inna sprawa.

- Przepraszam - powiedział cicho Harry po chwili milczenia.

- No, teraz już trochę lepiej - skwitowała to Hermiona z godnością, a potem pokręciła głową. - Nie pamiętacie, co powiedział Dumbledore na zakończeniu ubiegłego semestru?

Harry i Ron popatrzyli na nią niezbyt przytomnie, a Hermiona znowu westchnęła.

- O Sami-Wiecie-Kim. Powiedział, że on „posiada wielki talent siania niezgody i wrogości. Możemy mu przeciwstawić tylko równie silne więzi przyjaźni i zaufania..."

- Jak ci się udało coś takiego zapamiętać? - spytał Ron, patrząc na nią z podziwem.

- Bo ja słucham, Ron - odpowiedziała nieco zgryźliwie Hermiona.

- Ja też, ale jakoś nie potrafię powiedzieć dokładnie, co...

- Rzecz w tym - przerwała mu z naciskiem Hermiona - że Dumbledore to właśnie miał na myśli. Sami-Wiecie-Kto wrócił zaledwie dwa miesiące temu, a my już zaczynamy się nawzajem gryźć. Tiara Przydziału ostrzegała przed tym samym. Musimy trzymać się razem, musimy się zjednoczyć...

- A pamiętasz, co Harry powiedział wczoraj wieczorem? Jeśli to znaczy, że mielibyśmy zaprzyjaźnić się ze Slizgonami, to raczej trudna sprawa.

- A według mnie to wielka szkoda, że nie staramy się nawiązać choćby jakichś nici przyjaźni między domami - odpowiedziała ze złością Hermiona.

Byli już u stóp marmurowych schodów. Przez salę wejściową przechodziła grupa czwartoklasistów z Ravenclawu; na widok Harry'ego zbili się w ciasną grupkę, jakby się bali, że ich zaatakuje.

- Taak, rzeczywiście powinniśmy się starać nawiązać nici przyjaźni z takimi jak oni - zadrwił Harry.

Weszli za Krukonami do Wielkiej Sali i odruchowo spojrzeli na stół nauczycielski. Profesor Grubbly-Plank gawędziła z profesor Sinistrą, nauczycielką astronomii. Jeśli chodzi o Hagrida, to rzucała się w oczy jedynie jego nieobecność. Zaczarowane sklepienie odzwierciedlało samopoczucie Harry'ego: było ponuro szare.

- Dumbledore w ogóle nie wspomniał, jak długo zostanie ta Grubbly-Plank - powiedział, gdy doszli do stołu Gryfonów.

- Może... - zaczęła z namysłem Hermiona.

- Co? - zapytali jednocześnie Harry i Ron.

- No... może nie chciał zwracać naszej uwagi na to, że nie ma Hagrida.

- Co to znaczy nie chciał zwracać uwagi? - prychnął Ron. - Niby jak mielibyśmy tego nie zauważyć?

Zanim Hermiona zdążyła odpowiedzieć, do Harry'ego podeszła wysoka, ciemnoskóra dziewczyna z długimi, zaplecionymi w cienkie warkoczyki włosami.

- Cześć, Angelina.

- Cześć - odpowiedziała wesoło. - Jak tam wakacje? - I nie czekając na odpowiedź, dodała: - Słuchaj, zostałam kapitanem drużyny Gryfonów.

- To miłe - rzekł Harry z uśmiechem; miał nadzieję, że przemowy Angeliny nie będą tak rozwlekłe, jak te, którymi ich raczył Oliver Wood, a to na pewno oznaczało zmianę na lepsze.

- No, ale musimy mieć nowego obrońcę na miejsce Wooda. Sprawdziany są w piątek o piątej i chcę, żeby była cała drużyna, dobra? Zobaczymy, jak nowy sprawdzi się w zespole.

- W porządku.

Angelina uśmiechnęła się do niego i odeszła.

- Zupełnie zapomniałam, że Wooda już nie ma - zauważyła Hermiona, siadając obok Rona i przysuwając sobie półmisek z tostami. - Dla drużyny to chyba ma duże znaczenie, co?

- Myślę, że tak - przyznał Harry, siadając naprzeciwko. - Był dobrym obrońcą...

- Na pewno, ale zastrzyk nowej krwi też by się przydał - powiedział Ron.

Przez górne okna wleciały z szumem i łopotem setki sów i zaczęły krążyć nad głowami uczniów, rzucając swoim właścicielom listy i paczki i opryskując wszystkich

kropelkami wody - najwidoczniej rozpadał się deszcz. Hedwigi wśród nich nie było, ale Harry nie był tym zaskoczony, bo jedyną osobą, która mogła do niego napisać, był Syriusz, a wątpił, by Syriusz miał mu coś nowego do przekazania po zaledwie dwudziestoczterogodzinnej rozłące. Natomiast Hermiona musiała błyskawicznie odsunąć swój puchar z sokiem pomarańczowym, żeby zrobić miejsce dla wielkiej sowy płomykówki, trzymającej w dziobie mokry egzemplarz „Proroka Codziennego".

- Po co ty to nadal kupujesz? - zapytał ze złością Harry, bo kiedy Hermiona wkładała knuta do skórzanego woreczka przywiązanego do nóżki sowy, przypomniał mu się Seamus. - Kupa bzdur... Ja tego nie biorę do ręki.

- Dobrze jest wiedzieć, co mówi nieprzyjaciel - odburknęła Hermiona, rozwijając gazetę, po czym za nią zniknęła, a wyjrzała zza niej dopiero, gdy Harry i Ron skończyli już jeść.

- Nic nie ma - oświadczyła krótko, zwijając gazetę i kładąc ją obok swego talerza. - Ani o tobie, ani o dyrektorze, ani o niczym ważnym.

Wzdłuż stołu chodziła profesor McGonagall, rozdając plany zajęć.

- No nie, spójrzcie, co mamy dzisiaj! - jęknął Ron. - Historia magii, dwie godziny eliksirów, wróżbiarstwo i dwie godziny obrony przed czarną magią... Binns, Snape, Trelawney i ta Umbridge w jednym dniu! Co ja bym dał, żeby Fred i George skończyli już prace nad tymi Bombonierkami Lesera...

- Czy ja się nie przesłyszałem? - zapytał Fred, siadając razem z George'em obok Harry'ego. - Prefekci Hogwartu chyba nie zamierzają być leserami?

- Sam popatrz, co mamy dzisiaj - powiedział Ron, podtykając Fredowi plan pod nos. - To najgorszy zestaw poniedziałkowy, jaki widziałem w życiu.

- Chyba trafiłeś w sedno, braciszku - rzekł Fred, rzucając okiem na rozkład zajęć. - Ale jak chcesz, to u nas możesz dostać tanio Krwotoczki Truskawkowe.

- Dlaczego tanio? - zapytał podejrzliwie Ron.

- Bo będziesz krwawił, aż się pomarszczysz jak suszona śliwka. Jeszcze nie mamy na to antidotum - odpowiedział George, nakładając sobie wędzonego łososia.

- Super - rzekł dziarsko Ron - ale ja chyba skorzystam z lekcji.

- A skoro już mowa o waszych Bombonierkach Lesera - powiedziała Hermiona, zezując na Freda i George'a - to nie wolno wam korzystać z tablicy ogłoszeń do rekrutacji królików doświadczalnych.

- Kto tak powiedział? - zapytał George, robiąc zdumioną minę.

- Ja. I Ron.

- Mnie do tego nie mieszaj - wtrącił szybko Ron.

Hermiona obrzuciła go piorunującym wzrokiem. Fred i George zachichotali.

- Już wkrótce inaczej zaśpiewasz, Hermiono - rzekł Fred, smarując sobie grubo masłem racuszek. - Zaczynasz piąty rok, jeszcze będziesz nas błagać o Bombonierkę.

- A niby dlaczego miałabym potrzebować Bombonierki Lesera na piątym roku?

- Bo na piątym roku są sumy - odrzekł George.

- No i co?

- No i to, że ani się obejrzysz, a będziesz miała egzaminy. Wycisną z ciebie flaki - powiedział z satysfakcją Fred.

- Połowa naszej klasy miała lekkie załamanie nerwowe, podchodząc do sumów - dodał wesoło George. - Napady płaczu, depresje... Patrycja Stimpson wciąż mdlała...

- Kenneth Towler dostał czyraków, pamiętasz? - dorzucił Fred.

- Bo mu nasypałeś bulbadoksu do piżamy - powiedział George.

- Ooo, tak... - roześmiał się Fred. - Zapomniałem... Czasami człowiek gubi się w tym wszystkim...

- W każdym razie piąty rok to koszmar - stwierdził George. - Oczywiście, jeśli zależy ci na wynikach. Fredowi i mnie udało się jakoś to wszystko przetrzymać.

- I co, zaliczyliście chyba po trzy sumy, tak? - wtrącił Ron.

- Zgadza się - odpowiedział lekceważąco Fred. - Ale naszą przyszłość widzimy poza granicami świata osiągnięć akademickich.

- Zastanawialiśmy się poważnie, czy tutaj wracać i kończyć siódmą klasę - dorzucił George dziarskim tonem. - Bo skoro już mamy...

Urwał, bo zauważył ostrzegawcze spojrzenie Harry'ego, który nie chciał, żeby George wspomniał o jego darze: nagrodzie pieniężnej za wygranie Turnieju Trójmagicznego.

- ...sumy - dokończył szybko George - to czy naprawdę musimy zdobyć owutemy? Ale uznaliśmy, że mama nie pozwoli nam wcześniej rzucić szkoły, zwłaszcza teraz, kiedy Percy okazał się największym palantem na świecie.

- Ale nie zamierzamy zmarnować tego ostatniego roku w szkole - dodał Fred, rozglądając się czule po Wielkiej Sali. - Odwalimy tutaj porządne badania rynkowe, ustalimy, czego przeciętny uczeń Hogwartu potrzebuje z naszego sklepu, szczegółowo ocenimy wyniki badań i zaczniemy produkować to, na co jest popyt.

- A skąd weźmiecie pieniądze na rozruch interesu? - zapytała Hermiona sceptycznym tonem. - Przecież potrzebne wam będą składniki, materiały... no i lokal...

Harry nie patrzył na bliźniaków. Policzki mu płonęły; naumyślnie strącił widelec i dał nurka pod stół. Usłyszał, jak Fred odpowiedział:

- Nie zadawaj nam pytań, Hermiono, a my nie będziemy ci opowiadać bajek. Chodź, George, może zdążymy sprzedać jeszcze przed zielarstwem kilka Uszów Dalekiego Zasięgu - Kiedy Harry wychynął spod stołu, bliźniacy już odchodzili; każdy niósł stosik tostów.

- Co to znaczy? - spytała Hermiona, spoglądając to na Harry'ego, to na Rona. - Nie zadawaj nam pytań... To znaczy, że już mają trochę forsy na rozruch sklepu?

- Wiesz, sam się nad tym zastanawiałem - odpowiedział Ron, marszcząc brwi. - Kupili mi nowy komplet szat wyjściowych. Nie mam pojęcia, skąd wzięli tyle galeonów...

Harry uznał, że trzeba wyprowadzić konwersację z tych niebezpiecznych wód.

- Myślicie, że ten rok naprawdę będzie taki ciężki? Przez te egzaminy?

- No pewnie - westchnął Ron. - I chyba tak musi być, nie? Sumy są bardzo ważne, biorą je pod uwagę przy rozpatrywaniu wniosków o pracę i w ogóle. A pod koniec roku będziemy mieć doradztwo w sprawie przyszłej kariery. Bill mi mówił. Żebyśmy mogli sami wybrać odpowiednie owutemy w przyszłym roku.

- Wiecie już, co chcecie robić po skończeniu Hogwartu? - zapytał Harry, gdy wkrótce potem wyszli z Wielkiej Sali, kierując się w stronę klasy historii magii.

- Jeszcze nie... - odpowiedział powoli Ron. - Chyba że... no... - zająknął się i lekko zaczerwienił.

- Że co? - przycisnął go Harry.

- No... byłoby fajnie zostać aurorem - wypalił Ron.

- Jasne! - zgodził się z zapałem Harry.

- Ale aurorzy to elita. Trzeba być naprawdę dobrym. A ty, Hermiono?

- Nie wiem. Myślę, że chciałabym robić coś naprawdę pożytecznego.

- Praca aurora jest bardzo pożyteczna! - zaprotestował Harry.

- Tak, ale nie tylko ona. To znaczy... gdybym, na przykład, mogła dalej rozwijać W.E.S.Z...

Harry i Ron starali się na siebie nie patrzyć.

W Hogwarcie panowała zgodna opinia, że historia magii jest najnudniejszym przedmiotem w całym czarodziejskim świecie. Profesor Binns, jedyny duch wśród nauczycieli, miał tak usypiający głos, że zwykle po dziesięciu minutach każdego ogarniała śpiączka (kiedy było ciepło, to już po pięciu). Jego lekcje były zawsze takie same, a polegały wyłącznie na wygłaszanych tym usypiającym głosem wykładach, z których robili - a raczej powinni robić - notatki, choć zwykle większość gapiła się sennie w przestrzeń. Harry'emu i

Ronowi udawało się jakoś zaliczać historię magii tylko dlatego, że przed egzaminami przepisywali sobie notatki Hermiony. Ona jedna opierała się usypiającej mocy głosu Binnsa.

Tego dnia musieli przecierpieć trzy kwadranse wykładu na temat wojen olbrzymów. W ciągu pierwszych dziesięciu minut Harry dowiedział się na ten temat dość, by uznać, że byłoby to średnio interesujące, gdyby lekcję prowadził kto inny, ale później mózg mu się wyłączył i spędził resztę czasu, grając z Ronem w wisielca. Od czasu do czasu Hermiona obrzucała ich pogardliwym spojrzeniem.

- A co by było - zapytała chłodno, gdy wyszli z klasy na przerwę (Binns uniósł się w powietrze i wsiąknął w tablicę) - gdybym w tym roku nie dała wam swoich notatek?

- Zawalilibyśmy sumy - odrzekł Ron. - Jeśli chcesz tym obarczyć swoje sumienie...

- Zasługujecie na to - warknęła. - Nawet nie próbowaliście go słuchać!

- Próbowaliśmy. Po prostu nie mamy twojego mózgu, twojej pamięci, twojej zdolności do koncentracji... Jesteś bardziej inteligentna... Ale czy ładnie tak nam to wypominać?

- Tylko nie wciskaj mi kitu, dobrze? - żachnęła się Hermiona, ale gdy wyszła pierwsza na mokry dziedziniec, widać było, że trochę się udobruchała.

W powietrzu wisiała mglista mżawka, tak że postacie uczniów, stojących w grupkach na dziedzińcu, były nieco rozmazane. Harry, Ron i Hermiona schronili się pod przeciekającym balkonem, postawili kołnierze, żeby się osłonić przed zimnym, wrześniowym powietrzem i zaczęli dyskutować o tym, co też wymyślił Snape na pierwszą w tym roku lekcję. Właśnie doszli do wspólnego wniosku, że będzie to coś wyjątkowo trudnego, żeby ich pognębić po dwumiesięcznych wakacjach, kiedy nagle ktoś wyłonił się zza rogu budynku, zmierzając w ich stronę.

- Cześć, Harry!

Była to Cho Chang, co więcej, Cho Chang sama, co było dość niezwykłe, bo zwykle otaczała ją grupka rozchichotanych dziewczyn. Harry zapamiętał sobie mękę, jaką musiał przeżyć, gdy chciał ją przyłapać samą i zaprosić na Bal Bożonarodzeniowy.

- Cześć - powitał ją, czując, że robi mu się gorąco.

Ale przynajmniej tym razem nie jesteś uwalany odorosokiem, powiedział sobie w duchu. Cho najwyraźniej pomyślała o tym samym.

- Więc już pozbyłeś się tego świństwa?

- Jakoś mi się udało - mruknął Harry, próbując się uśmiechnąć, tak jakby wspomnienie ich ostatniego spotkania było bardzo zabawne, choć w rzeczywistości wolałby o nim zapomnieć. - A... jak tam wakacje? Dobrze się bawiłaś?

Gdy to powiedział, natychmiast ugryzł się w język, ale było już za późno. Przecież Cho chodziła z Cedrikiem i wspomnienie jego śmierci na pewno zamieniło jej wakacje w koszmar, podobnie jak jego... Przez twarz Cho przemknął ledwo dostrzegalny cień, ale odpowiedziała:

- Och, było w porządku...

- To odznaka Tajfunów? - zapytał nagle Ron, wskazując na przód szaty Cho, gdzie był przypięty błękitny znaczek z podwójnym złotym T. - Kibicujesz im?

- Tak.

- Zawsze im kibicowałaś, czy dopiero jak zaczęli zdobywać mistrzostwo ligi? - zapytał Ron tonem, który Harry uznał za niepotrzebnie napastliwy.

- Kibicuję im od czasu, gdy miałam sześć lat - odrzekła chłodno Cho. - No to... do zobaczenia, Harry.

I odeszła. Hermiona odczekała, aż Cho znajdzie się w połowie dziedzińca, i naskoczyła na Rona:

- Jak mogłeś być taki nietaktowny!

- Co? Ja ją tylko spytałem, czy...

- A nie wpadło ci do głowy, że może chciała pogadać z Harrym na osobności?

- No i co? Przecież mogła, ja jej nie przeszkadzałem...

- To po co na nią napadłeś, jak powiedziała o tej drużynie?

- Ja na nią napadłem? Wcale na nią nie napadałem, ja tylko...

- A kogo to obchodzi, że ona kibicuje Tajfunom?

- Och, daj spokój, połowa ludzi nosi teraz te znaczki, tylko że większość kupiła je całkiem niedawno...

- Ale jakie to ma znaczenie?

- A takie, że to wcale nie są prawdziwi kibice Tajfunów, tylko się załapali w ostatniej chwili, żeby być na topie...

- Dzwonek - przerwał im Harry, bo kłócili się zbyt głośno, by go usłyszeć.

Kłócili się jeszcze przez całą drogę do lochu Snape'a, a Harry miał dość czasu, by dojść do smętnego wniosku, że mając takich przyjaciół, jak Ron i Neville, będzie miał szczęście, jeśli uda mu się porozmawiać z Cho ze dwie minuty, nie pragnąc później na wspomnienie tej rozmowy wyjechać na zawsze za granicę.

Ale jednak - pomyślał, gdy stanęli na końcu kolejki przed drzwiami klasy Snape'a - to ona sama przyszła, żeby z nim porozmawiać... Była dziewczyną Cedrika, mogła znienawidzić Harry'ego za to, że tylko on wyszedł żywy z labiryntu, a jednak rozmawiała z nim całkiem

przyjaźnie. Nic nie wskazywało, by uważała go za wariata albo łgarza, albo za osobę w jakiś pokrętny sposób odpowiedzialną za śmierć Cedrika... Tak, to ona sama podeszła, żeby z nim porozmawiać, i to po raz drugi w ciągu dwóch dni... Poczuł się o wiele lepiej. Nawet złowieszcze skrzypienie drzwi do lochu Snape'a nie uszkodziło maleńkiego pęcherzyka nadziei, który zalągł mu się w piersiach. Wszedł do klasy za Ronem i Hermioną i usiadł z nimi przy stole z tyłu, przy którym zwykle razem siedzieli, nie zwracając uwagi na wojownicze odgłosy, które z siebie wydawali.

- Spokój! - powitał ich chłodno Snape, zamykając za nimi drzwi, choć nie było potrzeby wydawania takiego polecenia, bo gdy tylko usłyszeli trzask drzwi, ucichły wszelkie poszeptywania. Już sama obecność Snape'a wystarczyła, by w klasie zapanował spokój. - Zanim zaczniemy dzisiejszą lekcję - powiedział Snape, podchodząc do swego biurka i rozglądając się po wszystkich - uważam za stosowne przypomnieć wam, że w czerwcu będziecie zdawać ważny egzamin, podczas którego wykażecie waszą wiedzę na temat sporządzania i zastosowania magicznych eliksirów. Niektórzy z was wykazują, co prawda, cechy skretynienia, ale mam wciąż nadzieję, że wszyscy zasłużą przynajmniej na dostateczny, jeśli nie chcą zasłużyć na mój... gniew.

Jego wzrok zatrzymał się na Neville'u, który przełknął głośno ślinę.

- Po ukończeniu tej klasy wielu z was przestanie się uczyć eliksirów. Do owutemowej klasy eliksirów wezmę tylko najlepszych, a to oznacza, że z niektórymi na pewno się pożegnamy.

Teraz spojrzał na Harry'ego, wykrzywiając pogardliwie wargi. Harry nie spuścił oczu, odczuwając ponurą satysfakcję na myśl, że po piątej klasie nie będzie już musiał chodzić na lekcje eliksirów.

- Ale zanim owa szczęśliwa chwila nadejdzie, mamy przed sobą cały rok - przypomniał mu spokojny głos Snape'a - więc niezależnie od tego, czy ktoś zamierza zdawać owutemy z eliksirów czy nie, radzę wszystkim, by skupili wysiłki na osiągnięciu tego wysokiego poziomu wiedzy, którego będę oczekiwał od moich uczniów podczas zaliczania sumów.

- Dzisiaj - oznajmił Snape po krótkiej przerwie - będziemy sporządzać eliksir, który często pojawia się podczas zaliczania Standardowych Umiejętności Magicznych: eliksir spokoju, który uśmierza lęk i łagodzi niepokój. Ale ostrzegam: jeśli zadrży wam ręka przy odmierzaniu poszczególnych składników, ten, kto wasz wywar wypije, może zapaść w głęboki sen, z którego może się nie obudzić. Musicie się więc bardzo skupić na tym, co robicie. - Siedząca po lewej stronie Harry'ego Hermiona wyprostowała się nieco w krześle, a

jej twarz zamarła w najwyższym skupieniu. - Ingrediencje i sposób sporządzenia eliksiru - tu Snape machnął różdżką - są wypisane na tablicy - (spis ingrediencji i sposób pojawiły się na tablicy) - wszystko, co wam będzie do tego potrzebne - znowu machnął różdżką - znajdziecie w tym kredensie - (drzwiczki rzeczonego kredensu otworzyły się z trzaskiem) - macie na to półtorej godziny... Start.

Jak przewidywali Harry, Ron i Hermiona, Snape wymyślił im okropnie trudne zadanie. Składniki trzeba było dodawać do kociołka w ściśle określonym porządku i ilościach; mikstura musiała być mieszana dokładną liczbę razy, najpierw zgodnie ze wskazówkami zegara, potem odwrotnie; temperatura płomieni, na których się podgrzewała, musiała mieć ściśle określoną wartość przez ściśle określony czas, zanim dodało się ostatni składnik.

- Teraz z waszego wywaru powinna się już unosić srebrna para - oznajmił Snape, gdy zostało im jeszcze dziesięć minut.

Harry, straszliwie spocony, rozejrzał się rozpaczliwie po lochu. Z jego kociołka wydobywały się kłęby ciemnoszarej pary, natomiast z kociołka Rona strzelały zielone iskry. Seamus podgrzewał gorączkowo swój kociołek końcem różdżki, bo płomienie zgasły. Nad samą powierzchnią wywaru Hermiony unosiła się jednak srebrna mgiełka i kiedy Snape przechodził koło niej, spojrzał tylko i nie powiedział ani słowa, co oznaczało, że nie może się do niczego przyczepić. Przy kociołku Harry'ego zatrzymał się i obrzucił go jadowicie drwiącym spojrzeniem.

- Potter, czy możesz mi powiedzieć, co to ma być?

Siedzący z przodu klasy Ślizgoni odwrócili głowy; uwielbiali, gdy Snape znęcał się nad Harrym.

- Eliksir spokoju - odrzekł nerwowo Harry.

- A powiedz mi, Potter - wycedził Snape - czy ty umiesz czytać?

Draco Malfoy ryknął śmiechem.

- Tak, umiem - odpowiedział Harry, zaciskając palce na różdżce.

- To przeczytaj mi trzeci wiersz instrukcji.

Harry zmrużył oczy i wbił je w tablicę, z trudem odczytując litery, bo teraz loch wypełnił się już wielokolorową parą.

- Dodaj sproszkowany kamień księżycowy, zamieszaj trzy razy przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, gotuj przez siedem minut, a następnie dodaj dwie krople syropu z ciemiernika czarnego.

Serce w nim zamarło. Nie dodał syropu z ciemiernika, tylko po gotowaniu wywaru przez siedem minut przeszedł do czwartego punktu instrukcji.

- Zrobiłeś wszystko, co napisano w trzecim punkcie instrukcji?

- Nie - odpowiedział bardzo cicho Harry.

- Słucham?

- Nie - powtórzył nieco głośniej. - Zapomniałem o ciemierniku...

- Wiem, że zapomniałeś, Potter, a to znaczy, że to, co tu uwarzyłeś, nie ma najmniejszej wartości. *Evanesco*.

W kociołku Harry'ego nagle zrobiło się pusto, a on sam stał przed nim z bardzo głupią miną.

- Każdy, kto ZDOŁAŁ przeczytać instrukcję - oznajmił z naciskiem Snape - napełni teraz kolbę próbką swego wywaru, zaopatrzy ją w nalepkę ze swoim nazwiskiem i postawi na moim biurku do oceny. Praca domowa: dwanaście cali pergaminu na temat właściwości kamienia księżycowego i jego zastosowania przy sporządzaniu eliksirów. Macie mi to oddać w czwartek.

Podczas gdy wszyscy wokół niego napełniali kolby, Harry zbierał swoje rzeczy, kipiąc z bezsilnej złości. Jego wywar wcale nie był gorszy od wywaru Rona, z którego kociołka buchał teraz silny odór zgniłych jaj, czy Neville'a, który z trudem wydłubywał z kociołka swój wywar o konsystencji świeżo zmieszanego cementu. A jednak to on, Harry, dostał zero punktów za cały dzień pracy. Schował różdżkę do torby i usiadł, obserwując, jak wszyscy podchodzą po kolei do biurka Snape'a i stawiają na nim swoje zakorkowane kolby. Kiedy w końcu zabrzmiał dzwonek, pierwszy opuścił loch i zaczął już jeść, gdy Ron i Hermiona przyszli do Wielkiej Sali. Sklepienie było jeszcze ciemniejsze niż rano, a deszcz zacinał w okna.

- To było naprawdę niesprawiedliwe - powiedziała Hermiona, siadając obok Harry'ego i nakładając sobie zapiekankę z ziemniaków i mięsa. - Twój wywar wcale nie był gorszy od wywaru Goyle'a: kiedy przelał go do kolby, wszystko wybuchło i szata się na nim zapaliła.

- Być może, ale czy Snape był kiedykolwiek wobec mnie sprawiedliwy? - zapytał Harry, wpatrując się w swój talerz.

Żadne nie odpowiedziało; wszyscy troje wiedzieli, że od chwili, gdy Harry pojawił się w Hogwarcie, między nim a Snape'em zrodziła się nieprzejednana wrogość.

- A ja myślałam, że w tym roku będzie trochę lepiej - powiedziała Hermiona tonem pełnym zawodu. - To znaczy... no wiecie... - rozejrzała się uważnie dokoła; obok nich było z

pół tuzina wolnych miejsc i nikt akurat nie przechodził koło stołu - teraz, kiedy on przecież jest w Zakonie i w ogóle...

- Jadowite ropuchy nie zmieniają skóry - oświadczył Ron z powagą. - W każdym razie ja tam zawsze uważałem, że z Dumbledore'em jest coś nie tak, skoro mu ufa. Gdzie są dowody na to, że rzeczywiście przestał pracować dla Sami-Wiecie-Kogo?

- A ja myślę, że Dumbledore ma mnóstwo powodów, by mu ufać, nawet jeśli ich tobie nie przedstawił, Ron - powiedziała Hermiona.

- Och, zamknijcie się już, proszę! - jęknął Harry, gdy Ron już otwierał usta, by coś odpowiedzieć. Oboje, Hermiona i Ron, zamarli z obrażonymi minami. - Nie możecie przestać? Bez przerwy na siebie warczycie! Można zwariować!

Wstał, zarzucił torbę na ramię i odszedł od stołu, pozostawiając niedojedzoną zapiekankę.

Wspinając się marmurowymi schodami po dwa stopnie naraz, mijał wielu uczniów spieszących na drugie śniadanie. Gniew, którym wybuchł tak niespodziewanie, wciąż w nim płonął, a wspomnienie zszokowanych twarzy Rona i Hermiony nie budziło wyrzutów sumienia. Dobrze im tak, pomyślał z satysfakcją. Nie mogą przestać? Muszą się bez przerwy kłócić?... Chyba nikt by tego dłużej nie wytrzymał...

Minął wielki portret Sir Cadogana. Rycerz dobył miecza i wymachiwał nim wojowniczo w stronę Harry'ego, który go zlekceważył.

- Wracaj, nędzny psie! Stań do walki! - ryknął Sir Cadogan spod przyłbicy przytłumionym głosem, a widząc, że Harry nawet się nie obejrzał, próbował go ścigać, przeskakując do sąsiedniego obrazu, ale tu obszczekał go wielki, rozeźlony wilczur.

Harry spędził resztę południowej przerwy samotnie, pod klapą na szczycie Wieży Północnej, więc gdy zabrzmiał dzwonek, pierwszy wszedł po srebrnej drabinie do klasy Sybilli Trelawney.

Wróżbiarstwo było drugim po eliksirach najmniej lubianym przez niego przedmiotem, głównie dlatego, że profesor Trelawney miała zwyczaj przepowiadania mu co jakiś czas rychłej śmierci. Chuda, spowita w zwiewne szale i obwieszona mnóstwem błyszczących paciorków pani Trelawney zawsze przypominała mu jakiegoś owada, zwłaszcza że nosiła szkła bardzo silnie powiększające oczy. Kiedy wszedł do klasy, rozkładała egzemplarze wyświechtanych, oprawionych w skórę książek na każdym ze stolików, porozstawianych bez ładu i składu po całej okrągłej komnacie. Światło, sączące się przez szale i chusty okrywające lampy, i płomienie w kominku, przytłumione odurzającym dymem kadzidła, były jednak tak nikłe, że chyba go nie zauważyła, gdy usiadł gdzieś w cieniu. Reszta klasy przybyła w ciągu

pięciu minut. Z otworu w podłodze wyłonił się Ron, rozejrzał się uważnie, dostrzegł Harry'ego i ruszył prosto ku niemu - a raczej tak prosto, jak się dało, bo musiał kluczyć między stolikami, krzesełkami i pufami.

- Już się nie kłócimy - oznajmił, siadając obok Harry'ego.

- Cieszę się - mruknął Harry.

- Ale Hermiona mówi, że byłoby miło, gdybyś przestał wyładowywać na nas swoją złość.

- Wcale nie...

- Ja tylko przekazuję, co ona powiedziała - przerwał mu Ron. - Ale uważam, że ma rację. To nie nasza wina, że Snape i Seamus tak cię traktują.

- Nigdy nie mówiłem...

- Dzień dobry - zabrzmiał mglisty, rozmarzony głos profesor Trelawney i Harry urwał, czując się jednocześnie obrażony i trochę zawstydzony. - Witam was znowu na lekcji wróżbiarstwa. Śledziłam wasze losy przez całe wakacje i miło mi, że wszyscy powróciliście szczęśliwie do Hogwartu, czego, oczywiście, byłam całkowicie pewna. Na waszych stolikach leżą egzemplarze *Sennika* Iniga Imago. Interpretacja snów jest najważniejszym sposobem przepowiadania przyszłości i bardzo możliwe, że wasza umiejętność korzystania z tej metody zostanie sprawdzona podczas zaliczania sumów. Oczywiście nie oznacza to, bym uważała, że to, czy zdacie egzamin czy go nie zdacie, ma jakieś specjalne znaczenie. Sztuka przepowiadania przyszłości rządzi się innymi prawami. Jeśli ktoś ma dar jasnowidzenia, dyplomy i stopnie niewiele się liczą. Dyrektor życzy sobie jednak, żebyście przeszli przez ten egzamin, więc...

Tu zawiesiła głos, nie pozostawiając ani cienia wątpliwości, że uważa swój przedmiot za coś o wiele wyższego od nędznych egzaminów.

- Otwórzcie, proszę, wasze książki na wstępie i przeczytajcie, co Imago ma do powiedzenia na temat interpretacji snów. Potem podzielcie się na pary i wykorzystajcie Sennik do wzajemnego zinterpretowania sobie waszych ostatnich snów. Proszę bardzo!

Jedyną dobrą stroną tej lekcji było to, że trwała tylko godzinę. Kiedy wszyscy skończyli czytać wstęp do Sennika, pozostało im zaledwie dziesięć minut na interpretację snów. Przy sąsiednim stoliku siedzieli Dean z Neville'em. Neville natychmiast zaczął opowiadać ze szczegółami swój sen, w którym ścigały go wielkie nożyce w najlepszym kapeluszu jego babci na podwójnej głowie. Harry i Ron tylko patrzyli na siebie posępnie.

- Nigdy nie pamiętam snów - mruknął Ron. - Ty opowiedz swój.

- Jakiś sen chyba pamiętasz - odrzekł niecierpliwie Harry.

Nie zamierzał nikomu zdradzać swoich snów. Doskonale wiedział, co oznacza jego powtarzający się wciąż sen o cmentarzu i nie potrzebował żadnych interpretacji Rona, profesor Trelawney czy tego głupiego Sennika...

- No dobra, śniło mi się, że gram w quidditcha - powiedział Ron, marszcząc czoło, żeby sobie lepiej przypomnieć. - Jak myślisz, co to znaczy?

- Pewnie to, że zostaniesz pożarty przez jakąś olbrzymią żelkę - odrzekł Harry, przerzucając bez zainteresowania stronice *Sennika*.

Wyszukiwanie fragmentów snów w Senniku było bardzo nudnym zajęciem, a Harry'emu wcale nie poprawił się nastrój, gdy profesor Trelawney zapowiedziała, że jako pracę domową muszą prowadzić przez miesiąc dziennik snów. Wreszcie zabrzmiał dzwonek. Ron narzekał głośno, kiedy schodzili po drabinie.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę, ile już nam nawalili? Dla Binnsa wypracowanie o wojnach olbrzymów, minimum półtorej stopy pergaminu, Snape chce mieć stopę o użyciu kamienia księżycowego, a teraz jeszcze mamy prowadzić dziennik snów dla Trelawney! Fred i George wcale nie wciskali nam kitu z tym rokiem sumów, no nie? Żeby tylko ta Umbridge jeszcze czegoś nie dowaliła...

Kiedy weszli do klasy obrony przed czarną magią, zastali już tam profesor Umbridge, siedzącą przy biurku nauczycielskim w swoim puchatym różowym swetrze i czarnej, atłasowej przepasce na głowie. Kokardka pośrodku przepaski znowu obudziła w Harrym skojarzenie z wielką muchą siedzącą na jeszcze większej ropusze.

Wszyscy zajmowali w milczeniu swoje miejsca. Nikt nie znał jeszcze profesor Umbridge, więc trudno było przewidzieć, jaki ma stosunek do szkolnej dyscypliny.

- A więc dzień dobry! - powiedziała, gdy wszyscy już usiedli.

Kilka osób wymamrotało „Dzień dobry". Profesor Umbridge zacmokała z niesmakiem.

- Ojojoj... Coś wam nie wyszło, prawda? Więc bardzo proszę powtórzyć: „Dzień dobry, pani profesor Umbridge". Jeszcze raz. Dzień dobry!

- Dzień dobry, pani profesor Umbridge - zaśpiewała chórem klasa.

- No i widzicie, to wcale nie było takie trudne, prawda? A teraz proszę schować różdżki i wyjąć pióra.

Wiele osób wymieniło ponure spojrzenia. Po poleceniu „schować różdżki" nikt nie spodziewał się ciekawej lekcji. Harry schował różdżkę do torby i wyciągnął z niej pióro, atrament i pergamin. Profesor Umbridge otworzyła swoją torebkę, wyjęła wyjątkowo krótką różdżkę i stuknęła nią mocno w tablicę, na której pojawiły się słowa:

Obrona przed czarną magią.

Powrót do podstawowych zasad

- No cóż, wasze dotychczasowe lekcje tego przedmiotu nie były wzorem systematyczności, prawda? - stwierdziła, odwracając się do klasy i wdzięcznie splatając przed sobą dłonie. - Ustawiczne zmiany nauczycieli, z których wielu nie stosowało się do programu zaleconego przez ministerstwo, spowodowały, niestety, że poziom waszej wiedzy i umiejętności daleko odbiega od tego, czego należałoby oczekiwać od uczniów w roku zaliczeń Standardowych Umiejętności Magicznych. Dlatego ucieszycie się zapewne, kiedy wam powiem, że te wszystkie błędy zostaną w tym roku naprawione. Będziemy realizować starannie opracowany, skoncentrowany na teorii, zaaprobowany przez ministerstwo program nauczania obrony przed czarną magią. Proszę zanotować.

Znowu stuknęła w tablicę; pierwsze słowa zniknęły, a ich miejsce zajęły następujące:

Cele programu:

1. Zrozumienie zasad leżących u podstaw magii obronnej.

2. Nauczenie się rozpoznawania sytuacji, w których magia obronna może być użyta zgodnie z prawem.

3. Umieszczenie Wykorzystania magii obronnej w kontekście jej praktycznego użycia.

Przez parę minut w klasie słychać było tylko skrobanie piór po pergaminie. Kiedy wszyscy przepisali z tablicy trzy cele programu nauczania, profesor Umbridge zapytała:

- Czy wszyscy mają *Teorię magii obronnej* Wilberta Slinkharda?

Rozległ się stłumiony pomruk, mający oznaczać, że wszyscy.

- Ojojoj... Chyba musimy spróbować jeszcze raz - powiedziała profesor Umbridge. - Kiedy zadaję wam jakieś pytanie, oczekuję odpowiedzi: „Tak, pani profesor Umbridge” albo „Nie, pani profesor Umbridge”. No więc: Czy wszyscy mają *Teorię magii obronnej* Wilberta Slinkharda?

- Tak, pani profesor Umbridge - odpowiedziała chórem klasa.

- Dobrze. Proszę otworzyć na stronie piątej i przeczytać rozdział zatytułowany: „Uwagi dla początkujących”. I proszę nie rozmawiać. Nie ma takiej potrzeby.

Profesor Umbridge odeszła od tablicy i usiadła za katedrą, obserwując ich oczami ropuchy. Harry otworzył książkę na stronie piątej i zaczął czytać.

To, co przeczytał, było śmiertelnie nudne, prawie tak, jak wykłady profesora Binnsa. Poczuł, że jego uwaga rozprasza się; wkrótce odczytywał już ten sam wiersz w książce kilkanaście razy, nie rozumiejąc z niego więcej niż pierwsze kilka słów. Mijały minuty sennej ciszy. Obok niego Ron machinalnie obracał pióro w palcach, gapiąc się wciąż w to samo miejsce stronicy. Harry zerknął w prawo i wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Hermiona wcale nie otworzyła swojego egzemplarza *Teorii magii obronnej*. Siedziała wyprostowana, z oczami utkwionymi w profesor Umbridge i z wysoko podniesioną ręką.

Harry nie pamiętał, by Hermiona kiedykolwiek zlekceważyła polecenie przeczytania czegoś albo oparła się pokusie zajrzenia do jakiejkolwiek książki, która znalazła się w zasięgu jej rąk. Spojrzał na nią pytająco, ale Hermiona tylko pokręciła nieznacznie głową, dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru odpowiadać, i nadal wpatrywała się w profesor Umbridge, która z równą determinacją patrzyła w inną stronę.

Po kilkunastu minutach Harry nie był już jednak jedyną osobą obserwującą Hermionę. Rozdział, który mieli przeczytać, był tak przeraźliwie nudny, że coraz więcej osób wolało przyglądać się niemym wysiłkom Hermiony zwrócenia na siebie uwagi profesor Umbridge, niż walczyć z „Uwagami dla początkujących".

Kiedy ponad połowa klasy utkwiła oczy w Hermionie, profesor Umbridge uznała, że nie może już dłużej ignorować tej sytuacji.

- Czy chcesz zapytać o coś, co dotyczy tego rozdziała, moja droga? - zwróciła się do Hermiony, jakby ją dopiero teraz zauważyła.

- To nie dotyczy tego rozdziału - odpowiedziała Hermiona.

- Teraz czytamy - oznajmiła profesor Umbridge, pokazując swe małe, ostre zęby. - Jeśli masz jakieś inne problemy, możemy się nimi zająć pod koniec lekcji.

- Mam pytanie dotyczące celów programu nauczania - oświadczyła Hermiona.

Profesor Umbridge uniosła brwi.

- I nazywasz się...

- Hermiona Granger.

- No więc, panno Granger, uważam, że cele programu nauczania są całkowicie jasne, wystarczy je tylko uważnie przeczytać - powiedziała profesor Umbridge przesadnie słodkim głosem.

- Dla mnie nie są - oświadczyła Hermiona. - Tam nie ma nic o użyciu zaklęć obronnych.

Zapadło milczenie, w czasie którego wiele głów zwróciło się w stronę tablicy, żeby jeszcze raz przeczytać trzy punkty.

- O użyciu zaklęć obronnych? - powtórzyła profesor Umbridge, parskając lekkim śmiechem. - Jakoś trudno mi sobie wyobrazić sytuację w mojej klasie, która by wymagała użycia zaklęcia obronnego, panno Granger. Czyżbyś się spodziewała, że zostaniesz zaatakowana podczas lekcji?

- To nie będziemy używać czarów? - wypalił głośno Ron.

- Uczniowie podnoszą rękę, kiedy chcą coś powiedzieć na mojej lekcji, panie...

- Weasley - powiedział Ron, podnosząc rękę.

Profesor Umbridge odwróciła się od niego z jeszcze szerszym uśmiechem na twarzy. Harry i Hermiona natychmiast podnieśli ręce. Wyłupiaste oczy profesor Umbridge spoczęły przez chwilę na Harrym, po czym zatrzymały się na Hermionie.

- Czy panna Granger chce zapytać o coś innego?

- Tak. Czyż nauczanie obrony przed czarną magią nie ma na celu opanowania zaklęć obronnych?

- A co, czyżbyś była ekspertem Ministerstwa Magii od spraw nauczania? - zapytała profesor Umbridge przesadnie słodkim głosem.

- Nie, ale...

- A więc obawiam się, że nie masz odpowiednich kwalifikacji, by decydować, co ma na celu nauczanie jakiegoś przedmiotu. Nasz nowy program opracowali czarodzieje o wiele starsi i mądrzejsi od ciebie. Będziesz się uczyć o zaklęciach obronnych w całkowicie bezpieczny, pozbawiony ryzyka sposób...

- A co to da? - zapytał na głos Harry. - Jak ktoś nas zaatakuje, to...

- Panie Potter, RĘKA! - zaśpiewała profesor Umbridge.

Ręka Harry'ego wystrzeliła w powietrze. Profesor Umbridge odwróciła się od niego, ale teraz podniosło się już więcej rąk.

- Twoje nazwisko? - zapytała Deana.

- Dean Thomas.

- Więc słucham, panie Thomas.

- No więc chyba jest tak, jak mówi Harry, prawda? Jeśli ktoś nas zaatakuje, to przecież nie będzie to pozbawione ryzyka...

- Więc powtórzę raz jeszcze - przerwała mu profesor Umbridge, uśmiechając się w bardzo irytujący sposób. - Czyżbyś się spodziewał, że ktoś cię zaatakuje na mojej lekcji?

- Nie, ale...

- Nie chcę krytykować metod, jakie stosowano w tej szkole - przerwała mu profesor Umbridge, nadal uśmiechając się sztucznie - ale profesorowie, którzy nauczali was tego przedmiotu, byli bardzo, ale to bardzo nieodpowiedzialni. Nie wspomnę już, że zdarzali się wśród nich - tu prychnęła pogardliwie - wysoce niebezpieczni mieszańcy.

- Jeśli ma pani na myśli profesora Lupina - zawołał ze złością Dean Thomas - to był to nasz najlepszy...

- RĘKA, panie Thomas! A więc, jak mówiłam, wtajemniczono was w zaklęcia bardzo złożone, nieodpowiednie dla waszego wieku, potencjalnie śmiercionośne. Wmawiano wam, że każdego dnia możecie się spotkać z atakiem Ciemnej Strony...

- Nie, to nie było tak - powiedziała Hermiona. - My tylko...

- NIE WIDZĘ PODNIESIONEJ RĘKI, PANNO GRANGER!

Hermiona podniosła rękę, na co profesor Umbridge natychmiast się od niej odwróciła.

- Zgodnie z moją wiedzą na ten temat, mój poprzednik nie tylko rzucał nielegalne zaklęcia w waszej obecności, ale zdarzało mu się też rzucać je na WAS...

- No i okazało się, że to był wariat, prawda? - wtrącił Dean Thomas. - Ale mimo to nauczyliśmy się mnóstwa...

- NIE WIDZĘ PODNIESIONEJ RĘKI, PANIE THOMAS! - zapiała profesor Umbridge. - Otóż ministerstwo uważa, że musicie posiąść gruntowną wiedzę teoretyczną, żeby zdać pomyślnie egzaminy, a przecież po to właśnie jest szkoła. Twoje nazwisko? - dodała, patrząc na Parvati, która właśnie podniosła rękę.

- Parvati Patii, ale czy przy zaliczaniu suma z obrony przed czarną magią nie spotkamy się z żadnymi zadaniami praktycznymi? Nie będziemy musieli wykazać, że potrafimy skutecznie rzucić przeciwzaklęcie albo coś innego?

- Jeśli będziecie dostatecznie pilnie uczyć się teorii, nie ma powodu, abyście nie potrafili rzucić zaklęcia w ściśle kontrolowanych warunkach egzaminacyjnych - powiedziała profesor Umbridge tonem ucinającym dyskusję.

- Bez ćwiczenia ich uprzednio? - zapytała niedowierzająco Parvati. - Czy to znaczy, że po raz pierwszy użyjemy zaklęć dopiero podczas egzaminu?

- Powtarzam, jeśli będziecie dostatecznie pilnie uczyć się teorii...

- A co nam da dobra teoria w realnym świecie? - zapytał na głos Harry, podnosząc rękę.

Profesor Umbridge zmierzyła go wzrokiem.

- To jest szkoła, Potter, a nie realny świat - powiedziała łagodnie.

- Więc nie mamy być przygotowani na to, co nas czeka w świecie poza szkołą?

- Tam nic was nie czeka, Potter.

- Czyżby? - zdziwił się Harry. Gniew, który gotował się w nim przez cały dzień, teraz osiągnął krytyczny punkt wrzenia.

- A kto, według ciebie, miałby zaatakować takie dzieci jak wy? - spytała profesor Umbridge okropnie przesłodzonym tonem.

- Hmm, pomyślmy... - tym razem w głosie Harry'ego jawnie zabrzmiała kpina. - Może LORD VOLDEMORT?

Ron nabrał głośno powietrza, Lavender Brown pisnęła, Neville ześliznął się z krzesła. Profesor Umbridge ani drgnęła, tylko wpatrywała się w Harry'ego z ponurą satysfakcją.

- Gryffindor traci przez ciebie dziesięć punktów, Potter.

W sali zapadła głucha cisza. Wszyscy patrzyli to na Umbridge, to na Harry'ego.

- A teraz postawmy jasno parę spraw - oświadczyła, po czym wstała i wychyliła się ku nim, rozpłaszczając grube palce na pulpicie katedry. - Powiedziano wam, że pewien czarnoksiężnik wrócił zza grobu...

- On wcale nie umarł - przerwał jej ze złością Harry. - Ale... tak, powrócił!

- Panie-Potter-przez-pana-Gryffindor-już-stracił-dziesięć-punktów-proszę-nie-pogarszać-swojej-sytuacji - wyrzuciła z siebie profesor Umbridge na jednym wydechu, nie patrząc na Harry'ego. - Jak już wspomniałam, powiedziano wam, że pewien czarnoksiężnik znowu odzyskał swą moc. To kłamstwo.

- To NIE jest kłamstwo! - krzyknął Harry. - Sam go widziałem! Walczyłem z nim!

- Szlaban, panie Potter! - oznajmiła triumfalnie profesor Umbridge. - Jutro po południu. O piątej. W moim gabinecie. Więc powtarzam, TO JEST KŁAMSTWO. Ministerstwo Magii gwarantuje, że nie grozi wam żaden czarnoksiężnik. A jeśli ktoś z was nadal się boi, zapraszam go na swój dyżur pozalekcyjny. Chętnie posłucham, kto was straszy takimi bzdurami o czarnoksiężnikach. Jestem tu, żeby wam pomóc. Jestem waszym przyjacielem. A teraz, proszę, wracajcie do lektury. Strona piąta, „Uwagi dla początkujących".

I usiadła za katedrą. Harry wstał. Wszyscy na niego patrzyli - Seamus trochę ze strachem, a trochę z podziwem.

- Harry, nie! - szepnęła ostrzegawczo Hermiona, ciągnąc go za rękaw, ale Harry szarpnął ramieniem i odsunął się od niej.

- Więc według pani, Cedrik Diggory zmarł na swoje własne życzenie, tak? - zapytał rozdygotany.

Wszyscy wstrzymali oddechy, bo jeszcze nikt, oprócz Rona i Hermiony, nie słyszał opowieści Harry'ego o tym, co wydarzyło się w ową noc, w którą zginął Cedrik. Wytrzeszczali oczy to na Harry'ego, to na profesor Umbridge, która podniosła głowę i wpatrywała się w niego bez cienia wymuszonego uśmiechu na twarzy.

- Śmierć Cedrika Diggory'ego była skutkiem nieszczęśliwego wypadku - powiedziała chłodno.

- To było morderstwo - rzekł Harry, który cały się trząsł. Do tej pory niewielu osobom to powiedział, a już na pewno nigdy nie mówił tego trzydziestce łowiących każde jego słowo koleżanek i kolegów. - Zabił go Voldemort i pani dobrze o tym wie.

Twarz profesor Umbridge pobielała. Przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby chciała na niego wrzasnąć. A potem powiedziała swoim najsłodszym, najbardziej dziewczęcym głosikiem:

- Podejdź tu, Potter.

Odepchnął krzesło, minął Rona i Hermionę i podszedł do katedry. Czuł, że reszta klasy wstrzymała oddech. Był tak wściekły, że nie dbał, co się za chwilę stanie.

Profesor Umbridge wyciągnęła z torebki zwitek różowego pergaminu, rozprostowała go na pulpicie, zanurzyła pióro w kałamarzu i zaczęła coś skrobać na pergaminie, pochylona tak nisko, że Harry nie mógł dostrzec, co pisze. W klasie było cicho. Po blisko minucie zwinęła z powrotem pergamin i stuknęła różdżką w rulonik, który zamknął się jak walec bez szwu.

- Zanieś to profesor McGonagall, mój drogi - powiedziała, wręczając mu rulonik.

Wziął go od niej bez słowa i wyszedł z klasy, nawet nie spojrzawszy na Rona i Hermionę. Trzasnął drzwiami i ruszył szybko korytarzem, ściskając w dłoni notkę do profesor McGonagall. Za rogiem natknął się na poltergeista Irytka, małego człowieczka o szerokiej twarzy, unoszącego się na plecach w powietrzu i żonglującego kilkoma kałamarzami.

- O, a oto i nasz Świrry Potter! - zarechotał Irytek, pozwalając dwóm kałamarzom spaść na podłogę, gdzie roztrzaskały się, obryzgując atramentem ściany. Harry odskoczył do tyłu.

- Odwal się, Irytku.

- Oooch, Głupoterrowi znowu odbiło! - zachichotał Irytek, po czym ruszył za nim, pokrzykując z wysoka: - Co tym razem, Durnoterku? Słyszysz głosy? Masz zwidy? Mówisz... - tu Irytek wydmuchał olbrzymi balon z truskawkowej gumy do żucia - JĘZYKAMI?

- Powiedziałem, zostaw mnie W SPOKOJU! - krzyknął Harry, zbiegając po schodach, ale Irytek zjechał za nim na plecach po poręczy, wyśpiewując:

Wszyscy sobie myślą, że Potter to cham,

Lecz prawda jest inna, powie Irys wam:

Potterek dostał świra i w tym cały kram...

- ZAMKNIJ SIĘ!

Drzwi na lewo otworzyły się z trzaskiem i profesor McGonagall wyłoniła się ze swojego gabinetu. Miała ponurą, lekko znękaną minę.

- Co ty tu wywrzaskujesz, Potter? - warknęła, kiedy Irytek zarechotał z uciechy i zniknął za jakimś rogiem. - Dlaczego nie jesteś w klasie?

- Zostałem wysłany do pani profesor - odrzekł sucho Harry.

- Wysłany? Co to znaczy: wysłany?

Wyciągnął ku niej notatkę profesor Umbridge. Profesor McGonagall wzięła rulonik, zmarszczyła czoło, otworzyła zwitek jednym stuknięciem różdżki, rozwinęła go i zaczęła czytać. Jej oczy biegały szybko za prostokątnymi okularami, odczytując to, co napisała profesor Umbridge, zwężając się coraz bardziej z każdym wierszem.

- Wejdź tutaj, Potter.

Wszedł za nią do gabinetu. Drzwi zamknęły się za nim automatycznie.

- No więc? - rzuciła niecierpliwie. - Czy to prawda?

- Co ma być prawdą? - zapytał Harry trochę bardziej agresywnym tonem, niż zamierzał, więc szybko dodał: - Pani profesor?

- Czy to prawda, że podniosłeś głos na profesor Umbridge?

- Tak.

- I że zarzuciłeś jej kłamstwo?

- Tak.

- I powiedziałeś jej, że Ten, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać powrócił?

- Tak.

Profesor McGonagall usiadła za biurkiem i spojrzała na niego srogo. Potem powiedziała:

- Weź sobie ciasteczko, Potter.

- Co proszę?

- Weź sobie ciasteczko - powtórzyła niecierpliwie, wskazując kraciastą puszkę stojącą na szczycie jednego ze stosów papierów na biurku. - I usiądź.

Już kiedyś wydarzyło się coś podobnego - Harry spodziewał się połajanki, a tymczasem profesor McGonagall oznajmiła mu, że będzie grał w quidditcha w drużynie Gryfonów. Opadł na fotel stojący naprzeciw biurka i wziął sobie z pudełka piernikową traszkę, czując się podobnie zbity z tropu jak wówczas.

Profesor McGonagall odłożyła notatkę profesor Umbridge i spojrzała na niego z powagą.

- Potter, musisz być ostrożny.

Harry przełknął kęs traszki i spojrzał na nią ze zdziwieniem. Jej głos był zupełnie inny niż zwykle: nie był wcale dziarski, szorstki i surowy - był pełen niepokoju i jakoś bardziej ludzki.

- Złe zachowanie na lekcjach Dolores Umbridge może cię kosztować o wiele więcej niż szlaban czy utrata punktów przez twój dom.

- Co pani...

- Potter, użyj swych szarych komórek - warknęła profesor McGonagall, nagle wracając do swego zwykłego sposobu bycia. - Przecież wiesz, skąd ona przyszła, więc musisz wiedzieć, komu donosi.

Rozległ się dzwonek obwieszczający koniec lekcji. W górze i dookoła zadudnił słoniowy tupot nóg setek uczniów wybiegających z klas.

- Napisała, że masz u niej szlaban w każde popołudnie przez cały tydzień, począwszy od jutra - powiedziała profesor McGonagall, spoglądając ponownie na notatkę.

- W każde popołudnie przez cały tydzień! - jęknął Harry. - Ale... pani profesor, czy nie mogłaby pani...

- Nie, nie mogłabym - przerwała mu sucho profesor McGonagall.

- Ale...

- Jest twoją nauczycielką i ma prawo cię karać. Pójdziesz do jej gabinetu jutro o piątej po południu. I pamiętaj: w obecności Dolores Umbridge bądź ostrożny.

- Ale ja przecież mówiłem prawdę! - oburzył się Harry. - Voldemort wrócił, pani o tym wie, profesor Dumbledore o tym wie...

- Na miłość boską, Potter! - powiedziała profesor McGonagall, poprawiając sobie ze złością okulary (skrzywiła się okropnie na dźwięk nazwiska Voldemorta). - Czyżbyś uważał, że tu chodzi o prawdę czy kłamstwo? Tu chodzi o to, żebyś nie zadzierał nosa i trzymał swój temperament na wodzy!

Wstała, rozdymając nozdrza i zaciskając usta. Harry też wstał.

- Weź sobie jeszcze jedno ciasteczko - warknęła, rzucając mu puszkę.

- Nie, dziękuję - odrzekł Harry obrażonym tonem.

- Nie bądź śmieszny!

Wziął ciasteczko.

- Potter, nie słuchałeś uważnie przemowy Dolores Umbridge podczas uczty na rozpoczęcie roku?

- Słuchałem... - odrzekł Harry. - Taak... powiedziała... że postęp zostanie zakazany albo... no tak, to znaczy, że... że Ministerstwo Magii próbuje mieszać się w sprawy Hogwartu.

Profesor McGonagall przyglądała mu się przez chwilę, potem pociągnęła nosem, obeszła biurko i otworzyła drzwi.

- No, w każdym razie cieszę się, że słuchasz przynajmniej Hermiony Granger - powiedziała, wskazując mu otwarte drzwi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY
SZLABAN U DOLORES

Tego wieczoru kolacja w Wielkiej Sali nie była dla Harry'ego miłym przeżyciem. Wiadomość o jego głośnej utarczce z profesor Umbridge rozniosła się z szybkością wyjątkową nawet jak na Hogwart. Kiedy usiadł między Ronem i Hermioną, słyszał dokoła podniecone szepty. I nikomu najwyraźniej nie zależało na tym, by nie dosłyszał, co o nim mówią, przeciwnie, zachowywali się tak, jakby chcieli go rozjuszyć i sprowokować do kolejnego wybuchu, żeby na własne uszy posłuchać jego opowieści.

- Mówi, że widział, jak zamordowano Cedrika Diggory'ego...

- Twierdzi, że walczył z Sam-Wiesz-Kim... - Daj spokój...

- Myśli, że co... że może nas robić w konia?

- Nawija, co mu do głowy przyjdzie...

- Jednego nie mogę zrozumieć - powiedział Harry rozdygotanym głosem, odkładając nóż i widelec (ręce za bardzo mu się trzęsły, aby utrzymać sztućce). - Dlaczego wszyscy uwierzyli w to dwa miesiące temu, kiedy opowiadał o tym Dumbledore...

- Rzecz w tym, Harry, że chyba wcale nie uwierzyli - stwierdziła ponuro Hermiona. - Och, chodźmy stąd.

Cisnęła na stół nóż i widelec. Ron spojrzał tęsknie na swój zjedzony do połowy jabłecznik, ale zrobił to samo. Kiedy wychodzili, wszyscy się na nich gapili.

- Dlaczego myślisz, że chyba wcale mu nie uwierzyli? - spytał Harry, kiedy weszli na pierwsze piętro.

- Harry, ty nie rozumiesz, jak to było - odpowiedziała cicho Hermiona. - Pojawiłeś się pośrodku trawnika, dźwigając martwe ciało Cedrika... Nikt z nas nie widział tego, co się wydarzyło w labiryncie... Mogliśmy tylko uwierzyć na słowo Dumbledore'owi, że Sam-Wiesz-Kto powrócił, że zabił Cedrika, że walczył z tobą.

- Ale tak przecież było! - zaperzył się Harry.

- Wiem, Harry, więc może byś wreszcie przestał na mnie ryczeć! Chodzi o to, że zanim to, co się wydarzyło, naprawdę do nich dotarło, wszyscy wyjechali na wakacje do swoich domów, gdzie przez dwa miesiące czytali tylko o tym, że ty jesteś czubkiem, a Dumbledore cierpi na uwiąd starczy!

Deszcz bębnił w parapety okien, gdy szli pustymi korytarzami do wieży Gryffindoru. Harry czuł się tak, jakby ten jego pierwszy dzień w szkole ciągnął się już przez cały tydzień, ale pamiętał, że przed pójściem do łóżka czeka go jeszcze cała sterta prac domowych. Nad

prawym okiem poczuł pulsujący; tępy ból. Kiedy skręcili w korytarz Grubej Damy, spojrzał przez zalewane deszczem okna na ciemne błonia. W chatce Hagrida było nadal ciemno.

- *Mimbulus mimbletonia* - powiedziała Hermiona, zanim Gruba Dama zapytała o hasło.

Portret odchylił się, ukazując dziurę w ścianie, przez którą wszyscy troje weszli do środka.

Pokój wspólny był niemal pusty; prawie wszyscy byli na kolacji. Krzywołap zeskoczył z fotela i podbiegł do nich, mrucząc głośno, a kiedy zajęli swoje ulubione fotele przy kominku, wskoczył Hermionie na kolana i zwinął się w kłębek, przypominając puszystą złotawą poduszkę. Harry wpatrzył się w płomienie, czując zmęczenie i pustkę.

- Jak Dumbledore mógł na to pozwolić! - wykrzyknęła nagle Hermiona. Harry i Ron aż podskoczyli, a Krzywołap dał susa na podłogę, rzucając jej obrażone spojrzenie. Rąbnęła kilka razy w poręcze fotela, aż z dziur powyłaziła gąbka. - Jak mógł pozwolić na to, żeby nas uczyła ta straszna baba! I to w roku sumów!

- Prawdę mówiąc, to nigdy nie mieliśmy dobrego nauczyciela obrony przed czarną magią - zauważył Harry. - I wiemy dlaczego, bo Hagrid nam powiedział, że na tę posadę rzucono jakiś urok, więc nikt nie chce się tego podjąć.

- Tak, ale żeby zatrudnić kogoś, kto nie pozwala nam rzucać zaklęć?! O co temu Dumbledore'owi chodzi?

- No i ona próbuje namówić ludzi, żeby dla niej szpiegowali - mruknął Ron. - Pamiętacie, jak powiedziała, żeby do niej przychodzić i mówić, kto opowiada o powrocie Sami-Wiecie-Kogo?

- To chyba jasne, że jest tutaj po to, żeby nas wszystkich szpiegować, bo przecież przysłał ją Knot, prawda? - warknęła Hermiona.

- Tylko nie zaczynajcie się znowu kłócić - powiedział zmęczonym głosem Harry, kiedy Ron już otworzył usta, żeby się odgryźć Hermionie. - Czy nie możemy... Lepiej odróbmy lekcje, miejmy to z głowy...

Zabrali swoje torby szkolne z kąta pokoju i wrócili na fotele przy kominku. Gryfoni zaczęli wracać z kolacji. Harry starał się nie odwracać twarzy w stronę dziury w ścianie, ale czuł na karku ich spojrzenia.

- Odwalimy najpierw to dla Snape'a, dobra? - powiedział Ron, zanurzając pióro w kałamarzu. - Właściwości... kamienia księżycowego... i jego wykorzystanie... przy sporządzaniu... eliksirów - mruczał pod nosem, wypisując temat u góry swojego pergaminu. -

No dobra. - Podkreślił tytuł i spojrzał pytająco na Hermionę. - Więc jakie są właściwości kamienia księżycowego i jego wykorzystanie przy sporządzaniu eliksirów?

Ale Hermiona go nie słuchała, wpatrzona w daleki kąt pokoju, gdzie Fred, George i Lee Jordan siedzieli pośród grupki niewinnie wyglądających pierwszoroczniaków, którzy żuli coś, co najwyraźniej pochodziło z wielkiej papierowej torby trzymanej przez Freda.

- O nie, bardzo mi przykro, ale to już zaszło za daleko - oświadczyła, wstając z wściekłą miną. - Ron, idziemy.

- Ja... Że co? - Ron wyraźnie próbował zyskać na czasie. - Nie... daj spokój, Hermiono... nie możemy im nagadać za to, że częstują kogoś słodyczami...

- Doskonale wiesz, że to są Krwotoczki Truskawkowe albo... albo Wymiotki Pomarańczowe... albo...

- Omdlejki Grylażowe? - szepnął Harry.

Pierwszoroczniacy, jeden po drugim, padali bez zmysłów, jakby ich ktoś po kolei zdzielił w głowę niewidzialnym młotem; jedni osuwali się na podłogę, inni tylko przewalali się przez oparcia foteli, zwisając bezwładnie z językami na wierzchu. Większość obecnych w pokoju uczniów ryczała ze śmiechu. Hermiona wyprostowała się, uniosła ramiona i pomaszerowała prosto do Freda i George'a, którzy teraz stali nad pierwszoroczniakami z podkładkami do notowania w rękach, uważnie ich obserwując. Ron uniósł się nieco w fotelu, jakby chciał wstać, potem zakołysał się kilka razy i mruknął do Harry'ego: - Ona już panuje nad sytuacją - i zapadł się w fotel tak nisko, jak tylko pozwalały na to wysłużone oparcia.

- Dość tego! - krzyknęła Hermiona do Freda i George'a, którzy spojrzeli na nią z lekkim zaskoczeniem.

- Masz rację - powiedział George, kiwając głową. - Ta dawka wygląda na dość silną, prawda?

- Powiedziałam wam dzisiaj rano, że nie możecie wypróbowywać tych świństw na uczniach!

- My im płacimy! - oburzył się Fred.

- To mnie nie obchodzi! To może być niebezpieczne!

- Daj spokój!

- Uspokój się, Hermiono, nic im nie jest! - powiedział Lee, który chodził od jednego pierwszoroczniaka do drugiego, wtykając im do otwartych ust fioletowe cukierki.

- No pewnie, zobacz, już dochodzą do siebie - powiedział George.

Pierwszoroczniacy rzeczywiście odzyskiwali przytomność. Byli wyraźnie wstrząśnięci, stwierdziwszy, że leżą na podłodze albo zwisają z poręczy foteli, co upewniło Harry'ego, że Fred i George wcale im nie powiedzieli, jaki będzie skutek zjedzenia cukierka.

- No jak, dobrze się czujesz? - zapytał uprzejmie George małą, czarnowłosą dziewczynkę leżącą u jego stóp.

- Ch-chyba tak - bąknęła drżącym głosikiem.

- Wspaniale - ucieszył się Fred, ale w następnej chwili Hermiona wyrwała mu z rąk podkładkę do notowania i papierową torbę z Omdlejkami Grylażowymi.

- To wcale nie jest wspaniałe!

- Jak to, przecież żyją, prawda? - oburzył się Fred.

- Nie wolno wam tego robić! A jakby któreś z nich naprawdę się pochorowało?

- Żadne by się nie pochorowało, wypróbowaliśmy już te ciućki na sobie, po prostu chcemy zobaczyć, czy każdy reaguje tak samo...

- Jeżeli nie przestaniecie tego robić, to...

- To co? Dasz nam szlaban? - zapytał Fred tonem, w którym można było wyraźnie dosłuchać się ostrzeżenia: „Spróbuj, to zobaczysz".

- Każesz nam przepisywać zdania? - dodał George, uśmiechając się ironicznie.

Obserwujący tę scenę uczniowie śmiali się głośno. Hermiona wyprostowała się jeszcze bardziej, oczy jej się zwęziły, puszyste włosy zdawały się trzaskać elektrycznością.

- Nie - odpowiedziała głosem drżącym od gniewu. - Napiszę do waszej matki.

- Tego nie zrobisz - powiedział przerażony George, cofając się o krok.

- Tak, zrobię to - oświadczyła Hermiona. - Nie mogę wam zabronić połykania tego świństwa, ale nie będziecie go dawać tym pierwszoroczniakom.

Fred i George wyglądali, jakby ich poraził piorun. Groźba Hermiony była dla nich ciosem poniżej pasa. Rzuciwszy im ostatnie srogie spojrzenie, wcisnęła Fredowi w ręce notatnik i torbę z omdlejkami, po czym wróciła do swojego fotela przy kominku.

Ron siedział teraz tak nisko, że jego nos zrównał się z kolanami.

- Dziękuję za wsparcie, Ron - powiedziała cierpko Hermiona.

- Poradziłaś sobie świetnie beze mnie - wymamrotał Ron.

Hermiona spojrzała na swój czysty pergamin, a potem oświadczyła ze złością:

- To nic nie da. Teraz nie potrafię się skupić. Idę spać.

Jednym szarpnięciem otworzyła swoją torbę. Harry był pewny, że Hermiona zamierza pochować książki, ale zamiast tego wyciągnęła z torby jakieś dwa niekształtne wełniste przedmioty, umieściła je pieczołowicie na stoliku przy kominku, położyła na nich kilka

skrawków pergaminu i złamane pióro, po czym usiadła, podziwiając efekt swych dziwnych działań.

- Na Merlina, co ty robisz, Hermiono? - zapytał Ron, patrząc na nią, jakby się lękał o jej zdrowie psychiczne.

- To są czapki dla skrzatów domowych - odpowiedziała, chowając książki do torby. - Zrobiłam je w lecie. Nie jestem najlepsza w robieniu na drutach bez czarów, ale teraz, jak już jestem w szkole, będę mogła zrobić ich o wiele więcej.

- Zostawiasz tu czapki dla skrzatów domowych? - zapytał powoli Ron. - I przykrywasz je śmieciami?

- Tak - odpowiedziała wojowniczo Hermiona, zarzucając torbę na ramię.

- Jak możesz! - warknął Ron. - Próbujesz nakłonić je podstępem, żeby wzięły te czapki do ręki. Uwalniasz je, choć mogą wcale nie pragnąć wolności.

- One pragną być wolne! - powiedziała natychmiast Hermiona, choć lekko się zarumieniła. - I nie waż się dotykać tych czapek!

I odeszła. Ron odczekał, aż zniknie w drzwiach prowadzących do sypialni dziewcząt, po czym zdjął śmieci z wełnianych czapeczek.

- Powinny przynajmniej wiedzieć, co biorą do ręki - oświadczył stanowczo. - Tak czy siak... - zwinął pergamin, na którym napisał tytuł wypracowania - nie ma sensu zabierać się do tego, bez Hermiony i tak nic nie napiszę, nie mam zielonego pojęcia, co się robi z tym księżycowym kamieniem, a ty?

Harry potrząsnął przecząco głową, stwierdzając przy okazji, że ból w prawej skroni staje się coraz dotkliwszy. Pomyślał o długim wypracowaniu o wojnach olbrzymów i ból przeszył go ze zdwojoną siłą. Wiedząc dobrze, że jutro rano będzie tego żałował, schował książki do torby.

- Ja też idę spać.

W drzwiach minął Seamusa, ale nawet na niego nie spojrzał. Odniósł niejasne wrażenie, że Seamus otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale przyspieszył kroku i wszedł na kamienne spiralne schody. Nie chciał już znosić żadnych nowych prowokacji.

* * *

Następnego ranka było tak samo szaro i deszczowo jak poprzedniego. Na śniadaniu przy stole nauczycielskim nadal brakowało Hagrida.

- Ale jest i plus: to dzień bez Snape'a - pocieszył ich Ron.

Hermiona ziewnęła szeroko i nalała sobie kawy. Wydawała się z czegoś zadowolona, a kiedy Ron spytał ją, co ją tak cieszy, odpowiedziała:

- Czapeczki znikły. Wygląda na to, że domowe skrzaty jednak pragną wolności.

- Ja bym się o to nie założył - rzekł Ron. - Może takie czapeczki nie są zaliczane do ubrań. Mnie tam w ogóle nie przypominają czapek, już raczej wełniane pęcherze.

Hermiona nie odzywała się do niego przez całe przedpołudnie.

Po dwóch godzinach zaklęć mieli dwie godziny transmutacji. I profesor Flitwick, i profesor McGonagall przez pierwsze piętnaście minut lekcji przypominali im o czekających ich egzaminach.

- Musicie pamiętać - powiedział maleńki profesor Flitwick, który jak zwykle przycupnął na stosie książek, bo inaczej nie byłoby go widać zza katedry - że od tych egzaminów może zależeć wasza przyszłość! Jeśli dotąd nie zastanawialiście się poważnie nad przyszłą karierą, teraz nadszedł na to czas. A zanim egzaminy nadejdą, czeka was ciężka praca, cięższa niż w poprzednich latach. Każdy powinien pokazać, na co go stać!

Potem przez ponad godzinę przypominali sobie zaklęcia przywołujące, które według Flitwicka na pewno znajdą się wśród pytań egzaminacyjnych, a na zakończenie lekcji zadał im mnóstwo pracy domowej.

Na transmutacji było tak samo, jeśli nie jeszcze gorzej.

- Nie zdacie żadnego suma - oświadczyła z groźną miną profesor McGonagall - bez poważnego przyłożenia się do nauki, bez mnóstwa ćwiczeń i bez rzetelnej wiedzy. Nie widzę powodu, by ktokolwiek z tej klasy nie zaliczył suma z transmutacji, jeśli przyłoży się do pracy. - Neville prychnął cicho z niedowierzaniem. - Ty też, Longbottom. Tobie brakuje tylko wiary w siebie. No więc... dzisiaj zaczniemy przerabiać zaklęcia powodujące znikanie. Są łatwiejsze od zaklęć powodujących pojawianie się, które poznacie dopiero na poziomie owutemów, ale i tak należą do najtrudniejszych czarów, jakich wam przyjdzie dokonać podczas suma.

I miała rację. Harry stwierdził, że zaklęcia powodujące znikanie są piekielnie trudne. Pod koniec dwugodzinnej lekcji ani jemu, ani Ronowi nie udało się skłonić do zniknięcia ślimaka, na których ćwiczyli, choć Ron stwierdził, że jego ślimak jest już trochę bledszy. Natomiast Hermiona dokonała tego już za trzecim podejściem, zdobywając w ten sposób dziesięć punktów dla Gryffindoru. Poza tym profesor McGonagall tylko jej nie zadała nic do domu; reszta miała ćwiczyć zaklęcie wieczorem, żeby już na następnej lekcji wykazać się jego skutecznym opanowaniem.

Czując lekką panikę na myśl o czekających ich pracach domowych, Harry i Ron spędzili przerwę na obiad w bibliotece, szukając wiadomości o wykorzystaniu kamienia księżycowego do sporządzania eliksirów. Hermiona, wciąż zła na Rona o jego lekceważące

uwagi na temat skrzacich czapeczek, nie towarzyszyła im w tych poszukiwaniach. Po południu, kiedy przyszła pora na lekcję opieki nad magicznymi stworzeniami, Harry'ego znowu rozbolała głowa.

Było zimno i wietrznie, i kiedy schodzili trawiastym zboczem ku chatce Hagrida na skraju Zakazanego Lasu, od czasu do czasu czuli na twarzach krople deszczu. Profesor Grubbly-Plank czekała na nich jakieś dziesięć jardów od chatki Hagrida, przy długim stole na kozłach, na którym leżały sterty jakichś gałązek. Zaledwie Harry i Ron doszli do stołu, za ich plecami rozległ się wybuch śmiechu; kiedy się odwrócili, zobaczyli Dracona Malfoya w otoczeniu jego wiernych Ślizgonów. Najwyraźniej powiedział coś bardzo zabawnego, bo Crabbe, Goyle, Pansy Parkinson i reszta zaśmiewali się nadal, kiedy już stanęli wokół stołu. A ponieważ wszyscy patrzyli przy tym na Harry'ego, nietrudno mu było odgadnąć powód tej wesołości.

- Są już wszyscy? - warknęła profesor Grubbly-Plank. - No to do roboty. Kto mi powie, co tu leży na stole?

Wskazała na wiązkę gałązek. Ręka Hermiony wystrzeliła w powietrze. Za jej plecami Malfoy odegrał małą pantomimę, szczerząc zęby i podskakując, jakby wyrywał się do odpowiedzi. Pansy Parkinson parsknęła śmiechem, ale jej śmiech prawie natychmiast przeszedł we wrzask strachu, bo gałązki nagle podskoczyły i okazało się, że są to chochlikowate, drzewiaste stworzonka, z długimi węzłastymi kończynami, dwoma gałązkowatymi palcami u każdej ręki i śmiesznymi, płaskimi twarzami, jakby pokrytymi korą, w których jarzyły się wypukłe, brązowe jak u żuka oczka.

- Oooooch! - wykrzyknęły Parvati i Lavender, wzbudzając irytację w Harrym: myślałby kto, że Hagrid nigdy im nie pokazywał żadnych dziwacznych stworzeń! Być może gumochłony były trochę nudne, ale na pewno trudno byłoby to powiedzieć o salamandrach i hipogryfach, a już sklątki tylnowybuchowe były może nawet trochę za bardzo interesujące.

- Dziewczęta, proszę nie krzyczeć! - skarciła je profesor Grubbly-Plank, rozrzucając między patykowate stwory garść czegoś, co przypominało brązowy ryż. Stworzonka natychmiast rzuciły się na tę karmę. - No więc... czy ktoś mi powie, jak te stworzenia się nazywają? Panna Granger?

- To są nieśmiałki - powiedziała Hermiona. - Są strażnikami drzew, zwykle żyją na drzewach, z których robi się różdżki.

- Pięć punktów dla Gryffindoru - oznajmiła profesor Grubbly-Plank. - Tak, to są nieśmiałki i, jak słusznie wspomniała panna Granger, zwykle żyją na drzewach, które nadają się do sporządzania różdżek. Czy ktoś wie, czym się żywią?

- Kornikami - natychmiast odpowiedziała Hermiona, co wyjaśniło Harry'emu, dlaczego owe ziarnka brązowego ryżu się ruszają. - Ale nie gardzą też jajeczkami elfów.

- Mądra z ciebie dziewczyna, zdobyłaś kolejne pięć punktów. Więc kiedy potrzebujemy liści lub drewna z jakiegoś drzewa, na którym żyje nieśmiałek, warto mu podrzucić trochę korników. Te stworzonka nie wyglądają groźnie, ale kiedy się rozzłoszczą, mogą wydrapać człowiekowi oczy swoimi palcami, które, jak widzicie, są bardzo ostre. Teraz podejdźcie bliżej, weźcie sobie parę korników i nieśmiałka... jest ich tutaj tyle, że wystarczy po jednym na troje... i możecie przyjrzeć im się bliżej. Pod koniec lekcji każdy ma mi dać swój szkic nieśmiałka z opisanymi wszystkimi częściami ciała.

Klasa otoczyła ciasno stół. Harry tak manewrował, żeby znaleźć się tuż obok profesor Grubbly-Plank.

- Gdzie jest Hagrid? - zapytał ją, kiedy wszyscy zajęli się wybieraniem nieśmiałków.

- Nie twoja sprawa - odpowiedziała karcącym tonem, znanym już Harry'emu, bo zachowywała się podobnie, kiedy poprzednim razem zastępowała Hagrida.

Draco Malfoy wychylił się przed Harry'ego i chwycił największego nieśmiałka. Jego chudą, bladą twarz wykrzywił szyderczy uśmiech.

- Może temu wielkiemu gamoniowi - powiedział tak cicho, że tylko Harry mógł go dosłyszeć - przytrafiło się coś niedobrego?

- Tobie może się przytrafić, jak się nie zamkniesz - odrzekł Harry kątem ust.

- Może porwał się na coś zbyt wielkiego, jak na jego siły, jeśli łapiesz, o czym mówię.

Malfoy odszedł, drwiąco uśmiechając się przez ramię do Harry'ego, któremu nagle zrobiło się niedobrze. Czyżby Malfoy coś wiedział? Jego ojciec był przecież śmierciożercą, może miał jakieś informacje o losie Hagrida, które jeszcze nie dotarły do żadnego z członków Zakonu Feniksa? Okrążył szybko stół i podszedł do Rona i Hermiony, którzy przykucnęli na trawie i próbowali nakłonić nieśmiałka, by się nie ruszał przez jakiś czas, żeby mogli go narysować. Harry wyciągnął pergamin i pióro, kucnął przy nich i szeptem powtórzył im, co powiedział Malfoy.

- Dumbledore by wiedział, gdyby Hagridowi coś się stało - stwierdziła natychmiast Hermiona. - Malfoy cię podpuszcza, chce wyniuchać, czy wiemy, co się dzieje. Nie można okazywać zaniepokojenia, bo się zorientuje, że nic nie wiemy. Musimy go po prostu ignorować, Harry. Przytrzymaj na chwilę tego nieśmiałka, żebym mogła narysować twarz...

- Tak - dobiegł ich od najbliżej stojącej grupki głos Malfoya - parę dni temu ojciec rozmawiał z ministrem i wygląda na to, że ministerstwo chce się wreszcie wziąć za tę szkołę,

żeby nas nauczali jak należy. Więc nawet jeśli ten wyrośnięty kretyn znowu tu się pojawi, to pewno każą mu się stąd wynosić.

- AUUU!

Harry ścisnął nieśmiałka tak mocno, że ten prawie się przełamał; w odwecie chlasnął Harry'ego ostrymi palcami w rękę, pozostawiając na niej dwa głębokie rozcięcia. Harry puścił go. Crabbe i Goyle, którzy już rechotali na myśl o wyrzuceniu Hagrida ze szkoły, ryknęli jeszcze głośniej, kiedy nieśmiałek pomknął w stronę lasu i po chwili zniknął między korzeniami drzew. Poprzez błonia dobiegł ich z zamku daleki dźwięk dzwonka. Harry zwinął swój poznaczony krwią rysunek nieśmiałka i powlókł się za innymi na zielarstwo, z ręką owiniętą chusteczką Hermiony. W uszach wciąż mu rozbrzmiewał szyderczy śmiech Malfoya.

- Jeśli jeszcze raz nazwie Hagrida kretynem... - warknął.

- Harry, nie zadzieraj z Malfoyem, nie zapominaj, że jest teraz prefektem, może ci utrudnić życie...

- Ojej, bardzo mnie ciekawi, jak to jest, kiedy się ma trudne życie - powiedział z ironią Harry.

Ron parsknął śmiechem, ale Hermiona się nachmurzyła. Szli pomiędzy grządkami warzyw. Niebo wciąż było szare, a ciężkie chmury wyglądały tak, jakby się zastanawiały, czy lunąć deszczem czy jeszcze nie.

- Po prostu bardzo bym chciał, żeby Hagrid się pospieszył i wreszcie wrócił, to wszystko - mruknął cicho Harry, gdy doszli do cieplarni. - I nie mów mi, że ta Grubbly-Plank jest lepszym nauczycielem! - dodał ostrzegawczym tonem.

- Wcale nie zamierzałam - odpowiedziała spokojnie Hermiona.

- Bo ona nigdy nie będzie tak dobra jak Hagrid - oświadczył stanowczo Harry, w pełni świadomy, że właśnie brał udział we wzorowej lekcji opieki nad magicznymi stworzeniami i wcale nie jest tym zachwycony.

Drzwi najbliższej cieplarni otworzyły się i wyszła grupa czwartoklasistów, a wśród nich Ginny.

- Cześć! - powiedziała wesoło, przechodząc obok nich.

Po chwili z cieplarni wyszła Luna Lovegood. Miała smugę ziemi na nosie i włosy związane w węzeł na szczycie głowy. Kiedy zobaczyła Harry'ego, jeszcze bardziej wybałuszyła oczy i ruszyła prosto na niego. Wiele z jego koleżanek i kolegów odwróciło się, żeby popatrzeć. Luna wzięła głęboki oddech i wypaliła, nie dbając nawet, żeby zacząć od jakiegoś powitania:

- Wierzę, że Ten, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać powrócił i wierzę, że z nim walczyłeś i że mu uciekłeś.

- Ee... słusznie - wybąkał Harry.

Z uszu Luny zwisało coś, co wyglądało jak pomarańczowe rzodkiewki. Parvati i Lavender chyba to zauważyły, bo chichotały, pokazując je sobie.

- Możecie się śmiać! - powiedziała Luna, podnosząc głos, najwyraźniej sądząc, że Parvati i Lavender śmieją się z tego, co powiedziała, a nie z tego, co miała w uszach. Kiedyś ludzie uważali, że nie istnieje ględatek niepospolity czy chrapak krętorogi!

- No i chyba mieli rację, nie? - prychnęła Hermiona, - Przecież nie ma czegoś takiego, jak ględatek niepospolity czy chrapak krętorogi.

Luna rzuciła jej miażdżące spojrzenie i odeszła szybkim krokiem; pomarańczowe rzodkiewki dyndały jej wściekle pod uszami. Teraz Parvati i Lavender nie były już jedynymi osobami, które ryczały ze śmiechu.

- Czy mogłabyś nie obrażać tych paru osób, które mi wierzą? - zapytał Harry Hermionę, gdy wchodzili do cieplarni.

- Och, na miłość boską, Harry, chyba stać cię na lepszych sprzymierzeńców - odpowiedziała Hermiona. - Ginny mi o niej opowiadała: ona najwyraźniej wierzy tylko w takie rzeczy, których nie można udowodnić. No i wcale się nie dziwię. Jak się ma ojca, który wydaje „Żonglera”...

Harry pomyślał o złowieszczych skrzydlatych koniach, które widział w ów wieczór, gdy przybyli na stację Hogsmeade, i które prócz niego widziała tylko Luna. Zasępił się. Czyżby wtedy kłamała? Ale zanim zdążył się nad tym zastanowić, podszedł ku niemu Ernie Macmillan.

- Potter, chciałbym, żebyś wiedział - powiedział donośnym głosem - że popierają cię nie tylko dziwolągi. Ja, na przykład, wierzę ci w stu procentach. Moja rodzina zawsze stała murem za Dumbledore’em i ja trzymam się tej tradycji.

- Ee... dziękuję ci bardzo, Ernie - odrzekł Harry, mile zaskoczony.

Ernie może i bywał trochę zbyt pompatyczny, ale Harry’emu trudno było nie docenić tak stanowczego głosu poparcia ze strony kogoś, kto nie nosił rzodkiewek w uszach. Słowa Erniego sprawiły, że Lavender Brown przestała się głupio uśmiechać, a kiedy Harry odwrócił się, żeby porozmawiać z Ronem i Hermioną, spostrzegł, że na twarzy Seamusa zakłopotanie miesza się z wyzwaniem.

Dla nikogo nie było zaskoczeniem, że profesor Sprout rozpoczęła lekcję od przypomnienia im o sprawdzianach z sumów. Harry miał już serdecznie dosyć tych pouczeń i

ostrzeżeń na początku każdej lekcji. Już i tak skręcało go w żołądku, kiedy tylko pomyślał o czekających go pracach domowych, więc nastrój jeszcze bardziej mu się pogorszył, kiedy profesor Sprout zadała im kolejne wypracowanie. Półtorej godziny później, zmęczeni i cuchnący smoczym łajnem, ulubionym nawozem profesor Sprout, Gryfoni powlekli się do zamku, niewiele ze sobą rozmawiając. Minął jeszcze jeden długi dzień.

Harry był wściekle głodny, a ponieważ już o piątej czekał go pierwszy szlaban u profesor Umbridge, udał się prosto do Wielkiej Sali, żeby coś przegryźć i nabrać sił przed nieznanymi mu jeszcze wyzwaniami. Zaledwie jednak doszedł do drzwi Wielkiej Sali, usłyszał za sobą głośne, napastliwe wołanie:

- Hej, Potter!

- Co znowu? - mruknął zniechęcony i odwróciwszy się, ujrzał Angelinę Johnson, której mina nie wróżyła niczego dobrego.

- Zaraz ci powiem, co znowu - warknęła, po czym podeszła do niego i szturchnęła go mocno palcem w piersi. - Jak mogłeś dopuścić do tego, że w piątek o piątej masz szlaban?

- Co? - zdziwił się Harry. - O co ci... Ojej, sprawdzian!

- Teraz sobie przypomniał! Czy ja ci przypadkiem nie mówiłam, że chcę zrobić sprawdzian z CAŁĄ DRUŻYNĄ, żeby znaleźć kogoś, kto będzie pasował do reszty? Czy nie powiedziałam, że specjalnie zamówiłam boisko? A ty uznałeś, że ciebie może nie być!

- Wcale nie uznałem, że może mnie nie być! - prawie krzyknął Harry, ugodzony niesprawiedliwością tych słów. - Dostałem szlaban od Umbridge tylko dlatego, że jej powiedziałem prawdę o Sama-Wiesz-Kim...

- No to idź zaraz do niej i poproś, żeby cię zwolniła w piątek! I nie obchodzi mnie, jak to zrobisz. Jak chcesz, to jej powiedz, że Sam-Wiesz-Kto jest wytworem twojej chorej wyobraźni, nie wiem, po prostu zrób coś, żebyś był na sprawdzianie!

I odeszła.

- Wiecie co? - powiedział Harry do Rona i Hermiony, kiedy weszli do Wielkiej Sali. - Chyba powinniśmy sprawdzić, czy Oliver Wood przypadkiem nie został uśmiercony na treningu Zjednoczonych z Puddlemere, bo ją chyba nawiedził jego duch.

- Jak myślisz, jakie są szansę na to, że Umbridge puści cię w piątek? - zapytał Ron sceptycznym tonem, kiedy usiedli przy stole Gryfonów.

- Mniejsze od zera - burknął Harry, nakładając sobie kotlet z jagnięciny na talerz. - Ale muszę spróbować, nie? Może jej zaproponuję, że odwalę dodatkowe dwa szlabany, nie wiem... - Przełknął ziemniaki i dodał: - Mam nadzieję, że dzisiaj nie będzie mnie trzymała długo. Czy zdajecie sobie sprawę, że mamy napisać trzy wypracowania, poćwiczyć zaklęcia

dla McGonagall, wyszukać przeciwzaklęcia dla Flitwicka, skończyć rysunek nieśmiałka i zacząć pisać ten głupi dziennik snów dla Trelawney?

Ron jęknął i z jakiegoś powodu spojrzał w sufit.

- I chyba będzie padać.

- A co to ma wspólnego z naszymi pracami domowymi? - zapytała Hermiona, unosząc brwi.

- Nic - odrzekł szybko Ron, a uszy mu poczerwieniały.

Za pięć piąta Harry pożegnał się z nimi i ruszył do mieszczącego się na trzecim piętrze gabinetu profesor Umbridge. Zapukał do drzwi i usłyszał słodki głosik:

- Proszę.

Wszedł ostrożnie i rozejrzał się dokoła.

Znał dobrze ten gabinet z czasów, gdy zajmowali go trzej poprzedni nauczyciele obrony przed czarną magią. Kiedy mieszkał tu Gilderoy Lockhart, ściany były poobwieszane jego uśmiechniętymi portretami. Kiedy zajmował go Lupin, można było tu zobaczyć jakieś fascynujące, tajemnicze stworzenia, w klatce lub w akwarium. Za czasów oszusta podającego się za Moody'ego pełno tu było różnych instrumentów i wymyślnych przyrządów do wykrywania fałszu i złej woli.

Teraz jednak gabinet zmienił się nie do poznania. Wszystkie powierzchnie przykryte były koronkami i udrapowanymi narzutami. W kilku wazonach stały suszone kwiaty, a każdy wazon spoczywał na osobnej koronkowej serwetce. Jedną ze ścian pokrywała kolekcja ozdobnych talerzy z bajecznie kolorowymi kotkami; każdy kotek miał na szyi inną kokardkę. Wszystkie były tak szkaradne, że Harry zamarł, gapiąc się na nie bez słowa, aż profesor Umbridge przemówiła ponownie.

- Dobry wieczór, Potter.

Harry wzdrygnął się i rozejrzał. Z początku jej nie zauważył, bo miała na sobie wściekle kwiecistą suknię, która zlewała się z bardzo podobną serwetą, przykrywającą biurko za jej plecami.

- Dobry wieczór - odpowiedział sztywno.

- No to usiądź - powiedziała, wskazując mu stolik okryty koronkową serwetką, do którego przystawiła krzesło z prostym oparciem. Na stoliku leżał kawałek czystego pergaminu, najwidoczniej przygotowany dla niego.

- Ee... - bąknął Harry, nie ruszając się z miejsca - ...Pani profesor... ee... zanim zaczniemy, czy m-mógłbym panią o coś poprosić?

Zmrużyła swoje wyłupiaste oczy.

- Tak?

- No bo... ja gram w quidditcha... jestem w drużynie Gryffindoru... i w piątek o piątej po południu powinienem być obecny podczas sprawdzianu, na którym wybierzemy nowego obrońcę, no i... chciałem się zapytać, czy nie mogłaby mnie pani profesor zwolnić z piątkowego szlabanu, a ja... ja mógłbym odrobić to w inny dzień...

Zanim skończył to zdanie, wiedział już, że nic nie wskóra.

- Nie - odpowiedziała Umbridge, uśmiechając się tak smakowicie, jakby dopiero co połknęła wyjątkowo soczystą muchę. - Nie, nie, nie. To jest twoja kara za rozpowszechnianie złych, obrzydliwych opowieści, których jedynym celem jest zwrócenie na siebie uwagi, a kary nie mogą być dostosowywane do zachcianek ukaranego, bo mijałyby się z celem. Nie, przyjdziesz do mnie o piątej jutro, pojutrze i w piątek, i będziesz robił to, co dla ciebie zaplanowałam. To bardzo dobrze, że będziesz musiał zrezygnować z czegoś, czego bardzo pragniesz, bo to wzmocni oddziaływanie kary i pozwoli ci lepiej zapamiętać to, czego chcę cię nauczyć.

Harry poczuł, że krew uderza mu do głowy, a w uszach usłyszał głuche uderzenia. A więc rozpowszechniał złe, obrzydliwe opowieści tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę?

Przypatrywała mu się z lekko przechyloną głową, wciąż uśmiechając się szeroko, jakby dobrze wiedziała, o czym Harry myśli, i tylko czekała, aż znowu straci nad sobą panowanie. Zmusił się do odwrócenia od niej wzroku, rzucił torbę obok krzesła i usiadł.

- No i proszę - zaszczebiotała profesor Umbridge. - Już trochę bardziej panujemy nad naszym temperamentem, prawda? A teraz trochę sobie popiszemy. Nie, nie swoim piórem - dodała, widząc, że Harry pochyla się, by otworzyć torbę. - Będziesz pisać moim piórem, nie takim zwykłym. Masz.

Podała mu długie, cienkie, czarne pióro z niezwykle ostrym końcem.

- Chcę, żebyś napisał: „Nie będę opowiadać kłamstw” - oznajmiła łagodnie.

- Ile razy? - zapytał Harry z całkiem nieźle udawaną uprzejmością.

- Och, będziesz pisał, dopóki to zdanie nie WSIĄKNIE jak należy. Do roboty.

Obeszła biurko, usiadła przy nim i pochyliła się nad stosem pergaminów, które wyglądały na wypracowania do oceny. Harry uniósł ostre czarne pióro i zdał sobie sprawę, że czegoś brakuje.

- Nie dała mi pani atramentu.

- Och, atrament nie będzie ci potrzebny - odpowiedziała profesor Umbridge, a w jej głosie zabrzmiała nutka wesołości.

Harry przyłożył koniec pióra do pergaminu i napisał: *Nie będę opowiadać kłamstw.*

Aż syknął z bólu. Na pergaminie pojawiły się krwistoczerwone słowa, a jednocześnie takie same słowa zakwitły czerwienią na wierzchu jego prawej dłoni, jakby je tam wyciął skalpel, ale gdy wpatrywał się w nie, wstrząśnięty, powoli znikły, pozostawiając na skórze jedynie lekkie zaczerwienienie.

Spojrzał na Umbridge. Patrzyła na niego, a jej szerokie, żabie usta rozciągnięte były w uśmiechu.

- Tak?

- Nie, nic - odpowiedział szybko Harry.

Znowu spojrzał na pergamin, przyłożył jeszcze raz pióro, napisał: *Nie będę opowiadać kłamstw*, i natychmiast poczuł palący ból na wierzchu dłoni. I ponownie słowa wyryte w jego skórze znikły po paru sekundach.

Trwało to długo. Pisał na pergaminie czymś, co - jak wkrótce zrozumiał - nie było wcale atramentem, lecz jego własną krwią. I za każdym razem niewidzialny skalpel rozcinał mu skórę, wypisując te same słowa na jego dłoni, potem rozcięcie szybko znikało, aby pojawić się, gdy tylko przyłożył pióro do pergaminu.

Za oknami zapadła ciemność. Harry nie zapytał, kiedy będzie mógł przestać pisać. Nawet nie spojrzał na zegarek. Wiedział, że Umbridge obserwuje go, wyczekując na oznaki słabości, i nie zamierzał jej ich okazywać, nawet gdyby musiał tu siedzieć całą noc, rozcinając sobie do żywego rękę tym piórem...

- Podejdź tu - powiedziała w końcu.

Wstał. Dłoń wciąż piekła go boleśnie. Zerknął na nią i zobaczył, że rozcięcie znikło, ale skóra była czerwona jak po obtarciu.

- Ręka - rozkazała.

Wyciągnął rękę, a ona ujęła ją w swoją. Z trudem opanował wzdrygnięcie, kiedy dotknęła go swoimi krótkimi, grubymi paluchami, na których nosiła kilka obrzydliwych starych pierścionków.

- Ojojoj, chyba jeszcze nie wsiąkło jak należy - powiedziała z uśmiechem. - No, ale jutro znowu spróbujemy, prawda? Możesz odejść.

Harry opuścił gabinet bez słowa. Szkoła była zupełnie opustoszała; musiało być dobrze po północy. Ruszył powoli korytarzem i dopiero za rogiem, kiedy już był pewny, że go nie dosłyszy, puścił się biegiem.

* * *

Nie miał czasu, by ćwiczyć zaklęcia powodujące znikanie, nie zanotował ani jednego snu w dzienniku, nie wykończył rysunku nieśmiałka, nie napisał wypracowań. Następnego

ranka nie poszedł na śniadanie, żeby w pośpiechu naskrobać parę wymyślonych snów na wróżbiarstwo, które było pierwszą w tym dniu lekcją. Zdziwił się, widząc, że Ron dotrzymuje mu towarzystwa.

- Dlaczego nie odrobiłeś tego wczoraj wieczorem? - zapytał, kiedy Ron zaczął się gorączkowo rozglądać po pokoju wspólnym, poszukując natchnienia.

Ron, który spał już mocno, kiedy Harry wrócił do sypialni, mruknął, że „robił co innego", po czym pochylił się nad pergaminem i napisał kilka słów.

- To mi musi wystarczyć - rzekł, zatrzaskując dziennik. - Napisałem, że we śnie kupowałem sobie parę nowych butów, chyba nie doszuka się w tym czegoś dziwnego, co?

Razem popędzili do Wieży Północnej.

- A jak tam szlaban u Umbridge? Co ci kazała robić?

Harry zawahał się, po czym odpowiedział:

- Pisałem.

- To chyba nie było tak źle, co?

- Nie.

- Ej... zapomniałem... zwolni cię w piątek?

- Nie.

Ron jęknął współczująco.

Dla Harry'ego był to jeszcze jeden zły dzień. Na transmutacji wypadł jako jeden z najgorszych, jako że nie ćwiczył zaklęć powodujących znikanie. Musiał poświęcić całą przerwę obiadową na wykończenie rysunku nieśmiałka, a tymczasem McGonagall, Grubbly-Plank i Sinistra zadały im jeszcze więcej, czego nie miał szansy odrobić z powodu szlabanu u Umbridge. Jakby tego było mało, podczas obiadu upolowała go Angelina Johnson, a kiedy się dowiedziała, iż nie będzie mógł być obecny podczas piątkowego sprawdzianu na obrońcę, oznajmiła, że bardzo mu się dziwi i że od zawodników, którzy chcą pozostać w drużynie, oczekuje, by przedkładali treningi nad inne ulubione zajęcia.

- Ja mam szlaban! - ryknął za nią Harry, gdy odchodziła. - Myślisz, że wolę tkwić w jednym pokoju z tą starą ropuchą niż grać w quidditcha?

- Ale w końcu to tylko przepisywanie - pocieszyła go Hermiona, kiedy Harry opadł na ławę i wbił wzrok w porcję zapiekanki z wołowiną i wątróbką, na którą jakoś przeszła mu ochota. - To nie taka straszna kara, naprawdę...

Harry otworzył usta, potem je zamknął i pokiwał głową. Nie bardzo wiedział, dlaczego nie chce dokładnie opowiedzieć Ronowi i Hermionie o tym, co się wydarzyło w gabinecie Umbridge. Wiedział tylko, że nie chce oglądać ich przerażonych min, bo to by

tylko pogorszyło sprawę i utrudniło mu sprostanie temu wyzwaniu. Czuł niejasno, że to sprawa tylko między nim a Umbridge, osobisty pojedynek woli, i nie zamierzał sprawiać jej satysfakcji, którą na pewno by odczuła, gdyby ktoś jej doniósł, że się uskarża.

- Nie mieści mi się w głowie, jak oni mogli nam tak dołożyć - jęknął Ron.

- No to dlaczego nie zrobiłeś niczego wczoraj wieczorem? - zapytała go Hermiona. - A w ogóle, to gdzie ty byłeś?

- Ja... chciałem się przejść.

Harry odniósł wrażenie, że nie jest jedyną osobą, która coś ukrywa.

* * *

Drugi szlaban był taką samą męczarnią jak pierwszy. Skóra na dłoni Harry'ego zaogniła się jeszcze szybciej i pomyślał, że rozcięcia chyba już niedługo przestaną się goić. Już niedługo pozostaną wyryte na dłoni i może wtedy Umbridge w końcu da mu spokój. Nie pozwolił sobie jednak na jęk bólu i od chwili wejścia do gabinetu do chwili wyjścia nie powiedział nic, oprócz „dobry wieczór" i „dobranoc".

Jeśli chodzi o prace domowe, to jego sytuacja była wprost rozpaczliwa i kiedy wrócił zmęczony do wieży Gryffindoru, nie położył się do łóżka, tylko otworzył książki i zaczął pisać wypracowanie dla Snape'a. Było wpół do trzeciej, gdy skończył. Wypracowanie na pewno nie było dobre, ale nic na to nie mógł poradzić; musiał oddać Snape'owi cokolwiek, żeby nie zarobić jeszcze jednego szlabanu. Potem napisał odpowiedzi na pytania zadane przez profesor McGonagall, naskrobał coś na temat właściwego obchodzenia się z nieśmiałkami dla profesor Grubbly-Plank i powlókł się do łóżka, na które rzucił się w ubraniu i natychmiast zasnął.

* * *

Czwartek minął w oparach zmęczenia. Ron też wyglądał na niewyspanego, chociaż Harry nie miał pojęcia, dlaczego. Trzecia wizyta w gabinecie Umbridge rozpoczęła się tak samo jak poprzednie, ale tym razem po dwóch godzinach słowa: „Nie będę opowiadać kłamstw" nie znikły z jego dłoni, lecz pozostały na niej, ociekając kropelkami krwi. Pauza w skrobaniu po pergaminie skłoniła profesor Umbridge do podniesienia głowy znad biurka.

- Aaach - zaśpiewała cicho, obchodząc biurko, by przyjrzeć się jego dłoni. - Dobrze. To ci pomoże zapamiętać, prawda? Możesz już iść.

- Czy jutro też muszę przyjść? - zapytał Harry, biorąc swoją torbę lewą ręką, bo prawa bolała go nieznośnie.

- O tak - odpowiedziała, uśmiechając się radośnie. - Tak, myślę, że musimy to jeszcze troszkę pogłębić.

Harry nigdy przedtem nie rozważał takiej możliwości, że może spotkać nauczyciela, którego by nienawidził bardziej niż Snape'a, ale teraz, kiedy wracał do wieży Gryffindoru, musiał przyznać, że Snape ma już jednak konkurentkę. Ona jest po prostu ZŁA, myślał, wspinając się schodami na siódme piętro. Jest złą, pokręconą, zwariowaną, starą...

- Ron?

Doszedł już do szczytu schodów, skręcił w prawo i o mały włos nie wpadł na Rona, który czaił się za posągiem Lachlana Chudego, ściskając w ręku swą miotłę. Na widok Harry'ego aż podskoczył i szybko schował swojego nowego Zmiatacza Jedenastkę za plecami.

- Co ty tu robisz?

- Ee... nic. A ty co tu robisz?

Harry spojrzał na niego z ukosa.

- Daj spokój, Ron, mnie możesz powiedzieć! Dlaczego się tu ukrywasz?

- Ja... ja ukrywam się tu przed Fredem i George'em, jeśli już musisz wiedzieć. Właśnie przechodzili tędy z gromadą dzieciaków z pierwszej klasy. Założę się, że znowu na nich próbują te swoje pastylki, no bo wiesz, nie mogą tego robić w pokoju wspólnym, póki tam jest Hermiona.

Wypowiedział to wszystko bardzo szybko, niemal gorączkowo.

- Ale po co ci miotła? Chyba nie latałeś, co?

- Ja... no... no dobra, powiem ci, ale się nie śmiej, dobrze? - Ron zaczerwienił się jeszcze bardziej. - Pomyślałem sobie, że zgłoszę się na obrońcę Gryfonów... no wiesz, skoro już mam przyzwoitą miotłę. I tyle. No, dalej. Śmiej się.

- To wcale nie jest śmieszne - powiedział Harry, a Ron zamrugał. - To wspaniały pomysł! Ron, byłoby naprawdę super, gdybyś dostał się do drużyny! Nigdy cię nie widziałem na pozycji obrońcy. Jesteś dobry?

- Nie jestem taki zły - odpowiedział Ron, który sprawiał wrażenie, jakby reakcja Harry'ego przyniosła mu głęboką ulgę. - Charlie, Fred i George zawsze stawiali mnie na bramce, jak trenowaliśmy podczas wakacji.

- Więc dziś wieczorem ćwiczyłeś?

- Tak, ćwiczę co wieczór, od wtorku... ale tylko sam. Próbowałem zaczarować kafle, żeby na mnie leciały, ale to nie takie łatwe i nie wiem, czy to w ogóle coś da. - Ron wyglądał na zaniepokojonego i zdenerwowanego. - Fred i George na pewno mnie wyśmieją, jak się zgłoszę. Nabijają się ze mnie od czasu, gdy zostałem prefektem.

- Bardzo bym chciał być na tym sprawdzianie - powiedział smętnie Harry, kiedy ruszyli razem w stronę pokoju wspólnego.

- Ja też... Harry, co ty masz na dłoni?

Harry, który właśnie podrapał się po nosie wolną prawą ręką, próbował ją szybko schować, ale udało mu się to akurat tak, jak Ronowi ukrycie Zmiatacza.

- Skaleczyłem się... nic takiego... to...

Ale Ron chwycił jego dłoń i podniósł, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Nastąpiła chwila milczenia, podczas której wpatrywał się w krwistoczerwone słowa wyryte na dłoni, a potem puścił ją z taką miną, jakby mu się zrobiło niedobrze.

- A mówiłeś, że każe ci przepisywać zdania...

Harry zawahał się, ale w końcu Ron był wobec niego szczery, więc opowiedział mu, jak było naprawdę w gabinecie profesor Umbridge.

- Stara wiedźma! - wyszeptał ze złością Ron, kiedy zatrzymali się przed Grubą Damą, która drzemała sobie spokojnie z głową opartą o ramę. - Ona jest chora! Idź do McGonagall, powiedz coś!

- Nie - odparł od razu Harry. - Nie dam jej tej satysfakcji. Niech nie myśli, że mnie trafiła.

- Że cię trafiła? To jej nie może ujść na sucho!

- Nie jestem pewien, czy McGonagall ma nad nią jakąś władzę.

- To idź do Dumbledore'a!

- Nie.

- Dlaczego nie?

- On i tak ma już za dużo na głowie - odrzekł Harry, ale to nie był prawdziwy powód. Nie chciał prosić Dumbledore'a o pomoc w sytuacji, kiedy dyrektor nie odezwał się do niego od czerwca.

- A ja uważam, że powinieneś... - zaczął Ron, ale przerwała mu Gruba Dama, która od pewnego czasu patrzyła na nich sennym wzrokiem, a teraz wybuchła:

- Podacie mi wreszcie hasło, czy mam nie spać przez całą noc, czekając, aż skończycie rozmowę?

* * *

Piątkowy poranek był tak samo ponury i mokry jak reszta tygodnia. Harry jak zawsze spojrzał na stół nauczycielski, kiedy tylko wszedł do Wielkiej Sali, ale zrobił to odruchowo, bez większej nadziei, że zobaczy Hagrida, i natychmiast zaczął rozmyślać o problemach,

które narzucały się z większą natarczywością, a więc o górze prac domowych i o perspektywie kolejnego pobytu w gabinecie profesor Umbridge.

Dwie myśli podtrzymywały go na duchu. Pierwsza była związana z bliskim już weekendem; druga z nadzieją, że choć ten ostatni szlaban u Umbridge może być naprawdę trudny do zniesienia, to przez okno jej gabinetu widać boisko quidditcha i przy odrobinie szczęścia może uda mu się dostrzec w powietrzu Rona. Były to raczej nikłe promyki nadziei, ale Harry przyjmował z wdzięcznością wszystko, co mogło rozjaśnić mrok, w którym był pogrążony. Jeszcze nigdy nie przeżył tak podłego pierwszego tygodnia w Hogwarcie.

O piątej po południu zapukał do drzwi gabinetu profesor Umbridge, powtarzając sobie w duchu, że to ostatni raz. Kazała mu wejść, więc wszedł. Czysty pergamin leżał przygotowany na przykrytym koronkową serwetką stoliku, obok spoczywało ostre czarne pióro.

- Wiesz, co masz robić, Potter - powiedziała Umbridge, uśmiechając się słodko.

Harry wziął pióro i zerknął przez okno. Gdyby przesunąć krzesło troszkę w prawo... Udał, że chce przysunąć się bliżej stolika. Teraz widział już w oddali drużynę Gryfonów, śmigającą w powietrzu nad boiskiem, na którym przy trzech słupkach bramkowych stało z pół tuzina czarnych postaci, najwidoczniej czekających na swoją kolejkę. Z tej odległości trudno było dostrzec, którą z nich jest Ron.

Nie będę opowiadać kłamstw, napisał. Wierzch prawej dłoni natychmiast zaczął krwawić.

Nie będę opowiadać kłamstw. Nacięcie pogłębiło się i zaczęło piec.

Nie będę opowiadać kłamstw. Krew pociekła mu po nadgarstku.

Zerknął ponownie przez okno. Ktokolwiek teraz bronił, robił to beznadziejnie. Katie Bell trafiła dwukrotnie w ciągu tych kilku sekund, w których Harry ośmielił się patrzyć przez okno. Mając nadzieję, że obrońcą nie był Ron, opuścił wzrok na poplamiony krwią pergamin.

Nie będę opowiadać kłamstw.

Nie będę opowiadać kłamstw.

Podnosił głowę, gdy tylko słyszał skrobanie pióra Umbridge lub skrzypienie otwieranej szuflady. Trzeci obrońca był całkiem dobry, czwarty był okropny, piąty uniknął tłuczka wyjątkowo zgrabnie, ale potem puścił gola łatwego do obrony. Niebo ciemniało szybko, tak że Harry zaczął wątpić, czy w ogóle uda mu się dostrzec szóstego i siódmego kandydata na obrońcę.

Nie będę opowiadać kłamstw.

Nie będę opowiadać kłamstw.

Pergamin był już upstrzony kroplami krwi kapiącymi z jego dłoni, w której pulsował ostry ból. Kiedy po raz kolejny podniósł głowę, noc już zapadła i nic nie było widać.

- Zobaczymy, czy już wsiąkło jak należy, dobrze? - rozległ się pół godziny później słodki głos profesor Umbridge.

Podeszła do niego i sięgnęła krótkimi paluchami po jego rękę. A gdy ujęła jego dłoń, przyglądając się wyciętym w skórze literom, Harry poczuł nagle przenikliwy ból, ale nie w dłoni, tylko na czole, tam, gdzie miał bliznę. Jednocześnie doznał jakiejś dziwnej sensacji w okolicach przepony brzusznej.

Wyrwał jej rękę i zerwał się na równe nogi, wpatrując się w nią z przerażeniem. Jej szerokie, sflaczałe usta rozciągnęły się jeszcze bardziej w uśmiechu.

- Tak, to boli, prawda? - zapytała cicho.

Nie odpowiedział. Serce waliło mu szybko. Czy miała na myśli jego rękę, czy może wiedziała, że rozbolała go blizna?

- No, myślę, że już osiągnęłam swój cel, Potter. Możesz odejść.

Złapał swoją torbę i opuścił gabinet tak szybko, jak mógł.

Uspokój się, powtarzał sobie w duchu, pędząc w górę schodami. Uspokój się, to niekoniecznie musi oznaczać to, co ci się wydaje...

- *Mimbulus mimbletonia!* - wydyszał Grubej Damie, która odchyliła się do przodu.

Powitał go ryk. To Ron biegł ku niemu, cały rozpromieniony, oblewając się piwem kremowym z pucharu, który ściskał w ręku.

- Harry, udało mi się, jestem w drużynie! Jestem obrońcą!

- Co? Och... wspaniale! - powiedział Harry, starając się uśmiechać naturalnie, podczas gdy serce waliło mu wciąż w piersi, a ręka drżała i krwawiła.

- Strzel sobie piwko! - Ron wcisnął mu do ręki butelkę. - Nie mogę uwierzyć... Ale gdzie jest Hermiona?

- Jest tutaj - rzekł Fred, też popijając piwo kremowe, i wskazał na fotel przy kominku.

Hermiona drzemała z niebezpiecznie przechylonym pucharem w ręku.

- No, jak jej powiedziałem, to się ucieszyła - rzekł Ron nieco zbity z tropu.

- Niech śpi - wtrącił szybko George.

Kilka chwil później Harry zauważył, że kilkoro pierwszoroczniaków ma wyraźne ślady po niedawno przebytym krwotoku z nosa.

- Ron, chodź tutaj i zobacz, czy pasuje na ciebie stara szata Oliviera! - zawołała Katie Bell. - Możemy odpruć naszywkę z jego nazwiskiem i umieścić tu twoje...

Kiedy Ron się oddalił, do Harry'ego podeszła Angelina Johnson.

- Przepraszam, że ostatnim razem byłam wobec ciebie trochę za ostra, Potter - powiedziała. - Ten cały cyrk z kierowaniem drużyną bywa stresujący, zaczynam myśleć, że czasami chyba miałam za dużo pretensji wobec Wooda.

Patrzyła na Rona znad krawędzi pucharu, lekko zmarszczywszy czoło.

- Słuchaj, wiem że to twój najlepszy przyjaciel, ale mistrzem to on jeszcze nie jest - oświadczyła bez ogródek. - Ale jak trochę potrenuje, to będzie całkiem niezły. Pochodzi z rodziny dobrych graczy. Stawiam na niego i mówiąc szczerze, uważam, że ma większy talent, niż to nam pokazał dzisiaj. Vicky Frobisher i Geoffrey Hooper latali lepiej od niego, ale Hooper to mięczak, wciąż się na coś skarży, a Vicky udziela się już w tylu klubach... powiedziała, że jak treningi będą kolidowały z zebraniami Klubu Zaklęć, to wybierze Zaklęcia. W każdym razie jutro mamy trening o drugiej, więc bądź, dobrze? I wyświadcz mi przysługę: pomóż Ronowi, jak potrafisz.

Kiwnął głową i Angelina wróciła do Alicji Spinnet. Harry usiadł obok Hermiony, która drgnęła i obudziła się, kiedy rzucił torbę na podłogę.

- Och, Harry, to ty... Fajnie, że Rona wybrali, co? Jestem taka... taaka... zmęczona - ziewnęła szeroko. - Nie spałam do pierwszej, robiłam nowe czapeczki. Znikają jak zwariowane!

Harry dopiero teraz zobaczył, że w całym pokoju porozkładane są wełniane czapeczki - wszędzie, gdzie mogły się na nie natknąć skrzaty.

- Ekstra - mruknął; czuł, że jeśli zaraz komuś się nie zwierzy, wybuchnie. - Słuchaj, Hermiono, byłem właśnie w gabinecie Umbridge i ona dotknęła mojego ramienia...

Hermiona wysłuchała go z uwagą. Kiedy skończył, powiedziała powoli:

- Myślisz, że Sam-Wiesz-Kto kontroluje ją tak, jak kontrolował Quirrella?

- No... - Harry ściszył głos. - Jest taka możliwość, prawda?

- Chyba tak - powiedziała Hermiona, chociaż nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. - Ale nie sądzę, żeby ją opętał tak jak Quirrella, to znaczy... przecież on teraz naprawdę żyje, ma własne ciało, nie potrzebuje korzystać z cudzego. Ale mógł na nią rzucić Zaklęcie Imperius...

Harry obserwował przez chwilę, jak Fred, George i Lee Jordan żonglują pustymi butelkami. Potem Hermiona powiedziała:

- Ale w zeszłym roku blizna bolała cię, choć nikt cię nie dotykał, a pamiętasz, Dumbledore mówił, że to może mieć coś wspólnego z tym, co w tym samym czasie odczuwa Sam-Wiesz-Kto. Może to w ogóle nie ma nic wspólnego z Umbridge, może to zdarzyło się zupełnie przypadkowo akurat wtedy, kiedy u niej byłeś?

- Ona jest zła. Pokręcona - oświadczył stanowczo.

- Jest okropna, to prawda, ale... Harry, uważam, że powinieneś powiedzieć o tej bliźnie Dumbledore'owi.

Po raz drugi w ciągu dwóch dni poradzono mu, żeby poszedł do Dumbledore'a. I tym razem odpowiedział tak samo, jak Ronowi.

- Nie chcę mu tym zaprzątać głowy. Sama powiedziałaś: to nic nadzwyczajnego. Blizna bolała mnie przez całe lato... dziś było tylko troszkę gorzej... i tyle...

- Harry, jestem pewna, że Dumbledore bardzo by chciał, żebyś mu tym zaprzątnął głowę...

- Tak - wypalił Harry, zanim zdążył ugryźć się w język - ta blizna to jedyna rzecz, która go we mnie obchodzi, może nie?

- Nie mów tak, to nieprawda!

- Chyba napiszę o tym Syriuszowi, dowiem się, co on o tym myśli...

- Harry, nie możesz pisać o czymś takim w liście! - powiedziała przerażona Hermiona. - Nie pamiętasz, co nam mówił Moody? Żebyśmy uważali na to, co piszemy? Przecież nie możemy mieć pewności, czy ktoś nie przechwytuje sów!

- No dobra, dobra, nie napiszę! - rzekł ze złością Harry i wstał. - Idę do łóżka. Powiedz Ronowi, dobrze?

- O nie... - Hermionie jakby ulżyło. - Jak ty idziesz, to chyba ja też mogę i nikt się nie obrazi, jestem wykończona, a jutro muszę zrobić trochę więcej czapeczek. Słuchaj, jak chcesz, to możesz mi pomóc, to bardzo zabawne, idzie mi coraz lepiej, potrafię już robić wzorki, pompony i w ogóle...

Harry spojrzał na jej uradowaną twarz i spróbował zrobić taką minę, jakby jej propozycja bardzo go kusiła.

- Ee... nie, chyba nie, bardzo dziękuję... Jutro nie mogę, mam do odrobienia mnóstwo zadań...

I ruszył ku schodom wiodącym do sypialni chłopców, pozostawiając ją z nieco rozczarowaną miną.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY
PERCY I ŁAPA

Następnego ranka Harry obudził się w dormitorium pierwszy. Leżał przez chwilę, obserwując pył migocący w strudze słonecznego światła, wpadającej przez szczelinę między zasłonami łóżka, i delektował się myślą, że jest sobota. Ten pierwszy tydzień semestru wlókł się w nieskończoność, jak jakaś gigantyczna lekcja historii magii.

Sądząc po ciszy i po świeżości owego promienia słońca, dopiero co wstał świt. Rozsunął zasłony wokół łóżka, wstał i zaczął się ubierać. Jedynym dźwiękiem, jaki go dochodził, prócz odległego świergotu ptaków, były powolne, głębokie oddechy jego kolegów. Ostrożnie otworzył torbę, wyciągnął pergamin i pióro i opuścił dormitorium.

W pokoju wspólnym pomaszerował prosto do swego ulubionego miękkiego fotela przy kominku, usiadł w nim wygodnie i rozwinął pergamin, rozglądając się po pokoju. Pokłady pogniecionych skrawków pergaminu, starych gargulków, pustych słoików po ingrediencjach i papierków od cukierków, które zwykle zawalały pokój wspólny pod koniec każdego dnia, znikły, podobnie jak czapeczki Hermiony. Zastanawiając się, ile skrzatów już w ten sposób uwolniła, niezależnie od ich woli, Harry odkorkował kałamarz, zanurzył w nim pióro, po czym zawiesił jego koniec o cal nad gładką, żółtawą powierzchnią pergaminu, myśląc usilnie... Po minucie lub dwóch złapał się na tym, że gapi się w puste wnętrze kominka, nie mając pojęcia, co napisać.

Teraz zrozumiał, jak ciężko było latem Ronowi i Hermionie pisać do niego listy. Bo niby jak miał napisać Syriuszowi o wszystkim, co się wydarzyło w tym tygodniu, i zadać mu pytania, na które tak bardzo chciał uzyskać odpowiedzi, bez dostarczenia potencjalnym szpiegom mnóstwa informacji, których wcale nie chciał im przekazywać?

Przez chwilę siedział bez ruchu, gapiąc się w kominek, a potem jeszcze raz zanurzył pióro w kałamarzu i przyłożył do pergaminu.

Drogi Wąchaczu!

Mam nadzieję, że u ciebie wszystko gra, pierwszy tydzień był okropny, cieszę się, że to już sobota.

Mamy nową nauczycielkę obrony przed czarną magią, profesor Umbridge. Jest prawie tak mila, jak twoja mama. Piszę do ciebie, bo to, o czym ci już pisałem zeszłego lata, znowu mi się przydarzyło, kiedy miałem szlaban u Umbridge.

Bardzo nam brak naszego największego przyjaciela, mamy nadzieję, że wkrótce wróci.

Odpisz szybko.

Najlepszego

Harry

Przeczytał list kilka razy, starając się wczuć w sytuację kogoś obcego. Wydało mu się, że z samego listu nie sposób się domyślić, o czym - i do kogo - pisze. Miał nadzieję, że Syriusz złapie aluzję o Hagridzie i udzieli im jakichś informacji o jego powrocie, a nie chciał go o to pytać bezpośrednio, żeby nie zwracać uwagi na to, czym Hagrid może się teraz zajmować.

Biorąc pod uwagę zwięzłość listu, jego napisanie zajęło mu sporo czasu: słońce zdążyło w tym czasie przewędrować przez pół pokoju, a z dormitoriów dochodziły już poranne odgłosy. Zapieczętowawszy dokładnie pergamin, przelazł przez dziurę pod portretem i ruszył w kierunku sowiarni.

- Na twoim miejscu nie szedłbym tędy - powiedział Prawie Bezgłowy Nick, przenikając tuż nad nim przez ścianę korytarza. - Irytek szykuje zabawny dowcip temu, kto przejdzie pierwszy obok popiersia Paracelsusa w połowie korytarza.

- A w tym dowcipie Paracelsus spada temu komuś na głowę, tak?

- To dość zabawne, ale zaiste spada - odrzekł Prawie Bezgłowy Nick znudzonym głosem. - Subtelność nigdy nie była mocną stroną Irytka. Szukam Krwawego Barona... Może jemu uda się go powstrzymać... Do zobaczenia, Harry...

- Pa - pożegnał go Harry i zamiast w prawo, skręcił w lewo, wybierając dłuższą, ale bezpieczniejszą drogę do sowiarni. Serce w nim rosło, kiedy mijał okno za oknem, a za każdym jaśniało błękitne niebo. Miał przecież dzisiaj trening, wreszcie znajdzie się z powrotem na boisku...

Coś otarło się o jego kostki. Spojrzał w dół i zobaczył wychudłą kotkę woźnego, Panią Norris. Odwróciła głowę i przez chwilę przypatrywała mu się świecącymi jak latarnie żółtymi oczami, po czym znikła za posągiem Wilfreda Zadumanego.

- Nie robię nic złego! - zawołał za nią Harry.

Wyglądała jak kot, który zamierza donieść coś swemu panu, choć Harry nie bardzo wiedział co, bo przecież miał prawo zmierzać do sowiarni w sobotni poranek.

Słońce było już wysoko i kiedy wszedł do sowiarni, oślepiła go jasność bijąca z pozbawionych szyb okienek. Szerokie srebrzyste promienie słońca krzyżowały się w kolistym pomieszczeniu, w którym na krokwiach siedziały setki sów, trochę niespokojnych w świetle wczesnego poranka. Niektóre musiały dopiero co wrócić z nocnych łowów. Pokryta słomą

podłoga trzeszczała lekko, gdy następował na maleńkie zwierzęce kostki, rozglądając się za Hedwigą.

- Tu jesteś - rzekł, wyłowiwszy ją spojrzeniem gdzieś pod samym szczytem sklepienia. - Złaź stamtąd, mam dla ciebie list.

Z głębokim pohukiwaniem wyprostowała skrzydła i zleciała mu na ramię.

- Słuchaj, tu, na wierzchu, napisane jest: „Wąchacz" - powiedział, wsadzając jej list w dziób, po czym zupełnie nie wiedząc dlaczego, szepnął: - ale to list do Syriusza, rozumiesz?

Mrugnęła bursztynowymi oczami, co Harry uznał za potwierdzenie.

- Leć bezpiecznie - powiedział i zaniósł ją do okna.

Poczuł chwilowy nacisk na ramię, gdy wystartowała i poszybowała w oślepiająco jasne niebo. Patrzył za nią, aż zamieniła się w czarny punkcik i w końcu znikła, a potem spojrzał na chatkę Hagrida, widoczną dobrze ze szczytu wieży, ale wyraźnie niezamieszkaną: okna były zasłonięte, z komina nie leciał dym.

Wierzchołki drzew w Zakazanym Lesie kołysały się w lekkim wietrze. Harry patrzył na nie, rozkoszując się świeżym powiewem na twarzy i myśląc o czekającym go quidditchu... i nagle go zobaczył. Wielki, podobny do gada, uskrzydlony koń, taki sam jak te, które ciągnęły powozy z Hogsmeade do Hogwartu, ze skórzastymi czarnymi skrzydłami, wzniósł się znad drzew jak groteskowy pterodaktyl. Zatoczył wielkie koło i znowu zanurzył się w las. Wszystko to trwało tak krótko, że Harry prawie nie uwierzył w to, co zobaczył - tylko serce biło mu jak oszalałe.

Za jego plecami otworzyły się drzwi sowiarni. Podskoczył, jakby go przyłapano na gorącym uczynku, odwrócił się szybko i ujrzał Cho Chang, trzymającą w rękach list i paczkę.

- Cześć - powiedział automatycznie Harry.

- Och... cześć - wydyszała. - Nie sądziłam, że tak wcześnie kogoś tu zastanę... Dopiero pięć minut temu sobie przypomniałam, że dziś są urodziny mojej mamy.

Podniosła rękę z paczuszką.

- Aha - rzekł Harry.

Zdawało mu się, że w mózgu coś mu się zatkało. Pragnął powiedzieć coś zabawnego lub interesującego, ale wciąż widział tylko tego strasznego skrzydlatego konia.

- Przyjemny dzień - powiedział w końcu, wskazując na okno.

Poczuł, że wnętrzności skurczyły mu się z zakłopotania. Pogoda. Mówi o POGODZIE...

- Tak - przyznała Cho, rozglądając się za odpowiednią sową. - Dobre warunki do quidditcha. Nie wychodziłam przez cały tydzień, a ty?

- Ja też nie.

Cho wybrała jedną ze szkolnych płomykówek. Zwabiła ją na swoje ramię, gdzie sowa posłusznie wyciągnęła nóżkę, żeby można było przywiązać do niej paczuszkę.

- Ej, a Gryffindor ma już nowego obrońcę? - zapytała Cho.

- Tak. To mój przyjaciel, Ron Weasley. Znasz go?

- Ten, co nie lubi Tajfunów? - zapytała chłodno Cho. - Jest dobry?

- Pewnie. Tak myślę. Ale nie widziałem go na sprawdzianie, miałem szlaban.

Cho spojrzała na niego, przerywając przywiązywanie paczuszki do nóżki sowy.

- Podłe babsko, ta Umbridge - powiedziała cicho. - Karać cię za to, że powiedziałeś prawdę o tym jak... jak... jak on zginął. Wszyscy o tym słyszeli, wiedziała cała szkoła. Jesteś naprawdę dzielny, że tak się jej postawiłeś.

Wnętrzności Harry'ego wzdęły się tak gwałtownie, że gdyby tylko zechciał, na pewno wzniósłby się o parę cali nad zasłaną ptasimi odchodami podłogę. Co tam jakiś głupi skrzydlaty koń, skoro Cho uznała, że jest naprawdę dzielny... Gdy pomagał jej przywiązać paczuszkę do nóżki sowy, przez chwilę rozważał, czy niby przypadkowo nie pokazać jej swojej rozciętej dłoni... Ale prawie w tej samej chwili drzwi znowu się otworzyły.

Do sowiarni wpadł, sapiąc, woźny Filch. Na jego zapadłych, pożyłkowanych policzkach zakwitły fioletowe plamy, szczęki mu drżały, rzadkie siwe włosy sterczały we wszystkie strony. Najwyraźniej biegł ile sił w nogach. Pani Norris okrążała jego stopy, łypiąc na siedzące na krokwiach sowy i miaucząc łakomie. W górze załopotały niespokojnie skrzydła, a wielka brązowa sowa kłapnęła złowrogo dziobem.

- Aha! - wydyszał Filch i zrobił krok w stronę Harry'ego; obwisłe policzki dygotały mu ze złości. - Miałem przeciek, że zamierzasz wysłać duże zamówienie na łajnobomby!

Harry skrzyżował ramiona na piersi i spojrzał woźnemu w oczy.

- Kto panu powiedział, że zamawiam łajnobomby?

Cho spoglądała to na Harry'ego, to na Filcha, marszcząc czoło. Płomykówka na jej ramieniu, zmęczona staniem na jednej nodze, przypomniała jej o swoim istnieniu krótkim pohukiwaniem, ale Cho ją zlekceważyła.

- Mam swoje źródła - wycedził Filch, wyraźnie z siebie zadowolony. - A teraz oddaj mi to, co zamierzasz wysłać.

Błogosławiąc się w duchu, że nie zwlekał z wysłaniem listu, Harry powiedział:

- Nie mogę, już wysłałem.

- Wysłałeś? - powtórzył Filch ze złością.

- Wysłałem - powiedział spokojnie Harry.

Filch otworzył usta, stał tak przez chwilę, krzywiąc się okropnie, a potem obrzucił spojrzeniem szatę Harry'ego.

- A skąd mam wiedzieć, że nie masz tego w kieszeni?

- Bo...

- Ja widziałam, jak to wysyłał - wtrąciła Cho gniewnym tonem.

Filch spojrzał na nią.

- Widziałaś, jak on...?

- Tak, widziałam.

Przez chwilę Filch i Cho wpatrywali się w siebie ze złością, a potem Filch odwrócił się i poczłapał ku drzwiom. Zatrzymał się z ręką na klamce i spojrzał przez ramię na Harry'ego.

- Jeśli poczuję gdzieś łajnobombę...

I wyszedł, a po chwili usłyszeli, jak schodzi ciężko po schodach. Pani Norris rzuciła ostatnie przeciągłe spojrzenie na sowy i pobiegła za nim.

Harry i Cho spojrzeli na siebie.

- Dzięki - powiedział Harry.

- Daj spokój - odrzekła nieco zarumieniona Cho, przywiązując w końcu paczkę do nóżki sowy. - Ale chyba nie zamawiałeś łajnobomb, co?

- Nie.

- Ciekawa jestem, dlaczego sądził, że zamawiałeś - powiedziała, niosąc sowę do okna.

Harry wzruszył ramionami. Sam był tego ciekaw, ale - choć mogło to wydawać się dziwne - w tej chwili nie bardzo go to obchodziło.

Razem wyszli z sowiarni. U wylotu korytarza prowadzącego do zachodniego skrzydła zamku Cho powiedziała:

- Idę tędy. No to... do zobaczenia, Harry.

- Do zobaczenia.

Uśmiechnęła się do niego, a on ruszył w drugą stronę, czując spokojną radość. Udało mu się odbyć całą rozmowę i ani razu nie dał plamy... *Jesteś naprawdę dzielny, że tak się jej postawiłeś*... Nazwała go dzielnym... Nie ma do niego żalu, że nie zginął...

Oczywiście wolała Cedrika, wiedział o tym... Chociaż... gdyby zaprosił ją na bal przed Cedrikiem, mogłoby być inaczej... Przecież jak mu odmawiała, to wyglądała na szczerze zmartwioną...

- Dzień dobry - powitał wesoło Rona i Hermionę, siadając przy stole Gryfonów w Wielkiej Sali.

- Z czego tak się cieszysz? - zapytał Ron, przyglądając mu się ze zdziwieniem.

- No... z dzisiejszego quidditcha - odpowiedział Harry, przyciągając wielki półmisek z jajkami na bekonie.

- Ach... no tak... - Ron odłożył tost, który jadł, i popił go dużym haustem dyniowego soku. - Słuchaj... może byś tak poszedł ze mną na boisko trochę wcześniej, co? Po prostu, żeby... żebym mógł trochę poćwiczyć przed treningiem. Żebym, no wiesz, trochę się oswoił...

- No jasne - powiedział Harry.

- Słuchajcie, chyba nie powinniście - odezwała się Hermiona z powagą - obaj jesteście naprawdę do tyłu z pracą domową, a...

Ale urwała, bo właśnie przybyła poranna poczta i jak zwykle szybował już ku niej „Prorok Codzienny" w dzióbku sóweczki, która wylądowała niebezpiecznie blisko cukiernicy i natychmiast wyciągnęła nóżkę. Hermiona wetknęła knuta do skórzanego woreczka, chwyciła gazetę i przebiegła wzrokiem pierwszą stronę. Sówka odleciała.

- Jest coś ciekawego? - zapytał Ron.

Harry uśmiechnął się; wiedział, że Ron chce szybko zmienić temat.

- Nie - westchnęła. - Tylko jakieś głupoty o basiście Fatalnych Jędz... że się żeni...

Otworzyła gazetę i zniknęła za nią. Harry nałożył sobie drugą porcję jajek na bekonie. Ron wpatrywał się w okna, jakby coś go nagle zainteresowało.

- Chwileczkę - powiedziała nagle Hermiona. - Och, nie... Syriusz!

- Co się stało? - zapytał Harry i chwycił gazetę tak gwałtownie, że rozerwał ją w środku, tak że teraz on i Hermiona trzymali po jej połowie.

- „Ministerstwo Magii otrzymało wiadomość z zaufanego źródła, że Syriusz Black, notoryczny morderca"... bla-bla-bla... „ukrywa się ostatnio w Londynie"! - przeczytała Hermiona przerażonym szeptem ze swojej połowy gazety.

- Lucjusz Malfoy... założę się o wszystko - powiedział cicho Harry głosem drżącym od gniewu. - Więc jednak rozpoznał Syriusza na peronie...

- Co? - Ron zrobił przerażoną minę. - Nie mówiłeś, że...

- Ciiicho! - syknęli jednocześnie Harry i Hermiona.

- „Ministerstwo ostrzega społeczność czarodziejów, że Black jest bardzo groźnym przestępcą... zabił trzynaście osób... uciekł z Azkabanu"... i tak dalej - zakończyła Hermiona, odkładając swoją połowę gazety i spoglądając ze strachem na Harry'ego i Rona. - No cóż, po prostu nie będzie już mógł opuszczać domu, to wszystko - szepnęła. - Dumbledore go ostrzegał, żeby tego nie robił.

Harry spojrzał ponuro na swój kawałek „Proroka". Większość strony zajmowała reklama Madame Malkin (Szaty na Wszystkie Okazje), która chyba urządziła wyprzedaż.

- Hej! - wykrzyknął cicho, kładąc gazetę na stole, tak żeby Hermiona i Ron mogli zobaczyć. - Spójrzcie na to!

- Już mam szatę na wszystkie okazje - mruknął Ron.

- Nie... spójrzcie na to... ta mała notka...

Ron i Hermiona pochylili się nad gazetą. Notka miała najwyżej cal długości i umieszczona była na samym dole kolumny.

WŁAMANIE W MINISTERSTWIE

Sturgis Podmore, lat 38, zamieszkały w Clapham przy Laburnum Gardens 2, stanął przed Wizengamotem oskarżony o włamanie do Ministerstwa Magii 31 sierpnia. Podmore został aresztowany przez strażnika Eryka Muncha, który o pierwszej w nocy przyłapał go na próbie sforsowania drzwi supertajnego pomieszczenia w Ministerstwie. Podmore, który odmówił zeznań, został uznany winnym obu zarzutów i skazany na sześć miesięcy pobytu w Azkabanie.

- Sturgis Podmore? - zapytał powoli Ron. - Przecież to ten facet ze strzechą na głowie! To jeden z członków Zak...

- Ron, ciiicho! - przerwała mu Hermiona, rozglądając się ze strachem.

- Sześć miesięcy w Azkabanie! - wyszeptał Harry. - Za próbę przejścia przez jakieś drzwi!

- Nie bądź głupi, przecież tu nie chodziło o przejście przez jakieś drzwi... Co on robił w Ministerstwie Magii o pierwszej w nocy... - wyszeptała Hermiona.

- Myślisz, że robił coś dla Zakonu? - mruknął pod nosem Ron.

- Zaraz... zaraz... - powiedział z namysłem Harry. - Sturgis miał nas odprowadzić, pamiętacie?

Ron i Hermiona spojrzeli na niego, marszcząc czoła.

- Tak, on przecież miał być w straży, która odprowadzała nas na King's Cross, pamiętacie? I Moody się wściekał, że go nie ma, więc nie wygląda na to, że to oni go gdzieś wysłali, prawda?

- Może nie sądzili, że go złapią - powiedziała Hermiona.

- To może być sfabrykowane oskarżenie! - zawołał Ron i prawie natychmiast ściszył głos, widząc groźne spojrzenie Hermiony. - Nie... słuchajcie! Ministerstwo podejrzewa, że on

jest jednym z ludzi Dumbledore'a... sam nie wiem... ale może zwabili go do ministerstwa, a on wcale nie próbował sforsować żadnych drzwi! Może oni to uknuli, żeby mieć na niego haka!

Zapadło milczenie. Harry i Hermiona rozważali tę hipotezę. Harry uznał ją za trochę wydumaną, natomiast na Hermionie chyba zrobiła wrażenie, bo powiedziała:

- Wiecie co, wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to się okazało prawdą.

Powoli złożyła swoją połówkę gazety. Dopiero gdy Harry odłożył nóż i widelec, wyrwała się z zadumy.

- No dobrze, uważam, że powinniśmy najpierw zabrać się za wypracowanie o samoużyźniających się krzewach dla Sprout, a jak się z tym szybko uporamy, to będziemy mogli przed drugim śniadaniem zacząć ćwiczyć Inanimatus Conjurus dla McGonagall...

Harry poczuł lekkie ukłucie wyrzutów sumienia na myśl o czekającej go na górze stercie prac domowych, ale niebo było tak czyste, tak ożywczo błękitne, a on od wieków nie dosiadł swojej Błyskawicy...

- Nie martw się, możemy to zrobić wieczorem - powiedział Ron, kiedy szli razem trawiastym zboczem w stronę stadionu z miotłami na ramionach, a ostrzeżenia Hermiony, że zawalą wszystkie sumy, wciąż brzmiały im w uszach. - No i jest jeszcze niedziela. Ona za bardzo się przejmuje nauką, w tym jej problem... - Zamilkł na chwilę, a potem dodał już bardziej zaniepokojonym tonem: - Myślisz, że mówiła serio, że nie da nam odpisać?

- Chyba tak. Ale myślę też, że musimy ćwiczyć, jeśli chcemy się utrzymać w drużynie... a to też jest ważne...

- No jasne - ucieszył się Ron. - Zresztą mamy mnóstwo czasu, zdążymy zrobić wszystko...

Zbliżali się już do stadionu quidditcha i Harry zerknął w prawo, gdzie kołysały się ponuro drzewa w Zakazanym Lesie. Nic z nich nie wyfrunęło: niebo było puste, nie licząc kilku sów polatujących wokół wieży, na której szczycie mieściła się sowiarnia. Nie miał się już czym martwić, latający koń mu nie zagrażał, więc wyrzucił go ze swych myśli.

Zabrali piłki z szafy w szatni i zaczęli ćwiczyć. Ron bronił trzech pętli na słupkach, Harry był ścigającym i starał się strzelić mu gola. Harry wkrótce uznał, że Ron jest całkiem dobry: obronił trzy czwarte jego strzałów, a im dłużej ćwiczyli, tym był lepszy. Po paru godzinach wrócili do zamku, gdzie zjedli obiad, podczas którego Hermiona dała im jasno do zrozumienia, że uważa ich za osoby nieodpowiedzialne, a potem wrócili na stadion, żeby wziąć udział w treningu całej drużyny. Kiedy weszli do szatni, zastali już wszystkich prócz Angeliny.

- No jak, Ron, wszystko gra? - zapytał George, puszczając do niego oko.

- Jasne - odrzekł Ron, który już w drodze na stadion stawał się coraz bardziej milczący.

- Nasz prefekcik gotów, żeby się popisać? - zakpił Fred, wynurzając rozczochraną głowę z szaty do quidditcha, z nieco złośliwym uśmiechem na twarzy.

- Przymknij się - powiedział z kamienną twarzą Ron, po raz pierwszy zakładając szatę w barwach drużyny Gryfonów. Pasowała na niego nadspodziewanie dobrze, zwłaszcza że należała uprzednio do Olivera Wooda, który był dość szeroki w barach.

- Uwaga wszyscy - rozległ się głos Angeliny, która wyszła z pokoju kapitana drużyny już przebrana. - No, to zaczynamy. Alicja, Fred, przynieście skrzynkę z piłkami. Aha, tam są gapie, ale macie ich po prostu ignorować, dobra?

Coś w zbyt zdawkowym tonie jej głosu podpowiedziało Harry'emu, kim mogą być owi nieproszeni widzowie. I nie mylił się. Kiedy wyszli z szatni na zalany słońcem stadion, powitały ich gwizdy i szydercze okrzyki drużyny Ślizgonów i ich kibiców, którzy rozsiedli się w pustych ławkach.

- Na czym lata Weasley?! - wrzasnął kpiąco Malfoy. - Po co ktoś rzucił zaklęcie latania na tę starą, zapleśniałą kłodę?

Crabbe, Goyle i Pansy Parkinson ryknęli rubasznym śmiechem. Ron dosiadł miotły i odepchnął się mocno od ziemi, a Harry wystartował za nim, mając przed oczami jego czerwone uszy.

- Olewaj ich - powiedział, przyspieszając, by się z nim zrównać. - Zobaczymy, kto się będzie śmiał, jak z nimi zagramy...

- Właśnie o takie nastawienie mi chodzi, Harry - pochwaliła go Angelina, mijając ich z kaflem pod pachą i zwalniając, by zawisnąć w miejscu przed całą drużyną. - Uwaga wszyscy: zaczniemy dla rozgrzewki od kilku podań, cała drużyna, proszę...

- Hej, Johnson, co z twoją fryzurą?! - wrzasnęła z dołu Pansy Parkinson. - Od kiedy to nosi się coś, co wygląda jak robaki wyłażące z głowy?

Angelina odrzuciła z twarzy długie warkoczyki i powiedziała spokojnie:

- No to rozstawcie się, zobaczymy, co potrafimy...

Harry odleciał nad daleki koniec stadionu. Ron poszybował ku słupkom po przeciwnej stronie. Angelina podniosła kafla jedną ręką i rzuciła mocno do Freda, który podał George'owi, ten podał do Harry'ego, a Harry do Rona. Ronowi kafel wypadł z rąk.

Slizgoni pod wodzą Malfoya ryknęli śmiechem. Ron zanurkował, żeby chwycić kafla, a potem poderwał miotłę niezbyt pewnie, tak że trochę go zarzuciło w bok, i wrócił na dawną

wysokość z wypiekami na policzkach. Harry zobaczył, jak Fred i George wymieniają spojrzenia, ale tym razem żaden nic nie powiedział, za co był im wdzięczny.

- Podaj dalej, Ron! - zawołała Angelina, jakby nic się nie stało.

Ron rzucił kafla do Alicji, ta podała do Harry'ego, który podał do George'a...

- Hej, Potter, jak tam twoja blizna?! - krzyknął Malfoy. - Nie musisz się położyć? Już od tygodnia nie byłeś w skrzydle szpitalnym, to chyba twój rekord, co?

George podał do Angeliny, ta znowu do Harry'ego, który się tego nie spodziewał, ale zdołał chwycić piłkę końcami palców i zaraz podał do Rona. Ron zrobił szybki wypad po kafla i nie trafił.

- Ron, uważaj! - skarciła go Angelina, kiedy znowu zanurkował, ścigając piłkę.

Kiedy Ron wrócił na dawną wysokość, trudno było powiedzieć, co jest bardziej czerwone, jego twarz czy kafel. Malfoy i reszta Ślizgonów wyli ze śmiechu.

W trzeciej próbie Ron wreszcie złapał kafla i może dlatego rzucił go z takim entuzjazmem do Katie, że piłka przeleciała między jej wyciągniętymi rękami i ugodziła ją mocno w twarz.

- Przepraszam! - jęknął Ron i poszybował ku niej, żeby zobaczyć, czy coś się jej nie stało.

- Wracaj na pozycję, nic jej nie jest! - krzyknęła Angelina. - Ale jak podajesz, nie zwalaj współzawodnika z miotły, dobra? Od tego są tłuczki!

Katie leciała krew z nosa. W dole Ślizgoni tupali głośno i wrzeszczeli. Fred i George podlecieli do niej.

- Masz, połknij to - powiedział Fred, wyjmując z kieszeni coś małego i fioletowego. - Zaraz ci przejdzie.

- Dobra! - zawołała Angelina. - Fred, George, bierzcie pałki i tłuczka, Ron, do słupków, Harry, jak ci powiem, uwolnij znicza! Oczywiście naszym celem jest wbicie Ronowi gola.

Harry poszybował za bliźniakami po skrzydlatą złotą piłeczkę.

- Ron coś nawala, nie? - mruknął George, gdy wszyscy trzej wylądowali przy skrzynce z piłkami.

- Jest po prostu zdenerwowany - powiedział Harry. - Jak z nim rano ćwiczyłem, był bardzo dobry.

- Mam nadzieję, że nie za wcześnie osiągnął szczyt formy - stwierdził ponuro Fred.

Wrócili do reszty drużyny. Kiedy Angelina zagwizdała, Harry uwolnił znicza, a Fred i George wypuścili tłuczka. Od tego momentu Harry przestał zwracać uwagę na to, co robią

inni. Jego zadaniem było pochwycenie maleńkiej, roztrzepotanej złotej piłeczki, co dawało sto pięćdziesiąt punktów drużynie szukającego, a schwytanie znicza wymagało szybkości i dużych umiejętności. Przyspieszył, to zbliżając się, to oddalając od ścigających. Czuł na twarzy powiew ciepłego jesiennego powietrza i słyszał z oddali wrzaski Ślizgonów, teraz już całkiem mu obojętne. Ale... ostry gwizdek kazał mu się znowu zatrzymać.

- Stop... stop... STOP! - krzyknęła Angelina. - Ron... nie kryjesz środkowej pętli!

Harry spojrzał na Rona, który zawisł przed lewą pętlą, pozostawiając prawą i środkową bez obrony.

- Och... przepraszam...

- Masz się ruszać, obserwując ścigających! Albo trzymaj się środkowego słupka, gotowy do obrony każdej pętli, albo krąż wokół wszystkich pętli, ale nie dryfuj w jedną stronę, właśnie przez to puściłeś ostatnie trzy gole!

- Przepraszam... - powtórzył Ron, a jego twarz płonęła jak latarnia morska na tle jasnoniebieskiego nieba.

- Katie, nie możesz coś zrobić z tym krwawieniem z nosa?

- Jest coraz gorzej! - odpowiedziała Katie, próbując powstrzymać krwotok rękawem.

Harry zerknął na Freda, który z zaniepokojoną miną grzebał gorączkowo w kieszeni. Wyciągnął coś fioletowego, szybko obejrzał i spojrzał na Katie, najwyraźniej przerażony.

- No dobra, spróbujmy jeszcze raz - powiedziała Angelina, ignorując Ślizgonów, którzy teraz ryczeli: „Klęska Gryfonów! Klęska Gryfonów!”

Harry zauważył, że Angelina trzyma się jakoś sztywno na miotle.

Tym razem latali zaledwie z trzy minuty, gdy znowu rozległ się gwizdek Angeliny. Harry, który właśnie dostrzegł znicza krążącego wokół przeciwległych słupków bramkowych, przyhamował zawiedziony.

- Co znowu? - zapytał niecierpliwie Alicję, która była najbliżej.

- Katie - odpowiedziała krótko.

Harry odwrócił się i zobaczył Angelinę, Freda i Georgea mknących ku Katie. Harry i Alicja też ku niej ruszyli, przyspieszając z miejsca. Było jasne, że Angelina przerwała trening w ostatniej chwili: Katie, biała jak kreda, była powalana krwią.

- Do skrzydła szpitalnego - zadecydowała Angelina.

- My ją tam zabierzemy - rzekł Fred. - Mogła... ee... połknąć przez omyłkę... Bąblówkę Krwawą...

- No cóż, nie ma sensu trenować bez pałkarzy i jednego ścigającego - powiedziała ponuro Angelina, kiedy Fred i George poszybowali w stronę zamku, podtrzymując między sobą Katie. - Chodźcie, przebierzemy się.

Slizgoni nadal wywrzaskiwali swój obelżywy hymn, kiedy reszta drużyny Gryfonów powlokła się do szatni.

- Jak tam trening? - zapytała Hermiona nieco chłodnym tonem pół godziny później, kiedy Harry i Ron weszli do pokoju wspólnego przez dziurę pod portretem.

- Było... - zaczął Harry.

- Beznadziejnie - przerwał mu Ron bezbarwnym głosem, opadając na fotel obok Hermiony. Spojrzała na niego i jej chłód wyraźnie zelżał.

- No wiesz, to był twój pierwszy trening - próbowała go pocieszyć. - Trzeba trochę czasu, żeby...

- A kto powiedział, że to ja nawaliłem? - warknął Ron.

- Nikt - odpowiedziała zaskoczona Hermiona. - Myślałam...

- Myślałaś, że muszę się zbłaźnić?

- Nie, ależ skąd! Sam powiedziałeś, że było beznadziejnie, więc ja tylko...

- Zamierzam zabrać się za odrabianie lekcji - oznajmił ze złością Ron i po chwili zniknął na schodach wiodących do dormitoriów chłopców.

- To on nawalił?

- Nie - odrzekł lojalnie Harry.

Hermiona uniosła brwi.

- No wiesz, chyba mógł zagrać lepiej - mruknął Harry - ale to był jego pierwszy trening, jak sama powiedziałaś...

Tego popołudnia ani Harry, ani Ron nie posunęli się zanadto w pokonywaniu fury prac domowych. Harry wiedział, że Ron jest zbyt przejęty swoim nieudanym pierwszym występem na treningu quidditcha, a sam miał trudności z wyrzuceniem z głowy hasła „Klęska Gryfonów!"

Całą niedzielę przesiedzieli w opustoszałym pokoju wspólnym, obłożeni książkami. Znowu była wspaniała pogoda i większość Gryfonów spędzała czas na błoniach wokół zamku, ciesząc się być może ostatnim słonecznym dniem tego roku. Wieczorem Harry czuł się już tak, jakby ktoś roztłukiwał mu mózg o wewnętrzną stronę czaszki.

- Wiesz co, chyba musimy odwalać więcej zadań w ciągu tygodnia - mruknął do Rona, kiedy w końcu odłożyli długie wypracowania na temat zaklęcia Inanimatus Conjurus i z

głębokim westchnieniem zabrali się za równie długie i trudne wypracowanie dla profesor Sinistry na temat księżyców Jowisza.

- Chyba tak - odrzekł Ron, trąc nabiegłe krwią oczy i wrzucając do kominka piąty zgnieciony arkusz pergaminu. - Słuchaj... czy moglibyśmy poprosić Hermionę, żeby nam pozwoliła tylko rzucić okiem na to, co napisała?

Harry zerknął na nią. Siedziała z Krzywołapem na kolanach i gawędziła beztrosko z Ginny, a przed nią migały w powietrzu dwa druty: robiła teraz parę bezkształtnych skarpet.

- Nie - odpowiedział smętnie. - Przecież wiesz, że nam nie pozwoli.

Zabrali się więc znowu do pracy, a tymczasem niebo za oknami pociemniało i w pokoju wspólnym zaczęło się robić pusto. O wpół do dwunastej Hermiona podeszła do nich, ziewając.

- Kończycie?

- Nie - odburknął Ron.

- Największym księżycem Jowisza jest Ganimed, nie Kallisto - powiedziała, wskazując ponad ramieniem Rona na jego esej z astronomii - a wulkany są na Io.

- Dzięki - warknął Ron, wykreślając błędne zdania.

- Przepraszam, ja tylko...

- Jeśli przyszłaś tu tylko po to, żeby krytykować...

- Ron...

- Naprawdę nie mam czasu wysłuchiwać kazań, Hermiono, już i tak jestem pogrążony po szyję i...

- Nie... patrz!

Hermiona wskazywała palcem najbliższe okno. Na parapecie zewnętrznym siedział ładny puchacz, patrząc przez szybę na Rona.

- Czy to nie Hermes? - spytała Hermiona zdumionym tonem.

- Niech skonam, to on! - przyznał cicho Ron, odrzucając pióro i wstając. - Percy do mnie napisał? Po co?

Podszedł do okna i otworzył je. Hermes wleciał do środka, wylądował na wypracowaniu Rona i wyciągnął nóżkę, do której był przymocowany list. Ron zdjął list, a puchacz natychmiast wyleciał, pozostawiając atramentowe ślady pazurów na rysunku księżyca Io.

- To na pewno pismo Percy'ego - rzekł, siadając z powrotem w fotelu i patrząc na słowa wypisane na zwoju: *Ronald Weasley, Hogwart, Wieża Gryffindoru*. - Co o tym myślicie?

- Otwórz! - zniecierpliwiła się Hermiona, a Harry kiwnął głową.

Ron rozwinął pergamin i zaczął czytać. Im niżej wędrowały jego oczy, tym bardziej nachmurzoną miał minę. Kiedy skończył, na jego twarzy malowała się wręcz odraza. Rzucił list w stronę Harry'ego i Hermiony, a oni pochylili głowy ku sobie, żeby odczytać go razem.

Kochany Ronie,

Właśnie się dowiedziałem (od Ministra Magii we własnej osobie, któremu przekazała tę wiadomość wasza nowa nauczycielka, profesor Umbridge), że zostałeś jednym z prefektów Hogwartu.

Byłem bardzo mile zaskoczony, gdy usłyszałem tę nowinę i przede wszystkim muszę Ci złożyć gratulacje. Przyznaję szczerze: zawsze się obawiałem, że obierzesz drogę, którą od dawna kroczą Fred i George, zamiast pójść w moje ślady, więc możesz sobie wyobrazić, co czułem, jak usłyszałem, że przestałeś lekceważyć autorytety i postanowiłeś wreszcie podjąć się prawdziwie odpowiedzialnych zadań.

Pragnę Ci jednak przekazać nie tylko moje gratulacje. Ron, pragnę udzielić Ci trochę rad i właśnie dlatego wysyłam ten list teraz, wieczorem, a nie poranną pocztą. Mam nadzieję, że będziesz mógł go przeczytać z dala od wścibskich oczu, unikając kłopotliwych pytań.

Z tego, co zdradził mi Minister, kiedy informował, że zostałeś prefektem, wywnioskowałem, że nadal spędzasz dużo czasu z Harrym Porterem. Ron, muszę Cię ostrzec, że nic tak nie grozi Ci utratą odznaki, jak dalsze przyjaźnienie się z tym chłopakiem. Tak, wiem, że będziesz tym zaskoczony - na pewno powiesz, że Potter był zawsze ulubieńcem Dumbledore'a - ale musisz wiedzieć, że wkrótce Dumbledore może stracić stanowisko dyrektora Hogwartu, a ludzie, którzy naprawdę się liczą, mają bardzo odmienne - chyba o wiele bardziej właściwe - spojrzenie na zachowanie Pottera. Nie powiem Ci więcej, ale jeśli zajrzysz jutro do „Proroka Codziennego", będziesz się mógł zorientować, skąd wieje wiatr - sam ocenisz, w którą stronę się zwrócić!

Poważnie, Ron, przecież chyba nie chcesz, żeby mierzyli Cię tą samą miarą, co Pottera, to może bardzo zaszkodzić Twojej przyszłości, a mam tu na myśli również karierę po ukończeniu szkoły. Na pewno wiesz, biorąc pod uwagę fakt, że to nasz ojciec eskortował go do sądu, że tego lata Potter miał dyscyplinarne przesłuchanie przed całym Wizengamotem, a kiedy z niego wyszedł, miał nietęgą minę. Wykaraskał się z tego tylko dzięki pewnym kruczkom formalnym, i wiele osób, z którymi rozmawiałem, jest nadal przekonanych o jego winie.

Być może boisz się zerwać z nim kontakty - wiem, że jest niezrównoważony i potrafi być gwałtowny - ale jeśli to Cię martwi, albo gdybyś zauważył w zachowaniu Pottera coś niepokojącego, porozmawiaj o tym z Dolores Umbridge, to naprawdę wspaniała kobieta, i wiem, że będzie bardzo szczęśliwa, mogąc Ci doradzić.

W związku z tym mam dla Ciebie jeszcze jedną radę. Jak nadmieniłem wyżej, rządy Dumbledore'a w Hogwarcie mogą się wkrótce zakończyć. Powinieneś być lojalny nie wobec niego, a wobec szkoły i Ministerstwa. Bardzo mi było przykro, kiedy się dowiedziałem, że jak dotąd personel nauczycielski nie wspiera profesor Umbridge w jej wysiłkach zaprowadzenia w Hogwarcie niezbędnych zmian, których tak żarliwie oczekuje Ministerstwo (chociaż jestem pewny, że od przyszłego tygodnia będzie jej to przychodziło o wiele łatwiej - i znowu: zajrzyj jutro do „Proroka"!). Powiem tylko tyle: uczeń, który okaże chęć pomocy profesor Umbridge w jej poczynaniach, może liczyć na dobrą pozycję przy rozpatrywaniu kandydatur na naczelnego prefekta Hogwartu w najbliższych latach!

Żal mi, że nie mogłem spędzić z Tobą więcej czasu w lecie. Krytykowanie naszych rodziców sprawia mi ból, ale obawiam się, że nie mogę mieszkać z nimi pod jednym dachem, skoro przyłączyli się do niebezpiecznego grona wielbicieli Dumbledore'a (jeśli będziesz pisać do Matki, możesz jej wspomnieć, że niejaki Sturgis Podmore, wielki przyjaciel Dumbledore'a, został niedawno zesłany do Azkabanu za włamanie do Ministerstwa. Może to otworzy im oczy i zrozumieją, że zadają się ostatnio z drobnymi przestępcami. Miałem prawdziwe szczęście, że udało mi się uniknąć opinii człowieka powiązanego z takimi ludźmi - Minister okazał mi naprawdę wielką łaskę - i mam nadzieję, Ron, że nie pozwolisz, by więzi rodzinne oślepiły Cię aż tak, abyś nie dostrzegał błędnej natury poglądów i działań naszych rodziców. Mam wciąż nadzieję, że w swoim czasie zrozumieją, jak bardzo się mylili, a ja, rzecz jasna, będę gotów przyjąć ich przeprosiny, gdy ten dzień nadejdzie.

Proszę Cię, przemyśl dobrze to, co tutaj napisałem, zwłaszcza to o Harrym Potterze. I jeszcze raz gratuluję Ci odznaki prefekta.

Twój brat

Percy

Harry spojrzał na Rona.

- No cóż - powiedział, starając się, by jego głos zabrzmiał tak, jakby uznał to wszystko za dowcip - jeśli chcesz... ee... jak to było? - zerknął w list Percy'ego - aha... jeśli chcesz zerwać ze mną kontakty, to przysięgam, że nie będę gwałtowny.

- Daj mi ten list - rzekł Ron, wyciągając rękę. - Percy jest - tu przedarł list na połowę - największym - przedarł go na ćwiartki - na świecie - przedarł go jeszcze raz - dupkiem.

I wrzucił podarty na kawałeczki list do kominka.

- No, do roboty, musimy to skończyć przed świtem - dodał dziarskim tonem, przyciągając do siebie wypracowanie dla profesor Sinistry.

Hermiona popatrzyła na Rona z dziwnym wyrazem twarzy.

- Och, dajcie mi to - powiedziała nagle.

- Co? - zdziwił się Ron.

- Dajcie mi te wypracowania, przejrzę je i poprawię.

- Mówisz poważnie? Ach, Hermiono, ratujesz nam życie! Co możemy...

- Możecie powiedzieć: „Przyrzekamy, że już nigdy nie zostawimy nieodrobionych lekcji na ostatnią chwilę" - oświadczyła, wyciągając obie ręce po ich wypracowania, ale minę miała trochę rozbawioną.

- Dzięki stokrotne, Hermiono - rzekł cicho Harry, podając jej swoje wypracowanie.

Opadł z powrotem na oparcie fotela i zaczął sobie rozcierać oczy.

Było już po północy i w pokoju wspólnym zostali tylko oni troje i Krzywołap. Słychać było jedynie skrobanie pióra Hermiony, gdy wykreślała zdania tu i tam, i szelest kartek, gdy sprawdzała różne fakty w leksykonach i podręcznikach rozrzuconych na stole. Harry był wyczerpany. Czuł też dziwną, mdlącą pustkę w żołądku, która nie miała nic wspólnego ze zmęczeniem, natomiast miała wiele wspólnego z listem, który teraz zmienił się w czerniejące w żarze kawałeczki spalonego pergaminu.

Wiedział, że przynajmniej połowa uczniów w Hogwarcie uważa go za dziwaka, a nawet czubka; wiedział, że od miesięcy „Prorok Codzienny" zamieszcza fałszywe wzmianki i aluzje na jego temat, ale gdy zobaczył to na piśmie, w liście Percy'ego, kiedy przeczytał, że Percy doradza Ronowi zerwać z nim znajomość i nawet donosić na niego do Umbridge, poczuł nagle, że sytuacja, w jakiej się znalazł, stała się bardziej realna niż uprzednio. Znał Percy'ego od czterech lat, spędzał wakacje w jego domu, spał z nim w jednym namiocie podczas finału Mistrzostw Świata w Quidditchu, w ubiegłym roku dostał nawet od niego najwyższą liczbę punktów po drugim zadaniu Turnieju Trójmagicznego, a jednak teraz Percy uważał go za osobę niezrównoważoną, mogącą dopuścić się gwałtownych czynów.

Nagle przypomniał mu się Syriusz i ogarnęła go fala sympatii. Pomyślał, że Syriusz jest chyba jedyną znaną mu osobą, która mogłaby zrozumieć, jak się w tej chwili czuje, bo Syriusz był w takiej samej sytuacji: w społeczności czarodziejów prawie każdy uważał go za

niebezpiecznego mordercę i poplecznika Voldemorta, a musiał żyć z tą świadomością przez czternaście lat...

Zamrugał. Zobaczył w ogniu coś, czego nie powinno tam być. Mignęło i natychmiast znikło. Nie... to niemożliwe... Wyobraził to sobie, bo myślał o Syriuszu...

- Okej, przepisz to - powiedziała Hermiona do Rona, podsuwając mu jego wypracowanie i arkusz zapisany przez siebie - i dodaj zakończenie, które ci napisałam.

- Hermiono, jesteś naprawdę najcudowniejszą istotą, jaką w życiu spotkałem - wybąkał Ron - i jeśli kiedykolwiek coś ci nagadam...

- ...to uznam, że wracasz do normalności - przerwała mu Hermiona. - Harry, twoje wypracowanie jest w porządku, z wyjątkiem tego kawałka na końcu, chyba źle zrozumiałeś profesor Sinistrę, Europa pokryta jest lodem, a nie *miodem*... Harry?

Harry ześliznął się z fotela na kolana i przykucnął na przypalonym, wytartym dywaniku, wpatrując się w płomienie.

- Ee... Harry? - zapytał Ron niepewnym tonem. - Dlaczego tam siedzisz?

- Bo właśnie widziałem w kominku głowę Syriusza.

Powiedział to spokojnie, ostatecznie w zeszłym roku widział już głowę Syriusza w tym samym kominku, a nawet z nią rozmawiał. Tym razem nie był jednak taki pewny, czy mu się nie wydawało... Znikła tak szybko...

- Głowę Syriusza? - powtórzyła Hermiona. - Jak wtedy, gdy chciał z tobą porozmawiać podczas Turnieju Trójmagicznego? Ale przecież teraz nie mógłby tego zrobić, to by było za... SYRIUSZ!

Wydała z siebie zduszony okrzyk, wpatrując się w ogień. Ron upuścił pióro. Pośród roztańczonych płomieni tkwiła głowa Syriusza z długimi czarnymi włosami, opadającymi na uśmiechniętą twarz.

- Zacząłem już się bać, że pójdziecie spać, zanim wszyscy sobie stąd pójdą - powiedział. - Sprawdzałem co godzinę.

- Wskakiwałeś do kominka co godzinę? - zapytał Harry, prawie się śmiejąc.

- Tylko na parę sekund, żeby sprawdzić, czy pole jest czyste.

- A jak ktoś cię zobaczył? - zaniepokoiła się Hermiona.

- No... chyba mogła mnie zobaczyć jakaś dziewczynka... z pierwszej klasy, sądząc po wyglądzie... ale nie przejmuj się - dodał szybko, gdy Hermiona zasłoniła sobie ręką usta. - Zniknąłem, gdy na mnie ponownie spojrzała i założę się, że uznała mnie za bierwiono o dziwacznym kształcie albo za przywidzenie.

- Ale... Syriuszu, to straszne ryzyko... - zaczęła Hermiona.

- Jak bym słyszał Molly - przerwał jej Syriusz. - Tylko w ten sposób mogłem odpowiedzieć na list Harry'ego bez uciekania się do szyfru... a szyfry można złamać.

Na wzmiankę o liście, Hermiona i Ron odwrócili się, by spojrzeć na Harry'ego.

- Nie powiedziałeś nam, że napisałeś do Syriusza! - żachnęła się Hermiona.

- Zapomniałem - odrzekł Harry, co było szczerą prawdą, bo spotkanie w sowiarni Cho wymazało z jego pamięci wszystko, co było tuż przed nim. - Nie patrz tak na mnie, Hermiono, nie ma sposobu, by ktoś wyczytał z tego listu tajną wiadomość, prawda, Syriuszu?

- Prawda, list był bardzo dobry - przyznał Syriusz, uśmiechając się. - No, ale lepiej się pospieszmy, bo ktoś może nam przeszkodzić... Twoja blizna.

- Co znowu z tą... - zaczął Ron, ale Hermiona mu przerwała:

- Powiemy ci później. Mów, Syriuszu.

- No cóż, wiem, że to nie jest przyjemne, kiedy boli, ale uważamy, że nie ma powodu, by się poważnie zaniepokoić. Już cię bolała przez cały ubiegły rok, prawda?

- Tak, a Dumbledore powiedział, że tak się dzieje, kiedy Voldemortem targają jakieś silne emocje - powiedział Harry, jak zwykle nie zwracając uwagi na Rona i Hermionę, którzy skrzywili się na dźwięk tego nazwiska. - Czy ja wiem... Może po prostu na coś się wściekł tej nocy, kiedy miałem szlaban.

- Teraz, kiedy powrócił, blizna może cię boleć częściej - zauważył Syriusz.

- Więc nie sądzisz, że to miało coś wspólnego z tą Umbridge... kiedy mnie dotknęła, jak miałem u niej szlaban?

- Wątpię. Znam ją ze słyszenia i zapewniam was, że nie jest śmierciożercą...

- Jest tak podła, że mogłaby nim być - mruknął Harry, a Ron i Hermiona pokiwali gorliwie głowami.

- Tak, ale świat nie dzieli się na dobrych ludzi i śmierciożerców - powiedział Syriusz z nieco wymuszonym uśmiechem. - Wiem, że jest wstrętna... Powinniście posłuchać, co Remus o niej mówi.

- Lupin ją zna? - spytał szybko Harry, przypominając sobie, co na pierwszej lekcji mówiła Umbridge o mieszańcach.

- Nie - odparł Syriusz - ale dwa lata temu przeforsowała ustawę przeciw wilkołakom, która prawie uniemożliwia mu zdobycie posady.

Harry przypomniał sobie, że Lupin wyglądał ostatnio o wiele nędzniej, i jego wstręt do Umbridge jeszcze bardziej się pogłębił.

- A co ona ma przeciwko wilkołakom? - zapytała ze złością Hermiona.

- Pewnie się ich boi - powiedział Syriusz, rozbawiony jej oburzeniem. - Na pewno nienawidzi wszystkich nie w pełni ludzkich istot, bo w zeszłym roku prowadziła kampanię na rzecz wyłapania i odizolowania trytonów. Wyobraźcie sobie to marnotrawienie czasu i energii przy ściganiu trytonów, podczas gdy na wolności pozostają takie małe szmatławce jak Stworek...

Ron parsknął śmiechem, ale Hermiona zrobiła obrażoną minę.

- Syriuszu! - powiedziała z wyrzutem. - Naprawdę, gdybyś tylko trochę się postarał, to Stworek na pewno nabrałby do ciebie szacunku, w końcu jesteś jedynym pozostałym przy życiu członkiem rodziny, do której należał, a profesor Dumbledore powiedział...

- No więc jakie są lekcje z tą Umbridge? - przerwał jej Syriusz. - Uczy was zabijać mieszańców?

- Nie - odrzekł Harry, nie zwracając uwagi na urażoną minę Hermiony, której przerwano obronę Stworka. - W ogóle nie pozwala nam używać czarów!

- Czytamy tylko ten głupi podręcznik - dodał Ron.

- Ach, to by się zgadzało - rzekł Syriusz. - Mamy informacje z ministerstwa, że Knot nie chce, żebyście się zaprawiali do walki.

- Zaprawiali do walki? - powtórzył z niedowierzaniem Harry. - Co on sobie myśli, że my tu tworzymy jakąś armię czarodziejów?

- Dokładnie tak myśli, albo raczej tego się boi. On podejrzewa, że Dumbledore właśnie to robi... tworzy swoją prywatną armię, która będzie mogła przejąć władzę w Ministerstwie Magii.

Zapanowało milczenie, a potem Ron powiedział:

- To najgłupszy pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszałem, włączając w to bzdury, które opowiada Luna Lovegood.

- Więc nie mamy się uczyć obrony przed czarną magią, bo Knot się boi, że użyjemy zaklęć przeciwko ministerstwu? - zapytała rozeźlona Hermiona.

- Zgadza się - odrzekł Syriusz. - Knot sądzi, że Dumbledore nie cofnie się przed niczym, aby przejąć władzę. Jego stosunek do Dumbledore'a staje się coraz bardziej paranoidalny. Zaaresztuje go pod byle zarzutem. To tylko kwestia czasu.

To przypomniało Harry'emu o liście Percy'ego.

- Czy wiesz, że w jutrzejszym „Proroku Codziennym" ma się ukazać coś o Dumbledorze? Bo Percy, brat Rona, napisał, że...

- Nie wiem - odrzekł Syriusz. - Nie widziałem nikogo z Zakonu przez cały weekend, wszyscy byli bardzo zajęci. Siedzę w domu sam, tylko ze Stworkiem...

W jego głosie zabrzmiała nuta goryczy.

- Więc nie masz też żadnych wieści o Hagridzie?

- Ach... Powinien już wrócić, nikt nie wie, co się z nim stało. - A widząc ich przerażone twarze, dodał szybko: - Ale Dumbledore nie okazuje niepokoju, więc i wy się nie martwcie. Jestem pewny, że Hagrid jest cały i zdrowy.

- Ale skoro powinien już wrócić... - powiedziała cicho Hermiona.

- Madame Maxime, z którą mamy kontakt, powiedziała, że rozdzielili się w drodze powrotnej... ale nie ma żadnego powodu, by uważać, że jest ranny albo... to znaczy... nic nie wskazuje na to, że nie jest cały i zdrowy.

Harry, Ron i Hermiona wymienili zaniepokojone spojrzenia. Wcale ich nie przekonał.

- Słuchajcie, nie wypytujcie za często o Hagrida - rzekł pospiesznie Syriusz. - To by mogło zwrócić większą uwagę na fakt, że jeszcze nie wrócił, a wiem, że Dumbledore tego nie chce. Hagrid to twarda bestia, nic mu się nie stanie. - A kiedy i to ich nie pocieszyło, dodał: - Kiedy macie najbliższy wypad do Hogsmeade? Tak sobie pomyślałem, że udało się z tym psem na stacji, więc może...

- NIE! - krzyknęli jednocześnie Harry i Hermiona.

- Syriuszu, nie czytałeś „Proroka Codziennego”? - spytała ze strachem Hermiona.

- A, o to ci chodzi! Oni zawsze tylko podejrzewają, gdzie ja jestem, tak naprawdę nie mają pojęcia...

- Tak, ale my uważamy, że tym razem mają - powiedział Harry. - Malfoy dał nam w pociągu do zrozumienia, że on wie, że to byłeś ty, a jego ojciec był na peronie. Syriuszu, przecież znasz Lucjusza Malfoya, nie przychodź tu więcej, bez względu na wszystko, bo jak Malfoy znowu cię rozpozna...

- Dobrze już, dobrze, zrozumiałem - rzekł Syriusz z bardzo niezadowoloną miną. - To był tylko taki pomysł... Przyszło mi do głowy, że może byście chcieli ze mną...

- Tak, byłoby cudownie, tylko że nie chcę, żeby cię znowu wtrącili do Azkabanu! - powiedział Harry.

Zapadło milczenie. Syriusz wpatrywał się z ognia w Harry’ego, marszcząc czoło.

- Jesteś mniej podobny do swojego ojca, niż sądziłem - rzekł w końcu, a w jego głosie zabrzmiał chłód. - Dla Jamesa bez ryzyka nie było zabawy.

- Zrozum...

- No, lepiej już sobie pójdę, słyszę Stworka schodzącego z góry - powiedział Syriusz, ale Harry był pewny, że kłamie. - Napiszę ci, kiedy znowu pojawię się w kominku, dobrze? Chyba zniesiesz takie ryzyko?

Rozległo się ciche pyknięcie i w miejscu, gdzie przed chwilą była głowa Syriusza, tańczyły znowu płomienie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY
WIELKI INKWIZYTOR HOGWARTU

Spodziewali się, że następnego ranka będą musieli przeszukiwać najświeższe wydanie „Proroka Codziennego", żeby znaleźć artykuł, o którym Percy wspomniał w swoim liście. Jednak gdy tylko sowa, która przyniosła pocztę, odfrunęła z dzbanka z mlekiem, Hermiona wydała z siebie zduszony okrzyk i rozwinęła gazetę, a z pierwszej strony spojrzała na nich wielka fotografia Dolores Umbridge, uśmiechającej się szeroko i mrugającej do nich znad tytułu:

MINISTERSTWO CHCE ZREFORMOWAĆ
SYSTEM EDUKACJI
DOLORES UMDRIDGE PIERWSZYM
W HISTORII
„WIELKIM INKWIZYTOREM"

- Wielkim Inkwizytorem? - mruknął ponuro Harry wypuszczając z ręki na pół zjedzony tost. - A cóż to takiego?

Hermiona zaczęła czytać na głos:

Zupełnie nieoczekiwanie Ministerstwo Magii wydało wczoraj wieczorem dekret, zapewniający mu bezprecedensowy zakres kontroli nad Szkołą Magii i Czarodziejstwa w Hogwarcie.

„Od pewnego czasu Minister był coraz bardziej zaniepokojony tym, co się dzieje w Hogwarcie", powiedział młodszy asystent Ministra, Percy Weasley. „Chciał też w ten sposób odpowiedzieć na liczne głosy zaniepokojonych rodziców, którzy sądzą, że szkoła dryfuje w kierunku, którego nie pochwalają".

Nie po raz pierwszy w ostatnich tygodniach Knot wykorzystuje nowe przepisy prawne, aby wpłynąć na polepszenie sytuacji w szkole czarodziejów. 30 sierpnia został wydany Dekret Edukacyjny Numer 22, zgodnie z którym, jeśli aktualny dyrektor szkoły nie jest w stanie znaleźć kandydata na stanowisko nauczyciela, Ministerstwo może samo wybrać odpowiednią osobę.

„Właśnie dzięki temu dekretowi mogła zostać nauczycielem w Hogwarcie Dolores Umbridge", powiedział nam Weasley wczoraj wieczorem. „Dumbledore nie mógł znaleźć

nikogo, więc Minister mianował Umbridge, która, jak można się było spodziewać, odniosła natychmiastowy sukces...

- CO ona odniosła? - zapytał głośno Harry.

- Zaczekaj, to nie wszystko - powiedziała ponuro Hermiona.

- ...natychmiastowy sukces, dokonując rewolucyjnych zmian w metodzie nauczania obrony przed czarną magią i dostarczając Ministrowi rzeczowej informacji o tym, co naprawdę dzieje się w Hogwarcie".

Ministerstwo skorzystało też z możliwości, które daje Dekret Edukacyjny Numer 23, powołując nowy urząd, a mianowicie „Wielkiego Inkwizytora Hogwartu".

„To ekscytująca nowa faza planu Ministerstwa, polegającego na powstrzymaniu zjawiska, określanego jako niepokojące obniżenie standardów w Hogwarde", powiedział Weasley. „Inkwizytor będzie miał prawo wizytować wszystkich nauczycieli, żeby upewnić się, czy proces nauczania przebiega zgodnie z ustalonymi standardami. Stanowisko to zostało zaproponowane profesor Umbridge, niezależnie od jej obowiązków nauczycielskich, i mamy przyjemność poinformować, że propozycję tę przyjęła".

Te najnowsze posunięcia Ministerstwa spotkały się z entuzjastycznym poparciem rodziców uczniów Hogwartu.

„Czuję się o wiele spokojniejszy, wiedząc, że Dumbledore zostanie poddany sprawiedliwej i obiektywnej ocenie", powiedział pan Lucjusz Malfoy, lat 41, z którym rozmawialiśmy wczoraj wieczorem w jego dworku w Wiltshire. „Ponieważ mamy na uwadze dobro naszych dzieci, niepokoiły nas pewne ekscentryczne decyzje Dumbledore'a w ostatnich kilku latach i dlatego radzi jesteśmy, widząc, że Ministerstwo panuje jednak nad sytuacją".

Do wspomnianych „ekscentrycznych decyzji" należą bez wątpienia bardzo kontrowersyjne decyzje personalne, opisywane w naszej gazecie, a więc zatrudnienie w charakterze nauczycieli wilkołaka Remusa Lupina, półolbrzyma Rubeusa Hagrida i pomylonego eks-aurora, „Szalonookiego" Moody'ego.

Krążą oczywiście pogłoski, że Albus Dumbledore, były Najwyższy Niezależny Międzynarodowej Konfederacji Czarodziejów i Najwyższa Szycha Wizengamotu, nie jest już w stanie kierować prestiżową szkołą w Hogwarde.

„Sądzę, że mianowanie Inkwizytora jest pierwszym krokiem w kierunku zapewnienia Hogwartowi dyrektora, do którego będziemy mieć pełne zaufanie", powiedział nam wczoraj wieczorem pewien pracownik Ministerstwa.

Gryzelda Marchbanks i Tyberiusz Ogden zrezygnowali z członkostwa w Wizengamocie na znak protesu przeciw wprowadzeniu urzędu Inkwizytora Hogwartu.

„Hogwart jest szkołą, a nie jednym z wydziałów biura Korneliusza Knota", powiedziała pani Marchbanks. „To kolejna odrażająca próba zdyskredytowania Albusa Dumbledore'a" (więcej informacji na temat przypuszczalnych powiązań pani Marchbanks z wywrotową grupą goblinów na s. 17).

Hermiona skończyła czytać i spojrzała przez stół na Harry'ego i Rona.

- Teraz już wiemy, skąd się wzięła Umbridge! Knot wydał ten Dekret Edukacyjny, żeby ją tutaj wcisnąć! A teraz daje jej prawo wizytowania innych nauczycieli! - Oddychała szybko, a oczy jej płonęły. - Nie mogę w to uwierzyć. To odrażające...

- Wiem - rzekł Harry.

Spojrzał na swoją prawą dłoń, zaciśniętą na krawędzi stołu, i dostrzegł blady zarys słów, do których wyrycia w skórze zmusiła go Umbridge.

Natomiast Ron wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- A ty co? - zapytali jednocześnie Harry i Hermiona, wpatrując się w niego ze zdumieniem.

- Och, nie mogę się doczekać wizytacji u McGonagall! Umbridge nie ma pojęcia, na co się naraża, jak zacznie się jej czepiać.

- Chodźcie! - powiedziała Hermiona, podrywając się na nogi. - Jeśli dziś wizytuje Binnsa, to lepiej się nie spóźnić...

Ale profesor Umbridge nie przyszła na lekcję historii magii, tak samo nudną, jak w poprzedni poniedziałek, nie było jej też w lochu Snape'a, kiedy przybyli na dwugodzinną lekcję eliksirów, na której Harry dostał z powrotem swoje wypracowanie na temat kamienia księżycowego z wielkim, kosmatym czarnym O w górnym rogu.

- Dałem wam stopnie, które byście otrzymali, gdybyście takie prace przedstawili na egzaminie ze Standardowej Umiejętności Magicznej w zakresie eliksirów - powiedział Snape ze złośliwym uśmieszkiem, kiedy oddawał im prace domowe. - To wam powinno uświadomić, czego się możecie spodziewać na egzaminie.

Przeszedł wzdłuż sali i odwrócił się, by na nich spojrzeć.

- Ogólny poziom waszych wypracowań można określić jako denny. Gdyby to był egzamin, większość z was by nie zdała. Oczekuję, że włożycie o wiele więcej wysiłku w wypracowanie na temat różnych odmian antidotów na jady, bo inaczej zacznę karać szlabanem tych nieuków, którzy dostali O.

Uśmiechnął się, gdy Malfoy zachichotał i zapytał teatralnym szeptem:

- To są tacy, co dostali O?

Harry spostrzegł, że Hermiona zezuje, żeby zobaczyć, co on dostał. Wsunął szybko swoje wypracowanie do torby, czując, że powinien zachować tę informację dla siebie.

Postanowiwszy, że tym razem nie da Snape'owi okazji do natrząsania się z jego wywaru, Harry przeczytał ze trzy razy każdy punkt wypisanej na tablicy instrukcji, zanim zabrał się do ich wypełnienia. Jego eliksir wzmacniający nie miał tak czystej turkusowej barwy, jak wywar Hermiony, ale był bardziej niebieski niż różowy, jak wywar Neville'a, i kiedy pod koniec lekcji stawiał swoją kolbę na pulpicie Snape'a, odczuwał mieszaninę przekory i ulgi.

- No, nie było tak źle, jak w zeszłym tygodniu, prawda? - zauważyła Hermiona, kiedy wyszli z lochów i skierowali się ku Wielkiej Sali na obiad. - I wypracowania też nie poszły nam najgorzej, prawda? - A widząc, że obaj milczą, dodała: - No wiecie, nie spodziewałam się najwyższej oceny, przecież stawiał stopnie tak jak na egzaminie, ale na tym etapie trzeba się cieszyć z oceny, która gwarantuje zdanie egzaminu, zgadzacie się?

Harry chrząknął wymijająco.

- Oczywiście do egzaminów wiele może się zdarzyć, mamy sporo czasu, żeby się poprawić, ale stopnie, które teraz dostajemy, są czymś w rodzaju pozycji wyjściowej, prawda? Czymś, na czym możemy budować...

Usiedli razem przy stole Gryfonów.

- Oczywiście byłoby fantastycznie, gdybym dostała W...

- Hermiono - przerwał jej ostro Harry - jeśli chcesz się dowiedzieć, jakie dostaliśmy stopnie, to po prostu zapytaj.

- Ja nie... nie chodzi mi... ale jeśli chcecie mi powiedzieć...

- Dostałem N - powiedział Ron, nalewając sobie zupy. - Zadowolona?

- Nie ma się czego wstydzić - rzekł Fred, który właśnie pojawił się przy stole razem z George'em i Lee Jordanem i usiadł po prawej stronie Harry'ego. - Nie ma nic złego w dobrym, zdrowym N.

- Ale przecież N oznacza... - zaczęła Hermiona.

- „Nędzny", tak. Ale to lepsze od O, prawda? Bo O to „okropny", nie?

Harry poczuł, że robi mu się gorąco i udał, że zakrztusił się kawałkiem bułki. Niestety, kiedy skończył tę komedię, Hermiona nadal rozprawiała o stopniach wystawianych podczas zaliczania sumów.

- Więc najwyższy to W, czyli „wybitny", a potem jest B...

- Nie B, tylko P - poprawił ją George. - P, czyli „powyżej oczekiwań". Zawsze uważałem, że my z Fredem powinniśmy dostać ze wszystkiego P, bo sam fakt, że pojawiliśmy się na egzaminach, był powyżej oczekiwań.

Wszyscy zaczęli się śmiać, tylko Hermiona drążyła z uporem dalej:

- Więc po P jest Z, czyli „zadowalający", i to jest ostatni stopień, przy którym się zdaje, tak?

- Tak - odrzekł Fred, zanurzając bułkę w zupie, po czym włożył ją w całości do ust.

- A potem jest N, czyli „nędzny" - Ron uniósł obie ręce, jakby świętował swe zwycięstwo - i O, czyli „okropny".

- A potem T - przypomniał mu George.

- T? - zdziwiła się Hermiona. - Jeszcze niżej od O? A co to T oznacza?

- „Trolla" - odpowiedział szybko George.

Harry znowu się roześmiał, chociaż wcale nie był pewny, czy George żartuje. Wyobraził sobie, jak stara się ukryć przed Hermiona, że dostał T ze wszystkich sumów, i natychmiast postanowił bardziej przykładać się do nauki.

- Mieliście już wizytację? - zapytał Fred.

- Nie - odpowiedziała Hermiona. - A wy?

- Teraz, tuż przed drugim śniadaniem - rzekł George. - Na zaklęciach.

- No i jak było? - zapytali równocześnie Harry i Hermiona.

Fred wzruszył ramionami.

- Nie tak źle. Umbridge schowała się w kącie i robiła notatki. Znacie Flitwicka, traktował ją jak gościa, w ogóle się nią nie przejmował. Wiele nie mówiła. Wypytała Alicję, co sądzi o lekcjach, a Alicja jej powiedziała, że są bardzo fajne, i to wszystko.

- Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby można było przyczepić się do starego Flitwicka - rzekł George. - U niego zwykle wszyscy zdają.

- Co macie po południu? - spytał Harry'ego Fred.

- Trelawney...

- Jeśli ktoś zasługuje na T, to ona...

- ...i sama Umbridge.

- No to bądź grzecznym chłopcem i nie podskakuj dzisiaj tej Umbridge - powiedział George. - Angelina dostanie szału, jeśli opuścisz jeszcze jeden trening.

Ale Harry nie musiał czekać do lekcji obrony przed czarną magią, żeby spotkać profesor Umbridge. Wyjmował właśnie swój dziennik snów w dalekim kącie mrocznej klasy wróżbiarstwa, kiedy Ron szturchnął go w bok. Podniósł głowę i zobaczył profesor Umbridge

wynurzającą się z otworu w podłodze. Klasa, która gwarzyła sobie beztrosko, natychmiast ucichła. Nagła cisza sprawiła, że profesor Trelawney, która rozdawała im egzemplarze *Sennika*, też się rozejrzała.

- Dzień dobry, pani profesor Trelawney - powiedziała Umbridge, uśmiechając się szeroko. - Mam nadzieję, że otrzymała pani moją notkę z datą i godziną wizytacji?

Profesor Trelawney skinęła głową i z wyraźnie niezadowoloną miną odwróciła się od profesor Umbridge, powracając do rozdawania książek. Profesor Umbridge, wciąż uśmiechając się promiennie, chwyciła za oparcie najbliższego fotela, przeciągnęła go na sam przód klasy, tuż za fotelem profesor Trelawney, usiadła, wyciągnęła z kwiecistej torby podkładkę do notowania i spojrzała na profesor Trelawney, czekając na rozpoczęcie lekcji.

Profesor Trelawney otuliła się szczelniej szalami (ręce jej lekko drżały) i spojrzała na klasę przez swoje potężnie powiększające okulary.

- Dzisiaj będziemy nadal zajmować się snami proroczymi - oznajmiła, usiłując dzielnie zachować swój zwykły tajemniczy ton głosu, lecz głos jej lekko drżał. - Podzielcie się na pary i zinterpretujcie sobie nawzajem wasze ostatnie sny, korzystając z *Sennika*.

Już chciała wrócić do swojego fotela, gdy zobaczyła siedzącą tuż obok niego profesor Umbridge i natychmiast skręciła w lewo, kierując się ku Parvati i Lavender, które już były pogrążone w dyskusji na temat ostatniego snu Parvati.

Harry otworzył swój egzemplarz *Sennika*, obserwując ukradkiem Umbridge, która robiła notatki. Po kilku minutach wstała i zaczęła chodzić za Trelawney, przysłuchując się jej rozmowom z uczniami i od czasu do czasu sama zadając im pytania. Harry szybko pochylił głowę nad książką.

- Wymyśl jakiś sen, tylko szybko - mruknął do Rona - na wypadek, gdyby ta stara ropucha do nas podeszła.

- Ja wymyślałem ostatnio - zaprotestował Ron. - Dziś twoja kolej, ty mi opowiedz swój sen.

- Mam okropną pustkę w głowie... - powiedział przerażony Harry, nie mogąc sobie przypomnieć żadnego snu z ostatnich kilku nocy. - Powiedzmy, że śniłem, że... że utopiłem Snape'a w swoim kociołku. Dobra, niech będzie...

Ron zarechotał i otworzył Sennik.

- Dobra, musimy dodać twój wiek do daty snu, liczbę liter w temacie... Czy to będzie „topienie", „kociołek" czy „Snape"?

- Obojętne, wybierz, co chcesz - rzekł Harry, rzucając ukradkowe spojrzenie przez ramię.

Profesor Umbridge stała teraz tuż przy profesor Trelawney, która pytała Neville'a o jego dziennik snów.

- Kiedy śniło ci się to ponownie? - zapytał Ron, licząc zawzięcie.

- Nie wiem, ostatniej nocy, kiedy chcesz - odpowiedział Harry, starając się podsłuchać, co Umbridge mówi do Trelawney. Były teraz oddalone o jeden stolik od nich. Profesor Umbridge robiła notatki, a profesor Trelawney wyglądała na kompletnie wytrąconą z równowagi.

- Od jak dawna pracuje pani na tym stanowisku? - zapytała Umbridge, wpatrując się w nią.

Profesor Trelawney spojrzała na nią spode łba. Skrzyżowała ręce na piersiach i pochyliła ramiona, jakby chciała na tyle, ile to możliwe, ochronić się przed poniżeniem, jakim była ta wizytacja. Po krótkim zastanowieniu uznała, że pytanie nie było aż tak obraźliwe, by je zignorować, i odpowiedziała rozżalonym głosem:

- Prawie szesnaście lat.

- To długo - zauważyła profesor Umbridge, notując coś na przypiętym do podkładki pergaminie. - I mianował panią profesor Dumbledore?

- Tak - odpowiedziała krótko profesor Trelawney.

Profesor Umbridge znowu coś zanotowała.

- I jest pani praprawnuczką słynnej jasnowidzącej Kasandry Trelawney?

- Tak - odpowiedziała profesor Trelawney, nieco podnosząc głowę.

Kolejna notatka.

- Ale wydaje mi się... proszę mnie poprawić, jeśli się mylę... że od czasów Kasandry jest pani pierwszą osobą w rodzinie, która posiada dar jasnowidzenia, tak?

- Ten dar często nie objawia się przez... trzy pokolenia.

Żabie wargi profesor Umbridge rozciągnęły się w jeszcze szerszym uśmiechu.

- Oczywiście - zaśpiewała słodko, robiąc kolejną notatkę. - No cóż, czy mogłaby mi pani coś przepowiedzieć?

I spojrzała na nią pytająco, wciąż się uśmiechając. Profesor Trelawney zesztywniała, jakby nie wierzyła własnym uszom.

- Nie rozumiem - powiedziała, zaciskając palce na szalu w okolicach chudej szyi.

- Chciałabym, żeby mi pani przepowiedziała przyszłość - oświadczyła dobitnie profesor Umbridge.

Harry i Ron nie byli już jedynymi, którzy obserwowali ukradkiem tę scenę i podsłuchiwali tę wymianę zdań, ukrywszy się za książkami. Większość klasy wpatrywała się

jak urzeczona w profesor Trelawney, która wyprostowała się, podzwaniając paciorkami i bransoletkami.

- Wewnętrzne oko nie jest na rozkaz! - oświadczyła oburzonym tonem.

- Rozumiem - powiedziała cicho profesor Umbridge, robiąc jeszcze jedną notatkę.

- Ja... ale... ale... zaraz! - wyrzuciła nagle z siebie profesor Treławney, starając się przemówić swym zwykłym eterycznym głosem; niestety mistyczny efekt tej próby został nieco zniekształcony, bo jej głos drżał z gniewu. - Ja... chyba coś WIDZĘ... coś, co dotyczy PANI... Tak, coś wyczuwam... coś mrocznego... coś śmiertelnie groźnego...

I wycelowała trzęsący się palec w profesor Umbridge, która wciąż uśmiechała się ironicznie, patrząc na nią z uniesionymi brwiami.

- Obawiam się... obawiam się, że jest pani w śmiertelnym zagrożeniu! - skończyła profesor Trelawney dramatycznym tonem.

Zapadło milczenie. Profesor Umbridge miała wciąż uniesione brwi.

- Słusznie - powiedziała cicho, skrobiąc coś na pergaminie. - Cóż, jeśli to już naprawdę wszystko, na co panią stać...

I odwróciła się, pozostawiając profesor Trelawney, stojącą nieruchomo z falującym biustem. Harry zerknął na Rona i zrozumiał, że Ron myśli dokładnie to samo, co on: obaj wiedzieli, że profesor Trelawney jest starą oszustką, ale z drugiej strony tak bardzo nienawidzili Umbridge, że byli całym sercem po stronie Trelawney - dopóki nie podeszła do nich parę sekund później.

- No więc? - zagadnęła Harry'ego, strzelając długimi palcami przed jego nosem, niezwykle ożywiona. - Proszę mi pokazać początek twojego dziennika snów.

A kiedy zaczęła piskliwym głosem interpretować jego sny (wszystkie, nawet ten o jedzeniu owsianki, zapowiadały jego nagłą i przedwczesną śmierć), poczuł, że lubi ją coraz mniej. Przez cały czas profesor Umbridge stała w pobliżu, robiąc notatki, a gdy zabrzmiał dzwonek, pierwsza zeszła po srebrnej drabinie, tak że kiedy weszli do klasy obrony przed czarną magią, już tam na nich czekała, nucąc pod nosem i uśmiechając się do siebie.

Wyjmując swoje egzemplarze *Teorii obrony magicznej*, Harry i Ron opowiedzieli Hermionie, która miała numerologię, o tym, co się wydarzyło na wróżbiarstwie, ale zanim zdążyła zapytać o szczegóły, profesor Umbridge przywołała całą klasę do porządku i zaległa cisza.

- Odłóżcie różdżki - poleciła im z uśmiechem, a ci, którzy byli na tyle naiwni, że je wyjęli, pochowali je do toreb. - Ponieważ na ostatniej lekcji skończyliśmy rozdział pierwszy,

proszę otworzyć książki na stronie dziewiętnastej i przeczytać rozdział drugi, „Popularne teorie obronne i ich pochodzenie”. I proszę nie rozmawiać.

I ze swym zwykłym, szerokim uśmiechem samozadowolenia usiadła przy biurku. Wszyscy westchnęli głośno, otwierając jednocześnie książki na stronie dziewiętnastej. Harry’emu błąkała się po głowie myśl, czy starczy im rozdziałów na cały rok, i już miał zerknąć na spis treści, kiedy zauważył, że Hermiona znowu podniosła rękę.

Profesor Umbridge też to zauważyła, a co więcej, jej zachowanie wskazywało na to, że przygotowała sobie inną taktykę na taką okoliczność. Zamiast udawać, że jej nie dostrzega, wstała, obeszła pierwszy rząd stolików, stanęła twarzą w twarz z Hermioną, pochyliła się i wyszeptała, tak, żeby reszta klasy tego nie dosłyszała:

- O co tym razem chodzi, panno Granger?

- Ja już przeczytałam rozdział drugi.

- To przejdź do rozdziału trzeciego.

- Trzeci też już czytałam. Przeczytałam całą książkę.

Profesor Umbridge zamrugała, ale natychmiast odzyskała równowagę.

- No to na pewno potrafisz mi powiedzieć, co Slinkhard mówi o przeciwurokach w rozdziale piętnastym.

- Mówi, że przeciwuroki niesłusznie są tak nazywane - odpowiedziała Hermiona. - Twierdzi, że ludzie nazywają przeciwurokami uroki, kiedy chcą, żeby to lepiej brzmiało.

Profesor Umbridge uniosła brwi, a Harry wyczuł, że gładka wypowiedź Hermiony mimo woli zrobiła na niej wrażenie.

- Ale ja się z tym nie zgadzam - dodała Hermiona.

Brwi profesor Umbridge uniosły się nieco wyżej, a jej spojrzenie wyraźnie ochłodło.

- Nie zgadzasz się?

- Tak, nie zgadzam się - powtórzyła Hermiona, która w przeciwieństwie do Umbridge nie mówiła szeptem, tylko wyraźnym, donośnym głosem, zwracając na siebie uwagę całej klasy. - Pan Slinkhard po prostu nie lubi uroków, prawda? Natomiast ja uważam, że mogą być bardzo użyteczne, kiedy są wykorzystywane w obronie.

- Och, więc tak uważasz? - powiedziała profesor Umbridge już nie szeptem i wyprostowała się. - No cóż, obawiam się, że w tej klasie obowiązuje opinia pana Slinkharda, a nie twoja, panno Granger.

- Ale... - zaczęła Hermiona.

- Dość tego - przerwała jej profesor Umbridge. Wróciła na przód klasy i stanęła przed nimi, a beztroska, którą przejawiała na początku, całkowicie z niej uleciała. - Panno Granger, dom Gryffindoru traci pięć punktów.

W klasie rozległ się cichy pomruk rozżalenia.

- Za co? - zapytał ze złością Harry.

- Nie wtrącaj się! - szepnęła do niego z naciskiem Hermiona.

- Za przerywanie mojej lekcji bezsensownymi wypowiedziami - oznajmiła profesor Umbridge śpiewnym głosem. - Jestem tutaj po to, żeby was uczyć przy użyciu zaaprobowanej przez ministerstwo metody, która nie przewiduje zachęcania uczniów do wyrażania swojej opinii na temat spraw, których nie rozumieją. Wasi poprzedni nauczyciele tego przedmiotu mogli wam pozwalać na więcej, ale skoro żaden z nich... może z wyjątkiem profesora Quirrella, który przynajmniej ograniczał się do tematów odpowiednich dla waszego wieku... więc skoro żaden z nich, powtarzam, nie otrzymałby pozytywnej noty po wizytacji ministerialnej...

- Tak, Quirrell to był świetny nauczyciel - powiedział głośno Harry. - Miał tylko jedną wadę: z tyłu głowy wystawał mu Lord Voldemort.

Po jego słowach w klasie zrobiło się tak cicho, jak chyba nigdy przedtem w ciągu czterech lat jego nauki w Hogwarcie. A potem...

- Sądzę, że jeszcze jeden tygodniowy szlaban dobrze ci zrobi, Potter - powiedziała śpiewnym głosem profesor Umbridge.

* * *

Ledwo rozcięcie na wierzchu dłoni Harry'ego się zagoiło, następnego ranka już znowu krwawiło. Nie skarżył się jednak przez cały wieczór spędzony w gabinecie Umbridge. Postanowił nie dać jej satysfakcji i choć wciąż i wciąż wypisywał: „Nie będę opowiadać kłamstw", a rozcięcie pogłębiało się z każdą literą, nie pozwolił sobie nawet na westchnienie.

Najgorszą stroną tego drugiego tygodnia szlabanu była, jak przewidział George, reakcja Angeliny. Osaczyła go, gdy tylko pojawił się we wtorek rano przy stole Gryffindoru i nakrzyczała na niego tak głośno, że profesor McGonagall opuściła stół nauczycielski i podeszła do nich, żeby dać jej reprymendę.

- Panno Johnson, jak pani śmie robić taki hałas w Wielkiej Sali! Gryffindor traci pięć punktów!

- Ale pani profesor... on znowu zarobił sobie na szlaban...

- Co to znaczy, Potter? - spytała ostro profesor McGonagall. - Szlaban? Od kogo?

- Od profesor Umbridge - wybąkał Harry, starając się nie patrzyć w paciorkowate oczy profesor McGonagall, spoglądające na niego srogo zza prostokątnych okularów.

- Chcesz mi powiedzieć - zniżyła głos tak, żeby nie słyszała tego grupa zaciekawionych Krukonów za jej plecami - że po tym, jak cię ostrzegłam w ubiegły poniedziałek, znowu straciłeś nad sobą panowanie na lekcji profesor Umbridge?

- Tak - bąknął Harry w stronę podłogi.

- Potter, musisz się wziąć w garść! Zmierzasz prosto do poważnych kłopotów! Gryffindor traci kolejne pięć punktów!

- Ale... Co? Pani profesor, nie! - Harry zaprotestował z oburzeniem na tę niesprawiedliwość. - Ja już zostałem ukarany przez nią, dlaczego pani też odbiera nam punkty?

- Bo najwyraźniej szlabany nie wywierają na tobie żadnego wrażenia! - odpowiedziała cierpko profesor McGonagall. - Nie, nie chcę już słyszeć żadnych uskarżań się, Potter! A co do pani, panno Johnson, proszę sobie wrzeszczeć na stadionie quidditcha, a nie tutaj, bo przestanie pani być kapitanem drużyny!

I odeszła energicznym krokiem do stołu nauczycielskiego. Angelina spojrzała na Harry'ego z najwyższą odrazą i też odeszła, a Harry opadł na ławkę obok Rona, dygocąc z gniewu.

- Odjęła punkty Gryffindorowi, bo co wieczór kroją mi żywcem rękę! I to ma być sprawiedliwość?

- Wiem, stary - rzekł Ron współczującym tonem, nakładając bekon na talerz Harry'ego. - Wściekła się bez powodu.

Hermiona nic nie powiedziała, tylko nadal przerzucała „Proroka Codziennego".

- Więc uważasz, że McGonagall miała rację, tak? - zwrócił się Harry ze złością do wielkiego zdjęcia Korneliusza Knota zakrywającego jej twarz.

- Nie powinna odejmować punktów, ale myślę, że miała rację, ostrzegając cię, żebyś panował nad swoim temperamentem w obecności Umbridge - odpowiedział głos Hermiony, podczas gdy Knot gestykulował gwałtownie z pierwszej strony, najwyraźniej wygłaszając jakąś mowę.

Harry nie odzywał się do Hermiony przez całe zaklęcia, ale kiedy weszli do klasy transmutacji, zapomniał o złości. Profesor Umbridge, ze swą nieodłączną podkładką do notowania, siedziała w kącie klasy. Na ten widok zapomniał o wszystkim, co się wydarzyło podczas śniadania.

- Wspaniale - szepnął Ron, kiedy usiedli tam, gdzie zwykle. - Zaraz zobaczymy, jak Umbridge wreszcie dostanie nauczkę.

Profesor McGonagall wmaszerowała do klasy, nie zdradzając niczym, że zdaje sobie sprawę z obecności profesor Umbridge.

- Dosyć już - powiedziała i natychmiast zapadła cisza. - Finnigan, podejdź tu, z łaski swojej, i rozdaj prace domowe... Panno Brown, proszę wziąć to pudło z myszami... nie bądź niemądra, nie ugryzą cię... i rozdać każdemu po jednej...

- Yhm, yhm - zakasłała głośno profesor Umbridge, podobnie jak podczas uczty powitalnej, kiedy chciała przerwać Dumbledore'owi.

Profesor McGonagall nie zwracała na nią uwagi. Seamus wręczył Harry'emu jego wypracowanie; Harry wziął je, nie patrząc na niego, i poczuł ulgę, widząc, że dostał Z.

- A teraz, bardzo proszę, wszyscy uważnie słuchają... Thomas, jeśli jeszcze raz zrobisz to tej myszy, dostaniesz u mnie szlaban... Większość z was zdołała już sprawić, by zniknęły wasze ślimaki, a nawet ci, którym zostały kawałki skorupek, znają już istotę tego zaklęcia. Dzisiaj będziemy...

- Yhm, yhm - zakasłała profesor Umbridge.

- Proszę? - powiedziała profesor McGonagall, odwracając się i marszcząc brwi tak, że utworzyły jedną długą, groźną linię.

- Ja się tylko zastanawiam, pani profesor, czy dostała pani moją notkę z datą i godziną mojej wizy...

- Oczywiście, że ją dostałam, bo inaczej zapytałabym panią, co pani robi w mojej klasie - przerwała jej profesor McGonagall i odwróciła się od niej plecami. Wielu uczniów wymieniło zachwycone spojrzenia. - Więc, jak mówiłam, dzisiaj będziemy ćwiczyć razem to samo zaklęcie na czymś trudniejszym, a mianowicie na myszach. Zaklęcie powodujące znikanie...

- Yhm, yhm.

- Zastanawiam się - powiedziała profesor McGonagall z chłodną wściekłością - w jaki sposób zamierza pani poznać moje metody nauczania, skoro wciąż mi pani przerywa? Zwykle nie pozwalam ludziom odzywać się, kiedy ja mówię.

Profesor Umbridge wyglądała, jakby ktoś ją chlasnął w twarz. Nic nie powiedziała, tylko rozprostowała pergamin na podkładce i zaczęła na nim gwałtownie pisać. Profesor McGonagall udała, że w ogóle ją to nie obchodzi i ponownie zwróciła się do klasy.

- Jak mówiłam, zaklęcie powodujące znikanie jest tym trudniejsze, im bardziej złożone jest zwierzę, które ma zniknąć. Ślimak, jako bezkręgowiec, nie sprawia większych

trudności, natomiast mysz, jako ssak, wymaga o wiele większego skupienia. Tego nie można zrobić, myśląc o obiedzie. A zatem... znacie formułę zaklęcia, zobaczymy, na co was stać...

- I jak ona może mi robić wykłady na temat panowania nad sobą w obecności Umbridge! - powiedział cicho Harry do Rona, ale minę miał uradowaną; złość na profesor McGonagall całkowicie z niego wyparowała.

Profesor Umbridge nie chodziła za profesor McGonagall po całej klasie, jak to robiła na lekcji profesor Trelawney. Być może uznała, że McGonagall nie zgodzi się na to. Robiła jednak mnóstwo notatek, siedząc w kącie, a kiedy profesor McGonagall zakończyła lekcję, wstała z groźną miną.

- No, to dopiero początek - powiedział Ron, podnosząc długi, wijący się mysi ogon i wrzucając go do pudła, które obnosiła Lavender.

Kiedy wychodzili z klasy, Harry dostrzegł, że Umbridge podchodzi do biurka nauczycielskiego. Trącił Rona, a ten trącił Hermionę i cała trójka cofnęła się, żeby podsłuchać.

- Jak długo pani naucza w Hogwarcie? - zapytała profesor Umbridge.

- W grudniu minie trzydzieści dziewięć lat - odpowiedziała szorstko profesor McGonagall, zatrzaskując torbę.

Profesor Umbridge zapisała coś na pergaminie.

- Wyniki tej wizytacji pozna pani za dziesięć dni - oświadczyła.

- Nie mogę się doczekać - powiedziała chłodno profesor McGonagall i ruszyła ku drzwiom. - Wy troje, pospieszcie się - dodała, zaganiając przed sobą Harry'ego, Rona i Hermionę. Harry nie mógł się oprzeć pokusie, by się do niej nie uśmiechnąć i mógłby przysiąc, że i ona się do niego uśmiechnęła.

Myślał, że ponownie zobaczy Umbridge dopiero późnym popołudniem, w jej gabinecie, ale się mylił. Kiedy zeszli po trawiastym zboczu na skraj Zakazanego Lasu, na lekcję opieki nad magicznymi zwierzętami, ujrzeli ją i jej podkładkę do notowania obok profesor Grubbly-Plank.

- Więc pani zwykle nie prowadzi tych lekcji, tak? - usłyszał Harry pytanie Umbridge, kiedy podeszli do stołu na krzyżakach, gdzie grupka pojmanych nieśmiałków węszyła za stonogami.

- Zgadza się - odpowiedziała profesor Grubbly-Plank, trzymając ręce za plecami i kołysząc się na piętach. - Bo ja to zastępuję profesora Hagrida.

Harry wymienił pełne niepokoju spojrzenie z Ronem i Hermioną. Malfoy szeptał z Crabbe'em i Goyle'em; na pewno wykorzysta tę wymarzoną okazję, aby opowiedzieć o Hagridzie osobie z ministerstwa.

- Hmm - mruknęła profesor Umbridge, ściszając nieco głos, ale Harry wciąż słyszał ją całkiem wyraźnie. - To dziwne... dyrektor jakoś się nie kwapił, by mnie o tym poinformować... Czy może mi pani powiedzieć, co jest powodem przedłużającej się nieobecności profesora Hagrida?

Harry zauważył, że Malfoy przestał szeptać i przysłuchuje się z uwagą tej rozmowie.

- Chyba nie - odpowiedziała z werwą profesor Grubbly-Plank. - Wiem o tym tyle, co pani. Dostałam sowę od Dumbledore'a, czy bym nie pouczyła przez parę tygodni, zgodziłam się... i to wszystko. No to... może już zacznę, co?

- Tak, proszę - powiedziała profesor Umbridge, robiąc notatki.

Podczas tej wizytacji Umbridge przyjęła inną taktykę i krążyła wśród uczniów, zadając im pytania na temat magicznych stworzeń. Większość udzielała poprawnych odpowiedzi, co trochę ucieszyło Harry'ego, bo pomyślał, że przynajmniej oni nie pogrążą Hagrida.

- A tak ogólnie - zwróciła się do profesor Grubbly-Plank profesor Umbridge po gruntownym przepytaniu Deana Thomasa - to jak pani, jako tymczasowy członek ciała pedagogicznego... jako bezstronny obserwator z zewnątrz, można by powiedzieć... jak pani ocenia Hogwart? Otrzymuje pani dostateczne wsparcie ze strony kierownictwa szkoły?

- No jasne, Dumbledore to wspaniały gość - odpowiedziała profesor Grubbly-Plank z entuzjazmem. - Mnie tu wszystko bardzo odpowiada, naprawdę.

Umbridge, z wyrazem uprzejmego niedowierzania na twarzy, zrobiła krótką notatkę i ciągnęła dalej:

- A co pani zamierza przerobić z tą klasą w tym roku... założywszy, oczywiście, że profesor Hagrid nie wróci?

- Och, zapoznam ich ze stworzeniami, które najczęściej trafiają się przy zaliczaniu suma. Niewiele tego zostało, przerobili już jednorożce i niuchacze, myślę, że powinniśmy przerobić kudłonie i kuguchary, muszę ich nauczyć rozpoznawać psidwaki i szpiczaki...

- Odnoszę wrażenie, że przynajmniej PANI wydaje się wiedzieć, na czym polega opieka nad magicznymi stworzeniami - pochwaliła ją profesor Umbridge, stawiając na pergaminie znaczek, który niewątpliwie był plusem.

Harry'emu nie podobał się nacisk położony na słowie „pani", a jeszcze mniej pytanie, które Umbridge zadała teraz Goyle'owi.

- Słyszałam, że dochodziło tu do zranień, czy to prawda?

Goyle uśmiechnął się głupkowato. Z odpowiedzią pospieszył Malfoy.

- To ja zostałem poraniony. Przez hipogryfa.

- Przez hipogryfa? - powtórzyła profesor Umbridge, notując gorączkowo.

- Ale tylko dlatego, że był za głupi, żeby słuchać Hagrida - powiedział ze złością Harry.

Ron i Hermiona jęknęli. Profesor Umbridge powoli odwróciła głowę w stronę Harry'ego.

- Chyba spędzisz jeszcze jeden wieczór w moim gabinecie - powiedziała cicho. - No cóż, bardzo pani dziękuję, pani profesor Grubbły-Plank, myślę, że to mi wystarczy. Rezultaty wizytacji otrzyma pani w ciągu dziesięciu dni.

- Wspaniale - skwitowała to profesor Grubbly-Plank, a profesor Umbridge ruszyła przez błonia w kierunku zamku.

* * *

Była już prawie północ, kiedy Harry opuścił gabinet Umbridge. Ręka krwawiła mu tak mocno, że krew przesiąkła przez chusteczkę, którą sobie ją obwiązał. Nie spodziewał się, że zastanie kogoś w pokoju wspólnym, ale czekali tam na niego Ron i Hermiona. Ucieszył się na ich widok, zwłaszcza że Hermiona spojrzała na niego ze współczuciem, a nie krytycznie.

- Masz - powiedziała z niepokojem, podsuwając mu miseczkę z jakimś żółtym płynem. - Wymocz w tym rękę, to jest roztwór z marynowanych czułków szczuroszczeta, powinno ci pomóc.

Harry włożył krwawiącą i obolałą dłoń do miseczki i ogarnęło go cudowne uczucie ulgi. Krzywołap otarł się o jego nogi, mrucząc głośno, a potem wskoczył mu na kolana i usadowił się na nich wygodnie.

- Dzięki - powiedział z wdzięcznością, drapiąc kota lewą ręką za uszami.

- Nadal uważam, że powinieneś się poskarżyć - powiedział cicho Ron.

- Nie.

- McGonagall dostałaby szału, jakby się dowiedziała...

- Bardzo możliwe - zgodził się Harry. - I bardzo możliwe, że wkrótce wydano by dekret, w którym znalazłby się następujący punkt: każdy, kto narzeka na Wielkiego Inkwizytora, zostaje natychmiast wyrzucony ze szkoły!

Ron otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale nic sensownego nie przyszło mu do głowy, więc zamknął je z miną przegranego.

- To jest straszna kobieta - powiedziała cicho Hermiona. - STRASZNA. Wiesz co, jak tu wchodziłeś, właśnie mówiłam do Rona, że... że musimy coś z tym zrobić.

- Zaproponowałem truciznę - mruknął posępnie Ron.

- Nie... nie o to chodzi. Chodzi o to, jak ona nas uczy, jaka jest okropna pod tym względem... no i że my nie nauczymy się od niej żadnej obrony.

- No dobra, ale co my możemy na to poradzić? - powiedział Ron, ziewając. - Jest chyba trochę za późno, nie? Mianowali ją i nikt jej stąd nie wyrzuci, Knot już o to zadba.

- No tak... ale... - Hermiona zawiesiła głos, jakby się zastanawiała, czy im to powiedzieć. - Wiecie, dużo dzisiaj rozmyślałam... - rzuciła nerwowe spojrzenie na Harry'ego - ...i pomyślałam sobie... że może już nadszedł czas, żebyśmy po prostu... po prostu zajęli się tym sami.

- Czym? - zapytał podejrzliwie Harry, nadal mocząc dłoń w wyciągu z czułków szczuroszczeta.

- No... sami nauczyli się obrony przed czarną magią.

- Daj spokój - jęknął Ron. - Za mało mamy roboty? Zdajesz sobie sprawę z tego, że Harry i ja znowu jesteśmy do tyłu z pracami domowymi, a to dopiero drugi tydzień roku?

- To jest o wiele ważniejsze od pracy domowej!

Harry i Ron wytrzeszczyli na nią oczy.

- Nie sądziłem, że jest coś ważniejszego na świecie od pracy domowej - powiedział Ron.

- Nie bądź głupi, oczywiście, że jest! - wybuchnęła Hermiona, a Harry spostrzegł z pewnym strachem, że jej twarz zapłonęła nagle żarliwym uniesieniem, jak wówczas, gdy mówiła o stowarzyszeniu WESZ. - Tu chodzi o przygotowanie nas, jak powiedział Harry na pierwszej lekcji z Umbridge, do tego, co nas czeka. Tu chodzi o zapewnienie sobie możliwości samoobrony. Skoro nie będziemy się tego uczyć przez cały rok...

- Sami wiele się nie nauczymy - przerwał jej Ron zrezygnowanym tonem. - To znaczy... oczywiście możemy pójść do biblioteki i wyszukać mnóstwo zaklęć, a potem je ćwiczyć, ale...

- Zgoda, to już nie ten etap, kiedy mogliśmy po prostu uczyć się tego z książek - powiedziała Hermiona. - Potrzebny nam jest odpowiedni nauczyciel, który pokaże nam, jak rzucać zaklęcia i poprawić nas, kiedy będziemy to robić źle.

- Jeśli masz na myśli Lupina... - zaczął Harry.

- Nie, nie mówię o Lupinie. Jest zbyt zajęty sprawami Zakonu, zresztą moglibyśmy najwyżej spotykać się z nim podczas wypadów do Hogsmeade, a to stanowczo za rzadko.

- Więc kto? - zapytał Harry, marszcząc czoło.

Hermiona westchnęła głęboko.

- Czy to nie oczywiste? Mówię o TOBIE, Harry.

Zapadło milczenie. Lekki nocny wiatr zabębnił w szyby okien za plecami Rona, a ogień w kominku zamigotał.

- O mnie? Niby co miałbym robić? - zapytał Harry.

- Uczyć nas obrony przed czarną magią.

Harry spojrzał najpierw na nią, a potem na Rona, gotów wymienić z nim pełne irytacji spojrzenie, co czasem robili, kiedy Hermiona rozwodziła się nad swoimi wyszukanymi ideami i pomysłami, takimi jak WESZ. Ale ku jego zdumieniu, na twarzy Rona nie było ani śladu irytacji. Ron zmarszczył nieco czoło, najwyraźniej myśląc. A potem powiedział:

- To jest pomysł.

- Co za pomysł? - zapytał Harry.

- Żebyś ty nas uczył.

- Ale...

Harry uśmiechnął się. Było jasne, że się z niego nabijają.

- Ale ja nie jestem nauczycielem, nie mogę...

- Harry, jesteś najlepszy z obrony przed czarną magią - stwierdziła Hermiona.

- Ja? - Harry jeszcze szerzej się uśmiechnął. - Przecież byłaś ode mnie lepsza w każdym teście...

- Tak się składa, że nie - przerwała mu chłodno Hermiona. - Byłeś ode mnie lepszy w trzeciej klasie... a tylko wtedy mieliśmy razem testy i nauczyciela, który znał się na przedmiocie. Ale ja nie mówię o wynikach testów, Harry. Pomyśl o tym, co ZROBIŁEŚ!

- Co masz na myśli?

- Wiesz co, chyba nie mam ochoty, żeby uczył mnie ktoś tak tępy - powiedział Ron do Hermiony, uśmiechając się lekko. Potem zwrócił się do Harry'ego. - Zaraz, pomyślmy - rzekł, robiąc taką minę, jak Goyle, kiedy próbował się skupić. - Zaraz... w pierwszej klasie... no tak... uratowałeś Kamień Filozoficzny przed Sam-Wiesz-Kim.

- To był szczęśliwy przypadek, a nie moje umiejętności...

- W drugiej klasie - przerwał mu Ron - zabiłeś bazyliszka i zniszczyłeś Riddle'a.

- Tak, ale gdyby nie pojawił się Fawkes...

- W trzeciej klasie - przerwał mu znowu Ron, tym razem głośniej - dałeś sobie radę z setką dementorów naraz...

- Przecież wiesz, że miałem szczęście, bo gdyby zmieniacz czasu nie...

- W zeszłym roku - Ron już prawie krzyczał - ponownie zwyciężyłeś Sam-Wiesz-Kogo...

- Posłuchajcie mnie! - rozzłościł się Harry, bo Ron i Hermiona wciąż uśmiechali się szeroko. - Po prostu mnie wysłuchajcie, dobrze? To wszystko bardzo pięknie brzmi, ale tak naprawdę, za każdym razem miałem więcej szczęścia niż rozumu. Na początku zwykle w ogóle nie wiedziałem, co robię, nie planowałem niczego, po prostu robiłem to, co udało mi się w ostatniej chwili wymyślić, no i prawie zawsze pojawiała się jakaś pomoc...

Ron i Hermiona wciąż się uśmiechali i Harry poczuł, że ogarnia go złość, choć nie bardzo wiedział dlaczego.

- Przestańcie szczerzyć zęby, tak jakbyście wiedzieli lepiej ode mnie, jak było. Was tam nie było. To ja wiem, co się za każdym razem naprawdę wydarzyło, tak? I jeśli udało mi się z tego za każdym razem wyjść cało, to nie dlatego, że jestem taki dobry z obrony przed czarną magią... ale dlatego... dlatego, że zawsze pomoc przyszła we właściwej chwili... albo udało mi się przewidzieć... ale ja po prostu błądziłem po omacku, nie miałem pojęcia, co właściwie robię... PRZESTAŃCIE SIĘ ŚMIAĆ!

Miseczka z wyciągiem ze szczuroszczeta spadła na podłogę i rozbiła się na kawałki. Harry zdał sobie sprawę, że stoi, chociaż nie pamiętał, by wstawał. Krzywołap schował się pod kanapą. Ron i Hermiona przestali się uśmiechać.

- Wy nie wiecie, jak to jest! Żadne z was... żadne z was nie musiało stanąć z nim twarzą w twarz, prawda? Myślicie, że wystarczy po prostu zapamiętać kilka zaklęć i rzucić je na niego, tak jak to się robi w klasie? Przez cały czas masz pełną świadomość, że między tobą a śmiercią jesteś tylko ty... twój mózg, twoja odwaga, bo ja wiem... i nie myślisz trzeźwo, kiedy wiesz, że za chwilę zostaniesz zamordowany albo będą cię torturować, albo będziesz musiał patrzeć, jak mordują twoich przyjaciół... nie, nas nigdy tego nie uczyli, jak sobie radzić w takich sytuacjach... a wy sobie tu siedzicie i zachowujecie się tak, jakbym był mądrym chłopczykiem, bo wciąż stoję przed wami żywy, i jakby Diggory był głupi, bo nawalił, bo dał się zabić... wy wciąż nie rozumiecie, że równie dobrze mogłem to być ja, że gdybym nie był Voldemortowi potrzebny...

- Harry, my nic takiego nie powiedzieliśmy - rzekł Ron, wyraźnie wstrząśnięty. - My w ogóle nie mówiliśmy o Diggorym... chyba zupełnie źle nas zrozumiałeś...

Spojrzał zrozpaczony na Hermionę, która miała urażoną minę.

- Harry - zaczęła nieśmiało - czy ty nie rozumiesz? To jest... właśnie dokładnie to... Właśnie dlatego potrzebujemy ciebie... Musimy wiedzieć, co to znaczy naprawdę... stanąć z nim twarzą w twarz... zmierzyć się z... V-Voldemortem.

Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, wymieniła to nazwisko i właśnie to najbardziej go uspokoiło. Wciąż oddychając szybko, zapadł się w fotel i poczuł, że dłoń znowu go strasznie rozbolała. Pożałował, że rozbił miseczkę z wyciągiem ze szczuroszczeta.

- Po prostu... przemyśl to sobie - powiedziała cicho Hermiona. - Dobrze?

Harry nie wiedział, co odpowiedzieć. Poczuł wstyd z powodu swojego wybuchu. Kiwnął głową, ledwo zdając sobie sprawę z tego, na co się zgadza.

Hermiona wstała.

- Idę spać - oznajmiła, wyraźnie siląc się, by jej głos zabrzmiał naturalnie. - To... dobranoc.

Ron też wstał z fotela.

- Idziesz? - zapytał nieśmiało Harry'ego.

- Taak... Za... za minutę. Tylko to posprzątam.

Wskazał na szczęści miseczki na podłodze. Ron kiwnął głową i wyszedł.

- *Reparo* - mruknął Harry, celując różdżką w kawałki porcelany. Zbiegły się z powrotem w miseczkę, ale wyciągu ze szczuroszczeta już w niej nie było.

Nagle poczuł się tak zmęczony, że miał ochotę zapaść się w fotel i zasnąć. Wstał jednak i poszedł za Ronem. Przez całą niespokojną noc błądził we śnie długimi korytarzami, natykając się na zamknięte drzwi, a kiedy obudził się następnego dnia, blizna znowu go piekła.

ROZDZIAŁ SZESNASTY
W GOSPODZIE POD ŚWIŃSKIM ŁBEM

W ciągu następnych dwóch tygodni Hermiona nie wspomniała ani razu o pomyśle, by Harry uczył ich obrony przed czarną magią. Szlaban u Umbridge wreszcie się skończył (Harry zwątpił już, czy wycięte na jego dłoni słowa kiedykolwiek całkowicie znikną), Ron wziął udział w czterech kolejnych treningach quidditcha i w ciągu dwu ostatnich Angelina ani razu na niego nie nakrzyczała, i wszystkim trojgu udało się sprawić, by ich myszy znikły na transmutacji (Hermionie zaczęło się to już udawać nawet z kociętami). Aż w końcu nadszedł pewien burzliwy wrześniowy wieczór, kiedy wszyscy troje siedzieli w bibliotece, wyszukując składników eliksirów na lekcję ze Snape'em, i ów temat znowu powrócił.

- Ciekawa jestem, Harry - powiedziała nagle Hermiona - czy myślałeś trochę o obronie przed czarną magią.

- Oczywiście - odrzekł szorstko Harry. - Czy można o tym zapomnieć, jak uczy nas ta wiedźma...

- Mam na myśli nasz pomysł, mój i Rona. - Ron spojrzał na nią groźnie, a ona zmarszczyła czoło. - No dobra, MÓJ pomysł... żebyś nas uczył.

Harry nie odpowiedział od razu. Udawał, że wczytuje się w stronicę *Azjatyckich antidotów przeciw truciznom*, bo nie chciał zdradzić, co o tym myśli.

Prawdę mówiąc, przez ostatnie dwa tygodnie rozmyślał o tym dość często. Czasami wydawało mu się, że to kompletnie zwariowany pomysł, tak jak w ów wieczór, gdy Hermiona zaproponowała mu to po raz pierwszy, ale coraz częściej przyłapywał się na tym, że przypomina sobie zaklęcia, które okazały się skuteczne w jego spotkaniach z czarnomagicznymi stworzeniami i śmierciożercami... przyłapywał się na tym, że mimowolnie planuje lekcje...

- No więc... - powiedział powoli, kiedy już nie mógł dłużej udawać, że azjatyckie antidota są tak interesujące - taak... trochę o tym myślałem.

- No i? - zapytała skwapliwie Hermiona.

- No... nie wiem - odrzekł Harry, żeby zyskać na czasie. Spojrzał na Rona.

- Od samego początku uważałem, że to dobry pomysł - powiedział Ron, teraz już chętnie włączając się do rozmowy, bo widać było, że Harry nie zamierza znowu na nich wrzeszczeć.

Harry zaczął się nerwowo wiercić w krześle.

- Słyszeliście, jak wam mówiłem, że miałem mnóstwo szczęścia, prawda?

- Tak, Harry - odpowiedziała łagodnie Hermiona - ale nie ma sensu udawać, że nie jesteś dobry w obronie przed czarną magią, bo jesteś w tym dobry. Jesteś jedyną osobą, która w zeszłym roku zdołała obronić się przed Zaklęciem Imperius, potrafisz wyczarować patronusa, potrafisz zrobić mnóstwo rzeczy, których nie potrafią nawet dorośli czarodzieje. Wiktor zawsze mówił...

Ron odwrócił do niej głowę tak szybko, że o mały włos nie skręcił sobie karku; rozcierając go, zapytał:

- Tak? Co mówił Wikuś?

- Ha, ha, ale śmieszne - powiedziała Hermiona znudzonym tonem. - Mówił, że Harry potrafi zrobić wiele rzeczy, których on nie potrafi, a był w ostatniej klasie Durmstrangu.

Ron przypatrywał się jej podejrzliwie.

- Ale chyba nie utrzymujesz z nim w kontaktu, co?

- A jeśli nawet, to co? - prychnęła Hermiona, ale policzki lekko jej poróżowiały. - Mogę mieć przyjaciela, z którym koresponduję, skoro...

- Przyjaciela, z którym korespondujesz? On chyba chciał być kimś więcej - powiedział Ron oskarżycielskim tonem.

Hermiona pokręciła ze złością głową i postanowiła nie zwracać już uwagi na Rona.

- No więc, co o tym myślisz? - zwróciła się do Harry'ego. - Będziesz nas uczył?

- Tylko ciebie i Rona, tak?

- No... - Hermiona znowu zrobiła zaniepokojoną minę. - Słuchaj, Harry, tylko się znowu nie denerwuj, błagam... ale ja uważam, że powinieneś uczyć każdego, kto chce się tego nauczyć. To znaczy... przecież nam chodzi o to, żeby móc obronić się przed V-Voldemortem... och, Ron, nie bądź żałosny... i byłoby niesprawiedliwe nie dać takiej samej szansy innym.

Harry rozważał to przez chwilę, a potem rzekł:

- No dobra, ale wątpię, czy prócz was ktokolwiek zechce, żebym go uczył. Przecież uważają mnie za czubka, pamiętacie?

- A ja myślę, że możesz być zaskoczony, jak się dowiesz, ile osób z ciekawością wysłucha, co masz do powiedzenia - odpowiedziała z powagą Hermiona. - Posłuchaj - nachyliła się do niego, a Ron, który wciąż przyglądał się jej z krzywą miną, też się nachylił, żeby nie uronić ani jednego słowa - wiesz, że w pierwszą sobotę października możemy wyskoczyć do Hogsmeade? A jak by tak powiedzieć każdemu, kto będzie zainteresowany, że spotkamy się tam i omówimy sprawę?

- Dlaczego musimy to robić poza szkołą? - zapytał Ron.

- A dlatego - odpowiedziała Hermiona, wracając do kopiowania chińskiej kąsającej kapusty - że nie sądzę, by Umbridge była bardzo zadowolona, gdyby się dowiedziała, co nam chodzi po głowie.

* * *

Harry z utęsknieniem wyczekiwał sobotniego wypadu do Hogsmeade, ale było też coś, co go martwiło. Syriusz nie dawał znaku życia od czasu, gdy pojawił się w kominku na początku września. Harry wiedział, że jego ojciec chrzestny trochę się na nich obraził, kiedy mu powiedzieli, żeby więcej się tu nie pojawiał - ale jednak od czasu do czasu niepokoił się, czy Syriuszowi nie przyjdzie do głowy zlekceważyć środki ostrożności i spotkać się z nimi. A co zrobią, jeśli na głównej ulicy Hogsmeade podbiegnie do nich wielki czarny pies, machając ogonem, być może przed nosem Dracona Malfoya?

- Nie można go obwiniać za to, że czasami ma ochotę wyrwać się z tego domu - powiedział Ron, kiedy Harry wyjawił swoje niepokoje jemu i Hermionie. - Wiem, że ukrywa się już od ponad dwóch lat, wiem, że to nie przelewki, ale przynajmniej był wolny, prawda? A teraz musi tam tkwić z tym pomylonym skrzatem.

Hermiona rzuciła mu gniewne spojrzenie, ale powstrzymała się od komentarza na temat Stworka.

- Kłopot w tym - zwróciła się do Harry'ego - że dopóki V-Voldemort... och, na miłość boską, Ron!... się nie ujawni, Syriusz musi pozostać w ukryciu, prawda? Przecież to głupie ministerstwo nie uzna, że Syriusz jest niewinny, dopóki nie przyzna, że Dumbledore od początku mówi prawdę. Dopiero wtedy, kiedy ci kretyni zaczną wyłapywać prawdziwych śmierciożerców, stanie się oczywiste, że Syriusz nie jest jednym z nich... no bo, po pierwsze, nie ma Mrocznego Znaku...

- Syriusz nie jest na tyle głupi, żeby się pokazywać - rzekł Ron. - Dumbledore dostałby szału, a jego Syriusz słucha, nawet jeśli nie zawsze mu się podoba to, czego od niego żądają.

Harry nadal miał markotną minę, więc Hermiona powiedziała:

- Słuchaj, zrobiliśmy z Ronem sondę i okazuje się, że są tacy, którzy mają ochotę nauczyć się prawdziwej obrony przed czarną magią. Powiedzieliśmy im, że spotkamy się w Hogsmeade.

- Dobra - rzucił zdawkowo Harry, wciąż rozmyślając o Syriuszu.

- Nie martw się, Harry - powiedziała cicho Hermiona. - I bez Syriusza masz za dużo na głowie.

I oczywiście miała rację, bo ledwo sobie dawał radę z nawałem prac domowych, choć teraz, kiedy już nie spędzał każdego wieczoru w gabinecie Umbridge, zaległości miał mniejsze. Ron był w gorszej sytuacji. Obaj chodzili dwa razy w tygodniu na treningi quidditcha, ale na Ronie ciążyły jeszcze obowiązki prefekta. Natomiast Hermiona, choć miała więcej przedmiotów niż oni, nie tylko odrabiała na bieżąco wszystkie prace domowe, ale jeszcze znajdowała czas, by robić na drutach czapeczki dla skrzatów. Harry musiał przyznać, że radziła sobie z tym coraz lepiej: teraz prawie zawsze można było je odróżnić od skarpet.

Ranek w dniu wypadu do Hogsmeade był jasny, ale wietrzny. Po śniadaniu stanęli w kolejce do Filcha, który sprawdzał, czy każde nazwisko jest na długiej liście uczniów posiadających pisemną zgodę rodziców lub opiekunów na odwiedzenie wioski. Harry poczuł ukłucie wyrzutów sumienia, kiedy sobie przypomniał, że gdyby nie Syriusz, nigdy by go do Hogsmeade nie puścili.

- Ee... dlaczego Filch tak cię obwąchiwał? - zapytał Ron, kiedy on, Harry i Hermiona zmierzali raźnym krokiem do bramy.

- Chyba sprawdzał, czy nie śmierdzę łajnobombami - odrzekł ze śmiechem Harry. - Zapomniałem wam opowiedzieć...

I opowiedział im, jak Filch zdybał go w sowiarni, gdy wysyłał list do Syriusza. Trochę go zaskoczyło, że Hermiona uznała tę historię za bardzo interesującą, bo sam nie widział w niej nic specjalnie ciekawego.

- Powiedział, że ktoś mu doniósł, że zamawiasz łajno-bomby? Kto mógł to zrobić?

- Czy ja wiem? - odrzekł Harry, wzruszając ramionami. - Może Malfoy? To do niego podobne.

Przeszli między kamiennymi kolumnami ze skrzydlatymi dzikami na szczycie i skręcili w lewo, na drogę wiodącą do wioski. Wiatr wciskał im włosy w oczy.

- Malfoy? - powtórzyła Hermiona sceptycznym tonem. - No... może...

I przez całą drogę do Hogsmeade pogrążona była w myślach.

- To dokąd właściwie idziemy? - zapytał Harry. - Do Trzech Mioteł?

- Och, nie - odpowiedziała Hermiona, otrząsając się z zamyślenia. - Nie, tam zawsze jest tłum i okropny hałas. Powiedziałam innym, że spotkamy się w gospodzie Pod Świńskim Łbem, chyba wiecie gdzie, nie przy głównej ulicy. To jest trochę... no wiecie... szemrane miejsce... uczniowie raczej tam nie zaglądają, więc nikt nas nie podsłucha.

Minęli sklep Zonka, gdzie, oczywiście, zobaczyli Freda, George'a i Lee Jordana, potem pocztę, z której w równych odstępach czasu wylatywały sowy, i skręcili w boczną uliczkę, na końcu której znajdowała się mała gospoda. Nad drzwiami wisiała na pordzewiałej

ramie nadgryziona zębem czasu tarcza z wymalowanym na niej łbem dzikiej świni, z którego ściekała krew na białe płótno. Tarcza skrzypiała żałośnie na wietrze. Wszyscy troje zawahali się przed drzwiami.

- No dobra, wchodzimy - powiedziała Hermiona nieco nerwowym tonem.

Harry wszedł pierwszy.

Wnętrze w niczym nie przypominało pubu Pod Trzema Miotłami, którego obszerna sala barowa sprawiała wrażenie przytulnej i czystej. Bar gospody Pod Świńskim Łbem składał się z jednego małego, obskurnego i bardzo brudnego pomieszczenia, cuchnącego czymś, co przypominało starego capa. Okna w wykuszach ledwo przepuszczały światło dzienne do wnętrza, oświetlonego ogarkami świec, jarzących się na grubo ociosanych stołach. Podłoga na pierwszy rzut oka wyglądała jak klepisko; dopiero kiedy Harry na niej stanął, pojął, że była kamienna, tyle że pokryta grubą warstwą nagromadzonego od wieków brudu.

Harry przypomniał sobie, że o tej właśnie gospodzie wspomniał kiedyś Hagrid. „W Świńskim Łbie zawsze jest sporo różnych dziwaków", powiedział, wyjaśniając im, w jaki sposób zdobył tutaj jajo smoka od jakiegoś zakapturzonego nieznajomego. Wówczas Harry dziwił się, że Hagrida nie zaniepokoiło, że nieznajomy ukrywa twarz; teraz zobaczył, że było to w gospodzie Pod Świńskim Łbem w modzie. Przy kontuarze stał mężczyzna, który miał całą głowę owiniętą brudnymi szarymi bandażami, ze szparą na usta, przez którą wlewał w siebie szklanice jakiejś dymiącej substancji. Przy jednym z okien siedziały dwie zakapturzone postacie, które można by uznać za dementorów, gdyby nie fakt, że rozmawiały z silnym akcentem z Yorkshire. W mrocznym kącie obok kominka siedziała czarownica w grubej, czarnej chuście opadającej jej aż do stóp. W okolicach głowy widać jej było tylko koniec nosa, sterczący pod czarną tkaniną.

- No, nie wiem, Hermiono... - mruknął Harry, gdy podeszli do baru - ale czy nie przyszło ci na myśl, że pod tą czarną chustą może ukrywać się Umbridge?

Hermiona obrzuciła zawoalowaną postać uważnym spojrzeniem.

- Umbridge jest niższa - odpowiedziała cicho. - A zresztą nawet gdyby tu przyszła, nie może nam nic zrobić. Trzy razy to sprawdzałam. Nie robimy niczego sprzecznego z regulaminem. Specjalnie zapytałam profesora Flitwicka, czy uczniowie mogą odwiedzać gospodę Pod Świńskim Łbem, i powiedział mi, że mogą, chociaż radził, aby przynieść własne szklanki. Wyczytałam też wszystko na temat grup samokształcenia i grup samopomocy przy odrabianiu lekcji i wiem, że są absolutnie dozwolone. Chodziło mi tylko o to, żeby się z tym specjalnie nie afiszować.

- Słusznie - powiedział sucho Harry - zwłaszcza że to, co planujesz, nie ma chyba wiele wspólnego z pomaganiem sobie przy odrabianiu lekcji, prawda?

Z tylnej izdebki wyszedł do nich barman. Był to wysoki i chudy starszy mężczyzna z ponurą miną, z mnóstwem siwych włosów na głowie i twarzy. Harry'emu wydało się, że skądś go zna.

- Co ma być? - warknął.

- Prosimy o trzy piwa kremowe - powiedziała Hermiona.

Barman sięgnął pod kontuar i wyciągnął trzy bardzo zakurzone, bardzo brudne butelki i postawił je hałaśliwie na kontuarze.

- Sześć sykli.

- Ja zapłacę - powiedział szybko Harry, podając mu srebrne monety.

Barman zmierzył go chytrym spojrzeniem, które na ułamek sekundy zatrzymało się na jego bliźnie. Potem odwrócił się i wrzucił monety do staroświeckiej drewnianej kasy, której szufladka otworzyła się automatycznie. Harry, Ron i Hermiona poszli do najdalszego stołu i usiedli, rozglądając się dokoła. Mężczyzna z głową owiniętą brudnymi bandażami zastukał knykciami w kontuar i otrzymał kolejną szklankę dymiącego płynu.

- Wiecie co? - mruknął Ron, zerkając łakomie na bar. - Moglibyśmy tu zamówić, co się nam podoba, założę się, że ten facet sprzedałby nam wszystko, co mu tam. Zawsze chciałem spróbować Ognistej Whisky...

- Ron... jesteś... prefektem - warknęła Hermiona.

- Och... - westchnął Ron, a uśmiech spełzł mu z twarzy. - No tak...

- To kto ma się tu z nami spotkać? - zapytał Harry, zrywając zardzewiały kapsel ze swojej butelki i wypijając łyk kremowego piwa.

- Parę osób - odpowiedziała Hermiona, patrząc najpierw na zegarek, a potem, z pewnym niepokojem, na drzwi. - Powiedziałam im, żeby byli tutaj o tej porze, a jestem pewna, że wszyscy wiedzą, gdzie to jest... o, patrzcie, to chyba oni...

Drzwi gospody otworzyły się i do wnętrza wpadła struga słońca, w której zamigotał kurz, lecz po chwili znikła, przysłonięta tłumem ludzi.

Najpierw weszli Neville, Dean i Lavender, za nimi Parvati i Padma Patii z Cho (Harry'emu coś podskoczyło w żołądku) i jedną z jej zwykle rozchichotanych przyjaciółek, potem Luna Lovegood (sama i z tak rozmarzoną miną, jakby weszła tu przez przypadek), a po niej Katie Bell, Alicja Spinnet i Angelina Johnson, Colin i Dennis Creeveyowie, Ernie Macmillan, Justyn Finch-Fletchley, Hanna Abbott i jakaś nieznana Harry'emu z nazwiska Puchonka z długim warkoczem, trzech Krukonów: Anthony Goldstein, Michael Corner i

Terry Boot, Ginny z wysokim, chudym chłopakiem z jasnymi włosami i zadartym nosem, w którym Harry rozpoznał jednego z członków drużyny Puchonów, wreszcie Fred i George Weasleyowie ze swoim kumplem Lee Jordanem; wszyscy trzej nieśli duże papierowe torby z reklamą sklepu Zonka.

- Parę osób? - wychrypiał Harry. - To jest PARĘ OSÓB?

- No widzisz, mój pomysł chyba się spodobał - odpowiedziała uradowana Hermiona. - Ron, może byś przystawił kilka krzeseł!

Barman zamarł, trzymając w rękach szklankę i szmatę tak brudną, że wyglądała, jakby jej jeszcze nigdy nie prano. Prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu widział tyle osób w swojej gospodzie.

- Czołem - powitał go Fred, stając przy barze i szybko licząc całe towarzystwo. - Poprosimy o... dwadzieścia pięć butelek piwa kremowego.

Barman łypnął na niego spode łba, a potem rzucił szmatę ze złością, jakby mu przerwano bardzo ważną czynność, i zaczął wyjmować spod lady zakurzone butelki.

- No to zdrówko - powiedział Fred i zaczął rozdawać butelki. - Każdy się zrzuca, nie mam tyle forsy, żeby wszystkim postawić...

Harry, nieco oszołomiony, patrzył, jak rozgadana beztrosko hałastra bierze od Freda butelki i szpera w kieszeniach, żeby znaleźć drobne. Nie mógł zrozumieć, po co oni tu wszyscy przyszli, dopóki w głowie nie zaświtała mu przerażająca myśl, że może oczekują od niego jakiejś przemowy. Spojrzał na Hermionę.

- Co ty im nagadałaś? - zapytał cicho. - Czego się spodziewają?

- Już ci mówiłam, oni po prostu chcą usłyszeć, co masz im do powiedzenia. - Hermiona najwyraźniej pragnęła go pocieszyć, ale Harry nadal wpatrywał się w nią z taką złością, że dodała szybko: - Na razie nic nie musisz robić, ja przemówię pierwsza.

- Cześć, Harry - powitał go z uśmiechem Neville i usiadł naprzeciwko.

Harry próbował się uśmiechnąć, ale nic nie odpowiedział, bo zaschło mu w ustach. Cho też się do niego uśmiechnęła i usiadła po prawej stronie Rona. Jej przyjaciółka, o kędzierzawych rudoblond włosach, wcale się nie uśmiechnęła, tylko obdarzyła go bardzo krytycznym spojrzeniem, które mówiło, że gdyby to zależało wyłącznie od niej, nigdy by tu nie przyszła.

Przysiadali się do nich po dwoje i troje; niektórzy wyglądali na podnieconych, inni na zaciekawionych. Luna Lovegood wpatrywała się w przestrzeń rozmarzonym wzrokiem. Kiedy już wszyscy przystawili sobie krzesła, gwar ucichł. Wszystkie oczy zwróciły się na Harry'ego.

- Ee... - zaczęła Hermiona głosem nieco wyższym niż zwykle - no więc... ee... cześć.

Teraz wszyscy spojrzeli na nią, ale od czasu do czasu zerkali na Harry'ego.

- No więc... ee... więc chyba wiecie, po co tu przyszliście. Ee... no więc Harry wpadł na pomysł... to znaczy... - Harry rzucił jej ostre spojrzenie - właściwie to był mój pomysł... żeby ci, którzy zechcą, uczyli się obrony przed czarną magią... to znaczy... uczyli się prawdziwej obrony, a nie tych głupot, które wciska nam Umbridge... - nagle jej głos zabrzmiał o wiele bardziej stanowczo i przekonująco - bo tego nikt nie może nazwać obroną przed czarną magią. - Anthony Goldstein powiedział: „Brawo!", co najwyraźniej dodało Hermionie otuchy. - No więc pomyślałam sobie, że byłoby dobrze wziąć sprawy w swoje ręce.

Zamilkła, zerkając z ukosa na Harry'ego, a po chwili ciągnęła dalej:

- Chodzi mi o to, żebyśmy sami nauczyli się skutecznej obrony, nie tylko teorii, ale prawdziwych zaklęć...

- Założę się, że chcesz zdać dobrze suma z obrony przed czarną magią, mam rację? - przerwał jej Michael Corner.

- Pewnie, że chcę. Ale chcę czegoś więcej, chcę, żebyśmy nauczyli się bronić, bo... bo... - wzięła głęboki oddech i skończyła: - Bo Lord Voldemort powrócił.

Reakcja była natychmiastowa i łatwa do przewidzenia. Przyjaciółka Cho pisnęła i oblała się kremowym piwem, Terry Boot skrzywił się mimowolnie, Padma Patii wzdrygnęła się, a Neville wydał z siebie dziwny odgłos, który przerodził się w kaszel. Wszystkie oczy utkwione były jednak w Harrym.

- No więc... w każdym razie taki jest plan - powiedziała Hermiona. - Jeśli chcecie się do nas przyłączyć, to musimy się naradzić, jak będziemy...

- A jest dowód, że Sam-Wiesz-Kto powrócił? - zapytał jasnowłosy Puchon dość napastliwym tonem.

- No, Dumbledore w to wierzy... - zaczęła Hermiona.

- Chcesz powiedzieć, że Dumbledore wierzy JEMU. - Blondyn wskazał na Harry'ego.

- A kim ty jesteś? - spytał szorstko Ron.

- Jestem Zachariasz Smith i uważam, że mamy prawo wiedzieć dokładnie, na jakiej podstawie on twierdzi, że Sami-Wiecie-Kto powrócił.

- Posłuchaj - wtrąciła się szybko Hermiona - nie zaprosiliśmy was tutaj, żeby rozmawiać właśnie na ten temat...

- W porządku, Hermiono - odezwał się Harry.

Dopiero teraz dotarło do niego, dlaczego przyszło tu aż tyle osób. Pomyślał, że Hermiona mogła to przewidzieć. Część z nich - może nawet większość - przyszła tu tylko dlatego, żeby usłyszeć to z jego własnych ust.

- Na jakiej podstawie twierdzę, że Sami-Wiecie-Kto powrócił? - zapytał, patrząc Zachariaszowi prosto w oczy. - Bo sam go widziałem. Dumbledore opowiedział całej szkole, co się wydarzyło w ubiegłym roku, i jeśli nie uwierzyliście jemu, to nie uwierzycie i mnie, a ja nie mam zamiaru tracić czasu na przekonywanie kogokolwiek.

Wszyscy wstrzymali oddech. Harry odniósł wrażenie, że barman też mu się przysłuchuje. Wciąż wycierał brudną szmatą tę samą szklankę, która robiła się coraz brudniejsza.

- W ubiegłym roku - powiedział Zachariasz nieco lekceważącym tonem - Dumbledore powiedział nam tylko, że Sam-Wiesz-Kto zabił Cedrika Diggory'ego i że ty ściągnąłeś jego ciało do Hogwartu. Nie podał nam szczegółów, nie opowiedział, jak właściwie zginął Diggory, i myślę, że wszyscy chcielibyśmy się dowiedzieć...

- Jeśli przyszliście tu tylko po to, żeby się dowiedzieć, jak to jest, kiedy Voldemort kogoś morduje, to ja wam nie pomogę - przerwał mu Harry. Czuł, że znowu krew się w nim burzy. Nie spuszczał wzroku z twarzy Zachariasza Smitha, postanowiwszy sobie, że nie spojrzy na Cho. - Nie chcę mówić o Cedriku Diggorym, jasne? Więc jeśli tylko po to przyszliście, to możecie od razu się rozejść.

Rzucił wściekłe spojrzenie na Hermionę. To wszystko przez nią, zrobiła z niego widowisko, to przecież oczywiste, że przyszli tutaj, żeby posłuchać jego mrożącej krew w żyłach opowieści... Ale nikt nie ruszał się z miejsca, nawet Zachariasz Smith, który wciąż wpatrywał się w niego uważnie.

- No więc... - powiedziała Hermiona znowu bardzo piskliwym głosem - więc... jak mówiłam... jeśli chcecie się nauczyć obrony, to musimy się zastanowić, jak będziemy to robić, jak często będziemy się spotykać, gdzie będziemy...

- Czy to prawda - przerwała jej dziewczyna z długim warkoczem, patrząc na Harry'ego - że potrafisz wyczarować patronusa?

Przez całą grupę przebiegł pomruk zainteresowania.

- Prawda - odpowiedział Harry.

- Cielesnego patronusa?

Te dwa słowa wzbudziły w Harrym pewne wspomnienie.

- Ee... znasz może panią Bones? - zapytał.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- To moja ciocia. Jestem Susan Bones. Opowiedziała mi o twoim przesłuchaniu. Więc... to prawda? Potrafisz wyczarować patronusa-jelenia?

- Tak.

- O kurczę, Harry! - krzyknął Lee z podziwem. - Nie wiedziałem!

- Mama powiedziała Ronowi, żeby tego nie rozgłaszał - odezwał się Fred, szczerząc zęby do Harry'ego. - Powiedziała, że i tak wzbudzasz już za duże zainteresowanie.

- I miała rację - wymamrotał Harry, na co kilka osób parsknęło śmiechem.

Zawoalowana wiedźma, siedząca samotnie, poruszyła się lekko.

- I naprawdę zabiłeś bazyliszka mieczem z gabinetu Dumbledore'a? - zapytał Terry Boot. - To mi powiedział jeden z portretów wiszących u niego na ścianie, kiedy byłem tam w zeszłym roku...

- Ee... no tak, zabiłem go.

Justyn Finch-Fletchley gwizdnął cicho, bracia Creeveyowie wymienili przerażone spojrzenia, a Lavender Brown wydała z siebie krótkie: „Uauu!" Harry'emu zrobiło się trochę gorąco w okolicach kołnierzyka. Starał się za wszelką cenę nie spojrzeć na Cho.

- A jak byliśmy w pierwszej klasie - zwrócił się Neville do całej grupy - ocalił ten Kamień Filologiczny...

- Filozoficzny - syknęła Hermiona.

- Tak, z rąk Sami-Wiecie-Kogo - dokończył Neville.

Oczy Hanny Abbott zrobiły się wielkie jak galeony.

- No i warto wspomnieć - powiedziała Cho, patrząc się na niego z uśmiechem (Harry nie mógł się powstrzymać, żeby na nią nie zerknąć, a w żołądku znowu coś mu podskoczyło) - o tych wszystkich zadaniach Turnieju Trójmagicznego, no wiecie, w zeszłym roku... kiedy musiał dać sobie radę ze smokami, trytonami, akromantulami i różnymi innymi...

Znowu rozległ się ogólny pomruk podziwu i aprobaty. Teraz wnętrzności Harry'ego najwyraźniej zaczęły się skręcać. Starał się nie wyglądać na zbyt zadowolonego z siebie. To, że właśnie Cho tak go wychwalała, wcale mu nie ułatwiało powiedzenia tego, co przysiągł sobie im powiedzieć.

- Posłuchajcie - rzekł, a wszyscy natychmiast się uciszyli. - Ja... ja nie chcę, żeby to zabrzmiało tak, jakbym udawał skromnisia czy coś w tym rodzaju, ale... tak się składa, że w tym wszystkim korzystałem z pomocy...

- Ale nie przy tym smoku - przerwał mu Michael Corner. - To był lot! Do tego trzeba naprawdę zimnej krwi...

- No... tak - wyjąkał Harry, czując, że byłoby głupio zaprzeczać.

- I nikt nie pomógł, jak tego lata pozbyłeś się dementorów - powiedziała Susan Bones.

- No dobra, wiem, niektórych z tych rzeczy dokonałem bez niczyjej pomocy, ale chodzi mi o to, że...

- Może po prostu nie chcesz uronić przed nami ani jednej ze swoich tajemnic? - zapytał Zachariasz Smith.

- Mam pomysł - rzekł głośno Ron, zanim Harry zdążył odpowiedzieć. - Proponuję, żebyś się przymknął.

Być może Rona zdenerwowało szczególnie słowo „uronić", w każdym razie patrzył teraz na Zachariasza tak, jakby chciał go rozdeptać. Zachariasz zaczerwienił się.

- Przecież wszyscy przyszliśmy tu, żeby się czegoś od niego nauczyć, a teraz nam mówi, że nic nie potrafi...

- Wcale tego nie powiedział - warknął Fred Weasley.

- Może chcesz, żebyśmy ci trochę przeczyścili uszy? - zapytał George, wyciągając z torby z reklamą sklepu Zonka jakiś metalowy instrument, przypominający narzędzie tortur.

- Albo jakąś inną część ciała, bo nam specjalnie nie zależy, gdzie ci to wsadzimy - dodał Fred.

- No dobra - przerwała im pospiesznie Hermiona - do rzeczy... chodzi o to, czy chcemy wszyscy nauczyć się czegoś od Harry'ego?

Rozległ się ogólny pomruk wyrażający zgodę. Zachariasz skrzyżował ręce na piersiach i nic nie powiedział, może dlatego, że wciąż wpatrywał się w dziwny instrument w ręku George'a.

- Wspaniale - powiedziała Hermiona, najwyraźniej zadowolona, że w końcu coś udało się ustalić. - No więc następne pytanie brzmi: jak często mamy się spotykać? Uważam, że nie ma sensu spotykać się rzadziej niż raz w tygodniu...

- Zaraz - przerwała jej Angelina. - Musimy się upewnić, czy to nie będzie kolidowało z treningami quidditcha.

- Z naszymi nie - odezwała się Cho.

- Ani z naszymi - dodał Zachariasz Smith.

- Jestem pewna, że uda się nam znaleźć jakiś wieczór, który będzie odpowiadał wszystkim - powiedziała Hermiona trochę zniecierpliwionym tonem. - Ale trzeba pamiętać, o czym mówimy, to przecież ważna sprawa, mówimy o nauczeniu się obrony przed śmierciożercami V-Voldemorta...

- Dobrze mówisz! - zawołał Ernie Macmillan, który według Harry'ego już dawno powinien się odezwać. - Osobiście uważam, że to jest naprawdę bardzo ważne, może ważniejsze od wszystkiego, co będziemy w tym roku robić, nawet od zaliczania sumów!

I spojrzał po wszystkich zaczepnie, jakby się spodziewał, że rozlegną się okrzyki protestu, a kiedy nikt nic na to nie powiedział, ciągnął dalej:

- Osobiście nie mam pojęcia, dlaczego ministerstwo wcisnęło nam tak beznadziejnego nauczyciela w tak krytycznym okresie. Wiem, że oni nie chcą uwierzyć w powrót Sami-Wiecie-Kogo, ale żeby przysyłać nauczyciela, który nie pozwala nam ćwiczyć zaklęć obronnych...

- My uważamy, że prawdziwym powodem, dla którego Umbridge nie chce nas uczyć obrony przed czarną magią - oświadczyła Hermiona - jest to, że ona... wiem, że zabrzmi to idiotycznie, ale ona myśli, że Dumbledore chce z nas zrobić coś w rodzaju swojej prywatnej armii. Ona myśli, że Dumbledore chce nas zmobilizować przeciw ministerstwu.

Prawie wszyscy zdawali się oszołomieni tą hipotezą - wszyscy prócz Luny Lovegood, która pisnęła:

- To brzmi rozsądnie. Przecież Korneliusz Knot ma już swoją prywatną armię.

- Co? - zdziwił się Harry, bardzo poruszony tą nieoczekiwaną wiadomością.

- Tak, ma armię heliopatów - oświadczyła z powagą Luna.

- Co ty opowiadasz! - prychnęła Hermiona.

- Właśnie że ma - upierała się Luna.

- Heliopatów? Co to takiego? - zapytał Neville z zaniepokojoną miną.

- To duchy ognia - odpowiedziała Luna, wybałuszając swoje wypukłe oczy tak, że teraz wyglądała, jakby naprawdę zwariowała. - Wielkie płomieniste stworzenia, które pędzą po ziemi, zapalając wszystko przed sobą...

- Neville, one nie istnieją - powiedziała cierpko Hermiona.

- A właśnie, że istnieją! - zaperzyła się Luna.

- Tak? A jest na to jakiś dowód? - warknęła Hermiona.

- Jest mnóstwo relacji naocznych świadków, skoro już masz tak ograniczony umysł, że trzeba ci wszystko podetknąć pod nos, bo inaczej nie...

- Yhm, yhm - chrząknęła Ginny, tak dobrze naśladując profesor Umbridge, że kilka osób rozejrzało się ze strachem, a potem wybuchnęły śmiechy. - Czy my przypadkiem nie mieliśmy ustalić, jak często mamy się spotykać?

- Słusznie - podchwyciła natychmiast Hermiona. - Tak, mieliśmy, racja...

- Więc chyba raz w tygodniu będzie akurat - powiedział Lee Jordan.

- Jeśli tylko... - zaczęła Angelina.

- Tak, tak, wiemy, że jest coś takiego jak quidditch - przerwała jej Hermiona. - No dobrze, a teraz musimy ustalić, gdzie będziemy się spotykać...

To było nieco trudniejsze pytanie, więc wszyscy ucichli.

- W bibliotece? - zaproponowała po jakimś czasie Katie Bell.

- Jakoś sobie nie wyobrażam, żeby pani Pince była zachwycona, widząc, jak rzucamy zaklęcia w jej bibliotece - powiedział Harry.

- Może w jakiejś nieużywanej klasie? - podsunął Dean.

- To jest myśl - rzekł Ron. - McGonagall mogłaby nam pozwolić, tak jak wtedy, gdy Harry ćwiczył do Turnieju Trójmagicznego...

Ale Harry był przekonany, że tym razem McGonagall nie będzie tak wyrozumiała. Niezależnie od tego, co Hermiona mówiła o legalności grup samokształcenia i samopomocy przy odrabianiu lekcji, miał niejasne poczucie, że ta grupa może być uznana za o wiele bardziej rewolucyjną.

- W porządku, coś znajdziemy - powiedziała Hermiona. - Jak ustalimy dokładny czas i miejsce naszego pierwszego spotkania, to wszystkich powiadomimy.

Pogrzebała w swojej torbie, wyciągnęła pióro i kawałek pergaminu, i zawahała się, jakby sama ze sobą walczyła, czy to powiedzieć czy nie.

- Uważam, że każdy powinien napisać tu swoje imię i nazwisko, żebyśmy wiedzieli, kto był. Ale uważam też - wzięła głęboki oddech - że powinniśmy wszyscy przyrzec, że nie będziemy rozgłaszać tego, co robimy. Więc każdy, kto się podpisze, stwierdza tym samym, że nie powie Umbridge... ani nikomu innemu... co zamierzamy zrobić.

Fred sięgnął po pergamin i z wesołą miną złożył swój podpis, ale Harry zauważył, że niektórzy nie mają tak uradowanych min.

- Ee... - zaczął powoli Zachariasz, nie biorąc od George'a pergaminu - chyba... no, jestem pewny, że Ernie mi powie, kiedy będzie to spotkanie.

Ale Ernie też nie był skory do złożenia podpisu. Hermiona spojrzała na niego, podnosząc brwi.

- No bo... zrozum, jesteśmy prefektami - wybuchnął w końcu Ernie. - A jakby ta lista wpadła w czyjeś ręce... no, rozumiesz... sama powiedziałaś, że gdyby Umbridge się dowiedziała...

- Ale przyznałeś, że to jest ważniejsze od wszystkiego innego, co będziemy robić w tym roku - przypomniał mu Harry.

- No... tak - zgodził się Ernie - tak, na pewno, ale...

- Ernie, czy ty naprawdę myślisz, że zostawię tę listę gdzieś na wierzchu? - zapytała Hermiona.

- Nie. Nie, jasne - rzekł Ernie, trochę uspokojony. - No dobra, podpiszę.

Po nim nikt już nie zgłaszał wątpliwości, chociaż Harry zauważył, że przyjaciółka Cho nie miała zachwyconej miny, gdy składała podpis. W końcu podpisał się i Zachariasz, po czym Hermiona schowała pergamin do torby. Wszyscy poczuli się jakoś dziwnie, jakby podpisali coś w rodzaju umowy.

- No dobra, ale czas ucieka - powiedział Fred, wstając. - George, Lee i ja mamy do załatwienia pewną dość delikatną sprawę, zobaczymy się później.

Rozchodzili się w małych grupkach, po dwie lub trzy osoby. Cho ociągała się, pochylona nad swoją torbą, z twarzą ukrytą za zasłoną długich czarnych włosów, ale jej przyjaciółka stała obok z rękami skrzyżowanymi na piersi, cmokając niecierpliwie, więc nie miała innego wyboru, tylko wyszła razem z nią. W drzwiach obejrzała się i pomachała ręką Harry'emu.

- No, myślę, że poszło całkiem nieźle - powiedziała uradowana Hermiona, kiedy po chwili wyszła z Harrym i Ronem z gospody Pod Świńskim Łbem na tonącą w świetle słońca uliczkę. Harry i Ron wciąż trzymali swoje butelki z piwem kremowym.

- Ten Zachariasz to pluskwa - stwierdził Ron, łypiąc ze złością na oddalającego się Smitha.

- Ja też go nie lubię - przyznała Hermiona - ale on podsłuchał, jak przy stole Puchonów rozmawiałam z Erniem i Hanną i okazał wyraźną chęć przyjścia, więc co miałam mu powiedzieć? Ale im będzie nas więcej, tym lepiej... A Michael Corner i jego koledzy pewnie by się nie pojawili, gdyby nie chodził z Ginny...

Ron, który spijał ostatnie krople z butelki, zakrztusił się i opryskał sobie całą szatę kremowym piwem.

- SŁUCHAM? - zapytał z oburzeniem, a uszy miał koloru surowej wołowiny. - Ona... moja siostra... chodzi z Michaelem Cornerem?

- No cóż, myślę że on i jego koledzy przyszli z jej powodu... to znaczy... na pewno interesują się nauką obrony, ale gdyby Ginny nie powiedziała Michaelowi, o co chodzi...

- Kiedy... od kiedy ona...

- Poznali się na Balu Bożonarodzeniowym i pod koniec ubiegłego roku zaczęli ze sobą chodzić - wyjaśniła mu spokojnie Hermiona.

Skręcili w ulicę Główną, a po chwili Hermiona zatrzymała się przed sklepem Scrivenshafta, gdzie na wystawie leżały eleganckie bażancie pióra.

- Hmm... chyba sobie sprawię nowe pióro.

I weszła do sklepu, a Harry i Ron za nią.

- Michael Corner... Który to jest? - zapytał ze złością Ron.

- Ten ciemny - odpowiedziała Hermiona.

- Nie podoba mi się - rzekł natychmiast Ron.

- Też mi niespodzianka - mruknęła pod nosem Hermiona.

- Ale... - Ron ruszył za nią wzdłuż długiego szeregu miedzianych puszek z piórami. - Myślałem, że Ginny buja się w Harrym!

Hermiona spojrzała na niego z łagodną wyrozumiałością i pokręciła głową.

- Ginny kiedyś bujała się w Harrym, ale dawno jej to minęło. To oczywiście wcale nie znaczy, że przestała cię lubić - dodała uprzejmie, zwracając się do Harry'ego, po czym zajęła się oglądaniem czarno-złotego pióra.

Dla Harry'ego, który wciąż miał w oczach Cho machającą do niego ręką w drzwiach gospody, nie był to temat aż tak zajmujący, jak dla Rona, który wprost dygotał z oburzenia. Dowiedział się jednak czegoś, o czym do tej pory nie miał pojęcia.

- To dlatego ona teraz już mówi, tak? - zapytał Hermionę. - Przedtem nigdy nic nie mówiła w moim towarzystwie.

- Jakbyś zgadł. Tak, chyba wezmę to...

Podeszła do lady i wręczyła sprzedawcy piętnaście sykli i dwa knuty. Ron wciąż dyszał jej w kark.

- Ron - powiedziała, kiedy się odwróciła - właśnie dlatego Ginny nie mówiła ci, że chodzi z Michaelem. Wiedziała, że będziesz się wściekał. Więc przestań to wałkować, dobrze?

- Że co? Kto się tutaj wścieka? I wcale nie zamierzam niczego wałkować...

Kiedy szli ulicą, Ron przez cały czas mruczał coś pod nosem. Hermiona zrobiła oczy do Harry'ego i korzystając z tego, że Ron akurat bulgotał obelgami pod adresem Michaela Cornera, zapytała go cicho:

- A jak już mówimy o Michaelu i Ginny... to co z tobą i Cho?

- Co masz na myśli?

Poczuł się tak, jakby się w nim wszystko zagotowało, jakby go zapiekło, a jednocześnie na twarzy zaszczypało chłodem... A więc to było tak oczywiste?

- No wiesz... - odpowiedziała Hermiona, uśmiechając się lekko - ona nie odrywa od ciebie wzroku, nie zauważyłeś?

Wioska Hogsmeade jeszcze nigdy nie wydała się Harry'emu tak cudownym miejscem.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY
DEKRET EDUKACYJNY NUMER DWADZIEŚCIA CZTERY

Przez resztę weekendu Harry był tak szczęśliwy, jak jeszcze nigdy od początku roku szkolnego. Większość niedzieli spędzili z Ronem na borykaniu się z zaległymi pracami domowymi, a chociaż trudno to było nazwać zajęciem przyjemnym, skorzystali z tego, że jesienne słońce wciąż przygrzewało i zamiast ślęczeć przy stolikach w pokoju wspólnym, zabrali książki i pergaminy i rozsiedli się pod wielkim bukiem nad brzegiem jeziora. Hermiona, która oczywiście wszystko już odrobiła, przyniosła motki wełny i zaczarowała swoje druty tak, że śmigały i klikały w powietrzu obok niej, produkując coraz więcej czapek i szalików.

Świadomość, że robią coś wbrew Umbridge i ministerstwu i że to on jest kluczową postacią tego buntu, sprawiała Harry'emu głęboką satysfakcję. Wciąż odświeżał sobie w pamięci sobotnie spotkanie: widok tych wszystkich ludzi, którzy przyszli, żeby ich nauczył obrony przed czarną magią... ich twarzy, kiedy usłyszeli, czego już dokonał... i Cho, wychwalającej jego wyczyny podczas Turnieju Trójmagicznego... Dobrze było wiedzieć, że oni wszyscy wcale nie uważają go za mitomana i dziwoląga, ale za kogoś godnego podziwu. Dodało mu to tyle otuchy, że w poniedziałek rano wciąż był w dobrym nastroju i nie przejmował się bliską perspektywą najmniej lubianych przez siebie lekcji.

Wyszli z Ronem z dormitorium, dyskutując o pomyśle Angeliny, aby podczas wieczornego treningu quidditcha przećwiczyć nową kombinację zwaną Zwisem Leniwca, więc dopiero w połowie drogi przez zalany słońcem pokój wspólny zauważyli coś, co już przykuło uwagę małej grupki Gryfonów.

Do tablicy ogłoszeniowej przypięte było wielkie ogłoszenie, tak wielkie, że przysłoniło wszystko inne: listy używanych podręczników do sprzedaży, punkty regulaminu szkolnego, o których jak zwykle przypominał im August Filch, rozkład treningów quidditcha, oferty wymiany kart z czekoladowych żab, nową reklamę Weasleyów poszukujących królików doświadczalnych, daty sobotnich odwiedzin Hogsmeade i anonsy o przedmiotach zgubionych lub znalezionych. Nowe ogłoszenie wydrukowane było wielkimi czarnymi literami i opatrzone u dołu bardzo urzędowo wyglądającą pieczęcią i podpisem z zawijasami.

NA POLECENIE
WIELKIEGO INKWIZYTORA HOGWARTU

niniejszym rozwiązuje się wszystkie uczniowskie organizacje, stowarzyszenia, drużyny, grupy i kluby.

Za organizację, stowarzyszenie, drużynę, grupę lub klub uważa się regularne spotkania trojga lub większej liczby uczniów.

O pozwolenie na założenie nowej organizacji, stowarzyszenia, drużyny, grupy czy klubu można się starać u Wielkiego Inkwizytora (Profesor Umbridge).

Żadna uczniowska organizacja, stowarzyszenie, drużyna, grupa lub klub nie mogą istnieć bez wiedzy i zezwolenia Wielkiego Inkwizytora.

Każdy uczeń, który samowolnie utworzy organizację, stowarzyszenie, drużynę, grupę czy klub lub wstąpi do jakiejś organizacji, stowarzyszenia, drużyny, grupy czy klubu, nie posiadających zezwolenia Wielkiego Inkwizytora, zostanie wydalony ze szkoły.

Powyższe zarządzenie wydano na podstawie Dekretu Edukacyjnego Numer Dwadzieścia Cztery

Podpisano:
Dolores Jane Umbridge
Wielki Inkwizytor

Harry i Ron przeczytali to ogłoszenie ponad głowami kilku przerażonych drugoroczniaków.

- Czy to oznacza, że zamierzają zamknąć Klub Gargulkowy? - zapytał kolegę jeden z nich.

- Myślę, że w gargulki pozwolą wam grać - stwierdził ponuro Ron, a drugoklasista aż podskoczył, gdy usłyszał jego głos tuż nad sobą. - Ale my chyba nie będziemy mieć takiego szczęścia, co? - zapytał Harry'ego, gdy drugoroczniacy szybko się rozeszli.

Harry odczytywał ogłoszenie po raz drugi. Szczęście, które rozpierało go od soboty, nagle się ulotniło. Ogarnęła go fala bezsilnej wściekłości.

- To nie jest przypadek - powiedział, zaciskając pięści. - Ona wie.

- To niemożliwe!

- W tej gospodzie były różne typy. No i nie oszukujmy się, nie wiemy, komu z tych, co tam przyszli, można naprawdę ufać... Każdy mógł polecieć do Umbridge i wszystko wygadać.

A on myślał, że mu uwierzyli, że nawet go podziwiali...

- Zachariasz Smith! - powiedział natychmiast Ron, uderzając pięścią w dłoń. - Albo... ten Michael Corner też mi wyglądał bardzo podejrzanie...

- Ciekawe, czy Hermiona już to widziała - rzekł Harry, spoglądając w stronę drzwi do sypialni dziewcząt.

- To chodźmy i ją zapytajmy. - Ron podszedł do drzwi, otworzył je i ruszył w górę po spiralnych schodkach.

Był na szóstym stopniu, kiedy to się stało. Rozległ się przeraźliwy, przeciągły dźwięk, przypominający wycie klaksonu, a kamienne stopnie stopiły się w jedną, gładką i pochyłą płaszczyznę. Przez chwilę Ron próbował zachować równowagę, wymachując rękami jak wiatrak, a potem upadł na plecy i zjechał na sam dół, zatrzymując się u stóp Harry'ego.

- Ee... chyba nie wolno nam odwiedzać dormitoriów dziewcząt - powiedział Harry, pomagając mu wstać i z trudem powstrzymując śmiech.

Dwie dziewczyny z czwartej klasy zjechały po kamiennej ślizgawce, piszcząc z uciechy.

- Oooooch! Ktoś próbował się dostać na górę? - chichotały, strzelając zalotnie oczami do Harry'ego i Rona.

- Ja, bo co? - odrzekł Ron, wciąż w stanie lekkiego szoku. - Nie wiedziałem, że coś takiego się stanie. To niesprawiedliwe! - dodał, zwracając się do Harry'ego, kiedy rozchichotane dziewczyny zniknęły w dziurze pod portretem. - Hermiona może sobie przychodzić do naszego dormitorium, kiedy chce, a nam nie wolno...

- Bo to jest taki staroświecki przepis - powiedziała Hermiona, która zjechała zgrabnie na leżący przed nimi dywanik, podniosła się i stanęła przed nimi. - *W Dziejach Hogwartu* napisano, że założyciele szkoły uważali chłopców za mniej godnych zaufania od dziewcząt. No dobra, ale po co próbowaliście tam wejść?

- Żeby się z tobą zobaczyć. Popatrz na to! - Ron pociągnął ją za rękę w stronę tablicy ogłoszeń.

Hermiona szybko przeczytała ogłoszenie. Twarz jej skamieniała.

- Ktoś jej wygadał! - powiedział ze złością Ron.

- Nie, nie mogli - powiedziała cicho Hermiona.

- Jesteś strasznie naiwna. Myślisz, że jak sama jesteś taka szlachetna i lojalna...

- Nie, nie mogli tego zrobić, bo zaczarowałam ten kawałek pergaminu, na którym złożyliśmy swoje podpisy. Wierz mi, gdyby ktoś poleciał i wygadał wszystko Umbridge, wiedzielibyśmy dokładnie kto, i bardzo by tego pożałował.

- A co by mu się stało?

- No... ujmijmy to w ten sposób, że na przykład trądzik Eloise Midgeon wyglądałby jak mnóstwo wdzięcznych piegów. Chodźcie, idziemy na śniadanie, zobaczymy, co o tym myślą inni... Ciekawa jestem, czy to ogłoszenie wywieszono również w innych domach.

Kiedy weszli do Wielkiej Sali, stało się oczywiste, że ogłoszenie Umbridge pojawiło się nie tylko w pokoju wspólnym Gryffindoru. W zwykłym porannym gwarze wyczuwało się szczególną intensywność, a wielu uczniów krążyło między stołami, wymieniając uwagi. Ledwo Harry, Ron i Hermiona usiedli na swoich zwykłych miejscach, podeszli do nich Neville, Dean, Fred, George i Ginny.

- Widzieliście?

- Myślicie, że ona już wie?

- I co dalej?

Wszyscy patrzyli na Harry'ego. Rozejrzał się, żeby się upewnić, czy w pobliżu nie ma żadnego nauczyciela.

- To jasne, i tak to zrobimy - odpowiedział cicho.

- Wiedziałem, że tak powiesz - rzekł George z uśmiechem, waląc Harry'ego w plecy.

- Prefekci też? - zapytał Fred, patrząc wymownie na Rona i Hermionę.

- Oczywiście - powiedziała chłodno Hermiona.

- Idą Ernie i Hanna Abbott - powiedział Ron, zerkając przez ramię. - I ci Krukoni, i Smith... żadnego nie obsypało piegami...

Hermiona wyraźnie się zaniepokoiła.

- Co tam piegi, ci kretyni nie powinni do nas podchodzić, to wygląda bardzo podejrzanie... Siadajcie! - powiedziała bezgłośnie do Erniego i Hanny, pokazując im gestami, żeby usiedli przy stole Puchonów.. - Później! Po-roz-ma-wia-my póź-niej!

- Powiem Michaelowi - odezwała się Ginny i zerwała się z ławki. - To głupek, naprawdę...

Pobiegła do stołu Krukonów, a Harry odprowadził ją wzrokiem. Niedaleko siedziała Cho, rozmawiając ze swoją kędzierzawą przyjaciółką, którą przyprowadziła do Świńskiego Łba. Czy Cho przestraszy się i nie przyjdzie na spotkanie?

Ale wszystkie konsekwencje ogłoszenia Umbridge dały o sobie znać dopiero, kiedy wychodzili z Wielkiej Sali, kierując się do klasy historii magii.

- Harry! Ron!

To Angelina biegła ku nim z wyrazem rozpaczy na twarzy.

- Spokojnie - powiedział cicho Harry, kiedy się zbliżyła. - Zamierzamy mimo wszystko...

- Czy zdajecie sobie sprawę, że to obejmuje quidditcha? - przerwała mu Angelina. - Będziemy musieli iść i prosić o pozwolenie utworzenia na nowo drużyny Gryfonów!

- Co takiego? - zdumiał się Harry.

- To niemożliwe - wybąkał Ron.

- Przecież czytaliście to ogłoszenie, nie? Tam się wymienia również drużyny! Więc posłuchaj mnie, Harry... mówię ci to po raz ostatni... Błagam cię, przy Umbridge trzymaj nerwy na wodzy, bo ona może nie pozwolić nam więcej zagrać!

- Dobra, dobra - odpowiedział Harry, bo Angelina wyglądała, jakby miała się zaraz rozpłakać. - Nie martw się, będę grzeczny...

- Założę się, że przyjdzie na historię magii - rzekł ponuro Ron, kiedy ruszyli w stronę klasy Binnsa. - Jeszcze Binnsa nie wizytowała... Założę się, że już tam siedzi...

Ale się mylił: jedynym nauczycielem obecnym w klasie był sam profesor Binns, unoszący się jak zwykle cal nad krzesłem i przygotowujący się do wygłoszenia dalszego ciągu swego nudnego wykładu na temat wojen olbrzymów. Harry nawet nie próbował śledzić toku wykładu; gapił się bezmyślnie na swój pergamin, ignorując oburzone spojrzenia Hermiony i jej poszturchiwania, do czasu, gdy rąbnęła go łokciem w żebra tak mocno, że nie wytrzymał i spojrzał na nią ze złością.

- Co?!

Wskazała na okno. Na wąskim parapecie siedziała Hedwiga, patrząc na niego przez grubą szybę. Do nóżki miała przywiązany list. Harry nie mógł tego zrozumieć; przecież było śniadanie, dlaczego nie przyniosła mu listu wtedy, jak zwykle? Wiele osób już ją zauważyło i pokazywało sobie palcami.

- Och, uwielbiam tę sowę, jest taka piękna! - westchnęła Lavender do Parvati.

Harry zerknął na profesora Binnsa, który nadal odczytywał swoje notatki, zupełnie nieświadom, że uwaga całej klasy jest jeszcze mniej skupiona na nim niż zwykle. Harry ześliznął się z krzesła i zgięty wpół podbiegł do okna, które powoli otworzył.

Spodziewał się, że Hedwiga wyciągnie do niego nóżkę z listem, żeby mógł go odwiązać, a potem odleci do sowiarni, ale gdy tylko otworzył okno, wskoczyła do środka, pohukując żałośnie. Spojrzał z niepokojem na profesora Binnsa, zamknął okno i pospieszył z powrotem na swoje miejsce, z Hedwigą siedzącą mu na ramieniu. Usiadł, przeniósł Hedwigę na kolana i sięgnął po list.

Dopiero wtedy zobaczył, że pióra ptaka są dziwnie nastroszone; niektóre układały się nie w tę stronę, co należy, a jedno skrzydło zwisało.

- Ona jest ranna! - szepnął Harry, pochylając nisko głowę.

Hermiona i Ron przysunęli się bliżej; Hermiona nawet odłożyła pióro.

- Patrzcie... coś jej się stało w skrzydło...

Hedwiga drżała. Kiedy Harry chciał dotknąć jej skrzydła, podskoczyła lekko, nastroszyła pióra i spojrzała na niego z wyrzutem.

- Panie profesorze - powiedział głośno Harry, a wszyscy na niego spojrzeli. - Źle się czuję.

Profesor Binns podniósł wzrok znad notatek i jak zawsze zdziwił się, że siedzi przed nim tyle osób.

- Źle się czuję? - powtórzył sennym głosem.

- Bardzo źle - powiedział stanowczo Harry, wstając i chowając Hedwigę za plecami. - Chyba muszę iść do skrzydła szpitalnego.

- Tak... - Profesor Binns był wyraźnie zaskoczony. - Tak... tak, do skrzydła szpitalnego... no więc idź, Perkins...

Za drzwiami Harry posadził Hedwigę na ramieniu i puścił się biegiem, zatrzymując dopiero wtedy, gdy już nikt nie mógł go zobaczyć od drzwi klasy Binnsa. Pierwszą osobą, która przyszła mu na myśl, był Hagrid, ale skoro nie miał pojęcia, gdzie Hagrid jest, pozostała mu tylko profesor Grubbly-Plank i nadzieja, że ona mu pomoże.

Wyjrzał przez okno na omiatane wiatrem szare błonia. W pobliżu chatki Hagrida nigdzie jej nie było; jeśli nie ma lekcji, to pewnie jest w pokoju nauczycielskim. Ruszył więc na dół. Hedwiga pohukiwała cicho, kołysząc się na jego ramieniu.

Drzwi do pokoju nauczycielskiego strzegły dwa kamienne gargulce. Kiedy podszedł, jeden z nich zakrakał ochryple:

- Powinieneś być w klasie, wesołku.

- Pilna sprawa - rzekł krótko Harry.

- Ooooch, pilna? - zapytał piskliwym głosem drugi gargulec. - I co, to ma nas uspokoić, tak?

Harry zapukał. Usłyszał kroki, po chwili drzwi się otworzyły i znalazł się twarzą w twarz z profesor McGonagall.

- Tylko mi nie mów, że dostałeś kolejny szlaban! - powiedziała natychmiast, a jej prostokątne okulary zalśniły niepokojem.

- Nie, pani profesor! - uspokoił ją szybko Harry.

- Więc dlaczego nie jesteś na lekcji?

- To najwyraźniej PILNA sprawa - zakpił drugi gargulec.

- Szukam profesor Grubbly-Plank - wyjaśnił Harry. - Chodzi o moją sowę, jest ranna.

- Ranna sowa, mówisz?

Obok McGonagall pojawiła się profesor Grubbly-Plank z fajką w zębach i egzemplarzem „Proroka Codziennego” w ręku.

- Tak - powiedział Harry, zdejmując ostrożnie Hedwigę z ramienia. - Przyleciała już po porannej poczcie i coś jej się stało ze skrzydłem, niech pani popatrzy...

Profesor Grubbly-Plank wzięła od niego Hedwigę.

- Hmm - mruknęła, a tkwiąca między jej zębami fajka zachybotała się lekko. - Wygląda na to, że coś ją zaatakowało. Ale co by to mogło być? Testrale czasami polują na ptaki, ale Hagrid wytresował te w Hogwarcie tak, żeby nie tykały sów...

Harry nie wiedział i nie miał ochoty wiedzieć, co to są testrale, chciał tylko, żeby Hedwiga wyzdrowiała. Profesor McGonagall spojrzała na niego srogo i zapytała:

- Potter, skąd przyleciała ta sowa?

- Ee... - zająknął się Harry. - Chyba z Londynu.

Ich spojrzenia spotkały się na krótko i zrozumiał, że McGonagall wie, iż „Londyn” oznacza: „Grimmauld Place numer dwanaście”, bo ściągnęła brwi.

Profesor Grubbly-Plank wyjęła z kieszeni monokl i wetknęła go sobie w oczodół, po czym obejrzała Hedwigę z bliska.

- Zobaczę, co jej jest, ale musisz ją u mnie zostawić, Potter. I tak przez kilka dni nie będzie mogła fruwać.

- Eee... dobrze... dziękuję - wymamrotał Harry i w tym momencie dzwonek obwieścił przerwę.

- Nie ma za co - odpowiedziała szorstko profesor Grubbly-Plank, wracając do pokoju nauczycielskiego.

- Chwileczkę, Wilhelmino! - powiedziała profesor McGonagall. - List!

- Och, tak! - zawołał Harry, który zupełnie zapomniał o liście przywiązanym do nóżki Hedwigi. Profesor Grubbly-Plank podała mu zwitek pergaminu i znikła w pokoju nauczycielskim, niosąc Hedwigę, która obrzuciła Harry’ego żałosnym spojrzeniem, jakby nie mogła uwierzyć, że zostawia ją w obcych rękach. Czując lekkie wyrzuty sumienia, chciał odejść, gdy usłyszał za sobą głos profesor McGonagall.

- Potter!

- Słucham, pani profesor!

Spojrzała w jedną, a potem w drugą stronę korytarza. Z obu stron nadchodziły grupy uczniów.

- Pamiętaj - szepnęła w pośpiechu, wpatrując się w zwitek pergaminu w jego dłoni - że kanały komunikacji do Hogwartu i z Hogwartu mogą być pod obserwacją.

- Ja... - zaczął Harry, ale fala uczniów już prawie do niego dotarła.

Profesor McGonagall skinęła głową i wycofała się do pokoju nauczycielskiego, a Harry'ego zagarnął tłum. Na dziedzińcu dostrzegł w osłoniętym kącie Rona i Hermionę z kołnierzami płaszczów postawionymi dla ochrony przed wiatrem. Rozwinął szybko kawałek pergaminu i idąc ku nim, zdążył odczytać kilka słów napisanych ręką Syriusza:

Dzisiaj o tej samej porze i w tym samym miejscu.

- Co z Hedwigą? - zapytała Hermiona, gdy tylko podszedł bliżej.

- Co z nią zrobiłeś? - zapytał Ron.

- Oddałem ją Grubbly-Plank. I spotkałem McGonagall... Posłuchajcie...

I powtórzył im, co mu powiedziała McGonagall. Ku jego zaskoczeniu, ani na Hermionie, ani na Ronie nie zrobiło to wielkiego wrażenia, przeciwnie, wymienili znaczące spojrzenia.

- O co chodzi? - zapytał, patrząc to na niego, to na nią.

- No bo właśnie mówiłam Ronowi... że może ktoś próbował przechwycić Hedwigę. Przecież do tej pory jeszcze nigdy nie wróciła w takim stanie, prawda?

- Ale od kogo jest ten list? - spytał Ron, biorąc pergamin od Harry'ego.

- Od Wąchacza.

- O tej samej porze, w tym samym miejscu? Chodzi o kominek w pokoju wspólnym, tak?

- No jasne - powiedziała Hermiona, która też przeczytała liścik. Minę miała niepewną. - Mam tylko nadzieję, że nikt tego nie przeczytał...

- Przecież list był zapieczętowany, przywiązany - rzekł Harry, starając się przekonać nie tylko ją, ale i samego siebie. - No i nikt by nie zrozumiał, bo musiałby wiedzieć, gdzie z nim rozmawialiśmy wcześniej, prawda?

- Nie jestem pewna - powiedziała zaniepokojona Hermiona, zarzucając torbę na ramię, bo znowu zabrzmiał dzwonek. - Za pomocą magii można zapieczętować list ponownie... A jeśli ktoś kontroluje Sieć Fiuu... Ale naprawdę nie wiem, jak go ostrzec, żeby tego też nie przechwycono!

Zeszli kamiennymi schodami do lochów na lekcję eliksirów, wszyscy troje pogrążeni w zamyśleniu, ale gdy tylko znaleźli się w mrocznym korytarzu, przywołał ich do porządku

głos Dracona Malfoya, który stał tuż przed drzwiami klasy Snape'a, wymachując jakimś urzędowo wyglądającym kawałkiem pergaminu i mówiąc przesadnie głośno, tak że usłyszeli każde słowo.

- Tak jest, Umbridge wydała drużynie Ślizgonów zezwolenie na dalsze treningi. Poszedłem do niej rano i załatwiłem to bez trudu, bo wiecie, ona zna dobrze mojego ojca, on często zagląda do ministerstwa... Ciekawe, czy Gryfonom też pozwoli dalej grać!

- Spokojnie - szepnęła Hermiona do Harry'ego i Rona, którzy wpatrywali się w Malfoya, zaciskając pięści. - On tylko na to czeka...

- No bo wiecie - Malfoy jeszcze bardziej podniósł głos, zerkając złośliwie swoimi szarymi oczami w stronę Harry'ego i Rona - do tego trzeba mieć znajomości w ministerstwie, więc chyba nie mają większych szans... Ojciec mówi, że od lat szukają pretekstu, żeby wywalić Artura Weasleya... a jeśli chodzi o Pottera... ojciec twierdzi, że to tylko kwestia czasu... na pewno wkrótce zamkną go u Świętego Munga... pewnie dostanie się na specjalny oddział dla tych, którym magia pomieszała w głowach...

Malfoy otworzył szeroko usta i wytrzeszczył dziko oczy. Crabbe i Goyle jak zwykle zarechotali, a Pansy Parkinson zapiszczała z uciechy.

Coś uderzyło mocno Harry'ego w ramię i odepchnęło na bok. To rozjuszony Neville minął go, zmierzając prosto ku Malfoyowi.

- Neville, nie!

Harry rzucił się do przodu i chwycił Neville'a z tyłu za szatę. Neville zaczął się gwałtownie szarpać, próbując dosięgnąć Malfoya, który przez chwilę miał przerażoną minę.

- Pomóż mi! - krzyknął Harry do Rona, i otoczywszy ramieniem szyję Neville'a, odciągnął go do tyłu, z dala od Ślizgonów.

Crabbe i Goyle już stanęli przed Malfoyem, uginając ramiona, gotowi do walki. Ron podskoczył i złapał Neville'a za ręce; razem z Harrym udało im się go odciągnąć. Neville był fioletowy na twarzy, bo Harry wciąż trzymał go za szyję, ale z jego ust wyrywały się dziwne słowa:

- Nie... śmieszne... tylko nie... Mungo... ja... mu... pokażę...

Drzwi lochu otworzyły się i stanął w nich Snape. Jego czarne oczy powędrowały do rzędu Gryfonów i zatrzymały się na Harrym i Ronie, którzy walczyli z Neville'em.

- Bójka? Potter, Weasley i Longbottom, tak? - powiedział swoim zimnym, drwiącym głosem. - Gryffindor traci dziesięć punktów. Puść Longbottoma, Potter, bo zarobisz szlaban. Wszyscy do środka.

Harry puścił Neville'a, który stał, dysząc i patrząc na niego spode łba.

- Musiałem cię powstrzymać - szepnął Harry, podnosząc swoją torbę. - Crabbe i Goyle rozerwaliby cię na strzępy.

Neville nic nie powiedział, tylko chwycił swoją torbę i wszedł do lochu.

- Na Merlina, co to miało znaczyć? - zapytał powoli Ron, gdy ruszyli za Neville'em.

Harry nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, dlaczego wzmianka o ludziach, którym czary pomieszały w głowach, zamkniętych w Szpitalu Świętego Munga, tak zraniła Neville'a, ale przysiągł Dumbledore'owi, że nikomu nie zdradzi jego sekretu. Nawet sam Neville nie wiedział, że Harry zna ten sekret.

Zajęli swoje zwykłe miejsca z tyłu klasy i wyciągnęli pergamin, pióra i egzemplarze *Tysiąca magicznych ziół i grzybów*. Naokoło wszyscy szeptali o tym, co zrobił Neville, ale kiedy Snape zamknął drzwi lochu, natychmiast zrobiło się cicho.

- Mamy dzisiaj gościa - rzekł swym cichym, drwiącym głosem.

Wskazał na ciemny kąt lochu, w którym siedziała profesor Umbridge z nieodłączną podkładką do notowania. Harry zerknął z ukosa na Rona i Hermionę, unosząc brwi. Snape i Umbridge, dwójka nauczycieli, których najbardziej nienawidził... Które z nich zatriumfuje? Trudno mu było wybrać, czyja klęska bardziej by go ucieszyła.

- Dzisiaj dalej pracujemy nad eliksirem dodającym wigoru. Tu są wasze mikstury, jeśli sporządziliście je właściwie, powinny już dojrzeć przez weekend... Instrukcje - machnął różdżką - są na tablicy. Do roboty.

Przez pierwsze pół godziny profesor Umbridge robiła notatki, nie ruszając się ze swojego kąta. Harry bardzo był ciekaw, o co zapyta Snape'a - tak bardzo, że znowu nie zwrócił należytej uwagi na kolejność punktów instrukcji.

- Krew salamandry! - jęknęła Hermiona, łapiąc go za nadgarstek, gdy po raz trzeci miał już dodać do swego wywaru złą ingrediencję. - Nie sok z granatów!

- Słusznie - mruknął Harry, odstawiając butelkę i nadal zerkając w ciemny kąt.

Profesor Umbridge właśnie wstała.

- Ha! - szepnął, kiedy przeszła powoli wzdłuż dwóch rzędów ławek, zmierzając w kierunku Snape'a, który pochylał się nad kociołkiem Deana Thomasa.

- No, no, wydaje mi się, że klasa osiągnęła dość zaawansowany poziom - powiedziała z ożywieniem do Snape'a. - Chociaż mam wątpliwość, czy to rozsądne uczyć ich sporządzania eliksiru dodającego wigoru. Myślę, że ministerstwo wolałoby usunąć ten punkt z programu.

Snape wyprostował się powoli, odwrócił i spojrzał na nią.

- A przy okazji... jak długo uczy pan w Hogwarcie? - zapytała, trzymając pióro tuż nad podkładką do notowania.

- Czternaście lat - odrzekł Snape z niezgłębionym wyrazem twarzy.

Harry, nie spuszczając z niego wzroku, wlał kilka kropel do swego kociołka. Wywar zasyczał niebezpiecznie i zmienił barwę z turkusowej na pomarańczową.

- Zdaje mi się, że najpierw przymierzał się pan do obrony przed czarną magią?

- Tak - odrzekł cicho Snape.

- Ale pańskie podanie zostało odrzucone?

Snape wykrzywił wargi.

- Tak jest.

Profesor Umbridge zanotowała coś na pergaminie.

- I odkąd zaczął pan tu pracować, co rok ubiega się pan o stanowisko nauczyciela obrony przed czarną magią, tak?

- Tak - odpowiedział cicho Snape, prawie nie poruszając wargami.

- Czy wiadome jest panu, dlaczego Dumbledore co rok panu odmawia?

- Proponuję, żeby go pani sama zapytała - odpowiedział drwiąco Snape.

- Och, na pewno to uczynię - zapewniła go Umbridge ze słodkim uśmiechem.

- Mniemam, że to ma jakieś znaczenie? - zapytał Snape, mrużąc czarne oczy.

- Och, tak! Tak, ministerstwo chce mieć pełną wiedzę o... ee... przeszłości nauczycieli Hogwartu...

Odwróciła się, podeszła do Pansy Parkinson i zaczęła jej zadawać pytania na temat lekcji. Snape spojrzał na Harry'ego i przez chwilę popatrzyli sobie w oczy. Harry szybko opuścił wzrok. Jego wywar zgęstniał, zmętniał i wydawał z siebie silny zapach smażonej gumy.

- No i znowu klapa, Potter - wycedził Snape, opróżniając jego kociołek jednym machnięciem różdżki. - Napiszesz mi wypracowanie na temat poprawnego składu tego wywaru, wykazując, jakie popełniłeś błędy. Na przyszłą lekcję, zrozumiałeś?

- Tak - odrzekł ze złością Harry.

Snape już im zadał pracę domową, a wieczorem drużyna Gryfonów miała trening, co oznaczało kilka kolejnych nieprzespanych nocy. To, że dzisiaj rano obudził się tak szczęśliwy, wydawało mu się zupełnie nierzeczywiste. Teraz pragnął tylko jednego: żeby ten dzień skończył się jak najszybciej.

- Może oleję wróżbiarstwo - mruknął ponuro, kiedy po drugim śniadaniu znowu stali na dziedzińcu, a wiatr targał im poły szat i ronda kapeluszy. - Udam, że jestem chory i odwalę to wypracowanie dla Snape'a, to nie będę musiał zarywać nocy...

- Nie możesz urywać się z wróżbiarstwa - powiedziała z powagą Hermiona.

- I kto to mówi! Sama zrezygnowałaś z wróżbiarstwa. Nienawidzisz tej Trelawney! - zdenerwował się Ron.

- Nieprawda! Po prostu uważam, że jest okropną nauczycielką i starą oszustką... Ale Harry'ego nie było na historii magii i uważam, że dzisiaj nie powinien już opuszczać więcej lekcji!

Było w tym zbyt dużo prawdy, by nie wziąć tego pod uwagę, więc pół godziny później Harry zajął miejsce w gorącej, przesyconej zapachem perfum i kadzidła klasie wróżbiarstwa, wściekły na wszystkich. Profesor Trelawney znowu im rozdała egzemplarze *Sennika*, więc pomyślał ze złością, że spędziłby z o wiele większym pożytkiem tę godzinę, pisząc wypracowanie dla Snape'a. A tak musiał tu siedzieć, próbując odnaleźć znaczenie wymyślonych przez siebie snów.

Okazało się jednak, że nie on jeden jest w fatalnym nastroju. Profesor Trelawney cisnęła egzemplarz Sennika na stolik między nim a Ronem, po czym z zaciśniętymi ustami rzuciła Seamusowi i Deanowi następny egzemplarz, który zaledwie o cal minął głowę Seamusa, wreszcie cisnęła ostatni egzemplarz prosto w Neville'a, a zrobiła to z taką siłą, że Neville spadł z pufa.

- No, do roboty! - krzyknęła piskliwym, nieco histerycznym głosem. - Wiecie, co macie robić! A może jestem tak beznadziejną nauczycielką, że nie nauczyłam was, jak się otwiera książkę?

Wszyscy spojrzeli ze zdumieniem najpierw na nią, a potem po sobie. Harry domyślał się jednak, w czym rzecz. Kiedy profesor Trelawney z oczami pełnymi łez powróciła do swojego fotela z wysokim oparciem, nachylił się do Rona i mruknął:

- Chyba dostała wyniki wizytacji.

- Pani profesor... - odezwała się cichym głosem Parvati Patii (ona i Lavender Brown uwielbiały Trelawney). - Pani profesor, czy coś się... ee... stało?

- Czy coś się stało?! - krzyknęła profesor Trelawney rozdygotanym głosem. - Ależ skąd! Znieważono mnie i tyle! Złośliwe insynuacje pod moim adresem... nieuzasadnione oskarżenia... ale nie, nic się nie stało, ależ skąd!

Wzięła głęboki, spazmatyczny oddech i odwróciła wzrok od Parvati. Spod okularów spływały jej łzy.

- Nie będę wspominać - zaszlochała - o szesnastu latach pracy... o moim oddaniu szkole... Tego najwidoczniej nikt nie zauważył... Ale nie pozwolę się obrażać! Co to, to nie!

- Ale... kto panią profesor obraża? - zapytała nieśmiało Parvati.

- Ci na górze! - krzyknęła profesor Trelawney dramatycznym, załamującym się głosem. - Tak, ci, którym oczy tak przyćmiła doczesność, że nie potrafią widzieć tego, co ja widzę, wiedzieć tego, co ja wiem... Tak, nas, jasnowidzów, wszyscy się boją, zawsze nas prześladowano... taki już... niestety... nasz los...

Przełknęła łzy, osuszyła sobie policzki końcem szala, po czym wyciągnęła z rękawa małą, haftowaną chusteczkę i wydmuchała sobie w nią nos tak mocno, że zagrzmiało, jakby Irytek strzelił z wielkiego balona z malinowej gumy do żucia. Ron parsknął śmiechem. Lavender spojrzała na niego z odrazą.

- Pani profesor... - powiedziała Parvati - czy może... może chodzi o profesor Umbridge?

- Nie wspominaj przy mnie o tej kobiecie! - krzyknęła profesor Trelawney i zerwała się z fotela, grzechocząc paciorkami i błyskając okularami. - Bądź tak uprzejma i zajmij się swoją pracą!

Resztę lekcji spędziła, krążąc między stolikami, ocierając łzy wyciekające jej spod okularów i mrucząc pod nosem coś, co brzmiało jak groźby.

- ...rozważyć rezygnację... co za czelność... na próbę... zobaczymy... jak ona śmie...

- Ty i Umbridge macie coś wspólnego - powiedział cicho Harry Hermionie, kiedy spotkali się w klasie obrony przed czarną magią. - Ona też uważa Trelawney za starą oszustkę... Wygląda na to, wysłała ją na warunkowy.

Zanim skończył, Umbridge weszła do klasy. Na głowie miała swoją czarną, aksamitną kokardkę, a na twarzy bardzo zadowoloną minę.

- Dzień dobry, dziewczęta i chłopcy.

- Dzień dobry pani profesor Umbridge - odpowiedział chór ponurych głosów.

- Proszę pochować różdżki.

Ale tym razem nikt się nie poruszył, bo nikt wcześniej nie trudził się, by różdżkę wyjąć.

- Proszę otworzyć *Teorię obrony magicznej* na stronie trzydziestej czwartej i przeczytać rozdział trzeci, zatytułowany: „Możliwość nieofensywnych odpowiedzi na magiczne ataki". Proszę...

- ...nie rozmawiać - dokończyli jednocześnie szeptem Harry, Ron i Hermiona.

* * *

- Koniec z treningami quidditcha - oznajmiła Angelina bezbarwnym głosem, kiedy po kolacji Harry, Ron i Hermiona weszli do pokoju wspólnego.

- Przecież trzymałem nerwy na wodzy! - zawołał przerażony Harry. - Nic jej nie powiedziałem, Angelino, przysięgam...

- Wiem, wiem. Po prostu powiedziała, że musi się zastanowić.

- Zastanowić? Nad czym? - zapytał ze złością Ron. - Dała zezwolenie Ślizgonom, dlaczego nie nam?

Ale Harry z łatwością sobie wyobraził, jak Umbridge się cieszy, utrzymując ich w niepewności. Z łatwością też zrozumiał, dlaczego nie chce zbyt szybko tracić nad nimi tej przewagi.

- Spójrzcie na to z jaśniejszej strony - powiedziała Hermiona. - Ty, Harry, będziesz miał w końcu czas na napisanie wypracowania dla Snape'a.

- I to nazywasz jaśniejszą stroną, tak? - warknął Harry, a Ron spojrzał na nią z niedowierzaniem. - Żadnych treningów quidditcha i jeszcze więcej eliksirów!

Harry opadł na fotel, wyciągnął z torby pergamin i zabrał się do pracy.

Trudno mu było się skupić. Wiedział, że Syriusz nie ukaże się w kominku o tej porze, ale nie mógł się powstrzymać, by co parę minut nie zerkać w płomienie. W pokoju było zresztą mnóstwo hałasu, bo Fred i George zakończyli wreszcie pracę nad jednym ze swoich magicznych cukierków i po kolei demonstrowali jego działanie wiwatującemu i podskakującemu z uciechy tłumowi Gryfonów.

Fred najpierw odgryzał pomarańczowy koniec cukierka, po czym wymiotował malowniczo do podstawionego mu wiaderka. Potem połykał fioletową część, co powodowało natychmiastowe przerwanie wymiotów. Lee Jordan, który asystował przy tym pokazie, co jakiś czas leniwie opróżniał kubełek tym samym zaklęciem, którego używał Snape, by opróżnić kociołek Harry'ego.

Biorąc pod uwagę następujące po sobie regularnie odgłosy wymiotowania i aplauzu zgromadzonych widzów, a także okrzyki Freda i George'a przyjmujących zamówienia, trudno się dziwić, że Harry nie mógł się skupić na poprawnej metodzie sporządzania eliksiru wzmacniającego. Ze strony Hermiony też nie doczekał się żadnej pomocy; wiwaty i chlupot wymiotów uderzających w dno kubełka kwitowała demonstracyjnymi prychnięciami, które jeszcze bardziej go rozpraszały.

- Więc idź i zrób z tym porządek! - powiedział ze złością, wykreślając po raz czwarty złą wagę sproszkowanych pazurów gryfona.

- Nie mogę. Z prawnego punktu widzenia nie robią niczego złego - wycedziła Hermiona przez zaciśnięte zęby. - Mają prawo sami połykać to świństwo i nie mogę znaleźć żadnego punktu w regulaminie, który by zabraniał kupować to innym kretynom, dopóki nie wykażę, że może to być niebezpieczne, a na to wcale nie wygląda...

We trójkę obserwowali, jak z kolei George demonstruje wymioty, przełyka resztę cukierka i prostuje się z dumą, unosząc w górę ramiona przy akompaniamencie długiego aplauzu widzów.

- Wiecie co, nie rozumiem, dlaczego Fred i George zaliczyli tylko po trzy sumy - rzekł Harry, obserwując, jak bliźniacy i Lee Jordan zbierają złoto od rozochoconych kolegów. - Przecież oni naprawdę znają się na magii...

- Och, to tylko takie sztuczki magiczne na pokaz, nie ma z tego żadnego pożytku - stwierdziła z pogardą Hermiona.

- Nie ma żadnego pożytku? - powtórzył Ron. - Hermiono, oni już zebrali około dwudziestu sześciu galeonów...

Długo trwało, zanim tłum gapiów się rozszedł, a potem Fred, George i Lee jeszcze dłużej liczyli pieniądze, więc było już dobrze po północy, kiedy Harry, Ron i Hermiona w końcu zostali sami. Fred zamknął za sobą drzwi do dormitorium chłopców, grzechocząc pudełkiem z galeonami tak ostentacyjnie, że Hermiona aż syknęła ze złości. Harry, który nie posunął się zbyt daleko w pracy nad wypracowaniem dla Snape'a, uznał, że więcej już dziś nie napisze. Kiedy odłożył książki, Ron, który zdrzemnął się w fotelu, nagle zachrapał, obudził się, spojrzał nieprzytomnie w kominek i wydyszał:

- Syriusz!

Harry okręcił się w miejscu. Rozczochrana głowa Syriusza tkwiła w płomieniach.

- Cześć - powitał ich Syriusz, szczerząc zęby.

- Cześć - powitali go zgodnym chórem Harry, Ron i Hermiona, klękając na dywaniku przed kominkiem.

Krzywołap zaczął głośno mruczeć, a po chwili podszedł do kominka, próbując, mimo żaru, zbliżyć pyszczek do twarzy Syriusza.

- Jak leci? - zapytał Syriusz.

- Nie za dobrze - odrzekł Harry, a Hermiona odciągnęła Krzywołapa, żeby nie opalił sobie wąsów. - Ministerstwo wydało nowy dekret, więc nie możemy już mieć drużyn quidditcha...

- ...ani tajnych grup nauki obrony przed czarną magią?

Zapadło krótkie milczenie.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał Harry.

- Powinniście z większą rozwagą wybierać miejsca takich spotkań - odrzekł Syriusz, uśmiechając się jeszcze szerzej. - Gospoda Pod Świńskim Łbem...

- Jest na pewno lepsza od Trzech Mioteł! - przerwała mu Hermiona. - Tam zawsze przychodzą tłumy...

- ...co oznacza, że trudniej byłoby was podsłuchać. Musisz się jeszcze wiele nauczyć, Hermiono.

- Kto nas podsłuchał? - zapytał Harry.

- Mundungus, rzecz jasna - odrzekł Syriusz, a kiedy zrobili zdumione miny, wybuchnął śmiechem. - On był tą wiedźmą w czarnej chuście.

- To był Mundungus? - Harry'ego aż zatkało. - A co on robił w gospodzie Pod Świńskim Łbem?

- A jak myślisz? Miał oko na ciebie, to chyba jasne.

- To wciąż jestem śledzony? - zapytał Harry ze złością.

- No pewnie! I chyba dobrze, skoro pierwszą rzeczą, jaką robisz w pierwszą wolną sobotę, jest organizowanie nielegalnej grupy obronnej.

Ale nie wyglądał wcale na rozgniewanego ani zaniepokojonego, przeciwnie, patrzył na Harry'ego z wyraźną dumą.

- Dlaczego Dung się przed nami ukrywał? - spytał Ron z nutą zawodu w głosie. - Bardzo chętnie byśmy się z nim spotkali.

- Dwadzieścia lat temu wyrzucono go ze Świńskiego Łba, a ten barman ma długą pamięć. Jak aresztowali Sturgisa, straciliśmy zapasową pelerynę-niewidkę, więc Dung musiał się później przebierać za wiedźmę... No dobrze... Przede wszystkim... Ron, przyrzekłem twojej matce, że ci przekażę jej słowa.

- Tak? - Ron wyraźnie się przestraszył.

- Twoja matka mówi, że pod żadnym pozorem nie wolno ci brać udziału w spotkaniach nielegalnej grupy nauki obrony przed czarną magią. Mówi, że wyleją cię ze szkoły i będziesz miał zrujnowaną przyszłość. Mówi, że będziesz miał później mnóstwo czasu, żeby się nauczyć skutecznej obrony i że jesteś jeszcze za młody, żeby teraz o to się martwić. Radzi też wam - spojrzał na Harry'ego i Hermionę - żebyście dali sobie spokój z tą grupą, chociaż nie ma nad wami władzy i tylko prosi was, żebyście pamiętali, że ma na uwadze wasze dobro. Napisałaby do was o tym wszystkim, ale boi się, że ktoś może przechwycić sowę, a sama nie może wam tego powiedzieć, bo tej nocy jest na służbie.

- Na służbie? Co ona robi? - zapytał szybko Ron.

- Nie twoja sprawa, robi coś dla Zakonu. Tak więc mnie przypadła ta misja i musicie jej powiedzieć, że wszystko wam przekazałem, bo chyba nie bardzo wierzyła, że to zrobię.

Znowu zapadło milczenie, w czasie którego Krzywołap zamiauczał i spróbował kilka razy pacnąć łapą w głowę Syriusza, a Ron bawił się dziurą w dywaniku.

- Więc chcesz mi powiedzieć, że nie wolno mi należeć do grupy samoobrony? - mruknął w końcu.

- Ja? Ależ skąd! - odpowiedział ze zdziwieniem Syriusz. - Uważam, że to wspaniały pomysł!

- Naprawdę? - zapytał Harry, czując, jak wraca mu otucha.

- Oczywiście! Myślisz, że twój ojciec i ja siedzielibyśmy cicho i słuchali rozkazów takiej starej wiedźmy jak Umbridge?

- Ale... w zeszłym roku wciąż mi powtarzałeś, żebym był ostrożny i nie podejmował żadnego ryzyka...

- W zeszłym roku wszystko świadczyło o tym, że w Hogwarcie jest ktoś, kto chce cię zabić, Harry! - żachnął się Syriusz. - W tym roku wiemy, że poza Hogwartem jest ktoś, kto pragnie pozabijać nas wszystkich, więc nauczenie się skutecznej obrony uważam za znakomity pomysł!

- A jeśli nas wyrzucą? - zapytała Hermiona z niewyraźną miną.

- Hermiono, przecież to był twój pomysł! - przypomniał jej Harry.

- Przecież wiem... Jestem tylko ciekawa, co Syriusz o tym myśli - powiedziała, wzruszając ramionami.

- No cóż, lepiej być wyrzuconym i umieć się obronić, niż siedzieć w szkole bezpiecznie, ale i bez sensu - odrzekł Syriusz.

- Brawo! - zawołali jednocześnie Harry i Ron.

- Więc jak zorganizowaliście taką grupę? - zapytał Syriusz. - Gdzie się spotykacie?

- Z tym jest mały problem - odrzekł Harry. - Nie bardzo wiem, gdzie byśmy mogli...

- A co powiecie o Wrzeszczącej Chacie?

- Hej, to jest pomysł! - zawołał podniecony Ron, ale Hermiona mruknęła sceptycznie i wszyscy trzej na nią spojrzeli (głowa Syriusza obróciła się w płomieniach).

- Bo, widzisz, Syriuszu, jak wy się spotykaliście we Wrzeszczącej Chacie, to było was tylko czterech i wszyscy potrafiliście zamieniać się w zwierzęta, przypuszczam też, że gdybyście bardzo chcieli, jakoś byście się ścisnęli pod peleryną-niewidką. A nasza grupa liczy dwadzieścia osiem osób i żadne z nas nie jest animagiem, więc musielibyśmy mieć nie pelerynę-niewidkę, tylko markizę-niewidkę.

- Racja - rzekł Syriusz z nieco zakłopotaną miną. - Ale jestem pewny, że coś wymyślicie... Kiedyś za tym wielkim lustrem na czwartym piętrze był całkiem obszerny tajny korytarz, tam było tyle miejsca, że z powodzeniem można by ćwiczyć zaklęcia...

- Fred i George mówili mi, że został zablokowany - powiedział Harry, kręcąc głową. - Zawalili go, czy coś takiego...

- Och... - Syriusz był wyraźnie zawiedziony. - No dobrze, pomyślę o tym i jeszcze do tego wró...

Urwał. Na jego twarzy pojawił się niepokój. Głowa obracała się to w jedną, to w drugą stronę, najwidoczniej wpatrując się w ceglane ściany kominka.

- Syriuszu? - zapytał ze strachem Harry.

Ale głowa Syriusza znikła. Harry gapił się przez chwilę w płomienie, a potem spojrzał na Rona i Hermionę.

- Dlaczego on...

Hermiona wydała z siebie zduszony okrzyk i zerwała się, wciąż wpatrzona w kominek.

Wśród płomieni pojawiła się ręka, macająca wokoło, jakby chciała coś pochwycić: szeroka dłoń z krótkimi, grubymi palcami pokrytymi brzydkimi, staroświeckimi pierścionkami...

Rzucili się do ucieczki. W drzwiach wiodących do sypialni chłopców Harry zerknął za siebie przez ramię. Paluchy Umbridge wciąż rozwierały się i zwierały w płomieniach, jakby dokładnie wiedziała, gdzie jeszcze przed chwilą tkwiła głowa Syriusza, i chciała ją złapać za włosy.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY
GWARDIA DUMBLEDORE'A

- Umbridge czytała twój list, Harry. Nie ma innego wyjaśnienia.

- Myślisz, że to ona zaatakowała Hedwigę?

- Jestem tego prawie pewna - odpowiedziała ponuro Hermiona. - Uważaj na swoją żabę, bo ci ucieknie.

Harry wycelował różdżkę w żabę, która skakała ku skrajowi stołu z wyraźnym zamiarem ucieczki.

- *Accio!*

Żaba posłusznie powróciła.

Na lekcji zaklęć zawsze można było sobie porozmawiać. Zwykle działo się tyle, że niebezpieczeństwo podsłuchania rozmowy było nikłe. Tego dnia klasę wypełniał rechot żab i krakanie kruków, a deszcz bębnił w szyby, więc Harry, Ron i Hermiona bez obawy wymieniali szeptem uwagi o tym, jak mało brakowało, by Umbridge dopadła Syriusza w kominku.

- Podejrzewałam to od czasu, kiedy Filch oskarżył cię o zamówienie łajnobomb - wyszeptała Hermiona. - To było takie głupie łgarstwo. No bo jak by już przeczytali twój list, to byłoby jasne, że wcale nie zamawiałeś żadnych łajno-bomb, więc nic ci nie groziło... taki kiepski dowcip, prawda? Ale później pomyślałam, że może ktoś po prostu chciał mieć pretekst, żeby przeczytać twój list... Dla Umbridge byłby to idealny sposób: napuszcza na ciebie Filcha, żeby odwalił brudną robotę i skonfiskował list, a potem albo mu ten list wykrada, albo wręcz żąda, by go jej pokazał... Nie sądzę, żeby Filch miał jakieś obiekcje, przecież zawsze miał w nosie prawa uczniów. Harry, dusisz swoją żabę.

Harry spojrzał w dół: rzeczywiście ściskał żabę tak mocno, że oczy jej wylazły na wierzch. Położył ją szybko na stoliku.

- Mało brakowało, naprawdę bardzo mało brakowało - powiedziała Hermiona. - Ciekawa jestem tylko, czy Umbridge wie, jak mało brakowało. Silencio!

Wielka żaba, na której ćwiczyła zaklęcie uciszające, przestała nagle rechotać i spojrzała na nią z wyrzutem.

- Gdyby dorwała Wąchacza...

- ...to już dzisiaj byłby w Azkabanie - skończył za nią Harry.

Machnął różdżką, nie koncentrując się dostatecznie na tym, co robi, a jego żaba rozdęła się jak zielony balonik i wydała z siebie przeraźliwy gwizd.

- *Silencio!* - uciszyła ją Hermiona, a żaba wróciła do swych normalnych rozmiarów. - W każdym razie trzeba go powstrzymać. Nie wiem tylko, jak go ostrzec. Nie możemy mu wysłać sowy.

- Nie sądzę, aby zaryzykował jeszcze raz - powiedział Ron. - Nie jest głupi, wie, że już go prawie miała. Silencio!

Stojący przed nim wielki, wstrętny kruk zakrakał drwiąco.

- *Silencio! SILENCIO!*

Kruk zakrakał jeszcze głośniej.

- Bo źle machasz różdżką - powiedziała Hermiona, przyglądając się Ronowi krytycznie. - Trzeba nią dźgnąć.

- Kruki są trudniejsze od żab - burknął Ron.

- Możemy się zamienić - powiedziała Hermiona, łapiąc kruka Rona i podstawiając mu swoją wielką żabę.

- *Silencio!*

Kruk nadal otwierał i zamykał dziób, ale nie wydawał żadnego dźwięku.

- Bardzo dobrze, panno Granger! - piskliwy głos profesora Flitwicka rozległ się nad ich głowami tak nagle, że wszyscy troje podskoczyli. - A teraz pan, panie Weasley!

- Co?... Och... och, tak jest... zaraz... - wyjąkał Ron. - Ee... *Silencio!*

Dźgnął różdżką tak gwałtownie, że trafił żabę w oko. Zarechotała z oburzeniem i zeskoczyła ze stolika.

Dla żadnego z trojga nie było zaskoczeniem, że Flitwick zadał Harry'emu i Ronowi dodatkową pracę domową: ćwiczenie zaklęcia uciszającego.

Podczas przerwy pozwolono im zostać w zamku, bo na zewnątrz lało jak z cebra. Znaleźli sobie miejsca w pełnej hałasu i zatłoczonej klasie na pierwszym piętrze, gdzie pod żyrandolem snuł się leniwie Irytek, który od czasu do czasu wydmuchiwał przez rurkę unurzane w atramencie kulki papieru, trafiając kogoś w głowę. Ledwo usiedli, gdy przez tłum plotkujących uczniów przecisnęła się do nich Angelina.

- Dostałam zezwolenie! - oznajmiła. - Możemy na nowo sformować drużynę quidditcha!

- Super! - krzyknęli jednocześnie Ron i Harry.

- No! - Angelina tryskała dumą. - Poszłam do McGonagall, a ona chyba interweniowała u Dumbledore'a... w każdym razie Umbridge musiała odpuścić. Ha! Wieczorem o siódmej chcę was widzieć na boisku, dobra? Mamy mało czasu... chyba zdajecie sobie sprawę, że do pierwszego meczu pozostały tylko trzy tygodnie?

I odeszła, uchylając się w ostatniej chwili przed atramentowym pociskiem Irytka, który trafił w jakiegoś pierwszoroczniaka.

Ron trochę zmarkotniał, gdy spojrzał w okno, w które bębnił deszcz.

- Mam nadzieję, że się przejaśni... Hermiono, co jest z tobą?

Ona też patrzyła w okno, ale tak, jakby go nie widziała. Spojrzenie miała trochę nieprzytomne i marszczyła czoło.

- Nic, po prostu myślę... - odpowiedziała, wciąż wpatrując się w zalewane strugami deszczu okno.

- O Syr... Wąchaczu? - zapytał Harry.

- Nie... niezupełnie - powiedziała powoli. - Tak sobie myślę... zastanawiam się... Chyba dobrze robimy... co?

Harry i Ron spojrzeli po sobie.

- No, to wszystko wyjaśnia - zakpił Ron. - Bo chyba bym się obraził, gdybyś nie powiedziała wyraźnie, o co ci chodzi.

- Zastanawiałam się - powiedziała już bardziej zdecydowanym tonem - czy dobrze robimy, organizując tę grupę obrony przed czarną magią.

- Że co?! - zapytali równocześnie Harry i Ron.

- Hermiono, to był przecież twój pomysł! - przypomniał jej Ron.

- Wiem. - Hermiona splotła palce. - Ale po rozmowie z Wąchaczem...

- Przecież jemu to się bardzo podobało! - powiedział Harry.

- Tak... - Hermiona znowu gapiła się w okno. - Tak, i właśnie dlatego zaczęłam się zastanawiać, czy dobrze robimy...

Irytek nadleciał ku nim w pozycji poziomej, jak myśliwiec, z rurką gotową do strzału, więc wszyscy troje automatycznie zasłonili głowy torbami, dopóki nie przeleciał.

- Wyjaśnijmy to sobie - rzekł Harry ze złością, kiedy odstawili torby na podłogę. - Syriusz zgadza się z nami, więc ty uważasz, że nie powinniśmy jednak tego robić, tak?

Hermiona była cała spięta i miała taką minę, jakby ją rozbolał brzuch.

- Masz naprawdę zaufanie do jego oceny sytuacji? - zapytała, patrząc teraz na swoje dłonie.

- Tak, mam! - odrzekł natychmiast Harry. - Zawsze dawał nam dobre rady!

Atramentowa kulka śmignęła tuż obok nich, trafiając Katie Bell prosto w ucho. Hermiona przyglądała się, jak Katie zrywa się z miejsca i zaczyna ciskać w Irytka wszystkim, co ma pod ręką. Dopiero po dłuższej chwili przemówiła ponownie, ostrożnie dobierając słowa.

- A nie sądzicie, że on stał się... trochę... lekkomyślny... od kiedy go uziemiono przy Grimmauld Place? Nie sądzicie, że on... że on jakby... żyje naszym życiem?

- A co to za figura: „żyje naszym życiem”? - zapytał z przekąsem Harry.

- To znaczy... No dobrze, myślę, że sam bardzo by chciał tworzyć tajne stowarzyszenia obronne tuż pod nosem ministerstwa... Myślę, że dla niego to jest sytuacja bardzo trudna do zniesienia, bo nic nie może zrobić tam, gdzie jest... więc myślę, że on nas po prostu... podbechtuje...

Ron spojrzał na nią, wyraźnie zakłopotany.

- Syriusz ma rację. Ty naprawdę mówisz jak moja matka.

Hermiona zagryzła wargi i nic nie odpowiedziała. Rozległ się dzwonek i w tym samym momencie Irytek nadleciał nad Katie i wylał jej na głowę całą butelkę atramentu.

Pogoda nie poprawiła się aż do końca dnia, więc kiedy o siódmej Harry i Ron stawili się na stadionie, ślizgając się na mokrej trawie, byli przemoczeni do suchej nitki. Ciemnoszare niebo zwiastowało burzę z piorunami. Z ulgą weszli do ciepłej i jasnej szatni, choć wiedzieli, że to schronienie będą musieli za chwilę opuścić. Fred i George zastanawiali się, czy nie użyć jednego ze swoich cukierków, aby wymigać się od treningu.

- ...ale mogę się założyć, że ona się skapuje - powiedział Fred półgłosem. - Wczoraj zaproponowałem jej kupno kilku Wymiotków Grylażowych...

- Moglibyśmy spróbować Karmelka Gorączkowego - mruknął George. - Nikt go jeszcze nie zna...

- To działa? - zapytał Ron z nadzieją, gdy deszcz z jeszcze większą siłą zabębnił w sufit, a wiatr zawył jak opętany.

- No jasne - odrzekł Fred. - Temperatura ci się podnosi...

- ...ale dostajesz też czyraków - dodał George - a jeszcze nie wymyśliliśmy sposobu, jak się ich pozbyć.

- Jakoś nie widzę żadnych czyraków - powiedział Ron, przyglądając się bliźniakom.

- Bo nie możesz - rzekł ponuro Fred. - Są w miejscu, którego zwykle nie wystawiamy na pokaz...

- ...ale siedzenie na miotle to będzie męka...

- No dobra, skupcie się - powiedziała Angelina, wychodząc z pokoju kapitana drużyny. - Wiem, że pogoda nie jest idealna, ale bardzo możliwe, że zagramy ze Ślizgonami w podobnych warunkach, więc to chyba dobry pomysł, żeby zobaczyć, jak sobie radzimy. Harry, ty chyba zrobiłeś coś ze swoimi okularami, żeby deszcz nie ograniczał ci widoczności, kiedy graliśmy z Puchonami podczas burzy...

- Hermiona to zrobiła. - Wyciągnął różdżkę, stuknął nią w szkła okularów i powiedział: - *Impervius!*

- Myślę, że wszyscy powinniśmy tego spróbować - powiedziała Angelina. - Gdyby się w ten sposób udało uchronić twarze od deszczu, to mielibyśmy o wiele lepszą widoczność... No, to wszyscy razem, proszę... *Impervius!* Dobra. Idziemy.

Pochowali różdżki do wewnętrznych kieszeni, wzięli miotły na ramiona i wyszli z szatni za Angeliną. Człapiąc po błocku, dotarli na środek boiska. Mimo Zaklęcia Impervius widoczność była bardzo słaba; robiło się coraz ciemniej, a kurtyny deszczu siekły trawę.

- Uwaga! Na mój gwizdek! - krzyknęła Angelina.

Harry odepchnął się mocno od ziemi, rozbryzgując błoto we wszystkie strony, i wystrzelił w górę. Wiatr zepchnął go trochę z kursu. Nie miał pojęcia, jak w taką pogodę zobaczy znicza; z trudem dostrzegał jednego tłuczka, z którym trenowali, i już po minucie musiał zastosować Zwis Leniwca, żeby w ostatniej chwili uchronić się przed zwaleniem z miotły przez złośliwą piłkę. Niestety Angelina tego nie widziała, zresztą chyba prawie nic nie widziała, podobnie jak wszyscy, tak że każdy ćwiczył, nie wiedząc, co robią pozostali. Wiatr wzmagał się. Z daleka dobiegał grzechot deszczu siekącego w taflę jeziora.

Angelina męczyła ich tak prawie godzinę, zanim się poddała. Zaprowadziła przemoczoną i gderającą drużynę do szatni, zapewniając wszystkich, że trening nie był stratą czasu, ale jej głos nie brzmiał zbyt przekonująco. Zwłaszcza Fred i George mieli bardzo obrażone miny; obaj jakoś dziwnie chodzili, stawiając szeroko stopy, kołysząc się na boki i krzywiąc się co chwilę. Harry podsłuchał, jak uskarżali się cicho, wycierając sobie włosy ręcznikami.

- Chyba parę mi pękło - powiedział Fred martwym głosem.

- Moje nie - odrzekł George, krzywiąc się. - Ale strasznie rwą... chyba urosły...

- AUUU! - krzyknął Harry.

Przycisnął ręcznik do twarzy, zaciskając z bólu powieki. Blizna na czole znowu go zapiekła, boleśniej niż w ciągu ostatnich tygodni.

- Co się stało? - rozległy się głosy.

Harry wynurzył się spod ręcznika. Szatnia była zamazana, bo nie miał okularów, ale wiedział, że wszyscy na niego patrzą.

- Nic - mruknął. - Szturchnąłem się w oko...

Spojrzał jednak znacząco na Rona i obaj zostali, gdy reszta drużyny wyszła z szatni, otulając się szczelnie pelerynami i naciągając kapelusze na uszy.

- Co się stało? - zapytał Ron, gdy tylko Alicja zniknęła w drzwiach ostatnia. - Blizna?

Harry kiwnął głową.

- Ale... - Ron z przerażoną miną podszedł do okna i spojrzał w ciemność. - Jego chyba nie ma w pobliżu, co?

- Nie - mruknął Harry, siadając na ławce i rozcierając sobie czoło. - Pewnie jest daleko stąd. Boli, bo... bo on się wścieka.

Wcale nie zamierzał tego powiedzieć i swoje własne słowa usłyszał tak, jakby wypowiedział je ktoś obcy - ale natychmiast zrozumiał, że tak było naprawdę. Nie miał pojęcia, w jaki sposób to wiedział, ale wiedział. Gdziekolwiek teraz znajdował się Voldemort, cokolwiek teraz robił, jedno nie ulegało wątpliwości: był coraz bardziej rozeźlony.

- Widziałeś go? - zapytał Ron. - Miałeś... wizję... czy coś w tym rodzaju?

Harry siedział nieruchomo, wpatrzony w swoje stopy, pozwalając myślom i wspomnieniom błądzić swobodnie i czując ulgę po bólu, który nagle ustąpił...

Jakieś kłębowisko zamazanych kształtów, jakieś wyjące głosy...

- On chce, żeby coś się stało, a to się staje zbyt powoli.

I znowu zaskoczyły go słowa wychodzące z jego ust, i znowu był pewny, że są prawdziwe.

- Ale... skąd ty to wiesz?

Harry pokręcił głową i zakrył oczy rękami, uciskając je dłońmi, aż przed oczami rozbłysły mu gwiazdki. Poczuł, że Ron siada obok niego na ławce i że na niego patrzy.

- Czyli o to chodziło ostatnim razem? - zapytał Ron przyciszonym głosem. - Kiedy blizna rozbolała cię w gabinecie Umbridge? Sam-Wiesz-Kto był zły?

Harry pokręcił głową.

- Więc jak?

Harry sięgnął pamięcią do owej chwili. Patrzył w twarz Umbridge... Blizna go zapiekła... i poczuł coś dziwnego w brzuchu... jakby mu się nagle zrobiło lżej... To było SZCZĘŚLIWE uczucie... Ale, oczywiście, wtedy tego nie odczuwał, bo tak był zgnębiony i udręczony...

- Ostatnim razem był zadowolony. Naprawdę zadowolony... Jakby miało się stać coś przyjemnego. A w tę noc, zanim przybyliśmy do Hogwartu... - Przypomniał sobie chwilę, kiedy rozbolała go blizna w sypialni domu przy Grimmauld Place. - Wtedy się wściekał...

Spojrzał na Rona, który gapił się w niego z otwartymi ustami.

- Harry, ty jesteś lepszy od Trelawney...

- Ja nie przepowiadam przyszłości.

- Nie, ale wiesz, co ty robisz? - zapytał Ron głosem pełnym lęku i podziwu. - Harry, ty czytasz w myślach Sam-Wiesz-Kogo...

- Nie - powiedział Harry, kręcąc głową. - Tu nie chodzi o jego myśli... raczej o jego nastrój. Ja mam po prostu przebłyski jego nastroju... Dumbledore mówił, że w zeszłym roku chodziło właśnie o coś takiego... Że wyczuwałem, kiedy Voldemort był blisko mnie, albo kiedy był bardzo zły. No, a teraz wyczuwam też, kiedy jest z czegoś zadowolony...

Zapadła chwila milczenia. Wiatr z deszczem chłostał mury i okna zamku.

- Musisz komuś o tym powiedzieć - stwierdził Ron.

- Już mówiłem Syriuszowi.

- To powiedz mu i o tym ostatnim!

- Niby jak? - zapytał ponuro Harry. - Umbridge kontroluje sowy i kominki, nie pamiętasz?

- No to powiedz Dumbledore'owi.

- Już ci mówiłem: Dumbledore o tym wie - odrzekł krótko Harry, wstając, biorąc pelerynę z kołka i zarzucając ją na siebie. - Nie ma sensu mu tego powtarzać.

Ron też narzucił pelerynę i stał, przyglądając się Harry'emu z namysłem.

- Dumbledore na pewno chciałby o tym wiedzieć.

Harry wzruszył ramionami.

- Chodź... musimy jeszcze poćwiczyć zaklęcie uciszające. Poszli przez pogrążone w ciemności błonia, ślizgając się i potykając na mokrej trawie. Harry zamyślił się. Co to mogło być, czego tak pragnął Voldemort, a co nie stało się dostatecznie szybko?

Ma również inne plany... plany, które może po cichu wprowadzić w życie... zależy mu na czymś, co może tylko wykraść... coś w rodzaju broni. Coś, czego nie miał ostatnim razem.

Nie zastanawiał się nad tymi słowami od tygodni, bo był za bardzo pochłonięty tym, co się działo wokół niego, zbyt zajęty użeraniem się z Umbridge, zbyt oburzony niesprawiedliwością, która zaczęła triumfować w Hogwarcie, odkąd do spraw szkoły wmieszało się ministerstwo... Ale teraz te słowa wróciły i miał nad czym rozmyślać. A może gniew Voldemorta wzbudza właśnie brak tego, na czym mu tak zależy... owej broni, czymkolwiek ona jest? Czyżby Zakon pokrzyżował mu plany, udaremnił zdobycie tej broni? Gdzie ją trzymają? Kto ją teraz ma?

- *Mimbulus mimbletonia* - usłyszał głos Rona i wróciwszy do rzeczywistości, przełazi przez dziurę pod portretem.

Wszystko wskazywało na to, że Hermiona wcześnie poszła spać, pozostawiając Krzywołapa zwiniętego w kłębek na fotelu i kolekcję wełnianych czapek dla skrzatów

domowych rozłożoną na stoliku przy kominku. Harry poczuł pewną ulgę, że jej nie ma, bo nie miał ochoty dyskutować z nią o swojej bliźnie i wysłuchiwać kolejnych apeli, by poszedł do Dumbledore'a i wszystko mu opowiedział. Ron wciąż rzucał na niego zaniepokojone spojrzenia, ale Harry wyciągnął swój podręcznik do eliksirów i zabrał się do wypracowania, choć tylko udawał, że jest na tym skupiony. Kiedy Ron w końcu oznajmił, że i on idzie spać, z wypracowaniem właściwie nie ruszył z miejsca.

Minęła północ, a Harry wciąż czytał i czytał ustęp o użyciu warzuchy, lubczyka i kichawca, choć nie docierało do niego ani jedno słowo...

Rośliny te bardzo skutecznie jątrzą mózg, dlatego też wykorzystuje się je często do sporządzania wywarów oszałamiających i zaciemniających umysł, kiedy czarodziej pragnie wzbudzić w kimś porywczość i lekkomyślność...

Hermiona powiedziała, że od czasu uwięzienia w domu przy Grimmauld Place Syriusz stał się lekkomyślny...

...bardzo skutecznie jątrzą mózg i dlatego wykorzystuje się je często...

Redaktorzy „Proroka Codziennego" na pewno by uznali, że Harry ma rozjątrzony mózg, gdyby wykryli, że wie, co czuje Voldemort...

...dlatego też wykorzystuje się je często do sporządzania wywarów oszałamiających i zaciemniających umysł...

Zaciemnienie umysłu... tak, o to chodzi. Bo dlaczego wie, co czuje Voldemort? Co ich łączy? Dumbledore tylko napomykał o jakimś tajemniczym związku między nimi, nigdy nie był w stanie należycie tego wyjaśnić...

...kiedy czarodziej pragnie...

Ależ mu się chce spać...

...wzbudzić w kimś porywczość...

Jak ciepło i wygodnie jest w fotelu przy kominku, kiedy deszcz bębni w parapety, Krzywolap mruczy, płomienie trzaskają...

Książka wyśliznęła mu się z rąk i wylądowała z głuchym stuknięciem na dywaniku przed kominkiem. Głowa opadła mu na bok...

Znowu kroczył ciemnym korytarzem, odgłos jego kroków toczył się echem w ciszy. Kiedy zamajaczyły przed nim drzwi w końcu korytarza, serce zabiło mu szybciej... Gdyby mógł je otworzyć... wejść przez nie...

Wyciągnął rękę... Palcami już dosięgał drzwi...

- Harry Potter, sir!

Obudził się gwałtownie. Wszystkie świece już się wypaliły, ale dostrzegł jakiś ruch.

- Kto tam? - zapytał Harry, prostując się w fotelu. Ogień prawie wygasł, pokój był pogrążony w mroku.

- Zgredek ma sowę Harry'ego Pottera, sir! - zaskrzeczał głos.

- Zgredek? - powtórzył Harry ochrypłym głosem, wypatrując w ciemności źródła głosu.

Zgredek, skrzat domowy, stał obok stolika, na którym Hermiona zostawiła z pół tuzina wełnianych czapek. Jego wielkie, spiczaste uszy wystawały spod czegoś, co wyglądało jak wszystkie czapki, które Hermiona zrobiła od początku roku. Wsadził je jedna na drugą, tak że głowa mu urosła o jakieś dwie lub trzy stopy, a na samym szczycie siedziała Hedwiga, pohukując pogodnie.

- Zgredek zgłosił się na ochotnika, żeby Harry'emu Potterowi przynieść jego sowę! - zaskrzeczał skrzat, wpatrując się w niego z uwielbieniem. - Profesor Grubbly-Plank mówi, że sowa już jest zdrowa, sir!

I pochylił się w ukłonie tak głębokim, że jego ołówkowaty nos musnął powierzchnię dywanika, na co Hedwiga zagruchała z oburzeniem i pofrunęła na poręcz fotela Harry'ego.

- Dziękuję ci, Zgredku! - rzekł Harry, głaszcząc łebek Hedwigi i mrugając zawzięcie, by pozbyć się obrazu zamkniętych drzwi ze swojego snu.

A sen był tak żywy... Kiedy znowu spojrzał na Zgredka, zauważył, że skrzat miał również na sobie kilkanaście szalików i tyle par skarpetek, że jego stopy wyglądały na stanowczo zbyt wielkie w stosunku do reszty ciała.

- Ee... zabierasz wszystko, co zostawia tu Hermiona?

- Och, nie, sir - odrzekł uradowany skrzat. - Zgredek bierze też trochę dla Mrużki.

- A jak się miewa Mrużka?

Uszy Zgredka lekko opadły.

- Mrużka wciąż dużo pije, sir - odpowiedział ponuro, opuszczając swoje olbrzymie zielone oczy. - Nadal nie dba o ubranie, Harry Potter, sir. Inne skrzaty też o to nie dbają. Już nie sprzątają wieży Gryffindoru, to przez te porozkładane wszędzie czapki i szaliki, uważają je za obraźliwe, sir. Zgredek sam wszystko robi, sir, ale Zgredek się nie przejmuje, bo zawsze ma nadzieję, że spotka Harry'ego Pottera, no i tej nocy jego marzenie się spełniło! - Znowu skłonił się głęboko. - Ale Harry Potter nie wygląda na szczęśliwego - ciągnął dalej, prostując się i patrząc nieśmiało na Harry'ego. - Zgredek słyszał, jak Harry Potter mamroce przez sen. Miał złe sny?

- Nie były takie straszne - powiedział Harry, ziewając i trąc oczy. - Miewałem już gorsze.

Skrzat przyglądał się mu swymi wielkimi, wypukłymi oczami. Potem opuścił uszy i rzekł z powagą:

- Zgredek bardzo by chciał pomóc Harry'emu Potterowi, bo Harry Potter zwrócił Zgredkowi wolność i Zgredek jest teraz o wiele bardziej szczęśliwy...

Harry uśmiechnął się.

- Nie możesz mi pomóc, Zgredku, ale dziękuję ci za dobre chęci...

Schylił się i podniósł swój podręcznik eliksirów. Będzie musiał skończyć to wypracowanie jutro. Zamknął książkę, a kiedy to zrobił, blask z kominka oświetlił wąskie białe blizny na wierzchu jego dłoni - pamiątkę po szlabanie w gabinecie Umbridge.

- Zaczekaj chwilę, Zgredku... jest coś, co mógłbyś dla mnie zrobić - powiedział powoli.

Skrzat się rozpromienił.

- Niech Harry Potter tylko powie, sir!

- Muszę znaleźć miejsce, w którym dwadzieścia osiem osób mogłoby ćwiczyć obronę przed czarną magią, ale tak, żeby ich nie nakrył żaden z nauczycieli. A zwłaszcza - Harry położył rękę na książce, a blizny zalśniły perłowo - profesor Umbridge.

Spodziewał się, że skrzat przestanie się uśmiechać i uszy mu opadną, spodziewał się odpowiedzi, że to niemożliwe, albo że można spróbować, ale chyba się nie uda... Nie spodziewał się zupełnie, że Zgredek aż podskoczy i klaśnie z radości.

- Zgredek zna doskonałe miejsce, sir! Zgredek słyszał o nim od innych skrzatów domowych, kiedy przybył do Hogwartu, sir. My je nazywamy Pokojem Przychodź-Wychodź, sir, albo Pokojem Życzeń!

- Dlaczego?

- Bo do tego pokoju można wejść tylko wtedy, kiedy się tego naprawdę potrzebuje. Czasami jest tu, czasami tam, ale kiedy już się pojawia, wyposażony jest dokładnie w to, co akurat jest potrzebne. Zgredek raz go użył, sir - powiedział skrzat, ściszając głos, z miną winowajcy - kiedy Mrużka była bardzo pijana. Ukrył ją w Pokoju Życzeń, znalazł tam antidota na piwo kremowe, a także zgrabne łóżeczko, akurat na skrzata, żeby mogła się tam wyspać, sir... I Zgredek wie, że pan Filch znalazł tam dodatkowe środki czyszczące, kiedy mu ich zabrakło, sir, a...

- ...a kiedy bardzo potrzebujesz toalety - rzekł Harry, nagle przypominając sobie, co powiedział Dumbledore podczas Balu Bożonarodzeniowego w zeszłym roku - to ten pokój napełni się nocnikami, tak?

- Zgredek sądzi, że to całkiem możliwe - odrzekł skrzat, kiwając gorliwie głową. - To zdumiewający pokój, sir.

- Ile osób o nim wie? - zapytał Harry, prostując się w fotelu.

- Niewiele, sir. Ludzie natrafiają na ten pokój, kiedy bardzo go potrzebują, ale później najczęściej już go nie znajdują, bo nie wiedzą, że on zawsze czeka na zawołanie, sir.

- To brzmi wspaniale - rzekł Harry z bijącym sercem. - To wprost idealne miejsce, Zgredku. Kiedy możesz mi go pokazać?

- W każdej chwili, sir - odpowiedział Zgredek, wyraźnie zachwycony entuzjazmem Harry'ego. - Jak Harry Potter chce, możemy tam iść zaraz!

Przez chwilę Harry poczuł pokusę, by iść za skrzatem natychmiast; już się podnosił z fotela, żeby pójść na górę po pelerynę-niewidkę, kiedy - nie po raz pierwszy - jakiś głos, bardzo podobny do głosu Hermiony, szepnął mu do ucha: *lekkomyślny*. W końcu było bardzo późno, a on był już zmęczony.

- Nie teraz, Zgredku - powiedział, opadając z powrotem na fotel. - To dla mnie naprawdę bardzo ważne... nie chcę wszystkiego zepsuć, muszę to dobrze zaplanować... Słuchaj, a nie mógłbyś mi po prostu powiedzieć, gdzie jest ten Pokój Życzeń i jak się do niego dostać?

Porywisty wiatr wzdymał im i szarpał szaty, kiedy szli przez zalane wodą grządki warzywne na dwugodzinną lekcję zielarstwa. Później, podczas lekcji, ledwo słyszeli, co mówi profesor Sprout, bo wielkie krople deszczu bębniły jak grad w dach cieplarni. Popołudniową lekcję opieki nad magicznymi stworzeniami trzeba było przenieść z błoni do wolnej klasy na parterze i odetchnęli z ulgą, kiedy podczas drugiego śniadania Angelina oznajmiła drużynie, że trening quidditcha został odwołany.

- To dobrze - szepnął Harry, gdy mu to powiedziała - bo znaleźliśmy miejsce na pierwsze spotkanie naszej grupy samoobrony. Wieczorem o ósmej, na siódmym piętrze, naprzeciw tego gobelinu z Barnabaszem Bzikiem i trollami. Możesz powiedzieć Katie i Alicji?

Angelina była nieco zaskoczona, ale obiecała powiedzieć innym, a Harry rzucił się na kiełbaski z tłuczonymi ziemniakami. Kiedy podniósł głowę, żeby napić się soku dyniowego, napotkał wzrok Hermiony.

- Co? - zapytał szorstko.

- Nic... tylko że pomysły Zgredka nie zawsze są bezpieczne. Nie pamiętasz, jak ci przez niego wyparowały wszystkie kości z ramienia?

- Ten pokój nie jest jeszcze jednym zwariowanym pomysłem Zgredka. Dumbledore też o nim wie, wspominał mi o nim podczas Balu Bożonarodzeniowego.

Hermiona wyraźnie się ożywiła.

- Dumbledore ci o nim mówił?

- Mimochodem - odrzekł Harry, wzruszając ramionami.

- No, jeśli tak, to w porządku - uspokoiła się Hermiona i więcej do tego nie wracała.

Przez większość dnia wyszukiwali tych, którzy wpisali się na listę, żeby im przekazać czas i miejsce spotkania. Harry odczuł lekki zawód, że to Ginny, a nie on, pierwsza odnalazła Cho Chang i jej przyjaciółkę, ale pod koniec kolacji był już przekonany, że wiadomość dotarła do tych wszystkich, którzy pojawili się w gospodzie Pod Świńskim Łbem.

O wpół do ósmej Harry, Ron i Hermiona opuścili pokój wspólny Gryffindoru. Harry ściskał w garści pewien stary pergamin. Piątoklasistom wolno było przebywać na korytarzach do dziewiątej, ale wszyscy troje rozglądali się nerwowo dookoła, kiedy szli na siódme piętro.

- Zaczekajcie - powiedział Harry, kiedy tam dotarli. Rozwinął pergamin, stuknął weń różdżką i mruknął: - Przysięgam uroczyście, że knuję coś niedobrego.

Na czystej powierzchni pergaminu pojawiła się mapa Hogwartu. Maleńkie czarne kropki, opatrzone nazwiskami, pokazywały, gdzie w tej chwili znajdują się różne osoby.

- Filch jest na drugim piętrze - rzekł Harry, przyglądając się mapie z bliska - a Pani Norris na czwartym.

- A Umbridge? - zapytała z niepokojem Hermiona.

- W swoim gabinecie. - Harry pokazał palcem. - Dobra, idziemy.

Ruszyli korytarzem do miejsca, które Zgredek opisał Harry'emu. Był to kawałek pustej ściany naprzeciw wielkiego gobelinu, na którym uwieczniono bardzo nierozsądną próbę Barnabasza Bzika nauczenia trolli pozycji i kroków baletowych.

- W porządku - powiedział cicho Harry, kiedy nadgryziony przez mole troll przestał na chwilę okładać maczugą niedoszłego instruktora tańca, żeby zobaczyć, co z niego zostało. - Zgredek powiedział, że trzeba przejść trzy razy wzdłuż tego kawałka ściany, skupiając się mocno na tym, czego potrzebujemy.

I zaczęli spacerować, zawracając tuż za pustym kawałkiem ściany, po czym robiąc to samo przy stojącej z drugiej strony wazie wysokości człowieka. Ron mrużył w skupieniu oczy, Hermiona szeptała coś pod nosem, a Harry zaciskał pięści, wpatrując się przed siebie.

Potrzebne nam jest miejsce, żeby nauczyć się walczyć, pomyślał. Miejsce do ćwiczeń... gdzieś, gdzie nikt nas nie znajdzie...

- Harry! - powiedziała nagle Hermiona, kiedy zawrócili po trzecim przejściu wzdłuż ściany.

W ścianie pojawiły się wypolerowane, błyszczące drzwi. Ron gapił się w nie z trochę nieufną miną. Harry wyciągnął rękę, chwycił za mosiężną gałkę, otworzył drzwi i wszedł pierwszy do obszernego pokoju, oświetlonego migotliwymi pochodniami - takimi samymi jak te, które oświetlały lochy osiem pięter niżej.

Wzdłuż ściany stały drewniane szafy z książkami, a zamiast krzeseł na podłodze leżały jedwabne poduszki. W dalekim końcu pokoju na półkach leżały różne magiczne instrumenty, takie jak fałszoskopy, czujniki tajności, i wielki, popękany monitor wrogów - Harry był pewien, że to ten sam, który w ubiegłym roku wisiał w gabinecie fałszywego Moody'ego.

- Przydadzą się, jak będziemy ćwiczyć oszałamianie - ucieszył się Ron, szturchając stopą jedną z poduszek.

- I spójrzcie na te książki! - powiedziała podniecona Hermiona, przebiegając palcem po grzbietach wielkich, oprawionych w skórę tomów. - *Kompendium popularnych zaklęć i przeciwzaklęć... Jak przechytrzyć czarnoksiężnika... Podręcznik magicznej samoobrony...* Uau! - Odwróciła do Harry'ego uradowaną twarz, a on zrozumiał, że widok tych setek książek ostatecznie rozwiał jej obawy i wątpliwości. - Harry, to cudowne, mamy tu wszystko, czego potrzebujemy!

I natychmiast wyciągnęła z półki *Uroki dla zauroczonych*, usiadła na jednej z poduszek i zaczęła wertować książkę.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Przybyli Ginny, Neville, Lavender, Parani i Dean.

- O kurczę! - Dean rozglądał się po pokoju, szczerze zdumiony. - Co to za miejsce?

Harry zaczął mu wyjaśniać, ale zanim skończył, przybyło więcej osób i musiał zacząć od początku. O ósmej wszystkie poduszki były już zajęte. Harry podszedł do drzwi i przekręcił klucz wystający z zamka; zamek szczęknął głośno i wszyscy ucichli, czekając w napięciu. Hermiona założyła jakąś stronę w *Urokach dla zauroczonych* i odłożyła książkę na bok.

- No więc... - zaczął trochę nerwowo Harry - to jest miejsce, w którym będziemy ćwiczyć i widzę, że... ee... chyba się wam podoba...

- Jest fantastyczne! - powiedziała Cho, a kilkanaście osób głośno wyraziło to samo.

- To dziwne - zauważył Fred, marszcząc czoło i rozglądając się po pokoju - ale kiedyś ukryliśmy się tu przed Filchem, pamiętasz, George? Tylko że wtedy była to po prostu komórka na miotły...

- Hej, Harry, a co to takiego? - zapytał Dean z głębi pokoju, wskazując na fałszoskopy i monitor wrogów.

- Wykrywacze czarnej magii - odrzekł Harry, podchodząc do półek. - Pokazują, kiedy w pobliżu są jacyś czarnoksiężnicy lub wrogowie... ale lepiej na nich za bardzo nie polegać, bo można je oszukać...

Wpatrywał się przez chwilę w monitor wrogów, na którym widać było jakieś poruszające się, niewyraźne postacie, a potem odwrócił się.

- Więc zastanawiałem się, co powinniśmy najpierw zrobić i... ee... - Zauważył podniesioną rękę. - O co chodzi, Hermiono?

- Myślę, że powinniśmy wybrać przywódcę.

- Harry jest przywódcą - powiedziała natychmiast Cho, patrząc na Hermionę jak na wariatkę, a w brzuchu Harry'ego znowu coś podskoczyło.

- Tak, ale uważam, że powinniśmy to jednak przegłosować - oświadczyła Hermiona. - W ten sposób nasza decyzja uzyska status oficjalnej, a autorytet Harry'ego wzrośnie. No więc... kto uważa, że przywódcą powinien być Harry?

Wszyscy podnieśli ręce, nawet Zachariasz Smith, który jednak zrobił to bez entuzjazmu.

- Ee... no... dziękuję - powiedział Harry, czując, że palą go policzki. - I... co znowu, Hermiono?

- Uważam też, że powinniśmy się jakoś nazywać - oświadczyła Hermiona, nadal trzymając rękę w górze. - To wzmocni poczucie, że tworzymy jeden zespół, nie uważacie?

- Co powiecie na Ligę Antyumbridgeańską? - zapytała Angelina.

- A na grupę „Ministerstwo Magii To Sami Kretyni"? - zaproponował Fred.

- Miałam raczej na myśli - powiedziała Hermiona, rzucając Fredowi mordercze spojrzenie - taką nazwę, która nie powie osobom postronnym, co naprawdę robimy, taką, której moglibyśmy używać również poza tymi spotkaniami.

- Grupa Defensywy? - podsunęła Cho. - W skrócie GD, więc nikt się nie domyśli, o czym mówimy...

- Tak, GD jest dobre - powiedziała Ginny - ale jako skrót od „Gwardia Dumbledore'a", bo tego właśnie ministerstwo najbardziej się obawia, prawda?

Rozległ się szmer zadowolonych głosów i śmiechy.

- Kto jest za GD? - zapytała Hermiona zdecydowanym tonem, klękając na poduszce i licząc podniesione ręce. - Większość... Więc przegłosowaliśmy!

Wstała, przyłożyła do ściany pergamin z listą ich nazwisk i napisała u góry: GWARDIA DUMBLEDORE'A.

- Świetnie - rzekł Harry, kiedy Hermiona usiadła. - Możemy zabrać się do ćwiczeń? Pomyślałem sobie, że najpierw powinniśmy przećwiczyć Expeliarmus, no wiecie, zaklęcie rozbrajające. To jedno z podstawowych zaklęć, ale nieraz mi się przydało...

- Daj spokój! - przerwał mu Zachariasz Smith, podnosząc oczy do góry i krzyżując ręce na piersiach. - Co, myślisz, że Expeliarmus pomoże nam przeciw Sam-Wiesz-Komu?

- Mnie pomógł - powiedział spokojnie Harry. - W czerwcu to zaklęcie uratowało mi życie.

Smithowi opadła szczęka. Reszta siedziała cicho.

- Ale jeśli uważasz, że to poniżej twojej godności, to możesz wyjść - powiedział Harry.

Smith nie ruszył się z miejsca. Wszyscy wpatrywali się w Harry'ego.

- W porządku - rzekł Harry trochę bardziej oschłym tonem. - No, to dobieramy się w pary i ćwiczymy.

Dziwnie się czuł, wydając polecenia, ale jeszcze dziwniej, kiedy zobaczył, że wszyscy go słuchają. Wstali natychmiast i podzielili się na pary. Jak można było przewidzieć, Neville został bez partnera.

- Możesz ćwiczyć ze mną - powiedział mu Harry. - Dobra... liczę do trzech. Raz... dwa... trzy...

Pokój wypełnił się nagle okrzykami „*Expeliarmus!*", różdżki pomknęły w różne strony, niecelne zaklęcia uderzyły w książki na półkach, wysyłając je w powietrze. Harry okazał się za szybki dla Neville'a, któremu różdżka wyleciała z ręki, trafiła w sufit, krzesząc fontannę iskier, i wylądowała z hukiem na szczycie szafy z książkami, skąd Harry ściągnął ją zaklęciem przyzywającym. Rozejrzał się wokoło i pomyślał, że dobrze zrobił, zaczynając od prostego zaklęcia, bo wielu osobom w ogóle nie udało się rozbroić przeciwnika: ich partnerzy odskakiwali tylko o kilka kroków do tyłu, albo krzywili się, gdy niecelne zaklęcie świstało im koło uszu.

- *Expeliarmus!* - krzyknął Neville, i Harry, który się tego nie spodziewał, poczuł, jak różdżka wyrywa mu się z ręki.

- UDAŁO MI SIĘ! - zawołał uradowany Neville. - Po raz pierwszy w życiu... UDAŁO MI SIĘ!

- Zuch z ciebie! - pochwalił go Harry, rezygnując z uwagi, że w prawdziwym pojedynku przeciwnik nie gapiłby się w inną stronę z opuszczoną różdżką u boku. - Słuchaj, Neville, może poćwiczysz trochę na zmianę z Ronem i Hermioną, a ja przejdę się i zobaczę, jak radzą sobie inni.

Przeszedł na środek pokoju. Coś dziwnego działo się z Zachariaszem Smithem: za każdym razem, gdy otwierał usta, żeby rozbroić Anthony'ego Goldsteina, różdżka wylatywała mu z ręki, chociaż nic nie wskazywało, by Anthony wypowiedział zaklęcie pierwszy. Tajemnica szybko się jednak wyjaśniła: Fred i George stali tuż za Smithem i po kolei celowali różdżką w jego plecy.

- Przepraszam, Harry - powiedział szybko George, kiedy spostrzegł, że jest obserwowany. - Nie mogłem się powstrzymać...

Harry obchodził inne pary, starając się poprawić tych, którym zaklęcie nie wychodziło. Ginny ćwiczyła z Michaelem Cornerem. Radziła sobie całkiem nieźle, natomiast Michael albo nie potrafił, albo nie chciał jej rozbroić. Ernie Macmillan niepotrzebnie wymachiwał różdżką, co dawało jego partnerowi czas na uprzedzenie ataku. Bracia Creeveyowie ćwiczyli z zapałem, ale byli niedokładni; to oni głównie byli odpowiedzialni za fruwające w powietrzu tomy. Luna Lovegood też popełniała błędy, od czasu do czasu rozbrajając Justyna Finch-Fletchleya, ale częściej powodując tylko, że włosy stawały mu dęba.

- Dobrze, stop! - krzyknął Harry. - Stop! STOP!

Przydałby mi się gwizdek, pomyślał, i natychmiast spostrzegł gwizdek leżący na najbliższej półce z książkami. Złapał go i zagwizdał. Wszyscy opuścili różdżki.

- Nie było tak źle - powiedział Harry - ale niektórym sporo brakuje do doskonałości. - Zachariasz Smith łypnął na niego spode łba. - Spróbujmy jeszcze raz...

I zaczął ponownie obchodzić pokój, zatrzymując się to tu, to tam, żeby komuś coś podpowiedzieć. Coraz lepiej dawali sobie radę. Przez jakiś czas Harry unikał zbliżenia się do Cho i jej przyjaciółki, ale po dwukrotnym obejściu wszystkich pozostałych par uznał, że nie może już dłużej ich ignorować.

- Och, nie! - jęknęła Cho na jego widok. - *Expelliarmious!* To znaczy... *Expellimellius!* Och... przepraszam cię, Marietto!

Rękaw szaty jej kędzierzawej przyjaciółki zajął się ogniem. Marietta ugasiła go własną różdżką i spojrzała na Harry'ego tak, jakby to była jego wina.

- Rozkojarzyłeś mnie, przedtem szło mi bardzo dobrze! - poskarżyła się Cho Harry'emu.

- Nie było źle! - skłamał Harry, ale kiedy uniosła brwi, dodał szybko: - No, to ostatnie ci nie wyszło, ale wiem, że potrafisz zrobić to poprawnie, bo cię obserwowałem...

Roześmiała się. Marietta obrzuciła ich cierpkim spojrzeniem i odwróciła się.

- Nie przejmuj się nią - mruknęła Cho. - Sama nigdy by tu nie przyszła, ale ją zmusiłam. Rodzice zabronili jej robienia czegokolwiek, co mogłoby rozzłościć Umbridge... jej mama pracuje w ministerstwie.

- A twoi rodzice?

- No wiesz, oni też zabronili mi sprzeciwiać się Umbridge - odpowiedziała Cho, prostując się dumnie - ale jeśli myślą, że po tym, co się stało z Cedrikiem, nie będę walczyć z Sam-Wiesz-Kim, to...

Urwała, zmieszana, i zapadło kłopotliwe milczenie. Różdżka Terry'ego Boota śmignęła Harry'emu koło ucha i ugodziła Alicję Spinnet prosto w nos.

- A mój ojciec bardzo popiera każdą akcję przeciw ministerstwu! - rozległ się tuż za plecami Harry'ego głos Luny Lovegood, która najwyraźniej podsłuchiwała ich rozmowę, korzystając z tego, że Justyn Finch-Fletchley zaplątał się we własną szatę, która stanęła dęba, zakrywając mu głowę. - Zawsze powtarza, że po Knocie można się spodziewać wszystkiego, w końcu ile goblinów pozabijał! Poza tym Knot wykorzystuje Departament Tajemnic, żeby tam wytwarzać okropne trucizny, które potajemnie podaje każdemu, kto mu się sprzeciwia. I ten jego umgubulamy kociokwik...

- Nie pytaj - mruknął Harry do Cho, kiedy ta zrobiła wielkie oczy i otworzyła usta.

Cho zachichotała.

- Hej, Harry! - zawołała Hermiona z drugiego końca pokoju. - Sprawdzałeś czas?

Spojrzał na zegarek i zrobiło mu się gorąco. Było dziesięć po dziewiątej, a to oznaczało, że muszą natychmiast wracać do swoich domów, jeśli nie chcą być przyłapani przez Filcha i ukarani za przebywanie na korytarzach po dziewiątej. Dmuchnął w gwizdek. Okrzyki „*Expeliarmus!*" ucichły i ostatnie kilka różdżek spadło na podłogę.

- Było bardzo dobrze - powiedział Harry - ale trochę się zagapiłem, musimy szybko wracać do domów. Za tydzień o tej samej porze, w tym samym miejscu, tak?

- Wcześniej! - krzyknął Dean Thomas i wiele osób pokiwało gorliwie głowami.

- Niedługo rozpoczyna się sezon quidditcha - powiedziała szybko Angelina. - Musimy też trenować!

- Więc proponuję w przyszłą środę - rzekł Harry. - I wtedy zadecydujemy, czy chcemy więcej spotkań... No dobrze, ale lepiej się pospieszmy...

Wyciągnął Mapę Huncwotów i sprawdził, czy na siódmym piętrze nie kręci się przypadkiem jakiś nauczyciel. Wypuszczał ich po troje i czworo, obserwując z niepokojem ich kropki, żeby się upewnić, czy dotarli bezpiecznie do swoich domów: Puchoni do korytarza w piwnicy, który prowadził też do kuchni, Krukoni do wieży w zachodniej części zamku, Gryfoni do korytarza na siódmym piętrze i portretu Grubej Damy.

- Harry, było naprawdę super - powiedziała Hermiona, kiedy w końcu zostali tylko w trójkę.

- Tak, fantastycznie! - zgodził się podniecony Ron, kiedy wyszli i odczekali, aż drzwi rozpłyną się w kamiennej ścianie. - Widziałeś, jak rozbroiłem Hermionę?

- Tylko raz - oświadczyła urażona Hermiona. - A ja ciebie... no, nie liczyłam...

- Raz? Załatwiłem cię przynajmniej ze trzy razy...

- No, jeśli liczyć ten raz, kiedy się potknąłeś i wytrąciłeś mi różdżkę łokciem...

Sprzeczali się przez całą drogę do pokoju wspólnego, ale Harry ich nie słuchał. Zerkał na Mapę Huncwotów, ale myślami był gdzie indziej. Wciąż sobie przypominał, jak Cho powiedziała, że ją rozkojarzył...

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY
LEW I WĄŻ

Przez następne dwa tygodnie Harry czuł się tak, jakby nosił w piersi jakiś talizman, drogocenny sekret, który dodawał mu siły na lekcjach Umbridge, a nawet pozwalał uśmiechać się ironicznie, patrząc w jej wyłupiaste oczy. On i cała GD grali jej na nosie, robiąc akurat to, czego ona i ministerstwo najbardziej się obawiali, a kiedy podczas lekcji kazała im czytać podręcznik Wilberta Slinkharda, tylko udawał, że czyta, a w rzeczywistości rozpamiętywał ich ostatnie spotkania, wspominał, jak Neville'owi udało się rozbroić Hermionę, jak Colin Creevey opanował w końcu zaklęcie spowalniające, ćwicząc zawzięcie przez trzy spotkania, jak Parvati Patii tak dobrze rzuciła zaklęcie redukujące, że zmniejszyła stół z fałszoskopami do rozmiarów pyłka.

Nie udało mu się ustalić jednego stałego dnia tygodnia na spotkania GD, bo musieli zmieścić w tygodniu trzy treningi quidditcha, które trzeba było często przekładać ze względu na pogodę, ale uznał, że to może i lepiej, bo czas tych spotkań był trudny do przewidzenia. Gdyby ktoś wpadł na trop tajnej grupy, niełatwo by mu było wyśledzić, kiedy i gdzie się spotykają.

Wkrótce Hermiona wymyśliła bardzo sprytny sposób przekazywania wszystkim członkom GD daty i godziny następnego spotkania bez wzbudzania podejrzeń, jakie mogłyby budzić zbyt częste rozmowy uczniów z trzech różnych domów podczas posiłków w Wielkiej Sali. Dała każdemu fałszywego galeona (Ron bardzo się podniecił, kiedy po raz pierwszy zobaczył koszyk pełen złota, bo myślał, że Hermiona rozdaje prawdziwe monety).

- Widzicie te cyfry wokół krawędzi monety? - zapytała ich Hermiona pod koniec czwartego spotkania. - Na prawdziwym galeonie jest to po prostu numer seryjny oznaczający goblina, który wykonał odlew. Na fałszywych monetach te cyfry będą się zmieniać, wskazując godzinę i datę następnego spotkania. Kiedy data ulegnie zmianie, monety trochę urosną, tak że poczujecie to, nosząc galeona w kieszeni. Każdy dostanie jednego, a kiedy Harry ustali datę i godzinę spotkania, zmieni cyfry na swojej monecie, a ponieważ rzuciłam na nie Zaklęcie Proteusza, wasze też się zmienią.

Po tych słowach Hermiony zapadła głucha cisza. Trochę zmieszana, rozejrzała się po zwróconych ku niej twarzach.

- No... myślałam, że to dobry pomysł - powiedziała niepewnym głosem. - Bo nawet jak Umbridge każe nam wywrócić kieszenie na lewą stronę, to co znajdzie? Każdy może mieć galeona w kieszeni, prawda? No, ale... jeśli nie chcecie...

- Potrafisz rzucić Zaklęcie Proteusza? - zapytał Terry Boot.

- Tak.

- Ale to jest przecież... to jest poziom owutemów...

- Ach... - Hermiona starała się zrobić skromną minę. - Och... no, tak... chyba tak...

- Jak to się stało, że nie jesteś w Ravenclawie? - zapytał, przypatrując się jej ze zdumieniem. - Z takim mózgiem?

- Prawdę mówiąc, Tiara Przydziału poważnie się zastanawiała, czy nie przydzielić mnie do Ravenclawu, ale w końcu uznała, że trafię do Gryffindoru. Czy to oznacza, że skorzystamy z moich galeonów?

Wszyscy głośno wyrazili zgodę, a potem kolejno podchodzili, by wziąć sobie jedną monetę z koszyka. Harry zerknął z ukosa na Hermionę.

- Wiesz, co mi to przypomina?

- Nie, a co?

- Blizny śmierciożerców. Voldemort dotyka jednej z nich, a blizny wszystkich pieką, w ten sposób wiedzą, że ich wzywa.

- No... tak - powiedziała cicho Hermiona. - Właśnie to podsunęło mi ten pomysł... ale zauważ, że postanowiłam wyryć datę w kawałku metalu, a nie w ludzkiej skórze...

- To mi bardziej odpowiada - rzekł Harry z uśmiechem, chowając galeona do kieszeni. - Grozi nam tylko, że przypadkiem je wydamy.

- Mała szansa - mruknął Ron, który nieco smętnie przyglądał się swojej monecie. - Nie mam prawdziwego galeona, więc nie będę miał z czym pomylić tego fałszywego.

Zbliżał się pierwszy w tym sezonie mecz quidditcha, Gryfoni przeciw Ślizgonom, więc musieli przerwać spotkania GD, bo Angelina nalegała na codzienne treningi. Rozgrywki o Puchar Quidditcha wznawiano po tak długiej przerwie, że zainteresowanie meczem było olbrzymie. Krukoni i Puchoni z niecierpliwością czekali na wynik, bo w ciągu tego roku mieli się zmierzyć z obiema drużynami. Opiekunowie domów nie przyjmowali do wiadomości, że ich drużyna może przegrać, chociaż starali się to ukryć, opowiadając o szlachetnej rywalizacji sportowej. Harry zdał sobie sprawę, jak bardzo profesor McGonagall zależy na przegranej Ślizgonów, kiedy powstrzymała się od zadawania Gryfonom pracy domowej w ciągu całego tygodnia poprzedzającego mecz.

- Uważam, że umiecie już tyle, że na razie wystarczy - powiedziała im z dumą, a kiedy wszyscy zrobili miny, jakby się przesłyszeli, dodała, patrząc na Harry'ego i Rona: - Przyzwyczaiłam się do widoku Pucharu Quidditcha w moim gabinecie i nie chciałabym oddawać go profesorowi Snape'owi, więc wykorzystajcie ten czas na dodatkowe treningi, dobrze, chłopcy?

Snape otwarcie kibicował Slizgonom. Zamawiał dla nich boisko tak często, że Gryfoni mieli trudności ze swoimi treningami. Był też głuchy na powtarzające się doniesienia o próbach rzucania uroków na zawodników Gryfonów przez Ślizgonów. Kiedy Alicja Spinnet znalazła się w skrzydle szpitalnym, bo brwi urosły jej tak, że prawie nic nie widziała, Snape upierał się, że sama musiała rzucić na siebie Zaklęcie Bujnego Owłosienia i nie chciał wysłuchać czternastu naocznych świadków, którzy utrzymywali, że widzieli, jak Miles Bletchley, obrońca Ślizgonów, trafił ją zza pleców tym zaklęciem, kiedy siedziała w bibliotece.

Harry był optymistą co do wyniku meczu. W końcu Gryfoni jeszcze nigdy nie przegrali z drużyną Malfoya. Ron nie grał jeszcze na poziomie Wooda, ale pracował ciężko, by poprawić styl. Jego najsłabszym punktem była tendencja do utraty wiary w siebie, kiedy popełnił błąd; jeśli puścił jednego gola, tracił głowę i można się było spodziewać, że puści następne. Z drugiej strony, Harry był świadkiem, jak Ron bronił strzały „nie do obrony", kiedy był w formie. Podczas jednego z pamiętnych treningów zwisł z miotły, trzymając się jej tylko jedną ręką, a mimo to kopnął zmierzającego do jego bramki kafla tak mocno, że piłka poszybowała przez długość całego boiska i przeleciała przez sam środek pętli po drugiej stronie. Reszta drużyny uznała to za wyczyn porównywalny z tym, czego ostatnio dokonał Barry Ryan, bramkarz reprezentacji Irlandii, znalazłszy się sam na sam z najlepszym polskim ścigającym, Władysławem Zamojskim. Nawet Fred mówił, że on i George będą jeszcze z Rona dumni i że poważnie rozważają możliwość publicznego przyznawania się, że jest ich bratem, czego jakoby się wypierali przez ostatnie cztery lata.

Harry'ego martwiło tylko to, że Ron był bardzo podatny na próby wyprowadzenia go z równowagi przez Ślizgonów. Sam znosił ich szyderstwa przez cztery lata, więc uwagi typu: „Hej, Głupotter, podobno Warrington przysiągł, że w sobotę zwali cię z miotły" bardziej go rozśmieszały niż przerażały. „Ma takiego cela, że może bym się bał, gdyby próbował trafić w najbliższego mnie zawodnika", odpowiedział wówczas, na co Ron i Hermiona parsknęli śmiechem, a Pansy Parkinson przestała się drwiąco uśmiechać.

Natomiast Ron nie wytrzymywał kampanii obelg, kpin i zastraszania. Kiedy któryś z mijającej go na korytarzu grupy Ślizgonów - w tym siódmoklasistów, o wiele wyższych od niego - mruknął: „Weasley, zamówiłeś już łóżko w skrzydle szpitalnym?", nie roześmiał się, tylko lekko zzieleniał na twarzy. Kiedy Draco Malfoy udawał, że wypuszcza z rąk kafla (co robił za każdym razem, gdy Rona zobaczył), Ronowi płonęły uszy i tak trzęsły się ręce, że niewiele brakowało, by wypuścił z nich to, co akurat trzymał.

Minął październik, a z nim wyjące wiatry i ulewne deszcze, nadszedł listopad, zimny jak oblodzone żelazo, z silnymi mrozami w każdy poranek i lodowatymi powiewami, kąsającymi odsłonięte dłonie i twarze. Niebo i sklepienie Wielkiej Sali zrobiły się bladoszare, góry wokół Hogwartu pokryły się czapami śniegu, a temperatura w zamku tak opadła, że wielu uczniów nosiło między lekcjami ochronne rękawice ze smoczej skóry.

W dniu meczu powitał ich jasny i mroźny poranek. Harry obudził się, spojrzał na łóżko Rona i zobaczył, że ten siedzi wyprostowany, obejmując kolana ramionami, i wpatruje się nieruchomo w przestrzeń.

- Nic ci nie jest? - zapytał Harry.

Ron pokręcił przecząco głową, ale nic nie powiedział. Harry przypomniał sobie mimo woli, jak Ron niechcący rzucił na siebie zaklęcie powodujące wymiotowanie ślimakami. Teraz był tak samo blady i spocony jak wówczas, nie mówiąc już o tej samej niechęci do otwierania ust.

- Musisz coś zjeść - powiedział Harry dziarskim tonem. - Chodź, idziemy.

Wielka Sala zapełniała się szybko, rozmowy były głośniejsze, a atmosfera bardziej ożywiona niż zwykle. Kiedy przechodzili koło stołu Ślizgonów, rozległy się drwiące okrzyki i śmiechy. Harry spojrzał na nich i zobaczył, że prócz zwykłych zielono-srebrnych szalików i kapeluszy, prawie każdy miał srebrną odznakę w kształcie korony. Nie wiedzieć czemu niektórzy machali do Rona, rycząc ze śmiechu. Harry próbował odczytać, co jest napisane na odznace, ale zbyt mu zależało na tym, by szybko zaprowadzić Rona do stołu Gryfonów, więc nie zdążył.

Gryfoni powitali ich wiwatami. Każdy miał na sobie coś w kolorach czerwieni i złota. Wiwaty nie dodały jednak Ronowi otuchy, przeciwnie, jakby mu odebrały resztki pewności siebie. Kiedy opadł na ławkę, wyglądał, jakby zasiadał do ostatniego w swym życiu posiłku.

- Co ja robię, chyba mi kompletnie odbiło - mruknął ochrypłym szeptem. - To przecież czyste wariactwo.

- Nie bądź głupi - upomniał go stanowczo Harry, podsuwając mu mieszankę płatków zbożowych. - Zagrasz super. To normalne, że człowiek ma tremę.

- Jestem beznadziejny - zachrypiał Ron. - Jestem okropny. Nie obronię, choćby od tego zależało moje życie. Co ja sobie myślałem?

- Weź się w garść - skarcił go Harry. - Przypomnij sobie, jak na treningu obroniłeś jedną nogą, nawet Fred i George piali z zachwytu...

Ron zwrócił ku niemu udręczoną twarz.

- To był przypadek - wyszeptał. - Wcale tego nie zamierzałem zrobić... ześliznąłem się z miotły, kiedy nikt na mnie nie patrzył, a potem próbowałem na nią wleźć i kopnąłem tego kafla zupełnie przypadkowo.

- No wiesz - powiedział Harry, starając się szybko ochłonąć po tej niezbyt przyjemnej informacji - jeszcze kilka takich przypadków i mamy wygraną w kieszeni.

Hermiona i Ginny usiadły naprzeciw nich; obie miały czerwono-złote szaliki, rękawiczki i rozetki.

- Jak się czujesz? - zapytała Ginny Rona, który teraz wpatrywał się w resztki mleka na dnie swojej miski, jakby poważnie rozważał, czy się w nich nie utopić.

- Trochę się denerwuje - powiedział Harry.

- To dobry znak - oświadczyła z powagą Hermiona. - Zawsze uważam, że nerwówka przed egzaminami dobrze robi.

- Witajcie - rozległ się senny głos za ich plecami.

Harry zobaczył Lunę Lovegood, która opuściła stół Ravenclawu i podeszła do nich. Wiele osób gapiło się na nią, a niektórzy otwarcie się śmiali i pokazywali ją sobie palcami, bo zdobyła skądś kapelusz w kształcie naturalnej wielkości głowy lwa, który chwiał się niebezpiecznie na czubku jej głowy.

- Kibicuję Gryfonom - oznajmiła, zupełnie niepotrzebnie wskazując na swój kapelusz. - Zobaczcie, co on robi...

Podniosła rękę i stuknęła w kapelusz różdżką, na co lew rozwarł paszczę i ryknął tak prawdziwie, że najbliższe osoby aż poderwało z miejsca.

- Niezły jest, co? Chciałam, żeby pożerał węża, bo to godło Ślizgonów, ale zabrakło mi czasu. W każdym razie... powodzenia, Ronaldzie!

I odeszła. Jeszcze nie otrząsnęli się z szoku, jaki wywołał kapelusz Luny, kiedy pojawiła się Angelina w towarzystwie Katie i Alicji, której pani Pomfrey przywróciła już normalne brwi.

- Kiedy będziecie gotowi, przyjdźcie prosto na boisko, zobaczymy, jakie są warunki, a potem się przebierzemy.

- Będziemy tam za kwadrans - zapewnił ją Harry. - Ron musi jeszcze coś zjeść.

Po dziesięciu minutach stało się jednak jasne, że Ron nie przełknie już niczego, więc Harry uznał, że najlepiej będzie zaprowadzić go do szatni. Kiedy wstali od stołu, Hermiona też się podniosła i odciągnęła Harry'ego na bok.

- Postaraj się, żeby Ron nie zobaczył, co jest na tych plakietkach Ślizgonów - szepnęła z naciskiem.

Harry spojrzał na nią pytającym wzrokiem, ale ona potrząsnęła ostrzegawczo głową, bo nadszedł już Ron, zagubiony i zrozpaczony.

- Powodzenia, Ron - powiedziała Hermiona, wspinając się na palce i całując go w policzek. - Ty też się trzymaj, Harry...

Kiedy szli przez Wielką Salę, Ron trochę oprzytomniał. Dotknął policzka, w który pocałowała go Hermiona, i zmarszczył brwi, jakby nie był całkiem pewny, co się właściwie wydarzyło. Wciąż był zbyt rozkojarzony, by zwracać uwagę na to, co się dzieje wokół niego, za to Harry, kiedy przechodzili koło stołu Ślizgonów, zerknął dyskretnie na plakietki w kształcie korony i tym razem zdołał odczytać wyryte na nich słowa:

WEASLEY NASZYM KRÓLEM

Mając przeczucie, że nie oznacza to niczego dobrego, przeprowadził szybko Rona przez salę wyjściową. Zeszli po kamiennych schodkach i ruszyli przez błonia w kierunku stadionu.

Zmarznięta trawa trzeszczała im pod nogami. Nie było wiatru, a niebo miało jednolitą perłową barwę, co oznaczało, że widoczność będzie dobra i słońce nie będzie im świeciło w oczy. Harry podzielił się tymi pocieszającymi obserwacjami z Ronem, ale nie był pewny, czy Ron go słucha.

Angelina już się przebrała i rozmawiała z resztą drużyny. Harry i Ron wciągnęli reprezentacyjne szaty (Ron przez kilka minut próbował włożyć swoją tył na przód, póki Alicja nie ulitowała się nad nim i pomogła mu zrobić to jak należy) i usiedli, żeby wysłuchać ostatnich instrukcji Angeliny. W oddali narastał ożywiony gwar, bo tłum uczniów wysypywał się już z zamku, zmierzając na stadion.

- Dopiero co ustaliłam, jaki jest ostateczny skład drużyny Ślizgonów - powiedziała Angelina, zerkając na kawałek pergaminu. - Ubiegłorocznych pałkarzy, Derricka i Bole'a już nie ma, i wygląda na to, że Montague zastąpił ich zwykłymi gorylami, a nie zawodnikami, którzy potrafią dobrze latać. Nazywają się Crabbe i Goyle, wiele o nich nie wiem...

- My wiemy - powiedzieli jednocześnie Harry i Ron.

- W każdym razie wyglądają mi na takich, co nie potrafią odróżnić jednego końca miotły od drugiego - powiedziała Angelina, chowając pergamin do kieszeni. - No, ale ja się zawsze dziwiłam, jak Derrickowi i Bole'owi udaje się bez żadnych drogowskazów trafić na boisko.

- Crabbe i Goyle są ulepieni z tej samej gliny - zapewnił ją Harry.

Teraz słyszeli już szuranie setek stóp widzów, zajmujących miejsca na trybunach. Niektórzy śpiewali, ale trudno było zrozumieć słowa. Harry czuł, że zaczyna się trochę denerwować, ale wiedział, że to nic w porównaniu z Ronem, który trzymał się kurczowo za żołądek i patrzył tępo w przestrzeń, szary na twarzy, z zaciśniętymi zębami.

- Już czas - oznajmiła Angelina ochrypłym szeptem, spoglądając na zegarek. - No to... powodzenia, drużyno.

Wstali, wzięli miotły na ramiona i wymaszerowali szeregiem z szatni. Powitał ich ryk widzów, w którym Harry znowu dosłyszał śpiew, przytłumiony wiwatami i gwizdami.

Drużyna Slizgonów już na nich czekała. Wszyscy mieli srebrne plakietki w kształcie korony. Ich nowy kapitan, Montague, zbudowany był jak Dudley; jego wystające z rękawów szaty przedramiona przypominały owłosione szynki. Za nim czaili się Crabbe i Goyle, mrugając głupkowato i kołysząc nowymi pałkami. Malfoy stał z boku; słońce igrało w jego platynowych włosach. Dostrzegł spojrzenie Harry'ego i uśmiechnął się drwiąco, stukając palcem w plakietkę na piersiach.

- Kapitanowie, proszę sobie podać dłonie - powiedziała pani Hooch, kiedy Angelina i Montague podeszli do siebie.

Harry mógłby przysiąc, że Montague starał się zmiażdżyć Angelinie palce, chociaż ona nawet się nie skrzywiła.

- Na miotły...

Pani Hooch wetknęła gwizdek w usta i zagwizdała.

Uwolniono piłki i czternastu graczy wzbiło się w powietrze. Kątem oka Harry zobaczył Rona, śmigającego ku pętlom bramkowym. Wzniósł się wyżej, unikając tłuczka, i zaczął zataczać wielkie koło, wypatrując rozbłysku złota. Po drugiej stronie stadionu Draco Malfoy robił dokładnie to samo.

- Teraz kafla ma Johnson, tak, Johnson, cóż za gracz z tej dziewczyny, powtarzam to od lat, ale ona wciąż nie chce ze mną chodzić...

- JORDAN! - ryknęła profesor McGonagall.

- To fakt, pani profesor, staram się ubarwić relację... teraz minęła Warringtona, ograła Montague'a... oj!... Crabbe trafił ją z tyłu tłuczkiem... Montague przejmuje kafla, Montague nabiera wysokości iiii... tak, to George Weasley odbił celnie tłuczka, który trafił Montague'a... Montague wypuszcza kafla, chwyta go Katie Bell, Katie Bell z Gryffindoru podaje Alicji Spinnet, Spinnet już z nim ucieka...

Głos Lee Jordana toczył się gromko po stadionie i Harry starał się wyłapać słowa wśród gwizdu wiatru w uszach i ryku tłumu, który wył, gwizdał, śpiewał...

- ...ogrywa Warringtona, wspaniały unik przed tłuczkiem... zaledwie o włos, Alicjo... widzowie to uwielbiają... tylko ich posłuchajcie... zaraz, co oni śpiewają?

I kiedy Lee umilkł, żeby się lepiej przysłuchać, z zielono-srebrnego sektora zajętego przez Ślizgonów wzbiła się gromka pieśń, teraz już całkiem wyraźna:

Weasley wciąż puszcza gole,
Oczy ma pełne łez,
Kapelusz zjadły mu mole,
On naszym królem jest!

Weasleya ród ze śmietnika,
I tam jest jego kres,
Przed kaflem zawsze umyka,
On naszym królem jest!

- ...teraz Alicja podaje do Angeliny! - krzyknął Lee, a Harry, który właśnie zrobił zwrot i poczuł, jak wnętrzności skręcają mu się ze złości po tym, co usłyszał, zrozumiał, że Lee stara się zagłuszyć słowa piosenki. - Do przodu, Angelino... chyba będzie strzelać... tak... STRZELA... aaaach!

Bletchley, obrońca Ślizgonów, złapał kafla i natychmiast rzucił do Warringtona, który przyspieszył gwałtownie, mijając zygzakiem Alicję i Katie, i pomknął w stronę Rona. Im bardziej się do niego zbliżał, tym głośniej i wyraźniej rozbrzmiewała pieśń Ślizgonów:

Weasley jest naszym królem,
I da nam wygrać mecz!
Więc zaśpiewajmy chórem:
On naszym królem jest!

Harry nie mógł się powstrzymać. Przestał wypatrywać znicza i obrócił miotłę, by obserwować Rona, samotną figurkę na dalekim końcu stadionu, zawieszoną w powietrzu przed trzema pętlami bramek. Masywnie zbudowany Warrington już pędził prosto na niego, już był blisko...

- ...Warrington ma kafla, Warrington leci po gola, jest poza zasięgiem tłuczka, jest sam na sam z obrońcą...

Z sektora Ślizgonów wzbił się w powietrze potężny ryk:

Weasley wciąż puszcza gole,
Oczy ma pełne łez...

- ...to będzie pierwsza próba dla nowego obrońcy Gryfonów, Weasleya, brata pałkarzy Freda i George'a, obiecującego nowego talentu w tej drużynie... trzymaj się, Ron!

Ale z sektora Ślizgonów buchnął teraz krzyk radości: Ron rzucił się rozpaczliwie do przodu, rozkładając szeroko ramiona, między którymi śmignął kafel, przelatując zgrabnie przez środkową pętlę.

- Gol dla Ślizgonóóów! - przedarł się przez ryk widowni głos Lee Jordana. - A więc mamy dziesięć do zera dla Ślizgonów... Miałeś pecha, Ron...

Ślizgoni zaśpiewali jeszcze głośniej:

Weasleya ród ze śmietnika,
I TAM JEST JEGO KRES,
PRZED KAFLEM ZAWSZE UMYKA...

- ...Gryfoni znowu mają piłkę, teraz Katie Bell rusza do ataku... - wydzierał się Lee, ale śpiew był tak ogłuszający, że ledwo sam się słyszał.

WEASLEY JEST NASZYM KRÓLEM...
ON DA NAM WYGRAĆ MECZ...

- Harry, CO TY WYPRAWIASZ?! - wrzasnęła Angelina, przelatując obok niego, żeby doścignąć Katie. - RUSZ SIĘ!

Harry zdał sobie sprawę, że już od ponad minuty wisi nieruchomo w powietrzu, obserwując przebieg gry, całkowicie zapomniawszy o zniczu. Przerażony, zanurkował i zaczął ponownie okrążać stadion, rozglądając się na wszystkie strony i starając się nie zwracać uwagi na słowa przetaczające się jak grzmot po trybunach:

WEASLEY JEST NASZYM KRÓLEM...
ON NASZYM KRÓLEM JEST...

Znicza nigdzie nie było. Malfoy też zataczał koło nad boiskiem. Minęli się w połowie stadionu, każdy zmierzając w odwrotnym kierunku, i Harry dosłyszał, jak Malfoy wyśpiewuje:

WEASLEYA RÓD ZE ŚMIETNIKA...

- ...teraz kafla ma znowu Warrington - ryczał Lee - podaje do Puceya, Pucey mija Spinnet, śmiało, Angelino, przecież możesz go ograć... a jednak nie... znowu Warrington... i znowu piękny atak tłuczkiem... to Fred Weasley, nie, to George Weasley, co za różnica... Warrington puszcza kafla, a Katie Bell... ee... też go wypuszcza... chwyta go Montague... tak, kapitan Ślizgonów przejmuje kafla, nikt go nie zatrzymuje... Gryfoni, na co czekacie, zablokujcie go!

Harry zrobił wiraż poza bramkami Ślizgonów, nie chcąc widzieć tego, co się dzieje pod bramkami Rona. Kiedy mijał obrońcę Ślizgonów, usłyszał jak Bletchley śpiewa razem z tłumem:

WEASLEY WCIĄŻ PUSZCZA GOLE...

- ...i ...tak, Pucey znowu ogrywa Alicję, będzie strzelać... Ron, trzymaj!

Harry nie musiał patrzeć w tamtą stronę, żeby wiedzieć, co się stało. Kibice Gryfonów jęknęli głośno, a z sektora Ślizgonów wzbił się w niebo ryk radości. Spojrzał w dół i zobaczył Pansy Parkinson, wielbicielkę Malfoya o twarzy mopsa, która stała przed trybunami plecami do boiska i dyrygowała kibicami Ślizgonów, wyśpiewującymi ile sił w płucach:

ON DA NAM WYGRAĆ MECZ!
ON NASZYM KRÓLEM JEST!

Dwadzieścia do zera to jeszcze nie klęska, pocieszał się w duchu Harry, to można jeszcze odrobić, wystarczy strzelić kilka goli i obejmą prowadzenie, jak zwykle, albo złapać znicza... Dostrzegł jakiś błysk i pomknął w tym kierunku, zręcznie wymijając kilku zawodników, ale okazało się, że to tylko pasek zegarka Montague'a...

Ale Ron puścił jeszcze dwa gole. Teraz Harry poczuł lekki dreszcz paniki. Musi znaleźć znicza. Musi go schwytać i szybko zakończyć ten mecz...

- ...i Katie Bell z Gryffindoru mija Puceya, wspaniałym zwodem ogrywa kapitana Ślizgonów, brawo, Katie, teraz podaje do Johnson, Angelina Johnson mija Warringtona, już mknie w stronę bramek Ślizgonów, znakomicie, Angelino... GOOOL! GOL DLA GRYFOOONÓW! Czterdzieści do dziesięciu, czterdzieści do dziesięciu dla Ślizgonów, a kafla ma teraz Pucey...

Ponad wiwaty Gryfonów przedarł się ryk absurdalnego lwa Luny i Harry poczuł, że wzbiera w nim otucha: do wyrównania brakuje im już tylko trzydziestu punktów, to można łatwo nadrobić. Uchylił się przed nadlatującym tłuczkiem, którego posłał w jego stronę Crabbe, i zaczął się znowu rozglądać gorączkowo za zniczem, co jakiś czas sprawdzając, czy przypadkiem nie dostrzegł go wcześniej Malfoy, ale i on wciąż krążył wokół stadionu, bezowocnie wypatrując złotego błysku...

- ...Pucey podaje do Warringtona, Warrington do Montague'a, Montague z powrotem do Puceya... bardzo dobra interwencja Angeliny Johnson, Johnson ma kafla, podaje do Bell, to wygląda nieźle... to znaczy źle... Goyle trafia Bell tłuczkiem i Pucey znowu przejmuje kafla...

WEASLEYA RÓD ZE ŚMIETNIKA,
I TAM JEST JEGO KRES,
PRZED KAFLEM ZAWSZE UMYKA,
ON DA NAM WYGRAĆ MECZ!

Ale Harry w końcu go zobaczył: maleńki, trzepoczący skrzydełkami złoty znicz unosił się tuż nad ziemią przy bramkach Ślizgonów.

Poderwał gwałtownie ogon miotły i zanurkował...

W chwilę później Malfoy spadł ku niemu prosto z nieba jak zielono-srebrny pocisk...

Skrzydełko znicza musnęło jeden ze słupków i złota piłeczka odskoczyła. Ta nagła zmiana kierunku sprzyjała Malfoyowi, który był bliżej. Harry zakręcił prawie w miejscu; teraz szybowali ramię w ramię...

O stopę nad ziemią Harry oderwał prawą rękę od miotły i sięgnął nią po znicza... Po jego prawej stronie Malfoy wyciągnął lewą rękę, rozwierając palce...

Obaj wstrzymali oddechy w rozpaczliwym wysiłku dosięgnięcia znicza. Trwało to zaledwie ze dwie sekundy - i już było po wszystkim. Harry zacisnął palce wokół maleńkiej, wyrywającej mu się piłeczki... paznokcie Malfoya drasnęły wierzch jego dłoni... Harry

poderwał miotłę, trzymając mocno roztrzepotaną kulkę w dłoni... kibice Gryffindoru ryknęli z radości...

Byli uratowani. Przestały się liczyć gole puszczone przez Rona, nikt o nich nie będzie pamiętał, bo Gryffindor wygrał...

ŁUUP!

Tłuczek ugodził Harry'ego w sam środek kręgosłupa. Spadł przez głowę z miotły. Na szczęście był dopiero zaledwie pięć lub sześć stóp nad ziemią, ale i tak aż mu zabrakło tchu, gdy upadł płasko plecami na zmarzniętą ziemię. Usłyszał ostry gwizdek pani Hooch, ryk na trybunach, składający się z gwizdów, gniewnych okrzyków i szyderstw, głuche uderzenie, a potem rozgorączkowany głos Angeliny:

- Nic ci się nie stało?

- Nie - odrzekł Harry przez zaciśnięte zęby, chwytając ją za rękę i pozwalając się podnieść na nogi.

Pani Hooch przeleciała nad nimi w kierunku jednego z graczy Ślizgonów.

- To ten bandzior Crabbe - powiedziała ze złością Angelina. - Odbił w ciebie tłuczka w momencie, gdy zobaczył, że złapałeś znicza... Ale wygraliśmy, Harry, wygraliśmy!

Harry usłyszał za sobą pogardliwe prychnięcie i odwrócił się, wciąż ściskając w dłoni skrzydlatą piłeczkę. Draco Malfoy wylądował tuż obok niego; choć był blady z wściekłości, uśmiechał się szyderczo.

- Uratowałeś Weasleyowi tyłek, co? Jeszcze nigdy nie widziałem tak beznadziejnego obrońcy... no, ale on pochodzi ze śmietnika... Jak ci się podobały słowa naszej pieśni, Potter? To ja je napisałem...

Harry odwrócił się bez słowa do innych członków swojej drużyny, którzy lądowali jeden po drugim, wydając okrzyki zachwytu i młócąc powietrze pięściami w geście triumfu. Tylko Ron, który zsiadł z miotły obok słupków bramkowych, bez słowa odszedł samotnie do szatni.

- Chcieliśmy dopisać jeszcze parę zwrotek! - zawołał Malfoy, gdy Katie i Alicja chwyciły Harry'ego w objęcia. - Tylko nie mogliśmy znaleźć rymów do „tłusta" i „brzydka"... a chcieliśmy napisać coś o jego matce...

- Żółć ci na mózg padła - powiedziała Angelina, patrząc na Malfoya z odrazą.

- ...nie mogliśmy też wpasować „niedorajdy"...to o jego ojcu...

Do Freda i George'a dotarło, o czym Malfoy mówi. Ściskali właśnie dłonie Harry'emu i nagle obaj zesztywnieli.

- Olej go - powiedziała szybko Angelina, biorąc Freda pod ramię. - Olej go, Fred, niech sobie powrzeszczy, nie może się pogodzić z przegraną, mały podskakiwacz...

- ...ale ty lubisz Weasleyów, Potter, co? - szydził Malfoy. - Spędzasz u nich wakacje, co? Nie pojmuję, jak wytrzymujesz ten smród, ale w końcu wychowałeś się wśród mugoli, więc tobie nawet ta rudera Weasleyów nieźle pachnie...

Harry przytrzymał George'a, podczas gdy Angelinie, Alicji i Katie udało się jakoś powstrzymać Freda od rzucenia się na Malfoya, który teraz śmiał się otwarcie. Harry poszukał wzrokiem pani Hooch, ale ta wciąż wymyślała Crabbe'owi za nieregulaminowe zaatakowanie tłuczkiem szukającego.

- A może ty po prostu pamiętasz, Potter - rzucił przez ramię Malfoy, zbierając się do odejścia - jak cuchnął dom TWOJEJ matki i ten chlew Weasleyów przypomina ci...

Harry nie był świadom, że puścił George'a, wiedział tylko, że sekundę później obaj rzucili się na Malfoya. Zupełnie zapomniał, że patrzą na niego wszyscy nauczyciele, chciał tylko jednego: dopaść Malfoya i zadać mu ból. Nie miał czasu wyciągnąć różdżki, po prostu zamachnął się pięścią, w której ściskał znicza, i z całej siły uderzył Malfoya w brzuch.

- Harry! HARRY! George! Przestańcie!!!

Słyszał wokół siebie krzyki dziewcząt, wycie Malfoya, przekleństwa George'a, gwizdek i ryk tłumu, ale nie dbał o to aż do chwili, gdy ktoś w pobliżu krzyknął: IMPEDIMENTO! i dopiero gdy siła zaklęcia przewróciła go do tyłu, przestał okładać Malfoya pięściami...

- Co ty wyprawiasz, Potter?! - krzyknęła pani Hooch, kiedy zerwał się ponownie na nogi; to ona ugodziła go zaklęciem powstrzymującym akcję. W jednej ręce trzymała gwizdek, w drugiej różdżkę, a jej miotła leżała porzucona parę stóp dalej. Malfoy zwijał się na ziemi, jęcząc i skamląc, z nosa ciekła mu krew. George miał spuchniętą wargę, Freda wciąż przytrzymywały trzy ścigające, a za nimi Crabbe puszył się, napinając muskuły.

- Jeszcze nigdy nie widziałam takiego zachowania... wracajcie natychmiast do zamku, obaj, i zameldujcie się u swoich opiekunów! No już!

Harry i George wymaszerowali ze stadionu, dysząc ciężko i nie odzywając się do siebie. Ryki widzów powoli słabły, a kiedy znaleźli się w sali wejściowej, słyszeli już tylko odgłos swoich stóp. Harry uświadomił sobie nagle, że coś szamoce mu się w zaciśniętej prawej dłoni, której knykcie poranił sobie o szczękę Malfoya. Spojrzał na nią i zobaczył srebrne skrzydełka znicza wystające spomiędzy palców.

Zaledwie stanęli przed drzwiami gabinetu profesor McGonagall, gdy nadeszła za nimi korytarzem, trzęsącymi się rękami zrywając z szyi szalik w barwach Gryffindoru.

- Do środka! - rozkazała gniewnie, wskazując na drzwi.

Harry i George weszli. Stanęła za biurkiem, dygocąc z wściekłości, i cisnęła kokardkę Gryfonów na podłogę.

- No więc? - zapytała. - Jeszcze nigdy nie widziałam tak haniebnego zachowania. Dwóch na jednego! Czekam na wyjaśnienia!

- Malfoy nas sprowokował - burknął Harry.

- Sprowokował was?! - krzyknęła profesor McGonagall, waląc pięścią w biurko z taką siłą, że puszka z herbatnikami spadła na podłogę i rozsypały się piernikowe traszki. - Właśnie przegrał mecz, więc nic dziwnego, że chciał was sprowokować! Ale co wam takiego powiedział, że uznaliście obaj za stosowne...

- Obraził moich rodziców - warknął George. - i matkę Harry'ego.

- A wy, zamiast poczekać na panią Hooch, rzuciliście się na niego we dwóch, dając pokaz mugolskiej bójki, tak? - ryknęła profesor McGonagall. - Czy wy w ogóle wiecie, co...

- YHM, YHM.

George i Harry obrócili się jak na komendę. W drzwiach stała Dolores Umbridge w pelerynie z zielonego tweedu, co jeszcze bardziej upodobniło ją do wielkiej ropuchy, i uśmiechała się tak złowieszczo, że Harry'emu natychmiast zrobiło się niedobrze, bo już wiedział, że za chwilę stanie się coś strasznego.

- Czy mogę pani pomóc, pani profesor McGonagall? - zapytała słodkim głosem, ociekającym jadem.

Policzki profesor McGonagall powlekły się ciemnym rumieńcem.

- Pomóc? - powtórzyła napiętym głosem. - Co pani przez to rozumie?

Profesor Umbridge wkroczyła do gabinetu. Na twarzy wciąż miała ohydny uśmiech.

- Pomyślałam sobie, że może przydałby się pani jakiś autorytet z zewnątrz.

Harry nie byłby wcale zaskoczony, gdyby z nozdrzy profesor McGonagall wystrzeliły iskry.

- Myli się pani - powiedziała, odwracając się do Umbridge plecami. - A wy dwaj posłuchajcie mnie uważnie. Nie obchodzi mnie, czym Malfoy was sprowokował. Nie obchodzi mnie, czy obraził całe wasze rodziny, czy tylko niektórych członków. Zachowaliście się w sposób budzący odrazę i każdy z was ma u mnie tygodniowy szlaban! Nie patrz tak na mnie, Potter, zasłużyliście na to! A jeśli któryś z was kiedykolwiek...

- Yhm, yhm.

Profesor McGonagall zamknęła oczy, jakby modliła się o cierpliwość, i odwróciła się do profesor Umbridge.

- Proszę?

- Uważam, że zasłużyli sobie na coś więcej niż szlaban - odpowiedziała profesor Umbridge, wciąż uśmiechając się szeroko.

Profesor McGonagall otworzyła oczy.

- Tak? - Widać było, że próbuje się uśmiechnąć, ale udało się jej tylko skrzywić, jakby nagle dostała szczękościsku. - Bardzo mi przykro, Dolores, ale liczy się tylko moja opinia, bo to ja jestem opiekunką ich domu.

- No cóż, Minerwo - wycedziła Umbridge - będziesz się jednak musiała pogodzić z faktem, że moja opinia też się liczy. Zaraz, gdzie ja to mam... Właśnie dostałam od Korneliusza... to znaczy, oczywiście - uśmiechnęła się fałszywie, grzebiąc w torebce - od pana ministra... Ach, już mam...

Wyciągnęła zwitek pergaminu, rozwinęła go i zanim zaczęła czytać, odchrząknęła dwa razy.

- Yhm, yhm... Dekret Edukacyjny Numer Dwadzieścia Pięć...

- Co, jeszcze jeden? - zaprotestowała gwałtownie profesor McGonagall.

- Tak, Minerwo, i prawdę mówiąc, to ty podsunęłaś mi myśl, że potrzebne są nowe regulacje... Pamiętasz, jak mi się sprzeciwiłaś, kiedy wyraziłam opinię, że drużyna Gryffindoru nie powinna być reaktywowana? Jak interweniowałaś u Dumbledore'a, który uparł się, by ta drużyna grała jednak dalej? No więc przyjmij do wiadomości, że nie mogłam pozwolić, by to się powtórzyło. Natychmiast skontaktowałam się z ministrem, który w pełni zgodził się ze mną, że Wielki Inkwizytor musi mieć prawo pozbawiania uczniów przywilejów, bo w przeciwnym razie miałby... to znaczy, ja bym miała... mniejszy autorytet niż zwykły nauczyciel! No i chyba musisz teraz przyznać, Minerwo, że miałam rację, próbując zapobiec reaktywowaniu drużyny Gryffindoru, prawda? To okropne zachowanie... nieokiełznane temperamenty... W każdym razie pozwól, że odczytam ci nowe ustalenia... yhm, yhm... *Wielki Inkwizytor będzie miał odtąd prawo podejmowania decyzji w zakresie uśmierzania kar, nakładania sankcji i pozbawiania przywilejów uczniów Hogwartu, a także dokonywania zmian w decyzjach innych członków ciała pedagogicznego w zakresie wymierzania kar, nakładania sankcji i pozbawiania przywilejów uczniów Hogwartu. Podpisano: Korneliusz Knot, Minister Magii, Order Merlina Pierwszej Klasy et cetera, et cetera...*

Zwinęła pergamin i włożyła go z powrotem do torebki, wciąż uśmiechając się jadowicie.

- A zatem... uznałam za stosowne podjąć decyzję o dożywotniej dyskwalifikacji tych dwóch uczniów z rozgrywek quidditcha - oświadczyła, spoglądając na Harry'ego, potem na George'a, a potem znowu na Harry'ego.

Harry poczuł, jak znicz szamoce mu się rozpaczliwie w dłoni.

- Dyskwalifikacji?... - powtórzył, a własny głos wydał mu się dziwnie odległy. - Dożywotniej?

- Tak, Potter, dożywotniej, czyli do końca życia. Myślę, że dopiero to da spodziewany efekt - powiedziała profesor Umbridge, uśmiechając się coraz szerzej na widok jego miny. - To dotyczy ciebie i obecnego tu Weasleya. I myślę też, że bezpieczniej będzie, jak dyskwalifikacja obejmie również bliźniaczego brata tego młodego człowieka, bo jestem pewna, że i on rzuciłby się na pana Malfoya, gdyby go koleżanki nie powstrzymały. Ich miotły mają zostać skonfiskowane i przekazane mnie, będę je trzymać w moim gabinecie, żeby zapobiec próbom obejścia mojej decyzji. Nie jestem jednak nierozsądna, pani profesor - dodała, odwracając się do McGonagall, która wpatrywała się w nią, stojąc jak posąg wyrzeźbiony z bryły lodu. - Reszta drużyny może grać dalej. U żadnego z pozostałych jej członków nie dostrzegłam skłonności do gwałtownych zachowań. No, to chyba wszystko. Do widzenia.

I z wyrazem głębokiej satysfakcji na twarzy opuściła gabinet, w którym zapadła głucha cisza.

* * *

- Dyskwalifikacja - powtórzyła Angelina bezbarwnym głosem. - Dyskwalifikacja. Nie mamy szukającego, nie mamy pałkarzy... I co my teraz zrobimy?

W pokoju wspólnym Gryffindoru panowała taka atmosfera, jakby nie wygrali tego meczu. Gdziekolwiek Harry spojrzał, widział zrozpaczone lub rozwścieczone twarze. Drużyna zgromadziła się wokół kominka - byli wszyscy oprócz Rona, którego od końca meczu nikt nie widział.

- To po prostu niesprawiedliwe - powiedziała Alicja. - A co z Crabbe'em i tym tłuczkiem, którego odbił już po gwizdku? Jego też zdyskwalifikowała?

- Nie - mruknęła cicho Ginny, która razem z Hermioną siedziała obok Harry'ego. - Kazała mu coś przepisywać. Słyszałam, jak Montague śmiał się z tego podczas kolacji.

- Ale żeby ukarać dyskwalifikacją Freda, który nic nie zrobił! - krzyknęła ze złością Alicja, waląc pięścią w kolano.

- To nie moja wina, że nie zrobiłem - rzekł Fred ze wściekłą miną. - Stłukłbym tego gnojka na miazgę, gdybyście mnie we trzy nie przytrzymały.

Harry spojrzał smętnie w ciemne okno, za którym padał śnieg. Schwytany przez niego znicz fruwał po pokoju i wszyscy wpatrywali się w niego jak zahipnotyzowani, a Krzywołap skakał z fotela na fotel, próbując go złapać.

- Idę spać - oznajmiła Angelina, podnosząc się powoli. - Może to wszystko jest jakimś koszmarnym snem... Może obudzę się jutro i okaże się, że tego meczu jeszcze nie było...

Niedługo po niej wyszły Alicja i Katie, nieco później Fred i George, łypiąc spode łba na każdego, a po nich Ginny. Przy kominku zostali tylko Harry i Hermiona.

- Widziałeś Rona? - zapytała cicho.

Harry pokręcił głową.

- Myślę, że on nas unika - powiedziała Hermiona. - Gdzie on...

Ale właśnie w tym momencie za ich plecami coś zaskrzypiało i przez dziurę pod portretem Grubej Damy przelazł Ron. Był bardzo blady, a na włosach miał śnieg. Na widok Harry'ego i Hermiony zamarł w bezruchu.

- Gdzie ty byłeś? - zapytała Hermiona, zrywając się na równe nogi.

- Na spacerze - wymamrotał Ron. Wciąż miał na sobie szatę do quidditcha.

- Wyglądasz na przemarzniętego. Chodź tu i usiądź!

Ron podszedł do kominka i opadł na fotel z dala od Harry'ego, nie patrząc na niego. Skradziony znicz polatywał nad ich głowami.

- Przepraszam - bąknął Ron, gapiąc się na swoje stopy.

- Za co? - zapytał Harry.

- Za to, że myślałem, że umiem grać w quidditcha. Jutro rano złożę rezygnację.

- Jeśli to zrobisz - powiedział Harry - to w drużynie zostanie tylko trzech zawodników. - A kiedy Ron spojrzał na niego ze zdumieniem, dodał: - Dostałem dożywotnią dyskwalifikację. Razem z Fredem i George'em.

- Co?!

Hermiona opowiedziała, co się stało, bo Harry nie był już w stanie tego powtórzyć. Kiedy skończyła, Ron zrobił jeszcze bardziej przerażoną minę.

- To wszystko moja wina...

- Przecież nie kazałeś mi rzucić się na Malfoya - warknął Harry.

- ...gdybym tak nie nawalił...

- ...to nie ma z tym nic wspólnego...

- ...to ta piosenka tak mnie wnerwiła...

- ...chyba każdego by wnerwiła...

Hermiona podeszła do okna, by popatrzeć na płatki śniegu spadające na parapet. Nie chciała uczestniczyć w tej sprzeczce.

- Słuchaj, Ron, może byś już przestał, co? - wybuchnął Harry. - Sytuacja i tak już jest parszywa bez twojego użalania się nad sobą!

Ron nic nie odpowiedział, tylko wpatrywał się żałośnie w mokry skraj swojej szaty.

- Jeszcze nigdy nie czułem się tak podle - powiedział po chwili martwym głosem.

- Witaj w klubie - mruknął z goryczą Harry.

- Wiecie co? - odezwała się Hermiona nieco drżącym głosem. - Jest coś, co może wam poprawić humor.

- Tak myślisz? - zapytał ironicznie Harry.

- Tak - odpowiedziała, odwracając się od czarnego okna z szerokim uśmiechem na twarzy. - Wrócił Hagrid.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY
OPOWIEŚĆ HAGRIDA

Harry popędził do sypialni chłopców, by wyciągnąć z kufra pelerynę-niewidkę i Mapę Huncwotów. Zrobił to tak szybko, że obaj z Ronem czekali jeszcze z pięć minut, zanim Hermiona zeszła z sypialni dziewcząt z szalikiem na szyi, w rękawiczkach i w jednej ze swoich wełnianych czapek dla skrzatów na głowie.

- No co, na dworze jest chłodno - usprawiedliwiła się, kiedy Ron zacmokał niecierpliwie.

Przeleźli przez dziurę pod portretem i pospiesznie okryli się we trójkę peleryną. Ron tak urósł od zeszłego roku, że musiał iść zgięty wpół, żeby mu nie wystawały stopy. Potem, poruszając się powoli i ostrożnie, zeszli po schodach, zatrzymując się co jakiś czas, aby sprawdzić na mapie, czy nie ma gdzieś w pobliżu Filcha albo Pani Norris. Mieli jednak szczęście i napotkali tylko Prawie Bezgłowego Nicka, który błąkał się po zamku, nucąc pod nosem coś, co bardzo przypominało: „Weasley jest naszym królem". Prześliznęli się przez salę wejściową i ruszyli przez ciche, zaśnieżone błonia. Harry ujrzał w oddali złote prostokąciki okien i dym unoszący się z komina chatki Hagrida. Przyspieszył kroku, tak że Ron i Hermiona za nim potrącali się i wpadali na siebie. Brnąc przez gęstniejący śnieg, dotarli w końcu do drewnianych drzwi chatki, a kiedy Harry zastukał w nie pięścią trzy razy, wewnątrz rozległo się radosne ujadanie psa.

- Hagridzie, to my! - zawołał w dziurkę od klucza.

- A kto by inny! - rozległ się gburowaty głos.

Popatrzyli po sobie z radością pod peleryną, bo wyczuli, że Hagrid się ucieszył.

- Ledwo wróciłem do domu... Suń się, Kieł... Suń się, mówię, ty leniuchu...

Szczęknął rygiel, drzwi uchyliły się, skrzypiąc żałośnie, a w szparze pojawił się Hagrid.

Hermiona wydała zduszony okrzyk.

- Na brodę Merlina, nie wrzeszcz! - uciszył ją szybko Hagrid, rozglądając się ponad ich głowami. - Jesteście pod tą pelerynką, tak? No to właźcie do środka!

- Przepraszam! - wydyszała Hermiona, kiedy wszyscy troje wśliznęli się do środka i zrzucili z siebie pelerynę. - Ja po prostu... Och, Hagridzie!

- To nic takiego! - powiedział Hagrid, zamykając za nimi drzwi.

I zaczął pospiesznie zaciągać wszystkie zasłony na oknach, ale Hermiona nadal wpatrywała się w niego z przerażeniem.

Włosy miał pozlepiane krwią, lewego oka prawie nie było widać spomiędzy fioletowo-czarnych sińców, miał też na twarzy i rękach mnóstwo rozcięć i zadrapań, a z niektórych ran ciekła krew. Poruszał się ostrożnie, jakby miał połamane żebra. Widać było, że dopiero co wrócił do domu, bo jego gruby, czarny płaszcz podróżny zwisał z oparcia krzesła, a wielki plecak, w którym zmieściłoby się kilkoro dzieciaków, stał oparty o ścianę przy drzwiach. Sam Hagrid, olbrzym wzrostu dwóch normalnych mężczyzn, pochylił się nad paleniskiem, stawiając na ogniu mosiężny imbryk.

- Hagridzie, co ci się stało? - zapytał Harry, opędzając się przed Kłem, który chciał go koniecznie polizać po twarzy.

- Już wam mówiłem, że nic! - odrzekł Hagrid stanowczym tonem. - Po kubeczku herbatki?

- Daj spokój - żachnął się Ron. - Dobrze się czujesz?

- Przecież wam mówię, że to nic takiego - rzekł Hagrid, prostując się i uśmiechając do nich, ale i krzywiąc się co chwilę. - Cholibka, dobrze was znowu zobaczyć... Fajne mieliście wakacje?

- Hagridzie, ktoś cię napadł! - powiedział Ron.

- Mówię po raz ostatni, że to nic takiego!

- A mówiłbyś, że to nic takiego, gdyby jedno z nas miało pół kilo siekanego mięsa zamiast twarzy?

- Powinieneś zaraz pójść do pani Pomfrey - oświadczyła przerażona Hermiona. - Niektóre z tych ran wyglądają naprawdę paskudnie.

- Dam se radę sam, jasne?

Podszedł do wielkiego stołu pośrodku izby i ściągnął z niego serwetkę. Zobaczyli kawał surowego, nieco zzieleniałego mięsa wielkości sporej opony.

- Hagridzie, chyba nie zamierzasz tego zjeść, co? - zapytał Ron, przyglądając się dokładniej mięsu. - Wygląda na trujące.

- I tak musi wyglądać, bo to smocze mięso. I bynajmniej nie zamierzam go jeść.

Chwycił mięso i przyłożył je sobie do policzka z takim zamachem, że aż chlasnęło. Zielonkawa krew zaczęła mu ściekać w brodę, a on sam jęknął z ulgą.

- Już lepij. To ścierwo łagodzi ból.

- No więc powiesz nam wreszcie, co się stało? - zapytał Harry.

- Kiedy nie mogę, Harry. Ściśle tajne. Tylko ktoś ważniejszy ode mnie mógłby wam to powiedzieć.

- Hagridzie, oberwałeś od olbrzymów? - zapytała cicho Hermiona.

Palce Hagrida ześliznęły się ze smoczego kotleta, który zsunął mu się na piersi.

- Od olbrzymów? - powtórzył, łapiąc kotlet, zanim zsunął mu się na brzuch, i przykładając go sobie do twarzy. - A kto wam nagadał o olbrzymach? Z kim żeście rozmawiali, co? Kto wam powiedział, co ja... kto mówił, że byłem... no że co?

- Sami się domyśliliśmy - odpowiedziała Hermiona.

- Akurat... Naprawdę sami? - mruknął Hagrid, łypiąc na nią srogo jednym okiem, bo drugie miał przysłonięte zielonkawym kotletem.

- To było... no... dość oczywiste - powiedział Ron, a Harry pokiwał głową.

Hagrid spojrzał na nich ze złością, odrzucił kotlet na stół i podszedł do imbryka, który właśnie zaczął gwizdać.

- Jeszcze nigdy nie spotkałem takich dzieciaków jak wy troje, żeby wyniuchali to, czego nie powinni wyniuchać - mruknął, rozlewając wrzątek do trzech kubków wielkości kubełków. - I wcale mi to nie leży. Macie trochę za długie nosy. Wcinacie się w nie swoje sprawy.

Ale broda trochę mu się trzęsła.

- Więc poszedłeś szukać olbrzymów? - zapytał Harry, szczerząc zęby, gdy Hagrid usiadł przy stole.

- Ano tak - mruknął. - Tak było.

- I znalazłeś? - zapytała cicho Hermiona.

- No, nie tak trudno ich znaleźć. Są dość duzi.

- Gdzie to było? - zapytał Ron.

- W górach - odrzekł wymijająco Hagrid.

- To dlaczego mugole ich nie...

- Jak to nie? I wcale nie tak rzadko. Tylko, że jak w górach zginą, to potem się mówi, że to był nieszczęśliwy wypadek i po sprawie.

Poprawił sobie kotlet na twarzy, tak żeby przykrył najgorsze siniaki.

- Hagridzie, powiedz nam wreszcie, gdzie byłeś i co się stało! - zniecierpliwił się Ron. - Opowiedz nam o ataku olbrzymów, to Harry opowie ci, jak został zaatakowany przez dementorów...

Hagrid zakrztusił się herbatą i równocześnie wypuścił smoczy kotlet. Stół obryzgała spora ilość śliny, herbaty i smoczej krwi. Hagrid kaszlał i parskał, a kotlet zsunął się ze stołu i upadł na podłogę z cichym plaśnięciem.

- Co żeś powiedział? Że Harry'ego zaatakowali dementorzy?

- Nie wiedziałeś? - zdziwiła się Hermiona.

- A skąd mam wiedzieć, jak mnie nie było? To była ściśle tajna misja, rozumiemy się? Nie chciałem, żeby wszędzie latały za mną sowy... Piekielne dementory! Mówisz poważnie?

- Tak, pojawili się w Little Whinging i zaatakowali mnie i mojego kuzyna, a potem Ministerstwo Magii wyrzuciło mnie ze szkoły i...

- CO?!

- ...i musiałem się stawić na przesłuchanie... ale opowiedz nam najpierw o tych olbrzymach.

- Wywalili cię?

- Opowiedz nam, jak spędziłeś to lato, a ja ci opowiem, co ja robiłem.

Hagrid łypnął na niego groźnie zdrowym okiem. Harry wytrzymał to spojrzenie, z wyrazem niewinnej determinacji ma twarzy.

- No dobra - westchnął Hagrid.

Pochylił się i wyrwał Kłowi z pyska smoczy kotlet.

- Och, Hagridzie, to niehigie... - zaczęła Hermiona, ale Hagrid już przyłożył sobie mięso do zapuchniętego oka.

Łyknął herbaty i powiedział:

- No więc wyprawiliśmy się, jak tylko skończyła się szkoła...

- Więc madame Maxime była z tobą, tak? - przerwała mu Hermiona.

- No była - przyznał Hagrid, a na kawałeczku jego twarzy, który nie był przysłonięty ani brodą, ani zielonym mięsem, pojawiło się coś w rodzaju błogości. - Tak, byliśmy tylko we dwójkę, ona i ja. I powim wam, że Olimpia to naprawdę równa kobitka, no bo taka kulturalna, wystrojona i w ogóle, więc się bałem, co to będzie, jak zaczęliśmy się wspinać po tych głazach, spać po jaskiniach i w ogóle, ale ona ani razu nawet nie jęknęła, nic, żebym tak skonał.

- Wiedzieliście, dokąd idziecie? - zapytał Harry. - Wiedzieliście, gdzie szukać olbrzymów?

- No... Dumbledore wiedział, więc nam powiedział.

- Żyją w ukryciu? - zapytał Ron. - To tajemnica, gdzie oni są?

- Niezupełnie - odrzekł Hagrid, trzęsąc swą kudłatą brodą. - Tylko że większość czarodziejów guzik obchodzi, gdzie oni są, byleby to było daleko. Ale tam do nich bardzo trudno się dostać, przynajmniej ludziom, więc musieliśmy mieć instrukcje Dumbledore'a. A żeby tam się dostać, zajęło nam z miesiąc...

- Miesiąc?! - powtórzył Ron, jakby po raz pierwszy w życiu usłyszał o podróży, która trwała tak śmiesznie długo. - Ale... dlaczego nie mogłeś po prostu złapać jakiegoś świstoklika, czy czegoś w tym rodzaju?

Hagrid spojrzał na niego nie podbitym okiem z czymś w rodzaju politowania.

- Bo nas szpiclowali - burknął.

- Nie rozumiem...

- Nie rozumiesz? Ministerstwo ma oko na Dumbledore'a i na każdego, kto z nim trzyma, no i...

- O tym wiemy - wtrącił szybko Harry, chcąc wysłuchać reszty opowieści Hagrida. - Wiemy, że ministerstwo śledzi Dumbledore'a...

- Więc nie mogliście używać magii? - zapytał Ron, wytrzeszczając oczy z wrażenia. - Przez całą drogę musieliście zachowywać się jak mugole?

- No, może nie przez całą - rzekł wymijająco Hagrid. - Musieliśmy być po prostu ostrożni, bo Olimpia i ja... trochę się rzucamy w oczy...

Ron wydał z siebie zduszony odgłos, coś pośredniego między parsknięciem a pociągnięciem nosem, i szybko wypił łyk herbaty.

- ...więc znowu nie tak trudno nas wyśledzić. Udawaliśmy, że jedziemy razem na urlop, więc dostaliśmy się do Francji, niby z wizytą do szkoły Olimpii, bo wiedzieliśmy, że wlecze się za nami jakiś szpicel z ministerstwa. Przyspieszyć nie było jak, bo mnie raczej nie wolno używać magii, a te gargulce z ministerstwa tylko czekają, żeby nas dorwać. Ale udało nam się zgubić tego szpicla gdzieś koło Drzwi Żon...

- Oooooch, koło Dijon? - podnieciła się Hermiona. - Byłam tam na wakacjach! Widziałeś te...

Umilkła w połowie zdania, widząc minę Rona.

- Potem pozwoliliśmy sobie na troszkę czarów i nie było tak źle. Na polskiej granicy nadzialiśmy się na parę zbzikowanych trolli, a w barze w Mińsku poprztykałem się trochę z pewnym wampirem, ale poza tym poszło całkiem gładko. No i w końcu tam dotarliśmy i zaczęliśmy się wspinać na góry, wypatrując ich wszędzie... bo jak już byliśmy blisko, trzeba było pożegnać się z czarami. No bo oni nie bardzo lubią czarodziejów i nie chcieliśmy ich za wcześnie wystraszyć, a zresztą Dumbledore nas ostrzegł, że Sami-Wiecie-Kto też chce ich przekabacić, i dziwne, że do nich kogoś nie wysłał, więc sami rozumicie. Powiedział, żebyśmy byli bardzo ostrożni, jak będziemy już blisko, bo mogą się tam kręcić śmierciożercy...

Umilkł i wypił tęgi łyk herbaty.

- Opowiadaj dalej! - zniecierpliwił się Harry.

- No więc ich odnalazłem - powiedział bez ogródek Hagrid. - Jednej nocy przeleźliśmy przez taki jeden grzbiet i oni tam byli, w dole. Takie ogniki i wielkie cienie... Jakby się góry ruszały.

- Są tacy wielcy? - zapytał Ron przyciszonym głosem.

- Ze dwadzieścia stóp wysokości - odrzekł spokojnie Hagrid. - Niektórzy są jeszcze więksi, mają ze dwadzieścia cztery...

- I ilu ich tam było? - zapytał Harry.

- A z siedemdziesięciu albo osiemdziesięciu.

- Tylko tylu? - zdziwiła się Hermiona.

- No tak - odrzekł ze smutkiem Hagrid. - Kiedyś było ich więcej, na świecie żyło ze sto różnych szczepów, ale wymarli. Trochę wybili czarodzieje, ale przeważnie to sami się wytłukli, a teraz wymierają jeszcze szybciej. Bo oni nie są przyzwyczajeni do życia w takim tłoku. Dumbledore mówi, że to nasza wina, że to czarodzieje zmusili ich do życia tak daleko od nas, no i nie mieli wyboru, musieli się wszyscy zebrać do kupy, żeby im było bezpieczniej.

- No więc zobaczyliście ich - przerwał mu Harry - i co dalej?

- Poczekaliśmy do rana, nie chcieliśmy włazić między nich po ciemku, dla własnego bezpieczeństwa. Około trzeciej w nocy pospali się, każdy tam, gdzie siedział. My oka nie zmrużyliśmy. No bo któryś mógł się obudzić i przyleźć tam, gdzie byliśmy, a zresztą tak chrapali, że nie dało rady zasnąć. Nad ranem ściągnęli tym chrapaniem lawinę. Dopiero jak się zrobiło widno, to do nich zeszliśmy.

- Tak po prostu? - zdumiał się Ron. - Tak po prostu wszedłeś sobie do obozu olbrzymów?

- No... Dumbledore powiedział nam, jak to zrobić. Wręczyć podarunek gurgowi, okazać im szacunek, sami rozumicie...

- Komu wręczyć podarunek? - zapytał Harry.

- Och, gurgowi... to znaczy wodzowi.

- Jak poznaliście, który z nich jest tym gurgiem? - zapytał Ron.

Hagrid chrząknął, wyraźnie rozbawiony.

- Bez problemu. Był największy, najbrzydszy i najbardziej leniwy. Siedział sobie pośrodku i czekał, aż mu inni podetkną żarcie pod nos. Martwe kozy i takie tam różne. Nazywał się Karkus. Dałbym mu na oko ze dwadzieścia trzy stopy wzrostu, a ważył pewnie tyle, co dwa słonie. Skóra jak u nosorożca i w ogóle.

- I tak po prostu podeszliście sobie do niego? - zapytała Hermiona.

- No... zeszliśmy, bo on leżał w dolince. Siedzieli w takiej dziurze między czterema wysokimi szczytami, obok górskiego jeziorka, a Karkus leżał rozwalony nad tym jeziorkiem i ryczał na wszystkich, żeby dali żreć jemu i jego małżonce. Olimpia i ja zeszliśmy z góry...

- I nie próbowali was zabić, jak was zobaczyli? - zapytał z niedowierzaniem Ron.

- Na pewno coś takiego chodziło im po głowie - odparł Hagrid, wzruszając ramionami - ale Dumbledore powiedział, że trzeba trzymać wysoko podarunek i uważać tylko na gurga, a resztę lekceważyć. No więc to zrobiliśmy, a wtedy reszta się uspokoiła i tylko na nas łypała, a my doszliśmy prosto do stóp Karkusa, skłoniliśmy się i złożyliśmy przed nim podarunek.

- Co się daje olbrzymom? - zapytał z ciekawością Ron. - Jedzenie?

- Nie, żarcie to oni sami sobie zdobywają. Wzięliśmy dla nich coś magicznego. Olbrzymi lubią magię, tylko się wkurzają, jak jej użyć przeciw nim. No więc pierwszego dnia daliśmy mu gałązkę ognia Gubraithian.

Hermiona wydała z siebie cichy okrzyk podziwu, ale Harry i Ron nie bardzo wiedzieli, o co chodzi.

- Gałązkę...

- Wiecznego ognia - żachnęła się Hermiona. - Powinniście to znać, bo profesor Flitwick przynajmniej dwa razy wspomniał o tym na lekcji!

- No więc w każdym razie - powiedział szybko Hagrid, zanim Ron zdążył się jej odgryźć - Dumbledore zaczarował tę gałązkę, żeby płonęła wiecznie, a tego nie każdy czarodziej potrafi dokonać, a ja kładę ją na śniegu przed Karkusem i mówię: „Dar dla gurga olbrzymów od Albusa Dumbledore'a, który przesyła mu wyrazy szaconku i pozdrowienia".

- A co Karkus na to? - zapytał Harry.

- Nic. Nie rozumiał po angielsku.

- Żartujesz!

- Ale nie było sprawy - rzekł spokojnie Hagrid. - Dumbledore ostrzegł nas, że coś takiego może się zdarzyć. Karkus ryknął na paru olbrzymów, którzy znali naszą mowę, i oni mu to przetłumaczyli.

- A prezent mu się podobał? - zapytał Ron.

- O, tak, wszystkich ostro wzięło, jak tylko zrozumieli, co to jest - odpowiedział Hagrid, przewracając smoczy kotlet, żeby przyłożyć go sobie chłodniejszą stroną do podbitego oka. - Od razu było widać, że mu sprawiliśmy radochę. Więc ja mu mówię: „Albus Dumbledore prosi gurga, żeby porozmawiał z jego wysłannikiem, jak wróci jutro z następnym podarunkiem".

- Dlaczego nie mogłeś z nim porozmawiać od razu? - zapytała Hermiona.

- Dumbledore chciał, żebyśmy robili to bardzo powoli - odrzekł Hagrid. - Niech się przekonają, że dotrzymujemy obietnic. „Wrócimy jutro z następnym podarunkiem" - i wracamy z następnym podarunkiem... to robi dobre wrażenie, rozumicie? No i daje im trochę czasu na wypróbowanie pierwszego prezentu, a jak się przekonają, że jest w porządku, nabiorą chętki na następny. W każdym razie olbrzymom takim jak Karkus nie można przyładować zbyt dużej porcji informacji, bo cię zabiją, żeby sobie uprościć sprawę. No więc ukłoniliśmy mu się grzecznie i odeszliśmy, a potem znaleźliśmy sobie przytulną jaskinię i spędziliśmy w niej noc, a następnego ranka wróciliśmy, i tym razem Karkus już siedział i tylko czekał, aż przyjdziemy.

- I rozmawialiście z nim?

- No jasne! Najpierw daliśmy mu całkiem niezły hełm bojowy... niezniszczalny, robota goblinów... a potem usiedliśmy, żeby porozmawiać.

- Co powiedział?

- Nie za dużo gadał. Głównie słuchał. Ale dobrze się zaczęło. Słyszał o Dumbledorze, słyszał, że to on sprzeciwiał się wybijaniu ostatnich olbrzymów w Wielkiej Brytanii. Od razu się pokapowałem, że chce wysłuchać, co Dumbledore ma do powiedzenia. Zebrało się też wokół nas kilku innych, zwłaszcza tych, co mówili po angielsku, żeby posłuchać. Jak od nich odchodziliśmy, wszystko grało. Obiecaliśmy im, że wrócimy następnego dnia z jeszcze jednym prezentem. Ale tej nocy wszystko się pokiełbasiło.

- Pokiełbasiło? - zapytał szybko Ron.

- No tak, bo jak już mówiłem, oni nie są stworzeni, żeby żyć w kupie - rzekł ponuro Hagrid. - Nie w takich dużych grupach. Nie dają rady, muszą się nawzajem tłuc co parę tygodni. Mężczyźni walczą ze sobą, kobity ze sobą, resztki dawnych szczepów walczą ze sobą, i wcale im nie chodzi o żarcie, najlepsze ognisko czy miejsce do spania. Myślałby kto, że jak już prawie cała ich rasa wyginęła, to powinni trzymać się razem i sobie odpuścić, ale...

Westchnął ciężko.

- Tej właśnie nocy im odbiło i zaczęli się tłuc. Widzieliśmy to z naszej jaskini. Tłukli się godzinami, a hałas robili przy tym okropny. A jak się pokazało słońce, wszędzie było pełno posoki, a jego głowa leżała na dnie jeziora.

- Czyja głowa? - zapytała szeptem Hermiona.

- Karkusa. Był już nowy gurg, Golgomat. - Westchnął ponownie. - No, ma się rozumieć, nie jest lekko układać się z nowym gurgiem dwa dni po tym, jak się nawiąże przyjazne stosunki ze starym, no i coś nam się zdawało, że ten Golgomat nie będzie nas tak chętnie słuchał, ale musieliśmy spróbować.

- Poszliście do niego porozmawiać? - zapytał z niedowierzaniem Ron. - Po tym, jak na waszych oczach urwał głowę drugiemu olbrzymowi?

- No jasne! Przecież nie po to przeszliśmy taki kawał świata, żeby dać se spokój po dwóch dniach! Zeszliśmy na dół z nowym prezentem. Ale zanim otworzyłem gębę, już wiedziałem, że nic z tego nie będzie. Siedział tam, w hełmie Karkusa na łbie, łypiąc na nas, jak podchodziliśmy. Masywny, chyba największy z nich wszystkich. Czarne kudły, takie same kły, naszyjnik z kości... wyglądały na ludzkie, niech skonam, przynajmniej niektóre. No więc mówię sobie w duchu: „A co mi tam, spróbuję!", wyciągam do niego wielką rolkę smoczej skóry i mówię: „Dar dla gurga olbrzymów..." i w następnej chwili już wiszę w powietrzu do góry nogami, a dwóch jego kumpli trzyma mnie za kostki.

Hermiona zatkała sobie usta dłonią.

- Jak ci się udało ujść z życiem? - zapytał Harry.

- Pewnie by się nie udało, gdyby nie Olimpia. Wyciągła różdżkę i jak nie rąbnie zaklęciami, cholibka, to były najszybsze czary, jakie w życiu widziałem. Niesamowite. Rąbnęła każdego z tych, co mnie trzymali, Conjunctivusem w ślepia, więc mnie zaraz puścili, no, ale zaczęły się prawdziwe kłopoty, bo użyliśmy przeciw nim magii, a oni tego nie lubią. Musieliśmy dać nogę, no i już nie było jak włazić jeszcze raz do ich obozowiska.

- O kurczę... - zaklął cicho Ron.

- Więc dlaczego tak długo wracaliście do domu, skoro byliście tam tylko trzy dni? - zapytała Hermiona.

- Wcale nie odeszliśmy po trzech dniach! - oburzył się Hagrid. - Przecież Dumbledore na nas liczył!

- Ale dopiero co powiedziałeś, że nie było po co tam wracać!

- Nie za dnia, to się rozumi. Musieliśmy sobie to wszystko poukładać w głowach. No więc parę dni leżeliśmy w tej naszej jaskini, obserwując ich z góry. A to, co zobaczyliśmy, wcale nam się nie podobało.

- Pourywał jeszcze parę nowych łbów? - pisnęła Hermiona.

- Nie. I wielka szkoda.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- A to, że szybko nam zaświtało w głowach, że on nie ma nic przeciwko czarodziejom, tylko akurat nas nie lubi.

- Śmierciożercy? - zapytał szybko Harry.

- Tak jest - powiedział ponuro Hagrid. - Paru tych typów odwiedzało gurga codziennie, przynosząc mu podarunki, i wcale nie dyndali głową w dół.

- Skąd wiedziałeś, że to śmierciożercy? - zapytał Ron.

- Bo jednego rozpoznałem - mruknął Hagrid. - Macnair, pamiętacie go? Ten gościu, którego wysłali, żeby zabił Hardodzioba. Opętaniec. Lubi mordować tak samo, jak ten Golgomat, nic dziwnego, że się skumali.

- Więc Macnair nakłonił olbrzymów, żeby się przyłączyli do Sam-Wiesz-Kogo? - zapytała Hermiona z rozpaczą.

- Dajcie mi dojść do słowa, hipogryfy jedne, jeszcze nie skończyłem! - zdenerwował się Hagrid, który, choć z początku nie chciał im nic powiedzieć, teraz wyraźnie rozkoszował się własną opowieścią. - Przegadaliśmy to z Olimpią i zgodziliśmy się, że nawet jeśli ten gurg wygląda na takiego, co by chętnie skumał się z Sami-Wiecie-Kim, to nie wszystkie olbrzymy na to pójdą. Musieliśmy im przemówić do rozsądku, tym, którzy nie chcieli, żeby Golgomat był ich gurgiem.

- Po czym poznaliście, którzy to są? - zapytał Ron.

- No bo przecież byli tacy, których stłukł na miazgę, nie? - wyjaśnił mu cierpliwie Hagrid. - Tacy, którzy mieli trochę oleju we łbie, trzymali się z dala od Golgomata, pochowali się w pieczarach wokół tej dolinki, tak jak my. No więc postanowiliśmy połazić nocą po tych jaskiniach i zobaczyć, czy nie uda się którychś przekabacić.

- Połazić nocą po jaskiniach olbrzymów? - zapytał Ron głosem, w którym szacunek mieszał się z przerażeniem.

- Prawdę mówiąc, to nie olbrzymów baliśmy się najbardziej. Bardziej nas niepokoili śmierciożercy. Dumbledore kazał ich unikać, tylko że, cholibka, oni już o nas wiedzieli, pewnie Golgomat im powiedział. Nocą, kiedy się pospali, a my chcieliśmy powęszyć po tych jaskiniach, Macnair i jego kumpel łazili po górach i węszyli za nami. Mówię wam, nie było łatwo powstrzymać Olimpii, żeby się na nich nie rzuciła - rzekł Hagrid, kącikami ust unosząc zmierzwioną brodę. - Aż cała dygotała, żeby im przyłożyć... a jak ona się wścieknie, to dopiro jest coś... Robi się cała dzika... to chyba ta francuska krew, czy co...

Hagrid wpatrzył się zamglonym okiem w ogień. Harry dał mu trzydzieści sekund na rozpamiętywanie tego wspomnienia, po czym odchrząknął głośno.

- I co się stało? Udało się wam dostać choćby do jednej z tych jaskiń?

- Co? Och... tak, no pewnie. Tak, trzeciej nocy po śmierci Karkusa wyleźliśmy z naszej jaskini i zeszliśmy w dolinkę, rozglądając się, czy gdzieś nie ma śmierciożerców. Obleźliśmy kilka jaskiń... bez powodzenia, dopiro w szóstej znaleźliśmy trzech olbrzymów.

- Musiało tam być dość ciasno - mruknął Ron.

- Nie dałoby rady zakręcić kugucharem.

- Nie rzucili się na was, jak was zobaczyli? - zapytała Hermiona.

- Pewnie by to zrobili, gdyby byli w lepszym stanie, ale wszyscy trzej byli okropnie poranieni. Kumple Golgomata stłukli ich do nieprzytomności, a jak się ocknęli, resztkami sił wpełzli do najbliższej jaskini. W każdym razie jeden z nich rozumiał trochę po naszemu i tłumaczył innym, a to, co powiedzieliśmy, chyba im trafiało do przekonania. No więc wciąż tam wracaliśmy... odwiedzaliśmy tych poranionych... myślę, że w pewnym momencie udało nam się przekonać z sześciu albo siedmiu.

- Sześciu albo siedmiu? - powtórzył podniecony Ron. - To nieźle... I co, przyjdą tu i będą z nami walczyć z Sam-Wiesz-Kim?

- Hagridzie, co to znaczy „w pewnym momencie”? - zapytała Hermiona.

Hagrid spojrzał na nią smętnie.

- Kumple Golgomata też przeszli się po jaskiniach. Ci olbrzymi, co przeżyli, nie chcieli już mieć z nami do czynienia.

- Więc... więc tu nie przyjdą? - zapytał Ron z zawiedzioną miną.

- Nie - rzekł Hagrid, po czym westchnął głęboko i przełożył sobie ponownie kotlet na drugą stronę. - Ale zrobiliśmy, co do nas należało, przekazaliśmy im słowa Dumbledore’a, do niektórych coś dotarło i chyba zapamiętają. Może nie zechcą słuchać się tego Golgomata, może zlezą z gór i sobie przypomną, że Dumbledore jest im przyjazny... Może i przyjdą...

Śnieg zasypał już prawie całe okno. Harry uświadomił sobie, że szata przemokła mu na kolanach: to Kieł ślinił się tak obficie, z głową na jego podołku.

- Hagridzie... - zaczęła cicho Hermiona.

- Mmmm?

- Czy ty... czy napotkałeś na jakiś ślad... czy dowiedziałeś się czegoś o swojej... swojej... matce, jak tam byłeś?

Hagrid spojrzał na nią swym zdrowym okiem, a Hermiona zrobiła wystraszoną minę.

- Przepraszam... Ja... Zapomnij o tym...

- Zmarła - mruknął Hagrid. - Zmarła już dawno. Powiedzieli mi.

- Och... tak mi przykro, naprawdę... - powiedziała cicho Hermiona.

Hagrid wzruszył potężnymi ramionami.

- Nie przejmuj się. Ja jej prawie nie pamiętam. Nie była najlepszą matką.

Znowu zapadła cisza. Hermiona zerknęła nerwowo na Harry’ego i Rona; najwyraźniej czekała, żeby coś powiedzieli.

- Ale wciąż nam nie powiedziałeś, co ci się stało - rzekł Ron, wskazując na pokrwawioną twarz Hagrida.

- I dlaczego tak długo cię nie było - dodał Harry. - Syriusz mówił, że madame Maxime już dawno wróciła...

- Kto cię zaatakował? - zapytał Ron.

- Nikt mnie nie zaatakował! - odpowiedział z naciskiem Hagrid. - Ja...

Ale resztę jego stów zagłuszyło łomotanie do drzwi. Hermiona wydała z siebie zduszony okrzyk, kubek wyśliznął jej się z rąk i roztrzaskał o podłogę. Kieł zawył. Wszyscy czworo spojrzeli w okno obok drzwi. Przez zasłony widać było cień kogoś niskiego i przysadzistego.

- To ona! - wyszeptał Ron.

- Właźcie tu! - rzucił Harry, zarzucając pelerynę-niewidkę na siebie i Hermionę, a Ron błyskawicznie obleciał stół i dał pod nią nurka. Stłoczeni pod peleryną wycofali się w ciemny kąt izby. Kieł ujadał wściekle pod drzwiami. Hagrid rozglądał się dookoła nieprzytomnym wzrokiem.

- Hagridzie, pochowaj nasze kubki!

Hagrid złapał kubki Harry'ego i Rona i ukrył je pod poduszką w koszu Kła. Kieł skakał teraz na drzwi. Hagrid odepchnął go i otworzył.

W drzwiach stała profesor Umbridge w swojej zielonej tweedowej pelerynie i zielonej czapce z nausznikami. Zacisnąwszy usta, odchyliła się do tyłu, żeby zobaczyć twarz Hagrida, bo ledwo sięgała mu do pępka.

- Aha - powiedziała powoli i głośno, jakby mówiła do głuchego. - Więc to pan jest Hagrid, tak?

I nie czekając na odpowiedź, wkroczyła do środka, łypiąc wypukłymi oczami na wszystkie strony.

- Uciekaj! - warknęła i zamachnęła się torebką na Kła, który podskoczył do niej, próbując ją polizać po twarzy.

- Eee... nie chcę być niegrzeczny - powiedział Hagrid, wpatrując się w nią - ale kim pani, do diabła, jest?

- Nazywam się Dolores Umbridge.

Omiatała spojrzeniem izbę. Dwukrotnie spojrzała prosto w kąt, w którym stał Harry, ściśnięty jak sardynka między Ronem i Hermioną.

- Dolores Umbridge? - powtórzył Hagrid niepewnym tonem. - Pani chyba jest z ministerstwa... czy pani nie pracuje z Knotem?

- Tak, byłam starszym podsekretarzem ministra - odpowiedziała Umbridge, obchodząc izbę i przyglądając się uważnie wszystkiemu: od plecaka opartego o ścianę po rzucony byle jak płaszcz podróżny. - A teraz jestem nauczycielem obrony przed czarną magią...

- Duża rzecz - rzekł Hagrid. - Niewielu się na to godzi...

- ...i Wielkim Inkwizytorem Hogwartu - dokończyła Umbridge, nie dając po sobie poznać, że go usłyszała.

- A co to takiego? - zapytał Hagrid, marszcząc czoło.

- Ja też chciałam zadać to pytanie - powiedziała Umbridge, wskazując na skorupki porcelany na podłodze, resztki kubka Hermiony.

- A, to... - rzekł Hagrid, rzucając żałosne spojrzenie w stronę kąta, w którym ukrywali się Harry, Ron i Hermiona. - To był... no... Kieł. Stłukł mi kubek. Więc musiałem wziąć sobie drugi.

Wskazał na kubek, z którego wcześniej pił, drugą ręką wciąż przyciskając smoczy kotlet do oka. Umbridge stanęła naprzeciw niego, uważnie mu się przyglądając.

- Słyszałam jakieś głosy - powiedziała cicho.

- Gadałem do Kła - rzekł śmiało Hagrid.

- A on panu odpowiadał?

- No, jeśli chodzi o gadanie - mruknął Hagrid ze zmieszaną miną - to Kieł czasami zachowuje się prawie jak człowiek...

- W śniegu są odciśnięte trzy pary stóp. Prowadzą z zamku do pańskiej chaty.

Hermiona wydała z siebie zduszony okrzyk. Harry zatkał jej usta dłonią. Na szczęście Kieł węszył jeszcze głośniej wokół rąbka szat profesor Umbridge i chyba tego nie dosłyszała.

- Ja tam dopiro co wróciłem - powiedział Hagrid, machając olbrzymią ręką w stronę plecaka. - Może ktoś wcześniej tu zaglądał, a ja tych śladów nie zauważyłem.

- Żadne ślady nie prowadzą z pańskiej chatki.

- No... to ja już nie wiem, co to mogło być - rzekł Hagrid, szarpiąc nerwowo brodę i zerkając w stronę kąta, gdzie stali Harry, Ron i Hermiona, jakby spodziewał się stamtąd pomocy.

Umbridge okręciła się na pięcie i zaczęła krążyć po izbie, rozglądając się uważnie. Schyliła się i zajrzała pod łóżko. Pootwierała szafki i kredensy. Przeszła ze dwa cale od miejsca, w którym Harry, Ron i Hermiona przycisnęli się do ściany; Harry nawet wciągnął brzuch, gdy przechodziła. Po zajrzeniu do wielkiego kociołka, którego Hagrid używał do gotowania, znowu przed nim stanęła i zapytała:

- Co się panu stało? Kto pana tak poranił?

Hagrid pospiesznie zdjął smocze mięso z twarzy, co Harry uznał za błąd, bo teraz widać było wyraźnie czarno-purpurowe krwiaki wokół oka, nie wspominając już o grubej warstwie świeżej i zakrzepłej krwi na twarzy.

- Ach... miałem drobny wypadek - wyjaśnił kulawo.

- Co za wypadek?

- P-potknąłem się.

- Potknął się pan - powtórzyła chłodno.

- Zgadza się. O... o miotłę znajomego. Ja sam nie latam. No bo niech pani spojrzy, czy jakaś miotła utrzymałaby mój ciężar? Mój znajomy hoduje abraksany, nie wim, czy pani je kiedyś widziała, wielkie bestie, skrzydlate, trochę się na jednym przejechałem i...

- Gdzie pan był? - zapytała Umbridge, przerywając mu w połowie zdania.

- Gdzie ja...?

- Tak, gdzie pan był. Rok szkolny rozpoczął się dwa miesiące temu. Musiał pana zastąpić inny nauczyciel. Żaden z pańskich kolegów nie potrafił mi udzielić informacji, gdzie się pan podziewa. Nie zostawił pan żadnego adresu. Gdzie pan był?

Zapadło milczenie, w czasie którego Hagrid gapił się na nią swoim dopiero co odsłoniętym okiem. Harry prawie słyszał, jak jego mózg pracuje gorączkowo.

- Byłem... wyjechałem dla zdrowia.

- Dla zdrowia - powtórzyła Umbridge, a jej wzrok powędrował po barwnej i opuchniętej twarzy Hagrida. Krew ze smoczego kotleta ściekała mu aż do pasa. - Rozumiem.

- Ano tak. Troszkę... świżego powietrza, pani rozumi...

- Tak, bo gajowemu brak jest tutaj świeżego powietrza - wycedziła Umbridge.

Jedyny skrawek twarzy Hagrida, który nie był fioletowo-czarny, pokrył się rumieńcem.

- No... zmiana krajobrazu, pani rozumi...

- Pewnie na górski, tak? - zapytała Umbridge słodkim głosem.

Ona WIE, pomyślał Harry z rozpaczą.

- Górski? - powtórzył Hagrid, najwyraźniej myśląc bardzo szybko. - Nie, mnie pasuje południe Francji. Trochę słońca... i morza...

- Naprawdę? Jakoś się pan nie opalił.

- No tak... bo... bo mam uczulenie - odrzekł Hagrid, próbując się uśmiechnąć.

Harry dopiero teraz zauważył, że brakuje mu dwóch zębów. Umbridge zmierzyła go chłodnym spojrzeniem; już się nie uśmiechała. Potem poprawiła sobie torebkę na ramieniu i powiedziała:

- Oczywiście poinformuję ministra o pańskim tak późnym powrocie.

- Jasne - rzekł Hagrid, kiwając głową.

- Powinien pan wiedzieć, że jako Wielki Inkwizytor mam obowiązek wizytować lekcje innych nauczycieli. Nie sprawia mi to przyjemności, ale jest konieczne, abym moją misję mogła należycie wypełnić. Tak więc z całą pewnością jeszcze się zobaczymy.

Odwróciła się gwałtownie i pomaszerowała do drzwi.

- Pani nas wizytuje? - zapytał Hagrid bezbarwnym głosem.

- Tak jest - odpowiedziała łagodnie profesor Umbridge, spoglądając na niego przez ramię, z ręką na klamce. - Ministerstwo postanowiło oczyścić Hogwart z nauczycieli, których praca daje niezadowalające nas wyniki. Dobranoc.

I wyszła, zatrzaskując za sobą drzwi. Harry już chciał ściągnąć pelerynę-niewidkę, ale Hermiona złapała go za przegub.

- Jeszcze nie - szepnęła mu do ucha. - Może jeszcze sobie nie poszła.

Hagrid chyba pomyślał to samo, bo podszedł do okna i rozchylił lekko zasłony.

- Wraca do zamku - powiedział cicho. - Cholibka... wizytuje ludzi, co?

- Ano tak - przyznał Harry, ściągając pelerynę. - Trelawney już jest na warunkowym...

- Ee... Hagridzie, co zamierzasz z nami robić na lekcjach? - przerwała mu Hermiona.

- Och, o to się nie martw, zaplanowałem już mnóstwo tematów - odrzekł Hagrid z entuzjazmem, zgarniając leżący na stole smoczy kotlet i przykładając go sobie z zamachem do oka. - Trzymam dla was od dawna parę stworzonek, specjalnie na ten rok, na suma, zobaczycie, to coś naprawdę niezwykłego...

- Ee... niezwykłego w jakim sensie? - zapytała Hermiona.

- Nie powim - odpowiedział Hagrid, wyraźnie z siebie zadowolony. - Nie chcę wam zepsuć niespodzianki.

- Hagridzie, posłuchaj - powiedziała Hermiona błagalnym tonem, porzucając udawanie. - Profesor Umbridge nie będzie zadowolona, jak nam przyniesiesz coś zbyt niebezpiecznego...

- Niebezpiecznego? - przerwał jej Hagrid, wyglądając na szczerze rozbawionego. - Nie bądź głupia, czy ja wyglądam na takiego, co by wam dał coś niebezpiecznego? To znaczy... jasne, że one potrafią same o siebie zadbać...

- Hagridzie, musisz zaliczyć wizytację Umbridge z pozytywnym rezultatem, a żeby tego dokonać, lepiej pokaż nam, jak się obchodzić z kudłoniami, jak odróżnić szpiczaka od jeża, takie rzeczy!

- Ale, Hermiono, kto by tego chciał słuchać! To, co ja dla was przygotowałem, to jest dopiero coś! Robi o wiele większe wrażenie. Ja je hodowałem przez lata, to chyba jedyne udomowione stado w całej Brytanii...

- Hagridzie... błagam cię... - W głosie Hermiony zabrzmiała prawdziwa rozpacz. - Umbridge tylko szuka pretekstu, żeby pozbyć się nauczycieli, którzy są zbyt blisko Dumbledore'a. Proszę cię, Hagridzie, naucz nas czegoś nudnego, czegoś, co powinno się pojawić przy zaliczeniu suma...

Ale Hagrid tylko ziewnął szeroko i rzucił tęskne spojrzenie w stronę olbrzymiego łoża stojącego w kącie.

- Słuchaj, Hermiono, to był trochę przydługi dzień i jest już późno - powiedział, poklepując ją po ramieniu, tak że kolana się pod nią ugięły i stuknęły głucho o podłogę. - Och... przepraszam... - Podniósł ją za kołnierz szaty. - O mnie się nie martw, obiecuję, że teraz, jak już wróciłem, nie będziecie się nudzić na moich lekcjach... No, a teraz lepij wracajcie do zamku... i nie zapomnijcie zatrzeć za sobą śladów!

- Nie wiem, czy do niego coś dotarło - mruknął Ron chwilę później, kiedy po sprawdzeniu, czy droga wolna, ruszyli do zamku przez gęstniejący śnieg, nie zostawiając za sobą śladów dzięki zaklęciu usuwającemu, rzuconemu przez Hermionę.

- Jutro przyjdę tu jeszcze raz - oświadczyła stanowczo Hermiona. - Sama mu zaplanuję lekcje, jeśli będę musiała. Niech ona sobie wyrzuca Trelawney, ale Hagrida tknąć nie pozwolę!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY
OCZAMI WĘŻA

W niedzielę przed południem Hermiona wróciła do chatki Hagrida, brnąc przez grubą na dwie stopy warstwę śniegu. Harry i Ron bardzo chcieli z nią iść, ale ich góra pracy domowej osiągnęła alarmującą wysokość, więc z kwaśnymi minami pozostali w pokoju wspólnym, starając się nie zwracać uwagi na radosne okrzyki dobiegające ze szkolnych terenów wokół zamku, gdzie inni uczniowie ślizgali się beztrosko po zamarzniętym jeziorze, jeździli na sankach i - co było najgorsze - czarowali kule śniegu tak, by śmigały wysoko, prosto w okna wieży Gryffindoru, o które rozbijały się z hałasem.

- No nie! - ryknął w końcu Ron, tracąc cierpliwość, i wyjrzał przez okno. - Jestem prefektem i jeśli jeszcze jedna śnieżka trafi w to okno... AUU!

Cofnął gwałtownie głowę; całą twarz pokrytą miał śniegiem.

- To Fred i George - powiedział z goryczą, zatrzaskując okno. - Kretyni...

Hermiona wróciła od Hagrida tuż przed drugim śniadaniem, drżąc z zimna, bo szatę miała mokrą aż do kolan.

- No i co? - zapytał Ron, podnosząc głowę znad książki, gdy weszła. - Zaplanowałaś mu wszystkie lekcje?

- Próbowałam - odpowiedziała zmęczonym głosem, opadając na fotel obok Harry'ego. Wyciągnęła różdżkę i machnęła nią w dość skomplikowany sposób, a z końca różdżki buchnęło gorące powietrze, którym zaczęła sobie osuszać szaty. - Nie było go, jak przyszłam. Pukałam z pół godziny. I w końcu wyszedł z lasu...

Harry jęknął. W Zakazanym Lesie aż roiło się od stworzeń, za które profesor Umbridge z całą pewnością wyrzuciłaby Hagrida.

- Co on tam trzyma? Powiedział ci?

- Nie - odpowiedziała smętnie Hermiona. - Powtórzył, że to ma być niespodzianka. Próbowałam mu wyjaśnić, kim jest Umbridge i o co jej chodzi, ale nic do niego nie docierało. Wciąż powtarzał, że każdy o zdrowych zmysłach wolałby uczyć się o chimerach niż o szpiczakach... Och, nie sądzę, żeby miał chimerę - dodała, widząc przerażenie na twarzach Rona i Harry'ego - ale jestem pewna, że próbował ją zdobyć, bo napomknął, że bardzo trudno o jej jajka... Już nie wiem, ile razy mu mówiłam, że lepiej będzie, jak poprowadzi dalej to, co zaplanowała Grubbly-Plank, ale założę się, że nawet połowa tego do niego nie dotarła. I zachowuje się trochę dziwnie. Wciąż nie chce powiedzieć, kto go tak urządził...

Pojawienie się Hagrida przy stole nauczycielskim nie zostało przez wszystkich uczniów powitane z entuzjazmem. Niektórzy, jak Fred, George i Lee, ryknęli z radości i

pobiegli między stołami Gryffindoru i Hufflepuffu, żeby uścisnąć jego olbrzymią dłoń; inni, jak Parvati i Lavender, wymieniali ponure spojrzenia i kręcili głowami. Harry wiedział, że wielu woli lekcje profesor Grubbly-Plank, a najgorsze było to, że gdzieś w głębi ducha przyznawał, że mają trochę racji: na jej lekcjach przynajmniej nikt nie musiał się bać, że jakieś groźne stworzenie urwie mu głowę.

Dlatego we wtorek Harry, Ron i Hermiona w nieco ponurych nastrojach szli na lekcję opieki nad magicznymi stworzeniami, okutani w co kto miał, bo mróz był siarczysty. Harry niepokoił się nie tylko o to, co pokaże im Hagrid, ale i o to, jak zachowa się reszta klasy, zwłaszcza Malfoy i jego banda, jeśli na lekcji pojawi się Umbridge.

Nie zauważyli jednak nigdzie Wielkiego Inkwizytora, kiedy brnęli przez śnieg ku Hagridowi, czekającemu na nich na skraju lasu. Jego wygląd nie dodał im otuchy: siniaki, które w niedzielę były fioletowe, teraz zabarwiły się na zielono i żółto, a niektóre rozcięcia wciąż krwawiły. Harry nie mógł tego zrozumieć. Czyżby Hagrida zaatakowało jakieś stworzenie, którego jad nie pozwala zabliźnić się ukąszeniom? Jakby na dopełnienie złowieszczego wyglądu, Hagrid miał na ramieniu coś, co bardzo przypominało połówkę martwej krowy.

- Dzisiaj popracujemy tutaj! - zawołał dziarsko do zbliżających się uczniów, zadzierając głowę ku ciemnym drzewom za jego plecami. - Tu tak nie wieje! Zresztą one wolą mrok...

- Kto woli mrok? - zapytał Malfoy Crabbe'a i Goyle'a z nutą paniki w głosie. - Powiedział, kto woli mrok? Słyszeliście?

Harry pamiętał ten jeden raz, kiedy Malfoy wszedł do Zakazanego Lasu; nie wykazał się wówczas odwagą. Uśmiechnął się sam do siebie, bo po ostatnim meczu quidditcha wszystko, co mogło pognębić Malfoya, sprawiało mu radość.

- Gotowi? - zapytał Hagrid, spoglądając z uśmiechem na klasę. - No to dobrze, bo zaplanowałem mały wypad do lasu. To już wasz piąty rok, chyba dacie radę, no nie? Tak se pomyślałem, że pójdziemy i zobaczymy te stworzenia w ich naturalnym środowisku. A są to bardzo rzadkie bestie, chyba jestem jedyną osobą w całej Brytanii, której udało się je obłaskawić...

- I jest pan pewny, że są obłaskawione, tak? - odezwał się Malfoy z już bardzo wyraźną paniką w głosie. - Bo nie byłby to pierwszy raz, kiedy przyprowadza pan na lekcję dzikie stworzenia, prawda?

Slizgoni poparli te słowa pomrukiem, a niektórzy Gryfoni mieli takie miny, jakby tym razem podzielali zdanie Malfoya.

- Pewnie, że są obłaskawione - rzekł Hagrid nieco obrażonym tonem i podrzucił sobie martwą krowę nieco wyżej na ramię.

- W takim razie kto panu tak pokiereszował twarz? - zapytał Malfoy.

- Pilnuj swojego nosa! - warknął Hagrid. - A teraz, jeśli już skończyliście zadawać mi głupie pytania, marsz za mną!

Odwrócił się i wszedł do lasu. Nikt nie kwapił się, by pójść za nim. Harry zerknął na Rona i Hermionę, którzy westchnęli, ale kiwnęli głowami, więc cała trójka ruszyła za Hagridem, a za nią reszta klasy.

Szli jakieś dziesięć minut, aż dotarli do miejsca, w którym drzewa rosły tak gęsto, że było ciemno jak o zmierzchu, a na ziemi nie leżał śnieg. Hagrid złożył połówkę krowy na ziemi i odwrócił się do klasy. Większość uczniów skradała się ku niemu od drzewa do drzewa, rozglądając się z niepokojem dokoła, jakby się spodziewali, że w każdej chwili coś się na nich rzuci.

- Bliżej, bliżej, stańcie se tu w kółeczku! - zachęcił ich Hagrid dziarskim tonem. - No więc, one by zara same wyniuchały mięso, ale ja na nie jednak zawołam, żeby wiedziały, że to ja...

Odwrócił się, wstrząsnął kudłatą głową, żeby włosy nie spadały mu na twarz, i wydał z siebie dziwny, ostry krzyk, podobny do wołania jakiegoś olbrzymiego ptaka. Nikt się nie roześmiał, większość była zbyt przerażona, by wydać z siebie głos.

Hagrid krzyknął ponownie. Minęła minuta, w czasie której wszyscy nadal rozglądali się z lękiem wokół siebie, wypatrując tego czegoś, co miało posłuchać tego wezwania. A potem Hagrid odrzucił sobie z twarzy grzywę włosów po raz trzeci, wypinając swą potężną klatkę piersiową, a Harry szturchnął Rona i wskazał na ciemną przestrzeń między dwoma sękatymi cisami.

W mroku jarzyła się para pustych, białych ślepi, rosnących z każdą chwilą, aż w końcu z ciemności wynurzył się smoczy łeb, potem szyja, a wreszcie cały tułów chudego jak szkielet czarnego, skrzydlatego konia. Popatrzył przez chwilę na klasę, chlastając powietrze długim czarnym ogonem, po czym pochylił łeb i zaczął rozdzierać mięso krowy ostrymi kłami.

Harry poczuł, jak przepływa przez niego wielka fala ulgi. Oto miał wreszcie przed sobą żywy dowód na to, że owe stworzenia nie były wytworem jego wyobraźni. Istniały rzeczywiście i Hagrid też o nich wiedział. Spojrzał żywo na Rona, ale Ron nadal wpatrywał się między drzewa i po kilku sekundach szepnął:

- Dlaczego Hagrid znowu ich nie zawoła?

Większość klasy zachowywała się podobnie jak Ron, rozglądając się wokoło i wcale nie patrząc tam, gdzie stał skrzydlaty koń. Prócz Harry'ego tylko dwóch uczniów wydawało się go widzieć: żylasty Slizgon stojący tuż za Goyle'em, który patrzył z odrazą na konia pożerającego ścierwo krowy, i Neville, którego oczy śledziły ruchy długiego czarnego ogona.

- Ach, a tu mamy jeszcze jednego! - zawołał z dumą Hagrid, gdy drugi czarny koń wyłonił się spomiędzy drzew, stulił skrzydła i pochylił łeb, by dorwać się do mięsa. - A teraz... kto je widzi, niech podniesie ręce!

Harry, uradowany tym, że wreszcie pozna tajemnicę skrzydlatych koni, podniósł rękę. Hagrid spojrzał na niego i pokiwał głową.

- Taaa... wiedziałem, że je zobaczysz, Harry - powiedział z powagą. - I ty też, Neville, co? I...

- Przepraszam - odezwał się Malfoy kpiącym głosem - ale co my właściwie powinniśmy zobaczyć?

Hagrid nie odpowiedział, tylko wskazał na ścierwo krowy. Cała klasa wpatrywała się w nie przez kilka sekund, po czym rozległy się zduszone okrzyki, a Parvati pisnęła. Harry szybko pojął, dlaczego: kawałki mięsa, które same odrywały się od kości i znikały w powietrzu, musiały rzeczywiście wyglądać bardzo dziwnie.

- Co się dzieje? - zapytała Parvati, chowając się za najbliższym drzewem. - Kto to zjada?

- Testrale - odpowiedział z dumą Hagrid, a Hermiona wydyszała: „Och!" w ramię Harry'ego. - Hogwart ma ich tutaj całe stado. No dobra, kto wie...

- One przecież przynoszą nieszczęście! - zawołała Parvati z przerażoną miną. - Każdego, kto je zobaczy, czekają najróżniejsze okropne wypadki. Profesor Trelawney powiedziała mi, że...

- Nie, nie, nie - przerwał jej Hagrid, chichocząc - to tylko głupie przesądy, nic z tych rzeczy, one są piekielnie mądre i bardzo pożyteczne! Co prawda akurat te nie mają wiele do roboty, ciągną tylko szkolne powozy, chyba że Dumbledore wyprawia się w daleką podróż i nie chce się teleportować... a tu mamy jeszcze parkę... popatrzcie...

Dwa kolejne konie wyszły cicho spomiędzy drzew, jeden przeszedł bardzo blisko Parvati, która wzdrygnęła się i przywarła do pnia drzewa, mówiąc:

- Coś czuję, to chyba jest blisko mnie!

- Nie bój się, nie zrobi ci krzywdy - uspokoił ją Hagrid. - Kto mi powie, dlaczego jedni je widzą, a inni nie?

Hermiona podniosła rękę.

- No to wal - rzekł Hagrid, uśmiechając się do niej.

- Testrale mogą zobaczyć tylko ci, którzy widzieli czyjąś śmierć.

- Zgadza się - pochwalił ją Hagrid z powagą. - Dziesięć punktów dla Gryffindoru. No więc testrale...

- YHM, YHM.

Przybyła profesor Umbridge. Stała kilka stóp od Harry'ego, spowita w swoją zieloną pelerynę, z podkładką do notowania w ręku. Hagrid, który jeszcze nigdy nie słyszał jej udawanego pokasływania, wpatrywał się z zainteresowaniem w najbliższego testrala, najwidoczniej przekonany, że to on wydał ten odgłos.

- YHM, YHM.

- Och, witam! - powiedział Hagrid, umiejscowiwszy w końcu źródło tego odgłosu.

- Otrzymał pan notkę, którą rano przesłałam do pańskiej chaty? - zapytała Umbridge tym samym donośnym głosem, którego już wcześniej wobec niego użyła, jakby zwracała się do niezbyt rozgarniętego cudzoziemca. - O tym, że przyjdę z wizytacją na pańską lekcję?

- No jasne - odrzekł dziarsko Hagrid. - Cieszę się, że pani nas znalazła! No więc, jak pani widzi... zaraz, bo nie wim... widzi pani? Przerabiamy dziś testrale...

- Słucham? - zapytała Umbridge, przykładając do ucha stuloną dłoń i marszcząc czoło. - Co pan mówił?

Hagrid trochę się zmieszał.

- Ee... TESTRALE! - ryknął. - Takie wielkie... ee... skrzydlate konie, rozumi pani?

I machnął ręką w stronę ścierwa. Profesor Umbridge uniosła brwi i zaczęła notować, mrucząc sama do siebie:

- ...musi... używać... ordynarnego... języka... gestów...

- No więc... tego... - powiedział Hagrid, odwracając się do klasy z taką miną, jakby się trochę zdenerwował. - Ee... o czym to ja mówiłem?

- Wydaje się... mieć... fatalnie... krótką... pamięć... - mruknęła Umbridge, na tyle głośno, żeby wszyscy ją usłyszeli.

Draco Malfoy wyglądał, jakby Boże Narodzenie nadeszło o miesiąc wcześniej niż zwykle. Hermiona zaczerwieniła się i z trudem powstrzymywała wściekłość.

- Aha - powiedział Hagrid, rzucając niepewne spojrzenie na notatnik Umbridge, ale brnąc dzielnie dalej. - Tak, no więc miałem wam powiedzieć, skąd mamy to stadko. Taa.. więc zaczęliśmy od samca i pięciu samic. Ten tutaj - poklepał konia, który pojawił się pierwszy - nazywa się Tenebrus, to mój ulubieniec, pierwszy, który się narodził w tym lesie...

- Czy jest pan świadom - przerwała mu głośno Umbridge - że Ministerstwo Magii sklasyfikowało testrale jako „niebezpieczne”?

Harry’emu zamarło serce, ale Hagrid tylko zachichotał.

- Testrale wcale nie są niebezpieczne! No dobra, mogą chapnąć tego, kto je obrazi...

- Okazuje... oznaki... zadowolenia... na... myśl... o... gwałtownych... zachowaniach... - zamruczała Umbridge, skrobiąc w notatniku.

- No nie! - zawołał Hagrid z nieco zaniepokojoną miną. - Przecież pies też ukąsi, jak go się podrażni, no nie?... Ale testrale są w porządku, a wszystko przez to, że... no... chodzi o tą śmierć... ludzie myślą, że one przynoszą nieszczęście, no nie? Ale oni po prostu nie kapują w czym rzecz, zgadza się?

Umbridge nie odpowiedziała. Skończyła notować, spojrzała na Hagrida i powiedziała, powoli, bardzo wyraźnie i bardzo głośno:

- Proszę kontynuować. Ja się trochę przejdę... - wykonała krótką pantomimę chodzenia, na co Malfoy i Pansy Parkinson parsknęli śmiechem - pomiędzy uczniami - wskazała kilku uczniów - i zadam im parę pytań - tu wskazała na swoje usta.

Hagrid wytrzeszczył na nią oczy, najwyraźniej nie rozumiejąc, dlaczego profesor Umbridge zachowuje się tak, jakby nie rozumiał po angielsku. Hermiona miała już łzy wściekłości w oczach.

- Ty wiedźmo, ty zła wiedźmo! - wyszeptała, gdy Umbridge podeszła do Pansy Parkinson. - Wiem, o co ci chodzi, ty okropna, pokręcona, fałszywa...

- Eee... no więc... w każdym razie - powiedział Hagrid, starając się rozpaczliwie odzyskać wpływ na przebieg lekcji - no więc... takie testrale. Z nimi to jest tak, że kupa z nich dobrego...

- Czy uważasz - Umbridge zwróciła się głośno do Pansy Parkinson - że profesor Hagrid mówi językiem dla ciebie zrozumiałym?

Pansy też miała łzy w oczach, ale w przeciwieństwie do Hermiony nie ze złości, tylko ze śmiechu. Jej odpowiedź nie była zbyt spójna, bo przez cały czas usiłowała powstrzymać chichot.

- Nie... bo... no... mówi, jakby... jakby wciąż chrząkał...

Umbridge zapisała coś w notatniku. Nieliczne wolne od siniaków fragmenty twarzy Hagrida pokryły się rumieńcem, ale starał się sprawiać wrażenie, że nie dosłyszał odpowiedzi Pansy.

- Ee... no więc... co jest dobre w testralach. No... tego... jak już się je oswoi, tak jak to stadko, to już się nigdy nie zabłądzi. Mają zadziwiający zmysł orientacji. Trzeba im tylko powiedzieć, dokąd się chce udać...

- Oczywiście pod warunkiem, że zrozumieją - wtrącił głośno Malfoy, a Pansy Parkinson dostała ataku niekontrolowanego śmiechu.

Profesor Umbridge uśmiechnęła się do nich niewinnie, po czym zwróciła się do Neville'a.

- Ty widzisz te testrale, Longbottom, prawda?

Neville kiwnął głową.

- Czyją śmierć widziałeś?

- Mojego... mojego dziadka...

- A co o nich myślisz? - zapytała, machnąwszy ręką w stronę koni, które ogryzły już ścierwo do kości.

- Eee... - bąknął Neville, zerkając na Hagrida. - No... one są... w porządku...

- Uczniowie... są... zbyt... onieśmieleni... żeby... przyznać... że... się... boją... - mruczała Umbridge, skrobiąc w notatniku.

- Nie! - zaprzeczył z oburzeniem Neville. - Ja się ich wcale nie boję!

- Dobrze już, dobrze - powiedziała Umbridge, klepiąc Neville'a po ramieniu, z uśmiechem, który miał zapewne oznaczać pełne zrozumienie, ale Harry'emu wydał się raczej grymasem złośliwej satysfakcji. - No więc, panie Hagridzie - odwróciła się do niego, znowu mówiąc bardzo powoli i nienaturalnie głośno - myślę, że dowiedziałam się już dosyć, by wyrobić sobie opinię... Otrzyma pan - udała, że chwyta coś w powietrzu przed sobą - wyniki tej wizytacji - wskazała na swoje notatki - w ciągu dziesięciu dni.

Podniosła obie ręce i rozstawiła dziesięć krótkich, grubych palców, a potem, z bardzo ropuszym uśmiechem pod zielonym kapeluszem, opuściła ich, pozostawiając Malfoya i Pansy Parkinson skręcających się ze śmiechu, Hermionę trzęsącą się z furii i Neville'a bardzo zmieszanego i przygnębionego.

- Ohydna, kłamliwa, pokręcona stara gargulica! - wybuchnęła Hermiona pół godziny później, kiedy wracali do zamku ścieżką wydeptaną przez nich wcześniej w śniegu. - Rozumiecie, do czego ona zmierza? Wyłazi z niej to uprzedzenie do mieszańców... próbuje zrobić z Hagrida jakiegoś skretyniałego trolla, tylko dlatego, że jego matka była olbrzymką... i... och, to przecież niesprawiedliwe, to naprawdę nie była zła lekcja... to znaczy... no dobrze, gdyby to były znowu sklątki tylnowybuchowe, to... ale te testrale są fajne... a jak na Hagrida, to naprawdę dobrze wybrał!

- Umbridge mówi, że są niebezpieczne - zauważył Ron.

- No wiesz, to jest tak, jak powiedział Hagrid, one potrafią same o siebie zadbać - powiedziała niecierpliwie Hermiona - i przypuszczam, że na przykład taki nauczyciel jak Grubbly-Plank nie pokazywałby ich nam przed poziomem owutemów, a przecież one są bardzo interesujące, prawda? To, że niektórzy je widzą, a inni nie! Ja bym bardzo chciała...

- Jesteś pewna? - zapytał cicho Harry.

Spojrzała na niego z przerażeniem.

- Och, Harry... tak mi przykro... nie, oczywiście, że nie... to było naprawdę bardzo głupie z mojej strony...

- W porządku - powiedział szybko. - Nie przejmuj się...

- A mnie zaskoczyło, że aż tyle osób je widziało - wtrącił Ron. - Trzy na jedną klasę...

- Tak, Weasley, właśnie się nad czymś zastanawialiśmy - odezwał się za ich plecami złośliwy głos. Dopiero teraz zorientowali się, że Malfoy, Crabbe i Goyle idą tuż za nimi, bo ich kroki głuszył śnieg. - Jak myślisz, czy gdybyś był świadkiem, jak ktoś odwala kitę, to lepiej widziałbyś kafla?

I rycząc ze śmiechu, wyprzedzili ich, zmierzając w stronę zamku, a po chwili zaśpiewali zgodnym chórem: „Weasley jest naszym królem!" Ronowi poczerwieniały uszy.

- A ty ich zawsze olewaj, a ty olewaj ich - zaintonowała Hermiona, wyciągając różdżkę i rzucając zaklęcie wytwarzające strumień gorącego powietrza, aby utorować nim w nieskalanym śniegu ścieżkę wiodącą do cieplarni.

* * *

Nadszedł grudzień, przynosząc jeszcze więcej śniegu i prawdziwą lawinę zadań domowych. Obowiązki prefektów też stawały się dla Rona i Hermiony coraz bardziej uciążliwe, bo zbliżało się Boże Narodzenie. Musieli nadzorować wykonanie dekoracji zamku („Spróbuj powiesić łańcuch ze świecidełkami, kiedy Irytek złapie za drugi koniec i próbuje cię nim oplatać", żalił się Ron), pilnować uczniów pierwszych i drugich klas podczas przerw spędzanych wewnątrz zamku ze względu na mróz („To bezczelne smarkacze, my na pewno nie zachowywaliśmy się tak po chamsku, jak byliśmy w pierwszej klasie", skomentował Ron) i patrolować korytarze na zmianę z Argusem Filchem, który podejrzewał, że świąteczny nastrój może sprzyjać epidemii pojedynków czarodziejów („Ten to ma krowi nawóz zamiast mózgu", podsumował ze złością Ron). Byli tak zajęci, że Hermiona przestała dziergać czapki dla skrzatów i bardzo tym się gryzła.

- Te wszystkie biedne skrzaty, których jeszcze nie uwolniłam, będą musiały zostać tu na Boże Narodzenie, bo nie mam dla nich dość czapeczek!

Harry, który nie miał odwagi jej powiedzieć, że Zgredek zabiera wszystko, co Hermiona zrobi, pochylił się niżej nad swoim wypracowaniem z historii magii. Nie chciało mu się zresztą myśleć o Bożym Narodzeniu. Po raz pierwszy w swojej szkolnej karierze wolałby święta spędzić poza Hogwartem. Pozbawiony możliwości grania w quidditcha, dręczony niepokojem o Hagrida, któremu groził okres warunkowy, stracił serce do tego miejsca. Jedyną rzeczą, która go naprawdę pociągała, były spotkania GD, a wiedział, że trzeba będzie je przerwać, bo prawie wszyscy członkowie grupy wyjeżdżali na święta do swoich rodzin. Hermiona wybierała się ze swoimi rodzicami na narty, co bardzo bawiło Rona, który dopiero teraz dowiedział się, że mugole przywiązują sobie do nóg wąskie kawałki drewna i ześlizgują się na nich z wysokich gór. Sam Ron wybierał się do Nory. Harry'ego przez kilka dni dręczyła zazdrość, póki Ron, w odpowiedzi na pytanie, jak zamierza dostać się do Nory, nie powiedział:

- Ale ty przecież też z nami jedziesz! Nie mówiłem ci? Parę tygodni temu mama napisała mi, żebym cię zaprosił!

Hermiona spojrzała wymownie w sufit, ale Harry poczuł nagły przypływ otuchy. Cudownie było pomyśleć o Bożym Narodzeniu w Norze, choć czuł lekkie wyrzuty sumienia, że nie będzie mógł spędzić świąt razem ze swoim ojcem chrzestnym. Zaczął się nawet zastanawiać, czy nie udałoby się namówić pani Weasley na zaproszenie również Syriusza, ale pomijając już fakt, że Dumbledore na pewno nie pozwoli Syriuszowi opuścić domu przy Grimmauld Place, czuł, że ten pomysł nie przypadłby do gustu pani Weasley: za często się kłócili. Syriusz nie skontaktował się z nim od czasu ostatniego pojawienia się w kominku, a Harry wiedział, że z powodu Umbridge niemądrze by było wysłać mu sowę. Pozostawało mu więc tylko rozmyślać smętnie o Syriuszu spędzającym święta samotnie w domu swojej matki. Kiedy sobie wyobraził, jak Syriusz ciągnie za koniec jedynego cukierka-niespodzianki, podczas gdy za drugi koniec pociąga Stworek, zrobiło mu się go naprawdę żal.

Harry przybył wcześniej od innych do Pokoju Życzeń na ostatnie przed świętami spotkanie GD, i rad był, że to zrobił, bo kiedy zapłonęły lampy, zobaczył, że Zgredek sam udekorował pokój na Boże Narodzenie. Natychmiast odgadł, że to dzieło skrzata, bo nikt inny nie pozawieszałby u sufitu setek złotych bombek z obrazkami przedstawiającymi twarz Harryego i napisami: WESOŁYCH I HARRYCH ŚWIĄT!

- Zaledwie ściągnął ostatnią bombkę, gdy zaskrzypiały drzwi i weszła Luna Lovegood, jak zwykle z rozmarzoną miną.

- Cześć - powitała go zdawkowo, rozglądając się po resztkach dekoracji. - Milutkie, to ty je porozwieszałeś?

- Nie, to zrobił Zgredek, domowy skrzat.

- Jemioła - powiedziała rozmarzonym głosem, wskazując na wielką kiść białych jagód tuż nad głową Harry'ego, który natychmiast spod niej odskoczył. - Masz rację - dodała z powagą. - Często aż się w niej roi od nargli.

Przybycie Angeliny, Katie i Alicji uratowało Harry'ego od konieczności zapytania, co to są nargle. Wszystkie trzy były zasapane i wyglądały na zziębnięte.

- Wiemy już, kto cię zastąpi - oznajmiła Angelina, ściągając pelerynę i rzucając ją w kąt.

- Kto mnie zastąpi? - powtórzył Harry, siląc się na obojętność.

- Tak, ciebie, Freda i George'a - odpowiedziała niecierpliwym tonem. - Mamy już nowego szukającego!

- Kogo?

- Ginny Weasley - odpowiedziała Katie.

Harry wytrzeszczył na nią oczy.

- Wiem, wiem - powiedziała Angelina, wyciągając różdżkę i gimnastykując sobie ramię. - Ale okazuje się, że jest całkiem niezła. Oczywiście nie tak dobra jak ty - dodała, rzucając mu niezbyt miłe spojrzenie - ale skoro nie mamy ciebie...

Harry ugryzł się w język, bo już chciał jej odpowiedzieć, czy nie pomyślała choćby przez chwilę, że z nich dwojga on o wiele bardziej rozpacza z powodu wykluczenia z drużyny.

- A co z pałkarzami? - zapytał, starając się, by jego głos zabrzmiał bardzo rzeczowo.

- Andrew Kirke - powiedziała bez entuzjazmu Alicja - i Jack Sloper. Nie są najlepsi, ale w porównaniu z tymi wszystkimi kretynami, którzy się zgłosili...

Przybycie Rona, Hermiony i Neville'a zakończyło tę niezbyt przyjemną rozmowę, a po pięciu minutach pokój zapełnił się na tyle, że Harry nie widział już palących, pełnych wyrzutu spojrzeń Angeliny.

- No dobra - powiedział, wzywając ich do spokoju. - Pomyślałem sobie, że dzisiaj powinniśmy tylko powtórzyć wszystko, co robiliśmy do tej pory, bo to nasze ostatnie spotkanie przed świętami i nie ma sensu zaczynać czegoś nowego przed trzytygodniową przerwą...

- Nie będziemy robili niczego nowego? - zapytał Zachariasz Smith głośnym szeptem. - Gdybym wiedział, to bym nie przychodził...

- Bardzo nam przykro, że Harry cię nie uprzedził - powiedział na głos Fred.

Kilka osób parsknęło śmiechem. Harry zobaczył, że śmieje się również Cho i znowu poczuł nagłą pustkę w żołądku, jakby schodził po schodach i nie trafił na stopień.

- Możemy ćwiczyć parami - powiedział. - Zaczniemy od zaklęcia spowalniającego, wystarczy z dziesięć minut, potem weźmiemy poduszki i poćwiczymy zaklęcie oszałamiające.

Posłusznie podzielili się na pary. Harry jak zwykle ćwiczył z Neville'em. Pokój wypełniły okrzyki: „*Impendimento!*" Ludzie zamierali na minutę lub dwie, a w tym czasie ich partnerzy przyglądali się bezczynnie innym parom, po czym działanie zaklęcia mijało i następowała zamiana ról.

Neville zrobił bardzo duże postępy. Po trzech udanych zaklęciach Harry powiedział mu, żeby ćwiczył z Ronem i Hermioną, a sam zaczął obchodzić inne pary. Kiedy mijał Cho, uśmiechnęła się do niego. Miał wielką ochotę przejść obok niej jeszcze kilka razy, ale oparł się tej pokusie.

Przez dziesięć minut powtarzali zaklęcie spowalniające, a potem porozkładali na podłodze poduszki i zaczęli ćwiczyć zaklęcie oszałamiające. W pokoju było za mało miejsca dla wszystkich, więc podzielili się na dwie grupy; jedna obserwowała drugą, po czym się zamieniali. Harry czuł narastającą dumę, gdy ich obserwował. Co prawda Neville oszołomił Padmę Patii, a nie Deana, w którego celował, ale i tak trafił o wiele bliżej niż zwykle, a reszta zrobiła duże postępy.

Po niecałej godzinie Harry zarządził koniec zajęć.

- Wychodzi wam coraz lepiej - powiedział z zadowoloną miną. - Kiedy wrócimy tu po feriach, zabierzemy się do czegoś trudniejszego... może nawet do patronusa.

Powitali tę zapowiedź z entuzjazmem i zaczęli opuszczać pokój jak zwykle po dwie, trzy osoby. Większość, przechodząc obok Harry'ego, życzyła mu wesołych świąt. Podniesiony na duchu, zebrał z Ronem i Hermioną poduszki, które ułożyli pod ścianą. Potem Ron i Hermiona wyszli, a Harry ociągał się trochę, bo bardzo chciał, by Cho złożyła mu świąteczne życzenia.

- Nie, idź już sama - powiedziała do swojej przyjaciółki Marietty, a jemu serce podskoczyło gdzieś w okolice jabłka Adama.

Udał, że wyrównuje stos poduszek. Był pewny, że są już sami i czekał, aż Cho się odezwie. Zamiast tego usłyszał głośne pociągnięcie nosem. Odwrócił się i zobaczył, że Cho stoi pośrodku pokoju i płacze.

- Co...?

Zupełnie nie wiedział, co robić.

- O co chodzi? - zapytał cicho.

Potrząsnęła głową i wytarła oczy rękawem.

- Przepraszam - powiedziała ochrypłym głosem. - To chyba... z powodu uczenia się tego wszystkiego... Bo to mi każe... rozmyślać, że... że może gdyby on to wszystko znał... to by nadal żył...

Serce Harry'ego opadło na swoje zwykłe miejsce, ale nie zatrzymało się tam, tylko zjechało gdzieś w okolice pępka. Powinien się sam domyślić. Chciała porozmawiać o Cedriku.

- On to wszystko znał - powiedział ze smutkiem. - Był w tym naprawdę dobry. Gdyby nie był, nie dotarłby do środka labiryntu. Ale jak Voldemort chce kogoś zabić, nie ma się szans.

Na dźwięk tego nazwiska Cho dostała czkawki, ale wpatrywała się w niego bez mrugnięcia powiekami.

- Ty przeżyłeś, chociaż byłeś jeszcze niemowlęciem - powiedziała cicho.

- Tak, ale... - Harry ruszył w stronę drzwi - nie wiem dlaczego, i nikt tego nie wie, więc nie mam z czego być dumny.

- Och, nie odchodź! - jęknęła Cho takim głosem, jakby miała znowu się rozpłakać. - Naprawdę, bardzo cię przepraszam, że tak się rozkleiłam... nie chciałam...

Znowu czknęła. Była ładna nawet wtedy, gdy miała zaczerwienione i zapuchnięte oczy. Harry poczuł się fatalnie. A tak liczył na zwykłe życzenia świąteczne...

- Ja wiem, że dla ciebie to musi być okropne - powiedziała, znowu ocierając oczy rękawem. - Ja sobie wspominam Cedrika, a przecież ty widziałeś, jak on zginął... Pewnie chcesz o tym zapomnieć...

Harry nic nie odpowiedział. To była prawda, ale nie miał serca tego przyznać.

- Wiesz, jesteś naprawdę świetnym nauczycielem - powiedziała Cho, uśmiechając się do niego przez łzy. - Przedtem jeszcze nigdy nie udało mi się nikogo oszołomić.

- Dzięki - bąknął Harry.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Harry miał straszną ochotę wybiec z pokoju, a jednocześnie nie był w stanie oderwać stóp od podłogi.

- Jemioła - powiedziała cicho Cho, wskazując na sufit nad jego głową.

- Aha - zgodził się Harry, czując, że kompletnie wyschło mu w ustach. - Pewnie roi się w niej od nargli.

- Co to są nargle?

- Nie mam pojęcia. - Cho przysunęła się bliżej. Wydawało mu się, że jego mózg został trafiony zaklęciem oszałamiającym. - Musisz zapytać Pomyluny. To znaczy Luny.

Cho wydała dziwny odgłos, coś pośredniego między szlochem a śmiechem. Była już tak blisko, że mógł policzyć piegi na jej nosie.

- Naprawdę cię lubię, Harry.

Nie był w stanie myśleć. Czuł dziwne mrowienie w całym ciele, paraliżujące ręce, nogi i mózg.

Była stanowczo za blisko. Widział łzy przyklejone do jej rzęs.

* * *

Wrócił do pokoju wspólnego pół godziny później i zastał Hermionę i Rona przy kominku; prawie wszyscy poszli już spać. Hermiona pisała jakiś bardzo długi list. Zapisała już połowę pergaminowego zwoju, który zwieszał się z jej stolika. Ron leżał na dywaniku przed kominkiem, próbując skończyć pracę domową z transmutacji.

- Co cię zatrzymało? - zapytał, kiedy Harry usiadł w fotelu obok Hermiony.

Harry nie odpowiedział. Był w stanie głębokiego szoku. Walczyły w nim jakby dwie osoby: jedna chciała powiedzieć Ronowi i Hermionie, co właśnie się wydarzyło, a druga chciała zabrać ten sekret do grobu.

- Harry, nic ci nie jest? - zapytała Hermiona, zerkając na niego znad końca pióra.

Harry wzruszył lekko ramionami. Prawdę mówiąc, sam nie wiedział, czy coś mu jest, a jeśli tak, to co.

- Co jest grane? - zapytał Ron, podnosząc się na łokciu, żeby lepiej widzieć Harry'ego. - Co się stało?

Harry nie miał pojęcia, jak im to powiedzieć, a zresztą nie był pewien, czy chce to uczynić. Właśnie postanowił, że jednak nic im nie powie, kiedy Hermiona wzięła sprawę w swoje ręce.

- Chodzi o Cho? - zapytała rzeczowym tonem. - Osaczyła cię po spotkaniu?

Harry'ego tak zatkało, że zdołał tylko kiwnąć głową. Ron parsknął śmiechem, ale natychmiast przestał, kiedy zobaczył spojrzenie Hermiony.

- No to... ee... czego ona chciała? - zapytał nieco kpiącym tonem.

- Ona... - zaczął Harry ochrypłym głosem, po czym odchrząknął i zaczął od nowa: - Ona... ee...

- Całowałeś się? - zapytała żywo Hermiona.

Ron usiadł tak szybko, że przewrócił kałamarz, który potoczył się po dywaniku. Nie zwracając na to najmniejszej uwagi, wbił wzrok w Harry'ego.

- No więc?

Harry spojrzał na Rona, na którego twarzy ciekawość walczyła z rozbawieniem, i na Hermionę, która nie miała najweselszej miny, i kiwnął głową.

- HA!

Ron wyrzucił w górę zaciśniętą pięść i ryknął tak głośnym, ochrypłym śmiechem, że kilku zalęknionych drugoroczniaków siedzących pod oknem aż podskoczyło. Harry zmusił się do uśmiechu, patrząc jak Ron tarza się po dywaniku. Hermiona obrzuciła Rona zdegustowanym spojrzeniem i wróciła do swojego listu.

- No i co? - zapytał w końcu Ron, patrząc na Hardego. - Jak było?

Harry zastanowił się przez chwilę.

- Mokro.

Ron wydał odgłos, który mógł oznaczać uciechę, ale równie dobrze mógł być wyrazem obrzydzenia.

- No bo płakała - dodał z westchnieniem Harry.

- Och... - Uśmiech Rona nieco przygasł. - Taki jesteś słaby w całowaniu?

- Czy ja wiem - odrzekł Harry, który do tej pory nie rozważał takiej możliwości, a teraz poczuł lekki niepokój. - Może.

- Wcale nie jesteś słaby w całowaniu - powiedziała Hermiona rzeczowym tonem, nadal pisząc swój list.

- A ty skąd wiesz? - zainteresował się Ron.

- Bo połowę ostatnich dni Cho spędziła na płaczu. Płacze podczas posiłków, w czasie wolnym, wszędzie.

- A wydawałoby się, że małe całowanko powinno ją trochę rozruszać - powiedział Ron, szczerząc zęby.

- Ron, jesteś najbardziej nieczułym draniem, jakiego miałam nieszczęście spotkać - oświadczyła Hermiona oficjalnym tonem, zanurzając koniec pióra w kałamarzu.

- O co ci znowu chodzi? - zaperzył się Ron. - Kto płacze, jak się z kimś całuje?

- No właśnie - powiedział Harry lekko zrozpaczonym tonem. - Kto?

Hermiona popatrzyła na nich z politowaniem.

- Czy wy nie rozumiecie, jak Cho się teraz czuje?

- Nie - odpowiedzieli jednocześnie Harry i Ron.

Hermiona westchnęła i odłożyła pióro.

- No więc, oczywiście, czuje się bardzo przygnębiona z powodu śmierci Cedrika. Po drugie, czuje się zakłopotana, bo lubiła Cedrika, a teraz lubi Harry'ego, i nie potrafi

odpowiedzieć sobie na pytanie, kogo bardziej. Po trzecie, czuje się winna, bo uważa, że całowanie się z Harrym jest obrazą pamięci Cedrika, a poza tym martwi ją, co powiedzą inni, jak zobaczą, że zaczyna chodzić z Harrym. No i prawdopodobnie jeszcze nie potrafi ocenić, co właściwie czuje do Harry'ego, bo Harry był z Cedrikiem, kiedy Cedrik zginął, więc to wszystko jest splątane i bolesne. Och... i jeszcze się boi, że ją wyrzucą z drużyny Krukonów, bo ostatnio fatalnie lata na miotle.

Po tym przemówieniu zapadło głuche milczenie, po czym Ron zauważył:

- Jedna osoba nie może czuć tego wszystkiego naraz, boby eksplodowała.

- To, że twoja wrażliwość uczuciowa mieści się w łyżeczce od herbaty, nie świadczy o tym, że wszyscy są tak upośledzeni - powiedziała złośliwie Hermiona i znowu chwyciła za pióro.

- Ona sama zaczęła - powiedział Harry. - Ja bym tego nie zrobił... ona po prostu się do mnie przysunęła... i nagle zaczęła mi szlochać... nie wiedziałem, co robić...

- Stary, przecież nikt cię nie wini - przerwał mu Ron, przerażony na samą myśl, że można mieć do kogoś pretensję o całowanie.

- Po prostu musiałeś być dla niej miły - powiedziała Hermiona, patrząc na niego z lekko zaniepokojoną miną. - i byłeś, prawda?

- No... - wybąkał Harry, czując wypieki na twarzy. - Ja ją... jakoś tak... poklepałem po plecach...

Hermiona wyglądała, jakby z trudnością powstrzymywała się od wymownego spojrzenia w sufit.

- Mogło być gorzej. Zamierzasz znowu się z nią spotkać?

- No pewnie - odrzekł Harry. - Przecież mamy spotkania GD, zapomniałaś?

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi! - prychnęła Hermiona.

Harry nic nie powiedział. Słowa Hermiony otworzyły przed nim całą gamę przerażających możliwości. Próbował sobie wyobrazić, jak idzie gdzieś z Cho... na przykład do Hogsmeade... i jest z nią sam na sam przez kilka godzin. Oczywiście po tym, co się stało, będzie oczekiwać, że ją gdzieś zaprosi... Kiedy o tym pomyślał, poczuł bolesny skurcz w żołądku.

- A zresztą... - mruknęła Hermiona, zabierając się ponownie do swojego listu - będziesz miał mnóstwo okazji, aby ją gdzieś zaprosić...

- A jeśli on wcale nie chce? - zapytał Ron, obserwując Harry'ego bardzo uważnie.

- Nie bądź głupi - rzuciła niedbale Hermiona. - Harry lubi ją od dawna, prawda, Harry?

Nie odpowiedział. Tak, lubił Cho od dawna, ale gdy wyobrażał sobie jakąś scenę z udziałem ich dwojga, Cho zawsze była bardzo zadowolona, nigdy nie szlochała w jego ramię.

- A w ogóle do kogo piszesz tę powieść? - zapytał Ron Hermionę, próbując odczytać kawałek pergaminu wlokący się już po podłodze.

Hermiona podciągnęła go tak, żeby nic nie było widać.

- Do Wiktora.

- Kruma?

- A ilu jeszcze znamy Wiktorów?

Ron nie odpowiedział, ale minę miał niezbyt zadowoloną. Siedzieli w milczeniu przez jakieś dwadzieścia minut; Ron kończył swoje wypracowanie na transmutację, co jakiś czas stękając, prychając i wykreślając całe zdania, Hermiona zapisała równo cały zwój pergaminu, po czym zwinęła go i zapieczętowała, a Harry gapił się w ogień, marząc o pojawieniu się w nim głowy Syriusza, który udzieliłby mu jakichś rad na temat dziewczyn. Ale płomienie tylko trzaskały, powoli wygasając, aż w końcu rozżarzone węgielki rozpadły się w popiół, a kiedy Harry rozejrzał się wokoło, zobaczył, że znowu zostali sami.

- No to dobranoc - powiedziała Hermiona, ziewając szeroko, i ruszyła na górę do sypialni dla dziewcząt.

- Co ona widzi w tym Krumie? - zapytał Ron, kiedy z Harrym wspinali się schodami do dormitoriów chłopców.

- Wiesz... - odrzekł powoli Harry, zastanawiając się nad tym problemem - on chyba jest starszy... no i jest znanym na całym świecie zawodnikiem quidditcha...

- No tak, ale co poza tym? - zapytał Ron dziwnie rozdrażnionym tonem. - To przecież jest burkliwy dupek, no nie?

- Trochę burkliwy to on jest - zgodził się Harry, myśląc wciąż o Cho.

W milczeniu zdjęli szaty i włożyli piżamy. Dean, Seamus i Neville już spali. Harry odłożył okulary na szafkę nocną i wszedł do łóżka, ale nie zaciągnął zasłon i zaczął się wpatrywać w skrawek rozgwieżdżonego nieba widoczny w oknie obok łóżka Neville'a. Gdyby o tej samej porze ubiegłej nocy wiedział, że w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin będzie całował Cho Chang...

- Branoc - mruknął Ron.

- Dobranoc.

Może następnym razem... jeśli dojdzie do tego następnego razu... Cho nie będzie już w tak podłym nastroju. Tak, trzeba się było z nią umówić, ona na pewno tego oczekiwała i teraz

jest na niego zła... A może leży w łóżku i wciąż opłakuje Cedrika? Nie wiedział, co o tym myśleć. Wyjaśnienia Hermiony jeszcze bardziej wszystko pogmatwały.

Tego właśnie powinni nas tutaj uczyć, pomyślał, odwracając się na bok. Jak pracuje mózg dziewczyny... W każdym razie byłoby to bardziej pożyteczne niż to całe wróżbiarstwo...

Neville chrząknął przez sen. Gdzieś za oknem rozległo się pohukiwanie sowy.

Harry'emu przyśniło się, że znowu jest w pokoju GD. Cho oskarżała go, że zwabił ją tam pod fałszywym pretekstem, że obiecał jej sto pięćdziesiąt kart z czekoladowych żab, jeśli przyjdzie. Harry zaprotestował... Cho krzyknęła: „Cedrik dał mi mnóstwo kart z czekoladowych żab, zobacz!" i wyciągnęła spod szaty pełne garście kart. Rzuciła je w powietrze, a potem zamieniła się w Hermionę, która powiedziała: „Obiecałeś jej, Harry, przecież o tym wiesz... Myślę, że powinieneś jej dać coś w zamian... Może Błyskawicę?" Więc Harry zaczął ją przekonywać, że nie może dać Cho Błyskawicy, bo Umbridge ją skonfiskowała, a zresztą to przecież śmieszne, przyszedł do pokoju GD tylko po to, żeby powiesić kilka bombek w kształcie głowy Zgredka...

Sen zmienił się...

Poczuł, że jego ciało staje się jakieś gładkie, silne i giętkie. Prześliznął się pomiędzy jakimiś lśniącymi metalowymi sztabami... Leżał płasko na zimnej, kamiennej posadzce, czołgając się na brzuchu... Było ciemno, ale dostrzegał wokół siebie jakieś obiekty, migocące dziwnymi, rozedrganymi barwami. Podniósł głowę... Na pierwszy rzut oka korytarz był pusty... ale nie... przed nim na posadzce siedział jakiś mężczyzna z podbródkiem opuszczonym na pierś... zarys jego postaci jaśniał w ciemności...

Harry wysunął język... Wyczuł zapach tego człowieka. Był żywy, ale pogrążony we śnie... siedział przed drzwiami na końcu korytarza...

Harry miał straszną ochotę ukąsić tego człowieka... Nie, musi się opanować... Ma coś ważniejszego do zrobienia...

Ale ów mężczyzna obudził się... srebrna peleryna opadła z jego nóg, gdy zerwał się nagle, a Harry zobaczył rozedrgany, zamazany zarys jego postaci, wznoszący się nad nim, dostrzegł różdżkę wyciągniętą zza pasa... Nie miał wyboru... Odbił się od podłogi i ukąsił go raz, drugi, trzeci, wbijając głęboko kły w jego ciało, miażdżąc mu żebra szczękami, czując w gardle ciepły strumień krwi...

Mężczyzna wył z bólu... a potem ucichł... osunął się po ścianie... krew tryskała na posadzkę...

Czoło przeszył mu ból... Ból straszny... za chwilę pęknie mu czaszka...

- Harry! HARRY!

Otworzył oczy. Jego ciało pokrywał lodowaty pot, koc i prześcieradło owinęły się wokół niego ciasno jak kaftan bezpieczeństwa, a głowę przeszywał ostry ból, jakby ktoś przyłożył mu do czoła rozpalony do białości pogrzebacz.

- Harry!

Ron stał nad nim z przerażoną miną. W nogach łóżka majaczyła jakaś inna postać. Ścisnął głowę rękami... ten ból go oślepiał... Przetoczył się na bok i zwymiotował ponad krawędzią materaca.

- On jest naprawdę chory - rozległ się czyjś przestraszony głos. - Może powinniśmy kogoś wezwać?

- Harry! HARRY!

Musi to powiedzieć Ronowi, to bardzo ważne...

Z trudem łapiąc powietrze, dźwignął się z powrotem na łóżko, modląc się w duchu, by już więcej nie wymiotować. Ból prawie go oślepiał.

- Twój tata... - wy dyszał. - Twój tata został... zaatakowany...

- Co? - zapytał zdezorientowany Ron.

- Twój tata! Został ukąszony, bardzo groźnie, tam było pełno krwi...

- Idę po pomoc - powiedział ten sam wystraszony głos i po chwili Harry usłyszał, jak ktoś wybiega z dormitorium.

- Harry - powiedział Ron niepewnym tonem - ty... ty po prostu miałeś sen...

- Nie! - oburzył się Harry. Ron musi go zrozumieć! - To nie był sen... nie taki zwykły sen... Ja tam byłem, ja to widziałem... Ja to ZROBIŁEM...

Słyszał, jak Seamus i Dean mruczą coś do siebie, ale nie dbał o to. Ból w skroni nieco ustępował, choć wciąż oblewał się potem i dygotał. Znowu zwymiotował i Ron zdążył odskoczyć w ostatniej chwili.

- Harry, coś ci jest - powiedział roztrzęsionym głosem. - Neville poszedł po pomoc...

- Nic mi nie jest! - wykrztusił Harry, ocierając sobie usta piżamą. Nie mógł opanować tego dygotania. - Nie martw się o mnie, martw się o swojego tatę... musimy wykryć, gdzie on jest... strasznie krwawi... ja byłem... to był olbrzymi wąż...

Chciał zejść z łóżka, ale Ron popchnął go z powrotem. Dean i Seamus wciąż szeptali gdzieś w pobliżu. Nie wiedział, czy minęła minuta, czy dziesięć minut, po prostu siedział tam, trzęsąc się i czując, jak ból bardzo powoli ustępuje... A potem na schodach rozległ się tupot czyichś stóp i znowu usłyszał głos Neville'a.

- Tutaj, pani profesor...

Do sypialni wpadła profesor McGonagall w szlafroku w szkocką kratę, z okularami przekrzywionymi na kościstym nosie.

- Co się stało, Potter? Gdzie cię boli?

Chyba jeszcze nigdy tak go nie ucieszył jej widok. Potrzebny był mu teraz członek Zakonu Feniksa, a nie ktoś załamujący nad nim ręce i podający mu bezużyteczne eliksiry.

- Chodzi o tatę Rona - powiedział, siadając na łóżku. - Został zaatakowany przez węża. To bardzo poważne, widziałem, jak to się stało.

- Widziałeś, jak to się stało? - powtórzyła profesor McGonagall, ściągając ciemne brwi. - W jaki sposób?

- Nie wiem... Spałem i nagle tam się znalazłem...

- To znaczy, że to ci się śniło?

- Nie! - zaprzeczył ze złością Harry. Czy nikt go nie zrozumie? - Miałem najpierw sen o czymś całkowicie innym, czymś głupim... a potem to przerwało ten sen. To było realne, ja sobie tego nie wyobraziłem, pan Weasley spał na posadzce i został zaatakowany przez olbrzymiego węża, tam było mnóstwo krwi, on zemdlał, ktoś musi go odnaleźć...

Profesor McGonagall patrzyła na niego z przerażeniem przez swoje przekrzywione okulary.

- Ja nie kłamię i nie zwariowałem! - krzyknął Harry. - Mówię pani, widziałem, jak to się stało!

- Wierzę ci, Potter - powiedziała krótko profesor McGonagall. - Nałóż szlafrok... idziemy do dyrektora.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI
SZPITAL ŚWIĘTEGO MUNGA

Harry poczuł ulgę, bo ktoś wreszcie potraktował go poważnie, więc bez wahania wyskoczył z łóżka, narzucił szlafrok i wcisnął na nos okulary.

- Weasley, ty też pójdziesz - powiedziała profesor McGonagall.

Poszli za nią do drzwi dormitorium, mijając milczące postacie Neville'a, Deana i Seamusa, potem spiralnymi schodami do pokoju wspólnego, przez dziurę pod portretem i oświetlonym blaskiem księżyca korytarzem Grubej Damy. W Harrym aż się gotowało, chciał biec, wzywać głośno Dumbledore'a. Oni idą sobie spokojnie, a tymczasem pan Weasley może się wykrwawić... A jeśli te kły (starał się za wszelką cenę nie myśleć: „moje kły") były jadowite? Minęli Panią Norris, która zwróciła na nich świecące jak latarnie oczy i cicho prychnęła, ale profesor McGonagall uciszyła ją krótkim: „Sioo!", więc znikła gdzieś w mroku. Po kilku minutach stanęli przed gargulcem strzegącym wejścia do gabinetu Dumbledore'a.

- Musy-świstusy - powiedziała profesor McGonagall.

Gargulec ożył i usunął się na bok, ściana za nim rozstąpiła się na dwie strony, ukazując kamienne spiralne stopnie, poruszające się w górę jak ruchome schody. Weszli na nie, ściana zamknęła się za nimi z głuchym łoskotem, a schody niosły ich spiralą w górę, aż do wypolerowanych dębowych drzwi z mosiężną kołatką w kształcie gryfona.

Chociaż było już dobrze po północy, z gabinetu dobiegał gwar, jakby Dumbledore przyjmował u siebie przynajmniej tuzin osób.

Profesor McGonagall zastukała trzykrotnie mosiężnym gryfonem i głosy nagle ucichły, jakby ktoś je wyłączył. Drzwi same się otworzyły i McGonagall wprowadziła Harry'ego i Rona do środka.

W pokoju panował półmrok. Na stolikach stały bezczynnie dziwne srebrne instrumenty, nie warcząc i nie wydzielając obłoczków pary, jak zwykle. Portrety dawnych dyrektorów i dyrektorek drzemały w swych ramach. Obok drzwi drzemał też na żerdzi wspaniały, czerwono-złoty ptak wielkości łabędzia, ukrywszy głowę pod skrzydłem.

- Ach, to pani, profesor McGonagall... i... och.

Dumbledore siedział za biurkiem na krześle z wysokim oparciem, wychylony do przodu w plamę blasku świec, oświetlających rozłożone przed nim papiery. Miał na sobie wspaniale haftowany, fioletowo-złoty szlafrok, a pod spodem śnieżnobiałą nocną koszulę, ale wyglądał na bardzo ożywionego. Jego przenikliwe jasnoniebieskie oczy utkwione były w profesor McGonagall.

- Panie profesorze, Potter miał... ee... nocny koszmar. Powiedział, że...

- To nie był nocny koszmar - przerwał jej szybko Harry.

Spojrzała na niego, marszcząc lekko czoło.

- A więc dobrze, Potter, sam opowiedz o tym panu dyrektorowi.

- Więc ja... no... spałem - wyjąkał Harry i mimo swego przerażenia i rozpaczliwej chęci przekazania wszystkiego Dumbledore'owi tak, aby zrozumiał powagę sytuacji, zdenerwował się nieco, widząc, że dyrektor wcale na niego nie patrzy, tylko przygląda się swoim splecionym palcom. - Ale to nie był zwykły sen... to się działo naprawdę... Widziałem, jak to się stało... - Wziął głęboki oddech. - Tata Rona... pan Weasley... został zaatakowany przez olbrzymiego węża.

Słowa zdawały się jeszcze wibrować w powietrzu, kiedy już je wypowiedział, trochę śmieszne, a nawet komiczne. Zapadło milczenie, w czasie którego Dumbledore odchylił się do tyłu i wpatrzył się w sufit. Ron spojrzał na Harry'ego, potem na Dumbledore'a. Twarz miał białą jak papier; najwyraźniej był wstrząśnięty tym, co usłyszał.

- Jak to widziałeś? - zapytał spokojnie Dumbledore, nadal nie patrząc na Harry'ego.

- Bo ja wiem - odrzekł Harry opryskliwym tonem. Co to miało do rzeczy? - Chyba w mojej głowie...

- Nie zrozumiałeś mnie - powiedział Dumbledore tym samym spokojnym głosem. - Chodzi mi o to... czy może pamiętasz... ee... gdzie stałeś, jak patrzyłeś na ten atak? Stałeś obok ofiary, czy może patrzyłeś na tę scenę z góry?

Było to tak dziwne pytanie, że Harry wytrzeszczył na niego oczy. Zupełnie jakby Dumbledore wiedział, że...

- Ja... to ja byłem tym wężem. Widziałem to wszystko oczami tego węża...

Przez chwilę zapanowała cisza, a potem Dumbledore zapytał zupełnie innym, ostrzejszym tonem, patrząc na Rona:

- Czy Artur jest poważnie ranny?

- TAK - odpowiedział z naciskiem Harry.

Dlaczego oni tak wolno myślą, czy nie zdają sobie sprawy, jak mocno krwawi ktoś, komu długie kły przebiły bok? I dlaczego Dumbledore nie raczy na niego spojrzeć?

Ale Dumbledore wstał tak szybko, że Harry aż podskoczył, i zwrócił się do jednego ze starych portretów wiszących pod sufitem.

- Everardzie! I ty, Dilys! - zawołał ostro.

Blady czarodziej z krótką czarną grzywką i starsza czarownica z długimi srebrnymi lokami w ramie obok niego, którzy zdawali się być pogrążeni w głębokim śnie, natychmiast otworzyli oczy.

- Słuchaliście? - zapytał Dumbledore.

Czarodziej kiwnął głową, a czarownica powiedziała:

- Oczywiście.

- Ten człowiek ma rude włosy i nosi okulary. Everardzie, będziesz musiał zarządzić alarm i upewnić się, że znajdą go właściwi ludzie...

Oboje kiwnęli głowami i przesunęli się do swoich ram, ale zamiast pojawić się w sąsiednich (jak to zwykle zdarzało się w Hogwarcie), żadne z nich w ogóle już się nie pojawiło; w jednej ramie nie było teraz nic prócz czarnej kurtyny, w drugiej widać było ładny skórzany fotel. Harry zauważył, że wielu byłych dyrektorów, choć chrapało i śliniło się bardzo przekonująco, przypatrywało mu się spod przymkniętych powiek, i nagle zrozumiał, skąd pochodził ten gwar, kiedy stanęli przed drzwiami.

- Everard i Dilys to najbardziej zasłużeni dyrektorzy Hogwartu - wyjaśnił Dumbledore, obchodząc Harry'ego, Rona i profesor McGonagall, i zbliżając się do cudownego ptaka śpiącego na żerdzi obok drzwi. - Ich sława jest tak wielka, że oboje mają swoje portrety w różnych innych ważnych instytucjach świata czarodziejów. A ponieważ mogą się przemieszczać między własnymi portretami, mogą nam powiedzieć, co się dzieje gdzie indziej.

- Ale pan Weasley może być wszędzie!

- Proszę, usiądźcie wszyscy troje - rzekł Dumbledore, jakby w ogóle Harry'ego nie usłyszał. - Everard i Dilys mogą wrócić za jakieś kilkanaście minut... Profesor McGonagall, czy mogłaby pani wyczarować jakieś dodatkowe krzesła?

Profesor McGonagall wyjęła różdżkę z kieszeni szlafroka, machnęła nią krótko i pojawiły się trzy drewniane krzesła z prostymi oparciami, zupełnie nie przypominające owego wygodnego, pokrytego perkalem fotela wyczarowanego przez Dumbledore'a podczas przesłuchania Harry'ego. Harry usiadł, obserwując przez ramię Dumbledore'a, który gładził jednym palcem złoty łebek Fawkesa. Feniks obudził się, wyprostował osadzoną na długiej szyi główkę i wpatrzył się w niego bystrymi, czarnymi oczami.

- W razie czego musisz nas ostrzec - powiedział cicho Dumbledore do ptaka.

Buchnął ogień i feniks zniknął.

Dumbledore chwycił teraz jeden z owych dziwnych instrumentów, których funkcji Harry dotąd nie poznał, przeniósł go na biurko, usiadł i stuknął weń delikatnie różdżką.

Instrument natychmiast się ożywił, wydając z siebie rytmiczne, brzęczące dźwięki. Z maleńkiej srebrnej tuby na szczycie zaczęły się wydobywać obłoczki bladozielonego dymu. Dumbledore obserwował je uważnie z najeżonymi brwiami i po kilku sekundach obłoczki zamieniły się w smugę dymu, która gęstniała i wiła się w powietrzu... Z jej końca wyrosła głowa węża z otwartą szeroko paszczą. Harry zaczął się zastanawiać, czy instrument potwierdza jego opowieść. Spojrzał żywo na Dumbledore'a, aby sprawdzić, czy ma rację, ale dyrektor nie podniósł głowy.

- Oczywiście, oczywiście - mruknął, najwyraźniej do siebie, wciąż obserwując smugę dymu bez śladu zaskoczenia. - Ale w istocie podzielony?

Harry nie miał pojęcia, jaki jest sens tego pytania. Wąż rozdzielił się teraz na dwa węże, oba wijące się i falujące w powietrzu. Na twarzy Dumbledore'a pojawił się wyraz ponurej satysfakcji. Ponownie stuknął różdżką w instrument i buczące dźwięki najpierw spowolniały, potem ucichły zupełnie, a wężowate smugi dymu zamieniły się w bezkształtną mgiełkę i znikły.

Dumbledore odstawił instrument na stolik. Harry zauważył, że wielu byłych dyrektorów na portretach obserwuje go ukradkiem; kiedy spostrzegli, że Harry to widzi, pospiesznie zamknęli powieki, udając, że śpią. Chciał zapytać, do czego służy ów dziwny srebrny instrument, ale zanim zdążył otworzyć usta, gdzieś spod sufitu, na prawo od niego, rozległo się wołanie. To czarodziej Everard pojawił się ponownie w swojej ramie, lekko zadyszany.

- Dumbledore!

- Jakie wieści?

- Wrzeszczałem, aż ktoś nadbiegł - odpowiedział czarodziej, ocierając sobie czoło wiszącą za nim kurtyną. - Powiedziałem, że usłyszałem jakiś ruch na dole... nie wiedzieli, czy mi uwierzyć, ale poszli na dół sprawdzić... Jak wiesz, na dole nie ma portretów, żeby sobie popatrzeć. W każdym razie po kilku minutach przynieśli go na górę. Nie wygląda dobrze, cały jest we krwi. Kiedy odeszli, pobiegłem do portretu Elfridy Cragg, żeby mieć lepszy widok...

- Dobrze - powiedział Dumbledore, a Ron drgnął konwulsyjnie. - Myślę, że Dilys zobaczy, jak go tam sprowadzą...

W chwilę później pojawiła się również w swych ramach czarownica ze srebrnymi lokami. Opadła, kaszląc, na fotel i powiedziała:

- Tak, zabrali go do Świętego Munga... Przenosili go pod moim portretem... Źle wygląda...

- Dziękuję ci - rzekł Dumbledore i spojrzał na profesor McGonagall.

- Minerwo, chciałbym, żebyś obudziła pozostałe dzieci Weasleya.

- Oczywiście...

McGonagall wstała i szybko podeszła do drzwi. Harry spojrzał z ukosa na Rona, który miał przerażoną minę.

- Panie profesorze... a co z Molly? - zapytała profesor McGonagall, zatrzymując się przy drzwiach.

- To będzie zadanie dla Fawkesa, kiedy już skończy wypatrywać, czy nikt się nie zbliża. Ale myślę, że ona już wie... Ten jej wspaniały zegar...

Harry zrozumiał, że Dumbledore mówi o zegarze, który wskazuje nie czas, ale miejsce pobytu i stan różnych członków rodziny Weasleyów, i poczuł ukłucie bólu, gdy pomyślał, że wskazówka pana Weasleya musi teraz wskazywać „śmiertelne zagrożenie". Ale jest tak późno... Pani Weasley chyba śpi, a nie wpatruje się w zegar... I poczuł zimny dreszcz, kiedy sobie przypomniał bogina pani Weasley zamieniającego się w ciało pana Weasleya, leżącego bez oznak życia, z przekrzywionymi okularami, z krwią ściekającą mu po twarzy... Ale przecież pan Weasley nie umrze... to niemożliwe...

Dumbledore grzebał teraz w szafce za plecami Harry'ego i Rona. Wrócił, niosąc poczerniały stary czajnik, który postawił ostrożnie na biurku. Podniósł różdżkę i mruknął: „*Portus*". Czajnik zadygotał, rozjarzył się dziwnym niebieskim światłem, po czym znieruchomiał, czarny jak uprzednio.

Dumbledore podszedł do innego portretu, tym razem przedstawiającego czarodzieja o chytrej twarzy i spiczastej brodzie, ubranego w zielono-srebrne szaty Slytherinu. Wszystko wskazywało na to, że spał mocno, bo kiedy Dumbledore'a wezwał go po imieniu, nawet nie drgnął.

- Fineasie. Fineasie!

Teraz postacie z portretów przestały już udawać, że śpią, i poruszyły się w swych ramach, żeby lepiej widzieć, co się dzieje. Kiedy czarodziej nadal nie otwierał oczu, niektóre zaczęły również wykrzykiwać jego imię.

- Fineasie! Fineasie! FINEASIE!

Dłużej już nie mógł udawać. Ocknął się teatralnie i otworzył szeroko oczy.

- Ktoś mnie wołał?

- Chcę, żebyś odwiedził swój drugi portret, Fineasie - powiedział Dumbledore. - Dostałem nową wiadomość.

- Żebym odwiedził mój drugi portret? - powtórzył Fineas piskliwym głosem i udał, że długo ziewa (jego oczy omiotły pokój i zatrzymały się na Harrym). - Och, nie, Dumbledore, jestem zbyt zmęczony...

Harry odniósł wrażenie, że gdzieś już słyszał ten głos. Gdzie mógł go słyszeć? Ale zanim to sobie przypomniał, portrety na ścianach wybuchły zbiorowym oburzeniem.

- Niesubordynacja, sir! - zagrzmiał korpulentny czarodziej z czerwonym nosem, wymachując pięściami. - Lekceważenie obowiązków!

- Honor nakazuje nam udzielać wszelkiej pomocy obecnemu dyrektorowi Hogwartu! - zawołał wątły staruszek, w którym Harry rozpoznał poprzednika Dumbledore'a, Armanda Dippeta. - Wstydź się, Fineasie!

- Dumbledore, mam go przekonać? - zapytała czarownica o świdrujących oczach, podnosząc niezwykle grubą różdżkę, przypominającą brzozową gałąź.

- Och, dobrze już, dobrze - rzekł czarodziej nazywany Fineasem, zerkając z pewnym respektem na różdżkę - chociaż mógł już dawno zniszczyć mój portret, jak to zrobił z większością rodziny...

- Syriusz wie, że nie może zniszczyć twojego portretu - powiedział Dumbledore i Harry przypomniał sobie, gdzie słyszał głos Fineasa: wydobywał się z pustych ram w jego sypialni przy Grimmauld Place. - Masz mu zanieść wiadomość, że Artur Weasley został ciężko ranny i że jego żona, dzieci i Harry Potter wkrótce przybędą do jego domu. Zrozumiałeś?

- Artur Weasley ranny, żona, dzieci i Harry Potter przybywają - wyrecytował Fineas znudzonym głosem. - Tak, tak... no cóż... dobrze...

Przesunął się ku ramie i zniknął w tym samym momencie, w którym drzwi gabinetu ponownie się otworzyły. Profesor McGonagall wprowadziła Freda, George'a i Ginny. Wszyscy troje byli rozczochrani i zszokowani, nadal w nocnych strojach.

- Harry... co się dzieje? - zapytała Ginny z przerażoną miną. - Profesor McGonagall mówi, że widziałeś, jak zraniono tatę...

- Wasz ojciec został ranny podczas wypełniania zadania dla Zakonu Feniksa - powiedział Dumbledore, zanim Harry zdążył jej odpowiedzieć. - Przeniesiono go do Kliniki Magicznych Chorób i Urazów Szpitala Świętego Munga. Wysyłam was z powrotem do domu Syriusza, bardziej się nadaje na szpital niż Nora. Spotkacie się tam ze swoją matką.

- Jak się tam dostaniemy? - zapytał Fred, wyraźnie wstrząśnięty. - Proszek Fiuu?

- Nie. Proszek Fiuu nie jest teraz bezpiecznym środkiem lokomocji, bo Sieć jest pod obserwacją. Weźmiecie świstoklik. - Wskazał na stary czajnik, stojący niewinnie na jego

biurku. - Czekamy tylko na powrót Fineasa Nigellusa z wiadomościami... Chcę być pewny, że wszystko jest w porządku, zanim was tam wyślę...

W samym środku gabinetu buchnął ogień, pozostawiając po sobie jedno złote piórko, które spłynęło łagodnie na podłogę.

- Ostrzeżenie od Fawkesa - powiedział Dumbledore, podnosząc piórko. - Chyba się dowiedziała, że was nie ma w łóżkach... Minerwo, idź i zatrzymaj ją... wymyśl coś...

Profesor McGonagall wyszła, szeleszcząc swym kraciastym szlafrokiem.

- Mówi, że będzie zachwycony - rozległ się znudzony głos za plecami Dumbledore'a: to czarodziej Fineas pojawił się przed sztandarem Slytherinu. - Mój praprawnuk miał zawsze niewybredny gust, jeśli chodzi o gości...

- Podejdźcie - zwrócił się Dumbledore do Harry'ego i Weasleyów. - Szybko, zanim ktoś przyjdzie...

Harry i Weasleyowie stanęli wokół biurka.

- Wszyscy używaliście już przedtem świstoklika? - zapytał Dumbledore, a oni kiwnęli głowami i wyciągnęli ręce, by dotknąć poczerniałego czajnika. - Dobrze. Liczę do trzech... Raz... dwa...

To się stało w ułamku sekundy: zanim Dumbledore powiedział: „trzy", Harry na niego spojrzał - byli bardzo blisko siebie - i czyste, błękitne oczy Dumbledore'a przeniosły się ze świstoklika na Harry'ego.

Poczuł przenikliwy ból w czole, jakby bliznę przeszył mu rozgrzany do białości pręt, a stara rana otworzyła się na nowo. Ogarnęła go fala nieokiełznanej, niechcianej, ale straszliwie silnej nienawiści, tak zajadłej, że zapragnął ugodzić - ukąsić - zatopić kły w stojącym przed nim mężczyźnie...

- ...TRZY

Poczuł mocne szarpnięcie w okolicach pępka, podłoga uciekła mu spod stóp, dłoń przywarła do kociołka; obijając się o innych, mknął z nimi wśród wirowania barw i świstu wiatru, ciągnięty przez czajnik, aż...

Uderzył stopami w coś twardego tak mocno, że kolana się pod nim ugięły i upadł na nie, czajnik trzasnął z hukiem w podłogę, a jakiś głos tuż przy nim powiedział:

- Znowu tu są te bachory, zdrajcy własnej krwi, czy to prawda, że ich ojciec umiera...?

- PRECZ! - zagrzmiał drugi głos.

Harry dźwignął się na nogi i rozejrzał. Przybyli do ponurej kuchni domu numer dwanaście przy Grimmauld Place. W nikłym świetle paleniska i kapiącej świecy zobaczył resztki kolacji dla jednej osoby. Stworek znikał w drzwiach prowadzących do przedpokoju,

zerkając na nich ze złością przez ramię i podciągając przepaskę na biodrach. Syriusz biegł już ku nim z zaniepokojoną miną. Był nieogolony i wciąż w dziennym stroju, a kiedy się zbliżył, zapachniało przetrawionym trunkiem, którym zwykle cuchnął Mundungus.

- Co się dzieje? - zapytał, wyciągając rękę, by podnieść Ginny. - Fineas Nigellus powiedział mi, że Artur jest ciężko ranny...

- Zapytaj Harry'ego - powiedział Fred.

- Tak, ja też chcę to usłyszeć - dodał George.

Bliźniacy i Ginny utkwili w Harrym wzrok. Na schodach ucichły nagle kroki Stworka.

- To było... - zaczął Harry i urwał, bo to było gorsze od opowiedzenia wszystkiego McGonagall i Dumbledore'owi. - Miałem... coś w rodzaju... wizji...

I opowiedział im, co zobaczył, chociaż zmienił trochę wersję, tak jakby patrzył na to wszystko z boku, a nie oczami węża... Ron, wciąż blady jak papier, obrzucił go szybkim spojrzeniem, ale nic nie powiedział. Kiedy skończył, Fred, George i Ginny wpatrywali się w niego jeszcze przez chwilę. Nie wiedział, czy mu się tylko zdawało, czy tak było w rzeczywistości, ale miał dziwne uczucie, że w ich spojrzeniach czai się oskarżenie. Jeśli chcą go obwiniać za to, że był po prostu świadkiem napaści na ich ojca, to chyba dobrze zrobił, nie mówiąc im, że patrzył na to wszystko oczami węża...

- Mama tu jest? - zapytał Fred, zwracając się do Synusza.

- Prawdopodobnie nawet jeszcze nie wie, co się stało - odrzekł Syriusz. - Trzeba było przede wszystkim zabrać was stamtąd, zanim Umbridge mogłaby się wmieszać. Myślę, że Dumbledore zadba o to, by powiadomić Molly.

- Musimy udać się do Świętego Munga - oznajmiła nagle Ginny. Spojrzała na swoich braci: wszyscy byli wciąż w piżamach. - Syriuszu, mógłbyś nam pożyczyć płaszcze czy coś...

- Daj spokój, przecież nie możecie się stąd ruszać! - przerwał jej Syriusz.

- Ależ oczywiście możemy, jeśli zechcemy - powiedział Fred buntowniczym tonem. - To nasz ojciec!

- A jak zamierzacie im wytłumaczyć, skąd wiecie, że Artur został zaatakowany, skoro szpital jeszcze nie powiadomił o tym jego żony?

- A jakie to ma znaczenie? - zaperzył się George.

- A takie, że nie chcemy zwracać uwagi wszystkich na fakt, że Harry widzi to, co się dzieje setki mil od niego! - odpowiedział ze złością Syriusz. - Czy wy w ogóle macie jakieś pojęcie, co dla ministerstwa znaczyłaby taka informacja?

Fred i George mieli takie miny, jakby ich w ogóle nie obchodziło, czy coś dla ministerstwa znaczy, czy nie znaczy. Ron wciąż był blady jak ściana i milczał.

- Mógł nam powiedzieć ktoś inny... Mogliśmy to usłyszeć nie od Harry'ego...

- A od kogo? - żachnął się Syriusz. - Zrozumcie, wasz ojciec został ranny podczas wykonywania zadania dla Zakonu, cała sprawa i tak już śmierdzi z daleka, a wy chcecie jeszcze wszystko pogorszyć, trąbiąc naokoło, że jego dzieci wiedziały o wypadku już po paru sekundach. Możecie poważnie zaszkodzić Zakonowi...

- Mamy w nosie cały ten głupi Zakon! - krzyknął Fred.

- Mówimy o naszym umierającym ojcu! - ryknął George.

- Wasz ojciec wiedział, co mu grozi, i na pewno nie byłby wam wdzięczny za szkodzenie Zakonowi! - odpowiedział rozjuszony Syriusz. - Tak to jest... właśnie dlatego nie jesteście w Zakonie... bo nie rozumiecie... że są rzeczy, za które warto umrzeć!

- Łatwo ci to mówić, skoro tkwisz tu jak kołek! - ryknął Fred. - Jakoś nie widzę, żebyś nadstawiał karku!

Resztki rumieńca spełzły z twarzy Syriusza. Przez chwilę wyglądał tak, jakby chciał Freda uderzyć, ale kiedy znowu przemówił, głos miał spokojny.

- Wiem, że to niełatwe, ale wszyscy musimy działać tak, jakbyśmy jeszcze o niczym nie wiedzieli. Musimy siedzieć cicho, w każdym razie do czasu, gdy dostaniemy wiadomość od waszej matki. Zgoda?

Fred i George wciąż mieli buntownicze miny, natomiast Ginny podeszła do najbliższego krzesła i opadła na nie. Harry spojrzał na Rona, który zrobił dziwny gest, coś pośredniego między kiwnięciem głową, a wzruszeniem ramion, po czym też usiadł. Bliźniacy popatrzyli spode łba na Syriusza i zajęli miejsca po obu stronach Ginny.

- No, już lepiej - powiedział Syriusz raźniejszym tonem. - Wiecie co... a może byśmy... może byśmy napili się, czekając? *Accio piwo kremowe!*

Uniósł różdżkę i ze spiżarni przyleciało pół tuzina butelek, które wylądowały na stole, ślizgając się po nim, rozrzucając resztki kolacji Syriusza i zatrzymując zgrabnie przed każdym z nich. Wszyscy zaczęli popijać i przez chwilę słychać było tylko trzaskanie ognia w palenisku i głuche postukiwanie odstawianych na stół butelek.

Harry pił tylko dlatego, żeby zająć czymś ręce. Brzuch miał wypełniony palącym poczuciem winy. Nie byłoby ich tutaj, gdyby nie on, do tej pory spaliby spokojnie w swoich łóżkach. I nic nie pomagało mówienie sobie, że pana Weasleya znaleziono tylko dzięki alarmowi, który podniósł, bo zaraz dawała o sobie znać ta straszna myśl, że to przecież on sam go zaatakował...

Nie bądź głupi, powtarzał sobie w duchu, starając się zachować spokój, choć ręka, którą trzymał butelkę, drżała lekko. Leżałeś w łóżku, nikogo nie zaatakowałeś...

Ale co się stało w gabinecie Dumbledore'a? Przecież przez chwilę i na niego chciał się rzucić...

Odstawił butelkę trochę gwałtowniej, niż zamierzał, tak że płyn prysnął na stół. Nikt nie zwrócił na to uwagi. A potem wybuch ognia w powietrzu oświetlił brudne talerze przed nimi i kiedy krzyknęli ze strachu, na stół spadł z trzaskiem zwitek pergaminu, a obok niego spłynęło złote pióro z ogona feniksa.

- Fawkes! - ucieszył się Syriusz, chwytając pergamin. - To nie jest pismo Dumbledore'a... to musi być wiadomość od waszej matki... proszę...

Wcisnął pergamin w rękę George'a, który rozwinął go i przeczytał na głos:

Tata wciąż żyje. Wybieram się teraz do Świętego Munga. Siedźcie tam, gdzie jesteście. Jak tylko będę mogła, przyślę wam wiadomość. Mama

George spojrzał po wszystkich.

- Wciąż żyje... - powiedział powoli. - Ale to brzmi, jakby...

Nie musiał kończyć zdania. Harry też zrozumiał to tak, jakby pan Weasley był zawieszony między życiem a śmiercią. Ron, wciąż bardzo blady, wpatrywał się w list od matki, jakby oczekiwał, że pergamin przemówi, aby go pocieszyć. Fred wyciągnął list z rąk George'a i sam przeczytał, a potem spojrzał na Harry'ego, który poczuł, że ręka znowu mu drży, więc zacisnął ją mocno na butelce kremowego piwa.

Jeśli nawet Harry przeżył kiedykolwiek tak długą noc, to tego nie pamiętał. Syriusz zaproponował, żeby wszyscy poszli spać, ale zrobił to bez przekonania, a jedyną odpowiedzią Weasleyów były miny pełne oburzenia. Tak więc siedzieli w milczeniu przy stole, patrząc, jak świeca zapada się coraz niżej w roztopiony wosk, i co jakiś czas podnosili do warg butelki. Rzadko się odzywali, głównie po to, by zapytać o godzinę, rzucić retoryczne pytanie, co się teraz może dziać, i zapewnić jeden drugiego, że gdyby coś się stało, już by o tym wiedzieli, bo pani Weasley musiała już dawno przybyć do Szpitala Świętego Munga.

Fred zapadł w drzemkę, przechyliwszy głowę na ramię. Ginny zwinęła się na krześle jak kot, ale oczy miała otwarte; Harry widział w nich odbicie ognia z paleniska. Ron siedział z głową ukrytą w dłoniach, więc trudno było powiedzieć, czy śpi, czy czuwa. A Harry i Syriusz spoglądali na siebie może zbyt często - intruzi w pogrążonej w żalu rodzinie - i czekali... czekali...

Aż wreszcie, gdy zegarek Rona wskazywał dziesięć po piątej, drzwi otworzyły się na oścież i pani Weasley wkroczyła do kuchni. Była bardzo blada, ale kiedy wszyscy się do niej odwrócili, podnosząc się z krzeseł - obdarzyła ich wątłym uśmiechem.

- Jakoś się z tego wyliże - powiedziała głosem słabym ze zmęczenia. - Śpi. Wszyscy możemy pójść go zobaczyć, ale później. Teraz czuwa przy nim Bill, weźmie sobie wolne przed południem.

Fred opadł na krzesło, zakrywając twarz rękami. George i Ginny wstali i podeszli do matki, żeby ją uścisnąć. Ron roześmiał się dziwnie i wypił resztkę piwa jednym haustem.

- Śniadanie! - rzucił Syriusz wesołym tonem, zrywając się na nogi. - Gdzie jest ten przeklęty skrzat? Stworek! STWOREK!

Ale Stworek nie raczył odpowiedzieć na wezwanie.

- Ach, dajmy sobie z nim spokój - mruknął Syriusz, licząc wszystkich. - Więc śniadanie na... zaraz... siedem osób. Może jajka na bekonie, herbata, trochę tostów...

Harry rzucił się do pomocy. Nie chciał swoją osobą zakłócać szczęścia Weasleyów i lękał się chwili, kiedy pani Weasley zapyta go o jego widzenie. Zaledwie jednak wyjął talerze z kredensu, wyjęła mu je z rąk i przytuliła go do siebie.

- Nie wiem, co by się stało, gdyby nie ty, Harry - powiedziała stłumionym głosem. - Mógłby tam leżeć godzinami, zanim ktoś by go odnalazł, a wtedy mogłoby już być za późno... Ale dzięki tobie żyje, a Dumbledore coś wymyślił, żeby wytłumaczyć, dlaczego Artur tam był, nie masz pojęcia, jakie by miał kłopoty, wystarczy pomyśleć o biednym Sturgisie...

Harry z trudem znosił jej wdzięczność, ale na szczęście szybko wypuściła go z objęć i zwróciła się do Syriusza, żeby mu podziękować za opiekę nad dziećmi przez całą noc. Syriusz odpowiedział, że zrobił to z wielką przyjemnością i że z jeszcze większą przyjemnością będzie ich wszystkich gościł w swoim domu podczas pobytu pana Weasleya w szpitalu.

- Och, Syriuszu, jestem ci taka wdzięczna... Mówią, że trochę tam pobędzie, a stąd jest o wiele bliżej... Tylko że... to może oznaczać, że zostaniemy tu na Boże Narodzenie...

- Wspaniale! - krzyknął Syriusz tak szczerze, że pani Weasley uśmiechnęła się do niego, szybko zawiązała fartuch i zaczęła pomagać w przygotowaniu śniadania.

- Syriuszu - mruknął Harry, nie mogąc już dłużej wytrzymać. - Mogę cię prosić na słówko? Ee... w tej chwili?

Wszedł do ciemnej spiżarni, a Syriusz za nim. Bez zbędnego wstępu opowiedział ojcu chrzestnemu swoje widzenie ze wszystkimi szczegółami, nie przemilczając, że to on był wężem, który zaatakował pana Weasleya.

Kiedy umilkł, by odetchnąć, Syriusz zapytał:

- Mówiłeś o tym Dumbledore'owi?

- Tak - odrzekł niecierpliwie Harry - ale nie powiedział mi, co to oznacza. Zresztą w ogóle się do mnie nie odzywa...

- Jestem pewny, że gdyby było w tym coś niepokojącego, toby ci powiedział.

- Ale to nie wszystko - dodał Harry prawie szeptem. - Syriuszu... ja... ja chyba wariuję... W gabinecie Dumbledore'a, tuż przed tym, jak dotknęliśmy świstoklika... przez parę sekund wydawało mi się, że jestem wężem... czułem się wężem... i blizna mnie strasznie rozbolała, jak spojrzałem na Dumbledore'a... i... Syriuszu, ja go chciałem zaatakować...

Widział tylko zarys twarzy Syriusza, reszta była pogrążona w mroku.

- To musiał być jakiś refleks tej wizji i tyle - powiedział Syriusz. - Wciąż rozmyślałeś o tym śnie, czy co to tam było i...

- Nie, to nie to - odrzekł Harry, kręcąc głową. - To było tak, jakby coś we mnie wyrosło, jakby we mnie był wąż...

- Musisz się wyspać - powiedział stanowczo Syriusz. - Zjesz śniadanie i pójdziesz do łóżka, a jak się prześpisz, to po drugim śniadaniu razem ze wszystkimi odwiedzisz Artura. Harry, jesteś w szoku, oskarżasz się o coś, czego byłeś tylko świadkiem, i całe szczęście, że nim byłeś, bo Artur mógł się tam wykrwawić na śmierć. Po prostu przestań się tym zamartwiać...

Poklepał go po ramieniu i wyszedł ze spiżarni, a Harry został sam w ciemności.

* * *

Przez resztę przedpołudnia wszyscy spali. Wszyscy - prócz Harry'ego. Poszedł na górę do sypialni, którą latem dzielił z Ronem, ale gdy Ron wpełzł do łóżka i chrapał już po kilku minutach, Harry nawet się nie rozebrał, tylko usiadł, oparty o zimne pręty łóżka. Bał się zasnąć, żeby znowu nie stać się we śnie wężem, a po przebudzeniu nie stwierdzić, że zaatakował Rona albo kogoś innego...

Kiedy Ron się obudził, Harry udał, że i on porządnie się wyspał. Podczas gdy jedli drugie śniadanie, z Hogwartu przybyły ich kufry, więc wybierając się do Szpitala Świętego Munga, mogli się przebrać w mugolskie ubrania. Wszyscy prócz Harry'ego byli w dobrych humorach i paplali wesoło, przebierając się w dżinsy i bluzy. Powitali ze śmiechem Tonks i Szalonookiego, którzy pojawili się, by ich przeprowadzić przez Londyn. Ogólną wesołość

wzbudził melonik Moody'ego, założony tak, aby zakrył jego magiczne oko; kpili sobie, że Tonks, która znowu miała krótkie różowe włosy, będzie w metrze zwracała o wiele mniejszą uwagę niż on.

Tonks bardzo interesowała wizja Harry'ego, co go irytowało, bo nie miał ochoty o niej mówić.

- Ale w twojej rodzinie nie było jasnowidzów, prawda? - zapytała z ciekawością, kiedy siedzieli obok siebie w hałaśliwym pociągu, wiozącym ich do centrum Londynu.

- Nie - odrzekł Harry. Przypomniał sobie profesor Trelawney i poczuł się trochę urażony.

- No tak... Zresztą w twoim przypadku to chyba nie jest dar prorokowania, co? Bo ty nie widzisz przyszłości, tylko teraźniejszość... Dziwne, prawda? Ale pożyteczne...

Harry nie odpowiedział. Na szczęście wysiadali na następnej stacji, w samym sercu Londynu, i w zamieszaniu przy wysiadaniu z wagonu pozwolił, by wyprzedzili go Fred i George, oddzielając od Tonks. Pojechali za nią schodami ruchomymi w górę, Tonks na przedzie, Moody z tyłu grupy, w meloniku nasuniętym na czoło, z sękatą dłonią wsuniętą między guziki płaszcza, pod którym ściskał różdżkę. Harry czuł, że magiczne oko Moody'ego wciąż bacznie mu się przygląda, a chcąc uniknąć pytań na temat swojej wizji, zapytał go, gdzie jest ukryty Szpital Świętego Munga.

- Niedaleko stąd - mruknął Moody, kiedy wyszli na mroźne powietrze, na szeroką ulicę z mnóstwem sklepów, zatłoczoną ludźmi robiącymi świąteczne zakupy. Popchnął Harry'ego przed siebie, kuśtykając tuż za nim i zapewne tocząc wokoło okiem ukrytym pod rondem melonika. - Nie było łatwo znaleźć dobre miejsce na szpital. Przy Pokątnej nie ma tak dużych domów, a nie mogliśmy umiejscowić go pod ziemią, jak ministerstwo, ze względów zdrowotnych. W końcu udało się nabyć odpowiedni budynek tutaj. Założenie było takie, że chorzy czarodzieje będą mogli wchodzić i wychodzić, mieszając się z tłumem...

Chwycił Harry'ego za ramię, żeby ich nie rozdzieliła grupka ludzi, zmierzających prosto do pobliskiego sklepu z narzędziami elektrycznymi.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł chwilę później.

Stanęli przed dużym, staroświeckim domem handlowym. Zbudowany był z czerwonej cegły, a nad drzwiami widniał ledwo czytelny napis: „Purge & Dowse Ltd". Nie wyglądał zachęcająco: w oknach wystawowych straszyło kilka podniszczonych manekinów w przekrzywionych perukach, prezentujących modę sprzed przynajmniej dziesięciu lat. Wielkie napisy na wszystkich zakurzonych drzwiach głosiły: ZAMKNIĘTE Z POWODU

REMONTU. Harry dosłyszał, jak przechodząca obok nich tęga kobieta, obładowana plastikowymi torbami, mówi do swojej towarzyszki: „Tu wiecznie jest zamknięte".

- W porządku - powiedziała Tonks, pokazując im gestem, by stanęli przed oknem wystawowym z tylko jednym, wyjątkowo brzydkim manekinem kobiety z odpadającymi sztucznymi rzęsami, reklamującym zielony nylonowy fartuch. - Wszyscy gotowi?

Kiwnęli głowami, otaczając ją ciasnym kręgiem. Moody znowu szturchnął Harry'ego w plecy, wypychając go naprzód, a Tonks prawie przywarła do szyby, spojrzała na obrzydliwy manekin i powiedziała, zasnuwając szybę parą:

- Cześć... Przyszliśmy do Artura Weasleya.

Harry pomyślał, że Tonks ma jednak naprawdę bzika, skoro na ulicy pełnej ryczących autobusów i zgiełku tysięcy ludzi robiących zakupy przemawia do manekina przez grubą szybę. Potem uświadomił sobie, że manekiny i tak niczego nie słyszą. W następnej chwili ze zdumienia otworzył usta, bo manekin lekko kiwnął głową i jednym palcem, a Tonks chwyciła Ginny i panią Weasley pod ramię, przeszła z nimi przez szybę i znikła.

Za nimi przez szybę przeszli Fred, George i Ron. Harry rozejrzał się ukradkiem po ulicy. Żaden z przepychających się przez tłum przechodniów nie zadał sobie trudu, by popatrzeć na obrzydliwe wystawy w domu „Purge & Dowse Ltd", nikt też chyba nie zauważył, że sześć osób nagle rozpłynęło się w powietrzu.

- Ruszaj - mruknął Moody, jeszcze raz szturchając Harry'ego w plecy. Razem przeszli przez coś, co przypominało cienką warstwę zimnej wody, i wyłonili się z niej po drugiej stronie w stanie suchym i nienaruszonym.

Po wystawie z obrzydliwym manekinem nie było śladu. Znaleźli się w zatłoczonej izbie przyjęć z rzędami kulawych krzeseł, na których siedziało mnóstwo czarownic i czarodziejów. Niektórzy wyglądali zupełnie normalnie i przeglądali stare numery „Czarownicy", natomiast inni byli okropnie zdeformowani: jedni mieli, na przykład, trąby, jak słonie, drudzy dodatkowe ręce sterczące im z piersi. Panował tu prawie taki sam zgiełk, jak na ulicy, bo wielu pacjentów wydawało dziwne odgłosy. Z ust spoconej czarownicy, siedzącej pośrodku pierwszego rzędu krzeseł i wachlującej się energicznie egzemplarzem „Proroka Codziennego", wydobywał się donośny gwizd wraz z strumieniem pary, a niechlujny mag w rogu dzwonił głucho za każdym razem, kiedy się poruszył, trzęsąc tak okropnie głową, że musiał się łapać za uszy, żeby ją unieruchomić.

Wzdłuż rzędów krzeseł krążyli czarodzieje i czarownice w żółtozielonych szatach, zadając pacjentom pytania i notując coś na podkładkach podobnych do tej, z którą nie

rozstawała się Umbridge. Harry zauważył, że na piersiach mają wyszyte emblematy: kość skrzyżowaną z różdżką.

- To są doktorzy? - zapytał cicho Rona.

- Doktorzy? - powtórzył zaskoczony Ron. - Masz na myśli tych pokręconych mugoli, którzy patroszą ludzi? Nie, to są uzdrowiciele.

- Tutaj! - zawołała do nich pani Weasley, przekrzykując głuche podzwanianie czarodzieja w rogu.

Stanęli za nią w ogonku do pulchnej blondynki, siedzącej za biurkiem z tabliczką INFORMACJA. Ścianę za biurkiem pokrywały notki i ogłoszenia, w rodzaju: CZYSTY KOCIOŁEK TO NAJLEPSZA GWARANCJA, ŻE NIE OTRUJESZ SIĘ SWOIM ELIKSIREM albo: NIE UŻYWAJ ANTIDOTÓW, KTÓRYCH CI NIE PRZEPISAŁ WYKWALIFIKOWANY UZDROWICIEL.

Był tam również duży portret czarownicy z długimi srebrnymi lokami, a pod nim napis:

DILYS DERWENT
UZDROWICIEL SZPITALA ŚWIĘTEGO MUNGA
1722-1741
DYREKTOR SZKOŁY MAGII I CZARODZIEJSTWA
1741-1768

Dilys przyglądała się uważnie towarzystwu pani Weasley, jakby je liczyła. Kiedy jej spojrzenie padło na Harry'ego, mrugnęła nieznacznie, przesunęła się w stronę krawędzi portretu i zniknęła.

Tymczasem stojący tuż przed biurkiem młody czarodziej tańczył w miejscu coś w rodzaju gigi, w przerwach między jękami bólu próbując wyjaśnić swój problem blondwłosej czarownicy.

- To te... auu... buty od brata... och... zżerają mi... AUUU... stopy... proszę spojrzeć, ktoś musiał rzucić na nie jakiś... AUUU... urok... i nie mogę... AAAAAUU... ich zdjąć.

Przeskoczył ze stopy na stopę, jakby tańczył na rozżarzonych węglach.

- Ale w tych butach chyba można czytać, co? - warknęła czarownica, wskazując na wielkie ogłoszenie na lewo od biurka. - Powinien pan się zgłosić na oddział urazów pozaklęciowych, czwarte piętro. To wszystko jest na tablicy informacyjnej. Następny!

Czarodziej odkuśtykał na bok, podskakując konwulsyjnie, grupka pani Weasley przesunęła się o parę kroków do przodu, a Harry zobaczył tablicę informacyjną:

WYPADKI PRZEDMIOTOWE.....parter
(*eksplozje kociołków, samoporażenia różdżkami, kraksy miotlarskie etc.*)

URAZY MAGIZOOLOGICZNE.....I piętro
(*ukąszenia, użądlenia, oparzenia, wbite kolce etc.*)

ZAKAŻENIA MAGICZNE.....II piętro
(*choroby zakaźne, np. smocza ospa, znikanie epidemiczne, skrofungulus etc.*)

ZATRUCIA ELIKSIRALNE I ROŚLINNE.....III piętro
(*wysypki, wymioty, niekontrolowany chichot etc.*)

URAZY POZAKLĘCIOWE.....IV piętro
(*uroki nieusuwalne, klątwy, niewłaściwie zastosowane zaklęcia etc.*)

SKLEP I HERBACIARNIA
DLA ODWIEDZAJĄCYCH.....V piętro

Jeśli nie wiesz, dokąd pójść, nie jesteś w stanie mówić normalnie, albo nie potrafisz sobie przypomnieć, dlaczego tu jesteś, zwróć się do naszej recepcjonistki, chętnie ci pomoże.

Teraz przed recepcjonistką stanął bardzo stary, przygarbiony czarodziej z trąbką słuchową przy uchu.

- Przyszedłem, żeby odwiedzić Brodericka Bode'a! - wysapał.

- Oddział czterdziesty dziewiąty, ale obawiam się, że traci pan czas - odpowiedziała niecierpliwie. - Kompletnie zamulony, nadal myśli, że jest dzbankiem do herbaty... Następny!

Zaniepokojony czarodziej trzymał mocno za kostkę u nogi swoją małą córeczkę, która fruwała wokół jego głowy, trzepocąc olbrzymimi skrzydłami, wyrastającymi jej z dziecięcego kombinezonu.

- Czwarte piętro - oznajmiła natychmiast czarownica znudzonym tonem, a czarodziej zniknął za podwójnymi drzwiami obok jej biurka, trzymając swoją córeczkę jak balon o dziwnym kształcie. - Następny!

Pani Weasley stanęła przed biurkiem.

- Dzień dobry - powiedziała. - Mój mąż, Artur Weasley, miał być dziś rano przeniesiony na inny oddział, czy może nam pani powiedzieć...

- Artur Weasley? - powtórzyła czarownica, przebiegając palcem długą listę. - Tak, pierwsze piętro, drugie drzwi na prawo, oddział Daia Llewellyna.

- Dziękuję. Kochani, idziemy.

Przeszli za nią przez podwójne drzwi, za którymi był wąski korytarz, obwieszony portretami słynnych uzdrowicieli i oświetlony kryształowymi kulami pełnymi świec, polatującymi pod sufitem jak wielkie bańki mydlane. Z drzwi po obu stronach wychodzili kolejni czarodzieje i czarownice w zielonych szatach, a gdy mijali kolejne drzwi, buchnął z nich żółty gaz o odrażającym zapachu. Co jakiś czas słychać było odległe jęki i zawodzenia. Wspięli się po schodach na pierwsze piętro i weszli w korytarz z napisem „Urazy magizoologiczne". Na drugich drzwiach na prawo widniała tabliczka ze słowami: ODDZIAŁ DAIA LLEWELLYNA „GROŹNEGO": POWAŻNE UKĄSZENIA, a pod nią kartka w mosiężnym uchwycie, na której ręcznie napisano: *Uzdrowiciel dyżurny: Hipokrates Smethwyck, Uzdrowiciel stażysta: Augustus Pye.*

- Molly, poczekamy na zewnątrz - powiedziała Tonks. - Artur na pewno by sobie nie życzył tylu gości naraz... Najpierw rodzina.

Szalonooki mruknął coś, co miało wyrażać aprobatę i oparł się plecami o ścianę korytarza, obracając magicznym okiem we wszystkie strony. Harry też się cofnął, ale pani Weasley wyciągnęła rękę i wepchnęła go w drzwi, mówiąc:

- Nie bądź niemądry, Harry, Artur chce ci podziękować...

Sala była mała i dość obskurna. Jedyne wąskie okno osadzone było wysoko w ścianie naprzeciw drzwi, a większość światła pochodziła z grona kryształowych kul ze świecami, przyklejonego do sufitu. Ściany wyłożone były dębową boazerią; na jednej wisiał portret groźnie wyglądającego czarodzieja. Podpis pod portretem głosił: URQUHART RACKHARROW, 1612 - 1697, WYNALAZCA ZAKLĘCIA WYPRUWAJĄCEGO WNĘTRZNOŚCI.

W sali było tylko trzech chorych. Pan Weasley zajmował łóżko w końcu sali, pod okienkiem. Harry ucieszył się i poczuł ulgę, widząc, że pan Weasley, wsparty na kilku poduszkach, czyta sobie „Proroka Codziennego" w świetle samotnego promienia słońca

padającego na jego łóżko. Kiedy weszli, zerknął znad gazety, poznał ich i rozpromienił się na ich widok.

- Witajcie! - zawołał, odrzucając „Proroka" na bok. - Molly, Bill dopiero co wyszedł, musiał wracać do pracy, ale powiedział, że wpadnie później...

- Jak się czujesz, Arturze? - zapytała pani Weasley, pochylając się, by pocałować go w policzek i przyglądając się z niepokojem jego twarzy. - Wciąż nie najlepiej wyglądasz...

- Czuję się znakomicie - odpowiedział pan Weasley dziarskim tonem i wyciągnął zdrową rękę, by przytulić do siebie Ginny. - Gdyby tylko zdjęli mi te bandaże, to mógłbym wracać do domu.

- Dlaczego ich nie zdejmują, tato? - zapytał Fred.

- No bo jak tylko próbują, to zaczynam okropnie krwawić - odrzekł wesoło pan Weasley, sięgając po leżącą na szafce przy łóżku różdżkę i wyczarowując sześć krzeseł. - Wygląda na to, że w kłach tego węża był jakiś zupełnie niezwykły jad, i to on nie pozwala się zabliźnić ranom... Mówią, że na pewno znajdą na to antidotum, miewali o wiele cięższe przypadki niż mój, ale na razie muszę wypijać co godzinę eliksir uzupełniający krew. Ale ten tutaj facet... - dodał, ściszając głos i pokazując głową łóżko naprzeciw, w którym leżał mężczyzna zielony na twarzy i wpatrywał się tępo w sufit - biedaczyna, został pogryziony przez wilkołaka. Na to nie ma lekarstwa.

- Wilkołak? - wyszeptała pani Weasley z przerażoną miną. - Na oddziale ogólnym? Nie powinien być w izolatce?

- Do pełni jeszcze dwa tygodnie - przypomniał jej spokojnie pan Weasley. - Uzdrowiciele próbowali go dziś przekonać, że będzie mógł prowadzić prawie normalne życie. Powiedziałem mu... nie wymieniając nazwisk, rzecz jasna... że znam osobiście wilkołaka, bardzo miłego człowieka, który uważa, że z tą przypadłością można sobie łatwo poradzić...

- A co on na to? - zapytał George.

- Powiedział, że jak się nie zamknę, to i on mnie ugryzie. A ta kobieta, tam - wskazał trzecie zajęte łóżko przy drzwiach - nie chce powiedzieć uzdrowicielom, co ją pogryzło, więc wszyscy podejrzewamy, że musiało to być coś, co trzymała nielegalnie. Cokolwiek to było, wyrwało jej kawał mięsa z nogi... Bardzo nieprzyjemny zapach, gdy zmieniają jej opatrunek...

- No więc, tato, powiesz nam wreszcie, co się stało? - zapytał Fred, przysuwając sobie krzesło bliżej łóżka.

- Przecież chyba już wiecie? - Pan Weasley uśmiechnął się znacząco do Harry'ego. - Niewiele jest do opowiadania. Miałem bardzo ciężki dzień, przysnąłem, a to się podkradło i mnie pogryzło.

- W „Proroku” napisali, że zostałeś zaatakowany? - zapytał Fred, wskazując na gazetę, którą pan Weasley odrzucił.

- Ależ skąd! - odrzekł pan Weasley z lekką goryczą. - Ministerstwo na pewno by sobie nie życzyło, żeby każdy się dowiedział, że ohydny wielki wąż dorwał...

- Arturze! - syknęła ostrzegawczo pani Weasley.

- ...dorwał... eee... mnie - dokończył pospiesznie pan Weasley, chociaż Harry był pewny, że chciał powiedzieć coś innego.

- Gdzie byłeś, jak to się wydarzyło? - zapytał George.

- To moja sprawa - odpowiedział pan Weasley, uśmiechając się lekko. Sięgnął po „Proroka Codziennego”, otworzył go i rzekł: - Właśnie czytałem o aresztowaniu Willy’ego Widdershinsa. Wiecie, że te zwracające sedesy z zeszłego lata to jego sprawka? Jedno z jego zaklęć odbiło się rykoszetem, sedes eksplodował i znaleźli go leżącego bez zmysłów pod szczątkami toalety, umazanego od stóp do głów...

- Byłeś na służbie, tak? - przerwał mu cicho Fred. - Czyli co robiłeś?

- Słyszałeś, co ojciec powiedział? - wyszeptała pani Weasley. - Tutaj nie będziemy o tym rozmawiać! Opowiadaj dalej, Arturze...

- No więc nie pytajcie mnie jak, ale został uwolniony od oskarżenia w tej sprawie - rzekł ponuro pan Weasley. - Mogę się tylko domyślać, że trochę złota przeszło z ręki do ręki...

- Strzegłeś tego, tak? - zapytał cicho George. - Tej broni... Tego czegoś, czego tak pragnie Sam-Wiesz-Kto, tak?

- George, cicho! - warknęła pani Weasley.

- W każdym razie - ciągnął pan Weasley podniesionym głosem - tym razem Willy’ego przyłapano na sprzedawaniu mugolom kąsających klamek i nie sądzę, żeby się z tego wyplątał, bo tutaj piszą, że dwóch mugoli straciło palce i są teraz w Szpitalu Świętego Munga. W związku z nadzwyczajnymi okolicznościami mają im odtworzyć kości i zmodyfikować pamięć. Tylko pomyślcie: mugole u Świętego Munga! Ciekaw jestem, na którym są oddziale.

I rozejrzał się pilnie wokoło, jakby się spodziewał, że zobaczy drogowskaz.

- Harry, czy ty nie mówiłeś, że Sam-Wiesz-Kto miał węża? - zapytał Fred, patrząc, jak na to zareaguje jego ojciec. - Takiego wielkiego? Widziałeś go w tę noc, kiedy on powrócił, prawda?

- Dość już tego - powiedziała szorstko pani Weasley. - Arturze, Szalonooki i Tonks są na zewnątrz, chcą cię zobaczyć. A wy możecie poczekać na korytarzu - dodała, zwracając się

do swoich dzieci i Harry'ego. - Później będziecie mogli wejść i pożegnać się z ojcem. No, proszę...

Wyszli posłusznie na korytarz. Moody i Tonks weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi. Fred uniósł brwi.

- Świetnie - mruknął, grzebiąc w kieszeniach. - Róbcie sobie, co chcecie. Nic nam nie mówcie.

- Szukasz tego? - zapytał George, wyciągając coś, co przypominało kłębek cielistego sznurka.

- Czytasz w moich myślach - odpowiedział Fred, szczerząc zęby. - Sprawdzimy, czy w Świętym Mungu rzuca się na drzwi oddziałów zaklęcie nieprzenikalności, dobra?

Bliźniacy rozsupłali sznurek i rozdzielili między wszystkich pięć kompletów Uszów Dalekiego Zasięgu. Harry zawahał się.

- Nie wygłupiaj się, Harry, bierz! Uratowałeś naszemu ojcu życie, jeśli ktokolwiek ma prawo go podsłuchiwać, to na pewno ty...

Uśmiechając się mimo woli, Harry wziął koniec sznurka i wetknął go sobie do ucha, jak to zrobili bliźniacy.

- Dobra, start!

Cieliste sznurki skręciły się nagle jak długie dżdżownice i wpełzły pod drzwi. Przez kilka sekund nic nie było słychać, a potem do Harry'ego dotarł szept Tonks, tak wyraźnie, jakby stała tuż obok niego.

- ...przeszukali cały teren, ale nigdzie nie mogli znaleźć tego węża, zupełnie jakby po ataku na ciebie, Arturze, rozpłynął się w powietrzu... Ale Sam-Wiesz-Kto chyba się nie spodziewa, że wąż wśliźnie się do środka, co?

- Myślę, że wysłał go na zwiady - mruknął Moody - bo jak dotąd nic mu nie wychodzi, prawda? Nie, sądzę, że on po prostu próbuje się rozeznać w tym, co go czeka, i gdyby tam nie było Artura, ta bestia miałaby więcej czasu, żeby się rozejrzeć. Więc Potter mówi, że to wszystko widział?

- Tak - odpowiedziała pani Weasley trochę zakłopotanym tonem. - Wydaje mi się, że Dumbledore jakby się spodziewał, że Harry coś takiego zobaczy...

- Taak... No cóż, w tym chłopaku jest coś dziwnego, wszyscy o tym wiemy - powiedział Moody.

- Jak dzisiaj rano rozmawiałam z Dumbledore'em, to sprawiał wrażenie, jakby się bardzo niepokoił o Harry'ego - szepnęła pani Weasley.

- To chyba oczywiste - mruknął Moody. - Chłopak widział to wszystko oczami węża Sami-Wiecie-Kogo... I nie wie, co to znaczy, ale jeśli Sami-Wiecie-Kto go opętał...

Harry wyciągnął Ucho Dalekiego Zasięgu ze swojego ucha. Serce waliło mu jak młotem, a fala gorąca uderzyła w twarz. Spojrzał po innych. Wszyscy zamarli, wciąż ze sznurkami zwisającymi im z uszu, wpatrując się w niego z przerażeniem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI
BOŻE NARODZENIE NA ODDZIALE ZAMKNIĘTYM

Czy to dlatego Dumbledore nie chciał spojrzeć mu w oczy? Czy spodziewał się ujrzeć w nich Voldemorta? Bał się, że ich czysta zieleń może nagle zamienić się w szkarłat, a zamiast źrenic pojawią się pionowe szparki jak u kota? Harry przypomniał sobie wężową twarz Voldemorta, wyrastającą z tyłu głowy profesora Quirrella, i pomacał własną głowę, zastanawiając się, co by poczuł, gdyby Voldemort nagle wychynął mu z czaszki...

Poczuł się brudny, skalany, jakby nosił w sobie jakiś śmiertelny wirus, poczuł, że nie jest godny siedzenia w jednym wagonie metra z niewinnymi, nieskalanymi ludźmi, których umysłów i ciał nie plugawiła skaza Voldemorta... Bo on nie widział tego węża, on nim BYŁ, teraz już był tego pewny...

A potem nawiedziła go straszliwa myśl, pewne wspomnienie zaczęło się tłuc w jego mózgu, aby wydobyć się na zewnątrz, coś, co sprawiło, że spazm targnął mu wnętrzności, które skręciły się jak węże...

Czego on tak bardzo pragnie, oprócz nowych zwolenników?

To coś w rodzaju broni. Coś, czego nie miał ostatnim razem.

To JA jestem tą bronią, pomyślał Harry, i poczuł się tak, jakby w jego żyłach popłynęła trucizna, mrożąc krew. Oblał się potem i zachwiał, poddając bezwolnie kołysaniu pociągu mknącego ciemnym tunelem. To ja jestem tym, którego Voldemort pragnie użyć do swych celów, to dlatego śledzą mnie i pilnują, gdziekolwiek jestem... Nie robią tego dla mojego bezpieczeństwa, robią to, żeby ochronić innych, tylko że to im się nie udaje, nikt nie może przecież pilnować mnie przez cały czas w Hogwarcie... To JA zaatakowałem pana Weasleya zeszłej nocy, Voldemort zmusił mnie do tego i może być we mnie, przysłuchując się moim myślom nawet w tej chwili...

- Harry, kochanie, dobrze się czujesz? - szepnęła pani Weasley, wychylając się do niego poprzez Ginny, gdy pociąg mknął z grzechotem przez ciemny tunel. - Nie wyglądasz najlepiej. Niedobrze ci?

Wszyscy go obserwowali. Potrząsnął głową i wpatrzył się w reklamę ubezpieczeń mieszkaniowych.

- Harry, na pewno nic ci nie jest? - zapytała ponownie pani Weasley, kiedy szli wokół niestrzyżonego trawnika pośrodku Grimmauld Place. - Jesteś taki blady... Spałeś trochę dziś rano? Zaraz pójdziesz do łóżka i prześpisz się parę godzin przed kolacją, dobrze?

Kiwnął głową. Oto pojawiła się gotowa wymówka, by z nikim nie rozmawiać, a tego właśnie pragnął, więc kiedy pani Weasley otworzyła drzwi, przeszedł szybko obok stojaka na parasole z nogi trolla, wspiął się po schodach i wpadł do sypialni.

Tu zaczął krążyć od ściany do ściany, obok dwóch łóżek i pustego portretu Fineasa Nigellusa, a w mózgu aż mu się roiło i wrzało od pytań i jeszcze straszniejszych myśli...

Jak doszło do tego, że stał się wężem? Może jest animagiem... Nie, to niemożliwe, przecież by o tym wiedział... Może to Voldemort jest animagiem? Tak, pomyślał Harry, to by pasowało, wtedy mógłby się zmieniać w węża... a jeśli mnie opętał, to obaj możemy ulegać przemianie... Tylko że to nadal nie wyjaśnia, w jaki sposób dostałem się do Londynu i powróciłem do łóżka w ciągu około pięciu minut... Ale w końcu Voldemort jest najpotężniejszym poza Dumbledore'em czarnoksiężnikiem na świecie, więc pewnie przenoszenie ludzi z miejsca na miejsce nie stanowi dla niego żadnego problemu...

I wówczas, czując, jak panika przeszywa go na wskroś, pomyślał: To szaleństwo... jeśli Voldemort posiadł moje ciało, to przeze mnie ma znakomity wgląd w Kwaterę Główną Zakonu Feniksa! Dowie się, kto jest członkiem Zakonu i gdzie jest Syriusz... no i przecież usłyszałem mnóstwo rzeczy, których nie powinienem wiedzieć, wszystko, co mi mówił Syriusz owego pierwszego wieczoru...

Tak, tylko jedno mu zostało: musi natychmiast opuścić dom przy Grimmauld Place. Spędzi Boże Narodzenie w Hogwarcie, sam, bez nich, będą bezpieczni przynajmniej przez ferie... Ale nie, tego nie może zrobić, przecież w Hogwarcie zostało sporo uczniów, których mógłby zranić czy okaleczyć... co by było, gdyby tym razem rzucił się na Seamusa, Deana albo Neville'a? Zatrzymał się i zagapił w pustą ramę portretu Fineasa Nigellusa. Poczuł ucisk w żołądku. Nie ma wyjścia: musi wrócić na Privet Drive, odciąć się całkowicie od świata czarodziejów...

Tak... jeśli już musi to zrobić, nie ma co dłużej czekać. Starając się za wszelką cenę nie myśleć o reakcji Dursleyów, gdy zobaczą go na swoim progu sześć miesięcy wcześniej, niż się spodziewali, podszedł do kufra, zatrzasnął wieko, zamknął je na klucz i rozejrzał się machinalnie za Hedwigą, zanim sobie przypomniał, że jest nadal w Hogwarcie... świetnie, nie będzie musiał taszczyć jej klatki... po czym chwycił za jeden koniec kufra i zaczął go ciągnąć w stronę drzwi. Był już w połowie drogi, gdy rozległ się chytry głos:

- Uciekamy sobie, co?

Rozejrzał się. Fineas Nigellus pojawił się na płótnie swego portretu i opierał się o ramę, patrząc na niego z rozbawieniem.

- Nie uciekamy sobie, nie - rzekł Harry, pociągnąwszy kufer o kilka stóp.

- Myślałem - rzekł Fineas Nigellus, gładząc spiczastą brodę - że przynależność do Gryffindoru zobowiązuje do dzielności... Coś mi się wydaje, że lepiej byś się czuł w moim domu. My, Ślizgoni, jesteśmy dzielni, tak, ale nie głupi. Kiedy mamy wybór, zawsze wybieramy ratowanie własnego karku.

- Ja nie ratuję własnego karku - odpowiedział zwięźle Harry, ciągnąc kufer przez wyjątkowo pofałdowany, zjedzony przez mole dywan tuż przed drzwiami.

- Ach, rozumiem - rzekł Fineas Nigellus, wciąż gładząc brodę. - To nie jest ucieczka tchórza... jesteś po prostu szlachetny.

Harry zignorował to. Trzymał już dłoń na klamce, kiedy Fineas Nigellus powiedział:

- Mam dla ciebie wiadomość od Albusa Dumbledore'a.

Harry obrócił się w miejscu.

- Jaką?

- Zostań tam, gdzie jesteś.

- Przecież tu jestem! - prychnął Harry, nie zdejmując ręki z klamki. - Więc co to za wiadomość?

- Właśnie ci ją przekazałem, tępaku - rzekł spokojnie Fineas Nigellus. - Dumbledore mówi: „Zostań tam, gdzie jesteś".

- Ale dlaczego? - zapytał żywo Harry, puszczając koniec kufra. - Dlaczego chce, żebym tu został? Co jeszcze powiedział?

- Nic więcej - odpowiedział Fineas Nigellus, unosząc wąską czarną brew, jakby uznał te pytania za oznakę braku ogłady.

Gniew wezbrał w Harrym, zbliżając się do granicy wybuchu, jak wąż wychylający łeb z wysokiej trawy. Był wyczerpany, w głowie miał mętlik, doświadczył paniki, ulgi, potem znów trwogi w ciągu dwunastu godzin, a Dumbledore wciąż nie chce mu nic powiedzieć!

- Więc to tak? - zawołał. - Zostań tutaj! To już słyszałem po tym, jak zostałem zaatakowany przez dementorów! Siedź cicho, Harry, a my, dorośli, jakoś to wszystko rozwiążemy! Nie powiemy ci nic więcej, bo twój maleńki móżdżek mógłby sobie z tym nie poradzić!

- Wiesz co? Właśnie to sprawiało mi taką udrękę, kiedy byłem nauczycielem! - zagrzmiał Fineas Nigellus jeszcze głośniej niż Harry. - Młodzi ludzie są tak piekielnie przekonani, że mają absolutną rację we wszystkim! A nie przyszło ci na myśl, ty biedny, nadęty gogusiu, że może istnieć jakiś zupełnie oczywisty powód, dla którego dyrektor Hogwartu nie wtajemnicza cię w każdy najdrobniejszy szczegół swojego planu? Czujesz się tak strasznie doświadczony przez los, a nigdy cię nie zastanowiło, że jak dotąd wykonywanie

poleceń Dumbledore'a nie wyrządziło ci krzywdy? Nie. Nie, ty, podobnie jak wszyscy młodzi ludzie, jesteś całkowicie przekonany, że tylko ty coś odczuwasz, że tylko ty myślisz, że tylko ty rozpoznajesz zagrożenie, że tylko ty jesteś na tyle mądry, żeby przewidzieć, co może planować Czarny Pan...

- A więc on jednak planuje coś, co ma związek ze mną, tak?

- Czy ja coś takiego powiedziałem? - zapytał Fineas Nigellus, przyglądając się swoim jedwabnym rękawiczkom. - A teraz wybacz mi, mam coś lepszego do roboty, niż wysłuchiwać narzekań na udręki wieku dojrzewania... Miłego dnia...

Podszedł do ramy i zniknął.

- Wspaniale, idź sobie! - ryknął Harry do pustej ramy. - I przekaż Dumbledore'owi moje podziękowanie za nic!

Pusta rama milczała. Dysząc ze złości, Harry zaciągnął kufer z powrotem na miejsce, w nogach łóżka, a potem rzucił się twarzą na zjedzoną przez mole narzutę. Zamknął oczy. Ciało ciążyło mu nieznośnie, wszystko go bolało...

Czuł się tak, jakby odbył długą wędrówkę... Wydawało mu się niemożliwe, że niespełna dwadzieścia cztery godziny temu Cho Chang podeszła do niego, kiedy stał pod jemiołą... Był tak zmęczony... ale bał się zasnąć... nie wiedział, jak długo zdoła wytrzymać bez snu... Dumbledore powiedział, że ma tutaj zostać... To chyba oznacza, że może zasnąć... Ale tak się bał... A jeśli to znowu się wydarzy?...

Zapadał się w ciemność...

Znowu było tak, jakby miał w głowie film, który tylko czekał, żeby się wyświetlać. Szedł pustym korytarzem ku czarnym drzwiom, wzdłuż chropowatych kamiennych ścian oświetlonych mdłym blaskiem pochodni, mijając po lewej stronie jakieś schody wiodące w dół...

Doszedł do czarnych drzwi, ale nie mógł ich otworzyć... Stał, gapiąc się w nie, rozpaczliwie pragnąc przez nie wejść... Było za nimi coś, czego pragnął całym sercem... Jakaś nagroda przekraczająca wszelkie marzenia... Gdyby tylko ta blizna tak go nie piekła... mógłby to wszystko przemyśleć...

- Harry - dobiegł go gdzieś z daleka głos Rona. - Mama mówi, że kolacja już gotowa, ale zostawi ci coś, jeśli chcesz jeszcze poleżeć...

Otworzył oczy, ale Ron już wyszedł z pokoju.

Nie chce zostać ze mną sam na sam, pomyślał Harry. Nie po tym, co powiedział o mnie Moody... Pewnie nikt nie będzie go tu chciał, skoro już wiedzą, kto w nim siedzi...

Nie zejdzie na dół na kolację, nie będzie ich narażał na swoje towarzystwo. Przewrócił się na drugi bok i po chwili znowu zapadł w sen. Obudził się wczesnym rankiem, czując w brzuchu ssanie z głodu. Ron chrapał w sąsiednim łóżku. Rozejrzał się po pokoju i dostrzegł ciemną sylwetkę Fineasa Nigellusa, stojącego znów w ramach swego portretu. Przyszło mu do głowy, że Dumbledore mógł tutaj przysłać Fineasa, żeby go pilnował. Żeby go powstrzymał od rzucenia się na kogoś.

Poczucie skalania powróciło z jeszcze większą mocą. Prawie pożałował, że posłuchał Dumbledore'a i został... Jeśli takie miało być odtąd życie przy Grimmauld Place, to może jednak lepiej znosić udręki Privet Drive.

* * *

Następne przedpołudnie wszyscy prócz Harry'ego spędzili na rozwieszaniu świątecznych dekoracji. Harry nie pamiętał Syriusza w tak dobrym nastroju: śpiewał właśnie kolędy, najwyraźniej zachwycony, że spędzi Boże Narodzenie w towarzystwie przyjaciół. Słyszał jego głos przez podłogę zimnego i pustego salonu, w którym siedział samotnie, patrząc, jak niebo za oknami bieleje, zapowiadając śnieg. Świadomość, że siedzi tu sam, sprawiała mu jakąś przewrotną satysfakcję: mogą sobie o nim swobodnie rozmawiać, co z pewnością teraz robią. Kiedy usłyszał z dołu panią Weasley, wołającą go łagodnie po imieniu w porze drugiego śniadania, uciekł na górę.

Około szóstej po południu ktoś zadzwonił do drzwi i rozległy się wrzaski pani Black. Przypuszczając, że to Mundungus albo inny członek Zakonu, Harry oparł się wygodniej o ścianę w pokoju hipogryfa Hardodzioba, gdzie się ukrywał, i karmiąc Hardodzioba zdechłymi szczurami, próbował zapomnieć o głodzie. Wzdrygnął się, gdy kilka minut później ktoś załomotał w drzwi.

- Wiem, że tam jesteś - usłyszał głos Hermiony. - Proszę cię, wyjdź! Chcę z tobą pomówić.

- Co ty tutaj robisz? - zapytał ze zdumieniem Harry, otwierając drzwi, podczas gdy Hardodziob drapał pazurami wysłaną słomą podłogę w poszukiwaniu resztek szczura, które upuścił. - Myślałem, że jesteś na nartach z rodzicami.

- Mówiąc szczerze, jazda na nartach nie jest moim ulubionym zajęciem - odpowiedziała Hermiona - więc przyjechałam na Boże Narodzenie. - Miała śnieg we włosach i twarz zarumienioną od zimna. - Ale nie mów tego Ronowi, powiedziałam mu, że to świetna zabawa, bo wciąż się ze mnie wyśmiewał. Rodzice byli trochę zawiedzeni, ale powiedziałam im, że każdy, kto poważnie myśli o egzaminach, został w Hogwarcie, żeby się uczyć. Chcą,

żeby mi dobrze poszło, więc chyba zrozumieli. No, ale chodźmy do waszej sypialni - dodała wesoło - mama Rona napaliła tam w kominku i zrobiła nam kanapki.

Harry zszedł za nią na drugie piętro. Kiedy otworzył drzwi sypialni, zdziwił się, widząc Rona i Ginny siedzących na łóżku.

- Przyjechałam Błędnym Rycerzem - oznajmiła im beztrosko Hermiona, ściągając kurtkę. - Dumbledore powiedział mi wczoraj rano, co się stało, ale musiałam poczekać do oficjalnego zakończenia semestru. Umbridge już się wścieka, że zwialiście jej sprzed nosa, chociaż Dumbledore jej powiedział, że pan Weasley jest w Szpitalu Świętego Munga i że dał wam pozwolenie na odwiedzenie go... No więc...

Usiadła obok Ginny i obie spojrzały na Harry'ego. Ron przyglądał mu się od początku.

- Jak się czujesz? - zapytała Hermiona.

- Świetnie - odrzekł sucho Harry.

- Och, nie kłam, Harry - żachnęła się. - Ron i Ginny mówią, że ukrywasz się przed wszystkimi od czasu, gdy wróciliście ze szpitala.

- Tak mówią?

Obrzucił Rona i Ginny gniewnym spojrzeniem. Ron spuścił głowę, ale Ginny wcale nie wyglądała na zmieszaną.

- Bo to prawda! - powiedziała. - Ty nas wszystkich unikasz!

- To wy mnie unikacie! - odpowiedział ze złością Harry.

- Może unikacie się na zmianę i nie możecie na siebie trafić? - zapytała Hermiona, a kąciki jej ust zadrgały.

- Bardzo śmieszne - mruknął Harry, odwracając się.

- Och, przestań wreszcie czuć się niezrozumiany przez wszystkich! - ofuknęła go Hermiona. - Już mi powiedzieli, co podsłuchaliście wczoraj wieczorem Uszami Dalekiego Zasięgu...

- Naprawdę? - warknął Harry, wciskając ręce głęboko do kieszeni i przyglądając się śniegowi gęsto padającemu za oknem. - Stałem się ulubionym tematem rozmów, tak? Zaczynam się do tego przyzwyczajać...

- Chcieliśmy z tobą porozmawiać - powiedziała Ginny - ale ty wciąż się ukrywasz od czasu, gdy wróciliśmy...

- Bo nie miałem ochoty na rozmowy - odburknął Harry, coraz bardziej zdenerwowany.

- No, to trochę głupie z twojej strony - powiedziała ze złością Ginny - bo przecież jestem jedyną znaną ci osobą, którą Voldemort opętał, i mogę ci powiedzieć, jak to jest.

Harry zamarł, kiedy dotarł do niego sens tych słów. Odwrócił się do niej.

- Zapomniałem.

- Szczęściarz z ciebie - powiedziała chłodno Ginny.

- Przepraszam - powiedział szczerze Harry. - Więc... więc myślisz, że jestem opętany?

- A pamiętasz wszystko, co robiłeś? Masz jakieś wielkie białe plamy w pamięci?

Harry wytężył mózg.

- Nie.

- To nie zostałeś opętany przez Sam-Wiesz-Kogo. Kiedy to zrobił ze mną, nie pamiętałam, co robiłam przez całe godziny. Nagle stwierdzałam, że gdzieś jestem i nie wiedziałam, jak tam się znalazłam.

Harry prawie nie śmiał jej uwierzyć, a jednak mimo woli poczuł ulgę.

- A ten sen o twoim ojcu i o wężu...

- Harry, przecież miałeś już takie sny - powiedziała Hermiona. - W zeszłym roku miałeś przebłyski tego, co zamierzał zrobić Voldemort.

- To było co innego - odrzekł Harry, kręcąc głową. - Teraz byłem jakby w skórze tego węża. Jakbym to ja był tym wężem... A jeśli Voldemort w jakiś sposób przeniósł mnie do Londynu?...

- Nadejdzie taki dzień - powiedziała Hermiona zirytowanym głosem - w którym przeczytasz Dzieje Hogwartu i może to ci wreszcie uświadomi, że będąc w Hogwarcie, nie można się teleportować. Nawet Voldemort nie zdołałby sprawić, żebyś wyfrunął ze swego dormitorium.

- Harry, nie ruszałeś się z łóżka - odezwał się Ron. - Widziałem, jak rzucałeś się w pościeli na minutę przed tym, jak zdołaliśmy cię obudzić.

Harry zaczął przechadzać się po pokoju, rozmyślając. To, co oni wszyscy mówili, nie tylko przynosiło mu ulgę, ale brzmiało całkiem rozsądnie... Nie zastanawiając się, co robi, wziął kanapkę z talerza na łóżku i wepchnął ją sobie łapczywie do ust...

To jednak nie ja jestem tą bronią, pomyślał. Poczuł się tak szczęśliwy, że chętnie przyłączyłby się do Syriusza, który właśnie przechodził pod ich drzwiami, zmierzając do pokoju Hardodzioba i wyśpiewując: „Do szopy, hipogryfy, do szopy wszyscy wraz!”

* * *

Jak w ogóle mógł marzyć o powrocie do domu Dursleyów na Boże Narodzenie? Radość Syriusza z powodu powrotu przyjaciół, a zwłaszcza z powodu powrotu Harry’ego, okazała się zaraźliwa. Przestał już być tym markotnym gospodarzem, jakim był latem, teraz wychodził z siebie, żeby każdy był tak zadowolony - jeśli nie bardziej - jakby spędzał te

święta w Hogwarcie. Krzątał się po całym domu, sprzątając i rozwieszając dekoracje z ich pomocą, tak że kiedy w Wigilię wszyscy poszli spać, trudno było ten dom poznać. Z zaśniedziałych żyrandoli nie zwisały już pajęczyny, tylko girlandy ostrokrzewu i złote i srebrne łańcuchy; magiczny śnieg błyszczał na wyleniałych dywanach; wielka choinka, zdobycz Mundungusa, rozjarzona żywymi elfami, przysłoniła drzewo rodowe rodziny Syriusza, i nawet wypchane głowy skrzatów domowych w holu przyozdobione były czapkami i brodami Świętego Mikołaja.

Kiedy Harry obudził się w poranek Bożego Narodzenia, ujrzał w nogach swego łóżka stos prezentów. Ron już pootwierał połowę swoich, a stos paczek miał jeszcze większy.

- Niezły połów w tym roku - oznajmił, rozrzucając wokół siebie papiery. - Dzięki za kompas miotlarski, jest super, przebija prezent od Hermiony... dała mi organizer prac domowych...

Harry pogrzebał w swoich prezentach i znalazł paczkę z odręcznym pismem Hermiony na wierzchu. Dała mu kalendarz, który za każdym razem, gdy się go otworzyło, wykrzykiwał zdania w rodzaju: „Odrób lekcje dzisiaj, bo jutro będziesz wisiał!”

Syriusz i Lupin podarowali mu komplet wspaniałych książek, zatytułowany *Praktyczna magia obronna i jej zastosowanie w walce z czarną magią*, z przepięknymi, kolorowymi ruchomymi ilustracjami wszystkich opisanych w nich przeciwzaklęć i przeciwuroków. Harry z zaciekawieniem przerzucił pierwszy tom i uznał, że będzie bardzo użyteczny przy planowaniu zajęć GD. Hagrid przysłał mu brązową futrzaną sakiewkę, uzbrojoną w prawdziwe kły, które prawdopodobnie miały chronić zawartość przed złodziejem, ale na razie uchroniły Harry’ego od włożenia do niej pieniędzy, bo najwyraźniej chciały odgryźć mu palce. Prezentem od Tonks był mały, latający model Błyskawicy. Harry puścił go, i patrząc, jak miotełka śmiga po pokoju, westchnął tęsknie za jej pełnowymiarową wersją. Ron dał mu olbrzymie pudło Fasolek Wszystkich Smaków, państwo Weasleyowie, jak zwykle, ręcznie robiony sweter i trochę paszteciков, a Zgredek okropny malunek, zapewne wykonany przez niego samego. Harry właśnie odwrócił go do góry nogami, żeby zobaczyć, czy tak będzie wyglądał trochę lepiej, kiedy u stóp jego łóżka aportowali się z głośnym trzaskiem Fred i George.

- Wesołych świąt! - powitał ich George. - Nie schodźcie jeszcze na dół.

- Dlaczego? - zdziwił się Ron.

- Mama znowu płacze - wyjaśnił Fred przygnębionym głosem. - Percy odesłał swój bożonarodzeniowy sweter.

- Bez żadnego listu - dodał George. - Nawet się nie zapytał, co z ojcem, nie odwiedził go, nic...

- Próbowaliśmy ją pocieszyć - powiedział Fred, obchodząc łóżko, żeby się przyjrzeć malunkowi Zgredka. - Powiedzieliśmy jej, żeby się nie przejmowała, bo Percy jest wielką kupą szczurzych bobków...

- ...ale nie podziałało - dokończył George, częstując się czekoladową żabą - więc zajął się nią Lupin. Chyba najlepiej będzie poczekać, aż ją rozweseli...

- Co to właściwie ma przedstawiać? - zapytał Fred, przyglądając się zmrużonymi oczami malunkowi Zgredka. - Wygląda jak gibbon z dwoma czarnymi oczkami.

- To Harry! - ucieszył się George, pokazując na tył obrazka. - Tak tutaj jest napisane!

- Uderzające podobieństwo - rzekł Fred, rechocąc.

Harry cisnął w niego swoim nowym kalendarzem, który trafił w ścianę, spadł na podłogę i zawołał dziarskim tonem: „Jak kropkę nad i postawisz, to wyjdziesz i się zabawisz!"

Kiedy się ubierali, słyszeli głosy różnych mieszkańców domu, witających się okrzykami „Wesołych świąt!" Na schodach spotkali Hermionę.

- Dziękuję za książkę, Harry! Od dawna chciałam mieć *Nową teorię numerologii*! A te perfumy są naprawdę niezwykłe, Ron.

- Nie ma sprawy - rzekł Ron. - A to dla kogo? - dodał, wskazując głową zgrabnie opakowany prezent w jej rękach.

- Dla Stworka - wyjaśniła pogodnie Hermiona.

- Tylko żeby to nie było coś z ubrań! - ostrzegł ją Ron. - Pamiętasz, Syriusz powiedział, że Stworek za dużo wie, nie możemy go uwolnić!

- To nie jest ubranie, chociaż gdyby to ode mnie zależało, to na pewno dałabym mu coś, żeby nie nosił tej brudnej starej szmaty. Nie, to patchworkowa kołdra, pomyślałam sobie, że ubarwi trochę jego sypialnię.

- Jaką sypialnię? - zapytał Harry, zniżając głos do szeptu, bo właśnie przechodzili obok portretu matki Syriusza.

- No wiesz, Syriusz mówi, że to właściwie nie jest sypialnia, raczej coś w rodzaju... legowiska. Zdaje się, że on sypia pod bojlerem w tym schowku przy kuchni.

Na dole zastali tylko panią Weasley. Stała przy kuchni, a kiedy życzyła im „Wesołych świąt", jej głos brzmiał tak, jakby miała katar. Odwrócili wzrok.

- Więc to jest sypialnia Stworka? - spytał Ron, podchodząc do odrapanych drzwi w kącie, naprzeciw spiżarni, których Harry jeszcze nigdy nie widział otwartych.

- Tak - odpowiedziała Hermiona nieco podenerwowanym głosem. - Ee... chyba powinniśmy zapukać...

Ron zastukał knykciami w drzwi, ale nie było żadnej odpowiedzi.

- Na pewno czai się gdzieś na górze - rzekł i bez dalszych ceregieli otworzył drzwi. - Uch!

Harry zajrzał do środka. Większość schowka zajmował olbrzymi, staroświecki bojler, ale pod nim, w wysokiej na stopę przestrzeni pod rurami, Stworek urządził sobie coś w rodzaju gniazda. Na podłodze leżała kupa najróżniejszych szmat i śmierdzących starych koców, a małe wgłębienie pośrodku wskazywało, gdzie skrzat zwijał się nocą w kłębek, żeby sobie pospać. W fałdach szmat tkwiły zestarzałe okruchy chleba i zjełczałe kawałki sera. W ciemnym kącie pobłyskiwały jakieś drobne przedmioty i monety, które Stworek - jak sroka - ocalił przed robiącym porządki w całym domu Syriuszem. Udało mu się nawet zdobyć oprawione w srebrne ramki fotografie rodzinne, które Syriusz wyrzucił w lecie. W niektórych szkła były potrzaskane, ale czarno-białe postacie nadal spoglądały na nich z wyższością. Harry poczuł lekki skurcz w żołądku, kiedy zobaczył ponurą kobietę o ciężkich powiekach, której proces obserwował w zeszłym roku w myślodsiewni Dumbledore'a: Bellatriks Lestrange. Była to chyba ulubiona fotografia Stworka, bo umieścił ją przed innymi i niezdarnie posklejał szybkę czaro-taśmą.

- Chyba po prostu zostawię mu prezent tutaj - powiedziała Hermiona, kładąc paczkę pośrodku zagłębienia w szmatach i zamykając cicho drzwi. - Znajdzie go sobie później, tak będzie dobrze...

- Tak sobie pomyślałem - rzekł Syriusz, wyłaniając się ze spiżarni z wielkim indykiem w rękach - czy ktoś właściwie widział ostatnio Stworka?

- Nie widziałem go od tej nocy, kiedy tu wróciliśmy - odpowiedział Harry. - Wyrzuciłeś go wtedy z kuchni.

- Taak... - Syriusz zmarszczył czoło. - Wiecie co, ja chyba też widziałem go wtedy po raz ostatni... Musiał się schować gdzieś na górze...

- Ale chyba nie odszedł, co? - zapytał Harry. - No wiesz, jak mu powiedziałeś „Precz!", to może pomyślał, że ma sobie pójść precz z tego domu?

- Nie, nie, skrzaty domowe nie mogą odejść, jeśli nie da im się jakiegoś ubrania, są związane z domem swojej rodziny.

- Mogą odejść, jeśli naprawdę tego chcą - sprzeciwił się Harry. - Trzy lata temu zrobił to Zgredek, opuścił dom Malfoyów, żeby mnie ostrzec. Musiał się potem sam ukarać, ale jednak to zrobił.

Syriusz lekko się zmieszał, a potem powiedział:

- Później go poszukam, na pewno znajdę go gdzieś na górze, wypłakującego sobie oczy nad starymi pantalonami mojej matki albo nad czymś podobnym... Oczywiście mógł też wczołgać się do szybu wentylacyjnego i zdechnąć... ale to chyba złudna nadzieja...

Fred, George i Ron roześmiali się, ale Hermiona spojrzała na nich z wyrzutem.

Po świątecznym obiedzie Weasleyowie, Harry i Hermiona planowali ponownie odwiedzić pana Weasleya pod opieką Szalonookiego i Lupina. Mundungus zdążył na bożonarodzeniowy pudding i pyszny deser z owoców na biszkoptach, pokrytych grubą warstwą bitej śmietany. Udało mu się na tę okazję „pożyczyć" samochód, jako że w dzień Bożego Narodzenia metro było nieczynne. Na samochód, który, jak podejrzewał Harry, Mundungus pożyczył sobie bez wiedzy właściciela, rzucono takie samo zaklęcie powiększające, jak na starego forda anglię Weasleyów, bo chociaż z zewnątrz miał normalne rozmiary, zmieściło się w nim całkiem wygodnie dziesięć osób i Mundungus jako kierowca. Pani Weasley trochę się opierała, kiedy miała wsiąść do samochodu. Harry wyczuł, że brak zaufania do Mundungusa walczy w niej z niechęcią do podróżowania pozamagicznymi środkami lokomocji. W końcu zwyciężyło dotkliwe zimno i błagania jej dzieci, więc łaskawie usadowiła się na tylnym siedzeniu, między Fredem i Billem.

Podróż do Szpitala Świętego Munga trwała krótko, bo nie było dużego ruchu. Nieliczni czarodzieje i czarownice skradali się chyłkiem zwykle pustą ulicą, zmierzając w stronę szpitala. Wysiedli z samochodu, a Mundungus odjechał za róg, by tam na nich czekać. Podeszli niby od niechcenia do okna wystawowego z manekinem reklamującym zielony nylonowy fartuch, a potem, jedno po drugim, przeszli przez szybę.

Izba przyjęć przybrała miły, świąteczny wygląd. Kryształowe kule, które oświetlały cały szpital, zabarwiono na czerwono i złoto, tak że zamieniły się w wielkie, świetliste bombki, wszystkie drzwi otaczały girlandy ostrokrzewu, a lśniące choinki, pokryte magicznym śniegiem i poobwieszane soplami, migotały w każdym rogu; każda była zwieńczona jaśniejącą złotą gwiazdą. Odwiedzających było mniej niż ostatnim razem, chociaż gdy Harry był w połowie sali, odepchnęła go nagle na bok jakaś czarownica z mandarynką tkwiącą w lewej dziurce od nosa.

- Rodzinna sprzeczka, co? - zakpiła blondynka za pulpitem. - To już dzisiaj trzeci przypadek... Urazy Pozaklęciowe, czwarte piętro...

Zastali pana Weasleya siedzącego w łóżku, z tacką z resztkami świątecznego indyka na podołku i z trochę ogłupiałą miną.

- Wszystko w porządku, Arturze? - zapytała pani Weasley, kiedy już wszyscy się z nim przywitali i wręczyli mu prezenty.

- Ależ oczywiście, oczywiście - odrzekł, trochę zbyt gorliwie. - Widziałaś się może z... ee... z tym uzdrowicielem Smethwyckiem?

- Nie - odpowiedziała podejrzliwie pani Weasley. - A dlaczego pytasz?

- Nic ważnego - odrzekł lekceważąco pan Weasley i zaczął rozwijać prezenty. - No i co, wszyscy zadowoleni? Co dostaliście na Gwiazdkę? Och, Harry... to jest absolutnie fantastyczne!

Właśnie otworzył paczkę od Harry'ego, w której była mała kolekcja bezpieczników i śrubokrętów. Pani Weasley nie wyglądała na usatysfakcjonowaną odpowiedzią męża. Kiedy wychylił się, by uścisnąć Harry'emu dłoń, zerknęła mu za koszulę nocną, żeby obejrzeć bandaże.

- Arturze, zmieniono ci bandaże - powiedziała suchym głosem, przypominającym trzask pułapki na myszy. - Dlaczego zmieniono ci bandaże o dzień wcześniej? Mówili mi, że do jutra nie trzeba będzie ich ruszać.

- Co? - Pan Weasley trochę się przestraszył i szybko podciągnął koc pod brodę. - Ależ to nic... nic takiego... to... tylko ja...

Pod przeszywającym spojrzeniem żony przywodził na myśl dętkę, z której uchodzi powietrze.

- No więc... nie denerwuj się, Molly, ale Augustus Pye wpadł na pewien pomysł... To ten uzdrowiciel stażysta, no wiesz, ten wspaniały młody człowiek... on się bardzo interesuje... ee... medycyną alternatywną... to znaczy... takimi różnymi starymi środkami mugolskimi... oni mówią na to „szwy", Molly, które bardzo dobrze działają na... na rany mugoli...

Pani Weasley wydała z siebie złowieszczy odgłos, coś pośredniego między wrzaskiem a prychnięciem. Lupin odszedł szybko do łóżka wilkołaka, który nie miał gości i spoglądał nieco zazdrośnie na tłum otaczający pana Weasleya, Bill mruknął coś o filiżance herbaty, a Fred i George wyszczerzyli zęby i podskoczyli, by mu towarzyszyć.

- Chcesz mi powiedzieć - warknęła pani Weasley, wymawiając każde kolejne słowo coraz głośniej, najwyraźniej nieświadoma, że reszta umyka w poszukiwaniu jakiejś kryjówki - że zapaskudziłeś sobie rany jakimiś mugolskimi środkami leczniczymi?

- Molly, kochanie, niczego sobie nie zapaskudziłem - odrzekł pan Weasley błagalnym tonem. - To było tylko... no, coś, co Pye i ja chcieliśmy wypróbować... tylko że... niestety... no wiesz, na ten akurat rodzaj ran... to po prostu nie działa tak, jak się spodziewaliśmy...

- To znaczy?!

- No cóż... nie wiem, czy wiesz, co to są te... no... szwy...

- To brzmi tak, jakbyś próbował sobie pozszywać skórę - powiedziała pani Weasley z parsknięciem, które wcale nie przypominało śmiechu - ale nawet ty, Arturze, nie byłbyś taki głupi...

- Ja też się napiję herbaty - powiedział Harry, zrywając się na nogi.

Hermiona, Ron i Ginny wybiegli za nim z sali. Już za drzwiami usłyszeli wrzask pani Weasley:

- CO MASZ NA MYŚLI, MÓWIĄC, ŻE NA TYM TO MNIEJ WIĘCEJ POLEGA?!

- Cały tata - powiedziała Ginny, kręcąc głową, gdy szli korytarzem. - Szwy... Może mi powiecie...

- No wiesz, one bardzo dobrze działają na rany pozamagiczne - wyjaśniła jej Hermiona. - Może w jadzie tego węża jest coś, co je rozpuszcza, czy coś takiego... Zastanawiam się, gdzie jest ta herbaciarnia?

- Na piątym piętrze - odrzekł Harry, przypominając sobie tablicę informacyjną nad biurkiem recepcjonistki.

Przeszli korytarzem przez serię podwójnych drzwi i znaleźli koślawe schody, wzdłuż których na ścianach wisiały kolejne portrety uzdrowicieli o brutalnych twarzach. Niektórzy wołali na nich, twierdząc, że mają dziwaczne schorzenia, i proponując jakieś okropne remedia. Ron poczuł się głęboko urażony, kiedy jakiś średniowieczny czarodziej stwierdził, że cierpi na ciężki przypadek groszopryszczki.

- A co by to miało być? - zapytał ze złością, kiedy uzdrowiciel ścigał go przez kolejne sześć portretów, wypychając z nich prawowitych mieszkańców.

- To bardzo okrutne schorzenie skóry, młody panie, które spowoduje, że będziesz jeszcze bardziej dziobaty i okropny niż teraz...

- Uważaj na słowa! - oburzył się Ron, a uszy mu poczerwieniały.

- Jest na to jedyne remedium: weź wątrobę ropuchy, przywiąż ją sobie ciasno do gardła, stań nago o pełni księżyca w beczce pełnej oczu węgorzy...

- Nie mam żadnej groszopryszczki!

- Ale te szpetne plamy na twoim obliczu, młody panie...

- To są piegi! - krzyknął ze złością Ron. - A teraz wracaj do swoich ram i daj mi święty spokój!

Spojrzał po innych, którzy dzielnie usiłowali zachować powagę.

- Które to piętro?

- Chyba piąte - odpowiedziała Hermiona.

- Nie, to czwarte - rzekł Harry. - Jeszcze jedno...

Ale kiedy dotarł do szczytu schodów, zatrzymał się nagle, bo tuż za nimi były podwójne drzwi z małym okienkiem, a na nich tabliczka z napisem: URAZY POZAKLĘCIOWE. Przez okienko zerkał na nich jakiś mężczyzna z nosem przyciśniętym do szyby. Miał pofalowane blond włosy, jasnoniebieskie oczy i nieprzytomny uśmiech, ukazujący olśniewająco białe zęby.

- O kurczę! - zaklął pod nosem Ron, gapiąc się na niego.

- Wielkie nieba! - wydyszała Hermiona. - Profesor Lockhart!

Ich były nauczyciel obrony przed czarną magią otworzył drzwi i wyszedł ku nim w długim szlafroku koloru bzu.

- Witajcie! Pewnie chcielibyście dostać mój autograf, co?

- Za bardzo to się nie zmienił - mruknął Harry do Ginny, która uśmiechnęła się.

- Ee... jak się pan miewa, panie profesorze? - zagadnął nieco zakłopotany Ron.

To źle funkcjonująca różdżka Rona uszkodziła profesorowi Lockhartowi pamięć do tego stopnia, że wylądował właśnie tutaj. Z drugiej strony Lockhart próbował wówczas całkowicie wymazać pamięć Harry'ego i Rona, więc współczucie Harry'ego było dość ograniczone.

- Wspaniale, dziękuję! - odrzekł z emfazą, wyciągając z kieszeni podniszczone pawie pióro. - To ile byście chcieli tych autografów? Potrafię już łączyć litery!

- No więc... dzięki, właściwie to w tej chwili nie potrzebujemy żadnego - powiedział Ron i po chwili podniósł brwi, słysząc, co mówi Harry:

- Panie profesorze, czy wolno panu spacerować po korytarzu? Nie powinien pan przebywać na oddziale?

Z twarzy Lockharta powoli spełzł uśmiech. Przez kilka chwil wpatrywał się intensywnie w Harry'ego, a potem zapytał:

- Czy my się znamy?

- Ee... no tak. Uczył nas pan w Hogwarcie, pamięta pan?

- Uczył? - powtórzył Lockhart, lekko zaniepokojony. - Ja? Naprawdę?

A po chwili uśmiech powrócił na jego twarz tak nagle, że aż się trochę zaniepokoili.

- Przypuszczam, że nauczyłem was wszystkiego, co wiecie, tak? No dobrze, ale co z tymi autografami? Powiedzmy... okrągły tuzin, będziecie mogli rozdać je waszym wszystkim małym przyjaciołom i nikt nie będzie poszkodowany!

W tym momencie z drzwi na końcu korytarza wychyliła się czyjaś głowa i rozległ się głos:

- Gilderoy, niegrzeczny chłopcze, gdzie ty znowu polazłeś?

Uzdrowicielka o matczynym wyglądzie, z błyszczącą przepaską na włosach, kroczyła ku nim raźnym krokiem, uśmiechając się do Harry'ego i reszty.

- Och, Gilderoy, masz gości! Jak cudownie, i to w dzień Bożego Narodzenia! Bo wiecie, moi drodzy, jego nikt nigdy nie odwiedza... Moje biedne jagniątko, nie mam pojęcia dlaczego, przecież jest taki milusi, prawda?

- Oni tu są w sprawie autografów! - wyjaśnił jej Gilderoy, znowu uśmiechając się promiennie. - Zażyczyli sobie ich mnóstwo, nie chcą słyszeć o odmowie! Żeby tylko starczyło fotografii!

- Tylko go posłuchajcie - ucieszyła się uzdrowicielka, biorąc Lockharta pod ramię i uśmiechając się do niego pieszczotliwie, jakby był nad wiek rozwiniętym dwulatkiem. - Parę lat temu to była bardzo znana osobistość, mamy wielką nadzieję, że ta ochota do rozdawania autografów jest zapowiedzią rychłego powrotu jego pamięci. To co, wejdziecie? Jest na oddziale zamkniętym, musiał się wymknąć, kiedy przynosiłam prezenty bożonarodzeniowe, zwykle drzwi są zamknięte na klucz... Nie dlatego, żeby był niebezpieczny, o nie! Ale - ściszyła głos do szeptu - jest trochę niebezpieczny dla samego siebie, biedaczek... Bo on, rozumiecie, nie wie, kim jest, wyjdzie i potem nie może sobie przypomnieć, jak wrócić... Jak to miło, że przyszliście go odwiedzić...

- Ee... - bąknął Ron, wskazując nieco bez sensu na piętro wyżej - właściwie, to my... ee... tylko...

Ale uzdrowicielka uśmiechała się do nich wyczekująco i kiedy Ron w końcu mruknął cicho coś w rodzaju: „chcieliśmy się napić herbaty", chyba to do niej nie dotarło. Popatrzyli po sobie bezradnie i poszli korytarzem za Lockhartem i uzdrowicielką.

- Nie siedźmy tu długo - powiedział cicho Ron. Uzdrowicielka wycelowała różdżką w drzwi oddziału Janusa Thickeya i mruknęła: „*Alohomora*". Drzwi otworzyły się i weszła pierwsza, trzymając mocno Gilderoya za ramię, dopóki nie usadowiła go w fotelu obok jego łóżka.

- To oddział pobytu długoterminowego - wyjaśniła przyciszonym głosem Harry'emu, Ronowi, Hermionie i Ginny. - Dla pacjentów z trwałym urazem pozaklęciowym. Przy intensywnej terapii eliksirami i zaklęciami, no i przy odrobinie szczęścia, możemy oczywiście osiągnąć pewną poprawę ich stanu... Gilderoyowi chyba powraca poczucie tożsamości, przynajmniej w pewnym stopniu, widzimy też prawdziwe polepszenie w przypadku pana Bode, wyraźnie odzyskuje mowę, chociaż mówi w języku, którego jeszcze nie udało się nam

rozpoznać... No, ale muszę dokończyć rozdawanie prezentów, zostawię was z nim, żebyście mogli sobie pogadać...

Harry rozejrzał się. Trudno było nie dostrzec, że ten oddział jest stałym miejscem pobytu dla jego mieszkańców. Wokół łóżek było wiele osobistych akcentów: ściana u wezgłowia Gilderoya obwieszona była jego fotografiami, na których pokazywał w uśmiechu swe olśniewające zęby i machał do przybyszów. Wiele z nich zadedykował samemu sobie koślawym, dziecięcym pismem. Gdy tylko usiadł, przyciągnął do siebie plik zdjęć i zaczął je gorączkowo podpisywać.

- Możesz je wkładać do kopert - powiedział do Ginny, rzucając jej na kolana podpisane fotografie. - Tak, moja droga, jeszcze o mnie nie zapomniano, wciąż dostaję listy od fanów... Gladys Gudgeon pisze co tydzień... Chciałbym tylko wiedzieć dlaczego... - urwał, zmarszczył czoło, a potem znowu się rozpromienił i powrócił do składania swego podpisu z jeszcze większym zapałem. - Podejrzewam, że chodzi o moją całkiem jeszcze niezłą prezencję...

W łóżku naprzeciw leżał ponury czarodziej o ziemistej twarzy, wpatrując się w sufit. Mamrotał coś do siebie i chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje wokół niego. Dwa łóżka dalej leżała kobieta z twarzą całkowicie pokrytą futrem. Harry przypomniał sobie, że coś podobnego przydarzyło się w drugiej klasie Hermionie, choć w jej przypadku nie była to, na szczęście, trwała zmiana. W końcu sali stały dwa łóżka osłonięte kwiecistymi parawanami, by stworzyć pacjentom i ich gościom trochę prywatności.

- To dla ciebie, Agnes - zagadnęła wesoło uzdrowicielka kobietę o porośniętej futrem twarzy, wręczając jej kilka paczuszek. - Widzisz, nie zapomnieli o tobie, prawda? A twój syn przysłał przez sowę wiadomość, że wieczorem cię odwiedzi, więc nie jest źle, co?

Agnes szczeknęła głośno kilka razy.

- A tobie, Broderick, przysłano roślinkę w doniczce i cudowny kalendarz z hipogryfami, na każdy miesiąc inny, pewnie ci się trochę poprawi humor, co? - zaszczebiotała uzdrowicielka do mamrocącego czarodzieja, stawiając na jego szafce dość brzydką roślinę z długimi, kołyszącymi się wąsami i przymocowując różdżką kalendarz do ściany. - I... och, pani Longbottom, już pani wychodzi?

Harry szybko odwrócił głowę. Zza parawanu przy dwóch łóżkach w końcu sali wyszły dwie osoby: czarownica o groźnym wyglądzie, ubrana w długą zieloną suknię, wyleniałe futro z lisów i spiczasty kapelusz przystrojony wypchanym sępem, oraz Neville we własnej osobie, który szedł za nią z opuszczoną głową, najwidoczniej kompletnie załamany.

W nagłym przebłysku zrozumienia Harry zdał sobie sprawę, kim muszą być pacjenci leżący w końcu sali. Rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu czegoś, co odwróciłoby uwagę reszty, żeby Neville mógł wyjść niezauważony, ale Ron też podniósł głowę na dźwięk nazwiska „Longbottom" i zanim go Harry zdążył powstrzymać, zawołał:

- Neville!

Neville drgnął i skulił się, jakby mu tuż koło głowy przeleciała kula.

- Hej, to my! - Ron już wstawał z krzesła. - Widziałeś? Lockhart jest tutaj! Kogo odwiedzasz?

- Neville, mój drogi, to twoi znajomi? - zapytała jego babcia łaskawym tonem, mierząc ich wzrokiem.

Neville wyglądał, jakby chciał zapaść się pod ziemię. Unikał ich spojrzenia, a na jego pucołowatych policzkach pojawiły się ciemne rumieńce.

- Ach, tak - powiedziała jego babcia, przyglądając się bacznie Harry'emu i wyciągając ku niemu pomarszczoną, szponiastą rękę. - Tak, tak, wiem, kim jesteś, oczywiście. Neville bardzo dobrze o tobie mówi.

- Ee... dziękuję - wybąkał Harry, potrząsając jej rękę.

Neville wpatrywał się w swoje stopy, a barwa jego twarzy ciemniała z każdą chwilą.

- A wy dwoje to pewnie Weasleyowie - ciągnęła pani Longbottom, królewskim gestem podając po kolei rękę Ronowi i Ginny. - Tak, znam waszych rodziców... nie za dobrze, rzecz jasna... ale to wspaniali ludzie, naprawdę wspaniali... A ty musisz być Hermiona Granger, tak?

Hermiona wyglądała na zaskoczoną, że pani Longbottom zna jej imię, ale uścisnęła jej rękę.

- Tak, Neville opowiadał mi o was. Pomogliście mu w niejednych opałach, prawda? To dobry chłopiec - powiedziała, rzucając na Neville'a surowe, oceniające spojrzenie znad kościstego nosa - ale obawiam się, że nie ma talentu swego ojca...

I wskazała brodą na dwa łóżka w końcu sali, a wypchany sęp na jej kapeluszu zadygotał niepokojąco.

- Co? - zdumiał się Ron (Harry chciał mu nadepnąć na stopę, ale o wiele trudniej zrobić to w sposób niezauważony w dżinsach niż w szacie). - To twój tata tam leży, Neville?

- Co to znaczy? - zapytała ostro pani Longbottom. - Neville, nie powiedziałeś przyjaciołom o swoich rodzicach?

Neville wziął głęboki oddech, spojrzał w sufit i pokręcił głową. Harry nigdy nie współczuł tak nikomu, ale nie przychodziło mu do głowy nic, co by Neville'owi pomogło w tej sytuacji.

- Przecież nie ma się czego wstydzić! - powiedziała gniewnym tonem pani Longbottom. - Powinieneś być z nich dumny, Neville! Dumny! Nie po to poświęcili swe zdrowie, by wstydził się ich jedyny syn!

- Ja się nie wstydzę - powiedział cicho Neville, wciąż patrząc w inną stronę, byle nie na Harry'go i resztę.

Ron wspiął się na palce, żeby zobaczyć osoby leżące na dwóch łóżkach za parawanem.

- No, ale okazujesz to w bardzo dziwny sposób! Mój syn i jego żona - dodała pani Longbottom, zwracając się wyniosłym tonem do Harry'ego, Rona, Hermiony i Ginny - byli torturowani i doprowadzeni do utraty zmysłów przez zwolenników Sami-Wiecie-Kogo.

Hermiona i Ginny zakryły sobie usta dłońmi. Ron przestał wyciągać szyję, żeby dostrzec rodziców Neville'a, wyraźnie zawstydzony.

- Tak, byli aurorami i cieszyli się wielkim szacunkiem w świecie czarodziejów. Oboje byli bardzo utalentowani. Ja... Alicjo, moja droga, o co chodzi?

Przez salę zmierzała chyłkiem matka Neville'a w nocnej koszuli. To nie była już owa pulchna, wesoła kobieta, którą Harry widział na starej fotografii Moody'ego, przedstawiającej założycieli Zakonu Feniksa. Teraz miała wychudzoną i wyniszczoną twarz z wielkimi oczami i siwe, martwe kosmyki. Chyba nie zamierzała nic powiedzieć, a może nie była do tego zdolna, bo tylko zrobiła nieśmiały ruch w stronę Neville'a, trzymając coś w wyciągniętej ręce.

- Znowu? - zapytała pani Longbottom nieco znużonym głosem. - No dobrze, Alicjo, dobrze... Neville, weź to, choć naprawdę nie wiem, co to tym razem jest...

Neville już wyciągnął rękę, na którą jego matka upuściła papierek od gumy do żucia Drooblesa.

- To bardzo miłe, moja kochana - powiedziała babcia Neville'a z udawaną radością, poklepując ją po ramieniu.

- Dziękuję, mamo - bąknął Neville.

Jego matka odwróciła się i podreptała do swojego łóżka, mrucząc coś pod nosem. Neville spojrzał na nich wyzywająco, jakby prowokując ich do śmiechu, ale Harry pomyślał, że chyba w całym swoim życiu nie widział czegoś mniej śmiesznego.

- No, ale lepiej już wracajmy - westchnęła pani Longbottom, wciągając zielone rękawiczki. - Bardzo było miło was poznać. Neville, wrzuć ten papierek do kosza, dała ci już ich tyle, że mógłbyś sobie nimi wykleić całą sypialnię...

Harry mógłby przysiąc, że kiedy odchodzili, Neville wsunął papierek do kieszeni.

Drzwi zamknęły się za nimi.

- Nie miałam pojęcia - powiedziała Hermiona, której zbierało się na płacz.

- Ja też - mruknął ochryple Ron.

- Ani ja - szepnęła Ginny.

Wszyscy troje spojrzeli na Harry'ego.

- Ja wiedziałem - przyznał ponuro. - Dumbledore mi powiedział, ale obiecałem, że nikomu o tym nie wspomnę... Właśnie za to Bellatriks Lestrange zesłano do Azkabanu. To ona użyła Zaklęcia Cruciatus wobec rodziców Neville'a, tak że stracili zmysły.

- Bellatriks Lestrange to zrobiła? - wyszeptała ze zgrozą Hermiona. - Ta kobieta, której zdjęcie trzyma Stworek w swoim legowisku?

Zapanowało milczenie, przerwane gniewnym głosem Lockharta:

- Słuchajcie, chyba nie na próżno nauczyłem się łączyć litery, co?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY
OKLUMENCJA

Syriusz znalazł Stworka na strychu. Cały pokryty był kurzem i, według Syriusza, na pewno szukał tam pamiątek po rodzinie Blacków, żeby je ukryć w swojej komórce, ale Harry'ego to wytłumaczenie nie do końca przekonało. Stworek był wyraźnie w lepszym nastroju, nie złorzeczył już tak często i był bardziej posłuszny niż zwykle, choć Harry raz czy dwa stwierdził, że skrzat przygląda mu się bacznie, zawsze szybko odwracając wzrok, gdy go na tym przyłapał.

Nie zwierzył się ze swych niejasnych podejrzeń Syriuszowi, którego euforia po Bożym Narodzeniu szybko zaczęła opuszczać. W miarę jak zbliżał się dzień ich powrotu do Hogwartu, stawał się coraz bardziej podatny na to, co pani Weasley nazywała „napadami złego humoru", kiedy to stawał się milczący i mrukliwy i często przesiadywał całymi godzinami w pokoju Hardodzioba. Jego ponury nastrój udzielał się wszystkim, sącząc się przez szczeliny pod drzwiami niby jakiś trujący gaz.

Harry nie miał ochoty zostawiać go samego, ze Stworkiem jako jedynym towarzyszem. Prawdę mówiąc, po raz pierwszy w życiu nie wyczekiwał z utęsknieniem na powrót do Hogwartu. Oznaczało to bowiem poddanie się znowu tyranii Dolores Umbridge, której w czasie ich nieobecności na pewno udało się już nakłonić Knota do wydania tuzina nowych dekretów edukacyjnych. No i nie mógł już tęsknić za quidditchem, bo został dożywotnio zdyskwalifikowany. Zbliżający się termin egzaminów zwiastował jeszcze większe obciążenie pracami domowymi, a nic nie wskazywało, by Dumbledore przypomniał sobie w końcu o jego istnieniu. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, trudno się dziwić, że gdyby nie GD, Harry gotów był pójść do Syriusza i błagać go, by mu pozwolił rzucić szkołę i zostać z nim w domu przy Grimmauld Place.

A potem, ostatniego dnia ferii zimowych, zdarzyło się coś, co sprawiło, że myśl o powrocie do Hogwartu stała się dla Harry'ego przerażającą zmorą.

- Harry, kochaneczku - powiedziała pani Weasley, wtykając głowę do sypialni, gdzie z Ronem grali w szachy czarodziejów, obserwowani przez Hermionę, Ginny i Krzywołapa - mógłbyś zejść do kuchni? Profesor Snape chce z tobą zamienić słowo.

Do Harry'ego nie od razu dotarło, co pani Weasley powiedziała, bo jedna z jego wież walczyła właśnie zaciekle z pionem Rona, a on zachęcał ją gorliwie do ataku.

- Zmiażdż go... zmiażdż go, głupia, to tylko pionek... przepraszam, pani Weasley, co pani mówiła?

- Profesor Snape, mój kochany. W kuchni. Chciałby z tobą pomówić.

Harry'emu szczęka opadła z przerażenia. Spojrzał na Rona, Hermionę i Ginny, którzy wytrzeszczyli na niego oczy. Krzywołap, którego Hermiona przytrzymywała z trudem przez ostatni kwadrans, skoczył wreszcie na szachownicę, co spowodowało, że figury rzuciły się do ucieczki, wrzeszcząc wniebogłosy.

- Snape? - powtórzył głucho Harry.

- Profesor Snape, kochaneczku - poprawiła go pani Weasley. - I pospiesz się, bo powiedział, że nie ma wiele czasu.

- Czego on od ciebie chce? - zapytał Ron z zaniepokojoną miną, kiedy jego matka opuściła pokój. - Chyba niczego nie zmalowałeś?

- Nie! - krzyknął ze złością Harry, wytężając mózg, by sobie przypomnieć, czy rzeczywiście nie zrobił czegoś, co skłoniło Snape'a do ścigania go aż tutaj, w domu przy Grimmauld Place. Czyżby ostatnie wypracowanie domowe napisał na T?

Parę minut później otworzył drzwi kuchni i zastał Syriusza i Snape'a siedzących przy długim kuchennym stole; każdy patrzył w inną stronę. Milczenie przesycone było wzajemną niechęcią. Przed Syriuszem leżał rozwinięty list.

Harry chrząknął cicho, by oznajmić swoją obecność.

Snape odwrócił głowę i spojrzał na niego spomiędzy kurtyny tłustych czarnych włosów.

- Siadaj, Potter.

- Wiesz co, Snape - powiedział głośno Syriusz, odchylając się na tylnych nogach krzesła i mówiąc do sufitu - wolałbym, żebyś nie wydawał tutaj żadnych rozkazów. Bo tak się składa, że to mój dom.

Paskudny rumieniec oblał bladą twarz Snape'a. Harry usiadł obok Syriusza, patrząc na Snape'a przez stół.

- Miałem zobaczyć się z tobą sam na sam, Potter - rzekł Snape, wykrzywiając wargi w znajomym drwiącym grymasie - ale Black...

- Jestem jego ojcem chrzestnym - stwierdził Syriusz, jeszcze bardziej podnosząc głos.

- A mnie przysłał tutaj Dumbledore - oznajmił Snape, mówiąc na odmianę ciszej, ale jeszcze bardziej zjadliwym tonem. - Ale zostań, Black, wiem, że lubisz się czuć... zaangażowany.

- A co to właściwie ma znaczyć? - zapytał Syriusz, a jego krzesło opadło z hukiem na wszystkie cztery nogi.

- Tylko to, że z pewnością musisz się czuć... nieco sfrustrowany tym, że nie możesz robić nic pożytecznego... dla Zakonu - dodał, kładąc lekki nacisk na ostatnie słowo.

Teraz z kolei Syriusz oblał się rumieńcem. Snape wykrzywił drwiąco wargi i zwrócił się do Harry'ego.

- Dyrektor przysłał mnie tutaj, żebym ci przekazał, że masz w tym semestrze uczyć się oklumencji.

- Czego? - zapytał Harry.

Uśmiech Snape'a stał się jeszcze bardziej drwiący.

- Oklumencji, Potter. Magicznej obrony umysłu przed penetracją z zewnątrz. To mało znana dziedzina magii, choć wysoce użyteczna.

Harry'emu zaczęło szybko bić serce. Obrona przed penetracją z zewnątrz? Przecież nie był opętany, wszyscy się z tym zgodzili...

- Dlaczego mam się uczyć tej oklu... coś tam? - wymamrotał.

- Ponieważ dyrektor uważa, że to bardzo dobry pomysł. Będziesz miał co tydzień prywatne lekcje, ale nie powiesz nikomu, co robisz, a już zwłaszcza Dolores Umbridge. Zrozumiałeś?

- Tak. A kto ma mnie uczyć?

Snape uniósł brwi.

- Ja.

Harry doznał okropnego wrażenia, że roztapiają mu się wnętrzności. Dodatkowe lekcje ze Snape'em - czym sobie na to, do licha, zasłużył? Spojrzał szybko na Syriusza, szukając u niego wsparcia.

- Dlaczego nie może go uczyć Dumbledore? - zapytał wojowniczo Syriusz. - Dlaczego ty?

- Chyba dlatego, że przywilejem dyrektorów jest przekazywanie innym mniej przyjemnych zadań - odrzekł Snape jedwabistym głosem. - Zapewniam cię, że go o to nie prosiłem. - Wstał. - Potter, oczekuję cię w poniedziałek, o szóstej po południu. W moim gabinecie. Jeśli ktoś cię zapyta, powiesz, że bierzesz korepetycje z eliksirów. Nikt, kto cię widział na moich lekcjach, nie zaprzeczy, że są ci potrzebne.

Odwrócił się, aby odejść, powiewając swą czarną podróżną peleryną.

- Chwileczkę - powiedział Syriusz, prostując się w krześle.

Snape odwrócił twarz z szyderczym uśmiechem.

- Trochę się spieszę, Black... W przeciwieństwie do ciebie, nie mam nieograniczonej ilości wolnego czasu...

- Przejdę więc od razu do rzeczy - rzekł Syriusz, wstając. Był wyższy od Snape'a, który, jak zauważył Harry, zacisnął w kieszeni dłoń, zapewne na swojej różdżce. - Jeśli się dowiem, że wykorzystujesz lekcje oklumencji, by dręczyć Harry'ego, odpowiesz mi za to.

- Jakie to wzruszające - zakpił Snape. - Ale chyba zauważyłeś, że Potter jest bardzo podobny do swojego ojca?

- Tak, zauważyłem - odrzekł z dumą Syriusz.

- No, to chyba wiesz, że jest tak butny, że wszelkie uwagi krytyczne odbijają się od niego jak groch od ściany.

Syriusz gwałtownie odsunął krzesło na bok i ruszył ku Snape'owi naokoło stołu, wyciągając różdżkę. Snape wyszarpnął swoją. Stanęli naprzeciw siebie; Syriusz wyraźnie wzburzony, Snape chłodno oceniający sytuację, rzucając wzrokiem to na koniec jego różdżki, to na jego twarz.

- Syriuszu! - zawołał Harry, ale ten nawet nie drgnął.

- Ostrzegłem cię, Śmiecierusie - rzekł Syriusz, z twarzą oddaloną zaledwie o stopę od twarzy Snape'a. - Dumbledore może sobie uważać, że się zmieniłeś, ale ja wiem swoje...

- Tak? To dlaczego mu o tym nie powiesz? - wyszeptał Snape. - Może obawiasz się, że nie potraktuje poważnie opinii człowieka, który od sześciu miesięcy ukrywa się w domu swojej matki?

- A może mi powiesz, jak się ostatnio czuje Lucjusz Malfoy? Pewnie jest zadowolony, że jego salonowy piesek pracuje w Hogwarcie?

- Skoro już mówimy o psach - powiedział cicho Snape - to czy wiesz, że Lucjusz Malfoy rozpoznał cię ostatnio, jak zaryzykowałeś mały wypad do miasta? Sprytny pomysł, Black, dać się zobaczyć na bezpiecznym peronie... i już się ma wspaniały pretekst, żeby więcej nie wychylać nosa ze swojej kryjówki, co?

Syriusz podniósł różdżkę.

- NIE! - krzyknął Harry i przeskoczył przez stół, stając pomiędzy nimi. - Syriuszu, nie...

- Nazywasz mnie tchórzem? - ryknął Syriusz, próbując bez powodzenia odsunąć Harry'ego na bok.

- Na to wygląda - odrzekł Snape.

- Harry... nie... wtrącaj... się! - warknął Syriusz, odpychając go wolną ręką.

Drzwi kuchni otworzyły się i weszła cała rodzina Weasleyów. Tryskali radością, a pośród nich kroczył dumnie pan Weasley w pasiastej piżamie i nieprzemakalnym płaszczu.

- Wyleczony! - oznajmił radośnie. - Całkowicie wyleczony!

On i reszta Weasleyów zamarli za progiem na widok rozgrywającej się pośrodku kuchni, również nagle przerwanej sceny: Syriusz i Snape patrzyli w stronę drzwi, celując w siebie różdżkami, Harry stał nieruchomo pomiędzy nimi, próbując ich rozdzielić rozłożonymi szeroko rękami.

- Na brodę Merlina, co się tutaj dzieje? - zapytał pan Weasley, przestając się uśmiechać.

Syriusz i Snape opuścili różdżki. Harry spojrzał najpierw na jednego, potem na drugiego. Na twarzach obu wciąż malował się wyraz bezgranicznej pogardy, ale nieoczekiwane pojawienie się tylu świadków najwidoczniej przywróciło im zdrowy rozsądek. Snape schował różdżkę do kieszeni, odwrócił się na pięcie i przeszedł przez kuchnię, mijając Weasleyów bez słowa. Przy drzwiach obejrzał się przez ramię.

- W poniedziałek o szóstej po południu, Potter.

I odszedł. Syriusz rzucił za nim wściekłe spojrzenie.

- Co się tutaj działo? - powtórzył pan Weasley.

- Nic, Arturze - odrzekł Syriusz, oddychając ciężko, jakby dopiero co przebiegł z milę. - Po prostu mała przyjacielska pogawędka między dwoma starymi znajomymi ze szkoły... - I uśmiechnął się z wyraźnym wysiłkiem. - Więc... zostałeś wyleczony? To wspaniała nowina, wspaniała...

- Prawda? - powiedziała pani Weasley, prowadząc męża do krzesła. - Uzdrowiciel Smethwyck w końcu zabrał się poważnie za czary i znalazł antidotum na to, co ten wąż miał w kłach, a Artur dostał nauczkę... Już więcej nie będzie próbował maczać palców w mugolskiej medycynie... Prawda, kochanie? - dodała ostrzegawczym tonem.

- Tak, Molly - przyznał potulnie pan Weasley.

Dla Harry'ego nie ulegało wątpliwości, że Syriusz starał się, jak mógł, aby podczas tej pierwszej wspólnej kolacji z panem Weasleyem panowała radosna atmosfera, ale sam jakoś jej nie ulegał. Kiedy nie zmuszał się do śmiechu z dowcipów Freda i George'a, nie zachęcał do jedzenia, stawał się znów markotny i zamyślony. Między Harrym a Syriuszem usiedli Mundungus i Szalonooki, którzy wpadli złożyć gratulacje panu Weasleyowi. Chciał porozmawiać z Syriuszem, powiedzieć mu, że nie powinien brać sobie do serca ani jednego słowa wypowiedzianego przez Snape'a, że Snape rozmyślnie go sprowokował i że nikt nie uważa go za tchórza, skoro jest posłuszny poleceniu Dumbledore'a i nie rusza się z Grimmauld Place, ale nie miał ku temu sposobności. Zerkając na niego co jakiś czas i wciąż widząc jego zaciętą minę, nie był jednak wcale pewny, czy ośmieliłby się powiedzieć mu to

wszystko, gdyby taka sposobność się nadarzyła. Powiedział za to półgłosem Ronowi i Hermionie o tym, że będzie miał lekcje oklumencji ze Snape'em.

- No jasne, Dumbledore chce, żebyś przestał mieć te sny o Voldemorcie - oświadczyła natychmiast Hermiona. - i chyba nie będzie ci żal się z nimi rozstać, co?

- Dodatkowe lekcje ze Snape'em? - szepnął przerażony Ron. - To ja już bym wolał nocne koszmary!

Nazajutrz mieli wrócić Błędnym Rycerzem do Hogwartu, eskortowani przez Tonks i Lupina. Oboje jedli śniadanie, gdy Harry, Ron i Hermiona weszli do kuchni następnego ranka. Rozmawiali o czymś szeptem, ale kiedy drzwi się otworzyły, spojrzeli na nich i natychmiast umilkli.

Po pospiesznie zjedzonym śniadaniu ubrali się w kurtki i szaliki, bo styczniowy poranek był zimny i szary. Na myśl o pożegnaniu się z Syriuszem Harry odczuwał nieprzyjemny ucisk w klatce piersiowej. Miał jakieś złe przeczucie, nie wiedział, kiedy znowu się zobaczą, i czuł, że powinien go przestrzec, żeby nie zrobił czegoś głupiego; lękał się, czy oskarżenie przez Snape'a o tchórzostwo nie ugodziło Syriusza tak mocno, że będzie planował jakiś ryzykowny wypad z Grimmauld Place. Zanim jednak zdążył wymyślić, co mu powiedzieć, Syriusz sam przywołał go do siebie.

- Chcę, żebyś to wziął - powiedział cicho, wręczając mu byle jak zawiniętą paczuszkę wielkości małej książki.

- Co to jest?

- Sposób na powiadomienie mnie, czy Snape cię nie dręczy. Nie, nie otwieraj tego tutaj! - dodał, spoglądając bacznie na panią Weasley, która próbowała nakłonić bliźniaków do włożenia robionych na drutach rękawiczek z jednym palcem. - Wątpię, czy Molly by to pochwaliła... ale chcę, żebyś tego użył, gdybyś mnie potrzebował, zgoda?

- W porządku - odrzekł Harry, chowając paczuszkę do wewnętrznej kieszeni kurtki, przekonany jednak, że nigdy tego czegoś nie użyje. Bez względu na to, jak podle potraktowałby go Snape podczas lekcji oklumencji, za nic nie wyciągnąłby Syriusza z bezpiecznej kryjówki.

- No to idziemy - powiedział Syriusz, klepiąc Harry'ego po ramieniu i uśmiechając się ponuro, i zanim Harry zdążył coś jeszcze powiedzieć, szli już schodami na górę.

Zatrzymali się przed uzbrojonymi w łańcuchy i rygle drzwiami frontowymi, otoczeni przez Weasleyów.

- Do widzenia, Harry, uważaj na siebie - powiedziała pani Weasley, tuląc go do siebie.

- Do zobaczenia, Harry, i miej ze względu na mnie oko na węże! - rzekł wesoło pan Weasley, ściskając mu dłoń.

- Jasne - odpowiedział Harry, gorączkowo zbierając myśli.

Była to ostatnia szansa, by powiedzieć Syriuszowi, żeby był ostrożny; odwrócił się, spojrzał swemu ojcu chrzestnemu w twarz i już otwierał usta, by przemówić, ale zanim zdążył to uczynić, Syriusz na chwilę objął go jednym ramieniem.

- Uważaj na siebie, Harry - mruknął.

W następnej chwili Harry poczuł lodowate zimowe powietrze, prowadzony po schodach przez Tonks (która dzisiaj była przebrana za postawną, siwowłosą kobietę w tweedowym płaszczu).

Drzwi domu numer dwanaście zatrzasnęły się głucho za nimi. Zeszli na chodnik za Lupinem. Harry spojrzał za siebie. Dom numer dwanaście nikł błyskawicznie, napierany przez dwa sąsiednie domy; jeszcze jedno mrugnięcie okiem i już go nie było.

- Idziemy, im szybciej złapiemy autobus, tym lepiej - powiedziała Tonks, a Harry'emu wydawało się, że z niepokojem rozejrzała się po placyku. Lupin wyciągnął prawą rękę.

BUM!

Wściekle fioletowy, trzypiętrowy autobus pojawił się przed nimi znikąd, mijając o włos najbliższą latarnię, która w ostatniej chwili uskoczyła mu z drogi.

Chudy, pryszczaty młodzieniec z odstającymi uszami, ubrany w fioletowy uniform, zeskoczył na chodnik i zaczął:

- Witajcie w...

- Wiemy, wiemy, dzięki - przerwała mu szybko Tonks. - Do środka, do środka, szybko...

I popchnęła Harry'ego ku stopniom autobusu, obok konduktora, który wytrzeszczył na niego oczy.

- Ożeż ty... to przecież 'Arry...!

- Jeśli wymienisz głośno jego nazwisko, rzucę na ciebie klątwę zapomnienia - mruknęła Tonks złowieszczo, popychając teraz Ginny i Hermionę.

- Zawsze marzyłem, żeby się nim przejechać - rzekł uradowany Ron, stając w autobusie koło Harry'ego i rozglądając się wokoło.

Kiedy Harry ostatnim razem podróżował Błędnym Rycerzem, był wieczór i na wszystkich trzech piętrach stały mosiężne łóżka. Teraz, wczesnym rankiem, autobus był zawalony najróżniejszymi krzesłami, porozstawianymi byle jak przy oknach. Niektóre się poprzewracały, zapewne kiedy autobus zahamował gwałtownie na Grimmauld Place. Kilkoro

czarownic i czarodziejów dźwigało się z podłogi, gderając głośno, a czyjaś torba na zakupy musiała przelecieć przez całą długość autobusu, bo podłoga była umazana mieszaniną żabiego skrzeku, zdechłych karaluchów i kremówek.

- Wygląda na to, że będziemy musieli się rozdzielić - powiedziała dziarsko Tonks, rozglądając się za pustymi krzesłami. - Fred, George i Ginny, usiądźcie tam z tyłu... Remus z wami zostanie...

Ona sama, Harry, Ron i Hermiona weszli na najwyższe piętro, gdzie znaleźli dwa wolne krzesła z przodu i dwa z tyłu. Konduktor Stan Shunpike ruszył ochoczo za Harrym i Ronem na tył autobusu. Kiedy szli, za Harrym obracały się głowy, a kiedy usiadł, wszystkie odwróciły się szybko z powrotem.

Harry i Ron wręczyli Stanowi po jedenaście sykli i autobus ruszył, kołysząc się złowieszczo. Okrążył z hałasem Grimmauld Place, co raz to wjeżdżając na chodnik, a potem rozległ się ponownie straszliwy huk i pomknęli naprzód z taką prędkością, że wszystkich odrzuciło do tyłu. Krzesło Rona przewróciło się z hałasem, a Świstoświnka, spoczywająca na jego kolanach, wypadła z klatki i przefrunęła, wrzeszcząc dziko, na przód autobusu, gdzie wylądowała na ramieniu Hermiony. Harry, który z trudem utrzymał się w krześle, przytrzymując się uchwytu na świece, wyjrzał przez okno. Pędzili teraz autostradą.

- Jesteśmy tuż za Birmingham - oznajmił uradowany Stan, odpowiadając na nie zadane przez Harry'ego pytanie, kiedy Ronowi udało się podnieść na nogi. - Jak leci, 'Arry? Rozpisywali się o tobie w gazetach, ale zwykle to ci dokopywali... Powiedziałem Erniemu: „Jak go ostatnim razem widzieliśmy, na czubka wcale nie wyglądał". Jak zwykle wstawiają kit, no nie?

Wręczył im bilety i nadal gapił się na Harry'ego jak urzeczony. Najwyraźniej było mu obojętne, czy ktoś jest czubkiem, czy nie, jeśli tylko pisano o nim w gazetach. Błędny Rycerz przechylił się niepokojąco na bok, wyprzedzając rząd samochodów poboczem. Spojrzawszy na przód autobusu, Harry zobaczył, jak Hermiona zakrywa sobie oczy rękami; Swistoświnka nadal kołysała się uradowana na jej ramieniu.

BUM!

Krzesła znowu odleciały do tyłu, gdy Błędny Rycerz zjechał z autostrady na wijącą się serpentynami wiejską drogę. Żywopłoty po obu stronach uskakiwały przed nim na boki. Wjechali na ruchliwą główną ulicę jakiegoś miasteczka, potem na wiadukt otoczony wysokimi wzgórzami, a wreszcie na omiataną wiatrem drogę między wysokimi blokami mieszkalnymi, uderzając w różne przeszkody z przeraźliwym hukiem.

- Zmieniłem zdanie - wymamrotał Ron, zbierając się po raz szósty z podłogi. - Już więcej nie chcę nim jechać.

- Hej, koledzy, po tym będzie ’Ogwart - rzekł wesoło Stan, zataczając się ku nim. - Ta kobitka, co siedzi na przedzie, pewnie szefowa, dała nam napiwek, żeby was wysadzić przed innymi. Tylko wyrzucimy najpierw panią Marsh... - W tym momencie z dołu dobiegł odgłos wymiotowania, a po nim chlust, jakby ktoś wylał na podłogę wiadro wody. - Nie najlepij się czuje, bidulka...

Kilka minut później Błędny Rycerz zatrzymał się z piskiem przed małym pubem, który skurczył się gwałtownie, żeby uniknąć kolizji. Usłyszeli, jak Stan wyprowadza panią Marsh z autobusu, czemu towarzyszyły pomruki ulgi pasażerów na drugim piętrze. Autobus ruszył ponownie, nabierając prędkości, i...

BUM!

Toczyli się przez zaśnieżone Hogsmeade. Harry zdołał uchwycić spojrzeniem szyld gospody Pod Świńskim Łbem, kołyszący się na silnym wietrze w bocznej uliczce. W końcu zahamowali przed wrotami Hogwartu.

Lupin i Tonks pomogli im wynieść z autobusu bagaże i wyszli, żeby się z nimi pożegnać. Harry spojrzał jeszcze raz na trzy piętra Błędnego Rycerza i zobaczył, że wszyscy pasażerowie przyglądają im się z nosami rozpłaszczonymi o szyby.

- Jak się znajdziecie na terenach szkolnych, będziecie bezpieczni - powiedziała Tonks, rzucając czujne spojrzenie na pustą drogę. - No, to udanego semestru!

- Uważaj na siebie - rzekł Lupin, gdy po uściśnięciu wszystkich dłoni dotarł na końcu do Harry’ego. - I posłuchaj... - zniżył głos, podczas gdy reszta żegnała się z Tonks. - Harry, wiem, że nie lubisz Snape’a, ale on jest naprawdę dobry w oklumencji, a my wszyscy... włącznie z Syriuszem... chcemy, żebyś się nauczył, jak siebie chronić, więc postaraj się, dobrze?

- Dobrze - odrzekł Harry zrezygnowanym tonem, patrząc w przedwcześnie pooraną zmarszczkami twarz Lupina. - To do zobaczenia...

Cała szóstka ruszyła w górę śliską ścieżką wiodącą do zamku, ciągnąc za sobą kufry. Hermiona już zapowiadała, że wieczorem będzie robić na drutach czapki dla skrzatów. Kiedy doszli do dębowych drzwi wejściowych, Harry zerknął za siebie. Błędny Rycerz już odjechał. Pomyślał, że biorąc pod uwagę to, co go czeka jutro, chyba by wolał z niego nie wysiadać.

* * *

Przez prawie cały następny dzień z lękiem wyczekiwał wieczoru. Poranna dwugodzinna lekcja eliksirów nie rozwiała go, jako że Snape był wobec niego szorstki i

zjadliwy jak zawsze; między lekcjami podchodzili do niego członkowie GD, pytając z nadzieją w głosie, czy wieczorem będzie spotkanie grupy, co jeszcze bardziej psuło mu nastrój.

- Kiedy ustalę termin, to was powiadomię - powtarzał wciąż - ale dziś nie mogę, muszę iść na... ee... eliksiry do Snape'a...

- Masz korki z eliksirów? - zapytał wyniosłym tonem Zachariasz Smith, który dopadł go w sali wejściowej po obiedzie. - Wielki Boże, musisz być naprawdę kiepski, bo Snape zwykle nie udziela korepetycji, nie?

Kiedy odchodził denerwująco sprężystym krokiem, Ron popatrzył za nim ze złością.

- Mam go czymś rąbnąć? Stąd jeszcze go trafię - powiedział, podnosząc różdżkę i celując pomiędzy łopatki Smitha.

- Daj spokój - odrzekł ponuro Harry. - Przecież wszyscy tak będą uważać, nie? Że jestem naprawdę tępy...

- Cześć, Harry - rozległ się za nim głos.

Odwrócił się i zobaczył przed sobą Cho. Żołądek podskoczył mu do gardła.

- Och... cześć.

- Harry, będziemy w bibliotece - powiedziała dobitnie Hermiona, chwyciła Rona za łokieć i pociągnęła ku marmurowym schodom.

- Jak tam święta? - zapytała Cho.

- Nieźle.

- U mnie była cisza i spokój. - Z jakiegoś powodu miała nieco zmieszaną minę. - Ee... w przyszłym miesiącu jest Hogsmeade, widziałeś ogłoszenie?

- Co? Och, nie, jeszcze nie oglądałem tablicy ogłoszeń od czasu, jak wróciłem...

- Tak, w walentynki...

- Jasne - rzekł Harry, zastanawiając się, po co mu to mówi. - Pewnie chcesz...

- Ale tylko, jeśli i ty chcesz.

Harry wytrzeszczył oczy. Miał zamiar powiedzieć: „Pewnie chcesz wiedzieć, kiedy będzie następne spotkanie GD?", ale jej odpowiedź nie bardzo do tego pasowała.

- Ja... ee... - wyjąkał.

- Och, w porządku... Jak nie chcesz... - powiedziała, wyglądając na zażenowaną. - Nie przejmuj się. Z-zobaczymy się jakoś.

I odeszła. Harry gapił się za nią, a mózg pracował mu gorączkowo. Potem coś w nim zaskoczyło.

- Cho! Hej, CHO!

Dopędził ją w połowie marmurowych schodów.

- Ee... chciałabyś wyprawić się ze mną do Hogsmeade w walentynki?

- Ooooch, tak! - odpowiedziała, oblewając się szkarłatem i uśmiechając się promiennie.

- Super... No to... ustalone - rzekł Harry, czując, że tego dnia nie można jednak spisać na straty, i prawie podskakując, ruszył do biblioteki, by dołączyć do Rona i Hermiony przed popołudniowymi lekcjami.

Ale o szóstej nawet gloria sukcesu, jakim było udane zaproszenie Cho Chang, nie była w stanie rozproszyć złowieszczych przeczuć, wzmagających się z każdym krokiem, który przybliżał go do gabinetu Snape'a.

Zatrzymał się na chwilę przed drzwiami, marząc, by znaleźć się teraz w jakimkolwiek innym miejscu, po czym wziął głęboki oddech, zapukał i wszedł.

Był to mroczny pokój z szeregami półek pod ścianami zawalonych setkami szklanych słoi, w których w różnobarwnych eliksirach kisiły się oślizgłe części zwierząt i roślin. W rogu stał kredens pełen ingrediencji, o których kradzież oskarżył go kiedyś - nie bezpodstawnie - Snape. Uwagę Harry'ego przykuło jednak biurko, gdzie w blasku świec stało płytkie kamienne naczynie ozdobione runami i symbolami. Rozpoznał je natychmiast: myślodsiewnia Dumbledore'a. Zastanawiając się, co, u licha, robi tutaj to magiczne naczynie, aż podskoczył, gdy z ciemnego kąta dobiegł go głos Snape'a:

- Zamknij za sobą drzwi, Potter.

Harry zrobił to i poczuł się jak w więzieniu. Odwrócił się i ujrzał Snape'a, który wyszedł z mroku i wskazał mu bez słowa krzesło naprzeciw biurka. Usiadł, i to samo zrobił Snape. Utkwił w nim czarne oczy, nie mrugając powiekami. Na jego twarzy malowała się niechęć i odraza.

- No cóż, Potter, wiesz, dlaczego tu się znalazłeś. Dyrektor poprosił mnie, żebym cię nauczał oklumencji. Mam jedynie nadzieję, że okażesz się w niej bardziej pojętny niż w eliksirach.

- Jasne - odrzekł krótko Harry.

- To może i nie jest zwykła lekcja, Potter - powiedział Snape, mrużąc oczy - ale nadal jestem twoim nauczycielem i dlatego za każdym razem, gdy się do mnie zwracasz, używaj formy „proszę pana" albo „panie profesorze".

- Tak... proszę pana.

- No więc... oklumencja. Jak ci już powiedziałem w kuchni twojego ukochanego ojca chrzestnego, ta dziedzina magii pozwala uszczelnić umysł, tak aby nie był podatny na magiczną penetrację z zewnątrz i uleganie cudzym wpływom.

- A dlaczego profesor Dumbledore uważa, że powinienem się jej nauczyć, proszę pana? - zapytał Harry, patrząc prosto w czarne, zimne oczy i zastanawiając się, czy usłyszy odpowiedź.

Snape popatrzył na niego przez chwilę, a potem powiedział z pogardą:

- Jestem pewny, że nawet ty potrafiłbyś już sam do tego dojść, Potter. Czarny Pan jest mistrzem legilimencji...

- Co to takiego... panie profesorze?

- To zdolność wydobywania uczuć i wspomnień z umysłu innej osoby...

- Może czytać w cudzych myślach? - zapytał szybko Harry z obawą, że oto sprawdzają się jego najgorsze przeczucia.

- Brak ci subtelności, Potter - powiedział Snape z błyskiem w oczach. - Nie potrafisz dostrzec subtelnych różnic. To jedna z twoich wad, które sprawiają, że osiągasz tak żałosne rezultaty przy sporządzaniu eliksirów.

Zamilkł na chwilę, najwidoczniej po to, by porozkoszować się tymi obraźliwymi zdaniami, a potem ciągnął dalej:

- Tylko mugole mówią o „czytaniu w cudzych myślach". Umysł nie jest książką, którą można otworzyć i przeczytać w wolnym czasie. Myśli nie są wyryte wewnątrz czaszki, gdzie mógłby je przejrzeć jakiś intruz. Umysł to rzecz złożona i wielowarstwowa, Potter... w każdym razie większość umysłów... - Uśmiechnął się drwiąco. - To prawda jednak, że ci, którzy opanowali sztukę legilimencji, potrafią, pod pewnymi warunkami, wedrzeć się do umysłu swoich ofiar i poprawnie zinterpretować to, co tam znajdą. Czarny Pan, na przykład, prawie zawsze wie, kiedy ktoś nie mówi prawdy. Tylko ci, którzy posiądą sztukę oklumencji, mogą udaremnić mu dostęp do uczuć i wspomnień przeczących temu kłamstwu i w ten sposób wprowadzić go w błąd.

Bez względu na to, co Snape powiedział, legilimencja była dla Harry'ego nadal czytaniem w cudzych myślach i wcale mu się to nie podobało.

- Więc on mógłby się dowiedzieć, o czym teraz myślimy... panie profesorze?

- Czarny Pan jest dość daleko, a mury i tereny Hogwartu są strzeżone wieloma pradawnymi zaklęciami, aby zapewnić cielesne i umysłowe bezpieczeństwo tym, którzy w nim mieszkają. W magii czas i przestrzeń mają znaczenie, Potter. W legilimencji często ważny jest kontakt wzrokowy.

- Jeśli tak, to po co mam się uczyć oklumencji?

Snape spojrzał na niego, gładząc wargi długim, cienkim palcem.

- Wydaje się, że w twoim przypadku zawodzą zwykłe reguły, Potter. Wygląda na to, że klątwa, która cię nie zabiła, wytworzyła jakąś więź między tobą i Czarnym Panem. Wszystko wskazuje na to, że czasami, kiedy twój umysł jest odprężony i podatny na penetrację... na przykład podczas snu... dzielisz z Czarnym Panem myśli i uczucia. Dyrektor sądzi, że trzeba temu położyć kres. Chce, żebym cię nauczył, jak zabezpieczyć umysł przed Czarnym Panem.

Harry'emu znowu szybciej zabiło serce. Nadal nic mu się nie zgadzało.

- Ale dlaczego profesor Dumbledore chce to powstrzymać? - zapytał nagle. - Nie lubię tego, ale to może być bardzo przydatne, prawda? To znaczy... zobaczyłem atak węża na pana Weasleya, a gdybym tego nie zobaczył, profesor Dumbledore nie mógłby go uratować, prawda... proszę pana?

Snape wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, wciąż gładząc wargi czubkiem palca. A kiedy się znowu odezwał, mówił powoli i z rozmysłem, ważąc każde słowo.

- Wydaje się, że Czarny Pan nie był uprzednio świadom więzi między wami. Odkrył ją dopiero niedawno. Do tego czasu ty odczuwałeś jego emocje i poznawałeś jego myśli, ale on nie stawał się przez to mądrzejszy. Jednak ta wizja, którą miałeś na krótko przed Bożym Narodzeniem...

- Ta z wężem i panem Weasleyem?

- Nie przerywaj mi, Potter - powiedział Snape groźnym tonem. - Jak mówiłem... wizja, którą miałeś na krótko przed Bożym Narodzeniem, była tak silną penetracją myśli Czarnego Pana...

- Widziałem to oczami węża, a nie jego!

- Czy ja ci nie powiedziałem, żebyś mi nie przerywał, Potter?

Ale Harry nie dbał już o to, że Snape jest zły, wydało mu się, że w końcu zaczyna rozumieć, o co tutaj chodzi. Nie zdając sobie z tego sprawy, wysunął się do przodu, tak że prawie zawisł na krawędzi krzesła, jakby szykował się do odlotu.

- W jaki sposób patrzyłem oczami węża, skoro dzielę myśli z Voldemortem?

- Nie wymawiaj nazwiska Czarnego Pana! - warknął Snape.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Mierzyli się gniewnymi spojrzeniami ponad myślodsiewnią.

- Profesor Dumbledore je wymawia - powiedział cicho Harry.

- Dumbledore jest niezwykle potężnym czarodziejem - mruknął Snape. - On może czuć się dość pewnie, aby wymawiać to nazwisko... ale my wszyscy...

Potarł lewe ramię, najwyraźniej bezwiednie, w miejscu, gdzie jak Harry wiedział, wypalony miał na skórze Mroczny Znak.

- Ja tylko chciałem się dowiedzieć - zaczął znowu Harry, siląc się na uprzejmy ton - dlaczego...

- Wydaje się, że odwiedziłeś świadomość węża, bo tam właśnie znajdował się wówczas Czarny Pan. W tym czasie opętał tego węża, więc śniłeś, że i ty jesteś wężem...

- A Vol... on... wiedział, że ja tam jestem?

- Na to wygląda - odrzekł chłodno Snape.

- Skąd ta pewność? To są przecież tylko przypuszczenia profesora Dumbledore'a albo...

- Powiedziałem ci - przerwał mu Snape, sztywniejąc i mrużąc oczy - żebyś używał formy „panie profesorze".

- Tak, panie profesorze - powiedział niecierpliwie Harry - ale skąd pan wie...

- Wiem i tyle - przerwał mu ponownie Snape. - Ważne jest, że Czarny Pan już wie. Wie, że masz dostęp do jego myśli i uczuć. Wywnioskował też, że ów proces można odwrócić, to znaczy zdał sobie sprawę, że on z kolei mógłby mieć dostęp do twoich myśli i uczuć...

- I mógłby zmusić mnie do zrobienia różnych rzeczy? - zapytał Harry. - ...Proszę pana - dodał pospiesznie.

- Oczywiście - odpowiedział Snape zimnym i nieczułym głosem. - Co prowadzi nas z powrotem do oklumencji.

Wyciągnął różdżkę z wewnętrznej kieszeni szaty, a Harry zesztywniał, ale Snape tylko przyłożył ją sobie do skroni i zanurzył jej koniec w tłustych czarnych włosach. Po chwili ją wyciągnął, a wówczas między różdżką a skronią pojawił się długi strzępek srebrnej substancji, coś jak gruba pajęcza nić, która przerwała się, gdy odjął różdżkę od głowy, i wpadła do myślodsiewni, gdzie rozpłynęła się i zawirowała srebrzyście - ni to gaz, ni to płyn. Uczynił to jeszcze dwukrotnie, a potem, bez żadnego wyjaśnienia, podniósł ostrożnie kamienne naczynie i odstawił na półkę, po czym wziął różdżkę i wycelował nią w Harry'ego.

- Wstań i wyjmij swą różdżkę, Potter.

Harry wstał, czując, że ogarnia go lęk. Stali naprzeciw siebie, dzieliło ich tylko biurko.

- Możesz użyć różdżki i spróbować mnie rozbroić, albo bronić się w każdy inny sposób, który ci przyjdzie do głowy - powiedział Snape.

- A co pan zamierza zrobić? - zapytał Harry, wpatrując się ze strachem w jego różdżkę.

- Zamierzam włamać się do twojego umysłu - odpowiedział cicho Snape. - Sprawdzimy, na ile jesteś zdolny się temu oprzeć. Powiedziano mi, że wykazałeś już odporność na Zaklęcie Cruciatus... Zobaczysz, że do tego potrzebna jest podobna moc... A teraz przygotuj się... *Legilimens!*

Uderzył, zanim Harry się przygotował, zanim zdążył skupić w sobie jakąkolwiek moc oporu. Gabinet rozpłynął mu się przed oczami i znikł, a w jego umyśle obraz zaczął ścigać obraz, scena scenę, jak zbyt szybko puszczony film, oślepiając go tak, że nie widział już nic naokoło...

Miał pięć lat, obserwował Dudleya jeżdżącego na nowym rowerze, serce pękało mu z zazdrości... Miał dziewięć lat i uciekał przed buldogiem Majchrem aż na drzewo, a Dursleyowie zaśmiewali się na trawniku... Siedział z Tiarą Przydziału na głowie, która mówiła mu, że nadaje się do Slytherinu... Hermiona leżała w skrzydle szpitalnym, jej twarz pokrywały grube czarne włosy... Setka dementorów otaczała go nad ciemnym jeziorem... Cho Chang zbliżała się do niego pod jemiołą...

Nie, powiedział jakiś głos w jego głowie, kiedy wspomnienie Cho stało się wyraźne, *nie będziesz tego oglądał, nie będziesz, to moja osobista...*

Poczuł ostry ból w kolanie. Znowu zobaczył gabinet Snape'a i zdał sobie sprawę, że upadł na podłogę, uderzając kolanem w nogę biurka. Spojrzał na Snape'a, który opuścił różdżkę i masował sobie nadgarstek. Była na nim ciemna pręga, przypominająca wypalenie.

- Chciałeś rzucić zaklęcie żądlące? - zapytał chłodno Snape.

- Nie - odparł z goryczą Harry, wstając z podłogi.

- Tak pomyślałem - rzekł Snape, przyglądając mu się uważnie. - Pozwoliłeś mi wedrzeć się za głęboko. Utraciłeś kontrolę.

- Zobaczył pan wszystko to, co ja widziałem? - zapytał Harry, niezbyt pewny, czy chce usłyszeć odpowiedź.

- Przebłyski - odpowiedział Snape, krzywiąc wargi. - Czyj to był pies?

- Mojej ciotki Marge - mruknął Harry, nienawidząc go z całego serca.

- No cóż, jak na pierwszą próbę nie było tak źle, jak być mogło - rzekł Snape, unosząc ponownie różdżkę. - W końcu udało ci się mnie powstrzymać, choć straciłeś dużo czasu i energii na niepotrzebne wrzaski. Musisz się skupić. Odrzuć mnie swoim mózgiem, a nie będziesz musiał uciekać się do różdżki.

- Staram się - powiedział ze złością Harry - ale pan nie mówi mi jak!

- Pamiętaj, do kogo mówisz, Potter - ostrzegł go Snape. - A teraz zamknij oczy.

Harry rzucił mu wściekłe spojrzenie i zamknął oczy. Wcale mu się nie podobało to, że stoi przed Snape'em z zamkniętymi oczami, gdy ten ma w ręku różdżkę.

- Oczyść swój umysł, Potter - usłyszał zimny głos Snape'a. - Wyzbądź się wszelkich emocji...

Ale złość na Snape'a dalej pulsowała mu w żyłach jak trucizna. Pozbyć się tej złości? Równie dobrze mógłby pozbyć się nóg.

- Nie robisz tego, Potter... Musisz zdobyć się na więcej samodyscypliny... Skup się...

Harry próbował wyzbyć się wszelkich myśli, wspomnień, uczuć...

- No to próbujemy... liczę do trzech... raz... dwa... trzy... *Legilimens!*

Stał przed nim na tylnych łapach wielki czarny smok... Jego ojciec i matka machali do niego z zaczarowanego zwierciadła...- Cedrik Diggory leżał na ziemi, patrząc na niego pustymi oczami...

- NIEEEEEE!

Znowu był na kolanach, z twarzą ukrytą w dłoniach, a w głowie czuł taki ból, jakby ktoś chciał mu wyrwać mózg.

- Wstań! - rzekł ostro Snape. - Wstawaj! Nie starasz się, nie czynisz żadnego wysiłku, pozwalasz mi na dostęp do wspomnień, których się boisz, dajesz mi broń do ręki!

Harry wstał, a serce biło mu tak mocno, jakby chwilę temu naprawdę ujrzał martwego Cedrika na cmentarzu. Snape był jeszcze bledszy niż zwykle, i jeszcze bardziej wściekły, choć nie aż tak jak Harry.

- Ja... się... staram - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Powiedziałem ci, żebyś wyzbył się wszelkich emocji!

- Tak? No cóż, na razie czuję, że nie jestem do tego zdolny - warknął Harry.

- To poczujesz się łatwą zdobyczą Czarnego Pana! - krzyknął Snape. - Głupcy, którzy mają serce na wierzchu, którzy nie panują nad swoimi emocjami, którzy nurzają się w smutnych wspomnieniach i pozwalają łatwo się sprowokować... innymi słowy ludzie słabi... nie mają żadnych szans przeciwko jego mocy! Potter, on spenetruje twój umysł z dziecinną łatwością!

- Nie jestem słaby - powiedział cicho Harry, tak wściekły, że z trudem powstrzymywał się od rzucenia się na Snape'a.

- Więc dowiedź tego! Panuj nad sobą! Poskrom złość, zdyscyplinuj umysł! Spróbujemy jeszcze raz! Legilimens!

Patrzył, jak wuj Vernon zabija deską szparę na listy... Setka dementorów sunęła ku niemu przez jezioro... Biegł ciemnym korytarzem z panem Weasleyem... Zbliżali się do prostych czarnych drzwi w końcu korytarza... Chciał przez nie przejść, ale pan Weasley poprowadził go w lewo, w dół, po kamiennych schodach...

- WIEM! WIEM!

Znowu znalazł się na czworakach na podłodze gabinetu Snape'a, blizna piekła go okropnie, ale głos, który przed chwilą wydarł mu się z gardła, był głosem triumfu. Podniósł się na nogi i stwierdził, że Snape wpatruje się w niego z podniesioną różdżką. Wyglądało to tak, jakby tym razem Snape cofnął zaklęcie, zanim Harry spróbował je zwalczyć.

- Więc co się stało, Potter? - zapytał, przypatrując mu się uważnie.

- Zobaczyłem... przypomniało mi się - wydyszał Harry. - Właśnie zrozumiałem...

- Co?

Harry nie od razu odpowiedział, wciąż delektując się chwilą olśnienia i rozcierając sobie czoło...

Od miesięcy śnił o ciemnych korytarzach kończących się zamkniętymi drzwiami, nie zdając sobie sprawy z tego, że to miejsce naprawdę istnieje. Teraz, oglądając na nowo to wspomnienie, zrozumiał, że śnił bez przerwy o korytarzu w Ministerstwie Magii, którym dwunastego sierpnia biegli razem z panem Weasleyem na przesłuchanie. Był to korytarz wiodący do Departamentu Tajemnic i pan Weasley właśnie w nim się znajdował, kiedy zaatakował go wąż.

Spojrzał na Snape'a.

- Co jest w Departamencie Tajemnic?

- Co powiedziałeś? - zapytał cicho Snape, a Harry dostrzegł z głębokim zadowoleniem, że jego nauczyciel jest zdenerwowany.

- Zapytałem, co jest w Departamencie Tajemnic, proszę pana.

- A dlaczego o to pytasz?

- Bo korytarz, który dopiero co zobaczyłem - odpowiedział Harry, obserwując bacznie twarz Snape'a... o którym śniłem przez całe miesiące... właśnie go rozpoznałem... on prowadzi do Departamentu Tajemnic... i myślę, że Voldemort chce mieć coś, co...

- Powiedziałem ci, żebyś nie wymieniał nazwiska Czarnego Pana!

Patrzyli na siebie ze złością. Harry'ego znowu rozbolała blizna, ale nie przejmował się tym. Snape wyglądał na poruszonego. Kiedy ponownie przemówił, jego glos zabrzmiał tak, jakby starał się to ukryć.

- W Departamencie Tajemnic jest wiele rzeczy, Potter, z których niewiele byś zrozumiał, a żadna z nich nie powinna cię obchodzić. Wyrażam się jasno?

- Tak - odpowiedział Harry, masując sobie coraz bardziej bolącą bliznę.

- Chcę cię widzieć tu o tej samej godzinie w środę. Będziemy kontynuować naukę.

- Tak jest - odpowiedział Harry, pragnąc jak najszybciej wyjść z gabinetu Snape'a i odnaleźć Rona i Hermionę.

- Masz się codziennie wieczorem, przed snem, pozbywać wszelkich emocji... opróżniać umysł ze wszystkich myśli, uspokoić go, rozumiesz?

- Tak - odpowiedział Harry, ledwo go słuchając.

- I ostrzegam cię, Potter... Nie ukryjesz przede mną, że nie ćwiczyłeś...

- Jasne - bąknął Harry.

Wziął swoją torbę, zarzucił ją na ramię i szybkim krokiem podszedł do drzwi. Otworzył je i zerknął na Snape'a, który stał do niego tyłem, wybierając końcem różdżki własne myśli z myślodsiewni i umieszczając je z powrotem w swojej głowie. Wyszedł bez słowa, zamykając za sobą ostrożnie drzwi. Blizna pulsowała piekącym bólem.

Odnalazł Rona i Hermionę w bibliotece, gdzie ślęczeli nad nową stertą prac domowych zadanych przez Umbridge. Inni uczniowie, głównie z piątej klasy, siedzieli opodal przy oświetlonych lampami stolikach, z nosami w książkach, podczas gdy niebo za oknami coraz bardziej ciemniało. Poza skrobaniem piór słychać było tylko skrzypienie jednego z butów pani Pince, przechadzającej się czujnie między stolikami i dyszącej w karki tych, którzy dotykali jej cennych książek.

Harry miał dreszcze; blizna bolała go nadal, czuł się prawie tak, jakby miał gorączkę. Kiedy usiadł naprzeciw Rona i Hermiony, ujrzał swoje odbicie w oknie. Był bardzo blady, a jego blizna wydawała się wyraźniejsza niż zwykle.

- Jak poszło? - szepnęła z niepokojem Hermiona. - Harry, nic ci nie jest?

- Nie... w porządku... zresztą nie wiem... - odrzekł niecierpliwie, krzywiąc się z bólu. - Słuchajcie... właśnie zdałem sobie z czegoś sprawę...

I opowiedział im, co zobaczył i co wywnioskował.

- Więc... więc mówisz... - wyszeptał Ron, kiedy pani Pince minęła ich, skrzypiąc butem - że ta broń... to coś, czego pragnie Sam-Wiesz-Kto... jest w Ministerstwie Magii?

- W Departamencie Tajemnic, musi tam być - odpowiedział szeptem Harry. - Widziałem te drzwi, kiedy twój tata prowadził mnie na dół, do sali sądowej na przesłuchanie. To na pewno te same drzwi, których strzegł, kiedy ukąsił go wąż.

Hermiona westchnęła przeciągle.

- Oczywiście - szepnęła.

- Co oczywiście? - zapytał niecierpliwie Ron.

- Ron, pomyśl... Sturgis Podmore próbował przedostać się przez jakieś drzwi w Ministerstwie Magii... To musiały być właśnie te drzwi... za dużo, jak na zbieg okoliczności!

- Ale dlaczego Sturgis miałby się tam włamywać, skoro jest po naszej stronie?

- No, tego nie wiem. To rzeczywiście trochę dziwne...

- Więc co jest w tym Departamencie Tajemnic? Twój ojciec nigdy o tym nie wspominał? - zapytał Harry Rona.

- Wiem, że ludzi, którzy tam pracują, nazywają „niewymownymi" - odrzekł Ron, marszcząc czoło. - Bo nikt tak naprawdę nie wie, co oni tam robią... Dziwne miejsce na ukrycie broni...

- Wcale nie dziwne, bardzo odpowiednie - powiedziała Hermiona. - Myślę, że to musi być coś ściśle tajnego, nad czym pracuje ministerstwo... Harry, na pewno dobrze się czujesz?

Bo Harry przesunął dłońmi po czole tak mocno, jakby chciał je wyprasować.

- Taak... dobrze... - odpowiedział, opuszczając ręce, które dygotały. - Po prostu czuję się trochę... Nie lubię oklumencji...

- Chyba każdy by był roztrzęsiony, gdyby wciąż wdzierano mu się do mózgu - powiedziała ze współczuciem Hermiona. - Słuchajcie, chodźmy lepiej do pokoju wspólnego, tam nam będzie trochę wygodniej...

Ale w pokoju wspólnym było pełno ludzi, którzy raz po raz wybuchali śmiechem i wrzeszczeli z podniecenia. Fred i George demonstrowali swój ostatni wynalazek.

- Bezgłowe Kapelusze! - krzyczał Fred, a George wymachiwał spiczastym kapeluszem z puszystym różowym piórkiem. - Dwa galeony za jeden... patrzcie na Freda, teraz!

Fred założył kapelusz na głowę, uśmiechając się do wszystkich. Przez chwilę wyglądał dość głupio, a potem i kapelusz, i jego głowa zniknęły.

Kilka dziewczyn wrzasnęło, ale reszta ryknęła śmiechem.

- A teraz zdejmujemy! - krzyknął George i ręka Freda pomacała chwilę w powietrzu nad ramieniem, po czym głowa znowu się pojawiła, gdy z zamachem zerwał z niej kapelusz z różowym piórkiem.

- Zastanawiam się, jak to działa - powiedziała Hermiona, która oderwała się od swojej pracy domowej, obserwując uważnie Freda i George'a. - Myślę, że to jakiś rodzaj Zaklęcia Niewidzialności, ale to dość sprytne, żeby rozciągnąć pole niewidzialności poza obiekt, na który rzuca się zaklęcie... Tylko że to zaklęcie nie może chyba działać zbyt długo...

Harry nie odpowiedział. Wciąż czuł się fatalnie.

- Będę chyba musiał zrobić to jutro - mruknął, wpychając książki do torby, z której dopiero co je wyjął.

- Ale zapisz to w kalendarzu! - przypomniała mu Hermiona. - Bo zapomnisz!

Harry i Ron wymienili spojrzenia. Sięgnął do torby, wyjął kalendarz i otworzył go na próbę.

- Nie odkładaj tego na później, bo później może być różnie! - ofuknął go notes, kiedy zapisał w nim zadanie domowe dla Umbridge. Hermiona wyraźnie się ucieszyła.

- Chyba się położę - powiedział Harry, chowając organizer z powrotem do torby i przysięgając sobie w duchu, że przy najbliższej okazji wrzuci go do ognia w kominku.

Przeszedł przez pokój wspólny, uchylając się przed George'em, który próbował mu założyć Bezgłowy Kapelusz, i znalazł się w spokoju i chłodzie kamiennej klatki schodów wiodących do dormitoriów chłopców. Znowu poczuł mdłości, jak owej nocy, w której nawiedziła go wizja węża, ale pomyślał, że jak poleży chwilę spokojnie, wszystko minie.

Otworzył drzwi sypialni i zrobił zaledwie jeden krok do środka, gdy ugodził go straszny ból, jakby ktoś rozpłatał mu czaszkę. Już nie wiedział, gdzie jest, nie wiedział, czy stoi czy leży, zapomniał nawet, jak się nazywa...

W uszach rozdzwonił mu się wariacki śmiech... Już dawno nie czuł się tak szczęśliwy... Ogarnęło go radosne uniesienie, poczucie triumfu, wręcz ekstaza... Zdarzyło się coś cudownego, coś naprawdę cudownego...

- Harry! HARRY!

Ktoś uderzył go w twarz. Szaleńczy śmiech przerwał okrzyk bólu. Szczęście wyciekało z niego, ale śmiech nadal trwał...

Otworzył oczy i zdał sobie sprawę, że ów śmiech wydobywa się z jego ust. Gdy tylko to sobie uświadomił, śmiech zamarł. Leżał na podłodze, patrząc w sufit, blizna na czole pulsowała bólem. Ron pochylał się nad nim z przerażoną miną.

- Co się stało?

- N-nie wiem - wydyszał Harry, siadając. - On jest bardzo szczęśliwy... bardzo szczęśliwy...

- Sam-Wiesz-Kto?

- Stało się coś cudownego - wymamrotał Harry. Dygotał cały, tak jak wtedy, gdy widział, jak wąż zaatakował pana Weasleya, i było mu bardzo niedobrze. - Coś, czego tak bardzo pragnął.

Te słowa zabrzmiały tak, jak wówczas, w szatni Gryfonów, jakby wypowiedział je jego ustami ktoś inny, ale wiedział, że to prawda. Zaczął oddychać głęboko, żeby nie zwymiotować na Rona. Rad był, że tym razem nie ma w sypialni Deana i Seamusa.

- Hermiona kazała mi pójść i sprawdzić, co z tobą - powiedział cicho Ron, pomagając mu wstać. - Mówi, że twoje siły obronne mogą być bardzo osłabione po tym, jak Snape bawił się twoim umysłem... Ale... chyba... chyba na dłuższą metę to może pomóc, co?

Popatrzył na Harry'ego z lękiem, prowadząc go do łóżka. Harry przytaknął, również bez przekonania, i padł na poduszki. Wszystko go bolało, w końcu tego wieczoru tyle razy upadał na podłogę, no i blizna piekła boleśnie. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że pierwsze spotkanie z oklumencją bardziej osłabiło jego zdolność obrony przed penetracją z zewnątrz, niż ją wzmocniło.

I co takiego mogło się wydarzyć, że Lord Voldemort jest szczęśliwy jak jeszcze nigdy od czternastu lat?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY
ŻUK OSACZONY

Odpowiedź napytanie Harry'ego nadeszła nazajutrz rano. Kiedy Hermiona dostała „Proroka Codziennego", rozwinęła go, spojrzała na pierwszą stronę i wrzasnęła tak, że wszyscy na nią spojrzeli.

- Co? - zapytali ją jednocześnie Harry i Ron.

Bez słowa rozłożyła przed nimi gazetę i wskazała na czarno-białe fotografie, które zapełniały prawie całą pierwszą stronę. Na dziewięciu byli czarodzieje, na dziesiątej czarownica. Niektóre osoby uśmiechały się kpiąco, inne z bezczelnymi minami stukały palcami w ramki zdjęć. Każda fotografia opatrzona była imieniem i nazwiskiem oraz opisem zbrodni, za którą dana osoba została zesłana do Azkabanu.

Antonin Dołohow, przeczytał Harry pod zdjęciem czarodzieja z długą i bladą twarzą szaleńca, który uśmiechał się drwiąco do niego, *oskarżony o brutalne zamordowanie Gideona i Fabiana Prewettów.*

Augustus Rookwood, głosił podpis pod zdjęciem mężczyzny o dziobatej twarzy i tłustych włosach, który ze znudzoną miną opierał się o krawędź zdjęcia, *oskarżony o przekazanie tajnych informacji Ministerstwa Magii Temu, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać.*

Ale spojrzenie Harry'ego przyciągnęła fotografia czarownicy. Jej twarz rzuciła mu się w oczy, gdy tylko spojrzał na gazetę. Miała długie czarne włosy, na zdjęciu potargane i matowe, choć kiedy ją ostatnio widział, były gładkie, grube i błyszczące. Spojrzała na niego ze złością spod ciężkich powiek i jej usta wykrzywił bezczelny, pogardliwy uśmiech. Podobnie jak Syriusz, zachowała resztki dawnej urody, której coś ją pozbawiło - zapewne Azkaban.

Bellatriks Lestrange, oskarżona o torturowanie i trwałe upośledzenie umysłów Franka i Alicji Longbottomów.

Hermiona szturchnęła Harry'ego i wskazała na nagłówek nad zdjęciami, którego jeszcze nie odczytał, skupiony na Bellatriks.

MASOWA UCIECZKA Z AZKABANU
MINISTERSTWO OBAWIA SIĘ, ŻE BLACK
JEST „SKRZYNKĄ KONTAKTOWĄ"
DLA BYŁYCH ŚMIERCIOŻERCÓW

- Black? - zdumiał się głośno Harry. - Nie...

- Ciiicho! - szepnęła przerażona Hermiona. - Nie tak głośno... po prostu przeczytaj!

Ministerstwo Magii podało wczoraj do wiadomości, że doszło do masowej ucieczki z Azkabanu.

Korneliusz Knot, rozmawiając w swoim prywatnym gabinecie z dziennikarzami, potwierdził, ze dziesięcioro więźniów pod specjalnym nadzorem uciekło wczoraj we wczesnych godzinach wieczornych i że już poinformował mugolskiego premiera, że osobnicy ci są bardzo niebezpieczni.

„Znaleźliśmy się, niestety, w takiej samej sytuacji jak dwa i pół roku temu, kiedy uciekł morderca Syriusz Black", powiedział nam Knot. „I sądzimy, że oba te fakty są ze sobą powiązane. Ucieczka tak dużej liczby więźniów wskazuje, że mieli pomoc z zewnątrz, a musimy pamiętać, że Black, pierwsza osoba, której udało się uciec z Azkabanu, idealnie by się do tego nadawał. Uważamy za prawdopodobne, że te osoby, wśród których jest kuzynka Blacka, Bellatriks Lestrange, skupiły się wokół niego jako swojego przywódcy. Robimy jednak wszystko, co w naszej mocy, by wytropić tych przestępców, a społeczność czarodziejów prosimy o czujności ostrożność. Do żadnej z tych osób pod żadnym pozorem nie należy się zbliżać".

- No i masz, Harry - powiedział Ron z przerażoną miną. - To dlatego był tak szczęśliwy zeszłej nocy...

- Nie wierzę w to - warknął Harry. - Knot oskarża o pomoc w tej ucieczce Syriusza?!

- A co innego mu pozostało? - zapytała z goryczą Hermiona. - Przecież nie może powiedzieć: „Proszę mi wybaczyć, Dumbledore ostrzegał mnie, że to może się zdarzyć, strażnicy Azkabanu przyłączyli się do Lorda Voldemorta"... przestań jęczeć, Ron... „a teraz najgroźniejsi sprzymierzeńcy Voldemorta też uciekli". Przecież od dobrych sześciu miesięcy powtarza, że ty i Dumbledore wszystkich okłamujecie, prawda?

Otworzyła gazetę i zaczęła czytać artykuł na ten temat. Harry rozejrzał się po Wielkiej Sali. Nie mógł zrozumieć, dlaczego inni uczniowie nie mają przerażonych min, a przynajmniej nie rozprawiają na temat tej strasznej wiadomości z pierwszej strony, ale w końcu tylko niewielu dostawało codziennie „Proroka". Siedzieli sobie jakby nigdy nic, rozmawiając o quidditchu, pracach domowych i o Bóg raczy wiedzieć jakich innych głupotach, a poza tymi murami dziesięciu kolejnych śmierciożerców zasiliło armię Voldemorta...

Zerknął na stół nauczycielski. Tam było nieco inaczej. Dumbledore i profesor McGonagall, pogrążeni w rozmowie, wyglądali na śmiertelnie poważnych. Profesor Sprout oparła „Proroka Codziennego" o butelkę keczupu i wczytywała się w pierwszą stronę tak zachłannie, że nie zauważyła, jak żółtko jajka ścieka jej na podołek z łyżeczki, która zamarła w połowie drogi do jej ust. Na końcu stołu profesor Umbridge grzebała łyżką w misce owsianki. Tym razem jednak jej podpuchnięte oczy nie błądziły po sali w poszukiwaniu źle zachowujących się uczniów. Siedziała nachmurzona, przełykając owsiankę, i co jakiś czas łypała posępnie w stronę pogrążonych w rozmowie Dumbledore'a i McGonagall.

- Och... - wyrwało się Hermionie, wciąż wpatrzonej w gazetę.

- Co znowu? - zapytał szybko podenerwowany Harry.

- To... straszne - powiedziała Hermiona, wyraźnie wstrząśnięta.

Złożyła gazetę na dziesiątej stronie i wręczyła Harry'emu i Ronowi.

TRAGICZNY ZGON
PRACOWNIKA MINISTERSTWA MAGII

Pracownik Ministerstwa Magii Broderyk Bode, lat 49, zmarł wczoraj w nocy w Szpitalu Świętego Munga, uduszony przez roślinę doniczkową. Dyrekcja szpitala zapowiedziała, że przeprowadzi pełne dochodzenie w tej sprawie. Wezwanym pospiesznie uzdrowicielom nie udało się przywrócić życia panu Bode, który kilka tygodni wcześniej doznał obrażeń w miejscu pracy.

Uzdrowicielka Miriam Stront, pełniąca dyżur w czasie, gdy doszło do wypadku, została zawieszona w czynnościach i wczoraj była nieosiągalna, ale rzecznik szpitala wydał następujące oświadczenie:

„Dyrekcja Szpitala Świętego Munga wyraża głęboki żal z powodu śmierci pana Bode, którego zdrowie ulegało stałej poprawie przed owym tragicznym wypadkiem. Mamy ścisłe przepisy dotyczące dekoracji dozwolonych w salach chorych, ale wszystko wskazuje na to, że uzdrowicielka Strout, z powodu nawału zajęć w okresie Bożego Narodzenia, przeoczyła zagrożenie ze strony rośliny stojącej na szafce nocnej pana Bode. Ponieważ pan Bode odzyskiwał już mowę i zdolność ruchu, uzdrowicielka Strout zachęcała go, by sam dbał o swoją roślinę, nieświadoma tego, że nie był to niewinny fruwokwiat, lecz sadzonka diabelskich sideł, które, dotknięte przez pana Bode, natychmiast go oplotły i zadusiły. Szpital Świętego Munga nie jest jeszcze w stanie ustalić, skąd wzięła się ta roślina w sali chorych, i prosi osoby, które mają na ten temat jakieś informacje, o przekazanie ich dyrekcji".

- Bode... Bode... - powiedział Ron. - To mi brzmi znajomo.

- Widzieliśmy go - wyszeptała Hermiona. - W szpitalu, pamiętasz? Leżał na łóżku naprzeciw Lockharta, leżał i patrzył w sufit. I widzieliśmy, jak przyniesiono te diabelskie sidła. Ta uzdrowicielka powiedziała, że to prezent bożonarodzeniowy...

Harry jeszcze raz spojrzał na artykuł. Czuł, że ogarnia go przerażenie.

- Jak mogliśmy nie rozpoznać diabelskich sideł? Przecież już je kiedyś widzieliśmy... mogliśmy temu zapobiec...

- A kto by się spodziewał diabelskich sideł w szpitalu, i do tego w doniczce? - obruszył się Ron. - To nie nasza wina! O to trzeba oskarżyć tych, którzy ją przysłali temu facetowi! To jakieś tumany, dlaczego nie sprawdzili, co kupują?

- Och, daj spokój, Ron! - powiedziała roztrzęsionym głosem Hermiona. - Nie sądzę, by ktokolwiek mógł wsadzić diabelskie sidła do doniczki i nie zauważyć, że próbują zabić każdego, kto ich dotknie. To było... morderstwo... i to bardzo sprytne morderstwo... Jeśli roślinę przysłano anonimowo, to przecież nikt nigdy nie dojdzie, kto to zrobił, prawda?

Harry nie myślał o diabelskich sidłach. Przypominał sobie, jak w dniu przesłuchania jechał windą w dół na dziewiąty poziom ministerstwa i spotkał mężczyznę o ziemistej cerze, który wsiadł na poziomie recepcji.

- Ja spotkałem tego Bode'a - powiedział powoli. - Widziałem go w ministerstwie z twoim tatą...

Ronowi opadła szczęka.

- Tak! Słyszałem, jak tata o nim mówił! On był jednym z niewymownych... pracował w Departamencie Tajemnic!

Popatrzyli po sobie przez chwilę, a potem Hermiona przyciągnęła gazetę, zamknęła ją, łypnęła ponuro na zdjęcia dziesięciorga zbiegłych śmierciożerców na pierwszej stronie i zerwała się na nogi.

- Dokąd idziesz? - wzdrygnął się Ron.

- Wysłać list - oznajmiła, zarzucając torbę na ramię. - To... no, nie wiem, czy... ale warto spróbować... a tylko ja to mogę...

- Nienawidzę, jak ona tak się zachowuje - warknął Ron, kiedy on i Harry wstali od stołu i ruszyli do wyjścia. - Umarłaby, gdyby nam choć raz powiedziała, co kombinuje? Zajęłoby jej to raptem dziesięć sekund... Hej, Hagrid!

Hagrid stał przy drzwiach do sali wejściowej, czekając, aż przejdzie przez nie tłum Krukonów. Wciąż był tak pokiereszowany, jak w dniu powrotu ze swojej misji do olbrzymów, tyle że teraz miał nowe rozcięcie u nasady nosa.

- Sie macie - powitał ich, próbując się uśmiechnąć, ale wyszedł mu tylko bolesny grymas.

- Hagridzie, wszystko w porządku? - zapytał Harry, idąc za nim, gdy Krukoni wreszcie wyszli.

- No jasne - odrzekł Hagrid, nie najlepiej udając beztroski ton. Machnął ręką, o mały włos nie trafiając profesor Vector, która przeszła obok nich z przerażoną miną. - Tylko roboty kupa, wiecie, jak to jest... lekcje przygotować... paru salamandrom łuski pogniły... no i jestem na warunkowym...

- Jesteś na warunkowym? - zapytał głośno Ron, tak że wielu uczniów obejrzało się z ciekawością. - Przepraszam... to znaczy... jesteś na warunkowym? - powtórzył szeptem.

- Ano tak. Prawdę mówiąc, tego się ździebko spodziewałem. Możeście się nie kapnęli, ale ta wizytacja nie wyszła najlepij... - Westchnął ciężko. - Pójdę już i wetrę tym salamandrom trochę pieprzu w łuski, bo im ogony poodpadają. Do zobaczenia, Harry... Ron...

I oddalił się ciężkim krokiem, a po chwili zniknął za dębowymi drzwiami wejściowymi. Harry patrzył za nim, zastanawiając się, ile jeszcze złych wiadomości będzie w stanie znieść.

* * *

W ciągu kilku następnych dni po szkole rozniosło się, że Hagrid ma wyznaczony okres warunkowy, ale ku oburzeniu Harry'ego nikt się tym specjalnie nie przejął, a co więcej, niektórych, a przede wszystkim Dracona Malfoya, wyraźnie to ucieszyło. Jeśli chodzi o dziwną śmierć nieznanego nikomu pracownika Departamentu Tajemnic, to Harry, Ron i Hermiona byli chyba jedynymi osobami, które o tym wiedziały i które przywiązywały do tego wagę. Teraz na korytarzach rozmawiano tylko o jednym: o ucieczce śmierciożerców, bo ta wiadomość w końcu rozeszła się po szkole dzięki tym niewielu uczniom, którzy czytali gazety. Krążyły pogłoski, że niektórych zbiegłych skazańców widziano w Hogsmeade, że ukrywają się we Wrzeszczącej Chacie i że zamierzają włamać się do Hogwartu, jak to już kiedyś uczynił Syriusz Black.

Ci, którzy pochodzili z rodzin czarodziejów, od dawna słyszeli nazwiska tych śmierciożerców wymawiane z prawie takim samym lękiem, jak nazwisko Voldemorta; zbrodnie, których się dopuścili za czasów jego terroru, przeszły już do legendy. Wśród uczniów byli krewni ofiar i teraz otaczała ich posępna i niezbyt chciana sława. Susan Bones,

której wuj, ciotka i kuzynowie zginęli z rąk jednego z dziesięciu zbiegów z Azkabanu, wyznała Harry'emu podczas zielarstwa, że teraz już rozumie, jak musi się czuć ktoś taki jak on.

- Tylko nie rozumiem, jak ty to wytrzymujesz, to jest przecież straszne - powiedziała bez ogródek, wrzucając o wiele za dużo smoczego łajna do swojego pojemnika z sadzonkami kłaposkrzeczek, co spowodowało, że zaczęły się wić i skrzeczeć z niezadowolenia.

A Harry rzeczywiście stał się w owych dniach na nowo obiektem poszeptywań i wytykania palcami na korytarzach, choć wyczuwał pewną zmianę w tonie tych szeptów. Teraz więcej w nich było ciekawości niż wrogości, a raz czy dwa podsłuchał strzępy rozmowy, z której wynikało, że rozmówców nie zadowala podana w „Proroku Codziennym" wersja wydarzeń. Niepewność i strach skłaniały wątpiących do uwierzenia w jedyne inne wyjaśnienie ucieczki z Azkabanu - to, którego rzecznikami od ubiegłego roku byli Harry Potter i profesor Dumbledore.

Atmosfera zmieniła się nie tylko wśród uczniów. Teraz nietrudno było zobaczyć na korytarzach dwóch czy trzech nauczycieli rozmawiających przyciszonymi głosami, którzy przerywali rozmowę na widok zbliżających się uczniów.

- To jasne, że w pokoju nauczycielskim nie mogą już swobodnie porozmawiać - powiedziała cicho Hermiona, kiedy pewnego dnia ona, Harry i Ron natknęli się na profesorów McGonagall, Flitwicka i Sprout, stojących w ciasnej grupce przy klasie zaklęć. - Tam jest Umbridge.

- Myślisz, że dowiedzieli się czegoś nowego? - zapytał Ron, patrząc przez ramię na trójkę nauczycieli.

- Jeśli się dowiedzieli, to chyba nam nie powiedzą, co? - zauważył ze złością Harry. - Nie po dekrecie... Który to już numer?

Bo następnego ranka po wiadomości o ucieczce z Azkabanu na tablicach ogłoszeń poszczególnych domów pojawiło się nowe ogłoszenie:

NA POLECENIE
WIELKIEGO INKWIZYTORA HOGWARTU

zakazuje się nauczycielom udzielania uczniom jakichkolwiek informacji, które nie są ściśle związane z przedmiotami, za których nauczanie pobierają wynagrodzenie.

Powyższe zarządzenie wydano na podstawie

Dekretu Edukacyjnego Numer Dwadzieścia Sześć.

Podpisano:
Dolores Jane Umbridge
Wielki Inkwizytor

Ten najnowszy dekret stał się wśród uczniów przedmiotem wielu dowcipów.

Lee Jordan odważył się powiedzieć Umbridge, że zgodnie z nowym zarządzeniem nie mogła zbesztać Freda i George'a za granie w eksplodującego durnia w czasie lekcji.

- Eksplodujący dureń nie ma nic wspólnego z obroną przed czarną magią, pani profesor! To nie była informacja ściśle związana z pani przedmiotem!

Kiedy po tym wydarzeniu Harry zobaczył Lee, wierzch jego dłoni paskudnie krwawił. Polecił mu okłady z wyciągu ze szczuroszczeta.

Harry miał nadzieję, że ucieczka z Azkabanu trochę upokorzyła Umbridge, że zbiła ją z tropu ta katastrofa, która miała miejsce pod nosem jej ukochanego Knota. Okazało się jednak, że to wydarzenie tylko wzmocniło jej wściekłe pragnienie podporządkowania sobie każdego aspektu życia w Hogwarcie. Dawno postanowiła wyrzucić któregoś z nauczycieli i teraz chodziło tylko o to, czy pierwszą ofiarą będzie profesor Trelawney czy Hagrid.

Teraz Umbridge, ze swoją nieodłączną podkładką do notowania, była obecna na każdej lekcji wróżbiarstwa i opieki nad magicznymi stworzeniami. Czaiła się przy kominku w przesyconej zapachem perfum i kadzideł komnacie na wieży, przerywając coraz bardziej histeryczne przemowy profesor Trelawney trudnymi pytaniami na temat ornitomancji i heptemologii, nalegała, by Trelawney przepowiadała, jaka będzie odpowiedź ucznia na już zadane pytanie, zanim zdążył jej udzielić, żądała od niej, by demonstrowała swoje umiejętności wróżenia z kryształowej kuli, fusów herbacianych i kamyków runicznych. Harry miał wrażenie, że profesor Trelawney wkrótce załamie się nerwowo; kilka razy zdarzyło mu się widzieć ją na korytarzach (co było rzadką okazją, bo zwykłe nie ruszała się ze swojej wieży), jak mamroce sama do siebie, zacierając nerwowo ręce, rzucając wylęknione spojrzenia przez ramię i za każdym razem pozostawiając po sobie silny zapach kuchennego sherry. Gdyby nie martwił się tak bardzo o Hagrida, byłoby mu jej żal, ale skoro jedno z nich miało zostać pozbawione pracy, nie pozostawało mu nic innego, jak życzyć tego właśnie jej.

Niestety Hagrid nie radził sobie lepiej od profesor Trelawney. Chociaż, za radą Hermiony, od Bożego Narodzenia nie pokazał im już nic bardziej groźnego od psidwaka, stworzenia różniącego się od teriera jack russell tylko rozwidlonym ogonem, on też sprawiał

wrażenie, jakby tracił nerwy. Podczas lekcji był dziwnie rozkojarzony i zdenerwowany, często gubił wątek, udzielał mylnych odpowiedzi na pytania i przez cały czas zerkał z niepokojem w stronę Umbridge. Okazywał też dziwną obojętność wobec Harry'ego, Rona i Hermiony, wyraźnie zabraniając im odwiedzania go po zmierzchu.

- Jak was przyłapie, to nas wszystkich załatwi - powiedział im stanowczo, więc nie chcąc go jeszcze bardziej narażać, powstrzymywali się od wieczornych wizyt w jego chatce.

Harry miał wrażenie, że Umbridge pozbawia go po kolei wszystkiego, co czyniło jego życie w Hogwarcie przyjemnym: odwiedzin w chatce Hagrida, listów do Syriusza, Błyskawicy i quidditcha. Mścił się w jedyny sposób, jaki miał do dyspozycji: podwajając wysiłki zmierzające do stworzenia prawdziwej Gwardii Dumbledore'a.

Radowało go, że wszyscy, nawet Zachariasz Smith, starali się jeszcze bardziej od czasu ucieczki dziesięciorga śmierciożerców. Nikt jednak nie czynił aż takich postępów jak Neville. Wiadomość o ucieczce katów jego rodziców spowodowała w nim dziwną, nieco nawet niepokojącą zmianę. Ani razu nie nawiązał do spotkania na oddziale zamkniętym Szpitala Świętego Munga, a oni, biorąc przykład z niego, też o tym nie wspominali. Nie rozmawiał też nigdy na temat ucieczki Bellatriks i jej złowrogich towarzyszy; prawdę mówiąc, podczas spotkań GD prawie już się nie odzywał, tylko ćwiczył gorliwie każde nowe zaklęcie i przeciwzaklęcie, z napiętą ze skupienia pucołowatą twarzą, wyraźnie nie zważając na zranienia i wypadki, dając z siebie o wiele więcej od reszty członków Gwardii. Robił tak szybkie postępy, że zaczęło to być trochę denerwujące. Kiedy Harry uczył ich Zaklęcia Tarczy, pozwalającego odbić od siebie słabsze zaklęcia w taki sposób, że trafiały w tego, kto je rzucił, tylko Hermiona nauczyła się go szybciej od Neville'a.

Harry oddałby wiele, żeby robić takie postępy w oklumencji, jakie robił Neville podczas spotkań GD. Już na pierwszej lekcji poszło mu fatalnie, a na następnych nie tylko nie radził sobie lepiej, ale czuł, że jest coraz gorzej.

Zanim zaczął uczyć się oklumencji, blizna na czole piekła go od czasu do czasu, zwykle w nocy albo podczas jednego z owych dziwnych przebłysków myśli i uczuć Voldemorta. Teraz ból prawie nie ustawał i często miał napady albo rozdrażnienia, albo zadowolenia, nie mające żadnego związku z tym, co akurat z nim się działo, a zawsze towarzyszył im wyjątkowo silny ból przeszywający bliznę. Miał okropne wrażenie, że powoli zamienia się w coś w rodzaju anteny dostrojonej do najmniejszych zmian w nastroju Voldemorta, i był pewny, że ta narastająca wrażliwość datuje się od pierwszej lekcji oklumencji ze Snape'em. Co więcej, teraz śnił o wędrówce ciemnym korytarzem do

Departamentu Tajemnic prawie co noc, a owe sny kończyły się zawsze tym, że stoi przed czarnymi drzwiami, usilnie pragnąc wejść do środka.

- Może to jest coś takiego jak choroba - powiedziała Hermiona, gdy zwierzył się jej i Ronowi. - Jak jakiś rodzaj gorączki czy coś w tym stylu. Twój stan musi się pogorszyć, zanim się polepszy.

- Pogarszają go lekcje ze Snape'em - oświadczył stanowczo Harry. - Mdli mnie od tego bólu głowy i znudziło mi się już łażenie tym korytarzem co noc. - Potarł sobie czoło ze złością. - Chciałbym, żeby te drzwi w końcu się otworzyły, mam już dość gapienia się w nie jak głupi...

- To wcale nie jest śmieszne - przerwała mu ostro Hermiona. - Dumbledore chce, żeby te sny ustały, bo inaczej nie prosiłby Snape'a, żeby cię uczył oklumencji. Musisz po prostu bardziej się do tego przyłożyć.

- Ja się przykładam! - warknął urażony Harry. - Sama kiedyś spróbuj, to zobaczysz! To wcale nie jest śmieszne, kiedy Snape próbuje wedrzeć ci się do mózgu!

- Może... - zaczął powoli Ron.

- Może co? - burknęła Hermiona.

- Może to nie Harry'ego wina, że nie potrafi uszczelnić swego umysłu.

- O co ci chodzi?

- O to, że... może Snape wcale nie stara się pomóc Harry'emu...

Harry i Hermiona spojrzeli na niego szeroko otwartymi oczami. Ron popatrzył znacząco najpierw na jedno, potem na drugie.

- Może tak naprawdę to on próbuje trochę szerzej otworzyć umysł Harry'ego... żeby Sami-Wiecie-Komu było łatwiej...

- Och, przestań, Ron! - przerwała mu ze złością Hermiona. - Ile już razy podejrzewałeś Snape'a i czy choć raz się sprawdziło? Dumbledore mu ufa, a on działa dla Zakonu, to chyba wystarczy, prawda?

- Kiedyś był śmierciożercą - upierał się Ron. - I nigdy nie mieliśmy dowodu, że naprawdę przeszedł na naszą stronę...

- Dumbledore mu ufa - powtórzyła Hermiona. - A jak my nie zaufamy Dumbledore'owi, to już nikomu nie będziemy mogli zaufać.

* * *

Tak więc było czym się martwić i było mnóstwo roboty - zwały zadań domowych, nad którymi często ślęczeli do późna w nocy, tajne spotkania GD, odbywane regularnie lekcje ze Snape'em - trudno więc się dziwić, że styczeń minął niepokojąco szybko. Zanim się Harry

spostrzegł, nadszedł luty, przynosząc nieco bardziej mokrą i ciepłą pogodę, a także perspektywę drugiego w tym roku wypadu do Hogsmeade. Od kiedy umówił się z Cho, że wyprawią się do wioski razem, miał bardzo mało wolnego czasu, by z nią porozmawiać, i oto nagle uświadomił sobie, że walentynki są już blisko i że mają je spędzić razem.

Rano czternastego lutego ubrał się wyjątkowo starannie. Na śniadaniu zjawił się z Ronem akurat w porze porannej poczty. Hedwigi nie było wśród sów - zresztą wcale się jej nie spodziewał - natomiast kiedy usiedli przy stole, Hermiona wyciągała właśnie list z dzioba nieznanej brązowej sowy.

- No, nareszcie! Gdyby dzisiaj nie przyszło... - mruknęła, rozrywając kopertę, po czym wyciągnęła z niej mały kawałek pergaminu. Oczy biegały jej szybko w lewo i w prawo, gdy odczytywała list, a na twarzy odmalowała się ponura satysfakcja.

- Słuchaj, Harry - powiedziała, spoglądając na niego - to naprawdę ważna sprawa... Myślisz, że mógłbyś spotkać się ze mną w Trzech Miotłach koło południa?

- No... nie wiem. Cho pewnie się spodziewa, że spędzę z nią cały dzień. Jeszcze nie ustaliliśmy, co będziemy robić.

- No to przyjdź z nią, jak musisz - nalegała Hermiona. - Przyjdziesz?

- No... dobrze, ale o co chodzi?

- Nie mam teraz czasu, żeby ci powiedzieć, muszę szybko wysłać odpowiedź...

I wyleciała z Wielkiej Sali, ściskając w jednej ręce list, a w drugiej kawałek niedojedzonego tostu.

- Ty też przyjdziesz? - zapytał Harry Rona, ale ten zrobił smętną minę i potrząsnął głową.

- Ja w ogóle nie wybieram się do Hogsmeade. Angelina zarządziła całodzienny trening. Jakby to coś pomogło... Jesteśmy najgorszą drużyną, jaką kiedykolwiek widziałem. Żebyś zobaczył Slopera i Kirke! Są żałośni, gorsi nawet ode mnie. - Westchnął ciężko. - Nie wiem, dlaczego Angelina po prostu ze mnie nie zrezygnuje...

- Dlatego, że jak jesteś w formie, to jesteś bardzo dobry - odpowiedział Harry poirytowanym tonem.

Trudno mu było współczuć Ronowi, kiedy sam oddałby prawie wszystko, żeby zagrać w nadchodzącym meczu z Puchonami. Ron chyba to odczuł, bo już nie wspomniał o quidditchu przez całe śniadanie, a potem pożegnał się z nim trochę chłodno. Odszedł na stadion quidditcha, a Harry, przyglądając się swemu odbiciu w łyżeczce do herbaty, próbował przez chwilę przygładzić sobie włosy, zanim udał się samotnie do sali wejściowej na

spotkanie z Cho. Czuł się bardzo niepewnie i zastanawiał się, o czym, u licha, będzie z nią rozmawiał przez cały dzień.

Czekała na niego koło dębowych drzwi. Wyglądała bardzo ładnie z włosami związanymi z tyłu w długi koński ogon. Kiedy szedł ku niej, zdawało mu się, że jego stopy są stanowczo za duże, oraz że ramiona jakoś głupio kołyszą mu się po bokach.

- Cześć - powiedziała Cho na wydechu.

- Cześć.

Przez chwilę patrzyli na siebie, a potem Harry powiedział:

- No to... ee.. idziemy, tak?

- Och... tak...

Stanęli na końcu kolejki do Filcha, odhaczającego uczniów na liście, od czasu do czasu zerkając na siebie i uśmiechając się porozumiewawczo. Harry poczuł ulgę, kiedy wyszli na świeże powietrze, bo łatwiej mu było iść bez słowa niż stać jak kołek i czuć się bardzo niezręcznie. Był rześki, wietrzny dzień. Kiedy mijali stadion quidditcha, Harry dostrzegł sylwetki Rona i Ginny, śmigających nad trybunami, i poczuł ostre ukłucie zazdrości...

- Bardzo ci tego brakuje, prawda? - powiedziała Cho.

Obejrzał się i zobaczył, że go obserwuje.

- Tak - westchnął. - Bardzo.

- Pamiętasz ten pierwszy raz, kiedy graliśmy przeciw sobie, w trzeciej klasie?

- No jasne. - Uśmiechnął się. - Bez przerwy mnie blokowałaś.

- A Wood powiedział ci, że to nie salon i żebyś zwalił mnie z miotły, jak będzie trzeba. Słyszałam, że dostał się do Chluby Portree, czy to prawda?

- Nie, jest w Zjednoczonych z Puddlemere, spotkałem go na mistrzostwach świata w zeszłym roku.

- Och, myśmy też się tam spotkali, pamiętasz? Byliśmy na tym samym kempingu. Fajnie było, prawda?

Rozmawiali o mistrzostwach świata w quidditchu przez całą drogę do bramy terenów szkolnych. Harry aż nie mógł uwierzyć, że tak łatwo się z nią rozmawia, wcale nie gorzej niż z Ronem i Hermioną, i już nabrał pewności siebie, gdy minęła ich duża grupa Ślizgonek, wśród nich Pansy Parkinson.

- Potter i Chang! - wrzasnęła Pansy na tle chóru szyderczych chichotów. - Ej, Chang, chyba coś nie tak z twoim gustem... Diggory przynajmniej był przystojny!

Przyspieszyły kroku, wymieniając głupie uwagi, chichocząc i oglądając się na nich znacząco. Zaległo pełne zakłopotania milczenie. Harry jakoś nie mógł wymyślić niczego więcej na temat quidditcha, a Cho, lekko zaróżowiona, wpatrywała się w swoje stopy.

- To... dokąd byś chciała pójść? - zapytał, kiedy doszli do Hogsmeade.

Ulica Główna pełna była przechadzających się w jedną i drugą stronę uczniów, oglądających wystawy i stojących w grupkach na chodniku.

- Och... wszystko jedno - odpowiedziała Cho, wzruszając ramionami. - Mmm... może po prostu pochodzimy po sklepach...

Poszli w stronę sklepu Dervisha i Bangesa. W oknie wystawowym wisiało wielkie ogłoszenie, przed którym stało kilku mieszkańców Hogsmeade. Kiedy Harry i Cho podeszli, rozstąpili się nieco i Harry ujrzał ponownie dziesięć zdjęć zbiegłych śmierciożerców. Ogłoszenie („Z polecenia Ministerstwa Magii") obiecywało tysiąc galeonów nagrody za informację, która przyczyni się do schwytania któregokolwiek ze zbiegów.

- To dziwne, prawda? - powiedziała cicho Cho. - Pamiętasz, jak uciekł Syriusz Black i w Hogsmeade było pełno dementorów, którzy go szukali? A teraz dziesięciu śmierciożerców jest na wolności i jakoś nigdzie dementorów nie widać...

- Taak - rzekł Harry, odrywając oczy od twarzy Bellatriks Lestrange i rozglądając się po ulicy. - Tak, to bardzo dziwne...

Nie żałował, że dementorów nie ma w pobliżu, ale teraz, gdy o tym pomyślał, ich nieobecność wydała mu się rzeczywiście wymowna. Nie tylko pozwolili śmierciożercom uciec, ale w ogóle ich nie ścigają... Wyglądało na to, że naprawdę wymknęli się spod kontroli ministerstwa.

Twarze dziesięciu śmierciożerców spoglądały na nich z każdej wystawy. Kiedy mijali sklep Scrivenshafta, zaczął padać deszcz. Zimne, ciężkie krople uderzały Harry'ego w twarz i w kark.

- Mmm... masz ochotę na kawę? - zapytała Cho, gdy deszcz rozpadał się na dobre.

- Jasne. Gdzie...?

- Och, tu blisko jest bardzo przyjemne miejsce... Nie byłeś jeszcze u pani Puddifoot? - zapytała żywo i poprowadziła go w boczną uliczkę do małej herbaciarni, której nigdy dotąd nie zauważył.

Był to ciasny i zaparowany lokalik, przystrojony kokardkami i falbankami. Harry'ego nawiedziło niemiłe wspomnienie gabinetu Umbridge.

- Przytulnie tu, co? - powiedziała ucieszona Cho.

- Ee... tak - skłamał Harry.

- Zobacz, walentynkowe dekoracje! - Cho wskazała na złote aniołki unoszące się nad małymi okrągłymi stolikami i od czasu do czasu obsypujące różowym konfetti siedzących przy nich gości.

- Aaach...

Usiedli przy ostatnim wolnym stoliku, przy zaparowanym oknie. Tuż obok siedział Roger Davies, kapitan drużyny Krukonów, z jakąś ładną dziewczyną o blond włosach. Trzymali się za ręce. Harry poczuł się niezręcznie, zwłaszcza że kiedy rozejrzał się po kawiarni, zobaczył, że są tu same pary i wszystkie trzymają się za ręce. Może Cho się spodziewa, że on też weźmie ją za rękę...

- Co podać, moi kochani? - zapytała pani Puddifoot, bardzo tęga kobieta z lśniącym czarnym kokiem, z trudem mieszcząca się między stolikami.

- Prosimy o dwie kawy - odpowiedziała Cho.

Zanim przyniesiono im kawy, Roger Davies i jego towarzyszka zaczęli się całować nad cukiernicą. Harry zżymał się w duchu, bo czuł, że zachowanie Daviesa jest jakimś wzorcem, a Cho na pewno oczekuje, że i on temu wzorcowi sprosta. Zrobiło mu się gorąco i spróbował spojrzeć w okno, ale było tak zaparowane, że nic przez nie nie zobaczył. Aby opóźnić chwilę, w której będzie musiał spojrzeć na Cho, zaczął wpatrywać się w sufit, jakby go zainteresowało pokrywające go malowidło, i został obsypany garścią konfetti przez jednego z aniołków.

Po kilku ciężkich minutach Cho wspomniała coś o Umbridge. Harry z ulgą podchwycił ten temat i przez kilka miłych chwil obgadywali ją złośliwie, ale ten temat był już tak przenicowany podczas spotkań GD, że wkrótce się wyczerpał i znowu zapadło milczenie. Od sąsiedniego stolika dobiegały ssąco-mlaszczące odgłosy, a Harry rozmyślał gorączkowo, co by tu jeszcze powiedzieć.

- Ee... słuchaj, może byś poszła ze mną do Trzech Mioteł? Umówiłem się tam z Hermioną Granger.

Cho uniosła brwi.

- Umówiłeś się z Hermioną Granger? Dzisiaj?

- Tak. No wiesz, poprosiła mnie o to, więc pomyślałem, że pójdę. Chcesz iść ze mną? Powiedziała, że nie ma nic przeciwko temu.

- Och... no cóż... to miłe z jej strony.

Ale ton jej głosu wcale nie wskazywał, że uważa to za miłe, przeciwnie, był lodowaty i nagle się nachmurzyła.

Następne kilka minut upłynęło w milczeniu. Harry pił kawę tak szybko, że zaczął się zastanawiać, czy nie zamówić sobie drugiej. Przy sąsiednim stoliku Roger Davies i jego dziewczyna chyba się przykleili do siebie ustami.

Ręka Cho spoczywała na stoliku obok jej filiżanki i Harry czuł narastającą ochotę, by ją ująć. Po prostu to zrób, powiedział sobie w duchu, kiedy wezbrała w nim mieszanina paniki i podniecenia. Po prostu sięgnij i chwyć tę dłoń... To zadziwiające, ale o wiele trudniej było mu wyciągnąć rękę na odległość dwunastu cali i ująć jej dłoń, niż złapać śmigającego w powietrzu znicza...

Ale właśnie w tym momencie, gdy wyciągnął rękę, Cho zdjęła swoją ze stołu. Teraz obserwowała ze średnim zainteresowaniem Rogera Daviesa całującego się ze swoją dziewczyną.

- Wiesz, chciał się ze mną umówić - powiedziała cicho. - Roger, parę tygodni temu. Ale go spławiłam.

Harry, który chwycił za cukierniczkę, aby usprawiedliwić swój nagły ruch ręką, nie mógł pojąć, dlaczego ona mu to mówi. Jeśli pragnęła siedzieć teraz przy sąsiednim stoliku i całować się z Rogerem Daviesem, to po co umówiła się z nim?

Nic nie powiedział. Aniołek obrzucił ich nową garścią konfetti; niektóre wylądowały na zimnych resztkach kawy, które właśnie zamierzał wypić.

- W zeszłym roku byłam tu z Cedrikiem - powiedziała Cho.

Sens tych słów dotarł do niego dopiero po kilku sekundach, a wówczas poczuł się tak, jakby miał w żołądku bryłę lodu. Nie mógł uwierzyć, że zachciało się jej rozmawiać o Cedriku właśnie teraz, gdy otaczały ich całujące się pary, a aniołek szybował nad ich głowami.

Kiedy ponownie się odezwała, jej głos był nieco wyższy.

- Od dawna chciałam cię o to zapytać... Czy Cedrik... czy on w-w-wspomniał o mnie przed śmiercią?

Był to chyba ostatni temat, na który Harry chciałby rozmawiać, szczególnie z Cho.

- No... nie - powiedział cicho. - Nie miał czasu, żeby cokolwiek powiedzieć. Ee... więc... ile... ile udało ci się zobaczyć meczów quidditcha w ciągu wakacji? Kibicujesz Tajfunom, tak? - zapytał, siląc się na beztroski ton.

Ku swemu przerażeniu stwierdził, że Cho ma oczy pełne łez, jak wówczas, po ostatnim przed Bożym Narodzeniem spotkaniu GD.

- Słuchaj - powiedział błagalnym tonem, nachylając się ku niej, żeby nikt nie słyszał - nie rozmawiajmy teraz o Cedriku... Pomówmy o czymś innym...

Okazało się jednak, że popełnił fatalny błąd.

- A ja myślałam... - odpowiedziała, a łzy skapywały jej z brody na stolik - myślałam, że właśnie ty mnie zrozuuumiesz! Ja muszę o tym porozmawiać! I t-t-ty na pewno też! Przecież byłeś przy t-t-tym, prawda?

Wszystko zaczęło się okropnie komplikować. Dziewczyna Rogera Daviesa odkleiła się od niego, żeby spojrzeć na zapłakaną Cho.

- No tak... i... ja już o tym rozmawiałem - wyszeptał Harry. - Z Ronem i Hermioną, ale...

- Ach tak, chcesz porozmawiać z Hermioną Granger! - powiedziała piskliwym głosem, z twarzą błyszczącą od łez. Coraz więcej par odrywało się od siebie, żeby zobaczyć, co się dzieje. - Tylko nie ze mną, tak? To m-może by było najlepiej, gdybyśmy po prostu... po prostu zapłacili, żebyś mógł sobie pójść i spotkać się z Hermioną G-Granger, na czym ci wyraźnie tak zależy!

Harry wytrzeszczył na nią oczy, całkowicie ogłupiały. Cho chwyciła ozdobioną falbankami serwetkę i zaczęła nią sobie gwałtownie ocierać twarz.

- Cho... - szepnął, marząc, by Roger objął swą dziewczynę i zaczął ją znowu całować, żeby przestała chichotać i gapić się na nich.

- No proszę, idź! - powiedziała, płacząc w chusteczkę. - Nie wiem, dlaczego się ze mną umówiłeś, skoro masz zamiar zaraz potem spotykać się z innymi dziewczynami... A po Hermionie ile masz jeszcze randek?

- To nie tak! - zaprzeczył Harry, czując nagłą ulgę, bo wreszcie zrozumiał, dlaczego tak się na niego obraziła, a ulga była tak wielka, że aż się roześmiał. Niestety, już po sekundzie zdał sobie sprawę, że popełnił kolejny błąd.

Cho zerwała się na nogi. Wszyscy umilkli, gapiąc się na nich.

- Żegnaj, Harry! - powiedziała dramatycznym głosem i, czkając lekko, rzuciła się do drzwi, otworzyła je gwałtownie i wypadła na rzęsisty deszcz.

- Cho! - zawołał za nią Harry, ale rozległ się melodyjny dźwięk dzwonka i drzwi się zamknęły.

W kawiarni było zupełnie cicho. Wszystkie oczy utkwione były w Harrym. Rzucił galeona na stolik, strząsnął sobie z włosów różowe konfetti i wyszedł.

Lało jak z cebra, a jej nigdzie nie było widać. Nie mógł po prostu zrozumieć, co właściwie się stało: przecież zaledwie pół godziny temu tak dobrze im szło!

- Kobiety! - mruknął ze złością, wpychając ręce do kieszeni i brnąc zalewaną deszczem ulicą. - Po co ona w ogóle chciała ze mną rozmawiać o Cedriku? Dlaczego zawsze musi wyciągnąć jakiś temat, którym sprawia, że zaczyna zachowywać się jak fontanna?

Skręcił w prawo, pobiegł, rozpryskując wodę, i w ciągu paru minut stanął przed drzwiami Trzech Mioteł. Wiedział, że jest za wcześnie, by mogła tam być Hermiona, ale pomyślał, że na pewno spotka kogoś, z kim będzie mógł spędzić czas w oczekiwaniu na nią. Wszedł do środka, odgarnął mokre włosy z oczu i rozejrzał się. W kącie siedział samotnie Hagrid z markotną miną.

- Czołem, Hagrid! - powitał go, kiedy przecisnął się między stłoczonymi stolikami i przyciągnął sobie krzesło obok niego.

Hagrid drgnął i spojrzał na niego trochę nieprzytomnie, jakby go nie poznawał. Na twarzy miał dwa świeże rozcięcia i kilka nowych siniaków.

- Ach, to ty, Harry. Wszystko gra?

- No jasne - skłamał Harry, czując, że w porównaniu ze zmartwieniami wyraźnie zmaltretowanego Hagrida nie ma się na co uskarżać. - A ty... dobrze się czujesz?

- Ja? Och tak, Harry, w porząsiu...

Zajrzał do swojego cynowego kufla wielkości sporego kubełka i westchnął. Harry nie wiedział, co powiedzieć. Przez chwilę siedzieli obok siebie w milczeniu, a potem Hagrid nagle zaczął:

- Zasuwamy na tym samym wózku, no nie, Harry?

- Ee... - bąknął Harry.

- Tak to jest, Harry... Już ci to kiedyś powiedziałem... Jak te wilki samotniki... - Pokiwał w zadumie głową. - I siroty. Tak to jest... oba jesteśmy siroty...

Pociągnął zdrowo z kufla.

- Co innego, jak się ma przyzwoitą rodzinkę, no nie? Mój stary to był przyzwoity gość. Twoja mama i twój tata też byli w porząsiu. Gdyby żyli... ech, wszystko by było inaczej...

- Chyba tak - zgodził się ostrożnie Harry, czując, że Hagrid jest w bardzo dziwnym nastroju.

- Rodzina - mruknął ponuro Hagrid. - Co byś nie powiedział, krew to krew...

I wytarł rękawem strużkę krwi ściekającą mu z brwi.

- Hagridzie - zagadnął Harry, nie mogąc się powstrzymać - skąd te wszystkie rany i siniaki?

- Co? - Hagrid otrząsnął się i spojrzał na niego niezbyt przytomnie. - Jakie siniaki?

- No te! - odrzekł Harry, wskazując na jego twarz.

- Ach, to... - odpowiedział lekceważąco Hagrid. - Normalka, Harry. Taką już mam robotę.

Wypił do dna, odstawił kufel i wstał.

- Do zobaczenia, Harry... Trzymaj się...

Wyszedł ciężkim krokiem z pubu i zniknął w strugach deszczu. Harry patrzył za nim, czując się podle. Hagrid był nieszczęśliwy i coś ukrywał, ale wyraźnie postanowił nie korzystać z niczyjej pomocy. O co tu chodzi? Ale zanim zdążył się nad tym zastanowić, usłyszał, jak ktoś go woła.

- Harry! Harry, tutaj!

To Hermiona machała do niego z drugiego końca sali. Wstał i zaczął się ku niej przeciskać. Był wciąż parę stolików od niej, kiedy zobaczył, że nie jest sama. Siedziała z dwiema najmniej spodziewanymi towarzyszkami: z Luną Lovegood i... tak, z Ritą Skeeter, byłą dziennikarką „Proroka Codziennego", osobą, której przecież nie znosiła tak, jak chyba nikogo na świecie.

- Przyszedłeś wcześniej! - powiedziała Hermiona, przesuwając się, by mu zrobić miejsce. - Myślałam, że jesteś z Cho, nie spodziewałam się ciebie jeszcze z godzinę!

- Cho? - zainteresowała się natychmiast Rita, obracając się i przyglądając żywo Harry'emu. - Dziewczyna?

Chwyciła swoją torebkę z krokodylej skóry i zaczęła w niej grzebać.

- To nie twój interes - stwierdziła chłodno Hermiona. - Harry może się umawiać z setką dziewczyn, a tobie nic do tego, więc proszę to natychmiast odłożyć.

Rita już wyjmowała z torebki jadowicie zielone pióro. Po słowach Hermiony zrobiła taką minę, jakby ją zmuszono do przełknięcia odorosoku, i zatrzasnęła torebkę z powrotem.

- Co tu jest grane? - zapytał Harry, siadając i spoglądając najpierw na Ritę, potem na Lunę, a w końcu na Hermionę.

- Mała Miss Doskonałości miała mi właśnie powiedzieć, kiedy przyszedłeś - oświadczyła Rita i łyknęła zdrowo ze swojej szklanki. - Chyba wolno mi z nim porozmawiać, co? - warknęła do Hermiony.

- Chyba tak - powiedziała Hermiona lodowatym tonem.

Brak zatrudnienia wyraźnie Ricie nie służył. Włosy, które zwykle podkręcała w wyszukane loczki, teraz zwisały byle jak wokół twarzy. Z długich paznokci pozłaził szkarłatny lakier, a w skrzydlatej oprawce okularów brakowało kilku fałszywych brylancików. Łyknęła ponownie ze szklanki i zagadnęła kącikiem ust:

- Ładna jest?

- Jeszcze jedno słowo na temat życia osobistego Harry'ego i nici z naszej umowy. Przyrzekam - oświadczyła stanowczo Hermiona.

- Z jakiej umowy? - zapytała Rita, ocierając usta wierzchem dłoni. - Jeszcze nie było mowy o żadnej umowie, panno Napuszona. Powiedziałaś mi tylko, żebym przyszła. Och, nadejdzie jeszcze czas... - I westchnęła ciężko.

- Tak, tak, nadejdzie czas, że wysmażysz więcej okropnych opowieści o mnie i o Harrym - powiedziała Hermiona obojętnym tonem. - Znajdź sobie kogoś, kogo to zainteresuje, dobrze?

- I bez mojej pomocy ukazało się już w tym roku mnóstwo okropnych opowieści o Harrym - odcięła się Rita, zezując na niego znad szklanki. - Jak to znosisz, Harry? - dodała ochrypłym szeptem. - Czujesz się zdradzony? Zakłopotany? Niezrozumiany?

- Jest wściekły, to chyba zrozumiałe - powiedziała dobitnie Hermiona. - Przecież powiedział ministrowi prawdę, a minister jest zbyt wielkim kretynem, żeby mu uwierzyć.

- A więc nadal się upierasz, że Ten, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać jednak powrócił, tak? - zapytała Rita i opuściła szklankę, przeszywając Harry'ego drapieżnym spojrzeniem, po czym wyciągnęła tęsknie palec ku zatrzaskowi torebki z krokodylej skóry. - Obstajesz przy tych wszystkich bzdurach, które opowiada każdemu Dumbledore, o tym, że Sam-Wiesz-Kto powrócił i że ty byłeś jedynym świadkiem...

- Nie byłem jedynym świadkiem - przerwał jej Harry. - Tam był również z tuzin śmierciożerców. Mam wymienić ich nazwiska?

- Byłoby cudownie - wydyszała Rita, ponownie grzebiąc w torbie i patrząc na niego tak, jakby był ósmym cudem świata. - Wielki, tłusty nagłówek: *Potter oskarża*... I podtytuł: *Harry Potter wymienia nazwiska śmierciożerców, którzy wciąż są wśród nas...* A pod twoim wielkim zdjęciem tekst: *Harry Potter, lat 15, wywołał wczoraj powszechne oburzenie, oskarżając szanowanych i prominentnych członków społeczności czarodziejów o to, że są śmierciożercami...*

Samopiszące pióro już tkwiło w ręce i zbliżało się do jej ust, kiedy nagle zgasł jej entuzjazm.

- Ale oczywiście - powiedziała, opuszczając pióro i obrzucając jadowitym spojrzeniem Hermionę - nasza mała Miss Doskonałości nie życzy sobie takich rewelacji, prawda?

- A nieprawda - powiedziała Hermiona słodkim głosem. - Bo mała Miss Doskonałości właśnie tego sobie życzy.

Rita wytrzeszczyła na nią oczy. Harry również. Luna zanuciła pod nosem: „Weasley jest naszym królem” i zamieszała w swej szklance cebulką na patyku.

- Chcesz, żebym napisała, co on mówi o Tym, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać? - zapytała Rita prawie szeptem.

- Tak, chcę - oświadczyła Hermiona. - Żebyś napisała prawdę. Wszystkie fakty. Tak, jak mówi Harry. On ci poda szczegóły, poda ci nazwiska tych śmierciożerców, powie ci, jak Voldemort teraz wygląda... och, weź się w garść - dodała z pogardą, rzucając przez stół chusteczkę, bo na dźwięk nazwiska Voldemorta Rita podskoczyła tak gwałtownie, że oblała się połową swojej Ognistej Whisky.

Rita wytarła przód brudnego płaszcza przeciwdeszczowego, wciąż wpatrując się w Hermionę, po czym powiedziała z powagą:

- „Prorok” tego nie wydrukuje. Jeśli do ciebie to jeszcze nie dotarło, to ci powiem, że nikt nie wierzy w tę jego wydumaną historyjkę. Wszyscy uważają, że ma zwidy. Jeśli pozwolisz mi, żebym to wszystko opisała pod tym kątem...

- Żadnych więcej dyrdymałek o tym, że Harry dostał świra! - powiedziała ze złością Hermiona. - Tego już mamy dosyć, wielkie dzięki! Chcę, żebyś mu dała możliwość powiedzenia prawdy!

- Na coś takiego nie ma zapotrzebowania - stwierdziła chłodno Rita.

- Chcesz raczej powiedzieć, że „Prorok” tego nie wydrukuje, bo Knot nie pozwoli, tak? - zapytała zirytowana Hermiona.

Rita obrzuciła ją twardym spojrzeniem. Potem wychyliła się do niej przez stół i powiedziała rzeczowym tonem:

- No dobra, Knot wywiera naciski na „Proroka”, ale to na jedno wychodzi. Nie wydrukują niczego, co ukaże Harry’ego w dobrym świetle. Nikt czegoś takiego nie chce czytać. To by było wbrew opinii publicznej. Ta ostatnia ucieczka z Azkabanu porządnie wszystkich wystraszyła. Ludzie nie chcą uwierzyć w powrót Sama-Wiesz-Kogo.

- Więc „Prorok Codzienny” istnieje po to, żeby mówić ludziom to, co chcą usłyszeć, tak? - zapytała uszczypliwie Hermiona.

Rita wyprostowała się, uniosła brwi i osuszyła swoją szklankę.

- „Prorok” istnieje po to, żeby się sprzedawać, głupia dziewczyno - oświadczyła chłodno.

- Mój tata uważa, że to okropne piśmidło - stwierdziła Luna, włączając się niespodzianie do rozmowy. Ssała swoją cebulkę koktajlową, patrząc się na Ritę swoimi wielkimi, wyłupiastymi, lekko zwariowanymi oczami. - On sam publikuje różne ważne

artykuły o sprawach, o których opinia publiczna powinna wiedzieć. Nie obchodzi go zarabianie pieniędzy.

Rita spojrzała na nią pogardliwie.

- A twój ojciec pewnie wydaje jedno z tych głupich wsiowych pisemek, tak? „Dwadzieścia pięć sposobów wmieszania się między mugoli", daty kolejnych wyprzedaży...

- Nie - powiedziała Luna, zanurzając cebulkę z powrotem w koktajlu. - Jest wydawcą „Żonglera".

Rita prychnęła tak głośno, że goście przy sąsiednim stoliku obejrzeli się z niepokojem.

- Ważne artykuły o sprawach, o których opinia publiczna powinna wiedzieć! - powtórzyła drwiąco. - Zawartością tego szmatławca mogłabym nawozić swój ogródek!

- Więc masz okazję, by podnieść nieco poziom tego pisma - powiedziała uprzejmie Hermiona. - Luna mówi, że jej ojciec byłby zachwycony, mogąc w nim zamieścić wywiad z Harrym. On to wydrukuje.

Rita popatrzyła na nich przez chwilę, a potem wybuchnęła śmiechem.

- „Żongler"! I myślicie, że ludzie potraktują go poważnie, jeśli da wywiad do „Żonglera"?

- Niektórzy może nie - odpowiedziała spokojnie Hermiona. - Ale to, co o ucieczce z Azkabanu pisze „Prorok Codzienny", nie trzyma się kupy. Myślę, że wielu zastanawia się, czy nie ma jakiegoś lepszego wytłumaczenia tego, co się stało, a jak się pojawi inna wersja, nawet opublikowana przez... - zerknęła na Lunę - przez... no... tak niezwykłe czasopismo... to myślę, że będą chcieli to przeczytać.

Rita milczała przez chwilę, patrząc na Hermionę z ukosa.

- No dobrze, powiedzmy, że to zrobię - powiedziała nagle. - Co za to dostanę?

- Nie sądzę, by mój tata płacił ludziom za to, że piszą do jego magazynu - oświadczyła Luna marzycielskim głosem. - To dla nich zaszczyt, no i lubią zobaczyć swoje nazwisko w druku.

Rita Skeeter miała taką minę, jakby znowu napiła się odorosoku.

- Mam to zrobić ZA DARMO?!

- Na to wygląda - odpowiedziała spokojnie Hermiona i upiła nieco ze swojej szklanki. - Bo jak tego nie zrobisz, to poinformuję władze, że jesteś niezarejestrowanym animagiem. I myślę, że „Prorok" mógłby ci sporo zapłacić za osobistą relację z życia w Azkabanie...

Rita wyglądała tak, jakby marzyła tylko o tym, by wyjąć papierową parasolkę ze szklanki i wetknąć ją Hermionie do nosa.

- To znaczy, że nie mam wyboru, tak? - powiedziała rozdygotanym głosem.

Otworzyła ponownie torebkę z krokodylej skóry, wyciągnęła kawałek pergaminu i uniosła samopiszące pióro.

- Tata się ucieszy - oświadczyła radośnie Luna.

Ricie zadrgała szczęka.

- Harry, zgadzasz się? - zapytała Hermiona, odwracając się do niego. - Jesteś gotów opowiedzieć opinii publicznej, jak było naprawdę?

- Chyba tak - odrzekł Harry, obserwując koniec samopiszącego pióra, który zawisł nad pergaminem.

- No to strzelaj, Rita - powiedziała pogodnie Hermiona, wyławiając wisienkę z dna swojej szklanki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY
WIDZIANE I NIEPRZEWIDZIANE

Luna powiedziała im wymijająco, że nie wie, kiedy wywiad Rity z Harrym ukaże się w „Żonglerze". Dodała też, że jej ojciec czeka na długą, wspaniałą relację z niedawnych obserwacji chrapaków krętorogich.

- To będzie, oczywiście, bardzo ważny materiał, więc być może Harry będzie musiał poczekać do następnego wydania.

Dla Harry'ego opowiadanie o nocy, w której powrócił Voldemort, nie było łatwym przeżyciem. Rita wypytywała go o najdrobniejsze szczegóły, a on opowiedział jej wszystko, co zapamiętał, wiedząc, że to jedyna w swoim rodzaju okazja, by przekazać światu prawdę. Ciekaw był, jaka będzie reakcja na jego opowieść. Podejrzewał, że wielu czytelników tylko utwierdzi się w przekonaniu, że ma kompletnie pomieszane w głowie, zwłaszcza jeśli wywiad pojawi się obok bzdur o jakichś krętorogich chrapakach. Ale ucieczka Bellatriks Lestrange i innych śmierciożerców sprawiła, że gorąco pragnął działać, bez względu na to, czy to odniesie skutek czy nie...

- Nie mogę się doczekać, co powie Umbridge, jak to zobaczy - powiedział Dean ze strachem podczas poniedziałkowej kolacji.

Po drugiej stronie stołu Seamus nakładał sobie olbrzymią porcję zapiekanki z kurczakiem i szynką, ale Harry wiedział, że nadstawia uszu.

- Dobrze zrobiłeś, Harry - Neville, siedzący naprzeciw niego, pobladł, ale ciągnął dalej przyciszonym głosem: - Musiało ci być... ciężko... o tym mówić... prawda?

- Prawda - wymamrotał Harry - ale przecież ludzie muszą się dowiedzieć, do czego Voldemort jest zdolny.

- Racja - zgodził się Neville, kiwając głową. - I ci jego śmierciożercy... Ludzie powinni się dowiedzieć...

Urwał i wrócił do swojej porcji pieczonych ziemniaków. Seamus spojrzał na nich, ale kiedy napotkał wzrok Harry'ego, szybko zajął się swoją zapiekanką. Po chwili Dean, Seamus i Neville odeszli do pokoju wspólnego, a Harry i Hermiona zostali, czekając na Rona, który jeszcze nie wrócił z treningu.

Do sali weszła Cho Chang ze swoją przyjaciółką Mariettą. Harry'emu coś podskoczyło nieprzyjemnie w brzuchu, ale ona nawet nie spojrzała w stronę stołu Gryfonów i usiadła plecami do niego.

- Och, zapomniałam cię zapytać - powiedziała Hermiona, zerkając na stół Krukonów. - Co się wydarzyło podczas twojej randki z Cho? Bo wróciłeś z niej tak wcześnie...

- Ee... no wiesz... - wyjąkał Harry, przysuwając sobie talerz z rabarbarowym ciastem i nakładając drugi kawałek - jak sobie teraz o tym pomyślę, to była kompletna klapa.

I opowiedział jej, co się wydarzyło w kawiarni pani Puddifoot.

- ...na to ona zrywa się - kończył swą opowieść kilka minut później, kiedy już zniknął ostatni kawałek rabarbarowego ciasta - mówi „Żegnaj, Harry" i wylatuje z kawiarni! - Odłożył łyżeczkę i spojrzał na Hermionę. - Możesz mi powiedzieć, co to wszystko znaczy? O co jej chodziło?

Hermiona zerknęła na tył głowy Cho i westchnęła.

- Och, Harry - powiedziała ponuro. - Wiesz, bardzo mi przykro, ale byłeś troszkę nietaktowny.

- Ja, nietaktowny? - oburzył się Harry. - W jednej minucie wszystko jest okej, a w następnej ona mi mówi, że Roger Davies chciał się z nią umówić, a potem, że obściskiwała się z Cedrikiem w tej głupiej kawiarni... Jak byś się czuła na moim miejscu?

- No bo... widzisz - zaczęła Hermiona takim tonem, jakby wyjaśniała jakiemuś niezrównoważonemu emocjonalnie dziecku, że jeden plus jeden równa się dwa - nie powinieneś w połowie randki z nią mówić, że chcesz się spotkać ze mną.

- Chwileczkę! - wybuchnął Harry. - Przecież sama mi powiedziałaś, żebyśmy się spotkali o dwunastej i żebym ją przyprowadził! A jak miałem to zrobić, nie mówiąc jej...?

- Mogłeś to powiedzieć w inny sposób - pouczyła go Hermiona tym samym przesadnie cierpliwym tonem. - Powinieneś powiedzieć, że to naprawdę okropne, ale ja wymogłam na tobie obietnicę, że wpadniesz do Trzech Mioteł, i że bardzo ci się nie chce tam iść, bo wolałbyś spędzić ten dzień tylko z nią, ale niestety uważasz, że powinieneś tam pójść, i może ona by tam z tobą poszła, to będziesz mógł urwać się szybciej. No i dobrze by było wspomnieć, że jestem brzydka - dodała po krótkim namyśle.

- Ale ja wcale nie uważam, że jesteś brzydka - powiedział Harry.

Hermiona zaśmiała się.

- Harry, jesteś gorszy od Rona... No nie, nie jesteś - westchnęła, bo właśnie do sali wkroczył z nachmurzoną miną Ron, cały uwalany błotem. - Zrozum... wściekła się, kiedy jej powiedziałeś, że się ze mną umówiłeś, więc chciała wywołać w tobie zazdrość. W ten sposób chciała się przekonać, jak bardzo ci na niej zależy.

- To o to jej chodziło? - zdumiał się Harry, kiedy Ron opadł na ławkę naprzeciw nich i zaczął sobie przysuwać wszystkie półmiski, jakie były w jego zasięgu. - A czy nie byłoby prościej, gdyby mnie po prostu zapytała, czy podoba mi się bardziej od ciebie?

- Dziewczyny rzadko zadają takie pytania.

- A powinny! - zaperzył się Harry. - Bo wtedy mógłbym jej powiedzieć, że bardzo mi się podoba, a ona nie musiałaby włączać w to wszystko sprawy śmierci Cedrika!

- Nie twierdzę, że to, co zrobiła, było rozsądne - oświadczyła Hermiona, gdy nadeszła Ginny, również okropnie ubłocona i tak samo ponura jak Ron. - Próbuję ci tylko pomóc zrozumieć, jak się wtedy czuła.

- Powinnaś napisać książkę - powiedział Ron, pochłaniając pieczone ziemniaki. - Taką, w której byś wyjaśniła chłopakom, co znaczą te wszystkie dziwactwa, które wyprawiają dziewczyny.

- Słusznie - zgodził się żywo Harry, spoglądając w stronę stołu Krukonów.

Cho właśnie wstała i wyszła z Wielkiej Sali, nadal nie zaszczycając go spojrzeniem. Zrobiło mu się przykro, ale zwrócił się do Rona i Ginny.

- Jak tam trening?

- To był koszmar - odrzekł smętnie Ron.

- Och, daj spokój - powiedziała Hermiona, patrząc na Ginny. - Jestem pewna, że nie było aż tak...

- Było - mruknęła Ginny. - Dno. Pod koniec Angelina była bliska płaczu.

Po zjedzeniu kolacji Ron i Ginny poszli się wykąpać. Harry i Hermiona wrócili do pełnego uczniów pokoju wspólnego i do swoich zwykłych stert zadań domowych. Harry przez pół godziny mozolił się nad nową mapą nieba na astronomię, gdy pojawili się Fred i George.

- Nie ma tu Ginny i Rona? - spytał Fred, rozglądając się i przysuwając sobie krzesło, a kiedy Harry pokręcił przecząco głową, dodał: - To dobrze. Obserwowaliśmy ich trening. To będzie rzeź. Bez nas są beznadziejni.

- Nie przesadzaj, Ginny nie była taka zła - powiedział George, siadając obok niego. - I nie wiem, gdzie się tego nauczyła, bo nigdy nie pozwalaliśmy jej z nami grać...

- Odkąd skończyła sześć lat, włamywała się do waszej szopy w ogrodzie i brała po kolei wasze miotły, kiedy nikt nie widział - powiedziała Hermiona zza chwiejnego stosu książek o starożytnych runach.

- Aha - mruknął George bez specjalnego przejęcia. - No... to jest jakieś wyjaśnienie.

- Czy Ron obronił już jakiegoś gola? - zapytała Hermiona, wyglądając znad *Magicznych hieroglifów i logogramów*.

- Broni, kiedy myśli, że nikt na niego nie patrzy - odrzekł Fred, spoglądając wymownie w sufit. - W sobotę musimy tylko poprosić widzów, żeby się odwrócili plecami i zajęli rozmową za każdym razem, kiedy kafel pomknie w jego stronę.

Wstał i podszedł do okna, patrząc w dal ponad ciemnymi błoniami.

- Wiecie co? Quidditch to jedyna rzecz, dla której warto było tu zostać.

Hermiona spojrzała na niego surowo.

- Czekają was egzaminy!

- Już ci mówiłem, gdzie mamy owutemy. Bombonierki są gotowe, znaleźliśmy też sposób na te czyraki, wystarczy parę kropel wyciągu ze szczuroszczeta i po krzyku, Lee nas na to naprowadził...

George ziewnął szeroko i spojrzał ponuro na zachmurzone nocne niebo.

- Nawet nie wiem, czy mam ochotę oglądać ten mecz. Jak Zachariasz Smith będzie lepszy, to się chyba zabiję.

- Lepiej zabij jego - doradził mu stanowczo Fred.

- I to jest właśnie problem z quidditchem - zauważyła Hermiona, znowu pochylona nad tłumaczeniem runów. - Rodzi negatywne emocje i napięcia między domami.

Zaczęła się rozglądać za *Sylabariuszem Spellmana* i zauważyła, że Fred, George i Harry patrzą na nią z mieszaniną odrazy i niedowierzania na twarzach.

- A co, może nie? - prychnęła. - Przecież to tylko gra, prawda?

- Hermiono - powiedział Harry, kręcąc głową - na pewno znasz się na emocjach i w ogóle, ale ty po prostu nie rozumiesz quidditcha.

- Może i nie - przyznała ponuro - ale przynajmniej moje szczęście nie zależy od umiejętności bramkarskich Rona.

I chociaż Harry prędzej by skoczył z Wieży Astronomicznej, niż przyznał jej rację, kiedy w sobotę obejrzał mecz, oddałby wiele galeonów, aby też nie przejmować się quidditchem.

Najlepsze, co można powiedzieć o tym meczu, to to, że był krótki: kibice Gryfonów musieli znieść tylko dwadzieścia dwie minuty męki. Trudno powiedzieć, co było najgorsze. Według Harry'ego o pierwsze miejsce ubiegały się trzy epizody: puszczenie czternastego gola przez Rona, cios w twarz zadany Angelinie przez Slopera pałką, którą zamierzał odbić tłuczka, i żałosne zachowanie Kirke'a, który wrzasnął ze strachu i spadł z miotły, kiedy zobaczył Zachariasza Smitha lecącego na niego z kaflem. Cudem było to, że Gryffindor przegrał różnicą tylko dziesięciu punktów, bo Ginny udało się złapać znicza tuż pod nosem Summerby'ego, szukającego Puchonów, tak że ostateczny wynik to dwieście czterdzieści do dwustu trzydziestu dla Hufflepuffu.

- Piękny chwyt - pochwalił Harry Ginny w pokoju wspólnym, gdzie atmosfera przywodziła na myśl wyjątkowo smutny pogrzeb.

Ginny wzruszyła ramionami.

- Miałam szczęście. Znicz nie leciał szybko, a Summerby był przeziębiony i kichnął, zamykając oczy w złym momencie. W każdym razie, kiedy już wrócisz do drużyny...

- Ginny, mam dożywotni zakaz.

- Masz zakaz, dopóki Umbridge jest w szkole - poprawiła go Ginny. - To różnica. W każdym razie, kiedy już wrócisz, to chyba zgłoszę się na ścigającego. Angelina i Alicja w przyszłym roku kończą szkołę, a ja wolę strzelać gole niż szukać znicza.

Harry odnalazł wzrokiem Rona, który siedział przygarbiony w kącie, gapiąc się w swoje kolana, z butelką piwa kremowego w ręku.

- Ale Angelina wciąż nie pozwala mu zrezygnować - powiedziała Ginny, jakby czytając w myślach Harry'ego. - Mówi, że ma w sobie to coś.

Harry doceniał wiarę, jaką Angelina wciąż pokładała w Ronie, ale pomyślał, że uczciwiej by było pozwolić mu odejść z drużyny. Ron opuścił boisko przy akompaniamencie hymnu „Weasley jest naszym królem", wyśpiewywanego z wielkim zapałem przez Ślizgonów, którzy byli teraz faworytami Pucharu Quidditcha.

Pojawili się Fred i George.

- Nawet nie mam serca ponabijać się z niego - rzekł Fred, patrząc na skurczoną postać Rona. - Chociaż jak puścił tego czternastego... - Zamachał dziko rękami, jakby płynął pieskiem. - No dobra, zachowam to na jakąś balangę...

Wkrótce potem Ron powlókł się do sypialni. Mając na uwadze jego podłe samopoczucie, Harry odczekał trochę, zanim sam tam poszedł, tak, żeby Ron mógł udać, że już śpi, jeśli tego zapragnie. I rzeczywiście, kiedy w końcu wszedł do dormitorium, Ron chrapał trochę za głośno, żeby można się było na to nabrać.

Harry wszedł do łóżka, rozmyślając o meczu. Obserwowanie gry z trybun było dla niego okropnym przeżyciem. Wysiłki Ginny zrobiły na nim wrażenie, ale był pewny, że gdyby on grał, złapałby znicza wcześniej... Był taki moment, gdy złota piłeczka zamigotała tuż koło stopy Kirke'a; gdyby się wtedy nie zawahała, mogłaby wygrać ten mecz dla Gryfonów...

Umbridge siedziała kilka rzędów niżej od Harry'ego i Hermiony. Parę razy odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, i za każdym razem jej szerokie usta ropuchy rozciągały się w triumfalnym uśmiechu. Na to wspomnienie robiło mu się gorąco z bezsilnej złości. Po kilku minutach przypomniał sobie jednak, że przed snem ma oczyścić swoją świadomość ze wszystkich emocji, jak powtarzał mu Snape pod koniec każdej lekcji oklumencji.

Przez chwilę próbował tego dokonać, ale myśl o Snapie nałożyła się na wspomnienie Umbridge i ta mieszanka tylko pogłębiła w nim poczucie rozżalenia i bezsilnej złości. Zamiast pozbyć się emocji, skupił się na tym, jak bardzo ich obojga nienawidzi. Chrapanie Rona powoli ucichło, zastąpił je głęboki, rytmiczny oddech. Harry jeszcze długo nie mógł zasnąć. Choć był zmęczony, jego mózg nie chciał dać za wygraną i odpocząć.

Kiedy w końcu zasnął, przyśniło mu się, że Neville i profesor Sprout tańczą walca w Pokoju Życzeń, a profesor McGonagall przygrywa im na dudach. Obserwował ich przez chwilę z przyjemnością, a potem postanowił odnaleźć innych członków GD.

Ale kiedy opuścił pokój, znalazł się nie przed gobelinem przedstawiającym Barnabasza Bzika, tylko przed pochodnią płonącą w żelaznym uchwycie na kamiennej ścianie. Powoli zwrócił głowę w lewo. I tam, na końcu mrocznego korytarza, ujrzał proste czarne drzwi.

Ruszył ku nim, czując, jak wzbiera w nim podniecenie. To dziwne, ale nie wątpił, że tym razem mu się uda, że znajdzie sposób, by je otworzyć... Był już o stopę od nich, gdy spostrzegł pasek słabego niebieskawego światła z prawej strony drzwi... Były uchylone... Wyciągnął rękę, aby je pchnąć i...

Ron zachrapał głośno, tym razem bez udawania, i Harry przebudził się nagle, z prawą ręką wyciągniętą w ciemności, chcąc nią otworzyć drzwi oddalone o setki mil od sypialni. Opuścił ją, czując mieszaninę rozczarowania i wyrzutów sumienia. Wiedział, że nie powinien w ogóle oglądać tych drzwi, a jednocześnie pożerała go ciekawość, co jest za nimi, więc miał żal do Rona. Gdyby choć jeszcze z minutę powstrzymał się od tego chrapnięcia...

* * *

W poniedziałek rano weszli do Wielkiej Sali w momencie, gdy przyleciały sowy z poranną pocztą. Tym razem nie tylko Hermiona czekała niecierpliwie na najnowsze wydanie „Proroka Codziennego". Prawie każdy chciał się dowiedzieć, czy są jakieś nowe informacje o zbiegłych śmierciożercach, których, mimo doniesień, że widziano ich w różnych miejscach, dotąd nie schwytano. Dała sowie knuta i szybko rozwinęła gazetę. Harry nie spodziewał się żadnego listu (do tej pory dostał tylko jeden) i popijał sobie spokojnie sok pomarańczowy, więc gdy wylądowała przed nim pierwsza sowa, był pewny, że to pomyłka.

- Kogo szukasz? - zapytał, zabierając jej sprzed dzioba swoją szklankę z sokiem, żeby odczytać nazwisko i adres:

Harry Potter

Wielka Sala

Zmarszczył czoło i sięgnął po list, ale zanim zdążył go chwycić, nadleciała druga, potem trzecia, czwarta i piąta sowa, i wszystkie wylądowały na stole, tratując masło, przewracając solniczki i przepychając się do niego, bo każda chciała przekazać mu list pierwsza.

- Co jest grane? - zdumiał się Ron, kiedy wszyscy Gryfoni wychylili się, żeby zobaczyć, jak kolejne siedem sów ląduje między poprzedniczkami, wrzeszcząc, pohukując i trzepocząc skrzydłami.

- Harry! - krzyknęła Hermiona zduszonym głosem, zanurzając ręce w pierzastej masie i wyciągając z niej sówkę dźwigającą długie, cylindryczne opakowanie. - Chyba wiem, co to znaczy... Otwórz najpierw to!

Harry rozerwał brązowy papier. Wytoczył się z niego ciasno zwinięty marcowy egzemplarz „Żonglera". Rozwinął go i ujrzał własną twarz, uśmiechającą się do niego nieśmiało z pierwszej strony. A na zdjęciu czerwieniły się słowa:

HARRY POTTER WRESZCIE PRZEMÓWIŁ:
„PRAWDA O TYM, KTÓREGO IMIENIA NIE
WOLNO WYMAWIAĆ I O NOCY, KIEDY
BYŁEM ŚWIADKIEM JEGO POWROTU"

- Dobre, co? - rozległ się głos Luny, która podeszła do stołu Gryfonów i wcisnęła się na ławkę między Freda i Rona. - Wczoraj się ukazało, prosiłam tatę, żeby ci przysłał bezpłatny egzemplarz. A to - machnęła ręką w stronę tłumu sów, rozpychających się na stole przed Harrym - to są pewnie listy od czytelników.

- Tak myślałam - wtrąciła podniecona Hermiona. - Harry, czy pozwolisz, że...

- Bardzo proszę - odrzekł Harry, trochę oszołomiony.

Ron i Hermiona zaczęli rozrywać koperty.

- Ten jest od faceta, który uważa, że jesteś stuknięty - powiedział Ron, zerkając na list, który trzymał w ręku. - No cóż...

- Ta wiedźma radzi ci, żebyś się poddał terapii wstrząsowej u Świętego Munga - powiedziała Hermiona, gniotąc list.

- Ale ten jest chyba w porządku - mruknął Harry, przebiegając wzrokiem długi list od jakiejś czarownicy z Paisley. - Hej, ona pisze, że mi wierzy!

- A tu na dwoje babka wróżyła - rzekł Fred, który z ochotą przyłączył się do otwierania listów. - Facet pisze, że nie wyglądasz na stukniętego, ale nie może uwierzyć w powrót Sam-Wiesz-Kogo, więc nie wie, co o tym myśleć... I po co marnować pergamin...

- Tu jest jeszcze jeden, którego przekonałeś, Harry! - ucieszyła się Hermiona. - *Po przeczytaniu Pańskiej relacji zmuszony jestem przyznać, że „Prorok Codzienny" potraktował Pana niesprawiedliwie... Chociaż wolałbym nie myśleć o tym, że Ten, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać powrócił, zmuszony jestem uznać, że mówi Pan prawdę...* Och, to cudowne!

- Jeszcze jeden, który uważa, że brak ci piątej klepki - powiedział Ron, ciskając za siebie zmięty list. - Ale ta pisze, że ją przekonałeś i teraz uważa cię za prawdziwego bohatera... dołączyła swoje zdjęcie... uauu!

- Co tu się dzieje? - rozległ się słodki, dziewczęcy głos.

Harry spojrzał w górę z rękami pełnymi kopert. Za Fredem i Luną stała profesor Umbridge. Jej wyłupiaste oczy błądziły po stole zawalonym kłębowiskiem sów, listów i jedzenia. Za jej plecami zobaczył tłum uczniów, przyglądających się temu z wypiekami na twarzach.

- Dlaczego dostałeś tyle listów, Potter? - zapytała powoli Umbridge.

- A co, to już przestępstwo? - warknął głośno Fred. - Dostawanie listów?

- Uważaj na słowa, Weasley, bo możesz dostać szlaban - powiedziała Umbridge. - No więc, Potter?

Harry zawahał się, ale nie widział sposobu, by utrzymać to, co zrobił, w tajemnicy; egzemplarz „Żonglera" za chwilę i tak zwróci jej uwagę.

- Ludzie do mnie piszą, bo udzieliłem wywiadu. O tym, co przeżyłem w czerwcu.

Gdy to powiedział, zerknął w stronę stołu nauczycielskiego, bo miał dziwne uczucie, że Dumbledore go obserwuje, ale kiedy spojrzał, dyrektor zdawał się całkowicie pochłonięty rozmową z profesorem Flitwickiem.

- Wywiadu? - powtórzyła Umbridge piskliwym głosem. - Co to znaczy?

- To znaczy, że dziennikarz zadawał mi pytania, a ja na nie odpowiadałem. Proszę...

I rzucił jej egzemplarz „Żonglera". Złapała go i spojrzała na okładkę. Na jej bladej, ciastowatej twarzy wystąpiły fioletowe plamy.

- Kiedy to zrobiłeś? - zapytała nieco roztrzęsionym głosem.

- W zeszłą sobotę, w Hogsmeade.

Popatrzyła na niego, dysząc ze złości. Magazyn dygotał w jej grubych paluchach.

- Już więcej nie odwiedzisz Hogsmeade, Potter - wyszeptała. - Jak śmiałeś... jak mogłeś... - Wzięła głęboki oddech. - Długo próbowałam nauczyć cię, że nie wolno opowiadać

kłamstw. Jak widzę, jeszcze to w ciebie nie wsiąkło. Gryffindor traci pięćdziesiąt punktów, a ty masz u mnie kolejny tygodniowy szlaban.

I odeszła, przyciskając egzemplarz „Żonglera" do piersi, śledzona wzrokiem przez wielu uczniów.

Około południa w całej szkole pojawiły się wielkie ogłoszenia: nie tylko na tablicach ogłoszeń w domach, ale i na korytarzach i w klasach.

NA POLECENIE

WIELKIEGO INKWIZYTORA HOGWARTU

Każdy uczeń przyłapany na posiadaniu magazynu „Żongler" zostanie wydalony ze szkoły.

Powyższe zarządzenie wydano na podstawie

Dekretu Edukacyjnego Numer Dwadzieścia Siedem.

Podpisano:
Dolores Jane Umbridge
Wielki Inkwizytor

Hermiona, nie wiadomo dlaczego, tryskała zadowoleniem za każdym razem, gdy spojrzała na któreś z tych ogłoszeń.

- I co cię tak cieszy? - zapytał Harry.

- Och, Harry, nie rozumiesz? - westchnęła Hermiona. - Nie mogła zrobić nic lepszego, żeby nakłonić każdego ucznia do przeczytania twojego wywiadu! Zakazany owoc, pojmujesz?

Wszystko wskazywało na to, że Hermiona miała rację. Pod koniec dnia, choć Harry nie dostrzegł nigdzie ani kawałeczka „Żonglera", wszyscy cytowali sobie nawzajem urywki z jego wywiadu. Szeptano o tym w kolejkach do klas, dyskutowano zawzięcie podczas obiadu i

przy tylnych stolikach podczas lekcji, a Hermiona doniosła, że kiedy przed runami wpadła do toalety, mówiła o tym każda dziewczyna zajmująca akurat kabinę.

- A jak mnie zobaczyły, to zaczęły mnie bombardować pytaniami, bo oczywiście wszystkie wiedzą, że ja znam ciebie - dodała z płonącymi oczami. - I... Harry, oni wszyscy ci wierzą, naprawdę, sądzę, że wreszcie udało ci się ich przekonać!

Tymczasem profesor Umbridge grasowała po szkole, zatrzymując wyrywkowo uczniów i żądając, by pokazali jej, co mają w torbach i kieszeniach. Harry wiedział, że szuka egzemplarzy „Żonglera", ale uczniowie potrafili wyprowadzić ją w pole. Wydarte strony z wywiadem Harry'ego zostały zaczarowane tak, że wyglądały jak pojedyncze strony podręczników albo jak czyste arkusze pergaminu, jeśli wziął je do ręki nie właściciel, ale ktoś inny. Wkrótce się okazało, że nie ma w szkole nikogo, kto by nie przeczytał wywiadu z Harrym.

Na podstawie Dekretu Edukacyjnego Numer Dwadzieścia Sześć nauczycielom też nie wolno było wspominać o wywiadzie, ale znajdowali różne sposoby wyrażania swoich opinii na ten temat. Profesor Sprout nagrodziła Gryffindor dwudziestoma punktami, kiedy Harry podał jej konewkę, profesor Flitwick wcisnął mu pod koniec zaklęć pudełko piszczących cukrowych myszy, mówiąc: „Sza!" i oddalając się pospiesznie, a profesor Trelawney podczas wróżbiarstwa zaniosła się histerycznym szlochem i nie zwracając uwagi na oburzenie Umbridge, oznajmiła zdumionej klasie, że Harry'emu nie grozi jednak rychła śmierć, przeciwnie, dożyje sędziwego wieku, zostanie ministrem magii i będzie miał dwanaścioro dzieci.

Ale największe szczęście spotkało Harry'ego następnego dnia, gdy spieszył na transmutację. Dopędziła go Cho i zanim sobie uświadomił, co się stało, poczuł jej rękę w swojej, a w uchu zabrzmiał mu najmilszy szept:

- Bardzo, bardzo cię przepraszam, Harry... Ten wywiad był tak odważny... doprowadził mnie do łez...

Przykro mu było, że znowu doprowadził ją do łez, ale ucieszył się, że znowu ze sobą rozmawiają, a jeszcze bardziej, kiedy pocałowała go szybko w policzek, zanim odbiegła. Coś niewiarygodnego zdarzyło się też przed klasą transmutacji: z kolejki wyszedł Seamus i stanął przed nim.

- Chciałem tylko powiedzieć - wymamrotał, zezując w lewe kolano Harry'ego - że ci wierzę. I posłałem kopię tego wywiadu mojej mamie.

Jednak pełnię szczęścia osiągnął Harry na widok reakcji Malfoya, Crabbe'a i Goyle'a. Późnym popołudniem zobaczył ich w bibliotece razem z cherlawym chłopcem, który, jak

poinformowała go szeptem Hermiona, nazywał się Teodor Nott. Zerkali na Harry'ego, który szukał po półkach książki na temat częściowego znikania; Goyle tłukł wojowniczo knykciami w dłoń, a Malfoy szepnął coś bez wątpienia złośliwego Crabbe'owi. Harry dobrze wiedział, co ich gnębi: w wywiadzie wymienił nazwiska ich ojców jako śmierciożerców.

- A najlepsze jest to - wyszeptała z satysfakcją Hermiona, kiedy tamci wyszli z biblioteki - że nie mogą ci zaprzeczyć, boby się przyznali, że przeczytali ten wywiad!

Na domiar wszystkiego, Luna oznajmiła im w czasie kolacji, że jeszcze żaden numer „Żonglera" nie sprzedawał się tak dobrze jak ten.

- Tata robi dodruk! - powiedziała Harry'emu, wytrzeszczając oczy z podniecenia. - Wprost nie może w to uwierzyć, mówi, że wywiad wzbudził chyba jeszcze większe zainteresowanie niż ten artykuł o krętorogich chrapakach!

Wieczorem Harry był bohaterem w pokoju wspólnym Gryffindoru. Fred i George odważnie rzucili zaklęcie powiększenia na okładkę „Żonglera" i powiesili ją na ścianie, tak że olbrzymia twarz Harry'ego łypała na wszystkich, od czasu do czasu wypowiadając grzmiącym głosem uwagi w rodzaju: „W ministerstwie są sami kretyni" albo „Umbridge, nażryj się gnoju". Hermiona stwierdziła, że to wcale nie jest zabawne, że przeszkadza jej się skupić, i w końcu poszła wcześniej spać, nie ukrywając irytacji. Po godzinie czy dwóch Harry doszedł do wniosku, że chyba miała rację, zwłaszcza kiedy zaklęcie skłaniające jego podobiznę do mowy trochę się zużyło i wykrzykiwała już tylko pojedyncze, nie powiązane ze sobą słowa, na przykład „gnoju" i „Umbridge", z coraz dłuższymi przerwami i coraz wyższym głosem. W końcu rozbolała go od tego głowa, a blizna znowu zaczęła mu dokuczać. Ku rozczarowaniu wielu Gryfonów, którzy go obsiedli, prosząc, by po raz któryś powtórzył im ów wywiad, oznajmił, że on też musi wcześniej się położyć.

W dormitorium chłopców nie było jeszcze nikogo. Oparł na chwilę czoło o chłodną szybę okna przy łóżku; przyniosło mu to pewną ulgę. Potem rozebrał się i położył, marząc, by ból głowy ustał. Miał też lekkie mdłości. Przewrócił się na bok, zamknął oczy i prawie natychmiast usnął...

Stał w ciemnym pokoju, oświetlonym tylko jedną wiązką świec. Dłonie zaciskał na oparciu stojącego przed nim fotela. Jego palce były długie i białe, jakby od lat nie widziały słońca, i wyglądały jak wielkie blade pająki na tle ciemnego aksamitu.

Za fotelem, w plamie światła rzucanego przez świece, klęczał jakiś mężczyzna w czarnej szacie.

- Wygląda na to, że źle mi doradzono - powiedział Harry wysokim, chłodnym głosem, drżącym z gniewu.

- Panie, błagam cię o litość... - wychrypiał mężczyzna klęczący na podłodze. Tył jego głowy połyskiwał w świetle świec. Drżał na całym ciele.

- Ciebie nie winię, Rookwood - odrzekł Harry zimnym, okrutnym głosem.

Zdjął ręce z oparcia fotela i obszedł go, zbliżając się do płaszczącego się na podłodze człowieka, aż stanął tuż nad nim w ciemności, spoglądając w dół z o wiele większej wysokości niż zwykle.

- Masz całkowitą pewność, Rookwood, że jest tak, jak powiedziałeś?

- Tak, panie mój, tak... Pracowałem w tym departamencie po... po tym wszystkim...

- Avery powiedział mi, że Bode mógł to zabrać.

- Bode nigdy by tego nie wziął, panie... Bode wiedział, że nie może... Właśnie dlatego opierał się tak mocno Klątwie Imperius Malfoya...

- Wstań, Rookwood - wyszeptał Harry.

Mężczyzna w czarnej szacie tak gorliwie wypełnił polecenie, że mało brakowało, by się przewrócił. Twarz miał poznaczoną bliznami po ospie, jeszcze bardziej widocznymi w ukośnym blasku świec. Stał, lekko pochylony, jakby zatrzymał się w połowie ukłonu, i rzucał przerażone spojrzenia na twarz Harry'ego.

- Dobrze zrobiłeś, że mi o tym powiedziałeś. Bardzo dobrze... Zmarnowałem wiele miesięcy na bezowocne plany... Ale to nic... Zaczniemy od nowa. Zasłużyłeś sobie na wdzięczność Lorda Voldemorta, Rookwood...

- Panie mój... tak, panie - wydyszał Rookwood ochrypłym ze wzruszenia głosem.

- Będę potrzebował twojej pomocy. Przydadzą mi się wszelkie informacje, jakich możesz mi dostarczyć.

- Oczywiście, mój panie, oczywiście... wszystko...

- No dobrze... możesz już odejść. Przyślij mi tu Avery'ego.

Rookwood wycofał się tyłem, cały w ukłonach, i zniknął za drzwiami.

Pozostawiony sam w ciemnym pokoju Harry zwrócił się ku ścianie, na której wisiało stare, popękane, zmętniałe lustro. Ujrzał w nim swoje odbicie, najpierw zamglone, potem coraz wyraźniejsze i większe... Twarz bledsza od nagiej czaszki... czerwone oczy z pionowymi szczelinami zamiast źrenic...

- NIEEEEEEEEEE!

- Co?! - wrzasnął w pobliżu czyjś głos.

Harry zamachał rozpaczliwie rękami, zaplątał się w zasłony i spadł z łóżka. Przez kilka sekund nie wiedział, gdzie jest, przekonany, że za chwilę w ciemności ujrzy znowu tę białą, przypominającą nagą czaszkę twarz, a potem usłyszał gdzieś blisko głos Rona:

- Przestań się zachowywać jak wariat, to ci pomogę wstać!

Zasłony się rozsunęły i Harry ujrzał w świetle księżyca twarz Rona. Leżał na plecach na podłodze, blizna pulsowała bólem. Ron wyglądał, jakby właśnie szykował się do snu; jedną rękę wysunął już z szaty.

- Znowu ktoś został zaatakowany? - zapytał Ron, szarpiąc go za rękę, żeby pomóc mu wstać. - Tata? Czy to ten wąż?

- Nie... wszystko w porządku... - wydyszał Harry, czując taki ból, jakby mu czoło przypiekano rozżarzonym prętem. - No... z wyjątkiem Avery'ego... On ma kłopoty... Podał mu mylną informację... Wściekł się... - Jęknął i usiadł, trzęsąc się, na łóżku, i rozcierając sobie czoło. - Ale Rookwood mu teraz pomoże... Jest znowu na właściwym tropie...

- O czym ty mówisz? - zapytał przerażony Ron. - Czy to znaczy, że... widziałeś Sam-Wiesz-Kogo?

- To JA byłem Sam-Wiesz-Kim - odrzekł Harry, po czym wyciągnął ręce i podsunął je sobie pod nos, żeby sprawdzić, czy nie są już tak upiornie białe i chude. - Rozmawiał z Rookwoodem, jednym z tych śmierciożerców, którzy uciekli z Azkabanu, pamiętasz? Rookwood właśnie mu powiedział, że Bode nie mógł tego zrobić...

- Czego zrobić?

- Czegoś zabrać... Stwierdził, że Bode wiedział, że nie zdoła tego zrobić... Na Bode'a ktoś rzucił Klątwę Imperius... Chyba ojciec Malfoya...

- Bode'a zaczarowali, żeby coś zabrał? Ale... Harry, to musi być...

- Ta broń - dokończył za niego Harry. - Wiem.

Drzwi sypialni się otworzyły, weszli Dean i Seamus. Harry szybko podciągnął nogi na łóżko. Seamus dopiero niedawno przestał go uważać za czubka, więc nie chciał, aby wyglądało, że stało się coś dziwnego.

- Powiedziałeś - mruknął Ron, przybliżając głowę do głowy Harry'ego pod pozorem, że chce się napić wody z dzbanka przy jego łóżku - że TY byłeś Sam-Wiesz-Kim?

- Tak - odpowiedział cicho Harry.

Ron wlał sobie do ust stanowczo za duży haust i woda pociekła mu po brodzie na piżamę. Dean i Seamus rozbierali się, rozmawiając głośno.

- Harry - powiedział Ron - musisz powiedzieć...

- Nie muszę nikomu mówić - uciął Harry. - Nie widziałbym tego, gdybym opanował oklumencję. Mam się jej nauczyć, żeby to ustało. Oni tego właśnie chcą.

Mówiąc „oni", miał na myśli Dumbledore'a. Położył się i odwrócił plecami do Rona, a po chwili usłyszał trzeszczenie jego materaca, co oznaczało, że i on wszedł do łóżka. Blizna

zapiekła go boleśnie, wgryzł się w poduszkę, żeby nie krzyknąć. Wiedział, że gdzieś - nie wiadomo gdzie - Voldemort karze teraz Avery'ego.

* * *

Harry i Ron czekali aż do pierwszej porannej przerwy, żeby powiedzieć Hermionie, co się wydarzyło. Chcieli mieć absolutną pewność, że nikt ich nie podsłucha. Stojąc tam, gdzie zwykle, w kącie chłodnego i wietrznego dziedzińca, Harry opowiedział jej swój sen ze wszystkimi szczegółami, które zdołał zapamiętać. Kiedy skończył, przez dłuższą chwilę milczała, wpatrując się z jakąś bolesną intensywnością we Freda i George'a, którzy nie mieli głów i sprzedawali spod peleryn swoje magiczne kapelusze po drugiej stronie dziedzińca.

- Więc to dlatego go zabili - powiedziała cicho, odrywając w końcu wzrok od bliźniaków. - Kiedy Bode próbował wykraść tę broń, stało się z nim coś dziwnego. Myślę, że chronią ją jakieś zaklęcia, żeby nie można jej było dotknąć. Dlatego znalazł się w Szpitalu Świętego Munga. Coś mu uszkodziło mózg i nie mógł mówić. Ale pamiętacie, co powiedziała ta uzdrowicielka? Że on powraca do zdrowia. A oni nie mogli do tego dopuścić, to chyba oczywiste, prawda? Wiecie co? Wydaje mi się, że wstrząs po tym, co mu się stało, gdy dotknął tej broni, mógł zniwelować działanie Klątwy Imperius. Jakby odzyskał głos, toby opowiedział, co robił, prawda? Dowiedzieliby się, że go wysłano, aby wykradł tę broń. No a dla Lucjusza Malfoya rzucenie na niego klątwy było bardzo łatwe. Przecież przesiaduje w ministerstwie, prawda?

- Kręcił się tam w dniu mojego przesłuchania - powiedział Harry. - W... zaraz... tak, był wtedy w korytarzu prowadzącym do Departamentu Tajemnic! Twój tata powiedział, że Malfoy pewnie próbuje zakraść się na dół i wywąchać, co się dzieje na moim przesłuchaniu, ale może...

- Sturgis - szepnęła Hermiona, otwierając szeroko oczy.

- Słucham? - zdziwił się Ron.

- Sturgis Podmore. Aresztowany za próbę przejścia przez jakieś drzwi. Lucjusz Malfoy jego też musiał dopaść. Założę się, że zrobił to właśnie wtedy. Sturgis miał pelerynę-niewidkę Moody'ego, prawda? Załóżmy, że stał na straży przy drzwiach, niewidzialny, a Malfoy albo go usłyszał, albo odgadł, że ktoś tam jest, albo po prostu rzucił Klątwę Imperius na wszelki wypadek... Więc Sturgis przy najbliższej sposobności... na przykład kiedy następnym razem stał tam na straży... próbował tam wejść i wykraść tę broń dla Voldemorta... Ron, uspokój się... ale został na tym przyłapany i zesłany do Azkabanu...

Spojrzała na Harry'ego.

- A teraz Rookwood powiedział Voldemortowi, jak wykraść tę broń?

- Nie słyszałem całej rozmowy, ale na to wyglądało. Rookwood kiedyś tam pracował... Może Voldemort wyśle właśnie jego?

Hermiona pokiwała głową, wciąż pogrążona w myślach. A potem nagle powiedziała:

- Harry, ty przecież nie powinieneś tego wszystkiego zobaczyć.

- Co? - zapytał, całkowicie zaskoczony.

- Miałeś się nauczyć, jak zamknąć swój umysł przed czymś takim.

- Wiem, ale...

- No to uważam, że musimy po prostu zapomnieć o tym, co zobaczyłeś - powiedziała stanowczo Hermiona. - A ty powinieneś trochę bardziej przyłożyć się do tej oklumencji.

Następne dni nie były lepsze. Harry dostał dwa kolejne O z eliksirów, wciąż się zamartwiał, że Hagrid może wylecieć, i nie mógł przestać rozmyślać o tym śnie, w którym zobaczył Voldemorta, choć już nie rozmawiał na ten temat z Ronem i Hermiona, bo nie chciał wysłuchiwać jej wymówek. Marzył o rozmowie z Syriuszem, ale to było na razie nieosiągalne, więc starał się po prostu zepchnąć całą tę sprawę w głąb świadomości.

Niestety, głębia jego świadomości nie była już tak bezpiecznym miejscem jak kiedyś.

- Wstań, Potter.

Parę tygodni po śnie o Rookwoodzie Harry znowu klęczał na podłodze w gabinecie Snape'a, próbując otrząsnąć się z zamroczenia. Właśnie został zmuszony do ujawnienia całego strumienia swoich wspomnień z wczesnych lat, których istnienia po tak długim czasie nawet się nie spodziewał. Większość dotyczyła upokorzeń, jakich w szkole podstawowej doznawał od Dudleya i jego bandy.

- To ostatnie wspomnienie - powiedział Snape. - Co to było?

- Nie wiem - odrzekł Harry, dźwigając się na nogi. Coraz trudniej było mu wydzielić poszczególne wspomnienia ze strumienia obrazów i dźwięków, które Snape w nim wywoływał. - Ma pan na myśli to, jak mój kuzyn zamknął mnie w toalecie?

- Nie - odpowiedział cicho Snape. - Mam na myśli to o mężczyźnie klęczącym w mrocznym pokoju...

- A... to nic takiego...

Snape świdrował go swoimi czarnymi oczami. Pamiętając, co powiedział na temat kluczowego znaczenia kontaktu wzrokowego w legilimencji, Harry zamrugał i spojrzał w bok.

- W jaki sposób ta scena znalazła, się w twojej głowie, Potter?

- To było... - wymamrotał Harry, starając się nie patrzeć na Snape'a - to był... taki sen, który miałem.

- Sen - powtórzył Snape.

Zapadło milczenie. Harry wbił wzrok w wielką martwą żabę pływającą w fioletowym roztworze w jednym ze słojów.

- Potter, czy zdajesz sobie sprawę, po co tu jesteśmy? - zapytał Snape cichym, groźnym głosem. - Czy wiesz, dlaczego poświęcam swoje wolne wieczory na to nudne zajęcie?

- Tak - odrzekł sucho Harry.

- To przypomnij mi, po co tu jesteśmy, Potter.

- Żebym się nauczył oklumencji - odpowiedział Harry, patrząc teraz na martwego węgorza.

- Tak jest, Potter. I chociaż jesteś wyjątkowo tępy - Harry spojrzał na niego z nienawiścią - to po dwóch miesiącach lekcji mógłbyś jednak dokonać jakiegoś postępu. Ile jeszcze miałeś snów o Czarnym Panu?

- Tylko ten jeden - skłamał Harry.

- A może ty po prostu polubiłeś te twoje wizje i sny, Potter? - zapytał Snape, a jego ciemne, zimne oczy zwęziły się lekko. - Może one sprawiają, że czujesz się kimś wyjątkowym, kimś... ważnym?

- Nie - wycedził Harry przez zęby, ściskając mocno różdżkę.

- To dobrze, Potter, bo nie jesteś ani kimś wyjątkowym, ani ważnym, i nie do ciebie należy wykrywanie, co Czarny Pan mówi swoim śmierciożercom.

- Nie... bo to należy do pana, tak? - wypalił Harry.

Wcale nie zamierzał tego powiedzieć, po prostu tak był zły na Snape'a, że mu się to wymknęło. Przez długą chwilę patrzyli na siebie. Harry był przekonany, że tym razem posunął się za daleko, ale ku swemu zdumieniu zobaczył, że na twarzy Snape'a pojawiło się coś w rodzaju satysfakcji.

- Tak, Potter - powiedział, a jego czarne oczy zalśniły. - To jest moje zadanie. A teraz, jeśli jesteś gotów, zaczniemy jeszcze raz... - Uniósł różdżkę. - Raz... dwa... trzy... *Legilimens!*

Setka dementorów sunęła ku Harry'emu przez jezioro... Skupił się, zaciskając zęby i mrużąc oczy... Byli coraz bliżej... Widział czarne dziury pod ich kapturami... ale jednocześnie widział stojącego przed nim Snape'a, który utkwił w nim wzrok, mrucząc coś pod nosem... I w jakiś sposób Snape stawał się coraz bardziej wyraźny, a dementorzy bledli...

Podniósł różdżkę.

- *Protego!*

Snape zachwiał się, różdżka wyleciała mu z ręki... i nagle Harry'ego nawiedziły jakieś cudze wspomnienia... Mężczyzna z długim, haczykowatym nosem wrzeszczał na skuloną kobietę, a mały, ciemnowłosy chłopiec płakał w kącie... Wyrostek o tłustych włosach siedział samotnie w ciemnej sypialni, celując różdżką w sufit i zestrzeliwując z niego muchy... Jakaś dziewczynka wyśmiewała się z chudego chłopca, próbującego dosiąść brykającej miotły...

- DOŚĆ!

Harry poczuł, jakby ktoś pchnął go mocno w pierś. Zrobił kilka chwiejnych kroków do tyłu i wpadł na półki pod ścianą. Coś trzasnęło. Snape dygotał lekko, biały na twarzy.

Szata Harry'ego była mokra na plecach. Jeden ze słojów pękł, kiedy na niego wpadł, i coś oślizgłego wirowało w ubywającym szybko płynie.

- *Reparo!* - syknął Snape i słój znowu był cały. - No, Potter... to już było coś... - Dysząc lekko, zajrzał do myślodsiewni, w której jak zwykle złożył przed lekcją trochę swoich myśli, jakby chciał sprawdzić, czy wciąż tam są. - Nie przypominam sobie, żebym ci wspominał o użyciu Zaklęcia Tarczy... ale bez wątpienia okazało się skuteczne...

Harry milczał. Czuł, że cokolwiek teraz powie, może się okazać dla niego niebezpieczne. Był pewny, że dopiero co włamał się do wspomnień Snape'a, że widział sceny z jego dzieciństwa. Wzdrygnął się na myśl, że ten płaczący chłopczyk, przyglądający się kłótni swoich rodziców, stał teraz przed nim, patrząc na niego z taką nienawiścią...

- Spróbujemy jeszcze raz, Potter?

Harry'ego przeszył dreszcz strachu. Teraz na pewno zapłaci za to, co się przed chwilą wydarzyło. Przesunęli się na dawne pozycje po obu stronach biurka. Harry czuł, że tym razem będzie mu o wiele trudniej oczyścić umysł...

- Liczę do trzech - powiedział Snape, unosząc różdżkę. - Raz... dwa...

Harry nie miał czasu, by się skupić i spróbować oczyścić umysł, bo Snape już krzyknął:

- *Legilimens!*

Biegł korytarzem ku Departamentowi Tajemnic, wzdłuż kamiennych ścian, wzdłuż płonących pochodni... czarne drzwi rosły w oczach... biegł tak szybko, że już miał na nie wpaść, był już o stopę od nich, zobaczył znowu pasek bladego, niebieskawego światła...

Drzwi otworzyły się! W końcu przez nie przeszedł i znalazł się w okrągłym pomieszczeniu o czarnych ścianach i czarnej podłodze, oświetlonym blaskiem świec o niebieskich płomykach, a wokoło było więcej drzwi... które z nich wybrać?

- POTTER!

Otworzył oczy. Znowu leżał na plecach, nie pamiętając, jak to się stało, dyszał, jakby rzeczywiście przebiegł przez cały korytarz wiodący do Departamentu Tajemnic, a potem przez czarne drzwi, do okrągłej komnaty...

- Wyjaśnij mi to! - zażądał Snape, stojąc nad nim z wściekłą miną.

- Ja... nie wiem, co się stało - odpowiedział szczerze Harry, wstając z podłogi. Miał guza z tyłu głowy i czuł się, jakby dostał gorączki. - Nigdy przedtem tego nie widziałem. To znaczy... już panu mówiłem, że śniły mi się te drzwi... ale przedtem zawsze były zamknięte...

- Nie starasz się dostatecznie!

Z jakiegoś powodu Snape wyglądał na jeszcze bardziej rozwścieczonego niż dwie minuty wcześniej, gdy Harry wdarł się do jego wspomnień.

- Jesteś leniwy i niedbały, Potter, nic dziwnego, że Czarny Pan...

- Czy może mi pan coś powiedzieć, panie profesorze? - wypalił znowu Harry. - Dlaczego nazywa pan Voldemorta Czarnym Panem? Tylko śmierciożercy tak go nazywali...

Snape otworzył usta - i nagle gdzieś spoza gabinetu dobiegł ich wrzask kobiety.

Snape poderwał głowę i utkwił wzrok w suficie.

- Co, do...? - mruknął.

Gdzieś z góry, jakby z sali wejściowej, dochodził przytłumiony odgłos kroków. Snape zmarszczył czoło i spojrzał na Harry'ego.

- Widziałeś coś niezwykłego po drodze, Potter?

Harry potrząsnął przecząco głową. Gdzieś nad nimi znowu rozległ się krzyk kobiety. Snape podszedł do drzwi, nadal trzymając różdżkę w pogotowiu. Harry zawahał się przez chwilę, po czym ruszył za nim.

Krzyki rzeczywiście dobiegały z góry; biegnąc ku kamiennym schodom, słyszał je coraz wyraźniej. Kiedy znalazł się na ich szczycie, zobaczył, że w sali wejściowej jest pełno ludzi. Uczniowie wychodzili tłumnie z Wielkiej Sali, gdzie wciąż trwała kolacja, żeby zobaczyć, co się dzieje. Inni tłoczyli się na marmurowych schodach. Harry przecisnął się przez grupę wysokich Slizgonów i znalazł się w pierwszym rzędzie wielkiego kręgu obserwatorów; niektórzy wyglądali na wstrząśniętych, inni nawet na przerażonych. Po przeciwległej stronie zobaczył profesor McGonagall. Miała taką minę, jakby to, na co patrzyła, przyprawiało ją o mdłości.

Pośrodku sali wejściowej stała profesor Trelawney. W jednej ręce trzymała różdżkę, w drugiej pustą butelkę po sherry. Wyglądała, jakby kompletnie zwariowała. Włosy jej sterczały do góry, okulary przekrzywiły się tak, że jedno oko było powiększone bardziej od drugiego, z ramion zwisały jej niezliczone szale i chusty, których końce wlokły się po posadzce, a

wszystko to sprawiało wrażenie, jakby profesor Trelawney rozpadała się w szwach. Obok niej stały dwa wielkie kufry, w tym jeden przewrócony do góry nogami, jakby ktoś zrzucił je za nią ze schodów. Stała, wpatrując się z przerażeniem w coś, czego Harry nie widział, ale co musiało się znajdować u stóp schodów.

- Nie! - krzyknęła. - NIE! To niemożliwe!... Nie zgadzam się!

- Nie zdawałaś sobie sprawy, że to nastąpi? - rozległ się piskliwy dziewczęcy głos, pełen szyderczego zdziwienia, i Harry, przesunąwszy się nieco w prawo, zobaczył, że tym, co tak przerażało panią Trelawney, była profesor Umbridge. - Wiem, że nie potrafisz przewidzieć nawet jutrzejszej pogody, ale chyba musiałaś zdawać sobie sprawę z tego, że twoje żałosne wyczyny podczas lekcji, które wizytowałam, i brak jakiejkolwiek poprawy, musiały doprowadzić do tego, że zostaniesz wyrzucona z tej szkoły!

- Nie mooożesz mnie stąd wyrzuuucić! - zawyła profesor Trelawney, a strumienie łez wypłynęły jej spod niesamowicie grubych soczewek okularów. - Nie możesz! Jestem tu od szesnastu lat! Hogwart to mój dooom!

- To BYŁ twój dom - powiedziała profesor Umbridge i Harry poczuł, że ogarnia go fala oburzenia na widok mściwej satysfakcji na jej ropuszej twarzy, gdy pani Trelawney opadła na jeden z kufrów, zanosząc się szlochem. - Ale już nie jest, bo godzinę temu minister magii złożył podpis na twoim wypowiedzeniu. A teraz, z łaski swojej, zabieraj się z tej sali. Wprawiasz nas w zakłopotanie.

Ale profesor Trelawney nie ruszała się z miejsca, dygocąc, jęcząc i kołysząc się do tyłu i do przodu na kufrze. Harry usłyszał ciche łkanie z lewej strony: Lavender i Parvati płakały, obejmując się ramionami. A potem usłyszał kroki. Profesor McGonagall wyszła z kręgu widzów, podeszła prosto do pani Trelawney, poklepała ją dość mocno po plecach i wyciągnęła z kieszeni wielką chustkę do nosa.

- Masz, Sybillo... Uspokój się... Wytrzyj sobie nos... Nie jest tak źle, jak myślisz... Wcale nie opuścisz Hogwartu...

- Czyżby, pani profesor McGonagall? - zapytała Umbridge jadowitym tonem, robiąc kilka kroków do przodu. - A z czyjego upoważnienia pozwala sobie pani na takie stwierdzenie?

- Z mojego - rozległ się głęboki, niski głos.

Dębowe frontowe drzwi rozwarły się gwałtownie. Stojący przy nich uczniowie rozstąpili się na boki, gdy w wejściu pojawił się Dumbledore. Co robił na szkolnych błoniach, tego Harry nie mógł odgadnąć, ale jego postać w otwartych drzwiach na tle dziwnie mglistej nocy na pewno robiła wrażenie. Nie zamknął za sobą drzwi, tylko ruszył przez krąg widzów

prosto do miejsca, gdzie na swoim kufrze, dygocąc jak osika, siedziała pani Trelawney z twarzą mokrą od łez.

- Z pańskiego, profesorze Dumbledore? - prychnęła Umbridge, rozciągając żabie usta w podłym uśmiechu. - Obawiam się, że nie zdaje pan sobie sprawy z sytuacji. Mam tutaj - i wyciągnęła zza pazuchy zwinięty pergamin - formalne wypowiedzenie, podpisane przeze mnie i przez ministra magii. Na mocy Dekretu Edukacyjnego Numer Dwadzieścia Trzy Wielki Inkwizytor Hogwartu ma prawo wizytować, postawić w stan zatrudnienia warunkowego i wyrzucić z pracy każdego nauczyciela, który według jego... to znaczy mojej... oceny, nie spełnia kryteriów wymaganych przez Ministerstwo Magii. Uznałam, że profesor Trelawney nie spełnia tych kryteriów. Dałam jej wymówienie.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Harry'ego, Dumbledore nadal się uśmiechał. Spojrzał z góry na profesor Trelawney, która wciąż łkała i dławiła się łzami, siedząc na kufrze, i powiedział:

- Ma pani całkowitą rację, profesor Umbridge. Jako Wielki Inkwizytor ma pani prawo udzielać wypowiedzeń moim nauczycielom. Nie ma pani jednak prawa wyrzucać ich z tego zamku. Obawiam się - tu skłonił się lekko - że to prawo nadal przysługuje dyrektorowi tej szkoły, a moją wolą jest, żeby profesor Trelawney pozostała w Hogwarcie.

Profesor Trelawney parsknęła histerycznym śmiechem, po którym dostała silnej czkawki.

- Nie... nie, Dumbledore... ja sobie p-pójdę! Op-puszczę Hog-g-wart i poszukam szczęścia g-gdzie indziej...

- Nie - oświadczył Dumbledore ostrym tonem. - Jest moim życzeniem, żebyś tu została, Sybillo.

Zwrócił się do profesor McGonagall.

- Czy mogłaby pani zaprowadzić Sybillę na górę?

- Oczywiście. Wstań, Sybillo...

Z tłumu wyszła szybkim krokiem profesor Sprout i chwyciła panią Trelawney pod drugie ramię. Razem poprowadziły ją obok Umbridge, a potem marmurowymi schodami w górę. Profesor Flitwick pobiegł za nimi z wyciągniętą różdżką, krzycząc piskliwie: „*Locomotor kufry!*", na co bagaż pani Trelawney wzniósł się w powietrze i poszybował za nią.

Profesor Umbridge wciąż stała jak skamieniała, wpatrując się w Dumbledore'a, który uśmiechał się dobrodusznie.

- A co pan z nią zrobi, dyrektorze - powiedziała szeptem, który słychać było w całej sali wejściowej - kiedy mianuję nowego nauczyciela wróżbiarstwa, który będzie musiał gdzieś zamieszkać?

- Och, nie widzę żadnego problemu. Widzi pani, ja już znalazłem nowego nauczyciela wróżbiarstwa, a on woli zamieszkać na parterze.

- Znalazł pan...? - powtórzyła Umbridge piskliwym głosem. - PAN znalazł? Czy mogę panu przypomnieć, Dumbledore, że zgodnie z Dekretem Edukacyjnym Numer Dwadzieścia Dwa...

- ...tylko ministerstwo ma prawo wyznaczać odpowiedniego kandydata, jeśli... i tylko jeśli... dyrektor nie jest w stanie go znaleźć - rzekł Dumbledore. - I jestem rad, że w tym przypadku byłem w stanie. Mogę go pani przedstawić?

Zwrócił twarz w stronę otwartych drzwi frontowych, przez które wlatywały teraz strzępy mgły. Harry usłyszał stukot kopyt. Przez salę przebiegł pomruk przerażonych głosów, a ci, którzy stali najbliżej drzwi, cofnęli się tak szybko, że niektórzy poprzewracali się, żeby zrobić drogę przybyszowi.

We mgle ukazała się twarz, którą Harry widział tylko raz, pewnej ciemnej, groźnej nocy w Zakazanym Lesie: jasne, prawie białe włosy i zdumiewająco błękitne oczy. Głowa i tors mężczyzny osadzone na bladozłotym ciele konia.

- To jest Firenzo - rzekł uradowanym głosem Dumbledore do oniemiałej Umbridge. - Myślę, że uzna go pani za odpowiedniego nauczyciela wróżbiarstwa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY
CENTAUR I DONOSICIEL

Założę się, że teraz żałujesz, że zrezygnowałaś z wróżbiarstwa, co, Hermiono? - zapytała Parvati ze złośliwym uśmiechem.

Była przerwa śniadaniowa, kilka dni po wyrzuceniu z pracy profesor Trelawney, i Parvati podkręcała sobie różdżką rzęsy, sprawdzając efekt w łyżeczce od herbaty. Za chwilę miała się odbyć pierwsza lekcja z centaurem Firenzo.

- Nie sądzę - odpowiedziała lekceważąco Hermiona znad egzemplarza „Proroka Codziennego". - Nigdy nie przepadałam za końmi.

Przewróciła stronę gazety, przebiegając wzrokiem kolumny.

- To nie jest koń, to centaur! - oburzyła się Lavender.

- Cudowny centaur... - westchnęła Parvati.

- Tak czy owak ma cztery nogi - stwierdziła chłodno Hermiona. - A w ogóle to sądziłam, że wy obie żałujecie odejścia Trelawney.

- Żałujemy! - zapewniła ją Lavender. - Poszłyśmy do jej gabinetu, żeby ją odwiedzić, zaniosłyśmy jej kilka żonkili... takich ładnych, nie tych wrzeszczących, które ma Sprout...

- Jak ona się czuje? - zapytał Harry.

- Nie najlepiej, biedaczka - powiedziała Lavender. - Płakała i powiedziała, że wolałaby na zawsze opuścić zamek, niż mieszkać pod jednym dachem z Umbridge, i trudno się dziwić. Okropnie ją potraktowała, prawda?

- Mam przeczucie, że Umbridge dopiero zaczęła być okropna - mruknęła ponuro Hermiona.

- To niemożliwe - odezwał się Ron znad wielkiego talerza jajek i bekonu. - Gorsza już nie może być.

- Zapamiętajcie sobie moje słowa, ona teraz będzie chciała się zemścić na Dumbledorze za to, że mianował nowego nauczyciela bez konsultacji z nią - powiedziała Hermiona, składając gazetę. - I to istotę nie w pełni ludzką. Widzieliście jej minę, jak zobaczyła Firenza?

Po śniadaniu Hermiona poszła na numerologię, a Harry i Ron ruszyli za Parvati i Lavender do sali wejściowej, zmierzając na wróżbiarstwo.

- To nie idziemy do Wieży Północnej? - zdziwił się Ron, kiedy Parvati minęła marmurowe schody.

Parvati spojrzała na niego pogardliwie przez ramię.

- A niby jak Firenzo miałby wejść po drabinie? Wróżbiarstwo mamy w klasie numer jedenaście, to było wczoraj na tablicy ogłoszeń!

Klasa numer jedenaście mieściła się w korytarzu, do którego wchodziło się z sali wejściowej naprzeciw drzwi do Wielkiej Sali. Była to jedna z nieużywanych klas, więc zwykle sprawiała wrażenie zaniedbanego schowka lub magazynu. Ale kiedy Harry wszedł do niej z Ronem, aż oniemiał, bo znalazł się na leśnej polanie.

- Co to?...

Podłogę porastał uginający się pod stopami mech, wokoło rosły drzewa, których obsypane listowiem gałęzie przysłaniały sufit i okna, tak że pokój wypełniały smugi łagodnego, cętkowanego, zielonego światła. Uczniowie, którzy przyszli przed nimi, siedzieli na mchu, oparci o pnie drzew i głazy, obejmując rękami kolana, a miny mieli lekko przestraszone. Pośrodku, gdzie nie było drzew, stał Firenzo.

- Harry Potter - powiedział na jego widok i wyciągnął rękę.

- Ee... cześć - wybąkał Harry, wymieniając uścisk dłoni z centaurem, który przyglądał mu się bez zmrużenia powiek swymi zdumiewająco niebieskimi oczami, ale się nie uśmiechał. - Ee... miło cię zobaczyć...

- I ciebie - rzekł centaur, pochylając głowę. - Przepowiedziano, że znowu się spotkamy.

Harry zauważył na piersi Firenza cień siniaka w kształcie kopyta. Odwrócił się, by usiąść na mchu razem z resztą klasy, i stwierdził, że wszyscy patrzą na niego z podziwem, najwyraźniej zaskoczeni tym, że zna Firenza, który tak ich onieśmielał.

Kiedy drzwi zamknięto i ostatni uczeń usiadł na pniaku koło kosza na śmieci, Firenzo machnął ręką, wskazując na salę.

- Profesor Dumbledore był tak uprzejmy, że przystosował tę klasę - rzekł, gdy wszyscy już usiedli - tak, aby przypominała moje naturalne środowisko. Wolałbym was nauczać w Zakazanym Lesie, który był... aż do poniedziałku... moim domem... ale to niemożliwe.

- Ale... proszę pana... - wydyszała Parvati, podnosząc rękę - dlaczego nie? Byliśmy już tam z Hagridem, wcale się nie boimy!

- Tu nie chodzi o waszą odwagę, tylko o moją sytuację. Nie mogę już powrócić do lasu. Moje stado wygnało mnie stamtąd.

- Stado? - powtórzyła z zakłopotaniem Lavender i Harry domyślił się, że pomyślała o krowach. - Co... och! - Po jej minie poznał, że nagle zrozumiała. - To was jest więcej?

- Czy Hagrid was wyhodował, tak jak testrale? - zapytał żywo Dean.

Firenzo powoli odwrócił głowę, by spojrzeć na Deana, który natychmiast pojął, że musiał powiedzieć coś obraźliwego.

- Nie chciałem... nie miałem na myśli... przepraszam... - wybąkał cichym głosem.

- Centaury nie są ani sługami, ani zabawkami ludzi - powiedział spokojnie Firenzo.

Zapadło milczenie, a potem Parvati znowu podniosła rękę.

- Proszę pana... a dlaczego inne centaury pana wygnały?

- Ponieważ zgodziłem się pracować dla profesora Dumbledore'a. Uważają to za zdradę naszego gatunku.

Harry przypomniał sobie, jak prawie cztery lata temu centaur Zakała zrugał Firenza za to, że ten pozwolił Harry'emu jechać na swoim grzbiecie, i nazwał go „zwykłym mułem". Może to właśnie Zakała kopnął Firenza w pierś?

- Zacznijmy - rzekł Firenzo.

Machnął swoim kremowozłotym ogonem, podniósł rękę ku liściastemu baldachimowi nad głowami, opuścił ją powoli i nagle w klasie pociemniało, tak że teraz siedzieli na leśnej polanie o zmierzchu, a na suficie pojawiły się gwiazdy. Wszystkich zatkało, rozległy się „ochy", a Ronowi wyrwało się głośne „O kurczę!"

- Połóżcie się na plecach - powiedział spokojnie Firenzo - i obserwujcie niebo. Tam są zapisane, dla tych, którzy potrafią widzieć, losy naszych ras.

Harry wyciągnął się wygodnie na plecach i spojrzał w sufit. Mrugnęła stamtąd do niego migocąca czerwona gwiazda.

- Wiem, że na astronomii poznaliście już nazwy planet i ich księżyców - rozległ się spokojny głos Firenza - i że potraficie wykreślić ich ruchy po niebie. Centaury od wieków zgłębiają tajemnice tych ruchów. Doszliśmy do wniosku, że na niebie zapisana jest przyszłość...

- Profesor Trelawney przerabiała już z nami astrologię! - powiedziała z przejęciem Parvati, podnosząc rękę, a ponieważ leżała na plecach, ręka sterczała nad nią w powietrzu. - Mars powoduje wypadki, pożary i inne klęski, a kiedy jest w takiej odległości kątowej od Saturna, jak teraz - nakreśliła właściwy kąt w powietrzu - to oznacza, że trzeba się obchodzić szczególnie ostrożnie z ogniem i gorącymi rzeczami...

- To są ludzkie niedorzeczności - przerwał jej spokojnie Firenzo.

Ręka Parvati opadła bezwładnie.

- Błahe zranienia, drobne ludzkie wypadki - powiedział Firenzo, a pokryta mchem podłoga zadudniła głucho pod jego kopytami - dla wszechświata nie mają większego znaczenia niż bezładny ruch mrówek, a ruchy planet nie mają na nie żadnego wpływu.

- Ale profesor Trelawney... - zaczęła Parvati urażonym tonem.

- ...jest człowiekiem - przerwał jej Firenzo. - I dlatego zaślepiają ją i krępują ograniczenia właściwe waszemu gatunkowi.

Harry odwrócił lekko głowę, by spojrzeć na Parvati. Miała bardzo obrażoną minę, podobnie jak niektórzy wokół niej.

- Sybilla Trelawney może i jest jasnowidzącą, tego nie wiem - ciągnął Firenzo, a Harry znowu usłyszał świst jego ogona - ale marnuje czas na te nonsensy, które ludzie, schlebiając sobie, nazywają szumnie przepowiadaniem przyszłości. Ja jednak jestem tutaj po to, żeby wam objaśnić mądrość centaurów, która jest bezosobowa i bezstronna. Obserwujemy niebiosa, aby wykryć wielkie przypływy zła, wielkie zmiany, które niekiedy są tam zapisane. Nabranie pewności co do charakteru owych zmian może zająć nawet dziesięć lat.

Wskazał na czerwoną gwiazdę tuż nad Harrym.

- W minionym dziesięcioleciu wiele wskazywało na to, że społeczność czarodziejów żyje w krótkim okresie spokoju między dwiema wojnami. Wojowniczy Mars świeci teraz jasno nad nami, co zapowiada rychły koniec owego spokoju. Jak szybko znowu wybuchnie wojna, centaury mogą wywróżyć, paląc pewne zioła i liście, obserwując dymy i płomienie...

Była to najbardziej niezwykła lekcja, jaką Harry kiedykolwiek przeżył. Rzeczywiście palili szałwię i malwę na podłodze klasy, a Firenzo mówił im, by w kłębach dymu poszukiwali pewnych kształtów i symboli, ale zupełnie nie przejmował się tym, że żadne z nich nie potrafiło dostrzec opisywanych przez niego znaków. Powiedział im, że ludzie nigdy nie opanowali tej sztuki, że centaurom zajmuje to lata, a w końcu stwierdził, że i tak nie można przywiązywać do tego zbyt dużej wagi, bo nawet centaury czasami mylnie owe znaki odczytują. Był zupełnie niepodobny do żadnego z nauczycieli, których Harry dotąd poznał. Wydawało się, że nie tyle mu zależy na przekazaniu im swojej wiedzy, ile na przekonaniu ich, że żadna wiedza, nawet wiedza centaurów, nie jest nieomylna.

- Trudno powiedzieć, żebyśmy się dowiedzieli czegoś konkretnego, nie? - zauważył cicho Ron, kiedy zgasili swoje ognisko z malw. - Ja bym, na przykład, chciał poznać więcej szczegółów o tej wojnie, która nas czeka, a ty?

Rozległ się dzwonek i wszyscy podskoczyli. Harry całkowicie zapomniał, że wciąż znajdują się wewnątrz zamku, był przekonany, że naprawdę są w lesie. Wysypali się na zewnątrz z nieco zmieszanymi minami. Harry i Ron już mieli wyjść za innymi, kiedy Firenzo zawołał:

- Harry Potterze, pozwól na słówko.

Harry odwrócił się. Centaur zbliżał się do niego powoli. Ron zawahał się.

- Możesz zostać - powiedział mu Firenzo. - Tylko zamknij drzwi.

Ron pospiesznie wykonał to polecenie.

- Harry Potterze, jesteś przyjacielem Hagrida, tak? - zapytał centaur.

- Tak.

- Więc przekaż mu moje ostrzeżenie. Jego wysiłki nie przynoszą rezultatu. Powinien dać sobie z tym spokój.

- Jego wysiłki nie przynoszą rezultatu? - powtórzył Harry, nie mając pojęcia, co to znaczy.

- I powinien dać sobie z tym spokój - powiedział Firenzo, kiwając głową. - Ostrzegłbym go sam, ale zostałem wygnany... nie byłoby rozsądne, gdybym teraz zagłębił się w puszczę... Hagrid ma i tak dość kłopotów, bez bitwy centaurów...

- Ale... co Hagrid próbuje zrobić? - zapytał Harry z niepokojem.

Firenzo zmierzył go spokojnym spojrzeniem.

- Hagrid niedawno oddał mi wielką przysługę i od dawna darzę go szacunkiem za opiekę, którą otacza wszystkie żyjące stworzenia. Nie zdradzę jego sekretu. Ale powinien odzyskać rozsądek. To nieudana próba. Powiedz mu to, Harry Potterze. Życzę ci pomyślnego dnia.

* * *

Szczęście, jakie Harry odczuwał po swoim wywiadzie w „Żonglerze", już dawno wyparowało. Kiedy po szarym marcu nadszedł burzliwy kwiecień, jego życie znowu zamieniło się w długą serię kłopotów i problemów.

Umbridge była obecna na każdej lekcji opieki nad magicznymi stworzeniami, więc trudno było przekazać Hagridowi ostrzeżenie Firenza. W końcu Harry udał, że zostawił swój egzemplarz *Fantastycznych zwierząt* i po lekcji wrócił do jego chatki. Kiedy powtórzył słowa Firenza, Hagrid przez chwilę wpatrywał się w niego swymi podpuchniętymi oczami, najwyraźniej bardzo zaskoczony, a potem się otrząsnął i powiedział:

- To porządny gość, ten Firenzo, ale tym razem nie bardzo wie, o czym mówi. Bo jak dotąd wszystko gra.

- Hagridzie, co ty kombinujesz? - zapytał z powagą Harry. - Przecież wiesz, że musisz być ostrożny. Umbridge już się pozbyła Trelawney i na pewno na tym nie poprzestanie. I jak znowu coś zmalujesz, to nie zdziw się, że...

- Są ważniejsze sprawy od pilnowania, czy cię nie wyleją z roboty - powiedział Hagrid, ale ręce zatrzęsły mu się lekko, tak że upuścił miednicę pełną odchodów szpiczaka. - Nie martw się o mnie, dam se radę... Równy z ciebie chłop, Harry, ale teraz już idź...

I zabrał się za ścieranie łajna z podłogi, a Harry, rad nierad, powlókł się w nie najlepszym nastroju do zamku.

Tymczasem, o czym nieustannie przypominali nauczyciele i Hermiona, zbliżały się zaliczenia sumów. Wszyscy piątoklasiści odczuwali z tego powodu stres, ale Hanna Abbott była pierwszą, której pani Pomfrey musiała zaaplikować wywar uspokajający po tym, jak Hanna wybuchnęła płaczem na zielarstwie i łkając, wyznała, że jest za głupia, by przystąpić do egzaminów i chce natychmiast opuścić szkołę.

Gdyby nie spotkania GD, Harry też by się pogrążył w skrajnej rozpaczy. Czasami czuł, że żyje tylko dla tych godzin spędzanych w Pokoju Życzeń, w czasie których ciężko harował, ale odczuwał prawdziwe zadowolenie i rozpierała go duma, gdy widział wokół siebie współtowarzyszy tajnych spotkań, robiących coraz większe postępy. Ciekaw był, jak zareaguje Umbridge, kiedy na egzaminach każdy członek Gwardii Dumbledore'a otrzyma W z obrony przed czarną magią.

Wreszcie zabrali się za wywoływanie patronusów, na co wszyscy od dawna wyczekiwali, chociaż Harry wciąż im przypominał, że wyczarowanie patronusa w jasno oświetlonej klasie, kiedy nie ma prawdziwego zagrożenia, to zupełnie co innego od wywołania go w obliczu atakującego dementora.

- Och, nie psuj zabawy! - powiedziała Cho podczas ostatniego przed Wielkanocą spotkania GD, przyglądając się wyczarowanemu przez siebie patronusowi o kształcie srebrzystego łabędzia. - Jest taki śliczny!

- Nie ma być śliczny, tylko ma cię chronić - pouczył ją cierpliwie Harry. - Potrzebny nam jest bogiń albo coś w tym rodzaju; ja się tego właśnie tak nauczyłem, musiałem wyczarować patronusa, kiedy bogiń udawał dementora...

- Ale to by było... straszne! - powiedziała Lavender, której udawało się wystrzelić z różdżki tylko srebrzysty pióropusz. - A ja... ja wciąż tego nie potrafię! - dodała ze złością.

Neville też miał trudności. Twarz miał ściągniętą z wysiłku, zaciskał usta i mrużył oczy, ale z końca jego różdżki wydobywały się tylko wątłe strzępy srebrnej mgiełki.

- Musisz pomyśleć o czymś przyjemnym - przypomniał mu Harry.

- Staram się - jęknął Neville, starając się tak bardzo, że twarz mu lśniła od potu.

- Harry, chyba mi się udało! - krzyknął Seamus, którego Dean po raz pierwszy przyprowadził na spotkanie GD. - Zobacz... ach... zniknęło... ale na pewno było owłosione!

Patronus Hermiony, połyskująca srebrna wydra, hasał wokół niej w podskokach.

- Milutka jest, prawda? - cieszyła się, patrząc z czułością na wydrę.

Drzwi Pokoju Życzeń otworzyły się, a potem zamknęły. Harry spojrzał, żeby sprawdzić, kto wszedł, ale nikogo nie zobaczył. Dopiero po chwili zorientował się, że ci, którzy byli najbliżej drzwi, umilkli. A potem poczuł, że coś go szarpie za szatę w okolicach kolan. Spojrzał w dół i ku swemu zdumieniu ujrzał Zgredka, zerkającego na niego spod ośmiu czapek.

- Cześć, Zgredku! Co ty tutaj... Co się stało?

Skrzat cały dygotał, a w jego wielkich oczach malowało się przerażenie. Zrobiło się cicho, wszyscy się w niego wpatrywali. Kilka patronusów, które udało im się wyczarować, znikło, roztapiając się w srebrną mgiełkę, tak że w pokoju zrobiło się ciemniej.

- Harry Potter, sir - zaskrzeczał Zgredek, dygocąc od stóp do głów - Harry Potter, sir... Zgredek przyszedł, żeby cię ostrzec... ale skrzatom domowym nie wolno ostrzegać...

I pobiegł z pochyloną głową prosto na ścianę. Harry, który już znał jego sposoby wymierzania sobie kary, chciał go powstrzymać, ale Zgredek tylko odbił się od kamiennej ściany, bo jego osiem czapek stłumiło uderzenie. Hermiona i inne dziewczęta zapiszczały ze strachu i współczucia.

- Co się stało, Zgredku? - zapytał Harry, chwytając skrzata za maleńką rączkę i przytrzymując go, by nie zrobił sobie czegoś złego.

- Harry Potter... ona... ona...

I z całej siły uderzył się wolną pięścią w nos. Harry i ją przytrzymał.

- Kim jest „ona", Zgredku?

Ale już się zaczął domyślać - tylko jedna „ona" mogła Zgredka tak przerazić. Skrzat patrzył na niego, lekko zezując, i poruszał bezgłośnie wargami.

- Umbridge?

Zgredek milcząco przytaknął, po czym chciał uderzyć głową w kolano Harry'ego, ale ten zdążył go powstrzymać.

- Co z nią? Zgredku... czy ona nie dowiedziała się o tym... o nas... o GD?

Odpowiedź wyczytał w przerażonej twarzy Zgredka. Ponieważ skrzat miał uwięzione ręce, próbował się kopnąć i osunął się na kolana.

- Idzie tutaj? - zapytał szybko Harry.

Zgredek zawył.

- Tak, Harry Potter, tak!

Harry wyprostował się i rozejrzał po zamarłych bez ruchu, przerażonych członkach Gwardii Dumbledore'a, wpatrzonych w miotającego się skrzata.

- NA CO CZEKACIE?! - ryknął. - UCIEKAJCIE!

Wszyscy rzucili się do wyjścia. Przy drzwiach zrobił się tłok, potem pierwsza grupa wypadła na zewnątrz. Harry słyszał, jak pędzili korytarzami, i miał nadzieję, że nie będą próbowali tak gnać aż do swoich dormitoriów. Była dopiero za dziesięć dziewiąta, jeśli skryją się w bibliotece albo w sowiarni, które są bliżej...

- Harry, szybko! - krzyknęła Hermiona ze środka kolejnej grupy, która przepychała się do wyjścia.

Porwał Zgredka, który nadal próbował zrobić sobie krzywdę, i pobiegł do drzwi, trzymając go w ramionach.

- Zgredku... to rozkaz... wracaj szybko do kuchni, a jak cię zapyta, czy mnie ostrzegłeś, skłam i powiedz „nie"! I zabraniam ci wyrządzać sobie krzywdę! - dodał, po czym przeskoczył przez próg, puścił skrzata i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Dziękuję, Harry Potter, sir! - zaskrzeczał Zgredek i zniknął.

Harry spojrzał w lewo i w prawo. Zobaczył tylko migające w powietrzu pięty swych towarzyszy, po czym i one zniknęły za rogiem korytarza. Pobiegł w prawo, w stronę toalety dla chłopców, gdyby zdążył się tam schować, mógłby udać, że siedział tam przez cały czas...

- AAAACH!

Coś oplotło mu nogi w kostkach i runął jak długi, sunąc na brzuchu po posadzce z sześć stóp do przodu, zanim się zatrzymał. Ktoś za nim wybuchnął śmiechem. Przetoczył się na plecy i ujrzał Malfoya czającego się w niszy za obrzydliwą wazą w kształcie smoka.

- Zaklęcie Potknięcia, Potter! Hej, pani profesor... PANI PROFESOR! Dorwałem jednego!

Zza odległego rogu korytarza wyszła Umbridge, zadyszana, ale uśmiechnięta od ucha do ucha.

- To on! - ucieszyła się na widok Harry'ego, który leżał wciąż na podłodze. - Wspaniale, Draco, wspaniale, och, znakomicie... pięćdziesiąt punktów dla Slytherinu! Zaraz go stąd zabiorę... Wstawaj, Potter!

Harry wstał, łypiąc na nich spode łba. Jeszcze nigdy nie widział Umbridge tak uradowanej. Złapała go mocno za ramię i odwróciła się do Malfoya, szczerząc zęby w triumfalnym uśmiechu.

- Rozejrzyj się, Draco, i spróbuj, może ci się uda jeszcze kilku złapać. Powiedz innym, żeby zajrzeli do biblioteki... złapać mi każdego, kto jest zadyszany... sprawdzić w łazienkach... panna Parkinson niech zajrzy do tych dla dziewcząt... no, leć... a ty, Potter - dodała najsłodszym, najbardziej jadowitym głosem, gdy Malfoy odszedł - ty pójdziesz ze mną do gabinetu dyrektora.

Po kilku minutach stanęli przed kamiennym gargulcem. Harry zastanawiał się, ilu członków GD udało im się schwytać. Pomyślał o Ronie - pani Weasley by go zabiła - i o Hermionie, jakby się czuła, gdyby ją wyrzucono ze szkoły przed zaliczeniem sumów. A Seamus... to było jego pierwsze spotkanie... I Neville, takie zrobił postępy...

- Musy-świstusy - zapiała Umbridge i gargulec odskoczył na bok.

Ściana rozstąpiła się i weszli na ruchome kamienne schody. Stanęli przed błyszczącymi drzwiami z kołatką w kształcie gryfona, ale Umbridge nie raczyła zastukać, tylko weszła od razu do środka, wciąż trzymając mocno Harry'ego za ramię.

Gabinet był pełen ludzi. Dumbledore siedział z pogodną miną za biurkiem, złączywszy razem czubki palców. Obok niego stała sztywno profesor McGonagall; ona z kolei miała twarz napiętą. Przy kominku stał Korneliusz Knot, minister magii we własnej osobie, kołysząc się na palcach w tył i w przód, najwyraźniej zachwycony sytuacją. Przy drzwiach, jak na warcie, stali Kingsley Shacklebolt i jakiś krzepki czarodziej z krótkimi, kręconymi włosami, którego Harry nie rozpoznał, a pod ścianą czaił się piegowaty Percy Weasley, w okularach, z piórem i grubym zwojem pergaminu w rękach, najwyraźniej przygotowany do notowania.

Tym razem portrety dawnych dyrektorów nie udawały, że śpią. Wszystkie patrzyły z uwagą na to, co się pod nimi dzieje. Kiedy wszedł Harry, kilku dyrektorów przeskoczyło do najbliższych ram i szepnęło coś do uszu swoich sąsiadów.

Kiedy drzwi same się zatrzasnęły, Harry uwolnił się z uścisku Umbridge. Korneliusz Knot przyglądał mu się ze złośliwą satysfakcją.

- No, no, no... - powiedział. - Kogo my tu widzimy...

Harry odpowiedział mu najbardziej nienawistnym spojrzeniem, na jakie było go stać. Serce waliło mu w piersi, ale umysł miał dziwnie chłodny i czysty.

- Uciekał do wieży Gryffindoru - oznajmiła Umbridge. W jej głosie pobrzmiewało jakieś nieprzyzwoite podniecenie, ta sama bezlitosna uciecha, którą Harry słyszał, gdy w sali wejściowej patrzyła na pogrążoną w rozpaczy panią Trelawney. - Przyłapał go młody Malfoy.

- Ach tak? - ucieszył się Knot. - Muszę wspomnieć o tym Lucjuszowi. No cóż, Potter... chyba wiesz, dlaczego tu jesteś?

Harry zamierzał odpowiedzieć hardo „tak", już otwierał usta, by to zrobić, gdy uchwycił wzrokiem twarz Dumbledore'a. Dyrektor nie patrzył wprost na niego; jego oczy utkwione były gdzieś ponad jego ramieniem, ale kiedy Harry na niego spojrzał, poruszył lekko głową - może o cal - w lewo i w prawo.

Harry zmienił zdanie w pół słowa.

- Ta... nie.

- Słucham?

- Nie - powtórzył stanowczo Harry.

- Nie wiesz, dlaczego tu jesteś?

- Nie wiem.

Knot zrobił zdumioną minę i przeniósł spojrzenie z Harry'ego na profesor Umbridge. Harry wykorzystał tę sposobność, by zerknąć szybko na Dumbledore'a, który dyskretnie ukłonił się dywanowi i nawet jakby lekko do niego mrugnął.

- Więc nie masz pojęcia - rzekł Knot z wyraźną ironią - dlaczego profesor Umbridge przyprowadziła cię do tego gabinetu? Nie jesteś świadom, że złamałeś któryś z punktów regulaminu szkolnego?

- Regulaminu szkolnego? - powtórzył Harry. - Nie.

- Ani żadnego dekretu ministerstwa? - zapytał ze złością Knot.

- Nie jestem tego świadom - odpowiedział beznamiętnie Harry.

Serce wciąż biło mu szybko. Warto było tak kłamać choćby tylko po to, by obserwować, jak Knotowi podnosi się ciśnienie, ale prawdę mówiąc, był przekonany, że się z tego nie wykaraska. Jeśli ktoś doniósł Umbridge o GD, on, jako przywódca tajnej grupy, mógł już śmiało zabrać się do pakowania kufra.

- A więc nie jesteś świadom - rzekł Knot głosem ochrypłym z gniewu - że w tej szkole wykryto nielegalną organizację uczniowską?

- Nie, nie jestem - odparł Harry, starając się, by na jego twarzy pojawił się wyraz niewinnego zaskoczenia.

- Myślę, panie ministrze - powiedziała Umbridge jedwabistym głosem - że powinniśmy wezwać tutaj naszego informatora.

- Tak, tak, słusznie - zgodził się Knot i zerknął złośliwie na Dumbledore'a, kiedy Umbridge wyszła z gabinetu. - Nie ma to jak dobry świadek, prawda, Dumbledore?

- Całkowicie się z tobą zgadzam, Korneliuszu - odpowiedział z powagą Dumbledore, chyląc głowę.

Nastąpiło kilka minut oczekiwania, kiedy nikt nie patrzył na nikogo, a potem Harry usłyszał, jak za jego plecami otwierają się drzwi. Weszła Umbridge, trzymając za ramię Mariettę, kędzierzawą przyjaciółkę Cho, która zasłaniała twarz rękami.

- Nie bój się, moja droga, nie ma czego - powiedziała łagodnie Umbridge, poklepując ją po plecach. - Wszystko w porządku. Postąpiłaś słusznie. Minister jest z ciebie bardzo zadowolony. Na pewno powie twojej matce, jaką jesteś dobrą dziewczynką. Matką Marietty,

panie ministrze - dodała, spoglądając na Knota - jest pani Edgecombe z Departamentu Transportu Magicznego. Pracuje w biurze Sieci Fiuu... wie pan, pomaga nam kontrolować kominki w Hogwarcie...

- Wspaniale, wspaniale! - ucieszył się Knot. - Jaka matka, taka córka, co? No, moja droga, nie wstydź się, popatrz na mnie i powiedz nam, co... Galopujące gargulce!

Kiedy Marietta podniosła głowę, Knot rzucił się do tyłu, o mały włos nie lądując w kominku. Zaklął i zaczął deptać skraj swej szaty, z którego uniósł się obłoczek dymu, a Marietta jęknęła głośno i zasłoniła sobie twarz kołnierzem szaty, ale zanim to uczyniła, wszyscy zobaczyli, że jej nos i policzki pokrywają liczne czerwone krosty, układające się w słowo DONOSICIEL.

- Nie przejmuj się tymi krostami, moja droga - powiedziała niecierpliwie Umbridge. - Odsłoń usta i powiedz panu ministrowi...

Ale Marietta tylko jęknęła ponownie i potrząsnęła głową.

- Och, dobrze, głupia dziewczyno, sama mu to powiem - warknęła Umbridge, po czym przywołała na twarz swój zwykły chory uśmiech. - A więc, panie ministrze, panna Edgecombe przyszła dzisiaj do mojego gabinetu tuż po kolacji i oznajmiła, że chce mnie o czymś powiadomić. Powiedziała, że jeśli udam się do tajnego pokoju na siódmym piętrze, czasami nazywanego Pokojem Życzeń, to znajdę tam coś, co mnie zainteresuje. Zaczęłam ją trochę wypytywać, a ona dodała, że w tym pokoju odbywa się jakieś spotkanie. Niestety wówczas zaczęło działać to zaklęcie - machnęła niecierpliwie w kierunku zakrytej twarzy Marietty - i kiedy dziewczyna zobaczyła swoje odbicie w lustrze, załamała się tak, że nic więcej mi już nie powiedziała.

- No proszę - rzekł Knot, rzucając na Mariettę spojrzenie, które najwyraźniej uważał za ojcowskie. - Wykazałaś godną podziwu odwagę, przychodząc do profesor Umbridge, postąpiłaś naprawdę słusznie. No, a teraz powiesz mi, co się wydarzyło podczas tego spotkania, dobrze? Jaki był jego cel? Kto tam był?

Ale Marietta nic nie powiedziała. Znowu potrząsnęła głową, a jej oczy rozszerzyły się ze strachu.

- Nie mamy na to jakiegoś przeciwzaklęcia? - zapytał Knot Umbridge, wskazując na twarz Marietty. - Tak, żeby mogła swobodnie mówić?

- Jeszcze mi się żadnego nie udało znaleźć - odpowiedziała niechętnie, a Harry poczuł przypływ dumy z umiejętności Hermiony. - Ale to nie ma znaczenia, że ona milczy, sama wszystko opowiem. Jak pan zapewne pamięta, panie ministrze, w październiku posłałam panu

raport na temat spotkania Pottera z innymi uczniami w gospodzie Pod Świńskim Łbem w Hogsmeade...

- A jaki jest na to dowód? - przerwała jej profesor McGonagall.

- Dysponuję zeznaniem Willy'ego Widdershinsa, Minerwo, który akurat był wówczas w tej gospodzie. Miał obandażowaną głowę, to prawda, ale słyszał wszystko bardzo dobrze. Usłyszał każde słowo, które wypowiedział Potter i pobiegł szybko do szkoły, żeby mi donieść...

- Ach, więc to dlatego nie został ukarany za te wymiotujące sedesy! - przerwała jej ponownie profesor McGonagall, unosząc brwi. - Cóż za interesujący wgląd w system naszego wymiaru sprawiedliwości!

- Rażąca korupcja! - ryknął portret korpulentnego czarodzieja z czerwonym nosem, wiszący nad biurkiem Dumbledore'a. - Za moich czasów ministerstwo nie zawierało układów z drobnymi przestępcami, co to to nie!

- Dziękuję ci, Fortesque, wystarczy - powiedział cicho Dumbledore.

- To spotkanie zorganizował Potter - ciągnęła profesor Umbridge - aby ich nakłonić do utworzenia tajnego stowarzyszenia i uczyć tych zaklęć i uroków, które ministerstwo uznało za nieodpowiednie dla ich wieku...

- Myślę, że tutaj się mylisz, Dolores, i sama się o tym przekonasz - powiedział spokojnie Dumbledore, zerkając na nią znad swoich okularów-połówek.

Harry spojrzał na niego. Nadal nie miał pojęcia, jak Dumbledore chce go wybronić: jeśli Willy Widdershins rzeczywiście słyszał każde jego słowo wypowiedziane w gospodzie Pod Świńskim Łbem, nie miał żadnych szans.

- Oho! - odezwał się Knot, który znowu kiwał się na piętach. - Zaraz usłyszymy kolejną bajeczkę wymyśloną w celu wyciągnięcia Pottera za uszy z kłopotów! Dalej, Dumbledore, śmiało... Willy Widdershins kłamał, tak? A może w gospodzie Pod Świńskim Łbem przebywał wówczas bliźniak Pottera, łudząco do niego podobny? Może zaczniesz nam znowu opowiadać o cofnięciu się w czasie, o zmarłych przywróconych do życia i o niewidzialnych dementorach?

Percy Weasley parsknął śmiechem.

- A to dobre, panie ministrze, znakomite!

Harry miał ochotę go kopnąć. A potem, ku swemu zdumieniu, zobaczył, że Dumbledore też się łagodnie uśmiecha.

- Korneliuszu, ja nie zaprzeczam... i jestem pewny, że nie zaprzeczy temu sam Harry... że rzeczywiście był wówczas w gospodzie Pod Świńskim Łbem, nie przeczę też, że próbował

namówić kolegów i koleżanki do utworzenia grupy uczącej się obrony przed czarną magią. Pragnę tylko wykazać, że Dolores całkowicie się myli, twierdząc, że taka grupa była w owym czasie nielegalna. Jak pamiętasz, dekret ministerstwa, zakazujący tworzenia stowarzyszeń uczniowskich, zaczął obowiązywać dopiero dwa dni po tym spotkaniu w Hogsmeade, więc Harry nie złamał żadnego punktu regulaminu czy dekretu.

Percy wyglądał, jakby go ktoś zdzielił w twarz czymś bardzo ciężkim. Knot otworzył usta i przestał się kiwać.

Pierwsza otrząsnęła się Umbridge.

- Bardzo to piękne, dyrektorze - powiedziała, uśmiechając się słodko - ale minęło już prawie sześć miesięcy od ogłoszenia Dekretu Edukacyjnego Numer Dwadzieścia Cztery. Jeśli nawet to pierwsze spotkanie nie było nielegalne, to z całą pewnością były takimi wszystkie, które odbyły się po nim.

- No cóż - odparł Dumbledore, przyglądając się jej z uprzejmym zainteresowaniem znad splecionych palców - tak by z pewnością było, gdyby po ogłoszeniu dekretu rzeczywiście odbywali takie spotkania. Ale czy są na to jakieś dowody?

Harry usłyszał jakiś szelest za plecami i zdawało mu się, że Kingsley coś szepnął. Mógłby też przysiąc, że coś musnęło mu bok, jakby powiew przeciągu albo ptasie skrzydło, ale kiedy spojrzał w dół, niczego nie dostrzegł.

- Dowody? - powtórzyła Umbridge, uśmiechając się od ucha do ucha. - Czyżbyś nie słuchał, Dumbledore? A jak myślisz, po co ja tu przyprowadziłam pannę Edgecombe?

- Och, a czy ona nam opowie o spotkaniach trwających przez całe sześć miesięcy? - zapytał Dumbledore, unosząc brwi. - Bo odniosłem wrażenie, że mówiła tylko o dzisiejszym.

- Panno Edgecombe - powiedziała natychmiast Umbridge - proszę nam powiedzieć, od jak dawna trwają te spotkania. Możesz po prostu kiwać albo kręcić głową, jestem pewna, że takie ruchy nie pogorszą tych krost. Czy te spotkania odbywały się regularnie przez sześć ostatnich miesięcy?

Harry poczuł okropny skurcz w żołądku. Tak, to już koniec, teraz dostaną to, na czym im tak zależało, dowód, którego nie zdoła podważyć nawet Dumbledore...

- Po prostu przytaknij albo pokręć przecząco głową, moja droga - zachęciła Mariettę Umbridge. - Dalej, nie bój się, to nie rozogni tych twoich krost...

Wszyscy wpatrywali się teraz w głowę Marietty. Między brzegiem kołnierza a jej kędzierzawą grzywką widać było tylko oczy. Może to był odblask ognia w kominku, ale jej oczy wydawały się dziwnie puste. A po chwili - ku głębokiemu zdumieniu Harry'ego - Marietta pokręciła głową.

Umbridge spojrzała szybko na Knota, a potem znowu na Mariettę.

- Pewnie nie zrozumiałaś pytania, tak, moja droga? Pytam cię, czy chodziliście na te spotkania przez sześć ostatnich miesięcy. Chodziliście, tak?

Marietta ponownie pokręciła głową.

- Co chcesz powiedzieć, kręcąc głową, moja droga? - zapytała Umbridge.

- To chyba oczywiste - powiedziała szorstko profesor McGonagall. - Że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy nie było żadnych tajnych spotkań. Mam rację, panno Edgecombe?

Marietta kiwnęła głową.

- Ale przecież dziś wieczorem było spotkanie! - powiedziała ze złością Umbridge. - Było takie spotkanie, Edgecombe, sama mi o tym mówiłaś, w Pokoju Życzeń! I Potter je prowadził, prawda? I Potter je zorganizował... DLACZEGO KRĘCISZ GŁOWĄ, DZIEWCZYNO?!

- No cóż, zwykle kiedy ktoś kręci głową - powiedziała chłodno profesor McGonagall - oznacza to „nie". Tak więc, jeśli panna Edgecombe nie używa jakiegoś nieznanego języka migowego...

Profesor Umbridge złapała Mariettę, obróciła ją twarzą do siebie i zaczęła nią gwałtownie potrząsać. Dumbledore zerwał się i podniósł różdżkę. Kingsley ruszył od drzwi i Umbridge odskoczyła od Marietty, wymachując rękami, jakby się poparzyła.

- Nie mogę pozwolić, abyś maltretowała moich uczniów, Dolores - oświadczył Dumbledore, po raz pierwszy najwyraźniej rozgniewany.

- Proszę się uspokoić, pani Umbridge - powiedział powoli Kingsley głębokim basem. - Chyba pani nie chce mieć kłopotów?

- Nie - wydyszała Umbridge, mierząc spojrzeniem olbrzymią postać Kingsleya. - To znaczy, tak... masz rację, Shacklebolt... ja... ja się zapomniałam.

Marietta stała nieruchomo tam, gdzie ją Umbridge zostawiła. Sprawiała wrażenie, jakby jej nie przeraził ten nagły atak i jakby nie odczuła ulgi, gdy się zakończył. Wciąż zasłaniała sobie nos i policzki szatą, patrząc tępo przed siebie. W Harrym nagle zakiełkowało podejrzenie, mające związek z szeptem Kingsleya i tym czymś, co omiotło mu bok.

- Dolores - powiedział Knot takim tonem, jakby próbował coś raz na zawsze ustalić - to dzisiejsze spotkanie... to jedyne, o którym wiemy...

- Tak - odpowiedziała Umbridge, najwyraźniej biorąc się w garść - tak... no więc panna Edgecombe mi o nim doniosła, a ja udałam się natychmiast na siódme piętro w towarzystwie godnych zaufania uczniów, żeby przyłapać członków nielegalnego spotkania na gorącym uczynku. Wygląda na to, że ktoś ich jednak ostrzegł, bo kiedy dotarliśmy na siódme

piętro, rozbiegli się we wszystkie strony. Ale to nie ma większego znaczenia. Mam tutaj wszystkie ich nazwiska, bo na moje polecenie panna Parkinson wbiegła do Pokoju Życzeń, żeby zobaczyć, czy czegoś nie zostawili... Potrzebny był nam dowód, a ten pokój dostarczył nam...

Ku przerażeniu Harry'ego, wyciągnęła z kieszeni listę, którą Hermiona przypięła do ściany Pokoju Życzeń, i wręczyła ją Knotowi.

- Kiedy tylko zobaczyłam na liście nazwisko Pottera, wiedziałam, z czym mamy do czynienia.

- Wspaniale - ucieszył się Knot i uśmiech rozlał mu się po twarzy. - Wspaniale, Dolores. I... niech to piorun...

Spojrzał na Dumbledore'a, który wciąż stał obok Marietty, z różdżką opuszczoną u boku.

- Sam zobacz, jak się nazwali - powiedział cicho. - Gwardia Dumbledore'a.

Dumbledore wyciągnął rękę i wziął od niego pergamin. Spojrzał na nagłówek, który Hermiona wyskrobała kilka miesięcy temu i przez chwilę zaniemówił. A potem podniósł głowę, uśmiechając się łagodnie.

- A więc wydało się - powiedział krótko. - Czy chciałbyś, Korneliuszu, żebym ci złożył zeznanie na piśmie, czy może wystarczy oświadczenie złożone wobec tych świadków?

Harry spostrzegł, że McGonagall i Kingsley wymienili szybkie spojrzenia. Oboje mieli przerażone miny. Nie rozumiał, co to wszystko znaczy, i najwyraźniej nie rozumiał tego Knot.

- Oświadczenie? - zapytał powoli Knot. - Jakie... ja nie...

- Gwardia Dumbledore'a, Korneliuszu - rzekł Dumbledore, wciąż uśmiechając się i machając mu listą przed nosem. - Nie Gwardia Pottera. Gwardia Dumbledore'a.

- Ale... ale...

Do Knota wreszcie dotarło. Cofnął się, przerażony, wrzasnął i znowu prawie wpadł do kominka.

- Ty? - wyszeptał, depcąc dymiący skraj płaszcza.

- Zgadza się - odrzekł pogodnie Dumbledore.

- Ty to zorganizowałeś?

- Ty zaciągnąłeś uczniów do... do swojej gwardii?

- Dzisiaj miało być nasze pierwsze spotkanie - powiedział Dumbledore, kiwając głową. - Chciałem po prostu się zorientować, czy zechcą się do mnie przyłączyć. Teraz widzę, oczywiście, że zaproszenie panny Edgecombe było błędem.

Marietta kiwnęła głową. Knot spojrzał na nią, potem znowu na Dumbledore'a. Wydął pierś.

- A więc spiskowałeś przeciwko mnie! - ryknął.

- Zgadza się - odrzekł wesoło Dumbledore.

- NIE! - krzyknął Harry.

Kingsley rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, McGonagall wytrzeszczyła groźnie oczy, ale Harry'emu nagle zaświtało w głowie, co zamierza uczynić Dumbledore, i nie mógł na to pozwolić.

- Nie... panie profesorze!

- Uspokój się, Harry, albo będziesz musiał opuścić mój gabinet - powiedział spokojnie Dumbledore.

- Tak, zamknij się, Potter! - warknął Knot, nadal wpatrując się w Dumbledore'a z przerażeniem, ale i rozkoszą. - No, no, no... przybyłem tu dziś z zamiarem wyrzucenia Pottera ze szkoły, a oto...

- A oto masz okazję aresztować mnie - dokończył za niego Dumbledore, wciąż z uśmiechem na twarzy. - To jak zgubić knuta, a znaleźć galeona, prawda?

- Weasley! - krzyknął Knot, teraz już dygocąc z uciechy. - Weasley, zapisałeś to wszystko, słowo po słowie? Jego wyznanie... masz to wszystko?

- Tak jest, myślę, że tak, proszę pana! - odpowiedział ochoczo Percy, który z przejęcia umazał sobie nos atramentem.

- I to, jak próbował stworzyć tajną armię przeciw ministerstwu, jak knuł, żeby zdestabilizować moją pozycję?

- Tak jest, proszę pana. Mam to! - odrzekł uradowany Percy, przebiegając wzrokiem po swoich notatkach.

- Świetnie - rzekł Knot, teraz promieniejąc z radości. - Zrób kopię tych notatek i zaraz poślij do „Proroka Codziennego". Jak wyślesz szybką sową, zdążymy do jutrzejszego wydania!

Percy wybiegł z pokoju, zatrzaskując za sobą drzwi, a Knot zwrócił się ponownie do Dumbledore'a.

- Teraz odprowadzą cię do ministerstwa, tam zostaniesz formalnie oskarżony i wysłany do Azkabanu, gdzie będziesz czekał na proces!

- Ach... tak... - powiedział łagodnie Dumbledore. - Tak, myślę, że możemy natrafić na małą przeszkodę.

- Przeszkodę? - powtórzył Knot głosem wciąż drgającym radością. - Nie widzę żadnych przeszkód, Dumbledore.

- No cóż, ale ja niestety widzę - powiedział Dumbledore takim tonem, jakby się usprawiedliwiał.

- Naprawdę?

- Cóż... wydaje mi się, że ulegasz pewnemu złudzeniu, Korneliuszu. Wydaje ci się, że ja... zaraz, jak to się mówi?... aha, że „oddam się dobrowolnie w ręce władz". Obawiam się, że wcale nie oddam się dobrowolnie w niczyje ręce, Korneliuszu. Nie mam najmniejszego zamiaru dać się wysłać do Azkabanu. Oczywiście mógłbym z niego uciec, ale to zbyteczna strata czasu, a szczerze mówiąc, mam mnóstwo spraw na głowie.

Twarz Umbridge nabierała powoli barwy żywej czerwieni; wyglądała, jakby ją wypełniała gotująca się woda. Knot gapił się na Dumbledore'a z bardzo głupią miną, jakby dopiero co dostał po twarzy i jeszcze nie zrozumiał, co się stało. Chrząknął cicho, a potem spojrzał szybko na Kingsleya i na mężczyznę o krótkich szarych włosach - jedynego, który do tej pory nie odezwał się ani jednym słowem. Ten drugi kiwnął do Knota zachęcająco głową i zrobił krok do przodu. Harry zobaczył, jak jego ręka powędrowała, jakby od niechcenia, do kieszeni.

- Nie bądź głupi, Dawlish - ostrzegł go łagodnie Dumbledore. - Jestem pewny, że jesteś wybornym aurorem, pamiętam, że otrzymałeś W ze wszystkich owutemów, ale jeśli spróbujesz... ee... „wziąć mnie siłą", to będę musiał zrobić ci krzywdę.

Mężczyzna nazwany Dawlishem miał nieco głupią minę. Ponownie spojrzał na Knota, ale tym razem jakby w nadziei, że dostanie wskazówkę, co robić dalej.

- A więc zamierzasz w pojedynkę pokonać Dawlisha, Shacklebolta, Dolores i mnie, Dumbledore? - zakpił Knot, odzyskując panowanie nad sobą.

- Na brodę Merlina, nie! - odparł z uśmiechem Dumbledore. - Nie, chyba że mnie do tego zmusicie.

- I nie będzie działał w pojedynkę! - odezwała się profesor McGonagall, sięgając za pazuchę.

- Będzie, Minerwo! - powiedział ostro Dumbledore. - Hogwart cię potrzebuje!

- Dość tych bzdur! - rzekł Knot, wyciągając różdżkę.

- Dawlish! Shacklebolt! Brać go!

Błysnął strumień srebrnego światła. Rozległ się huk, jak wystrzał, aż podłoga zadrżała. Czyjaś ręka złapała Harry'ego za kark i przygięła do podłogi, kiedy wystrzelił drugi srebrny promień. Kilka portretów wrzasnęło, Fawkes zaskrzeczał, pokój wypełnił się chmurą

pyłu. Krztusząc się i kaszląc, Harry zobaczył, jak jakaś ciemna postać pada z głuchym łoskotem na podłogę. Ktoś krzyknął: „Nie!" Potem rozległ się odgłos tłuczonego szkła, zadudniły czyjeś kroki, ktoś jęknął... i nastała cisza.

Harry obejrzał się, żeby zobaczyć, kto go trzyma za kark, i ujrzał obok siebie skuloną profesor McGonagall. Drugą ręką osłaniała Mariettę. Pył wciąż opadał na nich powoli. Harry ujrzał zbliżającą się ku nim wysoką postać.

- Nic wam się nie stało? - zapytał Dumbledore.

- W porządku! - odpowiedziała profesor McGonagall, podnosząc się i ciągnąc za sobą Harry'ego i Mariettę.

Pył opadał, ukazując rozmiary zniszczeń. Biurko Dumbledore'a było przewrócone, wszystkie stoliki leżały na podłodze, zasłanej szczątkami srebrnych przyrządów. Knot, Umbridge, Kingsley i Dawlish leżeli bez ruchu na podłodze. Feniks Fawkes krążył nad nimi, śpiewając cicho.

- Niestety, musiałem też ugodzić Kingsleya, żeby nie budzić podejrzeń - mruknął Dumbledore. - Szybko zadziałał, i to bez namysłu, modyfikując pamięć panny Edgecombe, kiedy wszyscy patrzyli w inną stronę... podziękuj mu ode mnie, Minerwo, dobrze? No, ale wkrótce się obudzą i najlepiej będzie, żeby się nie dowiedzieli, że mieliśmy czas na porozumienie się... musisz się zachowywać tak, jakby dopiero co zostali powaleni na ziemię, nie będą pamiętać...

- Dokąd się wybierasz, Dumbledore? - wyszeptała profesor McGonagall. - Na Grimmauld Place?

- Och, nie - odrzekł Dumbledore z ponurym uśmiechem. - Nie zamierzam się ukrywać. Knot wkrótce pożałuje, że chciał mnie usunąć z Hogwartu, obiecuję ci to...

- Panie profesorze... - zaczął Harry.

Nie wiedział, od czego zacząć: czy od tego, jak mu jest przykro, że zorganizował GD i spowodował to wszystko, czy od tego, jak okropnie się poczuł, kiedy Dumbledore zrezygnował ze stanowiska, żeby zapobiec wyrzuceniu go ze szkoły... Ale Dumbledore go uprzedził, zanim zdążył wypowiedzieć następne słowo.

- Posłuchaj mnie, Harry - powiedział z naciskiem. - Musisz się uczyć oklumencji, i to tak pilnie, jak tylko potrafisz, rozumiesz? Rób wszystko, co ci powie profesor Snape i ćwicz regularnie, zwłaszcza wieczorami, przed zaśnięciem, tak żebyś potrafił zamknąć swą świadomość przed złymi snami... wkrótce zrozumiesz dlaczego, ale musisz mi obiecać...

Dawlish budził się. Dumbledore chwycił Harry'ego za nadgarstek.

- Pamiętaj... zamknij swój umysł...

Ale gdy palce Dumbledore'a zamknęły mu się na nadgarstku, bliznę na czole Harry'ego przeszył ból i znowu poczuł tę straszną, wężową ochotę, by go ugodzić, ukąsić, zranić...

- ...wkrótce zrozumiesz... - wyszeptał Dumbledore. Fawkes zatoczył koło i zawisł tuż nad nim. Dumbledore puścił Harry'ego, podniósł rękę i chwycił za długi, złoty ogon feniksa. Buchnął ogień i obaj zniknęli.

- Gdzie on jest? - ryknął Knot, podnosząc się z podłogi. - GDZIE ON JEST?

- Nie wiem! - krzyknął Kingsley, też zrywając się na równe nogi.

- Przecież nie mógł się deportować! - zawołała Umbridge. - Tego nie można zrobić w tej szkole...

- Schody! - wrzasnął Dawlish i rzucił się do drzwi, otworzył je i wybiegł, a za nim Kingsley i Umbridge.

Knot zawahał się, a potem powoli wstał i otrzepał kurz z szaty. Zapadło długie, męczące milczenie.

- No, Minerwo - powiedział w końcu Knot mściwym tonem, rozprostowując swój podarty rękaw - obawiam się, że to już koniec twojego przyjaciela Dumbledore'a.

- Tak sądzisz? - prychnęła z pogardą profesor McGonagall.

Knot jakby tego nie dosłyszał. Rozglądał się po zniszczonym wnętrzu. Kilka portretów syknęło na niego; ten i ów pozwolił sobie na ordynarny gest.

- Lepiej zaprowadź tych dwoje do łóżek - rzekł Knot, spoglądając znowu na profesor McGonagall i wskazując podbródkiem na Harry'ego i Mariettę.

Bez słowa poprowadziła ich do drzwi. Kiedy zamknęły się za nimi, Harry usłyszał głos Fineasa Nigellusa:

- Wie pan, panie ministrze, w wielu sprawach nie zgadzam się z Dumbledore'em... ale nie zaprzeczy pan, że ma klasę...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY
NAJGORSZE WSPOMNIENIE SNAPE'A

NA POLECENIE MINISTERSTWA MAGII
Dolores Jane Umbridge (Wielki Inkwizytor) zastąpiła
Albusa Dumbledore'a na stanowisku Dyrektora
Szkoły Magii i Czarodziejstwa w Hogwarcie.
Powyższe zarządzenie wydano na podstawie Dekretu
Edukacyjnego Numer Dwadzieścia Osiem.

Podpisano:
Korneliusz Oswald Knot
Minister Magii

Takie ogłoszenia pojawiły się w nocy w całej szkole, ale nie wyjaśniały one, skąd każdy w zamku wiedział już, że Dumbledore pokonał dwóch aurorów, Wielkiego Inkwizytora, ministra magii i jego młodszego asystenta, po czym uciekł. Gdziekolwiek Harry pojawił się następnego dnia, jedynym tematem rozmów była ucieczka Dumbledore'a, a choć niektóre jej szczegóły mogły ulec zniekształceniu, przechodząc z ust do ust (Harry podsłuchał, jak jedna z drugoklasistek zapewniała, że Knot leży teraz w Szpitalu Świętego Munga i ma dynię zamiast głowy), zadziwiające było, jak dokładna jest reszta relacji. Wszyscy wiedzieli, na przykład, że Harry i Marietta byli jedynymi uczniami, którzy uczestniczyli w wydarzeniach rozgrywających się w gabinecie Dumbledore'a, a ponieważ Marietta znajdowała się teraz w skrzydle szpitalnym, oblegali Harry'ego, by usłyszeć całą historię u źródła.

- Dumbledore niedługo wróci - oznajmił z przekonaniem Ernie Macmillan, gdy po wysłuchaniu w skupieniu opowieści Harry'ego wracali z zielarstwa. - Nie zdołali się go pozbyć wtedy, jak byliśmy w drugiej klasie, to i teraz im się to nie uda. Gruby Mnich powiedział mi... - konspiracyjnie zniżył głos, tak że Harry, Ron i Hermiona musieli nachylić się do niego - ...że wczoraj w nocy Umbridge próbowała wrócić do jego gabinetu, jak już przeszukali cały zamek i tereny szkolne. I gargulec jej nie wpuścił. Gabinet dyrektora zamknął się przed nią na cztery spusty. - Uśmiechnął się drwiąco. - Założę się, że dostała lekkiego napadu furii...

- Och, jestem pewna, że od dawna marzyła, by zasiąść w gabinecie dyrektora - powiedziała ze złością Hermiona, kiedy wchodzili po kamiennych stopniach do sali

wejściowej. - Żeby rządzić wszystkimi nauczycielami, żeby się szarogęsić... Głupia, nadęta, żądna władzy stara...

- Na pewno chcesz dokończyć to zdanie, Granger?

Zza drzwi wysunął się Draco Malfoy, a tuż za nim Crabbe i Goyle. Na jego bladej twarzy o ostrych rysach malował się złośliwy uśmiech.

- Chyba będę musiał odjąć po pięć punktów Gryffindorowi i Hufflepuffowi.

- Nie możesz tego zrobić, Malfoy, oni są prefektami - odparł natychmiast Ron.

- Wiem, że prefekci nie mogą odejmować punktów innym prefektom, Królu Wieprzleju - powiedział drwiącym tonem Malfoy, a Crabbe i Goyle zachichotali. - Ale członkowie Brygady Inkwizycyjnej...

- Czego? - zapytała ostro Hermiona.

- Brygady Inkwizycyjnej, Granger - rzekł Malfoy, wskazując na srebrną literę I na swej szacie, tuż pod odznaką prefekta. - Doborowej grupy uczniów wspierających Ministerstwo Magii, osobiście wybranych przez profesor Umbridge. I tak się składa, że członkowie Brygady Inkwizycyjnej MOGĄ odejmować punkty... Tak więc, Granger, odejmuję Gryffindorowi pięć punktów za chamskie wyrażanie się o naszej nowej pani dyrektor... Macmillan, też pięć, bo mi się sprzeciwiasz... Potter, pięć, bo cię nie lubię... Weasley, koszula ci wyłazi, za to też pięć punktów... Och, zapomniałem, ty, Granger, jesteś szlamą, więc za to dziesięć...

Ron wyciągnął różdżkę, ale Hermiona odsunęła ją, szepcząc:

- Nie!

- Mądry ruch, Granger - wycedził Malfoy. - Nowy dyrektor, nowe czasy... No, zachowujcie się jak należy, Aporter... i ty, Królu Wieprzleju...

I odszedł, rycząc ze śmiechu z Crabbe'em i Goyle'em.

- Blefuje - powiedział Ernie, ale minę miał nietęgą. - Przecież nie może odejmować nam punktów... to by było śmieszne... to by rozsadzało od środka cały system prefektów...

Ale Harry, Ron i Hermiona zwrócili automatycznie głowy w stronę wielkich klepsydr osadzonych w niszach wzdłuż ściany za nimi, które pokazywały aktualny stan punktów każdego domu. Dziś rano Gryffindor i Ravenclaw prowadziły z równą liczbą punktów. I oto na ich oczach kamyki uniosły się w górę, zmniejszając liczbę tych, które pozostały w dolnych komorach klepsydr. Tylko w klepsydrze Slytherinu nic się nie zmieniło.

- Zauważyliście, co? - rozległ się głos Freda.

On i George właśnie zeszli po marmurowych schodach i przyłączyli się do Harry'ego, Rona i Hermiony, gapiących się na klepsydry.

- Malfoy właśnie odebrał nam z pięćdziesiąt punktów - powiedział wzburzony Harry, patrząc, jak kolejne kamyki w klepsydrze Gryffindoru unoszą się w górę.

- Montague też próbował wywinąć nam taki numer podczas przerwy - rzekł George.

- Co to znaczy „próbował”? - zapytał szybko Ron.

- Nie udało mu się wypowiedzieć całej formułki do końca - powiedział Fred - bo go wepchnęliśmy do komody na pierwszym piętrze. Tej, w której wszystko znika.

Hermiona zrobiła przerażoną minę.

- Będziecie mieć kłopoty!

- Ale dopiero wtedy, jak Montague znowu się pojawi, a do tego może dojść za wiele tygodni, nie wiem, dokąd go wysłaliśmy - rzekł chłodno Fred. - A w ogóle, to postanowiliśmy, że odtąd gdzieś mamy kłopoty.

- A przedtem było inaczej? - zapytała Hermiona.

- No jasne! - powiedział George. - Przecież dotąd nas nie wywalili!

- Zawsze wiedzieliśmy, gdzie jest granica - dodał Fred.

- No, może czasami wystawialiśmy za nią duży palec u nogi - rzekł George.

- Ale zawsze potrafiliśmy wyhamować, zanim rozpętało się piekło - powiedział Fred.

- A teraz? - zapytał Ron.

- No, teraz... - zaczął George.

- ...teraz, kiedy już nie ma Dumbledore’a... - wpadł mu w słowo Fred.

- ...uważamy, że nasza nowa pani dyrektor... - wtrącił George.

- ...zasługuje na małe piekło... - dokończył Fred.

- Nie możecie! - szepnęła Hermiona. - Naprawdę, nie wolno wam! Ona tylko czeka na pretekst, żeby was wywalić! I zrobi to z rozkoszą!

- Hermiono, ty chyba nie łapiesz, o co nam chodzi - powiedział Fred, uśmiechając się do niej. - Mamy głęboko gdzieś to, Czy nas wywali. Sami byśmy odeszli, gdybyśmy nie postanowili, że najpierw zrobimy coś dla Dumbledore’a. A teraz - zerknął na zegarek - zacznie się faza pierwsza. Na waszym miejscu udałbym się natychmiast do Wielkiej Sali na obiad, żeby nauczyciele widzieli, że nie macie z tym nic wspólnego.

- Z czym wspólnego? - zapytała ze strachem Hermiona.

- Zobaczysz - odrzekł George. - A teraz lećcie.

Bliźniacy odwrócili się i zniknęli w tłumie uczniów schodzących na obiad. Ernie, który miał bardzo zmieszaną minę, mruknął coś o niedokończonym zadaniu na transmutację i szybko odszedł.

- Chyba rzeczywiście powinniśmy stąd zwiewać - powiedziała nerwowo Hermiona. - Na wszelki wypadek...

- Chyba tak - zgodził się Ron i cała trójka pomaszerowała ku drzwiom do Wielkiej Sali.

Zaledwie Harry zerknął na sufit, żeby zobaczyć, jaka jest pogoda, ktoś klepnął go w ramię, a kiedy się odwrócił, zobaczył tuż przed sobą woźnego Filcha. Cofnął się o parę kroków; Filcha lepiej było oglądać z pewnej odległości.

- Pani dyrektor chce cię widzieć, Potter.

- Ja tego nie zrobiłem - wybąkał głupio Harry, sądząc, że chodzi o coś, co planowali Fred i George.

Szczęki Filcha zadrgały w cichym śmiechu.

- Nieczyste sumienie, co? Za mną, Potter...

Harry zerknął na Rona i Hermionę, którzy patrzyli na niego z niepokojem. Wzruszył ramionami i poszedł za Filchem do sali wejściowej, mijając tłoczących się na obiad uczniów.

Filch zdawał się być w wyśmienitym humorze. Kiedy wspinali się po marmurowych schodach, nucił coś ochryple pod nosem, a kiedy weszli na pierwsze piętro, powiedział:

- Wszystko się tutaj zmienia, Potter.

- Zauważyłem - odrzekł chłodno Harry.

- Taaa... A od tylu lat powtarzałem Dumbledore'owi, że jest dla was za miękki - powiedział Filch, chichocąc ohydnie. - Was, brudne szczeniaki, trzeba wziąć za pysk! Nie rzucilibyście ani jednego śmierdziucha, gdybyście wiedzieli, że mogę wam za to złoić skórę, co? Nikt by nie ciskał kąsającymi talerzami po korytarzach, gdybym mógł was zaciągnąć do swojego biura i przywiązać za kostki, co, Potter? Ale teraz, jak się ukaże Dekret Edukacyjny Numer Dwadzieścia Dziewięć, będę się mógł wami zająć jak należy... I poprosiła ministra, żeby podpisał zarządzenie o wywaleniu stąd Irytka... Och, taaak, teraz wszystko się zmieni, odkąd ona tu rządzi...

Umbridge najwyraźniej zrobiła wszystko, by przeciągnąć Filcha na swoją stronę, a najgorsze było to, że dysponował groźną bronią: chyba tylko Weasleyowie mieli lepszą od niego znajomość wszystkich tajnych przejść i kryjówek w zamku.

- No, jesteśmy - rzekł, łypiąc z góry na Harry'ego, po czym zastukał trzy razy i otworzył drzwi gabinetu profesor Umbridge. - Przyprowadziłem Pottera, proszę pani.

W gabinecie Umbridge, który Harry tak dobrze znał ze swoich wielu szlabanów, nic się nie zmieniło, prócz tego, że na jej biurku leżał wielki drewniany klocek ze złotym napisem DYREKTOR, a w ścianie za biurkiem tkwiło żelazne kółko, do którego były przykute

zamkniętym na kłódkę łańcuchem trzy miotły: jego Błyskawica i Zmiatacze Freda i George'a. Poczuł ukłucie bólu, gdy zobaczył swoją ukochaną miotłę. Umbridge siedziała za biurkiem, skrobiąc zawzięcie piórem po arkuszu różowego pergaminu. Kiedy weszli, podniosła głowę i uśmiechnęła się szeroko.

- Dziękuję ci, Argusie - zaśpiewała słodko.

- Nie ma za co, pani dyrektor, nie ma za co - rzekł Filch, kłaniając się tak nisko, jak mu na to pozwolił reumatyzm, i wycofując się do drzwi.

- Siadaj - rzuciła krótko Umbridge, wskazując Harry'emu krzesło.

Przez dłuższą chwilę bazgrała dalej. Harry obserwował obrzydliwe kocięta, uganiające się po talerzach nad jej głową, i zastanawiał się, jaki koszmar go czeka.

- No, dobrze - powiedziała, odkładając pióro i przyglądając mu się jak żaba zamierzająca połknąć wyjątkowo soczystą muchę. - Czego się napijesz?

- Proszę? - zapytał Harry, pewny, że źle dosłyszał.

- Czego się napijesz, Potter - powtórzyła, uśmiechając się jeszcze szerzej. - Herbaty? Kawy? Soku z dyni?

Po wymienieniu każdego napoju machała krótko różdżką, a na jej biurku pojawiała się filiżanka lub szklanka z owym napojem.

- Niczego, dziękuję.

- Chcę, żebyś się ze mną napił - powiedziała głosem, którego słodycz zaprawiona była groźbą. - Wybieraj.

- Dobrze... więc proszę o herbatę - odrzekł Harry, wzruszając ramionami.

Wzięła z biurka filiżankę, wstała i odwróciła się do niego plecami, dolewając do niej mleka. Potem obeszła z nią biurko, wciąż ze złowieszczo słodkim uśmiechem na twarzy.

- Proszę - powiedziała, wręczając mu filiżankę. - Wypij, zanim ostygnie, dobrze? Tak więc, panie Potter... pomyślałam sobie, że po tych niemiłych wydarzeniach ostatniej nocy powinniśmy sobie uciąć pogawędkę.

Harry milczał. Usiadła z powrotem za biurkiem i czekała. Kiedy kilka długich chwil minęło w milczeniu, zagadnęła beztrosko:

- Coś nie pijesz swojej herbatki!

Podniósł filiżankę do ust i nagle opuścił ją z powrotem. Jedno z ohydnych kociąt, wymalowanych na talerzach wiszących za Umbridge, miało olbrzymie niebieskie oczy, podobne do magicznego oka Szalonookiego Moody'ego, i nagle sobie uprzytomnił, co by powiedział Moody, gdyby się dowiedział, że Harry wypił coś, co mu podał wróg.

- O co chodzi? - zapytała Umbridge, która wciąż przyglądała mu się uważnie. - Chcesz cukru?

- Nie.

Podniósł ponownie filiżankę do ust i udał, że wysiorbał z niej łyk, choć wargi miał zaciśnięte. Umbridge uśmiechnęła się nieco szerzej.

- Dobrze - szepnęła. - Bardzo dobrze. A teraz... - Wychyliła się trochę do przodu. - Gdzie jest Albus Dumbledore?

- Nie mam pojęcia - odrzekł natychmiast Harry.

- Pij, pij - powiedziała, wciąż się uśmiechając. - A teraz, Potter, proszę sobie darować te dziecinne gierki. Wiem, że wiesz, dokąd uciekł. Ty i Dumbledore tkwicie w tym razem od samego początku. Zastanów się nad swoją sytuacją, Potter.

- Nie wiem, gdzie on jest.

Udał, że znowu pije.

- No dobrze - powiedziała z zawiedzioną miną. - W takim razie powiedz mi, z łaski swojej, gdzie przebywa Syriusz Black.

Harry'emu coś przewróciło się w żołądku, a ręka zadrżała tak, że filiżanka zagrzechotała o spodek. Przycisnął ją do zaciśniętych warg. Trochę płynu pociekło mu po brodzie i spadło na szatę.

- Nie wiem - odpowiedział trochę za szybko.

- Potter, jestem zmuszona ci przypomnieć, że sama o mały włos nie złapałam w październiku przestępcy Blacka w kominku w wieży Gryffindoru. Wiem dobrze, że spotykał się tam z tobą i gdybym miała jakiś dowód, to możesz mi wierzyć, żaden z was nie przebywałby dzisiaj na wolności. Powtarzam, Potter... Gdzie jest Syriusz Black?

Wpatrywali się w siebie tak długo, że Harry'emu oczy zaszły łzami. Potem wstała.

- No dobrze, Potter, tym razem ci uwierzę, ale ostrzegam: mam za sobą całe ministerstwo. Wszystkie kanały komunikacji do szkoły i ze szkoły są pod kontrolą. Inspektor Sieci Fiuu obserwuje każdy kominek w Hogwarcie... prócz mojego, rzecz jasna. Moja Brygada Inkwizycyjna otwiera i czyta każdy list przysyłany i wysyłany przez sowy. A pan Filch ma oko na wszystkie tajne wyjścia z zamku. Jeśli znajdę choć cień dowodu...

ŁUUUP!

Podłoga zadygotała. Umbridge zachwiała się i chwyciła biurka.

- Co to...?

Wpatrywała się w drzwi. Harry skorzystał ze sposobności i wylał zawartość prawie pełnej filiżanki do najbliższego wazonu z ususzonymi kwiatami. Z dołu dochodził tupot kroków i krzyki.

- Wracaj na obiad, Potter! - krzyknęła Umbridge, podnosząc różdżkę i wybiegając z gabinetu.

Harry odczekał kilka sekund i wybiegł za nią, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Zobaczył od razu. Piętro niżej rozpętało się prawdziwe piekło. Wszystko wskazywało na to, że ktoś (a Harry domyślał się kto) odpalił wielką skrzynię zaczarowanych fajerwerków.

Po korytarzach śmigały smoki z zielono-złotych iskier, rzygając ogniem, przy akompaniamencie donośnych huków i trzasków. Wielkie, jaskraworóżowe ogniste koła szybowały groźnie jak eskadra latających spodków. Rakiety z długimi ogonami ze srebrnych gwiazdek odbijały się od ścian. Wulkany tryskały iskrami, wypisując w powietrzu nieprzyzwoite słowa. Gdziekolwiek się spojrzało, eksplodowały petardy, a wszystkie te pirotechniczne cuda nie tylko się nie wypalały i nie gasły, ale zdawały się nabierać z każdą chwilą mocy.

Filch i Umbridge zastygli w połowie schodów. Jedno z większych ognistych kół uznało, że musi mieć więcej przestrzeni do manewrów i pomknęło ku nim ze złowrogim „łiiiiiiiiiiiiii „. Oboje wrzasnęli z przerażenia i uchylili się w ostatniej chwili, a koło wyleciało przez okno na błonia. Tymczasem kilka smoków skorzystało z otwartych drzwi na końcu korytarza i poleciało na drugie piętro, a w ich ślady pomknął wielki, dymiący złowrogo, purpurowy nietoperz.

- Szybko, Filch, szybko! - wrzasnęła Umbridge. - Musimy coś zrobić, bo rozlezą się po całej szkole... *Drętwota!*

Z końca jej różdżki wystrzelił strumień czerwonego światła i trafił w jedną z rakiet. Jednak zamiast zastygnąć w powietrzu, rakieta eksplodowała z taką siłą, że wybuch wyrwał dziurę w obrazie przedstawiającym ckliwą czarownicę pośród łąki - w ostatniej chwili zdążyła uciec i pojawiła się na sąsiednim obrazie, gdzie paru czarodziejów grających w karty zerwało się, żeby zrobić jej miejsce.

- Nie oszałamiaj ich, Filch! - krzyknęła ze złością Umbridge, jakby ten pomysł wyszedł od niego.

- Racja, pani dyrektor! - wycharczał Filch, który jako charłak mógł najwyżej połknąć fajerwerki. Rzucił się do najbliższego schowka, wyciągnął z niego miotłę i zaczął nią wymachiwać, co spowodowało, że po chwili miotła stanęła w płomieniach. Harry dość już się napatrzył. Dusząc się ze śmiechu, pochylił się nisko i pobiegł do drzwi, które, jak wiedział,

ukryte były za gobelinem nieco dalej, a gdy prześliznął się przez nie, ujrzał Freda i George'a przysłuchujących się wrzaskom Umbridge i Filcha i trzęsących się ze śmiechu.

- Robi wrażenie - powiedział cicho Harry, szczerząc zęby. - Duże wrażenie... Wykończycie Doktora Filibustera... bez problemu...

- Cudnie - szepnął George, ocierając łzy śmiechu z policzków. - Och, mam nadzieję, że teraz użyje zaklęcia znikania... Mnożą się za każdym razem, jak się tego próbuje... z jednego dziesięć...

Tego popołudnia fajerwerki latały po całej szkole. Choć wyrządzały wiele szkód, zwłaszcza petardy, pozostali nauczyciele zbytnio się tym nie przejmowali.

- No, no, no - mruknęła profesor McGonagall, gdy jeden ze smoków obleciał całą klasę, ziejąc ogniem i wydając z siebie donośne grzmoty. - Panno Brown, czy mogłaby pani pobiec do pani dyrektor i poinformować ją, że mamy w klasie eksplodujące fajerwerki?

Skutek tego wszystkiego był taki, że profesor Umbridge spędziła pierwsze popołudnie swojego urzędowania, biegając po całej szkole, wzywana nieustannie przez resztę nauczycieli, którzy tłumaczyli jej, że sami nie potrafią sobie poradzić z fajerwerkami. Kiedy w końcu rozległ się ostatni dzwonek, a Gryfoni pozabierali swoje torby i ruszyli do wieży Gryffindoru, Harry doznał głębokiej satysfakcji, gdy zobaczył, jak z klasy profesora Flitwicka wypada z rozwianym włosem spocona i umazana sadzą Umbridge.

- Dziękuję, pani profesor! - zawołał za nią piskliwym głosem profesor Flitwick. - Oczywiście sam mógłbym się pozbyć tych wulkanów, ale nie wiedziałem, czy mi wolno...

I z uśmiechem zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

Wieczorem Fred i George byli bohaterami w pokoju wspólnym Gryffindoru. Nawet Hermiona przepchnęła się przez tłum, żeby im pogratulować.

- To były naprawdę cudowne fajerwerki! - przyznała z podziwem.

- Dzięki - odrzekł zaskoczony, ale i ucieszony George. - Narowiste Świstohuki Weasleyów. Tylko że zużyliśmy cały nasz zapas, trzeba będzie zaczynać od początku...

- Ale warto było - dodał Fred, który przyjmował zamówienia od rozochoconych Gryfonów. - Jeśli chcesz się wpisać na listę oczekujących, Hermiono, to Zestaw Podstawowy kosztuje tylko pięć galeonów, a Wściekła Pożoga Deluxe dwadzieścia...

Hermiona wróciła do stolika, przy którym siedzieli Harry i Ron. Wpatrywali się w swoje torby szkolne z taką miną, jakby mieli nadzieję, że ich zadania domowe wyskoczą z nich i zaczną się same odrabiać.

- Och, a jakby tak sobie dać dzisiaj wolne? - westchnęła Hermiona, kiedy rakieta ze srebrnym ogonem przemknęła za oknem. - Ostatecznie w piątek zaczynają się ferie wielkanocne, będziemy mieć mnóstwo czasu...

- Dobrze się czujesz? - zapytał Ron, patrząc na nią z niedowierzaniem.

- Skoro już o tym wspomniałeś - odpowiedziała wesoło Hermiona - to wiesz... chyba się czuję trochę... buntowniczo.

Godzinę później, kiedy Harry i Ron udali się do sypialni, z daleka słychać było huki i grzmoty zbiegłych fajerwerków, a kiedy Harry się rozebrał, ognisty wulkan przeleciał obok wieży, wypisując w powietrzu słowo KUPA.

Wszedł do łóżka, ziewając. Ponieważ zdjął okulary, przelatujące co jakiś czas za oknem fajerwerki wyglądały jak rozmigotane obłoki, piękne i tajemnicze na tle czarnego nieba. Przewrócił się na bok, zastanawiając się, jak się czuje Umbridge po pierwszym dniu urzędowania i jak zareaguje Knot, kiedy usłyszy, że przez większość tego dnia w szkole panował nieopisany chaos... Uśmiechając się do siebie, zamknął oczy...

Świsty i huki buszujących nad błoniami fajerwerków oddalały się... a może po prostu to on, Harry, oddalał się od nich...

Trafił prosto do korytarza wiodącego do Departamentu Tajemnic. Biegł ku czarnym drzwiom... Niech się otworzą... Niech się otworzą...

I otworzyły się. Był w okrągłym pokoju o wielu drzwiach... Przeszedł przez niego, położył rękę na identycznych drzwiach, a one odchyliły się do środka...

Teraz był w długim, prostokątnym pokoju pełnym dziwnego, mechanicznego cykania. Po ścianach tańczyły świetliste cętki, ale nie zatrzymał się, żeby im się przyjrzeć... Musiał iść dalej...

Drzwi w dalekim końcu pokoju... One też otworzyły się same, gdy tylko ich dotknął...

Znalazł się w mrocznej komnacie, wysokiej i szerokiej jak kościół, zapełnionej rzędami półek zawalonych małymi, zakurzonymi szklanymi kulkami... Serce biło mu mocno z podniecenia... Wiedział, dokąd ma iść... Pobiegł, ale jego stopy nie robiły najmniejszego hałasu w tym wielkim, opuszczonym pokoju...

Było w nim coś, czego tak bardzo, bardzo pragnął...

Coś, co musiał mieć... albo co musiał mieć ktoś inny...

Blizna piekła ostrym bólem...

BUM!

Obudził się, półprzytomny i wściekły. W ciemnym dormitorium rozbrzmiewały wybuchy śmiechu.

- Ale super! - usłyszał głos Seamusa i zobaczył jego sylwetkę na tle okna. - Chyba jedno z tych kół trafiło w rakietę i wygląda, jakby się parzyły, chodźcie i zobaczcie!

Harry usłyszał, jak Ron i Dean gramolą się z łóżek, żeby lepiej widzieć. Leżał nieruchomo, ból powoli ustępował, a jego miejsce zajęło poczucie gorzkiego zawodu. Czuł się tak, jakby mu sprzed nosa sprzątnięto jakąś wielką przyjemność... A był już tak blisko...

Wokół wieży Gryffindoru śmigały teraz różowo-srebrne prosiaczki. Harry leżał, przysłuchując się radosnym okrzykom Gryfonów w niżej położonych dormitoriach. Zrobiło mu się niedobrze, kiedy sobie przypomniał, że jutro po południu czeka go lekcja oklumencji...

* * *

Przez większość następnego dnia dręczył go lęk, co powie Snape, kiedy odkryje, jak daleko wdarł się tej nocy do Departamentu Tajemnic. Miał też wyrzuty sumienia, bo zdał sobie sprawę, że od ostatniej lekcji ani razu nie ćwiczył oklumencji: za dużo się działo, odkąd odszedł Dumbledore. Był pewny, że nie zdoła opróżnić swego umysłu, nawet gdyby chciał. Wątpił jednak, by Snape przyjął to usprawiedliwienie...

Próbował trochę poćwiczyć podczas lekcji, ale nic z tego nie wychodziło. Hermiona wciąż go pytała, co mu jest, kiedy milkł, starając się pozbyć wszelkich myśli i emocji, a zresztą trudno o gorsze warunki do oczyszczania umysłu, kiedy nauczyciele strzelają bez ostrzeżenia pytaniami.

Przygotowany na najgorsze, po kolacji ruszył do gabinetu Snape'a. Był w połowie sali wejściowej, gdy podbiegła do niego Cho.

- Chodźmy tam - powiedział Harry, rad, że ma powód, by opóźnić spotkanie ze Snape'em, i pokazał jej ciemny kąt sali, obok wielkich klepsydr. Klepsydra Gryffindoru była już prawie pusta. - Wszystko w porządku? Umbridge nie wypytywała cię o GD?

- Och, nie - odpowiedziała szybko Cho. - Nie, tylko... No wiesz, chciałam ci tylko powiedzieć... Harry, nigdy bym nie pomyślała, że Marietta może wygadać...

- Już dobrze - mruknął Harry, chociaż uważał, że Cho mogłaby trochę ostrożniej dobierać sobie przyjaciółki. Niewielkim pocieszeniem był fakt, że jak ostatnio słyszał, Marietta wciąż była w skrzydle szpitalnym, a pani Pomfrey w żaden sposób nie mogła sobie dać rady z jej krostami.

- To wspaniała osoba, naprawdę - zapewniała go Cho. - Tylko popełniła błąd...

Harry spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Wspaniała osoba, która popełniła błąd? Wydała nas wszystkich, łącznie z tobą!

- No... przecież wszystkim jakoś się upiekło, prawda? Wiesz, jej mama pracuje w ministerstwie, jej jest naprawdę trudno...

- Ojciec Rona też pracuje w ministerstwie! I jeśli sama nie zauważyłaś, to mogę ci powiedzieć, że nie ma na twarzy wypisane „donosiciel”...

- To naprawdę okropna sztuczka tej Hermiony Granger - zaperzyła się Cho. - Mogła powiedzieć, że rzuciła urok na tę listę...

- Uważam, że to był wspaniały pomysł - powiedział chłodno Harry.

Cho zaczerwieniła się, a oczy jej zalśniły.

- Ach, tak, zapomniałam... oczywiście, to był pomysł najdroższej Hermiony...

- Tylko nie zacznij znowu ryczeć - ostrzegł ją Harry.

- Nie zamierzam! - krzyknęła.

- No i dobrze... I tak już mam dosyć na głowie.

- To idź i zajmij się swoją głową! - powiedziała ze złością, okręciła się na pięcie i odeszła.

Harry, wściekły na nią i na siebie, zszedł po schodach do lochu Snape’a, a chociaż z doświadczenia wiedział, że Snape łatwiej spenetruje mu mózg, jeśli pojawi się w jego gabinecie wściekły i rozżalony, zanim stanął przed jego drzwiami, udało mu się wymyślić jeszcze parę słów na temat Marietty, które powinien był powiedzieć Cho.

- Spóźniłeś się, Potter - warknął Snape, kiedy Harry zamknął drzwi za sobą.

Stał plecami do niego, jak zwykle usuwając pewne myśli z głowy i umieszczając je pieczołowicie w myślodsiewni Dumbledore’a. Strząsnął do kamiennego naczynia ostatni srebrny strzęp i odwrócił się twarzą do Harry’ego.

- No i co? Ćwiczyłeś?

- Tak - skłamał Harry, wpatrując się w jedną z nóg biurka.

- Zaraz się okaże, prawda? - wycedził Snape. - Wyjmij różdżkę, Potter.

Harry stanął na swoim zwykłym miejscu, patrząc na Snape’a po drugiej stronie biurka. Serce biło mu szybko, bo wciąż był wściekły na Cho i bał się, że Snape i tak zaraz wszystkiego się dowie.

- No to liczę do trzech - powiedział znudzonym głosem Snape. - Raz... dwa...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadł Draco Malfoy.

- Panie profesorze... och... przepraszam...

Patrzył na Snape’a i Harry’ego z lekkim zaskoczeniem.

- W porządku, Draco - rzekł Snape, zniżając różdżkę. - Potter przyszedł tutaj na korepetycję z eliksirów.

Harry tylko raz widział Malfoya tak uradowanego, a było to, kiedy Umbridge przyszła na wizytację do Hagrida.

- Nie wiedziałem - powiedział Malfoy, łypiąc na Harry'ego, który czuł, że jest czerwony jak burak.

Oddałby wiele, by móc wykrzyczeć prawdę Malfoyowi w twarz... a jeszcze więcej, by go ugodzić jakąś ciężką klątwą.

- No, Draco, o co chodzi? - zapytał Snape.

- Chodzi o to, panie profesorze, że profesor Umbridge... potrzebuje pana pomocy - rzekł Malfoy. - Znaleźli Montague'a. Zamkniętego w toalecie na czwartym piętrze.

- Jak on się tam dostał?

- Nie wiem, proszę pana, jest trochę rozkojarzony...

- No dobrze... Potter, dokończymy tę lekcję jutro wieczorem.

Odwrócił się i wyszedł szybkim krokiem z gabinetu. Malfoy szepnął bezgłośnie do Harry'ego: „Korki z eliksirów?" i wyszedł za Snape'em.

Harry z ulgą schował różdżkę i ruszył do wyjścia. Miał przynajmniej dwadzieścia cztery godziny, żeby poćwiczyć; wiedział, że powinien być wdzięczny za uratowanie się w ostatniej chwili, choć wiedział też, że przyjdzie mu za to zapłacić, bo Malfoy na pewno rozpowie w całej szkole, że Harry Potter musi brać korepetycje z eliksirów...

Był już przy drzwiach, gdy to zobaczył: plamkę rozedrganego światła tańczącą po framudze. Zatrzymał się, żeby się jej lepiej przyjrzeć, bo z czymś mu się kojarzyła... A potem sobie przypomniał: była podobna do tych światełek, które widział w swoim ostatnim śnie, w tym drugim pokoju, przez który przechodził podczas wędrówki przez Departament Tajemnic.

Odwrócił się. Światło pochodziło z myślodsiewni stojącej na biurku Snape'a. Srebrnobiała zawartość naczynia kłębiła się i migotała. Myśli Snape'a... te, których Harry nie powinien poznać, gdyby przypadkiem przedarł się przez jego obronę...

Wpatrywał się w nie, a ciekawość wzbierała w nim z każdą chwilą... Co takiego Snape chciał przed nim ukryć?

Srebrzyste światełka migotały na ścianie... Harry zrobił dwa kroki w kierunku biurka, myśląc intensywnie. A może to są jakieś informacje o Departamencie Tajemnic, które Snape chciał zachować tylko dla siebie?

Zerknął przez ramię, a serce waliło mu jak młotem. Ile czasu zabierze Snape'owi uwolnienie Montague'a z toalety? Wróci po tym prosto do swego gabinetu, czy zaprowadzi Montague'a do skrzydła szpitalnego? Pewnie zaprowadzi... Montague jest kapitanem drużyny Ślizgonów, Snape będzie chciał się upewnić, czy nic mu się nie stało...

Zrobił jeszcze kilka kroków, dzielących go od myślodsiewni i zajrzał w nią. Zawahał się, nasłuchując, a potem wyciągnął różdżkę. W gabinecie i na korytarzu za drzwiami było zupełnie cicho. Szturchnął lekko zawartość myślodsiewni końcem różdżki.

Srebrzysta substancja zaczęła szybko wirować. Nachylił się nad nią i zobaczył, że robi się przezroczysta. Znowu, jak przed rokiem, patrzył z góry na jakieś pomieszczenie, jak przez okrągłe okienko w suficie... I jeśli się nie mylił, patrzył z góry na Wielką Salę...

Jego oddech zasnuwał teraz powierzchnię myśli Snape'a... Poczuł pustkę w głowie... Przecież to czyste szaleństwo... ale tak go kusi... Dygotał na całym ciele... Snape może wrócić lada chwila... I nagle przypomniała mu się rozgniewana twarz Cho, a potem kpiąca twarz Malfoya... i poczuł, że stać go na wszystko...

Wziął głęboki oddech i zanurzył twarz w myślach Snape'a. Podłoga natychmiast się przechyliła, a on zsunął się głową w dół do myślodsiewni...

Spadał przez zimną ciemność, obracając się szybko wokół własnej osi, a potem...

Stał pośrodku Wielkiej Sali, ale nie było w niej czterech stołów. Zamiast nich zobaczył ponad setkę małych stolików, a przy każdym siedział uczeń, pochylony nad zwojem pergaminu. Słychać było tylko skrobanie piór i od czasu do czasu szelest, gdy ktoś zwijał lub rozwijał swój pergamin. Tak, to był egzamin.

Z wysokich okien spływały strumienie słońca na pochylone głowy, połyskujące barwami kasztanów, miedzi i złota. Rozejrzał się ostrożnie. Gdzieś tu musi siedzieć Snape... To przecież JEGO WSPOMNIENIE...

I dostrzegł go, siedział tuż przy nim! Snape nastolatek był blady i żylasty, jak roślina trzymana w ciemności. Jego długie, proste i tłuste włosy omiatały stół, jego haczykowaty nos zawisł zaledwie o cal nad pergaminem, po którym skrobał zawzięcie piórem. Harry stanął za nim i przeczytał nagłówek na arkuszu egzaminacyjnym:

OBRONA PRZED CZARNĄ MAGIĄ STANDARDOWA UMIEJĘTNOŚĆ MAGICZNA

A więc Snape musiał mieć piętnaście albo szesnaście lat, tyle, co teraz Harry. Pisał szybko, zapisał już ze stopę pergaminu więcej niż jego najbliżsi sąsiedzi, a przecież pismo miał drobne i ciasne.

- Jeszcze pięć minut!

Harry aż podskoczył, a kiedy się odwrócił, zobaczył czubek głowy profesora Flitwicka, poruszający się między stolikami niedaleko niego. Teraz przechodził obok chłopca z rozczochraną czarną czupryną... bardzo rozczochraną czarną czupryną...

Harry ruszył do przodu tak szybko, że gdyby to działo się naprawdę, poprzewracałby stoliki. Zamiast tego sunął w powietrzu jak we śnie... minął dwa przejścia między stolikami, popłynął wzdłuż trzeciego. Tył głowy czarnowłosego chłopca był coraz bliżej i bliżej... Teraz chłopiec się wyprostował, odłożył pióro i przyciągnął pergamin do siebie, żeby przeczytać, co napisał...

Harry zatrzymał się przed jego stolikiem i spojrzał z góry na swojego piętnastoletniego ojca.

Podniecenie eksplodowało mu w brzuchu. Jakby patrzył na samego siebie... z drobnymi tylko różnicami. James miał oczy orzechowe, nos nieco dłuższy, a na jego czole nie było blizny, ale obaj mieli takie same chude twarze, te same usta, te same brwi. Jamesowi tak samo sterczały włosy na czubku głowy, ręce miał identyczne i Harry był pewny, że gdyby wstał, okazałoby się, że są tego samego wzrostu.

James ziewnął potężnie i zmierzwił sobie włosy, robiąc jeszcze większy bałagan na głowie. Zerknął w stronę profesora Flitwicka, a potem odwrócił się i uśmiechnął do chłopca siedzącego cztery stoliki dalej.

Harry doznał kolejnego wstrząsu: to Syriusz Black odwzajemnił uśmiech i uniósł kciuk do góry. Syriusz siedział niedbale rozparty, kiwając się na tylnych nogach krzesła. Był bardzo przystojny; czarne włosy spadały mu na czoło z jakąś nonszalancką wytwornością, o której Harry i James tylko mogli marzyć, a siedząca za nim dziewczyna zerkała na niego tęsknie, choć on zdawał się tego nie zauważać. A dwa stoliki dalej, za tą dziewczyną - Harry'emu znowu coś podskoczyło w brzuchu - siedział Remus Lupin. Był blady i wyglądał dość mizernie (czyżby zbliżała się pełnia?). Przeczytał, co napisał, i podrapał się piórem po brodzie, marszcząc lekko czoło.

To by znaczyło, że gdzieś tutaj musi być i Glizdogon... I rzeczywiście, Harry zaraz wyłowił go wzrokiem. Mały chłopiec o mysich włosach i długim, spiczastym nosie. Miał przerażoną minę, gryzł paznokcie, wpatrując się w swój pergamin, i szurał po podłodze czubkami butów. Co jakiś czas zerkał z nadzieją na pergamin swojego sąsiada. Harry przyglądał mu się przez chwilę, a potem znowu spojrzał na Jamesa, który teraz bazgrał coś na skrawku pergaminu. Narysował już znicza i kreślił litery L.E. Co to za skrót?

- Proszę odłożyć pióra! - zaskrzeczał profesor Flitwick. - Ty też, Stebbins! Proszę pozostać na miejscach, zaraz zbiorę wasze pergaminy! *Accio!*

Ponad setka rolek pergaminu śmignęła prosto w rozwarte ramiona Flitwicka, zwalając go z nóg. Rozległy się śmiechy. Paru uczniów siedzących przy pierwszych stolikach chwyciło go pod łokcie i podniosło z podłogi.

- Dziękuję... dziękuję... - wysapał profesor Flitwick. - No, jesteście wszyscy wolni!

Harry spojrzał na swojego ojca, który pospiesznie zamazał litery L.E., zerwał się, wrzucił pióro i kartkę z pytaniami egzaminacyjnymi do torby, zarzucił ją na ramię i stał, czekając na Syriusza.

Harry rozejrzał się i nieco dalej dostrzegł Snape'a, zmierzającego między stolikami do drzwi i wciąż zaabsorbowanego swoją kartką z pytaniami. Przygarbiony, kanciasty, kroczył w dziwny sposób, przywodzący na myśl pająka. Tłuste włosy zwisały mu na twarz.

Grupa rozgadanych dziewcząt oddzieliła Snape'a od Jamesa i Syriusza. Trzymając się tej grupy, Harry nie tracił Snape'a z oczu, a jednocześnie nadstawiał uszu, by słyszeć głosy Jamesa i jego przyjaciół.

- Podobało ci się pytanie dziesiąte, Luniaczku? - zapytał Syriusz, kiedy znaleźli się w sali wejściowej.

- Bardzo - odpowiedział żywo Lupin. - „Podaj pięć oznak, po których można rozpoznać wilkołaka". Wspaniałe pytanie.

- I co, myślisz, że wymieniłeś wszystkie? - zapytał z udawanym przejęciem James.

- Chyba tak - odrzekł z powagą Lupin, kiedy przyłączyli się do tłumu wokół drzwi frontowych, żeby wyjść na zalane słońcem błonia. - „Pierwsza: siedzi na moim krześle. Druga: nosi moje ubranie. Trzecia: nazywa się Remus Lupin..."

Tylko Glizdogon się nie roześmiał.

- Podałem kształt pyska, wygląd źrenic, włochaty ogon - powiedział z niepokojem - ale nic więcej nie mogłem wymyślić...

- No nie, Glizdogonie, ale z ciebie tępak! - rzucił James niecierpliwym tonem. - Przecież co miesiąc włóczysz się z wilkołakiem...

- Nie wrzeszcz tak - przerwał mu Lupin.

Harry spojrzał niespokojnie za siebie. Snape wciąż był blisko, nadal wertując swoje pytania, ale w końcu to było jego wspomnienie, i Harry czuł, że gdy wyjdą na błonia, może pójść w inną stronę, a to by oznaczało, że on, Harry, nie będzie już mógł dłużej śledzić swojego ojca. Doznał więc wielkiej ulgi, kiedy James i jego trzej przyjaciele ruszyli trawiastym zboczem w stronę jeziora, a Snape poszedł za nimi, wciąż z nosem nad pergaminem z pytaniami, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z tego, dokąd idzie. Harry nieco go wyprzedzał i w ten sposób nie tracił z oczu Jamesa i reszty.

- No, ten cały egzamin to bułka z masłem - dobiegł go głos Syriusza. - Zdziwiłbym się, gdybym nie dostał W.

- Ja też - powiedział James.

Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z niej złotego znicza.

- Skąd go masz?

- Zwędziłem - odparł zdawkowo James.

Zaczął bawić się zniczem, pozwalając mu trochę odlecieć, po czym chwytał go znowu; refleks miał znakomity. Glizdogon obserwował go z podziwem.

Zatrzymali się w cieniu tego samego buku nad jeziorem, pod którym Harry, Ron i Hermiona spędzili kiedyś niedzielę, kończąc zadania domowe, i rzucili się na trawę.

Harry jeszcze raz spojrzał przez ramię i ku swemu zadowoleniu zobaczył, że Snape usadowił się w gęstym cieniu kępy krzaków. Wciąż był pogrążony w studiowaniu swojego arkusza egzaminacyjnego, więc Harry usiadł na trawie między bukiem i krzakami, skąd mógł obserwować czwórkę przyjaciół pod drzewem.

Gładka powierzchnia jeziora lśniła oślepiającym odblaskiem słońca. Na samym brzegu siedziała grupka rozchichotanych dziewcząt, które dopiero co opuściły Wielką Salę, a teraz pozdejmowały buty i skarpetki, chłodząc sobie stopy w wodzie.

Lupin wyciągnął książkę i zabrał się do czytania. Syriusz rozglądał się dookoła po uczniach rozłożonych na trawie; minę miał nieco wyniosłą i znudzoną, ale i tak był bardzo przystojny. James wciąż bawił się zniczem, pozwalając mu odlatywać coraz dalej, ale zawsze w ostatniej chwili go schwytał. Glizdogon przyglądał się temu z otwartymi ustami. Za każdym razem, gdy Jamesowi udał się szczególnie trudny chwyt, wydawał z siebie zduszony okrzyk podziwu i bił brawo. Po pięciu minutach Harry zaczął się zastanawiać, dlaczego James nie powie Glizdogonowi, żeby sam spróbował, ale jego ojca wyraźnie cieszyło to, że ktoś go obserwuje. Harry zauważył, że ma zwyczaj wichrzenia sobie włosów, jakby chciał się upewnić, że nie są za bardzo uczesane. I często zerkał w stronę dziewcząt siedzących nad wodą.

- Może byś już przestał, co? - odezwał się w końcu Syriusz, kiedy James złapał znicza w wyjątkowo widowiskowy sposób, a Glizdogon krzyknął z podziwu. - Bo Glizdogon posika się z wrażenia.

Glizdogon się zarumienił, a James się roześmiał.

- Skoro ci to przeszkadza - powiedział, chowając złotą piłeczkę do kieszeni.

Harry odniósł wrażenie, że Syriusz był jedyną osobą, jaka mogła powstrzymać Jamesa od popisywania się.

- Nudzę się - rzekł Syriusz. - Chciałbym, żeby już była pełnia księżyca.

- Może ty byś chciał - mruknął ponuro Lupin zza swojej książki. - Ale mamy jeszcze transmutację, jak się nudzisz, możesz mnie przepytać... Masz. - I wyciągnął ku niemu książkę.

Syriusz prychnął.

- Nie muszę zaglądać do tych głupot. Znam to wszystko na pamięć.

- To cię trochę ożywi, Łapo - powiedział cicho James. - Zobacz, kto tam siedzi...

Syriusz odwrócił głowę. Zamarł bez ruchu, jak pies, który zwietrzył królika.

- Wspaniale. Smarkerus.

Harry też podążył za wzrokiem Syriusza.

Snape wstał i chował swój pergamin do torby. Kiedy wyszedł z cienia i ruszył przez trawnik, Syriusz i James też wstali. Lupin i Glizdogon pozostali na miejscu. Lupin gapił się w książkę, choć oczy mu się nie poruszały, a między brwiami pojawiła się mała zmarszczka. Glizdogon patrzył to na Syriusza, to na Jamesa, to na Snape'a z wyraźnym oczekiwaniem na twarzy.

- W porządku, Smarkerusie? - zapytał głośno James.

Snape zareagował tak szybko, jakby się spodziewał napaści. Upuścił torbę, wsunął rękę za pazuchę i już podnosił różdżkę, gdy James wrzasnął:

- *Expelliarmus!*

Różdżka Snape'a wyleciała w powietrze i upadła za nim w trawę. Syriusz parsknął śmiechem.

- *Impedimento!* - krzyknął, celując różdżką w Snape'a, który zwalił się na ziemię w połowie skoku po własną różdżkę.

Porozkładani na trawie uczniowie zwrócili głowy w ich stronę. Niektórzy wstali i podeszli bliżej. Jedni mieli przerażone miny, inni byli wyraźnie rozbawieni.

Snape leżał na ziemi, dysząc. James i Syriusz zbliżali się do niego z różdżkami w pogotowiu. James zerkał przez ramię na dziewczyny nad wodą. Glizdogon wstał, obserwując tę scenę łakomym wzrokiem, po czym obszedł Lupina, żeby mieć lepszy widok.

- Jak ci poszedł egzamin, Smarku? - zapytał James.

- Obserwowałem go, rył nosem po pergaminie - powiedział drwiąco Syriusz. - Na pewno tak go poplamił, że nie będą mogli odczytać ani słowa.

Tu i ówdzie rozległy się śmiechy. Najwyraźniej Snape nie cieszył się w szkole popularnością. Glizdogon zachichotał. Snape próbował wstać, ale zaklęcie wciąż działało; wił się, jakby walczył z niewidzialnymi sznurami.

- Jeszcze zobaczymy... - wydyszał, patrząc na Jamesa z nienawiścią. - Tylko... poczekajcie...

- Na co? - zapytał chłodno Syriusz. - Co zamierzasz zrobić, Smarku, wydmuchać sobie na nas nos?

Snape bluznął potokiem przekleństw i zaklęć, ale jego różdżka była daleko, więc żadne z zaklęć nie zadziałało.

- Przepłucz sobie usta - wycedził James. - *Chłoszczyść!* Z ust Snape'a zaczęły się wydobywać różowe bańki mydlane, piana pokryła mu wargi, wyraźnie się dusił...

- ZOSTAWCIE GO!

James i Syriusz rozejrzeli się wokoło. Wolna ręka Jamesa szybko powędrowała do włosów.

Krzyknęła jedna z dziewcząt siedzących nad jeziorem. Miała grube, ciemnorude włosy, opadające jej na ramiona, i uderzająco zielone, migdałowe oczy... Oczy Harry'ego.

Jego matka...

- Co jest, Evans? - zapytał James głosem, który stał się nagle uprzejmy, głębszy, jakby bardziej męski.

- Zostawcie go - powtórzyła Lily. Patrzyła na Jamesa z odrazą. - Co on wam zrobił?

- No wiesz... - powiedział James powoli, jakby się zastanawiał - to raczej kwestia tego, że on istnieje... jeśli wiesz, co mam na myśli...

Wielu widzów obserwujących tę scenę wybuchnęło śmiechem, w tym Syriusz i Glizdogon, ale nie Lupin, nadal pochylony nad książką. Lily też się nie roześmiała.

- Wydaje ci się, że jesteś bardzo zabawny, tak? - zapytała chłodno. - A jesteś tylko zarozumiałym, znęcającym się nad słabszymi szmatławcem, Potter. Zostaw go w spokoju.

- Zostawię, jak się ze mną umówisz, Evans - odrzekł szybko James. - No... nie daj się prosić... Umów się ze mną, a już nigdy więcej nie podniosę różdżki na biednego Smarka.

Za jego plecami zaklęcie spowolnienia przestawało działać. Snape czołgał się powoli ku swej różdżce, wypluwając mydliny.

- Nie umówiłabym się z tobą nawet wtedy, gdybym musiała wybierać między tobą a wielkim pająkiem - oświadczyła Lily.

- Nie masz szczęścia, Rogaczu - rzekł Syriusz i odwrócił się w stronę Snape'a. - OJ!

Ale krzyknął za późno. Snape już celował różdżką prosto w Jamesa. Błysnęło i z policzka Jamesa trysnęła krew. Odwrócił się błyskawicznie, znowu błysnęło, i Snape wisiał już w powietrzu do góry nogami. Szata opadła mu na głowę, odsłaniając chude, blade nogi i poszarzałe gatki.

Wielu widzów zaczęło klaskać. Syriusz, James i Glizdogon ryknęli śmiechem. Rozzłoszczona twarz Lily drgnęła lekko, jakby i ona powstrzymywała uśmiech.

- Puść go!

- Na rozkaz! - powiedział James i szarpnął lekko różdżką.

Snape zwalił się bezwładnie na ziemię. Wyplątał się jakoś z szaty, wstał i podniósł różdżkę.

- *Petrificus totalus!* - rozległ się głos Syriusza i Snape znowu runął jak długi i zesztywniał.

- ZOSTAWCIE GO W SPOKOJU! - krzyknęła Lily. Teraz i ona miała już różdżkę w ręku. James i Syriusz wpatrywali się w nią uważnie.

- Ech, Evans, nie zmuszaj mnie, żebym ci zrobił krzywdę - powiedział James.

- To cofnij swoje zaklęcie!

James westchnął ciężko, a potem odwrócił się do Snape'a i wyszeptał przeciwzaklęcie.

- Bardzo proszę - powiedział, gdy Snape po raz kolejny dźwignął się na nogi. - Masz szczęście, że Evans tu była, Smarkerusie...

- Nie potrzebuję pomocy tej małej, brudnej szlamy!

Lily zamrugała szybko.

- Świetnie - powiedziała chłodno. - W przyszłości nie będę sobie tobą zawracać głowy. I na twoim miejscu wyprałabym gacie, Smarkerusie.

- Przeproś ją! - ryknął James, celując różdżką w Snape'a.

- Nie zmuszaj go, żeby mnie przepraszał! - zawołała Lily, łypiąc groźnie na Jamesa. - Jesteś taki sam jak on...

- Co? - krzyknął James. - Ja NIGDY bym cię nie nazwał... sama wiesz jak!

- Targasz sobie włosy, żeby wyglądać tak, jakbyś dopiero co zsiadł ze swojej miotły, popisujesz się tym głupim zniczem, chodzisz po korytarzach i miotasz zaklęcia na każdego, kto cię uraził, żeby pokazać, co potrafisz... Dziwię się, że twoja miotła może w ogóle wystartować z tobą i z twoim wielkim napuszonym łbem. MDLI mnie na twój widok.

Odwróciła się na pięcie i odeszła.

- Evans! - zawołał za nią James. - Hej, EVANS!

Nawet się nie obejrzała.

- Co jej się stało? - zapytał James, bezskutecznie starając się sprawić wrażenie, że go to niewiele obchodzi.

- Czytając między wierszami, powiedziałbym, że chyba uważa cię za osobę nieco próżną - mruknął Syriusz.

- Świetnie - rzekł James, teraz już nie kryjąc wściekłości. - Znakomicie...

Znowu błysnęło i Snape ponownie zawisł w powietrzu do góry nogami.

- Kto chce zobaczyć, jak ściągam majtki Smarkerusowi?

Ale czy James naprawdę ściągnął majtki Snape'owi, tego Harry już się nie dowiedział. Czyjaś dłoń zacisnęła się jak kleszcze na jego ramieniu. Skrzywił się z bólu, a kiedy się obejrzał, z przerażeniem ujrzał dorosłego Snape'a białego na twarzy z wściekłości.

- Dobrze się bawisz?

Harry poczuł, że sam unosi się w powietrze. Letni dzień gdzieś wyparował. Szybował w górę poprzez lodowatą czerń, wciąż czując uścisk Snape'a na ramieniu. A potem było tak, jakby wywinął koziołka w powietrzu i jego stopy uderzyły w kamienną posadzkę lochu Snape'a. Znowu stał przed myślodsiewnią na biurku, w mrocznym gabinecie nauczyciela eliksirów.

- No więc, powiedz mi - rzekł Snape, ściskając ramię Harry'ego tak mocno, że zdrętwiała mu ręka - dobrze się bawiłeś, Potter?

- N-nie... - wyjąkał Harry, próbując uwolnić ramię.

To było straszne: wargi Snape'a drżały, twarz miał białą, zęby obnażone.

- Zabawny był ten twój ojciec, co? - zapytał, potrząsając Harrym tak mocno, że okulary zsunęły mu się z nosa.

- Ja... nie...

Snape odrzucił go od siebie z całej siły. Harry upadł ciężko na posadzkę.

- Nie powtórzysz nikomu, co zobaczyłeś! - ryknął Snape.

- Nie - bąknął Harry. Wstał i odsunął się od niego tak daleko, jak mógł. - Nie, oczywiście, że nie...

- Wynoś się stąd, i nie chcę cię już nigdy widzieć w moim gabinecie!

A kiedy Harry pobiegł do drzwi, słój z martwymi karaluchami eksplodował tuż nad jego głową. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wypadł na korytarz, zatrzymując się dopiero wtedy, gdy od Snape'a dzieliły go już trzy piętra. Wówczas oparł się o ścianę, dysząc i rozcierając sobie posiniaczone ramię.

Nie miał ochoty wracać tak wcześnie do wieży Gryffindoru ani opowiadać Ronowi i Hermionie, co właśnie zobaczył. Czuł się podle, ale nie dlatego, że przed chwilą został zmieszany z błotem i obrzucony martwymi karaluchami. Dobrze wiedział, co to znaczy być poniżonym na oczach wielu ludzi, wiedział, jak musiał się czuć Snape, gdy kpił sobie z niego

James Potter. Sądząc po tym, co zobaczył, jego ojciec był właśnie tak zarozumiały, jak zawsze twierdził Snape.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY
PORADY ZAWODOWE

- Ale dlaczego już nie masz lekcji oklumencji? - zapytała Hermiona, marszcząc czoło.

- Już ci mówiłem - mruknął Harry. - Snape uznał, że skoro już znam podstawy, dam sobie radę sam...

- Więc już nie miewasz tych dziwnych snów? - zapytała niezbyt przekonana Hermiona.

- Prawie - odrzekł Harry, nie patrząc na nią.

- Uważam, że Snape nie powinien przerywać tych lekcji, dopóki nie będziesz absolutnie pewny, że potrafisz je kontrolować! - oburzyła się Hermiona. - Harry, uważam, że powinieneś do niego pójść i poprosić...

- Nie - przerwał jej stanowczo Harry. - I daj sobie z tym spokój, Hermiono, dobrze?

Był pierwszy dzień ferii wielkanocnych i Hermiona, jak to było w jej zwyczaju, spędziła większość dnia, kreśląc plany powtórek dla całej trójki. Harry i Ron zgodzili się na to, bo wiedzieli, że i tak z nią nie wygrają, a poza tym mogło się to okazać pożyteczne.

Ron był wstrząśnięty, kiedy odkrył, że do egzaminów pozostało już tylko sześć tygodni.

- I to jest dla ciebie wstrząsem? - zdumiała się Hermiona, stukając różdżką w plan Rona, żeby prostokąciki oznaczające poszczególne przedmioty przybrały różne kolory.

- No... tyle się działo...

- Proszę - powiedziała, wręczając im plany. - Jeśli będziecie postępować zgodnie z nimi, nie macie się o co martwić.

Ron spojrzał ponuro na swój plan, ale po chwili się rozpromienił.

- Dałaś mi jeden wolny dzień w tygodniu!

- To na treningi quidditcha.

Ron znowu zmarkotniał.

- I na co to wszystko? - zapytał. - Mamy akurat tyle samo szans na zdobycie w tym roku Pucharu Quidditcha, ile ma tata, żeby zostać ministrem magii...

Hermiona nic nie odpowiedziała. Patrzyła na Harry'ego, który gapił się bezmyślnie w ścianę. Krzywołap ocierał się o jego rękę, domagając się podrapania za uszami.

- Co jest, Harry?

- Co? A... nic...

Wziął swój egzemplarz *Teorii obrony magicznej* i udał, że szuka czegoś w indeksie. Krzywołap uznał, że nie doczeka się pieszczoty i schował się pod fotel Hermiony.

- Widziałam dzisiaj Cho - powiedziała niepewnie. - Ona też kiepsko wygląda... Pokłóciliście się?

- Co... ach, tak, trochę - odrzekł Harry, z wdzięcznością witając zmianę tematu.

- O co?

- A o tę jej przyjaciółkę, Mariettę, która na nas doniosła.

- I wcale ci się nie dziwię! - burknął Ron, odkładając swój plan. - Gdyby nie ona...

I zaczął pomstować na Mariettę Edgecombe, co bardzo odpowiadało Harry'emu. Musiał tylko robić oburzoną minę, potakiwać i mówić: „No jasne", kiedy Ron nabierał tchu, a jednocześnie przez cały czas oddawał się smętnym rozmyślaniom nad tym, co zobaczył w myślodsiewni.

Czuł się tak, jakby to wspomnienie zżerało go od wewnątrz. Zawsze był pewny, że jego rodzice byli wspaniałymi ludźmi i nigdy nie wierzył w to, co na temat charakteru jego ojca mówił Snape. Czyż Hagrid i Syriusz nie opowiadali mu, jak świetnym facetem był jego ojciec? (Pięknie, ale teraz już wiesz, jaki był sam Syriusz, zadrwił jakiś głos w jego głowie... Wcale nie był lepszy...). Kiedyś co prawda podsłuchał, jak profesor McGonagall wspominała, że jego ojciec i Syriusz sprawiali wiele kłopotów w szkole, ale nazwała ich poprzednikami Weasleyów, a Harry'emu trudno było wyobrazić sobie Freda i George'a, jak dla zabawy wieszają kogoś w powietrzu do góry nogami... chyba żeby naprawdę im dopiekł... Na przykład Malfoya, albo kogoś, kto naprawdę na to zasłużył...

Próbował sobie wmówić, że Snape musiał czymś zasłużyć na takie traktowanie, ale czy Lily nie zapytała: „Co on wam zrobił?", a James nie odpowiedział na to: „To, że istnieje... jeśli wiesz, co mam na myśli...?" Czy James nie zaczął tego wszystkiego tylko dlatego, że Syriusz mu powiedział, że się nudzi? Przypomniał sobie, jak Lupin powiedział przy Grimmauld Place, że Dumbledore mianował go prefektem w nadziei, że uda mu się jakoś zapanować nad Jamesem i Syriuszem... Ale w myślodsiewni siedział z boku i pozwalał na to wszystko...

A jego matka jednak zareagowała, była dobra... Tylko ten wyraz jej twarzy, kiedy wrzeszczała na Jamesa... To wspomnienie dręczyło go najbardziej. Było oczywiste, że nie znosi Jamesa! Nie mógł zrozumieć, jak doszło do tego, że w końcu się pobrali. Przyszło mu nawet na myśl, że może James ją do tego zmusił...

Od blisko pięciu lat myśl o ojcu była dla niego źródłem pociechy, dumy i inspiracji. Kiedy ktoś mu mówił, że jest do niego podobny, ogarniało go poczucie dumy. A teraz... teraz odczuwał chłód i rozżalenie, gdy o nim myślał.

Ferie mijały, na świecie robiło się coraz wietrzniej, jaśniej i cieplej, a Harry był uwięziony w zamku razem z resztą uczniów z piątej i siódmej klasy, biegających tam i z powrotem do biblioteki. Udawał, że przyczyną jego złego nastroju są właśnie nadchodzące egzaminy, a ponieważ inni Gryfoni też już mieli serdecznie dość ślęczenia nad książkami, przyjmowali jego wyjaśnienie ze zrozumieniem.

- Harry, mówię do ciebie, słyszysz?

- Hmm?

Otrząsnął się z zamyślenia. Ginny Weasley, okropnie potargana, przysiadła się do stołu w bibliotece, przy którym tkwił samotnie. Był późny wieczór niedzielny, Hermiona wróciła do wieży Gryffindoru, żeby powtórzyć runy, a Ron miał trening quidditcha.

- Och, cześć - przywitał ją Harry, przyciągając do siebie książki. - Dlaczego nie jesteś na treningu?

- Już się skończył. Ron musiał zabrać Jacka Slopera do skrzydła szpitalnego.

- Dlaczego?

- No... nie jesteśmy pewni, ale chyba sam zwalił się z miotły własną pałką. - Westchnęła ciężko. - W każdym razie... dopiero co dostałam paczkę, właśnie przeszła przez nową procedurę kontroli, jaką zafundowała nam Umbridge...

Położyła na stole paczkę owiniętą brązowym papierem. Widać było, że ktoś ją już otwierał i z powrotem byle jak zapakował, a przez papier biegły nagryzmolone czerwonym atramentem słowa: SKONTROLOWANE I ZWOLNIONE PRZEZ WIELKIEGO INKWIZYTORA HOGWARTU.

- To jajka wielkanocne od mamy - powiedziała Ginny. - Jedno jest dla ciebie... Masz...

Wręczyła mu ładne czekoladowe jajko ozdobione małymi zniczami z lukru i, jak głosił napis na opakowaniu, zawierające torebkę musów-świstusów. Harry popatrzył na nie i nagle, ku swemu przerażeniu, poczuł, że w gardle rośnie mu twarda gula.

- Nic ci nie jest, Harry? - zapytała cicho Ginny.

- Nie, nic - odpowiedział ochrypłym głosem.

Z trudem przełykał ślinę. Nie mógł zrozumieć, dlaczego tak się poczuł na widok wielkanocnego jajka.

- Ostatnio jesteś jakiś strasznie zdołowany - powiedziała Ginny. - Wiesz, jestem pewna, że gdybyś tylko porozmawiał z Cho...

- To nie z nią chciałbym porozmawiać - burknął.

- A z kim? - zapytała Ginny.

- Ja...

Rozejrzał się wokoło, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje. Pani Pince była o kilka półek dalej, stemplując stos książek dla Hanny Abbott, która sprawiała wrażenie lekko nieprzytomnej.

- Chciałbym porozmawiać z Syriuszem - mruknął. - Tylko nie wiem jak.

Bardziej, żeby czymś się zająć, niż dlatego, że miał na to ochotę, Harry zdarł cynfolię ze swojego jajka, odłamał spory kawałek i włożył sobie do ust.

- No wiesz - powiedziała powoli Ginny, też odłamując sobie kawałek - jeśli naprawdę chcesz porozmawiać z Syriuszem, to moglibyśmy coś wymyślić...

- Daj spokój. Przy Umbridge kontrolującej wszystkie kominki i czytającej nasze listy?

- Widzisz, Harry, kiedy się dorasta w jednym domu z George'em i Fredem, to szybko dochodzi się do wniosku, że wszystko jest możliwe, jeśli tylko nie brak ci tupetu...

Harry spojrzał na nią. Może to był skutek czekolady - Lupin zawsze doradzał, by zjeść parę kawałków po spotkaniu z dementorami - a może po prostu to, że w końcu wypowiedział na głos życzenie, które dręczyło go od tygodni, ale poczuł się nieco raźniej...

- CO WY TUTAJ WYPRAWIACIE?!

- O kurczę - szepnęła Ginny, zrywając się. - Zapomniałam, że...

Pani Pince rzuciła się na nich z twarzą wykrzywioną furią.

- Czekolada w bibliotece?! - wrzasnęła. - Precz stąd!... Wynocha... WYNOCHA!

I wyciągnąwszy różdżkę, sprawiła, że książki, torba i kałamarz Harry'ego wygoniły go razem z Ginny z biblioteki, waląc ich raz po raz po głowie.

* * *

Jakby dla podkreślenia powagi nadchodzących egzaminów, tuż przed końcem ferii na stolikach w wieży Gryffindoru pojawiły się pliki broszur, ulotek i informacji dotyczących różnych dostępnych w świecie czarodziejów zawodów, a na tablicy ogłoszeń zawisło następujące obwieszczenie:

PORADY ZAWODOWE

Wszyscy uczniowie piątych klas proszeni są o przybycie na krótkie spotkanie ze swoim opiekunem domu podczas pierwszego tygodnia semestru letniego, na którym będą mieli możliwość przedyskutowania ich przyszłej kariery zawodowej. Terminy indywidualnych spotkań podane są niżej.

Harry spojrzał na listę i stwierdził, że profesor McGonagall oczekuje go o pół do trzeciej w poniedziałek, co oznaczało, że ominie go większość lekcji wróżbiarstwa. Razem z innymi piątoklasistami poświęcił sporą część ostatniego weekendu ferii wielkanocnych na czytanie informacji, które im dostarczono.

- No, uzdrowicielem to raczej nie zostanę - oświadczył Ron w ostatni wieczór ferii, pochylony nad prospektem ozdobionym symbolem kości skrzyżowanej z różdżką. - Tu piszą, że na poziomie owutemów trzeba mieć przynajmniej P z eliksirów, zielarstwa, transmutacji, zaklęć i obrony przed czarną magią. A niech mnie drzwi ścisną... wiele nie wymagają, co?

- No wiesz, to bardzo odpowiedzialny zawód - skomentowała zdawkowym tonem Hermiona.

Ślęczała nad kolorową, różowo-pomarańczową ulotką, zatytułowaną: *WIĘC MYŚLISZ, ŻE CHCIAŁBYŚ PRACOWAĆ W DZIEDZINIE KONTAKTÓW Z MUGOLAMI?*

- Żeby nawiązywać kontakty z mugolami, nie trzeba mieć wielu kwalifikacji... Wymagają tylko suma z mugoloznawstwa...

O wiele ważniejszy jest twój entuzjazm, cierpliwość i poczucie humoru!

- Trzeba mieć coś więcej od poczucia humoru, żeby nawiązać kontakt z moim wujem - mruknął Harry. - Na przykład wyczucie, kiedy zrobić unik... - Był już w połowie broszurki o czarodziejskiej bankowości. - Posłuchajcie: *Szukasz pełnej wyzwań pracy? Nęcą cię podróże? Lubisz niebezpieczne przygody? Chciałbyś otrzymywać sutą prowizje za odnalezione skarby? Rozważ podjęcie pracy w Czarodziejskim Banku Gringotta, który właśnie poszukuje łamaczy klątw do pracy za granicą. Ekscytujące możliwości*... Wymagają numerologii... Hermiono, to coś dla ciebie!

- Bankowość nie bardzo mi odpowiada - stwierdziła wymijająco Hermiona, która czytała teraz ulotkę zatytułowaną: *MASZ W SOBIE TO COŚ, CO JEST POTRZEBNE DO SZKOLENIA TROLLI NA OCHRONIARZY?*

- Hej! - rozległ się w uchu Harry'ego znajomy głos.

Pojawili się Fred i George.

- Ginny powiedziała nam, że masz sprawę - rzekł Fred, kładąc nogi na stoliku i zrzucając na podłogę kilka prospektów na temat pracy w Ministerstwie Magii. - Mówi, że chcesz sobie pogadać z Syriuszem.

- Co? - żachnęła się Hermiona, a ręka, którą sięgała po ulotkę zatytułowaną: *ZRÓB KARIERĘ W DEPARTAMENCIE MAGICZNYCH WYPADKÓW I KATASTROF* zastygła w powietrzu.

- Aaa.. tak... - mruknął Harry, siląc się na obojętny ton. - Tak, pomyślałem sobie, że bym chciał...

- Nie bądź śmieszny - powiedziała Hermiona, patrząc na niego z niedowierzaniem. - W sytuacji, kiedy Umbridge węszy po kominkach i rewiduje wszystkie sowy?

- Jesteśmy zdania, że dałoby się to jakoś obejść - oświadczył George, przeciągając się z uśmiechem. - Do tego potrzeba tylko trochę dywersji. Nawiasem mówiąc, chyba zauważyłaś, że nie rozrabialiśmy podczas ferii?

- Zadaliśmy sobie pytanie, jaki sens ma zakłócanie czasu wolnego - wyjaśniał dalej Fred. - No i stwierdziliśmy, że nie ma żadnego sensu. Ludzie się uczą, nie ma im co przeszkadzać.

I z powagą skłonił głowę przed Hermiona. Wydawała się nieco zaskoczona ich rozsądkiem.

- Ale, oczywiście, od jutra zaczynamy od nowa - ciągnął Fred. - A skoro i tak mamy narobić trochę bałaganu, to dlaczego nie zrobić tego tak, żeby Harry mógł pogawędzić z Syriuszem?

- Tak, ale nawet jeśli to zrobicie - zaczęła Hermiona takim tonem, jakby wyjaśniała komuś bardzo tępemu coś bardzo oczywistego - to jak Harry z nim porozmawia?

- Gabinet Umbridge - mruknął Harry.

Myślał o tym od dwóch tygodni i nie wymyślił nic lepszego. To sama Umbridge powiedziała mu, że tylko jej kominek nie jest pilnowany.

- Czyś... ty... zwariował? - zapytała przyciszonym głosem Hermiona.

Ron opuścił prospekt zachęcający do podjęcia pracy w handlu grzybami hodowlanymi i z uwagą przysłuchiwał się tej rozmowie.

- Nie sądzę - odparł Harry, wzruszając ramionami.

- To zacznijmy od tego, jak chcesz się tam dostać?

Na to pytanie był przygotowany.

- Nóż Syriusza.

- Że co?

- W poprzednie Boże Narodzenie dostałem od Syriusza scyzoryk, który otwiera wszystkie zamki. Więc nawet jeśli zaczarowała te drzwi tak, że nie pomoże Alohomora, o co mogę się założyć...

- Co ty o tym myślisz? - zwróciła się Hermiona do Rona, a Harry'emu przypomniała się pani Weasley zwracająca się do męża podczas pierwszej kolacji przy Grimmauld Place.

- Nie wiem - odparł Ron, nieco zaniepokojony faktem, że ktoś pyta go o zdanie. - Skoro Harry chce to zrobić, to jego sprawa, nie?

- Przemawia jak prawdziwy przyjaciel i prawdziwy Weasley - powiedział Fred, waląc go po plecach. - No dobrze. Zamierzamy zrobić to jutro, zaraz po lekcjach, żeby wywołać jak największe zamieszanie, bo wszyscy będą na korytarzach... Harry, zaczniemy gdzieś we wschodnim skrzydle, żeby ją odciągnąć od gabinetu... Myślę, że możemy ci zapewnić... no, powiedzmy dwadzieścia minut? - Spojrzał na George'a.

- Nie ma sprawy - powiedział George.

- Co to będzie za dywersja? - zapytał Ron.

- Sam zobaczysz, braciszku - odrzekł Fred, wstając. - Ale musisz jutro około piątej przejść się korytarzem Grzegorza Przymilnego.

* * *

Harry obudził się następnego dnia, odczuwając prawie taki sam lęk, jak owego poranka, gdy miał stawić się na przesłuchanie w Ministerstwie Magii. Jego źródłem była nie tylko perspektywa włamania się do gabinetu Umbridge i użycia jej kominka do rozmowy z Syriuszem, choć już samo to mogło przyprawić o ból brzucha. Dziś, po raz pierwszy od czasu, gdy Snape wyrzucił go ze swojego gabinetu, czekało go spotkanie z nim, bo mieli lekcję eliksirów.

Przez jakiś czas leżał w łóżku, rozmyślając o nadchodzącym dniu, a potem cicho wstał i podszedł do okna obok łóżka Neville'a. Był cudowny poranek. Niebo miało barwę czystego, lekko przymglonego i opalizującego błękitu. Daleko nad jeziorem ujrzał wysokie drzewo, pod którym kiedyś jego ojciec maltretował Snape'a. Nie był wcale pewny reakcji Syriusza, kiedy się dowie, co Harry zobaczył w myślodsiewni, ale chciał za wszelką cenę usłyszeć jego wersję tego wydarzenia. Chciał poznać wszelkie możliwe okoliczności łagodzące, jeśli takie były, które by choć w części usprawiedliwiały zachowanie jego ojca.

Coś przykuło jego uwagę: jakiś ruch na skraju Zakazanego Lasu. Zmrużył oczy i ujrzał Hagrida wychodzącego spomiędzy drzew. Szedł, jakby kulał. Dowlókł się do drzwi swojej chatki i zniknął w środku. Harry obserwował chatkę przez kilka minut. Hagrid już się nie pojawił, ale z komina buchnął dym, więc może nie było z nim aż tak źle, skoro zdołał rozpalić ogień...

Odwrócił się od okna, podszedł do swego kufra i zaczął się ubierać.

Mając przed sobą perspektywę włamania się do gabinetu Umbridge, nie spodziewał się spokojnego dnia, nie przewidział jednak, że Hermiona będzie go nieustannie próbowała odwieść od tego, co zaplanował na piątą. Chyba po raz pierwszy nie przysłuchiwała się pilnie

nudnym wywodom profesora Binnsa, tylko wyrzucała z siebie szeptem strumień ostrzeżeń, na które Harry starał się nie zwracać uwagi.

- ...a jak cię tam nakryje, to nie tylko wywali cię ze szkoły, na pewno się połapie, że rozmawiałeś z Wąchaczem, i tym razem zmusi cię do wypicia veritaserum, a wtedy wszystkiego się dowie...

- Hermiono, może przestaniesz wreszcie zadręczać Harry'ego i zaczniesz słuchać Binnsa? - skarcił ją w końcu szeptem Ron. - A może to ja mam zacząć robić notatki?

- Świetny pomysł, na pewno to przeżyjesz!

Kiedy znaleźli się w lochu Snape'a, ani Harry, ani Ron już się do niej nie odzywali. Skorzystała z tego i z jej ust znowu popłynął potok przerażających ostrzeżeń, wypowiadanych tak zjadliwym sykiem, że Seamus stracił pięć minut, sprawdzając, czy nie przecieka mu kociołek.

Snape najwyraźniej postanowił zachowywać się tak, jakby Harry stał się niewidzialny. Oczywiście Harry był przyzwyczajony do takiej taktyki, bo stosował ją z upodobaniem wuj Vernon, i odetchnął z ulgą, widząc, że nie grozi mu nic gorszego. Prawdę mówiąc, w porównaniu z tym, co zwykle musiał znosić na eliksirach - te wszystkie docinki i drwiące uwagi Snape'a - nowa sytuacja oznaczała pewną poprawę i rad był, kiedy stwierdził, że pozostawiony samemu sobie potrafi bez większego trudu sporządzić wywar wzmacniający. Pod koniec lekcji przelał trochę wywaru do butelki, zakorkował ją i postawił na katedrze Snape'a do oceny, czując, że może w końcu zasłuży sobie na P.

Właśnie się odwrócił, by odejść, gdy usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Malfoy ryknął śmiechem. Harry obejrzał się i zobaczył, że na podłodze leżą szczątki jego butelki, a Snape spogląda na niego z mściwą satysfakcją.

- Ups! - powiedział cicho. - I znowu zero, Potter...

Harry'ego ogarnęła taka złość, że nie był w stanie nic powiedzieć. Wrócił na swoje miejsce, zamierzając napełnić następną butelkę i zmusić Snape'a, by ją ocenił, ale ku swemu przerażeniu spostrzegł, że cała zawartość kociołka znikła.

- Przepraszam! - jęknęła Hermiona, zasłaniając sobie usta rękoma. - Naprawdę, bardzo przepraszam, Harry, myślałam, że już skończyłeś, i opróżniłam go!

Harry nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Kiedy rozległ się dzwonek, wybiegł z lochu, nie oglądając się za siebie, a podczas obiadu usiadł między Neville'em i Seamusem, żeby Hermiona nie zaczęła go znowu dręczyć.

Kiedy przyszedł na wróżbiarstwo, był w tak podłym nastroju, że zapomniał o terminie spotkania z profesor McGonagall na temat swojej przyszłej kariery, i przypomniał sobie o

tym dopiero wtedy, gdy Ron go zapytał, dlaczego nie jest w jej gabinecie. Popędził na górę i zjawił się tam zadyszany, spóźniony zaledwie o parę minut.

- Przepraszam, pani profesor - wysapał, kiedy zamknął za sobą drzwi. - Zapomniałem...

- Nie szkodzi - powiedziała pogodnie, ale w tej samej chwili usłyszał, jak ktoś w kącie pociągnął nosem.

Rozejrzał się i zobaczył siedzącą w kącie profesor Umbridge z notatnikiem na kolanach. Na szyi miała wymyślny kołnierz z falbanek, a na twarzy ohydny kołtuński uśmiech.

- Usiądź, Potter - powiedziała profesor McGonagall.

Ręce trzęsły się jej lekko, gdy zaczęła przerzucać broszurki i ulotki zaścielające biurko.

Harry usiadł plecami do Umbridge i starał się nie słyszeć skrobania jej pióra po przypiętym do podkładki pergaminie.

- No cóż, Potter, chyba wiesz, czemu ma służyć to spotkanie. Powiesz mi, czy masz już jakieś plany co do przyszłej kariery zawodowej, a ja pomogę ci wybrać przedmioty, których naukę powinieneś kontynuować w szóstej i siódmej klasie. Myślałeś już, co byś chciał robić po skończeniu szkoły?

- Ee.. - bąknął Harry.

Skrobanie pióra za jego plecami bardzo go rozpraszało.

- No więc? - zachęciła go profesor McGonagall.

- No więc... myślałem... że może będę aurorem - wymamrotał Harry.

- Do tego są potrzebne najwyższe oceny - powiedziała profesor McGonagall, wyciągając spod masy papierów mały, ciemny prospekt i otwierając go. - Wymagają minimum pięć owutemów, z których musisz mieć przynajmniej „powyżej oczekiwań". Potem czeka cię cała seria surowych testów charakteru i umiejętności w urzędzie aurorów. To trudna ścieżka kariery, Potter, przyjmują tylko najlepszych. Prawdę mówiąc, nie pamiętam, by kogoś przyjęli w ciągu ostatnich trzech lat.

W tym momencie profesor Umbridge kaszlnęła lekko, jakby chciała sprawdzić, czy potrafi zrobić to najciszej jak się da. Profesor McGonagall zlekceważyła to.

- Pewnie chcesz się dowiedzieć, jakie przedmioty powinieneś wybrać? - ciągnęła dalej, podnosząc nieco głos.

- Tak. Na pewno obronę przed czarną magią, prawda?

- Oczywiście. Radziłabym ci też...

Profesor Umbridge znowu kaszlnęła, tym razem nieco głośniej. Profesor McGonagall zamknęła na chwilę oczy, potem je otworzyła i ciągnęła dalej, jakby nic się nie wydarzyło.

- Radziłabym ci też wybrać transmutację, bo aurorzy często muszą jej używać. A muszę cię uprzedzić, Potter, że w szóstej klasie nie przyjmuję uczniów na transmutację, jeśli za testy na poziomie sumów nie dostaną przynajmniej „powyżej oczekiwań". Według mnie na razie zasługujesz na „zadowalający", więc musiałbyś bardzo przyłożyć się do pracy, żeby mieć szansę kontynuowania transmutacji. Powinieneś też wybrać zaklęcia, one zawsze są potrzebne, i eliksiry. Tak, Potter, eliksiry - dodała, uśmiechając się nieznacznie. - Eliksiry i antidota mają podstawowe znaczenie dla aurorów. I musisz wiedzieć, że profesor Snape absolutnie odmawia przyjmowania uczniów, którzy dostaną mniej niż „wybitny" podczas sumów, więc...

Profesor Umbridge kaszlnęła już bardzo głośno.

- Może dać ci cukierek od kaszlu, Dolores? - zapytała uprzejmie profesor McGonagall, nie patrząc na nią.

- Och, nie, dziękuję bardzo - odpowiedziała Umbridge i zaśmiała się z wdziękiem pensjonarki, czego Harry tak nie znosił. - Zastanawiam się tylko, czy mogłabym się na chwileczkę wtrącić, Minerwo...

- Chyba już to zrobiłaś - wycedziła profesor McGonagall przez mocno zaciśnięte zęby.

- Właśnie się zastanawiałam, czy pan Potter ma odpowiedni temperament na aurora - zapiała, słodko profesor Umbridge.

- Naprawdę? - prychnęła wyniośle profesor McGonagall. - No więc, Potter - ciągnęła dalej, jakby jej nie przerwano - jeśli poważnie o tym myślisz, radziłabym ci przede wszystkim podciągnąć się z transmutacji i eliksirów. Widzę, że profesor Flitwick ocenia twoje osiągnięcia z ostatnich dwu lat między „zadowalającym" a „powyżej oczekiwań", więc z zaklęciami dasz sobie chyba radę, a jeśli chodzi o obronę przed czarną magią, stopnie masz całkiem niezłe, zwłaszcza profesor Lupin uważał, że... CZY JESTEŚ NAPRAWDĘ PEWNA, DOLORES, ŻE NIE CHCESZ CUKIERKA OD KASZLU?

- Och, nie, nie trzeba, Minerwo - odpowiedziała przymilnie profesor Umbridge, której ostatnie kaszlnięcie było jak dotąd najgłośniejsze. - Ale pomyślałam sobie, że chyba nie masz przed sobą ostatnich stopni Harry'ego z obrony przed czarną magią. Jestem pewna, że przesłałam ci notkę z tymi stopniami...

- Myślisz o tym? - zapytała profesor McGonagall z niesmakiem, wyciągając arkusik różowego pergaminu z teczki z aktami Harry'ego. Zerknęła na pergamin, uniosła nieco brwi i bez słowa włożyła go z powrotem do teczki.

- Tak, więc jak mówiłam, Potter, profesor Lupin uważał, że masz wybitne uzdolnienia w tym zakresie, co jest szczególnie ważne dla aurora...

- Zrozumiałaś moją notkę, Minerwo? - zapytała profesor Umbridge lepkim od słodyczy tonem, zapominając o kaszlu.

- Oczywiście - wycedziła profesor McGonagall przez zęby zaciśnięte tak mocno, że ledwo można było zrozumieć to słowo.

- Więc jestem trochę zdezorientowana... Obawiam się, że nie całkiem rozumiem, jak możesz dawać panu Potterowi fałszywą nadzieję, że...

- Fałszywą nadzieję? - powtórzyła profesor McGonagall, nadal na nią nie patrząc. - Otrzymał wysokie oceny ze wszystkich sprawdzianów z obrony przed czarną magią...

- Naprawdę bardzo mi przykro, Minerwo, ale kiedy przeczytasz uważnie moją notkę, to zrozumiesz, że Harry ma żałosne wyniki na moich lekcjach...

- Powinnam wyrazić się jaśniej - powiedziała profesor McGonagall, odwracając się, by spojrzeć Umbridge prosto w oczy. - Otrzymał wysokie oceny ze wszystkich sprawdzianów z obrony przed czarną magią przeprowadzonych przez kompetentnego nauczyciela.

Uśmiech zniknął z twarzy profesor Umbridge tak nagle, jak światło z przepalonej żarówki. Usiadła, przewróciła kartkę w notatniku i zaczęła pisać tak szybko, że jej wyłupiaste oczy ledwo nadążały za literami. Profesor McGonagall odwróciła się z powrotem do Harry'ego. Nozdrza jej drgały, a oczy płonęły.

- Masz jeszcze jakieś pytania, Potter?

- Tak. Jakie testy charakteru i umiejętności przeprowadza ministerstwo, jak już się zaliczy odpowiednią liczbę owutemów?

- Trzeba wykazać odporność na presję z zewnątrz, a także wytrwałość i poświęcenie, bo szkolenie aurora trwa aż trzy lata, nie mówiąc już o bardzo dobrym opanowaniu praktycznej obrony. To oznacza, że po ukończeniu szkoły trzeba się jeszcze dużo uczyć, więc jeśli nie jesteś przygotowany na to, że...

- I chyba warto dodać - wtrąciła Umbridge chłodnym tonem - że ministerstwo sprawdza, czy kandydaci na aurorów nie figurują w kartotekach przestępców...

- ...jeśli nie jesteś przygotowany na to, że po Hogwarcie czekałoby cię jeszcze więcej egzaminów, to powinieneś raczej rozejrzeć się za innym...

- ...a to oznacza, że ten chłopiec ma taką samą szansę zostać aurorem, jak Dumbledore powrócić do tej szkoły.

- To znaczy, że ma dużą szansę - oznajmiła profesor McGonagall.

- Potter jest notowany - powiedziała głośno profesor Umbridge.

- Potter został oczyszczony ze wszystkich zarzutów - powiedziała profesor McGonagall jeszcze głośniej.

Profesor Umbridge wstała. Była tak niska, że właściwie nie zrobiło to żadnego wrażenia, ale jej zwykły fałszywy wdzięk podlotka ustąpił miejsca wściekłej furii, co sprawiło, że jej szeroka, sflaczała twarz nabrała dziwnie złowrogiego wyrazu.

- Potter nie ma najmniejszych szans na to, by kiedykolwiek zostać aurorem!

Profesor McGonagall też wstała, ale w jej przypadku zrobiło to o wiele większe wrażenie.

- Potter - powiedziała donośnym głosem - osobiście pomogę ci zostać aurorem, nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobię! Nawet jeśli będę musiała ćwiczyć z tobą nocami, zrobię wszystko, żebyś osiągnął wymagane rezultaty!

- Minister magii nigdy nie zatrudni Harry'ego Pottera! - krzyknęła Umbridge głosem nabrzmiałym furią.

- Kiedy Potter będzie gotowy do pracy, może już będziemy mieli nowego ministra magii! - krzyknęła profesor McGonagall.

- Aha! - wrzasnęła profesor Umbridge, celując tępym paluchem w profesor McGonagall. - Tak! Tak, tak, tak! Oczywiście! I tego właśnie pragniesz, tak, Minerwo McGonagall? Chcesz, żeby Korneliusza Knota zastąpił Albus Dumbledore! Myślisz, że zajmiesz moje miejsce, że zostaniesz starszym podsekretarzem ministra i przyszłą dyrektorką szkoły!

- Bredzisz - stwierdziła profesor McGonagall z najwyższą pogardą. - Potter, na tym koniec naszej konsultacji na temat twojej przyszłości.

Harry zarzucił torbę na ramię i pospiesznie opuścił gabinet, nie śmiąc spojrzeć na Umbridge. Gdy oddalał się korytarzem, przez cały czas słyszał krzyki obu pań.

Profesor Umbridge wciąż dyszała, jakby przed chwilą ukończyła bieg na sto jardów, kiedy tego popołudnia wkroczyła do klasy obrony przed czarną magią.

- Mam nadzieję, Harry, że przemyślałeś to, co zamierzasz zrobić - szepnęła Hermiona, gdy otworzyli książki na rozdziale trzydziestym czwartym („Rezygnacja z odwetu i negocjacje"). - Umbridge już teraz wygląda, jakby była w naprawdę złym humorze...

Co jakiś czas Umbridge rzucała groźne spojrzenia na Harry'ego, który zwiesił głowę, gapiąc się w podręcznik *Teorii obrony magicznej* i rozmyślając...

Mógł sobie wyobrazić reakcję profesor McGonagall na wiadomość o przyłapaniu go na myszkowaniu w gabinecie profesor Umbridge w parę godzin po tym, jak za niego osobiście poręczyła... Czy coś go mogło powstrzymać i zmusić, by po prostu wrócił do wieży

Gryffindoru z nadzieją, że kiedyś, może w następne wakacje, uda mu się zapytać Syriusza o tę scenę, którą widział w myślodsiewni?... Nic, a poza tym już sama myśl o tak rozsądnym zachowaniu ciążyła mu w żołądku jak bryła ołowiu... No i są jeszcze bliźniacy, którzy zaplanowali już akcję dywersyjną... a w torbie spoczywa scyzoryk od Syriusza, razem ze starą peleryną-niewidką ojca...

Ale jeśli go złapią...

- Dumbledore poświęcił siebie, żebyś ty mógł zostać w szkole, Harry! - szepnęła Hermiona, podnosząc książkę, żeby zasłonić twarz przed Umbridge. - A jeśli cię dzisiaj wyrzucą, to na nic jego poświęcenie!

Mógł zrezygnować ze swojego planu i po prostu nauczyć się żyć z tym, co jego ojciec zrobił pewnego letniego dnia ponad dwadzieścia lat temu...

A potem przypomniał sobie Syriusza w kominku na szczycie wieży Gryffindoru... „Jesteś mniej podobny do swojego ojca, niż sądziłem... Dla Jamesa bez ryzyka nie było zabawy..."

Ale czy nadal chce być podobny do swojego ojca?

- Harry, nie rób tego, błagam cię! - jęknęła Hermiona, gdy rozległ się dzwonek na koniec lekcji.

Harry milczał; nie wiedział, co zrobi. Ron najwyraźniej postanowił nie wyrażać swojego zdania i nie dawać mu żadnych rad. Nie patrzył na Harry'ego, ale gdy Hermiona otworzyła usta, by znowu coś powiedzieć, nie wytrzymał i mruknął:

- Daj mu spokój, dobrze? Sam może zdecydować.

Harry'emu szybko biło serce, gdy opuszczał klasę. Był już w połowie korytarza, kiedy usłyszał z oddali niechybne odgłosy dywersji. Gdzieś z góry dochodziły wrzaski i jęki. Wychodzący z klasy uczniowie zatrzymali się i spojrzeli ze strachem na sufit...

Umbridge wytoczyła się z klasy, drobiąc swymi krótkimi nóżkami. Wyciągnęła różdżkę i pobiegła w przeciwnym kierunku. Teraz albo nigdy.

- Harry... błagam! - spróbowała jeszcze raz Hermiona.

Ale on już podjął decyzję. Upewnił się, że torba wisi mu pewnie na ramieniu i puścił się biegiem, klucząc między uczniami, którzy teraz ruszyli w przeciwnym kierunku, żeby zobaczyć, co to za zamieszanie wybuchło we wschodnim skrzydle.

Dobiegł do korytarza, przy którym mieścił się gabinet Umbridge, i stwierdził, że jest pusty. Schował się za wielką zbroją, której hełm z przyłbicą obrócił się w jego stronę, otworzył torbę, wyciągnął magiczny scyzoryk Syriusza i narzucił na siebie pelerynę-

niewidkę. Potem wyszedł ostrożnie zza zbroi i ruszył korytarzem do drzwi gabinetu Umbridge.

Wsunął ostrze scyzoryka w szczelinę między drzwiami i framugą i delikatnie poruszył nim w dół i w górę. Coś cicho kliknęło i drzwi się otworzyły. Wskoczył do środka, szybko zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się.

Pokój był pusty. Nic się nie poruszało prócz obrzydliwych kotków na talerzach, które figlowały sobie w najlepsze nad skonfiskowanymi miotłami.

Zdjął pelerynę i skradając się na palcach, w ciągu kilku sekund znalazł to, czego szukał: pudełeczko z błyszczącym proszkiem Fiuu.

Przykląkł przed wygasłym paleniskiem. Ręce mu drżały. Jeszcze nigdy tego nie robił, chociaż wydawało mu się, że wie, jak to działa. Wsadził głowę do kominka, wziął dużą szczyptę proszku i rzucił go na poukładane zgrabnie bierwiona. Natychmiast rozgorzały szmaragdowozielonym płomieniem.

- Grimmauld Place numer dwanaście! - powiedział głośno i wyraźnie.

Było to jedno z najdziwniejszych doznań, jakich kiedykolwiek doświadczył. Oczywiście podróżował już za pomocą proszku Fiuu, ale wówczas całe ciało wirowało w płomieniach i śmigało siecią kominków w rozrzuconych po całym kraju domach czarodziejów. Tym razem czuł, że jego kolana spoczywają nadal na zimnej posadzce gabinetu Umbridge, a tylko głowa zawirowała w szmaragdowych płomieniach...

A potem, tak nagle, jak się zaczęło, wirowanie ustało. Zrobiło mu się trochę niedobrze i poczuł się, jakby miał głowę owiniętą bardzo gorącym szalikiem. Otworzył oczy i stwierdził, że patrzy prosto z kominka na długi drewniany stół, przy którym siedział mężczyzna pochylony nad kawałkiem pergaminu.

- Syriusz?

Mężczyzna podskoczył i rozejrzał się. To nie był Syriusz, to był Lupin.

- Harry! - powiedział, wyraźnie wstrząśnięty. - Co ty... co się stało, wszystko w porządku?

- Tak... Chciałem tylko... porozmawiać z Syriuszem.

- Zawołam go - rzekł Lupin, wstając, wciąż z przerażoną miną. - Poszedł na górę poszukać Stworka, chyba znowu ukrywa się na poddaszu...

Harry zobaczył, jak Lupin wybiega z kuchni. Teraz mógł tylko gapić się na nogi krzeseł i stołu. Zastanawiał się, dlaczego Syriusz nigdy nie wspomniał, że ten sposób komunikacji jest bardzo niewygodny: kolana już go rozbolały od przedłużającego się kontaktu z kamienną posadzką.

Po chwili wrócił Lupin z Syriuszem depczącym mu po piętach.

- O co chodzi? - zapytał niecierpliwie Syriusz, odrzucając włosy z twarzy i osuwając się na podłogę przed kominkiem, tak by jego głowa znalazła się na jednym poziomie z głową Harry'ego. Lupin też uklęknął obok niego. - Nic ci nie jest? Potrzebujesz pomocy?

- Nie... nie chodzi o to... Chciałem tylko pogadać o... o moim ojcu...

Syriusz i Lupin wymienili zaskoczone spojrzenia, ale Harry nie miał czasu, by czuć się zażenowany lub onieśmielony; z każdą chwilą coraz bardziej cierpły mu kolana, a podejrzewał, że od początku dywersji minęło już z pięć minut - George zagwarantował mu tylko dwadzieścia. Dlatego bez żadnego wstępu opowiedział, co zobaczył w myślodsiewni.

Kiedy skończył, Syriusz i Lupin milczeli przez chwilę. Potem Lupin powiedział cicho:

- Nie chciałbym, żebyś oceniał swojego ojca po tym, co zobaczyłeś, Harry. On miał tylko piętnaście lat...

- Ja też mam piętnaście lat!

- Posłuchaj, Harry - odezwał się łagodnie Syriusz. - James i Snape znienawidzili się od pierwszej chwili, kiedy się zobaczyli. To był tylko jeden z wielu epizodów, rozumiesz? Myślę, że James miał to wszystko, czego tak pragnął Snape... cieszył się popularnością, świetnie grał w quidditcha, był naprawdę dobry we wszystkim. A Snape był tylko małym dziwakiem, który nie widział świata poza czarną magią... podczas gdy James... choć może wydaje ci się, że było inaczej... James zawsze nienawidził czarnej magii.

- Tak, ale zaatakował Snape'a bez żadnego powodu, tylko dlatego... no, tylko dlatego, że... że ty się nudziłeś.

- Wcale nie jestem z tego dumny! - powiedział szybko Syriusz.

Lupin spojrzał z ukosa na Syriusza i rzekł:

- Harry, musisz zrozumieć, że twój ojciec i Syriusz byli najlepsi we wszystkim... wszyscy ich uwielbiali... a jeśli nawet czasami trochę ich poniosło...

- Chcesz powiedzieć, jeśli czasami byli małymi zarozumiałymi głupolami - przerwał mu Syriusz.

Lupin uśmiechnął się.

- Wciąż sobie mierzwił te włosy - powiedział Harry zbolałym głosem.

Syriusz i Lupin parsknęli śmiechem.

- Już zapomniałem, że miał taki zwyczaj - powiedział z czułością Syriusz.

- Bawił się zniczem? - zapytał żywo Lupin.

- Tak - odrzekł Harry, nie rozumiejąc, dlaczego Syriusz i Lupin mają takie rozmarzone miny. - Pomyślałem sobie, że zachowuje się trochę jak kretyn.

- Nie przeczę! - zgodził się Syriusz. - Wszyscy byliśmy kretynami! No... może prócz Lunatyka - dodał, spoglądając na Lupina, ale ten pokręcił głową.

- Czy kiedykolwiek powiedziałem wam, żebyście zostawili w spokoju Snape'a? Czy stać mnie było na to, żeby wam powiedzieć, że przeginacie?

- No wiesz, czasami trochę nam było wstyd przed tobą... A to już coś...

- I wciąż - ciągnął z uporem Harry, zdecydowany, żeby wypowiedzieć wszystko, co mu leżało na sercu - zerkał na te dziewczyny nad jeziorem z nadzieją, że na niego patrzą!

- Och, zgoda, zawsze robił z siebie głupka, kiedy w pobliżu znalazła się Lily - powiedział Syriusz, wzruszając ramionami. - Nie mógł się powstrzymać, żeby nie robić z siebie przedstawienia, gdy tylko ją zobaczył.

- Jak to się stało, że za niego wyszła? - zapytał Harry zbolałym głosem. - Przecież go nienawidziła!

- To nieprawda - rzekł Syriusz.

- Zaczęła z nim chodzić w siódmej klasie - powiedział Lupin.

- Kiedy James trochę zmądrzał - dodał Syriusz.

- I przestał rzucać na ludzi zaklęcia tylko dla zabawy - dodał Lupin.

- Nawet na Snape'a? - zapytał Harry.

- No wiesz - powiedział powoli Lupin - Snape to szczególny przypadek. To znaczy... nigdy nie przeoczył okazji, by przekląć Jamesa, więc trudno oczekiwać, by James puszczał mu to płazem, prawda?

- I mama nie miała nic przeciwko temu?

- Prawdę mówiąc, niewiele o tym wiedziała - rzekł Syriusz. - Nie wyobrażasz sobie chyba, że James zabierał Snape'a na randki z twoją matką i w jej obecności miotał na niego klątwy, prawda?

Syriusz zmarszczył czoło, widząc, że Harry wciąż nie jest przekonany.

- Posłuchaj, twój ojciec był moim najlepszym przyjacielem. I był dobrym człowiekiem. Mnóstwo ludzi zachowuje się bardzo głupio, gdy ma piętnaście lat. Wyrósł z tego.

- No dobrze - mruknął Harry - ale nigdy nie sądziłem, że będzie mi żal Snape'a.

- Skoro już o tym mowa - rzekł Lupin, a między jego brwiami pojawiła się mała zmarszczka - to jak zareagował Snape, kiedy odkrył, że to widziałeś?

- Powiedział mi, że już nie będzie mnie uczył oklumencji... - rzucił obojętnie Harry. - Jakby mi tym sprawił wielki zaw...

- CO powiedział?! - krzyknął Syriusz, a Harry aż podskoczył, wciągając w płuca garść popiołu.

- Mówisz poważnie, Harry? - zapytał Lupin. - Przestał udzielać ci lekcji?

- Tak - odrzekł Harry, zaskoczony tak gwałtowną reakcją. - Ale nie ma się czym przejmować, nie zależy mi, a mówiąc szczerze, nawet mi ulżyło...

- Pójdę tam zaraz i pogadam sobie ze Snape'em! - oświadczył Syriusz i chciał wstać, ale Lupin go przytrzymał.

- Jeśli już ktoś ma porozmawiać ze Snape'em, to tylko ja! - powiedział stanowczo. - Ale Harry, przede wszystkim ty sam musisz pójść do Snape'a i powiedzieć mu, że pod żadnym pozorem nie może przestać udzielać ci lekcji... Jak Dumbledore się dowie...

- Nie mogę mu tego powiedzieć, on mnie zabije! - krzyknął wzburzony Harry. - Żebyście go zobaczyli, kiedy wróciliśmy z myślodsiewni...

- Harry, nic nie jest tak ważne, jak to, żebyś się nauczył oklumencji! - powiedział z powagą Lupin. - Rozumiesz mnie? Nic!

- No dobrze, dobrze - mruknął Harry, kompletnie skołowany i rozeźlony. - Spróbuję... Ale to nie...

Zamilkł. Z oddali dobiegł go odgłos kroków.

- Czy to Stworek schodzi z góry?

- Nie - odrzekł Syriusz, zerkając przez ramię. - To musi być ktoś z twojego końca...

Harry'emu na moment zamarło serce.

- Muszę iść! - powiedział szybko i wycofał głowę z kominka domu przy Grimmauld Place.

Przez chwilę wydawało mu się, że głowa obraca mu się na ramionach, a potem stwierdził, że klęczy przed kominkiem w gabinecie Umbridge, z głową na właściwym miejscu, patrząc, jak szmaragdowe płomienie migają i gasną.

- Szybko, szybko! - usłyszał dychawiczny głos tuż za drzwiami. - Ach, zostawiła otwarte...

Harry skoczył po pelerynę-niewidkę i ledwo zdążył narzucić ją na siebie, gdy do gabinetu wpadł Filch. Był z czegoś niezmiernie zadowolony i mówił sam do siebie, krocząc przez pokój. Otworzył szufladę w biurku profesor Umbridge i zaczął grzebać w leżących w niej papierach.

- Zezwolenie na chłostę... Zezwolenie na chłostę... Nareszcie... Proszą się o to od lat...

Wyciągnął kawałek pergaminu, ucałował go i natychmiast podreptał do drzwi, przyciskając pergamin do piersi.

Harry zerwał się na równe nogi, upewnił się, że ma torbę i że peleryna-niewidka całkowicie go zasłania, po czym otworzył drzwi i wybiegł za Filchem, który kuśtykał tak żwawo, jak chyba jeszcze nigdy przedtem.

Kiedy znalazł się piętro niżej, uznał, że można bezpiecznie zdjąć pelerynę. Schował ją do torby i popędził przed siebie. Z dołu dochodziły krzyki i hałasy. Zbiegł po marmurowych schodach i stwierdził, że w sali wejściowej zgromadziła się chyba cała szkoła.

Było podobnie jak w ów wieczór, kiedy Umbridge wyrzuciła z pracy Trelawney. Uczniowie stali w wielkim kręgu pod ścianami (niektórzy, jak zauważył Harry, usmarowani czymś, co bardzo przypominało odorosok); byli też wśród nich nauczyciele i duchy. W oczy rzucali się członkowie Brygady Inkwizycyjnej, wyraźnie bardzo z siebie zadowoleni, i Irytek, balansujący w powietrzu i gapiący się na Freda i George'a, którzy stali pośrodku sali z minami ludzi, których właśnie osaczono.

- No i co? - rozległ się triumfalny głos Umbridge, która, jak Harry dopiero teraz się zorientował, stała kilka stopni niżej od niego, spoglądając z góry na swą zdobycz. - Pewnie uważacie za zabawne zamienienie szkolnego korytarza w bagno, co?

- Bardzo zabawne - odrzekł Fred, patrząc na nią bez śladu lęku.

Filch przepchnął się bliżej do Umbridge. Był bliski płaczu ze szczęścia.

- Mam formularz, pani dyrektor - powiedział ochrypłym głosem, wymachując kawałkiem pergaminu, który wziął z jej biurka. - Mam formularz, a bicze już czekają... Och, niech mi pani dyrektor pozwoli zrobić to teraz...

- Dobrze, Argusie. Wy dwaj - tu spojrzała znowu na Freda i George'a - zaraz się dowiecie, co w mojej szkole robi się ze złoczyńcami.

- Taak? - powiedział Fred. - Chyba się nie dowiemy. - Odwrócił się do brata. - George, myślę, że wyrośliśmy już ze szkoły.

- Wiesz, to samo sobie pomyślałem - przyznał ochoczo George.

- Czas, by wypróbować nasze talenty w prawdziwym świecie, co?

- Masz świętą rację - zgodził się George.

I zanim Umbridge zdążyła powiedzieć słowo, unieśli różdżki i zawołali razem:

- *Accio miotły!*

Harry usłyszał gdzieś w oddali huk. Spojrzał w lewo i uchylił się w ostatniej chwili, bo miotły Freda i George'a - jedna wciąż wlokąc za sobą gruby łańcuch z żelaznym kółkiem na końcu - już mknęły ku swoim właścicielom. Śmignęły nad schodami i z łoskotem łańcucha zahamowały ostro przed bliźniakami.

- Już się nie zobaczymy! - pożegnał Umbridge Fred, przekładając nogę przez miotłę.

- Masz to jak w banku! I nie musisz do nas pisać! - dodał George, dosiadając swojej miotły.

Fred spojrzał na milczący, obserwujący to wszystko w napięciu tłum uczniów i nauczycieli.

- Jeśli ktoś chciałby nabyć Kieszonkowe Bagno, którego demonstracja odbyła się na górze, zapraszamy na ulicę Pokątną numer dziewięćdziesiąt trzy! Czarodziejskie Dowcipy Weasleyów! Nasz nowy lokal!

- Specjalne zniżki dla tych uczniów Hogwartu, którzy przysięgną, że użyją naszych produktów w celu pozbycia się tego starego nietoperza - dodał George, wskazując na profesor Umbridge.

- ZATRZYMAĆ ICH! - wrzasnęła Umbridge.

Ale było za późno. Kiedy Brygada Inkwizycyjna ruszyła do ataku, Fred i George odbili się mocno od posadzki i wystrzelili na piętnaście stóp w powietrze. Żelazne kółko zakołysało się niebezpiecznie nad głowami. Fred spojrzał na poltergeista, balansującego nad tłumem.

- Irytku, zrób jej piekło w naszym imieniu.

A Irytek, który chyba jeszcze nigdy nie usłuchał polecenia żadnego ucznia, zerwał z głowy swój kapelusz z dzwonkami i wyprężył się w salucie, podczas gdy Fred i George zatoczyli koło i wśród oklasków i wiwatów wylecieli przez otwarte drzwi wejściowe w bajecznie kolorowy zachód słońca.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY
GRAUP

Wciągu następnych kilku dni wszyscy opowiadali sobie wciąż na nowo o ucieczce Freda i George'a na wolność. Harry był pewny, że ta opowieść trafi do kanonu legend Hogwartu. Zanim minął tydzień, nawet ci, którzy byli jej naocznymi świadkami, byli już prawie przekonani, że zanim bliźniacy wylecieli przez drzwi, obrzucili Umbridge łajnobombami. Tuż po tych wydarzeniach wielu mówiło o powtórzeniu ich wyczynu, tak że Harry często słyszał wypowiedzi w stylu: „Słowo daję, są dni, kiedy mam ochotę wskoczyć na miotłę i na zawsze pożegnać to miejsce" albo: „Jeszcze jedna taka lekcja i chyba zrobię to samo, co Weasleyowie..."

Fred i George postarali się, żeby zbyt szybko o nich nie zapomniano. Przede wszystkim nie pozostawili instrukcji, jak pozbyć się cuchnącego bagniska, które teraz wypełniało korytarz piątego piętra we wschodnim skrzydle. Widziano, jak Umbridge i Filch próbują najróżniejszych środków, ale bez skutku. W końcu ogrodzono bagno linami i Filch, zgrzytając zębami, musiał przez nie przeprawiać uczniów. Harry był pewny, że tacy nauczyciele, jak McGonagall czy Flitwick mogliby bez trudu usunąć bagno, ale wszystko wskazywało na to, że - podobnie jak to było w przypadku zaczarowanych fajerwerków Weasleyów - wolą biernie obserwować, jak zmaga się z tym Umbridge.

Poza tym w drzwiach jej gabinetu widniały dwie wielkie dziury w kształcie mioteł, przez które Zmiatacze bliźniaków przeleciały na polecenie swych właścicieli. Filch dopasował nowe drzwi, a Błyskawicę Harry'ego wyniósł do lochów. Krążyły pogłoski, że Umbridge postawiła przy niej na warcie uzbrojonego trolla. Na tym jednak jej kłopoty wcale się nie zakończyły.

Spora liczba uczniów zainspirowanych przez Freda i George'a zaczęła teraz rywalizować o świeżo zwolnione stanowiska Naczelnych Rozrabiaków. Pomimo tych nowych drzwi komuś udało się wrzucić do gabinetu Umbridge włochatego niuchacza, który zdemolował całe wnętrze w poszukiwaniu błyszczących przedmiotów, rzucił się na nią, gdy weszła do środka, i próbował jej odgryźć krótkie, obwieszone pierścionkami paluchy. Łajnobomby i fetorokulki wybuchały na korytarzach tak często, że wśród uczniów zapanowała moda na rzucanie na siebie Zaklęcia Bąblogłowy przed opuszczeniem klasy, co zapewniało na jakiś czas zapas czystego powietrza, choć wyglądali, jakby sobie pozakładali na głowy akwaria dla złotych rybek.

Filch grasował po korytarzach z nahajką w ręku, pragnąc za wszelką cenę przyłapać sabotażystów, ale było ich tylu, że nigdy nie wiedział, w którą stronę się zwrócić. Brygada

Inkwizycyjna próbowała mu pomóc, ale z jej członkami zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Warrington z drużyny Ślizgonów znalazł się w skrzydle szpitalnym, pokryty ohydną wysypką, która sprawiała, że wyglądał, jakby się oblał miodem i wytarzał w płatkach kukurydzianych. Ku uciesze Hermiony, Pansy Parkinson nie przyszła pewnego dnia na lekcje, bo wyrosły jej jelenie rogi.

Stało się też jasne, że przed opuszczeniem Hogwartu bliźniakom udało się sprzedać całkiem sporo Bombonierek Lesera. Gdy tylko Umbridge wchodziła do swojej klasy, uczniowie natychmiast zaczynali mdleć, wymiotować, dostawać wysokiej gorączki lub krwotoku z obu dziurek nosa. Wrzeszcząc i dygocąc z bezsilnej furii, próbowała wykryć źródła tych tajemniczych objawów, ale uczniowie odpowiadali jej uparcie, że chorują na „umbrydżycę". Mimo ukarania czterech klas szlabanem, nie udało się jej rozwiązać tej zagadki, więc w końcu zmuszona była się poddać i pozwolić, by krwawiący, mdlejący, pocący się i wymiotujący uczniowie gromadnie opuszczali jej lekcje.

Lecz nawet użytkownicy Bombonierek Lesera nie mogli mierzyć się z królem chaosu Irytkiem, któremu najwidoczniej rzucone na odchodnym słowa Freda zapadły głęboko w serce. Rechocąc jak wariat, buszował po całej szkole, wylatując nagle z tablic w klasach, przewracając stoły, posągi i wazy. Dwukrotnie zatrzasnął Panią Norris w stojących na korytarzach zbrojach, w których miotała się i miauczała przeraźliwie, dopóki jej nie uwolnił rozwścieczony Filch. Poltergeist rozbijał latarnie i gasił świece, żonglował płonącymi pochodniami nad głowami wrzeszczących ze strachu uczniów, wrzucał do kominków lub wyrzucał za okno schludnie poukładane stosy pergaminów, pozalewał całe drugie piętro, odkręciwszy do oporu wszystkie kurki w łazienkach, podczas śniadania wrzucił do Wielkiej Sali worek z tarantulami, a kiedy chciał zrobić sobie przerwę w tych zabawach, latał za Umbridge i gdy tylko się odezwała, strzelał przeraźliwie z malinowej gumy do żucia.

Nikt prócz Filcha jakoś nie kwapił się, by jej pomóc. W tydzień po ucieczce Freda i George'a Harry był świadkiem, jak profesor McGonagall przyłapała Irytka na próbie poluzowania kryształowego kandelabra, i mógł przysiąc, że słyszał, jak powiedziała do poltergeista kątem ust: „Odkręca się w drugą stronę".

Na domiar wszystkiego, Montague nadal nie przychodził do siebie po swym przymusowym pobycie w toalecie. Wciąż był rozkojarzony i nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje, aż w pewien wtorek na alejce wiodącej do zamku pojawili się jego rodzice, najwyraźniej bardzo zdenerwowani.

- Jak myślicie, może powinniśmy powiedzieć? - zapytała z niepokojem Hermiona podczas lekcji zaklęć, przyciskając policzek do okna, żeby ich lepiej widzieć. - O tym, co mu się stało? Może to by pomogło pani Pomfrey?

- Coś ty, sam wyzdrowieje - mruknął obojętnie Ron.

- A w każdym razie Umbridge będzie miała przez to więcej kłopotów, no nie? - dodał z satysfakcją Harry.

Obaj stuknęli różdżkami w filiżanki, żeby je zaczarować. Filiżance Harry'ego wyrosły cztery nóżki, zbyt krótkie, by dosięgnąć stolika, więc tylko machała nimi bezradnie w powietrzu. Natomiast Ronowi udało się wyczarować cztery bardzo cienkie, pajęcze nóżki, które z trudem uniosły filiżankę, zadygotały i ugięły się raptownie, a filiżanka pękła na dwie części.

- *Reparo!* - Hermiona szybko naprawiła filiżankę, machnąwszy różdżką. - Może macie rację, ale co będzie, jak jemu się to nie cofnie?

- Mam to gdzieś - żachnął się Ron, podczas gdy jego filiżanka ponownie zachwiała się jak pijana na cienkich nóżkach. - Sam sobie jest winny. Po co próbował nam odbierać punkty? Jak już musisz się o kogoś martwić, martw się o mnie!

- O ciebie? - zapytała, chwytając swoją filiżankę, która skakała radośnie na czterech mocnych, przypominających gałązki wierzby nóżkach. - A niby dlaczego miałabym się o ciebie martwić?

- Kiedy następny list od mamy przejdzie przez kontrolę Umbridge - odpowiedział smętnie Ron, podtrzymując swoją filiżankę, żeby jej się nie załamały wątłe nóżki - będę w poważnych tarapatach. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby mi znowu przysłała wyjca.

- Ale...

- Zobaczysz, okaże się że ucieczka Freda i George'a to moja wina. Na pewno powie, że powinienem ich zatrzymać, że mogłem uwiesić się ich mioteł czy coś w tym rodzaju... Tak, to wszystko będzie moja wina...

- No wiesz, to by było bardzo niesprawiedliwe, przecież nic nie mogłeś zrobić! Ale jestem pewna, że nie zrobi ci awantury, bo jeśli to prawda, że mają już lokal przy Pokątnej, to musieli to planować od dawna...

- Tak, ale w jaki sposób zdobyli ten lokal? - zapytał Ron, uderzając swoją filiżankę różdżką tak mocno, że jej nóżki znowu się załamały i upadła, wymachując nimi rozpaczliwie. - To mi pachnie jakimś przekrętem. Żeby wynająć lokal na Pokątnej, trzeba mieć kupę galeonów, i mama na pewno będzie chciała wiedzieć, skąd je wytrzasnęli...

- Mnie też to chodziło po głowie - powiedziała Hermiona, pozwalając swojej filiżance pobiegać wokół filiżanki Harry'ego, której krótkie grube nóżki wciąż nie mogły dosięgnąć blatu stolika. - Zastanawiałam się, czy przypadkiem Mundungus nie wciągnął ich w handel kradzionymi towarami albo coś w tym stylu...

- Nie zrobił tego - odezwał się szorstko Harry.

- Skąd wiesz? - zapytali jednocześnie Ron i Hermiona.

- Bo... - Harry zawahał się, ale po chwili uznał, że nadszedł już czas na to wyznanie, skoro padły podejrzenia o przestępstwo. - Bo złoto dostali ode mnie. Dałem im moją nagrodę za zwycięstwo w Turnieju Trójmagicznym w zeszłym roku.

Zapadło milczenie, wykorzystane przez filiżankę Hermiony, która pobiegła do skraju stolika i spadła z niego, roztrzaskując się na podłodze.

- Och, Harry, naprawdę? Nie wierzę!

- No to uwierz - mruknął Harry. - I wcale tego nie żałuję... mnie forsa niepotrzebna, a oni będą mieli swój wymarzony sklep...

- Dla mnie to bomba! - ucieszył się Ron, wyraźnie bardzo przejęty. - To wszystko twoja wina... Mama nie może mnie za nic obwiniać! Mogę jej powiedzieć?

- Chyba powinieneś - stwierdził ponuro Harry. - Zwłaszcza gdyby miała pomyśleć, że sprzedawali kradzione kociołki albo coś w tym stylu...

Hermiona nie odezwała się już do końca lekcji, ale Harry podejrzewał, że wkrótce jej to minie. I rzeczywiście, kiedy tylko wyszli z zamku na przerwę i stanęli w słabym majowym słońcu, utkwiła w Harrym wzrok i otworzyła usta ze zdecydowaną miną.

Harry uprzedził ją, zanim wypowiedziała choćby jedno słowo.

- Tylko mnie nie męcz, nie ma sensu. Już się stało. Fred i George dostali złoto... jak widać, sporo już wydali... a ja już im go nie odbiorę, zresztą wcale tego nie chcę. Więc daruj sobie kazanie, Hermiono.

- Wcale nie miałam zamiaru mówić o Fredzie i George'u! - odpowiedziała urażonym tonem.

Ron prychnął z niedowierzaniem, a Hermiona spojrzała na niego ze złością.

- Tak, nie miałam zamiaru! A jak już chcecie wiedzieć, to zamierzałam zapytać Harry'ego, kiedy pójdzie do Snape'a i poprosi go o dalsze lekcje oklumencji!

Harry zmarkotniał. Kiedy już mieli dosyć dyskutowania o dramatycznej ucieczce Freda i George'a, co zajęło im wiele godzin, Ron i Hermiona zaczęli pytać o Syriusza. Harry nie zdradził im, po co właściwie chciał się z nim widzieć, ale wyznał szczerze, że Syriusz domaga się, by podjął na nowo lekcje oklumencji. Zaraz zaczął tego żałować, bo Hermiona

nieustannie mu o tym przypominała, i to najczęściej wtedy, kiedy się tego zupełnie nie spodziewał.

- I nie wmawiaj mi, że nie masz już tych okropnych snów - dodała teraz - bo Ron mi powiedział, że ostatniej nocy znowu bełkotałeś przez sen.

Harry rzucił wściekłe spojrzenie Ronowi, który miał na tyle poczucia przyzwoitości, że zrobił zawstydzoną minę.

- Mamrotałeś trochę i tyle - wybąkał przepraszającym tonem. - Coś jakby: „Jeszcze trochę”...

- Śniło mi się, że patrzyłem, jak grasz w quidditcha - skłamał brutalnie Harry. - Próbowałem ci powiedzieć, żebyś wychylił się jeszcze trochę z miotły, to w końcu złapiesz kafla.

Ronowi poczerwieniały uszy, a Harry poczuł coś w rodzaju mściwej satysfakcji. Oczywiście wszystko to zmyślił.

Ostatniej nocy znowu śnił o wędrówce korytarzem Departamentu Tajemnic. Przeszedł przez okrągłą salę, potem przez pokój, w którym coś klikało, a po ścianach tańczyły światełka, aż wreszcie znalazł się w owej mrocznej komnacie z rzędami półek zawalonych zakurzonymi szklanymi kulkami...

Pobiegł prosto do rzędu numer dziewięćdziesiąt siedem, skręcił w lewo... to pewnie wtedy musiał powiedzieć na głos: „Jeszcze trochę”, bo już czuł, że jest bliski przebudzenia... i zanim dotarł do końca rzędu, rzeczywiście się obudził, stwierdzając, że leży w swoim łóżku o czterech słupkach i gapi się na baldachim.

- Ale starasz się zablokować umysł? - zapytała Hermiona, przyglądając mu się uważnie. - Ćwiczysz oklumencję, prawda?

- Oczywiście - odrzekł Harry, starając się, by jego głos zabrzmiał tak, jakby to pytanie go obrażało, ale nie patrzył jej w oczy.

A naprawdę tak bardzo pragnął odkryć, co jest w komnacie z zakurzonymi kuleczkami, że z niecierpliwością oczekiwał tego powtarzającego się snu.

Problem polegał na tym, że wobec mających nastąpić już za miesiąc sumów, każdą wolną chwilę poświęcał na naukę, więc jego umysł tak był przeładowany najróżniejszymi informacjami, że w ogóle trudno mu było zasnąć. Kiedy w końcu mu się to udawało, miał głupie sny o egzaminach. Podejrzewał też, że część jego świadomości - ta, która często przemawiała głosem Hermiony - miała poczucie winy, kiedy tylko znalazł się w korytarzu zakończonym czarnymi drzwiami, i starała się go obudzić, zanim dotrze do celu wędrówki.

- Wiesz co - powiedział Ron, który nadal miał czerwone uszy - jeśli Montague nie wyzdrowieje przed meczem Ślizgonów z Puchonami, możemy mieć szansę na zdobycie Pucharu.

- Chyba tak - odrzekł Harry, rad ze zmiany tematu.

- No bo na razie jeden mecz wygraliśmy, jeden przegraliśmy... jeśli w przyszłą sobotę Slytherin przegra z Hufflepuffem...

- Tak, masz rację - przerwał mu szybko Harry, bo zobaczył Cho Chang idącą korytarzem i demonstracyjnie nie zwracającą na niego uwagi.

* * *

Ostatni mecz sezonu, Gryfoni przeciw Krukonom, miał się odbyć w ostatnią sobotę maja. Chociaż Ślizgoni przegrali z Puchonami niewielką liczbą punktów, Gryfoni nie mieli zbyt wielkiej nadziei na zwycięstwo, przede wszystkim ze względu na fatalne wyniki Rona jako bramkarza (choć, oczywiście, nikt mu tego nie powiedział). Sam Ron znalazł jednak nowe źródło optymizmu.

- Gorzej to już chyba nie zagram, co? - wyznał ponuro Harry'emu i Hermionie podczas śniadania w dzień meczu. - Nie mam nic do stracenia, no nie?

- Wiesz co - powiedziała Hermiona, kiedy razem z Harrym szli na stadion wśród podekscytowanego tłumu - myślę, że tym razem Ron może zagrać lepiej, bo nie będzie Freda i George'a. Nigdy w niego za bardzo nie wierzyli...

Dogoniła ich Luna Lovegood. Na głowie miała coś, co okazało się żywym orłem.

- O rany, zapomniałam! - powiedziała Hermiona, patrząc, jak orzeł macha skrzydłami, gdy Luna mijała z godnością grupę chichocących i pokazujących ją sobie palcami Ślizgonek. - Cho dzisiaj gra, prawda?

Harry, który o tym nie zapomniał, tylko mruknął potakująco.

Znaleźli sobie miejsca w drugim od góry rzędzie ławek. Był piękny, bezchmurny dzień, jakby wymarzony dla Rona. Harry zaczął nawet mieć słabą nadzieję, że może Ron nie da dzisiaj okazji Ślizgonom do zaśpiewania znowu prowokacyjnego hymnu „Weasley jest naszym królem".

Komentatorem był jak zwykle Lee Jordan, który bardzo przeżywał odejście Freda i George'a. Kiedy drużyny wybiegały na boisko, zaczął wymieniać nazwiska z mniejszym niż zwykle zapałem.

- ...Bradley...Davies... Chang - i Harry poczuł, że coś mu w żołądku nie tyle podskoczyło, co lekko drgnęło, kiedy Cho wyszła na boisko.

Jej lśniące czarne włosy falowały na wietrze. Nie był pewny, czego naprawdę oczekuje, ale wiedział, że nie wytrzyma już więcej kłótni. Nawet gdy zobaczył, jak Cho gawędzi wesoło z Rogerem Daviesem, kiedy przygotowywali miotły, poczuł tylko lekkie ukłucie zazdrości.

- No i wystartowali! - rozległ się głos Lee Jordana. - Davies natychmiast przejmuje kafla, kapitan Krukonów Davies ma kafla, ogrywa Johnson, mija Bell, mija Spinnet... pędzi prosto na bramkę Gryfonów! Będzie strzelał... i... i... - tu Lee zaklął głośno - i zdobył gola.

Harry i Hermiona i reszta Gryfonów wydali zbiorowy jęk. Jak było do przewidzenia, z sektora Ślizgonów rozbrzmiała pieśń:

Weasley wciąż puszcza gole,
Oczy ma pełne łez...

- Harry - rozległ się ochrypły głos tuż przy uchu Harry'ego. - Hermiono...

Harry obejrzał się i zobaczył brodatą głowę Hagrida. Najwyraźniej przed chwilą przecisnął się przez cały rząd za nimi, bo wskazywał na to stan siedzących w nim pierwszo- i drugoroczniaków. Z jakiegoś powodu przygiął się nisko, jakby nie chciał zostać zauważony, ale i tak głowa mu wystawała z tłumu na jakieś cztery stopy.

- Posłuchajcie - szepnął - moglibyście pójść ze mną? Teraz? Kiedy wszyscy gapią się na mecz...

- Ee... czy nie można z tym poczekać, Hagridzie? - zapytał Harry. - Aż skończy się mecz?

- Nie. Nie, Harry, trzeba zaraz... kiedy wszyscy gapią się na mecz... Proszę...

Z nosa kapała mu krew. Pod oczami miał wielkie czarne siniaki. Harry nie widział go z tak bliska, odkąd wrócił do szkoły. Był strasznie potłuczony.

- Dobra - zgodził się od razu Harry. - Już idziemy.

Razem z Hermiona przepchali się przez swój rząd, nie zważając na sarkania innych uczniów, którzy musieli wstać, żeby ich przepuścić. Ci w rzędzie Hagrida nie uskarżali się głośno, tylko usiłowali się gwałtownie skurczyć.

- Bardzo wam jestem wdzięczny, naprawdę - rzekł Hagrid, gdy razem dotarli do schodów. Kiedy schodzili, wciąż rozglądał się nerwowo. - Żeby tylko nas nie przyuważyła...

- Umbridge? - zapytał Harry. - Nic nie zobaczy, siedzi z całą Brygadą Inkwizycyjną, nie widziałeś? Na pewno się spodziewa awantur podczas meczu.

- Taaa... mała rozróba by nie zawadziła - powiedział Hagrid, wychylając się ostrożnie za krawędź trybun, żeby się upewnić, czy na trawiastym zboczu między stadionem a jego chatką nie ma nikogo. - Mielibyśmy więcej czasu...

- O co chodzi, Hagridzie? - zapytała Hermiona, patrząc na niego z uwagą, gdy szli żwawo w stronę lasu.

- No... zaraz sami zobaczycie. - Obejrzał się za siebie, gdy ze stadionu dobiegł ich potężny ryk widowni. - Hej, czy ktoś strzelił gola?

- Na pewno Krukoni - westchnął Harry.

- Dobrze... dobrze - mruknął niezbyt przytomnym głosem Hagrid.

Musieli biec, by dotrzymać mu kroku, mimo że wciąż rozglądał się wokoło. Kiedy doszli do jego chatki, Hermiona skręciła automatycznie do drzwi, ale Hagrid nie zatrzymał się, tylko poszedł dalej, aż na skraj lasu, gdzie wziął opartą o pień drzewa kuszę. Dopiero wtedy się zorientował, że ich przy nim nie ma.

- Idziemy tam! - zagrzmiał, wskazując ruchem głowy drzewa za sobą.

- Do lasu? - zaniepokoiła się Hermiona.

- Tak. Chodźcie szybko, bo nas ktoś przyuważy!

Harry i Hermiona popatrzyli po sobie i dali nurka w cień drzew za Hagridem, który już oddalał się szybkim krokiem z kuszą na ramieniu, niknąc w zielonym mroku. Musieli pobiec, by go dogonić.

- Hagridzie, dlaczego jesteś uzbrojony? - zapytał Harry.

- Na wszelki wypadek - odrzekł Hagrid, wzruszając ramionami.

- Ale tego dnia, gdy pokazałeś nam testrale, nie wziąłeś kuszy - powiedziała nieśmiało Hermiona.

- Bo wtedy nie szliśmy tak daleko. Zresztą to było, zanim Firenzo dał dyla z puszczy, no nie?

- A co to za różnica?

- Bo inne centaury trochę krzywo na mnie patrzą - odrzekł cicho Hagrid, rozglądając się bacznie. - Kiedyś były... no, zełgałbym, jakbym powiedział, żeśmy się kumplowali... ale jakoś dawało radę z nimi żyć. Trzymały się w kupie, łaziły swoimi ścieżkami, ale zawsze przychodziły, jak chciałem z nimi pogadać. A teraz już nie...

Westchnął ciężko.

- Firenzo powiedział, że są złe, bo zaczął pracować dla Dumbledore'a - powiedział Harry, potykając się o wystający korzeń, bo wpatrywał się w profil Hagrida.

- Zgadza się - odrzekł ponuro Hagrid. - Nawet trochę bardziej. Diabelnie wściekłe. Gdybym się nie wtrącił, toby Firenza zatłukły kopytami na śmierć...

- Zaatakowały go? - zapytała wstrząśnięta Hermiona.

- No - odburknął Hagrid, przepychając się przez nisko wiszące gałęzie. - Rzuciło się na niego z pół stada...

- I ty je powstrzymałeś? - zapytał z podziwem Harry. - W pojedynkę?

- No pewnie, przecież nie mogłem stać i przyglądać się, jak go mordują, no nie? Dobrze, że właśnie tamtędy przechodziłem... A ten Firenzo mógłby o tym pamiętać, zamiast przysyłać mi te swoje głupie ostrzeżenia! - dodał ze złością.

Harry i Hermiona popatrzyli po sobie, zaskoczeni, ale Hagrid tylko się nachmurzył i nie rozwijał tematu.

- Tak czy siak - powiedział, oddychając trochę ciężej niż zwykle - od tego czasu inne centaury są na mnie wściekłe, a kłopot w tym, że w puszczy są ważne... W końcu są tu najmądrzejsze, nie?

- To dlatego tu jesteśmy, Hagridzie? - zapytała Hermiona. - Z powodu centaurów?

- Ale skąd! - odrzekł Hagrid, kręcąc głową. - Nie, nie chodzi o nie... No... faktycznie, one mogą trochę namieszać... Ale zaraz sami zobaczycie, o co mi chodzi...

I umilkł, a po chwili trochę ich wyprzedził, wydłużając krok, tak że mieli duże trudności, by nie stracić go z oczu. Ścieżka była coraz bardziej zarośnięta, a drzewa rosły tak gęsto, że robiło się coraz ciemniej. Wkrótce pozostawili już daleko za sobą polanę, na której Hagrid pokazał im kiedyś testrale, ale Harry nie czuł niepokoju do czasu, gdy Hagrid nagle zboczył między drzewa.

- Hagridzie! - zawołał Harry, przedzierając się przez splątane jeżyny, które Hagrid po prostu przekraczał, i przypominając sobie, co mu się przydarzyło, kiedy ostatnim razem zszedł ze ścieżki w las. - Dokąd idziemy?

- Jeszcze troszkę - rzucił Hagrid przez ramię. - Idziemy, Harry... teraz musimy trzymać się razem...

Ale wcale nie było łatwo trzymać się razem ze względu na gałęzie i cierniste krzaki, przez które Hagrid przechodził jak przez pajęczyny, ale które wczepiały się w szaty Harry'ego i Hermiony, tak że od czasu do czasu musieli tracić po parę minut na wyplątanie się z kolczastych gąszczy. Wkrótce mieli mnóstwo zadrapań i drobnych ran na rękach i nogach. Zagłębili się w puszczę tak daleko, że kroczący przed nimi Hagrid był już tylko wielką ciemną sylwetką w zielonym mroku. Panowała tu złowroga cisza i każdy odgłos brzmiał groźnie. Trzask złamanej gałązki wydawał się hukiem, a najlżejszy szelest, choć mógł

go spowodować niewinny wróbel, sprawiał, że Harry wbijał oczy w mrok, aby wypatrzyć sprawcę. Jeszcze nigdy nie udało mu się zabrnąć tak daleko w głąb puszczy, nie napotykając żadnych stworzeń... Ich nieobecność wydała mu się złowieszcza.

- Hagridzie, może byśmy pozapalali różdżki? - zapytała cicho Hermiona.

- Ee... no dobra - szepnął przez ramię Hagrid. - Fakt, że...

Zatrzymał się nagle, rozglądając się bacznie na boki. Hermiona wpadła na niego i odbiła się do tyłu. Harry złapał ją tuż nad ziemią.

- Może będzie lepij, jak się tu chwilkę zatrzymamy, żebym was... no... troszkę oświecił - powiedział Hagrid. - Zanim tam dojdziemy.

- Wspaniale! - ucieszyła się Hermiona, kiedy Harry postawił ją z powrotem na nogi.

Oboje mruknęli „*Lumos!*", a na końcach ich różdżek zapłonęły światełka, wydobywając z mroku twarz Hagrida. Harry spostrzegł, że znowu jest zaniepokojony i przygnębiony.

- Więc tak - zaczął Hagrid. - Bo widzicie... chodzi o to...

Wziął głęboki oddech.

- No więc... tego... bo ona mnie chyba wyleje... lada dzień.

Harry i Hermiona popatrzyli na siebie, a potem znowu na niego.

- Wytrzymałeś tak długo... - wybąkała Hermiona. - Dlaczego tak myślisz?

- Ona myśli, że to ja podrzuciłem tego niuchacza do jej gabinetu.

- A zrobiłeś to? - zapytał Harry, zanim ugryzł się w język.

- Nie, to nie ja, żebym tak skonał! - oburzył się Hagrid. - Jak tylko chodzi o jakieś magiczne stworzenia, to ona uważa, że mam coś z tym wspólnego! A od czasu, gdy wróciłem, to tylko główkuje, jak mnie wylać na zbity pysk. No, a przecież wiecie, że nie chcę wylecieć, ale gdyby nie te... no... nadzwyczajne okoliczności, o których chcę wam powiedzieć, to sam bym rzucił robotę i odszedł, i to już, zanim ona to zrobi na oczach całej szkoły, jak z tą bidną Trelawney...

Harry i Hermiona zaczęli protestować, ale uciszył ich machnięciem ręki.

- To jeszcze nie koniec świata, mógłbym się przydać Dumbledore'owi, jakbym sobie stąd poszedł, zrobić coś dla Zakonu. A wy tu będziecie mieć Grubbly-Plank... zaliczycie sumy bez problemu... - Głos mu się załamał. - Nie martwcie się o mnie - dodał pospiesznie, gdy Hermiona wyciągnęła rękę, by poklepać go po ramieniu. Wyciągnął wielką chusteczkę z kieszeni kamizelki i otarł nią oczy. - Słuchajcie, nie mówiłbym wam tego wszystkiego, gdybym nie musiał. Ale skoro mam odejść... to... tego... no, nie mogę odejść... zanim komuś nie powiem... bo... no bo musicie mi pomóc. I Ron, jak zechce.

- Oczywiście, że ci pomożemy - powiedział natychmiast Harry. - Co mamy zrobić?

Hagrid pociągnął mocno nosem i bez słowa poklepał Harry'ego po ramieniu z taką siłą, że ten wpadł na najbliższe drzewo.

- Wiedziałem, że się zgodzicie - mruknął w chusteczkę - ale... ale... ja nigdy... wam... tego... nie zapomnę.... No dobra... to idziemy... jeszcze troszkę dalej... Uważajcie, tu są pokrzywy...

Szli w milczeniu przez jakieś piętnaście minut. W końcu Harry już otworzył usta, by zapytać, jak daleko jeszcze, kiedy Hagrid podniósł prawą rękę.

- Spokojnie - powiedział cicho. - Teraz bardzo spokojnie...

Podpełzli do przodu i Harry zobaczył, że stoją przed olbrzymim, gładkim pagórkiem, prawie tak wysokim jak Hagrid. Pomyślał, że to kryjówka jakiegoś wielkiego zwierzęcia, i przeszedł go dreszcz strachu. Dookoła pagórka drzewa były powyrywane, a otaczało go zwalisko pniaków, gałęzi i korzeni, tworzących rodzaj zagrody lub barykady.

- Śpi - szepnął Hagrid.

I rzeczywiście, Harry usłyszał odległe, rytmiczne dudnienie, przywodzące na myśl pracujące miechy. Zerknął na Hermionę, która wpatrywała się w pagórek z lekko otwartymi ustami. Wyglądała na bardzo przerażoną.

- Hagridzie - powiedziała tak cicho, że to dudniące sapanie prawie zagłuszyło jej szept - kto to jest?

Harry pomyślał, że to dziwne pytanie. On sam chciał się zapytać: „Co to jest?"

- Hagridzie, powiedziałeś nam - wyszeptała Hermiona, a różdżka trzęsła się w jej ręku - powiedziałeś nam, że żaden z nich nie chciał tu przyjść!

Harry zerknął na Hagrida i nagle do niego dotarło. Spojrzał na pagórek i z ust wydarł mu się zduszony okrzyk przerażenia.

Pagórek, na którym mogliby się wszyscy łatwo zmieścić, wzdymał się powoli i opadał, w rytm głębokich, dudniących oddechów. To nie był żaden pagórek. To był wypukły grzbiet...

- No bo... tego... bo on wcale nie chciał tu przyjść - stwierdził ponuro Hagrid. - Ale musiałem go tutaj ściągnąć, Hermiono, musiałem!

- Ale po co? - zapytała Hermiona płaczliwym głosem. - Po co... och, Hagridzie!

- No bo se pomyślałem, że jak go tu ściągnę - rzekł Hagrid, też bliski płaczu - i... i trochę go... no... nauczę dobrych manier... to będę go mógł pokazać ludziom, zobaczą, że jest nieszkodliwy...

- Nieszkodliwy! - żachnęła się Hermiona, a Hagrid syknął i zaczął gorączkowo wymachiwać rękami, bo olbrzymie stworzenie chrząknęło głośno i poruszyło się we śnie. - Przecież to on tłucze cię przez cały czas, tak? I dlatego cały jesteś posiniaczony!

- On nie wie, że jest taki silny! I już coś kapuje, już tak nie bije!

- Więc to dlatego powrót do domu zajął ci aż dwa miesiące! Och, Hagridzie, po co go tu ściągnąłeś, skoro wcale tego nie chciał, przecież na pewno byłby szczęśliwszy wśród swoich!

- Znęcały się nad nim, Hermiono, bo jest taki mały!

- Mały? - powtórzyła Hermiona. - MAŁY?!

- Hermiono, nie mogłem go tam zostawić - oświadczył Hagrid, któremu już łzy pociekły po policzkach, niknąc w zmierzwionej brodzie. - Zrozum... to jest mój brat!

Hermiona tylko otworzyła usta i wytrzeszczyła na niego oczy.

- Hagridzie, gdy mówisz „brat" - odezwał się powoli Harry - to masz na myśli...

- No... brata przyrodniego - poprawił się Hagrid. - Wychodzi na to, że jak moja matka zostawiła mojego tatusia, to się związała z innym olbrzymem, no i urodziła tego Graupa...

- Graupa?

- Aha... no... tak to jakoś brzmi, jak wymawia swoje imię. Po angielsku to jeszcze za bardzo nie mówi... Próbuję go nauczyć... No więc w każdym razie chyba go nie polubiła, a przynajmnij nie bardziej ode mnie... Bo, widzicie, u olbrzymów to liczą się tylko duże dzieciaki, a on jest troszkę za mały... tylko szesnaście stóp...

- No tak, jest maleńki! - powiedziała Hermiona z nieco histeryczną ironią. - Tyciusieńki!

- Wszyscy nim pomiatali... ja po prostu nie mogłem go tam zostawić...

- I madame Maxime nie miała nic przeciwko temu? - zapytał Harry.

- Ona... no wiecie, przecież widziała, jak mi na tym zależy - odrzekł Hagrid, splatając i rozplatając swoje olbrzymie dłonie. - Ale... ale wkrótce trochę ją zmęczył... no i się rozdzieliliśmy... Obiecała, że nikomu nie powie...

- To jak ty go tu sprowadziłeś, nie zwracając niczyjej uwagi? - zapytał Harry.

- No więc właśnie dlatego to zajęło tyle czasu. Musiałem wędrować nocami, omijać ludzi... A on, jak zechce, bardzo dobrze udaje pagórek, tylko że wciąż chciał wracać...

- Och, Hagridzie, dlaczego mu nie pozwoliłeś! - powiedziała zrozpaczona Hermiona. Usiadła na zwalonym drzewie i ukryła twarz w dłoniach. - I co ty teraz zamierzasz zrobić z tym dzikim olbrzymem, który chce wrócić do domu?

- No... od razu „dziki”... to już za mocno powiedziane - sprzeciwił się Hagrid, wciąż wykręcając sobie dłonie. - Zgoda, może trochę się na mnie rzuca, jak jest wkurzony, ale robi postępy, duże postępy, siedzi se tutaj cicho...

- To po co są te liny? - zapytał Harry.

Dopiero teraz zauważył grube jak pnie młodych drzewek liny, biegnące od największych drzew ku miejscu, w którym plecami do nich spoczywał na ziemi Graup.

- Uwiązujesz go? - zapytała cicho Hermiona.

- No... tak - przyznał Hagrid z zaniepokojoną miną.

- Bo... już wam mówiłem... on nie wie, że jest taki silny... Teraz Harry zrozumiał, dlaczego w tej części puszczy nie ma żadnych żywych istot.

- Więc czego oczekujesz ode mnie, Harry’ego i Rona? - zapytała z lękiem w głosie Hermiona.

- Żebyście się nim zaopiekowali - wychrypiał Hagrid. - Jak mnie już nie będzie.

Harry i Hermiona spojrzeli na siebie z rozpaczą. Harry uświadomił sobie, że nieopatrznie przyrzekł zrobić wszystko, o co go Hagrid poprosi.

- A na czym to dokładnie ma polegać? - zapytała Hermiona.

- Nie musicie go karmić! - zapewnił ich gorliwie Hagrid. - Sam se zdobywa żarcie, nie ma problemu. Ptaszki, koziołki, takie tam... Nie, on potrzebuje towarzystwa. Gdybym tylko wiedział, że ktoś tu od czasu do czasu zajrzy, że mu trochę pomoże... nauczy go czegoś, sami rozumicie...

Harry nic nie powiedział, tylko odwrócił się, by popatrzeć na wielką bryłę spoczywającą przed nimi. W przeciwieństwie do Hagrida, którego można było uznać za przerośniętego człowieka, Graup miał dziwnie zdeformowane ciało. To, co pierwotnie wziął za olbrzymi omszały głaz, leżący na lewo od pagórka, teraz okazało się głową olbrzyma. Była proporcjonalnie o wiele większa od głowy człowieka, prawie idealnie okrągła i porośnięta gęstymi, poskręcanymi jak runo baranka włosami koloru paproci. Krawędź wielkiego, mięsistego ucha wystawała zza głowy, która zdawała się wyrastać - trochę tak jak wujowi Vernonowi - bezpośrednio z ramion, bo szyi albo w ogóle nie miał, albo była bardzo krótka. Plecy, kryjące się pod czymś w rodzaju brudnego kaftana z byle jak pozszywanych zwierzęcych skór, były bardzo szerokie, a kiedy Graup oddychał we śnie, wybrzuszały się lekko, tak że skóry rozchodziły się w miejscach szwów. Nogi miał podkurczone pod siebie; widać było tylko podeszwy brudnych gołych stóp, wielkich jak płozy sań, spoczywających jedna na drugiej na ziemi.

- Chcesz, żebyśmy go uczyli - powiedział Harry pustym głosem.

Teraz zrozumiał, co oznaczało ostrzeżenie Firenza. *Jego wysiłki nie przynoszą rezultatu. Niech sobie da z tym spokój.* Inne stworzenia żyjące w puszczy na pewno usłyszały, jak Hagrid próbuje nauczyć Graupa angielskiego...

- No tak... nawet jakbyście tylko trochę do niego pogadali... od czasu do czasu - powiedział Hagrid z nadzieją w głosie. - Bo tak se myślę, że jakby mógł pogadać z ludźmi, toby zrozumiał, że my go naprawdę lubimy, chcemy, żeby tu został...

Harry spojrzał na Hermionę, która zasłoniła twarz dłońmi i zerkała na niego przez palce.

- Coś mi się widzi, że wolałabyś już Norberta - powiedział, a ona roześmiała się niezbyt przekonująco.

- To co, zrobicie to, tak? - zapytał Hagrid, jakby tego nie dosłyszał.

- No więc... - zaczął Harry, pamiętając o swoim przyrzeczeniu - spróbujemy, Hagridzie...

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć, Harry - rzekł Hagrid bardzo wilgotnym głosem, uśmiechając się przez łzy i osuszając sobie twarz chusteczką. - I wcale nie chcę, żebyście tu wciąż przyłazili... przecież wiem, że macie egzaminy... Jakbyście tylko mogli narzucić pelerynę-niewidkę i zajrzeć tu... no, może raz na tydzień... i trochę z nim pogadać... Zaraz go obudzę i was przedstawię...

- C-co... nie! - krzyknęła cicho Hermiona, zrywając się na równe nogi. - Hagridzie, nie, nie budź go, naprawdę, nie musisz nas...

Ale Hagrid już przelazł przez leżący przed nimi wielki pień i podchodził do Graupa. Kiedy zbliżył się do niego na jakieś dziesięć stóp, chwycił z ziemi długą, odłamaną gałąź, uśmiechnął się uspokajająco przez ramię do Harry'ego i Hermiony, a potem dźgnął mocno Graupa w plecy końcem gałęzi.

Olbrzym ryknął, a echo poniosło ten ryk przez cichy las. Ze szczytów okolicznych drzew zerwały się w popłochu ptaki. Tymczasem przed Harrym i Hermioną Graup podnosił się z ziemi, która zadrżała, gdy położył na niej wielką dłoń, aby się dźwignąć na kolana, po czym odwrócił głowę, by zobaczyć, kto go niepokoi.

- W porząsiu, Graupku? - zapytał Hagrid raźnym głosem, cofając się z gałęzią w ręku, gotów ponownie dźgnąć olbrzyma. - Dobrze się spało?

Harry i Hermioną uciekli, jak mogli najdalej, nie tracąc olbrzyma z oczu. Graup ukląkł między dwoma drzewami, których jeszcze nie wyrwał. Patrzyli w jego przerażająco wielką twarz, przypominającą szary księżyc w pełni wyłaniający się z mroku polany. Sprawiała wrażenie, jakby ktoś wziął wielką kamienną kulę i wyciosał w niej rysy. Nos miał krótki,

płaski i bezkształtny, usta koślawe, pełne nierównych żółtych zębów wielkości połówek cegieł. Małe, mętne oczka, koloru zielonkawobrązowego, były jeszcze na pół sklejone od snu. Podniósł brudne ręce i przetarł sobie oczy knykciami - każdy wielkości piłki do krykieta - po czym nagle wstał z zadziwiającą szybkością i zwinnością.

- Ojej... - usłyszał Harry tuż obok siebie przerażony jęk Hermiony.

Drzewa, do których były przywiązane końce lin krępujących nadgarstki i kostki u nóg olbrzyma, zatrzeszczały złowieszczo. Miał, tak jak powiedział Hagrid, przynajmniej szesnaście stóp wysokości. Rozglądając się niezbyt przytomnie wokoło, wyciągnął dłoń wielkości parasola plażowego, ściągnął ptasie gniazdo z jednej z wyższych gałęzi wysokiej sosny i odwrócił je do góry dnem z wyraźnym rozczarowaniem, bo nie było w nim ptaka. Hagrid szybko uniósł ręce do góry, żeby osłonić sobie głowę przed spadającymi jak granaty jajkami.

- Przyprowadziłem parę przyjaciół, żebyście się poznali! - krzyknął Hagrid, spoglądając bacznie w górę, czy aby nie lecą kolejne jajka. - Pamiętasz, mówiłem ci o tym! Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że mogę sobie zrobić małą wycieczkę, a oni się tobą zaopiekują? Pamiętasz to, Graupku?

Ale Graup tylko ryknął ponownie, tym razem trochę ciszej; trudno było zgadnąć, czy cokolwiek do niego dotarło. Chwycił za szczyt sosny i ciągnął go ku sobie, najwyraźniej z czystej ciekawości, jak daleko odskoczy, gdy go puści.

- Graupku, nie rób tego! - krzyknął Hagrid. - Właśnie w ten sposób powyrywałeś już te inne...

I rzeczywiście, ziemia wokół korzeni sosny zaczęła pękać.

- Mam dla ciebie towarzystwo! - krzyknął Hagrid. - Towarzystwo, zobacz! Popatrz tutaj, ty wielki pajacu, przyprowadziłem ci znajomych!

- Och, Hagridzie, nie! - jęknęła Hermiona, ale Hagrid już podniósł gałąź i jeszcze raz mocno dźgnął Graupa w kolano.

Olbrzym puścił sosnę, która zachwiała się złowieszczo, obsypując Hagrida deszczem igieł, i spojrzał w dół.

- To jest Harry, Graupku! - powiedział Hagrid spiesząc do miejsca, w którym stali. - Harry Potter! On będzie do ciebie przychodził, jak ja na trochę odejdę, rozumiesz?

Olbrzym dopiero teraz zauważył Harry'ego i Hermionę. Patrzyli ze strachem, jak pochylił ku nim swą wielką jak głaz głowę.

- A to jest Hermiona, widzisz? Her... - tu się zawahał, po czym zwrócił się do niej: - Hermiono, mogę cię nazywać Hermą? Bo masz trochę za długie imię i może nie zapamiętać...

- Tak, proszę bardzo - pisnęła Hermiona.

- To jest Herma, Graupku! Ona też będzie cię odwiedzać! Fajnie, co? No nie? Będziesz miał dwójkę przyjaciół... GRAUPKU, NIE!

Ramię Graupa wystrzeliło ku Hermionie. Harry złapał ją i odciągnął za drzewo, tak że palce olbrzyma drasnęły pień, ale zacisnęły się w powietrzu.

- BRZYDKI GRAUPEK! - wrzeszczał Hagrid, a Hermiona przywarła do Harry'ego za drzewem, drżąc i łkając. - BRZYDKI! NIE WOLNO ŁAPAĆ... AUUUU!

Harry wychylił głowę zza pnia i zobaczył, że Hagrid leży na ziemi, trzymając się za nos. Graup najwidoczniej przestał się nimi interesować, bo wyprostował się i znowu odciągnął szczyt sosny tak daleko, jak się dało.

- No dobra - mruknął Hagrid, wstając i zaciskając sobie krwawiący nos palcami, a drugą ręką chwytając kuszę. - I po krzyku... Poznaliście się... i teraz już was rozpozna, jak tu przyjdziecie. No tak... to... tego...

Spojrzał na Graupa, który odciągał sosnę z wyrazem zachwytu na swej głazowatej twarzy. Trzasnęły wyrywane z ziemi korzenie...

- No, chyba już dość jak na jeden dzień - powiedział Hagrid. - To co... ee... może już pójdziemy, co?

Harry i Hermiona pokiwali głowami. Hagrid wziął kuszę na ramię i pierwszy zagłębił się las, wciąż trzymając się za nos.

Przez dobrą chwilę nikt się nie odzywał, nawet wtedy, gdy usłyszeli głuchy łoskot, oznaczający, że Graupowi udało się w końcu wyrwać sosnę z ziemi. Hermiona miała bladą i napiętą twarz. Harry milczał, bo nie wiedział, co powiedzieć. Co się stanie, jak ktoś odkryje, że Hagrid ukrywa olbrzyma w Zakazanym Lesie? A on, Harry, przyrzekł, że wraz z Hermiona i Ronem będzie kontynuował bezsensowne próby ucywilizowania olbrzyma... Jak Hagrid mógł tak zgłupieć - nawet uwzględniając jego bezgraniczną naiwność, która pozwalała mu myśleć, że uzbrojone w kły potwory są milutkie i nieszkodliwe - by uwierzyć, że Graup kiedykolwiek będzie mógł żyć wśród ludzi?

- Stójcie - powiedział nagle Hagrid, akurat w chwili, gdy Harry i Hermiona zmagali się z połacią gęstego rdestu.

Wyciągnął strzałę z kołczana na ramieniu i nałożył ją na łożysko kuszy. Harry i Hermiona unieśli różdżki. Teraz, kiedy się zatrzymali, oni również usłyszeli jakiś ruch w pobliżu.

- O cholibka - mruknął Hagrid.

- Chyba ci powiedzieliśmy, Hagridzie - rozległ się męski głos - że nie jesteś już tutaj mile widziany?

Nagi męski tors zdawał się płynąć ku nim przez zielony półmrok. Dopiero po chwili spostrzegli, że jest połączony z tułowiem kasztanowatego konia. Ten centaur miał dumną twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi i długie czarne włosy. On też był uzbrojony: na jednym ramieniu miał zawieszony długi łuk, a na drugim kołczan pełen strzał.

- Sie masz, Magorianie - powitał go ostrożnie Hagrid.

Drzewa zaszeleściły i wyłoniło się zza nich jeszcze pięć centaurów. Harry rozpoznał czarnego i brodatego Zakałę, którego spotkał prawie cztery lata temu, w tę samą noc, kiedy poznał Firenza. Zakała nie dawał po sobie poznać, że kiedykolwiek przedtem widział już Harry'ego.

- No tak - powiedział teraz pogardliwie, zanim zwrócił się do Magoriana. - Chyba uzgodniliśmy, co zrobimy, jak ten człeczyna pokaże się znowu w puszczy?

- Więc jestem teraz „człeczyną", tak? - zapytał Hagrid. - Za to, że was powstrzymałem od mordu, tak?

- Nie powinieneś się mieszać w nasze sprawy, Hagridzie - odrzekł Magorian. - My mamy swoje życie i swoje prawa. Firenzo zdradził nas i okrył hańbą.

- Nie wiem, jak sobie to wykombinowaliście - powiedział niecierpliwie Hagrid. - On nie zrobił nic złego, tylko pomógł Albusowi Dumbledore'owi...

- Firenzo poszedł na służbę do ludzi - rzekł szary centaur o surowej, pooranej zmarszczkami twarzy.

- Na służbę! - żachnął się Hagrid. - Wyświadcza Dumbledore'owi przysługę i zaraz na...

- Przekazuje ludziom naszą wiedzę i nasze tajemnice - powiedział cicho Magorian. - Nie możemy wybaczyć takiej hańby.

- Mówcie, co chcecie - Hagrid wzruszył ramionami - ale osobiście uważam, że popełniacie wielki błąd...

- Tak jak ty, człeczyno - przerwał mu Zakała - wracając do naszej puszczy, choć cię ostrzegliśmy...

- A teraz ty mnie posłuchaj - warknął Hagrid. - Nie gadaj mi tu o żadnej „naszej" puszczy. Nie ty będziesz ustalał, kto do niej wchodzi i kto z niej wychodzi...

- Ani ty, Hagridzie - powiedział Magorian. - Dzisiaj cię puścimy, bo są z tobą twoje młode...

- Jakie tam jego! - przerwał mu z pogardą Zakała. - To uczniowie z tej szkoły! Już pewno korzystają z nauk tego zdrajcy Firenza...

- Ale zabicie źrebiąt to straszna zbrodnia - powiedział spokojnie Magorian. - Nie tykamy niewinnych. Dzisiaj, Hagridzie, możesz przejść. Ale odtąd trzymaj się z dala od tego miejsca. Utraciłeś przyjaźń centaurów, kiedy pomogłeś uciec zdrajcy Firenzowi.

- Stadko takich mułów jak wy nie będzie mi tu rozkazywać! - krzyknął Hagrid.

- Hagridzie - zawołała piskliwym głosem przerażona Hermiona, kiedy Zakała i szary centaur zaczęli drzeć kopytami ziemię - chodźmy stąd, błagam cię, chodźmy już!

Hagrid ruszył naprzód, ale kuszę wciąż trzymał w pogotowiu, wpatrując się groźnie w Magoriana.

- Wiemy, co trzymasz w tej puszczy, Hagridzie! - zawołał za nim Magorian, kiedy centaury znikły im z oczu. - Nasza cierpliwość już się kończy!

Hagrid odwrócił się z taką miną, jakby chciał się cofnąć.

- Mam w nosie waszą cierpliwość! - ryknął. - To tak samo jego puszcza, jak wasza!

Harry i Hermiona naparli na niego, by zmusić go do odejścia. Spojrzał na nich z góry, wciąż nachmurzony, ale powoli na jego twarzy pojawił się wyraz lekkiego zaskoczenia. Chyba w ogóle nie poczuł, że go pchają.

- Spokojnie, nie ma strachu - mruknął i ruszył do przodu, a kiedy pobiegli za nim, dysząc, dodał: - A to ci dopiero sakramenckie kuce, nie?

- Hagridzie - wydyszała Hermiona, okrążając kępę pokrzyw - skoro centaury nie życzą sobie ludzi w puszczy, to nie wiem, jak my z Harrym...

- Przecie żeś usłyszała, co powiedzieli - odrzekł lekceważąco Hagrid. - Nie ukrzywdzą źrebaków... to znaczy... dzieciaków. A zresztą nie możemy pozwolić, żeby ta banda nam rozkazywała...

- Właśnie widzieliśmy - mruknął Harry do Hermiony, która miała zrozpaczoną minę.

Wreszcie wyszli na ścieżkę, po dziesięciu minutach marszu drzewa zaczęły rzednąć i pojawiły się między nimi plamy błękitnego nieba, a z oddali dobiegły ich okrzyki i grzmot oklasków.

- Pewnie znowu strzelili gola, nie? - powiedział Hagrid, zatrzymując się w cieniu drzew na skraju lasu i patrząc w stronę stadionu. - A może już po meczu?

- Nie wiem - odpowiedziała cicho Hermiona. Harry dopiero teraz spostrzegł, że Hermiona wygląda okropnie. W jej włosach tkwiło pełno gałązek i liści, szatę miała porwaną, a na twarzy i rękach liczne zadrapania. Pomyślał, że sam chyba wygląda nieco lepiej.

- Wiecie co, chyba już po wszystkim! - rzekł Hagrid, wciąż patrząc w stronę stadionu. - Patrzcie... ludzie już wychodzą... jak się pospieszycie, to wmieszacie się w tłum i nikt się nie kapnie, że tutaj byliście!

- Dobry pomysł - zgodził się Harry. - No to... do zobaczenia, Hagridzie...

- Nie wierzę mu - powiedziała Hermiona roztrzęsionym głosem, kiedy tylko się oddalili. - Nie wierzę mu. Naprawdę mu nie wierzę...

- Uspokój się.

- Uspokój się! Olbrzym! Olbrzym w puszczy! A my mamy go uczyć angielskiego! Oczywiście zakładając, że uda się nam przejść koło stada żądnych krwi centaurów! W jedną i w drugą stronę! Ja... mu... NIE WIERZĘ!

- Na razie nie musimy niczego robić - próbował ją pocieszyć Harry, kiedy przyłączyli się do strumienia rozgadanych Puchonów, wracających do zamku. - Sam powiedział, że to na wypadek, gdyby go wywalili, a do tego może w ogóle nie dojść...

- Och, przestań już, Harry! - powiedziała ze złością Hermiona, zatrzymując się tak raptownie, że idący za nią musieli gwałtownie skręcić, żeby ją wyminąć. - Dobrze wiesz, że go wkrótce wyrzucą, a po tym, co właśnie widzieliśmy, trudno nawet mieć o to pretensje do Umbridge!

Zapadło milczenie. Harry wpatrywał się w nią, nachmurzony, a jej oczy powoli napełniały się łzami.

- Chyba naprawdę tak nie myślisz - powiedział cicho.

- No dobra... nie myślę - odrzekła, ocierając ze złością oczy. - Ale dlaczego on tak utrudnia życie sobie... i nam?

- Nie wiem...

Weasley jest naszym królem,
Bramkarzem jest na fest!
Więc zaśpiewajmy chórem
On naszym królem jest!

- Och, żeby już przestali śpiewać tę głupią piosenkę - jęknęła Hermiona. - Nie mają już dość tego puszenia się?

Zielonym zboczem spływała od stadionu wielka fala uczniów.

- Chodźmy szybciej, bo zaraz napatoczymy się na Ślizgonów - ponagliła Hermiona.

Weasley nie puszcza goli,
Bramkarzem jest na fest!
Więc śpiewają Gryfoni
On naszym królem jest!

- Hermiono... - powiedział powoli Harry.

Pieśń rozbrzmiewała coraz głośniej, ale dochodziła wyraźnie wcale nie z zielono-srebrnego tłumu Ślizgonów, tylko z czerwono-złotej masy uczniów, niosących na ramionach samotną postać...

Weasley jest naszym królem,
Nie będzie więcej łez!
Trzech pętli broni murem,
On naszym królem jest!

- Nie! - szepnęła Hermiona.

- TAK! - powiedział głośno Harry.

- HARRY! HERMIONO! - ryknął Ron, wymachując srebrnym Pucharem Quidditcha. - UDAŁO SIĘ! ZWYCIĘŻYLIŚMY!

Uśmiechnęli się do niego z dumą, kiedy ich mijał. Przy drzwiach zamku zrobiło się małe zamieszanie i Ron wyrżnął głową w nadproże, ale nikt go nie chciał puścić. Rozśpiewany tłum wlał się do sali wejściowej i zniknął im z oczu. Harry i Hermiona wciąż stali, rozradowani, aż ostatnie tony hymnu ucichły w oddali. Wtedy spojrzeli na siebie i przestali się uśmiechać.

- Zachowamy to w tajemnicy do jutra, dobrze? - zaproponował Harry.

- Dobrze - zgodziła się Hermiona. - Wcale się nie spieszę...

Razem weszli po kamiennych stopniach. W drzwiach instynktownie spojrzeli przez ramię w stronę Zakazanego Lasu. Harry nie był do końca pewny, czy to nie jego wyobraźnia, ale wydawało mu się, że znad wierzchołków drzew wzbiła się w powietrze chmara ptaków, jakby drzewo, na którym się gnieździły, zostało nagle wyrwane z korzeniami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY
SUMY

Po zdobyciu przez Gryfonów Pucharu Quidditcha Ron wpadł w taką euforię, że następnego dnia nie był w stanie na niczym się skupić. Chciał mówić tylko o meczu, więc Harry i Hermiona napotykali na duże trudności, by skierować rozmowę na temat Graupa. Zresztą za bardzo się nie starali, bo żadne z nich nie miało ochoty przywołać Rona do rzeczywistości w tak brutalny sposób. Dzień był pogodny i ciepły, więc w końcu namówili go, by poszedł z nimi pouczyć się nad jezioro, pod bukowe drzewo, gdzie zagrożenie, że ktoś ich podsłucha, było mniejsze niż w pokoju wspólnym. Z początku Ron nie bardzo miał na to ochotę; wciąż pławił się w szczęściu, bo poklepywał go każdy, kto przechodził koło jego fotela, nie mówiąc już o tym, że co jakiś czas intonowano spontanicznie hymn „Weasley jest naszym królem", ale po chwili uległ argumentowi, że świeże powietrze dobrze mu zrobi.

Porozkładali książki i usiedli w cieniu drzewa, podczas gdy Ron po raz dwunasty opowiadał im, jak się czuł, gdy obronił pierwszego gola.

- No więc wiecie, jak już jednego puściłem, tego, którego strzelił mi Davies, to nie czułem się zbyt pewnie, ale, bo ja wiem, jak Bradley nagle na mnie wyleciał nie wiadomo skąd, pomyślałem sobie... dasz radę! No i miałem około sekundy, żeby zadecydować, gdzie się ustawić, no bo on sprawiał wrażenie, jakby celował w prawą pętlę... w moją prawą, czyli w jego lewą... ale miałem jakieś dziwne przeczucie, że to zmyłka, więc poleciałem w lewo... znaczy się w jego prawo... no i... sami widzieliście, co się stało - zakończył skromnie, zupełnie niepotrzebnie odgarniając włosy do tyłu, tak że wyglądały, jakby je zmierzwił wiatr, i zerkając wokoło, żeby sprawdzić, czy go usłyszała siedząca opadał grupka rozgadanych Puchonów z trzeciej klasy. - A potem, kiedy po jakichś pięciu minutach zaatakował mnie Chambers... Co? - zapytał, przerywając w pół zdania na widok miny Harry'ego. - Czego się śmiejesz?

- Nic podobnego - rzekł szybko Harry, spoglądając na swoje notatki z transmutacji, żeby się opanować. A prawda była taka, że gest Rona przypomniał mu innego Gryfona, który mierzwił sobie włosy w ten sam sposób i pod tym samym drzewem. - Po prostu się cieszę, że wygraliśmy, to wszystko.

- Taak - powiedział powoli Ron, delektując się słowami. - Wygraliśmy. Widzieliście, jaką minę zrobiła Chang, kiedy Ginny sprzątnęła jej znicza sprzed nosa?

- Pewno się popłakała, co? - zapytał z goryczą Harry.

- No... pewnie... ale chyba tylko ze złości... - Ron zmarszczył lekko czoło. - Ale widzieliście, jak cisnęła miotłę, kiedy wylądowała na ziemi, co?

- Ee... - bąknął Harry.

- No więc... mówiąc szczerze, Ron, nie widzieliśmy - powiedziała Hermiona z ciężkim westchnieniem, odkładając książkę i patrząc na niego przepraszająco. - Prawdę mówiąc, widzieliśmy tylko kawałek meczu, ten, kiedy Davies strzelił ci gola.

Starannie potargane włosy Rona jakby nieco oklapły.

- Nie oglądaliście meczu? - zapytał cicho, patrząc to na jedno, to na drugie. - To nie widzieliście, jak broniłem? W ogóle?

- No... nie - odpowiedziała Hermiona, wyciągając do niego rękę, żeby go udobruchać. - Ale widzisz... Ron... my wcale nie chcieliśmy opuszczać stadionu... Musieliśmy!

- Ach tak - powiedział Ron, czerwieniąc się. - A dlaczego?

- Z powodu Hagrida - wyjaśnił mu Harry. - Postanowił nam powiedzieć, dlaczego jest taki poobijany i poraniony od czasu, jak wrócił od olbrzymów. Chciał, żebyśmy z nim poszli do Zakazanego Lasu, nie mieliśmy wyboru, przecież wiesz, jaki on jest... No więc posłuchaj...

Opowiedzenie mu wszystkiego zajęło pięć minut, a pod koniec oburzenie na twarzy Rona ustąpiło miejsca całkowitemu niedowierzaniu.

- Przytargał jednego ze sobą i ukrył w puszczy?!

- Zgadza się - mruknął Harry.

- Nie - powiedział Ron, jakby to mogło zaprzeczyć prawdzie. - Nie, on nie mógł tego...

- Ale zrobił - oświadczyła stanowczo Hermiona. - Graup ma jakieś szesnaście stóp wysokości, zabawia się wyrywaniem wyższych od niego sosen, a mnie zna jako... - prychnęła - jako Hermę.

Ron zaśmiał się nerwowo.

- I Hagrid chce, żebyśmy...

- Uczyli go angielskiego, zgadza się - powiedział Harry.

- To znaczy, że zwariował - prawie z podziwem stwierdził Ron.

- Tak - burknęła Hermiona, przewracając stronę *Transmutacji natychmiastowej* i gapiąc się na serię rysunków przedstawiających sowę zmieniającą się w lornetkę teatralną. - Tak, zaczynam uważać, że zwariował. Ale, niestety, zmusił Harry'ego i mnie, byśmy mu dali słowo.

- Więc po prostu musicie złamać to słowo i tyle - oświadczył stanowczo Ron. - No nie, dajcie spokój... Mamy egzaminy i w ogóle wisimy na włosku. O, tyle brakuje, żeby i nas wylali - prawie zetknął ze sobą kciuk i palec wskazujący. - Zresztą... pamiętacie Norberta?

Pamiętacie Aragoga? Czy kiedykolwiek wynikło coś dobrego z poznania któregoś z tych potwornych kumpli Hagrida?

- Wiem, tylko że... przyrzekliśmy - powiedziała cicho Hermiona.

Ron tym razem przygładził sobie włosy i zrobił taką minę, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał.

- No cóż - westchnął. - Hagrida jeszcze nie wylali, prawda? Już długo się trzyma, może mu się uda jakoś dotrwać do końca semestru i nie będziemy musieli w ogóle zbliżać się do tego Graupa.

* * *

Błonia zamkowe lśniły w słońcu jak świeżo pomalowane, bezchmurne niebo uśmiechało się do siebie w prawie gładkim, roziskrzonym jeziorze, aksamitnozielone trawniki falowały od czasu do czasu w łagodnym powiewie wiatru. Nadszedł czerwiec, ale dla uczniów piątych klas oznaczało to tylko jedno: wreszcie mieli na karku sumy.

Nauczyciele już im nic nie zadawali, a lekcje poświęcali powtarzaniu tych tematów, które według nich mogły pojawić się na egzaminach. Napięta, gorączkowa atmosfera wymiotła z głowy Harry'ego prawie wszystko prócz sumów, choć od czasu do czasu, podczas lekcji eliksirów, zastanawiał się, czy Lupin interweniował u Snape'a w sprawie jego dalszych lekcji oklumencji. Jeśli to nawet uczynił, Snape zignorował Lupina tak, jak teraz ignorował Harry'ego. Harry'emu bardzo to odpowiadało, bo i bez dodatkowych lekcji ze Snape'em miał czas wypełniony nauką, a ku jego uldze Hermiona była zbyt zajęta, żeby go zadręczać oklumencją. Wciąż mruczała coś do siebie pod nosem i nawet przestała zostawiać skrzatom czapeczki.

I nie była wcale jedyną dziwacznie zachowującą się osobą. Ernie Macmillan nabrał irytującego zwyczaju wypytywania innych o ich metody nauki.

- Jak myślicie, ile godzin dziennie poświęcacie na naukę? - zapytał z obłędem w oczach Harry'ego i Rona, kiedy stali w kolejce przed cieplarnią.

- Bo ja wiem - odpowiedział Ron. - Kilka...

- Mniej czy więcej niż osiem?

- Chyba mniej - odrzekł nieco zaniepokojony Ron.

- Bo ja osiem - oznajmił Ernie, wypinając pierś. - Osiem lub dziewięć. Dzień w dzień kuję przez godzinę przed śniadaniem. Osiem to moja średnia. A w sobotę czasem nawet dziesięć. W poniedziałek wkuwałem przez dziewięć i pół godziny. We wtorek było gorzej... tylko siedem i trzy kwadranse. Ale w środę...

Harry był głęboko wdzięczny profesor Sprout, że w tym momencie zaprosiła ich do cieplarni numer trzy, zmuszając Erniego do przerwania tej wyliczanki.

Natomiast Draco znalazł inny sposób na wzniecanie paniki.

- Nieważne, co się wie - pouczał głośno Crabbe'a i Goyle'a przed klasą eliksirów na kilka dni przed początkiem egzaminów - ważne, kogo się zna. Na przykład mój ojciec przyjaźni się od lat z przewodniczącą Czarodziejskiej Komisji Egzaminacyjnej... starą Gryzeldą Marchbanks... bywała u nas na obiadach i w ogóle...

- Myślicie, że to prawda? - zapytała szeptem Hermiona z przestraszoną miną.

- Jeśli to prawda, to i tak nic na to nie poradzisz - stwierdził ponuro Ron.

- Nie sądzę, by tak było - odezwał się za ich plecami Neville. - Bo Gryzelda Marchbanks jest bliską znajomą mojej babci i nigdy nie wspominała o Malfoyach.

- Neville, jaka ona jest? - zapytała natychmiast Hermiona. - Bardzo surowa?

- Jest trochę taka jak babcia - odpowiedział zrezygnowanym tonem.

- Taka znajomość chyba ci nie zaszkodzi, co? - pocieszył go Ron.

- E tam, nie sądzę, żeby to coś pomogło - powiedział Neville, jeszcze bardziej przybity. - Babcia zawsze powtarzała profesor Marchbanks, że nie jestem tak zdolny, jak mój tata... Zresztą... sami widzieliście w Świętym Mungu, jaka ona jest...

Utkwił wzrok w podłodze. Harry, Ron i Hermiona spojrzeli po sobie, ale nie wiedzieli, co powiedzieć. Neville po raz pierwszy wspomniał, że spotkali się w szpitalu czarodziejów.

Tymczasem wśród piątoklasistów i siódmoklasistów rozkwitł czarny rynek na wszelkie środki wspomagające koncentrację, sprawność umysłową i pobudzenie. Harry'ego i Rona kusiła butelka Eliksiru Mózgowego Barufia, oferowana im przez Eddiego Carmichaela, Krukona z szóstej klasy, który przysięgał, że tylko dzięki temu specyfikowi dostał rok temu dziewięć „wybitnych" na egzaminach, i żądał tylko dwanaście galeonów za całe pół kwarty. Ron zapewniał Harry'ego, że odda mu za swoją część, gdy tylko ukończy Hogwart i dostanie pracę, ale zanim zdążyli dobić targu, Hermiona skonfiskowała Carmichaelowi butelkę i wylała jej zawartość do sedesu.

- Hermiono, chcieliśmy to kupić! - krzyknął Ron.

- Nie bądź głupi - warknęła. - Równie dobrze mógłbyś zażyć sproszkowanych pazurów smoka Harolda Dingle'a. Na to samo by wyszło.

- Dingle ma sproszkowany pazur smoka? - zainteresował się Ron.

- Już nie. To też skonfiskowałam. Te wszystkie świństwa wcale nie działają...

- Ale smocze pazury naprawdę działają! - zaperzył się Ron. - Podobno są super, dają ci takiego kopa w mózg, że przez kilka godzin łapiesz wszystko... Hermiono, daj mi choć szczyptę, przecież nic mi się nie stanie...

- Może się stać - powiedziała ponuro Hermiona. - Przyjrzałam się bliżej temu proszkowi i stwierdziłam, że to wysuszone odchody bahanek.

Ta informacja odebrała Harry'emu i Ronowi ochotę na środki pobudzające pracę mózgu.

Podczas następnej lekcji transmutacji dostali rozkład egzaminów i szczegółowy regulamin sumów.

- Jak widzicie - powiedziała profesor McGonagall, gdy spisali z tablicy daty i godziny egzaminów - egzaminy zostały rozłożone na dwa tygodnie. Przed południem będziecie pisać sprawdziany z teorii, a po południu zdawać z praktyki. Oczywiście egzamin praktyczny z astronomii odbędzie się w nocy. Muszę was ostrzec, że wasze arkusze egzaminacyjne zostaną zaczarowane najsilniejszymi zaklęciami przeciw wszelkim oszustwom. Zakazane są samoodpowiadające pióra, podobnie jak przypominajki, odczepiane mankiety ze ściągami i samopoprawiający atrament. Niestety co roku mamy przynajmniej jednego ucznia lub uczennicę, którym się wydaje, że mogą obejść regulamin Czarodziejskiej Komisji Egzaminacyjnej. Mam tylko nadzieję, że nie będzie to nikt z Gryffindoru. Nasza nowa... dyrektorka - to słowo wymówiła z taką miną, z jaką ciotka Petunia patrzyła na wyjątkowo uparty kłąb kurzu - poprosiła opiekunów domów, żeby zapowiedzieli wszystkim, że wszelkie próby ściągania będą wyjątkowo surowo karane... ponieważ, jak się zapewne domyślacie, wasze wyniki będą odzwierciedleniem skuteczności jej nowych metod zarządzania szkołą...

Tu profesor McGonagall lekko westchnęła, a Harry spostrzegł, że nozdrza jej zadrgały.

- Nie jest to jednak powód, abyście nie starali się zdać jak najlepiej. Musicie myśleć o waszej przyszłości.

- Pani profesor, kiedy poznamy wyniki? - zapytała Hermiona, podnosząc rękę.

- Dostaniecie je w lipcu przez sowy.

- Wspaniale - powiedział Dean Thomas donośnym szeptem. - Nie musimy się martwić aż do wakacji...

Harry ujrzał oczami wyobraźni, jak siedzi przez sześć tygodni w sypialni przy Privet Drive 4 i czeka na wyniki egzaminów. No cóż, pomyślał z goryczą, mogę się przynajmniej spodziewać, że w wakacje dostanę jeden list...

Pierwszy egzamin, z teorii zaklęć, miał się odbyć w poniedziałek przed południem. W niedzielę po obiedzie Harry zgodził się przepytać Hermionę, ale wkrótce tego pożałował. Była okropnie podniecona i wciąż wyrywała mu książkę z rąk, żeby sprawdzić, czy jej odpowiedź była absolutnie poprawna, aż w końcu uderzyła go mocno w nos ostrym brzegiem *Wybitnych osiągnięć w czarowaniu*.

- Wiesz co, lepiej przepytaj się sama - oświadczył stanowczo, oddając jej książkę i ocierając łzy z oczu.

Ron zatkał uszy palcami i odczytywał notatki z dwóch lat, poruszając bezgłośnie ustami. Seamus leżał na podłodze, recytując definicję zaklęcia tworzącego, podczas gdy Dean sprawdzał jej poprawność w *Standardowej Księdze Zaklęć, Stopień 5*, a Parvati i Lavender, ćwiczące zaklęcia ruchu, zmuszały swoje piórniki do ścigania się wokół krawędzi stolika.

Podczas kolacji atmosfera była dość napięta. Harry i Ron wiele nie mówili, zajadając z apetytem, bo przez cały dzień ciężko harowali. Hermiona z kolei wciąż odkładała sztućce i nurkowała pod stół, żeby sięgnąć do torby i sprawdzić coś w którejś z książek. Ron właśnie jej mówił, że powinna się najeść, bo nie będzie mogła zasnąć, kiedy widelec wyśliznął jej się z ręki i upadł z głośnym brzękiem na talerz.

- Och, wielkie nieba... - powiedziała cicho, patrząc w stronę sali wejściowej. - To oni? To egzaminatorzy?

Harry i Ron odwrócili się. Przez otwarte drzwi Wielkiej Sali widać było Umbridge stojącą z grupką wiekowych czarownic i czarodziejów. Harry z zadowoleniem stwierdził, że dyrektorka ma dość wystraszoną minę.

- Może podejdziemy, żeby im się lepiej przyjrzeć, co? - zaproponował Ron.

Harry i Hermiona kiwnęli głowami i ruszyli ku podwójnym drzwiom do sali wejściowej, zwalniając kroku po przejściu przez próg. Harry pomyślał, że drobna, przygarbiona czarownica z twarzą tak pomarszczoną, że wyglądała jak pokryta pajęczyną, to pewnie profesor Marchbanks. Umbridge zwracała się do niej z wielkim szacunkiem. Profesor Marchbanks musiała być trochę przygłucha, bo choć stały blisko siebie, odpowiadała jej bardzo głośno.

- Tak, tak, podróż była udana, to dla nas nie pierwszyzna! Ale ostatnio nie miałam żadnych wiadomości od Dumbledore'a! - dodała, rozglądając się po sali, jakby miała nadzieję, że nagle wyjdzie z jakiegoś schowka na miotły. - Pewnie nie masz pojęcia, gdzie on teraz może być?

- Niestety nie - powiedziała Umbridge, łypiąc groźnie na Harry'ego, Rona i Hermionę, którzy przystanęli u stóp marmurowych schodów, a Ron udawał, że rozwiązało mu się sznurowadło. - Ale śmiem twierdzić, że Ministerstwo Magii wkrótce go wytropi...

- Wątpię - oświadczyła głośno profesor Marchbanks. - Jak Dumbledore nie chce, żeby go znaleziono, to nikt go nie znajdzie! Mam podstawy... Osobiście go egzaminowałam z transmutacji i zaklęć, kiedy zdawał owutemy... Wyczyniał różdżką takie rzeczy, jakich w życiu nie widziałam...

- Tak... no to może... - powiedziała profesor Umbridge, podczas gdy Harry, Ron i Hermiona zaczęli wlec się po marmurowych schodach najwolniej, jak mogli - może zaprowadzę was do pokoju nauczycielskiego... Filiżanka herbaty po podróży dobrze wam zrobi...

Tego wieczoru trudno było odpocząć. Każdy próbował coś jeszcze powtórzyć, ale nikomu jakoś to nie wychodziło. Harry wcześnie poszedł do łóżka, ale długo nie mógł zasnąć. Wspominał swoją konsultację w sprawie przyszłej kariery zawodowej i stanowcze oświadczenie McGonagall, że pomoże mu zostać aurorem, nawet jeśli miałaby to być ostatnia rzecz, jaką zrobi... Teraz, gdy już nadszedł czas egzaminów, żałował, że nie przykładał się bardziej do nauki... Wiedział, że nie tylko on nie śpi, ale nikt się nie odzywał i w końcu, jeden po drugim, zasnęli.

Podczas śniadania też nikt nie był rozmowny. Parvati powtarzała pod nosem zaklęcia, co sprawiało, że stojąca przed nią solniczka podrygiwała lekko, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, Hermiona tak szybko czytała *Wybitne osiągnięcia w czarowaniu*, że oczy biegały jej w prawo i w lewo jak oszalałe, Neville'owi wciąż wypadały z rąk sztućce i kilka razy przewrócił słój z marmoladą.

Po śniadaniu uczniowie piątych i siódmych klas zebrali się w sali wejściowej, a inni rozeszli się po klasach. I w końcu, o pół do dziesiątej, zaczęto wzywać do Wielkiej Sali klasę po klasie. Wielka Sala wyglądała dokładnie tak, jak ją Harry zobaczył w myślodsiewni, kiedy jego ojciec, Syriusz i Snape zdawali sumy. Znikły cztery stoły domów, a na ich miejsce pojawiły się rzędy małych stolików, zwróconych w stronę stołu nauczycielskiego w końcu sali, gdzie czekała profesor McGonagall. Kiedy wszyscy usiedli i zapadła cisza, powiedziała: „Możecie zaczynać" i przewróciła wielką klepsydrę stojącą na biurku obok niej, na którym leżały też zapasowe pióra, kałamarze i zwoje pergaminu.

Harry z bijącym sercem sięgnął po swój arkusz egzaminacyjny. Trzy rzędy na prawo i cztery stoliki do przodu od niego Hermiona już skrobała zawzięcie piórem... Spojrzał na

pierwsze pytanie: *a) Podaj formułę zaklęcia; b) opisz, jaki ruch należy wykonać różdżką, żeby przedmiot latał*.

Harry'emu przemknął przez głowę obraz maczugi wzbijającej się w powietrze i lądującej z głuchym łoskotem na grubej czaszce trolla. Uśmiechając się lekko, pochylił się nad pergaminem i zaczął pisać.

* * *

- No i co, nie było tak źle, prawda? - zapytała zaniepokojona Hermiona dwie godziny później w sali wejściowej, wciąż ściskając w dłoni swoją kartę z pytaniami. - Nie jestem pewna, czy napisałam wszystko o zaklęciach rozweselających, po prostu zabrakło mi czasu... Uwzględniliście przeciwzaklęcie na czkawkę? Nie wiedziałam, czy to zrobić, wydawało mi się, że to przesada... A przy pytaniu dwudziestym trzecim...

- Hermiono - przerwał jej surowo Ron - już przez to przeszliśmy... nie będziemy znowu przerabiać całego egzaminu, wystarczył raz.

Piątoklasiści zjedli drugie śniadanie z resztą szkoły (cztery stoły domów wróciły już na swoje miejsce, gdy przyszli), a potem zgromadzili się w małej komnacie obok Wielkiej Sali, gdzie mieli czekać, aż zostaną wezwani na egzaminy z praktyki. Wywoływani byli małymi grupkami, według listy alfabetycznej. Ci, którzy czekali na swoją kolej, mruczeli zaklęcia pod nosem i ćwiczyli ruchy różdżką, co jakiś czas szturchając przez przypadek współtowarzyszy w plecy lub w oko.

Wywołano Hermionę. Drżąc, wyszła z komnaty razem z Anthonym Goldsteinem, Gregorym Goyle'em i Dafne Greengrass. Uczniowie, którzy zdali, już nie wracali, więc Harry i Ron nie mieli pojęcia, jak poszło Hermionie.

- Zda gładko... - mruknął Ron. - Pamiętasz, jak dostała sto dwadzieścia procent za jeden z testów z zaklęć?

Dziesięć minut później profesor Flitwick zawołał:

- Parkinson Pansy... Patii Padma... Patii Parvati... Potter Harry.

- Trzymam kciuki - powiedział cicho Ron.

Harry wszedł do Wielkiej Sali, ściskając różdżkę tak mocno, że drżała mu ręka.

- Potter, profesor Tofty jest wolny - zaskrzeczał profesor Flitwick, stojący tuż przy drzwiach.

Wskazał mu chyba najstarszego i najbardziej łysego egzaminatora, siedzącego przy małym stoliku w dalekim rogu, koło profesor Marchbanks, która egzaminowała właśnie Dracona Malfoya.

- Potter, tak? - zapytał profesor Tofty, sprawdzając w swoich notatkach i zerkając na niego znad binokli. - Ten słynny Potter?

Kątem oka Harry spostrzegł, że Malfoy obrzuca go jadowitym spojrzeniem; szklanka wina, którą wprawiał w lewitację, upadła na posadzkę i rozbiła się. Harry nie mógł się powstrzymać od wyszczerzenia zębów. Profesor Tofty też obdarzył go uśmiechem, zapewne, by dodać mu odwagi.

- No właśnie... Nie ma się co denerwować - powiedział drżącym, starczym głosem. - No więc, dajmy na to, proszę, weź ten kieliszek do jajka i spraw, żeby wywinął parę młynków...

Harry miał poczucie, że poszło mu całkiem nieźle. Lewitacja wyszła mu o wiele lepiej niż Malfoyowi, później było trochę gorzej, bo pomylił zaklęcie zmieniające barwę z zaklęciem powodującym wzrost, więc jego szczur, który miał się zrobić pomarańczowy, wzdął się okropnie i był już rozmiarów borsuka, zanim Harry naprawił błąd. Rad był, że nie widziała tego Hermiona, a później wolał jej o tym nie wspominać. Ronowi mógł się przyznać, bo jego talerz zamienił się w wielkiego grzyba, a Ron nie potrafił wyjaśnić, jak to się stało.

Wieczorem nie było czasu na odpoczynek - po kolacji udali się prosto do pokoju wspólnego i zaczęli kuć transmutację. Kiedy Harry poszedł do łóżka, w głowie mu huczało od skomplikowanych formuł zaklęć i teorii.

Następnego dnia, podczas egzaminu pisemnego, zapomniał definicji zaklęcia zmieniającego, ale bał się, że egzamin praktyczny może pójść jeszcze gorzej. W końcu udało mu się sprawić, że cała jego iguana znikła, podczas gdy przy sąsiednim stoliku biedna Hanna Abbott zupełnie straciła głowę i w jakiś dziwny sposób zamieniła swoją fretkę w stado flamingów. Egzamin trzeba było przerwać na dziesięć minut, żeby wyłapać wszystkie ptaki i wynieść je z Wielkiej Sali.

W środę mieli egzamin z zielarstwa (Harry uznał, że spisał się całkiem nieźle, choć wyszedł z drobną ranka po ukąszeniu przez zębate geranium), a w czwartek obronę przed czarną magią. Tym razem Harry był po raz pierwszy całkowicie pewny, że zdał. Nie miał żadnych problemów na pisemnym, a podczas praktycznego rzucał skutecznie wszystkie przeciwzaklęcia i zaklęcia obronne, czując głęboką satysfakcję, bo odbywało się to na oczach Umbridge, która obserwowała go chłodno spod drzwi do sali wejściowej.

- Brawo! - zawołał profesor Tofty, kiedy mu Harry zademonstrował, jak łatwo pozbywa się bogina. - Bardzo dobrze, naprawdę! No, myślę, że to wystarczy, Potter... Chyba że...

Wychylił się lekko do przodu.

- Słyszałem od mojego dobrego znajomego, Tyberiusza Ogdena, że potrafisz wyczarować patronusa... No to co, za dodatkowy punkt?

Harry uniósł różdżkę, patrząc prosto na Umbridge, i wyobraził sobie, że wyrzucają ją ze szkoły.

- *Expecto patronum!*

Z końca różdżki wystrzelił srebrny jeleń i pomknął przez salę. Wszyscy egzaminatorzy śledzili jego bieg, a kiedy rozpłynął się w srebrną mgiełkę, profesor Tofty entuzjastycznie zaklaskał węźlastymi, żylastymi dłońmi.

- Wspaniale! Bardzo dobrze, Potter, jesteś wolny!

Kiedy Harry przechodził koło stojącej przy drzwiach Umbridge, ich spojrzenia się skrzyżowały. Na jej szerokich, obwisłych ustach błąkał się paskudny uśmieszek, ale nie przejął się tym. Jeśli się bardzo nie mylił (a na wypadek, gdyby tak było, nie zamierzał na razie nikomu o tym mówić), właśnie zdał suma na „wybitny".

W piątek Hermiona zasiadła do egzaminu z runów, a Harry i Ron mieli wolne, więc pozwolili sobie na przerwę w nauce, mając przed sobą jeszcze cały weekend. Zasiedli do partii czarodziejskich szachów, przeciągając się i ziewając przy otwartym oknie, przez które napływało ciepłe letnie powietrze. W oddali widać było Hagrida, prowadzącego lekcję na skraju lasu. Harry zastanawiał się, o jakich stworzeniach się uczą - pomyślał, że chyba o jednorożcach, bo chłopcy stali nieco z tyłu - kiedy z dziury pod portretem wyszła Hermiona. Już z daleka było widać, że jest nadąsana.

- Jak ci poszły runy? - zapytał Ron, ziewając i przeciągając się.

- Źle przełożyłam „ehwaz" - odpowiedziała ze złością Hermiona. - To znaczy „partnerstwo", a nie „obrona". Pomieszało mi się z „eihwaz".

- E tam, to przecież tylko jeden błąd, i tak dostaniesz...

- Och, zamknij się - warknęła Hermiona. - Od tego jednego błędu może zależeć, czy zdałam. A w ogóle to ktoś znowu wrzucił niuchacza do gabinetu Umbridge, nie wiem, jak mu się udało to zrobić, przecież są nowe drzwi, ale przechodziłam tamtędy i słyszałam jej wrzaski... sądząc po nich, chyba próbował jej wygryźć z nogi kawał mięsa...

- Super - powiedzieli jednocześnie Harry i Ron.

- Czyście zupełnie zgłupieli? Przecież ona myśli, że to sprawka Hagrida, nie pamiętacie? A my nie chcemy, żeby go wylali!

- W tej chwili ma lekcję, nie może go podejrzewać - powiedział Harry, wskazując na okno.

- Wiesz co, Harry, czasami jesteś taki naiwny... Naprawdę myślisz, że Umbridge potrzebny jest dowód winy? - zapytała Hermiona, nadal wściekła jak osa, po czym ruszyła w stronę schodów prowadzących do dormitoriów dziewcząt, zatrzasnąwszy za sobą z hałasem drzwi.

- Taka miła, opanowana dziewczyna - mruknął cicho Ron, przesuwając swoją królową tak, żeby mogła zbić jednego ze skoczków Harry'ego.

Zły nastrój Hermiony trwał przez większość weekendu, ale Harry i Ron jakoś to wytrzymywali, przez całą sobotę i niedzielę wkuwając na poniedziałek eliksiry. Tego egzaminu Harry bał się najbardziej, bo był niemal pewny, że po nim pożegna się ze swoim marzeniem o zostaniu aurorem. I rzeczywiście, egzamin pisemny okazał się trudny, choć miał nadzieję, że przynajmniej na jedno pytanie odpowiedział wyczerpująco, jako że odnosiło się do eliksiru wielosokowego. Jego działanie mógł opisać bardzo dokładnie, bo sam zażył go nielegalnie w drugiej klasie.

Popołudniowy sprawdzian praktyczny nie okazał się jednak tak straszny, jak się spodziewał. Snape nie był egzaminatorem, więc Harry był bardziej niż zwykle rozluźniony, gdy przygotowywał swoje eliksiry. Neville, który siedział obok niego, też miał o wiele pewniejszą minę niż zwykle na lekcjach Snape'a. Kiedy profesor Marchbanks oznajmiła: „Odejdźcie od swoich kociołków, koniec egzaminu", Harry zakorkował swoją buteleczkę z próbką, czując, że może i nie dostanie dobrego stopnia, ale przynajmniej zda.

- Jeszcze tylko cztery egzaminy - powiedziała znękanym głosem Parvati Patii, kiedy szli do wieży Gryffindoru.

- Tylko! - żachnęła się Hermiona. - Ja mam numerologię, a to chyba najcięższy przedmiot ze wszystkich!

Nikt nie był na tyle głupi, by jej się odgryźć, więc nie mogła się na nikim wyładować i ograniczyła się do obsztorcowania paru pierwszoroczniaków, zbyt głośno chichocących w pokoju wspólnym.

Harry chciał za wszelką cenę wypaść dobrze podczas wtorkowego egzaminu z opieki nad magicznymi stworzeniami, żeby nie pogrążać Hagrida. Egzamin praktyczny odbył się po południu, na skraju Zakazanego Lasu, gdzie uczniowie musieli prawidłowo zidentyfikować szpiczaka ukrytego wśród tuzina jeżów (trzeba było po kolei podawać im mleko: szpiczaki, podejrzliwe stworzenia, których igły mają wiele właściwości magicznych, na ogół zaczynały się wściekać, sądząc, że to trucizna), a potem pokazać, jak się obchodzić z nieśmiałkiem, nakarmić i oczyścić ognistego kraba, tak, żeby nie odnieść poważniejszych oparzeń, i wreszcie wybrać, spośród różnego pożywienia, odpowiednie dla chorego jednorożca.

Harry widział, jak Hagrid z niepokojem obserwuje ich przez okno swej chatki. Kiedy egzaminatorka Harry'ego, mała pulchna czarownica, uśmiechnęła się do niego i powiedziała, że jest wolny, pokazał Hagridowi uniesiony do góry kciuk, zanim ruszył w kierunku zamku.

W środę przed południem mieli egzamin teoretyczny z astronomii. Harry'emu poszło dość dobrze: nie był, co prawda, do końca przekonany, że wymienił prawidłowo wszystkie księżyce Jowisza, ale był pewny, że żaden z nich nie jest pokryty miodem. Na egzamin praktyczny musieli czekać aż do późnego wieczora, więc po południu zdawali wróżbiarstwo.

Tu już czekała Harry'ego klęska. W uparcie mętnej kryształowej kuli zobaczył akurat tyle, co w blacie stołu, podczas wróżenia z herbacianych flisów całkowicie stracił głowę, twierdząc, że profesor Marchbanks wkrótce spotka jakiegoś tęgiego, ciemnowłosego i przemokniętego obcego, a na koniec pomieszał linię życia i linię inteligencji na jej dłoni i oświadczył, że powinna już nie żyć od zeszłego wtorku.

- No wiesz, w końcu z tym zawsze mieliśmy kłopoty - powiedział ponuro Ron, kiedy wchodzili po marmurowych schodach.

Przed chwilą trochę pocieszył Harry'ego opowieścią o swoim przypadku: powiedział egzaminatorowi, że w kryształowej kuli zobaczył brzydkiego faceta z brodawką na nosie, a kiedy spojrzał na egzaminatora, zorientował się, że to jego właśnie tak dokładnie opisał.

- W ogóle nie powinniśmy chodzić na to głupie wróżbiarstwo - powiedział Harry.

- No, ale w końcu możemy się z nim pożegnać.

- I już więcej nie będziemy udawać, że bardzo nas obchodzi, co się stanie, kiedy Jowisz i Uran się skumają...

- I od dzisiaj nie będę się już przejmował, jeśli fusy w moim kubku oznajmią: „Umrzesz, Ron, umrzesz"... po prostu wrzucę je do śmietnika, tam, gdzie jest ich miejsce.

Harry zaczął się śmiać, ale w tym momencie dogoniła ich Hermiona, więc natychmiast przestał, bojąc się, że ją to rozzłości.

- Numerologia chyba poszła mi nieźle - oznajmiła, a Harry i Ron odetchnęli z ulgą. - Przed obiadem można jeszcze rzucić okiem na mapy nieba...

Kiedy o jedenastej wieczorem stanęli na szczycie Wieży Astronomicznej, stwierdzili, że warunki są wprost idealne do obserwacji gwiazd, bo niebo było bezchmurne, a powietrze spokojne, choć nieco chłodne. Szkolne tereny skąpane były w srebrzystym blasku księżyca. Wszyscy rozstawili swoje teleskopy i na sygnał profesor Marchbanks zaczęli kreślić mapy tych fragmentów nieba, które im przypadły.

Marchbanks i Tofty przechadzali się między nimi, przyglądając się, jak wyznaczają dokładne położenia gwiazd i planet. Słychać było tylko szelest pergaminów, skrobanie piór i -

od czasu do czasu - skrzypienie teleskopu. Minęło pół godziny, potem godzina, aż z ciemnych błoni zaczęły znikać złote prostokąciki, gdy gasły światła w oknach zamku.

Harry ukończył właśnie zaznaczanie konstelacji Oriona na swoim arkuszu, kiedy dokładnie pod blanką wieży, przy której stał, otworzyły się drzwi frontowe zamku i snop światła pobiegł po kamiennych schodach i po trawniku. Musiał zmienić ustawienie teleskopu, a potem spojrzał w dół i zobaczył pięć albo sześć długich cieni poruszających się po jasno oświetlonej trawie, po czym drzwi znowu się zamknęły i błonia znowu utonęły w ciemnościach.

Przyłożył z powrotem oko do teleskopu i zmienił ostrość, obserwując teraz Wenus. Spojrzał na swój arkusz, żeby nanieść tam planetę, ale coś innego przyciągnęło jego uwagę. Zatrzymał pióro w powietrzu i zerknął w dół. Przez ciemne błonia szło pięć postaci. Gdyby się nie poruszały i gdyby blask księżyca nie srebrzył czubków ich głów, trudno byłoby je wyłowić wzrokiem z ciemności. I nawet patrząc z tej odległości, Harry odniósł dziwne wrażenie, że rozpoznaje po kroku przysadzistą postać idącą na przedzie.

Nie miał pojęcia, dlaczego Umbridge wybrała się na przechadzkę po północy, i to w towarzystwie czterech innych osób. A potem ktoś za nim zakaszlał i przypomniał sobie, że jest w trakcie zdawania egzaminu. Całkiem zapomniał położenia Wenus - przyłożył więc oko do soczewki teleskopu i jeszcze raz ją odnalazł, i już miał znowu nanieść na mapę, kiedy - wyczulony na każdy dziwny odgłos - usłyszał dochodzące z oddali stukanie, niosące się echem przez błonia, a tuż po nim stłumione ujadanie psa.

Spojrzał w tamtym kierunku, a serce biło mu jak młotem. W chatce Hagrida paliło się światło i na tle okien widać było teraz sylwetki owych postaci. Otworzyły się drzwi, pięć osób weszło do środka, po czym zapadła cisza.

Harry'ego ogarnął silny niepokój. Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy Ron albo Hermiona zauważyli to samo, co on, ale w tym momencie pojawiła się za jego plecami profesor Marchbanks, więc nie chcąc, by pomyślała, że próbuje podejrzeć czyjąś pracę, szybko pochylił się nad swoją mapą, udając, że coś pisze, podczas gdy w rzeczywistości zerkał przez gzyms ku chatce Hagrida. Po izbie ktoś chodził, bo od czasu do czasu przesłaniał światło.

Czuł wzrok profesor Marchbanks na swoim karku, więc przyłożył znów oko do teleskopu, gapiąc się w księżyc, choć jego pozycję zaznaczył już godzinę temu, ale gdy profesor Marchbanks ruszyła dalej, usłyszał ryk dobiegający przez ciemność aż tu, na szczyt Wieży Aastronomicznej. Kilku uczniów stojących najbliżej niego oderwało oczy od teleskopów i spojrzało w stronę chatki Hagrida.

Profesor Tofty zakaszlał cicho.

- Chłopcy i dziewczęta, spróbujcie się skoncentrować - powiedział łagodnie.

Większość powróciła do swoich teleskopów. Harry zerknął w lewo. Hermiona wpatrywała się w chatkę Hagrida.

- Yhm... - chrząknął profesor Tofty. - Jeszcze tylko dwadzieścia minut.

Hermiona drgnęła i natychmiast pochyliła się nad swoją mapą. Harry też spojrzał na swoją i spostrzegł, że przy Wenus napisał „Mars". Pochylił się, żeby to poprawić.

Po błoniach potoczył się donośny huk. Na szczycie wieży zrobiło się małe zamieszanie: kilka osób krzyknęło cicho, bo nadziało się na teleskopy, chcąc zobaczyć, co się dzieje w dole.

Drzwi chatki Hagrida otworzyły się gwałtownie i teraz zobaczyli go wyraźnie w świetle padającym z wewnątrz - potężna postać rycząca wściekle i wymachująca pięściami, w otoczeniu pięciu mniejszych postaci, z których każda, sądząc po cienkich strużkach czerwonego światła tryskających w jego kierunku, próbowała go oszołomić.

- Nie! - krzyknęła Hermiona.

- Moja droga! - powiedział profesor Tofty oburzonym tonem. - To jest egzamin!

Ale teraz już nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na mapę nieba. Czerwone promienie nadal śmigały koło chatki Hagrida, ale jakby się od niego odbijały. Wciąż stał wyprostowany i wciąż zdawał się walczyć. Przez błonia niosło się echo krzyków, jakiś męski głos ryknął: „Bądź rozsądny, Hagridzie!", a Hagrid zawołał: „Niech szlag trafi rozsądek, tak łatwo mnie nie weźmiecie, Dawlish!"

Harry dostrzegł maleńką figurkę Kła, który w obronie swojego pana rzucał się na otaczających go czarodziejów, aż w końcu, trafiony zaklęciem oszałamiającym, padł na ziemię. Hagrid ryknął z wściekłości, chwycił sprawcę, uniósł wysoko w powietrze i cisnął - mężczyzna przeleciał jakieś dziesięć stóp i legł nieruchomo na ziemi. Hermiona wydała z siebie zduszony okrzyk i zakryła usta dłońmi. Harry spojrzał na Rona i zobaczył, że też jest przerażony. Żadne z nich nie widziało jeszcze Hagrida w takim stanie...

- Patrzcie! - pisnęła Parvati, wychylając się za blankę i pokazując w dół, gdzie znowu otworzyły się frontowe drzwi zamku i w padającym z nich świetle widać było długi czarny cień biegnący przez trawnik.

- Co z wami?! - krzyknął profesor Tofty, wyraźnie już zaniepokojony. - Wiecie, że zostało tylko szesnaście minut?

Ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy wpatrywali się w samotną postać biegnącą ku chatce Hagrida.

- Jak śmiecie! - dobiegł ich okrzyk. - Jak śmiecie!

- To McGonagall! - wyszeptała Hermiona.

- Zostawcie go! Dajcie mu spokój, mówię! - dobiegł ich z ciemności głos profesor McGonagall. - Na jakiej podstawie go atakujecie? Nic nie zrobił, nic, co mogłoby usprawiedliwić takie...

Hermiona, Parvati i Lavender wrzasnęły. Co najmniej cztery oszałamiacze pomknęły od chatki Hagrida w stronę profesor McGonagall. Czerwone promienie trafiły w nią w połowie drogi między chatką i zamkiem. Przez chwilę jej postać rozświetlił czerwony blask, a potem zwaliła się ciężko na plecy i znieruchomiała.

- Galopujące gargulce! - krzyknął profesor Tofty, który też chyba zupełnie zapomniał o egzaminie. - Bez żadnego ostrzeżenia! Odrażające!

- TCHÓRZE! - ryknął Hagrid, a jego głos potoczył się aż do zamku, w którego oknach pojawiły się światła. - NĘDZNE TCHÓRZE! NO TO MASZ... I TY TEŻ...

- Och, mój... - wydyszała Hermiona.

Hagrid zamachnął się dwukrotnie na atakujących; najbliższe osoby padły natychmiast na ziemię jak rażone gromem. Potem zgiął się wpół i Harry'emu zdawało się przez chwilę, że to już koniec, ale po chwili olbrzymia postać Hagrida znowu się wyprostowała, dźwigając na ramionach coś, co wyglądało jak worek, i wtedy Harry zrozumiał, że to bezwładne ciało Kła.

- Brać go, brać go! - wrzeszczała Umbridge, ale jej jedyny teraz pomocnik nie kwapił się, by znaleźć się w zasięgu pięści Hagrida. Przeciwnie, cofał się tak szybko, że potknął się o ciało jednego z towarzyszy i upadł. Hagrid odwrócił się i puścił biegiem, z Kłem na ramionach. Umbridge strzeliła do niego ostatnim oszałamiaczem, ale nie trafiła, i Hagrid, pędząc w kierunku bram zamku, po chwili zniknął w ciemnościach.

Zapadła cisza. Wszyscy gapili się na błonia z otwartymi ustami. A potem rozległ się drżący głos profesora Tofty:

- Hmm... jeszcze pięć minut...

Harry wykreślił zaledwie dwie trzecie mapy, ale pragnął tylko jednego: żeby egzamin już się skończył. Kiedy to się stało, on, Hermiona i Ron wepchnęli byle jak teleskopy do pokrowców i zbiegli z innymi po spiralnych schodach. Nikt nie miał zamiaru iść spać, wszyscy stłoczyli się u stóp schodów, rozmawiając głośno, podekscytowani tym, czego dopiero co byli świadkami.

- Ona jest zła do szpiku kości! - wysapała Hermiona, z trudem wymawiając słowa. - Żeby tak zakradać się do Hagrida w środku nocy!

- Na pewno chciała uniknąć takiej sceny, jak przy Trelawney - powiedział Ernie Macmillan, przeciskając się do nich przez tłum.

- Ale Hagrid nieźle sobie z nimi poradził, co? - odezwał się Ron, najwyraźniej bardziej wystraszony niż przejęty podziwem. -Te zaklęcia po prostu się od niego odbijały, widzieliście?

- Bo płynie w nim krew olbrzymów - wyjaśniła mu Hermiona roztrzęsionym głosem. - Bardzo trudno oszołomić olbrzyma, oni są jak trolle, bardzo twardzi... Ale profesor McGonagall... Cztery oszałamiacze trafiły ją w pierś, a przecież nie jest już taka młoda...

- Okropne, okropne - powiedział Ernie, kręcąc teatralnie głową. - No, idę spać... Dobranoc wszystkim...

Rozchodzili się, rozmawiając z ożywieniem o tym, co zobaczyli.

- Ale przynajmniej nie zamkną Hagrida w Azkabanie - powiedział Ron. - Pewnie przyłączy się do Dumbledore'a, nie?

- Mam nadzieję - mruknęła Hermiona, bliska płaczu.

- Och, to straszne, myślałam, że Dumbledore wróci... a teraz nie ma już i Hagrida...

Powlekli się do pokoju wspólnego Gryffindoru, w którym zastali pełno ludzi. Wielu obudziło zamieszanie na błoniach i pozrywali z łóżek swoich towarzyszy. Seamus i Dean, którzy przybyli tam przed Harrym, Ronem i Hermiona, opowiadali wszystkim, co usłyszeli ze szczytu Wieży Astronomicznej.

- Ale dlaczego teraz pozbyła się Hagrida? - zapytała Angelina Johnson, kręcąc głową. - Przecież to nie to samo, co z Trelawney, on naprawdę uczył lepiej niż w zeszłym roku!

- Umbridge nienawidzi pół-ludzi - odpowiedziała z goryczą Hermiona, opadając na fotel. - Od samego początku chciała się go pozbyć.

- I sądziła, że to Hagrid podrzuca jej do gabinetu niuchacze - pisnęła Katie Bell.

- O kurczę - zaklął Lee Jordan, zasłaniając ręką usta.

- To ja jej podrzucałem te niuchacze... Fred i George zostawili mi parę... kwitowałem je przez okno...

- I tak by go wylała - mruknął Dean. - Był za blisko Dumbledore'a.

- To prawda - zgodził się Harry, zagłębiając się w fotel obok Hermiony.

- Mam tylko nadzieję, że profesor McGonagall nic się nie stało - powiedziała płaczliwym głosem Lavender.

- Zanieśli ją do zamku, widzieliśmy z okna dormitorium - rzekł Colin Creevey. - Nie wyglądała za dobrze...

- Pani Pomfrey ją poskłada - stwierdziła z przekonaniem Alicja Spinnet. - Jeszcze nigdy nie zawiodła.

Była już prawie czwarta rano, kiedy pokój wspólny opustoszał. Harry był rozbudzony - wciąż miał przed oczami Hagrida znikającego w ciemności. Był tak wściekły na Umbridge, że nie mógł wymyślić dość surowej dla niej kary, chociaż propozycja Rona, aby ją wrzucić do zagrody pełnej wygłodniałych sklątek tylnowybuchowych, warta była zastanowienia. Zasnął, rozmyślając nad najokropniejszymi sposobami zemsty, i wstał z łóżka trzy godziny później, czując piasek pod powiekami.

Ich ostatni egzamin, z historii magii, był wyznaczony dopiero na popołudnie. Po śniadaniu Harry miał wielką ochotę wrócić do łóżka, ale już wcześniej zaplanował powtórkę, więc, rad nierad, usiadł w pokoju wspólnym przy oknie, podtrzymując głowę rękami i starając się nie zasnąć nad wysokim na trzy i pół stopy stosem notatek, które mu pożyczyła Hermiona.

Weszli do Wielkiej Sali o drugiej i zajęli miejsca przy stolikach, na których leżały arkusze z pytaniami, odwrócone tekstem do spodu. Harry czuł się potwornie zmęczony. Marzył tylko o jednym: żeby się porządnie wyspać. A nazajutrz pójść z Ronem na stadion i trochę sobie polatać na jego miotle... Poczuć się wolnym...

- Odwróćcie swoje karty z pytaniami - powiedziała profesor Marchbanks, przewracając olbrzymią klepsydrę. - Możecie zaczynać...

Harry wbił wzrok w pierwsze pytanie. Dopiero po kilkunastu sekundach zorientował się, że do jego świadomości nie dotarło ani jedno słowo pytania. Gdzieś w górze, przy jednym z okien, bzyczała osa, obijając się o szybę. Otrząsnął się, przeczytał pytanie i powoli zabrał się do pisania.

Z wielkim trudem przypominał sobie nazwiska i wciąż mylił daty. Czwarte pytanie: *Jak sądzisz, czy wprowadzenie przepisów prawnych regulujących użycie różdżek przyczyniło się do buntów goblinów w XVIII wieku, czy też do większej nad nimi kontroli?* - pominął z myślą, że wróci do niego na końcu. Przeszedł do pytania piątego: *Jak doszło do naruszenia Statutów Tajności w 1749 roku i jakie środki zastosowano, aby ustrzec się tego w przyszłości?* - ale dręczyło go poczucie, że ominął wiele ważnych kwestii. Chyba miały z tym coś wspólnego wampiry...

Zaczął szukać pytania, na które potrafiłby na pewno odpowiedzieć, i zatrzymał się na pytaniu dziesiątym.

Opisz okoliczności, które doprowadziły do utworzenia Międzynarodowej Konfederacji Czarodziejów, i wyjaśnij, dlaczego magowie z Liechtensteinu odmówili przyłączenia się do Konfederacji.

Wiem, pomyślał Harry, chociaż czuł, że mózg odmawia mu posłuszeństwa. Zobaczył jednak w wyobraźni nagłówek napisany ręką Hermiony: *Utworzenie Międzynarodowej Konfederacji Czarodziejów...* Czytał te notatki dzisiaj rano...

Zaczął pisać, co jakiś czas zerkając na wielką klepsydrę, stojącą na biurku profesor Marchbanks. Siedział tuż za Parvati Patii, której długie czarne włosy zwisały nad oparciem krzesła. Raz czy drugi przyłapał się na tym, że gapi się w złote plamki światła, migocące w jej włosach, gdy poruszała lekko głową, i musiał potrząsnąć własną głową, aby się od tego uwolnić.

...pierwszym Niezależnym, czyli Najwyższa Szychą Międzynarodowej Konfederacji Czarodziejów był Pierre Bonaccord, ale mianowanie go na ten urząd spotkało się ze sprzeciwem czarodziejów z Liechtensteinu, ponieważ...

Wszędzie wokół niego pióra skrobały zawzięcie po pergaminie, jak myszkujące po strychu szczury. Słońce grzało go mocno w kark. Co takiego zrobił ten Bonaccord, że obraził czarodziejów z Liechtensteinu? To chyba miało coś wspólnego z trollami... Znowu zagapił się we włosy Parvati. Och, gdyby tak mógł użyć legilimencji i zajrzeć do jej głowy, żeby zobaczyć, co to było z tymi trollami, co spowodowało zerwanie stosunków między Pierre'em Bonaccordem i Liechtensteinem...

Zamknął oczy i ukrył twarz w dłoniach, a po chwili rozjarzona czerwień powiek pociemniała i poczuł pod nimi miły chłód. Bonaccord chciał zakazać polowania na trolle i dać im prawa... ale Liechtenstein miał kłopoty z wyjątkowo brutalnym plemieniem górskich trolli... Tak, to było to...

Otworzył oczy - zapiekły go i napełniły się łzami, gdy spojrzał na oślepiająco biały pergamin. Napisał powoli dwie linijki o trollach i przeczytał wszystko od początku. Nie było to zbyt konkretne i brakowało szczegółów, a przecież pamiętał, że notatki Hermiony na ten temat miały z kilka stron...

Zamknął znowu oczy, starając się je sobie przypomnieć... Pierwsze zgromadzenie konfederacji odbyło się we Francji, tak, już to napisał...

Gobliny próbowały wziąć w nim udział, ale im nie pozwolono... To też już napisał...

I nie pojawił się nikt z Liechtensteinu...

Myśl, powiedział sobie, z twarzą ukrytą w dłoniach, podczas gdy wokoło skrobały zawzięcie pióra, wypisując niekończące się odpowiedzi, a w wielkiej klepsydrze nieubłaganie przesypywał się piasek...

Szedł chłodnym, ciemnym korytarzem Departamentu Tajemnic... Wiedział dokąd i po co idzie, i od czasu do czasu zrywał się do biegu, z silnym postanowieniem, że tym razem

dojdzie do celu... Czarne drzwi otworzyły się przed nim jak zwykle, znalazł się w okrągłej komnacie z wieloma drzwiami...

Prosto przez tę komnatę, potem przez drugie drzwi... na ścianach i posadzce migocą światełka, klikają dziwne mechanizmy, ale nie ma czasu, by to zbadać, trzeba się spieszyć...

Przebiegł ostatnie kilka stóp dzielących go od trzecich drzwi, które otworzyły się przed nim jak poprzednie...

Znowu znalazł się w wielkiej jak wnętrze katedry sali pełnej półek ze szklanymi kulkami... Serce biło mu szybko... Tym razem mu się uda... Doszedł do rzędu numer dziewięćdziesiąt siedem, skręcił w lewo i puścił się biegiem między dwoma szeregami półek...

W samym końcu coś ciemnego widniało na posadzce, jakiś czarny kształt, który poruszał się jak zranione zwierzę... Poczuł w żołądku skurcz ze strachu... z podniecenia...

Z jego ust wydobył się głos, piskliwy, zimny głos, całkowicie wyzbyty ludzkich uczuć... „Zabierz to dla mnie... Zdejmij... Ja nie mogę tego dotknąć... ale ty możesz...”

Czarny kształt na podłodze poruszył się lekko. Harry zobaczył białą dłoń z długimi palcami zaciśniętymi na różdżce... Ta dłoń wyrastała z jego własnego ramienia... To on celował różdżką w ten czarny kształt... Usłyszał, jak zimny, wysoki głos wypowiada: *Crucio!*

Mężczyzna na podłodze zawył z bólu. Próbował wstać, ale upadł i wił się na posadzce. Harry śmiał się. Podniósł różdżkę, cofnął klątwę, a wijąca się postać jęknęła i znieruchomiała.

- Lord Voldemort czeka...

Mężczyzna powoli dźwignął się na drżących ramionach i uniósł głowę. Twarz miał zakrwawioną i wychudłą, wykrzywioną z bólu, a mimo to zastygł na niej wyraz buntu...

- Będziesz musiał mnie zabić - wyszeptał Syriusz.

- Niewątpliwie w końcu to uczynię - powiedział zimny głos. - Ale najpierw musisz mi to dać, Black... Wydaje ci się, że to, co czułeś do tej pory, to był ból? Przemyśl to sobie... Mamy dużo czasu i nikt nie usłyszy twoich wrzasków...

Ale gdy Voldemort zniżył swą różdżkę, ktoś krzyknął... Ktoś zawył i osunął się z rozgrzanego stolika na zimną posadzkę...

Harry przebudził się z krzykiem, jego bliznę na czole przeszywał straszliwy ból. Znowu był w Wielkiej Sali.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI
Z PŁOMIENI

Nie pójdę... Wcale nie muszę iść do skrzydła szpitalnego... Nie chcę... - mamrotał, próbując się uwolnić od zatroskanego profesora Tofty'ego, który dopiero co wyprowadził go do sali wejściowej na oczach gapiących się na tę scenę uczniów. - Już w porządku, panie profesorze - dodał, ocierając pot z twarzy. - Naprawdę... Po prostu zasnąłem... Miałem koszmarny sen...

- Presja egzaminów, ot co! - powiedział ze współczuciem stary czarodziej, klepiąc go po ramieniu trzęsącą się ręką. - To się zdarza, młodzieńcze, to się zdarza! No to może napijesz się zimnej wody i wrócisz na salę? Egzamin już się kończy, ale może jeszcze odpowiesz na ostatnie pytanie, co?

- Tak! To znaczy... nie... ja już zrobiłem... chyba zrobiłem tyle, ile mogłem...

- No dobrze, już dobrze - powiedział łagodnie stary czarodziej. - Pójdę po twój arkusz egzaminacyjny, a tobie radzę położyć się do łóżka i porządnie wypocząć...

- Zrobię to - odpowiedział Harry, potakując skwapliwie. - Bardzo panu dziękuję.

Gdy tylko obcasy butów staruszka zniknęły za progiem Wielkiej Sali, pobiegł marmurowymi schodami na górę, a potem jeszcze wyżej, pędząc korytarzami tak szybko, że mijane przez niego portrety mruczały pod nosem z wyrzutem, i w końcu wpadł jak huragan przez podwójne drzwi do skrzydła szpitalnego, sprawiając, że pani Pomfrey, która właśnie wlewała do ust Montague'a jakiś jasnoniebieski płyn, krzyknęła ze strachu.

- Potter, co ty wyrabiasz?

- Muszę się zobaczyć z profesor McGonagall - wydyszał Harry, czując, że za chwilę pękną mu płuca. - Proszę... to bardzo pilne...

- Nie ma jej tutaj, Potter - powiedziała ze smutkiem pani Pomfrey. - Dziś rano przeniesiono ją do Szpitala Świętego Munga. Cztery zaklęcia oszałamiające prosto w pierś, w jej wieku... To dziw, że jeszcze żyje.

- To... jej nie ma? - wyjąkał Harry całkowicie oszołomiony.

Za drzwiami rozległ się dzwonek i z oddali - z góry i z dołu - napłynął gwar i tupot wielu nóg, gdy uczniowie wysypali się na korytarze. Harry zamarł, wpatrując się w panią Pomfrey szeroko otwartymi oczami. Czuł narastającą panikę.

Nie było już nikogo, komu mógłby to powiedzieć. Dumbledore odszedł, Hagrid odszedł, ale nigdy się nie spodziewał, że zabraknie też profesor McGonagall, która może zbyt łatwo się denerwowała i była trochę za bardzo zasadnicza, ale zawsze można było na niej polegać...

- Nie dziwię ci się, Potter, że jesteś wstrząśnięty - powiedziała pani Pomfrey z jakąś zawziętą aprobatą w głosie. - Żaden z nich nie byłby w stanie oszołomić Minerwy McGonagall w biały dzień, stojąc z nią twarzą w twarz! Co za tchórzostwo... odrażające tchórzostwo... Gdybym się tak nie bała o uczniów, to na znak protestu natychmiast złożyłabym rezygnację...

- No tak - powiedział Harry pustym głosem. Wyszedł błędnym krokiem ze skrzydła szpitalnego na zatłoczony korytarz, gdzie stanął, potrącany przez innych. Panika wzbierała w nim jak trujący gaz, kręciło mu się w głowie, nie był w stanie zebrać myśli...

Ron i Hermiona, odezwał się jakiś głos w jego głowie.

Puścił się biegiem, roztrącając innych uczniów, nie zważając na gniewne protesty i okrzyki. Zbiegł dwa piętra niżej i był już na szczycie marmurowych schodów, gdy zobaczył, że pędzą ku niemu.

- Harry! - zawołała Hermiona, która wyglądała na bardzo przerażoną. - Co się stało? Dobrze się czujesz? Nie jesteś chory?

- Gdzie byłeś? - zapytał Ron.

- Chodźcie ze mną - powiedział szybko Harry. - Muszę wam coś powiedzieć...

Poprowadził ich korytarzem pierwszego piętra, zaglądając do różnych pomieszczeń, aż w końcu znalazł pustą klasę, do której wbiegł, a gdy tylko Ron i Hermiona znaleźli się w środku, zamknął drzwi i oparł się o nie, patrząc na nich.

- Voldemort dopadł Syriusza.

- CO?!

- Skąd...

- Widziałem. Dopiero co. Kiedy zasnąłem na egzaminie.

- Ale... gdzie? Jak? - zapytała Hermiona, biała jak ściana.

- Nie wiem jak. Za to wiem gdzie. W Departamencie Tajemnic jest taka komnata z półkami pełnymi szklanych kulek, i oni byli na końcu rzędu numer dziewięćdziesiąt siedem... Próbuje użyć Syriusza, żeby dostać to coś, czego pragnie od dawna... Torturuje go... Mówi, że go zabije...

Harry zdał sobie sprawę, że drży mu głos i dygocą kolana. Podszedł do najbliższego stolika i przysiadł na nim, próbując się opanować.

- Jak się tam dostaniemy? - zapytał po chwili.

Przez chwilę milczeli. Potem Ron wyjąkał:

- D-dostaniemy się? Gdzie?

- Do Departamentu Tajemnic, żeby uratować Syriusza! - powiedział głośno Harry.

- Ale... Harry...

- No co? Co?!

Nie mógł pojąć, dlaczego stoją i gapią się na niego, jakby prosił ich o coś zupełnie bezsensownego.

- Harry - powiedziała Hermiona z przerażeniem w głosie - ee... a jak... jak Voldemort dostał się do Ministerstwa Magii... i nikt go nie zauważył?

- Skąd mam wiedzieć?! - ryknął Harry. - Ważne jest, jak MY się tam dostaniemy!

- Ale... Harry, sam pomyśl - powiedziała Hermiona, robiąc krok w jego stronę - jest piąta po południu... w ministerstwie jest pełno ludzi... W jaki sposób Voldemort i Syriusz weszli tam, niezauważeni przez nikogo? Harry... przecież to są dwaj najbardziej poszukiwani czarodzieje na całym świecie... Myślisz, że zdołali wejść do budynku pełnego aurorów i nikt tego nie zauważył?

- Nie wiem, może Voldemort użył peleryny-niewidki albo czegoś w tym stylu! - krzyknął Harry. - Zresztą Departament Tajemnic zawsze był pusty, kiedy tam byłem...

- Harry, ty nigdy tam nie byłeś - powiedziała cicho Hermiona. - To ci się tylko śniło.

- To nie były normalne sny! - krzyknął jej prosto w twarz Harry, wstając i robiąc krok w jej stronę. Miał ochotę nią potrząsnąć. - Jak wyjaśnisz to zdarzenie z ojcem Rona, co to właściwie było, skąd wiedziałem, co mu się stało?

- To brzmi sensownie - powiedział cicho Ron, patrząc na Hermionę.

- Ale to jest po prostu... po prostu NIEPRAWDOPODOBNE! Harry, sam powiedz, w jaki sposób Voldemort mógł dopaść Syriusza, skoro on przez cały czas siedzi w domu przy Grimmauld Place?

- Syriusz mógł mieć dość i po prostu chciał się przewietrzyć - rzekł Ron. - Od dawna marzył, żeby wydostać się z tego domu...

- Ale dlaczego - upierała się Hermiona - dlaczego, powtarzam, Voldemort miałby użyć akurat Syriusza do zdobycia tej broni, czy co to tam jest?

- Nie wiem, może być tysiąc powodów! - ryknął Harry. - Może uznał, że akurat Syriusza może swobodnie torturować...

- Słuchajcie, coś mi przyszło do głowy - powiedział Ron przyciszonym głosem. - Brat Syriusza był śmierciożercą, prawda? Może to on mu powiedział, jak wykraść tę broń?

- Taak... i może właśnie dlatego Dumbledore'owi tak zależało, żeby Syriusz nie ruszał się nigdzie z tego domu! - zawołał Harry.

- Słuchajcie, bardzo mi przykro - powiedziała Hermiona - ale to nie ma większego sensu, zresztą nie ma na to żadnego dowodu, a w ogóle to nie ma żadnego dowodu, że Voldemort i Syriusz tam są...

- Hermiono, Harry ich widział! - zaperzył się Ron, patrząc na nią ze złością.

- No dobrze - powiedziała. Wyglądała na przestraszoną, ale zdecydowaną. - Muszę to wreszcie powiedzieć...

- Co?

- Ty... Ja ciebie nie krytykuję, Harry! Ale ty... no... to znaczy... czy nie uważasz, że ty masz trochę... no wiesz... lekkiego bzika na punkcie ratowania ludzi?

- A co niby ma znaczyć „bzik na punkcie ratowania ludzi”?

- No wiesz... ty... - wyglądała na jeszcze bardziej wystraszoną - to znaczy... na przykład w zeszłym roku... w jeziorze... podczas Turnieju Trójmagicznego... nie powinieneś... to znaczy... wcale nie musiałeś ratować tej małej Delacour... Trochę cię... poniosło...

Harry’emu aż się zrobiło gorąco ze złości... Jak mogła akurat w tej chwili wypominać mu ten błąd?

- Oczywiście to było bardzo szlachetne i w ogóle - dodała szybko Hermiona, spojrzawszy na minę Harry’ego. - Wszyscy uważali, że zrobiłeś coś wspaniałego...

- To śmieszne - powiedział Harry roztrzęsionym głosem - ale właśnie sobie przypomniałem, jak Ron wtedy mówił, że zmarnowałem czas, zachowując się jak bohater... To masz na myśli? Uważasz, że znowu chcę zostać bohaterem?

- Nie, nie, nie! W ogóle nie o tym myślałam!

- No to wypluj wreszcie to, co masz mi do powiedzenia, bo tylko tracimy czas! - krzyknął Harry.

- Próbuję ci powiedzieć... Harry, Voldemort dobrze ciebie zna! Ściągnął Ginny do Komnaty Tajemnic, żeby ciebie tam zwabić, on tak właśnie postępuje, wie, że jesteś... no, wie, że będziesz chciał uratować Syriusza! A jeśli on po prostu próbuje zwabić cię do Departamentu Ta...

- Hermiono, nie ma znaczenia, czy on to zrobił, bo chce mnie tam zwabić, czy nie... McGonagall zabrali do Świętego Munga i teraz w Hogwarcie nie ma już nikogo z Zakonu, komu mógłbym o tym powiedzieć, a jeśli tam nie pójdziemy, Syriusz umrze!

- Ale, Harry... a jeśli twój sen był... no... tylko snem?

Harry ryknął z bezsilnej złości. Hermiona cofnęła się z przerażoną miną.

- Nic nie rozumiesz! Ja nie mam żadnych nocnych koszmarów, to nie są zwykłe sny! A jak myślisz, po co była ta cała oklumencja? Dlaczego Dumbledore chciał mnie uchronić

przed widzeniem takich rzeczy? Bo one są PRAWDZIWE, Hermiono... Syriusz został schwytany... widziałem go... Voldemort go dopadł i nikt poza mną o tym nie wie, a to oznacza, że jesteśmy jedynymi osobami, które mogą go ocalić, a jeśli wy nie chcecie tego zrobić, w porządku, zrobię to sam, rozumiecie? I jeśli dobrze pamiętam, nie miałaś żadnych problemów z moim bzikiem na punkcie ratowania ludzi, kiedy to ciebie ratowałem przed dementorami, albo - łypnął na Rona - kiedy to twoją siostrę ratowałem przed bazyliszkiem...

- Ja nigdy nie mówiłem, że mam jakiś problem! - zaperzył się Ron.

- Harry, sam to dopiero co powiedziałeś - wtrąciła szybko Hermiona. - Dumbledore chciał, żebyś nauczył swój mózg obrony przed takim rzeczami, przecież gdybyś się naprawdę przyłożył do oklumencji, to byś tego nie zobaczył...

- JEŚLI MYŚLISZ, ŻE ZAMIERZAM ZACHOWAĆ SIĘ, JAKBYM NIC NIE ZOBACZYŁ...

- Syriusz powiedział ci, że nie ma ważniejszej rzeczy od tego, abyś się nauczył zamykać swój umysł!

- ALE NA PEWNO POWIEDZIAŁBY CO INNEGO, GDYBY WIEDZIAŁ TO, CO JA WŁAŚNIE...

Drzwi się otworzyły. Harry, Ron i Hermiona odwrócili się ze strachem. Weszła Ginny, wyraźnie zaciekawiona, a za nią Luna, która jak zwykle sprawiała wrażenie trochę nieprzytomnej.

- Cześć - bąknęła Ginny. - Usłyszałyśmy głos Harry'ego... Dlaczego tak wrzeszczysz?

- Nie twoja sprawa - odpowiedział szorstko Harry.

Ginny uniosła brwi.

- Nie musisz odzywać się do mnie takim tonem - powiedziała chłodno. - Myślałam tylko, że może trzeba ci w czymś pomóc.

- No więc nie trzeba.

- Wiesz, chyba nie jesteś zbyt uprzejmy - powiedziała pogodnie Luna.

Harry zaklął i odwrócił się. Rozmowa z Luną Lovegood była chyba ostatnią rzeczą, na jaką w tej chwili miał ochotę.

- Zaraz - powiedziała nagle Hermiona. - Zaraz... Harry, one naprawdę mogą ci pomóc.

Harry i Ron spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

- Posłuchajcie... Harry, musimy ustalić, czy Syriusz rzeczywiście opuścił Kwaterę Główną...

- Już ci mówiłem, że widziałem...

- Harry, błagam cię! - jęknęła Hermiona. - Błagam cię, sprawdźmy, czy Syriusza nie ma w domu, zanim wyprawimy się do Londynu... Jeśli stwierdzimy, że go tam nie ma, przysięgam, nie będę cię już powstrzymywać, sama też pójdę, zrobię wszystko, żeby spróbować go uratować...

- Syriusz jest torturowany właśnie W TEJ CHWILI! - krzyknął Harry. - Nie mamy czasu do stracenia...

- Ale jeśli to jest sztuczka V-Voldemorta... Harry, musimy to sprawdzić, musimy...

- Jak? Jak mamy to sprawdzić?

- Użyjemy kominka Umbridge i zobaczymy, czy uda się nam nawiązać z nim kontakt - odpowiedziała Hermiona, wyraźnie przerażona już samą tą myślą. - Jeszcze raz wyciągniemy Umbridge z gabinetu, ale musimy zostawić kogoś na straży, i właśnie dlatego Ginny i Luna mogą nam pomóc.

Ginny najwyraźniej nie bardzo wiedziała, o co chodzi, ale natychmiast się zgodziła.

- Dobra, zrobimy to.

- Jak mówisz o „Syriuszu", masz na myśli Stubby'ego Boardmana? - zapytała Luna.

Nikt jej nie odpowiedział.

- Świetnie - powiedział Harry napastliwym tonem.

- Tylko wymyśl, jak zrobić to szybko, wtedy się zgodzę, a jak nie, to zaraz wyruszam do Departamentu Tajemnic...

- Do Departamentu Tajemnic? - powtórzyła Luna z nieco zaskoczoną miną. - Ale jak chcesz się tam dostać?

Harry znowu ją zignorował.

- No więc zaraz... - zaczęła Hermiona, zacierając ręce i przechadzając się tam i z powrotem między stolikami. - Zaraz... aha... Jedno z nas musi znaleźć Umbridge i... i odciągnąć ją w inną stronę, jak najdalej od gabinetu. Można jej powiedzieć... bo ja wiem... że Irytek robi coś okropnego...

- Ja to zrobię - rzekł szybko Ron. - Powiem jej, że Irytek rozwala klasę transmutacji czy coś w tym stylu, to jest bardzo daleko od jej gabinetu. Prawdę mówiąc, mógłbym chyba namówić Irytka, żeby to naprawdę zrobił, jeśli go tylko spotkam...

Widomą oznaką powagi sytuacji był fakt, że Hermiona nie sprzeciwiła się zdemolowaniu klasy transmutacji.

- Okej - powiedziała, marszcząc brwi i nadal krążąc między stolikami. - Musimy też trzymać z daleka od jej gabinetu innych, żeby na przykład nie przyszli tam jacyś Ślizgoni...

- Luna i ja staniemy w obu końcach korytarza - wpadła jej w słowo Ginny - i będziemy ostrzegać wszystkich, żeby tamtędy nie szli, bo ktoś wpuścił tam gaz duszący. - Hermiona była wyraźnie zaskoczona szybkością, z jaką Ginny wymyśliła to kłamstwo. Ginny wzruszyła ramionami i dodała: - Fred i George mieli zamiar to zrobić, zanim odeszli.

- Dobrze - zgodziła się Hermiona. - Harry, więc ty i ja narzucimy pelerynę-niewidkę, wśliźniemy się do jej gabinetu i będziesz mógł porozmawiać z Syriuszem...

- Jego tam nie ma!

- To znaczy... będziesz mógł sprawdzić, czy Syriusz jest w domu, a ja będę cię pilnowała, bo uważam, że nie powinieneś być tam sam. Lee już udowodnił, że słabym punktem jest okno, gdy wpuścił przez nie niuchacze.

Mimo złości i zniecierpliwienia Harry zrozumiał, że propozycja Hermiony jest oznaką solidarności i wierności.

- Dzięki - wymamrotał.

- Ale nawet jak to wszystko wypali, to myślę, że nie możemy tam siedzieć dłużej niż pięć minut - oświadczyła Hermiona, której chyba bardzo ulżyło, kiedy Harry zaakceptował jej plan - bo wszędzie szwenda się Filch i ta inkwizytorska banda.

- Pięć minut mi wystarczy - zgodził się Harry. - No to chodźmy...

- Teraz? - zapytała lekko wstrząśnięta Hermiona.

- Oczywiście! - żachnął się Harry. - A co, mamy czekać na obiad, czy jak? Hermiono, Syriusz jest torturowany! W tej chwili!

- Ja... no dobrze... Idź po pelerynę-niewidkę, spotkamy się na końcu korytarza Umbridge, dobra?

Harry nie odpowiedział, tylko wypadł z klasy i zaczął się przepychać przez tłum uczniów, zapełniający korytarze i schody. Dwa piętra wyżej spotkał Seamusa i Deana, którzy mu powiedzieli, że organizują o zmroku balangę dla uczczenia końca egzaminów. Harry prawie ich nie słuchał. Przelazł przez dziurę pod portretem, podczas gdy oni nadal się kłócili, ile muszą przemycić butelek piwa kremowego, i wyszedł z niej z powrotem, już z peleryną-niewidką i scyzorykiem Syriusza w torbie, zanim się spostrzegli, że gdzieś odchodził.

- Harry, mógłbyś kopsnąć parę galeonów? Harold Dingle obiecał, że sprzeda nam trochę Ognistej Whisky...

Ale Harry już pędził korytarzem i parę minut później przeskakiwał ostatnie stopnie, by przyłączyć się do Rona, Hermiony, Ginny i Luny, którzy stali w małej grupce na końcu korytarza do gabinetu Umbridge.

- Mam - wysapał. - Gotowi?

- Dobra - szepnęła Hermiona, bo właśnie mijała ich rozgadana grupa szóstoklasistów. - Więc Ron... idziesz i odciągasz gdzieś Umbridge... Ginny, Luna, zaczynajcie wyganiać ludzi z korytarza... Harry i ja włazimy pod pelerynę i czekamy, aż korytarz będzie pusty...

Ron odszedł szybkim krokiem; jego jaskraworude włosy widać było dobrze jeszcze na samym końcu korytarza. Równie ognista głowa Ginny podrygiwała wśród tłoczących się uczniów, kierując ich w drugą stronę, a za nią podążała jasnowłosa głowa Luny.

- Chodźmy tam - szepnęła Hermiona do Harry'ego, ciągnąc go za rękaw i wpychając do niszy, w której na kolumnie stało kamienne popiersie jakiegoś średniowiecznego czarodzieja, mruczącego coś do siebie. - Harry... jesteś pewny, że nic ci nie jest? Jesteś wciąż bardzo blady...

- Nic mi nie jest.

Wyciągnął pelerynę-niewidkę z torby. Prawdę mówiąc, blizna znowu go rozbolała, ale nie aż tak bardzo, aby mógł podejrzewać, że Voldemort zadał już Syriuszowi śmiertelny cios. Bolała o wiele bardziej, kiedy Voldemort karał Avery'ego...

- Teraz!

Zarzucił pelerynę na siebie i na Hermionę. Nasłuchiwali przez chwilę, nie zwracając uwagi na łacińskie monologi stojącego przed nimi popiersia.

- Nie możecie tędy przejść! - dobiegł ich głos Ginny. - Przykro mi, musicie obejść naokoło, przez te obrotowe schody, ktoś wpuścił tu duszący gaz...

Usłyszeli pełne zawodu głosy uczniów. Ktoś burknął:

- Nie widzę żadnego gazu...

- Bo jest bezbarwny - odpowiedziała Ginny poirytowanym tonem. - Ale jak chcesz, to idź, twoje ciało posłuży jako dowód dla następnego kretyna, który nam nie uwierzy...

Tłum powoli rzedł. Wiadomość o gazie duszącym chyba się już rozniosła, bo nikt nowy nie nadchodził. Kiedy korytarz w końcu opustoszał, Hermiona powiedziała cicho:

- Chyba nie możemy liczyć na nic więcej, Harry... Idziemy.

Ruszyli naprzód, okryci peleryną. W dalekim końcu korytarza stała Luna, odwrócona do nich plecami. Kiedy mijali Ginny, Hermiona szepnęła:

- Super... tylko nie zapomnij o sygnale alarmowym...

- Co to za sygnał? - mruknął Harry, gdy podeszli do drzwi gabinetu Umbridge.

- Zaśpiewa głośno: „Weasley jest naszym królem", jeśli zobaczy, że Umbridge nadchodzi.

Harry wsunął ostrze scyzoryka Syriusza w szparę między drzwiami i framugą. Zamek kliknął i weszli do środka.

Piekielnie kolorowe kotki hasały w promieniach popołudniowego słońca, ogrzewającego ich talerze, ale poza tym gabinet był spokojny i pusty, jak za pierwszym razem. Hermiona odetchnęła z ulgą.

- Myślałam, że sprawi sobie jakieś ekstra zabezpieczenia po tym drugim niuchaczu...

Ściągnęli pelerynę. Hermiona podeszła do okna i stanęła tak, żeby jej nikt z zewnątrz nie zobaczył, z różdżką w ręku. Harry rzucił się do kominka, chwycił słój z proszkiem Fiuu i wrzucił szczyptę w palenisko. Buchnęły szmaragdowe płomienie. Ukląkł szybko, wsadził głowę w roztańczone płomienie i krzyknął:

- Grimmauld Place numer dwanaście!

Głowa zaczęła mu wirować jak na karuzeli, ale kolana opierały się mocno o zimną posadzkę. Zamknął oczy, żeby się uchronić przed śmigającym wokoło popiołem, a kiedy wirowanie ustało, otworzył je i zobaczył długi kuchenny stół.

W kuchni nie było nikogo. Spodziewał się tego, ale jednak nie był przygotowany na falę paniki, która go ogarnęła na ten widok.

- Syriusz! - zawołał. - Syriuszu, jesteś tu?

Jego głos potoczył się echem po podziemnej kuchni, ale nie było odpowiedzi. Natomiast na prawo od kominka coś zachrobotało.

- Kto tam? - zawołał, zastanawiając się, czy to nie mysz.

W polu widzenia pojawił się Stworek. Sprawiał wrażenie bardzo z czegoś zadowolonego, choć obie dłonie miał zabandażowane.

- To głowa tego młodego Pottera tkwi w ogniu - poinformował pustą kuchnię, rzucając ukradkowe, dziwnie triumfalne spojrzenia na Harry'ego. - Stworek się zastanawia, po co ona tu przylazła?

- Stworku, gdzie jest Syriusz? - zapytał Harry.

Skrzat zachichotał ochryple.

- Pan sobie poszedł, Harry Potter, sir.

- Dokąd poszedł? DOKĄD ON POSZEDŁ, STWORKU?

Stworek tylko zarechotał.

- Ostrzegam cię! - krzyknął Harry, w pełni świadomy, że jego zdolność do ukarania skrzata jest w tej chwili równa zeru. - A co z Lupinem, z Szalonookim? Czy któryś z nich gdzieś tu jest?

- Nie ma nikogo, jest tylko Stworek! - oznajmił chełpliwie skrzat i odwróciwszy się od Harry'ego, ruszył powoli do drzwi w końcu kuchni. - Stworek myśli, że teraz pogawędzi sobie trochę z Panią, tak, dawno już nie miał ku temu sposobności, bo Pan mu nie pozwalał...

- Dokąd poszedł Syriusz? - ryknął Harry. - STWORKU, CZY ON POSZEDŁ DO DEPARTAMENTU TAJEMNIC?!

Stworek zatrzymał się. Przez las nóg od krzeseł Harry widział tył jego łysej głowy.

- Pan nie mówi biednemu Stworkowi, dokąd chodzi - odpowiedział cicho skrzat.

- Ale wiesz! - krzyknął Harry. - Wiesz, prawda? Wiesz, gdzie on teraz jest!

Zapadła chwila milczenia, a potem skrzat głośno zarechotał.

- Pan już nie wróci z Departamentu Tajemnic! - powiedział z lubością. - Stworek i jego Pani znowu są sami!

I pobiegł do drzwi, otworzył je i zniknął.

- Ty...!

Ale zanim Harry zdążył wypowiedzieć brzydkie słowo, straszliwy ból przeszył mu czubek głowy. Poczuł, że wdycha popiół, zaczął się krztusić, i nagle coś go szarpnęło do tyłu, a kiedy otworzył oczy, stwierdził, że spogląda prosto w szeroką, bladą twarz profesor Umbridge, która wyciągnęła go za włosy z kominka, a teraz odchylała jego głowę do tyłu, jakby chciała poderżnąć mu gardło.

- Myślałeś - wyszeptała, jeszcze bardziej odchylając jego głowę, tak że patrzył teraz prosto w sufit - że po tych dwóch niuchaczach pozwolę, by jeszcze jeden mały węszący plugawiec wszedł do mojego gabinetu bez mojej wiedzy? Ty głupcze, po tym ostatnim śmierdzielu zabezpieczyłam drzwi zaklęciami wykrywającymi włamanie! Zabierz mu różdżkę - warknęła do kogoś, kogo nie mógł zobaczyć, i poczuł, jak czyjaś ręka gmera mu w wewnętrznej kieszeni i wyjmuje różdżkę. - Jej też...

Usłyszał odgłosy szamotaniny przy drzwiach i już wiedział, że Hermiona też została pozbawiona różdżki.

- Chcę wiedzieć, dlaczego jesteś w moim gabinecie - powiedziała Umbridge, potrząsając nim z całej siły.

- Ja... chciałem odzyskać moją Błyskawicę! - wychrypiał Harry.

- Kłamiesz. - Znowu potrząsnęła nim mocno. - Twoja Błyskawica jest dobrze strzeżona w lochach, i ty o tym wiesz, Potter. Wsadziłeś głowę do mojego kominka. Z kim się porozumiewałeś?

- Z nikim... - jęknął Harry, próbując się uwolnić, ale skończyło się na tym, że wydarła mu kępkę włosów.

- Kłamca! - krzyknęła.

Odrzuciła go od siebie z taką siłą, że zwalił się na biurko. Teraz zobaczył Hermionę, przyciskaną do ściany przez Milicentę Bulstrode. Malfoy opierał się o parapet okna; z drwiącym uśmiechem podrzucał jedną ręką jego różdżkę i łapał ją w powietrzu.

Za drzwiami wybuchło jakieś zamieszanie i po chwili wkroczyło kilku rosłych Ślizgonów, prowadząc Rona, Ginny, Lunę i - ku wielkiemu zaskoczeniu Harry'ego - Neville'a, którego Crabbe dusił od tyłu ramieniem. Cała czwórka miała kneble w ustach.

- Mamy wszystkich - powiedział Warrington, popychając brutalnie Rona na środek pokoju. - Ten tutaj - dźgnął palcem Neville'a - próbował mnie powstrzymać, kiedy łapałem ją - wskazał na Ginny, która usiłowała kopnąć w goleń trzymającą ją wielką Ślizgonkę - więc go też przyprowadziłem.

- Świetnie - powiedziała Umbridge, obserwując wysiłki Ginny. - Coś mi się wydaje, że Hogwart będzie niedługo strefą wolną od Weasleyów!

Malfoy roześmiał się głośno i pochlebcze Żabie usta Umbridge rozciągnęły się w pełnym zadowolenia uśmiechu. Usiadła w fotelu i zaczęła się przypatrywać swoim więźniom, mrugając oczami jak ropucha na klombie.

- Tak, Potter... Rozstawiłeś czujki wokół mojego gabinetu i wysłałeś tego błazna - wskazała głową na Rona, a Malfoy ryknął śmiechem - żeby mi powiedział, że poltergeist demoluje klasę transmutacji, a tymczasem ja dobrze wiedziałam, że jest zajęty smarowaniem soczewek szkolnych teleskopów atramentem, jako że pan Filch właśnie mnie o tym poinformował. Jest oczywiste, że chciałeś sobie z kimś porozmawiać. Może z Albusem Dumbledore'em? Albo z tym mieszańcem Hagridem? Bo chyba nie z Minerwą McGonagall. Słyszałam, że nie jest jeszcze w stanie z nikim rozmawiać...

Malfoy i kilku innych członków Brygady Inkwizycyjnej wybuchnęli śmiechem. Harry'ego ogarnęła taka wściekłość, że cały dygotał.

- Nie pani interes, z kim rozmawiam - warknął.

Uśmiech spełzł z twarzy Umbridge.

- Rozumiem - powiedziała swym najgroźniejszym, fałszywie słodkim tonem. - Rozumiem, Potter... Dałam ci szansę, żebyś sam się przyznał. Odmówiłeś. Nie mam wyboru, muszę cię do tego zmusić. Draco, sprowadź tu profesora Snape'a.

Malfoy schował różdżkę Harry'ego za pazuchę i opuścił pokój z szyderczym uśmiechem na twarzy, ale Harry tego nie zauważył. Właśnie zdał sobie z czegoś sprawę; nie mógł uwierzyć we własną głupotę, a jednak... tak, o czymś zapomniał. Sądził, że w Hogwarcie nie ma już ani jednego członka Zakonu, który mógłby pomóc Syriuszowi, ale się mylił. Nadal był tutaj członek Zakonu Feniksa - Snape.

W gabinecie zapadło milczenie, słychać było tylko odgłosy szamotania się Ślizgonów z Ronem i resztą więźniów. Ronowi krew kapała z ust po bezskutecznych próbach uwolnienia się z półnelsona Warringtona. Ginny wciąż próbowała przydepnąć stopy tęgiej szóstoklasistce, która trzymała ją od tyłu w mocnym uścisku. Neville robił się coraz bardziej fioletowy na twarzy, walcząc z zaciskającym mu gardło ramieniem Crabbe'a, a Hermiona starała się uwolnić od Milicenty Bulstrode. Tylko Luna stała spokojnie, gapiąc się bezmyślnie w okno, jakby nudziła ją ta cała procedura.

Harry spojrzał na Umbridge, która obserwowała go uważnie. Starał się nie okazać żadnego poruszenia, gdy w korytarzu rozległy się kroki i do gabinetu wszedł Draco Malfoy, a za nim Snape.

- Chciała mnie pani widzieć, pani dyrektor? - zapytał Snape, spoglądając obojętnie na zmagających się ze sobą uczniów.

- Ach, to pan, profesorze Snape - zapiała Umbridge, uśmiechając się szeroko i wstając. - Tak, potrzebna mi jest jeszcze jedna buteleczka veritaserum. Tylko szybko, proszę.

- Wzięła pani moją ostatnią butelkę, żeby przepytać Pottera - odpowiedział, patrząc na nią chłodno przez kurtynę swych tłustych czarnych włosów. - Chyba nie zużyła pani wszystkiego? Powiedziałem pani, że wystarczą trzy krople.

Umbridge zarumieniła się.

- Ale może pan przyrządzić trochę więcej, prawda? - zapytała jeszcze bardziej przesłodzonym, dziewczęcym szczebiotem, jak zwykle, gdy ogarniała ją furia.

- Oczywiście - odrzekł Snape, wydymając usta. - Eliksir dojrzewa przez pełny cykl księżyca, więc będzie gotowy za miesiąc.

- Miesiąc? - pisnęła Umbridge, nadymając się jak ropucha. - MIESIĄC? Snape, eliksir potrzebny mi jest dzisiaj! Właśnie przyłapałam Pottera na próbie użycia mojego kominka i nie wiem, z kim chciał rozmawiać!

- Naprawdę? - zdziwił się nieco Snape, po raz pierwszy okazując zainteresowanie tym, co się dzieje w pokoju.

- No, wcale nie jestem tym zaskoczony. Potter nigdy nie przejawiał skłonności do przestrzegania regulaminu szkolnego.

Jego zimne, czarne oczy świdrowały Harry'ego, który patrzył na niego bez zmrużenia oka, koncentrując się całą siłą woli na tym, co zobaczył w swoim śnie, i modląc się w duchu, żeby Snape odczytał jego myśli, żeby zrozumiał...

- Muszę go wypytać! - krzyknęła ze złością Umbridge, a Snape przeniósł spojrzenie z Harry'ego na jej rozdygotaną twarz. - Proszę mi dostarczyć eliksir, który zmusi go do powiedzenia mi prawdy!

- Już pani mówiłem - odpowiedział uprzejmie Snape - że nie mam zapasów veritaserum. Jeśli nie chce go pani otruć... a zapewniam, że nie miałbym nic przeciwko temu... nie mogę pani pomóc. Tylko że z większością trucizn jest pewien kłopot: działają zbyt szybko, by ofiara zdążyła coś powiedzieć...

Znowu spojrzał na Harry'ego, który utkwił w nim wzrok, pragnąc za wszelką cenę porozumieć się bez słów.

Voldemort schwytał Syriusza w Departamencie Tajemnic... Voldemort schwytał Syriusza...

- Od dziś jest pan na warunkowym! - wrzasnęła profesor Umbridge, a Snape popatrzył na nią, unosząc lekko brwi. - Naumyślnie utrudnia mi pan pracę! Spodziewałam się czegoś więcej, Lucjusz Malfoy zawsze mówił o panu same dobre rzeczy! A teraz proszę wyjść!

Snape ukłonił się z wyraźną ironią i odwrócił się, by odejść. Harry czuł, że za chwilę pożegna się z ostatnią szansą, by powiadomić Zakon o tym, co się dzieje.

- Dopadł Łapę! - krzyknął. - Trzyma Łapę tam, gdzie to jest ukryte!

- Łapę?! - krzyknęła profesor Umbridge, wytapiając oczy to na Harry'ego, to na Snape'a. - Co to za łapa? Gdzie coś jest ukryte? Co to wszystko znaczy, Snape?

Snape spojrzał na Harry'ego przez ramię. Jego twarz była nieprzenikniona. Nie wiadomo było, czy zrozumiał, ale Harry nie śmiał wyrazić się jaśniej w obecności Umbridge.

- Nie mam pojęcia, o czym ty bredzisz, Potter - wycedził Snape. - Jak będę chciał, żebyś wykrzykiwał takie bzdury, to ci dam wywaru z blekotu. Aha, Crabbe, rozluźnij trochę uścisk, bo jak Longbottom się udusi, będzie mnóstwo papierkowej roboty i obawiam się, że będę musiał o tym wspomnieć w twojej opinii, jeśli kiedykolwiek złożysz jakieś podanie o pracę.

I wyszedł, zatrzaskując za sobą drzwi i pozostawiając Harry'ego z jeszcze większym zamętem w głowie: Snape był jego ostatnią deską ratunku. Spojrzał na Umbridge, która chyba odczuwała to samo; pierś jej falowała ze złości i poczucia zawodu.

- Świetnie - powiedziała i wyciągnęła różdżkę. - No cóż, nie mam wyboru... Tu chodzi o coś więcej niż o szkolną dyscyplinę... To sprawa bezpieczeństwa ministerstwa... Tak... tak...

Sprawiała wrażenie, jakby sama siebie do czegoś przekonywała. Przenosiła ciężar ciała z jednej nogi na drugą, i wpatrywała się w Harry'ego, uderzając lekko różdżką w dłoń i ciężko oddychając. Pozbawiony różdżki Harry czuł się przed nią straszliwie bezbronny.

- Zmuszasz mnie do tego, Potter... Wcale tego nie chcę, ale czasami okoliczności usprawiedliwiają użycie... Minister na pewno zrozumie, że nie miałam innego wyboru...

Malfoy obserwował ją gorliwie.

- Klątwa Cruciatus powinna rozwiązać ci język - powiedziała cicho Umbridge.

- Nie! - wrzasnęła Hermiona. - Pani profesor... to jest niezgodne z prawem...

Ale Umbridge nie zwróciła na to uwagi. Na jej twarzy pojawiła się jakaś obleśna żądza, jakieś ohydne podniecenie, którego Harry jeszcze nigdy nie widział. Uniosła różdżkę.

- Minister nie zgodziłby się na łamanie prawa! - krzyknęła Hermiona.

- Czego Korneliusz nie widzi, to go nie zaboli - mruknęła Umbridge. - Dyszała lekko, celując różdżką po kolei w różne części ciała Harry'ego, najwyraźniej zastanawiając się, gdzie ugodzić. - Nigdy się nie dowiedział, że to ja wysłałam dementorów za Potterem zeszłego lata, ale był zachwycony, że ma szansę go wyrzucić...

- To pani? - wydyszał Harry. - PANI nasłała na mnie dementorów?

- Ktoś musiał działać - powiedziała cicho Umbridge, podczas gdy jej różdżka zatrzymała się w powietrzu, wycelowana w czoło Harry'ego. - Wszyscy paplali, że trzeba cię uciszyć... zdyskredytować... ale tylko ja zrobiłam coś konkretnego... Tylko że jakoś się z tego wykręciłeś... Ale nie dzisiaj, Potter, nie dzisiaj...

Wzięła głęboki oddech i zawołała:

- *Cruc...*

- NIE! - krzyknęła ochrypłym głosem Hermiona zza Milicenty Bulstrode. - Nie... Harry, musimy jej powiedzieć!

- Nigdy! - ryknął Harry w stronę Hermiony.

- Musimy, Harry, ona i tak wydusi to z ciebie, po co... po co...

I zaczęła głośno szlochać. Milicenta natychmiast przestała ją przyciskać do ściany i odsunęła się, patrząc na nią z niesmakiem.

- No, no, no! - zapiała triumfalnie Umbridge. - Nasza mała Miss Pytań-o-Wszystko chce udzielić nam paru odpowiedzi! No to mów, dziewczyno, śmiało!

- Ee... mmm... noo... nie! - krzyknął Ron przez knebel. Ginny patrzyła na Hermionę tak, jakby ją zobaczyła po raz pierwszy w życiu. Neville, wciąż krztusząc się i dławiąc, też się w nią wpatrywał. Ale Harry coś dostrzegł. Hermiona szlochała rozpaczliwie, zakrywając sobie usta rękami, ale na jej policzkach nie było łez.

- Ja... ja... przepraszam... wszystkich - jęczała Hermiona. - Ale... ja już nie mogę... nie mogę tego znieść...

- Słusznie, dziewczyno, słusznie! - powiedziała Umbridge, chwytając Hermionę za ramiona. Popchnęła ją na opuszczony fotel i pochyliła się nad nią. - No więc gadaj... z kim Potter dopiero co rozmawiał?

- On... - wyjąkała Hermiona - on próbował porozmawiać z profesorem Dumbledore'em...

Ron zamarł z szeroko otwartymi oczami, Ginny przestała wierzgać, nawet Luna wyglądała na nieco zaskoczoną. Na szczęście uwaga Umbridge i jej sługusów zbyt była skupiona na Hermionie, żeby dostrzegli coś podejrzanego.

- Z Dumbledore'em? - powtórzyła Umbridge. - A więc wiecie, gdzie jest Dumbledore, tak?

- No... nie! - załkała Hermiona. - Próbowaliśmy znaleźć go w Dziurawym Kotle na Pokątnej i w Trzech Miotłach, i nawet w gospodzie Pod Świńskim Łbem...

- Ty kretynko, myślisz, że Dumbledore siedziałby sobie w jakimś pubie, kiedy szuka go całe ministerstwo? - krzyknęła Umbridge, a na jej obwisłej twarzy pojawiło się okropne rozczarowanie.

- Ale... ale my chcieliśmy powiedzieć mu coś bardzo ważnego! - jęknęła Hermiona, zakrywając sobie jeszcze szczelniej twarz rękami, a Harry wiedział, że wcale nie ze strachu, tylko by ukryć, że nie uroniła ani jednej łzy.

- Tak? - zapytała Umbridge z wyraźnym ożywieniem. - A co mu chcieliście powiedzieć?

- My... chcieliśmy mu powiedzieć, że to już jest gotowe! - wykrztusiła Hermiona.

- Co jest gotowe? - zapytała Umbridge, chwytając Hermionę za ramiona i potrząsając nią lekko. - Co jest gotowe, dziewczyno?

- Ta... ta broń.

- Broń? Broń? - powtórzyła Umbridge, wybałuszając oczy. - Pracowaliście nad jakąś metodą zbrojnego oporu? Nad bronią, którą zamierzaliście użyć przeciw ministerstwu? Oczywiście na rozkaz profesora Dumbledore'a, tak?

- T-t-tak - wykrztusiła Hermiona. - Ale on musiał odejść, nim b-była g-gotowa, a t-teraz ją skończyliśmy... i nie m-m-możemy go znaleźć, żeby mu o t-t-tym p-p-powiedzieć!

- Co to za broń? - zapytała ostro Umbridge, wbijając krótkie paluchy w ramiona Hermiony.

- M-m-my tego s-s-sami nie r-r-rozumiemy - wyjąkała Hermiona, pociągając głośno nosem. - M-m-my robiliśmy t-to, co nam kazał p-p-profesor Dumbledore...

Umbridge wyprostowała się. Wyglądała na zachwyconą.

- Zaprowadź mnie do tej broni.

- Im nie pokażę! - pisnęła Hermiona, patrząc przez palce na Ślizgonów.

- Nie ty mi będziesz stawiała warunki - warknęła profesor Umbridge.

- Doskonale - powiedziała Hermiona, znowu łkając w dłonie. - Dobrze... niech zobaczą, i mam nadzieję, że użyją jej przeciwko pani! Tak, bardzo bym chciała, żeby to zobaczyło mnóstwo ludzi! D-dostałaby pani wreszcie za swoje... Och, tak, n-n-niech cała szkoła się dowie, gdzie to jest... i jak tego u-użyć... bo jak pani znowu zacznie k-kogoś dręczyć, t-to będą mogli panią wykończyyyć!

Te słowa wywarły na Umbridge duże wrażenie. Zerknęła podejrzliwie na swoją Brygadę Inkwizycyjną. Jej wyłupiaste oczy spoczęły na chwilę na Malfoyu, który nie zdążył pozbyć się wyrazu łakomej ochoty.

Umbridge przypatrywała się Hermionie przez dłuższą chwilę, a potem przemówiła głosem, który w jej pojęciu miał być zapewne głosem matczynym:

- Dobrze, moja droga, zrobimy to tylko my dwie... ty i ja... I zabierzemy też Pottera, dobrze? No to wstawaj...

- Pani profesor... - odezwał się Malfoy. - Pani profesor, uważam, że powinien iść ktoś z brygady, żeby pilnować...

- Jestem wykwalifikowanym urzędnikiem ministerstwa, Malfoy. Myślisz, że nie poradzę sobie z dwojgiem pozbawionych różdżek nastolatków? Zresztą wszystko wskazuje na to, że uczniowie w ogóle nie powinni czegoś takiego oglądać. Zostaniecie tutaj do mojego powrotu i przypilnujecie, żeby żadne z nich - machnęła w stronę Rona, Ginny, Neville'a i Luny - nie uciekło.

- Tak jest - mruknął Malfoy, nadąsany i wyraźnie rozczarowany.

- A wy dwoje pójdziecie przede mną i wskażecie mi drogę - dodała, celując różdżką w Harry'ego i Hermionę. - Prowadź...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI
WALKA I LOT

Harry nie miał pojęcia, co planuje Hermiona, a nawet czy w ogóle ma jakiś plan. Szedł o pół kroku za nią, wiedząc, że wyglądałoby bardzo podejrzanie, gdyby się okazało, że nie wie, dokąd idą. Nie próbował się do niej odezwać, bo Umbridge kroczyła tuż za nimi, tak że słyszał jej nierówny oddech.

Hermiona poprowadziła ich w dół, do sali wejściowej. Przez podwójne drzwi Wielkiej Sali napływał gwar i szczęk sztućców. Harry'emu wydało się wręcz niewiarygodne, że zaledwie dwadzieścia stóp od nich ludzie zajadają ze smakiem kolację, cieszą się z końca egzaminów i nie pamiętają o bożym świecie...

Hermiona wyszła przez dębowe drzwi frontowe w balsamiczne powietrze letniego wieczoru. Słońce opadało ku szczytom drzew w Zakazanym Lesie. Bez wahania pomaszerowała przez błonia; Umbridge musiała biec truchtem, żeby dotrzymać im kroku. Ich długie cienie falowały za nimi po trawie jak płaszcze.

- To jest ukryte w chatce Hagrida, tak? - zapytała Umbridge, dysząc prosto w ucho Harry'ego.

- Ależ skąd! - odpowiedziała Hermiona zjadliwym tonem. - Hagrid mógłby ją przypadkowo odpalić.

- No tak - zgodziła się Umbridge, której podniecenie sięgało zenitu. - Tak, mógłby to zrobić, oczywiście, ten wielki przygłup, niedorobiony mieszaniec...

Parsknęła śmiechem. Harry poczuł przemożną chęć złapania jej za gardło, ale oparł się pokusie. Blizna na czole pulsowała bólem w łagodnym wieczornym powietrzu, ale nie było to jeszcze owo dźganie rozpalonym do białości żelazem, które odczuwał, gdy Voldemort miał zadać śmiertelny cios...

- Więc... gdzie to jest? - zapytała Umbridge z nutą niepewności w głosie, widząc, że Hermiona maszeruje w stronę lasu.

- Tam - odpowiedziała Hermiona, wskazując ciemne drzewa. - Trzeba to było ukryć tak, żeby uczniowie tego przypadkowo nie odnaleźli, prawda?

- Oczywiście - zgodziła się Umbridge, teraz już z nutą zrozumienia. - Oczywiście... a więc dobrze... wy dwoje idźcie nadal przodem...

- Mogłaby pani dać nam swoją różdżkę, skoro mamy iść przodem? - zapytał Harry.

- Nie sądzę, panie Potter - odpowiedziała Umbridge słodkim głosem, szturchając go w plecy końcem różdżki. - Obawiam się, że ministerstwu bardziej zależy na moim życiu niż na twoim.

Kiedy weszli w cień pierwszych drzew, Harry próbował ściągnąć na siebie wzrok Hermiony. Wchodzenie do Zakazanego Lasu bez różdżek wydało mu się najgłupszą rzeczą, jaką dzisiaj zrobili. Ale Hermiona tylko zmierzyła Umbridge pogardliwym spojrzeniem i śmiało wkroczyła do lasu, idąc tak szybko, że Umbridge, na swoich krótkich nogach, z trudnością dotrzymywała im kroku.

- Czy to daleko? - zapytała, kiedy rozdarła sobie szatę o krzak jeżyn.

- O tak. Tak, jest dobrze ukryta.

W Harrym narastał niepokój. Hermiona nie prowadziła ich ścieżką, którą szli do Graupa, ale tą, którą przed trzema laty dotarł do legowiska Aragoga. Hermiony wówczas z nim nie było, więc miał wątpliwości, czy zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, czyhającego na końcu ścieżki.

- Ee... jesteś pewna, że dobrze idziemy? - zapytał ją z naciskiem.

- Och, tak - odpowiedziała głosem twardym jak stal, przedzierając się przez podszycie lasu z hałasem, który wydał mu się całkowicie niepotrzebny.

Za nimi Umbridge potknęła się o zwalone drzewko. Żadne z nich nie zatrzymało się, aby pomóc jej wstać. Hermiona zawołała głośno przez ramię:

- Jeszcze kawałek!

- Hermiono, nie drzyj się tak - mruknął Harry, przyspieszając kroku, by ją dogonić. - Ktoś może usłyszeć...

- Chcę, żeby nas usłyszano - odpowiedziała cicho, bo Umbridge już biegła z hałasem za nimi. - Zobaczysz...

Szli długo, aż wkroczyli tak głęboko w puszczę, że gęsty baldachim drzew całkowicie przysłonił światło. Harry'ego nawiedziło to samo uczucie, co przedtem, gdy był w puszczy, że śledzą go niewidzialne oczy...

- Jak daleko jeszcze? - dobiegł ich z tyłu rozzłoszczony głos Umbridge.

- Już niedaleko! - zawołała Hermiona, kiedy wyszli na mroczną, wilgotną polankę. - Jeszcze kawałeczek...

Strzała świsnęła w powietrzu i ze złowieszczym głuchym stukiem wbiła się w pień drzewa tuż nad jej głową. Zewsząd zadudniły kopyta. Harry poczuł, że ziemia zadrżała. Umbridge pisnęła i wypchnęła go przed siebie jak tarczę...

Uwolnił się od niej i obrócił. Z obu stron pojawiło się około pięćdziesiąt centaurów. Każdy miał w ręku łuk gotowy do strzału, a groty wycelowane były w Harry'ego, Hermionę i Umbridge, cofających się powoli na środek polany. Umbridge zaskomlała dziwacznie ze strachu. Harry zerknął z boku na Hermionę. Uśmiechała się triumfalnie.

- Kim jesteście? - rozległ się głos.

Harry spojrzał w lewo. Kroczył ku nim kasztanowaty centaur Magorian z łukiem w ręku. Umbridge wciąż skomlała, a różdżka, którą wycelowała w zbliżającego się centaura, dygotała gwałtownie.

- Zapytałem, kim jesteście, ludzka raso - powiedział szorstko Magorian.

- Jestem Dolores Umbridge! - odpowiedziała Umbridge piskliwym, przerażonym głosem. - Starszy podsekretarz ministra magii, dyrektor i Wielki Inkwizytor Hogwartu!

- Jesteś z Ministerstwa Magii? - zapytał Magorian, a wiele centaurów poruszyło się niespokojnie.

- Tak jest! - odpowiedziała Umbridge jeszcze bardziej piskliwym głosem. - Więc uważajcie! Na mocy prawa ustalonego przez Departament Kontroli nad Magicznymi Stworzeniami każda napaść na ludzi ze strony takich mieszańców jak wy...

- Jak nas nazwałaś? - krzyknął kary centaur, w którym Harry poznał Zakałę.

Rozległy się groźne pomruki, kilka centaurów napięło cięciwy.

- Nie nazywaj ich tak! - warknęła Hermiona, ale Umbridge chyba jej nie dosłyszała. Wciąż celując w Magoriana drżącą różdżką, ciągnęła dalej:

- Paragraf piętnasty, punkt B, mówi wyraźnie, że *jakikolwiek atak ze strony magicznego stworzenia posiadającego prawie ludzką inteligencję, a więc uważanego za odpowiedzialne za swoje czyny...*

- Prawie ludzką inteligencję? - powtórzył Magorian, a Zakała i kilka innych centaurów ryknęło groźnie, drąc kopytami murawę. - To dla nas wielka zniewaga, przedstawicielu ludzkiej rasy! Nasza inteligencja dalece przewyższa waszą...

- Co robicie w naszej puszczy? - ryknął siwy centaur o srogiej twarzy, którego Harry i Hermiona widzieli podczas swej ostatniej wyprawy do Zakazanego Lasu. - Po co tu przyszliście?

- Waszej puszczy?! - krzyknęła Umbridge, teraz trzęsąc się już nie tylko ze strachu, ale i z oburzenia. - Przypominam wam, że żyjecie tu tylko dlatego, że Ministerstwo Magii wyznaczyło wam pewne tereny...

Strzała świsnęła tak blisko jej głowy, że musnęła jej mysie włosy. Wrzasnęła i osłoniła sobie głowę rękami. Kilka centaurów ryknęło z uciechy, inni roześmiali się drwiąco. Przerażający był ich dziki, rżący śmiech, toczący się echem po mrocznej polanie, i widok ich kopyt, drących nerwowo darń i ziemię.

- No to jak, czyja to puszcza? - ryknął Zakała.

- Stado plugawych mieszańców! - krzyknęła piskliwym głosem Umbridge, osłaniając sobie nadal głowę rękami. - Bestie! Rozpasane zwierzaki!

- Uspokój się! - krzyknęła Hermiona, ale było już za późno. Umbridge wycelowała różdżkę w Magoriana i wrzasnęła:

- *Incarcerus!*

W powietrzu śmignęły grube jak węże liny, oplatając ciasno tors i ramiona centaura. Ryknął z wściekłości i stanął dęba, próbując się uwolnić. Reszta centaurów pomknęła ku Umbridge.

Harry złapał Hermionę i pociągnął ją na ziemię. Leżąc na brzuchu, z twarzą w trawie, przeżył chwilę grozy, gdy wokół niego zadudniły kopyta, ale centaury przeskakiwały go, rycząc i wyjąc.

- Nieeeee! - rozległ się rozdzierający krzyk Umbridge. - Nieeeee... jestem starszym podsekretarzem... nie wolno wam... puśćcie mnie, zwierzaki... nieeeeee!

Harry ujrzał błysk czerwonego światła - próbowała oszołomić jednego z nich - a potem wrzasnęła jeszcze głośniej. Uniósł nieco głowę i zobaczył, jak Zakała chwycił ją za kark i uniósł wysoko w powietrze. Różdżka wypadła jej z ręki, a Harry'emu drgnęło serce... Gdyby udało mu się jej dosięgnąć...

Ale gdy wyciągnął rękę, kopyto centaura trafiło w różdżkę, łamiąc ją na pół.

- Ejże! - ryknął mu prosto w ucho czyjś głos, po czym owłosiona ręka chwyciła go za kark i postawiła na ziemi.

To samo stało się z Hermioną. Ponad podrygującymi, wielobarwnymi grzbietami i głowami dostrzegł Umbridge unoszoną przez Zakałę w las; jej wrzaski powoli cichły, aż w końcu trudno je było dosłyszeć wśród dudnienia kopyt.

- A ci? - zapytał siwy centaur o srogiej twarzy, trzymający Hermionę.

- Są młodzi - rozległ się za jego plecami smętny głos. - Źrebaków nie atakujemy.

- Oni ją tutaj przyprowadzili, Ronanie - odparł centaur, który trzymał mocno Harry'ego. - I nie są już tacy młodzi... Ten tutaj to prawie mężczyzna...

Potrząsnął Harrym, trzymając go za kołnierz szaty.

- Błagam - powiedziała Hermioną, której wyraźnie brakło tchu - błagam, nie atakujcie nas, my jej też nie lubimy, nie jesteśmy pracownikami ministerstwa! Przyszliśmy tu, bo mieliśmy nadzieję, że nas od niej uwolnicie...

Po wyrazie twarzy siwego centaura, który ją trzymał, Harry poznał od razu, że popełniła fatalny błąd. Centaur odrzucił głowę do tyłu, tupnął zadnimi nogami i ryknął:

- Widzisz, Ronanie? Już są butni, tak jak cała ich rasa! Więc to my mieliśmy za was odwalić czarną robotę, tak? My mieliśmy być waszymi sługami i przepędzić waszych wrogów jak posłuszne psy?

- Nie! - pisnęła przerażona Hermiona. - Proszę... ja nie miałam tego na myśli! Ja tylko miałam nadzieję, że... że nam pomożecie!

Okazało się, że to jeszcze bardziej pogorszyło sprawę.

- My nie pomagamy ludziom! - warknął centaur trzymający Harry'ego. Wzmocnił uścisk i cofnął się nieco, tak że Harry natychmiast stracił grunt pod nogami. - My należymy do innej rasy, trzymamy się od was z daleka i jesteśmy z tego dumni... Nie pozwolimy, żebyście stąd odeszli i przechwalali się, że zrobiliśmy, co nam kazaliście!

- Nikomu nic nie zamierzamy mówić! - krzyknął Harry. - Wiemy, że nie zrobiliście niczego tylko ze względu na nas...

Ale nikt go już nie słuchał. Stojący trochę z tyłu brodaty centaur zawołał:

- Przyszli tu nieproszeni, muszą ponieść konsekwencje! Słowa te powitane zostały gromkim aplauzem, a skarogniady centaur krzyknął:

- Mogą dołączyć do tej kobiety!

- Mówiliście, że nie krzywdzicie niewinnych! - krzyknęła Hermiona, której ciekły po policzkach najprawdziwsze łzy. - Nie zrobiliśmy wam krzywdy, nie użyliśmy różdżek, nie groziliśmy wam, chcemy po prostu wrócić do szkoły, pozwólcie nam wrócić, proszęęę...

- Nie jesteśmy tacy, jak zdrajca Firenzo, dziewczyno! - krzyknął siwy centaur, a inni ryknęli z aprobatą. - Może myślałaś, że jesteśmy ślicznymi mówiącymi końmi, co? Jesteśmy starożytną rasą, która nie znosi najazdów czarodziejów i ich obelg! Nie respektujemy waszych praw, nie uznajemy waszej wyższości, jesteśmy...

Ale nie usłyszeli, czym jeszcze są centaury, bo w tym momencie ze skraju polany dobiegł tak straszliwy łoskot, że wszyscy - Harry, Hermiona i blisko pięćdziesiąt centaurów - rozejrzeli się dookoła. Centaur trzymający Harry'ego puścił go i błyskawicznie sięgnął po łuk i strzałę, Hermionę też rzucono na ziemię, Harry puścił się ku niej pędem, gdy nagle dwa grube pnie drzew rozchyliły się złowieszczo, a między nimi pojawiła się olbrzymia postać Graupa.

Stojące najbliżej niego centaury cofnęły się, wpadając na inne. Na polanie wyrósł las napiętych łuków i strzał wycelowanych w górę, w olbrzymią szarą twarz, majaczącą tuż pod baldachimem najwyższych gałęzi drzew. Graup rozdziawił głupkowato krzywe usta. W półmroku widać było wielkie żółte zęby, mętne oczy barwy szlamu zwęziły się, gdy zerkał na stworzonka u swych stóp. Przy kostkach nóg wisiały zerwane liny.

Rozwarł usta jeszcze bardziej.

- Hagger.

Harry nie wiedział, co znaczy „hagger", ani z jakiego języka to słowo pochodzi, ale nie dbał o to - obserwował olbrzymie stopy, tak długie, jak całe jego ciało. Hermiona uczepiła się mocno jego ramienia, centaury zamarły, wpatrując się w olbrzyma, którego wielka, okrągła głowa obracała się powoli, gdy zerkał na nich, jakby szukał czegoś, co zgubił.

- Hagger! - powtórzył, z większym naciskiem.

- Odejdź stąd, olbrzymie! - krzyknął Magorian. - Nie chcemy ciebie tutaj!

Te słowa nie zrobiły na Graupie najmniejszego wrażenia. Pochylił się trochę (centaury zacisnęły ręce na łukach) i ryknął:

- HAGGER!

Kilka centaurów wyraźnie się zaniepokoiło. Hermiona wydała z siebie zduszony okrzyk.

- Harry! - szepnęła. - On chyba próbuje powiedzieć „Hagrid"!

W tym momencie Graup ich dostrzegł - jedyne dwie ludzkie postacie w tłumie centaurów. Zniżył jeszcze bardziej głowę, wpatrując się w nich uważnie. Harry poczuł, jak Hermiona zadygotała, gdy Graup jeszcze raz otworzył szerzej usta i powiedział niskim, dudniącym głosem:

- Herma.

- O Boże - szepnęła Hermiona, ściskając ramię Harry'ego tak mocno, że zaczęło mu drętwieć; wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć. - On... on pamięta!

- HERMA! - ryknął olbrzym. - GDZIE HAGGER?

- Nie wiem! - pisnęła Hermiona. - Graup, przykro mi, ale nie wiem!

Graup wyciągał ku nim swoją potężną rękę. Hermiona wrzasnęła, odbiegła parę kroków i upadła. Pozbawiony różdżki Harry gotów był zadawać ciosy, kopać, gryźć, gdy ręka wystrzeliła ku niemu i zwaliła z nóg śnieżnobiałego centaura.

Na to tylko czekały inne. Wyciągnięte palce Graupa były już o stopę od Harry'ego, kiedy pięćdziesiąt strzał świsnęło w powietrzu i utkwiło w jego szarej twarzy. Zawył z bólu i wściekłości, wyprostował się i przetarł twarz wielkimi łapami, łamiąc strzały, ale jeszcze głębiej wbijając sobie groty.

Ryknął, tupnął i ruszył do przodu, a centaury czmychnęły przed nim na boki. Krople krwi wielkości otoczaków spadły na Harry'ego, gdy pomagał Hermionie wstać. Oboje puścili się biegiem pod osłonę drzew. Tam się obejrzeli - Graup, z twarzą zalaną krwią, próbował wyłapywać na oślep centaury, które uciekały w popłochu, chroniąc się między drzewami po

drugiej stronie polany. Olbrzym ryknął jeszcze raz i ruszył za nimi w pogoń, łamiąc po drodze drzewa.

- Och, nie - jęknęła Hermiona, trzęsąc się cała tak, że kolana odmówiły jej posłuszeństwa. - Och, to było straszne. I on może je wszystkie pozabijać...

- Mówiąc szczerze, wcale bym się nie zmartwił - mruknął z goryczą Harry.

Tętent galopujących centaurów i ryki olbrzyma oddalały się coraz bardziej. Harry nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, gdy jego bliznę przeszył ostry ból. Ogarnęła go panika.

Zmarnowali tyle czasu - i byli teraz jeszcze dalej od uratowania Syriusza niż na samym początku, gdy go zobaczył w sali ze szklanymi kulkami. Nie miał już różdżki i tkwili w sercu Zakazanego Lasu, bez możliwości szybkiego przeniesienia się gdziekolwiek.

- Sprytny plan - warknął, by wyładować na kimś swą wściekłość. - Naprawdę sprytny, nie ma co. I dokąd teraz pójdziemy?

- Musimy wrócić do zamku - powiedziała cicho Hermiona.

- Zanim tam dojdziemy, Syriusz pewnie już zginie!

Kopnął w pień najbliższego drzewa. W górze coś piskliwie zaświergotało, a kiedy podniósł głowę, ujrzał rozgniewanego nieśmiałka, wyciągającego ku niemu długie, łodygowate palce.

- Przecież bez różdżek i tak nie możemy nic zrobić - powiedziała z rozpaczą Hermiona, podnosząc się z ziemi. - A zresztą, Harry, jak ty właściwie chciałeś dostać się do Londynu?

- Tak, właśnie się nad tym zastanawialiśmy - rozległ się za nią znajomy głos.

Harry i Hermiona instynktownie zbliżyli się do siebie, wpatrując się między drzewa. Wyszedł zza nich Ron, a tuż za nim Ginny, Neville i Luna. Nie wyglądali najlepiej - Ginny miała kilka długich zadrapań na policzku, Neville podbite prawe oko, Ronowi krew ściekała z ust - ale wyraźnie byli z siebie zadowoleni.

- No więc masz jakiś pomysł? - zapytał Ron, odgarniając nisko wiszącą gałąź i wyciągając zza pazuchy różdżkę Harry'ego.

- Jak wam się udało uciec? - zdumiał się Harry, biorąc swoją różdżkę od Rona.

- Parę oszałamiaczy, jedno zaklęcie rozbrajające, a Neville wystrzelił naprawdę fajne Impendimento - powiedział beztrosko Ron, oddając Hermionie jej różdżkę. - Ale Ginny była najlepsza, trafiła Malfoya upiorogackiem... było super, całą buźkę pokryły mu takie roztrzepotane świństwa. W każdym razie zobaczyliśmy przez okno, jak zasuwacie do lasu, więc ruszyliśmy za wami. Co zrobiliście z Umbridge?

- Gdzieś ją poniosło. Stado centaurów.

- A was zostawiły? - zapytała zdumiona Ginny.

- Można tak powiedzieć, bo pogonił je Graup.

- Kto to jest Graup? - zapytała z ciekawością Luna.

- Młodszy brat Hagrida - odrzekł szybko Ron. - No dobra, zostawmy to teraz. Harry, co odkryłeś w kominku? Sam-Wiesz-Kto dorwał Syriusza, czy...

- Tak - odpowiedział Harry, a jego bliznę po raz kolejny przeszył ostry ból - ale jestem pewny, że Syriusz wciąż żyje, tylko nie wiem, jak się stąd wydostaniemy, żeby mu pomóc.

Zapadło milczenie, wszyscy mieli wystraszone miny. Stanęli przed trudnością nie do pokonania.

- Będziemy musieli polecieć - odezwała się Luna rzeczowym tonem.

- Słuchaj - powiedział ze złością Harry, odwracając się do niej - po pierwsze „my" nic nie będziemy robić, jeśli włączasz w to siebie, a po drugie, tylko Ron ma miotłę, która nie jest strzeżona przez trolla, więc...

- Ja mam miotłę! - pisnęła Ginny.

- Tak, tylko że ty z nami nie idziesz - powiedział zgryźliwie Ron.

- Bardzo przepraszam, ale mnie też obchodzi, co się stanie z Syriuszem! - oburzyła się Ginny, zaciskając szczęki zupełnie tak samo, jak Fred i George.

- Jesteś za... - zaczął Harry.

- Jestem trzy lata starsza niż ty, kiedy walczyłeś z Sam-Wiesz-Kim o Kamień Filozoficzny, i to dzięki mnie Malfoy utknął w gabinecie Umbridge, opędzając się od upiorów z nietoperzymi skrzydłami...

- Tak, ale...

- Wszyscy jesteśmy w GD - powiedział cicho Neville. - Przecież to wszystko miało nas przygotować do walki z Sami-Wiecie-Kim, prawda? A to jest nasza pierwsza szansa, żeby zrobić coś naprawdę... a może to miała być tylko zabawa?

- Nie... pewnie, że nie - odrzekł niecierpliwie Harry.

- Więc my też powinniśmy iść z wami. Chcemy pomóc.

- Słusznie - powiedziała Luna, uśmiechając się radośnie.

Harry spojrzał na Rona. Wiedział, że Ron myśli dokładnie to samo, co on: gdyby miał wybrać kogoś spośród członków GD do pomocy w próbie odbicia Syriusza z rąk Voldemorta, na pewno nie wybrałby ani Ginny, ani Neville'a, ani Luny.

- No dobrze, nie ma się o co kłócić - powiedział zrezygnowany - bo nadal nie wiemy, jak się stąd wydostać...

- Myślałam, że już to ustaliliśmy - powiedziała Luna. - Polecimy!

- Posłuchaj - odezwał się Ron, z trudem powstrzymując gniew - może ty potrafisz latać bez miotły, ale my wszyscy nie wyhodujemy sobie tak nagle skrzydeł i...

- Są inne sposoby latania, nie tylko na miotłach - oświadczyła pogodnie Luna.

- To co, może polecimy na grzbiecie tego chrapuka skrętokiszkowatego, czy jak mu tam?

- Chrapak krętorogi nie fruwa - wyjaśniła Luna z godnością. - Ale ONE fruwają, a Hagrid mówi, że zawsze dowiozą jeźdźca do celu.

Harry obrócił się szybko. Między dwoma drzewami, pobłyskując tajemniczo białymi oczami, stały dwa testrale, obserwując ich z taką uwagą, jakby rozumiały każde słowo z ich gorączkowej szeptaniny.

- Tak! - powiedział i ruszył ku nim.

Potrząsnęły gadzimi głowami, odrzucając z pysków długie, czarne grzywy, a Harry wyciągnął rękę i poklepał najbliższego po lśniącej szyi. Jak mógł kiedykolwiek uważać, że są brzydkie?

- To te zwariowane końskie stwory? - zapytał niepewnie Ron, gapiąc się trochę na lewo od testrala, którego poklepał Harry. - Te, których się nie widzi, jeśli się nie było świadkiem, jak ktoś wykorkował?

- Tak.

- Ile ich jest?

- Tylko dwa.

- No, potrzebujemy trzy - powiedziała Hermiona, wciąż lekko roztrzęsiona, ale wyraźnie zdecydowana.

- Cztery - mruknęła Ginny.

- Jeśli się nie mylę, jest nas sześcioro - oznajmiła spokojnie Luna, policzywszy wszystkich.

- Nie bądź głupia, nie możemy lecieć wszyscy! - warknął Harry. - Słuchajcie, wy troje - wskazał na Neville'a, Ginny i Lunę - nie jesteście w to zamieszani, nie jesteście...

Zaczęli gwałtownie protestować. Jego bliznę przeszył znowu ból, jeszcze dotkliwszy niż przedtem. Każda chwila była drogocenna, nie miał czasu na kłótnie.

- Dobrze, to wasz wybór. Ale jeśli nie znajdziemy więcej testrali, nie będziecie mogli...

- Och, będzie ich więcej - oświadczyła Ginny, która, podobnie jak Ron, patrzyła zupełnie gdzie indziej, najwyraźniej sądząc, że patrzy na konie.

- Tak? A skąd taka pewność?

- Bo muszę ci powiedzieć, na wypadek gdybyś sam tego nie zauważył, że ty i Hermiona jesteście uwalani krwią - powiedziała spokojnie - a przecież wiemy, że Hagrid zwabiał je świeżym mięsem, więc prawdopodobnie te dwa tu przybiegły...

W tym momencie Harry poczuł, jak coś ciągnie go za szatę, a kiedy spojrzał w dół, zobaczył, że testral liże mu rękaw mokry od krwi Graupa.

- No dobrze - powiedział, bo wpadł mu do głowy pewien pomysł. - Ron i ja weźmiemy te dwa i polecimy pierwsi, a Hermiona zostanie z wami, żeby zwabić więcej testrali...

- Ja nie zostanę! - oburzyła się Hermiona.

- Nie ma potrzeby - powiedziała z uśmiechem Luna. - Patrzcie, już są... Musicie porządnie cuchnąć...

Harry odwrócił się. Co najmniej sześć albo siedem testrali kluczyło między drzewami; złożone skrzydła przylegały do wychudłych boków, białe oczy jarzyły się w ciemności. Teraz już nie miał żadnej wymówki...

- No dobra - rzucił ze złością. - Bierzcie po jednym i w drogę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY
DEPARTAMENT TAJEMNIC

Harry uchwycił się mocno grzywy najbliższego testrala, postawił stopę na pobliskim pniaku i wgramolił się na jedwabisty czarny grzbiet. Zwierzę nie zaprotestowało, tylko obróciło pysk do tyłu, szczerząc kły i próbując nadal lizać mu szatę.

Znalazł taki sposób umieszczenia kolan za jego skrzydłami, że poczuł się bardziej bezpiecznie, i rozejrzał się, jak sobie radzą inni. Neville podciągnął się na grzbiet swojego testrala i teraz próbował przerzucić krótką nogę na drugą stronę. Luna już siedziała na swoim wierzchowcu po damsku, z nogami z jednej strony, i poprawiała sobie szatę, jakby robiła to codziennie. Natomiast Ron, Hermiona i Ginny nadal stali nieruchomo w miejscu, gapiąc się z otwartymi ustami w przestrzeń.

- Co z wami?

- Jak mamy dosiąść czegoś, czego nie widzimy? - zapytał Ron.

- Och, to bardzo łatwe - odpowiedziała Luna, ześlizgując się ze swojego testrala i idąc do nich. - Chodźcie tutaj...

Poprowadziła ich do innych testrali i po kolei pomogła każdemu wspiąć się na ich grzbiety. Wszyscy troje mieli bardzo niepewne miny, kiedy Luna powkładała im ręce w końskie grzywy i powiedziała, że muszą się ich mocno trzymać. Potem zgrabnie dosiadła swojego wierzchowca.

- To wariactwo - mruknął Ron, przesuwając niespokojnie ręką po szyi swego konia. - Przecież ja go nie widzę...

- Lepiej, żeby nikt go nie widział - stwierdził ponuro Harry. - Wszyscy gotowi?

Kiwnęli głowami i mocniej ścisnęli kolanami grzbiety koni.

- Dobra...

Spojrzał na lśniącą, czarną głowę swojego testrala i przełknął ślinę.

- A więc... Ministerstwo Magii, wejście dla interesantów, Londyn - powiedział niepewnie. - Ee... jeśli wiesz... gdzie to jest...

Przez chwilę testral stał spokojnie. Potem nagle rozłożył skrzydła tak gwałtownie, że Harry o mało co nie spadł z jego grzbietu, powoli ugiął tylne nogi i wystrzelił w górę tak szybko i stromo, że Harry musiał z całej siły trzymać się go ramionami i nogami, żeby się nie ześliznąć na kościsty zad. Zamknął oczy i wtulił twarz w jedwabistą grzywę, kiedy przebijali się przez korony drzew, a kiedy je otworzył, ujrzał przed sobą krwawoczerwoną łunę zachodu słońca.

Chyba jeszcze nigdy nie leciał tak szybko. Testral śmignął nad zamkiem, prawie nie poruszając skrzydłami. Pęd chłodnego powietrza uderzył Harry'ego w twarz. Zmrużył oczy, obejrzał się i zobaczył szybującą za nim piątkę swoich towarzyszy; każdy przywarł do szyi swego testrala, aby się uchronić przed pędem powietrza.

Przelecieli nad błoniami Hogwartu, potem nad Hogsmeade, i Harry ujrzał pod sobą góry i wąwozy. W zapadających ciemnościach widać było małe skupiska światełek, gdy przelatywali nad kolejnymi wioskami, a potem krętą drogą, po której pełzł samotny samochód...

- To czysty obłęd! - usłyszał za sobą krzyk i wyobraził sobie, jak Ron musi się czuć, lecąc na takiej wysokości i nie widząc, na czym leci.

Zapadł zmierzch, niebo zasnuło się szarym fioletem upstrzonym srebrnymi gwiazdami, i wkrótce tylko światła mugolskich miasteczek dawały im pojęcie, jak wysoko lecą. Harry oplótł ramionami szyję swojego konia, modląc się w duchu, by leciał jeszcze szybciej. Ile czasu upłynęło od chwili, gdy zobaczył Syriusza leżącego na posadzce Departamentu Tajemnic? Jak długo jeszcze będzie zdolny do stawiania oporu Voldemortowi? Wiedział tylko jedno: Syriusz nie zrobił tego, czego żądał od niego Voldemort, ani też nie umarł - był przekonany, że w jednym i drugim przypadku odczułby rozradowanie lub wściekłość Voldemorta. Dałby mu o tym znać straszliwy ból blizny na czole, taki sam, jaki poczuł tej nocy, gdy zaatakowany został pan Weasley...

Pędzili przez gęstniejącą ciemność. Harry'emu zmarzła i zesztywniała twarz, nogi zdrętwiały od ściskania boków testrala, ale nie śmiał zmienić pozycji z obawy, że się ześliźnie... Ogłuchł od świstu i dudnienia w uszach, usta mu wyschły i zlodowaciały. Stracił poczucie, jak daleko są, całą nadzieję pokładając już tylko w swym wierzchowcu, wciąż śmiało i pewnie pędzącemu przez noc i tylko od czasu do czasu poruszającemu skrzydłami...

A jeśli już jest za późno...

On wciąż żyje, wciąż walczy, czuję to...

A jeśli Voldemort uznał, że Syriusz się nie załamie...

Wiedziałbym o tym...

Żołądek podskoczył mu do gardła. Testral nagle pochylił łeb i Harry zsunął się o parę cali po jego szyi. A więc wreszcie się zniżali... Usłyszał za sobą wrzask jednej z dziewcząt i obrócił się gwałtownie, ale nie dostrzegł spadającego ciała... Pewnie i ich zaskoczyła nagła zmiana pozycji...

Teraz już wokoło rozgorzały pomarańczowe światła, rosnąc z każdą chwilą. Ujrzeli szczyty budynków, strumienie reflektorów samochodowych, błyszczących w ciemności jak

oczy owadów, bladożółte prostokąciki okien. I nagle tuż pod nimi wyrósł chodnik. Harry ostatkiem sił przywarł mocno do szyi testrala, spodziewając się gwałtownego zderzenia z ziemią, ale testral dotknął jej lekko jak cień i kiedy Harry ześliznął się z jego grzbietu, ujrzał przed sobą ulicę, na której przepełniony śmietnik nadal stał tuż obok zdewastowanej budki telefonicznej - i śmietnik, i budka pozbawione były barwy w pomarańczowym świetle ulicznych latarni.

Ron wylądował tuż obok i osunął się ze swego testrala na chodnik.

- Nigdy więcej - powiedział, podnosząc się na nogi. Zamierzał chyba odejść jak najdalej od testrala, ale nie widząc go, wpadł na jego zad i mało brakowało, a znowu by się przewrócił. - Nigdy, nigdy więcej... to było najgorsze...

Hermiona i Ginny wylądowały po jego obu stronach. Obie ześliznęły się ze swych wierzchowców o wiele zgrabniej niż Ron, choć z tym samym wyrazem ulgi na twarzach. Neville zeskoczył z grzbietu konia, cały rozdygotany, natomiast Luna zsiadła z prawdziwą gracją.

- Dokąd teraz pójdziemy? - zapytała Harry'ego z uprzejmym zainteresowaniem, jakby odbywali właśnie miłą całodzienną wycieczkę.

- Tam - odpowiedział.

Klepnął z wdzięcznością swojego testrala i poprowadził szybko przyjaciół do zniszczonej budki telefonicznej.

- Właźcie! - ponaglił, widząc, że się wahają.

Ron i Ginny weszli posłusznie, Hermiona, Neville i Luna wepchnęli się do środka za nimi. Harry rzucił ostatnie spojrzenie na testrale, zajęte wyszukiwaniem resztek jedzenia w śmietniku, po czym wcisnął się do budki za Luną.

- Kto jest najbliżej aparatu, niech wykręci sześć-dwa-cztery-cztery-dwa!

Zrobił to Ron, dziwacznie wyginając rękę, by dosięgnąć tarczy. Kiedy wykręcił ostatni numer, rozległ się chłodny kobiecy głos:

- Witamy w Ministerstwie Magii. Proszę podać imię, nazwisko i sprawę.

- Harry Potter, Ron Weasley, Hermiona Granger... - powiedział szybko Harry - Ginny Weasley, Neville Long-bottom, Luna Lovegood... Przychodzimy, żeby kogoś uratować, chyba że ministerstwo zrobi to szybciej!

- Dziękuję - odrzekł chłodny kobiecy głos. - Proszę wziąć plakietki i przypiąć je sobie na piersiach.

Pół tuzina plakietek wysunęło się przez szparę, służącą zwykle do zwrotu monet. Hermiona zebrała je i podała Harry'emu nad głową Ginny. Zerknął na pierwszą.

HARRY POTTER

Misja ratunkowa

- Szanowni interesanci, przypominamy o konieczności poddania się kontroli osobistej i okazania różdżek do rejestracji przy stanowisku ochrony, które mieści się w końcu atrium.

- Świetnie! - powiedział głośno Harry, a jego bliznę przeszył ostry ból. - Możemy jechać?

Drzwi budki zadrżały, a za szklanymi ścianami chodnik nagle podjechał w górę. Grzebiące w śmieciach testrale zniknęły z pola widzenia, ogarnęła ich ciemność i z głuchym zgrzytem zaczęli się zapadać w głębiny Ministerstwa Magii.

Pasmo łagodnego złotego światła dotknęło ich stóp, poszerzyło się i ogarnęło ich całych. Harry ugiął kolana i wyjął różdżkę, zerkając przez szybę, by zobaczyć, czy ktoś na nich nie czeka, ale atrium było zupełnie puste. Światło było nieco bardziej przyćmione niż za dnia. W osadzonych w ścianach kominkach nie płonął ogień, ale gdy winda zatrzymała się miękko, ujrzał, że na granatowym suficie wiją się wciąż złote symbole.

- Ministerstwo Magii życzy państwu miłego wieczoru - powiedział kobiecy głos.

Drzwi budki telefonicznej otworzyły się gwałtownie. Harry wygramolił się na zewnątrz, a za nim wyszli Neville i Luna. W atrium słychać było tylko jednostajny plusk złotej fontanny, w której z różdżek czarownicy i czarodzieja, z grotu strzały centaura, z kapelusza goblina i z uszu skrzata tryskały do sadzawki strumienie wody.

- Naprzód - szepnął Harry i cała szóstka pobiegła za nim przez salę w stronę biurka, za którym uprzednio siedział ochroniarz sprawdzający różdżki, a teraz nie było nikogo.

Harry czuł, że ktoś z ochrony powinien jednak tu być, więc tę nieobecność uznał za zły znak. Złe przeczucie narastało w nim, kiedy przeszli przez złote wrota do wind. Nacisnął najbliższy guzik „w dół" i winda prawie natychmiast się pojawiła. Złote kraty rozsunęły się z łoskotem i wpadli do środka. Harry stuknął palcem w guzik z numerem dziewięć, kraty zatrzasnęły się z hukiem i winda zaczęła opadać, grzechocząc i zgrzytając. Dopiero teraz zwrócił uwagę na to, że te windy są tak hałaśliwe; bał się, że ten okropny łoskot zaalarmuje ochroniarzy w całym budynku, ale gdy winda się zatrzymała, chłodny kobiecy głos oznajmił: „Departament Tajemnic" i kraty ponownie się rozsunęły, a oni wyszli na mroczny korytarz, nic się tam nie poruszało prócz płomieni najbliższych pochodni, falujących w powiewie powietrza z windy.

Harry zwrócił się ku czerniejącym w końcu korytarza drzwiom. Po wielu miesiącach snów o tym korytarzu wreszcie w nim był...

- Idziemy - szepnął i ruszył pierwszy.

Luna poszła tuż za nim, rozglądając się wokoło z lekko rozchylonymi ustami.

- Dobra, słuchajcie - rzekł Harry, zatrzymując się jakieś sześć stóp przed drzwiami. - Może... może parę osób zostanie tutaj jako... jako czujki... i...

- A jak ci damy znać, że ktoś nadchodzi? - zapytała Ginny, marszcząc brwi. - Możesz być daleko stąd.

- Idziemy z tobą, Harry - powiedział Neville.

- No to do dzieła - powiedział stanowczo Ron.

Harry nadal nie chciał, by wszyscy z nim szli, ale nie miał wyboru. Odwrócił się do drzwi i ruszył naprzód. Podobnie jak we śnie, same się przed nim otworzyły. Pierwszy przekroczył próg, a za nim zrobiła to reszta.

Stali w wielkim, kolistym pomieszczeniu. Wszystko było tu czarne - ściany, podłoga, sufit i szereg drzwi bez klamek i bez tabliczek, pomiędzy którymi płonęły w uchwytach świece. Ich bladoniebieskie, drżące światło odbijało się w lśniącej marmurowej posadzce, co sprawiało wrażenie, jakby pod stopami mieli ciemną wodę.

- Niech ktoś zamknie drzwi - mruknął Harry.

Pożałował, że to powiedział, gdy tylko Neville zamknął drzwi. Ogarnął ich taki mrok, że przez chwilę widzieli tylko wiązki rozedrganych niebieskich płomieni na ścianach i ich odbicia na posadzce.

W swoim śnie Harry zawsze przechodził bez wahania przez okrągłą komnatę do drzwi znajdujących się naprzeciw wejścia. Tymczasem miał do wyboru z tuzin drzwi. Wbił oczy w ciemność, zastanawiając się, które wybrać, gdy nagle rozległ się łoskot, a płomienie świec zaczęły się przesuwać. Okrągła komnata obracała się wokół własnej osi.

Hermiona chwyciła Harry'ego za ramię, jakby się bała, że podłoga też się poruszy, ale nie, obracały się tylko ściany. I to coraz szybciej, aż niebieskie płomienie zlały się w jedną neonową linię. Po kilku sekundach łoskot ucichł i wszystko się nagle zatrzymało.

Harry'emu nadal migały przed oczami niebieskie linie.

- Co to było? - rozległ się przerażony szept Rona.

- Sądzę, że miało to nam udaremnić odnalezienie drzwi, którymi tu weszliśmy - powiedziała przyciszonym głosem Ginny.

Harry natychmiast pojął, że Ginny ma rację. Odnalezienie właściwych drzwi było teraz równie trudne, jak wypatrzenie mrówki na czarnej posadzce.

- To jak my stąd wyjdziemy? - zapytał ze strachem Neville.

- Teraz to nie jest ważne - odpowiedział Harry, mrugając, żeby pozbyć się niebieskich linii migających mu przed oczami, i zaciskając mocniej palce na różdżce. - Tym będziemy się martwić, jak znajdziemy Syriusza...

- Tylko go nie wołaj! - powiedziała błagalnym tonem Hermiona, choć Harry'emu jej ostrzeżenie jeszcze nigdy nie było mniej potrzebne niż w tej chwili: instynktownie wyczuwał, że trzeba być tak cicho, jak to tylko możliwe.

- Więc dokąd idziemy, Harry? - zapytał Ron.

- Nie... - zaczął Harry i przełknął ślinę. - We śnie przechodziłem przez czarne drzwi do ciemnego pomieszczenia... tego, w którym jesteśmy... a potem przez drugie drzwi do pokoju z takimi... no... światełkami. Musimy spróbować, które to drzwi - dodał szybko. - Jak zobaczę, co jest za nimi, to będę wiedział, czy to te.

Ruszył do drzwi naprzeciwko, a reszta poszła za nim. Położył lewą rękę na zimnej, lśniącej powierzchni, uniósł różdżkę, gotów do odparcia jakiegoś niespodziewanego ataku, i pchnął drzwi. Otworzyły się łatwo.

Zobaczył długi, prostokątny pokój, który w porównaniu z pierwszym pomieszczeniem wydał mu się bardzo jasny, bo oświetlony lampami zwisającymi na złotych łańcuchach z sufitu. Nie dostrzegł jednak nigdzie owych migocących światełek, które widział w swych snach. Stało tu tylko kilka biurek, a pośrodku piętrzyło się olbrzymie szklane naczynie pełne ciemnozielonego płynu, tak wielkie, że cała szóstka mogłaby w nim popływać. Wewnątrz dryfowały leniwie jakieś obłe, perłowobiałe kształty.

- Co tam pływa? - szepnął Ron.

- Nie wiem - odrzekł Harry.

- Czy to ryby? - zapytała cicho Ginny.

- To larwy akwawirusów! - rozległ się podniecony głos Luny. - Tata mówił, że ministerstwo hoduje...

- Nie - powiedziała Hermiona jakimś dziwnym głosem. Podeszła do zbiornika, żeby przyjrzeć się lepiej. - To są mózgi.

- MÓZGI?

- Tak... Tylko nie wiem, skąd się tu wzięły i po co.

Harry stanął obok niej. Z bliska nie było już żadnych wątpliwości: połyskujące tajemniczo białe kształty wyłaniały się z ciemnozielonej głębi i ginęły w niej, przywodząc na myśl jakieś oślizgłe kalafiory.

- Chodźmy stąd - powiedział. - To nie tu, musimy wypróbować inne drzwi.

- Tutaj też są drzwi - zauważył Ron, wskazując na ściany.

Harry'emu serce zamarło: jak rozległe są te podziemia?

- W moim śnie z pierwszego ciemnego pokoju przeszedłem do drugiego. Musimy wrócić i stamtąd szukać dalej.

Wrócili więc spiesznie do mrocznego, okrągłego pokoju. Teraz, zamiast niebieskich linii, Harry'emu migotały w oczach perłowobiałe mózgi.

- Zaczekaj! - rzuciła ostro Hermiona, kiedy Luna już zamykała za sobą drzwi. - Flagrate!

Machnęła różdżką i na drzwiach pojawił się ognisty znak X. Gdy tylko drzwi się zamknęły, rozległ się łoskot i kolista komnata znowu zaczęła się szybko obracać, ale teraz obok zamazanych niebieskich linii pojawiła się linia czerwono-złota, a kiedy wszystko zamarło, ognisty krzyż nadal płonął, wskazując, które drzwi już wypróbowali.

- Dobry pomysł - pochwalił Hermionę Harry. - Teraz spróbujmy otworzyć te...

Znowu podszedł do przeciwległych drzwi i pchnął je, z różdżką w pogotowiu, a pozostali weszli za nim.

Ta sala była większa od poprzedniej, słabo oświetlona i prostokątna, a pośrodku ziało olbrzymie kamienne zagłębienie na jakieś dwadzieścia stóp. Stali w najwyższym rzędzie kamiennych ławek, biegnących wokół sali i opadających w dół jak w amfiteatrze albo w sali sądowej, w której Harry był przesłuchiwany przez Wizengamot. Zamiast krzesła z łańcuchami na samym dole wznosiło się kamienne podium, a na nim kamienny łuk, tak stary, popękany i po-obtłukiwany, że aż trudno było uwierzyć, że jeszcze stoi. Nie łączył się z żadną ze ścian, natomiast pod nim wisiała postrzępiona czarna kurtyna, która pomimo braku najlżejszego powiewu falowała lekko, jakby ktoś jej przed chwilą dotknął.

- Kto tam jest? - zawołał Harry, zeskakując na niższą ławkę.

Nie było żadnej odpowiedzi, ale zasłona nadal kołysała się i drżała.

- Ostrożnie! - szepnęła Hermiona.

Harry zszedł na sam dół kamiennego zagłębienia. Jego kroki odbijały się głośnym echem, gdy powoli podszedł do podium. Ostro zakończony łuk wydał mu się teraz o wiele wyższy, niż gdy patrzył nań z góry. Zasłona wciąż falowała łagodnie, jakby ktoś przed chwilą za nią wszedł.

- Syriusz? - powiedział Harry, o wiele ciszej niż poprzednio.

Miał dziwne uczucie, że ktoś stoi tuż za zasłoną. Ściskając różdżkę w dłoni, obszedł łuk, ale nikogo tam nie było. Zobaczył tylko drugą stronę postrzępionej czarnej tkaniny.

- Chodźmy! - zawołała Hermiona, stojąc w połowie kamiennych stopni. - To nie ta, Harry, chodźmy już...

Miała wystraszony głos, o wiele bardziej niż w sali z mózgami. Harry pomyślał jednak, że kamienny łuk jest na swój sposób piękny, choć tak stary i zmurszały. Fascynowało go łagodne falowanie zasłony; miał wielką ochotę wspiąć się na podium i przejść za nią.

- Harry, chodźmy już, dobrze? - dobiegł go natarczywy głos Hermiony.

- Dobrze - odpowiedział, ale nie ruszył się z miejsca.

Coś usłyszał. Zza zasłony dochodziły jakieś stłumione szepty.

- Co mówicie? - zapytał tak głośno, że jego słowa potoczyły się echem wokół kamiennych ławek.

- Nikt nic nie mówił, Harry! - zawołała Hermiona, ruszając ku niemu.

- Tam ktoś coś szeptał - powiedział, odsuwając się od niej i nadal wpatrując w zasłonę. - Czy to ty, Ron?

- Jestem tutaj, stary - odpowiedział Ron, stając obok łuku.

- Czy nikt z was tego nie słyszy? - zdziwił się Harry, bo szepty i pomruki stawały się coraz głośniejsze.

Choć wcale nie zamierzał na nie wchodzić, stwierdził nagle, że trzyma jedną stopę na podium.

- Ja też coś słyszę - powiedziała cicho Luna, podchodząc do nich i wpatrując się w falującą zasłonę. - W środku są jacyś ludzie!

- Co to znaczy „w środku”? - zapytała ze złością Hermiona, zeskakując z najniższej ławki. Była o wiele bardziej zdenerwowana, niż wynikałoby to z sytuacji. - Nie ma żadnego „w środku”, to jest tylko łuk, za nim nie ma nic... Harry, przestań, chodźmy stąd...

Złapała go za rękę i pociągnęła, ale nie ruszył się z miejsca.

- Harry, przecież przyszliśmy po Syriusza! - krzyknęła piskliwym, napiętym głosem.

- Syriusza - powtórzył Harry, wciąż gapiąc się jak zahipnotyzowany w zasłonę. - Taak...

I wtedy coś zaskoczyło w jego mózgu: Syriusz, porwany, związany i torturowany, a on gapi się na jakiś łuk...

Cofnął się o kilka kroków od podium i oderwał wzrok od zasłony.

- Idziemy.

- To właśnie próbowałam ci... No dobrze, idziemy! - powiedziała Hermiona i ruszyła naokoło podium. Po drugiej stronie Ginny i Neville również gapili się w zasłonę. Hermiona

bez słowa wzięła Ginny pod ramię, Ron chwycił za rękę Neville'a, po czym podeszli do najniższej ławki i wspięli się na samą górę, aż do drzwi.

- Jak myślisz, co to było? Ten łuk? - zapytał Harry Hermionę, kiedy wrócili do okrągłej sali.

- Nie wiem, ale to na pewno było niebezpieczne - odpowiedziała stanowczo, znowu wypisując na drzwiach ognisty ukośny krzyż.

Jeszcze raz ściany zaczęły wirować, a kiedy Harry podszedł do kolejnych, wybranych na chybił trafił drzwi i pchnął je, nie ustąpiły.

- Coś nie tak? - zapytała Hermiona.

- Są... zamknięte - odrzekł Harry, napierając całym ciężarem na drzwi, ale nawet nie drgnęły.

- A więc to te, prawda? - mruknął podekscytowany Ron, napierając na drzwi razem z Harrym. - To muszą być te!

- Odejdźcie! - powiedziała ostro Hermiona.

Wycelowała różdżką w miejsce, gdzie w normalnych drzwiach jest zwykle zamek.

- *Alohomora!*

Drzwi ani drgnęły.

- Nóż Syriusza! - przypomniał sobie Harry i wyciągnął scyzoryk z wewnętrznej kieszeni szaty.

Wsunął ostrze w szparę między drzwiami a murem. Przesunął nim od góry do dołu, wyciągnął i znowu naparł ramieniem na drzwi. Wszystko na nic: drzwi były nadal zamknięte. Mało tego, kiedy spojrzał na nóż, zobaczył, że ostrze się stopiło.

- Wychodzimy stąd - powiedziała stanowczo Hermiona.

- A jeśli to te? - zapytał Ron, patrząc na drzwi z mieszaniną lęku i fascynacji.

- To nie mogą być te. We śnie Harry przechodził przez nie bez problemu - oświadczyła Hermiona, zaznaczając drzwi ognistym krzyżem.

Harry schował do kieszeni bezużyteczny już scyzoryk Syriusza.

- Wiecie, co mogło być za nimi? - odezwała się Luna, kiedy ściany znowu zaczęły się obracać.

- Na pewno coś ględatkowego - mruknęła pod nosem Hermiona, a Neville parsknął nerwowym śmiechem.

Ściana zatrzymała się, i Harry, czując narastającą rozpacz, pchnął następne drzwi.

- To tu!

Poznał tę salę natychmiast po cudownych, roztańczonych, rozmigotanych jak diamenty światełkach. Kiedy jego oczy przyzwyczaiły się do tych rozbłysków, zobaczył, że wszędzie jest mnóstwo zegarów, dużych i małych, szafkowych i przenośnych, zajmujących każdą wolną przestrzeń między półkami na książki lub stojących na stolikach, tak że ich nieustanne, pracowite tykanie wypełniało całe pomieszczenie jak odgłos tysięcy kroków jakichś maleńkich istot. Źródłem roztańczonych odbłysków był wielki kryształowy klosz stojący w końcu sali.

- Tędy!

Teraz Harry'emu serce biło jak szalone, bo wiedział już, że są na właściwej drodze. Ruszył pierwszy wąskim przejściem między rzędami stolików, zmierzając, tak jak we śnie, do kryształowego klosza, w którym zdawał się kłębić połyskliwy wiatr.

- Och, patrzcie! - krzyknęła cicho Ginny, wskazując na wnętrze klosza, kiedy podeszli bliżej.

Unoszone powietrznym wirem migotało w środku maleńkie, podobne do klejnotu jajeczko. Kiedy uniosło się w górę, pękło i wyłonił się z niego koliber, którego wir powietrzny wyniósł pod sam szczyt klosza, ale gdy zaczął opadać, jego piórka z powrotem zwilgotniały i oklapły, a gdy opadł na samo dno, jajeczko znowu go pochłonęło.

- Idziemy dalej! - powiedział ostro Harry, bo Ginny już chciała się zatrzymać, żeby zobaczyć, jak z jajeczka znowu wykluwa się ptaszek.

- A ty sam marudziłeś przy tym rozlatującym się łuku! - odgryzła się ze złością, ale ruszyła za nim ku drzwiom poza kloszem.

- To tu - powiedział znowu Harry, a serce biło mu teraz tak szybko i mocno, że prawie nie słyszał własnych słów. - Za tymi drzwiami...

Spojrzał po wszystkich. Różdżki w pogotowiu, miny poważne i wystraszone. Odwrócił się do drzwi i pchnął je. Otworzyły się natychmiast.

Wreszcie odnaleźli to miejsce: wysoka jak wnętrze katedry sala, wypełniona piętrzącymi się aż do sklepienia półkami, zawalonymi małymi, zakurzonymi szklanymi kulkami, które połyskiwały mętnie w blasku światła świec, zatkniętych w uchwyty między półkami. Podobnie jak w okrągłym pokoju, świece płonęły niebieskim ogniem. Było tu bardzo zimno.

Harry ruszył naprzód, zaglądając w mroczne przejścia między rzędami półek. Nic nie słyszał i nie dostrzegał najmniejszego ruchu.

- Mówiłeś, że to był rząd dziewięćdziesiąty siódmy - szepnęła Hermiona.

- Tak - powiedział cicho, spoglądając na koniec najbliższego rzędu. Pod wiązką rozjarzonych niebieskim światłem świec dostrzegł srebrne litery: PIĘĆDZIESIĄT TRZY

- Chyba musimy iść w prawo - wyszeptała Hermiona, zerkając na następny rząd. - Tak... to jest pięćdziesiąty czwarty...

- Różdżki w pogotowiu - powiedział cicho Harry.

Zaczęli się skradać, oglądając się za siebie. Koniec wąskiego przejścia między półkami ginął w ciemności. Pod każdą szklaną kulką przyklejona była mała, pożółkła etykietka. Niektóre kulki miały dziwny, wilgotny połysk, inne były ciemne i martwe jak przepalone żarówki.

Rząd osiemdziesiąty czwarty... osiemdziesiąty piąty... Harry nasłuchiwał, wyczulony na najlżejszy odgłos, ale Syriusz mógł być już zakneblowany... albo nieprzytomny... albo - odezwał się nieproszony głos w jego głowie - może już jest martwy...

Poczułbym to, powiedział sobie w duchu, a serce tłukło mu się teraz w okolicach jabłka Adama. Wiedziałbym...

- Dziewięćdziesiąt siedem! - szepnęła Hermiona.

Stanęli w ciasnej grupce, wpatrując się w przejście między dwoma rzędami półek. Nikogo tam nie było.

- On jest na samym końcu - powiedział Harry, czując, że zaschło mu w ustach. - Stąd nic nie można zobaczyć...

I ruszył naprzód, między rzędami szklanych kulek. Niektóre rozjarzały się łagodnym światłem, kiedy obok nich przechodzili...

- Powinien być już blisko - szepnął Harry, przekonany, że w każdej chwili może ujrzeć bezwładną postać leżącą na ciemnej podłodze. - Gdzieś tutaj... blisko...

- Harry... - usłyszał głos Hermiony, ale nie chciał jej odpowiedzieć.

Teraz miał już zupełnie suche usta.

- Gdzieś tutaj... - powtórzył.

Doszli do końca przejścia między półkami i stanęli w mdłym świetle świec. Nie było tu nikogo.

- On może być... - wyszeptał ochryple Harry, zaglądając w następne przejście. - Albo... - zrobił parę kroków, by zajrzeć w głąb kolejnego przejścia.

- Harry... - powiedziała znowu Hermiona.

- Co? - warknął.

- Myślę, że... że Syriusza tutaj nie ma.

Zapadło milczenie. Harry nie miał ochoty na nikogo spojrzeć. Czuł się podle. Nie pojmował, dlaczego Syriusza tutaj nie ma. Powinien tu być. To tutaj go widział, na pewno...

Pobiegł wzdłuż rzędu przejść, zaglądając do każdego. Wrócił i pobiegł w drugą stronę, mijając swoich milczących towarzyszy. Nigdzie nie było śladu po Syriuszu ani po walce.

- Harry! - zawołał Ron.

- Co?

Nie miał ochoty wysłuchiwać tego, co Ron ma do powiedzenia, nie chciał usłyszeć, że się wygłupił, albo że powinni wracać do Hogwartu. Zrobiło mu się gorąco i nagle poczuł, że wolałby usiąść tutaj, w mroku i długo siedzieć, zanim znajdzie się w blasku atrium i zobaczy oskarżycielskie spojrzenia swych towarzyszy...

- Widziałeś? - zapytał Ron.

- Co?

Poczuł drgnienie nadziei... może Ron zobaczył jakiś ślad po Syriuszu... Wrócił szybko do miejsca, gdzie stali wszyscy, na samym końcu rzędu dziewięćdziesiątego siódmego, ale znalazł tam tylko Rona, wpatrującego się w jedną z zakurzonych kulek.

- Co? - powtórzył ponuro Harry.

- Tutaj... tutaj jest twoje nazwisko.

Harry podszedł bliżej. Ron wskazywał na jedną ze szklanych kulek, która jarzyła się słabym blaskiem, choć była bardzo zakurzona i wyglądała, jakby od wielu lat nikt jej nie dotykał.

- Moje nazwisko?

Był niższy od Rona, więc musiał wyciągnąć szyję, by odczytać pożółkłą etykietkę przymocowaną do półki tuż pod zakurzoną kulką. Chwiejnym, pajęczym pismem wypisana tam była data - sprzed jakichś szesnastu lat - a pod nią:

S.P.T. do A.P.W.B.D.

Czarny Pan

I (?) Harry Potter

- Co to znaczy? - zapytał ze strachem Ron. - Skąd się tu wzięło twoje nazwisko?

Spojrzał na inne etykietki na tej półce.

- Mnie tu nie ma - powiedział z zakłopotaniem. - Nikogo z nas poza tobą...

- Harry, chyba nie powinieneś tego dotykać - powiedziała Hermiona, gdy wyciągnął rękę ku szklanej kulce.

- Dlaczego? To ma przecież coś wspólnego ze mną, prawda?

- Harry, nie - odezwał się nagle Neville.

Harry odwrócił się i spojrzał na niego. Krągła twarz Neville'a lśniła potem. Wyglądał, jakby już nie był w stanie dłużej znosić niepewności.

- Tu jest moje imię i nazwisko - powiedział Harry.

I czując, że postępuje trochę lekkomyślnie, zacisnął palce na kulce. Spodziewał się, że będzie zimna, ale się omylił. Była ciepła, jakby przez wiele godzin leżała na słońcu, jakby rozgrzało ją to słabe wewnętrzne światło. Pełen oczekiwania, prawie nadziei, że zaraz stanie się coś dramatycznego, coś niesamowitego, co sprawi, że ta długa i niebezpieczna wyprawa nabierze jednak sensu, zdjął szklaną kulkę z półki i przyjrzał się jej z bliska.

Nic się nie wydarzyło. Inni podeszli bliżej i stanęli wokół niego, przypatrując się, jak ściera kurz z powierzchni kulki.

A potem, tuż za nimi, jakiś głos powiedział, przeciągając sylaby:

- Bardzo dobrze, Potter. A teraz odwróć się, grzecznie i powoli, i oddaj mi to.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY
ZA ZASŁONĄ

Otoczyły ich czarne postacie, zagradzając im z każdej strony drogę. Spod kapturów błyskały oczy, z tuzin zapalonych różdżek wycelowany był w ich serca. Z ust Ginny wyrwał się zduszony okrzyk.

- Oddaj mi to, Potter - powtórzył Lucjusz Malfoy, wyciągając ku niemu rękę.

Harry poczuł się tak, jakby mdlący ciężar opadł mu na dno żołądka. Znaleźli się w pułapce, a napastników było dwukrotnie więcej.

- Oddaj mi to, Potter - wycedził Malfoy.

- Gdzie jest Syriusz? - zapytał Harry.

Kilku śmierciożerców wybuchnęło śmiechem.

- Czarny Pan zawsze ma rację - odezwała się triumfalnie jedna z mrocznych postaci ochrypłym głosem kobiecym.

- Zawsze - powtórzył cicho Malfoy. - A teraz daj mi tę przepowiednię, Potter.

- Chcę wiedzieć, gdzie jest Syriusz!

- Chcę wiedzieć, gdzie jest Syriusz! - powtórzyła drwiącym tonem stojąca na lewo od niego kobieta.

Ona i paru innych śmierciożerców zbliżyli się do niego tak, że oślepiało go światło ich różdżek.

- Macie go - powiedział Harry, ignorując narastający strach, z którym walczył od chwili, gdy dotarli do rzędu numer dziewięćdziesiąt siedem. - On tutaj jest. Wiem, że tu jest.

- Dzidziuś obudził się psieraziony i pomyślał, zie to, co mu się psiśniło, to plawda - powiedziała owa kobieta, udając dziecięce szczebiotanie.

Harry wyczuł, że stojący obok niego Ron poruszył się.

- Nic nie rób - mruknął. - Jeszcze nie...

Kobieta parsknęła szyderczym śmiechem.

- Słyszycie? Słyszycie go? Udziela instrukcji innym dzieciakom, jakby sobie wyobrażał, że będzie z nami walczył!

- Och, Bellatriks, ty nie znasz Pottera tak dobrze, jak ja - powiedział cicho Malfoy. On ma wielką słabość do robienia z siebie bohatera. A Czarny Pan dobrze o tym wie. A teraz oddaj mi tę przepowiednię, Potter.

- Wiem, że Syriusz jest tutaj - powiedział Harry, choć teraz już panika dławiła go w gardle i zaczęło mu brakować tchu. - Wiem, że go macie!

Wśród śmierciożerców znowu wybuchły śmiechy, a najgłośniej śmiała się owa kobieta.

- Już czas, żebyś się nauczył odróżniać życie od snu, Potter - wycedził Malfoy. - Ale oddaj mi już tę przepowiednię, bo będziemy musieli użyć różdżek.

- Spróbujcie - powiedział Harry, podnosząc różdżkę na wysokość piersi.

Ron, Hermiona, Neville, Ginny i Luna zrobili to samo. Mdlący ciężar w żołądku Harry'ego opadł jeszcze niżej. Jeśli Syriusza naprawdę tu nie ma, to poprowadził swych przyjaciół na bezsensowną śmierć...

Ale śmierciożercy nie zaatakowali ich.

- Daj mi tę przepowiednię, a nikt was nie skrzywdzi - powiedział chłodno Malfoy.

Teraz zaśmiał się Harry.

- Już w to wierzę! Ja ci dam tę... przepowiednię, tak? A ty po prostu puścisz nas wolno, tak?

Zaledwie wypowiedział te słowa, gdy z ust zakapturzonej kobiety padł okrzyk:

- *Accio przep...*

Ale Harry nie pozwolił jej skończyć. Krzyknął: *„Protego!"*, i choć szklana kulka zaczęła mu się wyślizgiwać z dłoni, w ostatniej chwili zdołał ją przytrzymać końcami palców.

- Oho, maluśki Potterek umie się bawić - zadrwiła kobieta, wpatrując się w niego przez szparę kaptura. - No dobrze, skoro...

- POWIEDZIAŁEM CI: NIE! - ryknął na kobietę Malfoy. - Jak ją roztrzaskasz...

Harry myślał gorączkowo. Śmierciożercy chcą mieć tę zakurzoną szklaną kulkę. Jemu na niej wcale nie zależy. Chce tylko wszystkich stąd wydostać, chce mieć pewność, że żadne z jego przyjaciół nie zapłaci najwyższej ceny za jego głupotę...

Kobieta zrobiła krok do przodu i ściągnęła kaptur z głowy. Pobyt w Azkabanie sprawił, że twarz Bellatriks Lestrange zapadła się, przypominając nagą czaszkę, ale ożywiał ją jakiś gorączkowy, fanatyczny blask.

- Potrzebujesz lepszej zachęty? - zapytała, a jej pierś falowała szybko pod czarną peleryną. - A więc dobrze... Bierzcie tę najmniejszą - rozkazała śmierciożercom, którzy stali obok niej. - Niech sobie popatrzy, jak torturujemy małą dziewczynkę. Ja to zrobię.

Harry poczuł, że reszta jego przyjaciół ciasno otoczyła Ginny. Przesunął się w bok i stanął naprzeciw niej z ręką, w której trzymał kulkę, przyciśniętą do piersi.

- Będziesz musiała ją roztrzaskać, jeśli nas zaatakujesz - zwrócił się do Bellatriks. - Nie sądzę, by wasz szef był zachwycony, gdy wrócicie stąd bez niej.

Nie poruszyła się, tylko wpatrywała się w niego, oblizując wąskie wargi końcem języka.

- A w ogóle to o jakiej przepowiedni rozmawiamy? - zapytał Harry.

Nie miał pojęcia, co robić dalej, więc po prostu mówił, co mu przychodziło do głowy. Neville przycisnął się do niego ramieniem, cały drżał. Na karku czuł czyjś szybki oddech. Miał nadzieję, że wszyscy myślą gorączkowo, jak się stąd wyrwać, bo sam miał pustkę w głowie.

- O jakiej przepowiedni? - powtórzyła Bellatriks, a mściwy uśmiech spełzł z jej twarzy. - To ma być żart, Potter?

- Nie, ja nie żartuję - odpowiedział, przenosząc spojrzenie z jednego śmierciożercy na drugiego, wypatrując jakiegoś słabego punktu, jakiejś szczeliny, przez którą można by było uciec. - Dlaczego Voldemort tak bardzo chce ją mieć?

Wśród śmierciożerców rozległy się ciche syki.

- Ośmielasz się wymawiać jego nazwisko? - szepnęła Bellatriks.

- A tak - rzekł Harry i mocniej zacisnął palce na szklanej kulce, spodziewając się kolejnej próby wydarcia mu jej zaklęciem. - Tak, bez żadnych oporów mówię: Vol...

- Milcz! - krzyknęła Bellatriks. - Jak śmiesz wypowiadać jego imię swoimi plugawymi ustami, jak śmiesz kalać je swym językiem, parszywy mieszańcu, jak śmiesz...

- A wiesz, że on też jest mieszańcem? - wypalił bez zastanowienia Harry, a Hermiona cicho jęknęła mu w ucho. - Voldemort? Tak, jego matka była czarownicą, ale ojciec był mugolem... A może wmawia wam, że jest czarodziejem czystej krwi?

- *DRĘTWO*...

- NIE!

Z końca różdżki Bellatriks Lestrange wystrzelił czerwony promień, ale Malfoy był szybszy. Jego zaklęcie zdążyło zmienić kierunek promienia, tak że ugodził w półkę tuż na lewo od Harry'ego, roztrzaskując na niej kilka szklanych kulek.

Ze szczątków szkła na podłodze wyłoniły się dwie perłowo-białe, zwiewne jak duchy postacie, i natychmiast obie zaczęły mówić. Ich głosy mieszały się ze sobą, tak że wśród krzyków Malfoya i Bellatriks można było wychwycić tylko urywki zdań.

- *...podczas przesilenia Słońca nadejdzie nowy...* - mówiła postać starego, brodatego mężczyzny.

- NIE ATAKUJ! MUSIMY MIEĆ TO PROROCTWO!

- Jak on śmie... jak śmie... - bełkotała Bellatriks. - Stoi sobie tutaj... plugawy mieszaniec...

- ZACZEKAJ, AŻ BĘDZIEMY MIELI W RĘKU PROROCTWO! - ryknął Malfoy.

- *...i po nim żadnego już nie będzie...* - mówiła postać młodej kobiety.

Dwie postacie, które wyłoniły się z rozbitych kulek, rozpłynęły się w powietrzu. Nie pozostało nic ani z nich, ani z ich byłych schronień, prócz szczątków szkła na posadzce. Podsunęły jednak Harry'emu pewien pomysł. Problem polegał na tym, jak przekazać go innym.

- Nie odpowiedziałaś mi, co jest takiego szczególnego w przepowiedni, którą trzymam w ręku - powiedział, żeby zyskać na czasie, i przesunął stopę nieco w bok, żeby natrafić na stopę któregoś z przyjaciół.

- Nie baw się z nami w gierki - odezwał się Malfoy.

- Nie bawię się w gierki - odrzekł Harry.

W połowie skupiony był na rozmowie, w połowie na swojej wędrującej stopie. Wreszcie natrafił na palce czyichś nóg i przydepnął je lekko. Po szybkim wdechu za plecami poznał, że to stopa Hermiony.

- Co? - szepnęła mu w ucho.

- Dumbledore ci nie powiedział, że powód, dla którego masz tę bliznę, jest ukryty tutaj, w czeluściach Departamentu Tajemnic? - zapytał szyderczym tonem Malfoy.

- Ja... Co takiego? - wyjąkał Harry i przez chwilę zapomniał o swoim planie. - Bliznę?

- Co?! - szepnęła Hermiona bardziej natarczywie.

- Czy to możliwe? - prychnął Malfoy, najwyraźniej rozkoszując się sytuacją.

Niektórzy śmierciożercy znowu się roześmiali, a Harry, korzystając z tego, syknął do Hermiony, starając się nie poruszać ustami:

- Wal w półki...

- Dumbledore nie powiedział ci tego? - powtórzył Malfoy. - No, to wyjaśnia, dlaczego nie zjawiłeś się tutaj wcześniej, Potter. Czarnego Pana od dawna dziwiło...

- ...kiedy powiem „teraz"...

- ...że nie przyleciałeś tu od razu, kiedy we śnie pokazał ci miejsce, gdzie to jest ukryte. Sądził, że wrodzona ciekawość wzbudzi w tobie chęć usłyszenia tego słowo po słowie...

- Tak? - Bardziej wyczuł niż usłyszał, że za jego plecami Hermiona przekazuje jego słowa innym, więc chciał podtrzymać rozmowę, żeby odwrócić uwagę śmierciożerców. - Więc chciał, żebym tu przyszedł i ją wziął, tak? Dlaczego?

- Dlaczego? - Malfoy wyraźnie rozkoszował się sytuacją. - Bo jedynymi osobami, którym wolno wziąć przepowiednię z Departamentu Tajemnic, są te, których owe

przepowiednie dotyczą, co odkrył Czarny Pan, gdy próbował użyć innych, żeby mu ją wykradli.

- A dlaczego chciał wykraść przepowiednię o mnie?

- O was obu, Potter, o was obu... Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego Czarny Pan próbował cię zabić, gdy byłeś niemowlęciem?

Harry wbił wzrok w wąskie szpary w kapturze, w których błyszczały szare oczy Malfoya. Czyżby ta przepowiednia była powodem, dla którego zginęli jego rodzice? Czy dlatego ma na czole tę bliznę w kształcie błyskawicy? Czy odpowiedź na to wszystko tkwi w szklanej kulce, którą ściska w garści?

- Ktoś wypowiedział przepowiednię o mnie i o Voldemorcie? - zapytał cicho, patrząc na Lucjusza Malfoya i zaciskając palce na ciepłej szklanej kulce. Była niewiele większa od znicza i wciąż szorstka od kurzu. - A on zwabił mnie tutaj, żebym ją wziął dla niego? Dlaczego sam tego nie zrobił?

- Sam?! - krzyknęła Bellatriks, rechocąc jak obłąkana. - Czarny Pan miałby pojawić się w Ministerstwie Magii, gdzie, tak niefrasobliwie, nikt nie chce przyjąć do wiadomości jego powrotu? Czarny Pan miałby ujawnić się aurorom, którzy tracą czas na mojego drogiego kuzyna?

- Więc to wy odwalacie za niego czarną robotę, tak? - zakpił Harry. - A przedtem próbował do tego wykorzystać Sturgisa... i Bode'a?

- Bardzo dobrze, Potter, bardzo dobrze... - wycedził Malfoy. - Ale Czarny Pan wie, że nie jesteś taki głu...

- TERAZ! - wrzasnął Harry.

Pięć różnych głosów za jego plecami ryknęło: *„REDUCTIO!"* Pięć zaklęć pomknęło w różne strony, roztrzaskując z hukiem stojące naprzeciw półki. Olbrzymie regały zadygotały, gdy wybuchło ze sto leżących na nich szklanych kul. W powietrzu zaroiło się od perłowobiałych postaci, nie wiadomo jak dawno wypowiedziane słowa rozbrzmiały ze wszystkich stron, mieszając się ze sobą bezładnie, a na podłogę posypały się szklane odpryski i kawałki strzaskanego drewna.

- W NOGI! - krzyknął Harry, a gdy półki zachwiały się złowieszczo i zaczęło z nich spadać jeszcze więcej kulek, chwycił Hermionę za szatę i pociągnął do przodu, drugą ręką osłaniając głowę przed gradem szkła i kawałków drewna. Jeden ze śmierciożerców rzucił się przed siebie w chmurę pyłu i Harry rąbnął go mocno łokciem w zamaskowaną twarz. Nagle półki runęły na siebie z łoskotem, a wśród okrzyków trwogi i bólu dały się słyszeć dziwaczne strzępy nowych przepowiedni, uwolnionych ze swoich kulek...

Harry stwierdził, że nikt nie zagradza mu drogi, a kiedy obejrzał się przez ramię, zobaczył że Ron, Ginny i Luna biegną za nim, osłaniając rękami głowy. Coś ciężkiego uderzyło go w twarz, ale tylko wtulił głowę w ramiona i popędził naprzód. Czyjaś ręka chwyciła go za ramię, usłyszał, jak Hermiona krzyczy: *„Drętwota!”*, i ręka natychmiast go puściła.

Dobiegli do końca rzędu dziewięćdziesiątego siódmego. Harry skręcił w prawo i pognał przed siebie ile sił w nogach. Tuż za sobą słyszał tupot stóp i głos Hermiony przynaglającej Neville’a do biegu. Drzwi, przez które tu weszli, stały otworem. Zobaczył za nimi migające światło kryształowego klosza, przeskoczył przez próg, wciąż ściskając swoją przepowiednię w dłoni, zaczekał, aż nadbiegną inni i zatrzasnął za nimi drzwi...

- *Colloportus!* - wydyszała Hermiona, a w drzwiach coś szczęknęło i dziwnie zachlupotało, gdy zamknęły się na cztery spusty.

- Gdzie... gdzie jest reszta? - wysapał Harry.

Był przekonany, że Ron, Luna i Ginny pobiegli przed nimi i teraz czekają na nich w tej sali, ale nikogo tu nie było.

- Musieli pomylić drogę! - wyszeptała Hermiona z przerażoną miną.

- Słuchajcie! - wyszeptał Neville.

Za drzwiami, które dopiero co zamknęli, rozległ się tupot nóg i krzyki. Harry przyłożył do nich ucho i usłyszał ryk Malfoya:

- Zostawcie Notta, zostawcie go, mówię, Czarny Pan nie będzie się przejmował jego ranami, tylko tym, że utracił tę przepowiednię... Jugson, wracaj tutaj, musimy się jakoś zorganizować! Podzielimy się na pary i będziemy ich szukać, i nie zapominaj, że z Potterem trzeba łagodnie, dopóki nie odbierzemy mu przepowiedni, innych możecie pozabijać... Bellatriks, Rudolfusie, wy idźcie w lewo, Crabbe, Rabastan pójdą w prawo... Jugson i Dołohow, wy w te drzwi na wprost... Macnair i Avery tu... Rookwood, tam... Mulciber, za mną!

- I co teraz zrobimy? - zapytała Hermiona, dygocąc.

- Zacznijmy od tego, że nie będziemy tu stać i czekać, aż nas znajdą - odpowiedział Harry. - Zwiewajmy od tych drzwi...

Pobiegli, starając się nie robić hałasu, obok migocącego klosza, w którym wciąż wykluwał się z jajeczka ptaszek i po chwili do niego wracał, ku drzwiom do kolistej komnaty. Byli już blisko nich, gdy Harry usłyszał, jak coś ciężkiego uderzyło w drzwi, które Hermiona zamknęła zaklęciem.

- Odsuń się! - dobiegł go jakiś ochrypły głos. - *Alohomora!*

Drzwi otworzyły się z rozmachem, a Harry, Hermiona i Neville dali nurka pod biurka. Zobaczyli skraj szat zbliżających się ku nim dwóch śmierciożerców i ich szybko poruszające się stopy.

- Mogli uciec prosto do holu - mruknął ochrypły głos.

- Sprawdź pod biurkami - powiedział drugi.

Harry zobaczył, że kolana śmierciożercy uginają się. Wystawił różdżkę spod stolika i krzyknął:

- *DRĘTWOTA!*

Strumień czerwonego światła ugodził najbliższego śmierciożercę, odrzucając go do tyłu na stojący zegar. Drugi odskoczył w bok i skierował różdżkę w Hermionę, która gramoliła się spod stolika, by lepiej wycelować.

- *Avada...*

Harry rzucił się na podłogę i chwycił za kolana śmierciożercę, który runął na posadzkę. Zaklęcie chybiło celu. Neville poderwał się, przewracając biurko, i wycelował różdżkę w walczącą parę, wrzeszcząc:

- *EXPELLIARMUS!*

Obie różdżki, Harry'ego i śmierciożercy, wyrwały im się z rąk i poszybowały ku wejściu do Sali Przepowiedni. Obaj szybko wstali i pobiegli za nimi, śmierciożerca na przedzie, Harry tuż za nim, a na końcu Neville, najwyraźniej przerażony tym, co zrobił.

- Z drogi, Harry! - ryknął Neville, chcąc naprawić swój błąd.

Harry rzucił się w bok, a Neville znowu wycelował i wrzasnął:

- *DRĘTWOTA!*

Struga czerwonego światła przeleciała tuż nad ramieniem śmierciożercy i trafiła w oszkloną szafkę wiszącą na ścianie, wypełnioną klepsydrami o najróżniejszych kształtach. Szafka spadła na podłogę i roztrzaskała się, odłamki szkła rozsypały się we wszystkie strony, po czym śmignęły z powrotem na ścianę, utworzyły ponownie szafkę, która ponownie spadła na podłogę, roztrzaskała się i...

Śmierciożerca złapał swoją różdżkę, leżącą na podłodze obok migocącego klosza. Harry dał nurka za najbliższy stolik, bo mężczyzna już się odwrócił - maska ześliznęła mu się na oczy, zerwał ją wolną ręką i krzyknął:

- *DRĘT...*

- *DRĘTWOTA!* - wrzasnęła Hermiona, która właśnie do nich dobiegła.

Czerwony promień ugodził śmierciożercę w samą pierś. Zastygł z uniesionym ramieniem, różdżka wypadła mu z ręki i z trzaskiem uderzyła w podłogę, po czym zachwiał

się i runął do tyłu, na kryształowy klosz. Harry spodziewał się, że usłyszy głuchy brzęk szkła i zobaczy, jak klosz przewraca się na podłogę, ale wydarzyło się coś dziwnego: głowa śmierciożercy przeniknęła przez szkło, jakby klosz był wielką bańką mydlaną; legł na wznak na stole, z głową tkwiącą wewnątrz klosza wypełnionego powietrznym wirem.

- *Accio różdżka!* - krzyknęła Hermiona.

Różdżka Harry'ego śmignęła z ciemnego kąta do jej ręki.

Rzuciła mu ją.

- Dzięki... Dobra, zwiewajmy stąd...

- Patrzcie! - zawołał przerażony Neville, gapiąc się na tkwiącą w kloszu głowę śmierciożercy.

Wszyscy troje unieśli ponownie różdżki, ale żadne z nich nie strzeliło zaklęciem. Wytrzeszczyli oczy i pootwierali usta, patrząc się na to, co się dzieje w kryształowym kloszu.

Głowa kurczyła się i łysiała, czarne włosy znikały, szczęki zrobiły się gładkie, czaszka zaokrągliła się i pokryła brzoskwiniowym puchem...

Teraz na masywnej, muskularnej szyi śmierciożercy osadzona była groteskowa główka niemowlęcia. Lecz oto na ich oczach zaczęła rozdymać się do poprzednich rozmiarów, czarne włosy wystrzeliły z czaszki i podbródka...

- To jest czas - powiedziała Hermiona przerażonym głosem. - Czas...

Śmierciożerca potrząsnął głową, ale zanim zdążył oprzytomnieć, jego głowa znowu skurczyła się do główki niemowlaka... Z sąsiedniej sali dobiegł ich krzyk, a potem huk i jęk.

- RON?! - ryknął Harry, odwracając się szybko od owej potwornej przemiany, powtarzającej się przed nimi. - GINNY! LUNA!

Śmierciożerca wyciągnął głowę z klosza. Wyglądał bardzo dziwacznie, bo jego maleńka główka gaworzyła głośno, a potężne ramiona młóciły na oślep powietrze, tak że Harry musiał zrobić unik, aby uniknąć ciosu. Podniósł różdżkę, ale ku jego zdumieniu Hermiona chwyciła go za rękę.

- Nie możesz skrzywdzić niemowlaka!

Nie było czasu, by się o to spierać. Z Sali Przepowiedni dobiegał już coraz głośniejszy tupot nóg; Harry zbyt późno zorientował się, że nie należało krzykiem zdradzać, gdzie się jest.

- Idziemy!

Zostawili więc obrzydliwego śmierciożercę z głową niemowlęcia i ruszyli ku majaczącym w końcu sali otwartym drzwiom, wiodącym do pomieszczenia o czarnych ścianach.

Byli już w połowie drogi, gdy Harry zobaczył przez otwarte drzwi biegnących ku nim dwóch śmierciożerców. Zboczył więc w lewo i wpadł do jakiegoś małego, ciemnego, zagraconego gabinetu, a kiedy Hermiona i Neville znaleźli się w środku, zatrzasnął za nimi drzwi.

- *Collo...* - zaczęła Hermiona, ale zanim zdążyła wypowiedzieć całe zaklęcie, drzwi otworzyły się gwałtownie i dwóch śmierciożerców wpadło do środka.

- *IMPEDIMENTO!* - krzyknęli jednocześnie.

Zaklęcie zwaliło Harry'ego, Hermionę i Neville'a z nóg. Neville przeleciał przez jakieś biurko i zniknął za nim, Hermiona upadła na szafę z książkami i została zasypana kaskadą ciężkich tomów, a Harry uderzył potylicą w kamienną ścianę. Przed oczami rozbłysły mu gwiazdki i przez chwilę był zbyt oszołomiony, by zareagować.

- MAMY GO! - ryknął stojący najbliżej niego śmierciożerca. - W GABINECIE Z BOKU...!

- *Silencio!* - krzyknęła Hermiona i głos zamarł mu w krtani. Przez dziurę w masce widać było, jak wciąż porusza ustami, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Jego towarzysz odepchnął go na bok i uniósł różdżkę.

- *Petrificus totalus!* - zawołał Harry, a ramiona i nogi owego drugiego śmierciożercy zwarły się razem. Upadł twarzą w dół na dywan u stóp Harry'ego, sztywny jak płyta nagrobna.

- Dobra robota, Ha...

Oniemiały śmierciożerca machnął różdżką, a z jej końca wystrzelił fioletowy płomień, który trafił Hermionę w pierś. Pisnęła „Ojej!", jakby ją to zdziwiło, po czym zwaliła się na podłogę i zamarła bez ruchu.

- HERMIONO!

Harry padł przy niej na kolana. W tej samej chwili Neville wylazł na czworakach spod biurka, trzymając wyciągniętą przed siebie różdżkę. Śmierciożerca mocnym kopniakiem przełamał jego różdżkę na pół i trafił go w twarz. Neville zawył z bólu i potoczył się pod biurko, trzymając się za usta i nos. Harry okręcił się w miejscu, unosząc w górę różdżkę, i zobaczył, że śmierciożerca zerwał maskę z twarzy i celuje różdżką prosto w niego. Poznał tę podłużną, bladą, wykrzywioną twarz. Widział ją w „Proroku Codziennym": to był Antonin Dołohow, zabójca Prewettów.

Dołohow uśmiechnął się triumfalnie. Wolną ręką wskazał na kulkę z przepowiednią, którą Harry wciąż ściskał w garści, potem na siebie i wreszcie na Hermionę. Choć nadal nie

mógł mówić, dał jasno do zrozumienia, o co mu chodzi: „Oddaj mi przepowiednię, bo spotka cię to samo, co ją..."

- Jakbym nie wiedział, że i tak nas wszystkich pozabijasz, gdy tylko ci ją oddam! - warknął Harry.

Narastająca panika nie pozwalała mu zebrać myśli. Jedną rękę trzymał na wciąż ciepłym ramieniu Hermiony, ale nie miał odwagi na nią spojrzeć.

Niech ona nie będzie martwa, niech ona nie będzie martwa... Jeśli umarła, to moja wina...

- Harry, łub co gdzesz, ale mu jej nie oddabaj! - powiedział Neville spod biurka zduszonym głosem. Gdy opuścił ręce, ukazał się złamany nos i krew ściekająca po ustach i brodzie.

Coś trzasnęło za drzwiami i Dołohow spojrzał przez ramię. W wejściu pojawił się śmierciożerca z głową niemowlęcia, gaworząc głośno i wymachując dziwacznie rękami. Harry błyskawicznie wykorzystał okazję.

- *PETRIFICUS TOTALUS!*

Zaklęcie ugodziło Dołohowa, zanim zdążył je zablokować. Runął na swego towarzysza, obaj sztywni jak deski.

- Hermiono - powiedział natychmiast Harry, potrząsając nią, kiedy śmierciożerca z głową dziecka znowu gdzieś zniknął. - Hermiono, obudź się...

- Dzo on jej żłobił? - zapytał Neville, wypełzając spod biurka i klękając przy niej. Z szybko puchnącego nosa ciekła mu krew.

- Nie wiem...

Neville złapał ją za nadgarstek.

- Buls bije, Harry, na bewno...

Harry poczuł, jak przenika go potężna fala ulgi.

- Żyje?

- Dag, żyje...

Nasłuchiwał przez chwilę, ale z sąsiedniego pokoju dochodziło tylko popiskiwanie zdziecinniałego śmierciożercy, obijającego się o meble.

- Neville, jesteśmy już niedaleko wyjścia - szepnął Harry. - Obok jest ta okrągła sala... Jak byśmy ją tam zanieśli i odnaleźli właściwe drzwi, zanim nadejdzie więcej śmierciożerców, to na pewno udałoby ci się zaciągnąć ją aż do windy... Potem mógłbyś kogoś znaleźć... wszcząć alarm...

- A dy? - zapytał Neville, ocierając rękawem krew i marszcząc brwi.

- Ja muszę odnaleźć resztę.

- Do boszugamy ich łazem - oświadczył stanowczo Neville.

- Ale Hermiona...

- Bezmierny ją ze sobą. Ją ją boniosę... dy jesdeś lebszy b balce...

Wstał i chwycił Hermionę za jedną rękę, przynaglając wzrokiem Harry'ego, który zawahał się, po czym chwycił ją za drugą rękę i pomógł mu zarzucić bezwładne ciało na plecy.

- Zaczekaj - powiedział, podnosząc z podłogi różdżkę Hermiony i wtykając mu w rękę. - Lepiej ją weź...

Powlekli się do drzwi. Po drodze Neville kopnął na bok połówki swojej połamanej różdżki.

- Babcia bnie zabije - mruknął, a krew bluznęła mu z nosa. - Do była stara łóżka mojego dady...

Harry wyjrzał za drzwi i rozejrzał się dokoła. Smierciożerca z głową niemowlęcia wrzeszczał i tłukł na oślep pięściami, przewracając zegary i biurka. Szklana gablotka, zawierająca, jak podejrzewał teraz Harry, zmieniacze czasu, wciąż spadała na podłogę, roztrzaskiwała się i sama naprawiała.

- On nas w ogóle nie zauważy - wyszeptał. - Idziemy... trzymaj się tuż za mną...

Wyszli z gabinetu i po chwili znaleźli się w drzwiach prowadzących do okrągłej, czarnej sali. Nikogo tu nie było. Weszli do środka, Neville zataczając się pod ciężarem Hermiony. Gdy drzwi do Sali Czasu zatrzasnęły się za nimi, ściany natychmiast zaczęły się obracać. Ostatnie uderzenie w głowę trochę Harry'ego oszołomiło; mrużył oczy i kołysał się lekko, dopóki ściany nie przestały się obracać. Serce mu zamarło, gdy zobaczył, że ogniste krzyże Hermiony znikły z drzwi.

- Jak myślisz, które to...

Ale zanim się zdecydowali, które drzwi wypróbować, te na prawo od nich otworzyły się na oścież i wypadły z nich trzy postacie.

- Ron! - wychrypiał Harry, biegnąc ku nim. - Ginny... nic wam...

- Harry - wybełkotał Ron, chichocąc i słaniając się na nogach. Złapał Harry'ego z przodu za szatę i wpatrywał się w niego nieprzytomnym wzrokiem. - Tu jesteście... Ha, ha, ha... Śmiesznie wyglądasz, Harry... Cały jesteś upaprany...

Ron był blady, a z kącika ust ciekło mu coś ciemnego. Po chwili kolana się pod nim ugięły, ale wciąż trzymał się kurczowo szaty Harry'ego, który wygiął się w łuk pod jego ciężarem.

- Ginny! - powiedział ze strachem Harry. - Co się stało?

Ale Ginny potrząsnęła głową i osunęła się po ścianie do pozycji siedzącej, dysząc i trzymając się za kostkę u nogi.

- Chyba ma pękniętą kostkę, słyszałam, jak coś chrupnęło - wyszeptała Luna, pochylając się nad nią. Ona jedna wyglądała na całą i zdrową. - Ścigało nas ze czterech, wpadliśmy do ciemnego pokoju pełnego planet, oni za nami, to było bardzo dziwne miejsce, przez jakiś czas unosiliśmy się w ciemnościach...

- Harry, widzieliśmy z bliska Urana! - powiedział Ron, wciąż cicho chichocąc. - Łapiesz, Harry? Widzieliśmy Urana... ha, ha, ha...

Pęcherzyk krwi wyrósł mu w kąciku warg i pękł.

- No i jeden złapał Ginny za nogę, użyłam zaklęcia zmniejszającego i cisnęłam mu Plutona prosto w twarz, ale...

Machnęła ręką w stronę Ginny, której oddech był teraz bardzo płytki i przerywany. Oczy miała zamknięte.

- A co się stało Ronowi? - zapytał ze strachem Harry, podczas gdy Ron wciąż chichotał, uczepiony jego szaty.

- Nie wiem, czym go rąbnęli - odpowiedziała ponuro Luna - ale coś dziwnego z nim się stało, ledwo udało mi się go tutaj przyprowadzić...

- Harry - wymamrotał Ron, łapiąc Harry'ego za ucho i przyciągając je do swych ust - wiesz, kto to jest? Ta dziewczyna? To Pomyluna Lovegood... ha, ha, ha...

- Musimy stąd iść - powiedział stanowczo Harry. - Luna, możesz pomóc Ginny?

- Tak - odpowiedziała Luna, zatykając sobie różdżkę za ucho.

Objęła Ginny w pasie i postawiła na nogi.

- To tylko kostka, dam sobie radę sama! - żachnęła się Ginny, ale za chwilę zachwiała się i złapała się Luny, żeby nie upaść. Harry zarzucił sobie rękę Rona na ramiona - tak samo, jak wiele miesięcy temu, gdy prowadził nieprzytomnego Dudleya. Rozejrzał się gorączkowo: szansa na odnalezienie właściwych drzwi za pierwszym razem wynosiła jeden do dwunastu...

Podciągnął Rona do pierwszych z brzegu drzwi, gdy nagle drzwi po przeciwnej stronie otworzyły się gwałtownie i do sali wbiegło troje śmierciożerców z Bellatriks Lestrange na czele.

- Są tutaj! - wrzasnęła.

Zaklęcia oszałamiające pomknęły przez salę. Harry pchnął drzwi, bezceremonialnie zrzucił z siebie Rona i wrócił, by pomóc Neville'owi, dźwigającemu Hermionę. W ostatniej chwili wszyscy zdążyli przejść przez próg i zatrzasnąć drzwi tuż przed nosem Bellatriks.

- *Colloportus!* - krzyknął Harry i usłyszał, jak trzy ciała rąbnęły w drzwi po drugiej stronie.

- To żaden kłopot! - powiedział męski głos. - Dostaniemy się tam inną drogą... JUŻ ICH MAMY SĄ TAM!

Harry odwrócił się. Znaleźli się z powrotem w Sali Mózgów. W ścianach było mnóstwo drzwi. Z okrągłej sali dobiegał tupot wielu nóg; zapewne nadbiegło więcej śmierciożerców.

- Luna... Neville... pomóżcie mi!

Rozbiegli się po sali, pieczętując zaklęciami drzwi. Harry tak się spieszył, że wpadł na jakiś stolik i przetoczył się przez niego, celując różdżką w kolejne drzwi.

- *Colloportus!*

Za wszystkimi drzwiami słychać było kroki biegnących ludzi i co jakiś czas czyjeś ciało uderzało z całej siły w któreś drzwi, tak że dygotały niebezpiecznie. Luna i Neville zamykali drzwi po drugiej stronie... lecz po chwili, gdy Harry dotarł już do końca swojej ściany, usłyszał rozpaczliwy krzyk Luny:

- *Collo...* AaaaaaauuuuL.

Odwrócił się i zobaczył, jak leci w powietrzu. Pięciu śmierciożerców wpadło przez drzwi, które właśnie miała zaczarować. Uderzyła w biurko, prześliznęła się po jego blacie, upadła po drugiej stronie i znieruchomiała.

- Bierzcie Pottera! - krzyknęła Bellatriks, rzucając się ku niemu.

Zrobił unik i zaczął uciekać; wiedział, że nic mu nie zrobią, dopóki się boją roztrzaskania przepowiedni.

- Hej! - zawołał Ron, dźwigając się na nogi. Ruszył w kierunku Harry'ego, zataczając się jak pijany i chichocąc. - Hej, Harry, tu jest pełno mózgów... ha, ha, ha... czy to nie dziwaczne, Harry?

- Ron, z drogi, padnij...

Ale Ron celował już różdżką w szklany zbiornik.

- Harry, poważnie, to są mózgi... patrz... *Accio mózg!*

Wszystko jakby na chwilę zamarło. Harry, Ginny, Neville i śmierciożercy odwrócili się mimo woli i wlepili oczy w szczyt zbiornika, z którego - jak latająca ryba - wyskoczył jeden z mózgów. Przez chwilę zawisł w powietrzu, a potem poszybował ku Ronowi, obracając się w locie i wypuszczając z siebie coś, co wyglądało jak wstęgi ruchomych scen, jak rozwijające się rolki filmów...

- Ha, ha, ha, Harry, zobacz... - chichotał Ron, patrząc, jak mózg wyrzuca z siebie swoje barwne wnętrzności.

- RON, NIEEE!

Harry nie wiedział, co się stanie, jeśli Ron dotknie macek myśli, które teraz trzepotały w powietrzu za mózgiem, ale był pewny, że nie stanie się nic dobrego. Rzucił się ku niemu, ale ten chwycił już mózg w wyciągnięte przed siebie ręce.

Macki zaczęły natychmiast oplatać mu ramiona.

- Harry, patrz, co się dzieje... nie... nie, to mi się nie podoba... nie... dość... przestańcie...

Cienkie wstążki już oplatały mu klatkę piersiową. Zaczął się szarpać, chcąc je rozerwać, ale mózg przywarł do niego jak ośmiornica.

- *Diffindo!* - ryknął Harry, próbując odciąć czułki oplatające Rona na jego oczach, ale zaklęcie nie podziałało.

Ron upadł, wijąc się i usiłując uwolnić się z więzów.

- Harry, on się udusi! - jęknęła Ginny, unieruchomiona na podłodze, i w tej samej chwili trafił ją prosto w twarz strumień czerwonego światła, wystrzelony z różdżki śmierciożercy. Przewróciła się na bok i znieruchomiała.

- *DRĘDWODA!* - krzyknął Neville, obracając się błyskawicznie i machając różdżką Hermiony w nadbiegających śmierciożerców. - *DRĘDWODA! DRĘDWODA!*

Ale zaklęcie nie podziałało. Jeden ze śmierciożerców strzelił w niego oszałamiaczem, który chybił o włos. Teraz tylko Harry i Neville stawiali czoło pięciu śmierciożercom. Dwaj z nich szyli w nich jak strzałami strumieniami srebrnego światła, które trafiało w ściany, pozostawiając w nich stożkowate wgłębienia. Harry znowu umknął nadbiegającej Bellatriks. Trzymając kulkę z przepowiednią wysoko nad głową, popędził przez salę, myśląc tylko o jednym: żeby odciągnąć śmierciożerców od pozostałych towarzyszy.

I chyba mu się udało. Pognali za nim, przewracając krzesła i stoliki, ale nie śmiejąc ugodzić go zaklęciem w obawie przed uszkodzeniem przepowiedni. Rzucił się w jedyne otwarte drzwi - te, przez które wdarli się tu śmierciożercy. Modląc się w duchu, by Neville nie zostawił Rona samego, żeby znalazł jakiś sposób, by go uwolnić, zrobił parę kroków i poczuł, że podłoga pod nim znika...

Staczał się w dół po stromych kamiennych stopniach, obijając o nie boleśnie, aż w końcu runął na plecy z takim impetem, że zaparło mu dech w piersiach, na samym dnie zagłębienia, przed kamiennym łukiem. Usłyszał ryki śmiechu śmierciożerców. Spojrzał w górę i zobaczył jak ci, którzy byli w Sali Mózgów, już schodzą do niego, a przez drugie drzwi

wpada ich drugie tyle; oni też zaczęli skakać w dół, z ławki na ławkę. Podźwignął się na nogi, które drżały mu tak, że ledwo mógł na nich ustać. To cud, ale nie rozbił szklanej kulki, wciąż ściskał ją w lewej dłoni, a w prawej różdżkę. Zaczął się cofać, rozglądając wokoło, by mieć wszystkich śmierciożerców w zasięgu wzroku. Nagle uderzył nogą w coś twardego - to było podium, na którym wznosił się kamienny łuk. Wspiął się na nie.

Wszyscy śmierciożercy zatrzymali się i utkwili w nim spojrzenia. Niektórzy dyszeli tak ciężko jak on. Jeden mocno krwawił. Dołohow, uwolniony już z zaklęcia wiążącego mu nogi i ramiona, łypał na niego pożądliwie, celując różdżką prosto w twarz.

- Koniec wyścigu, Potter - rozległ się szyderczy głos Lucjusza Malfoya, który ściągał maskę z twarzy. - A teraz oddaj mi przepowiednię jak grzeczny chłopczyk...

- Pozwólcie... odejść innym, to ją dam!

Kilku śmierciożerców wybuchnęło śmiechem.

- Koniec z targami - rzekł Malfoy, a jego blada twarz zarumieniła się z uciechy. - Przecież widzisz, że nas jest dziesięciu, a ty jesteś sam... a może Dumbledore nie nauczył cię liczyć, co?

- Nie jez sam! - krzyknął ktoś nad nimi. - Ba jeżdżę bnie!

Harry'emu zamarło serce. Neville gramolił się w dół po kamiennych stopniach. Różdżka Hermiony dygotała mu w ręku.

- Neville... wracaj do Rona...

- *DRĘDWODA!* - krzyknął ponownie Neville, celując po kolei w każdego ze śmierciożerców. - *DRĘDWODA! DRĘD...*

Jeden z najwyższych śmierciożerców chwycił go od tyłu, unieruchamiając mu ręce. Neville zaczął się wyrywać i wierzgać; znowu rozległy się śmiechy.

- To Longbottom, tak? - zadrwił Lucjusz Malfoy. - Twoja babcia już przywykła do tego, że pozbawiamy ją członków rodziny... Twoja śmierć nie będzie już takim szokiem...

- Longbottom? - powtórzyła Bellatriks z ohydnym mściwym uśmiechem. - Miałam przyjemność poznać twoich rodziców, chłopcze...

- BIEM ŻE BIAŁAŹ! - ryknął Neville i zaczął się miotać tak gwałtownie, że trzymający go śmierciożerca krzyknął:

- Niech ktoś go oszołomi!

- Nie, nie, nie - powiedziała Bellatriks, z trudem panując nad podnieceniem i patrząc to na Neville'a, to na Harry'ego. - Nie, zobaczymy, jak długo mały Longbottom wytrzyma, zanim załamie się jak jego rodzice... Chyba że Potter zechce nam oddać przepowiednię...

- NIE DABAJ JEJ IB! - ryknął Neville, który szarpał się i wierzgał jak szalony, gdy Bellatriks podeszła do niego z podniesioną różdżką. - NIE DABAJ IB, HARRY!

Bellatriks wycelowała różdżkę prosto w niego.

- *Crucio!*

Neville zawył, podciągając kolana do piersi, tak że przez chwilę zawisł w ramionach śmierciożercy. Ten puścił go natychmiast. Neville upadł na posadzkę, wijąc się i wyjąc z bólu.

- To na początek! - powiedziała Bellatriks i ponownie uniosła różdżkę. Neville przestał wyć i leżał u jej stóp, łkając cicho. Odwróciła się i spojrzała na Harry'ego. - No, Potter, albo oddasz nam przepowiednię, albo zaraz zobaczysz, jak twój przyjaciel kona w męczarniach!

Harry nie musiał się zastanawiać: nie miał wyboru. Wyciągnął rękę z kulką, rozgrzaną od ściskania jej w dłoni. Malfoy skoczył do przodu, by ją wziąć.

Nagle, wysoko nad nimi, otworzyło się z hukiem dwoje kolejnych drzwi i do środka wpadło pięć nowych osób: Syriusz, Lupin, Moody, Tonks i Kingsley.

Malfoy obrócił się i uniósł różdżkę, ale Tonks już strzeliła w niego zaklęciem oszałamiającym. Harry nie czekał, by zobaczyć, czy zaklęcie trafiło - zeskoczył z podwyższenia, by usunąć się z toru czerwonego promienia. Śmierciożercy osłupieli na widok członków Zakonu, którzy zasypywali ich gradem zaklęć, zeskakując po kamiennych stopniach. Wśród rozbłysków światła i cieni czmychających na boki postaci Harry dostrzegł czołgającego się Neville'a. Uchylił się przed kolejnym strumieniem czerwonego światła i sam padł na kamienną posadzkę, by do niego dotrzeć.

- Nic ci nie jest? - krzyknął, gdy jeszcze jedno zaklęcie śmignęło im tuż nad głowami.

- Nidz - odpowiedział Neville, próbując dźwignąć się na nogi.

- A Ron?

- Chyba w borządku... nadal balczył z dym mózgiem, jak odchodziłem...

W kamienną posadzkę między nimi huknęło zaklęcie, pozostawiając stożkowate wgłębienie w miejscu, gdzie jeszcze przed paroma sekundami spoczywała ręka Neville'a. Odczołgali się w bok. Nagle znikąd wyłoniło się grube ramię, które otoczyło szyję Harry'ego i podciągnęło go w górę, tak że ledwo dotykał palcami posadzki.

- Dawaj - warknął mu prosto w ucho ochrypły głos. - Oddaj mi przepowiednię...

Ramię zaciskało się na szyi Harry'ego z taką siłą, że nie mógł złapać oddechu. Przez łzy zobaczył Syriusza, walczącego ze śmierciożercą jakieś dziesięć stóp dalej. Kingsley walczył z dwoma naraz, Tonks, wciąż w połowie ławek, miotała zaklęcia w Bellatriks.

Wyglądało na to, że nikt nie zdaje sobie sprawy, że Harry umiera... Zdołał skierować różdżkę w bok trzymającego go mężczyzny, ale brakowało mu oddechu, by wypowiedzieć formułę zaklęcia, a ten już szukał po omacku wolną ręką dłoni, w której Harry ściskał przepowiednię...

- AAAAU!

Skądś wyskoczył Neville, który nie mogąc poprawnie wypowiedzieć zaklęcia, dźgnął śmierciożercę różdżką Hermiony prosto w oko. Mężczyzna puścił Harry'ego i zawył z bólu, a Harry obrócił się błyskawicznie i wydyszał:

- *DRĘTWOTA!*

Śmierciożerca zwalił się do tyłu, maska spadła mu z twarzy. To był Macnair, niedoszły zabójca Hardodzioba. Jedno oko miał zapuchnięte i nabiegłe krwią.

- Dzięki! - rzucił Harry Neville'owi, odciągając go na bok.

W następnej sekundzie Syriusz i śmierciożerca przemknęli obok nich, walcząc tak zajadle, że ich różdżki wydawały się świetlistymi smugami. A potem Harry nadepnął na coś okrągłego i twardego... Przez chwilę pomyślał, że szklana kulka wypadła mu z ręki, ale nie - ujrzał magiczne oko Moody'ego, toczące się po posadzce.

Jego właściciel leżał na boku, z głowy ciekła mu krew, a jego przeciwnik już biegł ku Harry'emu i Neville'owi. To był Dołohow, z twarzą wykrzywioną mściwym uśmiechem.

- *Tarantallegra!* - krzyknął, celując różdżką w Neville'a.

Nogi Neville'a zaczęły natychmiast wykonywać jakiś dziki taniec, co sprawiło, że stracił równowagę i znowu się przewrócił.

- A teraz, Potter...

Dołohow machnął różdżką tak samo jak wtedy, gdy zaklinał Hermionę, ale w tej samej chwili Harry krzyknął:

- *Protego!*

Poczuł, że coś chlasnęło go po twarzy i upadł na podrygujące nogi Neville'a, ale Zaklęcie Tarczy znacznie osłabiło siłę zaklęcia Dołohowa, który ponownie uniósł różdżkę.

- *Accio przepo...*

Nie wiadomo skąd pojawił się Syriusz i staranował ramieniem Dołohowa, który odleciał w bok. Kulka z przepowiednią znowu wyśliznęła się Harry'emu z dłoni, ale w ostatniej chwili zdołał ją chwycić końcami palców. Teraz rozgorzał pojedynek między Syriuszem i Dołohowem. Ich różdżki błyskały w powietrzu jak miecze, iskry strzelały w obie strony...

Dołohow cofnął różdżkę, by wykonać nią ten sam ruch, co przedtem, gdy powalił Hermionę i Harry'ego. Harry zerwał się na nogi i ryknął:

- *Petrificus totalus!*

I znowu ramiona i nogi Dołohowa zwarły się razem, on sam runął do tyłu, waląc się z łoskotem na posadzkę.

- Nieźle! - krzyknął Syriusz, przyginając głowę Harry'ego, bo mknęły ku nim dwa oszałamiacze. - A teraz zmykajcie z...

Obaj zrobili unik. Strumień zielonego światła prawie musnął Syriusza. Harry zobaczył, jak stojąca w połowie amfiteatralnego zagłębienia Tonks stacza się w dół ze stopnia na stopień, a Bellatriks biegnie ku walczącym z triumfalnym uśmiechem na twarzy.

- Harry, trzymaj przepowiednię, łap Neville'a i uciekaj! - ryknął Syriusz, biegnąc na spotkanie Bellatriks.

Harry nie zobaczył, co działo się dalej, bo widok zasłonił mu Kingsley, pojedynkujący się z dziobatym Rookwoodem, który też już był bez maski. Jeszcze jeden zielony promień przeleciał tuż nad głową Harry'ego, gdy rzucił się w stronę Neville'a.

- Dasz radę wstać? - krzyknął mu w ucho. - Zarzuć mi rękę na szyję...

Neville zrobił to. Harry aż się ugiął, bo nogi Neville'a wciąż pląsały we wszystkie strony, więc nie mógł na nich ustać. A potem ktoś się na nich rzucił. Obaj upadli; Neville wymachiwał dziko nogami jak żuk przewrócony na grzbiet, Harry legł z lewą ręką uniesioną do góry, by uchronić szklaną kulkę przed roztrzaskaniem się.

- Przepowiednia! Oddaj mi przepowiednię, Potter! - warknął mu w ucho Lucjusz Malfoy i Harry poczuł, jak jego różdżka wbija mu się między żebra.

- Nie... Odwal... się... ode... mnie! Neville... łap!

I rzucił kulkę po podłodze. Neville okręcił się na plecach, chwycił kulkę i przycisnął do piersi. Teraz Malfoy skierował różdżkę w niego, ale Harry sięgnął swoją przez ramię i krzyknął:

- *Impedimento!*

Zaklęcie zrzuciło Malfoya z jego pleców. Podniósł się, obejrzał i zobaczył, jak Malfoy wpada na podest, na którym Syriusz walczył teraz z Bellatriks. Malfoy znowu skierował różdżkę na Harry'ego i Neville'a, ale zanim zdążył zaczerpnąć powietrza, by rzucić zaklęcie, skoczył między nich Lupin.

- Harry, zabieraj ich i UCIEKAJ!

Harry chwycił Neville'a za rękaw i wciągnął na pierwszy stopień. Nogi Neville'a ciągle pląsały dziko, więc nie mógł się na nich wesprzeć. Harry zebrał siły i wciągnął go na drugi stopień...

Zaklęcie trafiło w kamienną ławkę tuż przy jego pięcie i spadł o stopień niżej. Neville przywarł do kamiennej płyty, wciąż wierzgając dziko nogami, i wsunął szklaną kulkę do kieszeni.

- Neville! - krzyknął z rozpaczą Harry, ciągnąc go za szatę. - Spróbuj odepchnąć się nogami...

Szarpnął jeszcze raz i szata Neville'a rozdarła się wzdłuż szwu od góry do dołu... szklana kulka wypadła mu z kieszeni i zanim któryś z nich zdążył ją złapać, trafiła ją jedna z wierzgających stóp Neville'a. Kulka poleciała w prawo i roztrzaskała się o stopień poniżej. Obaj wlepili oczy w to miejsce, czekając na to, co się stanie, i oto w powietrze wzbiła się perłowobiała postać z olbrzymimi oczami, niezauważona przez nikogo prócz nich. Harry widział, jak porusza wargami, ale wśród otaczających ich huków, krzyków i jęków nie dosłyszał ani słowa przepowiedni. A potem widmo skończyło mówić i rozpłynęło się w nicość.

- Harry, bżebaszam! - krzyknął Neville z przerażoną miną, podczas gdy jego nogi wciąż miotały się we wszystkie strony. - Bżebaszam, Harry, nie chdziałeb...

- Nie przejmuj się! - odkrzyknął Harry. - Spróbuj wstać, wydostańmy się z tej...

- Dubbledore! - wysapał Neville, a na jego spoconej twarzy nagle pojawiła się ulga.

- Co?

- DUBBLEDORE!

Harry odwrócił się. Nad nimi, w otwartych drzwiach do Sali Mózgów, stał Albus Dumbledore z uniesioną różdżką, pobladły i groźny. Harry poczuł się tak, jakby prąd przebiegł mu przez całe ciało - byli uratowani.

Dumbledore zbiegł po kamiennych stopniach i minął Neville'a i Harry'ego, którzy już zapomnieli, że mają uciekać. Był już na samym dole, gdy śmierciożercy zdali sobie sprawę z jego obecności. Rozległy się wrzaski, jeden z nich rzucił się do ucieczki, wspinając się po stopniach jak małpa. Zaklęcie Dumbledore'a zrzuciło go na sam dół z taką łatwością, jakby go schwytał niewidzialnym lassem...

Tylko jedna para wciąż walczyła, najwidoczniej nieświadoma, że pojawiła się nowa postać. Harry zobaczył, jak Syriusz uchyla się przed strumieniem czerwonego światła i śmieje się szyderczo z Bellatriks.

- No, dalej, postaraj się, przecież potrafisz! - ryknął, a jego głos potoczył się echem po kamiennej sali.

Drugi promień trafił go prosto w piersi.

Śmiech jeszcze nie spełzł z jego twarzy, ale oczy rozwarły się szeroko.

Harry, nie zdając sobie z tego sprawy, puścił Neville'a i zbiegał już na dół, wyciągając różdżkę. Dumbledore też się odwrócił w stronę podestu.

Zdawało mu się, że Syriusz upada jak na zwolnionym filmie. Jego ciało wygięło się w łuk i osunęło do tyłu przez postrzępioną zasłonę zwisającą spod łuku...

I Harry zobaczył, jak na zniszczonej, niegdyś przystojnej twarzy jego ojca chrzestnego pojawia się mieszanina strachu i zaskoczenia, gdy przeleciał pod starożytnym łukiem i zniknął za zasłoną, która falowała jeszcze przez chwilę, jakby uderzył w nią silny wiatr, po czym znieruchomiała.

Usłyszał triumfalny krzyk Bellatriks. Nie przejął się nim - przecież Syriusz tylko wpadł za zasłonę, zaraz się pojawi po drugiej stronie...

Ale Syriusz się nie pojawił.

- SYRIUSZ! - ryknął Harry. - SYRIUSZ!

Zbiegł na samo dno, dysząc szybko. Syriusz musi leżeć tam, za zasłoną, a on, Harry, zaraz go stamtąd wyciągnie...

Ale gdy rzucił się w stronę podestu, Lupin złapał go w biegu i objął ramieniem.

- Nic już nie możesz zrobić, Harry...

- Muszę go stamtąd wyciągnąć, on tylko wpadł za zasłonę!

- Za późno, Harry...

- Możemy go wyciągnąć...

Harry szarpał się z nim rozpaczliwie, ale Lupin go nie puszczał.

- Już nic nie możesz zrobić, Harry... nic... On odszedł...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY
JEDYNY, KTÓREGO ZAWSZE SIĘ BAŁ

On nie odszedł!

Nie uwierzył w to, nigdy w to nie uwierzy, nadal wyrywał się Lupinowi ze wszystkich sił: Lupin tego nie rozumie, za tą zasłoną ukrywali się ludzie, przecież słyszał ich szepty, kiedy po raz pierwszy wszedł do tej sali - Syriusz po prostu tam się schował...

- SYRIUSZU! - zawołał. - SYRIUSZU!

- On już nie wróci, Harry - powiedział łamiącym się głosem Lupin, usiłując go powstrzymać. - Nie może wrócić, bo um...

- ON... NIE... UMARŁ! - ryknął Harry. - SYRIUSZU!

Wokół nich wciąż panowało zamieszanie, bezcelowa bieganina, błyskały zaklęcia. Dla Harry'ego były to jakieś bezsensowne hałasy, nie dbał o śmigające obok zaklęcia, nie zależało mu na niczym, prócz jednego: żeby Lupin przestał go wreszcie oszukiwać. Przecież Syriusz, który stoi tak blisko, za tą starą kotarą, wyjdzie stamtąd lada chwila i odrzuci grzywę swych czarnych włosów, rzuci się w wir walki...

Lupin odciągnął go od podestu, ale Harry wciąż wpatrywał się w zasłonę, wściekły, że Syriusz każe mu czekać tak długo...

Lecz jakaś cząstka jego świadomości zdawała sobie sprawę, że Syriusz jeszcze nigdy nie kazał mu czekać... Syriusz zawsze ryzykował wszystkim, żeby się z nim zobaczyć, żeby mu pomóc... Skoro Syriusz nie wyszedł zza zasłony, choć Harry przyzywał go tak, jakby od tego zależało jego życie, to jedynym możliwym wyjaśnieniem było to, że nie może stamtąd wyjść... Że naprawdę...

Dumbledore spędził większość śmierciożerców na środek sali, gdzie stali, jakby powiązani niewidzialnymi linami. Szalonooki Moody przeczołgał się do leżącej nieruchomo Tonks i próbował ją ocucić. Za podestem wciąż błyskały zaklęcia, rozlegały się głuche stęknięcia i krzyki - to Kingsley zamiast Syriusza pojedynkował się z Bellatriks.

- Harry?

Neville ześliznął się po kamiennych ławkach. Harry przestał się już wyrywać Lupinowi, ale ten wciąż trzymał go za ramię.

- Harry... dag bibrzygro... - powiedział Neville. Jego nogi wciąż pląsały w niekontrolowany sposób. - Den żłobieg... Syriusz Black... był dboim brzyjacielem?

Harry kiwnął głową.

- Poczekaj - powiedział cicho Lupin i wskazując różdżką na nogi Neville'a, mruknął: - Finite. - Zaklęcie przestało działać. Nogi Neville'a znieruchomiały. - Chodźcie... znajdziemy... innych. Gdzie oni są, Neville?

Odwrócił się od kamiennego łuku. Był blady i wydawało się, że każde słowo sprawia mu ból.

- Zą dab - odrzekł Neville. - Mózg zaadagował Rona, ale chyba nidz mu się nie zdało... a Herbiona jez niebrzydobna, ale buls jej bije...

Zza podestu dobiegł huk i krzyk. Harry zobaczył, jak Kingsley pada na posadzkę, wyjąc z bólu. Bellatriks Lestrange rzuciła się do ucieczki na widok odwracającego się błyskawicznie Dumbledore'a. Strzelił w nią zaklęciem, ale je odbiła. Była już w połowie kamiennych stopni...

- Harry... nie! - krzyknął Lupin, ale Harry już wyrwał ramię z jego niezbyt już mocnego uścisku.

- ONA ZABIŁA SYRIUSZA! ZABIŁA GO... TERAZ JA JĄ ZABIJĘ!

I zaczął się wspinać po kamiennych ławkach. Słyszał za sobą krzyki, ale nie zwracał na nie uwagi. Brzeg szaty Bellatriks zniknął mu z oczu... Wpadł za nią do Sali Mózgów.

W biegu wystrzeliła ku niemu zaklęcie. Olbrzymi zbiornik uniósł się w powietrze i zwalił na bok. Harry'ego zalała cuchnąca ciecz. Uwolnione mózgi zaczęły wypuszczać ku niemu długie, barwne macki, ale krzyknął: *„Wingardium leviosa!"* i odleciały. Ślizgając się, pobiegł ku drzwiom. Przeskoczył nad jęczącą na posadzce Luną i pobiegł dalej, obok Ginny, która wymamrotała: „Harry... co...?", obok Rona, który chichotał cicho, i obok Hermiony, wciąż leżącej bez oznak życia. Szarpnął drzwi do okrągłej czarnej sali i ujrzał, jak Bellatriks znika w drzwiach po przeciwnej stronie - za nimi był korytarz prowadzący do wind.

Pobiegł za nią, ale zatrzasnęła za sobą drzwi i ściany natychmiast zaczęły się obracać. Znowu otoczyły go strumienie niebieskiego światła z wirujących wokoło kinkietów.

- Gdzie jest wyjście?! - krzyknął z rozpaczą, gdy ściany się zatrzymały. - Jak stąd wyjść?

Sala jakby czekała, aż o to zapyta. Drzwi za jego plecami otworzyły się same, a kiedy się obejrzał, ujrzał za nimi oświetlony pochodniami, pusty korytarz prowadzący do wind. Popędził nim...

Usłyszał przed sobą łoskot odjeżdżającej windy. Wypadł z korytarza, skręcił za róg i uderzył pięścią w guzik, by przywołać drugą windę. Nadjechała powoli, dudniąc i zgrzytając. Rozsunęły się kraty, wpadł do środka i nacisnął guzik z napisem: „Atrium". Drzwi zasunęły się, winda ruszyła w górę...

Przecisnął się między kratami, zanim rozsunęły się do końca. Bellatriks była już prawie przy windzie telefonicznej na drugim końcu holu, ale gdy zaczął ku niej biec, odwróciła się i rzuciła w jego kierunku kolejne zaklęcie. Dał nurka za Fontannę Magicznego Braterstwa; zaklęcie świsnęło obok niego i ugodziło w kute złote wrota po drugiej stronie atrium, aż zadzwoniły donośnie. Jej kroki ucichły. Skulił się za posągami, nasłuchując.

- No wyjdź, Harry! Wyjdź, maluszku! - zawołała, naśladując kpiąco głos dziecka. - To po co za mną biegłeś? Myślałam, że chcesz pomścić mojego drogiego kuzyna!

- Chcę! - krzyknął Harry, a echo zwielokrotniło jego głos wokół sali, jakby cały chór Harrych wołał: „Chcę! Chcę! Chcę!"

- Ajajaj! Więc dzidziuś go kochał?

W Harrym wezbrała nienawiść, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie poczuł. Wyskoczył zza fontanny i ryknął:

- *Crucio!*

Bellatriks wrzasnęła. Zaklęcie zwaliło ją z nóg, ale nie zaczęła się wić z bólu, jak Neville - podniosła się, dysząc ciężko, a uśmiech znikł z jej twarzy. Harry znowu uskoczył za fontannę. Jej przeciwzaklęcie ugodziło w głowę przystojnego czarodzieja, głowa oderwała się i grzmotnęła w podłogę ze dwadzieścia stóp dalej, aż poleciały z niej długie drzazgi.

- Jeszcze nigdy przedtem nie użyłeś Zaklęcia Niewybaczalnego, tak? - zawołała, porzucając szczebioczący ton. - Musisz chcieć go użyć, Potter! Musisz naprawdę chcieć zadać ból... cieszyć się z tego... słuszny gniew nie sprawi mi bólu na długo... zaraz ci pokażę, jak to się robi, dobrze? Udzielę ci lekcji...

Harry obszedł fontannę z drugiej strony. Wrzasnęła: *„Crucio!"* i znowu schował się szybko, gdy ręka centaura, trzymająca łuk, oderwała się i wylądowała z trzaskiem na podłodze niedaleko głowy czarodzieja.

- Potter, ze mną nie wygrasz! - krzyknęła.

Słyszał, jak przesuwa się w prawo, żeby go zobaczyć. Wycofał się wokół pomnika i przykucnął za nogami centaura, z głową na poziomie głowy skrzata.

- Byłam i jestem najwierniejszym sługą Czarnego Pana, to on sam uczył mnie czarnej magii, i znam tak potężne zaklęcia, że ty, żałosny chłoptasiu, nigdy się przed nimi nie obronisz...

- *Drętwota!* - ryknął Harry, który okrążył pomnik aż do miejsca, gdzie stał goblin, uśmiechając się do pozbawionego głowy czarodzieja, i wycelował różdżkę w jej plecy.

Zareagowała tak szybko, że ledwo zdążył uskoczyć.

- *Protego!*

Strumień czerwonego światła - rzucone przez niego zaklęcie oszałamiające - odbił się od niej i już mknął z powrotem ku niemu. Uskoczył za fontannę. Tym razem przez salę przeleciało ucho goblina.

- Potter, dam ci jeszcze jedną szansę! - krzyknęła Bellatriks. - Daj mi przepowiednię... rzuć ją do mnie po podłodze... a może daruję ci życie!

- No to możesz mnie zabić, bo przepowiedni już nie ma! - ryknął Harry i natychmiast ból przeszył mu czoło. Zalała go furia, wyraźnie nie związana z jego pragnieniem zemsty. - A on o tym wie! - dodał, wybuchając szaleńczym śmiechem. - Twój stary kumpel Voldemort wie, że już jej nie ma! Chyba nie będzie tobą zachwycony!

- Co? Co ty pleciesz?! - krzyknęła i po raz pierwszy w jej głosie zabrzmiał strach.

- Przepowiednia roztrzaskała się, kiedy próbowałem wciągnąć Neville'a po stopniach! Jak myślisz, co powie na to Voldemort?

Blizna paliła go, jak przypiekana rozpalonym żelazem. Łzy pociekły mu z oczu...

- KŁAMCA! - wrzasnęła, i teraz w jej głosie słychać było wyraźnie panikę. - MASZ JĄ, POTTER, I ZARAZ MI JĄ ODDASZ! *Accio przepowiednia! ACCIO PRZEPOWIEDNIA!*

Harry znowu zaśmiał się głośno, bo wiedział, że to ją rozdrażni. Ból był tak silny, jakby za chwilę miała mu pęknąć czaszka. Wystawił wolną rękę zza jednouchego goblina i pomachał nią, po czym szybko cofnął, gdy ujrzał mknący ku sobie strumień zielonego światła.

- Nie ma! - krzyknął. - Nie ma czego przywołać! Rozbiła się i nikt nie usłyszał, co w niej było, powiedz to swojemu szefowi...

- Nie! To nieprawda, kłamiesz... PANIE, JA PRÓBOWAŁAM, JA SIĘ STARAŁAM... NIE KARZ MNIE!

- Nie męcz się! - ryknął Harry, zaciskając z bólu powieki. - Stąd cię nie usłyszy!

- Tak myślisz, Potter? - rozległ się wysoki, zimny głos.

Harry otworzył oczy.

Wysoki, chudy, w czarnej szacie z kapturem, z białą twarzą gada, w której płonęły szkarłatne oczy z pionowymi szparkami źrenic - na środku sali stał Lord Voldemort, celując różdżką w Harry'ego, który zamarł bez ruchu.

- A więc roztrzaskałeś moją przepowiednię? - powiedział cicho, wpatrując się w niego swymi bezlitosnymi, czerwonymi oczami. - Nie, Bella, on nie kłamie... Widzę prawdę przezierającą z jego bezwartościowego umysłu... Miesiące przygotowań, miesiące wysiłków... i oto moi śmierciożercy pozwolili Harry'emu Potterowi znowu pokrzyżować mi plany...

- Panie, wybacz mi, ja nie wiedziałam, ja walczyłam z animagiem Blackiem! - zatkała Bellatriks, rzucając mu się do stóp, gdy powoli zbliżał się do niej. - Panie, powinieneś wiedzieć, że...

- Zamilcz, Bella - wycedził Voldemort. - Zaraz się tobą zajmę. Myślisz, że przyszedłem do Ministerstwa Magii, by wysłuchiwać twoich zasmarkanych przeprosin?

- Ale... panie... on jest tutaj... w podziemiach...

Voldemort przestał zwracać na nią uwagę.

- Nie mam ci nic więcej do powiedzenia, Potter - powiedział cicho. - Za często mnie drażniłeś, za długo. *AVADA KEDAVRA!*

Harry nawet nie otworzył ust, by się obronić. W głowie miał pustkę, jego różdżka była wycelowana w podłogę.

Lecz nagle bezgłowy posąg czarodzieja ożył, zeskoczył z cokołu i wylądował z łoskotem między nim a Voldemortem, rozkładając ramiona. Zaklęcie ześliznęło się po jego piersiach.

- Co...? - zaczął Voldemort, rozglądając się wokoło, po czym wydyszał: - Dumbledore!

Harry spojrzał za siebie, serce waliło mu jak dzwon. Przed złotymi wrotami stał Dumbledore.

Voldemort uniósł różdżkę i strzelił w niego strumieniem zielonego światła. Dumbledore odwrócił się błyskawicznie i zniknął, zamiatając połami peleryny, a w następnej sekundzie pojawił się za plecami Voldemorta i machnął różdżką w stronę porozbijanej fotanny. Pozostałe posągi też ożyły. Złota czarownica ruszyła ku Bellatriks, która wrzasnęła i zasypała ją zaklęciami, ale te tylko odbiły się od piersi posągu, zanim rzucił się na nią i przygwoździł ją do podłogi. Tymczasem goblin i skrzat pomknęli ku osadzonym w ścianie kominkom, a jednoręki centaur zaszarżował na Voldemorta, który zniknął i pojawił się po drugiej stronie sadzawki. Bezgłowy czarodziej pociągnął Harry'ego do tyłu, zasłaniając go sobą. Dumbledore już kroczył w kierunku Voldemorta, a złoty centaur galopował wokół nich.

- To była głupota, Tom, przychodzić tutaj dziś w nocy - powiedział spokojnie Dumbledore. - Aurorzy zaraz tu będą...

- Zanim przyjdą, ja będę daleko, a ty będziesz martwy! - warknął Voldemort.

Strzelił w Dumbledore'a kolejnym śmiertelnym zaklęciem, ale chybił, trafiając w biurko ochrony, które stanęło w ogniu.

Dumbledore machnął różdżką. Moc zaklęcia była taka, że Harry, choć ukryty za swoim złotym strażnikiem, poczuł, że włosy stają mu dęba, gdy zaklęcie świsnęło obok nich,

i tym razem Voldemort był zmuszony wyczarować przed sobą srebrną tarczę, by je odbić. Zaklęcie nie uszkodziło tarczy, tylko wydobyło z niej głęboki, dźwięczny ton, przypominający odgłos gongu, mrożący krew w żyłach...

- Chyba nie chcesz mnie zabić, Dumbledore? - zawołał Voldemort, a jego szkarłatne oczy zapłonęły ponad tarczą. - Gardzisz brutalnością, prawda?

- Obaj wiemy, Tom, że są inne sposoby zniszczenia człowieka - odrzekł spokojnie Dumbledore, nadal idąc ku niemu, jakby nie bał się niczego, jakby nic nie mogło go powstrzymać. - Odebrać ci życie? Nie, to dla mnie za mało!

- Nie ma nic gorszego od śmierci, Dumbledore! - warknął Voldemort.

- Mylisz się - powiedział Dumbledore, zbliżając się do niego. Przemawiał tak niefrasobliwym tonem, jakby dyskutowali przy piwie. Harry poczuł strach, gdy ujrzał, jak kroczy ku Voldemortowi bezbronny, bez tarczy, chciał krzyknąć, by go ostrzec, ale jego bezgłowy strażnik spychał go wciąż w stronę ściany i nie pozwalał mu się wychylić spoza siebie. - Ale twoja niezdolność zrozumienia, że są rzeczy o wiele gorsze od śmierci, zawsze była twoją największą słabością...

Kolejny strumień zielonego światła wytrysnął zza srebrnej tarczy. Tym razem uderzenie przyjął na siebie jednoręki centaur, który zasłonił Dumbledore'a. Roztrzaskał się na kawałki, ale nim uderzyły w podłogę, Dumbledore wyciągnął swoją różdżkę i machnął nią jak biczem. Z końca różdżki wystrzelił długi, cienki płomień, który owinął się wokół Voldemorta i jego tarczy. Przez chwilę wydawało się, że Dumbledore zwyciężył, ale ognista lina wnet zamieniła się w węża, który natychmiast rozwinął swe sploty i zwrócił się, sycząc wściekle, w stronę Dumbledore'a.

Voldemort zniknął. Wąż sprężył się na podłodze, gotów do ataku...

Nad Dumbledore'em buchnął w powietrzu ogień i w tym samym momencie Voldemort znowu się pojawił, stojąc pośrodku sadzawki na cokole opuszczonym przez posągi.

- Uwaga! - ryknął Harry.

Ale w tej samej chwili jeszcze jeden zielony promień wystrzelił z różdżki Voldemorta, a wąż zaatakował...

Fawkes runął z góry przed Dumbledore'a, otworzył dziób, wchłonął w siebie cały zielony promień i natychmiast zajął się ogniem. Po chwili upadł na podłogę, mały, pomarszczony i pozbawiony piór. Dumbledore machnął różdżką długim, płynnym ruchem, a wąż, który już miał go ukąsić, wyleciał w powietrze i zniknął, pozostawiając po sobie tylko

strzęp ciemnego dymu. Woda w sadzawce wezbrała, pokrywając Voldemorta jakby kokonem płynnego szkła...

Przez kilka sekund był tylko ciemną, niewyraźną, pozbawioną twarzy postacią, która zlała się z postumentem i najwyraźniej starała się pozbyć duszącej, świetlistej masy...

A potem znowu zniknął, a woda opadła z łoskotem do sadzawki, przelewając się przez jej brzegi i mocząc lśniącą podłogę.

- PANIE! - krzyknęła Bellatriks.

Harry był pewien, że to już koniec walki, że Voldemort uciekł, i już miał wybiec zza posągu czarodzieja, gdy Dumbledore krzyknął:

- Zostań tam, gdzie jesteś, Harry!

W jego głosie po raz pierwszy zabrzmiał strach. Harry nie miał pojęcia dlaczego: w sali byli już tylko oni, szlochająca Bellatriks, wciąż uwięziona pod posągiem, i maleńkie pisklę feniksa, popiskujące na podłodze...

I nagle jego blizna pękła. Poczuł ból, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczył, ból, który trudno sobie wyobrazić, ból nie do zniesienia. Poczuł, że umiera...

Sala znikła mu z oczu, a Harry, uwięziony w silnych splotach istoty z czerwonymi oczami, już nie wiedział, gdzie kończy się jego ciało, a zaczyna jej. Stopili się w jedno, połączeni bólem, i już nie było ratunku...

A kiedy owa istota przemówiła, użyła jego ust, tak że w agonii poczuł, że porusza szczękami...

- Zabij mnie teraz, Dumbledore...

Oślepiony i konający, każdą cząstką siebie pragnący się uwolnić, Harry poczuł, że istota znowu używa jego ust.

- Skoro śmierć jest niczym, Dumbledore, to zabij tego chłopca...

Niech ten ból już się skończy, pomyślał Harry. Niech nas zabije... Kończ, Dumbledore... Śmierć jest niczym w porównaniu z tym...

I znowu zobaczę Syriusza...

I gdy serce Harry'ego wypełniło uczucie, wężowe sploty nagle z niego opadły, ból ustał. Leżał na podłodze, twarzą w dół, bez okularów, drżąc tak, jakby leżał na lodzie, a nie na drewnie...

W sali rozbrzmiały jakieś głosy, o wiele więcej głosów niż osób, które powinny tu być. Otworzył oczy i spostrzegł swoje okulary, leżące przy stopach pozbawionego głowy posągu, który tak niedawno był jego strażnikiem, a teraz spoczywał na plecach, potrzaskany i

nieruchomy. Założył je, uniósł nieco głowę i ujrzał tuż przy swoim nosie haczykowaty nos Dumbledore'a.

- Nic ci nie jest, Harry?

- Nie - odrzekł, dygocąc tak gwałtownie, że z trudem utrzymywał głowę nad posadzką. - Nie... nic... gdzie jest Voldemort... gdzie... kim oni są... co...

Atrium było pełne ludzi. Podłoga zalśniła, odbijając szmaragdowe płomienie buchające z kominków wzdłuż jednej ściany, gdy wylewały się z nich strumienie czarownic i czarodziejów. Kiedy Dumbledore pomógł mu wstać, zobaczył maleńkie posągi skrzata domowego i goblina, prowadzące osłupiałego Korneliusza Knota.

- On tutaj był! - krzyknął mężczyzna w szkarłatnej szacie, z włosami związanymi z tyłu w kucyk, wskazując na rumowisko złotych szczątków, gdzie tak niedawno leżała uwięziona Bellatriks. - Widziałem go, panie ministrze, przysięgam, to był Sam-Wiesz-Kto, chwycił jakąś kobietę i deportował się!

- Wiem, Williamson, wiem, ja też go widziałem! - wymamrotał Knot, który pod płaszczem w prążki miał na sobie piżamę i dyszał, jakby dopiero co przebiegł kilka mil. - Na brodę Merlina... tutaj... tutaj! W Ministerstwie Magii! Wielkie nieba... to wprost niewiarygodne... daję słowo... Jak to możliwe?

- Korneliuszu, jeśli udasz się na dół, do Departamentu Tajemnic - Dumbledore, wyraźnie uspokojony, że Harry'emu nic się nie stało, wyszedł na środek sali, tak że przybysze dopiero teraz go zobaczyli (kilku uniosło różdżki, inni po prostu osłupieli; posągi skrzata i goblina zaczęły bić brawo, a Knot podskoczył tak, że jego kapcie na moment straciły kontakt z podłogą) - to w Sali Śmierci znajdziesz kilku zbiegłych śmierciożerców, skrępowanych zaklęciem antydeportacyjnym i oczekujących na twoją decyzję, co z nimi zrobić.

- Dumbledore! - wysapał Knot, nie posiadając się ze zdumienia. - Ty... tutaj... ja... ja...

Rozejrzał się nieprzytomnie, szukając wzrokiem aurorów, którzy go tu przyprowadzili, gotów rozkazać im: „Bierzcie go!"

- Korneliuszu, mogę stoczyć walkę z twoimi ludźmi... i znowu zwyciężyć! - zagrzmiał Dumbledore. - Ale przed paroma minutami sam, na własne oczy, widziałeś dowód, że przez cały rok mówiłem ci prawdę. Lord Voldemort powrócił, a ty przez dwanaście miesięcy ścigałeś nie tych, których powinieneś! Czas, byś nabrał rozumu!

- Ja... nie... no więc... - bełkotał Knot, rozglądając się, jakby miał nadzieję, że ktoś mu powie, co ma robić. - No dobrze... Dawlish! Williamson! Idźcie do Departamentu Tajemnic i zobaczcie... Dumbledore, musisz mi powiedzieć... dokładnie... Fontanna Magicznego

Braterstwa... Co tu się wydarzyło? - jęknął, spoglądając na podłogę, zawaloną szczątkami posągów czarownicy, czarodzieja i centaura.

- Możemy o tym pomówić, jak odeślę Harry'ego do Hogwartu - odpowiedział Dumbledore.

- Harry... Harry Potter?!

Knot odwrócił się i wytrzeszczył oczy na Harry'ego, który wciąż stał pod ścianą, obok leżącego posągu, który strzegł go podczas pojedynku Dumbledore'a z Voldemortem.

- On... t-tutaj? - wyjąkał Knot. - Dlaczego? Co to wszystko znaczy?

- Wyjaśnię ci wszystko, kiedy Harry wróci do szkoły - powtórzył Dumbledore.

Podszedł do miejsca, w którym leżała złota głowa czarodzieja. Wycelował w nią różdżką i mruknął: *„Portus!"*, a głowa rozjarzyła się niebieskim blaskiem, zadygotała i znieruchomiała.

- Zaraz, Dumbledore! - rzekł Knot, gdy Dumbledore podniósł głowę i wrócił z nią do Harry'ego. - Nie otrzymałeś licencji na ten świstoklik! Nie możesz robić czegoś takiego w obecności ministra magii, musisz...

Głos mu się załamał, gdy Dumbledore spojrzał na niego surowo znad swych okularów-połówek.

- Wydasz rozporządzenie usuwające Dolores Umbridge z Hogwartu - powiedział. - Powiesz swym aurorom, by przestali ścigać mojego nauczyciela opieki nad magicznymi stworzeniami, tak żeby mógł wrócić do pracy. Poświęcę ci... - wyciągnął z kieszeni zegarek z dwunastoma wskazówkami - pół godziny, w którym to czasie na pewno zdążę ci pokrótce opowiedzieć, co tu się wydarzyło. Potem będę musiał wrócić do mojej szkoły. Gdybyś czegoś jeszcze ode mnie potrzebował, to, oczywiście, możesz się ze mną skontaktować w Hogwarcie. Listy zaadresowane do dyrektora szkoły na pewno do mnie trafią.

Knot jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy. Otworzył usta, a jego krągła twarz pokryła się rumieńcem pod strzechą rozczochranych siwych włosów.

- Ja... ty...

Dumbledore odwrócił się do niego plecami.

- Weź ten świstoklik, Harry.

Wyciągnął ku niemu złotą głowę posągu, a Harry położył na niej dłoń. Było mu zupełnie obojętne, co się z nim za chwilę stanie i gdzie się znajdzie.

- Zobaczymy się za pół godziny - powiedział cicho Dumbledore. - Raz... dwa... trzy...

Harry poczuł znajome szarpnięcie w okolicach pępka. Wypolerowana podłoga uciekła mu spod stóp, atrium, Knot i Dumbledore - wszystko zniknęło. Porwał go wir barw i dźwięków...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY
UTRACONA PRZEPOWIEDNIA

Stopy Harry'ego uderzyły w coś twardego, kolana trochę się ugięły i złota głowa czarodzieja upadła na podłogę z głuchym brzęknięciem. Rozejrzał się i stwierdził, że przybył do gabinetu Dumbledore'a.

Wyglądało na to, że podczas nieobecności dyrektora wszystko samo się naprawiło. Delikatne srebrne instrumenty znowu stały na stolikach o pajęczych nóżkach, pykając i brzęcząc pogodnie. Portrety byłych dyrektorów chrapały z głowami odchylonymi do tyłu w fotelach lub opartymi o ramy. Spojrzał w okno. Nad horyzontem jaśniał już pasek bladej zieleni: nadchodził świt.

Cisza i spokój tego pokoju, zakłócane od czasu do czasu jedynie przez głośne chrapnięcie któregoś z portretów, były nie do zniesienia. Gdyby otoczenie odzwierciedlało to, co działo się w nim samym, portrety wyłyby z bólu. Zaczął krążyć po tym spokojnym, pięknym gabinecie, oddychając szybko i starając się nie myśleć. Ale nie mógł nie myśleć... Nie było od tego ucieczki...

To jego wina, że Syriusz zginął, to wszystko jego wina. Och, dlaczego był tak głupi, by dać się Voldemortowi wciągnąć w pułapkę, dlaczego był tak święcie przekonany, że to, co widział we śnie, było rzeczywistością, dlaczego był głuchy na słowa Hermiony, na możliwość, że Voldemort wykorzystuje jego namiętną skłonność do odgrywania roli bohatera...

To było nie do zniesienia, nie mógł o tym myśleć, nie mógł tego wytrzymać... Gdzieś w głębi jego świadomości ziała okropna pustka, o której chciał zapomnieć, ciemna otchłań, w której zniknął Syriusz. Nie chciał być sam na sam z tą bezbrzeżną, cichą otchłanią, nie mógł tego znieść...

Wiszący za nim portret zachrapał wyjątkowo głośno i zimny głos powiedział:

- Ach... Harry Potter...

Fineas Nigellus ziewnął i przeciągnął się, mierząc Harry'ego spojrzeniem bystrych, wąskich oczu.

- I cóż cię tutaj sprowadza o tak wczesnej porze? Wydawało mi się, że do tego gabinetu może wejść tylko prawowity dyrektor szkoły. A może przysłał cię tutaj Dumbledore? Och, niemów... - Ziewnął jeszcze raz. - Jeszcze jedna wiadomość od mojego nic niewartego praprawnuka?

Harry milczał. Fineas Nigellus nie wiedział, że Syriusz nie żyje, ale nie był w stanie mu tego powiedzieć. Gdyby to powiedział, śmierć Syriusza stałaby się czymś ostatecznym i nieodwracalnym, czymś absolutnie realnym.

Przebudziło się kilka innych portretów. Za nic w świecie nie pozwoli, żeby go wypytywały... Przeszedł szybko przez pokój i złapał za gałkę.

Nie obróciła się. Był tutaj zamknięty.

- To chyba oznacza - powiedział korpulentny czarodziej z czerwonym nosem, którego portret wisiał nad biurkiem - że Dumbledore wkrótce tu się pojawi, co?

Harry odwrócił się. Czarodziej przyglądał mu się z ciekawością. Harry kiwnął głową. Za plecami wymacał ręką gałkę, ale nadal nie chciała się obrócić.

- Och, wspaniałe - westchnął czarodziej - tak tu nudno bez niego, tak nudno...

Usadowił się na wysokim, podobnym do tronu krześle, na którym go wymalowano, i uśmiechnął się dobrodusznie do Harry'ego.

- Na pewno wiesz, że Dumbledore bardzo cię ceni - powiedział ciepłym tonem. - Och, tak. Bardzo cię szanuje.

Poczucie winy wypełniało klatkę piersiową Harry'ego jak jakiś potworny, ciążący mu okropnie pasożyt, który teraz zaczął się wić i skręcać. Nie mógł tego wytrzymać, nie mógł znieść, że jest sobą... Jeszcze nigdy nie czuł się tak uwięziony we wnętrzu własnej głowy i ciała, jeszcze nigdy nie pragnął tak bardzo być kimś innym... kimkolwiek... innym...

W wygasłym kominku buchnął szmaragdowozielony płomień. Harry odskoczył od drzwi, wpatrując się w mężczyznę wirującego w palenisku. Kiedy wysoka postać Dumbledore'a wyłoniła się z płomienia, czarownice i czarodzieje na wszystkich ścianach wzdrygnęli się i przebudzili. Rozległy się powitalne okrzyki.

- Dziękuję - powiedział cicho Dumbledore.

Nie od razu spojrzał na Harry'ego, tylko podszedł do żerdzi obok drzwi, wyjął z wewnętrznej kieszeni szaty maleńkiego, brzydkiego, nieopierzonego feniksa i umieścił go ostrożnie na tacce z kupką popiołu, pod złotym prętem, na którym zwykle siedział w pełni wyrośnięty Fawkes.

- No, Harry - powiedział, odwracając się od pisklęcia - na pewno się ucieszysz, jak ci powiem, że żaden z twoich przyjaciół nie odniósł trwałych obrażeń w wydarzeniach tej nocy.

Harry chciał powiedzieć: „To dobrze", ale żaden dźwięk nie wydobył się z jego ust. Wydało mu się, że Dumbledore wypomina mu szkody, jakie spowodował swą nocną wyprawą do ministerstwa, ale choć Dumbledore wreszcie patrzył wprost na niego, i z miną nie oskarżycielską, a bardzo łagodną, Harry nie mógł się zmusić, by spojrzeć mu w oczy.

- Pani Pomfrey już wszystkich łata i skleja. Nimfadora Tonks będzie pewnie musiała spędzić trochę czasu w Szpitalu Świętego Munga, ale chyba się z tego wyliże.

Harry tylko kiwnął głową, wpatrując się wciąż w dywan, który robił się coraz jaśniejszy, w miarę jak niebo za oknem bladło. Był pewny, że wszystkie portrety wsłuchują się w każde słowo Dumbledore'a i zastanawiają się, co się wydarzyło i skąd te obrażenia.

- Wiem, co teraz czujesz, Harry - powiedział bardzo łagodnie Dumbledore.

- Nie, nie wie pan - odrzekł Harry niespodziewanie głośno i stanowczo.

Wezbrał w nim straszliwy gniew. Dumbledore nie miał pojęcia, co on teraz czuje.

- Widzisz, Dumbledore? - odezwał się Fineas Nigellus zgryźliwym tonem. - Nigdy nie próbuj zrozumieć uczniów. Oni tego nie znoszą. Wolą być tragicznie niezrozumiani, wolą się sami nad sobą użalać, wolą babrać się w swoich...

- Dosyć, Fineasie - przerwał mu Dumbledore.

Harry odwrócił się do niego plecami i demonstracyjnie wpatrzył się w okno. W oddali widać było stadion quidditcha. Kiedyś, raz, pojawił się na nim Syriusz pod postacią czarnego psa, by zobaczyć Harry'ego w grze... Pewnie chciał sprawdzić, czy Harry jest tak dobry w quidditchu jak James... Nigdy go o to nie zapytał...

- Nie musisz się wstydzić tego, co teraz czujesz, Harry - rozległ się głos Dumbledore'a. - Przeciwnie... to, że odczuwasz taki ból, jest twoją największą siłą.

Harry poczuł, jak biały płomień gniewu liże mu wnętrzności, jak wybucha w owej straszliwej pustce, napełniając go pragnieniem sprawienia bólu Dumbledore'owi za ten jego spokój i za te puste słowa.

- Moją największą siłą, tak? - powtórzył rozdygotany, wciąż wpatrując się w stadion quidditcha, ale już go nie dostrzegając. - Pan nie ma pojęcia... Nie wie pan...

- Czego nie wiem? - zapytał spokojnie Dumbledore.

Tego już było za wiele. Harry odwrócił się do niego, trzęsąc się ze złości.

- Nie chcę rozmawiać o tym, co czuję, rozumie pan?

- Harry, takie cierpienie dowodzi, że wciąż jesteś człowiekiem! Taki ból jest częścią człowieczeństwa...

- A WIĘC... JA... NIE... CHCĘ... BYĆ... CZŁOWIEKIEM! - ryknął Harry.

Chwycił jeden z delikatnych srebrnych instrumentów, stojący na stoliku tuż przy nim, i cisnął nim przez pokój. Instrument roztrzaskał się na kawałeczki o ścianę. Kilka portretów krzyknęło z oburzenia i ze strachu, a portret Armanda Dippeta powiedział:

- No nie, doprawdy!

- MAM TO W NOSIE! - wrzasnął Harry, chwytając lunaskop i wrzucając go do kominka. - MAM JUŻ DOSYĆ, ZOBACZYŁEM DOSYĆ, CHCĘ WYJŚĆ, CHCĘ, ŻEBY TO SIĘ WRESZCIE SKOŃCZYŁO, NIC MNIE TO JUŻ NIE OBCHODZI...

Złapał za stolik, na którym uprzednio stał srebrny instrument, i nim też cisnął o podłogę. Stolik rozpadł się, a nogi potoczyły się w różne strony.

- Ależ obchodzi cię - powiedział spokojnie Dumbledore, nie robiąc nic, by powstrzymać Harry'ego od zdemolowania mu gabinetu. - I to tak bardzo, że czujesz, jakbyś miał się wykrwawić na śmierć.

- WCALE NIE! - wrzasnął Harry tak głośno, że zapiekło go w gardle, i przez chwilę chciał rzucić się na Dumbledore'a i jego też roztrzaskać na kawałki, zniszczyć ten spokój na jego twarzy, potrząsnąć nim, zadać mu ból, sprawić, by poczuł choć odrobinę tego, co działo się w nim samym.

- Ależ tak - powiedział Dumbledore, jeszcze spokojniej i łagodniej. - Straciłeś matkę, ojca, a teraz kogoś najbliższego poza nimi. Musi cię to obchodzić.

- PAN NIE WIE, CO JA CZUJĘ! PAN... STOI TU SOBIE... PAN...

Ale słowa już nie wystarczały, rozbijanie przedmiotów nie przynosiło żadnej ulgi. Chciał stąd uciec, chciał biec, wszystko jedno dokąd, nie oglądając się za siebie, chciał znaleźć się gdzieś, gdzie nie byłoby tych jasnych, niebieskich, wpatrujących się w niego oczu, tej znienawidzonej, spokojnej, starej twarzy. Pobiegł do drzwi, złapał za gałkę i szarpnął.

Ale drzwi się nie otworzyły.

Odwrócił się ponownie do Dumbledore'a.

- Niech mnie pan wypuści - powiedział, trzęsąc się cały.

- Nie.

Patrzyli na siebie przez chwilę.

- Proszę mnie wypuścić - powtórzył.

- Nie.

- Jeśli mnie pan tu zatrzyma... jeśli mi pan nie pozwoli...

- Możesz sobie niszczyć, co chcesz - powiedział pogodnie Dumbledore. - Mam tu tego za dużo.

Obszedł biurko i usiadł, obserwując Harry'ego.

- Niech mnie pan wypuści - powtórzył Harry zimnym głosem, prawie tak spokojnym, jak głos Dumbledore'a.

- Wypuszczę cię stąd, jak powiem to, co mam ci do powiedzenia.

- Czy pan... czy pan myśli, że ja chcę... czy pan myśli, że w ogóle... NIE OBCHODZI MNIE, CO MI PAN MA DO POWIEDZENIA! Nie chcę słuchać NICZEGO, co chce mi pan powiedzieć!

- Ale wysłuchasz - powiedział spokojnie Dumbledore. - Bo nie jesteś jeszcze nawet w połowie tak na mnie zły, jak powinieneś. Jeśli zamierzasz mnie zaatakować, a wiem, że jesteś tego bliski, to chciałbym na to zasłużyć.

- O czym pan mówi...?

- To MOJA wina, że Syriusz zginął - oświadczył dobitnie Dumbledore. - A dokładniej, prawie wyłącznie moja wina... bo nie chcę być tak butny, by brać na siebie całą odpowiedzialność. Syriusz był dzielnym, bystrym i energicznym mężczyzną, a tacy ludzie zwykle nie potrafią siedzieć w ukryciu, podczas gdy inni nadstawiają głowy. Ale ty, Harry, nie powinieneś był uwierzyć w to, że istniała jakakolwiek konieczność, abyś musiał zakradać się dziś w nocy do Departamentu Tajemnic. Gdybym był z tobą szczery, Harry, jak powinienem być, od dawna byś wiedział, że Voldemort może próbować cię tam zwabić, i nigdy byś się nie dał złapać w tę pułapkę. A i Syriusz nie znalazłby się tam, żeby cię ratować. Wina spoczywa na mnie, i tylko na mnie.

Harry wciąż stał z ręką na gałce drzwi, ale nie był tego świadom. Wpatrywał się w Dumbledore'a, oddychając ciężko i słuchał go, ale nie bardzo rozumiał, co słyszy.

- Usiądź, Harry - powiedział Dumbledore. To nie było polecenie, to była prośba.

Harry zawahał się, po czym powoli przeszedł przez pokój, teraz zaśmiecony srebrnymi kółkami zębatymi i kawałkami drewna, i usiadł naprzeciw Dumbledore'a.

- Czy dobrze zrozumiałem? - odezwał się Fineas Nigellus. - Czy to prawda, że mój praprawnuk... ostatni z rodu Blacków... nie żyje?

- Tak, Fineasie - odrzekł Dumbledore.

- Nie wierzę - powiedział opryskliwie Fineas.

Harry odwrócił głowę i zdążył zobaczyć, jak Fineas opuszcza swe ramy, zapewne by odwiedzić inne portrety w domu przy Grimmauld Place. Pewnie będzie przechodził z portretu na portret, nawołując Syriusza po całym domu...

- Harry, winien ci jestem wyjaśnienie - rzekł Dumbledore. - Muszę ci wyjaśnić, jak doszło do tego, że stary człowiek popełnił tyle błędów. Bo teraz widzę, że to, co zrobiłem, i to, czego nie zrobiłem w stosunku do ciebie, nosi wszelkie znamiona błędów mojego wieku. Ty nie możesz wiedzieć, jak się czuje i jak myśli stary człowiek. Ale starzy ludzie ponoszą winę, jeśli zapomną, jak to jest, kiedy się jest młodym... i wszystko wskazuje na to, że ja właśnie o tym zapomniałem...

Słońce już wschodziło. Wierzchołki gór otoczył oślepiająco pomarańczowy rąbek, a niebo było bezbarwne i jasne. Światło padło na Dumbledore'a, na srebrne brwi i brodę, wydobywając z jego twarzy głębokie zmarszczki.

- Piętnaście lat temu, gdy zobaczyłem bliznę na twoim czole, domyśliłem się, co ona może oznaczać. Podejrzewałem, że może to być znak więzi między tobą a Voldemortem.

- Już mi pan to mówił, profesorze - przerwał mu szorstko Harry.

Nie obchodziło go, że jest niegrzeczny. Nic go już nie obchodziło.

- Tak - przyznał Dumbledore. - Tak, mówiłem ci, ale, widzisz... muszę zacząć od twojej blizny. Bo wkrótce po tym, jak wróciłeś do świata czarodziejów, stało się oczywiste, że miałem rację i że ta blizna daje o sobie znać, gdy Voldemort jest w pobliżu, albo gdy przeżywa jakieś silne emocje.

- Wiem.

- A twoja zdolność wykrywania bliskiej obecności Voldemorta, choćby nawet w jakiejś innej postaci, i poznania, co on czuje, gdy wzbierają w nim emocje, zaczęła się pogłębiać od czasu, gdy Voldemort wrócił, gdy odzyskał swe ciało i swoją moc.

Harry nie raczył skinąć głową. Wiedział o tym od dawna.

- Natomiast dopiero o wiele później doszedłem do wniosku, że Voldemort może sobie zdawać sprawę z tej więzi między wami. I nieuchronnie musiał nadejść taki moment, w którym wniknąłeś w jego świadomość i myśli tak głęboko, że on to wyczuł. Mówię, rzecz jasna, o tej nocy, kiedy byłeś świadkiem napaści na pana Weasleya.

- Tak, Snape mi o tym powiedział - mruknął Harry.

- Profesor Snape, Harry - poprawił go spokojnie Dumbledore. - Ale czy nie zastanawiałeś się, dlaczego to nie ja ci o tym powiedziałem? Dlaczego to nie ja uczyłem cię oklumencji? Dlaczego przez wiele miesięcy w ogóle się z tobą nie widziałem?

Harry podniósł głowę i spojrzał na niego. Dopiero teraz zauważył, że Dumbledore jest przygnębiony i zmęczony.

- No tak - wymamrotał. - Zastanawiałem się.

- Bo, widzisz, byłem pewny, że wkrótce Voldemort spróbuje wedrzeć się do twojej świadomości, by zacząć manipulować twoimi myślami, a nie chciałem go do tego sam zachęcać. Byłem pewny, że kiedy zda sobie sprawę, że nas dwóch, ciebie i mnie, łączą... czy łączyły... stosunki bliższe niż te, które zwykle łączą dyrektora i ucznia, to zechce wykorzystać ciebie do szpiegowania mnie. Bałem się tego, co może z tobą zrobić, bałem się, że może opętać i posiąść twoją wolę i umysł. I, Harry, wierzę, że miałem rację. Wierzę, że Voldemort

naprawdę chciał cię w ten sposób wykorzystać. W tych rzadkich chwilach, gdy byliśmy blisko siebie, wydawało mi się, że widzę już jego cień czający się w twoich oczach...

Harry przypomniał sobie, jak za każdym razem, gdy napotykał spojrzenie Dumbledore'a, czuł, jakby budził się w nim drzemiący dotąd wąż, gotów kąsać.

- Jak się okazało tej nocy, celem Voldemorta, gdy zamierzał cię opętać, nie było zniszczenie mnie. Było nim zniszczenie ciebie. Miał nadzieję, że kiedy mu się to uda, poświęcę ciebie, żeby zabić jego. Jak widzisz, odsuwając się od ciebie, próbowałem cię ochronić. Błąd starego człowieka...

Westchnął głęboko. Jego słowa nie budziły w Harrym emocji. Jeszcze parę miesięcy temu wiele by dał, by dowiedzieć się tego wszystkiego, a teraz, wobec pustki, jaką czuł po utracie Syriusza, nie miało to już znaczenia...

- Syriusz powiedział mi, że odczułeś, jak Voldemort obudził się w tobie w tę noc, w której zobaczyłeś napaść na Artura Weasleya. Zrozumiałem natychmiast, że sprawdzają się moje najgorsze obawy: od tego momentu Voldemort zdał sobie sprawę, że może cię wykorzystać do swoich celów. Próbowałem cię uzbroić, żebyś mógł odeprzeć ataki na twój umysł, więc zorganizowałem lekcje oklumencji z profesorem Snape'em.

Zamilkł na chwilę. Harry patrzył na światło słońca, przesuwające się powoli po błyszczącej powierzchni biurka i zagarniające srebrny kałamarz i ładne szkarłatne pióro. Był pewny, że wszystkie portrety nie śpią, łowiąc każde wypowiedziane przez Dumbledore'a słowo. Od czasu do czasu słyszał szelest szat, ciche chrząknięcia. Fineas Nigellus jeszcze nie wrócił...

- Profesor Snape odkrył - ciągnął dalej Dumbledore - że od paru miesięcy śniłeś o drzwiach do Departamentu Tajemnic. Naturalnie już od chwili odzyskania ciała Voldemort był owładnięty obsesją wysłuchania przepowiedni i wciąż myślał o tych drzwiach. A skoro on o nich myślał i marzył, to i ty o nich śniłeś, chociaż nie wiedziałeś, co to oznacza. A potem zobaczyłeś jak Rookwood, który przed swoim aresztowaniem pracował w Departamencie Tajemnic, mówi Voldemortowi to, o czym myśmy od dawna wiedzieli: że przepowiedni przechowywanych w Ministerstwie Magii bronią silne zaklęcia. Tylko ten, kogo przepowiednia dotyczy, może zdjąć ją z półki, nie popadając w obłęd. Voldemort miał dwa wyjścia: mógł sam wejść do Ministerstwa Magii, narażając się na ujawnienie, albo skłonić ciebie, byś to uczynił i wziął przepowiednię dla niego. Dlatego tak było ważne i pilne, abyś opanował oklumencję.

- Ale nie opanowałem - mruknął Harry. Powiedział to na głos, żeby uwolnić się od nieznośnego ciężaru winy; miał nadzieję, że to wyznanie zmniejszy straszliwy ucisk

przygniatający mu serce. - Nie ćwiczyłem, nie dbałem o to, mogłem powstrzymać te sny, Hermiona wciąż mi to powtarzała, gdybym opanował oklumencję, nie mógłby mi pokazać, dokąd iść i... Syriusz... Syriusz by nie...

Coś eksplodowało mu w głowie: paląca potrzeba usprawiedliwienia się, wyjaśnienia...

- Próbowałem sprawdzić, czy naprawdę porwał Syriusza, poszedłem do gabinetu Umbridge, rozmawiałem przez kominek ze Stworkiem, a on mi powiedział, że Syriusza nie ma w domu, że wyszedł!

- Stworek kłamał - powiedział spokojnie Dumbledore. - Nie jesteś jego panem, mógł kłamać ci do woli, nie musząc się za to karać. Stworek chciał, żebyś udał się do Ministerstwa Magii.

- Wysłał mnie tam... celowo?

- Tak. Obawiam się, że Stworek od miesięcy służył nie tylko jednemu panu.

- Ale jak? Przecież od lat nie opuszczał Grimmauld Place!

- Stworek skorzystał ze sposobności na krótko przed Bożym Narodzeniem, kiedy Syriusz krzyknął na niego, żeby się wynosił. Potraktował ten rozkaz dosłownie. Uznał, że kazano mu opuścić dom. Udał się do jedynego członka rodziny Blacków, którego jeszcze jako tako szanował... do kuzynki Blacka, Narcyzy, siostry Bellatriks i żony Lucjusza Malfoya.

- Skąd pan o tym wszystkim wie? - zapytał Harry.

Serce biło mu szybko, poczuł mdłości. Pamiętał, jak niepokoiła go nieobecność Stworka w czasie Bożego Narodzenia, przypomniał sobie, jak skrzat pojawił się ponownie na strychu...

- Stworek sam mi to w nocy powiedział. Widzisz, kiedy przekazałeś profesorowi Snape'owi to zaszyfrowane ostrzeżenie, zrozumiał, że miałeś wizję Syriusza schwytanego w pułapkę w Departamencie Tajemnic. Podobnie jak ty, i on próbował natychmiast skontaktować się z Syriuszem. Muszę ci wyjaśnić, że członkowie Zakonu Feniksa mają środki komunikowania się ze sobą, które są pewniejsze od kominka w gabinecie Dolores Umbridge. Profesor Snape stwierdził, że Syriusz jest żywy i bezpieczny w swym domu przy Grimmauld Place. Kiedy jednak ty nie wróciłeś z Zakazanego Lasu, dokąd zaprowadziliście Dolores Umbridge, profesor Snape zaczął się niepokoić, bo to mogło oznaczać, że wciąż wierzysz w porwanie Syriusza przez Lorda Voldemorta. Natychmiast powiadomił niektórych członków Zakonu.

Dumbledore westchnął głęboko, po czym ciągnął dalej:

- W Kwaterze Głównej byli wówczas Alastor Moody, Nimfadora Tonks, Kingsley Shacklebolt i Remus Lupin. Wszyscy zgodzili się, że trzeba natychmiast ci pomóc. Profesor

Snape nalegał, by Syriusz został w domu i powiadomił o wszystkim mnie, bo spodziewano się mnie tam lada chwila. Sam zamierzał przeszukać puszczę, w nadziei, że jeszcze cię tam znajdzie. Ale Syriusz nie chciał zostać w tyle, gdy reszta wyruszała na poszukiwanie. Powierzył Stworkowi zadanie przekazania mi, co się wydarzyło. I w ten sposób, kiedy przybyłem na Grimmauld Place wkrótce po tym, jak wszyscy udali się do ministerstwa, to właśnie ten skrzat powiedział mi... śmiejąc się do rozpuku... dokąd udał się Syriusz.

- Śmiał się? - zapytał Harry pustym głosem.

- Och, tak. Widzisz, Stworek nie był w stanie zdradzić nas całkowicie. Nie jest Strażnikiem Tajemnic Zakonu, nie mógł udzielić Malfoyom dokładnych informacji, gdzie jesteśmy, nie mógł im wyjawić tych tajnych planów Zakonu, które zakazano mu ujawnić. Był związany czarem, któremu podlega jego gatunek, co oznaczało, że musiał być posłuszny bezpośredniemu rozkazowi swojego pana, Syriusza. Przekazał jednak Narcyzie informacje, które dla Voldemorta okazały się bardzo cenne, ale Syriuszowi wydały się banalne i nie zabronił skrzatowi ich ujawniać.

- Na przykład?

- Na przykład to, że osobą, na której Syriuszowi najbardziej zależy, jesteś ty - powiedział cicho Dumbledore. - Albo to, że Syriusz jest dla ciebie i ojcem, i bratem. Voldemort oczywiście wiedział, że Syriusz jest w Zakonie, i że ty wiesz, gdzie on jest, ale informacje Stworka pozwoliły mu zrozumieć, że jedyną osobą, którą będziesz chciał uratować bez względu na wszystko, jest Syriusz Black.

Usta Harry'ego były zimne i odrętwiałe.

- Więc... kiedy zapytałem Stworka, czy Syriusz jest w domu...

- Malfoyowie, niewątpliwie zgodnie z instrukcjami Voldemorta, polecili mu usunąć gdzieś Syriusza, żebyś nie mógł się z nim porozumieć. Wczoraj Stworek zranił Hardodzioba, więc gdy pojawiłeś się w kominku, Syriusz był na górze i opatrywał go.

Harry'emu brakowało powietrza, oddech miał szybki i płytki.

- I Stworek powiedział panu to wszystko... i śmiał się? - zapytał ochrypłym głosem.

- Wcale nie chciał mi tego powiedzieć, ale opanowałem legilimencję na tyle, by wiedzieć, że ktoś mnie okłamuje, i... zdołałem go przekonać... by mi powiedział prawdę, zanim udałem się do Departamentu Tajemnic.

- A Hermiona - wyszeptał Harry, zaciskając w pięści zimne dłonie złożone na kolanach - wciąż nam mówiła, żebyśmy byli dla niego mili...

- I miała rację, Harry - rzekł Dumbledore. - Kiedy wybraliśmy dom numer dwanaście przy Grimmauld Place na naszą Kwaterę Główną, ostrzegłem Syriusza, że musi traktować

Stworka uprzejmie i z szacunkiem. Powiedziałem mu, że Stworek może być dla nas niebezpieczny. Nie sądzę, by Syriusz potraktował poważnie moje słowa, ani by kiedykolwiek zauważył, że Stworek może mieć uczucia podobne do ludzkich...

- Niech pan nie obwinia... niech pan... nie mówi tak... o Syriuszu... - wymamrotał Harry, z trudem łapiąc powietrze. Znowu ogarnęła go wściekłość. Nie mógł pozwolić, by Dumbledore wyrażał się krytycznie o Syriuszu. - Stworek jest... podłym... kłamcą... zasługuje na...

- Stworek jest tym, czym go uczynili czarodzieje. Tak, Harry, powinno mu się współczuć. Jego życie było tak samo żałosne, jak życie twojego przyjaciela Zgredka. Musiał być posłuszny Syriuszowi jako ostatniemu potomkowi rodziny, której był niewolnikiem, ale nie był mu szczerze oddany. I bez względu na jego przewinienia, trzeba też pamiętać, że Syriusz nie zrobił nic, by ulżyć jego ciężkiej doli...

- NIECH PAN PRZESTANIE MÓWIĆ TAK O SYRIUSZU!

Zerwał się na równe nogi, gotów rzucić się na Dumbledore'a, który w ogóle nie rozumiał Syriusza, nie miał pojęcia, jak był dzielny, ile wycierpiał...

- A Snape? O nim pan jakoś nie mówi. Kiedy mu powiedziałem, że Voldemort uwięził Syriusza, tylko uśmiechnął się drwiąco, jak zwykle...

- Harry, przecież wiesz, że profesor Snape nie miał innego wyboru, w obecności Dolores Umbridge musiał udawać, że nie traktuje cię poważnie - powiedział spokojnie Dumbledore - ale, jak już ci wyjaśniłem, powiadomił Zakon najszybciej, jak zdołał, o tym, co mu powiedziałeś. To on wydedukował, dokąd się udałeś, kiedy nie wróciłeś z puszczy. To on dał profesor Umbridge fałszywe veritaserum, kiedy próbowała cię zmusić, żebyś ujawnił miejsce pobytu Syriusza...

Harry'ego to nie przekonało, odczuwał dziką rozkosz, oskarżając Snape'a, bo wydawało mu się, że w ten sposób zmniejsza swoje poczucie winy, i chciał zmusić Dumbledore'a, by się z nim zgodził.

- Snape... Snape k-kpił sobie z Syriusza... bo Syriusz musiał siedzieć w tym domu... dawał mu do zrozumienia, że jest tchórzem...

- Syriusz był dorosłym, inteligentnym człowiekiem i nie musiał się przejmować takimi bzdurnymi kpinami.

- Snape przestał mnie nauczać oklumencji! - warknął Harry. - Wyrzucił mnie ze swojego gabinetu!

- Jestem tego świadom - powiedział ze smutkiem Dumbledore. - Już ci powiedziałem, że popełniłem błąd, nie ucząc cię osobiście, ale wówczas byłem przekonany, że największym

zagrożeniem jest jeszcze szersze otworzenie twego umysłu przed Voldemortem w mojej obecności...

- Snape to tylko pogorszył, po lekcjach z nim blizna zawsze bolała mnie bardziej... - Harry przypomniał sobie, co o tym mówił Ron, i brnął dalej. - Skąd pan wie, czy nie próbował mnie zmiękczyć, żeby Voldemortowi było łatwiej przeniknąć do mojej świadomości, żeby mu było łatwiej mnie opanować...

- Ufam Severusowi Snape'owi - oznajmił Dumbledore. - Zapomniałem tylko... to jeszcze jeden błąd starego człowieka... że istnieją rany zbyt głębokie, by się mogły zabliźnić. Myślałem, że profesor Snape potrafi przezwyciężyć w sobie to, co czuje do twojego ojca... i myliłem się.

- Ale poza tym jest w porządku, tak? - krzyknął Harry, nie zwracając uwagi na zgorszone twarze i oburzone pomruki portretów wiszących na ścianach. - Snape'owi wolno nienawidzić mojego ojca, ale Syriuszowi nie wolno nienawidzić Stworka, tak?

- Syriusz nie nienawidził Stworka. Uważał go po prostu za niegodnego zainteresowania sługę. Obojętność i lekceważenie często wyrządzają więcej krzywd niż jawna niechęć... Ta fontanna, którą w nocy zniszczyliśmy, to pomnik kłamstwa. My, czarodzieje, zbyt długo obrażaliśmy i wykorzystywaliśmy naszych braci, i teraz zbieramy tego żniwo.

- WIĘC SYRIUSZ SOBIE NA TO ZASŁUŻYŁ, TAK?! - ryknął Harry.

- Tego nie powiedziałem i nigdy tego z moich ust nie usłyszysz - odrzekł spokojnie Dumbledore. - Syriusz nie był okrutnikiem, na ogół był dobry dla skrzatów domowych. Nie kochał Stworka, bo Stworek był dla niego żywym wspomnieniem domu, którego Syriusz nienawidził.

- Tak, nienawidził! - powiedział Harry załamującym się głosem, po czym odwrócił się plecami do Dumbledore'a i odszedł od biurka. Gabinet zalany już był słońcem. Oczy portretów przesuwały się za nim, kiedy szedł, nie bardzo zdając sobie z tego sprawę, właściwie w ogóle nie widząc wnętrza gabinetu. - To pan go uwięził w tym domu, a on go znienawidził, właśnie dlatego chciał się stamtąd wyrwać tej nocy...

- Bałem się o jego życie - wtrącił cicho Dumbledore.

- Ludzie nie znoszą, jak się ich zamyka! - obruszył się Harry, mierząc go wściekłym spojrzeniem. - Mnie też pan więził przez całe lato!

Dumbledore zamknął oczy i zakrył twarz dłońmi o długich palcach. Harry obserwował go, ale nawet ta niezwykła oznaka wyczerpania lub smutku czy też czegoś jeszcze innego nie złagodziła jego złości. Przeciwnie, poczuł do niego jeszcze większą złość, bo okazał słabość.

A nie powinien, skoro w Harrym wszystko się gotowało i chciał wyładować na nim swój gniew.

Dumbledore opuścił ręce i spojrzał na Harry'ego znad swych okularów-połówek.

- Już czas - powiedział - abym ci powiedział to, co powinienem ci powiedzieć pięć lat temu, Harry. Proszę cię, usiądź. Powiem ci wszystko. Proszę cię tylko o odrobinę cierpliwości. Będziesz mógł się na mnie wściekać... zrobić, co zechcesz... kiedy skończę. Nie będę ci przeszkadzał.

Harry spojrzał na niego ze złością, a potem opadł na krzesło naprzeciw biurka i czekał. Dumbledore patrzył przez chwilę przez okno na zalane słońcem błonia, a potem zwrócił ponownie wzrok na Harry'ego i powiedział:

- Pięć lat temu, Harry, przybyłeś do Hogwartu cały i zdrowy, jak to sobie dawno zaplanowałem. No, może nie w najlepszej kondycji. Wiele przeszedłeś. Wiedziałem, że tak będzie, kiedy cię zostawiłem na progu domu twoich wujostwa. Wiedziałem, że czeka cię dziesięć ciężkich lat.

Zamilkł na chwilę. Harry się nie odzywał.

- Możesz zapytać... masz do tego pełne prawo... dlaczego tak musiało być. Dlaczego nie mogła cię przygarnąć jakaś rodzina czarodziejów? Wiele rodzin uczyniłoby to z najwyższą ochotą. Byliby zaszczyceni i szczęśliwi, mogąc wychowywać cię w swoim domu jak syna. Moja odpowiedź brzmi: przede wszystkim chciałem, żebyś żył. Żebyś przeżył. A twoje życie było wciąż w wielkim niebezpieczeństwie i chyba tylko ja zdawałem sobie z tego sprawę. Voldemort zniknął zaledwie parę godzin wcześniej, ale jego poplecznicy... a wielu z nich to prawie tacy sami groźni łajdacy jak on... wciąż byli wolni, silni, zdesperowani i gotowi użyć przemocy. Musiałem podjąć decyzję, biorąc również pod uwagę twoją przyszłość. Czy wierzyłem, że Voldemort już nigdy nie powróci? Nie. Wiedziałem, że wróci, może za dziesięć, może za dwadzieścia, może za pięćdziesiąt lat, ale na pewno wróci, a byłem również pewny, znając go, że nie spocznie, póki cię nie zabije. Wiedziałem, że jego znajomość magii przewyższa umiejętności praktycznie każdego z żyjących czarodziejów. Wiedziałem, że nawet moje najbardziej skomplikowane i potężne zaklęcia obronne mogą się okazać nieskuteczne, gdy on odzyska pełną moc. Ale wiedziałem też, gdzie jest jego słaby punkt. I podjąłem decyzję. Miałeś być chroniony mocą starożytnej magii, którą on dobrze zna, którą pogardza i której, właśnie dlatego, nie docenia. Mówię oczywiście o tym, że twoja matka oddała za ciebie życie. Zapewniła ci przez to trwałą ochronę, której on nigdy się nie spodziewał, ochronę, która płynie w twoich żyłach do dziś. Zawierzyłem więc krwi twojej matki. Powierzyłem ciebie jej siostrze, jej jedynej pozostałej przy życiu krewnej...

- Która mnie nie kocha - wtrącił natychmiast Harry. - Nie dałaby złamanego...

- Ale cię przygarnęła - przerwał mu Dumbledore. - Mogła czuć do ciebie odrazę, mogła się wściekać, mogła cię uważać za coś niechcianego, ale cię przygarnęła i w ten sposób przypieczętowała zaklęcie, które na ciebie rzuciłem. Ofiara twojej matki uczyniła z więzi krwi najmocniejszą tarczę ochronną, jaką mogłem ci zapewnić.

- Nadal nie...

- Dopóki możesz nazywać swym domem miejsce zamieszkania człowieka, w którego żyłach płynie krew twojej matki, dopóty Voldemort nie może cię tam tknąć ani wyrządzić ci krzywdy. On przelał jej krew, ale ta krew wciąż płynie w tobie i w jej siostrze. Jej krew stała się twoim schronieniem. Wracasz tam tylko raz w roku, ale jak długo będziesz to miejsce nazywał swym domem, nie może ci tam wyrządzić krzywdy. A twoja ciotka o tym wie. Wyjaśniłem jej to w liście, który zostawiłem przy tobie na progu jej domu. Wie, że pozwalając ci tam mieszkać, utrzymuje cię przy życiu już przez piętnaście lat.

- Zaraz - powiedział Harry. - Chwileczkę.

Wyprostował się w krześle, patrząc na Dumbledore'a.

- To pan przysłał tego wyjca. Powiedział pan, żeby pamiętała... To był pana głos...

- Pomyślałem sobie - rzekł Dumbledore, pochylając lekko głowę - że może trzeba jej przypomnieć o umowie, którą przypieczętowała, biorąc cię do swego domu. Podejrzewałem, że napaść dementorów może obudzić w niej poczucie zagrożenia, za które będzie winić swego przybranego syna.

- I tak się stało - powiedział cicho Harry. - No... może bardziej odczuł to mój wuj. Chciał się mnie pozbyć, ale jak przyszedł ten wyjec, ona... ona powiedziała, że muszę zostać. - Przez chwilę wpatrywał się w podłogę, a potem dodał: - Ale co to ma wspólnego z...

Nie mógł wymówić imienia Syriusza.

- A więc pięć lat temu - ciągnął Dumbledore, jakby w ogóle nie przerywał swej opowieści - przybyłeś do Hogwartu, może nie tak szczęśliwy ani tak zadbany, jakbym tego pragnął, ale jednak cały i zdrowy. Nie byłeś rozpieszczonym małym księciem, byłeś normalnym chłopcem, tak normalnym, jak tylko mogłem sobie wymarzyć, biorąc pod uwagę okoliczności. Tak więc, na razie, mój plan działał bez zarzutu. A potem... zresztą na pewno nie gorzej ode mnie pamiętasz wydarzenia, które miały miejsce w pierwszym roku twego pobytu w Hogwarcie. Wspaniale dorosłeś do wyzwania, któremu musiałeś stawić czoło, i wkrótce... o wiele wcześniej, niż się spodziewałem... musiałeś się zmierzyć z samym Voldemortem. I znowu przeżyłeś to spotkanie. Co więcej, opóźniłeś odzyskanie przez niego ciała i pełnej mocy. Stoczyłeś z nim walkę jak mężczyzna. Byłem... byłem z ciebie bardziej

dumny, niż potrafię to wyrazić. Lecz niestety mój plan miał pewien słaby punkt. Pewną rysę, o której już wtedy wiedziałem, a która mogła zniszczyć wszystko. A jednak, wiedząc, jakie to ważne, aby mój plan się udał, powiedziałem sobie, że nie dopuszczę, aby ta rysa wszystko zniszczyła. Tylko ja mogłem tego dokonać, więc sam musiałem być silny. I oto po raz pierwszy stanąłem wobec próby, kiedy leżałeś w skrzydle szpitalnym, osłabiony po walce z Voldemortem.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi...

- A pamiętasz, jak mnie wtedy zapytałeś, dlaczego Voldemort próbował cię zabić, gdy byłeś niemowlęciem?

Harry kiwnął głową.

- A myślisz, że powinienem ci to wtedy wyjawić?

Harry spojrzał w jego jasne, niebieskie oczy i nic nie odpowiedział, ale serce znowu zaczęło mu szybko bić.

- Jeszcze nie dostrzegłeś rysy na moim planie? Nie... chyba nie. No więc, jak wiesz, postanowiłem to przed tobą zataić. Pomyślałem sobie: ma dopiero jedenaście lat, jest jeszcze za młody. Zamierzałem ci to powiedzieć, kiedy będziesz starszy. Uważałem, że ta wiedza byłaby dla ciebie zbyt dużym ciężarem. Ale mogłem już wtedy dostrzec oznaki zagrożenia. Powinienem sam siebie zapytać, dlaczego nie zaniepokoiło mnie, że już wtedy zadałeś mi pytanie, na które kiedyś i tak będę ci musiał udzielić przerażającej odpowiedzi. Powinienem zdać sobie sprawę, że jestem zbyt szczęśliwy, by się nad tym zastanawiać... Byłeś zbyt młody, o wiele na to za młody... No i nadszedł drugi rok twego pobytu w Hogwarcie. I znowu stanąłeś przed wyzwaniem, przed którym nie stawali nawet dorośli czarodzieje. I ponownie sprostałeś temu wyzwaniu w sposób, o jakim nawet nie marzyłem. Jednak tym razem nie zapytałeś mnie, dlaczego Voldemort pozostawił ci na czole ten znak. Rozmawialiśmy o twojej bliźnie, owszem... Byliśmy już tak blisko, tak bardzo blisko tego tematu. Dlaczego nie powiedziałem ci wówczas wszystkiego? No cóż, pomyślałem sobie, że dwanaście lat to niewiele więcej niż jedenaście. Pozwoliłem ci wtedy odejść, a ty byłeś zakrwawiony, wyczerpany, ale uradowany i podniecony zwycięstwem, a jeśli nawet poczułem powiew niepokoju, jeśli przemknęło mi przez głowę, że może powinienem ci jednak o tym wszystkim powiedzieć, to szybko odrzuciłem od siebie tę myśl. Byłeś nadal tak młody, a ja nie potrafiłem się zdobyć na zepsucie ci tej nocy twojego triumfu i radości... Rozumiesz już, Harry? Widzisz rysę na moim wspaniałym planie? Wpadłem w pułapkę, którą sam przewidziałem, której mogłem uniknąć. A przecież od samego początku powtarzałem sobie, że muszę jej uniknąć.

- Nie...

- Za bardzo mi na tobie zależało. Bardziej mi zależało na twoim szczęściu niż na tym, byś poznał prawdę, bardziej na twoim spokoju niż na moim planie, bardziej na twoim życiu niż na życiu innych osób, które mogły je stracić, gdyby cały plan zawiódł. Innymi słowy, zachowałem się tak, jak się tego spodziewał Voldemort po nas, głupcach, którzy kochamy. Czy można było temu zaradzić? Myślę, że każdy, kto ciebie znał i obserwował tak jak ja... a nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jak uważnie śledziłem każdy twój krok... każdy, powtarzam, chciałby ci zaoszczędzić bólu ponad to, czego już doświadczyłeś. Co mnie mogło wówczas obchodzić, że w jakiejś mglistej przyszłości zginie nieokreślona liczba bezimiennych, pozbawionych twarzy ludzi i stworzeń, skoro ty byłeś żywy i szczęśliwy tu i teraz? Nigdy nie marzyłem, że los kogoś takiego jak ty będzie spoczywał w moich rękach. No i nadszedł trzeci rok. Obserwowałem z daleka, jak walczysz z dementorami, jak odnalazłeś Syriusza, jak dowiedziałeś się, kim on jest i jak go ocaliłeś. I co, wtedy miałem ci to powiedzieć, wtedy, kiedy odniosłeś kolejny triumf, wyrywając swego ojca chrzestnego z paszczy ministerstwa? Tylko że wtedy miałeś już trzynaście lat i coraz trudniej było mi zasłaniać się twoim młodym wiekiem. Zaczęło mnie dręczyć sumienie, Harry. Wiedziałem, że wkrótce nadejdzie czas... No i w zeszłym roku wyszedłeś z labiryntu, byłeś świadkiem śmierci Cedrika Diggory'ego, sam ledwo uniknąłeś śmierci... i znowu ci nie powiedziałem, chociaż wiedziałem, że teraz, kiedy Voldemort już powrócił, muszę wreszcie to zrobić. Lecz dopiero teraz, tej nocy, zrozumiałem, że od dawna byłeś przygotowany, aby dowiedzieć się tego wszystkiego, co tak długo przed tobą ukrywałem. Udowodniłeś mi, że popełniłem błąd, nie składając na twoje barki tego ciężaru, zanim doszło do wydarzeń tej nocy. Tylko jedno mogę powiedzieć na swoją obronę: widziałem, jak zmagasz się z brzemieniem, którego nie zdołałby podźwignąć żaden z uczniów, jacy kiedykolwiek ukończyli tę szkołę, i nie potrafiłem zmusić się do tego, by włożyć na twoje barki jeszcze jeden ciężar... największy ze wszystkich.

Harry czekał, ale Dumbledore zamilkł.

- Nadal nie rozumiem.

- Voldemort próbował cię zabić, kiedy byłeś niemowlęciem, z powodu przepowiedni wygłoszonej na krótko przed twoimi narodzinami. Wiedział o niej, ale nie znał jej pełnej treści. Chciał cię zabić, gdy byłeś niemowlęciem, wierząc, że w ten sposób spełnia warunki przepowiedni. Odkrył, na swoją zgubę, że się pomylił, kiedy zaklęcie, które miało cię zabić, odbiło się od ciebie i trafiło w niego. I dlatego, odkąd odzyskał swoje ciało, a zwłaszcza od czasu twojej niezwykłej ucieczki w ubiegłym roku, postanowił zrobić wszystko, by usłyszeć

całą przepowiednię. To właśnie była owa broń, której poszukiwał z taką determinacją od chwili swego powrotu: wiedza o tym, jak ciebie zniszczyć.

Słońce było już dość wysoko nad horyzontem. Gabinet Dumbledore'a był skąpany w jego promieniach. Szklana gablota, w której spoczywał miecz Godryka Gryffindora, lśniła opalizującą bielą, cząstki rozbitych przez Harry'ego instrumentów połyskiwały na podłodze jak krople deszczu, a za jego plecami maleńki Fawkes ćwierkał cicho w gniazdku z popiołu.

- Przepowiednia się roztrzaskała - powiedział głucho Harry. - Wciągałem Neville'a po tych stopniach w... w tej sali z kamiennym łukiem... i rozdarła mu się szata... a ta kulka wypadła...

- To, co się wtedy roztrzaskało, było tylko zapisem przepowiedni przechowywanym w Departamencie Tajemnic. Ale przepowiednia została wygłoszona przed kimś i ta osoba wciąż ma sposób, by ją sobie dokładnie przypomnieć.

- Kto ją usłyszał? - zapytał Harry, choć czuł, że już zna odpowiedź.

- Ja. Pewnej zimnej, deszczowej nocy, szesnaście lat temu, w pokoju nad barem w gospodzie Pod Świńskim Łbem. Poszedłem tam na spotkanie z kandydatem na nauczyciela wróżbiarstwa, choć, prawdę mówiąc, nie bardzo chciałem, by tego przedmiotu nadal nauczano w Hogwarcie. Tym kandydatem była jednak praprawnuczka bardzo słynnej, bardzo utalentowanej wieszczki, i pomyślałem sobie, że powinienem się z nią spotkać ze zwykłej uprzejmości. Byłem bardzo rozczarowany. Wydawało mi się, że ta osoba w ogóle nie ma żadnego daru przepowiadania przyszłości. Powiedziałem jej, mam nadzieję dość grzecznie, że nie nadaje się na to stanowisko i już miałem wyjść.

Dumbledore wstał, minął Harry'ego i podszedł do czarnego sekretarzyka stojącego obok żerdzi Fawkesa. Pochylił się, podniósł pokrywę i wyjął płytkie kamienne naczynie o brzegach pokrytych runami, w którym Harry ujrzał kiedyś swego ojca dręczącego Snape'a. Wrócił do biurka, postawił na nim myślodsiewnię i przyłożył sobie różdżkę do skroni. Wydobył z niej srebrne, pajęcze włókna myśli i strząsnął je do naczynia. Potem usiadł za biurkiem i przez chwilę wpatrywał się w swoje myśli, kłębiące się w myślodsiewni, aż wreszcie westchnął, uniósł różdżkę i dźgnął jej końcem srebrzystą substancję.

Wyrosła z niej postać spowita w zwiewne szale, z oczami powiększonymi do niezwykłych rozmiarów przez grube szkła okularów, która obróciła się powoli, ze stopami zanurzonymi w naczyniu. Ale kiedy Sybilla Trelawney przemówiła, nie uczyniła tego swym zwykłym eterycznym, tajemniczym głosem, lecz głosem ochrypłym i twardym, który Harry już raz słyszał.

- *OTO NADCHODZI TEN, KTÓRY MA MOC POKONANIA CZARNEGO PANA... ZRODZONY Z TYCH, KTÓRZY TRZYKROTNIE MU SIĘ OPARLI, A NARODZI SIĘ, GDY SIÓDMY MIESIĄC DOBIEGNIE KOŃCA... A CHOĆ CZARNY PAN NAZNACZY GO JAKO RÓWNEGO SOBIE, BĘDZIE ON MIAŁ MOC, JAKIEJ CZARNY PAN NIE ZNA... I JEDEN Z NICH MUSI ZGINĄĆ Z RĘKI DRUGIEGO, BO ŻADEN NIE MOŻE ŻYĆ, GDY DRUGI PRZEŻYJE... TEN, KTÓRY MA MOC POKONANIA CZARNEGO PANA, NARODZI SIĘ, GDY SIÓDMY MIESIĄC DOBIEGNIE KOŃCA...*

Obracająca się powoli postać profesor Trelawney zapadła się z powrotem w srebrzystą substancję i znikła.

W gabinecie zapadła głucha cisza. Ani Dumbledore, ani Harry, ani żaden z portretów nie zakłócili jej najlżejszym dźwiękiem. Nawet Fawkes umilkł.

- Panie profesorze - powiedział w końcu bardzo cicho Harry, bo Dumbledore, wciąż wpatrzony w myślodsiewnię, zdawał się całkowicie pogrążony w swych myślach. - To... czy to znaczy... Co to znaczy?

- To znaczy - rzekł Dumbledore - że jedyna osoba, która może pokonać Lorda Voldemorta, urodziła się w końcu lipca, prawie szesnaście lat temu. Rodzice tego chłopca już trzykrotnie oparli się Voldemortowi.

Harry poczuł się tak, jakby coś się wokół niego zamykało. Znowu oddychał z trudem.

- To znaczy... ja?

Dumbledore wziął głęboki oddech.

- To dziwne, Harry - powiedział łagodnie - ale to wcale nie musiałeś być ty. Przepowiednia Sybilli mogła mieć zastosowanie do dwóch chłopców, urodzonych w końcu lipca tego samego roku. Obaj mieli rodziców w Zakonie Feniksa, a rodzice ci trzykrotnie cudem uniknęli śmierci z rąk Voldemorta. Jednym z nich jesteś oczywiście ty. A tym drugim jest Neville Longbottom.

- Ale w takim razie dlaczego... dlaczego pod zapisem tej przepowiedni było moje imię i nazwisko, a nie Neville'a?

- Oficjalny zapis został przemianowany po ataku Voldemorta na ciebie, gdy byłeś dzieckiem. Strażnikowi Sali Przepowiedni wydało się oczywiste, że Voldemort próbował zabić ciebie, ponieważ wiedział, że to ciebie dotyczy przepowiednia Sybilli.

- Ale... może nie chodzi o mnie?

- Obawiam się - odrzekł Dumbledore powoli, jakby wypowiedzenie każdego słowa sprawiało mu wielką trudność - że jednak o ciebie.

- Ale pan powiedział... Neville też się urodził w końcu lipca... a jego rodzice...

- Zapominasz o następnej części przepowiedni, o ostatecznej identyfikacji tego chłopca, który może pokonać Voldemorta... Sam Voldemort „naznaczy go jako równego sobie". I uczynił to, Harry. Wybrał ciebie, a nie Neville'a. Pozostawił ci tę bliznę, która okazała się i błogosławieństwem, i przekleństwem.

- Ale przecież mógł się pomylić! Mógł wybrać niewłaściwą osobę!

- Wybrał chłopca, którego uznał za najbardziej możliwe dla siebie zagrożenie. I zauważ, Harry, nie wybrał małego czarodzieja czystej krwi, a więc kogoś, kto według niego godny jest istnienia i zauważenia, ale mieszańca, kogoś takiego jak on. Ujrzał w tobie samego siebie, zanim cię zobaczył, a naznaczając cię tą blizną, nie zabił cię, jak zamierzał, ale dał ci wielką moc, a także przyszłość, w której umknąłeś mu nie raz, ale jak dotąd cztery razy, a jest to coś, czego nie dokonali ani twoi rodzice, ani rodzice Neville'a.

- Więc dlaczego to zrobił? - zapytał Harry, odrętwiały i zziębnięty. - Dlaczego próbował zabić mnie, gdy byłem dzieckiem? Mógł poczekać i zobaczyć, który z nas jest dla niego większym zagrożeniem, Neville czy ja, i gdy już będziemy starsi, zabić właśnie tego...

- To by rzeczywiście było bardziej praktyczne podejście do sprawy, ale musisz pamiętać, że Voldemort nie znał całej przepowiedni. Gospoda Pod Świńskim Łbem od dawna przyciąga, że się tak wyrażę, ciekawszą klientelę niż pub Pod Trzema Miotłami, o czym ty i twoi przyjaciele mogliście przekonać się na własnej skórze... a i ja owej nocy... W tym miejscu nigdy nie można być pewnym, czy ktoś nie podsłuchuje. Oczywiście kiedy wybrałem się tam na spotkanie z Sybillą Trelawney, nawet mi przez głowę nie przemknęło, że usłyszę od niej coś ważnego. Miałem... mieliśmy szczęście, że szpicla Voldemorta odkryto i wyrzucono z gospody tuż po tym, jak Sybilla zaczęła wygłaszać swą przepowiednię.

- Więc usłyszał tylko...

- Usłyszał tylko pierwszą część, tę zapowiadającą narodziny w lipcu chłopca, którego rodzice trzykrotnie oparli się Voldemortowi. Nie mógł więc ostrzec swojego pana, że zaatakowanie ciebie wiąże się z ryzykiem przekazania ci jego mocy, a więc naznaczenia ciebie jako równego jemu. Tak więc Voldemort nie wiedział, jakie niebezpieczeństwo mu grozi, gdy ciebie zaatakuje, nie wiedział, że może byłoby mądrzej poczekać albo dowiedzieć się więcej. Nie wiedział, że masz „moc, jakiej Czarny Pan nie zna"...

- Ale ja jej nie mam! - powiedział Harry zduszonym głosem. - Nie mam żadnej mocy, której on nie ma, nie potrafiłbym walczyć tak, jak on walczył tej nocy, nie jestem w stanie nikogo opętać, aby opanować jego umysł... albo zabić...

- W Departamencie Tajemnic - przerwał mu Dumbledore - jest zawsze zamknięta sala. Kryje w sobie siłę, która jest zarazem wspanialsza i straszniejsza od śmierci, od ludzkiej

inteligencji, od sił przyrody. Jest ona również być może najbardziej tajemniczym obiektem badań w całym departamencie. Tę właśnie moc ty posiadasz w wielkiej obfitości, a Voldemort nie ma jej wcale. To ta siła zaprowadziła cię tej nocy do Syriusza. To ona nie pozwoliła Voldemortowi opętać cię całkowicie, bo nie mógł znieść przebywania w ciele tak pełnym mocy, której on nie cierpi. W ostatecznym rozrachunku nie liczyło się już to, że nie potrafisz zamknąć przed nim swej świadomości. Nie oklumencja cię ocaliła, ale twoje serce.

Harry zamknął oczy. Gdyby nie poszedł tam, by ocalić Syriusza, Syriusz by nie zginął... Ale nie chciał myśleć o Syriuszu, chciał oddalić od siebie chwilę, gdy będzie musiał o nim pomyśleć, więc zapytał, nie bardzo ciekaw odpowiedzi:

- A koniec tej przepowiedni... tam było coś takiego... „żaden nie może żyć..."

- „...gdy drugi przeżyje".

- Więc czy to znaczy - zapytał Harry, jakby wydobywał z trudem słowa z głębokiej studni pełnej rozpaczy - że jeden z nas musi... musi w końcu zabić drugiego?

- Tak.

Przez długi czas obaj milczeli. Gdzieś daleko, za murami gabinetu, słychać było głosy uczniów, zmierzających zapewne, jak pomyślał Harry, do Wielkiej Sali na śniadanie. Wydało mu się wręcz niemożliwe, by na świecie mogli istnieć ludzie, którzy wciąż mieli ochotę, by coś zjeść, którzy się śmiali, którzy ani nie wiedzieli, ani się tym nie przejmowali, że Syriusz Black odszedł na zawsze. Syriusz zdawał się przebywać już o miliony mil stąd, nawet jeśli jakaś cząstka Harry'ego wciąż wierzyła, że jeśli tylko odciągnie zasłonę, odnajdzie tam Syriusza, który na niego spojrzy, który go powita, który - być może - wybuchnie śmiechem przypominającym szczekanie psa.

- Czuję, że winny ci jestem jeszcze jedno wyjaśnienie, Harry - powiedział z pewnym oporem Dumbledore. - Może się zastanawiałeś, dlaczego nie mianowałem cię prefektem, co? Muszę wyznać... że... tak sobie pomyślałem... że masz już za dużo na głowie, żeby brać sobie jeszcze i to.

Harry spojrzał na Dumbledore'a i zobaczył łzę spływającą po jego policzku i niknącą w długiej, srebrzystej brodzie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY
POCZĄTEK DRUGIEJ WOJNY

TEN, KTÓREGO IMIENIA NIE WOLNO WYMAWIAĆ POWRACA

W krótkim oświadczeniu, złożonym w piątek w nocy, minister magii Korneliusz Knot potwierdził, że Ten, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać powrócił do kraju i znów działa.

„Z wielkim ubolewaniem musze potwierdzić, że czarodziej nazywający sam siebie Lordem... no wiecie, kogo mam na myśli... żyje i jest wśród nas", powiedział Knot, wyraźnie zmęczony i sfrustrowany, gdy zwracał się do dziennikarzy. „Z prawie równie wielką przykrością musimy też donieść o masowym buncie dementorów Azkabanu, którzy zrezygnowali ze współpracy z ministerstwem. Sądzimy, że dementorzy są obecnie na rozkazach Lorda... Jakmutam. Apelujemy do wszystkich czarodziejów o czujność. Ministerstwo opracowało już zwięzły podręcznik podstawowej obrony osobistej i domowej, który w ciągu miesiąca zostanie dostarczony bezpłatnie do wszystkich domostw czarodziejów".

Oświadczenie ministra wywołało konsternację i niepokój w społeczności czarodziejów, którą ministerstwo jeszcze w środę zapewniało, że „utrzymujące się pogłoski o powrocie Sami-Wiecie-Kogo są całkowicie nieprawdziwe".

Szczegóły wydarzeń, które doprowadziły do zmiany stanowiska w ministerstwie, są nadal nieznane, choć wiele wskazuje na to, że Ten, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać i doborowa banda jego zwolenników (znanych jako smierciożercy) wdarli się do Ministerstwa Magii w czwartek wieczorem.

Albus Dumbledore, świeżo przywrócony na stanowisko dyrektor Szkoły Magii i Czarodziejstwa w Hogwarcie, który odyskał też członkostwo Międzynarodowej Konfederacji Czarodziejów i został na nowo mianowany Wielkim Niezależnym Wizengamotu, był dla nas do tej pory nieuchwytny. Dumbledore przez cały rok utrzymywał, że Sami-Wiecie-Kto nie umarł, jak twierdzono powszechnie, ale ponownie gromadzi zwolenników, szykując się do kolejnej próby przejęcia władzy. Tymczasem Chłopiec, Który Przeżył...

- No i znowu o tobie piszą! Wiedziałam, że jakoś cię w to wplączą - powiedziała Hermiona znad gazety.

Byli w skrzydle szpitalnym. Harry siedział na skraju łóżka Rona i obaj słuchali Hermiony, odczytującej im artykuł z pierwszej strony „Proroka Niedzielnego". W nogach łóżka Hermiony zwinęła się Ginny, której pani Pomfrey błyskawicznie wyleczyła pękniętą kostkę; na krześle między łóżkami siedział Neville, którego nos powrócił do swych

normalnych rozmiarów i kształtu, a Luna, która wpadła tu z wizytą, ściskając w ręku ostatni numer „Żonglera", czytała go do góry nogami i widać było, że nie dociera do niej ani jedno słowo Hermiony.

- I znowu stał się Chłopcem, Który Przeżył, co? - mruknął z ironią Ron. - Już nie jest świrem, który robi dużo szumu wokół siebie...

Wziął sobie garść czekoladowych żab z wielkiego stosu na nocnej szafce, rzucił kilka Harry'emu, Ginny i Neville'owi, po czym rozerwał jedno opakowanie zębami. Na przedramionach miał wciąż głębokie pręgi po mackach mózgów, które go oplotły. Pani Pomfrey stwierdziła, że myśli mogą pozostawić głębsze ślady niż cokolwiek innego, choć od czasu, gdy zaczęła mu je smarować Maścią Niepamięci Doktora Ubbly'ego, nastąpiła pewna poprawa.

- Tak, teraz ci się podlizują - powiedziała Hermiona, przebiegając wzrokiem artykuł. - *Samotny głos prawdy... uważany powszechnie za osobę niezrównoważoną, a mimo to uparcie trzymał się swojej wersji... zmuszony do znoszenia kpin i oszczerstw...* Hmm... - mruknęła, marszcząc brwi - jakoś nie widzę wzmianki o fakcie, że w ich artykułach roiło się od kpin i oszczerstw...

Skrzywiła się i złapała za żebra. Zaklęcie, które rzucił na nią Dołohow, choć mniej skuteczne, bo nie wypowiedział formuły na głos, spowodowało jednak, jak to określiła pani Pomfrey, „na tyle poważne obrażenia, by się nimi poważnie zająć". Hermiona musiała codziennie wypijać dziesięć różnych eliksirów, szybko wracała do zdrowia i już miała dość pobytu w skrzydle szpitalnym.

- *„Ostatnia próba przejęcia władzy przez Sami-Wiecie-Kogo", strony od drugiej do czwartej, „Co ministerstwo powinno nam powiedzieć", strona piąta, „Dlaczego nikt nie słuchał Albusa Dumbledore'a", strony od szóstej do ósmej, „Wywiad z Harrym Potterem", czytaj tylko u nas, strona dziewiąta...* No, mają o czym pisać - powiedziała Hermiona, składając i odrzucając gazetę. - A wywiad z Harrym można przeczytać nie tylko u nich, bo ukazał się w „Żonglerze" parę miesięcy temu...

- Tata im go sprzedał - powiedziała zdawkowym tonem Luna, przewracając stronę „Żonglera". - Bardzo dobrze mu zapłacili, więc w lecie jedziemy na wyprawę do Szwecji, może nam się uda złapać chrapaka krętorogiego.

Hermiona sprawiała wrażenie, jakby przez chwilę walczyła sama z sobą, po czym powiedziała:

- To cudownie.

Ginny napotkała spojrzenie Harry'ego, szybko odwróciła głowę i uśmiechnęła się.

- No dobrze - zagadnęła Hermiona, podciągając się nieco wyżej na poduszki i znowu krzywiąc się z bólu - ale co się dzieje w szkole?

- Flitwick zlikwidował bagno Freda i George'a - odpowiedziała Ginny. - W ciągu trzech sekund. Ale zostawił kawałek pod oknem i odgrodził go linami...

- Po co? - zdziwiła się Hermiona.

- Och, powiedział, że to przykład naprawdę niezłych czarów - powiedziała Ginny, wzruszając ramionami.

- A ja uważam, że to ma być coś w rodzaju pomnika Freda i George'a - wymamrotał Ron z ustami pełnymi czekolady. - To oni mi je przysłali - dodał, wskazując na pagórek żab obok siebie. - Chyba dobrze wychodzą na tym sklepie, co?

Hermiona skrzywiła się z niesmakiem i zapytała:

- Więc skoro Dumbledore wrócił, to już koniec z tym całym bałaganem?

- Tak - przyznał Neville. - Wszystko wraca do normy.

- Filch pewnie jest szczęśliwy, co? - zapytał Ron, opierając o dzbanek z wodą kartę z wizerunkiem Dumbledore'a.

- Coś ty! - prychnęła Ginny. - Jest kompletnie załamany... - zniżyła głos do szeptu. - Wciąż powtarza, że Umbridge była prawdziwym szczęściem dla Hogwartu...

Wszyscy spojrzeli na stojące naprzeciw łóżko, na którym leżała profesor Umbridge, wpatrując się w sufit. Dumbledore samotnie wyprawił się do Zakazanego Lasu, by ją uwolnić z rąk centaurów. Jak tego dokonał - jak mu się udało wyjść z lasu, prowadząc Umbridge, i nie doznać obrażeń, nawet najmniejszego zadrapania - tego nikt nie wiedział, a sama Umbridge albo nie była w stanie, albo nie chciała przekazać żadnej informacji na ten temat. Od czasu powrotu do zamku nie wypowiedziała ani jednego słowa. Nikt tak naprawdę nie wiedział, co jej jest. Jej zwykle schludnie uczesane mysie włosy były potargane i tkwiły w nich zeschłe liście i gałązki, ale nie miała żadnych obrażeń.

- Pani Pomfrey mówi, że ona jest po prostu w szoku - szepnęła Hermiona.

- A ja myślę, że po prostu się dąsa - powiedziała Ginny.

- No, daje znać, że żyje, jak się zrobi tak - powiedział Ron i zaklaskał cicho językiem.

Profesor Umbridge usiadła prosto i rozejrzała się wokoło dzikim wzrokiem.

- Coś się stało, pani profesor? - zawołała pani Pomfrey, wychylając głowę ze swego gabinetu.

- Nie... nie... - odpowiedziała Umbridge, opadając z powrotem na poduszki. - Nie, musiało mi się coś przyśnić...

Hermiona i Ginny wtuliły twarze w pościel, żeby zdusić śmiech.

- Skoro mowa o centaurach - powiedziała Hermiona, kiedy już doszła trochę do siebie - to kto jest teraz nauczycielem wróżbiarstwa? Firenzo zostaje?

- Chyba musi - odrzekł Harry. - Inne centaury nie pozwolą mu wrócić do puszczy, prawda?

- Wygląda na to, że będziemy mieć dwóch nauczycieli wróżbiarstwa, jego i Trelawney - stwierdziła Ginny.

- Założę się, że Dumbledore chce się na zawsze pozbyć Trelawney - powiedział Ron, przeżuwając czternastą z kolei żabę. - A w ogóle, to całe to wróżbiarstwo jest bez sensu, Firenzo wcale nie jest o wiele od niej lepszy...

- Jak możesz tak mówić? - zapytała z oburzeniem Hermiona. - Po tym, jak się okazało, że jednak są prawdziwe przepowiednie?

Harry'emu serce zabiło szybciej. Nie powiedział Ronowi, Hermionie czy komukolwiek innemu, co było w tej przepowiedni. Neville przyznał się im, że roztrzaskał ją, kiedy Harry wciągał go po kamiennych stopniach w Sali Śmierci, a Harry jeszcze nie opatrzył tej wersji swoim komentarzem. Nie był przygotowany na zobaczenie ich min, kiedy im powie, że musi być albo mordercą, albo ofiarą, że nie ma innego wyjścia...

- Szkoda, że się rozbiła - powiedziała cicho Hermiona, kręcąc głową.

- No... - zgodził się Ron. - Ale w końcu Sami-Wiecie-Kto też nigdy się nie dowie, co w niej było... Dokąd idziesz? - dodał z zaskoczoną i zawiedzioną miną, widząc, że Harry wstaje.

- Ee... do Hagrida. No wiesz, właśnie wrócił i obiecałem, że do niego przyjdę i powiem mu, jak się czujecie...

- Jak tak, to w porządku - westchnął Ron, patrząc tęsknie na kawałek jasnobłękitnego nieba za oknem. - Szkoda, że nie możemy iść z tobą...

- Pozdrów go od nas! - zawołała Hermiona, gdy Harry szedł już do drzwi. - I zapytaj, co się stało z... z jego małym przyjacielem!

Harry pomachał ręką na znak, że zrozumiał.

W zamku panował spokój, trochę dziwny nawet jak na niedzielę. Najwidoczniej wszyscy byli na błoniach, ciesząc się z końca egzaminów i z perspektywy spędzenia ostatnich dni roku szkolnego bez lekcji, powtórek i prac domowych. Harry szedł powoli korytarzami, zerkając przez okna. Widział postacie na miotłach, krążące nad stadionem quidditcha i paru uczniów pływających w jeziorze w towarzystwie wielkiej kałamarnicy.

Sam nie wiedział, czy pragnie czyjegoś towarzystwa, czy woli być sam. Kiedy był z innymi, miał ochotę być sam, a kiedy był sam, odczuwał chęć znalezienia się między ludźmi.

Pomyślał, że może warto by było naprawdę odwiedzić Hagrida; w końcu nie rozmawiał z nim dłużej od czasu jego powrotu.

Zszedł po marmurowych schodach do sali wejściowej, gdy z drzwi po prawej stronie, wiodących do pokoju wspólnego Slizgonów, wyłonił się Malfoy w towarzystwie Crabbe'a i Goyle'a. Harry znieruchomiał, to samo zrobili oni. Przez kilka chwil słychać było tylko okrzyki, śmiechy i pluski, napływające z błoń przez otwarte drzwi frontowe.

Malfoy rozejrzał się szybko. Harry wiedział, że sprawdza, czy w pobliżu nie ma któregoś z nauczycieli. Potem spojrzał na Harry'ego i powiedział cicho:

- Jesteś już martwy, Potter.

Harry uniósł brwi.

- To zabawne... chyba powinienem przestać chodzić...

Malfoy był wyraźnie wściekły, i to tak, jak nigdy przedtem. Harry poczuł coś w rodzaju satysfakcji na widok tej bladej, wykrzywionej złością twarzy.

- Zapłacisz za to - wycedził Malfoy prawie szeptem. - Już moja głowa w tym, żebyś zapłacił za to, co zrobiłeś mojemu ojcu.

- Ale się przestraszyłem - zakpił Harry. - Pewnie Lord Voldemort to tylko rozgrzewka w porównaniu z wami trzema... Co z wami? - dodał, widząc, że wzdrygnęli się na dźwięk tego nazwiska. - Przecież to kumpel twojego taty, Malfoy, nie? Chyba się go nie boisz?

- Uważasz się za wielkiego gieroja, Potter - rzekł Malfoy, podchodząc bliżej. - Ale poczekaj. Jeszcze cię dorwę. Nie pozwolę, by przez ciebie mój ojciec wylądował w Azkabanie...

- Myślałem, że już tam jest.

- Dementorzy opuścili Azkaban - powiedział cicho Malfoy. - Mój tata i inni wkrótce będą na wolności...

- No jasne. Ale przynajmniej wszyscy się dowiedzieli, jakie z nich szumowiny...

Malfoy sięgnął po różdżkę, ale Harry był szybszy. Wyciągnął swoją, gdy Malfoy dopiero wsuwał rękę do wewnętrznej kieszeni szaty.

- Potter!

Głos potoczył się echem po sali wejściowej. Snape pojawił się na szczycie schodów prowadzących do jego gabinetu w podziemiach. Na jego widok Harry poczuł potężną falę nienawiści, silniejszą od wszystkiego, co czuł do Malfoya. Bez względu na to, co powiedział mu Dumbledore, nigdy Snape'owi nie przebaczy... nigdy...

- Co ty robisz, Potter? - zapytał Snape zimnym jak zwykle głosem, podchodząc do nich.

- Namyślam się, jaką klątwę rzucić na Malfoya, panie profesorze - odrzekł Harry ze złością.

Snape utkwił w nim wzrok.

- Natychmiast odłóż tę różdżkę. Gryffindor traci dzie...

Spojrzał w stronę wielkich klepsydr wiszących na ścianie i uśmiechnął się szyderczo.

- Ach, widzę, że już nic nie można odjąć Gryffindorowi, bo nie ma żadnych punktów. W takim razie, Potter, będziemy musieli...

- Trochę ich dodać?

W drzwiach frontowych pojawiła się profesor McGonagall. W jednej ręce niosła torbę w kolorową kratę, w drugiej trzymała laskę, na której się wspierała, ale poza tym wyglądała całkiem nieźle.

- Profesor McGonagall! - Snape ruszył ku niej. - Jak widzę, opuściła już pani Szpital Świętego Munga!

- Tak, profesorze Snape - powiedziała McGonagall, zrzucając z ramion pelerynę podróżną. - Czuję się jak nowo narodzona. Wy dwaj... Crabbe... Goyle...

Wezwała ich do siebie władczym gestem. Podeszli, powłócząc nogami jak goryle i łypiąc na nią ze strachem.

- Weźcie to - rozkazała, rzucając torbę Crabbe'owi, a pelerynę Goyle'owi - i zanieście do mojego gabinetu.

Odwrócili się i powlekli w górę po marmurowych schodach.

- No więc uważam - powiedziała profesor McGonagall, patrząc na klepsydry - że Potter i jego przyjaciele powinni zarobić po pięćdziesiąt punktów dla swojego domu za ostrzeżenie wszystkich o powrocie Sam-Wiesz-Kogo. Zgadza. się pan ze mną, profesorze Snape?

- Co? - warknął Snape, choć Harry był pewny, że dobrze to usłyszał. - Och... no... chyba...

- A więc po pięćdziesiąt dla Pottera, obojga Weasleyów, Longbottoma i panny Granger -powiedziała profesor McGonagall i grad czerwonych rubinów opadł do dolnej połowy klepsydry Gryffindoru. - Aha... i pięćdziesiąt dla panny Lovegood... A pan, profesorze, chciał odjąć dziesięć za Pottera, więc...

Kilka rubinów uniosło się i spoczęło w górnej bańce klepsydry; w dolnej pozostał pokaźny stos.

- Potter, Malfoy, co z wami, chyba powinniście być na dworze w taki cudowny dzień! - dodała wesoło.

Harry'emu nie trzeba było tego powtarzać. Wcisnął różdżkę do wewnętrznej kieszeni i wyszedł z sali, nie spojrzawszy ani na Snape'a, ani na Malfoya.

Gorące promienie słońca ugodziły go prosto w twarz. Ruszył po trawiastym zboczu, kierując się w stronę chatki Hagrida. Porozkładani na trawie uczniowie, którzy opalali się, rozmawiali, czytali „Proroka Niedzielnego", zajadali słodycze, zwracali ku niemu głowy, gdy przechodził. Niektórzy pozdrawiali go głośno lub machali rękami, najwyraźniej pragnąc pokazać, że i oni, podobnie jak „Prorok", uznają go za bohatera. Harry nie odzywał się do nikogo. Nie miał pojęcia, ile wiedzą z tego, co wydarzyło się trzy dni temu, ale jak dotąd udawało mu się uniknąć wypytywań i wolał, aby tak pozostało.

Kiedy zapukał do drzwi chatki Hagrida, z początku pomyślał, że go nie ma, ale po chwili zza rogu wyskoczył Kieł i rzucił się na niego z takim entuzjazmem, że mało brakowało, by go przewrócił. Okazało się, że Hagrid sadzi w ogródku fasolkę szparagową.

- W porząsiu, Harry? - powitał go, promieniejąc radością, gdy Harry podszedł do płotu. - Chodź do środka, strzelimy sobie po kubeczku soku z mlecza...

- No i jak? - zapytał go, kiedy usiedli przy stole, każdy ze szklanką mrożonego soku. - U ciebie... no... wszystko już gra?

Po jego zatroskanym spojrzeniu Harry poznał, że nie chodzi mu o zdrowie fizyczne.

- Czuję się znakomicie - odpowiedział szybko, bo nie miał ochoty rozmawiać o tym, co Hagrid miał na myśli. - To gdzie ty się podziewałeś?

- Ano, znalazłem se kryjówkę w górach. W jaskini, tak jak kiedyś Syriusz, jak... - Urwał, odchrząknął głośno, spojrzał na Harry'ego i pociągnął długi łyk ze szklanki. - No, ale już jestem.

- Wyglądasz... no wiesz... znacznie lepiej - rzekł Harry, chcąc za wszelką cenę nie dopuścić do rozmowy o Syriuszu.

- Że co? - Hagrid podniósł swą potężną rękę i pomacał się po twarzy. - Ach... no tak, zgadza się. Graupek już tak nie rozrabia. Jak wróciłem, to się ucieszył, żebym tak skonał... To dobry chłopak, naprawdę... Tak sobie myślę, że trzeba by mu znaleźć jakaś... no wiesz... panienkę...

W normalnych warunkach Harry pewnie by próbował natychmiast wyperswadować Hagridowi ten pomysł. Perspektywa zamieszkania w puszczy jeszcze jednego olbrzyma, może nawet bardziej dzikiego i brutalnego od Graupa, bez wątpienia była bardzo niepokojąca, ale Harry'emu jakoś się nie chciało rozpoczynać na ten temat sporu. Znowu obudziło się w nim pragnienie samotności i wypił parę dużych łyków soku, opróżniając szklankę do połowy, żeby móc prędzej wyjść.

- Teraz to każdy jeden wie, żeś mówił prawdę, Harry - powiedział niespodziewanie Hagrid. - Chyba ci z tym lepij, co?

Harry wzruszył ramionami.

- Słuchaj, Harry... - Hagrid wychylił się do niego nad stołem - ja znałem Syriusza dłużej niż ty... Zginął w walce, a on tego zawsze chciał...

- Wcale nie chciał zginąć! - krzyknął ze złością Harry.

Hagrid pochylił wielką, kudłatą głowę.

- Pewnie masz rację - powiedział cicho. - Ale, Harry... to nie był taki gość, co by siedział w domu, kiedy inni idą się bić. On by sam ze sobą nie wytrzymał, jakby nie poszedł im pomóc...

Harry zerwał się.

- Muszę już iść, muszę odwiedzić Rona i Hermionę w skrzydle szpitalnym - powiedział automatycznie.

- Och - mruknął Hagrid i nagle zmarkotniał. - Och... w porząsiu, Harry... No to trzymaj się... i wpadnij, jak będziesz miał chwi...

- Jasne...

Harry wyszedł szybko, zanim Hagrid dokończył zdanie. Znowu znalazł się na zalanych słońcem błoniach. I znowu koledzy wołali do niego, gdy przechodził. Zaniknął oczy, marząc, żeby wszyscy nagle znikli, żeby kiedy je otworzy, okazało się, że jest sam...

Zaledwie kilka dni temu, zanim skończyły się egzaminy i zanim ujrzał wizję, którą Voldemort zaszczepił mu w mózgu, oddałby prawie wszystko za to, by świat czarodziejów przekonał się, że mówi prawdę i aby wszyscy uwierzyli, że Voldemort powrócił, a on, Harry, nie jest ani kłamcą, ani obłąkanym dziwakiem. A teraz...

Poszedł nad jezioro, usiadł na brzegu, za gęstymi krzakami, i wpatrzył się w rozmigotaną powierzchnię wody, pogrążony w myślach.

Może chciał być sam dlatego, że od czasu rozmowy z Dumbledore'em czuł się jakoś dziwnie wyobcowany. Jakaś niewidzialna bariera odgrodziła go od reszty świata. Był - od samego początku - napiętnowany, tylko że nigdy dotąd nie zdawał sobie z tego sprawy...

A jednak, kiedy tak siedział na brzegu jeziora, przygnieciony straszliwym żalem, wciąż udręczony rozpaczą po utracie Syriusza, nie odczuwał jakiegoś większego lęku. Wokoło ludzie śmiali się i cieszyli słonecznym dniem, i chociaż czuł, że są mu tak dalecy, jakby należał do innego gatunku, wciąż bardzo trudno było mu uwierzyć, że w jego życiu musi w końcu dojść do morderstwa...

Siedział tam długo, patrząc na wodę i starając się nie myśleć o swoim ojcu chrzestnym, starając się zapomnieć, że tam, po drugiej stronie jeziora, Syriusz upadł, próbując przegonić setkę dementorów...

Słońce zaszło, zanim sobie uświadomił, że zrobiło mu się zimno. Wstał i wrócił do zamku, ocierając twarz rękawem.

Trzy dni przed końcem roku szkolnego Ron i Hermiona opuścili skrzydło szpitalne całkowicie wyleczeni. Hermiona dawała do zrozumienia, że chciałaby pomówić o Syriuszu, ale Ron sykał za każdym razem, gdy wymieniała jego imię. Harry nie był pewny, czy już jest gotów na tę rozmowę, czy jeszcze nie; zależało to od jego nastroju, a ten wciąż się zmieniał. Wiedział tylko jedno: choć teraz czuł się tak nieszczęśliwy, na pewno będzie mu bardzo brakowało Hogwartu za te kilka dni, kiedy znowu znajdzie się w domu numer cztery przy Privet Drive. I wcale mu nie pomagało, że teraz wiedział już, dlaczego musi tam wracać każdego lata. Przeciwnie, bał się tego powrotu bardziej niż zwykle.

Profesor Umbridge opuściła Hogwart na dzień przed końcem roku szkolnego. Wyśliznęła się ze skrzydła szpitalnego podczas kolacji, zapewne licząc, że nikt nie zauważy jej odjazdu, ale, na swoje nieszczęście, spotkała po drodze Irytka, który dostrzegł ostatnią szansę wypełnienia polecenia Freda i zaczął ją z uciechą ścigać, okładając na zmianę laską i skarpetką pełną kredy. Sala wejściowa natychmiast wypełniła się uczniami, którzy przyglądali się tej rejteradzie z wielką uciechą, a opiekunowie domów jakoś nie bardzo starali się ich uspokoić. Profesor McGonagall opadła na krzesło przy stole nauczycielskim po paru niemrawych próbach interwencji i wyraziła głośno żal, że nie może sama wziąć udziału w ogólnej radości, bo Irytek pożyczył sobie jej laskę.

Nadszedł ostatni wieczór przed końcem roku szkolnego. Większość uczniów skończyła już pakowanie kufrów i schodziła na dół, na pożegnalną ucztę, ale Harry nawet nie zaczął się pakować.

- Zrobisz to jutro! - poradził mu Ron, czekając na niego w drzwiach sypialni. - Chodź, konam z głodu...

- To nie potrwa długo... Idź, zaraz przyjdę...

Ale gdy za Ronem zamknęły się drzwi, nie ruszył się z miejsca. Nie miał najmniejszej ochoty uczestniczyć w uczcie pożegnalnej. Bał się, że Dumbledore powie coś o nim podczas swego przemówienia. Na pewno wspomni o powrocie Voldemorta; w końcu mówił już o tym w zeszłym roku...

Wyjął z dna kufra pomięte ubrania, żeby zrobić miejsce na świeżo wyprane, równo złożone szaty, i zauważył byle jak zapakowaną paczuszkę w samym rogu. Nie miał pojęcia, skąd się tu wzięła. Pochylił się i wyciągnął ją spod adidasów.

Gdy tylko przyjrzał się jej bliżej, natychmiast sobie przypomniał. To Syriusz dał mu ją w drzwiach domu przy Grimmauld Place. „Użyj tego, jak będziesz mnie potrzebował, dobrze?"

Usiadł na łóżku i rozwinął papier. W środku było małe, prostokątne lusterko. Wyglądało na stare, a na pewno było bardzo zabrudzone. Podniósł je na wysokość twarzy i ujrzał w nim własne odbicie.

Odwrócił lusterko. Z tyłu Syriusz nabazgrał kilkanaście słów:

To jedno z dwukierunkowych lusterek Ja mam drugie Jak będziesz chciał ze mną porozmawiać, wypowiedz do niego moje imię. pojawisz się w moim lusterku, a ja w swoim. Ja i James używaliśmy ich, kiedy mieliśmy oddzielne szlabany

Harry'emu zaczęło szybko bić serce. Przypomniał sobie, jak przed czterema laty ujrzał w Zwierciadle Ain Eingarp swoich zmarłych rodziców. Na pewno uda mu się teraz porozmawiać z Syriuszem, był tego pewny...

Rozejrzał się, żeby się upewnić, że w dormitorium nikogo już nie ma. Spojrzał znowu w lusterko, uniósł je drżącymi rękami na wysokość twarzy i powiedział głośno i wyraźnie:

- Syriusz.

Jego oddech zamglił powierzchnię lusterka. Przysunął je jeszcze bliżej, czując narastające podniecenie, ale oczy, które mrugały do niego z zamglonego szkła, były na pewno jego własnymi oczami.

Wytarł powierzchnię i znowu powiedział głośno, tak że każda sylaba zabrzmiała wyraźnie w pustym pokoju:

- Syriusz Black!

Nic się nie wydarzyło. Ta twarz z zawiedzioną miną, spoglądająca z lusterka, była na pewno jego własną twarzą...

Syriusz nie miał przy sobie drugiego lusterka, kiedy znalazł się za zasłoną, powiedział cichy głosik w jego głowie. Dlatego to nie działa...

Siedział przez chwilę nieruchomo, po czym cisnął lusterko z powrotem do kufra, tak że rozbiło się o dno. Przez jedną całą wspaniałą minutę był przekonany, że zobaczy Syriusza, że z nim porozmawia...

Rozczarowanie piekło go w gardle. Wstał i zaczął wrzucać jak popadnie swoje rzeczy do kufra, na szczątki lusterka...

I wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl... Pomysł lepszy od tego lusterka... Wspanialszy, o wiele ważniejszy... Dlaczego do tej pory o tym nie pomyślał? Dlaczego się nie zapytał?

Wypadł z dormitorium i zbiegł po spiralnych schodach, obijając się o ściany, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Przeleciał przez pusty pokój wspólny, przeskoczył przez dziurę pod portretem i popędził korytarzem, nie zwracając uwagi na Grubą Damę, która zawołała za nim:

- Uczta jeszcze się nie zaczęła, na pewno zdążysz!

Ale Harry nie miał zamiaru biec do Wielkiej Sali...

Jak to się dzieje, że kiedy duchy nie są potrzebne, to wszędzie ich pełno, a teraz...

Zbiegł po schodach i pomknął korytarzami, nie spotykając nikogo, żywego czy umarłego. Wszyscy byli już w Wielkiej Sali. Przy klasie zaklęć zatrzymał się, zadyszany, i pomyślał ze smutkiem, że będzie musiał poczekać aż do końca uczty.

Ale w chwili, gdy już porzucił nadzieję, zobaczył go - przezroczystą postać przesuwającą się w końcu korytarza.

- Hej! Hej, Nick! NICK!

Duch wytknął z powrotem głowę ze ściany, ukazując ozdobiony okazałymi piórami kapelusz i chwiejącą się głowę Sir Nicholasa de Mimsy-Porpingtona.

- Dobry wieczór - powiedział, wydobywając resztę swego przezroczystego ciała z kamiennej ściany i uśmiechając się do Harry'ego. - Widzę, że nie jestem jedyną osobą, która się spóźnia. Chociaż... - westchnął - w nieco innym sensie, rzecz jasna...

- Nick, czy mogę cię o coś zapytać?

Bezgłowy Nick zrobił bardzo dziwną minę, wcisnął palec za sztywną kryzę na karku i nieco podciągnął głowę, najwyraźniej po to, by zyskać czas do namysłu. Dał spokój dopiero wtedy, gdy nadcięta szyja prawie się rozchyliła.

- Ee... teraz, Harry? - zapytał z nieco kwaśną miną. - Nie możesz z tym poczekać do końca uczty?

- Nie... Nick... bardzo cię proszę. Muszę z tobą porozmawiać. Może wejdziemy tu?

Otworzył drzwi najbliższej klasy. Prawie Bezgłowy Nick westchnął.

- No cóż, dobrze - powiedział zrezygnowanym tonem. - Nie będę udawał, że się tego nie spodziewałem.

Harry przytrzymał drzwi, ale duch wolał przeniknąć przez ścianę.

- Czego się spodziewałeś? - zapytał Harry, kiedy zamknął drzwi.

- Że mnie znajdziesz - odpowiedział Nick, szybując ku oknu i spoglądając na ciemniejące błonia. - To się zdarza... czasami... kiedy ktoś cierpi... z powodu czyjejeś... straty.

- No cóż - rzekł Harry, nie dając się zbić z tropu. - Miałeś rację. Chciałem cię znaleźć.

Nick milczał.

- Chodzi o to... - zaczął Harry, czując się bardziej zakłopotany, niż się tego spodziewał - że... umarłeś... ale wciąż tu jesteś, prawda?

Nick westchnął, nadal wpatrując się w błonia.

- Zgadza się, prawda? - nalegał Harry. - Umarłeś, a jednak z tobą rozmawiam... Możesz sobie chodzić po Hogwarcie i w ogóle, prawda?

- Tak - odrzekł cicho Prawie Bezgłowy Nick. - Chodzę i rozmawiam, tak.

- Więc wróciłeś, prawda? Ludzie mogą stamtąd wrócić? Jako duchy. Nie muszą zniknąć na zawsze. Zgadza się? - zapytał niecierpliwie, bo Nick milczał.

Prawie Bezgłowy Nick zawahał się, po czym powiedział:

- Nie każdy może wrócić jako duch.

- To znaczy? - zapytał szybko Harry.

- Tylko... tylko czarodzieje.

- Och... - Harry poczuł taką ulgę, że prawie się roześmiał. - Wspaniale, bo osoba, o której mówię, jest czarodziejem. Więc może wrócić, tak?

Nick odwrócił się od okna i spojrzał posępnie na Harry'ego.

- On nie wróci.

- Kto?

- Syriusz Black.

- Ale ty wróciłeś! - żachnął się Harry. - Wróciłeś... umarłeś, ale nie zniknąłeś...

- Czarodzieje mogą pozostawić po sobie na ziemi ślad, mogą błąkać się jako duchy po miejscach, po których chodzili za życia - powiedział ponuro Nick - ale niewielu obiera tę drogę.

- Dlaczego? Zresztą... to nie ma znaczenia... Syriusz na pewno nie będzie się przejmował tym, że to jest niezwykle. Wróci, wiem, że wróci!

Tak mocno w to uwierzył, że odwrócił się i spojrzał na drzwi, przez ułamek sekundy pewny, że zaraz zobaczy Syriusza, perłowobiałego i przezroczystego, ale idącego z uśmiechem ku niemu.

- On nie wróci - powtórzył cicho Nick. - On pójdzie dalej.

- Co to znaczy: „pójdzie dalej”? - zapytał szybko Harry. - Dokąd? Posłuchaj... co się dzieje, jak ktoś umiera? Dokąd się idzie? Dlaczego nie każdy wraca? Dlaczego tu się nie roi od duchów? Dlaczego...

- Nie mogę ci odpowiedzieć.

- Jesteś umarły, prawda? - zapytał ze złością Harry. - Kto może lepiej od ciebie odpowiedzieć na te pytania?

- Lękałem się śmierci - powiedział Nick. - Wolałem pozostać na progu. Czasami się zastanawiam, czy dobrze zrobiłem... Bo to nie jest ani tu, ani tam... Tak, nie jestem ani tam, ani tu... - Zachichotał cicho. - Nie wiem nic o tajemnicach śmierci, Harry, bo wybrałem lichą imitację życia. Sądzę, że uczeni czarodzieje na pewno studiują tę sprawę w Departamencie Tajemnic...

- Nie wspominaj przy mnie tego miejsca!

- Przykro mi, że nie mogłem ci bardziej pomóc - powiedział łagodnie Nick. - No cóż... wybacz mi... ale uczta, sam rozumiesz...

I odszedł, a Harry pozostał sam w pustej klasie, gapiąc się na ścianę, w której zniknął Nick.

Poczuł się teraz tak, jakby wraz z utratą nadziei ujrzenia ojca chrzestnego i porozmawiania z nim utracił go ponownie. Zrozpaczony, powlókł się z powrotem przez opustoszały zamek, zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze poczuje radość.

Skręcił w korytarz wiodący do portretu Grubej Damy, kiedy dostrzegł, że ktoś przypina ogłoszenie do wiszącej na ścianie tablicy. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by rozpoznać Lunę. Nie było gdzie się schować, Luna na pewno usłyszała już jego kroki, a zresztą i tak nie był w stanie wykrzesać z siebie choć tyle energii, by się przed kimś ukryć.

- Cześć - mruknęła Luna, odchodząc od tablicy i zerkając na niego.

- Co się stało, że nie jesteś na uczcie?

- A bo straciłam prawie wszystko, co miałam - odpowiedziała pogodnie Luna. - Pozabierali mi rzeczy i gdzieś pochowali. Ale to ostatni wieczór i muszę je odzyskać, więc rozwieszam ogłoszenia.

Machnęła ręką w stronę tablicy, do której przypięła listę brakujących książek i ubrań z prośbą o ich zwrot.

W Harrym obudziło się jakieś dziwne uczucie, zupełnie różne od gniewu i rozpaczy, które go przepełniały od śmierci Syriusza. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że zrobiło mu się jej żal.

- Dlaczego pochowali twoje rzeczy? - zapytał, marszcząc brwi.

- Och... cóż... - wzruszyła ramionami. - No wiesz, chyba uważają mnie za dziwaczkę. Niektórzy nazywają mnie „Pomyloną" Lovegood.

Harry spojrzał na nią i dotkliwie odczuł to coś nowego: współczucie.

- To nie powód, by zabierali ci rzeczy - powiedział sucho. - Chcesz, żebym ci pomógł je odnaleźć?

- Och, nie - odpowiedziała, uśmiechając się do niego. - W końcu mi oddadzą, zawsze tak jest. Tylko że chciałam się już dziś spakować. Ale... dlaczego ty nie jesteś na uczcie?

Harry wzruszył ramionami.

- Po prostu nie miałem ochoty.

- No tak - powiedziała Luna, przyglądając mu się swoimi dziwnymi, tajemniczymi, wyłupiastymi oczami. - Chyba to rozumiem. Ten mężczyzna, którego zabili śmierciożercy, był twoim ojcem chrzestnym, prawda? Ginny mi powiedziała.

Harry kiwnął głową, ale z nieznanych sobie powodów stwierdził nagle, że wcale mu nie przeszkadza to, że Luna mówi o Syriuszu. Przypomniał sobie, że i ona widzi testrale.

- Czy ty... - zaczął - to znaczy kto... Czy umarł ci ktoś bliski?

- Tak. Moja matka. Wiesz, była naprawdę niezwykłą czarownicą, ale lubiła eksperymentować i nie wyszło jej jedno z zaklęć. Miałam wtedy dziewięć lat.

- Przykro mi - wymamrotał Harry.

- Tak, to było straszne - przyznała dość obojętnie Luna. - Od czasu do czasu wciąż mi jest smutno z tego powodu. Ale mam nadal tatę. No i nie jest tak, że już jej nigdy nie zobaczę, prawda?

- Ee... a nie jest tak? - wybąkał niepewnie Harry.

Potrząsnęła stanowczo głową.

- Och, daj spokój. Przecież ich słyszałeś, tam, za zasłoną?

- Myślisz o...

- W tej sali z kamiennym łukiem. Ich tylko nie było widać, ale ich słyszałeś.

Popatrzyli na siebie. Luna uśmiechała się lekko. Harry nie wiedział, co powiedzieć, co myśleć. Luna wierzyła w tak dziwaczne rzeczy... ale przecież on też słyszał jakieś głosy za tą kurtyną...

- Na pewno nie chcesz, żebym ci pomógł poszukać twoich rzeczy?

- Nie, dziękuję. Nie, chyba po prostu zejdę na dół, zjem trochę puddingu i poczekam, aż wszystko się znajdzie... Zawsze tak jest... No to miłych wakacji, Harry.

- Dzięki... i tobie też.

I odeszła, a Harry, patrząc za nią, poczuł, że ów straszny ciężar w jego żołądku jakby się trochę zmniejszył.

* * *

Podróż Ekspresem Hogwart obfitowała w wydarzenia. Najpierw Malfoy, Crabbe i Goyle, najwyraźniej czekając przez cały tydzień na sytuację, w której nie przyłapie ich żaden nauczyciel, osaczyli Harry'ego na korytarzu, gdy wracał z toalety. Napaść mogłaby im się udać, gdyby nie to, że nieświadomie wybrali miejsce tuż przy przedziale pełnym członków GD, którzy jak jeden mąż ruszyli na pomoc Harry'emu. Kiedy Ernie Macmillan, Hanna Abbott, Susan Bones, Justyn Finch-Fletchley, Anthony Goldstein i Terry Boot skończyli wreszcie miotać najróżniejsze zaklęcia i uroki, których ich nauczył Harry, Malfoy, Crabbe i Goyle przypominali trzy olbrzymie ślimaki bez skorup wciśnięte w szaty Hogwartu. Harry, Ernie i Justyn wrzucili ich na półkę bagażową i zostawili tam, by sobie poociekali.

- Nie mogę się doczekać miny matki Malfoya, kiedy jej synek wysiądzie z pociągu - powiedział z satysfakcją Ernie, obserwując, jak Malfoy skręca się na półce.

Ernie nie zapomniał mu dotąd tego, że gdy przez krótki czas był członkiem Brygady Inkwizycyjnej, w podły sposób odbierał Puchonom punkty.

- Za to mamusia Goyle'a będzie uradowana - rzekł Ron, który przyszedł zobaczyć, co się dzieje. - Jej synek wygląda teraz o niebo lepiej... Harry, wózek z żarciem właśnie się pojawił, więc gdybyś chciał coś kupić...

Harry podziękował swym obrońcom i wrócił z Ronem do przedziału, gdzie kupił stos kociołkowych pieguskow i dyniowych paszteciков. Hermiona znowu czytała „Proroka Codziennego", Ginny rozwiązywała quiz w „Żonglerze", a Neville głaskał mimbulusa, który przez rok bardzo wyrósł i dziwnie zawodził, kiedy się go dotknęło.

Harry i Ron prawie przez całą podróż grali w szachy czarodziejów, a Hermiona odczytywała im co ciekawsze kawałki z „Proroka". Pełno w nim było artykułów z poradami, jak pozbyć się dementorów, i z opisami działań podejmowanych przez ministerstwo w celu schwytania śmierciożerców, a także histerycznych listów, których autorzy twierdzili, że dopiero co widzieli Lorda Voldemorta przechodzącego obok ich domu...

- Jeszcze się tak naprawdę nie zaczęło - westchnęła posępnie Hermiona, składając gazetę - ale długo nie będziemy czekać...

- Hej, Harry! - Ron wskazał na szybę dzielącą ich od korytarza.

Koło ich przedziału przechodziła Cho, jak zwykle w towarzystwie Marietty Edgecombe, która miała na głowie kominiarkę zasłaniającą twarz. Spojrzenia Harry'ego i

Cho spotkały się na chwilę. Cho spłonęła rumieńcem, ale się nie zatrzymała. Harry spojrzał z powrotem na szachownicę i zobaczył, jak skoczek Rona przegania z pola jego piona.

- To... co jest z wami? - zapytał cicho Ron.

- Nic - odrzekł Harry zgodnie z prawdą.

- A ja... ee... słyszałam, że ona teraz chodzi z kimś innym - powiedziała niepewnym tonem Hermiona.

Harry ze zdziwieniem stwierdził, że ta informacja w ogóle nie zrobiła na nim wrażenia. Chęć zaimponowania Cho należała do przeszłości, która jakby już go nie dotyczyła. To samo czuł w odniesieniu do wielu innych rzeczy, na których tak bardzo mu zależało przed śmiercią Syriusza. Tydzień, który minął od chwili, gdy po raz ostatni widział Syriusza, wydawał się bardzo długi: rozciągał się między dwoma światami - tym z Syriuszem, i tym bez niego.

- Dobrze, że masz to już z głowy - powiedział Ron z przekonaniem. - Ona jest ładna i w ogóle, ale ty byś chyba wolał kogoś weselszego, co?

- Pewnie z kimś innym jest bardzo wesoła - mruknął Harry, wzruszając ramionami.

- A z kim ona teraz chodzi? - zapytał Ron Hermionę, ale odpowiedziała mu Ginny.

- Z Michaelem Cornerem.

- Z Michaelem? Ale... - Ron obrócił się, by na nią spojrzeć. - Przecież ty z nim chodzisz?

- Już nie - odpowiedziała stanowczo Ginny. - Nie spodobało mu się, że Gryfoni wygrali z Krukonami w quidditcha, no i zaczął stroić fochy, więc go rzuciłam, a on zaraz poleciał pocieszać Cho.

Podrapała bezmyślnie nos końcem pióra, odwróciła „Żonglera" do góry nogami i zaczęła zaznaczać odpowiedzi. Ron był wyraźnie zadowolony.

- Ja tam zawsze uważałem go za kretyna - powiedział, przesuwając swoją królową w stronę drżącej ze strachu wieży Harry'ego. - Dobrze zrobiłaś. Tylko następnym razem wybierz sobie kogoś... lepszego.

I rzucił na Harry'ego dziwne, ukradkowe spojrzenie.

- Już wybrałam. Deana Thomasa. Uważasz, że jest lepszy? - zapytała Ginny.

- CO?! - krzyknął Ron, przewracając szachownicę.

Krzywołap skoczył za pionkami, a Hedwiga i Świstoświnka zaczęły gniewnie ćwierkać i pohukiwać nad ich głowami.

Kiedy pociąg zaczął zwalniać, zbliżając się do King's Cross, Harry pomyślał, że chyba jeszcze nigdy nie było mu tak żal go opuszczać. Zastanawiał się nawet, co by się stało,

gdyby po prostu nie wysiadł i uparcie siedział w przedziale aż do pierwszego września. Ale gdy pociąg wreszcie stanął, zdjął z półki klatkę z Hedwigą i jak zwykle przygotował się do wyciągnięcia kufra na peron.

Konduktor dał im znać, że droga jest wolna, i przeszli przez magiczną barierkę między peronami dziewiątym i dziesiątym. Po drugiej stronie czekała ich jednak niespodzianka: grupa ludzi, których Harry absolutnie się tu nie spodziewał.

Był tam więc Szalonooki Moody, wyglądający równie groźnie w meloniku nasuniętym na magiczne oko, jak bez niego, z sękatymi dłońmi zaciśniętymi na długiej lasce, w obszernej pelerynie podróżnej. Tuż za nim stała Tonks, której różowe jak poziomkowa guma do żucia włosy połyskiwały w promieniach słońca sączącego się przez brudny szklany sufit dworca; miała na sobie dżinsy z mnóstwem łat i jaskrawofioletową koszulkę z napisem FATALNE JĘDZE. Obok niej stał Lupin, z bladą twarzą i posiwiałymi włosami, w długim, wyświechtanym płaszczu przykrywającym wystrzępiony sweter i spodnie. Na przedzie stali państwo Weasleyowie w eleganckich mugolskich strojach, a także Fred i George w nowiusieńkich kurtkach z jakiegoś trupiozielonego łuskowatego materiału.

- Ron, Ginny! - zawołała pani Weasley, podbiegając do nich i łapiąc ich w objęcia. - Och, i ty, Harry, mój kochaneczku... jak się czujesz?

- Świetnie - skłamał Harry, kiedy przytuliła go mocno do siebie.

Nad jej ramieniem zobaczył, jak Ron wytrzeszcza oczy na strój swoich braci.

- A niby co to ma być? - zapytał, wskazując na ich kurtki.

- Najlepsza smocza skóra, braciszku - odrzekł Fred, lekko podciągając suwak. - Interes kwitnie, więc uznaliśmy, że musimy trochę o siebie zadbać.

- Czołem, Harry - powiedział Lupin, kiedy pani Weasley wypuściła Harry'ego z objęć i zaczęła ściskać Hermionę.

- Cześć. Nie spodziewałem się... Co wy wszyscy tu robicie?

- Cóż - odpowiedział Lupin z lekkim uśmiechem - pomyśleliśmy sobie, że dobrze by było uciąć pogawędkę z twoją ciotką i wujem, zanim zabiorą cię do domu.

- Nie wiem, czy to najlepszy pomysł...

- Och, sądzę, że bardzo dobry - warknął Moody, który przykuśtykał bliżej. - To chyba oni, tak, Potter?

I wskazał kciukiem przez ramię; jego magiczne oko najwyraźniej zerkało do tyłu przez głowę i melonik. Harry przechylił się nieco w lewo, by zobaczyć, na co wskazuje Moody. I rzeczywiście stało tam troje Dursleyów, najwyraźniej przerażonych widokiem komitetu powitalnego Harry'ego.

- Ach, Harry! - zawołał pan Weasley, odwracając się od rodziców Hermiony, których przed chwilą witał entuzjastycznie, a którzy teraz ściskali już swą córkę. - No to co... idziemy?

- Tak sądzę, Arturze - odrzekł Moody.

On i pan Weasley ruszyli w kierunku Dursleyów, prowadząc ku nim resztę tego całego dziwacznego towarzystwa. Dursleyowie stali jak wrośnięci w kamienną posadzkę. Hermiona oswobodziła się łagodnie z objęć matki i przyłączyła się do pozostałych.

- Dobry wieczór - zagadnął uprzejmie pan Weasley wuja Vernona, zatrzymując się przed nim. - Może mnie pan pamięta... jestem Artur Weasley.

Dwa lata temu pan Weasley zdemolował osobiście salon Dursleyów, więc Harry byłby zaskoczony, gdyby wuj Vernon go nie pamiętał. I rzeczywiście, twarz wuja Vernona pokryła się brązowofioletowym rumieńcem, gdy łypnął na pana Weasleya, ale nic nie odpowiedział, po części zapewne dlatego, że Dursleyowie byli w zdecydowanej mniejszości. Ciotka Petunia sprawiała wrażenie jednocześnie wystraszonej i zakłopotanej. Rozglądała się nerwowo, jakby się bała, że ktoś znajomy zobaczy ją w takim towarzystwie. Natomiast Dudley wyraźnie próbował sprawiać wrażenie osoby o wiele mniejszej i w ogóle nic nie znaczącej, co mu się całkowicie nie udawało.

- Pomyśleliśmy sobie, że zamienimy z państwem parę słów na temat Harry'ego - powiedział pan Weasley, wciąż się uśmiechając.

- Tak - mruknął ochryple Moody. - O tym, jak jest traktowany, gdy przebywa w państwa domu.

Wuj Vernon najeżył wąsy. Prawdopodobnie na widok melonika odniósł całkowicie mylne wrażenie, że ma do czynienia z pokrewną duszą, więc zwrócił się do Moody'ego.

- Nie sądzę, by mogło pana obchodzić, co się dzieje w moim domu...

- Zdaje mi się, że to, czego pan nie sądzi, mogłoby zapełnić kilka tomów, panie Dursley - warknął Moody.

- W każdym razie nie w tym rzecz - wtrąciła się Tonks, której różowe włosy wyraźnie obrażały ciotkę Petunię o wiele bardziej niż cała reszta razem wzięta, bo przymknęła oczy, aby na nie nie patrzeć. - Chodzi o to, że jeśli się dowiemy o maltretowaniu Harry'ego...

- ...a proszę się nie łudzić, na pewno się o tym dowiemy - dodał uprzejmie Lupin.

- Tak - potwierdził pan Weasley - nawet jakby państwo nie pozwolili Harry'emu skorzystać z felietonu...

- Telefonu - szepnęła Hermiona.

- Zatem jeśli dotrze do nas sygnał, że Potter jest źle traktowany, to będziecie mieli z nami do czynienia - rzekł Moody.

Wuj Vernon nadął się złowieszczo. Poczucie osobistej obrazy przytłumiło w nim strach przed tą bandą dziwaków.

- Grozi mi pan? - zapytał tak głośno, że przechodzący obok nich pasażerowie zwrócili ku nim głowy.

- Tak, grożę - odpowiedział Szalonooki, sprawiając wrażenie zadowolonego, że do wuja Vernona tak szybko to dotarło.

- Czy ja wyglądam na człowieka, którego można zastraszyć? - warknął wuj Vernon.

- No... - mruknął Moody i odsunął melonik do tyłu, odsłaniając swe wirujące magiczne oko, a wuj Vernon odskoczył do tyłu i wpadł na wózek z bagażami. - Tak, muszę wyznać, że na kogoś takiego mi pan wygląda, panie Dursley.

Odwrócił się do Harry'ego.

- No więc, Potter, daj znać, jak będziesz nas potrzebował. Jeśli przez trzy dni z rzędu nie otrzymamy od ciebie żadnej wiadomości, to kogoś tam wyślemy...

Ciotka Petunia załkała żałośnie. Było oczywiste, że myśli o tym, co by powiedzieli sąsiedzi, gdyby zobaczyli TAKICH ludzi, zmierzających ścieżką wiodącą do jej domu.

- To na razie, Potter - powiedział Moody, ściskając Harry'ego za ramię swą sękatą ręką.

- Uważaj na siebie, Harry - powiedział cicho Lupin. - Będziemy w kontakcie.

- Harry, zabierzemy cię od nich, jak tylko będziemy mogli - szepnęła pani Weasley, jeszcze raz tuląc go do siebie.

- Niedługo się zobaczymy, stary - powiedział z niepokojem Ron, ściskając mu rękę.

- Naprawdę niedługo - dodała z przejęciem Hermio-na. - Obiecujemy.

Harry kiwnął głową. Jakoś nie potrafił znaleźć słów, by im powiedzieć, ile to dla niego znaczy, że ma ich wszystkich po swojej stronie. Uśmiechnął się więc, podniósł rękę w geście pożegnania, odwrócił się i ruszył ku zalanej słońcem ulicy, a za nim pospieszyli wuj Vernon, ciotka Petunia i Dudley, z trudem dotrzymując mu kroku.

KILKA SŁÓW OD TŁUMACZA, CZYLI KRÓTKI PORADNIK DLA DOCIEKLIWYCH

Książki o Harrym Potterze zostały przełożone z języka angielskiego, a ich akcja toczy się głównie w Anglii (albo w Szkocji). Dlatego występują w nich pewne słowa, a zwłaszcza nazwy własne, które niewiele znaczą dla tych, którzy nie przykładają się do nauki języka angielskiego (tych jest, na szczęście, coraz mniej), albo dla tych, którzy nie uczyli się łaciny i greki (tych jest, niestety, coraz więcej). Dla nich, a także dla wszystkich dociekliwych, zamieszczam poniżej krótki słowniczek nazw i terminów, które z takiego czy innego powodu zostały przetłumaczone tak a nie inaczej.

Nie zamieszczam tu wyjaśnień, które podałem w poprzednich czterech tomach cyklu o Harrym Potterze. Po pierwsze dlatego, że słownik bardzo by się rozrósł, a po drugie dlatego, że trudno sobie wyobrazić, by ktoś mógł przeczytać tom piąty i nie sięgnąć po cztery poprzednie, jeśli ich jeszcze nie przeczytał (podobno są tacy, ale ja ich nie znam).

I jeszcze jedna uwaga dla bardzo dociekliwych potterologów i potteromaniaków, którzy przeczytali już oryginał angielski i zechcą porównywać go z przekładem. W tekście polskim mogą natrafić na pewne różnice. Większość z nich wynika z samej natury przekładu, czyli dostosowania szyku zdań, wyrażeń i zwrotów do wymogów języka polskiego. Są jednak i takie, które wynikły z drobnych poprawek poczynionych przez samą autorkę już po wydaniu oryginału angielskiego.

BAHANKI - ang. Doxies (czytaj: doksiz), podobne do chochlików stworzenia magiczne, podobne do maleńkich, owłosionych ludzików z dwoma parami rąk i skrzydełkami. Składają jaja, z których po dwóch, trzech tygodniach wylęgają się młode. Mają dwa rzędy ostrych, jadowitych zębów (w razie ugryzienia trzeba zażyć antidotum), nic więc dziwnego, że czarodzieje uważają je za szkodniki. Do ich zwalczania, czyli debahanizacji (ang. de-Doxying, por. poi. „deratyzacja"), używa się Bahanocydu, najlepiej w spreju. Polska nazwa została odnaleziona przez Joannę Lipińską, potterologa i znawcę demonologii; według niej nazwa ta nawiązuje do „bachanalii", jako że polskie bahanki cechuje skłonność do nieokiełznanych zabaw, podczas których niszczą wszystko, co popadnie.

BOMBONIERKI LESERA - ang. Skwing Snackboxes (czytaj: skajwin snekboksyz), od to skive - „migać się", „urwać się (z czegoś)" snackbox - „pudełko z przekąskami, smakołykami", zestaw wynalezionych przez Freda i George'a Weasleyów magicznych cukierków, których zjedzenie powoduje różne objawy chorobowe umożliwiające urwanie się z lekcji. Nazwy różnych cukierków zostały w polskim przekładzie trochę zmienione i

ujednolicone, zgodnie z tradycją polskich nazw słodyczy: Puking Pastilles - „Wymiotki Pomarańczowe” (połówka powodująca wymioty ma kolor pomarańczowy), Fainting Fancies - „Omdlejki Grylażowe” (tłumaczowi najbardziej z omdlewaniem kojarzą się czekoladki grylażowe) i Nose-blood Nougat - „Krwotoczki Truskawkowe” (chyba każdy się zgodzi, że krwotok powinny wywoływać cukierki truskawkowe!). Być może dziś nie używa się już w szkołach słowa „leser” (od niem. lassiger), oznaczającego „lenia”, „nieroba”, „migacza”, ale za moich czasów nauczyciele używali go nawet zbyt często.

CHRAPAK KRĘTOROGI - ang. Crumple-Horned Snorkack (czytaj: kramplhornd). Jedno z fantastycznych stworzeń, których istnienia pragnie dowieść „Żongler” (podobnie jak niektóre mugolskie pisma pragną dowieść istnienia yeti). „Krętorogi” to dosłowne tłumaczenie crumple-horned, natomiast Snorkack pochodzi zapewne od to snore - „chrapać”. Niektórzy twierdzą, że podobne stworzenia występują w uroczych książeczkach Dr. Seussa. Sami sprawdźcie!

COLLOPORTUS - (czytaj: kolloportus), ponieważ w naszych szkołach nie uczą już łaciny, warto się dowiedzieć, że colligo to „wiązać”, „spajać”, „powstrzymywać”, aporta - „drzwi”, „brama”, więc jest to bardzo odpowiednie zaklęcie zamknięcia drzwi tak, by powstrzymać ścigających nas w lochach śmierciożerców.

GLĘDATEK NIEPOSPOLITY - ang. Blibbering Humdinger (czytaj: bliberin hamdiner). Drugie z fantastycznych stworzeń, których istnienia próbuje dowieść „Żongler”. Humdinger to ktoś lub coś niezwykłego, kapitalnego, natomiast Blibbering wydaje się skrzyżowaniem blabbering i gibbering - oba te słowa oznaczają gadanie głupstw.

KAFLE, TŁUCZKI I ZNICZ - są to, jak wszyscy dobrze wiedzą, piłki do quidditcha. Piszę tu o nich, żeby wyjaśnić dziwną odmianę tych rzeczowników, na co mi zwracały uwagę zaniepokojone nauczycielki języka polskiego. Jak wiadomo, polskie rzeczowniki męskie, oznaczające rzeczy nieożywione, w bierniku są takie jak w mianowniku (np. zobaczyć piernik, złapać bambus). Ja natomiast uparcie odmieniam „złapać znicza”, „podać kafla”. Otóż zwracam uwagę, że te piłki są jakby ożywione (znicz w ogóle był z początku ptaszkiem), bo same latają, gdzie chcą. Podobne „ożywienie” występuje np. przy figurach szachowych (mówi się: „zbić piona”, „poddać skoczka”) lub niektórych zabawkach wykazujących skłonność do samowoli (mówi się np. „puszczać latawca”), a także przedmiotach, do których człowiek jest bardzo (niestety) przywiązany (np. „daj papierosa”). Kiedy zapytałem o to pewnego polskiego czarodzieja, odpowiedział mi, że nikt, kto dostanie tłuczkiem w głowę, nie powie: „Zamknijcie ten tłuczek w skrzynce!”, tylko: „Zapuszkujcie tego wściekłego tłuczka!”

LEGILIMENCJA - ang. Legilimency; choć Snape szydzi z Harry'ego, dla którego legilimencja to „czytanie cudzych myśli", nazwa pochodzi od łac. legere - „czytać" i mens - „umysł", „myślenie", więc Harry ma prawo tak uważać. Ale znaczenie słowa mens jest szersze i obejmuje również „serce", „duszę", „wyobrażenia", „wspomnienia", tak więc i Snape miał rację, gdy mówił, że to „zdolność wydobywania uczuć i wspomnień z drugiej osoby" i oskarżał Harry'ego o mugolski brak subtelności.

LUNA LOVEGOOD - (czytaj: Luna Lawguud). Imię tej nieco dziwnej dziewczyny zasługuje na wyjaśnienie. Luna to po łacinie „księżyc" (stąd „lunatyk"), a w angielskim lunatic to „wariat", „obłąkany", natomiast loony to „pomyleniec", „dziwak". Stąd Lunę nazywano złośliwie Loony (czyt. Luny), co przełożyłem jako „Pomyluna". Ale, jak się okazało, to, że ktoś ma wciąż zdziwioną minę i mówi rozmarzonym głosem, wcale nie świadczy o tym, że jest pomylony. Luna udowodniła, że potrafi myśleć bardzo logicznie i to właśnie ona wpadła na pomysł, jak dostać się do Departamentu Tajemnic. Bez niej nic by się nie udało!

MAGNOLIA CRESCENT - (czytaj: Megneoulie Kresnt) nazwa jednej z uliczek w Little Whinging, która w tomie trzecim została przeze mnie przełożona (Magnoliowy Łuk). Była to z mojej strony niekonsekwencja, ponieważ nie tłumaczę nazw ulic mugolskich (por. Privet Drive, Magnolia Road w tej samej miejscowości, Charing Cross Road czy Vauxhall Road w Londynie), tylko nazwy ulic w świecie czarodziejów (Pokątna, Śmiertelnego Nokturnu). Dlatego postanowiłem w tym tomie naprawić błąd i wrócić do nazwy oryginalnej.

METAMORFOMAG - ang. Metamorphmagus, od greckiego metamorphosis - „przemiana" i magm - „mag", czarodziej lub czarownica posiadający zdolność zmiany swojego wyglądu fizycznego. Nimfadora Tonks, która posiada tę zdolność, nie wyjawiła, skąd się ona bierze. A szkoda!

NIEŚMIAŁEK - ang. Bowtruckle (czytaj: boutrakl), od bow - „łuk", „ukłon", ale występuje tu również fonetyczne podobieństwo do bough - „gałązka", i truckle - „poniżyć się". Jest to małe stworzonko pilnujące drzew, sprawiające wrażenie, jakby się składało z kory, gałązek i pary brązowych oczek. Żywi się insektami i jest bardzo pokojowo nastawionym i nieśmiałym stworzeniem, stąd zapewne jego polska nazwa. Jednak ostrzegam, że gdy ktoś zaatakuje drzewo (np. chcąc wyciąć w korze serce z imieniem swej panienki), staje się bardzo agresywne i może wydrapać oczy.

ODOROSOK - ang. Stinksap (czytaj: stinksaep), od stink - „smród" i sap - „soki roślinne". Ten śmierdzący sok wydziela Mimbulus mimbletonia, magiczna roślinka hodowana przez Neville'a Longbottoma. „Wydziela" to może za łagodne słowo, bo roślinka

zachowuje się trochę jak skunks. Jednym z synonimów „smrodu" jest „odór" i chyba każdy przyzna, że „odorosok" lepiej brzmi niż „smrodosok", choć, niestety, tak samo cuchnie.

OKLUMENCJA - ang. Occlumency, od łac. occludo - „zamknąć" i mens - „umysł", „serce", „dusza", „wspomnienia". Swoją drogą bardzo się dziwię, że w Hogwarcie nie uczono łaciny, bo wiele magicznych terminów i zaklęć z niej właśnie pochodzi. Gdyby Harry liznął trochę łaciny, nie wymamrotałby: „Dlaczego mam się uczyć tej oklu... coś tam?"

STWOREK - ang. Kreacher (czytaj: Kriczer), skrzat domowy w domu Blacków. Angielska nazwa nie jest związana z żadnym znaczeniem słownym, natomiast fonetycznie przywodzi na myśl określenie creature (czyt. kriczer), czyli „stwór", „kreatura". Imię to po angielsku budzi pejoratywne skojarzenie, które, niestety, zaginęło w polskim przekładzie, zgodnym natomiast z melodią imion innych skrzatów: Zgredek, Mrużka.

SZPICZAK - ang. Knarl, magiczne stworzenie, które mugole zawsze mylą z jeżem, stąd zapewne nazwa polska. Te dwa gatunki różnią się tylko zachowaniem: jeśli jeżowi wystawi się miseczkę z mlekiem, chętnie wypije, natomiast szpiczak jest z natury podejrzliwy i pomyśli, że właściciel chce go zwabić w pułapkę, wobec czego zniszczy mu rabatki z kwiatami. Później mugole posądzają o to swoje dzieci...

ZAKON FENIKSA - ang. The Order of the Phoenix. Pottermaniacy wiedzą, że na temat przekładu tej nazwy własnej przetoczyła się w Internecie burzliwa dyskusja. Rzecz w tym, że order (od łac. Ordo - „rząd", „szereg", „oddział", „porządek") ma w języku angielskim wiele znaczeń, najczęściej wykraczających poza dość wąskie znaczenie polskiego słowa „zakon", czyli stowarzyszenie religijne, które ma swoją regułę i do którego się wstępuje po złożeniu ślubowania i przyjęciu święceń. Zakony rycerskie też miały na ogół charakter religijny, choć zwykle nie sakralny. Te wszystkie cechy zakonu nie bardzo odpowiadają charakterowi tajnej grupy stworzonej przez Al-busa Dumbledore'a do walki z Voldemortem, złożonej z czarodziejów i czarownic, w tym osób o nieco wątpliwej moralności (Mundungus czy Snape), wyglądających dość dziwacznie (Tonks), lub przesadnie dbających o bezpieczeństwo swoich dzieci (pani Weasley). Najlepiej oddawałby charakter tej grupy polski termin „tajne stowarzyszenie", niestety zbyt rozwlekły, zwłaszcza w tytule książki, lub „bractwo", czyli związek ludzi skupionych wokół jakiejś sprawy (zawód, idea, wspólne zainteresowania). Wydawca, korzystając z przysługującego mu prawa, zadecydował jednak, że będzie to „Zakon Feniksa". A w końcu Dumbledore jest tak niezwykłą postacią i żyje w tak niezwykłym świecie, że jego pojęcie „zakonu" może się bardzo różnić od naszego...

„ŻONGLER” - ang. The Quibbkr (czytaj: Kuibler). Z przełożeniem tej nazwy miałem spore kłopoty. Quibbler to dosłownie „osoba przesadnie drobiazgowa”, „formalista”, „ktoś, kto się czepia szczegółów”, ale quibble to również zabawa polegająca na żonglowaniu słowami, więc quibbler to również ktoś, kto żongluje słowami, by osiągnąć chytrze zamierzony efekt. Jest to więc ktoś w rodzaju „matacza”, „krętacza”, „blagiera”. I chyba to właśnie znaczenie odnosi się do charakteru owego magazynu, w którym zamieszcza się reportaże o ględatkach niepospolitych czy chrapakach krętorogich. Po długim namyśle wybrałem „Żonglera”, bo trudno sobie wyobrazić, by ktoś sam nazwał swoje pismo „Blagierem”.